PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

DODATEK MIESIĘCZNY DO „GAZETY LWOWSKIEJ"

Rocznik XXXIV. — 1906.

Odpowiedzialny redaktor: ADAM KRECHOWIECKI.

LWÓW.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „GAZETY LWOWSKIEJ"

Z drukarni Władysława Łozińskiego. — Zarządca J. Niedopad.

1906.


BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS

SPIS RZECZY

zawartych w trzydziestym czwartym roczniku 1906.

I. Historya i archeologia, pamiętniki, podróże.

Aleksander Kraushar. Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III. (Niemcy — Francya — Włochy). 1711—1717. Z dyaryusza rękopiśmiennego, str. 16, 97, 193, 289, 385, 491, 589, 682.

Gustaw Manteuffel. Birże Litewskie, str. 28, 127.

Bohdan Barwiński. Zygmunt Kiejstutowicz, książę starodubski, str. 41, 138.

Dr. Tadeusz Troskolański. Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup krakowski († 1560), część V., str. 54, 153, 226, 323, 414, 519, 616, 710, 834, 926, 1023, 1122.

Napoleon Sierawski. Pamiętnik oficera konnego pułku gwardyi za czasów W. K. Konstantego, str. 65, 167, 246, 338, 427, 530, 645, 748.

Kazimierz Pułaski. Z dziejów konfederacyi barskiej. Teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor. (1769—1772), str. 83, 181, 274 363, 449, 554.

Dr. Maryan Goyski. Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu w latach 1399—1404, str. 209, 305, 398, 501.

Fr. Rawita-Gawroński. Poselstwo Bieniewskiego od śmierci B. Chmielnickiego do umowy Hadziackiej, str. 699, 820, 876, 973, 1068.

W. M, Kozłowski. Nowy przyczynek do wyjaśnienia misyi Kościuszki i próby nawiązania stosunków z Francyą 1793 r., str. 794.

Dr. L. Kolankowski. Elekcya Zygmunta I., str. 865.

W. M. Kozłowski. Wyprawa generała Dąbrowskiego, str. 891, 987, 1090.

Dr. Kazimierz Krotoski. Z podróży do Szwajcaryi, str. 944, 1037, 1136.

II. Literatura, sztuka, etnografia i filozofia.

Dr. Karol Mátyás. Oryla Michała Haliniaka wspomnienia z podróży Wisłą do Gdańska, str. 109.

Ludwika Dobrzyńska-Rybicka. Pierwsze studyum francuskie o polskiej poezyi romantycznej, str. 466.

Dr. Maurycy Straszewski. Fryderyk Nietzsche i jego znaczenie w ruchu umysłowym współczesnym, str. 600.

Aleksander Łucki. Listy Kazimierza Brodzińskiego do stryjecznej siostry, Szczęsnej, str. 628 733.

Dr. Karol Mátyás. Adwent. Studyum etnograficzne, str. 1057.

III. Prawo i nauki społeczne.

Dr. Gustaw Roszkowski. O XIV. Kongresie pokoju z 1905 roku, str. 1.

Dr. Bronisław Łoziński. Prawne i moralne horoskopy socyalizmu, str. 481, 577, 673.

Ks. Szydelski. Ankieta w sprawie moralności niezależnej, str. 769.

Dr. Alfred Halban. Co daje nauce prawoznawstwo porównawcze? str. 961.

O XIV. Kongresie Pokoju

z 1905 roku.

Powszechnie wiadomo, iż w drugiej połowie XIX. stulecia i w wieku bieżącym, a więc w epoce najwięcej rozwiniętego militaryzmu, w chwili, gdy nawet małe państwa, z uszczerbkiem dla swych kulturalnych zadań, wydają miliony na armyą, uzbrojenia i twierdze, współcześnie z kolosalnemi przygotowaniami do wojny, czynione są wszelkie przygotowania, ażeby wojny usunąć i utrwalić pokój.

Literatura naukowa i prasa peryodyczna, katedra uniwersytecka, trybuna parlamentarna, a nawet scena służą do propagowania idei pokoju, i we wszystkich warstwach społecznych, od prostego robotnika do prezydentów rzeczypospolitej i monarchów, spotykamy dziś rozpowszechnione przekonania: że wojna światu nie przynosi oczekiwanych korzyści, i że szczęściem ludzkości jest pokój.

W tej wielkiej propagandzie za wojną przeciwko wojnie, wybitną rolę odgrywają kongresy i konferencye.

Rok rocznie odbywają się konferencye Unii interparlamentarnej, tj. Związku wszystkich parlamentów świata dla sprawy pokoju istniejącego, w którym tylko obecni lub byli posłowie mogą udział przyjmować: i tak samo odbywają się od r. 1889 zacząwszy kongresy pokoju, w których udział brać może każdy, dla kogo idea pokoju jest użyteczna i cenną.

Kongresów pokoju odbyło się dotąd 14 i dwa Zgromadz generalne *(assemblée générale)*, a mianowicie w Paryżu, Lond Rzymie. Bernie. Chicago, Anvers, Budapeszcie, Hamburgu. T nie, Bernie, Glasgowie, Monaco, Rouen, Bostonie i w Luzern Wszystkie te kongresy zajmowały się: 1) sprawą zbliżenia do siebie narodów i ich braterstwem: 2) kwestyą redukcyi armi 3) nietykalnością życia ludzkiego (kara śmierci, pojedynki itd. 4) rozwojem kongresów pokoju i ich stosunkiem do innych kon gresów politycznych; 5) kwestyą propagandy na korzyść idei po koju: 6) bieżącemi sprawami politycznemi *(actualités politiques)*

XIV. kongres pokoju obradował od 19—23. września b. r. w Lucernie, pod doskonałem przewodnictwem p. Elie Ducommun znanego propagatora idei pokoju.

Dwa rządy były reprezentowane na kongresie: rząd szwa carski przez p. Comtesse i rząd szwedzki przez p. Wawrińskiego

Z górą 400 osób brało udział w kongresie, a mianowici z Szwajcaryi 115 osób. z Francyi 80, z Anglii 74; ze Stanów Zjednoczonych 81, z Niemiec 50, z Włoch 15, z Austryi 11, za z Danii, Hollandyi. Rossyi. Szwecyi. Belgii, Węgier. Hiszpanii z Monako i Chin — z każdego z tych państw od 5 do 1 osoby

Udział prasy był także liczny. Najważniejsze dzienniki euro pejskie. przysłały swych korespondentów. albo swym stałym spra wozdawcom z Berna, poleciły nadsyłać opisy przebiegu obrad kongresu.

Nieprzyjazne stanowisko wobec kongresu, zajęła prasa niemiecka. Tylko *Frankfurter Zeitung* miała na kongresie swego sprawozdawcę, a biuro telegraficzne Wolffa wprost zabroniło nadsyłać sobie depesze z kongresu.

Zamiast jak zwykle masy powitalnych przemówień. były na tym kongresie w Lucernie tylko dwa. Imieniem komitetu przygotowującego zjazd, przemawiał jego prezes dr. Bucher-Heller. imieniem rządu Związkowego szwajcarskiego, członek tegoż rządu p. Comtesse.

Z mowy pierwszego z nich, podnieść należy bardzo słusznie wypowiedziane życzenie: aby wiara w dzieło pokoju opanowała jak najwięcej umysłów. W mowie zaś p. Comtesse, było wiele bardzo głębokich myśli, z pomiędzy których szczególniej ważną była uwaga, że obecny ruch na korzyść pokoju nie ma na celu zniesienia wojen, ale ich ograniczenie. Uznając wielką doniosłość uchwał konferencyi pokojowej w Hadze z r. 1899

i zaznaczając wielką korzyść dla świata z załatwienia pokojowego sprawy w Hull, wyraził p. Comtesse zdanie, iż rozszerzenie uchwał hagskich, leży w interesie pokoju w świecie.

Z kolei przystąpiono do wyboru 3-ch komisyi: dla spraw obecnie aktualnych (bieżących), dla kwestyi z dziedziny prawa narodów i dla propagandy idei pokoju.

Ustanowienie tych komisyi było bardzo znamiennem odróżnieniem tego kongresu, od innych tego rodzaju zjazdów, które zazwyczaj kwestye bieżącej polityki wykluczają z swych obrad, a nadto ograniczają się tylko do powzięcia uchwał, nie troszcząc się o ich wykonanie. Kongres pokoju dobrze zrobił, iż poszedł inną drogą. Prawda, że dyskusya nad politycznemi zagadnieniami obecnej chwili, grozi rozbudzeniem politycznych i narodowych drażliwości uczestników kongresu, utrudniających obrady. Ale nad powstrzymaniem wybuchów tych uczuć można przecież zapanować, a dyskusya nad kwestyami bieżącej polityki, jest niewątpliwie więcej ważną i bardziej ciekawą, niżeli czysto teoretyczne wywody. Słusznie także, że kongres szczególną uwagę poświęcił sprawie propagandy idei pokoju, gdyż to w tej chwili musi być uważanem za najważniejsze zadanie przyjaciół pokoju, w każdym razie jest ono o wiele więcej doniosłem, niżeli uchwały, niemogące liczyć na urzeczywistnienie nietylko dziś, ale nawet w tej przyszłości, którą my dziś przewidzieć możemy.

Po wyborze komisyj przystąpiono do sprawozdań o postępie sprawy pokoju w pojedynczych państwach, od czasu ostatniego kongresu.

Rzecz bardzo interesująca.

Ze sprawozdań tych okazuje się, że najżywszą była akcya na rzecz pokoju pod względem praktycznym w Anglii i Ameryce. Relacye co do tego p. Moschelesa z Londynu przekonywują, że w państwach wymienionych sprawą pokoju zajmują się bardzo liczne grona, i to nie z idealnych, ale z zupełnie materyalnych pobudek, tj. ze względu na potrzebę pokoju dla stosunków ekonomicznych. Reprezentanci innych państw zamykali swe sprawozdania w ogólnikowych wynurzeniach. Pod tym względem najważniejszą była mowa Fryderyka Passy, który mimo bardzo sędziwej starości, z młodzieńczym zapałem dowodził, iż duch naszego czasu wymaga, ażeby ponad narodowemi sztandarami powiewała chorągiew ludzkości całej. Reprezentant Chin upewnił zebranych, że Chińczycy pragną pokoju, ale że natarczywa propaganda europejskiej kultury staje się źródłem niepokoju w państwie i walk we-

wnętrznych. Prof. Quidde upewnił, że Niemcy pragną traktatów pokojowych, zwłaszcza z Szwajcaryą, zaś we wszystkich innych sprawozdaniach stale powtarzała się ta myśl, że wprawdzie narody przez mowców reprezentowane wielbią pokój, ale gotowe są bronić swych politycznych urządzeń do ostatka!

Uchwały kongresu powzięte zostały w dwóch formach: w formie deklaracyj i w formie rezolucyj. Pierwsza z nich, jest właściwie uchwałą wniosków, które przez komisye zostały kongresowi przedłożone.

I. Deklaracye.

1. Pierwsza i najważniejsza deklaracya dotyczy międzynarodowej federacyi państw i rozbrojenia.

Kongres dąży najprzód do federacyi państw europejskich, która z czasem ma się rozszerzyć na wszystkie państwa, t. j. przybrać charakter międzynarodowy.

Motywowanie tego wniosku, którego autorem jest p. Arnaud (Francuz), a sprawozdawcą był p. Alexander (Anglik), było bardzo oryginalne.

Wojna, powiedziano, jest zbrodnią, gdyż jest zamachem na udzielność państw. Wolność i udzielność państw ma swoją granicę w obowiązku każdego państwa szanowania udzielności państw innych. Ażeby to zadanie urzeczywistnić, państwa są obowiązane wytworzyć w związku międzynarodowym instytucye, niedopuszczające do wybuchu wojny. Instytucye te muszą być oparte na zasadzie nietykalności narodu, tak jak i jednostki, tudzież na zasadzie autonomii narodów i solidarności ich interesów, a ogół tych instytucyi, tworzyć ma zamierzoną federacyę narodów, najprzód europejską, a potem międzynarodową.

Środkiem do tego będzie wytworzenie parlamentu świata, któryby się tak, jak każdy parlament, peryodycznie zbierał dla narad nad sprawami wspólnemi federacyi.

Kongres wystosował list do prezydenta Rooseveldta z wezwaniem, ażeby przeprowadził utworzenie parlamentu świata, a następnie federacyi państw, w powyższem pojęciu.

W bezpośrednim związku z federacyą państw, zostaje kwestya rozbrojenia.

Kongres był zdania, że zaprowadzenie nowego prawnego ustroju w związku międzynarodowym, mieć będzie za skutek rozbrojenie. W obecnej sytuacyi, kongres żądał tylko redukcyi armij lądowych i morskich, a tem samem zmniejszenia budżetów wojennych, uważając, że przyszła konferencya pokojowa w Hadze tę sprawę na porządku dziennym postawić powinna.

Prócz tego żądano od 2-giej konferencyi hagskiej, zajęcia się sprawą parlamentu świata, i utworzenia przy nim międzynarodowego biura administracyjnego, jako kancelaryi tegoż parlamentu, kwestyą kodyfikacyi prawa międzynarodowego, zaprowadzania obowiązkowych sądów rozjemczych dla sporów państw wreszcie kwestyą obowiązkowych dla państw traktatów zapewniających pokojowe załatwianie ich sporów.

2. Druga uchwała dotyczy międzynarodowego nauczania. Kongres był zdania, że byłoby bardzo pożądanem, ażeby w jak największej liczbie państw, w zakładach naukowych niższych, średnich i wyższych, przeprowadzono jeden i ten sam plan nauki, tak, aby można było naukę zaczętą w jednem państwie prowadzić dalej w innem, składać egzamin i uzyskiwać dyplom, mający równe znaczenie we wszystkich państwach. — Wskutek tego, kongres uchwalił prosić ministrów oświaty: 1) o danie inicyatywy do zawarcia międzynarodowej konwencyi, zapewniającej ujednostajnienia nauczania w wielu państwach, 2) o założenie Uniwersytetu, utrzymywanego przez wiele państw, w którymby wykładali uczeni do różnych państw należący.

Kongres poruczył towarzystwom pokoju popieranie w ich państwach sprawy międzynarodowego nauczania, dla ułatwienia pod tym względem zadania rządów i ustanowił komisyę z p. Arnaud, na czele, która ogniskując w swym ręku sprawozdania z różnych państw o postępie tej sprawy, wielką tą akcyą kierować będzie.

3. Trzecia uchwała dotyczyła zbliżenia niemiecko-francuskiego. Uchwała ta z dwóch względów była bardzo ważną. Najprzód dla tego, że dotyczyła kwestyi pierwszorzędnej politycznej doniosłości, a następnie dla tego, że zbliżenie dwóch tych państw potężnych i dwóch wielkich narodów, kongres czynił zawisłem od wprowadzenia w życie nowej organizacyi zwiazku międzynarodowego, której urzeczywistnienie stanowi jeden z najważniejszych punktów programu towarzystw pokoju. W uchwale zatem, którą w tej sprawie kongres powziął, wypowiedziane są zasady główne, na których się towarzystwa pokoju opierają.

Towarzystwa pokoju są zdania, że pokój zostanie wtedy ustalony, gdy Związek międzynarodowy stanie się związkiem prawo rządnym, tj. gdy prawo wojny dziś państwom służące, zostanie zniesionem, gdy prawo narodów będzie podstawą rozstrzygania wszelkich sporów między państwami, a wszelkie ich stosunki będą oparte na prawie i sprawiedliwości. Wskutek tego musi być uznanem za niedozwolone, ażeby z politycznych względów zabierano terytorya, bez zgody na to ich mieszkańców. W myśl tej zasady, kongres wyraził przekonanie, że jak system ten będzie przeprowadzony, kwestye będące dziś źródłem niezgody między Francyą a Niemcami, stracą na znaczeniu i dlatego kongres wyraził życzenie, ażeby rządy obu państw wymienionych (francuski i niemiecki) porozumiały się z sobą celem wprowadzania do stosunków międzynarodowych systemu prawnego, zapewniającego pokój, we własnym interesie i dla dobra całego cywilizowanego świata.

Kongres nadto uchwalił, że system praworządny Związku międzynarodowego, opiera się na następujących zasadach:

a) Stosunki państw polegają na tych samych moralnych i prawnych zasadach, jak stosunki jednostek (indywiduów).
b) Nikt niema prawa sam sobie sprawiedliwości wymierzać. Żaden naród niema prawa drugiemu wypowiadać wojny.
c) Spory powinny być rozstrzygane w drodze prawnej.
d) Autonomia każdego narodu jest zapewnioną.
e) Prawo zawojowania nie istnieje.
f) Każdy naród ma prawo bronienia się.
g) Każdy naród ma wolne i niepozbywalne prawo stanowienia o sobie.

Kongres pokoju uznał, że zaprowadzenie nowej organizacyi Związku międzynarodowego na tych podstawach doprowadzi do zgody między Francyą i Niemcami.

4. Czwarta uchwała odnosiła się do uznania państw Skandynawskich (Dania, Szwecya i Norwegia), ich wszelkich posiadłości, tudzież wód te państwa dzielących, za neutralne.

Uchwała ta odpowiada życzeniu państw wymienionych, dawno przez nie wyrażonemu.

5. Piąta kwestya, przedłożona kongresowi do uchwały, dotyczyła neutralizacyi wielkich dróg wodnych dla handlu, na oceanach.

Związek izb handlowych państwa Massachusets, powziął uchwałę, uznającą za pożądane, ażeby uznane zostały za neutralne drogi handlowe na oceanach, używane przez transatlantyckie okręty.

Towarzystwo dla prawa narodów, na posiedzeniu swem w r. b. w Christianii, w myśl powyższej uchwały, zawotowało rezolucyę, w której żąda, ażeby pocztowe i pasażerskie okręty nie doznawały przeszkód w czasie wojny do wykonywania swobodnej żeglugi, zastrzegając surowe kary za przewóz kontrabandy. Był więc wniosek, ażeby takąż samą uchwałę powziął kongres, w interesie handlu państw neutralnych.

Większością 135 głosów przeciw 99-iu kongres jednak uznał, że ta sprawa do jego kompetencyi nie należy, wychodząc z tego założenia, że do niego należy sprawa utrwalenia pokoju, a nie regulowania stosunków w czasie wojny.

W związku z temi uchwałami, oficyalnie na kongresie powziętemi, zostaje jedna uchwała bardzo doniosłego znaczenia, która doszła do skutku jednak po za kongresem. Wiadomo, iż od pewnego czasu, pojawiają się w prasie politycznej, zwłaszcza angielskiej, zarzuty przeciwko Niemcom, z których to artykułów wyłania się coraz większa niechęć wzajemna obu narodów, wobec której niejednokrotnie podnoszą się przewidywania wojny angielsko-niemieckiej.

Angielscy członkowie kongresu zaprosili obecnych na kongresie Niemców, w d. 21. września, na poufną konferencyę, na której pod przewodnictwem p. Moschelesa z Londynu, całą sprawę rozważano i po licznej wymianie zapatrywań uznano, iż do wzajemnych uraz obu narodów niema żadnych przyczyn, i że należy położyć niezwłocznie tamę podjudzaniom prasy. Uchwalono tedy wydać odezwę do obu narodów, wzywającą do zgody, wybrano komitet, mający za zadanie działać przeciw wszelkiej akcyi, czy to w prasie, czy w innej drodze, a mogącej poróżnić oba narody, postanowiono wreszcie odbywać odczyty o stosunkach angielsko-niemieckich, przez Niemców w Anglii i przez Anglików w Niemczech.

Amerykanin Ginn z Bostonu, proponował utworzenie specyalnie w sferze kupieckiej, propagandy na korzyść pokoju, wychodząc z tego założenia, iż sfery te rozporządzają wielkiemi środkami materyalnemi i wielkimi wpływami. Wniosek ten odesłano do bliższego zbadania, do biura w Bernie.

II. Rezolucye.

1. Na wniosek prof. Richeta uchwalono: iż państwa neutralne nie powinny udzielać pożyczek państwom w wojnie będącym.

2. Na wniosek d-ra Goldbergera, w kwestyi stosunku Austryi do Włoch, wyrażono potępienie akcyi, obliczonej na poróżnienie obu tych państw między sobą, i wezwano prasę, aby wystąpiła przeciwko tej akcyi.

3. Na wniosek prof. Quidde i d-ra Frieda wyrażono radość, iż sprawa wypadku w Hull szczęśliwie załatwioną została, przez zastosowanie postanowień konferencyi pokojowej w Hadze.

4. Ponieważ w układach pokojowych w Portsmouth o losie Mandżuryi i Korei zdecydowano bez względu na życzenia ludności kraje te zamieszkującej, przeto na wniosek prof. Quidde kongres uchwalił, że ludności wymienionej należy zapewnić prawo zdecydowania o swoim losie.

5. Na wniosek d-ra Kolbena wyrażono głębokie ubolewanie, że Rossya i Japonia nie starały się wybuchowi wojny przeszkodzić.

6. W kwestyi Armeńskiej, wyrażono sympatyę ofiarom mordów, a potępienie dla rządu rossyjskiego, iż nic nie uczynił, ażeby oburzającym gwałtom zapobiedz, a nadto, iż dopuszczał się prześladowań ludności polskiej i żydowskiej.

7. Kongres wyraził żywe zadowolenie z powodu pokojowego załatwienia sporu między Norwegią a Szwecyą. Norwegii kongres wyraził życzenie, z powodu uzyskania zupełnej niepodległości, bez rozlewu krwi, zaś królowi szweckiemu i szweckiemu narodowi takież same uczucia, z powodu uwzględnienia pragnień Norwegów. Szczególną radość wyraził kongres z powodu, iż postanowiono zburzenie fortec i zawarcie traktatu zapewniającego rozstrzyganie wyniknąć mogących sporów, przez sąd.

Jednocześnie wysłano telegramy: do króla szweckiego i do prezydenta norwegskiego Stortingu.

8. Ze względu na to, że stowarzyszenia robotnicze są tak samo jak i towarzystwa pokoju za utrwaleniem pokoju w świecie, kongres postanowił wybrać komisyę dla utrzymywania ciągłej łączności z temi towarzystwami. Zadaniem tej komisyi będzie przyszłemu kongresowi pokoju zaproponować, jakie punkta pro-

gramu towarzystw robotniczych, powinny być do programu towarzystw pokoju przyjęte.

9. Kongres uchwalił zakładanie klubów międzynarodowych w tych krajach, w których ruch na korzyść pokoju istnieje. Celem tych klubów będzie: zbliżanie do siebie różnych narodów, propagowanie załatwiania sporów drogą polubowną, zakładanie bibliotek złożonych z dzieł poświęconych sprawie pokoju, wreszcie szcie kluby te mają być punktem zbornym dla zwolenników idei pokoju.

Oprócz tych uchwał, kongres postanowił wysłać do prezydenta Rooseveldta telegram wyrażający mu podziękowanie za jego interwencyę w sprawie zawarcia ostatniego pokoju.

P. Gustaw Moch (Francuz) przedstawił kongresowi zalety nowego języka międzynarodowego „Esperanto" i wnioski do uchwały, co do rozszerzenia znajomości tego języka i wprowadzenia go do obrad kongresów pokoju. Wnioski te odesłano do biura w Bernie, dla ich zbadania.

Kongres w Lucernie przyniósł i pod względem materyalnym poważne korzyści towarzystwom pokoju. Jeden z uczestników kongresu, który jednak nie pozwolił ogłosić swego nazwiska, złożył na propagowanie idei pokoju 10.000 fr., a hr. Gurowski ofiarował 600.000 fr. na wybudowanie gmachu dla założonego przez Jana Blocha Muzeum pokoju i wojny, gdyż kontrakt najmu tego gmachu, w którym się obecnie to muzeum mieści, wkrótce upływa.

Z powyższego przedstawienia rzeczy wynika, że kongres pokoju powziął uchwały w następujących przedmiotach:

I. W kwestyach bieżącej polityki — w sprawie zbliżenia Niemiec i Francyi, Niemiec i Anglii, Austryi i Włoch, w kwestyi konferencyi hagskiej, w sporze Anglii z Rossyą, w sprawie wypadku w Hull, w sprawie Armeńskiej, w kwestyi sporu między Szwecyą i Norwegią, w sprawie ludności w Mandżuryi i Korei, w sprawie neutralizacyi państw skandynawskich i w sprawie wojny rossyjsko-japońskiej.

II. W kwestyach prawa narodów — co do udzielania pożyczek na cele wojny, w kwestyi kodyfikacyi prawa narodów, w sprawie federacyi narodów i parlamentu świata, w sprawie obowiązkowych sądów polubownych i traktatów z klauzulą co do sądów polubownych.

III. W kwestyach propagowania idei pokoju — co do systemu nauczania w szkołach, co do związku ze stronnictwami ro-

botniczemi, co do zakładania klubów i pozyskania sfer kupieckich, dla sprawy pokoju.

Ażeby jasno zrozumieć wartość i znaczenie uchwał na tym kongresie powziętych, należy zdać sobie sprawę z tego, z kogo składała się większość kongresu.

Niewątpliwie wielu w nim zasiadało filantropów, przyjaciół ludzkości, ludzi wyższego umysłu i gorącego serca dla spraw, które dotyczą losów narodów. Jednak te luźne obok siebie stojące jednostki, nie stanowiły większości na kongresie. Te ostatnią tworzyli członkowie i delegaci towarzystw pokoju. Tych ostatnich na zjeździe w Lucernie było reprezentowanych 85. — Ligi i Towarzystwa pokoju pod różnemi nazwami gęsto rozsiane w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, we Francyi, Anglii, w Niemczech i we Włoszech, słabo rozwinięte w innych państwach Europy, są stowarzyszeniami politycznemi, poświęconemi stosunkom międzynarodowym, mają one swój ściśle określony program i w jego duchu działają wszędzie. Uchwały zatem kongresów pokoju, nie są dziełem przypadku, nie są rezultatem filantropijnych i etycznych porywów, ale są konsekwencyą programów Lig i towarzystw pokoju. Te ostatnie prowadzą na wielką skalę propagandę swych zasad: Wydają dzienniki, publikują mnóstwo dzieł i broszur, odbywają kongresy krajowe i powszechne, a że cele i hasła ich są wyrazem dążeń dzisiejszej cywilizacyi, dla tego dzięki tej intenzywnej propagandzie, zyskują towarzystwa pokoju z każdym rokiem mnóstwo zwolenników. Znamieniem działalności tych towarzystw jest: że one wypowiadają idee, będące konsekwencyą głównych ich zasad, nie troszcząc się o to, czy one dziś zaraz dadzą się urzeczywistnić, czy nie. Cechą więc programów towarzystw pokoju jest idealizm, w najszlachetniejszem pojęciu tego słowa, idealizm dążący do takiego ustroju stosunków świata, który ludzkości ma utorować drogę do najwyższego materyalnego i moralnego rozkwitu. Towarzystwa pokoju jednak swego idealizmu nie przeradzają w proste marzenia o szczęściu świata. One mają realną podstawę w tem, że jako cel zewnętrznej polityki świata wskazują to, co jest wyrazem ducha naszego czasu, obecnych prądów dzisiejszej cywilizacyi. Wymagania kultury w naszym wieku nie zawsze stoją w zgodzie z obecnemi urządzeniami politycznemi świata. Tak samo rzecz się ma i z celami towarzystw pokoju. Stąd nie wszystkie one dziś zaraz urzeczywistnić się dadzą. Jedne mogą być i są już spełnione, inne muszą czekać stosownej chwili na ich wprowadzenie w życie, inne wre-

szcie, choć może piękne i pożyteczne dla świata, ale tak są niezgodne z dzisiejszemi stosunkami państw, że nie tylko nie mogą być urzeczywistnione zaraz, ale nawet nie można przewidzieć, czy i kiedy będą mogły być spełnione.

Nie jednak nie szkodzi, że towarzystwa pokoju mają te zasady w swoich programach, bo ludzkość, nim je zrealizuje, może się do nich zbliżać stopniowo, a i to już zapewni postęp świata, i niejedną pożyteczną reformę w międzynarodowych stosunkach państw sprowadzi.

Towarzystwa i Ligi pokoju pragną zupełnego przekształcenia ustroju związku międzynarodowego. Pragną go uczynić związkiem praworządnym. Pod tym względem program ich jest w zgodzie z dzisiejszym stanem nauki o prawie narodów. Związek międzynarodowy państw od chwili swego powstania (1648 r.), opierał się na zasadzie równowagi politycznej państw, która aż do wielkiej rewolucyi francuskiej stała niewzruszenie. Od traktatu wiedeńskiego 1815 r. występuje zasada legitymizmu, która jednak pod naciskiem silnego prądu wolnościowych i narodowych tendencyi w pierwszej połowie XIX-go wieku, ustąpiła zasadzie narodowości, propagowanej głównie we Włoszech (Mancini, Mamiani), zasadzie, która wprawdzie była jedną ze sprężyn zjednoczenia Włoch i Niemiec, tudzież wytworzenia się niektórych małych państw w Europie, ale która mimo uznania jej wielkiej wartości, zasadą związku międzynarodowego być nie może.

Zarówno dzisiejsza teorya stosunków międzynarodowych, jak i dążenie dyplomacyi z drugiej połowy XIX-go i obecnego wieku, skierowane są do tego, ażeby związek międzynarodowy państw uczynić związkiem praworządnym, tj. ażeby zewnętrzne stosunki państw oparte były na prawie i aby ich organizacya była urzeczywistnieniem idei sprawiedliwości, która jest i powinna być wszelkiego społeczeństwa podstawą.

Pod tym względem program towarzystw pokoju wyraża ogólnie żywione przekonanie.

Toż samo dotyczy dalszego punktu rzeczonego programu, żądającego rozstrzygania sporów państw drogą prawa. Cały szereg wyroków sądów polubownych w tych sprawach i uchwały konferencyi pokojowej w Hadze z 1899 r. dowodzą, że to wymaganie towarzystw pokoju ma podstawę realną.

Żądanie stworzenia parlamentu świata nie jest nowem. Lorimer, Bluntschli i wielu innych uczonych żądali tego, a jakkolwiek to wielkie i doniosłe żądanie dotąd urzeczywistnionem nie

zostało, to jednak stać się to może. Unia interparlamentarna obecnie tak pięknie się rozwijająca, jest niewątpliwie ważnym krokiem, posuwającym naprzód tę wielką myśl, która jak raz wejdzie w życie, wielkie światu przyniesie korzyści.

To co towarzystwa pokoju federacyą narodów nazywają, ma być Unią państw dla sprawy pokoju. Ona ma światu zapewnić cały szereg urządzeń, służących bezpośrednio do utrzymania pokoju. Jeżeli są już dziś i z wielkim pożytkiem funkcyonują Unie dla poczt i telegrafów, dla kolei żelaznych, dla obrony własności literackiej i przemysłowej itd., dlaczegożby nie miała istnieć Unia państw dla sprawy pokoju, zwłaszcza że to nowe urządzenie w Związku międzynarodowym odpowiada duchowi naszej epoki i jest wyrazem pragnienia milionów.

Również na realnej podstawie opiera się uchwała kongresu co do międzynarodowego systemu nauczania. Odrodzić świat można tylko przez młode pokolenia. Pokój, który jest dziś pragnieniem wszystkich cywilizowanych narodów, powinien mieć podstawę w umyśle i sercu młodzieży, wtedy będzie miał zapewnioną przyszłość. Międzynarodowy Uniwersytet stanie się ogniskiem najwyższej wiedzy i doskonałym środkiem zbliżenia narodów. Początek tej nowej instytucyi istnieje już dziś w wymianie uczonych do wykładów między Berlinem a Stanami Zjednoczonemi.

Usiłowania kongresu zbliżenia do siebie Francuzów i Niemców, usunięcia nieporozumień Austryi i Włoch, są wyrazem bardzo chwalebnej tendencyi kongresu do utrzymywania łączności państw i narodów, w interesie pokoju.

Natomiast postawienie przez towarzystwa pokoju w programie żądania, ażeby prawo państw do wypowiadania wojen zostało zniesionem, jest nietylko nieobliczonem na zastosowanie w praktyce, ale co więcej teoretycznie niedającem się uzasadnić. Państwu to prawo odjętem być nie może. Można potępiać wojny i działać tak, ażeby do prowadzenia wojen nie przyszło, można i należy żądać, ażeby wojna tylko w obronie praw dobrze nabytych przez państwo mogła być prowadzoną, ale zasadniczo prawa państw do wypowiedzenia wojny znieść nie można, gdyż to byłoby obronie najistotniejszych interesów państwa i praw należnych narodom, przeciwnem.

Żądanie kongresu zaprowadzenia obowiązkowych sądów polubownych dla wszelkich sporów państw, jest niesprawiedliwionem, najprzód dla tego, że tego rodzaju obowiązek byłby ograniczeniem udzielności państw, a następnie, dziś zarówno w nauce,

jak i w sferach dyplomatycznych panuje przekonanie, że są sprawy dotyczące bytu państwa, jego honoru i bezpieczeństwa, które przez sądy rozstrzygane być nie mogą i żadne państwo spraw takich nie przekazałoby sądowi.

Traktaty z klauzulą zapewniającą pokojowe przez sąd załatwianie pewnych spraw, są dla państw wielkiej doniosłości i stanowią niewątpliwie silną rękojmię utrzymania pokoju w świecie, ale bezwarunkowo od wszystkich państw wymagać zawierania takich traktatów jest rzeczą niemożebną, gdyż i to byłoby ograniczeniem udzielności państw i ścieśnieniem swobody jego polityki.

Stanowisko, które kongres zajął w kwestyi rozbrojenia, żądanie, ażeby ta kwestya znów była postawioną na porządku dziennym drugiej konferencyi pokojowej w Hadze, jest nieusprawiedliwionem.

Na pierwszej konferencyi Hagskiej (1899), kwestyę tę badano wszechstronnie i z całą słusznością uznano: że jest absolutnie niemożebnem uchwalić zmniejszenia armij i że uchwała taka byłaby niewykonalną. Kto zna przebieg obrad hagskich, słuszność tego twierdzenia jest dla niego widoczną. Przedewszystkiem zdanie to podzielać należy i z tego powodu, że jak długo polityczne stosunki państw i narodów nie są uregulowane, rozbrojenie choćby częściowe nietylko że nie jest możebnem, bo każde prawie państwo w Europie musi być w najgorszym razie na wojnę przygotowanem, ale gdyby nawet było możebnem do przeprowadzenia, byłoby szkodliwem, gdyż prowadziłoby do utrwalenia dzisiejszych krzywd, które obecnie ponosi wiele narodów, przez pozbawienie samoistnego bytu politycznego.

Ponieważ rozbrojenie państw jest konsekwencyą zasadniczego programu towarzystw pokoju, mógł kongres kwestyę tę zostawić w swym programie, jako zadanie dalekiej przyszłości, ale żądać postawienia tej kwestyi na porządku dziennym przyszłej konferencyi w Hadze, jest zupełnem nieliczeniem się z tem, co w obecnej chwili jest możebnem, a co nie.

Debata nad tą kwestyą przeprowadzona w komisyi, wykazała ciekawe różnice stanowisk pojedynczych członków kongresu wobec tej kwestyi. Niemcy i Francuzi pragną rozbrojenia z idealnych względów na pożytek świata, Amerykanie i Anglicy z czysto materyalnych pobudek, ze względu na potrzebę swobody handlu i konieczność zmniejszenia ciężarów wojennych. Prócz tego można było słyszeć zdania, wprost zdumiewające. Jeden z członków komisyi twierdził, że w r. 1899 w Hadze sprawy rozbrojenia nie

załatwiono tylko dla tego, że rząd rossyjski nie przygotował potrzebnych statystycznych materyałów. Jak one będą przedłożone na następnej konferencyi w Hadze, rozbrojenie niewątpliwie będzie postanowionem! Inny z członków komisyi twierdził, że należy ogłosić konkurs na dzieła, zawierające projekt przeprowadzenia rozbrojenia, a po jego wyjściu z druku należy już oczekiwać decyzyi państw przychylnej dla tej sprawy. Oczywiście, iż tego rodzaju zdania, dowodzą tylko nieznajomości zarówno technicznych, jak i politycznych przeszkód, które rozbrojenie czynią dziś wprost niemożebnem.

Najważniejszą uchwałą kongresu było oświadczenie się za neutralizacyą państw skandynawskich. Przyjęcie tego przez państwa Europy jest więcej niż wątpliwem, gdyż stała neutralność państw dotąd była postanawianą nie na żądanie interesowanego państwa, ale w interesie wielkich mocarstw europejskich. Neutralizacya państw skandynawskich mogłaby dojść do skutku, tylko gdyby państwa Europy zupełnie zmieniły swą dotychczasową taktykę przy przyznaniu stałej neutralności. Ale byłoby bardzo pożądanem, żeby to się stało. Przyznanie każdemu państwu prawa ogłoszenia się stale neutralnem, byłoby posunięciem sprawy utrwalenia pokoju w świecie bardzo znacznie naprzód.

Z powyższych uwag wynika, że uchwały kongresu pokoju były bardzo poważne i nie były dziełem chwilowych tendencyi uczestników zebrania, ale konsekwencyą wysnuwaną z zasadniczych punktów programu Lig i towarzystw pokoju. Było w tem wszystkiem niewątpliwie wiele idealizmu, wiele rzetelnej i głębokiej miłości spraw publicznych świata, chęci zapewnienia ludzkości szczęścia. Ten idealizm w polityce międzynarodowej ma mnóstwo stron ciekawych. Wobec nużącej praktyki codziennych stosunków państw, dobrze jest przenieść się myślą w sfery idealnych planów politycznych, w dziedzinę rozmyślań o doskonalszych niż dzisiejsze formach stosunków międzynarodowych, w których — gdyby one kiedyś w całości zostały urzeczywistnione, — nie byłoby nędzy i niedoli, w której dziś żyją narody.

Plany i zamiary towarzystw pokoju, mimo swego idealizmu, mają tę ważną i doniosłą stronę, że są jak gdyby wyrazem sumienia świata, one są objawem niezadowolenia z dzisiejszego politycznego ustroju międzynarodowego związku, a zarazem objawem tęsknoty do form lepszych i doskonalszych, opartych na powadze w świecie prawa i sprawiedliwości. Tych programów Lig i towarzystw pokoju lekceważyć nie należy, bo one są ważnym mate-

ryałem dla przyszłego historyka kultury i historyka prądów politycznych naszego wieku. Powinno zaś być zadaniem mężów stanu i dyplomatów z programów towarzystw pokoju i z uchwał ich kongresów wydzielić to, co jest możebnem do urzeczywistnienia i do urządzeń międzynarodowych wprowadzić. Cała zaś propaganda na rzecz pokoju zasługuje na najgorętsze poparcie dlatego, że ona dąży do zapewnienia przez międzynarodowe urządzenia szczęścia ludzkości!

Gustaw Roszkowski.

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

poźniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

OD WYDAWCY.

W pamiętnikach Saint Simona, stanowiących źródłowy przyczynek do dziejów epoki Ludwika XIV. i Regencyi, wydanych po raz pierwszy w całości z zezwolenia Ludwika XVIII. w roku 1829, a powtórnie w r. 1865, z przedmową Saint Beuve'a, mieści się w tomie VII. na str. 67 tego ostatniego wydania, wzmianka o bytności królewicza saskiego Augusta w Paryżu i w Wersalu i o okolicznościach, które owego młodzieńca, przyszłego króla polskiego, powiodły były na dwór francuski.

Bawił on tam od 1. października 1714. do końca roku 1715. w towarzystwie swoich mentorów: Jana Jerzego Przebendowskiego, wojewody malborskiego i jezuity, późniejszego kardynała z Salerno, który go przygotował, za danym już poprzednio przez królewskiego ojca przykładem, do przyjęcia katolicyzmu.

Życzeniem Augusta II., od chwili pozyskania korony polskiej, było — przekazanie tronu Rzplitej jedynemu swemu synowi

prawemu i następcy. Na tej wszakże drodze czekały go poważne przeszkody. Jako elektor saski był on głową i opiekunem luteranów niemieckich. Do niego to zwracali się o pomoc krzywdzeni w swoich prawach wyznaniowych Niemcy reformowani i on to był ich przedstawicielem wobec cesarza niemieckiego i cesarstwa, wykonawcą uchwał i traktatów w ich sprawie stanowionych.

Misya taka, jakkolwiek stał się z protestanta katolikiem, zapewniała Augustowi II. niewątpliwą w cesarstwie przewagę, którą rad był przelać na swego przyszłego następcę, wbrew woli i dążeniom królowej małżonki, Eberhardiny Krystyny, córki Krystyana Ernesta, margrabiego de Brandenbourg-Beureuth, księżniczki, do swej wiary luterskiej gorąco przywiązanej. Potępiała ona jawnie postępowanie Augusta II., który dla tronu polskiego, wyrzekł się był wiary ojców i swego narodu. Niechęć jej doszła do tego stopnia, że stale unikała spotkania się z małżonkiem w Saksonii i do Polski wybrać się z nim nie chciała.

Przeszkody takie wszakże nie odstręczyły króla od powziętego raz zamiaru.

Opanowawszy chwiejnym umysłem królewicza, otoczył go swymi zausznikami, którzy czuwali nad każdym jego krokiem i, aby go usunąć na czas dłuższy z pod wpływów matki — wysłał go w długą podróż na Zachód *incognito*, pod imieniem hrabiego Luzacyi.

Wybrał w tym celu osobistość bardzo podatną i zręczną — wojewodę malborskiego.

Jedyna dokładna, nietylko charakterystyka, lecz wogóle — informacya, o owej głośnej za czasów pierwszego Sasa postaci w Polsce, skreśloną została przez zasłużonego historyografa czasów saskich — Jarochowskiego i dla tego, nie bawiąc się w parafrazy i omówienia, przytaczam tu dosłownie główniejsze z niej ustępy (Nowe opow. i szkice hist. 1882, str. 272 i nast.):

„Przebendowski jest jedną z najcharakterystyczniejszych postaci polskich w ciągu długich rządów Augusta II. Rodem z Prus królewskich z okolicy Gdańska, początkowo kalwin, zmieniający następnie wiarę, by jeszcze za czasów Sobieskiego, jako kasztelan chełmiński, zająć miejsce w senacie. Niemiec raczej, niż Polak, podpisujący się w niemieckich korespondencyach „*J. G. von Prebendow*“, ożeniony z córką feldmarszałka brandenburskiego, Henryka Flemminga, dzielił ze szwągrem swym w służbie Augustowej, tyle znanym w dziejach naszych, Jakóbem Henrykiem Flem-

mingem, zasługę wyniesienia elektora saskiego na tron polski. Wkrótce po ustaleniu władzy Augustowej przez kapitulacyę rokoszu Łowickiego, widzimy Przebendowskiego wojewodą malborskim; w lutym roku 1703, po zgonie swego przeciwnika, Rafała Leszczyńskiego, — podskarbim koronnym. Po za tem urzędowem stanowiskiem zajmuje Przebendowski wyższe może jeszcze — w zaufaniu królewskiem. Fatalna rada rozpoczęcia wojny szwedzkiej przez zaczepkę Szwedów w Inflantach, jaką dał Augustowi, porówno z Flemmingem, Patkulem i Bosem, nie zdołała owego zaufania osłabić. Jest to jedyny z polskich dygnitarzy, który należy po dzisiejszemu powiedziawszy, do składu kamarylli Augustowej. Zaufanie królewskie dzieli się między niego, a Flemminga. August używa go podobnie jak Rumohra, Moreau i Jordana do najrozmaitszych misyj dyplomatycznych."

Misya poruczona Przebendowskiemu, rozpoczęła się od towarzyszenia królewiczowi w roku 1711 do Wiednia, zkąd, po odwiedzeniu dworów niemieckich udał się do Frankfurtu nad Menem na elekcyę cesarza Karola IV., gdzie również agitowała się przed kollegium elektorów sprawa pokoju zawartego miedzy Rzplitą polską, a Turkami, Rossyą i Szwecyą.

W roku 1714 zastajemy naszych podróżnych na dworze Ludwika XIV. Bawi królewicz we Francyi prawie że do zgonu tego monarchy. Dyaryusz nasz podaje bardzo ciekawe szczegóły o życiu dworskiem w Wersalu, tem ciekawsze, że, jak wiadomo, ostatnie miesiące panowania Ludwika XIV. nie znalazły dotychczas w historyografii francuskiej należytego wyjaśnienia.

Na tle dyaryusza naszego występują *„faits et gestes“* wszystkich prawie dworaków „króla — słońca“, odsłania się niezmiernie barwny obraz zakulisowych zwyczajów i obyczajów dworu wersalskiego.

Towarzyszymy następnie królewiczowi w podróży jego do Włoch, nie pozbawionej nawet szczegółów romantycznych jego stosunków ze śpiewaczkami i tancerkami, *„à la mode“* podówczas będącemi. Widzimy go w otoczeniu dożów weneckich i uroczych Wenecyanek, czasami zaś z kartek dyaryusza odzywa się nuta, przypominająca ton głośnych pamiętników Casanovy... Przewijają się około osoby królewicza i jego otoczenia awanturnicze postaci wędrownych młodzików polskich, słyszymy szczęk oręża pojedynkujących się na zabój przedstawicieli głośnych rodów polskich.

Zawdzięczam część końcową dyaryusza, skreślonego własnoręcznie przez Przebendowskiego, uczynności ś. p. Konstantego

Przeździeckiego, który, na krótko przed zgonem wręczył mi rękopis, z warunkiem, że zeń będzie zrobiony dla piśmiennictwa użytek należyty. Ubolewał ś. p. Przeździecki nad tem, że dyaryusza Przebendowskiego zachowała się jedynie część ostatnia, obejmująca pobyt królewicza we Francyi i we Włoszech. Nadspodziewanie wszakże, między rękopisami Biblioteki uniwersyteckiej w Warszawie (sign. 3, 4, 15) odnalazłem przed paroma laty początek podróży królewicza Augusta przez tegoż Przebendowskiego skreślony, dotyczący pobytu podróżnych w Niemczech. Pochodzi on z b. biblioteki sądu apelacyjnego, gdzie stosownie do reskryptu b. komisyi rząd. sprawiedliwości, z d. 28. września 1826 r. za nr. 7094 oddanym został do zachowania i zkąd, po uporządkowaniu, przeszedł do biblioteki senackiej, ostatecznie zaś do biblioteki głównej. Dokładny opis zawartości tej części dyaryusza Przebendowskiego sporządził był jeszcze w roku 1827 archiwista Dziedzicki, bez wymienienia autora rękopisu, jako podówczas jeszcze nie wykrytego. Autorstwo relacyi wyjaśnił dopiero ś. p. Alexander Przeździecki, zaznaczywszy na tytule swego rękopisu notatkę z pamiętników Saint Simona zaczerpniętą, która posłużyła jako nić przewodnia do odsłonienia przyłbicy autora dyaryusza.

Oto w przekładzie ustęp z pamiętników Saint Simona, charakteryzujący królewicza Augusta i jego mentora.

„Był to młodzieniec ośmnastoletni, blondyn, pokaźnej postawy, bardzo dobrze ułożony i zdradzający się, mimo swego *incognito* na każdem miejscu, z wysokiem swojem dostojeństwem. Towarzysz jego, wojewoda, podobał się wszystkim z rozumu swego, przenikliwości a także światowych manier, które obserwowane w mierze, nie dawały niczem poznać, iż wykwintny ów dworak był mentorem królewicza."

Wywiązując się z przyjętego obowiązku, ogłaszam całość dyaryusza Przebendowskiego, w tem przekonaniu, że szczegóły w nim opisane stanowić będą ważny przyczynek do historyi dworów europejskich i obyczajów dworskich z pierwszych dziesiątków XVIII. stulecia.

I.

Z Wiednia do Pragi Czeskiej. — Posłuchanie u Augusta II. — Król powierza królewicza Przebendowskiemu i mianuje go Wielkim Ochmistrzem. — Wizyty w Pradze. — Przedstawienie się królewiczowi. — Ceremoniał dworski. — Przysięga.

Po trzymiesięcznej w Wiedniu rezydencyej, począwszy à 3-o Aprilis usq. ad 30. Iunij, wyjechałem z Wiednia *ultima*, to jest 30. Iunij. Stanąłem w Pradze 5. Julij wespół z Xciem Imcią Kardynałem de Sax Zeitz, którego o trzy poczty przed Pragą nagoniłem. Stanąłem przy moście pod trzema dzwonami: a król Imć, który dniem przed nami do Pragi przybył, stał pod „Jednorożcem", także blisko mostu. Przy królu Imci znajdowali się JW. Pan Szembek, Kanclerz Koronny, JW. Pan Graff Fleming, Koniuszy W. X. L., JW. Pan Ficten Grand Fauconier de Saxe, le Chambellan Mordax et Mr. le Colonel de Brosse. Przy królewicu Jmci był Mr. Miltic Gouverneur i kawaler jeden Morteisen.

Xżę Imć Cardynał stanął u Xięży Krzyżaków zaraz za mostem przy Akademii *Societatis Iesu*.

Tamże w Pradze już był Monseign. Albani Nepos Ojca S-o Clementis XI. Stał u OO. Theatynów pod Zamkiem.

6. Julij. Rano przywitałem Króla Jmci i po uczynionej relacyi wiedeńskiej negociaciej, tamże jadłem z Królem Jmcią. Byli u stołu Xżę Imć Cardynał, JPan Kanclerz, Mrs. Ficten, Mordax i de Brosse. Królewic Imć jadł na mieście, zaproszony do Graffa Guttensteina. Po objedzie przyjechał Królewic Imć, którego tamże w pokoju królewskim przywitałem. Przed wieczorem jechaliśmy z Królem Jmcią do ogrodu Graffa, owego sławnego w historyach, Wallszteina, z którego jechał Król Imć na *assamblée* to jest Zgromadzenie do Graffa Guttensteina, gdzie ludzie najznaczniejsi byli. Graff Kinski, Stary Kanclerz Wielki Królestwa Czeskiego, et manus gerens Burgrabiego (lubo bez tego tytułu), albo Viceregis, quondam pierwszy minister Leopolda Cesarza i z żoną swoją. Graff Martinicz z żoną, co był posłem Cesarskim w Rzymie, a potym był Vicerex w Neapolu, kiedy to królestwo vindicavit Dom Austryacki z rąk francuskich. Graff Coloredo z żoną, jeden ex Regentibus albo Consiliariis. Graff Przeorzewski, który recenter pojął Graffównę de Palffi od Dworu Cesarzowej Jejmości Magdaleny, matki Cesarza ś. p. Józefa i Króla Carola hiszpańskiego. Graff

Szternberg ex nobilissima Familia et antiquissima w Czechach. Graff Guttensztein, gospodarz z żoną i innych wiele Dam i Kawalerów, co się na ten czas do Pragi pozjeżdzali.

Kompanja trwała aż do jedenastej w nocy. Tamże Król Jmć opowiedział mi, że nazajutrz miał mi zdać Królewica i dwór jego cały, abym go sequa do Frankfortu ad Maenum na akt elekcyi Cesarza przypadający pro die 20. Augusti i oraz opowiedział intencyę swoją, że mi chce tamże przysłać charakter publiczny posła od Rzeczypospolitej i instrukcye in ordine do tejże przyszłej elekciej. Odpowiedziałem, że służyć JKMci i ojczyźnie powinienem, jeżeli tylko skarb koronny suppeditabit media adaequasta et realia, bez czego trudności publicznej funkcyi podejmować, co sobie per expresso wymówiłem: co Król Jmć approbowal, ale oraz deklarował pisać urgenter do Pana Podskarbiego Koronnego, aby obmyślił sposoby.

7. Julij. Byłem rano u Xcia Jmci Cardynała, u Monseignora Albaniego i u pana Kanclerza Koronnego, który mi wolą Króla Jmci tak w usłudze Królewica jako i w przesłaniu charakteru do Frankfortu potwierdził. Xże zaś Kardynał i Monseigneur Albani institerunt, abym curam Królewica Jmci non cunctanter przyjął i z nim jechał na miejsce zamierzone. Toż JW. Pan Graff Fleming, u którego także byłem, i wiele racyi w tej materiey allegował. O dziesiątej z rana, gdym był przed pokojem Króla JMci, nadjachał Xże Cardynał, który zabawiwszy się trochę z Królem JMcią, zawołał mię do pokoju; tam zaraz Król Jmć wczorajszą propozycyę Swoją ponowił, wyrażając obszerniej jak wielką mieć darzy konfidencyą do niezasłużonej osoby mojej, kiedy skarb swój największy, syna swego Królewica Jmci do rąk moich powierza, spuszczając się na wierność i życzliwość moją. Nie godziło się tylko upaść do nóg Panu, dziękując ze wstydem za tę niezasłużoną poufałość i spuścić się na wolę i dispozycię Pańską. Zatym opowiedział mi Król Jmć bardzo łaskawie i diskretnie, że lubo spuszcza się zupełnie na życzliwość i sumienie moje, jednakże zwyczaj ten jest, że kto urząd albo szarżę jaką u dworu przyjmuje, każdy przysięgę partykularną wykonać powinien, a zatym pewnie wątpił, że i ja od zwyczaju tego umykać się nie zechcę, pewnym będąc, że intencya moja z przysięgą we wszystkiem zgadza się. W czym, gdy upewniłem o szczerej intenciej mojej, i za tak łaskawą opinję podziękowałem Królowi Jmci, po przeczytaniu rothy, którą Sekretarz Króla Jmci głośno czytał i do rąk moich dał Król Jmć do przeczytania, dwa palce do góry podniósłszy,

stojąc wykonałem przysięgę i kopję onej do siebie odebrałem. Po przysiędze, wykonanej w przytomności Xcia Cardynała, JP. Graffa Fleminga i Sekretarza Królewskiego in qualitate du Grand Maitre Królewica Jmci. Zawołano Mr. Miltica. Gubernatora Królewica a teraz Marszałka Dworu jego i w rekompensy że zostawał dziesięć lat ustawicznie przy Królewicu Jmci, uczynił go Król Jmć Geheimrathem, to jest Intima Consiliarium przy sobie i przysięgę in ordine do tej nowej szarży wykonał. A że tenże Mrs. Miltic jedzie przy Królu Jmci in qualitate Marszałka Dworu, zalecił mu Król Jmć, aby mnie respekt należyty świadczył. A ja, żebym do niego miał wzajemną konfidencyą. Tandem zawołać kazał Król Jmć Królewica Jmci i prezentował mnie onemu, zalecając, aby za zdaniem i manudukcyą moją szedł, tak, jakoby za wolą samego Króla Jmci. Nad czym Jmć Pan Graff Fleming uczynił przemowę najpierwej do Królewica Jmci, potym do mnie, naostatku do JMci Pana Miltica, wywodząc łaskę i poufałość Króla Jmci i zalecając wszystkim jedno zrozumienie i konfidencyą. Prosiłem tedy o instrukcyę Króla Jmci i informacye, w czym i jako przysługę moją mam świadczyć Królowi i Królewicowi Jmci. Co Król Jmć obiecał przed wyjazdem swoim dać do rąk moich i ustnie o wszystkiem informować, a Xżęcia Imci Cardynała prosił, aby mi praezentował i zdał Dwór nowo w Wiedniu przyjęty katolicki dla Królewica Jmci, i zaraz nie bawiąc jechałem z Xciem Jmcią Cardynałem do jego stanciej, gdzie już dwór cały ubrany w nowe liberje, gotowy czekał. Którzy gdy weszli do pokoju Xcia J. Cardynała, opowiedział im wolę Króla Jmci, iż mnie za Oberhoffmeistra albo Grand Maitra constituit, i rozkazał, aby mi wszyscy posłuszni byli i submissię uczynili. Więc wszyscy według porządku albo rangi swojej szli do mnie kolejno, i przy ukłonie rękę mi dawali, jako to Doktor, Kuchmistrz, Paź, Cerulik, Valedechambrów dwóch, Perukarz, Tafeldekier, Mundtscheneck, Myśliwy i czterech lokajów; ale począwszy od cerulika aż do ostatniego, wszyscy przy ukłonie rękę moją całowali na znak posłuszeństwa. A Xiążę Jmć Cardynał każdego z osobna imię i urząd, czym który ma być, mnie opowiadał i ich prezentował. Za którą fatygę, gdym podziękował Xciu Imci Kardynałowi, jachałem z nimże do Królewica Jmci i ludzie ci wszyscy szli za nami, których potym ja kolejno tymże porządkiem prezentowałem Królewicowi Jmci, y Doktór, Kuchmistrz, Paź, całowali rękę Królewicowi Jmci, a inni od Cerulika począwszy, tylko kraj sukni całowali. Zatym kazałem im odejść do gospody, i liberje nowe pozdejmować, a sam wzią-

łem possessyą urzędu mego przy Królewicu i assystowałem mu wszędzie, i jachałem z Królewicem Jmcią obok po lewej ręce, a Mr. Miltic na przodzie w karecie, na objad do Graffa Coloredo, gdzie jeszcześmy zastali Króla Jmci. Ku wieczorowi jechaliśmy na assemble do Graffa Przeorzowskiego, gdzie była kolacya pózno w nocy i kompanja trwała aż do czwartej z północy. Jam zaś zaraz po kolaciej odprowadził Królewica do stanciej.

8 Julij. Byłem rano o godzinie siódmej u Króla Jmci, instrukcyę partykularną z rąk Pańskich odebrałem, i w czym miałem wątpliwość, wszystko mi ustnie Król Jmć rezolwował i oraz z łaski swej deklarował Biskupstwo Chełmińskie dla Jm. Xiędza Biskupa Chełmińskiego, Wuja mego, post ascensum destinatum Jm. Xiędza Biskupa Chełmińskiego Potockiego na Biskupstwo Warmińskie, i w dalszych okazyach respekt swój Król Jmć świadczyć deklarował. Za którą łaskę Pańską solennie podziękowawszy, supplikowałem Królowi Imci, ponieważ z woli i disspoziciej jego jechać mi przychodzi z Królewicem Jmcią w drogę naznaczoną, nie mając tyle czasu, abym dla dispoziciej interessów domowych dopadł do Ojczyzny i że odległym będąc, nie mogę czynić tego starania około konserwaciej dóbr tak Matki Dobrodziejki mojej, jako i moich własnych, jak w przytomności supplikowałem mówię, aby Król Jmć i Matkę osierociałą, którą dla przysługi Pańskiej natenczas opuszczać muszę i dobra wszystkie w łasce i protekciej swojej mieć raczył. Co barzo mile Król Jmć przyjął i respekt swój deklarował. Naostatek pytałem się, jeżeli Królewic Jmć ma być u Xcia Jmci Cardynała, który dniem przed tym był u Królewica Jmci przy prezentowaniu Dworu nowego. Co Król Jmć approbował. Więc jechałem zaraz z Królewicem Jmcią do Xcia Jmci Cardynała i nie opowiadając zbiegliśmy go, tak jako Xże Cardynał uczynił, będąc u Królewica. *NB.* A to barziej dla raciej politycznej uchodząc ceremoniału, bo Kardynali praetendunt miejsce i rękę przed wszystkiemi (exceptis solis coronatis capitibus) i tymże sposobem Królewic Jmć odszedł od Xcia Jm. Kardynała bez odprowadzenia, dla czego ja drzwi przytrzymałem, aż się Królewic Jm. i sam go potym na schodach nagoniłem. Ztamtąd jechaliśmy prosto do Graffa Martinitza na objad, gdzie już był Król Jmć. Więc że i Xże Cardynał tamże był zaproszony, uchodząc ceremoniału w miejscach u stołu, brali wszyscy kartki, począwszy od Króla Jmci Damy i Kawalerowie, gdzie komu casu miejsce przypadło, tam każdy siedział. Po obiedzie pograwszy

w karty przez godzinę, wyjechał Król Jmć z Pragi do Drezna pocztą, mnie rozkazawszy, abym z Dworem Królewica Jmci jechał do Plauen, miasta na samej granicy Saskiej, dokąd Królewic miał przyjechać pożegnawszy się tylko z Królową Jejmością Matką et avec Madame Rojale, Babką swoją. Wsiadł do karety z Królem Jmcią Królewic Jmć i JPan Kanclerz Koronny i lubo mi dał Król Jmć opcig, abym jechał z Królewicem Jm. i do Drezna, alem miał swoje reflexie, żem wolał jechać z Dworem prosto do Plauen, niemniej dla tego, abym miał czas expedyować listy do Polski względem domowych dispozycyi, ponieważ sam przytomnie uczynić temu dosyć nie mogłem. Co Król Jmć approbował. Tegoż dnia przed wieczorem Xże Jmć Cardynał zgodził furmanów do mojej karetki, i trzy insze kosze, to jest karety, jakich zawdy kuczerowie zażywają, najał, coby dwór i z rzeczami zabrali. W dwu siedziało po sześć osób, a w trzeciej trzy osoby i moje rzeczy, co się na karetkę zabrać nie mogły. Koni wszystkich było 14, od każdego konia talerów 8, uczyniło talerów 112 aż do Plauen z Pragi mil 22, to jest do Carlsbaden mil 14, a z Carlsbaden do Plauen mil 8.

9. Julij Zjadszy obiad u Xcia J. Kardynała, którego solennissime częstował Generał w tymże klasztorze rezydujący totius ordinis Krzyżaków albo Hospitalium, co krzyże czerwone i z gwiazdą czerwoną na sukniach noszą, de caetero jako świeccy xięża chodzą. Pożegnawszy się z Xciem Jm. Cardynałem, Xże wyjechał tegoż dnia pocztą nazad do Wiednia, a ja furmanami najętemi i już popłaconemi do Plauen. Dworskich było osób 14, a moich ludzi czterech, ja piąty, to jest Sekretarz Niemiecki Mr. Cogler, którego w Wiedniu na wyjezdnem przyjąłem, P. Dudowicz, Ruski i Hans Valedechambre.

II.

Wyjazd do Karlsbadu. — Pobyt w Plauen. — Przybycie Królewicza. — Instrukcya królewska. — Wizyty.

11. Julij. Stanąłem przed wieczorem w Carlsbaden, gdzie są wody sławne do picia i kąpania mineralne. Miasteczko porządne, łaźnie są do kąpania w kilkudziesiąt domach, przez miasto idzie srzodkiem rzeczka wody zimnej czystej, gruntem kamienistym,

a przy samej rzeczce jest zrzódło wody gorącej mineralnej dosyć dużym kanałem w górę wybijającej i od tego źródła małemi rynnami do różnych domów tę wodę ciepłą prowadzą do łazien. W źródle tąk jest woda gorąca, że w niej kury i prosięta jak w ukropie parzą, i przy mnie parzono. Im się barziej od źródła oddala. tym jest ta woda chłodniejsza. Kolor ma czerwonawy. pełna jest saletry i trochę siarki w sobie mająca. Srodze jest pomocna na wszystkie wnętrzne defekta, obstrukcye, urazy, kontrakcye, na krwi przeczyszczenie, piją ją ciepło, jako kto wytrzymać może. A kąpią się w barzo letniej i wystudzonej, tak długo tego zażywają jako Doktorowie komu praescribunt. W suchotach samych i puchlinie szkodzi. Królowie i inni ludzie znaczni z wielu miejsc odległych dla ratowania zdrowia tam przyjeżdżają. Zastałem tam Xiążęcia regnantem Saskiego de Weissenfeldt, ale że był *incognito*. nie widziałem się z nim. Kawalerów kilku od Dworu Króla Jmci z Drezna tam na kurze będących widziałem, jako to Mr. Saisertiz Capitaine de Drabans i Brata jego, Mr. Seiwestir et Mr. Haubiz Chambellans du Roy. Sam kąpałem się tegoż wieczora i nazajutrz rano. Situacya miasta między wielkiemi górami ze wszystkich stron.

12. Julij. Zjadszy, wyjechałem z Carlsbaden.

13. Julij. Stanąłem w Plauen o godzinie jedenastej w nocy i do Zamku prosto wjachałem. To miasto (jakom już nadmienił) jest na samej granicy Saskiej, należy do Xiążęcia de Sax Zeitz ad Regnante, a pro residentia et pour l'appanage Xciu Jmci Kardynałowi à Principe Regnante to jest od Brata naznaczone, ex quo Xże Kardynał corocznie od Brata bierze dziesięć tysięcy talerów. Pałac staroświecki w Zamku pogorzał, tylko część jedna została, którą na stancyę dla Królewica Jmci z dispoziciey Xcia Cardynała obrałem i sam tamże stanąłem, a Dwór wszystek w mieście stanął.

16. Julij. Przyjechał z komplementem od Xcia Jmci de Sax Zeitz à Regnante, Mr. Harstall, intimus onego Consiliarius, winszując szczęśliwego przyjazdu i informując się o czasie przybycia samego Królewica Jmci oraz z ordynansu Pana swego dodawać wszystkiego kazał na moją kuchnię i dla Dworu całego i sam ze mną zawsze jadał.

18. Julij. Dwóch Kawalerów od tegoż Xiążęcia Sax Zeitza przybyło, dla pomocy do Mr. Harstall i dla przyjęcia Królewica Jmci. Jeden Mr. Meissbach Grand Veneur Xiążęcia, a drugi Mr.

Saumbourg Gentilhomme du Roy. Tegoż dnia przybyła część dworu Królewica Jmci z Drezna prosto w siedmiu szerach, jako to Doktor Mr. Alphonse Cammerier du Roy i inni mniejsi ludzie. Stanęli i ci na mieście.

20. Julij. Przybiegł Staffeta albo umyślny z Lipska z listem do mnie de Mr. Miltiz dając znać, że Królewic Jmć 19. z Lipska miał wyjachać dirigendo gressus tu prosto do Plauen. Którego Staffeta z responsem nie bawiąc, expedyowałem. A tymczasem expedycye wszystkie tak ad Ministros Status jako i do domowej dispoziciej służące na pocztę ordynowałem do Polski Tegoż dnia przyjechał Królewic Jmć do Plauen między godziną siódmą i ósmą wieczór. Panowie Comissarze Xcia JM. Sax Zeitza wyjeżdżali przeciwko niemu o pół milę, cechy z miasta uszykowane stały przed bramą Zamkową.

21. Julij. Jm. Pan Miltiz, Marszałek Dworu Królewica Jmci oddał mi rano Instrukcye generalną od Króla Jmci i ordynans, aby ludzi zbytecznych z Wiednia przez Xcia Jm. Cardynała wziętych kilku odprawić, to jest Kuchmistrza, dwóch kucharzów, Mundtszenka, Strzelca i lokaja jednego, zapłaciwszy im pro mense Julis i dawszy każdemu na drogę co potrzeba do powrotu do Wiednia, ponieważ insi ludzie na miejsce tych przyjechali z Królewicem Jmcią z Drezna. Tegoż dnia oddał mi JPan Miltic regestr ludzi wszystkich, to jest całego Dworu i gaże ich, et le reng. Uczyniliśmy zaraz dispozycyę do drogi dalszej na Bareit, Erlang. Nüremberg, Heillbrun do Frankfortu; i szere wszystkie, jakim mają iść porządkiem i kto kędy miał mieć miejsce rozporządziliśmy, aby już ten porządek w całej drodze dalszej był obserwowany. Tegoż dnia wszystkich ludzi dworskich, co z Drezna z Królewicem Jmcią przyjechali, widziałem.

22. Julij. Wyprawiony rano Mr. Alphonse Cammerier du Roy przodem do Bareith i do Erlang, dając znać tym dwom Dworom, że Królewic Jmć *incognito* pod imieniem Graffa de Lausnic, to jest Comitis Lusatiae jedzie, prosząc o przyjęcie pod tym imieniem dla ujścia wszystkich ceremoniałów, oraz z regestrem ludzi wszystkich dla quaterów i koni dla przeprzągania. Ludzi w samej służbie Królewica Jmci 27, koni do szerów dziesięciu i wozów dwóch dla bagażu 64. Oraz in iunctu Panu Alphonsowi w instrukciej, aby z Erlang powracał nazad do Bareith i tam nas znajdował. O tyleż koni mówiło się â Mr. Harstall, aby nas z Plauen do Hoff, już w granicy Margrapha Bareitha odwieźli.

Tegoż dnia odprawiłem ludzi według ordynansu królewskiego wyżej specyfikowanych, dawszy im kartę do kassyera, aby każdemu z nich według specyfikaciej zapłacił gaże pro mense Julis, i na drogę na powrót do Wiednia zosobna każdemu po czterdzieści ryńskich, a kuchmistrzowi samemu 60. *NB.* Tylko kucharza jednego przy sobie zatrzymałem. Tegoż dnia po objedzie jechałem konno z Królewicem Jmcią do Neidorffu, pół mili od Plauen do JP. Rebolta, Marszałka Dworu Króla Jmci, który się w tej bliskości znajdował. Tam niedługo bawiąc się, polował Królewic Jmc, w lot strzelając ptastwo aż do wieczora. Wieczorem powróciwszy do Plauen, pisałem do Króla Jmci relacyę, czyniąc o przyjeździe Królewica Jmci w dobrym zdrowiu i o dispozycyach uczynionych do dalszej drogi. Pisałem także do Xcia Jmci Kardynała przez ludzi odprawionych i powracających do Wiednia. Tegoż dnia wziąłem dalsza possessyę urzędu mego i łóżko moje wnieść kazałem do pokoju Królewica Jmci i w jednym że pokoju z nim sypiać począłem, podług woli i instrukciej Króla Jmci na miejscu JPana Miltica.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BIRŻE LITEWSKIE.[1]

Birże Litewskie, przesiąkłe wspomnieniami dziejowemi, Birże, gdzie w sporach religijnych i zawartym przeciw Karolowi XII. sojuszu, przyszłe osłabienie Rzpltej polskiej i najsmutniejsze następstwa dostrzegają jednozgodnie historycy nasi, — leżą na pograniczu Żmujdzi i Kurlandyi, u zbiegu rzek Agłony i Oposzczy, nad stawem utworzonym z rzek zatrzymanych i jeziora Szyrweny.

Od pierwszej unii w r. 1413 i podziału wielkiego księstwa litewskiego na województwa, było to województwo trockie, powiat upicki, następnie (od roku 1796) gubernia litewsko-wileńska, powiat również upicki z miastem Poniewieżem, obecnie zaś: gubernia kowieńska, powiat poniewieski.

---

[1]) Nazwę Birże napotykamy nie tylko na Litwie, ale co chwila na Łotwie, mianowicie w Kurlandyi tudzież w Inflantach polskich. Nazwa pochodzi od brzeziny (po litewsku beržynia, po łotewsku zaś bierzinie lub berze). Ilekroć w wiekach średnich wycinano tu las brzozowy na budowę osady, ta ostatnia najczęściej od brzozy przyjmowała nazwę, jak np.: Bierży, Bersgall, Beržany, Bersmujża, Birże, Birżagol, Berzygał, Birżule, Birżany, Birżyniany i t. p. Czasem cały szereg, cała grupa dóbr nosi nazwę Birże. Tak np. w Inflantach polskich w powiecie lucyńskim, aż 10 majątków i folwarków (do najrozmaitszych właścicieli należących) składa parafię Birżańską czyli tak zwane Birże inflanckie, a na Litwie nietylko miasteczko Birże, ale wszystkie majątki i zaścianki, tworzące dzisiejszą ordynacyę birżańską, noszą zbiorowe miano Birż Litewskich.

W Birżach litewskich na każdym kroku spotykamy wspomnienie dziejowe. Wiele scen niezrównanej historycznej powieści Sienkiewicza „Potop", odbywa się w dawnem księstwie Birżańskiem, a mianowicie w Kiejdanach, Birżach i t. d. Ale — jak słusznie już zauważono na innem miejscu — mistrz powieści polskiej nie zamierzał wyczerpywać wszystkich tamtejszych zabytków; czekają one na miłośników przeszłości, same niemal się napraszając, żeby je z pyłu zapomnienia, gwoli pożytkowi ogólnemu, wydobyć. Zapewne i na nie przyjdzie czas.

Dawna wielkość i dawne obszary księstwa Birżańskiego zupełnie były inne, aniżeli dzisiejsza ordynacya birżańska, założona zaledwie w roku 1862 i licząca nie więcej jak 73.215 dziesięcin ziemi uprawnej i lasów, a łąk i pastwisk oraz nieużytków dziesięcin 27.875. Mapa geograficzna, przechowana po dzień dzisiejszy w bibliotece ordynackiej birżańskiej w Ostrowiu, a nosząca napis: *„Carte géographique du Duché de Birże, biens héréditaires de LL. AA. les princes de Radziwiłł, situés dans le district d'Upita, ceux de Wilkomierz, Kowno et dans le Duché de Samogitie, faite l'an 1786 au mois de Juin"*, wykazuje jasno, że dzisiejsze dobra Birże, Popiel, Sołomieść, Poniemuń, Soły, Wiżuny, Owanta, Kiejdany, Nowe miasto, Pompiany, Sałaty, Turszłonie, Zubrzyszki, Cytowiany i Romaniszki (do najrozmaitszych właścicieli ziemskich obecnie należące), składały jeszcze za czasów awanturniczego księcia „panie kochanku", jedną nierozdzielną całość.

I.

Ciekawie przedstawia się pod względem geologicznym cała natura i iście niezwykły charakter gruntu w Birżach litewskich. Napotykamy tam zjawiska, mogące głęboko zainteresować uczonych naszych. Cenne postrzeżenia o kraju birżańskim skreślił w połowie ubiegłego stulecia dr. Ludkiewicz, w artykule „O zamkach", (ogłoszonym w mało obecnie już znanej „Tece Wileńskiej"), a z niego to właśnie całe ustępy podają: Eustachy Tyszkiewicz w monografii „Birże, rzut oka na przeszłość miasta, zamku i ordynacyi" (Petersburg 1869 r., stronic 168 w 8-ce, z dodaniem licznych drzeworytów w tekście) i Gustaw Manteuffel w artykule „Birże litewskie", ogłoszonym

w tomie I. wydanego w Warszawie „Słownika geograficznego“ (Warszawa. 1880 r. str. 233—237).

Z treściwym opisem owych zjawisk niezwyczajnych, już zaraz na wstępie niech nam będzie wolno zaznajomić czytelników waszego poważnego czasopisma.

Powierzchnia ziemi tu płaska. Składa się ona z pokładów próchnicy z gliną i żwirem. już to samej gliny wyciskowej, pod którymi idzie wapno skaliste. Pod niem pokład gipsu — (od wspomnianych powyżej rzek[1]) na południe i wschód), — mieć musi prawdopodobnie jakieś wielkie próżnie pod sobą, których sklepieniem są niewątpliwie owe wielkie warstwy gipsu, pokryte warstwą skalistą wapna, utrzymujące tu na swoim grzbiecie liczne osady, wioski, lasy i pola.

Płaszczyzna, mająca pod sobą ten dziwny kaprys przyrody, rozciąga się wzdłuż na trzy i pół mile, w szerokości zaś na milę i więcej, w niektórych miejscach ciągnąc się wązkiem pasmem z małemi przerwami. Granicę tej podziemnej próżni. zakreślają rzeki. I tak. od miasteczka Birż na północny-zachód: wieś Ropejki, rzeka Oposzcza oraz pola wsi Druseiek i Kolny folwark; na zachód: młyn Smordoński. stamtąd rzeką Smordoną, Totołą, z małemi przerwami aż do młyna Roubańskiego na rzece Totoli; na wschód i południe: wieś birżańska Kłausunie oraz wsie Daużogiry i Gulbin.

Przestrzeń ta znaczna dzieli się na dwa rodzaje próżni: jedne, mające pod sobą dno suche. drugie, pod któremi utrzymuje się woda głębokodenna.

Do pierwszego rodzaju należy część kraju południowo-wschodnią od Muntegaliszek do Daużogir; do drugiego zaś, północna strona tychże Muntegaliszek po za Ropejki. Kirkiły, Smordonę i dno rzeki Totoły aż do jej ujścia: ta część przerwy daje się ostatecznie dostrzegać nad brzegami rzeki Ławeny, w miasteczku Poswolu. gdzie są łazienki wody siarczanej.

Zapadliny podobne na przestrzeni wyżej opisanej, przybywają bardzo często: nieraz tworzy się ich kilka od razu a sformowanie się każdej z nich zwiastuje pękanie i łamanie się sklepień pod ziemią. Ten straszliwy kaprys natury objawia się stukiem. szumem, hukiem, łoskotem podziemnym. przez urywanie się jak gdyby kamieni upadających do wody i już na godzin 24 przed

[1]) Agłony i Oposzczy, które to rzeki nazwaliśmy już we wstępie.

ostatecznem zapadnięciem się ostrzega mieszkańców o spełnić się mającem nieszczęściu. Ów niezwykły łoskot daje więc najczęściej czas do ucieczki, poczem z wielkim hukiem wszystko w ziemię zapada lub w wodzie tonie, albo też gdzieś pod ziemią ginie zostawiając po sobie krater formy stożkowej, już to suchy na dnie, już to mający oko przezroczystej wody, często niczem nie zgłębionej.

Zapadliny te nader ciekawe a powtarzające się od wielu stuleci w ziemiach Birż litewskich, dotąd przez żadnego fachowego geologa badanemi nie były, lubo nie mały interes przedstawiają dla nauki. Po dzień dzisiejszy oceniała je i podziwiała ich piękność majestatyczną jedynie ciekawość niespecyalistów. Niektóre z owych zapadlin, przechodząc przez większe igrzyska przyrody i przez mocniejsze wstrząśnięcia, wspanialszą formę z ułamków brył przekładanych przybrały i mają swą osobną historyę, przechowaną wiernie w podaniach ludowych.[1]) Tak np. nazwę „Pożemis", poziomka, nosi zapadlina, do której dna wpada strumyk tejże nazwy, początek biorący z błot birżańskich za wsią Kłausiunami. Nie można podziwiać tego pięknego widoku „wpadania wód pod ziemię", inaczej jak wiosną lub w czasie wielkiej ulewy, kiedy strumyk wzbierze. Wtenczas masa znaczna wody, napełniwszy sporą część zapadliny, z niezwykłym szumem i wirowym nurtem wpada po pod skały! Od tego to nurtu podziemnego cała część kraiku w obszarze wiorsty kwadratowej nosi nazwę „Poziomki".

Za nią, na południe i zachód, rozciąga się rozpadlina w rodzaju pieczary podziemnej. Składa się cała z połamanych brył gipsu. Te, powalone jedne na drugie, tworzą nieforemne sklepienia jedynej w swoim rodzaju pieczary, noszącej u ludu nazwę *Szwentoje*, t. j. „Święta Dziura".

Około drogi, prowadzącej z Muntegaliszek do Birż, są nadzwyczaj daleko ciągnące się podziemne jaskinie, których sklepie-

---

[1]) Opisują te podania szczegółowo: dr. Ludkiewicz w artykule „o zamkach", ogłoszonym w „Tece Wileńskiej", Eustachy Tyszkiewicz w monografii „Birże, rzut oka na przeszłość miasta, zamku i ordynacyi", (Petersburg 1869, stron 168 w 8-ce) z dodaniem kilkudziesięciu drzeworytów w tekście, i Gustaw Manteuffel w przytoczonym już powyżej artykule, wydawanego przez Filipa Sulimierskiego w Warszawie „Słownika geograficznego ziem polskich" Tom I. (Warszawa 1880 r.) str. 233—235.

nia utrzymują się jakby na architektonicznych arkadach i tworzą kurytarz, po którego obu stronach widać oddzielne jaskinie.

Nie dawniej jak przed 45 laty wspomniany powyżej medyk, dr. Ludkiewicz, wchodził do tej pieczary, poszukując w niej pokładów soli, o których lud coś przebąkiwał.

Na pół mili od t. zw. „Świętej Dziury“ znajduje się na polach wsi Daumian jaskinia dotychczas nie badana i bez żadnej nazwy.

Nad strumykiem Upitką, po za wsią Kirdany, przy ujściu jego do rzeki Totoły, napotykamy cały szereg zapadlin suchych, z których się wydobywa obecnie najpiękniejszy gips biały, krystalizacyi iglastej.

Drugie pasmo zapadlin wodą zalanych, ciągnące się od Muntegaliszek do wsi Kirkił przez pola tejże wsi oraz folwarku Rupejek, całkiem inny od poprzednich przedstawia charakter. Tutaj, gdzie woda bezdenna wszystko pochłania, co w nią wpada, pozostają tylko duże głębokie kratery ze znacznem okiem wody na dnie, a do nich wspomnienia w tradycyi ludowej są także dochowane. Tak np. „Gaspadynia“, gospodyni, nazywa się zapadlina z kraterem, na którym, jak głosi podanie miejscowe, stać miała niegdyś obora. Podczas gdy w niej gospodyni krowy doiła, pękły sklepienia podziemne, a obora, krowy i gospodyni poszły równocześnie na dno wód podziemnych; stąd właśnie to miejsce, przez lud birżański „gospodynią“ nazwane, tę nazwę aż dotąd zachowało. W kraterze Gospodyni często widzieć się dają pływające ryby, a niekiedy dostrzegają tu okoliczni mieszkańcy mocny ruch wirowy wody, z czego oczywiście wnosić wypada, iż woda tej głębokiej zapadliny łączy się z innemi, prawdopodobnie daleko większemi wodami.

Inna zapadlina, równie obszerna i głęboka, nosi nazwę „karety“, od tego, iż jakoby jacyś podróżni jadący karetą, wpadli w nią na zawsze. Jeszcze inna zowie się „Zamkową“ (po litewsku Zamkinia), od tego, że jadący z zamkami na targ do Birż pewien ślusarz, tu ugrzązł na wieki.

We wsi Kirkiły, osadzie niegdyś przez szlachtę nazwiska „Kirkiłło“ wyłącznie zamieszkiwanej, napotykamy od strony południa mnóstwo sadzawek i zapadlin, z których ku stronie północno-zachodniej wypływa potok, tworzący za wsią jeziorko niezwykle głębokie. Wybrzeża jego niepomiernie wysokie i naprzód pochylone, zdają się zawieszonemi nad wodami jeziora. Co lat kilka wytwarzają się w Kirkiłach nowe zapadliny, a tak głębokie,

że lud je bezdennemi zwykł nazywać. Było tu wydarzenie, że całkiem nagle sień w domowstwie zapadła. W innej części wsi rozwarła się zapadlina o dwa sążnie od chaty i dziś jest niemal bezdenną. W tejże okolicy, na miejscu wyniosłem, zapadła ziemia z grochem na niej usianym i wytworzyła głęboki krater, który swą barwą czarną świadczył o głębokościach wód, znajdujących się pod nim. Wspomniany medyk Ludkiewicz zauważył, iż w podobnych zapadlinach, gdy z największym łoskotem zapada się ziemia, woda wytryska nad jej powierzchnię, a opadając po kilku dniach, zniża się powoli do dwóch sążni, i tak w wielu miejscach na zawsze pozostaje. Inne, których wody bardziej się zniżają, po pewnym przeciągu czasu zapadają ponownie.

Na zachód i południe Birż, gdzie się pasmo zapadlin kończy, wytryska z pod ziemi źródło Smordony, od swego nieprzyjemnego zapachu litewską nazwę „smirdi“ biorące. Jest to sadzawka owalna, mająca w głąb dwa sążnie, w średnicy sążni sześć, na dnie której corocznie nowe się wytwarzają kratery, wybuchające wodą i również corok zaklęsające.

Oprócz wody, przez te kratery wybuchnie niekiedy i pień drzewa olchowego, po części z korą, a tak zaokrąglony i otoczony, iż zdaje się, że go ręka biegłego tokarza w ten kształt obrobiła. Czasem wybucha z nich kępa trawy pokręconej w foremne zwoje, lecz skąd się to wszystko bierze i przez jakie pod ziemią wirowe operacye podobne kształty przybiera, tego niestety żaden uczony przyrodnik nie dochodził aż po dzień dzisiejszy. A byłoby to wdzięczne pole do studyów dla słynnego d-ra Antoniego Rehmana, profesora wszechnicy lwowskiej, który tylu znakomitemi pracami naukowemi wciąż wzbogaca krajoznawstwo nasze.

Takie ciekawe kłoce drzewa, przez proces podziemnych wirów na całkiem okrągłe otoczone, widział Eustachy Tyszkiewicz w drugiej połowie ubiegłego stulecia u obywatela Hanusewicza, zamieszkującego folwark Dawiuny.[1])

Pan Ludkiewicz w postrzeżeniach swoich nad wodą Smordońska dokonywanych, zaznacza wyraźnie jej wyczerpywanie się w pokładach nasycających wodę i uważa, „że szczeliny podziemne utworzyły się przez inne pokłady, a woda przez nie przeciekająca, zmienić musiała swój pierwotny kierunek, gdyż woda siarczana

---

[1]) Obacz: E. Tyszkiewicz „Birże“ (Petersburg 1869) na str. 161.

w Smordoni już nie miewa tak wielkiej mocy, jaką się przed kilkunastu laty odznaczała, gdy tymczasem nowe kratery, otwierające się w pobliżu folwarku Lukjen, wydają wodę siarczaną nierównie mocniejszą od Smordońskiej."

Ze źródła Smordony wypływa rzeczka tegoż nazwiska, na której stoi młyn, z powodu dostatku wody wiecznie mielący. Tutaj już Smordona łączy się z wyżej wspomnianą rzeką Totołą, na której brzegach znajdują się zapadliny głębokodenne; „widać nawet, że one ciągną się pod korytem tej rzeki", — powiada dr. Ludkiewicz.

Nad brzegami rzeki Ławeny znajdywano w końcu ubiegłego stulecia piryt żelazny w kryształach, lubo w zbyt małej ilości, a zaś w jeziorach birżańskich bywają i dotąd zbierane orzechy wodne *Trapa natans* (wielka w tych stronach osobliwość) oraz konchy *Planorbis-Corneus*, *Lymnea stagnalis* i inne, jakie się zwykle w wodach słodkich znajdują.[1])

Wody mineralne siarczane w Porawicy, takie jak i w Smordoniach, znane są i używane okolicznie jako skuteczny środek lekarski. Znalazły one już przy końcu XVIII. stulecia uczonego badacza, który je szczegółowo analizował i opisał. Rzadka ta broszura, w języku polskim skreślona, zawiera stron 28 w 12-ce, bez oznaczenia miejsca druku i nosi tytuł: „O wodach birżańskich" przez Pawła Bouffała Hoppena. M. L. r. 1791.

Autor wspomina o „Świętej Dziurze", (której wejście dziś przez usunięcie skały całkowicie zamkniętem zostało) jako o miejscu w przeszłości litewskiej mityczne znaczenie mającem i sięgającem czasów przedchrześciańskich. Bądź co bądź broszura Hoppena zaszczytnie świadczy o tem, że i w owej epoce zajmowano się u nas naukami ścisłemi.

II.

Kwestya ludności byłaby najbliższą po topografii. Lud zamieszkujący Birże litewskie w całym ich obszarze dawniejszym, jest jednoplemienny, mówi czysto litewskim językiem i w formie swej pierwiastkowej przechował się aż do dni naszych. To też

---

[1]) Dokładną rycinę, przedstawiającą owe birżańskie „orzechy wodne" podaje E. Tyszkiewicz w monografii „Birże" na str. 153.

i po dzień dzisiejszy pozostało u tego ludu wiele uprzedzeń i dawnych pogańskich zwyczajów, które się z nim tak dalece zrosły, że wykorzenić onych dziś już niepodobna. Tak naprzykład uroczystość Kupały, obchodzona w wigilią św. Jana Chrzciciela (polska Sobótka), u Litwinów birżańskich aż po dzień dzisiejszy w ścisłem jest zachowaniu. Zwyczaje flisów i bartników tutejszych sięgają również odległej starożytności. Odosobnienie ich zatrudnień zdaje się być do tego powodem. Dotąd bowiem przy odbijaniu od brzegów łodzi towarowej, mniemany i tajemniczy bożek wód litewskich odbiera tu ofiary w monecie i jadle, rzucanych do rzeki przy krótkiej modlitewce, połączonej z pojęciami chrześciańskiemi.

W lasach i na polach birżańskich znajduje się wiele uroczysk: są tu ślady dawnych horodyszcz, zwanych pilekalnie, t. j. warowna góra; nad brzegiem Oposzczy spotykamy górę, noszącą nazwę Dyablej góry (Wijalnia kałuas); istnieje nawet Dyabla mogiła (Wijalnia kapej) i mnóstwo kurhanów i mogilników okładanych kamieniami, a w nich znajdują tu często ozdoby srebrne (spinki, pierścienie), skręty bronzowe i narzędzia żelazne. W zbiorze archeologicznym przy birżańskiej bibliotece, przeniesionej obecnie do pałacu ordynackiego w Wilnie, przechowują się odgrzebane w tychże kurhanach: topór i dzida żelazne, których ostrza umyślnie w ogniu pozakrzywiano przed złożeniem do grobu, na czułą i wymowną oznakę żałoby, że już zmarłemu, który ich używał, służyć nie mogą, a komu innemu nie chcą! Podobizny onych podaje E. Tyszkiewicz w monografii powyżej przytoczonej na stronicy 18-tej.

Język litewski, jak wiadomo, nawet za czasów udzielnych, nie był językiem urzędowym, i pomników piśmiennictwa litewskiego dotąd nie odkryto; zachował atoli tak starożytny charakter, że do poznania zasadniczych form indo-europejskich posiada znaczenie zaledwie ustępujące starszym chronologicznie językom — sanskryckiemu i baktryjskiemu.[1]) Żaden bodaj język w Europie nie stoi bliżej sanskrytu od mowy litewskiej — mówi słynny Grimm w swych powszechnie znanych badaniach lingwistycznych,[2]) a pierwszy co do znawstwa języków litewskich i sło-

[1]) Obacz Teodor Benfey: „Geschichte der Sprachwissenschaft" str. 478.

[2]) Jakob Grimm: „Geschichte der deutschen Sprache", str. 118, 119.

wiańskich lingwista Schleicher, który w czasie pisania swej gramatyki litewskiej, odbywał utrudzające podróże w głębi Litwy, powiada we wstępie do tej pomnikowej pracy: „radość, jaką odczułem, słysząc w żywej mowie wspaniałe formy języka litewskiego, dozwoliła mi znieść łatwo wszelkie trudy". [1]) Ta wspaniałość form leży głównie w bliskości mowy litewskiej z sanskrytem, greczyzną i łaciną. Najściślejsze wszakże zbliżenie posiada mowa Litwinów z mowami słowiańskiemi, gdyż w ciągu nowszych wieków mnóstwo wyrazów polskich i słowiańskich weszło do języka litewskiego; lecz te liczne nabytki wcale nie zmieniły wewnętrznej strożytnej istoty języka. Język ten nader obfity w wyrażenia dowodzi, że Litwini tutejsi od wieków mieli swoje instytucye, gospodarstwo, budownictwo, znali handel, rzemiosła, i świadczy zarazem wymownie o wygodnym bycie domowym mieszkańców. Po pięciu wiekach od pierwszej unii i przeszło stuletniem wcieleniu do Rossyi, wieśniak birżański w codziennem życiu używa tylko swego języka, który w dawnych wiekach musiał być starannie uprawiany, i nie do samej tylko codziennej rozmowy zastosowany. Są pewne ślady historyczne, że Witold chciał go uczynić piśmiennym i w użycie powszechne wprowadzić, ale usłuchał rady Krzyżaków, którzy go przekonać zdołali, „iż krok podobny pomówiłby księcia przed panami chrześciańskimi o przywiązanie i chęć powrotu do starolitewskiej przeszłości, a zatem i poganizmu", czego Witold unikał, by się nie narazić czuwającemu nad każdą jego czynnością papieżowi Marcinowi V. Język ten podniesiony później, jako narzędzie najskuteczniejsze do rozkrzewiania słowa Bożego, ocalał, i w XIX. stuleciu znalazł licznych uczonych pracowników, a w wieku XX. doczekał się osobnej katedry w wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie. Obecnie mnóstwo gramatyk, słowników oraz dzieł treści duchownej i naukowej po litewsku są drukowane. Wielką pod tym względem zasługę położyli uczeni krajowi i zagraniczni. Ci ostatni skupiają się przeważnie w Królewcu. Tu w kraju gorliwie się tą pracą zajmowali biskupi żmujdzcy: Giedrojć od roku 1816, a Wołączewski od połowy wieku XIX., oraz księża: H. Raczkowski, J. Lachowicz i inni, uczony biskup dyecezyalny sejneński, niegdyś sufragan kowieński, ks. A. Baranowski,

---

[1]) August Schleicher: „Litausche Grammatik" Vorwort. str. V.

dr. Jan Karłowicz, Juszkiewicz, Akielewicz i t. d., o czem Estreicher w Bibliografii pełny podaje obraz.[1])

Jedyną zabawą ludu birżańskiego są pieśni, śpiewane zarówno przy pracy, jak i w chwilach wytchnienia. Wiele z tych pieśni należy do prastarej puścizny: treścią ich są bohaterskie czyny Kiejstuta, Witolda i jakieś historye nieznane innych wodzów Litwy. Czasem wymieniają w nich bóstwa pogańskie, groźnego Perkuna i łagodną Mildę.

Liczne są u Litwinów birżańskich narzędzia muzyczne, na ich ziemi i przez nich utworzone. Wylicza je i szczegółowo opisuje E. Tyszkiewicz w monografii powyżej wzmiankowanej, podając rysunek kunklów.[2])

Z liczby instrumentów muzycznych, jakie w przypisku pobieżnie opisujemy, wnosić już można o wrodzonem upodobaniu ludu birżańskiego do muzyki. Te harmonijnie ułożone melodye, nie są ani tak wesołe jak polskie, ani tak smętne jak maloruskie, mają w sobie coś oryginalnego, niezrozumiałego i nieco dzikiego. O nich to powiedział wielki poeta:

Ja czasem lubię te posępne jęki
Niezrozumiałej litewskiej piosenki,
Jak lubię łoskot rozhukanej fali
Albo szmer cichy wiosennego deszczu.

---

[1]) Rozkaz rządu rossyjskiego, by księgi litewskie nie inaczej drukować, jak czcionkami rossyjskiemi, okazał się bezskutecznym, gdyż odtąd przedrukowują się one zagranicą czcionkami łacińskiemi i przemycane przez żydów, zalewają jak dawniej kraj cały.

[2]) „Kunkle“, instrument ze strunami metalowemi od 5 do 12, wykonany z wierzby: grają na nim birżańscy Litwini, przebierając palcami jak na dawnych ruskich huślach czyli gęślach, i towarzyszą sobie do śpiewu. Oprócz „kunklów“ używają wiele innych miejscowych instrumentów muzycznych, jako to: Łumdże, dwa flety, na obu jednocześnie wygrywa jeden człowiek: Birbinia, mała dudeczka piskliwa, często rogiem bydlęcym dla lepszego echa zakończona: Skandutes, dwanaście fletów, każdy z innym głosem, dobranym do ogólnej harmonii, przypominającej muzykę rogową. Sześć stanowi prym, drugie sześć sekund. We 12 zebrani chłopcy, odwieczne na nich wygrywają melodye: Bubinas, rodzaj bębna, którym po wsiach zwołują wieczorami na wspólną modlitwę; Daudites, długie trąby używane przez pastuszków. Podług podań ludowych miały one kiedyś być używane na wojnach dla dawania haseł i nosiły nazwę Trimiltis. Wykonane są nader umiejętnie z drzewa brzozowego, po mistrzowsku spajanego.

Instrumenta muzyczne i inne przedmioty własnego wyrobu Litwinów birżańskich, wespół z ich objaśnieniem (na żądanie władzy krajowej) przesłane były z Birż do Moskwy dla uzupełnienia wystawy etnograficznej w roku 1867 i tam przez różnojęzyczne grona uczonych były podziwiane, jak o tem świadczą sprawozdania ówczesne.

Dawniej mieszkania włościan birżańskich miały być zupełnie różne od dzisiejszych. Ogień rozkładał się niegdyś pośród obszernej izby kurnej, a dym wychodził przez małe otwory, które obecnie zastąpiły okna. Podłoga z gliny ubita; drugie wejście do izby tak było przestronne jak wrota, gdyż cały dobytek domowy mieścił się tam razem z ludźmi. Obecnie zaś lud ten zamożny, posiada chaty jasne, porządne i jednostajne. Oko wędrowca mile spoczywa na ich domowych urządzeniach gospodarskich. Przyjemnie jest spojrzeć na tę całość miernego dostatku, który szczęście tego ludu stanowi, na porządek i czystość wzorową.

Taki jest obecnie stan włościan w dawnem księstwie birżańskiem, wedle świadectwa uczonych etnografów, którzy oprócz tego robią uwagę, że wieśniak ten, jak się ubierał za swoich kunigasów, tak go i dzisiaj odzianego widzimy. Inaczej się dzieje z wieśniaczkami, które, rzuciwszy dawne siermięgi i namiotki, chętnie sięgają po odzież modniejszą, lecz wcale nie malowniczą.

Bijącą jest różnica sprzętów domowych kobiecego gospodarstwa z ich ubraniem. Tam wszystko zachowało dawne i właściwe sobie kształty i nazwania. Kobiety w użyciu tych sprzętów zawsze jednostajnych i nieodbicie potrzebnych, nie znały nowości i mody.

Zabudowanie wiejskie składa: chata mieszkalna, osieć, chlew, gumno, odryna, obora, spichrz i nieodzowna łaźnia. Na czysto zamiecionem podwórku jest zawsze studnia, drwotnia z pięknie ułożonemi drewkami. Około zabudowań gospodarskich stoi kolasa, pług, brona. Przy spichrzu siatka do ryby, kosa i zapaśne łuczywo; u wrót ławeczka, a pod oknami chaty mieszkalnej ogródek kwiatowy, w którym pierwsze miejsce zajmują: ruta, mięta i boże drzewko. Na konarach odwiecznego drzewa dostrzedz się daje zwyczajnie gniazdo bocianie, a u spodu ul. U katolików, jako chluba i klejnot wiejskiego domostwa, wznosi się obok chaty krzyż malowany jaskrawo.

Lud ten po wielkiej części jest wyznania ewangelicko-augsburskiego i reformowanego, które Radziwiłłowie birżańscy w dobrach swoich od końca XVI. stulecia usiłowali utrwalić, używając do tego środków najczęściej nielegalnych. Znany jest pro-

ces, wytoczony ks. Januszowi o ścinanie krzyżów. stawianych po wsiach przez włościan-katolików: w pamięci zaś ludu przetrwało po dzień dzisiejszy podanie, że jeśli ktoś z włościan chciał zmienić wiarę, miał prawo zająć najlepszy grunt i z gospodarki wypędzić którego chciał katolika. Katolicy w mowie potocznej i pismach prywatnych nazywani byli „bałwochwalcami", w publicznych „papieżnikami". Od prawa zastawy majątkowej wyłączeni byli obywatele katoliccy.[1]) Słudzy i oficyaliści, zarówno w dobrach birżańskich jak i na zamku książęcym, powinni byli być li tylko wyznania kalwińskiego. To też administrator birżański Daniel Kościuszko i wielu innych, widząc w tem korzyść osobistą, zostali kalwinami. Włość książęca, podówczas w większej połowie z katolików rzymskich złożona, własnego kościoła katolickiego w Birżach nie miała. Wszystko to, lubo niepomiernie drażniło dyecezyalnego biskupa i gorliwych w obronie wiary ojców Jezuitów wileńskich, utrzymało się *in statu quo* oparte na potędze miejscowego dziedzica, Bogusława Radziwiłła, tak wiernie przez Sienkiewicza w powszechnie podziwianej „trylogii" odmalowanego, i zdawało się, że tak zawsze będzie, a uciskany katolicyzm do reszty w całem księstwie birżańskiem wygaśnie.

Tymczasem wiadomość o nagłym zgonie księcia Bogusława[2]) postać rzeczy całkiem zmieniła i lud katolicki birżański wolniej odetchnął. Upadł filar i ostatnia na Litwie podpora kalwinizmu. Spadkobierczyni nieprzejednanego wroga katolicyzmu, małoletnia księżniczka Ludwika Karolina, zaledwie imienia swojego mogła użyczać opiekunom do działania w interesach wyznania kalwińskiego, a główny rządca księstwa birżańskiego, Stanisław Niezabytowski, chociaż gorliwy kalwin, nie miał jednak sam dostatecznej siły i władzy do opierania się potężnej w owym czasie władzy dyecezyalnej, której stała obrona nieprzedawnionych praw katolików miejscowych, z całą energią obecnie się rozwinęła.

---

[1]) Dowodem tego niezaprzeczonym jest list Podbereskiego, kuchmistrza Wielkiego Księstwa Litewskiego, w roku 1666 pisany do gubernatora Birżańskiego, „że chciałby na wieczność kupić Wiżuny, gdyż arendami sam W. M. Pan wiesz, nie bawię się, na zastaw zaś dawać c a t h o l i c a r e l i g i o n e p r o h i b e m u r." (Obacz Archiwum ordynackie birżańskie).

[2]) Ks. Bogusław Radziwiłł w 50 tym roku swego ruchliwego żywota umarł w drodze, o milę od Królewca, w dniu 31. grudnia 1669 roku, pozostawiwszy tylko jedną córkę, księżniczkę Ludwikę Karolinę, liczącą w owym czasie zaledwie dwa lata.

Biskup wileński, Mikołaj Stefan Pac, urzędowem pismem z dnia 24. października 1674 roku, wystosowanem „do Oekonomow dóbr J. Mci panny koniuszanki W. Księstwa litewskiego, ks. Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny“, użala się na to, że katolicy w księstwie birżańskiem pozbawieni są posług religijnych i prosi o wzniesienie kościoła na temże miejscu, gdzie był dawny. Nie otrzymawszy żądanej odpowiedzi, biskup już w końcu tegoż roku mianuje księdza Andrzeja Maciejewicza, parocha podbirżańskiego, administratorem mającego się wznosić parafialnego kościoła w Birżach, „przez złość dyssydentów zupełnie tam skasowanego i zniszczonego“, tudzież poleca „dochodzenie funduszów z ekonomii dóbr przed kalwinizmem temu kościołowi nadanych, a przez obce wyznanie przywłaszczonych.“

Gustaw Manteuffel.

(Dokończenie nastąpi).

ZYGMUNT KIEJSTUTOWICZ

KSIĄŻĘ STARODUBSKI.

„Restabat quidem germanus Ducis „Withawdi, Dux *Sigismundus,* sed is „obscure se *in vita Withawdi* gerens. *„non aliquod dederat bonae suae indolis monumentum.“*

Długosz: Historia Polonica III. 417.

Biografia do r. 1432.

Wstęp. — Ród i imię. — Zygmunt u Jagiełły w więzieniu. — Ucieczka do Prus i chrzest. — Powrót na Litwę. — Akt homagialny Zygmunta dla Jagiełły. — Druga ucieczka do Prus. — Zygmunt jako zakładnik. — Zygmunt jako więzień. — Wyzwolenie i powrót na Litwę. — Udział Zygmunta w wojennych i politycznych planach Witolda. — Jego dzielnice na Litwie i Rusi litewskiej. — Jego życie rodzinne i prywatne. — Jego stanowisko wobec Świdrygiełły po śmierci Witolda.

Zygmunt Kiejstutowicz niema dotąd biografii do r. 1432.[1]) Jakby klątwa ciążą na nim słowa Długosza. że on „za Wi-

[1]) Najobszerniej pisał o Zygmuncie do r. 1432 Bartoszewicz w Encyklopedyi Powsz. (Orgelbranda) XXVIII.: rozprawa już przestarzała, a prócz tego nadto sentymentalna. Krótkie uwagi Wolffa

tolda prowadził nie godny niczem uwagi żywot i nie złożył żadnych dowodów swej zdolności." Słowa te pozwalały historykom nie zwracać na Zygmunta pilniejszej uwagi w czasie przed jego wstąpieniem na tron wielkoksiążęcy. Zdanie Długosza, do pewnego stopnia sprawiedliwe, przyjęli wogóle wszyscy historycy, którzy tylko zajmowali się Zygmuntem, chociaż znowu niektórzy z nich (jak Narbutt) nawet przewyższyli samego Długosza. Bartoszewicz tak wyraża się o życiu Zygmunta do r. 1432: „Spokojne bardzo życie prowadził Zygmunt w swojem upokorzeniu. Zdaje się, jakby olśnił w promieniach geniuszu Witolda; żadnej woli, żadnej inicjatywy, żadnego czynu".[1]) Tak samo Stadnicki, który słowa Długosza tak zrozumiał, że „Zygmunt ze złej strony dotąd nie dał się poznać".[2]) Nie mniej surowo oceniają Zygmunta także inni historycy. S. p. prof. Lewicki podnosi, że o Zygmuncie „tylko tyle powiedzieć można, że był on dotąd (do r. 1432) w całem znaczeniu tego słowa osobą nieznaczną".[3]) Prof. Hruszewski, cytując słowa Długosza, pisze: „To sprawiedliwie, a dodać trzeba, że jego (Zygmunta) późniejsze nieludzkie excesa pozwalają domyślać się, że temu człowiekowi brakowało także psychicznej równowagi".[4]) Narbutt zaś zupełnie niesprawiedliwie pisze o Zygmuncie, że przed 1432 r.: „ani razu nie wspominają go dzieje w jakim zawodzie odznaczającym się".[5])

---

w „Ród Gedimina", Kraków 1886, str. 61—2 i „Kniaziowie litewsko-ruscy", Warszawa 1895, str. 161, tudzież Konecznego: „Jagiełło i Witołd", Lwów 1893, dod. II. (O braciach Witołda) wypada raczej nazwać uwagami aniżeli biografiami Zygmunta.

[1]) Encykl. Powsz. XXVIII. str. 830.

[2]) Bracia Władysława Jagiełły, Lwów 1867, str. 326.

[3]) Powstanie Świdrygiełły. Ustęp z dziejów unii Litwy z Koroną (odb. z Rozpr. wydz. hist.-fil. Akad. Umiej. XXIX.) Kraków 1892, str. 149.

[4]) Історія України Руси IV. Lwów 1903, str. 175. Gdy tutaj rozchodzi się nie tylko o Zygmunta, jako w. księcia, ale też i przed r. 1432, jak to z kontekstu wypada, to nie mógłbym z tem zdaniem zgodzić się. Przed r. 1432 na to nie ma żadnych dowodów. Na te „późniejsze nieludzkie excesa" wpłynęły według mego zdania i „późniejsze odmienne okoliczności", które mogły pozbawić i pozbawiły Zygmunta jego „psychicznej równowagi".

[5]) Dzieje narodu Litewskiego. VII. Wilno 1840, str. 225.

Nie myślę apoteozować Zygmunta, trudno jednakże zaprzeczyć, ażeby on zupełnie niczem nie odznaczył się w czasie do r. 1432 i nie można twierdzić, jakoby źródła historyczne nie wspominały dotąd o jego czynach. Sprawiedliwości historycznej trzeba uczynić zadość! Oby więc te fakta historyczne, które tutaj zebrałem w biografie Zygmunta do 1432 r.,[1]) choć w części złagodziły słowa Długosza, które, jak mówię, zawsze do pewnej miary zostaną prawdziwemi.

Zygmunt był najmłodszym z sześciu synów, a trzecim z kolei synem Kiejstuta i prawdopodobnie kronikarskiej „wajdelotki" Biruty.[2]) Mimo to, że urodził się w pogaństwie i musiał, również jak jego bracia, mieć jakieś pogańskie imię, jest nam nieznane to imię, ponieważ tradycya nam jego nie przechowała.[3]) Ciekawą jednakże jest jedna okoliczność, że chociaż Zy-

---

[1]) Jest to pierwsza pełna i krytyczna biografia Zygmunta do r. 1432.

[2]) Synów Kiejstuta wylicza Długosz: Hist. Pol. (ed. Przeździecki) III. str. 406 (Sigismundus) i Kronika Bychowca (Narbutt: Pomniki do dziejów lit., Wilno 1846) str. 22 (Zygmont), por. Wolff: Ród Gedim. str. 47 i 51; Kniaziowie lit.-rus. str. 161.

[3]) Bartoszewicz str. 827 pisze, że według jego zdania jest to dowodem, że Zygmunt ochrzcił się jeszcze dzieckiem i nie miał czasu odznaczyć się jako poganin: por. Koneczny: Jag. i Wit. dod. II. str. 169. Wolff: Ród Ged. str. 62 mówi, że Narbutt: Dzieje V., str. 302 bez dowodów nadaje Zygmuntowi pogańskie imię „Sigitas". Tymczasem Narbutt pisze, że „Zygmunt po litewsku Sigitas", przez co ma on na myśli zlitewszczenie imienia Zygmunt. To samo znaczenie ma imię, podane w Encykl. Powsz. III. (sub voce: Biruta): „Sigajło czyli Zygmunt". (Imię Zygmunt, z litewska „Sagajło"; por. Wolff: Kniaziowie lit.-rus. str. 686). Wymienię tutaj wszystkie nazwy w kronikach, które prawdopodobnie także są zlitewszczeniem imienia Zygmunt. Miechovita: Chronica Polonorum (ed. Pistorius) str. 181 pisze, że Kiejstut miał syna „Sigisdum": Bielski: Kronika Świata (ed. 1564), k. 379, nazywa Zygmunta „Sigizd", k. 387: „Sygizd albo Zygmunt"; Bielski: Kronika Polska (ed. Turowski) I. str. 448 „Sogisd"; Stryjkowski: Kronika Polska (ed. Bohomolec) str. 426: Kiejstut miał syna „Sigisda albo Sigmunta"; Kojałowicz: Historia Litvana I. str. 354. „Sigisdus seu Sigismundus". To imię znajdujemy dopiero, jak widzimy, u historyków XVI. w. (w XV. n. prz. u Długosza jego nie znajdujemy). Możliwem jest jednak, że ono oparte na jakiejś tradycyi i oznacza pogańskie imię Zygmunta. Jest ono bardzo podobne do imienia „Zygmunt" i kto wie, czyli właśnie nie ze względu na to podobieństwo wstawił W. M. do swego dokumentu chrześciańskiego imienia

gmunt w aktach z r. 1384 występuje jako poganin, to jednak już pod swojem chrześciańskiem imieniem „Zygmunt“. Wielki Mistrz Konrad Zollner przyrzeka 1384 r. Zygmuntowi uznać go jako następcę Witolda, „jeżeli on przyjmie chrześciańską wiarę“.[1]) Tutaj możebna według mego zdania jedna tylko interpretacya: Brat Witolda zgodził się przyjąć chrzest i jemu przeznaczono chrześciańskie imię „Zygmunt“. Na tej podstawie w lennym akcie W. M. z 1384 r. brata Witolda, wówczas jeszcze poganina, ale zdecydowanego na chrzest ze względu na obietnicę W. M., nazwano jego chrześciańskiem imieniem, które dla niego już przed chrztem wybrano. Inne przypuszczenia są wprost niemożliwe, chyba takie, że pogańskie imię Zygmunta było bardzo podobne do późniejszego jego chrześciańskiego imienia i to było przyczyną wstawienia tego imienia w dokumencie W. M. (ob. str. 43, nota 3).

Nie wesoła była młodość Zygmunta. Po tragicznej smierci rodziców 1382 r., podczas gdy Witoldowi powiodło się szczęśliwie umknąć do Prus z więzienia, w którem jego i całą rodzinę zamknął był Jagiełło, Zygmunt, wówczas zaledwie jeszcze będąc młodzieńcem, razem z siostrą, żoną i dziećmi Witolda zostali i nadal w tem więzieniu.[2]) Z tego więzienia udało się Zygmuntowi pó-

---

Zygmunt jeszcze przed jego chrztem (ob. niżej). To jednak może być tylko hipoteza, ponieważ pewnych dowodów na to nigdzie niema i tak jak rzeczy stoją, pogańskiego imienia Zygmunta nie znamy.

[1]) Prochaska: Codex epistolaris Vitoldi nr. 15, str. 5. Akt z datą: Marienwerder nad Wilią, 14./VI. 1384. „Ex gracia speciali concedimus duci Sigismundo, ...si christianam fidem amplectitur“. Niemiecka kopia tego aktu Voigt: Codex dipl. Pruss. IV. nr. 20 str. 22. „Von sunderlicher gnade, so gunne wir herczogen Segemund... ap her och czum Cristenglouben kere. (Podobny akt z r. 1384 bez miejsca i dnia w regeście Daniłowicz: Skarbiec dipl. I. nr. 494). Wstawienie chrześciańskiego imienia Zygmunta, które dla niego prawdopodobnie przed chrztem wybrano, jak i dalsze słowa mogą wskazywać na to, że chrzest Zygmunta był już postanowiony i wkrótce już miał nastąpić. Treść dokumentu dowodzi jednak stanowczo, że przed 14. czerw. 1384 r. Zygmunt nie był ochrzczony, bez względu na chrześciańskie imię w dokumencie.

[2]) Script. rerum Pruss. II. str. 713. Skarga Witolda p. t.: „Dis ist Witoldes sache wedir Jagaln vnd Skargaln“. Tutaj pisze Witold, że on „liff czu erbarn luten czu dem grosem meister von Preussen vnd nam czu mir den heilgen glowben der cristenheit vnd den gehorsam des heilgen fater des pabestes, vnd ich lis do by jn minen bruder vnd mine swestir vnd min wib und myne kinder di lis

źniej wydobyć się i przybyć do Prus za bratem, chociaż dokładnie nie wiemy, jak i kiedy to stało się.[1]) O jego pobycie u Krzyżaków dowiadujemy się dopiero pierwszy raz z wspomnianego lennego aktu W. M. Zollnera z 14. czerwca 1384 r. Witold, który nawiązał stosunki z Krzyżakami i szukał u nich podpory i pomocy w celu odzyskania swej ojcowizny, nie zapomniał także o swym młodszym bracie Zygmuncie. Zakon obiecał dla Witolda odzyskać jego ojcowiznę i dać ją jemu jako lenno. Oczywiście za wpływem Witolda czyni Zakon obietnicę także i na rzecz jego brata. Z łaski specyalnej, jak powiedziano w akcie, W. M. daje prawo dziedzictwa po śmierci Witolda Zygmuntowi i jego następcom, jeżeliby Witold umarł bezpotomnie.[2]) Jednym z warunków był ten, ażeby Zygmunt przyjął chrzest.

Jak powiedziano wyżej, w akcie z 14. czerw. 1384 r. Zygmunt występuje jeszcze jako poganin, któremu przyznano następstwo po Witoldzie pod warunkiem chrztu. Z tego wynika, że Zygmunt dotąd nie był ochrzczony. Chrześciańskie imię, które w akcie podano, nie może być dowodem, że Zygmunt już wówczas był ochrzczony (znaczenie tego podałem na str. 44). Ale chociaż data chrztu Zygmunta nieznana, to w każdym razie jest to pewną rzeczą, że ochrzczono go po 14. czerw. 1384 r.[3]) i to zdaje się wkrótce potem.

---

ich alczu mole in irem gefenknisse". Ażeby jaśniej przedstawić, że rodzina Witolda została w więzieniu u Jagiełły, daje Koneczny: Jag. i Wit. dod. II. str. 170—1 punkt po słowie „pabestes".

[1]) Por. Koneczny: Jag. i Wit. str. 20 i 171.

[2]) Codex epistolaris Vitoldi, nr. 15, str. 5. „Ex gracia speciali concedimus duci Sigismundo, predicti ducis Wygandi fratri eiusque heredibus et successoribus, si christianam fidem amplectitur et dux W. absque heredibus obiret... ius succedendi in feudum, eo cum servicio et auxilio, quo illud supradicto duci W. eiusque successoribus contulimus". Voigt: Cod. dipl. Pruss. IV., nr. 20, str. 22. „Von sunderlicher gnade, so gunne wir herczogen Segemund des egenanthen herczogin Wigandis Bruder, ap her och czum Cristenglouben kere, und daz herczog W. ane Erben vorschide, so sal das riche an herczoge Segemundt an syne rechte erben und nachkomelinge erbin mit dem selben rechte, dinste und hulfe, als is hirvor herczog W. czu geschriben steet". (Por. jeszcze Daniłowicz: Skarbiec Diplomatów. I. nr. 494).

[3]) Wolff: Ród Gedim. str. 62 pisze, że Zygmunt ochrzcił się prawdopodobnie 1383 r. razem z Witoldem; Koneczny: Jag. i Wit. str. 172 przypuszcza, że w czasie między 21. paźdz. 1383 (chrzest

Do tej sprawy odnosi się jeszcze jeden akt, a względnie jego regesta, podana w zbiorze Daniłowicza z inwentarza Warszewickiego. Regesta niema ani miejsca wystawienia aktu, ani dnia, tylko rok 1386 i to zdaje się mylny. Ta regesta podaje treść aktu W. M. Zollnera, wydanego dla Zygmunta Kiejstutowicza, w którym W. M. zobowiązuje się dać Zygmuntowi pomoc dla odzyskania ojcowizny.[1]) Rok podany w regeście tego aktu, jak nadmieniono, mylny, a to z tego względu. Witold uciekł zaraz w jesieni 1384 r. na Litwę i pogodził się z Jagiełłą.[2]) Musiał on umknąć razem z Zygmuntem, ponieważ o pobycie Zygmunta w Prusiech po ucieczce Witolda w dalszym czasie 1384—1386 lub o późniejszej jego ucieczce niema żadnej wiadomości, a co więcej, Zygmunt już z początkiem 1386 r. wystawił Jagielle akt homagialny (obacz poniżej), otóż 1386 r. W. M. nie mógł wystawiać aktu dla Zygmunta. Najodpowiedniej będzie przyjąć dla aktu, wystawionego przez Zollnera, 1384 r. Jest to bardzo możliwe. Zygmuntowi uczyniono w akcie 14. czerw. 1384 r. obietnicę, że skoro ochrzci się, będzie mógł zostać spadkobiercą Witolda. Tego dokonał wkrótce Zygmunt, to jest ochrzcił się i dlatego jeszcze 1384 r. wystawił mu W. M. osobny dokument, w którym przyrzekł odzyskać dla niego ojcowiznę.[3])

Wit.) a 14. czerw. 1384 r. Tak samo za Konecznym Wolff: Kniaziowie str. 161. Temu jednak, jak nadmieniono, stanowczo sprzeciwia się treść aktu z 14. czerwca 1384. Koneczny dodaje, że akt chrztu Zygmunta odbył się w Nowym Malborgu „w zaciszu, tak, że nie doszedł nawet do wiadomości kronikarskiej“. Chociaż nawet data chrztu niepewna, nie przeszkadza to Narbuttowi, że on, nie wiadomo na jakiej podstawie, jako rok urodzenia Zygmunta podaje 1348 r. (Dzieje Lit. V. str. 302).

[1]) Daniłowicz: Skarbiec I. nr. 530.

[2]) Kochanowski: Witold w. książę litewski, Lwów 1900, str. 54 i dal. Może być, że sam akt miał prawdopodobnie dobrą datę wystawienia. Moja wątpliwość odnosi się tylko do regesty w inwentarzu Warszew. i zbiorze Daniłowicza, znanym z grubych pomyłek. Z drugiej strony może na kopii tego aktu był mylny rok? (ob. poniżej).

[3]) O ile można sądzić z regesty, w oryginale tego dokumentu W. M. nie było już warunku o chrzcie. Otóż ten dokument był wystawiony Zygmuntowi prawdopodobnie zaraz po jego chrzcie, którego nie można wysuwać poza r. 1384. Moją wątpliwość co do wiarygodności daty 1386 r. w regeście dokumentu W. M. dla Zygmunta mogę poprzeć jeszcze tem. W tekach Naruszewicza znajduje się kopia z legalizowanej kopii dokumentu W. M. Zollnera dla Witolda, w której W. M.

Powyżej wspomniałem, że Zygmunt wrócił na Litwę prawdopodobnie razem z Witoldem 1384 r., ponieważ źródła nie wspominają o tem, ażeby sam wracał później. Napewne wiemy, że z początkiem 1386 r. był on już na Litwie i wystawił Jagielle, podobno jak i inni litewsko-ruscy książęta, akt homagialny. Oryginału tego dokumentu nie mamy, znamy tylko treść jego, podaną w akcie unii Zygmunta z Polską 15. października 1432 r. Powiedziano tam, że „w czasie, gdy Polacy wybrali Jagiełłę królem Polski i on przyjął chrzest (w lutym 1386 r.), Zygmunt, przyrzekł osobnym dokumentem być wiernym królowi i Koronie, nigdy ich nie opuszczać i im pomagać.“ [1])

Od czasu powrotu na Litwę (w czasie 1384—6) aż do 1390 roku, to jest do drugiej ucieczki do Prus, nie mamy o Zygmuncie, oprócz wystawienia aktu homagialnego 1386 r., żadnej więcej wiadomości. Oczywiście musiał on przebywać u Witolda. Dopiero, gdy Witold ponownie był zmuszony uciekać z Litwy, znowu spotykamy się z Zygmuntem. Dnia 19. stycz. 1390 r. Witold przybył do Krzyżaków, którzy jego już nie tak przyjęli, jak poprzednio, ponieważ nie mieli do niego zaufania. Witold musiał dać Zakonowi jako zakładników swoją rodzinę, a mianowicie brata Zygmunta, jego żonę i syna, swoją siostrę, drugiego brata Konrada-Towciwiła z żoną, oprócz tego swoją własną żonę i jeszcze więcej aniżeli setkę innych zakładników. [2]) Jako zakładnik prze-

przyrzeka Witoldowi pomoc dla uzyskania ojcowizny. Kopia ma wyraźną datę 1. stycznia 1386 r. Ona wydrukowana w Codex epistolaris saeculi decimi quinti I 1. nr. 1. Wydawca w nocie z podobnych jak ja względów wykazuje wyraźnie, że tutaj powinien być rok 1384. Przyjmuje to także dr. Prochaska, Cod. ep. Vit. nr. 12, chociaż Lewicki: Index actorum saeculi XV. nr. 22 sprzeciwia się temu.

[1]) Turgenev: Supplementum ad hist. Russiae monumenta nr. 217, „litteris nostris firmavimus“; por. uwagi w artykule Bartoszewicza (Encykl. Powsz. XXVIII. str. 828).

[2]) Scriptores rerum Prussicarum, III. — Posilge: Chronik des Landes Preussen, str. 162: „Des sante her (Witold) dem meister czu gysel Segismundum sinen bruder und sines bruder son, syn wip und sine swester, und dobobin mer wen hundert czu gysel.“ Franciscanus Thorunensis: Annales Pruss str. 162. Witold przybył do Prus „cum germanis suis et eorum uxoribus“. Die aeltere Hochmeisterchronik str. 617: Witold „sante sein weib mit Segemund seynem bruder, ouch mit seynem weibe, und seynes bruders son, hertzog Conrad, mit seynem weibe“.

bywał Zygmunt z innymi w Malborgu do r. 1392, tak dalece Zakon nie dowierzał Witoldowi.[1]) W Malborgu pożyczył Witold u W. M. Zollnera 1.000 grzywien szerokich pieniędzy, które obiecał zwrócić, skoro tylko nanowo odzyska swoją ojcowiznę. Za to poręczył także i Zygmunt, który w danym wypadku zobowiązał się tę sumę zapłacić za Witolda.[2]) Tem pewniejszym mógł

---

[1]) Posilge: Chron. d. L. Pr. str. 178: „sundir Wygand mit den anderen gyseln der Wytowtis bruder was, bleib czu Marienburg, off das man ym yo deste bas sulde gelouben". Tutaj winienem wspomnieć, że tak dawni kronikarze i historycy, jak i nowi historycy wyrządzili krzywdę Zygmuntowi przez to, że dość często mięszali jego z braćmi albo z innymi książętami i dodawali jemu różne imiona, chociaż on miał tylko jedno imię „Zygmunt". Jak widzimy Posilge nazywa go „Wigand" (chrześciańskie imię Witolda). Wydawca tej kroniki, Strehlke zauważył słusznie (SS. rer. Pruss. III. str. 178, not 5), że to Zygmunt i to samo mówi co do imienia „Konrad" (chrześc. imię Towciwiła, brata Zygm.), które podaje Voigt: Gesch. Preuss. V. str. 615 na podstawie t. zw. kroniki Lindenblatta (właściwie Posilge); por. jeszcze Барбашевъ: Витовтъ и его политика до Грюнвальденской битвы (1410 г.) С. Пб. 1885 str. 65 i Caro: Gesch. Polens. III. Gotha 1869, str. 111; Caro III. str. 96 nazywa Zygmunta „Wigand-Sigismund". Kojałowicz: Nomenclator Familiarum et Stemmatum Magni Ducatus Litvaniae et Provinciarum ad eum pertinentium (rękopis Bibl. Ossol. nr. 358) w ustępie „Series Ducum Supremorum Magni Ducatus Litvaniae et Samogitiae" podaje: „Sigismundus I. Woydatus Kieystudi renun. 1432 occisus 1440". („Wojdat" jeden z braci Zygm.). Prawdopodobnie za Kojałowiczem idzie Горбачевскій: Археографическій Календарь, Вильно 1869, str. 99. Między lit. w. ks. jest u niego „Zygmunt I. Wojdat". Z „Zygmuntem Korybutowiczem" mięszają Zygm. Kiejst. Gołębiowski: Dzieje Polski, I. Warsz. 1846, str. XVII. „Zygmunt Korybut, brat Witolda, z woli króla straciwszy Świdrygiełłę, objął księstwo Litewskie..." W nowszych czasach Bobrzyński: Dzieje Polski I. wyd. 3. Warszawa 1887, str. 368 (por. Stadnicki: Bracia Wład. Jag. str. 101, not. 84, gdzie on zbija to zapatrywanie, wprowadzone jeszcze przez Schlözera). Narbutt: Dzieje Lit. V. Wilno 1839, str. 484, not. 3 pisze, że Zygm. Kiejstutowicza nazywają niemieckie kroniki Konradem lub Wigandem „niewiadomo, z jakiej przyczyny". Na str. 338, nota 1, pisząc, że na Mazowszu ochrzczony był jeden brat Witolda imieniem Konrada (to był Towciwił), mówi: „Najpodobniej do prawdy, że to był Zygmunt". Jak widzimy, takich bałamuctw dopuszczali się i dawni i nowi historycy.

[2]) Cod. ep. Vit. nr. 70, str. 25. „Dese vorgeschreben tusent marc sullen und wellen wir, unser erben und nachkomelinge und unser bruder Segemund... beczalen."

być W. M. zwrotu pożyczonej sumy, gdy miał w swym ręku takiego ręczyciela.

W r. 1392, pomimo to, że taką ilość zakładników, a między nimi całą swą rodzinę oddał Witold Zakonowi jako porękę swej lojalności względem niego, on powtórnie zdradza Zakon i ucieka na Litwę. Można było się spodziewać, że Zakon pomści się za to na zakładnikach, między nimi na bracie Witolda, Zygmuncie. Tego jednakże Zakon nie uczynił. Zakładnicy byli mu potrzebni i rzeczywiście w przyszłości przydali mu się. W. M. kazał tylko Zygmunta i innych zakładników wtrącić do więzienia i zakuć w kajdany.[1]) Na więzienie przeznaczono twierdzę Georgenburg.[2]) W tem więzieniu wysiedział Zygmunt sześć lat (do 1398 r.), chociaż w tym czasie Witold nie zaniedbał starań, ażeby brata wydobyć z niego. Jednakże W. M. nie dał się prędko ubłagać, ponieważ, jak mówił, Witold nie dopełnił swych zobowiązań względem Zakonu. Sprawa z Zygmuntem wyszła przed forum Europy. Na prośbę Witolda zajął się nią sam rzymski król Wacław. Z początkiem 1397 r. wysłał on do W. M. swego posła, rycerza Temeritza, z żądaniem uwolnienia Zygmunta, a względnie wydania go sobie, motywując to tem, że Zygmunta będą lepiej strzedz u niego, aniżeli w Prusiech.[3]) Lecz, jak wspomniano, Zakon żądał od Witolda poprzedniego spełnienia zobowiązań względem niego. Królowi Wacławowi odpowiedział W. M. Jungingen krótko, że on nie może nikomu innemu wydać Zygmunta. Witold otrzyma go napowrót, jeżeli spełni swe zobowiązania i postara się o wyzwo-

---

[1]) Posilge: Chron. Pr. str. 180 „do lis her (W. M.) Wygant sinen bruder und die andern gysel in die ysin slan und wol behuttin". Narbutt: Dzieje Lit. VII. str. 226 pisze, że to wpłynęło na wytworzenie dzikiego charakteru Zygmunta. Co do imienia Wigand, ob. SS. rer. Prus. III. str. 178 not. 5: Voigt: Gesch. Pr. V. str. 615; Барбашевъ: Витовтъ, str. 65; Caro: Gesch. Pol. III. str. 111.

[2]) Franciscanus Thor: Ann. Pruss. str. 223 „in obsidione... in Jurgenborg".

[3]) Voigt: Gesch. Preuss. VI. str. 75 „erklärend, er sey bei ihm sicherer aufgehoben als in Preussen". Że to poselstwo odbyło się z początkiem 1397. ob. Voigt: Cod. dipl. Pruss. VI. nr. 39 (poselstwo „von Sigsmund wegen" str. 43) i Voigt: Gesch Preuss. VI. str. 76. Барбашевъ: Витовтъ, str. 83 mylnie podaje, że król Wacław już 1392 roku żądał wydania Zygmunta. O tem niema wiadomości.

lenie tych chrześcian, którzy znajdują się w niewoli tureckiej.[1]) Tak samo pisał Jungingen do Deutschmeistra, że on zatrzyma Zygmunta i innych zakładników dla bezpieczeństwa chrześciaństwa; Witold zostawił Zygmunta u W. M. jako zakładnika dla poręki swej lojalności względem Zakonu a W. M. obowiązany wydać Witoldowi Zygmunta wtedy, gdy Witold zapewni, że pobuduje dla Zakonu kilka twierdz na pograniczu.[2]) Król Wacław nie dał za wygraną i dalej żądał wydania Zygmunta. Z wiosną 1397 r., w ślad za pierwszem poselstwem, widzimy u W. M. drugiego posła króla Wacława, Landkomtura z Czech, Albrechta z Dube (Albrecht von der Dube, landkompthur (von) czu Behem), wysłanego znowu „w sprawie Zygmunta".[3]) Wysłuchawszy żądań króla Wacława, przekazanych przez wspomnianego posła, W. M. doniósł listownie rzymskiemu królowi, że w tejże „sprawie Zygmunta" posyła on napowrót Albrechta z Dube, który ma dać królowi odpowiedź od W. M.[4])

Odpowiedź W. M. królowi Wacławowi zawartą była w instrukcyi danej Landkomturowi Albrechtowi z Dube. Instrukcya dość długa, zajmuje się prawie wyłącznie „sprawą Zygmunta".[5]) Z niej można dokładnie poznać, dlaczego i jak bardzo zależało W. M. na tem, żeby Wacławowi nie wydać Zygmunta.

W. M., powiedziano w wspomnianej instrukcyi, zatrzymał nie tylko Zygmunta, ale też innych zakładników dla bezpieczeństwa chrześciaństwa.[6]) Witold dał Zygmunta Zakonowi jako ręczyciela i zakładnika,[7]) ażeby jemu można było tem więcej ufać.

---

[1]) Kotzębue: Preussens ältere Geschichte III. Riga 1808, str. 287 (not.); Gołębiowski: Dzieje Pol. I. str. 493. not. 78. List W. M. do króla Wacława w regeście bez dnia z r. 1397.

[2]) Voigt: Gesch. Preuss. VI. str. 76. List W. M. do D. M. z 11. lut. 1397 (por. not. 4 do str. 75).

[3]) Voigt: Cod. dipl. Pruss. VI. nr. 39. str. 44: „von Sigsmund wegen".

[4]) Voigt: Cod. dipl. Pruss. VI. nr. 40. List W. M. do króla Wacława z d. 4. kwiet. 1397 r.

[5]) Instrukcya drukowana w Voigt: Cod. dipl. Pruss. VI. nr. 39, str. 43—5. Data „nach letare" 1397 r., otóż po 1-ym kwietnia: por. list W. M. do króla Wacława, z d. 4. kwiet. 1397, ibidem nr. 40.

[6]) „czu troste und czu sicherunge der heiligen Cristenheit", Voigt: Cod. dipl. Pruss. VI. nr. 39, str. 44.

[7]) Ibid. „czu getruwer hant und in giesels wyse".

Oprócz tego W. M. i Zakon przyjmowali jako gościa prawie przez rok Witolda, jego książąt i bojarów i wydali na niego znaczne sumy pieniężne, które Witold obowiązany Zakonowi zwrócić, osobliwie długi zaciągnięte.[1]) Zygmunt przebywa u W. M. dla poręki niektórych zobowiązań[2]) ze strony Witolda, a przez to Zakon może być pewniejszy ich spełnienia.[3]) A co więcej, to W. M. nikomu nie może wydać Zygmunta, ponieważ on jest u niego jako ręczyciel, a to stało się z woli samego Witolda, który swego brata zostawił w Zakonie. W ostatniej umowie Witold przyrzekł wybudować dla chrześciaństwa i dla Zakonu kilka twierdz, za co znowu zobowiązał się W. M. wypuścić na wolność jego brata Zygmunta.[4]) Witold wogóle za mało zrobił dla bezpieczeństwa chrześciaństwa i nie dopełnił zobowiązań względem Zakonu.[5]) W. M. uczyni zadość jego życzeniu, lecz pod tym warunkiem, że tak król Wacław jak i Witold postarają się o wyzwolenie z niewoli tureckiej Krzyżaków, którzy tam przebywają i gdy Witold dopełni reszty zobowiązan. Inaczej Zygmunta nie uwolni W. M. w żaden sposób. Gdy nastąpi wyzwolenie Krzyżaków, wtedy i Zygmunt będzie wolny. Jeżeli nie, to Zygmunt i nadal zostanie w Zakonie.

Po takich stanowczych słowach w odpowiedzi W. M., danej królowi Wacławowi, nie pozostawało Witoldowi nic innego, jak wejść w układy z Zakonem, co do poczynionych przez niego zobowiązań i co do wydania Zygmunta. W Grodnie 23. kwietnia 1398 r. spisali posłowie pruscy preliminarz ugody z Witoldem. Witold przyrzekł dopełnić swych zobowiązań względem Zakonu, a W. M. ze swej strony zobowiązał się wydać Zygmunta i innych zakła-

---

[1]) Ibid. „dy Wytowt pflichtig ist dem orden czu beczalen nemlich gelegene schulde". Prawdopodobnie miał tutaj W. M. na myśli także pożyczona przez Witolda u Zakonu kwotę 1.000 grzywien. Cod. ep. Vit. nr. 40.

[2]) Voigt: Cod. dipl. Pruss. VI. nr. 39, str. 44. „umb mancherley globde".

[3]) Ibid. „der Orden bynnen der cziet desto bas und schirer moge wedirfaren recht, und sicherunge".

[4]) Ibid. „so sal unser homeister fry und ledig ym wider gebin synen bruder Sigsmund".

[5]) Ibid. „das her (Witold) nicht wil gnuk thun an sicherunge der Cristenheit, noch glich pflegen dem Orden".

dników. [1]) Jednakże to zobowiązanie z obydwóch stron nie było szczere. W. M. widocznie nie dowierzał Witoldowi, przecież bowiem nie myślał zaraz wydać Zygmunta. Ale prawdopodobnie i Witold nie bardzo spieszył się z dopełnieniem zobowiązań, ponieważ W. M. w liście do Mistrza Inflant pisał, że Zygmunta chce zatrzymać u siebie jeszcze z rok i będzie żądać od Witolda jeszcze więcej zakładników, dopóki Witold nie pomoże mu zbudować dwóch twierdz w jakiem dogodnem miejscu i nie zaręczy oprócz tego spełnienia innych zobowiązań. [2]) Wreszcie przecież przyszło do zgody między Zakonem a Witoldem. Na wyspie Sallinwerder (na rzece Memel) zjechał się 10. października 1398 r. Witold z W. M. i tutaj umówiono wreszcie ugodę 12. października 1398 r. [3]) Zygmunta i innych zakładników uwolniono i wydano Witoldowi. [4]) Wolny już Zygmunt podpisał także dokument ugody. Jest to pierwszy podpis Zygmunta na dokumentach Witolda.

---

[1]) Cod. ep. Vit. nr. 179. str. 52. „So sal ouch der herre homeister (Konrad Jungingen) frii und ledig wider geben dem herren herczogen Witawten, sinen bruder herczog Sigismundt. Ouch so sullen von beiden seiten die gefangen alle ledig sien...“

[2]) Bunge: Liv-Est- und Curländisches Urkundenbuch IV. nr. 1464, str. 203—4; Voigt: Gesch. Preuss. VI. str. 96, not. 2. List bez daty; pisany oczywiście po preliminarzu 23. kwiet. 1398 r. „so meinen wir doch Sigismunde... noch in einem jare adir do bi nicht von uns ledig czu lasen, sundir wir meinen, noch anderer me zu im zu gisel zu haben, bis das uns Witold zwu vesten hilft buwen, do uns die bequemelichst legen werden, und ouch das her uns in andern sachen also versichere und gewissheit thue, dor 'ane wir vorwart sin“.

[3]) Posilge: Chron. Pr. str. 222. „Eyn groser tag ward abir gehaldin mit Witaud“. Dokument tej ugody w Bunge: Livl. Urk. IV. nr. 1479 i Narbutt: Dzieje Lit. V. dod. IX. (str. 38 z łacińskiej kopii, str. 40 z niemieckiej kopii). Podpisał ten pokój także „Sigismundus, frater eiusdem dicti domini ducis Alexandri“. Por. jeszcze Voigt: Gesch. Pr. VI. str. 99, not. 2.

[4]) Pod 10. października 1398 r. pisze Francisc. Thorun.: Annal. Pruss. str. 223: „fratrem Wytoldi, videlicet Sigismundum, qui pluribus annis in obsidione fuit in Jurgenborg, liberum reddidit“. Posilge: Chr. Pr. str. 222—3 raz pod 10. października: „Segismund sin bruder wart ledig gegebin und ander gysil“, drugi raz str. 224 pod 12. października: „und sin bruder Sigismunt wart ledig, und dy andern, dy gysel worin, wordin wedergegebin“. Może być, że zaraz 10. października uwolniono Zygmunta, a 12. paźdz. stwierdzono to dokumentem.

Chociaż W. M. (jak to wiemy z jego listu do M. I.) nie chciał dopóty wydać Zygmunta, dopóki Witold nie pobuduje dla Zakonu dwóch twierdz. to jednak Witold złożył to przyrzeczenie dopiero 14. października 1398 r. w Kownie już po uwolnieniu Zygmunta. On przyrzekł wybudować w przeciągu dwóch lat na granicach litewskich dwa zamki dla Zakonu, a oprócz tego z kurtoazyi pozwolił W. M. polować w pogranicznych lasach litewskich. To przyrzeczenie podpisał również Zygmunt i przywiesił do dokumentu swoją pieczęć. [1])

Bohdan Barwiński.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) Cod. ep. Vit. nr. 189. Dokument podany w regeście. Pieczęć Zygmunta z pogonią i ruskim napisem: Печать Жикгимонтова.

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

I.

Po sejmie warszawskim zapanowała złowroga apatya w obozie katolickim. Pobyt legata apostolskiego w Polsce nie przyniósł żadnej korzyści sprawie Kościoła. Słaby ruch reformacyjny, wywołany przez niego w ciągu ubiegłego 1556 r., nie zdołał rozwinąć się należycie, co gorsza, podziałał wyzywająco na obóz protestancki i ściągnął na Kościół i na biskupów z jego strony gromkie ataki i napaści. Jurysdykcya w rzeczach wiary i religii spętana edyktem warszawskim była bezsilną wobec wezbranych żywiołów nienawiści wyznaniowych. Dostojnicy kościelni pozbawieni władzy, zupełnie opuścili ręce, zapominając, że pozostała im jeszcze do walki z herezyą droga przykładu, spełniania obowiązków pasterskich, droga reformy samych siebie i podwładnego im kleru. Piorunujący na sejmie szumnymi frazesami obrońca katolicyzmu, nasz biskup Zebrzydowski zażywał teraz zdala od swej stolicy i katedry wywczasu i spokoju...

Bawiący po sejmie w Krakowie kanclerz Ocieski i interesujący się żywo, jako starosta krakowski, tamtejszymi stosunkami

religijnymi, słusznie mógł uważać je za żywy obraz powszechnej anarchii religijnej, jaka panowała w całej Polsce. Widział niemoc kanoników i kaznodziejów kapitulnych, widział gorączkową robotę herezyarchów, bezkarnie uwijających się po stolicy, dwóch braci Wergeryuszów, znanego nam Pawła Piotra i Jana Baptystę, Jana Łaskiego, towarzysza jego Karola Utenhovego, a nawet proskrybowanego apostaty Lismanina.[1] Sam bezsilny wobec nich, jakkolwiek dzierżący w swym ręku część władzy królewskiej, ubolewał, że sejm nie tylko nie zrobił nic zgoła dla przywrócenia Kościołowi pokoju, ale właściwie ułożył rzeczy w ten sposób, że obecnie spodziewać się można było jeszcze większych niepokojów w świecie chrześciańskim, zaburzeń takich, których żadne moce ludzkie uśmierzyć nie zdołają.[2] Natomiast biskup warmijski, St. Hozyusz na wieść o owej gospodarce religijnej, prowadzonej przez innowierców w Krakowie, pisał w połowie marca b. r. do bezradnego starosty: „Jak słyszę, zbiegło się do Krakowa wielu, którzy naszą religię chrześciańską pragną zniweczyć. Proszę przeto, Waszą Wysokość, abyś zechciał stosownie do obowiązku senatora katolickiego, krzyżować ich plany, a mianowicie biskupa — scl. Zebrzydowskiego — zachęcić, by w tak groźnej chwili nie opuszczał owieczek swoich, by przybywał do nich jak najprędzej wyswobodzić je z tych zasadzek, nastawianych na nie przez wilki, które w tępieniu trzody krwią Chrystusa odkupionej o wiele są gorliwsze niż my w jej ochranianiu podług wymagań naszego urzędu. Niezmiernie się lękam, aby w tych fatalnych czasach z powodu nieobecności pasterza nie stało się co takiego, coby ściągnąć mogło na wszystkich prawowiernych jakie wielkie nieszczęście“.[3])

Nie wiadomo, o ile starał się Ocieski skłonić Zebrzydowskiego do zamieszkania w swojej rezydencyi biskupiej. Bezwąt-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1724. list Hozyusza do Lippomana z połowy marca 1557. Z początkiem roku 1557 miał bawić Łaski jeszcze po za Krakowem, przebywając w Rabsztynie albo w Balicach u Bonara. Pisze Wojc. Kijewski, kan. krak. do Hozyusza dn. 4. stycznia 1557: Nova hac nulla sunt hoc tempore praeter hoc unum, quod Łaski haereticas vel iam potius Machometicas moratur hic quandoque in arce Rapstin, quandoque in Balice apud cartum hominem Bonarum. — Hos. Ep. nr 1701.

[2]) Hos. Ep. nr. 1709 i 1723.

[3]) Hos. Ep. nr. 1723. s. 798, list z 14. marca 1557.

pienia jednak i pisał w tej sprawie do niego i wpływał na kanoników kapitulnych, aby urzędownie ją swemu biskupowi przedłożyli. Zresztą z początkiem roku nadarzyła się samym kanonikom dobra sposobność nawiązania z nim korespondencyi na temat bieżących stosunków religijnych i wezwania go dla nich do Krakowa. Oto otrzymali od niego w lutym 1557 r. list z relacyą o jego działalności na sejmie i z prośbą o odprzedaż na jego prywatną własność zamku Muszyny, należącego do dóbr stołowych biskupich. W tym samym czasie otrzymali list od prymasa, z daty 8. lutego, w sprawie synodu dyecezyalnego krakowskiego i prowincyonalnego polskiego, który chciał prymas ogłosić celem uchwalenia kontrybucyi kościelnej, przyrzeczonej królowi na sejmie przez biskupów na wojnę inflancką.[1]) Napisali tedy dnia 19. lutego list do Zebrzydowskiego. W liście tym podziękowali mu na wstępie za jego starania podjęte na sejmie w interesie religii, podnieśli, że na szczególniejszą wdzięczność z ich strony i ze strony całego duchowieństwa zasłużył sobie za znakomitą mowę swoją, wygłoszoną na sejmie z niezwykłym zapałem i talentem w obronie religii i stanu kościelnego, donosili, że o mowie tej opowiadali w kapitule wiele bracia kanonicy, archidyakon krakowski Fil. Padniewski i proboszcz krakowski Jan Przerębski, podkanclerzy koronny. Ale mimo tej wdzięczności i uznania zasług jego, położonych na sejmie, odmówili w dalszym ciągu listu prośbie jego, dotyczącej odprzedaży zamku Muszyny, jako przeciwnej ustawom Kościoła krakowskiego, zaprzysiężonym przez nich i przez niego zatwierdzonym: dóbr kościelnych przecież rozsprzedawać nie wolno. W końcu donosząc mu o liście prymasa i załączając dla niego jeden jego egzemplarz, w te odezwali się słowa: „Prosimy Waszą Wielebność, o co proszą też inni senatorowie tutaj bawiący, abyś do nas jak najprędzej przybywał i z nami wspólnie naradził się, gdzie mianowicie i w jakim czasie odbyć należy synod dyecezyalny, tudzież porozumiał się z nami także w rozmaitych sprawach religijnych i kościelnych. Księża bowiem nie tylko doznają przeróżnych krzywd, zwłaszcza pozbawiani bywają swoich dochodów, jak niegdyś, ale co więcej, chłostani niekiedy do ran. Niedawno dwaj kapłani zamkowi, jeden wikary, człowiek już zupełnie zgrzybiały, drugi psałterzysta, zostali przed bramą zamkową bez powodu nagle napadnięci przez Hieronima Myszkow-

[1]) Hos. Ep. nr. 1724, s. 800, przypis. 4. Kor. Zeb. nr. 867.

skiego, i przez jego towarzyszy.[1]) Sam Myszkowski jakąś maczugą żelazną, którą wówczas miał w ręku, powybijał im zęby, pokaleczył wargi i policzki, przytem nałajał ich i zwymyślał sprośnymi wyrazami. Na zamku niejedni księża są policzkowani i za włosy targani. Niedawno też zamordowany został pewien zakonnik z klasztoru hebdowieńskiego.[2]) Taka tu wzmaga się swywola i zuchwałość, bo każdy może sobie robić bezkarnie wszystko, co mu się tylko podoba! Zbiegli się też do nas tłumnie ze wszystkich stron nowatorzy i heretycy, na których czele stoją obaj Wergeryusze, Jan Łaski i inni tego samego gatunku ludzie, urządzają sobie w domach Jana Bonara, pana na Bieczu, zgromadzenia, nikogo się nie boją... A pamięta Wasza Wielebność, jak rok temu dzięki osobistej pomocy i interwencyi Jego, zdołaliśmy wypędzić heretyków z domu Lasockiego, prosimy tedy, byś powrócił teraz do katedry swojej i stolicy biskupiej, ile że to Jego obowiązek.“ [3])

List ten jednakowoż nie zdołał przywabić Zebrzydowskiego do Krakowa. Kapituła pozostawiona swoim własnym siłom i własnemu przemysłowi, radzi sobie sama, jak może. Największą uwagę zwraca na Jana Bonara, prokuratora zamku krakowskiego, który podobnie jak książę Radziwiłł na Litwie, uchodził zawsze za najniebezpieczniejszego i najbardziej wpływowego opiekuna protestantyzmu w Krakowie i w jego okolicy. Pod jego osłoną działy się na zamku i w mieście karygodne ekscesa, których nikt nie umiał i nie mógł poskromić. Jeszcze w grudniu 1556 r. podczas sejmu warszawskiego, dopuścili się w katedrze krakowskiej gwałtu domownicy i dworzanie jego, wpadłszy po nocnej hulatyce nad ranem, ale w nocy jeszcze pijani do kościoła, kiedy wikaryusze katedralni jutrznią śpiewali, narobiwszy hałasu; obrzuciwszy przerażonych wikaryuszów różnemi obelgami i zabrawszy kilka wotów i tabliczek z napisami z przed grobu św. Stanisława, które połamali i wyrzucili precz. Skarga zaniesiona na nich przez kapitułę do Bonara, nie odniosła żadnego skutku, chociaż tenże pozornie

---

[1]) O tych towarzyszach wspominają akta kapitulne z sesyi 17. lutego 1557. przytoczone przez Bukowskiego. T. II. s. 453. W samym liście wzmianki o nich niema: Hieronim czyli Stanisław Myszkowski był starostą malborskim, brat jego to Mikołaj, kasztelan wojnicki, starosta oświęcimski i zatorski, znany nam poplecznik dysydentów.

[2]) Hebdów nad Wisłą w województwie krak., opactwo Norbertanów.

[3]) Kor. Zeb. nr. 867.

przyrzekł wymierzyć sprawcom gwałtu sprawiedliwość.[1]) Natomiast na sesyi kapitulnej dn. 5. marca, kapituła uznała za stosowne wybrać osobną z członków swoich złożoną, delegacyę, która miała czuwać nad postępowaniem samego Bonara i przedsiębrać w jej imieniu wszelkie możliwe sposoby i środki paraliżowania jego wrogiej dla katolicyzmu roboty.[2]) Ale pomysł ten kapituły okazał się bezskuteczny. Bonar otaczał bowiem bez przeszkody opieką swoją Jana Łaskiego, jako najwybitniejszego apostoła nowego Kościoła w Polsce. Niemniej osłaniał swojemi skrzydłami Lismanina, ukrywając go u siebie dopóty, dopóki wreszcie król pod wpływem usilnych prośb wielu wpływowych osobistości, nie zdjął w połowie bieżącego roku z niego wyroku banicyi.[3]) Urządzał też w domach swoich, na zamku i w kamienicy przy ulicy Floryańskiej zebrania religijne, tłumnie uczęszczane przez publiczność ciekawą kazań i nauki Łaskiego i innych.[4]) Otworzył wreszcie w ciągu tegoż roku publiczny zbór protestancki w ogrodzie swoim przed bramą Mikołajską, gdzie dzisiaj szpital św. Łazarza na ul. Wesołej, do którego dnia 17. sierpnia przeniósł się z Chełma Grzegorz Pauli z Brzezin i tam miewał kazania przy wielkiej frekwencyi słuchaczy.[5])

Wśród tej gospodarki religijnej przeróżnych a wrogich dla siebie żywiołów, zacierało się zupełnie poczucie moralności chrześciańskiej, miłości bliźniego, chaos pojęć religijnych zaprawiał serca jadem wzajemnej nienawiści. Na gwałty różnowierców odpowiadali katolicy również gwałtami, które jednak z powodu nieobecności biskupa w stolicy, uchodziły bezkarnie, tworząc tem głębszą przepaść między wyznawcami starej i nowej ewangelii.

Dnia 7. kwietnia katedralni wikaryusze i szkolarze akademiccy, szukając pomsty na Myszkowskim za jego napad na wikaryusza i psałterzystę pod zamkiem, zaczaili się na jego sługi

---

[1]) Z aktów kap. krak., sessio die 23. XII. 1556, przytoczonych przez Bukowskiego, T. II. s. 448.

[2]) Z aktów kap. krak., sessio dn. 5. III. 1557, jak wyżej, str. 454.

[3]) List Utenhovego do ministrów zurychskich z d. 23. VI. 1557 i list Kalwina do niego z października 1557. Corp. Ref. XV. 2652 i 2744 — v. Bukowski. T. II. s. 380.

[4]) Hos. Ep. nr. 1872, przypis. 2, s. 913. z aktów kap. krak.

[5]) Węgerski. Kronika zboru krakowskiego, s. 8. Bukowski, T. II. s. 455, przypis. 1.

i dworzan, idących z Kaźmierza koło kościoła Bożego Ciała i gwałtownie a niespodziewanie na nich napadłszy, poczęli ich okładać kijami, obrzucać kamieniami, lżyć i wymyślać, kaleczyć i ranić, zachęceni do tego obecnością i przykładem samego magistra czyli rektora swej szkoły! Myszkowski złożony wówczas chorobą, odczuł głęboko zadaną sobie zniewagę, ale nie mogąc jej pomścić, wyprawił tylko ze skargą na ekscedentów do kapituły Stan. Wolskiego, kasztelana brzezińskiego. Kanonicy wzięli sobie rzekomo do serca słuszną skargę obrażonego starosty, zapewnili Wolskiego, że choćby ze względu na samego Myszkowskiego, jako zachowującego się zawsze uczciwie i pokojowo (!), dochodzić będą krzywdy jego, wyprawili do niego natychmiast z kondolencyą i przeprosinami krewniaka jego, Piotra Myszkowskiego, scholastyka krakowskiego i kanonika Stan. Górskiego, wybrali zarazem komisyę celem rozpatrzenia całej sprawy, w skład której, oprócz trzech innych kanoników, miał wejść sam rektor Uniwersytetu, kanonik dr. ob. praw Mat. Łęcki.[1]) Ale współczucie kanoników było tylko udane i pozorne. Stan. Górski, ten sam, który miał go w ich imieniu przepraszać, uważając go za heretyka, zdawał się nawet cieszyć, że go los dotknął choroba, czyli jak pisał o niej do Hozyusza — zarazą francuską.[2]) Równocześnie bowiem z zadowoleniem podawał Hozyuszowi wiadomość o nagłej a strasznej śmierci, jaka spotkała dn. 17. kwietnia w Czechach w Giczynie jadącego do Włoch brata jego, znanego nam Mik. Myszkowskiego, kasztelana wojnickiego i starostę oświęcimskiego i zatorskiego — „owego zajadłego heretyka, syna zabójcy księcia pana swego“.[3]) Pisał, że — „najwidoczniej moce piekielne skręciły mu kark, bo wywróciły mu usta i twarz ku grzbietowi tak, że w niebogłosy wrzeszcząc, a raczej jak pies wyjąc, zmarł ten, który przedtem jako bluźnierca kąsał zębami psimi; tak to giną ci heretycy, zbrodniami obciążeni sakramentarze; jego brat, starosta malborski pasuje się tu w Krakowie z francuską zarazą — on także jest heretykiem, mówią, że ledwo dycha...“ — Albo też w październiku, dnia 28. t. m. zdarzył się inny wypadek, mający charakter

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1751, przypis. 4. z aktów kap. krak. podług relacyi St. Gorskiego z dn. 9. kwietnia 1557.

[2]) Hos. Ep. nr. 1751, s. 818.

[3]) Wawrzyńca, kasztelana sandeckiego, który zamordował w r. 1513 księcia oświęcimskiego, Jana.

zbrodniczego świętokradztwa, którego sprawcami byli uczniowie akademickiego gimnazyum krakowskiego a przedmiotem żałobny kondukt pogrzebowy według obrządku ewangelickiego. Świętokradztwo owo skutkiem spaczenia ówczesnych pojęć religijno-moralnych było traktowane w sferach katolickich lekceważąco i pobłażliwie. Miała być pochowaną żona Filipowskiego z Chrzęcic, z domu Glińska, p. v. Niemeszta, zmarła w połogu w Krakowie. Studenci, namowieni przez kogoś, zebrali się tłumnie przed domem żałoby przy ulicy Wiślnej i tu, kiedy Filipowski sprawować począł przy zwłokach zmarłej zwykłe ceremonie pogrzebowe, nie uszanowawszy majestatu śmierci, poczęli wyzywać go i naigrawać się z niego wobec wielu krewnych i przyjaciół szlachty płci obojga, niemniej licznej gawiedzi, ciekawej niezwykłego widowiska, poczem, gdy kondukt ruszył, obrzucać biorących w nim udział błotem, kamieniami, okładać kijami, lżyć i wymyślać, szczególniej zaś pogrążonego w smutku i żałobie samego Filipowskiego, któremu nawet ośmielił się jeden z nich, niejaki Urowiecki, wymierzyć na rynku policzek. Filipowski, nie chcąc wszczynać walki przy zwłokach żony wśród miasta, zniósł z pokorą zniewagę publiczną i poprowadził kondukt dalej. Ale studenci rozzuchwaleni tą pokorą jego, postanowili nie dopuścić do pogrzebu. Za murami miasta na cmentarzu podnieśli ogólne hasło do boju, zawrzała też około ciała nieboszczki krwawa walka. Filipowski i towarzysze obici i pokaleczeni, musieli ustąpić przy zwycięzkich okrzykach i gwizdach rozszalałej młodzieży, która uniesiona łatwem zwycięstwem, znieważyła w końcu same zwłoki, wyrzuciwszy je ku wiecznej hańbie precz z cmentarza![1]) Opinia protestancka składała winę tego zajścia na księży, którzy mieli niegodziwie i lekkomyślnie buntować studentów, a później nawet na samego Zebrzydowskiego, jako zdawna znanego z nienawiści do Filipowskiego i jego żony. Raz, gdy tenże pojawił się w Krakowie podczas jego obecności, kazał trzykrotnie uderzyć jakby na pożar w wielki dzwon Zygmunta, czem zwrócił uwagę tłumu na jego osobę, rzekomo niebezpieczną dla publicznego spokoju; na cześć żony jego rzucał oszczercze podejrzenia, a teraz miał głosić, że powiła monstrum o trzech głowach i ogonie — i to nie z prawego sto-

[1]) Hos. Ep. App. nr. 80, Lubieniecki, s. 53—54, Węgerski, s. 229—230, Kronika zboru krak. s. 7.

sunku.[1]) Ale rzeczywistych sprawców tego gwałtu nie wykryto nigdy, chociaż Filipowski nie zaniechał dochodzić swej krzywdy. Z powodu nieobecności Zebrzydowskiego w stolicy, zaniósł z swymi przyjaciółmi i krewnymi w parę tygodni po wypadku skargę przed forum kapituły. Dnia 19. listopada odbyło się więc oficyalne posłuchanie na nadzwyczajnej sesyi kapitulnej, na której jawiło się z Filipowskim koło stu braci szlachty. Był tam Jan Bonar, Baltazar Łukowski, Stan. Lasocki, Stan. Myszkowski, Seweryn i Fryderyk Bonarowie, Piotr Zborowski, wojewodzic kaliski, St. Iwan Karmiński, Gliński, Rayski, Jordanowie i wielu innych. Wszyscy stali z powodu natłoku i braku miejsca w sali. Pierwszy z szlachty przemawiał Balt. Łukowski, po nim Filipowski, potem Bonar, a po tych trzech głównych mowcach przemawiało wielu innych bez wyraźnego porządku. Wszyscy jednak skarzyli się jednogłośnie na bezprzykładną zuchwałość studentów — opowiadali szczegółowo cały przebieg ich zbrodni — *istius tragoediae* — a z całą stanowczością twierdzili, że popełnioną została przez nich pod wpływem namowy ze strony jakichś niegodziwych podżegaczy. Prosili tedy, aby kapituła wdrożyła w tej sprawie energiczne śledztwo i ujęła się za krzywdy Filipowskiego, w którego osobie cała szlachta ziemi krakowskiej została obrażoną. W imieniu kapituły odpowiedział szlachcie scholastyk Piotr Myszkowski. Wyraził wprawdzie głęboką Filipowskiemu kondolencye, ale oświadczył zarazem, że kapituła, jako taka, nie ma prawa pociągać studentów do odpowiedzialności, jako nie należących do jej jurysdykcyi, a może tylko, jeśli się pokaże, że młodzież zbuntował który z kanoników (!), wytoczyć temuż proces i przykładnie go ukarać...[2]) Na tej pustej komedyi posłuchania i obietnic, skończyła się ta haniebna sprawa — *ista tragoedia!* Charakterystycznem jest przypuszczenie Myszkowskiego, że zbuntować mógł młodzież do takiej niemoralnej i niereligijnej burdy namówić — jeden z kanoników! Charakterystyczne jest także usuwanie się kapituły od wymierzenia surowej sprawiedliwości samym ekscedentom z powodu braku kompetencyi i władzy. Chociaż nie było biskupa w stolicy, do którego jako do kanclerza Uniwersytetu

[1]) Lubieniecki. s. 52.

[2]) Hos. Ep. App. nr. 80. Nobilitatis Cracoviensis querela — 1557 Novembris. 19. Cracoviae. — Filipowski nosi w tym dokumencie imię Stanisława, tak samo Myszkowski, zamiast Hieronima.

należało sądownictwo akademickie, zostawał sam urząd, który powinien był podczas jego nieobecności funkcyonować, urząd, który pełnili właśnie członkowie kapituły w zastępstwie jego. Jeśli tedy kanonicy umywali z rozmysłu od wszystkiego ręce, okazywali tem zupełny brak dobrej woli, niejako tolerowali bezprawie, jawne świętokradztwo, o pomstę do Boga wołające. Jak je istotnie sobie lekceważyli, świadczą także ironiczne słowa jednego z nich, oficyała Piotra Porębskiego, zachowane w liście jego do Hozyusza z 6. listopada b. r.: „Prosiłem Kromera". — pisze Porębski, dotknięty wówczas podagrą, — „aby w mojem imieniu opisał Waszej Wielebn. zabawny pogrzeb, jaki szkolarze w dzień św. Szymona i Judy odprawili: pochwalić należy, że rzecz ta odbyła się bez zabójstwa i krwi![1]) Bezwątpienia tak samo cieszyli się w duchu pogromem heretyków inni dostojnicy kościelni. Stan. Dąbrowski, kanclerz arcybiskupi, pisał o nim do Hozyusza w ten sposób: „Jak mniemam, słyszał Wasza Wielebność o owej tragedyi albo że tak powiem o wojnie, jaką prowadzili niedawno szkolarze krakowscy z heretyckimi luteranami o pogrzeb niewiasty heretyckiej, niegdyś żony Niemsty, potem Filipowskiego, jak się też rozprawili z nimi i z samymi zwłokami podług tego, na co sobie zasłużyli, chociaż ci szkolarze byli to raczej chłopcy, niż uczniowie starsi. Długo by o tem pisać, jak ich dzielnie ścigali od placu św. Anny aż po za kościół Floryana i mury miasta, obrzucając ich błotem, kamieniami itp. Luteranie, acz ich było wcale nie mało, nie potrafili oprzeć się tym chłopcom!..." [2]) Podniósł tedy ten postępek studentów do aktu heroizmu, pewnej brawury i obowiązku katolickiego — zamiast go potępić i zganić. Być może chciano w sferach duchownych tą pobłażliwością i wyrozumiałością dla zbrodni studentów dać do poznania, że gdyby biskup Zebrzydowski był obecny w Krakowie, byłby z pewnością Filipowskiej wzbronił sam chrześciańskiego pogrzebu i miejsca na cmentarzu! Na taki czyn zdobył się z początkiem bieżącego roku ku ogromnemu zadowoleniu, niemal zachwytowi Hozyusza, Tomasza Bonawentury, kaznodziei królowej, i innych — biskup wileński Waleryan Protaszewicz.

W styczniu czy w lutym umarło było kilku znakomitych dworzan królewskich. Stało się to podczas nieobecności króla. Między nimi zmarł bogaty Morsztyn, pochodzący z znanego rodu

[1]) Hos. Ep. nr. 1876.

[2]) Hos. Ep. nr. 1899, list z 24. grudnia 1557.

mieszczańskiego krakowskiego, cieszący się szczególniejszymi względami króla. Protaszewicz wszystkim tym dworzanom, nawet Morsztynowi, odmówił pogrzebu i cmentarza katolickiego, jako zmarłym w schyzmie a komunikowanym przed śmiercią według obrządku ewangelickiego. Ciała ich zostały porzucone ku wiecznej hańbie kędyś w górach po za miastem. Biskup twierdził, że na taką hańbę heretycy zupełnie sobie zasługują. Jeśli bowiem nie chcą komunikować się z katolikami za życia, nie powinni mieć z nimi nic wspólnego po śmierci. Morsztyn miał leżeć cały tydzień niepogrzebany.[1]) Czekano na powrót króla do stolicy. Aliści napróżno wstawiało się za zmarłym u biskupa wiele wpływowych osób, napróżno zadawał sobie trudu Radziwiłł, usiłując wpłynąć na króla, by nie cierpiał tej zniewagi, wyrządzonej jego dworzanom,[2]) napróżno też interweniował sam król, biskup bowiem, który, jak mówił, ważył się na ten krok po głębokim namyśle, nie dał się ugiąć, najmocniej przekonany o tem, że spełnia ważną a święta powinność pasterską, że stanowczą wolą swoją podnosi zarazem swoja jurysdykcyę i władzę. Wobec tego trzeba było zemścić się na upartym biskupie. Zrezygnowano ostentacyjnie z pogrzebu i cmentarza katolickiego i urządzono zmarłym wspaniały pogrzeb według obrządku ewangelickiego. Kondukt prowadził Radziwiłł przy udziale mnogich tłumów szlachty i mieszczaństwa wileńskiego śród żałobnych śpiewów ewangelickich, śpiewanych po polsku, aż po za miasto, gdzie pochowano zwłoki na terytoryum książęcem. Mimo to jednak postępek Protaszewicza wzniecił pewien popłoch w kołach dysydenckich, zwłaszcza chorzy na wieść o nim woleli przyjmować przed śmiercią komunię katolicką, niźli narażać pozostałych krewnych na kłopoty i przykrości ze strony ordynaryatu z powodu swego pogrzebu. Fakt ten poczytywano za wielką wygranę sprawy katolickiej, gratulowano dzielności i odwagi cywilnej mężnemu biskupowi! Hozyusz widział w nim przyszłego pogromcę „satanizmu“ w Polsce. Uznawał trafnem jego rozumowanie, że odłączający się od związku z Kościołem za życia, nie powinni mieć z nim nic wspólnego po śmierci. Wszak heretycy sami siebie potępiają, usuwając się od zgromadzenia pobożnego, nie chcąc z niem łączyć się, ołtarz przeciw oł-

[1]) Hos. Ep. nr. 1707, list Bonawentury Tomasza do Hozyusza z 11. lutego 1557.

[2]) Hos. Ep. nr. 1724, list Hozyusza do Lippomana, z połowy marca 1557, s. 799.

tarzowi stawiając, katedrę przeciw katedrze budując. Po co na nich ekskomuniki, po co interdyktów, sami się wyrzekają swoją dobrowolną ekskluzywnością wszelkich obrzędów świętych, trzeba tylko o tem pamiętać i ekzekwować na nich kary, które na siebie ściągają. Właśnie pamięta o tem biskup wileński, usiłuje wdrożyć w swej dyecezyi owieczki do dyscypliny kościelnej, za co mu chwała i cześć. Zaiste, należy zwalczać zdaniem jego wszelkie przeszkody, wszystko ścierpieć, nawet pod groźbą wygnania lub śmierci nie uchylać się od obowiązku pasterskiego. Zachęcał więc Protaszewicza do dalszych wysiłków dla dobra Kościoła, przypominając mu o zaszczytnej wzmiance, jaką go miał wyróżnić z pośród biskupów Rzptej nuncyusz Lippoman, zapewniał go w końcu, że heretycy zwyciężeni jego wytrwałością i gorliwością, spokornieją, ulegną i wrócą na drogę prawdy...[1])

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Dalszy ciąg nastąpi).

[1]) O czynie Protaszewicza: Hos. Ep. nr. 1707. 1717, 1724, 1773 i in.

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ VIII.

Co zawiera w sobie wyraz „wojna“? — Wymarsz mego pułku z Warszawy. — Smutne wiadomości ze stolicy. — Przyjęcie wysłańców do pułku w Pułtusku. — Założenie opisu wojny roku 1831. — Marsz do Wyżkowa. — Rozłożenie wojsk naszych. — Dowódzca wysyła mnie po wiadomości na granicę do Ciechanowa. — Jak postąpiłem. — Powtórny marsz do tego miasta z oddziałem. — Wkroczenie Rossyan do Królestwa. — Pierwsze spotkania i potyczki zwycięskie pod Steczkiem i Dobrem. — Środek i skrzydła wojsk naszych cofają się ku Warszawie. — Noc spędzona z dnia 18. na 19. lutego, na polach pod Wawrem. — Opowieści przy ognisku obozowem. — Wigilia bitwy. — Krajobraz jej położenia. — Antoni Dobrzelewski, oficer artyleryi. — Bitwa pod Wawrem. — Pięć dni przerwy boju. — Krytyka rozporządzeń sztabu głównego polskiego. — Potyczka pod Nową Wsią. — Opis bitwy pod Grochowem. — Mordercza walka o lasek Olszyny i jego obrona. — Generał Żymirski zabity. — Chłopicki ranny. — Generał Krukowiecki pod Białą Łęką. — Atak kirysyerów rossyjskich na nasz środek i ich zgromienie. — Wojsko polskie w nocy na 26. lutego opuszcza plac boju. — Załoga ufortyfikowanej Pragi. — Generał Skrzy-

necki mianowany naczelnym wodzem przez Sejm. — Feldmarszałek Dybicz cofa się z główną swą armią z pod Warszawy. — Biorę udział w korpusie partyzanckim — Co z tego wynikło.

Mowa ludzka, ten dar Boży człowiekowi dany, wiekami przezeń uprawiany, powtórzony w piśmie, które on wynalazł, posiada najrozleglejszą w każdym wyrazie obrazowość. Kiedy więc powiem lub wyrzeknę „wojna“, to w tem wymówieniu wyobrażam na raz jeden, dwa nawały ludów sobie nienawistnych, idące przeciw sobie, by się mordować wzajemnie. Całe pobojowiska zasłane trupami, zalane krwią ludzką... Zgliszcza miast i siół spalonych... stratowaną pracę rolnika... a potem długie lata usiłowań, by zatrzeć skutki tej zajadłości.

Ten to wyraz „wojna“ rozległ się od połowy stycznia 1831 roku po całej Polsce, aż do ostatnich jej granic i wstrząsnął sercami garstki jej obrońców. Wychodziły z Warszawy za Wisłę pułki za pułkami, z wesołym okrzykiem i pieśnią... a nad tą masą ludzi zdrowych i silnych anioł śmierci rozwinął rozległe swe skrzydła, rachując tych, co już wrócić nie mieli.

Dnia 19. stycznia pułk strzelców konnych gwardyi, w którym służyłem, otrzymawszy numer 5-ty jazdy polskiej, wyszedł z Warszawy — i dobrze przygotowany. Broń opatrzona, konie świeżo okute, przy każdem siodle para podków zapaśnych, żołnierze dostali pod płaszcze krótkie półkożuszki, do ładownic po trzydzieści ostrych ładunków. Pierwszy etap był w Serocku, na dzień drugi sztab pułku stanął w Pułtusku, szwadrony w okolicy. Pluton, którym dowodziłem, zajął kwatery we wsi Czarnostawiu.

Mnie przyjął we dworze staruszek Pomianowski, właściciel tego majątku, którego zwano szambelanem, i był nim podobno za czasów króla Stanisława. Czas był mroźny, śniegi wielkie, zima się srożyła.

Przyszły gazety a z niemi wiadomość o usunięciu się generała Chłopickiego od sprawy publicznej, i złożeniu dyktatury w ręce zebranego już Sejmu. Natychmiast pojechałem do Pułtuska dowiedzieć się bliżej co się dzieje. Zastałem oficerów naszych w rynku przed odwachem zebranych, trzymanym przez naszych szasserow, smutnych, gniewnych, zrozpaczonych nawet. Oddalenie się Chłopickiego przypisywali burzliwości zapaleńców, a głównie Klubowi patryotycznemu, wielowładnemu wówczas na bruku warszawskim. Dziwiliśmy się, że go nie rozpędził, wystrzelać nie rozkazał. Trudno nam było na razie inaczej sobie tę ka-

tastrofę wytłómaczyć. Chłopicki tak naszem jako i wojska był bożyszczem; nie wiedzieliśmy o jego bezwzględnem postępowaniu.

Kiedy tak radzimy i rozprawiamy, od warszawskich rogatek pędzi bryczka pocztowa, staje nieopodal od nas, a z niej wysiadają dwaj młodzi ludzie, niby wojskowi, dziwacznie ubrani. Zbliżają się hardo do nas, a jeden z nich biorąc się pod bok zapytuje: czy tu kwateruje dawny pułk strzelców konnych gwardyi? Kapitan Gotardowski odpowiada, że tak jest... a wskazując mieszkanie pułkownika Jagmina, oświadcza: że jeśli przybywają z jakowym rozkazem, mogą się do niego udać.

— Nie — mówi jeden z nich, — nie mamy żadnych rozkazów... przybyliśmy jako wysłańcy, ducha wam naprawiać!...

Oniemieliśmy wszyscy, wzruszeni dopiero co prowadzoną rozmową, i mimowolnie otoczyliśmy tych zuchwalców. W tem Gotardowski rzuca się jak wściekły na śmiałka, porywa go wpół, a że był silny, jednym zamachem przerzuca go przez baryerę odwachu. „Pięćdziesiąt płazów w plecy wyliczyć temu durniowi!“ — zawołał. Jeszcze nie skończył, już go szassery wzięli pomiędzy siebie... a mszcząc się za ubliżenia w Warszawie doznawane, sypali mu razy jedne po drugich. Wił się, jak wąż, nieborak, jęczał w niebogłosy; drugiemu, blademu ze strachu, że się nie odzywał, przebaczono. Wrzucono obu na bryczkę, pocztylion zatrąbił i umknął z miasta.

Użyliśmy przynajmniej jednego zadowolenia. Odtąd już nikt nie przybywał ducha nam naprawiać.

Wzmiankuję o tem zdarzeniu, aby dać miarę o bucie i zarozumiałości tej rozhukanej młodzieży, która umiała szumieć po brukach stolicy, a później, gdy przyszło bić się z nieprzyjacielem, w większej części prochu wąchać nie chciała. Ale zawsze są tacy!

Przystępując do sprawozdania o wojnie roku 1831, zastrzegam sobie głównie opis działań pułku, w którym służyłem, a tem samem opis tego, com widział naocznie. Nie pominę obrotów korpusów i oddziałów naszych, jakie w innych punktach tego teatru walki operowały; wszystko zaś czerpać będę z pamięci i notat, jakie w różnych zbierałem czasach. W krytykę strategiczną mało się będę wdawał, nadmienię jednak o tem, jaki sąd ogólny o prowadzeniu tej wojny, doświadczeni oficerowie, z którymi żyłem, wydawali, oraz jak ja dziś ją pojmuję.

Jeżeli zaś targnę się z osobistem zdaniem, będzie to wynik obecnego mego zapatrywania się. Zamierzałem opisy bitew i ich

następstwa poprzeć raportami, jakie wódz naczelny Rządowi narodowemu składał, które ten Rząd w pismach publicznych ogłaszał; nie zdołałem jednak nigdzie ich odszukać. Z boleścią wyznam, iż ich nie uszanowano, ułamki więc tych wspomnień są dziś dla nowego pokolenia zupełnie zatracone.

Niedługie były nasze kantonamenta w okolicach Pułtuska. Pułkowi dano rozkaz posunięcia się do Wyżkowa. Marsz ten był utrudzający, mróz dokuczliwy, śniegi głębokie. Wiarusom sople lodu u wąsów wisiały, dla rozgrzania się często schodziliśmy z koni i postępowali pieszo. Starsi oficerowie mówili: „to coś podobnego do odwrotu z Moskwy w roku 1812". W Wyżkowie pułk ciasno się rozłożył; mnie z półszwadronem dostała się karczma pusta z zajazdem o wytłuczonych oknach za miastem położona. W niej odbyłem pierwsze próby mego kucharstwa, gotowałem pożywienie dla kolegów, sypialiśmy na gołej podłodze, paląc całe noce na kominie.

Spodziewając się najścia wojsk rossyjskich od granic obwodu Białostockiego, wojska nasze rozciągnęły się od Narwi do rzeki Liwiec. Na tej długiej linii generał Krukowiecki trzymał lewe skrzydło, Żymirski prawe od Liwca, Skrzynecki środek. Liczyliśmy pod bronią 44 batalionów piechoty, 60 szwadronów jazdy, armat 140 — ogółem przeszło 50.000 żołnierza, ożywionego najlepszym duchem! W górze Wisły, w niejakiej od Kozienic odległości, obserwował na lewym brzegu tej rzeki mały korpus, składający się z sześciu batalionów piechoty, w większej części z nowo zaciężnego żołnierza, i z 28 szwadronów jazdy dobrej, do których powołano dymisyonowanych z przed roku 1830. Tu dowodzili generałowie Sierawski (mój ojciec), Dwernicki i Dziekoński. — W twierdzy Zamościu, były cztery bataliony piechoty starej, w Modlinie trzy. Pułk nasz należał do wojsk dowodzonych przez generała Skrzyneckiego; wysunięto go naprzód środka, jak już powiedziałem, do Wyżkowa.

W parę dni wezwany do mego pułkownika, odbieram rozkaz udania się sam i bez eskorty, przez miasteczka Brok i Nur do Ciechanowca, mieściny nad samą granicą położonej. W przejeździe uważać na stan dróg i mostów; wszędzie zbierać wiadomości o położeniu i siłach wojsk rossyjskich tuż za granicą obozami stojących; gdyby się dało, zlecił mi pułkownik wysłać szpiegów do Ciechanowca, na ich wynagrodzenie doręczył mi złotych 300.

W owym czasie w każdej wsi i miasteczku stały gotowe furmanki dniem i nocą, które podawane depesze lub rozkazy ja-

dącymi oficerami odwoziły; takiemi to podwodami na saniach ośm mil jednego dnia ujechałem. Pod Nurem, zmieniając konie u właściciela wsi, dowiedziałem się, że w tem mieście jest burmistrzem dymisyonowany nasz oficer i dobrze myślący. Udałem się do niego — mało co on wiedział, ale oświadczył mi, iż nazajutrz pojedzie ze mną do Ciechanowca, że tam ma związki i znajomości, tem samem będzie można o czemś się dokładniej dowiedzieć. Zgodziłem się na to: na dzień drugi odmieniwszy naboje w pistoletach, z burmistrzem uzbrojonym w dubeltówkę i szpadę, dzielną trójką podlaskich koni wnet przelecieliśmy dwumilową drogę do Ciechanowca.

Miasteczko to właściwie składa się z dwóch części — jedna na naszej stronie, druga już za granicą, przedzielona rzeczką Nurzec, na której rzucony most łączy je obiedwie. Wjeżdżamy na rynek przed mieszkanie burmistrza, gdzie zarazem i poczta była. Na widok oficera polskiego, w kasku z orłem białym, wnet zbiegli się w znacznej liczbie mieszczanie, a głównie ciekawi żydzi. Wchodzimy do kancelaryi, zrywa się z krzesła stary jakiś burmistrz, a załamując ręce zmieszany mówi: „na miłość Boską! Co tu pan robisz?... wszakże tu Moskale stoją ztąd o kilkanaście kroków za mostem!“ — „Czy wchodzą do miasta?“ — pytam. — „Wchodzą — mówi — pojedyńczo po tytoń i chleb, mogą pana zabrać, jak kilka dni temu schwycili ztąd niedaleko jakiegoś oficera od ułanów“. — „No... może w tej chwili nie przyjdą“ — odrzekłem. Biorę go do drugiej izby i badam, ale tylko wiedział, że wielkie wojska rossyjskie są wyciągnięte na samej granicy, obozują na polach, i lada dzień wkroczą. Po powrocie do kancelaryi uderzył mnie widok młodego człowieka, z jakiemś nieopisanem uwielbieniem na mnie patrzącego: był to pisarz miejscowy. Znów z burmistrzem z Nura i tym pisarzem osobną naradę odbyliśmy, a po przekonaniu się, że granica nie jest ściśle strzeżona, stanęło na tem, że obaj wyszukają szpiegów, wyszlą ich w nocy za Nurzec. Że ich znalezienie i namowa wymagała czasu, burmistrz radził mi natychmiast wracać do Nura, obawiając się, aby mnie nie schwytano, zapewniając, że niedługo za mną powróci.

Nie było co dłużej robić w mieście: siadam do sań, stary burmistrz mnie wyprowadza, tłum żydowstwa wokoło stoi, ruszam z miejsca całym pędem koni, w dobrą godzinę już byłem w Nurze. W nocy burmistrz powrócił i zapewniał, że dowiemy się coś pewnego, szpiegi poszli do obozów rossyjskich z tytoniem na sprzedaż.

Nazajutrz raniutko znów z moim gospodarzem jedziemy do Ciechanowca, pisarz mnie już oczekiwał i doniósł, że szpiegi powrócili. Badani osobno, a był jeden żyd, drugi szewc, zeznali: że za miastem stoi generał Glazenapp, z wojskiem przeszło 25.000 liczącem: armaty wyciągnięte w dwóch liniach około 50-ciu. Inne wojska obozują pod Brańskiem, Sokołowem, Siemiatyczami, Drochiczynem — tych liczba wielka: wkroczenie do Polski naznaczone na dzień 5. lub 6. lutego.

Wynagrodziwszy szpiegów po złotych sto srebrem, umykamy z miasta. W Nurze nim się posiliłem, nim konie zaprzężono, dogania mnie ów pisarz z Ciechanowca z małym węzełkiem w ręku, prosi i błaga, aby go wziąć z sobą, bo chce iść do wojska. — „A umiesz konno jeździć?“ — pytam... — „A, panie, przecieżem Podlasiak... a strzelam w lot kuropatwy i jaskółki...“ — „No, to jedź ze mną“ — mówię. Tak więc przywiozłem do pułku wiadomość i ochotnika.

Opowiadam memu dowódzcy, com się dowiedział, kazał mi usiąść i napisać raport. Po przeczytaniu pułkownik Jagmin rzekł do mnie: „Poruczniku, dobrze zaczynasz, urodziłeś się, jak widzę, na dobrego oficera“. Raport mój tej godziny w oryginale posłano generałowi Skrzyneckiemu.

4-go lutego w wieczór, znów mnie wzywają do pułkownika: oświadczył mi, że generał Skrzynecki rozkazał powtórnie wysłać mnie pod Ciechanowiec na rekonesans, tym razem z oddziałem dla bezpieczeństwa. Kontent z tego zaufania, w nocy ruszyłem, wziąwszy ze sobą 18 żołnierzy. Postępowaliśmy ostrożnie, co wieś dowiadując się o nowiny. Tak uszliśmy ze 3 mile: w lasach niedaleko Broku słychać daleką trąbkę za nami: sądziłem, że ktoś pocztą jedzie — ale ten głos coraz się przybliża... poznaję w końcu, że to nasz sygnał: „Stój!.. stój!...“ Wkrótce też dopada trębacz pułkowy na spienionym koniu, oddaje mi karteczkę a w niej napisano: „wracać natychmiast — Rossyanie już wkroczyli“.

Wracamy więc małym truchtem oglądając się: w Wyżkowie zastajemy pułk zebrany i gotów: — w nocy wymaszerowaliśmy, cofając się ku naszym liniom: Bug pod Wyżkowem przeszliśmy po moście, zniszczywszy go za sobą. Pod Jadowem, należało przebyć rzekę Liwiec, most był bardzo słaby, odwilż lody osłabiła, trzeba było sznurem po koniu rzekę przechodzić, o kilkanaście łokci poniżej już woda się sączyła. W Radzyminie znaleźliśmy kilka batalionów piechoty naszej i bateryę artyleryi, z tem wojskiem poszliśmy ku Warszawie.

Wojska rossyjskie istotnie kilkoma punktami wkroczyły do Królestwa 6. lutego. Generał książę Szachowski z korpusem grenadyerów przeszedł Niemen pod Kownem, Manderstern pod Grodnem, Pahlen z pierwszym korpusem litewskim przebył Narew pod Tykocinem, Rosen pod Surażem, generał Witt z całą jazdą za Pahlenem. Wielki Książę Konstanty z rezerwami za Rosenem, Kreutz i Gejsmar przebyli Bug pod Uściługiem. Kreutz zajął 9. lutego Lublin i przeprawił się przez Wisłę pod Puławami wkraczając w województwo sandomierskie, Gejsmar posunął się aż do Siennicy, jakie mil siedm od Warszawy. Tak Dybicz, ruszywszy z Białegostoku, gdzie miał główną kwaterę, gromadził pod Warszawą przeszło 90.000 żołnierza i więcej jak 200 armat. Postanowił nie czekać na nadejście korpusu grenadyerów pod Szachowskim, stoczyć z nami jedną walną bitwę, wziąć Warszawę i skończyć od razu z polskiem powstaniem.

Pierwsze kroki wojenne rozpoczęły się na dalekiem naszem prawem skrzydle: przeciwko wysuniętym naprzód generałom Kreutzowi i Gejsmarowi, nasi generałowie Sierawski i Dwernicki stanęli; ten ostatni przeprawiwszy się pod Magnuszewem, w kilka batalionów piechoty, sześć dział i sześć szwadronów Krakusów, oraz siedmnaście starej jazdy, pod miastem Stoczkiem, rozbił zupełnie Gejsmara, ubił mu i wziął do niewoli przeszło 1.000 żołnierza, uchwycił jedenaście armat, poczem wrócił za Wisłę, pod Górą Kalwaryą połączył się z Sierawskim, by iść na Kreutza.

Jednocześnie generał Skrzynecki pod Dobrem, w ośm batalionów piechoty wstrzymał następującego Rosena i również do tysiąca ludzi mu położył. Żymirski na bitym trakcie, do Kałuszyna wiodącym, dwa dni mężnie ścierał się z korpusem Pahlena. 18. lutego podali sobie ręce z swemi dywizyami Skrzynecki i Szembek. Krukowiecki zajął pozycyę pod wsią Kawenczynem już pod Warszawą, reszta wojsk naszych stanęła pod Miłośną, linia druga pod Grochowem.

Pierwsze więc spotkania poszły szczęśliwie. Żołnierz mężnie dotrzymywał placu, szedł w ogień odważnie, cofał się pomału, bo mu tak kazano. Ścieśniał się plac boju pod samą stolicą. Rossyanie, ufni w swą liczbę i przewagę artyleryi, w jednej bitwie spodziewali się nas pokonać, ale na ten raz się omylili.

W marszu pułku naszego pod Okuniew, dowódzca zawiadomił mię, że za ów rekonesans z Wyżkowa do Ciechanowca, wódz naczelny mianował mnie porucznikiem.

Noc dnia 18. na 19. lutego, pułk nasz spędził na pierwszej linii, obozując na polach, prawie na prawem skrzydle wojsk naszych. Przed temi polami szeroko się rozpościerały lasy Miłośne zasłaniające, przy nas obozowała baterya artyleryi pieszej. Od naszego lewego, obszernym łukiem wojska przecinały trakt bity do Mińska i w dali łączyły się z dywizyą Krukowieckiego pod Kawenczynem. Mieliśmy tę korzyść, że mniejszy łuk koła zajmując, znaglaliśmy nieprzyjaciela do szerokiego przed nami rozwinięcia się, a tem samem siły się równoważyły.

Noc była ciemna i mroźna — ziemia zmarznięta, świeżo ucięte drzewo z okolicznych zarośli palić się nie chciało, — bitwa na dzień następny była zapowiedziana.

A wiesz ty, czytelniku, co to jest wigilia, noc ostatnia niezawodnej bitwy, w której pierwszy raz masz wziąć czynny udział?... Jeśliś kiedy był wyzwany lub wyzywający do osobistego starcia z przeciwnikiem, to coś podobnego doświadczałeś, ale w małym rozmiarze. W takowej pojedyńczej rozprawie wiąże cię twój honor. Tu idzie o honor i sławę twej Ojczyzny, o sprawę twych rodaków: jeśli pojmujesz ten obowiązek, w zimnem skupieniu ducha twego potęgujesz go w sobie. Miłem ci jest wprawdzie to życie, przypominasz sobie daleką swą rodzinę, przyjaciół, miejsce urodzenia, przeszłość swą całą. Niepewny, czy jutro obaczysz zachód słońca, żegnasz wszystko co ci drogiem było... wolno ci zatęsknić za twymi ukochanymi. Ale pomału, jeśli w twej piersi chrobre bije serce, górować zaczyna pojecie powinności dla kraju i gotowość spełnienia najszczytniejszej z twej strony ofiary, bo życia. — Podniesiesz siłę moralną do potęgi, i powiesz sobie: „będę mężnym, bom powinien -- a jeśli Bóg mnie powoła do siebie po upływie tych kilkunastu godzin, krew moja rozlana będzie jedną kroplą więcej do tej strugi, jaką ojcowie moi w tej świętej sprawie wytoczyli — i wsiąknie ona w tą rodzinną ziemię moją!“ — I zmężniejesz sercem, wzmocnisz się duchem i ciałem... a pamięć, że ktoś z bliskich wyleje łzę po tobie, będzie ci pociechą.

Owej nocy byłem na służbie w pułku; po obejściu kilkakrotnem szwadronów w kolumnie ściśniętych, po spożyciu skromnej strawy w kociołku sporządzonej, siadłem przy ognisku mego oddziału, tuż moi żołnierze to leżąc to siedząc, drzemali lub rozmawiali. Konie chrupały owies w sakwach, cisnąc się łbami do ognia, bo mroźny wiatr dokuczał. Wedety nasze zdala się

odzywały, w lasach Miłośny szeroka łuna ognisk obozów rossyjskich świeciła.

— „Poruczniku! — odezwał się jeden z moich wesoło — będziemy się bić jutro?“

— „Będziemy — odpowiadam. — Rachujcie chłopcy na nas oficerów, pojedziemy przodem, zobaczycie... jeśli rozkażą iść do szarży na kawaleryę, pamiętajcie trzymać konie w cuglach, a ostróg nie żałować... jak ją dojdziemy, szablami młynka gęstego w lewo lub prawo: odbijesz cięcie lub lancę ułana, to przez łeb przeciwnika, a głównie nie rozpraszajcie się, szlusujcie do siebie kolano do kolana. W pojedynczem starciu, zawsze przeciwnikowi zajeżdżajcie z lewej jego strony, cięcie jego będzie trudniejsze, a ty łatwiej mu krwi dobędziesz. A może na piechotę lub armaty, nachylić się wtenczas nad karkiem koni — wystrzelą... wpaść na nich całym pędem, stratować... a jak wywiercim w nich dziurę, skoczyć w nią tłumem, a rąbać co sił po łbach i bagnetach — pchać się głębiej — rozbijem ich niezawodnie!... tak uczą starzy nasi oficerowie.“

Słuchały wiarusy z największem zajęciem, a wąsate ich oblicza, ogniskiem oświecone, istotnego męztwa obraz przedstawiały: któryś się odezwał znowu: „już spać nie będziemy... zapalmy fajki“ — i zaczęli sobie opowiadać to i owo, a skończyli jak to zwykle bywa na swoich romansach z Warszawiankami. Mnie przy ognisku zaczęły się sklejać powieki, zdrzemnąłem chwilkę, alem się ocknął natychmiast... „Ot, bajecie bzdury chłopcy — rzekłem. — Abym nie spał, ja wam co opowiem“. Zapanowało milczenie, a ja po namyśle zacząłem:

„Za dawnych bardzo czasów, bo lat temu czterysta — królowa u nas była prześliczna dziewczyna — a mówię dziewczyna, bo była młodziutką panną — na imię jej było Jadwiga. Polska nasza nie posiadała jeszcze tak obszernych krajów, jak później, a graniczna Litwa zostawała w pogaństwie. O rękę Jadwigi starało się wielu niemieckich książąt, kochała z nich nawet jednego, ale naród swój więcej. Gdy się zgłosił książę i władca całej Litwy, Jagiełło, a obiecał z całym swym ludem przejść na naszą wiarę, poszła za niego, i został naszym królem — a Polska wzbiła się w siły. Z Litwą wojowali ciągle niemieccy rycerze, pod pozorem niby jej nawrócenia na chrześciańską wiarę, a w istocie dla zaboru jej krajów i ciemiężenia ludu: broniła się Litwa, ale Niemcy mieli przewagę. Jagiełło zostawszy królem polskim, poszedł na nich z wojskiem polskiem, a pomagał mu Witold, brat

jego z Litwinami. Oba wojska stanęły naprzeciw siebie, na ziemi nam przez Prusaków zabranej pod Grunwaldem. Gdy nasz Jagiełło słucha Mszy świętej, błagając Boga, by mu dał zwycięztwo, Niemcy przysłali mu jakby na pośmiewisko trzy miecze mówiąc, że mu ich brakuje; król je przyjął i rozkazał swoim szykować się do boju. Ruszyli Polacy i Litwini, śpiewając pieśni nabożne, Niemcy hardo i z urąganiem. Bitwa trwała dzień cały, a lubo Niemcy okryci byli pancerzami i w żelaznych hełmach na głowie, rozbił ich zupełnie Jagiełło, położywszy im trupa 40.000 rycerstwa a z nimi ich najstarszego wodza. Odtąd już Niemcy nie tylko nas szanowali, ale się i bali. A Litwa połączyła się z Polską i wierną nam dotąd pozostaje."

— „I to prawda, panie poruczniku?" — odezwał się któryś?...

— „Taka prawda, jakbyś tam był... w katedrze krakowskiej wiszą dotąd sztandary na tych Niemcach zdobyte — a ja widziałem jeden z tych trzech mieczów, jakie oni królowi naszemu przysłali."

Nastąpiło krótkie milczenie, poczem ogólna rozprawa, jak to było, jak bitwa szła, czy mieli Niemcy armaty — to wszystko należało im tłómaczyć. Nareszcie jeden krzepko zrywając się od ogniska na nogi, ze ściśniętą pięścią zawołał: „Będziemy się bić i z Rossyanami, ale wolałbym z Prusakami... oj kiereszowałbym im pyski niemieckie, ażby zębami pluli..."

Gdy się dosyć nagadali... „Ej poruczniku! jeszcze prosimy nam co opowiedzieć, łakomi jesteśmy słuchania..."

— „Dobrze chłopcy — jutro bitwa — o bitwach wam opowiadać będę, ale przyłóżcie gałęzi do ogniska" — spojrzałem, i oto zgromadziło się ze trzydziestu żołnierzy na słuchanie — zapalili fajki, a ja dalej:

„Dawno, dawno, bo już temu będzie lat ze sto piećdziesiąt, Polska miała nietęgiego króla, ale dzielnego hetmana, jak by dzisiaj generała wojsk swoich. Bił okrutnie Turków, którzy nam kawał kraju zabrali i odbił to wszystko. Król umarł a naród polski owego hetmana królem przez wdzięczność obrał. Turcy, nie mogąc z nami poradzić, obrócili się na Austryaków. Zwyciężali ich wszędzie i podstąpili krociami wojsk pod stolicę Wiedeń — z tej cesarz austryacki uciekł, wybłagał u papieża, aby namówił naszego króla przyjść mu w pomoc i chrześciaństwo bronić. Król się skłonił i poszedł w trzydzieści kilka tysięcy Polaków pod Wiedeń i tu się z nim połączyły resztki wojsk austryackich.

Wojska polskie rozłożyły się obozem niedaleko Turków. Król z generałami austryackimi wyjechał na pagórek znaczny, by rozpoznać, jak się wziąć do tych pogan: za nim stała chorągiew, a po naszemu szwadron polskich husarzy. Była to sama szlachta, na dzielnych koniach, w pancerzach i hełmach żelaznych, a w ręku dzidy na cztery łokcie długie z ostrym grotem i chorągiewką.

Król długo się przypatrywał tureckim obozom — a widząc po twarzach obcych generałów, że wątpią, aby im dał radę, zawołał na rotmistrza owej chorągwi husarskiej i mówi: widzisz waść ten wielki i wysoki namiot w tureckim obozie z półksiężycem na chorągwi?

— Widzę, Najjaśniejszy Panie — odpowiada.

— Ruszaj waść z swymi i obal mi ten namiot.

Zdumieli obcy dowódzcy — rotmistrz skoczył do swoich i zakomenderował: Ławnego mości panowie! skrócić cugle! pójdziem z rozkazu króla na Turków! i poszli kłusem: — kiedy się zbliżyli na pareset kroków, wypuścili konie całym pędem, nachylając dzidy rozbijali jedne po drugich te tłumy, mordując wszystkich po drodze — dotarli do owego namiotu — i potem wracali... i czy uwierzycie, w tej strasznej szarży padło ich tylko kilkunastu!... a co pogan wykłuli, tego nikt nie zliczył...“

— „A to chwaty! a to dzielni ludzie! — wołało całe otoczenie... Chyba tego rotmistrza król zrobił generałem i dał mu krzyż?“

— „Nie chłopcy — krzyżów wówczas nie rozdawano, rotmistrz nie został generałem — król mu tylko podziękował, a pokręciwszy sumiastego wąsa, spojrzał wesoło na niemieckich generałów.“

— „A oni co na to?“

— „Osłupieli ze zdziwienia“.

— „Cóż się potem stało?“

— „Król zbił Turków zupełnie, odpędził od Wiednia — cesarz austryacki prawie mu nie podziękował, a Polacy powracając do Ojczyzny, żywność sobie kupować musieli.“

— „Ale jak się nazywał nasz król?“

— „Jan Sobieski — pamiętajcie o tem.“

I długo jeszcze szła gorąca gawęda o Sobieskim i o owym rotmistrzu — jam wstał, obszedł szwadrony. Że dopiero północ była, a do dnia daleko, położyłem się na zagonie; żołnierze z głową derami mnie nakryli — zasnąłem twardo.

Dziś, gdy sobie przypominam ten obrazek obozowy, z dumą wołam: „to był jeszcze żołnierz polski".

Po długich tej nocy godzinach, jaśnieć niebo na wschodzie zaczynało, poprawiono ognisko, mój ordynans nabrał śniegu w kociołek z pobliskiej bruzdy, przystawił do ognia, by mi herbatę przygotować. Wstałem, poszedłem rozbudzić pułkowych trębaczy: niedługo też zabrzmiała pobudka, której głosy szeroko popłynęły po dolinie.

Odezwali się też innych pułków trębacze i bębny piechoty za nami stojącej; obozy zaczęły się ruszać, placówki rozpoczęły swą ranną zmianę, zluzowane zziębnięte, wracały do obozu.

W miarę, jak się rozjaśniało, pomału rozpoznawaliśmy krajobraz, przed nami się rozciągający. Obszerne pole w prawo i lewo roztaczało się, na strzał armatni naprzód, czernił się pas lasu, a w nim luka wyrębu mgłą w głębi zasłonięta: przed naszą artyleryą, jakieś pieńki dość gęsto po polu rozsiane, za nimi pod lasem wzniesienia gruntu o piaskowych łysinach.

W tem miejscu, godnem być uważam wspomnienia, znalezienie się jednego z oficerów artyleryi tuż przy nas stojącej, którego w długie potem lata tu w Piotrkowskiem bliżej poznałem.

Antoni Dobrzelewski, dowódzca skrzydłowego plutonu pomienionej bateryi, równo ze świtem dojrzawszy owe piaszczyste wzgórza pod lasem, powiedział sobie, że na tych wyniosłościach rozwinie się artylerya nieprzyjacielska. Rozkazał przeto podoficerowi swemu ściśle odmierzyć krokami od nich odległość. Podoficer to uskutecznił — zaraz zobaczymy skutki tego trafnego pomysłu.

Około 9 rano, forpoczty nasze pod lasem stojące, zaczęły się w miejscu ujeżdżać, co znaczyło, że nieprzyjaciel się zbliża. Siadamy na koń, pułk się rozwija, artylerya odprzodkowała działa, lonty zapalono.

W niedługim czasie rozpoczęło się strzelanie na forpocztach, kozactwo i jakaś lekka kawalerya uciera się z naszymi. W pół godziny, wychylają się z lasu czoła kolumn piechoty rossyjskiej — artylerya ich staje na wspomnianych wzgórzach i pierwsza rozpoczyna bitwę wystrzałami — nasza baterya jej odpowiada. Komendant jej, rekognoskujący lunetą skutki swej działobitni, przyskakuje do Dobrzelewskiego i woła: „Brawo poruczniku, zdemontowałeś im działo!" — „Będzie tego więcej" — ten odpowiada... sam działa celuje, pilnuje nabicia, grzmią jego armaty, a naprzeciw druga... trzecia się obala. Nareszcie pocisk z granatnika tego

plutonu wyrzucony, trafia w jaszczyk prochowy rossyjski — następuje straszna eksplozya, a za nią zamieszanie... „Vivat Dobrzelewski!“ — wołają oficerowie i kanonierowie naszej bateryi — a ten na to: „tysiąc tyle a tyle kroków dystansu!... mierzyć dobrze!... i salwa całą bateryą!...“ i tak postąpiono — jękła ziemia pod jednorazowym gromem bateryi: gdy dym się rozszedł, ujrzeliśmy jak nieprzyjacielska, zbita na miejscu reszta, co pozostała, w tyły odciągnęła. Dostał Dobrzelewski za to krzyż wojskowy oficerski.

Pod ogniem tak zniszczonej bateryi, straciliśmy kilkunastu ludzi i koni. Ciekawie przypatrywałem się skutkom strzałów armatnich, dziwiłem się warczeniu kul działowych, które to nam przelatywały nad głowami, to puszczane rikoszetem, odbijały się od ziemi, lecąc wściekle w dalszym kierunku. Padła też kula w mój pluton, wyrwała całą rotę... a uderzenie jej w ciało ludzkie lub końskie, podobnem było do plaśnięcia w jakieś ciasto z niezwykłą siłą.

Rossyanie w czworobokach wychodzą z lasu. Nadjeżdża generał Szembek i daje nam rozkaz iść do ataku. Na daną komendę idziemy linią silnym kłusem — dalej galopem, na jakie sto kilkadziesiąt kroków od nieprzyjaciela, rzucamy się całym pędem koni — jeszcze kilka sekund... widzę jak się nachylają ich karabiny... hasło... zagrzmiały strzały, dym chwilę ich zasłonił, aleśmy już dobiegli... pod silnem uderzeniem koni, wywracają się pierwsze szeregi, rąbią nasi... pchają się do środka karabatalionów, broni się piechota bagnetami... jeszcze jedno wysilenie z naszej strony... wdzieramy się w ich kolumny... już rozbici uciekają!... Następuje rąbanina i pogoń, szwadrony nasze się rozsypują — tuż las, który ich zasłania — dalej gonić niepodobna.

Pułk rozbił ze szczętem dwa czworoboki, stracił rannych i zabitych kilkudziesięciu ludzi i koni: porucznik Szamowski, trafiony kulą w twarz, która mu szczękę rozerwała, spadł z konia. Zalany krwią, chociaż mógł iść, bo mu konia zabito, zmylił nieprzytomny drogę, poszedł naprzód i wzięto go do niewoli: podporucznik Ostrowski ranny silnie w bok bagnetem; Edward Tys złamał pałasz na karabinach nieprzyjacielskich.

Na naszej prawej, w gęstych drzewach, gajach i ogrodach Saskiej Kępy, silny rotowy ogień i strzelanina; tam się bije dawny pułk grenadyerów gwardyi naszej, trzymający pozycyę, by nas nie flankowano: pułk nasz wraca na swe stanowisko, uprowadzając rannych; na lewo w środku bitwy i w dali gęste strzały

armatnie świadczyły, że tam się toczy bój zawzięty. W godzinę rozkazują pułkowi iść w środek bitwy: idziemy szóstkami od lewego, znów wchodzimy na linię strzałów innych rossyjskich bateryj, znów obalają się nasze szasery i konie, docieramy do traktu bitego — z prawej i lewej strony szosy stały nasze baterye, silnie odpowiadając artyleryi rossyjskiej: po za naszemi działami należało nam przejść w poprzek szosy, a tu po tej żwirowej drodze, pod krzyżowym ogniem kule przelatywały. Przeszedł czwarty szwadron pułku, zostawiając kupę ludzi i koni; nadchodzę i ja jako prowadzący pierwszy półszwadron trzeciego, widzę ten szlachtuz... „Dalej wiara! — krzyknąłem — szpory koniom i galopem w lewo!...“ W mgnieniu oka przeszliśmy oba burty szosowe, mijamy to fatalne miejsce, dochodzimy do asekuracyi armat, którą trzymała nasza piechota, stojąca z zimną krwią pod ogniem działowym z bronią u nogi. Zamierzamy obejść ją z tyłu frontu, ale piechota woła: „nie tędy szasery!... po przed nami!...“ Zwrócił czoło pułku pułkownik i stępa idąc przed piechotą postępujemy, a muzyka nasza brzmi: „Jeszcze Polska nie zginęła!...“ Na to piechota, jakby jedną piersią wykrzyknęła: „Vivat! vivat! dzielne szasery!...“

Bitwa trwała do samej nocy. Utrzymaliśmy się na wszystkich pozycyach, nigdzie nam naszych linij nie przełamano. Ciemno już było, gdyśmy się cofali na pola Grochowa, na te same pola, tylokrotnie krwią polską w ubiegłych czasach zbroczone. Bitwa ta nazwaną została „pod Wawrem“.

Na noc pułk stanął pod kolumną żelazną przy szosie, na pamiątkę jej usypania postawionej. Pułkownik Jagmin zebrał oficerów, dziękował gorąco, a zwracając się do nas młodych, rzekł: „odbyliście panowie pierwszy chrzest krwi i wojowników, odtąd jesteście starymi żołnierzami“.

W nocy, przy ogniskach, znów gawęda w półszwadronie o dniu ubiegłym, bitwie i opowiadania, żal wreszcie za tymi, którzy tam daleko martwi leżą na ziemi; stary wąsacz się odezwał: „to darmo... gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecieć muszą: przecież nie wszystkich nas wystrzelali“.

Zbiorowo zebrane wiadomości tej pierwszej walniejszej bitwy objaśniły, że Rossyanie wystawili w niej przeszło sto armat i 60.000 żołnierza różnej broni. Straciliśmy w zabitych i rannych do 3.000 ludzi: dwakroć tyle Rossyanie, bo celniejsze były strzały naszej artyleryi i piechoty. Zagwożdżono im dziewięć armat, zdobyto jeden sztandar.

Wysilał się wszelkiemi siłami nieprzyjaciel, aby nam odebrać lasek olszyny, stanowiący środek wysuniętej naprzód naszej linii obronnej i klucz do opanowania dwóch traktów do Warszawy wiodących. Za tą olszyną były obszerne pola, kończące się lasami, jakie Rossyanie zajmowali, z których wysyłali swe kolumny atakowe. Bronił olszyny z nieopisanem męstwem 4-ty pułk liniowej piechoty, flankowany przez dwie bateryе z każdej strony. Szły rossyjskie pułki do ataku masami: rozbite, luzowały wnet inne: póki starczyło korpusu Pahlena, wdzierały się do lasku, ale zawsze z ogromnemi stratami je odpierano. Po południu ustąpił waleczny pułk 4-ty, zastąpiła go brygada generała Giełguda i posiadanie olszyny utrzymała.

W tej to bitwie, nasi ochotnicy wybiegali naprzód i rzucali Rossyanom białe sztandary z rossyjskim napisem: „Za naszą i waszą wolność". Chwytało je nieprzyjacielskie żołnierstwo jako trofea... Karano ich za podniesienie, już ich w następstwie nie ruszało.

Feldmarszałek Dybicz uszanował waleczny opór Polaków; przekonał się jawnie, że temi siłami, jakie miał pod ręką, nie zdoła nas zgromić: postanowił zaczekać na przybycie korpusu grenadyerów księcia Szachowskiego, liczącego 20.000 żołnierza. Cofnął więc znów do lasów swe wojska, wystawił na widok białą chorągiew, porozumiano się, strony walczące zajęły się grzebaniem poległych.

Pięć dni dał nam wypoczynku Dybicz, co przekonywało o jego niemocy. Mieszkańcy Warszawy wysypali się, przywożąc lub przynosząc wojsku swemu obfitą żywność i dziękczynienia; obozy ludnością się zdwoiły, bo sądzę, że z miasta przybyło ze 30.000 kobiet i mieszczan. Obozowaliśmy na prawem skrzydle — od Wisły i Saskiej Kępy generał Szembek. — Żymirski trzymał olszynę, przy nim Skrzynecki — na lewem od Białołęki generał Krukowiecki, niżej ku Warszawie, kawalerya Tomasza Łubieńskiego i Umińskiego, który zdołał uciec z pruskich więzień i przybył walczyć z nami.

Ówczesna krytyka wojenna zarzucała, że należało korzystać z czasu i w oczekiwaniu drugiej walnej bitwy, wzmocnić naszą linię bojową polowemi fortyfikacyami. Mówi ona również, iż koniecznem było nie dopuścić połączenia się korpusu grenadyerów Szachowskiego z Dybiczem, który dopiero nadchodził: zresztą uważano, że wydanie drugiej, a energiczniejszej ze strony Rossyan bitwy pod Grochowem, mając za sobą szeroką Wisłę już ze sła-

bym lodem i o jednym moście w razie pogromu, mogło zgubić naszą armię. Chłopicki, który był radą naczelnego wodza Radziwiłła i sam nieledwie bezpośrednie wydawał rozkazy, pominął te uwagi, a może też nawet do myśli mu nie przyszły.

Tego samego dnia 19. lutego, połączeni generałowie Sierawski i Dwernicki, pobili wojska generała Kreutza pod Nową Wsią, niedaleko Kozienic i zmusili je do cofnięcia się za Wisłę w Lubelskie.

Szedł tymczasem pospiesznym marszem Szachowski, przednie jego straże zajęły Zegrz; Dybicz zamierzył dać mu niejaki wypoczynek, ale stało się inaczej.

Jaskrawo zeszło słońce zimowe 25. lutego, dopalały się nasze ogniska obozowe; żołnierz spożył przededniem co miał, konie napasiono, staliśmy przy nich pieszo, oczekując rozkazów: nadeszły też wkrótce, przeszliśmy na zupełne lewe skrzydło naszej linii. Przed nami w dali i w odstępach, czerniały się dachy wsi Ząbki i Kawenczyna, kończyły widok wierzchołki wysokich drzew — tam była Białołęka.

Około 9-tej rano odezwały się działa w tamtej stronie: tumany podnoszących się dymów strzałowych, okazywały bitwę w jednem miejscu toczoną. W pół godziny jednak jedna ich chmura zdawała się ustępować ku pozycyom wojsk rossyjskich, druga ścigając ją, wyraźnie następowała — to Krukowiecki bił się z Szachowskim i parł go dzielnie.

Tak też było w istocie. Szachowski z korpusem grenadyerów spieszył połączyć się z Dybiczem; pod Białołęką trafił na brygadę naszą generała Małachowskiego; pięć razy silniejszy, znalazł w niej tak silny opór, że się zatrzymać musiał, a gdy nadbiegła brygada Giełguda z Krukowieckim i artyleryą, zniewolony został zaniechać dalszego pochodu i tu bój stoczyć. To spowodowało feldmarszałka do rozpoczęcia ogólnej walki, bitwa też zawrzała na całej linii.

Od godziny 10-tej rano, przez dzień cały toczącego się boju, staliśmy w miejscu w asekuracyi armat, padali ludzie i konie... silna przeciwległa artylerya przerzedzała nasze szeregi. — Co chwila trzeba było postępować naprzód kilkanaście kroków, by wyrównać szwadrony i usunąć się od widoku poległych i rannych, których z tyłu zostawialiśmy. Przykrzyła się też najmocniej takowa bezczynność, takie poddanie się rzezi bez żadnego odwetu. W środek plutonu porucznika Bobrownickiego wpada granat...

wierci się i dymi na ziemi... spłoszone konie chrapiąc cofają się nieco, w tem pęka tak nieszczęśliwie, że czerepami siedmiu obala żołnierzy. „Ślusuj!... i naprzód równaj się!“ — woła mężny Bobrownicki, któremu koń zwinął się pod tą eksplozyą i wnet wyrównały się wiarusy. Z drugiej linii dopada pułkownik Czarnomski, dowódzca 2-go pułku strzelców konnych, z konia uściskał Bobrownickiego i mówi: „Gdybym był władny, przypiąłbym ci mój krzyż do piersi! Niech żyje gwardya szaserów!...“

Trzeba być naocznym świadkiem takich zdarzeń, by pojąć, ile w ogniu podnieca żołnierza podobna pochwała! ale chcąc ją odczuć, należy być prawdziwym żołnierzem.

Niedługo potem, kapitan mój, Terlecki, stojący przed szwadronem, obraca się doń dla jakiejś komendy: przychodzi kula armatnia, trafia w zad konia, bryznęła krew w górę, wali się koń na ziemię i przyciska sobą Terleckiego. Sądziłem, że zginął na miejscu. Żołnierze dopadają, odciągają drgającego jeszcze konia, podnosi się dzielny kapitan krwią zbroczony i woła: „podać mi innego z frontu“.

Stałem na skrzydle mego szwadronu: między nim a drugim w szerokim dystansie usadowiła się baterya nasza artyleryi: o kilka kroków odemnie stał pluton jej, dowodzony przez dobrego mego znajomego, porucznika Chrząszczewskiego. Był to oficer młody, mężny, wesół zawsze w ogniu i w obozie. Biegał od działa do działa, sam celował, zachęcał kanonierów, wołał o szybkie podawanie ładunków z jaszczyków, a strzały jego były celne, bom widział ich skutki. Z najwyższem zajęciem przypatrywałem mu się, czasem zamieniliśmy słów kilka. Gdy tak Chrząszczewski celuje, przychodzi kula armatnia rossyjska, uderza go w piersi i rozrywa na dwoje... Pod tym widokiem zeskoczyłem z konia, pobiegłem do obalonego; zgon był tak nagły, że ani jeden nerw w twarzy, ani jeden muskuł już nie drgał; oczy miał tylko otwarte i pięście ściśnięte. Te resztki dzielnego młodziana zawinęli żołnierze w końską derę i w tył odnieśli, gdzie już kilkanaście trupów leżało. Westchnąłem głęboko, mówiąc sobie: „Zginąć... to tak, jak on...“

Nareszcie około 2-giej z południa rozwija się przeciwko nam szeroko ogromna masa kawaleryi, zapewne w zamiarze złamania nam skrzydła pozycyi; dowódzcy nasi przebiegają front, wydając rozkazy; pójdziemy na nich z miejsca, a było nas szesnaście szwadronów, druga linia jazdy w pomoc nam się zbliża. W tem silny i ciężki tentent gdzieś z boku słychać... to baterya konnych naszych rakietników. Staje rozrzucona po łukach szwadro-

nów, ustawia swe lawety, race kongrewskie zakłada. Idą Rossyanie — już słychać ich komendy... już są na galopie... kiedy ryknęły kartaczami nasze armaty, race kongrewskie syczące jak żmije, sypią się na tę jazdę, długie ogony dymów za sobą pozostawiając, palne iskry rozrzucają — zwinęła się jazda nieprzyjacielska pod takiem przyjęciem... usiłuje się sformować na nowo, znów ją grad pocisków zasypuje. Nie dotrzymali, cofają się w nieładzie, a nasze wiarusy co sił klaszczą w ręce, szalone: hura! odzywają się z szeregów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów konfederacyi barskiej.

Teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor.

(1769—1772).

(Ciąg dalszy).

Co się tyczy wybieranych podatków, liczne pisma i ordynanse Generalności upoważniały wyznaczonych delegatów do ściągania tychże podatków, z czasem zaś postanowiono, aby pieniądze wpływające z tego źródła, składane były w całości do kasy generalnej, a stąd dopiero asygnowano odpowiednie sumy, gdzie i komu pilniejsza była potrzeba. Dla zarządu interesami skarbowymi, Generalność na sesyi 28. stycznia wyznaczyła siedmiu delegatów. Odnośna uchwała następującej była treści:

„Przyspieszając porządek skarbu publicznego, na którego ustanowieniu najwięcej radzię generalnej zależy, *ad formam* komissyi skarbowej *interea sub deleganda* JW. pp. wolyńskiego i litewskiego marszałków, krakowskiego, ruskiego, brzeskiego litews., pomorskiego i czernichowskiego konsyliarzów, z koła naszego naznaczamy, pozwalając tymże jw. pp. *plenam facultatem* wszystkich interesów skarbowych roztrząśnienia i rachunków słuchania.“ Zarazem wezwano komissyą skarbową do łączenia się z konfederacyą (13. marca), surowe zapowiadając kary w razie nie usłuchania tego rozporządzenia.

Dla osób uprzywilejowanych, lub w inny sposób ponoszących ofiary na rzecz publiczną, Generalność wydawała libertacye od wszelkich podatków, jakimkolwiek tytułem zwanych i naznaczanych uniwersałami, także od prowiantów, furażów, podwód, popasów, noclegów etc... Takich libertacyj sporo spotykamy w protokołach rady generalnej. Oprócz tego zwalniano nieraz całe powiaty, okręgi i t. d., od ciężarów wojennych. Tak np. libertacyę tego rodzaju wydano na sesyi 22. lutego dla województwa krakowskiego, następującą spisując uchwałę:

„Na uczynione nam przez jw. ip. Joachima de Schwarzenberg Czernego, marszałka konfederacyi krakowskiej i jego konsyliarzów remonstrancje, iż województwo krakowskie już to przez ustawiczne wojsk nieprzyjacielskich przechody, już to przez ustawiczne dywizyi różnych konfederackich marsze i konsystencye, a ztąd wynikającego ciężkiego podatkowania, furażowania *et io generis* exakcji, podwód etc., tak siła ucierpiało, iż w niektórych miejscach ostatecznego jest blizkiem zniszczenia. Sprawiedliwemu takowego województwa ulżeniu *succurendo, ad mentem vero sancitorum nostrorum* w prywatne województw ustawy nie wdawając się, temuż jw. marszałkowi krakowskiemu *pro exigentia* okoliczności *relative* względem miejsc, które więcej ucierpiały i kontrybuowały *legatem autoritatem* defalkowania w niektórych podatkach i wydawania w niektórych kondycyach libertacyi, dajemy i pozwalamy a to *ex concluso et mente* rady generalnej."

Na pobieraną kwartę ze starostw, Generalność wydawała pokwitowania. Tak np. gdy Jerzy Mniszech, generał wielkopolski, oświadczył gotowość uiszczenia kwarty ze swych starostw w województwie bełzkiem, Generalność poruczyła Józefowi Miączyńskiemu, marszałkowi bełzkiemu w odebraniu należnych sum, wydać zakwitowanie. Tak samo kwitowano Walewskiego, konsyliarza sieradzkiego z kwarty wypłaconej przezeń z jego starostwa libertowskiego.

Nie mogła przecież Generalność utrzymać ładu i porządku przy wybieraniu podatków, liczne też w pismach ówczesnych znajdujemy utyskiwania i skargi na nadużycia pojedyńczych komendantów, na niszczenie dóbr przez przechody wojsk. Chcąc zaradzić gwałtom i samowoli, Generalność wydawała odnośne uniwersały, surowo zalecając pilne przestrzeganie zaprowadzonego porządku.

Jeden z takich uniwersałów „przeciw ludziom swywolnym", wydany 3. marca 1770 r. następującej był treści: „...Ze smutnem

dowiadujemy się uczuciem, jako swywolne zebranych ludzi kupy, poważnego konfederatów śmiejąc *abusi* imienia, a niektórzy chociaż w aktualnym wojsk konfederackich zaciągu liczący się, mimo wiadomości komend swoich, *privata authoritate,* różne rabunki, łupieztwa i *exorbitancye* w różnych miejscach, z nieznośnym obywatelów i mizernego pospólstwa uciskiem dotąd bezkarnie czynią, różne wybierają furaże, wydają palety. Któremu narodu uciśnieniu, nędznemu pospólstwa wycieńczeniu zapobiegając, — wszystkie zwierzchności, urzędy, juryzdykcje miasteczka, wsie i zgromadzenia ostrzegamy, iż takowych wszystkich nie za konfederatów i z nami na wspólny ojczyzny ratunek sprzymierzonych, lecz za swywolne kupy złoczyńców ogłaszamy, każdego takiego, ktoby bez przyzwoitych na to sobie od wyższych komend ordynansów takowe exakcye i gwałty czynić ważył się, łapać, ścigać *forti manu nec attento crimine* pozwalamy i zalecamy, gdzieby zaś wyższa moc była, do najbliższych komend naszych znać dawać, obligujemy i z nimi wspólnie takowych swywolnych imać rozkazujemy, pojmanych zaś w konfederackich juryzdykcyach każdego województwa sądzić i na życiu karać pozwalamy, tam zaś, gdzieby dla przechodzących wojsk sprzymierzonej Rzpltej komend, potrzebne furaże były, *amore boni publici* obligujemy.“

Jednocześnie opublikowany został następujący uniwersał, zabezpieczający ludność wiejską: „...Z prawdziwem czujemy zażaleniem, jako w przykrych niniejszych czasu i nieodbitej potrzeby okolicznościach, na uciemiężenie mizernego pospólstwa patrząc się, prawdziwą ztąd tknięci jesteśmy kompassyą i najprędsze ulżenie, najskuteczniejszy ratunek nieodwłocznie dać pragnęlibyśmy. Gdy atoli w naglącym ze wszech miar, tak ze strony nieprzyjaciela, jako ze strony odrywających się, różnie częstokroć i bez ordynansów komend zapobieżeć temu tak prędko nie możemy, tym uniwersałem wszystkie gromady i całe w ogólności poddaństwo solennie upewniamy i zabezpieczamy, iż za szczęśliwem da Bóg Ojczyzny uspokojeniem, partykularny na krzywdy tego ludu wzgląd mieć będziemy, niezawodną nadgrodę obmyślimy i którekolwiek miejsca więcej nad słuszność w niniejszych czasach ucierpiały, im zwolnić i w przychodzących przyszłych podatkach ulżyć i potrącać przyrzekamy. Ostrzegając nadto, iż podatki, które są na dwory i fortuny dóbr ziemskich włożone, z dworów samych, nie pociągając pod ciężar onych wycieńczonego poddaństwa, zaspokojonemi i opłaconemi być powinny. Co ażeby tem prędzej do najzupełniejszej wszystkiemu poddaństwu doszło wiadomości, wszy-

stkim ichm. księżom plebanom po swoich parafiach z ambon publikować *mentemque* niniejszego uniwersału explikować zalecamy.“

Jeszcze zaznaczyć należy inny uniwersał Generalności z 2. kwietnia, mający także na celu zapobieżenie rabunkom i uregulowanie wybierania podatków. Tutaj znowu z całą surowością występuje Generalność przeciw nadużyciom, których jednak ukrócić nie była wstanie. A choć niejednokrotnie winni pociągani byli do odpowiedzialności, środki, jakimi rozrządzała Generalność, nie były dostatecznymi dla utrzymania w pewnych karbach karności tych wszystkich burzliwych żywiołów, które gromadziły się w ruchawce narodowej.

W listach Generalności do marszałków, oraz w korespondencyi Wessla, mało znajdujemy szczegółów o operacyach wojennych i zresztą organizacya oddziałów stojących u granic wzdłuż gór karpackich, bardzo powoli postępowała. Ztąd też od czasu uformowania Generalności, przez całą niemal zimę, zrzadka tylko niektóre z oddziałów tu stojących, występują ze swych obozów. Po utracie Krakowa, gdzie dość znaczne siły konfederatów zebrane były (listop. 1769), jedni ruszyli w głąb kraju, przebijając się ku województwom wielkopolskim, drudzy pod komendą Bierzyńskiego i Dzierżanowskiego, trzymali się bliższych granicy okolic, a obaj ci dowódcy więcej zajęci byli politykowaniem i wichrzeniem przeciw Generalności, niż ściganiem nieprzyjaciela. Usiłowania Generalności, aby zaprowadzić pewien ład i porządek, chybiały celu wobec sporów między wodzami, wobec braku karności wśród żołnierzy. Ztąd owa podjazdowa wojna, prowadzona z różnem szczęściem, nie mogła przynieść dodatnich rezultatów.

Wśród wodzów konfederackich, Generalność wyróżniała Jakóba Szaniawskiego, marszałka lubelskiego. Wysłany on był ze znacznym oddziałem, aby podać rękę Malczewskiemu, który uwijał się po Wielkopolsce. Z Szaniawskim połączył się Ciełecki, marszałek łęczycki oraz oddziały Bierzyńskiego i Dzierżanowskiego. Pod datą 24. listopada 1769 r., Generalność pisała do Szaniawskiego: „Przez komendę Drewiczowską, wolnym nader marszem za JWm. panem postępującą, przerżniętą z nim i z wojskiem Jego mamy komunikacyę. Szukamy atoli środka, ażeby niniejszy list nasz pewnie i niezawodnie mógł dojść Jego. Od początku powierzonej Jemu komendy, nie czyniliśmy żadnych wyraźnych dyspozycyi, tak siła zaufani byliśmy w przezornych JWm. Pana światłach i doznanej Jego *in similibus* experyencyi. Nie niesiemy i dzisiaj więcej nad poufałe powierzenie się męstwu, cnocie i wa-

leczności JWm. Pana. Niektóre tylko, jakie nas dosięgły, komunikujemy wiadomości, łącząc pewne, szczególnie *titulo consilii* reflexye. Nie jesteśmy pewni, w którem miejscu i w jakiej pozycyi ten list Jego zastanie, radzimy więc, ażeby wojsko całe w jedną nie ściskało się kupę, ten sposób albowiem tyle trudności subsystencji pomnoży, i da razem zręczność chytrze na to czuwającemu nieprzyjacielowi, przymusić do akcji generalnej, której skutek tysiącznym podległy przypadkom, być by mógł zawsze naszym okolicznościom przykrym. Wolny marsz, który czyni za JWm. Panem Drewicz z kolumną swoją,' dosyć jego oznacza słabość i wyraźnem jest świadectwem ociągania się na oczekiwane posiłki. Nadciąga jako słyszymy druga pod p. Branickim kolumna, którą nie mówią mocniejszą nad nie zupełne tysiąc ludzi; trzecia kolumna, idąca od Torunia (Apraxyn), nie wiemy jak mocna, ta zmierza przeciwko jw. wielkopolskiemu (Malczewski). Jeżeli się więc im to zdać będzie *nihil inponimus,* radzimy tylko, ażeby albo nagle marsz swój cofnąwszy, słabego jeszcze i niespodziewającego się Drewicza atakować, po którego złamaniu, łatwiej wszystkie dalsze poszłyby operacye, albo w stronę trochę ku Piotrkowu zwróciwszy, utajonym marszem tył wziąć Drewiczowi, starać się z przodu, odwodami tegoż zabawiając i w matnię ku wielkopolskim z tyłu naganiając, lecz zawsze to piszemy *titulo consilii,* znając jak ciężko i niepodobna decydować rzeczy *positive,* nie widząc zblizka własnego i nieprzyjacielskiego obozu położenia. List ten jw. wielkopolskiemu (Malczewskiemu) komunikować obligujemy. W tem zaś Go *essentionaliter* z zaleceniem ostrzegamy, ażeby do żadnej blizko nie przypierając granicy, coby wielkim dezercyom miejsce dało, trzymać się kraju otwartego i przez sandomierskie, obracać marsze i kontr-marsza, swoje ku górom wyższych Węgier, tak albowiem i w kraju łatwiejsza subsystencya i w potrzebie od węgierskiej granicy bezpieczeństwo. Ponieważ dla szlaków przerzniętych, pieniędzy wojsku posłać nie możemy, zlecamy więc JW. Panu, ażebyś w tych, przez które przechodzić będziesz miejscach, wszystkie kwarty, pogłówne, hyberny i wszelkie publiczne podatki *proeviis quietationibus* wybierać i te pieniądze na potrzeby wojskowe obracać raczył. Wznosimy wszyscy ręce do Pana Zastępów, ażeby chwalebnym JWM. Pana przedsięwzięciom dopomódz i błogosławić raczył." Jednocześnie niemal Generalność następujące wystosowała pismo do Bierzyńskiego (28. list. 1769):

„List z daty 16. *praesentium* aż na dniu dzisiejszym z nieskończoną odbieramy satysfakcyą, wyczytując w nim prawdziwy zacnego obywatela charakter i żywe poświęcenia się na usługi ojczyzny świadectwo. Ten jest wszystkich nas cel wspólny, wiary i praw obrona, nieprzyjacielskiego zrzuceniu jarzma, własnej uwolnienie ojczyzny i przywrócenie rzeczy do tego stanu, w którym tyle wieków kwitnąwszy, zaciągnęliśmy niejako nieprzełamane prawo oddać następcom ojczyznę taką, jakąśmy od przodków wzięli.

„Czas odmienia okoliczności i gdy się już pod Kraków przebrać stało niepotrzebnem, mamy honor w pełnej poufałości zalecić JWM. Panu, ażebyś z jw. marszałkiem lubelskim (Szaniawskim), pierwszą w wojsku komputowem i mało polskich dywizyi komendę mającym, i z jw. marszałkiem łęczyckim (Cieleckim) już Generalności przysięgłym, w obozie tegoż jw. lubelskiego znajdującym się, znosić, umawiać i według umówienia skutecznie exkludować raczył, pomnażając sobie zaszczyty *in publico etc.*“

W trosce o los oddziałów, znajdujących się pod komendą Szaniawskiego, Generalność, w kolejnych listach do Malczewskiego, zaleca mu wspólne z Szaniawskim działanie i łączność. W piśmie z 28. listopada, podnosząc zasługi Malczewskiego, Generalnosc pisze do niego:

„Nie możemy tylko z najzupełniejszą wdzięcznością czytać przyjazne oświadczenia, że za danym sobie od Generalności ordynansem, ochoczą Krakowowi niosłeś pomoc, gdy Go atoli bliżej grożące dywizyom pruskim odwołało niebezpieczeństwo, tam zwróciłeś kroki i sukurs, gdzie więcej napierającą widziałeś potrzebę. Zgadza się to zupełnie z myślą Generalności, której ten najpryncypalniejszy jest koniec, ażeby najskuteczniej służyć własnej ojczyźnie... W niniejszych okolicznościach wzięte przez JW. Pana sposoby nie znajdują tylko powszechną aprobacyę i chociaż część Jego dywizyi szkodę nijaką ponieść musiała, nie wątpimy bynajmniej, że w blizkim czasie sowitym sposobem ta będzie nagrodzoną. To jest, o co Go w szczególności obligować zostaje, ażebyś ile być może, wyprawy prowincyi pruskiej wspierał i zasłaniał, do dalszego z tejże prowincyi wybierania i do ufundowania magazynów najskuteczniej pomagał. Z jw. lubelskim (Szaniawskim) tak względem operacyi przeciwko partyi nieprzyjacielskiej z Torunia, jako tu z drugiej strony Drewiczowskiej od Krakowa, poufale znosił się, a umówioną i postanowioną plantę do najskute-

czniejszego dopełnienia szczęśliwie doprowadzał. Wieść o ks. Repninie w dziewięć tysięcy wojska ciągnącemu, jest próżna i fałszywie rozgłaszaną: jest tam w górach wprawdzie kilkaset koni nieprzyjaciela, którzy z dywizyą ip. Pułaskiego, marszałka łomżyńskiego, uganiają się, lecz ci są Moskale z Przemyśla wysłani, nie zgadza się albowiem z wiadomościami od pogranicza tureckiego odebranemi, ażeby książę Repnin był wstanie dziewięciu tysięcy ruszenia, kiedy Turcy odebrali nazad Jassy, kiedy komenda cała Prozorowskiego pod Benderem zniesiona, kiedy nagłą ucieczką na tę stronę Dniestru przegnani Moskale, sami w ustawicznym ataku zostają alarmie. Żądamy jako najczęstszej z JWM. Panem komunikacyi, która atoli gdy przez przecięte passy trudniejszą została, te na ułatwienie żądanej pewności podajemy sposoby: 1-mo albo przez obóz jw. lubelskiego (Szaniawskiego), 2-do albo przez ręce ip. Gerarda, rezydenta francuzkiego w Gdańsku, z obligacją odsyłania ich do nas w kopercie i pod adresem ks. biskupa kamienieckiego, albo do jw. łowczyny litewskiej do Freihan, która odeszle do Brzostowskiego, kasztelana połockiego do Byczyna, ztamtąd do królewiczowej do Lublińca, zkąd nas dojdzie do Białej. 3-io Najpewniejszy i najskuteczniejszy zda się sposób przez umyślnych, wybierając do tego ludzi obrotu doświadczonego i wiary niepodejrzanej...“

Atoli w dywizyi Szaniawskiego, o którą Generalność tak się troszczyła, nurtować musiały pokątne intrygi i zdarzały się objawy niesubordynacyi. Ztąd nowe zlecenia przesyłane Szaniawskiemu przez Generalność z pismem z 9. grudnia:

„Martwi nas „nieskończenie, — czytamy tutaj — *parique sensibilitate* z nim samym dotyka bezkarność i insubordynacja wojska, która zaledwie wprowadzoną być może bez przykładnego przestępnych ukarania. Z tej to nie zachowanej niesubordynacyi wynika, że codziennem wojskowych oddaleniem się, słabieje *corpus*, gdy tymczasem zuchwały i natrząsający się nieprzyjaciel, chociaż w mniejszej daleko mocy, potrzebną do subsystencyi wojsku odbiera sposobność, bezkarnym panoszy się rabunkiem, pasie się i zbytkuje obfitym furażem, ostatnie wyciska pieniądze. Inszej albowiem przewidzieć nie zdołamy przyczyny, dla czego tenże nieprzyjaciel dotąd nie atakowany, nieszczęśliwych ztąd skutków lękamy się trwożliwie, aby ściągnionemi zewsząd dywizjami zmocniwszy się, nie był straszniejszy i nie był zwyciezca. Na samej tylko JWM. Pana polegamy przezorności iż rad najskuteczniejszych *ex re* zażywając, wczesne na wszystkie przypadki weźmiesz

środki, wszystko to czyniąc, co gorliwość Jego swojej winna ojczyźnie, co nasza o zdolnościach Jego opinia, co własna wojskowych miłość i nabyte *in agendis* doświadczenie czynić mu dopuszczą. Do tej zatem kategoryi należy *in casum* fatalnego jakiego przypadku, dysponowanie rejterady. Nie otwierając Mu w tem myśli naszych, w którą stronę ona przedsięwziętą być by mogła, tak daleko zaufani jesteśmy w sposobności i charakterze JWM. Pana. Mieliśmy Go ostrzedz o Moskwie ku Radomiowi i Końskim ciągnącej. Dokładają jeszcze drudzy, że od Kielec podobnym sposobem (ciągnie), lecz z ukontentowaniem poznawamy z listu JWM. Pana marszałka, czułość i ostrożność Jego, gdy o nich już dawno wiedziałeś i dla poznania ich mocy, wysłałeś szpiegów. Cieszy nas niezmiernie tak potrzebne kilku jww. marszałków złączenie się, czem powiększone siły obiecują pewny z nieprzyjaciela pożytek i niezawodną ze szkodą nieprzyjaciela potyczkę. Objąć nie możemy równie jako i wyrazić najżywszego czucia, którego nam jest przyczyną wstydliwa niektórych niecnotliwych wojskowych determinacja, na samą rozpierzchania się i rozproszenia czekających okazję, zapomniawszy w tej mierze strasznych przysięgi swojej obowiązków, winnej ojczyźnie swojej obrony, branej dotychczas próżno płacy w tym osobliwie czasie, w którym szczęśliwsze ichże samych losy od ich własnego zawisły męztwa i rezolucji: starcie albowiem w tak małej kwocie znajdującego się nieprzyjaciela, ubezpieczyłoby obóz, przyspieszyłoby kwatery zimowe, ułatwiłoby furaże i całą zakończyłoby nędzę. Przyznajemy z użaleniem a razem z prawdziwą Mu obligacyą, przykry stan JWM. Pana, znamy dostatecznie wielkość przeszkody, iż i sama tak potrzebna subordynacja trudniej wprowadzoną i zatrzymaną być może w niepłatnem wojsku, boli nas nieskończenie wszystkich w ogólności, iż w tym momencie tej inkonwenjencji zapobiedz nie jesteśmy w stanie...“

Obawy i przypuszczenia Generalności rychło sprawdzić się miały. Połączone siły wodzów rossyjskich, uderzywszy na obóz Szaniawskiego, doszczętnie go rozbiły pod Dobrą, nieopodal od Kalisza, w dniu 23. stycznia 1770 r. Do znanych relacyj o tej bitwie, dołączamy sprawozdanie Bierzyńskizgo, przesłane Wesslowi:

....Za Wartą pod Dobrą, Galicyn, Renn i Drewicz atakowali obóz do 8 tysięcy wynoszący. W tym ataku zginęło wielu ludzi znacznych, w niewolę wielu zabrano, z którymi JW. lubelski (Szaniawski) i WM. Romer mój rotmistrz dostali się. A reszta w roz-

proszkę poszła. Armaty wszystkie zabrane, JW. Cielecki uszedł. Po tej potyczce nieszczęśliwej, Moskwa obróciła się w te strony, która w czasie krótkim spodziewana. Ip. Malczewskiego i Zaremby nie było złączonych w obozie i tych Moskwa opuściwszy, na obóz JW. marszałków łomżyńskiego (Pułaskiego) i bełzkiego (Miączyńskiego) tu w Podgórzu lokowany, mają ciągnąć. Co to za strata z tak wielkiej awantury, wielki da Bogu rachunek, kto był przyczyną początkową w jedno złączenia się obozu i oddalenia go w strony tak dalekie...“

Generalność zarzucała później Bierzyńskiemu i Dzierzanowskiemu, że byli przyczyną tej klęski pod Dobrą, bliższe atoli szczegóły samejże bitwy są dotąd mało znane. zrazu szczęście sprzyjało Szaniawskiemu i znaczną zadać miał klęskę nieprzyjacielowi, następnie ścigając go, natknął się w zasadzki i w szeregu kilku potyczek pobity, sam ranny popadł w niewolę, a rozproszone oddziały konfederatów cofnęły się do Warty, zkąd każda konfederacya w inną poszła stronę. Wedle relacyj Chomentowskiego, Generalność wydała rozporządzenie marszałkom: wieluńskiemu, podlaskiemu i oświecimskiemu, aby pościągali rozproszone komendy i rządzili niemi do dalszej dyspozycyi. W liście zaś do Wojciecha Tressemberga, marszałka warszawskiego, (15. lutego) Generalność pisze:

„Niepodobna nieczuć przykrości źle nadarzonych skutków względem akcji obozu komendy JW. ip. marszałka lubelskiego (Szaniawskiego), z nieprzyjacielem zaszłej, ta albowiem powiększa zuchwalstwo nieprzyjaciela, wzbogaca go zdobyczą i przez naturalny rozmiar jego wzmacniając, nas słabi. żałujemy albowiem straconego tak wielkiego i zacnego męża, jw. lubelskiego, żałujemy również godnych dalszych obrońców. Zabiera część żalu strata artylerji, amunicji i generalna rozsypka z tak wielką publiczną szkodą, lecz te są zwyczajne wojujących losy, które w każdym przypadku mężnie znosić przystoi, skoro tylko niecnota i zdrada nie mają *in accidentibus* części, i ztąd *hoc fine* zlecilišmy z koła naszego godnym kolegom pilne i dowodne wejrzenie w postępek nie czyniących dosyć swojej powinności...“

Przytem Generalność wyznaczyła lustratorów dla obejrzenia obozów konfederackich, rozłożonych w Koniecznej i innych punktach nad granicą. Ale największem pod tę porę niebezpieczeństwem, były powszechnie znane intrygi Bierzyńskiego, który zagarnąć chciał pod swą komendę pojedyncze oddziały konfederatów, stojące na Podgórzu, a podległe dotąd innym dowódcom. Chodziły

wieści, że Wessel skierował go na tę drogę, aby odjąwszy Generalności wszelką siłę i władzę, z pomocą Bierzyńskiego nową wytworzyć Generalność, któraby ulegała jego wpływom i przezeń była kierowana. Dużo relacyj współczesnych popiera te zarzuty, a poufne listy pisane do podskarbiego, które poniżej przytoczymy, dostarczają również wielu wskazówek, że Bierzyński działał zrazu w myśl Wessla, zanim wszedł w tajemne konszachty z nieprzyjacielem. Biskup Krasiński, który w swych opiniach nie miał zwyczaju się ścieśniać i zawsze jak najgorzej dla Wessla był usposobionym, pisał wówczas do Roztworowskiego (z Cieszyna, 10-go marca):

„Pan podskarbi wiele tu bałamuctwa narobił. Podmówił Dzierżanowskiego, awanturnika i Bierzyńskiego, żeby się mocnili i wojsko odmawiali, ordynansów konfederacyi nie słuchali, a on im przyszle pieniądze z Saxonji. Projekt jego jest taki, że konfederacja nie mając czem płacić, wszystko wojsko ją porzuci i przejdzie pod komendę tych dwóch hultajów, a konfederacja zostanie goła bez wojska. Tą assekuracyą upewnieni już nie chcą słuchać Generalności, po Polsce rabują, pieniądze skarbowe chwytają i powiadają, że wkrótce podskarbi ma posłać na ich ręce pieniądze z Francyi i Saxonji.“

Nie obce też były Generalności zamysły Bierzyńskiego. Przestrzegana ze wszech stron, w licznych pismach do marszałków, których wierności była pewną, zalecała baczną uwagę na jego postępowanie. Rychło jednak nowe znalazły się zarzuty obciążające Bierzyńskiego, a rozwijające się wypadki dowodnie świadczyły o przewrotnych jego wichrzeniach. W styczniu 1770 r. komenda konfederacka z dywizyi czerskiej, prowadzona przez porucznika Pakosza, pochwyciła o mil kilkanaście od Warszawy braci Jana i Pawła Grabowskich, stronników Moskwy a ulubieńców króla. Pierwszy był marszałkiem konfederacyi słuckiej oraz generał-majorem wojsk litewskich. Drugi Paweł, starosta czechowski, generał wojsk koronnych, ożeniony był z Szydłowską, kasztelanką mazowiecką, która znana pod nazwiskiem „pani Grabowskiej“, została potem morganatyczną żoną Stanisława Augusta. Otóż pochwycenie owych Grabowskich przez konfederatów, wywołało popłoch w Warszawie. Wołkoński, — pisze Bartoszewicz — groźny wydał uniwersał, strasząc zemstą na jeńcach konfederackich, objaśniając przytem, że Grabowscy są pod szczególną opieką cesarzowej. Drewicz także w tymże duchu rozsyłał odezwy, ściągając

swe komendy ku zimowym obozowiskom konfederatów. Ze swojej znów strony Generalność spodziewała się wyzyskać owo ujęcie Grabowskich, projektując w zamian za nich żądać uwolnienia wielu konfederatów, pochwytanych przez Rossyan. Wydała też rozporządzenie, aby obu więźniów dostawiono do obozu Pułaskiego i Miączyńskiego pod Konieczną. Atoli Bierzyński, który ściągał do siebie różne oddziały i bądź namową, bądź przemocą zagarniał je pod swoją władzę, tak samo zabrał oddział, który prowadził Grabowskich. A dla lepszego jakoby zabezpieczenia się, przewiózł swych więźniów za granicę do Gabułtowa. Generalność zawiadomiona o tem co zaszło, pchnęła w tej chwili swych delegatów do Bierzyńskiego, nagląc go, aby odstawił więźniów do obozu marszałków. Bierzyński wszystko przyrzekał, tymczasem Grabowscy zdołali uciec, przekupiwszy — jak powiadano — straż, która przy nich postawioną była. Z późniejszego atoli postępowania Bierzyńskiego, widocznem się okazało, że wówczas już wszedł był w porozumienie z Grabowskimi, ułatwił im ucieczkę, i za ich pośrednictwem nawiązał stosunki, które z czasem doprowadziły go nie tylko do recessu od konfederacyi, ale do oddania się pod opiekę wodzów rossyjskich. Obecnie atoli hałas wielki powstał na Bierzyńskiego, tem bardziej, że coraz jawniej wyłamywał się z posłuszeństwa względem Generalności i nie przestawał wichrzyć wśród wojskowych. Jeszcze przed ucieczką Grabowskich, Generalność pisała doń (22. lutego), wysyłając delegatów: Teodora Dzierzbickiego i Ignacego Piwnickiego, ruskiego i chełmińskiego konsyliarzów:

„Być obywatelem, czuć i znać najistotniejsze ojczyźnie własnej winne obowiązki, być częścią składającej najwyższą powagę rady, wspólnie sobie samemu przepisać prawo: jego powolne dopełnienie, solennie Bogu uczynioną przysięgę przyjąć na siebie z jednej strony. Z drugiej zdradliwym wierzyć perswazjom: własnej wyniosłości rządzić się pobudkami, najświętsze z Bogiem i z ludźmi zawarte zerwać przymierze; własną wolę obrać sobie za prawodawcę; jeżeli zgadzać się może z charakterem zacności, z celem sprzymierzenia się, z powinnością bądź obywatela, bądź marszałka w szczególności, któż nie widzi. Przemoże wszystką wiarę, cokolwiek nam przez raporta o nim słyszeć zdarza się i chociaż przeświadczeni niejako o prawdzie, wzbraniamy się wierzyć atoli o JWP. sentymentach i z kołem generalnej rady jednomyślności, byliśmy aż dotąd zaufani. Czerni aż w tak daleką

potomność haniebna mężnego Korjolana pamięć, zwrócony na Rzym, własnej jego ojczyzny oręż. Wysłano wtenczas na wyperswadowanie tak niewczesnego zuchwalstwa matkę jego. Tym jeszcze i my idziemy przykładem, współbraci i kolegów naszych, JWW. ruskiego i chełmińskiego konsyliarzów (Dierżbicki i Piwnicki) z pomiędzy nas delegując, ażeby widzieli razem, jeżeli mocny przeciwko nader jeszcze słabym siłom naszym nieprzyjaciel, pułki swoje nowym sukursem, w osobach naszych dotąd braci, wzmocnił i powiększył. Świadkiem Bóg Najwyższy, świadkiem ojczyzna, komu swój nieszczęśliwy przypisze upadek, świadkiem będą własnej ręki JWM. Pana recessa, świadkiem tylekroć powtórzone i wykonane przez niego przysięgi, czynności i sentymentów naszych szacunki, któreśmy mieli dla Jego osoby i których nie chcieliśmy odmienić, chyba nieodbicie przymuszeni. Powierzchowności wszystkie już odtąd miejsca mieć nie będą i jeżeli JW. Pan szczerze z nami łączyć się pragniesz, z najpierwszych jest kondycyi w w. ichm. pp. Grabowskich, więźniów *status* nieodwłoczne pod konwojem do obozu naszego pod Konieczną odesłanie."

Jednocześnie Generalność wystosowała następujące pismo do marszałków będących w obozie:

„Wnosić i pojmować łatwo, z jak przykrem uczuciem niepodpadającą wątpliwość od JWW. PP. odbieramy wiadomość, z tem większą niespokojnością, iż to złe wzmaga się i rośnie, gdy mimo to powszechny nieprzyjaciel niepłonnie grozi. Uczynione przez JWW. PP. w tej mierze dyspozycje przeświadczają o ich przezorności i gorliwości, za tymże idziemy przykładem, i chociaż według wszelkich praw słuszności nieoszczędnego rygoru zażyć powinnibyśmy, wysyłamy atoli jeszcze JWW. ruskiego i chełmińskiego konsyliarzów (Dzierżbicki i Piwnicki), *initiora tentando,* lecz gdy dosyć *fato nostro* skutecznemi być by nie miały, potrzebny przyłączamy ordynans, którego zażycie *in solum casum renitentiae* ostrzegamy..

„Polecamy losy nasze Wszechmocności bożej, dopełnienie zaś i exekucją tak JWWMć PP. przezorności i gorliwości jako i JWW. komendantów męztwu i dzielności. *Sancitum* przeciwko imieniom marszałka związkowego, oraz reces JW. marszałka Bierzyńskiego przyłączamy, który *in casum renitentem,* publikowany mieć w wojsku chcemy w czasie ataku nieprzyjacielskiego, zbli-

żającego się i chociaż na hazard być słuchanymi. albo im wydać ordynanse jednakie do wszystkich dywizyi. obligujemy...“

Przytem usiłowano nie rozgłaszać jeszcze sprawy zawichrzeń, czynionych przez Bierzyńskiego, w nadziei, że na razie stłumionemi być mogą. W drugiem też pismie do lustratorów obozu, Generalność załączając różne dokumenta, odnoszące się do sprawy Bierzyńskiego, zalecała, „ażeby te pisma publicznego nie szerzyły zgorszenia, samym tylko JWW. Panom wiadome i komunikowane mieć chcemy“. Grozę położenia zwiększały jeszcze nadchodzące wieści, że znaczne siły nieprzyjacielskie ciągnęły na obozy konfederackie, rozłożone u granic. Tutaj zaś nie tylko przygotowania do obrony ukończonemi nie były, ale co gorsza, wskutek wznieconych waśni i zawichrzeń, rozdwojenie sił zgromadzonych, stanowić mogło przeszkodę w jakiejkolwiek akcyi wojennej. Pod wpływem tych wieści, Generalność pisała do lustratorów obozu pod Konieczną pod datą 24. lutego:

„Przeraża nas o zbliżaniu się tak mocnego nieprzyjaciela wiadomość, tem mocniej, im rzeczy między nami w domu są bardziej zakłócone i im trudniej dojrzeć możemy, jeżeli te domowe kłotnie, w tym właśnie czasie, robi przypadek lub zmowa. Nie zostaje nam insza nadzieja, jako w szczególnej Opatrzności, która mimo wszystkie a tak przykre trudności prowadziła nas aż dotąd. Razem ufamy przezorności i radzie JWW. Panów, że cokolwiek najpożyteczniejszego widzieć będziecie, czynić nie omieszkacie. *Coeterum* jako zawsze naszem było zdaniem, ażeby przed mocniejszym nieprzyjacielem, na pierwszy los nie hazardując rzeczy, wcześnie rejterować się za granicę, tak i teraz powtarzamy i zalecamy. Do JW. pana Esterhazego, generała, wraz wyprawiliśmy. Jest tam u JW. bełzkiego (Miączyński), list *pro hoc casu* od tegoż Ip. generała dany. Nie możemy skuteczniej JWW. Panom poruczyć przezorności, nie możemy albowiem wszystkich nadal przejrzeć okoliczności, czyli dywizje Ip. sieradzkiego (Bierzyński), z nim łączyć się zechcą, czyli wspierać JWW. Panów, albo całe powszechne nieszczęście interesować ich będzie: czyli moc nieprzyjacielska tak jest wyższą, iżby żadnej nadziei mieć nie można na spotkanie, czyli raporta szpiegów są niezawodnemi. Przeto cokolwiek JWW. Panom, zblizka na rzeczy patrzącym, zdawać się będzie, wszystko uczyńcie co najpożyteczniejszego. Od pewności szpiegów rzecz zawieszoną być zda się, czyli oni czekając ataku wcześniej rejterować się, osobliwie którzy są jeszcze

bezbronnymi. *Accedit* jeszcze *titulo consilii*, ażeby żołnierz cudzoziemiec u nas służący i który bezpiecznie w tutejsze granice wejść nie może, żali nie mógłby być z wszystkich dywizyi w jedną zebrany i pod doświadczoną komendą; szerzej w kraj posłany. Kończymy te nasze smutne uwagi zupełnem uszanowania wyznaniem...“

Kazimierz Pułaski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

późniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

III.

Wyjazd do Beureuth. — Erlangen. — Uroczystości. — Traktamenta. — Przejazd przez Monplaisir do Norymbergi.

23. Julij. Po rannym śniadaniu wyjechał Królewic Jmć z Plauen w pół do siódmej z rana. Jam z nim wsiadł w karetę na dwie osoby. Cechy w mieście uszykowane stały i w bramach. A Mr. Harstall i inni dwaj kawalerowie od Xcia Jmci Sax Zeitza ordynowani, odprowadzali dwie mile Królewica Jmci aż za granice Xięztwa Zeitz. Wyjeżdżając zaś z Plauen, dało się diskreciej Burgrabiemu i innym ludziom, co posługowali, sto talerów. Stanęliśmy w mieście Hoff, do Margrabstwa Bareith należącego, na południe trzy mile od Plauen, gdzie konie świeże Pan Alphonse dla przeprzężenia obstalował. Tam przyjął Królewica Jmci Consiliaris intimus Margraffa Mr. Barenstein i traktował. A że Xżna Jejmość Sax Zeitz, siostra rodzona Króla Jmci Pruskiego *NB.*

tytuł jej dają Son Altesse Rojale, także jadąca do Erlang, w temże mieście znajdowała się, więc posłałem kawalera Mr. Morteise, opowiadając imieniem Królewica Jmci jako Graffa de Lausnic, że się jej chce kłaniać i potym szedłem do niej z Królewicem Jmcią, którą u stołu jeszcze siedzącą zastaliśmy. Więc po komplemencie prosiła Królewica Jmci do stołu, z którym ja usiadłem, a Mr. Miltic i inni wszyscy wrócili się do gospody. Przy stole siedziała, środkiem stołu, Xżna Jejmć po prawej ręce, a po lewej Królewic Jmć, przy Xieżnie Xieżniczka de Sax Zeiz, córka Xżnej Jejmci, ja przy Xiężniece y potym Mr. Franckenberg Ober Hoffmeister, Mr. Molck Ober Marszałek i kawaler Brüksberg. A przy Królewicu Jmci po lewej ręce Madame Molck Obermarszałkowa i Fraucymerny, Mademoiselles de Fossin et de Kannestein. Ku końcowi objadu posłałem dając znać Dworskim, aby przychodzili dla odprowadzenia Królewica Jmci i skoro przyszli, powróciliśmy się do gospody. A że koni wiele Xżna Jejmość pomieniona na swoje przeprzęganie zabrała, że się ich tyle, ile potrzeba dla nas, znaleźć nie mogło, zostaliśmy na noc w Hoff.

24. Julij. Jechaliśmy na popas trzy mile do miasteczka Fress, dokąd kawaler z Bareith z komplementem przyjechał.

Ztamtąd na noc do Bareith, dokąd jadąc, przejeżdżają się lasy, w których pełno zwierza wszelakiego, i Mr. le Baron Sztein ordynował strzelców, aby nagnali jeleni i łań ku drodze do strzelania. Przejeżdżając te lasy, zabiliśmy trzy łanie i jeleń czwarty postrzelony uszedł. Wieczorem samym zjechaliśmy do Bareith, gdzie Princeps Haereditarius, syn Margraffa de Bareith, a brat królowej Jejmości Augustowej zwyczajnie rezyduje. Wyjechał ten Xże półmile naprzeciwko Królewiczowi Jmci, ale w lesie żeśmy zboczyli z drogi dla strzelania, zminął się z nami, i wprzód Królewicz Jmć stanął na miejscu, a w pół godziny po nas nadbiegł Princeps Haereditarius. Z wielkim affektem witał i przyjmował Królewica Jmci i w appartamencie najbogatszym lokował, gdzie i ja przy Królewicu w tymże pokoju stanąłem. Na kolaciej najpierwsze miejsce dał Królewicowi Jmci, przy którym sam Xże po prawej ręce usiadł, a ja po lewej. Przy Xżeciu po prawej ręce siedzieli Mr. Miltic, Mr. le Baron Sztein i Obermarszałek Dworu Xcia Margraffa de Wildenstein. Przy mnie siedział Mr. Morteise, et le Colonel Berckholut. Inni kawalerowie, jako to Mr. Lewenberg Consiliarius i Marszałek Dworu Principis Haereditarij i Mr. Benckendorff Gentil'homme de la Chambre, służyli do stołu. Po kolaciej późno w nocy, odprowadził Princeps Haereditarius Kró-

lewica Jmci do appartamentu naznaczonego, sam się na górę do swoich pokojów retyrował y którego ja aż do appartamentu odprowadzałem. Xżna Jejmość, żona Principis Haereditarij, z domu Xżniczka Saska de Weissenfeldt, nie była przytomna, bo nateńczas zażywała wód Egierskich à Egra.

25. Julij. W dzień S-go Jakuba jechaliśmy do Brandenburgu miasta zaraz przy Bareith nowo założonego, gdzie Princeps Haereditarius pałac postawił dla situaciej miejsca przyjemnego nad jeziorem: tamże przy kępce, do której idzie most od pałacu, jest kilka okręcików z działkami małemi i wszystkim do okrętów należącym porządkiem; jedna galera i kilka batów. Zjadszy obiad w tymże pałacu w Brandenburgu, woziliśmy się na okręciku, drudzy w batach po jeziorze przy muzyce okrętowej, dudach i skrzypcach. Z tegoż okręciku kaczki i gęsi dzikie strzelał Królewic Jmć po jezierze. Naostatek z działek salwe dawano. Powróciwszy się do portu przed wieczorem, jechaliśmy do budynku, gdzie są zwierzęta: lwy wyzdychały, tylko były nateńczas tygrysy (et quod rarissimum dwoje małych tygrysów, mające we trzech niedzielach, były już jako koty domowe), niedźwiedzie, wilki etc. Wieczorem samym powróciliśmy do zamku do Bareith, gdzie kolacya późno w nocy trwała.

26. Julij rano szedłem z Królewicem Jmścią na górę ad Principem Haereditarium, i tam pożegnawszy się z nim, wyjechaliśmy o szóstej rano z Bareith. Garnizon w bramach zamkowej i miejskiej stał uszykowany. Popasaliśmy cztery mile od Bareith, gdzie JP. Marszałek Wildenstein i Pan Baron Stein traktował nas imieniem Xcia Jmci Margrabiego. Tamże przeprzągszy konie, jechaliśmy drugie cztery mile do Erlang, gdześmy stanęli przed wieczorem. A o milę przed Erlang przyjechało dwóch kawalerów od Xcia Jmci Margraffa, Mrs. Berlinger et Boseck z komplementem. Wkrótce za tymi kawalerami przyjechało 24 konnej miejskiej gwardjej, którzy za karetą Królewica Jmci z dobytemi szpadami jechali. Przyjechawszy przed pałac, zastaliśmy Xżęcia Jmci Margraffa, ojca Królowej Jejmci, samę Xiężnę Jejmć Margrabinę i Xżnę Jejmość de Sax Zeitz we drzwiach stojących i z affektem i ludzkością wielką przyjmujących Królewica Jmci. W pałacu wielkim kilka pokojów przybrano dla Królewica Jmci, z którym ja w tychże pokojach stanąłem. Idąc do kolaciey do stołu, braliśmy wszyscy kartki i damy i kawalerowie, gdzie który miał siedzieć. Królewic Jmć miał siedzieć z Xiężną Jejmością Margrabiną, a ja z Xżną Jejmcią Sax Zeitz. Kompanja długo w nocy trwała,

potym sam Xże Margraff odprowadzał Królewica Jmci do appartamentu.

27. Julij. W dzień urodzenia Xcia Jmci Margraffa (na który dzień wielkie praeparamenta uczyniono), szliśmy rano z Królewicem Jmcia do appartamentu Xcia Jm. Margraffa w ogrodzie; tam Królewic Jmć winszował diem Natalis Dziadowi swemu przy całowaniu ręki jego, który z pociechy łzami się zalewając i przed starością mówić nie mogąc, ściskając tylko wnuka swego Królewica Jmci dał mu swój order, na wstędze błękitnej, to jest krzyż kawalerski z czterema orłami, dwa czerwone Margrabiów Brandenburskich, a dwa czarne Pruskie z napisem *Concordant* a z drugiej strony *Constance et Eternelle Sincérité*. Co jest złożone z pierwszych liter Imion Xcia Margraffa i samej Xieżnej, to jest Christian Ernest, Elisabetha Sophia. Teraz dwa czerwone i dwa czarne orły dano z napisem concordant. Sciendum, że Margraffowie de Bareith, jednego są Domu z Margrabiami i Elektorami Brandenburskiemi, tylko się rozdzielili dobrami ante introductum jus Majorennitatis i tak domu Brandeburskiego jest orzeł czerwony a Pruski orzeł czarny. Druga racya, że sama Xieżna Jejmość teraźniejsza Margrabina Macocha Królowej Jmci (bo Matka primi thori była Xiężniczka Wirtemberska) jest ex Domo Electorali Brandeburgica, siostra rodzona Króla Jmci teraźniejszego Pruskiego i Siostra rodzona Xiężnej Jmci de Sax Zeitz a primo voto była za Xiążęciem Kurlandzkim. Dla tego te orły i Domów samych i męża z żoną herbowne mają napis *Concordant*. Po Królewicu Jmci winszowałem ja diem Natalem Xciu Jmci Margraffowi. Potym inni różni winszowali, jako to Mr. Pilnitz Oberhoffmeister Xżnej Jmci Margrabinej imieniem Dworu całego, i Mr. Frankenberg Oberhoffmeister Xieżnej Jmci de Sax Zeitz imieniem drugiego Dworu formalnemi oracyami, którym dwom Oberhoffmeisterom dał Xże Jmć Margraff tenże order co Królewicowi Jmci. Potym w kotły bito, trąbiono i z dział 22 trzy razy strzelano. Szwajcarowie, Granadierowie z gwardiej Dworskiej Xcia Margraffa, mieszczanie i cechy z muzykami przed pałacem praezentowali się i szykowali w kilka linij, począwszy od pawilonu albo de l'orangerie w ogrodzie przez cały plac aż do kościoła naprzeciwko l'orangerie także w ogrodzie noviter postawionego. Co gdy wszystko w porządku stanęło, szliśmy do kościoła, między uszykowanemi linjami; Królewic Jmć prowadził Xżnę Jejmć de Sax Zeitz, a ja Xżnę Jmć Margrabinę. Mr. Franckenberg Oberhoffmeister prowadził Xiężniczkę Jmć de Sax Zeitz a Mr. Pillnitz, drugi

Oberhoffmeister prowadził Xiężniczkę Jmć Kurlandzką, pasierbicę Xżnej Margraffowej, zrodzoną z Xiężniczki de Nassau. Przyszedłszy do kościoła na chór, Chór był rozdzielony na trzy części. W pośrodku choru, ex opposito ołtarza, krzesła były postawione cztery dla dwóch Xiężn, Królewica i Margraffa. Po prawej ręce w przegrodzie były krzesła bez poręczów, dwa dla dwóch Xiężniczek, a po lewej ręce takież krzesło bez poręczy dla mnie. Chór axamitem karmazynowym obity. W dalszych chórach refflexe ku ołtarzowi idących po prawej ręce były Damy i Fraueneymmer Dworów obudwóch, a po lewej ręce Ministrowie, Consiliarze i inni Kawalerowie. Chóry te dalsze suknem czerwonem obite. Po wziętych miejscach, najpierwej Minister Kalwiński wszedł na ambonę, w pośrodku ołtarza będącą, a przy ołtarzu po bokach dwie świece paliły się, i miał francuzkie kazanie. Po skończonem francuzkiem kazaniu wszedł na też ambonę Luterański Praedicant i miał niemieckie kazanie, po którym skończonym przyprowadzono parę ludzi starych, męża z żoną, co z sobą już 56 lat mieszkali i powtórną Minister Luterski dawał im benedykcyę. Po których ceremonjach skończonych z dział wszystkich bito po trzy razy, i tyleż razy z ręcznej strzelby strzelano. Na ostatek o trzeciej popołudniu szliśmy tymże porządkiem jak i pierwej do pałacu wielkiego na wielką salę, gdzie stół był wielki postawiony długi. We środku siedziały na miejscach najpierwszych, po prawej ręce Xżna Jejmć de Saxe Zeitz, a po lewej Xżna Jmć Margraffowa, przy Xżnie Sax Zeitz Królewic. Margraff i ja: a przy Xżnie Margraffowej Xżniczka de Sax Zeitz i Xżniczka Kurlandzka. Potym w rogu stołu Mr. Miltiz i inni różni jako to Baron Sztein, Baron Tanner, Mr. Alberti, Mr. Fischer, intimi Consiliarij Xcia Margraffa. Oberhoffmeister Franckenberg, Obermarszałek Wildenstein, Obermarschalek Molck. Generał Biber, Oberhoffmeister Pillnitz nie siedział u stołu, ale gdyśmy szli do stołu, szedł przed wszystkiemi z laską, na kształt Marszałkowskiej, hebanową w srebro oprawną, z dwoma orłami srebrnemi na wierzchu laski, i z tąż laską prowadził potrawy, co na stół przynoszono. Za każde zdrowie, co Królewic Jmć i co Xże J. Margraff pił, strzelano z dział po cztery razy, a co inni pili, to po trzy razy za każde zdrowie. Po skończonym bankiecie szliśmy oglądać pokoje samej Xżnej Jejmci dostatnio i bogato przybrane, a osobliwie gabinet dla wielości i wielkości kamieni drogich, et variarum curiositatum godny widzenia. W pokoju najprzedniejszym łóżko to jest namiot barzo bogaty, stoły, zwierciadła, gierydony, lustra, krzesła, stołki, kanapy etc. same srebrne złotnicką piękną

robotą. Reszta dnia na przechadzce w ogrodzie i w kartach zeszła. Na kolaciej znowu promiscue kartki biorąc, siedzieliśmy u stołu wielkiego okrągłego, w pośrodku którego była machina wystawiona jak trophaeum z statua Xcia Margraffa w illuminacyach i z fontannami przy muzykach i koncercie. Kiedy Królewic Jmć do siebie odchodził. wszyscy Ministri, Officyalistowie i Kawalerowie od obudwóch Dworów zawsze mu assistowali. Tegoż dnia po kolaciey objeżdżaliśmy na wozie kiszce całe miasto i wszystkie ulice dla widzenia illuminacyi po wszystkich domach, tak w nowym Francuskim, co się Francuzi refugier fundują jako i w starym mieście. Co wzięło czasu do kilku godzin z północy.

28., 29. et 30. Julij. Trwała codziennie ta solennitas, wyjawszy z dział bicia, i żeśmy promiscue kartki biorąc, siadali zawsze u stołu Podczas obiadów odmieniano zawsze figurę stołu w litery imiona znaczące, jako to E. Ernest, C. Christian, M. Maria, Xiężnej Sax Zeitz imię etc. A podczas kolacyi miedzy fontannami zawsze machiny odmieniano, w piramidy, w orły etc. fontanny puszczające. 30. Julij byliśmy w Akademiey w mieście, gdzie była oracya niemiecka, muzyka i chłopcy tańcowali, formując litery imion Xcia Margraffa, to jest C. E. M. B. Christian Ernest Margraff de Brandenbourg. Tamże kilka panegyryków przypisano Xciu Margraffowi i samej Xżnej Jmci. Tegoż dnia jeździliśmy rano na łowy około miasta Erlang z chartami, rusznicami i ptakiem.

31. Julij. Przebieraliśmy się wszyscy po chłopsku i damy i kawalerowie, jakie kto naprędce mógł sobie suknie sporządzić i kartki braliśmy, kto z jaką damą miał być i na którym miejscu siedzieć u stołu. W tym stroju jechaliśmy na kiszce o południu pół mile od miasta do miejsca pewnego, nazwanego *Monplaisir*, na którym miejscu dla situaciey przyjemnej i prospektu Xżna Jmć Margraffowa stawiać ma pałac albo maison de plaisence. Tamże że niemasz budynku porządnego, wystawiono przy łące salę z zieloności w oktangut, gdzie stoły miesiącem stały, wszyscy officerowie, granadjerowie, muzyka, po chłopsku byli przybrani, różnemi modami. Półmiski glinianne, talerze i konewki do picia drewnianne dawano. Mnie przypadła para z Xżną Jejmcią Sax Zeitz. Przy tejże łące działa były uszykowane Nr. 26, z których gdyśmy przyjeżdżali, ognia trzy razy dawano. Blisko sali, gdzie były stoły, było kramów przy drodze kilkanaście z różnemi galanteryami, do których gdyśmy się po objedzie przechodzić chcieli, deszcz spadł srogi i tak walny, że na wszystkich ludziach i da-

mach suchej nitki nie było, i kupcom wszystkie towary przemokły z niemałą ich szkodą. Gdy się deszcz uciszył, przeszliśmy po wodzie i błocie do domu bliskiego, to jest Dworu starego: tam przebrawszy się o szóstej z południa wyjechaliśmy z *Monplaisir* prosto do Noremberga: na odjezdnem trzy razy z wszystkich dział bito i kawalerowie niektórzy odprowadzali blisko pół mile. Stanęliśmy w Noremberku o ósmej wieczór, mil dwie od Erlang. Gospodę najęto dla Królewica Jmci pod złotą gęsią, za całą kamienicę z wszystkiemi pokojami, drwa i świece co gospodarz dodać powinien i pościele, na tydzień zgodzono sto talerów.

IV.

Pobyt w Norymberdze. — Zabytki. — Przechadzki. — Emskirchen. — Langenfeld. — Kinzingen. — Würzburg. — Esselbach. — Hanau. — Aszafenburg.

Augustus.

1. Augusti. Deputati od miasta Mr. Fürer Burmistrz i Mr. Grunhem Radny Pan, witali Królewica Jmci imieniem Magistratu, ofiarując swoją przysługę w pokazowaniu w tem mieście, cokolwiek jest godnego do widzenia. Tegoż dnia Xże de Bareith z liniej nazwanej Colmbach był u Królewica Jmci, i Baron Welen, syn Feldmarszałką Duńskiego. Wieczorem jechaliśmy do ogrodu za miastem niejakiego Szmaussa browarnika. Tegoż dnia expedyowaliśmy relacye niemiecką do Króla Jmci z podpisem moim i J. P. Miltica tudzież z pieczęciami i moją i JP. Miltica. Także Mr. Bosen Minister Króla Jmci w Ratisbonie, umyślnie zjechawszy witał i z żoną Królewica Jmci.

2. Augus. Przyjechali z Erlang Mr. le Baron Sztein i Mr. Franckenberg: byliśmy u mieszczanina pewnego widzieć pałac króla J. Francuskiego Versailles z całym ogrodem i fontannami, tudzież z pałacami Trianon i la Menagerie z drzewa rznięty. Ztamtąd byliśmy u drugiego mieszczanina, u którego jest statua Króla szwędzkiego Gustawa Adolpha ad virum jego twarz i staturę repraezentująca, z tą szpadą, którą tenże Król nosił i miał przy boku, gdy był zabity w bataliej pod Lützen in Imperio. Tamże jest gabinet curiositatum jako to kampowanie artylieriey

i wszystkie do niej requisita in parvo. Forteca z zupełną fortyfikacyą: modelusze z krzyształów djamentów na świecie największych u Wielkiego Mogoła w Indiej, u Cesarza Tureckiego, i u Xiążęcia Floreńskiego. Przytym różne obrazy i rżnięcia w małych sztukach. Tenże mieszczanin pomieniony pokazował nam sekret, że żelazo zimne bijąc dosyć letko na kowadle za kilką uderzeniem rozpaliło się jak ogień; Item proszek pewny, gdy wsypał na wodę, choć kto rękę zatopił w wodzie, nic się ręka nie zmoczyła, choćby wodę mieszał najbarziej. Wieczorem byliśmy w ogrodzie mieszczanina, gdzie poznałem Jejm. Panią Generałową Januszową.

3. Aug. Byliśmy rano w Arsenale, to jest Cekhauzie dosyć pięknym i porządnym. Potym w Ratuszu w wielkiej sali była oracya pogrzebowa łacińska z okazyi śmierci Cessarza Jmci Josepha. Wszystek Magistrat był w żałobie, w płaszczach długich z krezami i z kapeluszami konczatemi po staroświecku. Orator był w kathedrze pod baldachinem, suknem czarnym obitym, a po obudwu stronach Magistrat siedział swym porządkiem na ławach, suknem czarnym obitych. Ex opposite kathedry krzesła stały żałobą powleczone dla Deputatów a Circulo Franconiae, którzy tu na ratuszu swoje sessye miewają. Po oraciey muzyka grała symphonie umyślnie dla tego aktu skomponowane. Tamże na ratuszu wszystkie izby, sale, jako na różne jurisdykcye są rozdzielone: widzieliśmy Miasto, to jest Civitas Imperialis, to jest wolne i wielkie territorie mające, w sobie jest wielkie w murach i wałach z ciosanego kamienia, rzeczka Pegnitz środkiem przez miasto płynie. Kamienice wielkie ale większą częścią staroświeckie, z oknami małemi, dla tego pokoje ciemne mające, bruk piękny z głazów kamiennych kwadratowych, porządnie układanych na kształt paryskiego bruku, tylko że w Paryżu większe są kamienie. Zamek nad miastem staroświecki na górze, dependencyę od Magistratu mający; w którym Margraffowie Brandenburscy, niżeli in Electores byli assumpti rezydowali, i byli Burgrabiami Norymberskiemi, który tytuł hucusq. Dom cały Brandeburski et in linea Bareithia naretinet. Situacya miasta in Circulo Franconiae, w wielkich równinach okolicznie. Wsie wszystkie murowane, jak małe porządne miasteczka. Radnych Panów jest 26, którzy kolejno praesidują, odmieniając się co miesiąc. Miasto to cum territorie ad territorium zaś do tego miasta należy cztery mniejsze miasta i 12 Aemter albo Pflege, to jest małe miasteczka, iako to: Postenhoff, Altdorff, Lauff, Herspruch, Engielthal, Grewenberg, Hohen-

stein, Hilpoltstein, Petzenstein, Velten, Lichtenau, Reicheneck, tyle daje kontrybuciej podczas wojny ad Imperium, jako Elektor, który duchowny et pro contingenti suo daje dwa tysiące dragoniey i swoim sumptem płaci im i trzymać ich powinno. Wszyscy niemal habitantes Luterskiey religiey, tylko jest jeden kościołek Katolicki Magni Magistri Ordinis Teutonici. W tymże mieście w Szpitalnym kościele asservantur diademmata Imperialia, jako to, korona, berło i cały strój do koronaciey Cessarzów służący. Aleśmy tego widzieć nie mogli, bo podczas interregnum nikomu nie pokazują i na inne miejsce przenosić zwykli te ornamenta, póki Cesarz nowy ex consensu wszystkich Elektorów nie stanie, od których wszystkich powinien być ordynans do wydania ornamentorum dla koronaciey Neoelecti; i znowu też ornamenta do chowania miasta temu confidentur. To miasto mają pro centro Germaniae et Europae. Kościół jest piękny Ś-o Sebalda i jego monumentum z mosiędzu godne widzenia i różne antiquitates przy tymże kościele, osobliwie reliquie, co ludziom znacznym pokazują. Kościół Ś-ej Laurentij i w nim zegar osobliwy. Kościół item Prediger Kloster nazwany, przy którym porządna i wielka bibliotheca. Rzeznicki most Fleisch Brücke nazwany, kamienny, z jednej arkady bez żadnej podpory, przy którym jest z kamienia wyciosany wół, z napisem w ten sens: *Omnia in mundo habent suum principium, et sua incrementa, sed iste (quem cernis) bos nunqua, fuit Vitulus.* Godziny w tem mieście biją od wschodu słońca, nie od północy pierwszą poczynając. Item pierwszą biją ku nocy, poczynając od zachodu słońca. Gabinety osobliwsze cum curiositatibqe. są Wolkammerische, Welserische, undt Viatische. Także Pana Ebnera gabinet metalów i kopersztychów. W tym mieście jest ulic małych i wielkich 528, studzien 112. Mostów kamiennych 12. Wieżów dokoła miasta 365. Po obiedzie wziąwszy wiadomość, że Xże Jmć Margraff, sama Xzna Margraffowa i Xżna Jmć Sax Zeitz, z obiema młodemi Xiężniczkami, jechały z Erlang do ogrodu pewnego na przedmieściu tutecznym dla widzenia się jeszcze z Królewicem Jmcią; jechaliśmy nie bawiąc konno przeciwko nim i pół godziny przed miastem spotkaliśmy się z niemi, i jechaliśmy pospołu do ogrodu mieszczanina, nazwanego Welcher, gdzie zjadszy potrawy na zimno między wetami ustawione pod namiotem, odjachała cała kompanja do Erlang, którą około pół godziny w pole wyprowadzaliśmy, tandem sami wróciliśmy się wieczorem do miasta.

4. Aug. Jachałem rano z Królewicem Jmcią karetką do Erlang na objad, w tejże karecie był Mr. le Baron Sztein i Mr. Morteise, gdzie niespodzianie spadszy, po objedzie przed wieczorem, po trzeciem pożegnaniu z Xiążęciem Margraffem i Xiężnami, powróciliśmy się do Nüremberga na noc. Tegoż dnia część bagażów cięższych z ludźmi mniej potrzebnemi, ruszyła się ku Frankfortowi. Przed samym odjezdnym z Erlang, Xże Margraff prosiwszy mię do pokoju swego, dał mi order swój, tenże co i Królewicowi Jmci (jako się wyżej pod datą 27. Julij opisało), prosząc, abym ten znak affektu i distinkciey z rąk jego przyjął. Z czego wymawiać się nie godziło, kiedy sam Królewic Jmć przyjął i należało tym ukontentować staruszka, przyjąwszy ten order z rąk jego, ale żadnej przy nim nie przyjmując reguły, ani obligaciey.

5. Augusti. Rano jeździliśmy do Zamku, w którym nic niemasz do widzenia, bo struktura staroświecka w nim, nad jeden prospekt tak na miasto jako i na kraj okoliczny. Potym widzieliśmy fontannę z metalu laną, około której począwszy ab Anno 1660 robić począwszy, ale podczas wojennych teraźniejszych czasów nie kontynuowano. Jeszcze nie skończona i wielkiego jeszcze sumptu do perfekciey swojej potrzebuje. Statua Neptuna wielka z metalu na wierzchu stojąca, a spodem na fundamencie kamiennym osoby inne na czterech koniach morskich siedzące i Tritones 4 na Delphinach, wszystkie z metalu, wodę wyrzucać mają. Ta fontanna ma stać w pośrodku rynku. Po obiedzie na placu zwyczajnym do zwierząt szczwania, szczwano jelenia, niedźwiedzia i wołu, które spectaculum miasto exhibuit dla uciechy Królewica Jmci. Tegoż dnia dwaj młodzi Graffowie z Austriey nazwani de Tirheim witali Królewica Jmci.

6. Aug. Po obiedzie wyjachaliśmy z Norymberku o drugiej po południu. Stanęliśmy na noc za dwie poczty w Emskirchien, miasteczku do Xcia Margraffa de Bareith należącym.

7. Aug. Jachaliśmy jedną tylko201 pocztą, to jest mil 2 do Langenfeldt na objad. Ale niżeli z Emskirchen wyjachaliśmy, że lasy tam są pod samem miastem, w których jeleni pełno, jeździł Królewic Jmć na łowy z rana, gdzie zwierza tylko zdaleka widziawszy bez strzelania powrócił się nazad. Na noc jachaliśmy do Kinzingen miasta do Xżęcia Biskupa Wirtzburskiego należącego. To miasto jest porządne z murem z ciosanego kamienia i fossą. Środkiem miasta płynie rzeka Maenus nazwana, przez którą jest most piękny kamienny i tam się raz Maenus przejeżdżał. Stanę-

liśmy gospodą pod gęsią. Kraj okoliczny piękny, pola wielkie w równinach, a po górach dosyć odległych, między któremi i miasto leży, winnice bardzo gęste i wielkie i prospekt miły czyniące.

8. Aug. Wyjachawszy z Kintzingen rano, jachaliśmy krajem niesłychanie jak pięknym, wesołym, urodzajnym, wsiami wszędzie od Norymberka począwszy, murowanemi jak miastami, między winnicami, mil trzy do Wirtzburga miasta a rezydenciey Biskupa Wirtzburskiego, który jest oraz Princeps Romani Imperij et Dux Orientalis Franconiae. Biskup tuteczny dochodami i potencyą przechodzi Elektorów Duchownych, bo wojska swego może mieć blisko dziesięć tysięcy, jako podczas wojny teraźniejszej ma lubo in parte potiori na zapłacie Angielskiej i Holenderskiej. Swoim zaś sumptem pięć albo sześć tysięcy ludzi regularnych sustentować i trzymać może. Teraz jest biskupem Comes Graffenclau. Stanęliśmy pod Łabędziem. Miasto to w miejscu srodze przyjemnem. między górami dosyć jednak odległemi. leży w równinie, jest dosyć wielkie, regularną fortyfikacyą, to jest murem i rampartami kamiennemi przy fossach głębokich lubo suchych opatrzone. Srzodkiem miasta płynie Maenus, na której rzece most jest piękny, kamienny. Domy w mieście są stare, po większej części w pruski mur murowane. to jest między wiązaniem drewniannym kamienie albo cegły kładzione. Ale kilka pałaców pięknych i kościoły piękne mające. Zamek nad miastem na górze wyniosłej nad samą rzeką. dobrze ufortyfikowany, z murami rampartami etc. kamiennemi. — Sam zamek strukturą staroświecką w quadrat założony na prospekcie bardzo pięknym nad rzeką, na miasto. równiny i góry dosyć wyniosłe z winnicami. Pod samym zamkiem, na górze spadzistej ku miastu jest winnica, na której najlepsze w całej Frankoniey wino rodzi się i do samego Biskupiego stołu obraca się. Ten zamek jest rezydencyą zwyczajną Biskupów tutecznych. Przed objadem byłem w kościele Cathedralnym, godnym widzenia nie tylko dla ozdoby w ołtarzach i w chórze capitularnym. ale niemniej dla skarbu i dostatku argenteriey w statuach piąciu, lichtarzach na cztery łokcie wysokich i Crucyfixie blisko piąciu łokci. w lampach barzo wielkich. kielichach kilku złotych etc. etc. Między innemi jest krzyż z partykułą wielką drzewa Krzyża Świętego. Z kościoła tego jeździłem do Szpitalu, w którym jest osób ubogich blisko 400. — W tym szpitalu jest pałac wielki i wspaniały dla rezydenciey Biskupa, w którym sale i pokoje Xżęce godne są widzenia. Ogród przy tym lubo nie barzo

wielki, ale piękny z kilką fontannami i osobliwym pałacykiem dla letniej rezydenciey. Ubodzy po stronach tego pałacu mają swoje pomieszkania dosyć przystojne i porządne. Innych kościołów dla czasu krótkości, żeśmy się spieszyli do Frankfortu nie widziałem. Wyjachaliśmy tedy o trzeciej z południa z Wyrtzbürga przejechawszy drugi raz Maenum rzekę przez most. Za pierwszą pocztą Reimblingen nazwaną, w pół drogi do drugiej poczty do Esselbach jadąc, jest miasteczko Lenckfort nazwane nad Maenem, ex opposito tego miasteczka jest klasztor wielki Augustianów za rzeczką Griffenstein nazwany. tam się trzeci raz przeprawiliśmy przez Maenum promem, i stanęliśmy w drugiej od Wirtzburga poczcie Esselbach na noc: które miasteczko in parte do Biskupa Wirtzburskiego, in parte do Elektora Mogunckiego należy i jest między lasami sławnemi dla wielości zwierza, Szpesser nazwanym. Te całe lasy są dębowe, mało co innego drzewa obaczy, w których lasach łowy do Elektora Moguncкiego należą: dla których często do tego tu miasteczka sam Elektor przyjeżdża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Oryla[1] Michała Haliniaka[2]

wspomnienia z podróży Wisłą do Gdańska.

Było to w maju r. 1901.

Płynęliśmy z drzewem Wisłą jako flisacy, mijaliśmy miasteczko Zawichost i gadaliśmy o tem i owem, a miałem na mojej tratwie starego oryla z Kłyżowa, nazywał się Wojciech Tofil, ten był bardzo *gadliwy*, znał każdą miejscowość nad Wisłą i umiał coś o niej opowiedzieć ciekawego.

Kiedyśmy się zbliżali do miasteczka *Rachowa*, które leży po prawym brzegu Wisły zaraz za Zawichostem jednę milę drogi, stary Tofil zwrócił się do nas, poczęstował nas tabaczką, a miał zawsze dobrą ruską, i spytał:

— Wiecie oryle, zkąd się wzięło miasteczko Rachów, z czego ta nazwa powstała?... To wam powiem.

Nim to miasteczko powstało, za czasów Polski był tam nieprzebyty las, jak po dziś dzień jeszcze ta okolica Rachowa najwięcej jest zalesioną, ale przed wiekami to ciągnął się wzdłuż

---

[1]) O r y l w gwarze ludu w powiecie tarnobrzeskim i niskim w Galicyi znaczy flisak, pochodzi zaś od słowa o r a ć t. j. przepychać tratwy po małej wodzie, czyli, jak flisacy mówią, „większą, głębszą wodę robić, co się flisakom często zdarza.

[2]) Doświadczony a inteligentny flisak z Rzeczycy długiej w powiecie tarnobrzeskim.

wybrzeża prawego rzeki Wisły ciemny bór a rozległy bardzo, bo aż za jednym ciągiem było można tym lasem zajść do Lublina, do Józefowa, Kazimierza, Puław, Opola i innych miast i miasteczek. Więc podówczas, gdy te lasy tak były wielkie, a zwierza i niedobrych ludzi wszędzie po kniejach pełno, Pan, to jest właściciel owego lasu *skąś* tam dowiedział się, że *niemcy* bardzo umieją uprawiać rolę i to choćby najlichszą glebę. Tak więc sprowadził kilku kolonistów i oddzieliwszy im kawał lasu, kazał korczować i tak uprawiać tam mieli onę glebę.

Gdy już *niemcy* przybyli do *Opola* do zamku Pana i otrzymali pozwolenie na wyrąb lasu, tak najsamprzód byli ciekawi iść tam do onego i zobaczyć, jaki to las. Gdy już stanęli niedaleko wyznaczonego miejsca, obrali z pomiędzy siebie jednego jako przewodniczącego czyli wójta nad sobą, a ci zaś mieli wszyscy jego głosu słuchać. Było ich wszystkich dwunastu, po tym wyborze ruszyli w dalszą podróż ku przeznaczonemu miejscowi, a tak z podziwieniem i bojaźnią rozglądali się po lesie, już to czy dziki zwierz nie idzie, już to czy czasami zbójcy ich gdzie nie obskoczą, już to za domem podleśniczego, który ich tam miał zaprowadzić, gdzie było miejsce na wyrąb wyznaczone im przez samego Pana właściciela.

Gdy tak postępują *trwożliwie,* jeden drugiemu jeszcze więcej strachu i bojaźni nagania, w tem na skręcie drogi zając mig! i poleciał dalej w las, tylko gałązka mała chrupnęła, która się pod ciężarem tegoż złamała. Ci wszyscy, jak ich było dwunastu, nie widzieli zająca, stanęli, jak wryci i nic nie mówiąc z przestrachu, aż ten obrany wójt powiada:

— *Du bist ajn szpistbombe!*

Ci wszyscy resztę jedenastu mówią jednogłośnie:

— *Ja, ja! das ist warm, o Hern Jezu!*

I poczęli uciekać naprzód, jak tylko który mógł, aby nie być ostatnim. I tak *zadyszani,* zmordowani przybiegają na czyste pole, które ugorem leżało i służyło za pastwisko bydłu podleśniczego, a przytem ujrzeli podleśniczówkę i bydło nieopodal pasące się pod dozorem pastucha. Stanęli wszyscy w gronie a sapając jeszcze mocno, nie mówili nic jeden do drugiego na razie, aż po małym spoczynku powiada wójt:

— *Alzo, majne kameraden, ruig!* (Teraz, moi koledzy, cicho!) *Wir werden mus abrechnet.* (Musimy się obrachować).

A jeden mówi:

— *Warum?* (Dlaczego?).

Wójt powiada:

— *No ja! warum ich mus abrechnen? Aber ajne unzer man felt nach!* (No dlaczego mam rachować? Bo jednego człowieka naszego brakuje!)

— *Das ist nicht war!* — odrzekli wszyscy (to nie prawda!).

Ale wójt nie dał sobie wytłómaczyć i począł rachować w ten sposób:

— *Ich bin ject erste* — pokazując na siebie ręką — (ja jestem pierwszy), następnie wskazał na najbliżej stojącego kolegę i mówi:

— *Du bist ajne, cwaj, draj, fir, finf, zeks, zibm, acht, najn, cechen, elf...*

(To jest, ja jestem pierwszy, ty jesteś jeden, dwa, trzy cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć, jedenaście...).

Po skończonym obrachunku powiada wójt:

— *Alzo, majne hern kameraden, ajne menszen unzer felt wir ferloren dize kierl, och majn Got! was machten hir one gutes man?...*

Wszyscy rzekli:

— *Rachuj jeszcze raz! może nie brakuje...*

I tak zaczął rachować na nowo tym samym trybem, co i poprzednio:

— Ja jestem pierwszy, ty jeden, dwa, trzy, cztéry, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć, jedenaście...

I tak rachowaliby się byli może nie wiem dokąd, aż ich z tego rachunku wyrwał podleśniczy, który całą rzecz z poza krzaków widział i słyszał, a śmiejąc się, powiada te słowa do nich:

— Moi panowie! ponożeście się pogubili...

A tak odezwał się *wójt niemców:*

— Brakuje nam jednego człowieka, bo nas zbójcy w lesie rozegnali i jakżeśmy uciekali, tak jednego musieli złapać.

— A ile was wszystkich było?

— A dwunastu — odrzekli.

Podleśniczy policzył, akurat byli wszyscy, a śmiejąc się z ich głupoty, zaprowadził ich do łajna rzadkiego krowiego i tam każdemu w tem łajnie kazał pojedynczo uczynić wielkim palcem dziurkę, a potem kazał dziurki porachować wójtowi i tym sposobem znaleźli się wszyscy, a miejsce *Rachowcem* nazwali.

W tym Rachowie — opowiadał dalej Tofil — przechowuje się podanie o spiącem czyli zaklętem wojsku, a na znak pokazują sobie kamienie, leżące bez ładu, dosyć duże, tak dajmy na to, jakbyś wsypał w wór dość gruby, *trzymający* z półtora metra objętości, trzy lub cztéry ćwierci ziarna i położył ich gdzie w lesie. Tych kamieni tam *niepodal* Wisły leży, tak można powiedzieć, do kilkadziesiąt, a może i kilkaset. Gdym tam był, miałem ich ochotę policzyć, lecz niestety nie miałem czasu ku temu.

I tak, jak mówiłem, owe kamienie w bezładzie leżą od wieków i siwy mech porósł z wierzchu na nich a od spodu szary i to po obydwóch stronach gościńca wiodącego z Rachowa do Józefowa. Powiadają, że owe kamienie chcieli użyć na szosę, którą budują w teraźniejszych czasach od Opola do Józefowa, lecz jak zaczęli jednego bić i łupać, ten nie chciał im się rozbić, tylko krew płynęła z niego i dali mu spokój.

I tak mówią, że to część wojska z powstania Kościuszki, naszego ostatniego bohatera polskiego. Gdy po przegranej pod Maciejowicami Kościuszko ranny dostał się do rossyjskiej niewoli, tak pewien oddział wojska polskiego, nie powstańców, lecz wojska, odłączył się z obawy niewoli i uchodził *spieszno* do dzisiejszej naszej Galicyi, mając zamiar dostać się pod berło austryackie. Więc gdy weszli w ten las, tak maszerowali powolnie, aż przymaszerowali na miejsce ono, gdzie te dziś kamienie leżą, tam pastuch pasł wiele bydła i palił sobie ogień. Ponieważ to ci wojownicy zmordowani byli pochodem i *wycieńczoni* głodem, gdzie który i jak mógł, tam *rysztunk* z siebie zdjął i co miał, tym się posilał. Gdy już wypoczęli należycie i mieli się zabierać do dalszej podróży, lecz ponieważ nie mieli przy sobie ani trąby, ani bębna, co było im mogło służyć na zwoływanie się, a komendant nie mógł inaczej bez zwołania się marszu dalszego rozpocząć, przeto ujrzał w pobliskiej gęstwinie krowę chodzącą osobno z dzwonkiem. I tak pomału ku onej się przybliżył, a ująwszy za dzwonek, oberwał takowy, lecz zanim to uczynił, krowa uszła na gościniec. W tenże sam czas nadjechała pani właścicielka owego lasu i bydła, a ujrzawszy żołnierza z powozu, że się mocuje z krową, była tej myśli, że ten chce zamordować jej bydlę. „Niedosyć, — pomyślała sobie — że ja i mąż mój tyle majątku straciliśmy na odzyskanie ojczyzny i na nic się to wszystko przydało, a do tego jeszcze bydło nasze nie ma spokoju od nich. Gdyby byli głodni a poprosili mnie, chętniebym pozwoliła i *posiliłam*

bym ich, ale bez rozumu oni są i za nasze dobro to się mszczą na *chudobie* naszej".

Zsiadła z powozu i w sam czas, gdy tenże komendant dzwonieniem zwoływał swoich towarzyszy broni, *zaklęła* wszystkich tak, iż nie mają się ruszyć potąd, aż ich obudzi bydlę, które tamtędy z *nadchnienia Bożego* będzie miało przechodzić i dzwonek zaczepi *o tego kamień postacią komendanta będący*, a wtenczas ma to być znak, że Polska powstać ma napowrót, i komendant wstanie, zadzwoni na swoich współbraci, a tak będą wojować za wiarę i ojczyznę.

Takie to wspomnienie utrzymuje się dotychczas o Rachowie i jego lasach pięknych, a kto tam przechodzi, to mimowoli odezwie mu się serce o stracie naszej ukochanej ojczyzny, że już wiek mija, jak jęczy pod berłem carów rossyjskich. [1])

Tak gwarząc sobie, płyniemy prędko i zbliżamy się do miasteczka *Józefowa*. Tu Tofil zaczął nowe opowiadanie:

Bardzo w dawnych czasach żył jeden Pan bogaty, który chcąc sławę swoją rozszerzyć na całą Polskę, zaprzedał się djabłom, aby mu pomogli bogactwa zbierać. Owe *dzitki* czyli djabły rzeczywiście mu pomogli w zgromadzaniu bogactw, a gdy już był bardzo bogaty, doczekał się trzech synów: najstarszy Kazimierz, młodszy Jan i najmłodszy Józef. Zbudował im następnie każdemu jedno miasto, które to miasta od onych synowskich imion zostały nazwane. I tak płynąc z Zawichosta, napotykamy najsamprzód miasteczko Józefów, potem Janowiec, a zaraz w pobliżu na drugiej stronie Wisły *Kazimierz*, z poprzednich dwóch najwspanialsze. Kazimierz i Józefów leżą po prawym brzegu Wisły a Janowiec po lewym.

Po śmierci ojca ci trzej synowie pobudowali sobie każden przy swojem miasteczku pałace czyli zamki obronne, z których jeszcze dziś można ruiny widzieć. Kazimierz najstarszy kazał wybudować *wieżą* bardzo wysoką na górze, którą, jak opowiadają, mieli nieprzyjaciele łańcuchem z armat w połowie ściąć, a połowa takowej do dziś dnia stoi, co wygląda jak beczka lub *toczek* na górze i *tokiem* od oryli nazwana. Najwięcej ruin napotykamy w Kazimierzu, rozmaite spichlerze nad samą Wisłą, których jeszcze do pięć można policzyć, reszte zaś całkiem rozebrane. Dalej za farnym kościołem na górze zobaczyć można ruiny obronnego

[1]) To podanie słyszał opowiadający w Brzozie królewskiej.

zamku. którego fundamenta równają się w poziomej linii ze szczytem dachu farnego. Nad onemi ruinami zamkowemi stoi dosyć jeszcze wysoka góra a na niej dopiero on *tok* czyli połowa wieży. Przecudny widok i zajmujący posiada okolica kazimierska.

Dodać i to wypada, że niektórzy z oryli twierdzą, iż *Kazimierz miasto* założył król Kazimierz, a Janowiec król Jan, Józefów król Józef. Ile w tem prawdy, docieć z tradycyi ludu jest bardzo trudno.

W *Janowcu* na górze widać zdala zamek z czterema po rogach basztami, dosyć wielki gmach na trzy *sztoki*,[1]) lecz dachu i najwyższego piętra już niema, bo zniszczało.

W *Józefowie* tuż nad samym brzegiem Wisły stoi krzyżowy gmach dwupiątrowy, tak samo bez dachu. lecz dach spadł dopiero między 1898 a 1899 rokiem, albowiem przed rokiem 1898 tom jeszcze sam na własne oczy widział dach na Józefowskim zamku, czerwoną dachówką był kryty. W tym to zamku chcieli mieszkać ludzie rozmaici, chcieli go wynająć lub kupić, kiedy wszystkie zabiegi ludzkie na nic się przydały, bo djabli dobrze strzegli i nie dali ani spać, ani rozebrać, słowem ani przystąpić do niego.

I tak pewien bednarz ubogi nie mając skąd komornego płacić, chciał tam w jednej z komnat parterowych zamieszkać. lecz zaledwie się sprowadził do rzeczonej komnaty. a tu zaczęła się podłoga trząść. ściany rozwalać, sklepienie opadać. i tak zmuszony był napowrót czemprędzej się stamtąd wyprowadzić. Słowem. że na żaden sposób użyć się nie dał on zamek i tak marnie niszczeje, gdyż przysłowie mówi. „*że kto z nieczyśnikiem*[2]) *nabędzie, to jeżeli sam nie rozprószy, to po jego dzieciach na tym placu pokrzywy muszą rosnąć*“ lub „*kto ze złym nabywa, temu Pan Bóg rozwiewa*“.[3])

---

[1]) Piętra (z niemieckiego Stock).

[2]) Dyabłem.

[3]) Opowiadanie Tonia natchnęło Michała Haliniaka do napisania następujących wierszy:

Gdy płyniesz Wisłą, popatrz się bracie,
czy stare zamki nie witają cię?
W miastach Józefów Janów, Kazimierz
na te pamiątki pewno nie zadrzymiesz!
Choć one stoją bardzo zniszczone,
na wpół rozdarte, wiekiem zwalone,
jak się popatrzysz na te zabytki,

Tyle mam powiedzieć co do tych trzech miasteczek, a jeszcze i to muszę nadmienić, że niektórzy oryle twierdzą, iż ten Pan, co Józefowski pałac własnością jego jest, to ma prawdopodobnie żyć po dziś dzień jeszcze *aże w Paryżu,* a to z powodu, że miał być dowódzcą jakimś przy powstaniu ostatniem i uciekł do Francyi, teraz boi się potęgi Carów i nie może do swoich *dobrów* powrócić.

Piątego maja 1901 roku w niedzielę raniutko przypłynęliśmy do Kazimierza, *tamżeśmy strawne* wzięli i okupiliśmy się, a że wiatr mocny trzymał nas, więc zmuszeniśmy byli stać dwa dni na jednem miejscu. Korzystając z czasu, wziąłem rubla do kieszeni i wyszedłem na miasto. Tam prosto udałem się do monopolu, kupiłem gorzałki flaszkę za złoty i wyszedłem na rynek. Patrzę... a tu dwóch obywateli kazimierskich stoją i radzą coś z cicha do siebie, obydwa widać po zaroście, bo się nie golili, bardzo już w podeszłym wieku. Znienacka przysunąłem się ku nim z tyłu i natężam słuch, co oni tam *radzą* tak zcicha, słucham, a jeden powiada:

— Mój Boże! żeby nie te nasze szlachcice, to człowiek by jakoś teraz żył inaczej na świecie, byłby wolny, nie pod obu-

---

to choćbyś przemókł do suchej nitki,
oczu swych od nich zwrócić nie zdołasz,
sam patrząc w przeszłość na młodszych wołasz:
Patrzaj tu, synu, bracie, sąsiedzie!
jak dawniej było, czy jest i czy będzie?
Gdy pan bogaty miał spółki z szatanem,
dał ciało, duszę, ażeby był panem,
następnie otrzymał z swojej połowicy
trzech synów, bo któż dobra odziedziczy!
Najstarszy Kazimierz, średni zwany Janem,
najmłodszy zaś Józef, ten trzymał z szatanem.
Potem wszyscy pomarli, a majątki one
przeszły dawno na własność pod carską koronę,
tylko zamki zostały, lecz nieużyteczne,
szatanów w nich pełno, mieszkać niebezpiecznie.
I do dziś dnia stoją gruzy oniemiałe,
pomimo, że były bardzo mury trwałe,
gdyż wszystko tu na świecie nie jest wiekuiste,
jedne dusze ludzkie, lecz muszą być czyste...
. . . .
Tę opowiadankę, którą tu podałem,
od Wojtka Tofila onę usłyszałem.

chem, co ani mówić, śpiewać, pić ani myślić po polsku człowiekowi nie dają... to smok ten *Rusek*, niech go tam złe wszystko ogarnie! Ale, proszę pana, nie tyle on winien, lecz najwięcej nasza szlachta polska *zdarmolizowana*, ona zaprzedała wszystko i nas wszystkich.

Z tych *kilka* słów zrozumiałem, o czem ci panowie *radzą*, podszedłem do nich z przodu, pochwaliłem Pana Jezusa chrześciańskim obyczajem, a żem miał na sobie ubranie dostateczne, więc ci dwaj starcy z początku myśleli, że to tajny policyant, i zafrasowali się niemało, a ton mowy obrócili zupełnie na inny, bacząc pilnie na moje ruchy i oczy, ponieważ na tajnych policyantach cała Ruś stoi a tych wszędzie pełno po miastach i miasteczkach naszej Polski ukochanej. Ale gdym wyciągnął flaszeczkę z wódką i *popiłem* do nich, tak natychmiast przyszła na ten sam *trop* rozmowa, co poprzednio była prowadzona, poznałem, iż to ludzie byli szczerzy, więc wypiliśmy z kolei i drugą flaszeczkę, a potem jeden młodszy z onych panów oddalił się odemnie za pilnymi swymi interesami, drugi zaś imieniem *Józef Goliszek* w 78 wieku, pomimo siwych włosów i brody jak śnieg, wygląda czerstwo i silnie zbudowany, kuleje na prawą nogę, bo mu powyżej kostek moskiewska kulka zdziurawiła, zawezwany do powstania w roku 1862 przez księcia Frankowskiego w Kazimierzu.

— Z Kazimierza — prawił Goliszek — poszliśmy do Sandomierza, ale tu na rynku panu nie będę opowiadał, bo to jest *niebezpieczno*, i chciałbym wiedzieć, co pan jest za jeden.

Ja odpowiedziałem:

— Jestem z Galicyi, płynę za *kontrolera* czyli za *zastępcę kasyjera* z drzewem do Prus i proszę pana, gdzie będziemy mogli bezpiecznie pomówić o naszej niedoli.

— U mnie w domu — odpowiada.

Tak iść nie wypada na sucho, więc kupiłem za pół rubla piwa kazimierskiego, a piwo wyborne, i poszliśmy społem do domu starego *wyterana*. Tam w alkierzu siedliśmy przy stole, a popijając piwko, stary tak zaczął dalej mi opowiadać, a ja notował:

— Więc z Kazimierza poszliśmy do Sandomierza, a ztamtąd pod *parszywą górę*, która leży za *Opolem*, po drodze mieliśmy kilka potyczek, z tych w jednej, pamiętam, że Moskali było 20 rot i mieli 4 działa przy sobie i nas było kilka partyj, a mianowicie: jedna partya z komendantem Szydłowskim, druga z Lele-

welem, trzecia z Krukiem, czwarta z Ćwiekiem, piąta partya z komendantem Czachowskim, szósta ze Zdanowiczem. Ten ostatni Zdanowicz *zasprzedał się* Moskalom *zaraz w pierwszych początkach* i wzięli go Moskale do Lublina, który potem niedługo umarł, a jego zaś adjutant, niejaki Ulanowski, bardzo się z tego *zasprzedania* wzbogacił.

Tych 20 rot moskali po kilkunastu potyczkach zwyciężyliśmy i zmusiliśmy ich do ucieczki, zaś w pogoń za niemi wysłali nasi komendanci 50 ludzi, co się Moskale na razie nie spostrzegli i umykali przed onymi pięćdziesięcioma, sądząc, że cała *trupa* polska ich goni. Potem, gdy Moskale *się zmiarkowali,* tak zaprzestali ucieczki i mówili między sobą:

— *No rabiata, kudaśmy ne wiedeli, że lachów malo, jesteśmo duraki!*

I stawili opór.

Generał Lech zasprzedał się Moskalom w Kazimierzu za baryłkę złota i onę baryłkę kazał zanieść na Wisłę w krypę, następnie szykował się do przeprawy na drugą stronę Wisły, lecz jego adjutant dopadł go u Wisły, wypalił mu w łeb z rewolweru i położył go trupem na miejscu. Bronił się, jak mógł, biedny adjutant, lecz Wisła była na przeszkodzie i Moskale przemogli nas. (Nazwiska onego bohatera adjutanta Goliszek nie pamięta).

Z pod *Opola* poszliśmy pod *Rzęzin,* albowiem dowiedzieliśmy się, że Moskale mają pułkową kasę tamtędy prowadzić. Było nas w lesie pod Rzęzinem 6 partyj, Moskali zaś tylko 2 roty. Czterdziestu Moskali się nam poddało z całą kasą a resztę my zabili. Pułkownik zaś, który tę kasę prowadził, nie chciał się do ostatniego poddać, więc jeden z naszych jednem cięciem odciął mu szablą lewą rękę razem z głową.

Z *Rzęzina* pomaszerowaliśmy do *siedleckiej gubernii,* ztamtąd wróciliśmy nazad do *Biskupic* za Lublin. Tam my klęskę ponieśli wielką i ruszyliśmy napowrót do *Opola,* gdyż tam najlepsza pozycya była. *Tamoj-żeśmy* Moskali natrzebili i udaliśmy się do *Słupi,* wioska leży po lewym brzegu Wisły tuż nad samą wodą, dwie mile *po dole* od Zawichosta. *Tam-żeśmy* stoczyli znów jednę bójkę, lecz ta nie była ani przegrana, ani wygrana.

Następnie pomaszerowaliśmy do *Puław,* teraz od Moskali przezwane *Nową Aleksandryą,* powiatowe miasteczko leży po prawym brzegu Wisły, tożsamo nad samą Wisłą. Tam jeden z naszych kosynierów zabił pięciu Moskali, Prusak zaś jeden *ze szpasów* z rewolweru sprzątnął moskiewskiego dozorcę. Naostatek

znajdowało się nas czterech na posterunku, tam nas obskoczyło dwunastu dragonów moskiewskich. Ja sam czterech zabił, dwóch uciekło a jeden z tych uciekając, strzelił z karabinu i przestrzelił mi prawą nogę w samej kostce, innych tamci ubili.

Ztamtąd każden z powstańców porozchodził się, gdzie który widział. Ja zaś *powróciłem się napowrót* do Kazimierza *i biduję* do dziś, wzdychając za odbudowaniem ukochanej ojczyzny Polski naszej.

Ja zaś byłbym pozostał do końca powstania, lecz rana mi nie pozwoliła. Dodać jeszcze muszę, że przez ten cały czas, to jest blisko trzy miesiące w powstaniu znajdowałem się pod komendą *Kruka*, który bez litości trzepał Moskali. Na żaden sposób Moskaliska nie mogli go pojmać, ani przekupić, bo był wierny ojczyźnie, oraz ani nie potrafili go zabić, więc coby tu zrobić, aby tego śmiałka dostać w pazury moskiewskie, namówił generał moskiewski dziedzica Jabłonowskiego, aby Kruka nakłonił za kuma generałowi moskiewskiemu. Kruk dał się namówić szlachcicowi Polakowi, bo mu *zawierzał* i sądził, że Jabłonowski również wierny ojczyźnie, lecz gdy po chrzcie zjechali na bal do generała, pokazała się zdrada. Ale nasz Kruk nie w ciemię bity, wymknął się generałowi z zasadzki i pojmał przytem Jabłonowskiego i moskiewskiego pułkownika, których po przyprowadzeniu do obozu natychmiast kazał obydwóch powiesić, cośmy ochotnie wypełnili.

Następnie opowiadał mi Goliszek o *Janowcu*, miasteczku, które leży pod górami na lewym brzegu Wisły, zamek zaś sam stoi na górze, lecz nie z czterema basztami, jak opowiadał Wojciech Tofil, tylko z dwiema basztami, według twierdzenia Goliszka, od strony Wisły po rogach, które dosyć, płynąc Wisłą, wyraznie *na gołe oko* zobaczysz. Zamek ten był własnością księcia Jana Firleja starszego, zamek ten zajmował 96 pokoi, 6 salonów, o dwóch dziedzińcach a w pośrodku studnia, nad studnią zaś znajdowała się kaplica zamkowa.

Młodszy brat księcia Jana Firleja, nie wie Goliszek, jak mu tam było na imię, ten drugi miał pałac o 6 kilometrów oddalony od Janowca, w lesie stoi, i ten młodszy Firlej zajmował się zwierzyńcem tylko. Zamek zaś jego pomiędzy lasami zrujnowali Szwedzi podczas napadu wończas, kiedy ks. Paulin Kordecki obronił Częstochowski kościół i klasztor.

Po prawym brzegu Wisły, powiada Goliszek, o 3 kilometry za miasteczkiem Kazimierzem stoją tak samo ruiny z zamku, który wymurował król Kazimierz Wielki pomiędzy lasami dla swojej

kochanicy, zwanej-Esterki: Ten również był od Szwedów zrujnowany w tymże samym czasie, co i poprzedni, a miejsce ono nazywa się *Bochotnica*.

Następnie, gdyśmy piwo wypili, poprowadził mnie Goliszek na miasteczko Kazimierz, tam mi pokazał kościółek murowany na pagórku, który był murowany razem z tymi starożytnymi murami, oraz kościół drugi dużo większy od pierwszego, zwany *farą*, i także tak stary, jak one mury, gdyż w roku 1636 stawiany. W pierwszym kościółku, powiada Goliszek, iż król Bolesław, syn Kazimierza, miał prosić Romualda, założyciela Kamedułów, i ten przeznaczył mu 5 braci zakonników do onego klasztorku, lecz jak oni Kameduli żyli długo w owym klasztorku, tego Goliszek powiedzieć mi nie mógł, dosyć, że ztąd przenieśli się jedni na Bielany pod Warszawę, a drudzy na Bielany pod Kraków. Ci zakonnicy spowiadają ludzi z całego życia. W miejsce zaś Kamedułów nastąpili Reformaci, o tych także nie wie Goliszek, jak długo tu sprawowali swój zakon, dosyć, że teraz odprawia jeden ksiądz nabożeństwo świecki. Fara zaś, jak była parafialnym kościołem, tak jest do dziś dnia.

W *kolej* poprowadził mnie Goliszek do trzeciego bardzo *opustoszonego* kościółka, również tak starego, jak i poprzednie, a wystawiony jest *na część* św. Anny, matki Najśw. P. Maryi. Ten trzeci należał do biskupa, albowiem w Kazimierzu mieściło się biskupstwo, lecz z czasem przeniesiono do Lublina. W tym trzecim pomimo opustoszenia również się nabożeństwo odprawia.

W końcu poprowadził mnie Goliszek na rynek kazimierski. Tam frontem do rynku stoi bardzo wspaniały gmach i też tej samej starości, co mury i kościoły, połowę zajmują *kancelarye* magistratu, a *połowę* gmachu jest własnością apteki. Gmach jest piątrowy, na szczycie *zatylkowego* frontu stoją rozmaite posągi i wyroby kamienne w liczbie *do dwanaście*, zaś po całej frontowej ścianie są wyrobione osoby nadzwyczajnej wielkości z kamienia, a to św. Jakób major, św. Michał biskup, św. Tomasz ewangielista, Chrystopor czyli wielkolud, ten trzyma w prawej ręce *całego dębu* z korzeniami, zamiast laski, a na sobie ma *kaletę* tj. torbę strzelecką skórzaną i w niej niesie troje ludzi teraźniejszej wielkości, tylko im głowy widać z onej kalety, zaś na lewem ramieniu siedzi Pan Jezus, który trzyma w ręce świat cały. Tak on wielkolud tych troje ludzi i Pana Jezusa przenosił *bez rzekę*, lecz gdy wziął P. Jezusa na ramię, bardzo się mu ciężko zrobiło, gdyż nie wiedział, że P. Jezus w ręce swojej pomimo małego

wzrostu cały świat trzymał, wtenczas powiedział do P. Jezusa. „że ci trzej ludzie, co mam w kalecie, tyle nie cieżą, co ty sam jeden“, lecz P. Jezus mu to potem wytłomaczył. Pod nogami onego Chrystopora wykuta jest woda i jedna ryba i dwa raki. a gdy on wielkołud nie mógł znieść ciężaru P. Jezusa, wtenczas na skargę tegoż P. Jezus mu dopomógł. Ztąd nauka, że bez pomocy P. Jezusa najmocniejszy człowiek na świecie swoją siłą nie może nic zrobić. Dalej wyrobione są dwie kozy: co one mają znaczyć, tego mi Goliszek powiedzieć nie mógł. Potem wykuty jest Pan Jezus na puszczy. gdy pościł i łaknął, a *djabół* przyszedł i kusił P. Jezusa. I jeszcze dosyć innych posągów i *osobów* nawykuwanych jest: jedne z podpisem, lecz takowego trudno już przeczytać od starości, drugie bez żadnego podpisu.

Ten gmach to był pałac biskupów kazimierskich. po przeniesieniu biskupstwa do Lublina zakupili go żydzi, lecz obecnie połowę miasto odkupiło, a drugą połowę aptekarz.

Na *odchodnie* zapytałem się Józefa Goliszka, na co tu te na wzgórzu trzy figury stoją, powiedział mi. że wtenczas je miasto postawiło, jak ludzie na cholerę marli.

Płynąc na dół Wisłą od Kazimierza po różnych kolejach podróży przypływamy do *Góry Kalwaryi*. Miejsce to godne uwagi. albowiem oryle nazywają dwie Kalwarye tj. *nową i starą*. Nową nazywają tu gdzie miasto jest, a starą tam, gdzie stare mury są. Lecz ja sam będąc w Górze Kalwaryi, napotkałem tamtejszego rodaka imieniem Stanisław Grotowicz, który na moję prośbę i za poczęstunek objaśnił mi, jak następuje:

Miasteczko *Góra Kalwarya* nazwę te, nie wie, zkąd wzięło, a stare mury, stojące powyżej miasteczka o dwa kilometry, nie zowią się starą Kalwarya, jak to nasi oryle opowiadają i nazywają, lecz to się nazywa *Czersk*, niegdyś bardzo wielkie miasto. ale jeszcze wtenczas, kiedy św. Marcin żył na tej ziemi i służył przy wojsku. Obecnie mieści Czersk kilka małych domków i parafialny kościołek, jednego księdza i te stare mury, które sobie na pamiątkę narysowałem.

Otóż one stare mury o trzech basztach, dwie od strony południowej *okręgłe*, a trzecia od północy i czworograniasta, obszerniejsza od dwóch pierwszych. owe mury mają niezliczone napisy. lecz starością zniszczone nie dadzą się odczytać, a Grotowicz także nie mógł mi wytłómaczyć, tylko tyle mi powiedział, że to był zamek książąt Mazowieckich, został zniszczony przez Szwedów.

Ostatni z książąt Mazowieckich miał, według podania Grotowicza, tak życie zakończyć. Dowiedział się on książę, że w gubernii radomskiej jest bardzo korzystnie obszar dworski z włościami do nabycia, zabrał tedy potrzebną mu na ono kupno gotówkę, wziął z sobą *sztangreta* swego Macieja, powóz, parę klaczy i jazda. Przyjechali bez żadnej przeszkody na miejsce, tam zabawili parę dni, lecz do kupna nie przyszło i książę musiał z tem powracać, z czem przyjechał, zawezwał tedy Macieja do siebie i mówi mu:

— Słuchaj, mój kochany, masz tu pieniądze na obrok, kup obroku i masz tobie *piątaka* tj. 5 złp. na wikt! Uwiń się, bo będziemy musieli wyruszyć w krótkim czasie do domu!

Maciej powiada:

— Proszę pana, nie mogę jechać, ponieważ się klacz ożrebiła.

— O! no to masz tu jeszcze piątaka, najmij sobie kogo, ażeby ci pomógł źrebię włożyć na powóz i dobrze będzie.

Źrebię można było włożyć na powóz, albowiem podówczas były powozy pańskie bardzo długie sporządzano, nie takie, jak teraz. Maciej zabrał dwa piątaki i potrzebną ilość pieniędzy na obrok i oddalił się, nie mówiąc nic więcej, kupił obroku, źrebię zadusił i przyszedł napowrót do pana i powiada:

— Panie, szkoda się stała...

Książę się pyta.

— Jaka?

— Klaczy mleko zebrało bardzo — prawi Maciek — nie mogła bólu znieść i źrebię zabiła.

— No — mówi pan — kiedy tak, to nę! masz tu jeszcze jednego piątaka, daj *czyśnikowi*, niech to źrebię sporządzi.

(To jest taki *czyśnik*, co konie łupi i zakopuje takowe).

Maciej wziął piątak i odszedł, źrebię zakopał, kupił dwa pistolety, nabił takowe i przyszedł napowrót do pana meldować, że już wszystko w porządku, mogą odjeżdżać.

— Ano to zajedź tu pod ganek! — mówi pan do Maćka.

Maciek zajechał, pan wsiadł na powóz i ruszyli w podróż. Przyjechali w las, tam Maciej dobył obydwa pistolety i pokazuje ich panu z dodatkiem, że są nabite. Pan się pyta go:

— Na coś to kupił?

Ten odpowiada, że na to, bo są tu lasy wielkie, mieszkają w nich zbóje, złodzieje i rabusie, „więc będziemy mieli się czem bronić przed onymi niedobrymi ludźmi“.

— Bardzo dobrze, mój Macieju, żeś tak uczynił, masz tu jeszcze piątaka na wódkę, abyś się mógł śmiało bronić!

I tak przyjechali do karczemki na rozstaju drogi, tam stanęli, koniom Maciej założył obroku i po pewnym spoczynku ruszyli w dalszą podróż. Ujechawszy Maciej z panem spory kawał drogi od wspomnianej karczmy, wydobył pistolety, gdyż sądził, że środek lasu, to nikogo niema i jego niecny zamiar się musi mu udać, wypalił do pana z jednego pistoletu, lecz nie zabił na śmierć, bo *zbokował*. Pan porwał za karabelę i począł się bronić, lecz z bólu nie mógł i padł w powozie zemdlony, a Maciej nie chcąc drugiego strzału robić, *kopytkiem* po głowie od pistoletu pomacał kilka razy swego pana, sądząc, że mu więcej nie potrzeba, zdarł go z powozu i zawlókł w krzaki, rzucił w dół, gałęziami przykrył, pieniądze zabrał i zawrócił końmi i przyjechał napowrót do onej karczemki. Żyd się patrzy, że tu przed niedawną chwilą była ta bryczka i te same konie, furman ten sam, co i jest, a także był i pan, a teraz pana niema... Ale nic nie mówił.

Maciej mając piękną sumkę pieniędzy, porządnie się ugościł w onej karczmie, potem siadł i przyjechał do Czerska do pałacu, powiedział potem, że pana obskoczyli zbójcy i zabrali go z pieniędzmi ze sobą w las, a jemu samemu kazali pojechać precz do domu pod zagrożeniem śmierci, co on musiał natychmiast uczynić. *I cicho sia!* nikt nic nie wie, zdaje się, że przepadło.

Książę trochu omdlony, trochu zatajony w owym dole, *na wilgoci* pomału przyszedł do siebie, a słysząc szelest opodal, począł stękać i wołać jak mógł najgłośniej o ratunek. Na szczęście był to gajowy, poczciwy człowiek, gdy usłyszał stękanie, tak pospieszył natychmiast z pomocą księciu, wystarał się czemprędzej o furmankę, jednę po doktora a drugą po księcia w las i tak przy pomocy doktora odstawiono księcia na zamek jego własny. Tam się wyspowiadał i opowiedział wszystko, co mu był uczynił Maciek, a potem umarł. Maćka zaraz aresztowano i wydano doraźny wyrok następujący: najsamprzód mu poodcinali ręce i nogi, a gdy jeszcze sam kadłub żywy był, wtenczas kat przemówił te słowa:

— Matki, karajcie swoje dziatki!

Po tych zaś słowach uciął mu kat głowę.

Wszyscy Mazowieccy pochowani są we Warce. Miasteczko to leży po lewym brzegu rzeki Pilicy, osobiście byłem w niem. Grotowicz mówi, że niegdyś Czersk mieścił w sobie dwanaście kościołów i zamek Mazowieckich. Po śmierci ostatniego z książąt Ma-

zowieckich zabrała one dobra wraz z zamkiem królowa Bona na własność, potem zaś rząd rossyjski, w zamku stali sołdaty moskiewskie. Te ostatnie mówili, że co noc po zamku bieluśkie trzy boginie chodziły i przeszkadzały im we służbie.

Następnie Stanisław Grotowicz mówił mi, że w roku 1862 przybył do niego ksiądz proboszcz Kazimierz Parafiński i szlachcic Baraniecki i rozkazali mu, aby dostarczał powstańcom obuwia i odzieży, gdyż w przeciwnym razie kula w łeb! A tak dostarczałem, mówił, czyli byłem takim liferantem, za co pod Warszawą dostał kulą moskiewską w lewą *biodre* i do dziś dnia kuleje, a na dobitkę musiał sześć miesięcy w cytadeli przemieszkać. Ksiądz proboszcz Kazimierz Parafiński za wolność i niepodległość Polski zabrany był na Sybir w roku 1864, wrócił zaś w roku 1893 i zaraz umarł, szlachcicowi Baranieckiemu nic się nie stało. Brat Stanisława Grotowicza Teofil Grotowicz, gimnazyalista, ten był komendantem *przy powstaniu* u kawaleryi, obecnie mieszka na Woli pod Warszawą.

W końcu mówił mi Grotowicz, że, gdy wyszedł z cytadeli, zaczął gospodarkę prowadzić na własną rękę, a że konie miał kiepskie, więc te sprzedał a kupił parę srokatych u Moskali na licytacyi i te konie nie bardzo drogo mu Moskale sprzedali, więc bardzo się cieszył z tego, bo były dobre. I tak pewnego razu pojechał w Radomskie kilkanaście mil z domu po zboże do Niemca. Gdy przyjechał na miejsce podróży, Niemca nie zastał w domu, tylko samą żonę jego, ta ale nie chciała mu ani jeść dać, ani koniom, bo mu brakło obroku a pieniędzy nie miał ze sobą, znajomego nie miał, coby go poratował, a zastawić też nie miał co, ot i cała niedola! U Niemca zaś nie miał gdzie koni postawić, zmuszony był w karczmie *postajenne* płacić na noc, a w dzień musiał pod karczmą stać.

W tem pewnego dnia przychodzi jakiś podróżny do karczmy, przystanął i patrzy się na jego konie, jak głodne i prochy i śmiecie po *podkarczmiu* zbierały. Zbliżył się do koni on wędrowny, pogłaskał jednego, poklepał i zapłakał nad nim, mówiąc:

— Mój sroczka, nieboraku! pamiętasz ty ostatnią sosenkę, kiedyśmy się rozstali? Ja postradał ciebie i wszystko, ty także wyszedłeś na biedę, bo nie masz co jeść i śmiecie musisz zbierać.

Zbliżył się potem Grotowicz, właściciel koni i zapytał się wędrowca, coby on chciał od jego koni, a ten łzy ocierając, powiada:

— Zanim ten sroczka był wasz, to *wprzódy* był mój. on mnie nosił, on mi był towarzyszem wojaczki, ale wszystko przepadło, i to przepadło bezpowrotnie dla mnie...

Tak lamentował i narzekał on wędrowiec. Następnie wszczęli rozmowę pomiędzy sobą i ten wędrowiec powiedział Grotowiczowi, że był podkomendnym niższym sztabowym oficerem i prosił go, aby mu koni pozwolił do najbliższego dworu, nie ma się czego obawiać, bo on po upływie jednej godziny powróci i obroku dla koni dostanie i dla niego pieniędzy. *Zrezykował* Grotowicz, pozwolił podróżnemu koni z wozem, a sam się pozostał w karczmie. Wyszła jedna i druga godzina, naszego podróżnego ani słychu. żyd *na karczmie* mieszkający począł go straszyć, że to być musi jakiś złodziej i tak go haniebnie oszukał. Grotowicz zaś był spokojny i mruczał:

— Pal go licho! Weźmie, to niech weźmie, ja kupię inne.

Za półtrzeciej godziny powrócił on wędrowny i przywiózł mu *dostatkiem* obroku, a samemu wręczył pięć rubli. I odszedł smutny on wędrowny bohater, który walczył za wolność i niepodległość Polski, nie miał potem własnego kąta, aby sobie głowę skłopotaną przytulić mógł.

W końcu Grotowicz Stanisław dodał, że to powstanie całkiem nie było potrzebne, gdyż majątki wielkie przeszły w obce ręce i dużo ofiar padło haniebną śmiercią od tych *krwiożercy*.

Płynąc z Góry Kalwaryi do Warszawy, pochwycił nas *wiater* pod *Korczowcem*, tam poszedłem *na cal* [1]) do Marcina Maziarza ze Żdziarów, powiat Nisko. Ten *mi* się zapytał, czy wiem, zkąd się rzeka *Wieprz* wzięła. Odpowiedziałem, że nie wiem. Ten wtenczas zaczął mi opowiadać, jak następuje:

W dawnej Polsce, zkąd dziś rzeka Wieprz wypływa, był sobie proboszcz na probostwie bardzo zamożny, miał oprócz wszystkich dobytków i stado świń. Te świnie pasał mu chłopek biedny za liche pożywienie i okrycie, lecz pomimo nędzy nie opuszczał nasz pastérz swojej trzody, tylko wiernie służbę pełnił nadal. Gdy się on proboszcz bardzo zestarzał i *czuł się wnet pożegnać z tym światem,* więc zwołał swoich bliskich i znajomych, oraz sług, a gdy się zaproszeni zeszli, wtenczas ksiądz proboszcz podzielił wszystkich swoim majątkiem. W końcu przyszła kolej na naszego pasterza trzody. Temu biedakowi ksiądz proboszcz dekla-

[1]) Z a d n i a, czyli tylna część tratwy nazywa się c a l e m, przednia g ł o w ą.

rował dziesięć sztuk wieprzów, lecz pasterz wzbraniał się przyjąć onej trzody dlatego, że nie ma im co dać jeść, ale ksiądz powiada tak:

— Sprzedasz jednego, to za uzyskane pieniądze będziesz hodował resztę.

Lecz pasterz mówi:

— A jak to przejedzą?

— To drugiego sprzedasz... i tak dalej.

Nareszcie ksiądz umarł. Nasz pastérz sprzedawał *po jednemu wieprzowi* a *pozostałe resztę* hodował tak długo, aż w końcu pozostał mu tylko jeden wieprz, i tego nie miał już czem hodować. Co tu teraz robić?... Biedny chłopina łamie sobie głowę, lecz po niejakim czasie *padł* na myśl, ażeby w owym kłopocie udał się po poradę do księdza nowego, który już był na miejscu nieboszczyka. Jak pomyślał, tak i zrobił. Przychodzi do księdza, pochwalił Pana Jezusa. Ksiądz nieznajomy zapytuje go:

— *O czem człowieku?* Może pogrzebu płacić?

— Ej! nie, proszę ojca duchownego, tylko po poradę idę, bo nie mam głowy na to, abym mógł swego wieprza hodować nadal.

Ksiądz się pyta:

— Zkąd masz tego wieprza?

Chłop odpowiada, ze nieboszczyk ksiądz proboszcz deklarował mu dziesięć sztuk i tak mu nakazał, ażeby po jednemu sprzedawał i za uzyskane pieniądze resztę pozostałych hodował, co on punktualnie według słów i woli nieboszczyka księdza proboszcza wypełnił i gdy już dziewięć sztuk wysprzedał, a ten jeszcze ostatni jest i chce jéść, a on już nie ma innych wieprzów na sprzedanie, teraz nie wie, co ma czynić z tym ostatnim.

Była to pora wiosenna, kiedy się ta scena odgrywała. Ksiądz wysłuchawszy doskonale chłopa, tak w końcu rzekł:

— Kiedy temu ostatniemu nie masz co dać jeść, a innych nie masz już do sprzedania i ksiądz nieboszczyk ci nie powiedział, co masz z tym ostatnim uczynić, to idź do domu, wypuść wieprza i nie daj mu nic jeść, a gdziekolwiek ten wieprz pójdzie, to i ty idź za nim, ani go nie napędzaj nigdzie, ani do domu, ani nie pędź naprzód, ani w bok, tylko gdzie on sam pójdzie, to ty zdaleka pomału za nim tak, abyś go z oczu nie stracił.

Chłop podziękował i poszedł, wygnał wieprza z obory i za nim w ślad, gdzie wieprz, to i chłop, aż przyszli do pewnego lasu. Tam pod drzewem wieprz wyrył sobie dół i dla odpoczynku

położył się w nim. Chłop sobie siadł i myśli, jak ten wieprz jego jeszcze daleko pójdzie. Wieprz się wyleżał, wstał i ryje za korzonkami, bo mu się żreć chce, a chłop przyszedł do onego wyrytego dołka i patrzy... aż tu sterta pieniędzy! Czemprędzej zebrał te pieniądze do worka, a gdy ostatni pieniądz wybierał z dołka, zaczęła się powoli woda sączyć i coraz lepiej i lepiej, aż urosła w rzekę...

I do dziś dnia płynie w dal do królowej Wisły, aby oddać wodę tę, którą słońce posłało nad *wieprzeńskie* okolice.

Dr. Karol Mátyás.

BIRŻE LITEWSKIE.

(Dokończenie).

Teraz duchowieństwo kalwinskie ze swej strony uczyniło akt formalny, oświadczając, „że nadań udzielonych sobie przez książąt Radziwiłłów nie ma prawa nikomu ustąpić i nie ustąpi“, a główny rządca birżański, S. Niezabytowski, zapozwał o bezprawia księdza A. Maciejewicza i wyjednał list, pozywający go do sądu biskupiego, od Pasterza dyecezyi, ks. Mikołaja Stefana Paca, datowany z Wilna d. 24. kwietnia 1676 roku.[1])

Drwił sobie z tego ks. Maciejewicz, gdyż z Wilna od otaczających biskupa dyecezyalnego odbierał listy, w których mu donoszono, „że pasterz bardzo zadowolony z jego czynności i gorliwość jego pochwala“. Nie tracąc tedy czasu i o lepsze starając się pochwały, z puszczy książęcej ponawoził drzewa i na dawnym cmentarzu rzymsko-katolickim wzniósł na prędce obszerną tymczasową kaplicę.

---

[1]) Ów list podaje in extenso E. Tyszkiewicz w monografii powyżej przytaczanej na stronach 112 i 113 z uwagą, że wszystkie akta do tego zajścia się odnoszące, zachowane są w zbiorze rękopisów biblioteki birżańskiej i że je do użytku autora z języka łacińskiego łaskawie przetłómaczyć raczył ks. Mamert Herburt, prałat katedry wileńskiej.

Kalwini zaś miejscowi udali się do elektora brandenburskiego, wzywając jego wdania się i protekcyi. Widzimy to z odpowiedzi króla polskiego do elektora w tymże interesie w języku łacińskim wystosowanej, a w której król Jan III. powiada pomię[illegible]y innemi:

„Czyżby to było w Birżach tak wielkim występkiem, iż tam, u rodziców katolickich, ochrzcił kapłan katolicki jedno i drugie dziecię, ażebym za to karę aż 3.000 talarów naznaczał? Tego nikt nie czyni, chyba ten, kto ważność traktatów warszawskich i bydgoskich, a bardziej jeszcze rzymskiego Kościoła, chce naruszać. W piśmie o wybudowanym przy Birżach kościele rzymsko-katolickim czytamy, że bliższa pomiędzy nami narada skuteczniej by mogła te interesa ułatwić, aniżeli urzędowa władza miejscowa. Przeciwnie, powaga dziedzictwa majątku nie pozbawia bynajmniej i nie usuwa zwykłej nad niemi opieki władz. Dziedzice Birż mają trybunały wielkiego księstwa litewskiego, w których o mniej właściwe do rozprawy sądy, mogą się z własnymi współobywatelami porozumieć: Nam zaś wiadomo, że tam był kościół katolicki nie teraz wybudowany i t. d."

Zatargi trwały, dziedziczka maloletnia wzrastała, a kalwinów jedynem staraniem było, ażeby ks. Ludwika Karolina za katolika wydaną za mąż nie została. Zauważyli kalwini, że najwłaściwszym małżonkiem dla niej byłby najmłodszy syn kurlandzkiego księcia Jakóba, książę Aleksander, a to nie tylko z powodu sąsiedztwa Kurlandyi z księstwem Birżańskiem, ale i dla tego, iż, jako książę kurlandzki, miał on indygenat polski. Ludwika Radziwiłłówna wyszła istotnie *primo voto* za protestanta. Nie był nim wprawdzie książę Aleksander, ale brat jego cioteczny, Ludwik margrabia brandenburski.[1])

Zanim to nastąpiło, zatargi w Birżach pomiędzy duchowieństwem katolickiem a kalwinami nie ustawały. Biskupi katoliccy już się tu rozporządzali energicznie i bronili owczarnię swoją od szkodliwych wpływów dyssydenckich. W r. 1682 wydał ks. Słupski (biskup gracyanopolitański, zarządzający dyecezyą wileńską po zgonie biskupa Paca) do duchowieństwa świeckiego i zakonnego łacińską odezwę, którą w przekładzie polskim tu podajemy dla uzupełnienia obrazu:

[1]) Obacz „Przegląd Powszechny", tom 49, str. 44, rozprawa Gustawa Manteuffla p. t. „Książę Jakób kurlandzki i jego następcy", ogłoszona w tym tomie na str. 34—53.

„Z powodu świeżego przedrukowania po litewsku książki bluźnierczej przeciwko zasadom katolickiej Powszechnego Kościoła religii zuchwale i bezbożnie bijącej, w Raudanach drukowanej, na 4 części i dzielonej, z których w pierwszej i trzeciej są modły rozmaite niby to chrześciańskie, w drugiej krótka treść ewangelii a w czwartej nauka dla dzieci katechizmowa, gdzie się wznawiają straszliwe i najcięższe kacerstwa przez Kościół święty niejednokrotnie potępiane, zwłaszcza w ostatniej części, kreślonej ku zgubnemu zgorszeniu prawowiernych prostaczków, bo się ten jadowity elaborat przez nocnych zabójczego kąkolu podsiewców po całej wileńskiej dyecezyi rozrzuca, najbardziej zaś po księstwach Birżańskiem i Dubinkowskiem. Dla prędszego więc przeciwdziałania tak okropnej zarazie dusz i serc wiernych, zanim się prawne środki przeciw niej przedsięwezmą, zaleca się niniejszem po wszystkich kościołach katolickich, aby wszędzie z ambon podczas nabożeństwa ogłoszonem zostało, że każdy, który by się ważył ową bezecną książkę czytać lub onej drugim udzielać, podpadnie wyrokowi klątwy większej, gdyż każdy powinien ją oddać swemu plebanowi, aby wszystkie razem zebrane do zwierzchności dyecezyalnej były dostawione.“

W r. 1686 ksiądz administrator A. Maciejewicz rezygnował, a pierwszym formalnym czyli przysięgłym proboszczem w Birżach naznaczony został w r. 1689 (przez biskupa wileńskiego księdza Konstantego Brzostowskiego) ksiądz Łoczydłowski.

Tymczasem gdy spory religijne nie ustawały, dziedziczka Birż, otoczona całym legionem konkurentów z katolickiej linii Radziwiłłów, a którą nawet sam król Jan III. pragnął widzieć swoją synową, zawiódłszy nadzieje królewicza Jakóba Sobieskiego pochwyconą została w 14-tym roku życia przez Ludwika, syna elektora brandenburskiego na towarzyszkę dozgonną w r. 1681, i wówczas to zabłysły najpiękniejsze widoki dla jej kalwińskich współwyznawców. Ale Ludwika Karolina w lat kilka owdowiała i *secundo voto* wyszła za mąż za gorliwego katolika, księcia Neuburskiego. Małżeństwo to pobłogosławił tylko kapłan katolicki, gdyż księżna namiętnie kochała męża i posłuszna mu była we wszystkiem. [1])

---

[1]) Ślub księżnej odbył się potajemnie w Berlinie, u posła cesarza rzymsko-niemieckiego przy Dworze elektora brandenburskiego, hrabiego Sternberga, i dawał go kapelan domowy tegoż posła całkiem prywatnie.

To też niebawem zaczęły się ukazywać skutki tego zgodnego pożycia małżeńskiego nawet w dobrach księżnej na Litwie. Za konsensem elektora i palatyna Renu osiedli OO. Jezuici w Słucku a księża Karmelici w Kiejdanach i szkoły swoje otworzyli. Rządcą Birż naznaczony został gorliwy katolik Leszyński. który swe rządy od tego w Birżach rozpoczął. że wszystkich oficyalistów i sług wyznania kalwińskiego zastąpił katolikami.

Za wdaniem się biskupa wileńskiego. Konstantego Brzostowskiego. zatwierdziła księżna w r. 1692 odnowioną fundacyę kościoła katolickiego w Birżach i bogatymi aparaty kościelnymi hojnie ten dom Boży wyposażyła. Haftowane złotem o artystycznie wykonanych herbach ówczesnej birżańskiej dziedziczki. przechowane są one po dzień dzisiejszy w kościele birżańskim. [1])

Dziwiono się podówczas tej życzliwości, okazywanej przez księżnę wyznaniu rzymsko-katolickiemu, bo oprócz prałata Albertrandiego nikt w kraju jeszcze nie wiedział. że ona sama już została katoliczką. [2])

Księżna Neuburgska rozstała się z tym światem w roku 1695 i wkrótce po jej przedwczesnym zgonie, bo już w roku 1719. wzniesiono w księstwie Birżańskiem jeszcze dwa nowe kościoły katolickie. w S o ł o m i e ś c i u i R a d z i w i l i s z k a c h, co kalwinów niepomiernie niepokoiło. [3])

To też długo pozostał tajemnicą. zwłaszcza dla kalwinów. którym i później nie było wiadomem, iż księżna była wyznania rzymsko-katolickiego.

[1]) Rysunek dokładny owych wspaniałych haftów, podaje E. Tyszkiewicz na str. 116-tej przytaczanej już monografii.

[2]) W kopii rękopisu Albertrandiego. przechowanej w bibliotece Birżańskiej pod tytułem: „H i s t o i r e p o l o n a i s e d e s t r o i s s i è c l e s d e r n i e r s, p r o u v é e e t é c l a i r é e p a r l e s m é d a i l l e s“ czytamy: „Une chose singulière et presque inconcevable est que cette princesse (Ludwika Karolina) qui n'avait jamais voulu entendre à aucun changement de religion tant qu'il s'agissait d'épouser le prince Jacque (Sobieski), se prête avec la plus grande facilité à devenir catholique, des qu'elle fut l'épouse du duc de Neubourg“. Skromny prałat — zauważył dowcipnie E. Tyszkiewicz — nie zdołał odgadnąć prawdziwych przyczyn tak łatwo kierujących przekonaniem kobiet. i badań swych historycznych w stronę serca nie skierował.

[3]) Obacz list synodu słuckiego. ogłoszony u Łukaszewicza w tomie II. na stronicy 219 i następnych.

Po przejściu dóbr Birżańskich do linii Radziwiłłów Nieswieskich, parafia birżańska rzymsko-katolicka bardziej się jeszcze rozszerzyła. Kościół parafialny drewniany, wzniesiony przez księżną Annę z Sanguszków Radziwiłłowa, kanclerzynę wielkiego księstwa litewskiego, dotrwał aż do roku 1858, w którym już tylko z muru całkiem go przebudowano. Parafia birżańska rzymsko-katolicka liczyła w roku 1901 wiernych płci obojga 6.340, parafia luterska w tymże czasie sięgała głów 4.912, kalwińska 5.894, a nowo założona prawosławna 688 dusz.

Kończac rozdział niniejszy, zaznaczyć jeszcze winniśmy, że od wprowadzenia wiary świętej w roku 1386, „Birże litewskie“ należały stale do dyecezyi wileńskiej, a zaś od utworzenia gubernii kowieńskiej w r. 1844 parafia katolicka birżańska weszła w skład dyecezyi żmujdzkiej a dekanatu kryniczyńskiego.

III.

Pod względem najdawniejszych wspomnień historycznych o Birżach litewskich czytamy w nieco już przestarzałej „Starożytnej Polsce“, że w roku 1415 król Władysław Jagiełło, objeżdżając Litwę, był także w Birżach, co E. Tyszkiewicz nader słusznie za rzecz wątpliwą uważa. Pewnem zaś jest, że w połowie XV. stulecia Grzegorz Fiedkonic, sekretarz króla Kazimierza Jagiellończyka a dziedzic ówczesny Birż, poślubił Annę, córkę Radiwiła Ostikowicza,[1]) i jako bezdzietny, całych swych dóbr przy zgonie uczynił ją dziedziczką. Ta umierając w r. 1492 przekazała te dobra rodzonym synowcom swoim Radziwiłłom. Jerzemu het-

[1]) Obacz: Adam Boniecki „Poczet rodów wielkiego księstwa litewskiego“. (Warszawa 1887 w wielkiej ćwiartce) str. 280 i inne, na których autor uzasadnia naukowo wspólność rodów Radziwiłłów i Ościków, wyjaśniając w sposób niewątpliwy, że Ostik, od r. 1419 kasztelan wileński, miał dwóch synów: Radiwiła i Stanisława, z których pierwszego nazywano Radiwiłem Ostikowiczem, a drugiego Stanisławem Ostikowiczem. Syn Radiwiła Ostikowicza nazywał się Mikołajem Radiwiłowiczem, wnukowie zaś, Jerzy, Albert i Mikołaj — przyjęli pierwsi nazwę rodową „Radziwiłł“. Dwom pierwszym z nich przekazała Anna (córka Radiwiła Ostikowicza a małżonka Gregora Fiedkonica) dobra Birże. Od Stanisława Ostikowicza wyszedł zaś ród Ościków w XVII. stuleciu już całkiem wygasły.

manowi i Albertowi biskupowi wileńskiemu. Odtąd dobra te przeszły na stałe do imienia Radziwiłłów i następnie stanowiły kamień węgielny domu Radziwiłłowskiego linii birżańskiej. Córką Jerzego Radziwiłła, pierwszego tego imienia dziedzica Birż, była — jak powszechnie wiadomo — królowa Barbara. Od Jerzego i Jana, dwóch braci rodzonych, rozdwoił się dom Radziwiłłów na dwie linie: nieświeską i birżańską, a synowie ich, dwaj bracia stryjeczni, imieniem Mikołajów, zwanych Czarny i Rudy, wyniesieni do najwyższych w kraju dostojeństw przez szwagra ich, króla Zygmunta Augusta, otrzymawszy tytuł książąt państwa Rzymskiego od cesarza Karola V., zaczęli się pisać: Czarny, na Ołyce i Nieświeżu, Rudy zaś na Birżach i Dubinkach.

Tak więc Birże w roku 1547 zostały „księstwem“. Syn Mikołaja Rudego, Krzysztof I., pierwszy tu zamieszkał, wzniósł zamek obronny, a w nim pałac dla siebie; miasto znacznie zabudował i przywileje mu nadał. Dla tego też myśl dosyć ogólnie upowszechniona, że córka Jerzego, Barbara Radziwiłłówna, już tu mieszkała, jest całkiem mylną.

We dwa lata po śmierci Krzysztofa Radziwiłła, założyciela zamku birżańskiego, gdy Karol, książę Sudermanii wtargnął do granic swego synowca, króla polskiego Zygmunta III., stanął w Birżach Jan Karol Chodkiewicz w r. 1605,[1]) tu zbierał swe siły zbrojne i ztąd wyruszył pod Rygę, gdzie w dniu 27. września tegoż roku w wiekopomnej bitwie pod Kirchholmem nieśmiertelną okrył się sławą. Gdy w lat kilka potem Suderman znowu począł grozić Polsce, Chodkiewicz przybył powtórnie do Birż, hetmaniąc wojskom swego króla.

Smutniejsze dla Birż nastały chwile, gdy Gustaw Adolf w r. 1625 wkroczył do Litwy na czele licznych hufców. Poswol i Birże opanował i mocnym garnizonem osadził. Skarbiec książęcy, działa i zapasy wojenne stały się własnością szwedzkiego zdobywcy.

W roku 1626 Rzplta wynagrodziła te straty Radziwiłła, co mu dało możność odnowienia twierdzy birżańskiej, bardzo już

---

[1]) Tak utrzymuje Naruszewicz w dziele swojem: „Historya Jana Karola Chodkiewicza“ lubo historycy inflanccy dowodzą, iż w czasie wtargnięcia Karola Sudermańskiego do Inflant (w sierpniu 1605 r.) Chodkiewicz ze swymi hufcami był w Dorpacie, ztamtąd udał się do Kiesi, a z Kiesi do Kirchholmu.

zrujnowanej i uzbrojenia jej tak, że stała się znowu potężnym a obronnym punktem granic. Ale przeznaczeniem Birż było, znać ustawiczne klęski, gdyż w roku 1655 Karol Gustaw wchodzi do Litwy, łączy się tajemnie z Januszem i Bogusławem Radziwiłłami. jako zagorzałymi dyssydentami: ci dobrowolnie otwierają bramy zamku birżańskiego przed wrogiem. który je swoimi Szwedami osadza i przenosi teatr wojny wewnątrz kraju. Klęski jakie kraj nasz wtenczas poniósł. zbyt są znane ogółowi czytelników nie tylko z historyi, ale i z powieści historycznej genialnego Sienkiewicza, ażeby je tu powtarzać należało. chociażby w streszczeniu. Hetman Gosiewski szturmem wydarł Birże z rąk nieprzyjaciół. Janusz Radziwiłł umarł wśród zamkniętych Szwedów w Tykocinie. Miasta i dobra książęce mniej przez nieprzyjaciół. a bardziej przez własne mściwe wojsko były szarpane.

W roku 1701, kiedy w wojnie z carem moskiewskim Karol XII. począł tryumfować, a car Piotr Wielki szukał przymierza z królem polskim. Augustem II., zamek birżański był wyznaczony na zjazd tych obu monarchów. Zjazd ów uwiecznił król August wybitym na tę pamiątkę medalem.[1]) W Birżach podówczas, oprócz zbliżenia się politycznego, płeć piękna, przyjemności stołu, gęste i pełne puhary coraz bardziej dwóch monarchów łączyły. Obaj młodzi. niepomiernej siły, rozmiłowani w wojennem rzemiośle i miłostkach, w tem się tylko różnili, że car Piotr nie miewał na swym dworze tylu dobrze obmyślanych rozkoszy jak August II. To też polubił dwór i rodzaj życia Augusta, głaskał magnatów polskich, tańczył z naszemi kobietami, ubierał się w polskie suknie[2]) i tem łatwe serca ku sobie pociągał. Mimo to senatorowie polscy unikali w Birżach zaprosin na obiady, nie zgodzili się na wojnę ze Szwedem, mówiąc, „iż wolą mieć pewny pokój. aniżeli niepewne z wojny pożytki“. August więc tylko jako Elektor saski udział w niej przyjął.

Ciekawe są z wielu względów korespondencye tajne słynnego Rajnolda Patkula, prowadzone z pułkownikiem Koenigseck, posłem nadzwyczajnym Augusta II. przy osobie cara Piotra I.

---

[1]) Patrz E. Tyszkiewicza „Birże“, gdzie na str. 69 podany jest dokładny rysunek owego medalu.

[2]) Niezaprzeczonym dowodem tego jest kontusz czerwony Piotra Wielkiego, przechowywany staraunie w Moskwie w zbiorach „Oru żejnej Pałaty“.

w Moskwie.[1]) W jednym z tych listów sekretnych Patkul dopomina się przyrzeczonego mu w Birżach listu ochrony na dobra księcia Czartoryskiego „Wiślicz“, położone w województwie witebskiem. W innym liście tegoż Patkula, kreślonym z Warszawy d. 28. czerwca 1701 r. czytamy, że powiernik najbliższy Augusta II., pan Vitzthum, jeszcze przed trzema miesiącami będący z królem w Birżach, wpadł żywcem w ręce Karola XII. Oprócz tego zdradza tenże list dziwnie nieszlachetne myśli i intencye Augusta, wykazując jasno, że ten przeniewierczy król, jedynie dynastyczne widoki mając na celu, gotów był sam przyłożyć rękę do rozbioru ziem bezwładnej już w owym czasie Rzpltej.[2])

W czasie tejże wojny północnej wybiła ostatnia godzina bytu twierdzy i zamku birżańskiego, zniszczonych przez Löwenhaupta w r. 1704. Odtąd same już tylko dobra birżańskie bywały świadkami klęsk nierozdzielnych z wojną. W roku 1794 ściągnęły tu wojska polskie i rossyjskie, w ciągłej wówczas będące czynności.

---

[1]) Listy te nie są dotąd nigdzie ogłoszone. Oryginał znajduje się w tajnem archiwum drezdeńskiem, a kopie autentyczne, za dozwoleniem króla saskiego, dla Michała Borcha, dziedzica Prel w Inflantach polskich, w pierwszej połowie XIX. stulecia dokonane, przechowują się dotąd w całości. — Do roku 1859 znajdowały się one w Inflantach w bibliotece prelskiej, obecnie zaś, wraz z całą tą biblioteką, weszły w skład biblioteki ordynackiej birżańskiej, mającej rzeczywistą wartość naukową i pod tym względem prawie jedynej na Litwie właściwej, jeśli wyłączymy bibliotekę szczorsowską, w powiecie nowogrodzkim, powstałą ze zbiorów ostatniego kanclerza wielkiego księstwa litewskiego, Joachima Litawora Chreptowicza, nagromadzonych przeważnie z klasztorów, jakie tak chętnie kasował w Galicyi cesarz Józef II.

[2]) O tem Patkul w tych się wyraża słowach: „Le roi de Suède tient monsieur Vitzthum prisonnier, qu'il veut livrer entre les mains de la République, quand elle sera assemblée pour une nouvelle élection, que le roi de Suède pousse présentement seulement en faveur du prince Conti avec de grandes offres pour la République. On a trouvé chez monsieur Vitythum des lettres pour d'autres puissances étrangères, où le roi de Pologne fait un projet comment partager la Pologne entre ses voisins“. Wiadomość te potwierdza manifest prymasa M. Radziejowskiego z d. 2. maja 1704 r., w którym prymas, mówiąc o swobodach krajowych powiada: „na które jakiż większy mógł być zamach nad wydawające się z listów króla J. Mci machinacye, a te przez generała Horna, komisarza do traktatu z nami od króla szwedzkiego, w oryginale nam produkowano.“ (Biblioteka miejska w Rydze).

Najdawniejszą wzmiankę o Birżach Litewskich, jako miasteczku, czytamy w liście ostatniego arcybiskupa ryskiego, na w pół zlutrzonego Wilhelma, margrabi brandenburskiego, kreślonym w r. 1556 z Kokenhuzy do brata swego Alberta, księcia pruskiego, którego uprasza, „ażeby umyślnych z listami nie posyłał przez Kuronię, gdzie je łatwo przejąć mogą krzyżacy inflancey, lecz przez Litwę do Birż, miasteczka należącego do wojewody Trockiego a ztąd tylko o mil 10 odległego. Ztamtąd zaś niech już wprost do Kokenhuzy zdążają."

Krzysztof Radziwiłł, pragnąc podnieść miasteczko Birże, nadaje mu prawo magdeburskie, swobody i przywileje oraz 60 włók ziemi, wynosząc je w ten sposób na stopień miasta. W r. 1589 otrzymało ono na to od króla Zygmunta III. przywilej zatwierdzający. Po najściach Szwedów zatwierdza Władysław IV. w r. 1644 przywileje miasta na nowo i uwalnia mieszkańców od podatku na lat 12. Ale liczne napady wrogów, skierowane na Birże, jako na narożny szaniec obronnych granic Litwy, niszcząc wszystko ogniem i mieczem, doprowadziły miasto do upadku. W roku 1817 nawet sądy domowe zostały tu zniesione, księgi przeniesiono do sądu powiatowego w Poniewieżu, ogólny zaś zarząd miasta, (traktowanego odtąd jak zwykła osada prywatna), przeszedł do dziedziców dóbr birżańskich.

Kiedy książę Dominik Radziwiłł [1]) część swych dóbr postanowił wyprzedać, Birże nabyte zostały przez jednego z jego licznych wierzycieli, pana Józefa Tyszkiewicza. Lecz niebawem ustanowioną została w Wilnie ukazem cesarza Aleksandra I. tak zwana „komisya Radziwiłłowska", dla rozjaśnienia powikłanych interesów i urządzenia dóbr małoletniej księżniczki Stefanii, córki księcia Dominika. Wówczas to przez ową komisyę wytoczony został wespół z innemi i z Michałem Tyszkiewiczem, synem Józefa, proces o dobra birżańskie, który w r. 1844 w taki sposób zakończono, że dziedzictwo na Birże synowi nieżyjącego już Michała, Janowi Tyszkiewiczowi, późniejszemu założycielowi ordynacyi birżańskiej, ukazem cesarskim przyznane zostało.

Tenże założyciel ordynacyi, w r. 1862, gdy objął z działu mu przypadłe dobra Birżańskie, wzniósł w pobliskim Ostrowiu

---

[1]) Książę Dominik Radziwiłł urodził się w r. 1785 a umarł w młodym wieku, bo w 28-mym roku życia we Francyi w r. 1813, pozostawiając jako jedyną dziedziczkę rozległych dóbr Radziwiłłowskich, małoletnią córkę księżniczkę Stefanię.

rezydencyę i miejsce to odpowiednim pałacykiem ozdobił. Pałacyk, stawem od miasteczka Birż oddzielony, zawierał aż do roku 1892 cenne zbiory naukowe i bibliotekę z Inflant polskich od dziedzica dóbr Prelskich, hr. Michała Borcha, przed 40-tu laty dziwnie tanio nabytej. Tę ordynacką bibliotekę birżańską przewieziono przed 9-ciu laty do ordynackiego pałacu w Wilnie, gdzie prawdopodobnie zmarnieje, gdyż tam nią zawiaduje lokaj (noszący szumny tytuł marszałka dworu) a nie bibliotekarz. W oddziale polskim biblioteki birżańskiej przed jej przewiezieniem do ordynackiego pałacu w Wilnie, zbiór historyczny bardzo bogato był przedstawiony, a do niego wcielono także dzieła wydane w innych językach o Polsce i jej dziejach.

Do rzadkości bibliograficznych należą tutaj księgi drukowane w Brzegu, Chocimie, Nancy, Poczajowie, Sandomierzu i Supraślu. Są tu także Postylle Wujka (w wydaniu z r. 1584), Postylle Abrahama Szkulteta (wydanie gdańskie), „Bibliotheca Fratrum Polonorum“ z r. 1656, drukowane w Irenopolu, Herbiniusa: „Religiosa Kijoviensis cryptae“ (Jena 1675 r.), a w oddziale łacińskim stanowią inkunabuły z XV. stulecia największą ozdobę tego cennego księgozbioru. W oddziale polskim przedstawione tu są w swoich edycyach około 50-ciu naszych dawnych drukarń. Nie brak także dzieł rzadkich w oddziałach: francuskim, angielskim, niemieckim a nawet rossyjskim.

W cennym zbiorze rękopisów odznaczają się tutaj: Metryka korespondencyj Jędrzeja Opalińskiego, marszałka wielkiego koronnego z roku 1582, dotycząca bytności króla Batorego w Rydze i załatwiania tam spraw inflanckich. Są tu ciekawe instrukcye, dane posłom wysyłanym w owymże czasie do Szwecyi, do cesarza Rzymskiego, do Moskwy i t. d. oraz tych posłów sprawozdania, jest list Katarzyny Jagiellonki do króla Stefana a 7 listów „bezimiennego przyjaciela“, zaufanego sekretarza Jana Zamoyskiego, którego imię i nazwisko pragnął oczywiście ukryć marszałek koronny. Ów bezimienny „przyjaciel“ był nieodstępnym przy królu i przy Zamoyskim, a Opalińskiemu donosił o szczegółach chociażby najdrobniejszych.

O kopiach autentycznych z tajnego archiwum drezdeńskiego, sporządzonych za pozwoleniem króla saskiego do biblioteki prelskiej w Inflantach polskich dla Michała Borcha, wspominaliśmy wyżej w niniejszym rozdziale, a o rękopisie francuskim prałata Albertrandiego w rozdziale poprzednim.

Tu zaś jeszcze wspomniemy o staro-słowiańskim latopisecu z epoki fałszywych Demetryuszów, o których nie przestaje rozpisywać się uczony ksiądz Pierling;[1]) ten starannie utrzymany i przez M. Borcha niegdyś za grube pieniądze nabyty latopisiec, mieści w sobie wiele nieocenionych szczegółów do ówczesnych dziejów naszych krajowych.

Do tegoż cennego oddziału rękopisów wcielone zostały papiery po-Radziwiłłowskie, z dobrami birżańskiemi najmniejszej styczności nie mające.

Biblioteka birżańska w r. 1892 liczyła około dziewięciu tysięcy tomów a z nią były połączone zbiory: archeologiczny, etnograficzny i ornitologiczny.

W zbiorze archeologicznym, obok starożytności litewskich, przez nowe odkrycia od czasu do czasu wzbogacanych, główne zajmowały miejsce przedmioty odgrzebywane w Herkulanum i Pompei: zbiór zaś etnograficzny, oprócz ciekawości litewskich z tegó zakresu wiedzy, odznaczał się pokaźną liczbą sprzętów, narzędzi i broni ludów dzikich Ameryki. Zasługują również na uwagę: gabinet fizyczny tudzież zbiór rzeźb marmurowych i malowideł, zdobiących i dotąd dawne sale biblioteczne i pokoje mieszkalne, o ile nie zostały przeniesione do ordynackiego pałacu w Wilnie.

Gustaw Manteuffel.

---

[1]) Znane są zwłaszcza jego publikacye: „Rome et Démétrius etc.“ (Paris, 1878), „Lettre de Dmitri, dit le Faux“ (Paris, 1898), „La Russie et le Saint-Siège“ (Paris, 1901), odnoszące się zawsze wyłącznie do epoki fałszywych Demetryuszów. Ostatnimi czasy ogłaszał ten autor artykuły nawet w języku rossyjskim: „Iz smutnaho wremeni“ (Russkaja Starina 1901 r. styczeń) oraz „Nazwannyj Dimitrij“ (Wiestnik Jewropy 1901, zeszyt styczniowy). Latopisiec birżański nieznany mu jeszcze.

ZYGMUNT KIEJSTUTOWICZ

KSIĄŻĘ STARODUBSKI.

(Dokończenie.)

Rokiem 1398 kończy się pierwsza faza w życiu Zygmunta za Witolda. W tym czasie on rzeczywiście zupełnie niczem nie odznaczył się, a to dlatego, ponieważ nie było na to czasu. Dwukrotna ucieczka do Prus i sześcioletnie więzienie nie mogły Zygmuntowi, który wówczas był zaledwie młodzieńcem, dać pola do popisu. Uwolnienie z więzienia dało jednak Zygmuntowi odrazu możność wziąć chociaż nie bardzo znaczny udział w politycznych i wojennych planach swego brata Witolda. Ten udział zaznaczył się już 1398 r. podpisami Zygmunta na dwóch dokumentach Witolda.

Rokiem 1399 zaczyna się nowa faza w życiu Zygmunta za Witolda. O ile z wiadomości, które do nas doszły, wnosić można o udziale Zygmunta w wojennych i politycznych planach Witolda, to udział ten był dość żywy, chociaż nie wybitny. Że Zygmunt nie dał poznać w większej mierze swego talentu, jak pisze Długosz, temu już winne w znacznej części okoliczności, które wprost do tego nie dopuszczały. Wogóle w tych czasach poprzy Witolda trudno było wybić się któremukolwiek drugiemu z książąt litewsko-ruskich, chyba że byłby on szedł na przekór Witoldowi, jak to

czynił Świdrygiełło, lub gdyby mu dano jakieś pole do popisu, jak n. prz. Zygmuntowi Korybutowiczowi w Czechach. Kto szedł ręka w rękę z Witoldem, jak jego brat Zygmunt, ten nie mógł mieć pola do popisu, a mógł stąpać tylko tą ścieżką, którą wskazywał i którą szedł sam Witold. Lecz mimo to życie Zygmunta za Witolda nie było całkiem niegodne uwagi, jak to przedstawił Długosz, a za nim także nowsi historycy, chociaż i ja tego nie przeczę, że Zygmunt niczem nadzwyczajnem nie wybił się ponad innych książąt, może dlatego, że, jak wspomniałem, wprost okoliczności nie dopuszczały do tego.

Pierwszy raz spotykamy Zygmunta 1399 r. jako uczestnika wielkiego planu wojennego Witolda, złamania potęgi tatarskiej Hordy. Jednakże ten plan rozbił się i zakończył wielką katastrofą nad rzeką Worsklą 12. sierpnia 1399 r. Tatarzy rozbili zupełnie wojsko Witolda, a on sam z bratem Zygmuntem ledwie umknął, okryty nocą. Jak powiada współczesny kronikarz, nie wiele brakowało, ażeby też ich nie zabili.[1])

Wkrótce po ugodzie z Zakonem rozpoczął Witold przeciw niemu wrogą akcyę, w której wziął udział także Zygmunt.[2]) Długosz opisuje pod 1409 r. pochód Litwinów do Prus, na czele którego stał Zygmunt Kiejstutowicz. Według słów Długosza, Witold nie wiedząc o pokoju, który Krzyżacy zawarli z Jagiełłą,[3]) posłał swego brata Zygmunta ze znacznem wojskiem litewskiem potajemnie do ziem pruskich. Zygmunt zrabował i spalił nie tylko znaczną ilość wsi, lecz także trzy miasta a zabrawszy znaczną ilość jeńców, wrócił na Litwę.[4])

---

[1]) Posilge: Chron. Pr. str. 230. „Do das dy bayorin sagen der Littowin, do furtin sie Wytowt von dannen by nachte und Sigysmunt synen bruder: anders sie werin ouch irslagen“. O udziale Zygmunta w bitwie nad Worsklą i źródła do tej bitwy, ob. Барбашевъ: Витовтъ str. 98 i nast.

[2]) Francisc. Thorun.: Ann. Pruss. str. 242 p. r. 1401. „Eodem anno Wytaut cum fratre suo Sigismundo et Samaitis opposuerunt se dominis“ (znaczy: Krzyżakom).

[3]) Jagiełło zawarł pokój z Krzyżakami 8. paźdz. 1409 r. ob. Cod. ep. Vit. nr. 432 i Lewicki: Index nr. 516. Oczywiście wyprawa musiała odbyć się po 8. paźdz. 1409, jak wypływa z zestawienia słów Długosza i daty pokoju.

[4]) Długosz: Hist. Pol. III. str. 588. Witold „miserat germanum suum Ducem Sigismundum cum Lithuanorum aliquanto exercitu latenter in terras Prussiae: qui illas ingressus,

Nie skończyło się jednak na wyłącznej nieprzyjaźni między Litwą a Krzyżakami. Mimo niedawno zawartego pokoju, także stosunki Polski z Zakonem pruskim nie były dobre i trzeba było spodziewać się każdej chwili, że ta nieprzyjaźń zakończy się groźną katastrofą. Tej chwili nie trzeba było długo wyczekiwać. Na polach pod Grunwaldem złamało polsko-litewsko-ruskie wojsko 15. lipca 1410 r. raz na zawsze potęgę Zakonu pruskiego. I w tej bitwie nie brakło Zygmunta, który wszystko dzielił z bratem, i jego nieszczęścia i tryumfy. Bezpośredniej wiadomości o udziale Zygmunta w bitwie pod Grunwaldem nie mamy. Jednakże można to wnioskować z listu urzędnika Zakonu do komtura-zastępcy poległego W. M., datowanego z Tapiewa 21. października 1410 r. Między innemi pisze on, że „Witold powrócił ledwie z połową wojska na Litwę, że mianowicie książę Zygmunt nie wrócił dotąd na Litwę i Litwini nie wiedzą, czy on żyje, czyli zginął.“ [1]) Z tego więc można wnioskować bez wątpienia, że Zygmunt brał udział w bitwie wspomnianej i po niej gdzieś znikł, tak że jego mieli za poległego. Sławny Toruński pokój, który zawarli Jagiełło i Witold z krzyżakami 11. lutego 1411 r., podpisał także i Zygmunt. [2]) Ciekawą jest jeszcze rzeczą, że przed zawarciem pokoju posłowie krzyżaków, komturowie Ragnety i Brandenburga, wysłani w sprawie pertraktacyi co do zawarcia pokoju do Jagiełły i Witolda, chcieli widzieć się także z Zygmuntem Kiejstutowiczem, prawdopodobnie może dlatego, ponieważ on mógł do pewnego stopnia wpływać na swego brata Witolda przy zawarciu pokoju. [3])

---

exustis et spoliatis plurimis villis, oppida etiam Działdow, Thamow, Newerken, spoliat et exurit et magnum numerum hominum utriusque sexus in Lithuaniam abducit.“ Narbutt: Dzieje Lit. VI. Wilno 1839, str. 179, chociaż powołuje się na Długosza, powiada, że ta wyprawa odbyła się pod wodzą Zygmunta Korybutowicza!

[1]) Cod. ep. Vit. nr. 456. List podany w regeście.

[2]) Codex ep. s. XV. II. nr. 35, str. 42. „Sigismundus dux Lithwanie“. Nie przypuszczam, ażeby to był Zygmunt Korybutowicz. Na to, że to jest podpis Zygm. Kiejstutowicza, naprowadza mię poniżej podana relacya. Cod. ep. Vit. nr. 467. str. 218.

[3]) Cod. ep. Vit. nr. 467. str. 218. „Item von herczog Segemund wegin, der ist nu nicht gewest bie den herren, den habe ich nicht gesprochen“. Data relacyi komturów między 24. stycz. a 1. lut. ob. notę.

W 11 lat po zawarciu Toruńskiego pokoju podpisał Zygmunt jeszcze jeden pokój, zawarty przez Jagiełłę z Zakonem pruskim i inflantskim nad jeziorem Melno 27. września 1422 r. Pokój ten ciekawy dla nas głównie z tej przyczyny, że w jego dokumencie występuje Zygmunt pierwszy raz jako „książę Starodubski".[1])

W dalszym ciągu zaznaczył Zygmunt swój udział w planie Witolda, poddać północną rzeczpospolitą Nowogród Wielki trwale wpływom litewskim. W wyprawie na Nowogród W. wyruszył Witold z ogromnem wojskiem i przyboczną drużyną książąt 2. sierpnia 1428 r. Wyprawa zakończyła się szczęśliwie poddaniem się Nowogrodu W. pod władzę Witolda. Długosz wylicza między uczestnikami tej wyprawy zaraz po królewskim bracie Świdrygielle także brata Witolda, Zygmunta, księcia Starodubskiego.[2]) Wracając z wyprawy, wstępował Witold po drodze do dzielnic różnych książąt. Najprzód, jak pisze trefniś Witolda, Henne, do W, M., wstąpił Witold do dzielnicy Zygmunta, gdzie dostał od niego 10 koni, a już u niego w domu dostał w darze 200 koni, futra i sobole i wiele tatarskich pieniędzy. Henne dostał od Zygmunta jedwabną chusteczkę. Świdrygiełło dał Witoldowi tylko 80 koni, futra, sobole i także wiele tatarskich pieniędzy.[3])

---

[1]) Dogiel: Codex diplomaticus Poloniae et Magni Ducatus Lituaniae, IV. nr. XC., str. 114. „Sigismundus, dux Starodubensis"; także Bunge: Livl. Urk. V. nr. 2.637, str. 888

[2]) Długosz: Hist. Pol. IV., str. 365. „Erant autem Principes ii et barones, qui cum Withaudo in huius modi bello militabant: Boleslaus Switrigail Wladislai Poloniae Regis, Sigismundus Starodubensis Alexandri Withawdi germani..." Dokładną datę wyprawy podaje zapiska na rękopiśmiennym kodeksie (rękopis Bibl. Ossol. nr. 372. k. 73 ob.), pisana ręką więźnia Świdrygiełły, Mikuły z Kopyłowa, subdyakona OO. Dominikanów w Nowogrodzie Siewierskim. (Drukował Prochaska: Szkice historyczne z XV. w. Kraków i Warszawa 1884, str. 269, not. 4 z niektórymi, oczywiście drukarskimi błędami: strona kod. nie 74 b, a 73 obrotna: zam. „primipibus", ma być „principibus"). „2. Augusti 1428. Tunc liber est finitus cum invictissimus princeps Allexander alias Witowdus cum nonnullis inclitis principibus Catholicorum videlicet Switrigal, Sigismundo fratre ipsius germano de Lithuania... ad et contra Magnum Nowogrod debellandum atque devastandum ascendissent."

[3]) Cod. ep. Vit. nr. 1329, str. 798. List Henne z datą: Smoleńsk 15. sierpnia 1428. Wynotowuję ustęp co do Zygm. „Do her (Wit.) quam czu herczoge Zegemunt in sin lant, der gaff em X. pferde, do her quam uff sin hus, do gaff her im CC pferde, suben

Ostatnia wiadomość o Zygmuncie za życia Witolda wspomina o jego udziale w uroczystości projektowanej koronacyi Witolda. Witold, zapraszając Wiel. Mistrza i Wiel. Marszałka Zakonu. Henryka Holta, na zjazd 1430 r.. podczas którego miała się odbyć wspomniana koronacya Witolda. zapowiada. że na powitanie W. M. wyjadą i będą jego przyjmować „nasi bracia książęta Świdrygiełło i Zygmunt“.[1])

Te fakta wskazują, że życie Zygmunta nie było wybitne, chociaż nie można je nazwać niczem nie godnem uwagi. W każdym razie Zygmunt był mimo tego wszystkiego osobistością, z którą przecież trzeba było liczyć się. o czem może osobliwie świadczyć wspomniane poselstwo komturów Ragnety i Brandenburga.

Witold nie mając potomków męskich (właściwie miał ich. lecz zmarli), uważał brata Zygmunta za swego następcę. Widzieliśmy wyżej, jak W. M. zgadza się przyznać po Witoldzie następstwo Zygmuntowi na ich ojcowiźnie. a Zygmunt ręczy W. M. za dług Witolda. Gdy Zygmunt przebywał w więzieniu w Prusiech. czynił Witold zabiegi około jego uwolnienia i. jak widzieliśmy, więcej o niego ubijał się. aniżeli o innych więźniów. W poselstwach. listach i ugodach zawsze widzimy na pierwszem miejscu „sprawę Zygmunta“ (słowa „von Sigsmund wegen“). Z tego można wnosić. że Witold zawsze i wszędzie uważał Zygmunta. jedynego z żyjących braci, za swego następcę i gdy jemu powiodło się ostatecznie pogodzić się z Jagiełłą i trwale stanąć we własnej ojcowiźnie i wiel. księstwie Litewskiem, może i wtedy Witold pragnął zrobić Zygmunta swym następcą tem bardziej, że Zygmunt miał syna.[2]) Jednakże okoliczności złożyły się tak, że Witold w swych daleko sięgających planach, które miały nieza-

---

unde sabel unde tatersche dangen vil, unde gaf mir ein sidentuch“. Por. Prochaska: Trefniś Henne u Witołda (Szkice hist. str. 263).

[1]) Cod. ep. Vit. nr. 1428. str. 921. List Witolda do Holta z 8. sierp. 1430 r. „und willen denne unsere brudere herczoge Switrigel und Segemund und ander furste einen noch dem anderen kegen dem herren homeister senden en czu entpfaen und werdiklichen uffczunemen...“

[2]) Stosunek Zygmunta do Witolda przedstawiony dość szeroko, chociaż, jak wspomniałem, nadto sentymentalnie w artykule Bartoszewicza (Encyklop. Powsz. XXVIII.) str. 827—30, por. ibid. str. 828.

wodnie na celu samodzielność państwową Litwy, musiał trochę poskromnieć. O przeznaczaniu następcą rodzonego brata trudno było nawet myśleć.

Do pewnego czasu, mniej więcej do pierwszych lat XV. w. po swym powrocie z Prus, Zygmunt przebywał prawdopodobnie u Witolda, ponieważ niema nigdzie najmniejszej wzmianki, ażeby on miał na Litwie swoją samoistną dzielnicę.[1]) Zresztą Witold, który zmierzał ile możności do centralizacyi w. księstwa litewskiego, niechętnie rozdawał takie dzielnice tym książętom, którzy ich nie mieli. W r. 1401 my dowiadujemy się tylko o obietnicy Witolda Zygmuntowi, nadać jemu dzielnicę po swej śmierci. W akcie unii Litwy z Polską, z 18. stycznia 1401 r., między punktami, które stanowczo wykluczały następstwo Zygmunta na wielkoksiążęcem dostojeństwie, oświadcza Witold, że po jego śmierci w. księstwo Litewskie ma wrócić do Polski, „wyjąwszy te dobra, które my za zgodą króla Władysława przeznaczamy po naszej śmierci naszemu bratu Zygmuntowi“. Przeznaczono mianowicie Zygmuntowi połowę Nowogrodka litewskiego z przynależnościami i nic więcej. Jako warunek postawiono, że Zygmunt ma z tych dóbr służyć królowi Władysławowi, jego następcom i Koronie polskiej.[2])

---

[1]) Nie wiem, na czem oparł swe twierdzenie prof. Hruszewski: Історня України-Руси IV. str. 175: „За житя Витовта він (Zygm.) мав з початку лише якісь дрібні волости“ (przed Starodubem).

[2]) Cod. ep. Vit. nr. 233, str. 72—3. „bonis hiis infra nominatim scriptis exclusis et exceptis, que pro fratre nostro germano domino duce Sigismundo, de voluntate eiusdem dom. Wl. regis, post decessum nostrum deputamus“. Te dobra były: „medietas Nowogrodeg, que fuit de patrimonio sors dominorum fratrum nostrorum ducum Woydati et Thowtiwil et in eodem Now. quatuor curie nostre cum ipsarum pertinenciis, que quondam ad Grodno pertinebant: Astaschina maior et Ast. minor, Senno et Rayeze. Castrum Hoymi, locus Rayezhicza et districtus Czyczisk, distr. Woda, curia que iacet in Granowach“. Warunek taki: „de quibus (t. j. bonis) nihilominus idem dux Sig. frater noster germ., ipsi domino Wladislao regi et eius successoribus ac corone et regno Polonie cum suis succedaneis, temporibus perpetuis, prout ceteri principes terrarum Littwanie et Russie obedire, obsequi et subici tenebitur ac servire“. Do tej sprawy ob. **В. Барвіньский: Новгородок литовский а справа Витовтового запису 18. січня 1401 р.** („Руслан“ 1905, N. 134). Tutaj w nocie 11 przez omyłkę zacytowano kodeks Mikuły z Kop.

Muszę tutaj zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność: czy Zygmunt istotnie w 1401 r. objął w posiadanie wspomniane dobra, zapisane jemu przez Witolda, czy później, czy może wogóle nie wszedł nigdy w ich posiadanie. Czynię to ze względu na zdanie prawie wszystkich historyków, jakoby Zygmunt za życia Witolda miał jako dzielnicę Nowogródek litewski.[1]) Przedewszystkiem słowa w dokumencie z 1401 r. „przeznaczamy po naszej śmierci“ wskazują wyraźnie na to, że zapisanych sobie dóbr Zygmunt nie miał dostać za życia Witolda. Dalej: mamy dokument Witolda wystawiony w Grodnie 1. kwietnia 1428 r., którym on zapisuje swej żonie Juliannie w dożywocie jako wiano: „ziemię i miasto Nowogródek litewski z okręgiem“.[2]) a w tym 17 wsi

---

[1]) Bartoszewicz. str. 829 pisze, że Zygm. dostał połowę Nowogr.; str. 830: Gdy Zygm. dostał Starodub, to St. „zagłuszył“ Nowogr. i Zygm. znany dlatego z imieniem Starodubskiego. Koneczny: Jag. i Wit. str. 173 pisze bez podstawy: Jedną połowę Nowogr. miał Towciwił, drugą, zdaje się, Zygmunt, a po śmierci Towciwiła cały Nowogr. Dokument z 1401 r. mówi o jednej poł. Towciwiła, o drugiej nie mówi, „bo posiadanie tamtej rozumiało się zapewne samo przez się“ (?!); Любавскій: Областное дѣленіе и мѣстное управленіе Лит.-русс. государства ко времени изданія перваго литов. статута, Москва 1893, str. 10: „брата Сигизмунда, который по смерти Бойдата и Товтивила княжилъ въ Новгородкѣ, перевелъ (Witold) въ 1406 г. въ Стародубъ“. Wolff: Kniaziowie str. 161 „Po braciach władał udziałem w ziemi Nowogrodzkiej“ (za Lubawskim); str. 277: „Nowogródkiem władał kniaź Zygmunt Kiejstutowicz“ (za Konecznym); Lewicki: Powst. Świdr. str. 149: „Od Witolda posiadał jako ojcowiznę połowę Nowogródka tudzież kilka wsi w okolicy“; Грушевський: Іст. Укр Руси IV., str. 175: „За житя Витовта він мав з початку лише якісь дрібні волости: 1401 р. йому визначено половину Новгородка литовского“ (tutaj wypada to dwuznacznie).

[2]) Cod. ep. Vit. nr. 1321, str. 794. „terram castrumque Nowogrodek Lithwanicum, cum toto districtu Nowogrodensi“. Lewicki: Powst. Świdr. str. 329, not. 52 pisze o dobrach zapisanych 1401 r. przez Witolda Zygmuntowi, że „Niektóre z nich oddał Witold następnie swej żonie Juliannie“. Jak rozumiał Lewicki te „niektóre“, nie mogę pojąć. Ponieważ porównawszy zapis Zygmuntowi i Juliannie, można widzieć, że dla Zygmunta przecież nic nie zostało, gdyż Julianna otrzymała nie tylko połowę, lecz cały Nowogródek z okręgiem itd. Chyba, że Lewickiemu oprócz Ostaszyny, trzeba było wypisać w dokumencie z 1428 r. jeszcze inne wsie, wspomniane w dokumencie z 1401 r., które należały do Nowogr., ażeby go przekonać, że i one dostały się Juliannie.

i dworzyszcz (między nimi Ostaszynę), oprócz tego wieś Wakiniki w okręgu trockim, jednakże z warunkiem, że z nich będzie służyć królowi polskiemu, a po jej śmierci te dobra w całości wrócą do Polski. Z tego wypływa, że Nowogródka lit. Zygmunt wcale nie posiadał do 1428 r. i że z jakichś przyczyn mimo zapisu oddał go Witold swej żonie. Że nie posiadał go Zygmunt przedtem, a nawet w ostatnim roku panowania Witolda nie otrzymał go, o tem świadczy jeszcze apelacya prokuratora króla polskiego, przedłożona 1430 r. na sejmie niemieckim w Norymberdze przeciw projektowanej koronacyi Witolda. Powiedziano tutaj wyraźnie tylko, że Zygmunt „miał odziedziczyć wspomniane dobra po śmierci brata Witolda“.[1]) Tak więc widzimy, że za życia Witolda Zygmunt Nowogródka lit. nie posiadał, miał bowiem otrzymać go dopiero po śmierci Witolda, lecz jeszcze przedtem Nowogródek dostał się w dożywocie 1428 r. żonie Witolda i niema na to najmniejszych wskazówek, ażeby pomimo zapisu Juliannie, Zygmunt po śmierci Witolda miał w posiadaniu Nowogródek lit. Przecież raczej byłby się przyjął u niego tytuł „Nowogródzki“, aniżeli „Starodubski“. Oprócz tego trzeba mieć na uwadze, że Nowogródek lit. już w czasach Witolda miał swego namiestnika,[2]) a to oczywiście nie pozwala przypuszczać, ażeby tam mógł przebywać książę udzielny.

---

[1]) Cod. ep. s. XV. II. nr. 179, str. 238—9. „que quidem bona pro fratre ipsius domini Allexandri alias Vitoldi germano, videlicet domino duce Sigismundo, de voluntate et consensu eiusdem domini Wl. regis post decessum suum idem dom. dux Al. deputavit, videlicet: medietatem Nowogrodek, que fuit de patrimonio suo sors duorum fratrum suorum, ducum Woydathi Theowothowil, et in eodem Now. quatuor curias nostras cum ipsorum pertinenciis que condam ad Gradno pertinebant, quarum curiarum nomina: Astascha Maior, A. Minor, Zania, Rayeze, item castrum cui nomen Haymi, item quedam loca dicta Liszyza et districtu dicto Gliczysk atque distr. dicto Woda ac eciam curia que iacet in Goronowanet... dum (Zygm.) post dicti dom. All. alias Vit. ducis obitum dicta bona terras et dominia assequeretur, ipsi domino Wladislao regi et suis successoribus et regno Polonie cum suis succedaneis temporibus perpetuis, prout ceteri principes terrarum Lith. et Russie, obedire et subici teneretur et servire, prout hec omnia et singula in litteris dicti dom. duc. Al. al. Vit. desuper confectis et sigillo suo sigillatis plenius continentur“. Co do nazwisk i położenia miejscowości wspomnianych ob. ibidem str. 238 not. 3.

[2]) Por. Wolff: Senatorowie i dygnitarze wielkiego księstwa Litewskiego, Kraków 1885, str. 34.

Co wpłynęło na zmianę zapisu Witolda 1401 r., nie wiadomo. Ale prawdopodobnie czy nie to, że wkrótce po zapisie z 1401 r. dostał Zygmunt od Witolda Starodub w Siewierszczyźnie. Kiedy on otrzymał Starodub, trudno napewno oznaczyć. Bardzo prawdopodobnem wydaje mi się przypuszczenie, że dopiero po ucieczce Świdrygiełły do Moskwy 1408 r. Świdrygiełło dostał Starodub prawdopodobnie po Aleksandrze Patrycewiczu, a już po Świdrygielle otrzymał go Zygmunt.[1]) Chociaż pierwszy raz podpisany Zygmunt jako „książę Starodubski" na melneńskim pokoju 27. września 1422.[2]) to niemożliwem jest przypuszczać, żeby aż wtedy dopiero otrzymał Starodub. Z wiadomości Długosza o wyprawie Zygmunta do Prus 1409 r. możnaby wnosić, że Witold wysłał go jeszcze od siebie; ale co więcej, jeszcze 1411 r. na Toruńskim pokoju podpisany Zygmunt pojedyńczo jako „książę Litewski".[3]) Tak więc prawdpodobnie nadanie Staroduba Zygmuntowi trzeba kłaść na r. 1408—11.

W jakim jednakże celu nadał Witold Zygmuntowi Starodub? Bardzo możliwem, że on chciał mieć na tem pograniczu, niepewnem ze strony Moskwy i własnych litewsko-ruskich książąt, sprzyjających Moskwie (n. prz. Al. Patrycewicza, Świdrygiełły), kogoś pewnego, a nie mógł uczynić lepszego wyboru, ustanawiając w dzielnicy starodubskiej swego brata.[4]) Jak długo przebywał

[1]) Tak sądzi, zdaje się słusznie, Грушевський. Іст. Укр.-Русн IV., str. 175, por. jeszcze str. 62, 154 i 441 (not. 3. do str. 154). Любавскій: Областное дѣленіе, str. 10 i 46 twierdzi, że 1406 r. i liczy panowanie Zygm. w Starodubie na 26 lat. Wolff: Kniaziowie, str. 161 i 503—4. przypuszcza, że zaraz po Al. Patr. Vapovius: Chronicorum pars I., (rękopis Bibl. hr. Baworowskich) str. 348 opisuje ogólnie położenie dzielnicy Zygmunta: „qui trans Boristenem sedes sortitus erat".

[2]) Dogiel: Cod. dipl. Pol. et Lit. nr. XC. str. 114 i Bunge: Livl. Urk. V. nr. 2.637, str. 888.

[3]) Cod. ep. s. XV. II. nr. 35. O tem, że to jest prawdopodobnie podpis Zygmunta Kiejstutowicza a nie Korybutowicza, mówiłem wyżej (ob. str. 140, not. 2).

[4]) Ob. Bartoszewicz str. 829. Любавскій: Областное дѣленіе (Приложенія str. XCIV.) zwraca uwagę, że księstwo starodubskie należało do najmniej zaludnionych (ob. jeszcze tutaj mapę). Nie od rzeczy jednak będzie zauważyć, że ta dzielnica nie była tak maleńka, jak sobie wyobrażają niektórzy historycy (n. p. Bartoszewicz) i że Witold nie zrobił krzywdy Zygmuntowi, nadając mu Starodub.

Zygmunt w Starodubie, niewiadomo. Ostatni raz za życia Witolda nazywa Długosz Zygmunta księciem Starodubskim, wymieniając jego jako uczestnika wspomnianej wyprawy na Nowogród W. 1428 r. W liście wspomnianym trefnisia Henne powiedziano, że Witold wstąpił z powrotem do dzielnicy Zygmunta (zatem do Staroduba). Jednakże on był w Starodubie do chwili wstąpienia na tron wielkoksiążęcy 1432 r., ponieważ i wtedy jeszcze nazywa go Długosz „Starodubskim". [1]) W aktach z takim podpisem nie spotykamy więcej Zygmunta, ale do r. 1432 utarł się dla niego tytuł: „książę Starodubski". Ażeby po śmierci Witolda Zygmunt otrzymał główną dzielnicę Kiejstutowiczów, Troki, jak niektórzy sądzą, na to niema najmniejszych dowodów. [2])

Na zakończenie biografii Zygmunta do r. 1432 wypada nam jeszcze powiedzieć nieco o jego życiu rodzinnem i prywatnem i o jego stanowisku wobec Swidrygiełły po śmierci Witolda.

Ile razy Zygmunt był żonaty, niewiadomo. Możliwie, że dwa razy, chociaż napewne wiemy tylko o jednej żonie Zygmunta. Jak świadczą pruskie źródła, przybył on do Prus 1390 r. już z żoną, a nawet ze synem. [3]) Ta żona była córką księcia Andrzeja

---

[1]) Długosz: Hist. Pol. IV. str. 479. „Sigismundus Starodubsky". Por. Wolff: Kniaziowie. str. 503—4. Stadnicki: Synowie Gedymina, Lwów 1881, str. 41 podaje według Woskreseńskiej kroniki, że 1429 r. był księciem w Starodubie „książę Fedor Pestroj". Wobec słów Długosza jest to niemożliwem, a co więcej, w Moskwie byli książęta Starodubscy od innego Staroduba (dziś wieś Klazemski gródek w gub. włodzimierskiej). Wolff: loc. cit.

[2]) Tak sądzi Lewicki: Powst. Świdr. str. 149, „zapewne po śmierci brata dostał główną dzielnicę Kiejstutowiczów Troki". Грушевський: Іст. Укр.-Руси IV. str. 447 (not. 1 do str. 176) sprzeciwia się, według mego zdania zupełnie sprawiedliwie, twierdzeniu Lewickiego: „podpisy trockich wojewodów i kasztelana na układzie z 1431 r. (L. E. K. Urkb. VIII. str. 273) nie pozwalają wątpić, że Troki należały do Świdrygiełły".

[3]) Franciso. Thorun.: Ann. Pruss. str. 162 podaje, że Witold przybył 1390 r. do Prus „cum germanis suis et eorum uxoribus". Także Die aelt. Hochmeisterchr. str. 617 podaje, że Witold „sante sein weib mit Segemund, seynem bruder, ouch mit seynem weibe, und seynes bruders son". Według mego zdania te ostatnie słowa wskazują na syna Zygmunta, a tak samo słowa Posilge: Chron. Pr. str. 162, „Des sante her dem meister czu gysel Segismundum sinen bruder und sines bruder son". Jest

Michajłowicza Odyncewicza i z niej miał Zygmunt jedynego syna Michała.[1]) Imię jej niewiadome. Co do drugiej żony, to mamy tylko wzmiankę w liście M. I. do W. M. z 1. stycznia 1416 r. W nim pisze M. I., że Zygmunt ma się żenić 6. stycznia b. r. podczas wielkiego zjazdu, który będzie tego dnia odbywać się u Witolda, lecz nie wie, kto zostanie żoną Zygmunta.[2]) Więcej o tem nic nie wiemy, to jest, czy Zygmunt istotnie ożenił się drugi raz.[3]) Jak powiedziano, z pierwszej żony miał Zygmunt

---

to możebnem, ponieważ Michał Zygmuntowicz występuje już w samym początku XV. st. ob. jego biografię Wolff: Ród, str. 62 i nast.

[1]) Ob. Wolff: Ród Ged. str. 62 i Kniaziowie str. 161 i 281 (tudzież ibid. str. 288 rodowód ks. Odyncewiczów).

[2]) Bunge: Livl. Urk. V. nr. 2.047 str. 108 „sin (Wit.) bruder Sygemunt ouch ein wip habin sulle: sunder wer... Sygemunden wyp sin sulle, des haben wir nicht vernommen, und en is ouch nicht offinbar". Regesta tego listu Cod. ep. Vit. nr. 657.

[3]) Z żonami Zygmunta rzecz niejasna i dlatego w hist. literaturze panują różne bałamuctwa. Narbutt: Dzieje Lit. VII. str. 225 podaje bez dowodów jako żonę Zygmunta Zofię Punigajłównę, a powołując się na Długosza, powiada, że to była Oroka, córka Janusza, księcia Mazowieckiego, matka Michała: tak samo on w Pomniejsze pisma histor. str. 299. Wolff: Ród Ged. str. 62 pisze, że zdanie Narbutta w źródłach współczesnych nie znajduje potwierdzenia. Ale już w Kniaziowie str. 161, przyjmuje jako drugą żonę (1416 r.) Narbuttową „Orokę" z poprawką „Ofka" (dodając znak ?). Tego bałamuctwa narobił Narbutt na podstawie lipskiego wydania Długosza, gdzie zamiast imienia Ofka, podano mylnie Oroka. Lecz wszystko inne jest tylko kombinacyą Narbutta. Długosz: Hist. Pol. IV. str 622 pisze o żonie Michała Zygm.: „Sigismundus praedicto Boleslao Duci Masoviae, cuius germanam sororem virginem Offkam filio suo Duci Michaeli acceperat in uxorem..." Janusz Maz. był dziadem Bol., jak czytamy u Długosza, otóż i Ofki. Z tego zrobił Narbutt „Orokę, córkę Janusza Maz." O żonie Zygmunta niema u Dług. najmniejszej wzmianki. „Ofka", to zdrobniałe „Eufemia", imię żony Michała Zygm. por. nadanie dożywocia dla niej przez Michała 7. lutego 1435, gdzie on sam nazywa ją „inclita princeps Eufemia corthoralis nostra carissima". Cod. ep. s. XV. II. nr. 232, str. 342, także potwierdzenie tego nadania przez Zygmunta 7. lut. 1435 ibid. nr. 233 str. 343. „quod illustri nato nostro duci Michaeli preclari principis Boleslai ducis Mazovie preclaram principem virginem Eufemiam germanam recepimus in uxorem legittimam". Wolff: Ród Ged. str. 69 i Kniaziowie str. 161, zamiast Ofka pisze; nie wiem na jakiej podstawie, „Olka", chociaż w Knia-

syna Michała, zwanego także Michajłuszko (w t. zw. kronice Bychowca).[1] W jednym jedynym akcie nazywa siebie sam Michał także Bolesławem: „My Bolesław inaczej Michał, z Bożej łaski książę Litewski i t. d.“ [2] Na Michale Zygmuntowiczu, który umarł bezpotomnie, wygasł ród Kiejstuta.[3]

Kilka szczegółów z prywatnego życia Zygmunta, które nam przechowały źródła, mogą przydać się dla charakterystyki jego osoby. Wiemy, że Zygmunt do wstąpienia na wielkoksiążęcy tron był wiernym katolikiem,[4] którym został i w przyszłości. Nam znane są jego stosunki z Rzymską Kuryą w duchownych sprawach 1428 i 1431 r. Papież Marcin V. dał Zygmuntowi w liście z 4. stycznia 1428 r. prawo, że spowiednik może rozgrzeszyć go w razie śmierci od wszystkich grzechów i polecił mu pościć jeszcze jeden dzień w tygodniu, oprócz dni zwyczajnych, żeby stał się godnym tej łaski. Dodał jednakże, ażeby Zygmunt nie broił bardzo, licząc na ten odpust, ponieważ on wtedy nie będzie mieć wartości.[5] Drugi raz znosi się Zygmunt z Kuryą Rzymską 1431 r. w tych samych sprawch. W liście z marca 1431 r. nadał papież

---

ziowie str. 686 pisze „Ofka“. O Eufemii Balzer: Genealogia Piastów, Kraków 1895, str. 520. Gołębiowski: Dzieje Pol. I. str. XVII., mięszając Zygm. Kiejst. z Zygm. Koryb., daje mu takie żony: „1. Agata ks. mazowiecka; 2. Anna, siostra Jagiełły“. Bartoszewicz op. cit. str. 831 pisze, że Zygm. ożenił się pierwszy raz z Anną, córką Janusza Maz. na Warszawie; z nią bezdzietny, ożenił się powtórnie z córką ks. Andrzeja Odyncewicza i z nią miał syna Michała.

[1]) Narbutt: Pomniki str. 49 i passim. Jego biografia Wolff: Ród Ged. str. 62—9. Materyał, którym trzeba ją uzupełnić, wymienia Грушевський: Іст. Укр.-Руси IV. str. 457 (not. 1 do str. 209).

[2]) Cod. ep. s. XV. II. nr. 232, str. 342, „Nos Boleslaus alias Michael dei gracia dux Lithwanie etc.“

[3]) Wprawdzie od Michała, a względnie od jego mniemanego syna Stanisława, wywodzi się ród „Żagiell“ herbu „Trąby“ (Sagajłowicze od Sagajły, to jest od zlitewszczonego imienia Zygmunta, ojca Michała), ale to jest oczywistą bajką por. Wolff: Kniaziowie, str. 161, not. 7 i str. 686.

[4]) Gołębiowski: Dzieje Polski I. str. 431, mięszając Zygm. Kiejst. z Zygm. Korybutowiczem, pisze: „Zygmunt, niegdyś stronnik Hussytów“.

[5]) Regesta w Gołębiowski: Dzieje Polski I. str. 552, not. 722. „Ex MS. archivi Stanislai Augusti Regis, coll. Dogeli“, z dziwną datą „Romae X. idus ianuarii 1428“, którą Lewicki: Index nr. 1551 rozwiązuje jako „4. Ianuarii“.

Eugeniusz IV. spowiednikowi Zygmunta prawo, podobnie jak Marcin V., ażeby go rozgrzeszył od wszystkich grzechów w razie śmierci. [1])

Dowiadujemy się nieco i o majątkowym stanie Zygmunta za życia Witolda. W wspomnianym liście trefnisia Henne powiedziano, że Zygmunt dał Witoldowi w czasie goscinnego u niego pobytu futra i sobole, wiele tatarskich pieniędzy i 210 koni. [2]) Starodubska dzielnica nie była tak bardzo uboga; w porównaniu z Zygmuntem taki Swidrygiełło dał Witoldowi bardzo mało, bo oprócz pieniędzy tatarskich i soboli tylko 90 koni. [3])

Gdy po śmierci Witolda 1430 r. trzeba było ogladnąć się za kandydatem na wielkoksiażęcą godność, to jako jeden z kandydatów, jak zapewnia Długosz, zjawił sie Zygmunt Kiejstutowicz, który oczywiście mógł mieć pretensye do tej godności, jako brat Witolda. Ale zdaje się głównie to, że on był bratem Witolda (Długosz powiada, że jego nieznaczące życie) [4]) było przyczyną, że kandydatura Zygmunta musiała upaść. Brat tego Witolda, który tak jaskrawo zamanifestował swoją nielojalność względem Polski „koronacyjnym planem", nie mógł zostać następcą Witolda. Polacy obawiali się, że on także pójdzie śladami Witolda, czego dowodem warunek w późniejszych aktach unii z Zygmuntem, ażeby on „nie starał się o królewską koronę przeciw woli i bez zgody Polaków" i dlatego z lekkiem sercem pozwolili oni upaść tej kandydaturze, a przystali na wybór Swidrygiełły.

---

[1]) Gołębiowski: Dzieje Polski I. str. 431, not. 723. Regesta „Ex MS. archivi Stanislai Augusti regis". Data „S. l. in martio 1431". Ta regesta ma dziwny nagłówek: „Eugenii IV. papae, epistola ad Sigismundum M. D. L." (Lewicki: Index nr. 1.664 daje znak ?). Nie przypuszczam, ażeby w liście mylnie zatytułowano Zygmunta już wówczas wielkim księciem lit. Jest to prawdopodobnie późniejszy nagłówek listu „in dorso", jakie mają wogóle wszystkie oryginalne akta Zygmunta.

[2]) Cod. ep. Vit. nr. 1.329, str. 798.

[3]) Ibidem.

[4]) To jest o tyle również prawdopodobnem, ponieważ po stronie Zygmunta nie widzimy z chwilą śmierci Witolda żadnego silniejszego stronnictwa (mianowicie z dawnych stronników Witolda), któreby pomimo wpływów polskich na litewską kandydaturę, chociażby jako tako poparło pretensye Zygmunta. Tem znów da się wytłómaczyć okoliczność, że Zygmunt z tak lekkiem sercem stanął po stronie Świdrygiełły.

Zygmunt, który później dobił się wielkoksiążęcego tronu jedynie z pomocą Polaków, nie mając teraz pomocy z żadnej strony, musiał pogodzić się z losem i uznać jako swego zwierzchnika Świdrygiełłę. Lecz Świdrygiełło był jeszcze bardziej nielojalnym wobec Polski, aniżeli Witold. Kto wie, czy nie z zemsty za upadek swej kandydatury stanął Zygmunt otwarcie po stronie Świdrygiełły, który znosił się z Krzyżakami przeciw Polsce. Wprawdzie później, już jako wielki książę, podawał Zygmunt, że ugody Świdrygiełły z wrogami Polski podpisywał on tylko wskutek „wymuszenia i natrętstwa“ ze strony Świdrygiełły.[1]) Ale to był prosty wykręt Zygmunta przed Polakami, ponieważ jako wielki książę on nie tylko, że przed Krzyżakami nie wypiera się swego podpisu i nie zwala winy na Świdrygiełłę, a nawet co więcej, przyrzeka jeszcze silniej dotrzymywać wspomnianych umów, jak sam Świdrygiełło.[2]) Podpisy Zygmunta widzimy na kilku dokumentach Świdrygiełły. W Skirstymoniu 19. czerwca 1431 r. zawarł Świdrygiełło z obydwoma Zakonami, pruskim i inflanckim, sojusz zaczepno-obronny. Ten sojusz podpisał także Zygmunt.[3]) Rozejm Świdrygiełły i obudwóch Zakonów, zawarty z Jagiełłą w Czartorysku 1. września 1431 r. podpisał ze strony Świdrygiełły także Zygmunt.[4]) Jednakże na odnowionej ugodzie Świdrygiełły z Zakonem w Skirstymoniu 15. maja 1432 roku, podpisu Zygmunta już nie widzimy.[5]) Wtedy już przygotowywała się na Litwie konspiracya w sprawie usunięcia Świdrygiełły z tronu wielkoksiążęcego i prawdopodobnie wskutek tego Zygmunt

---

[1]) Turgenev: Supplem. nr. 217. W akcie unii Zygm. z Jagiełłą z 15. paźdz. 1432 powiedziano: „per impressionem et importunitatem Ducis Switrigall“.

[2]) SS. rer. Pruss. III. str. 498.

[3]) Hildebrand: Livl. Urkundenbuch VIII. nr. 462, str. 272 „Sigismund Kenstuthewicz“ str. 273 „Sigismundus K.“ drugi z rzędu po ks. Siemionie Olgierdowiczu (po Świdr. trzeci).

[4]) Turgenev: Supplem. nr. 118 ma mylną datę: Łuck, 8-go września 1431 r. Oryginał w archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie ma datę: Czartorysk, 1. września 1431 r. Regesta z oryginału w Hildebrand: Livl. Urk. VIII. nr. 501. Na tym akcie Zygmunt podpisany pierwszy po Świdryg. (u Turg. str. 306) „Sigismundus Keystutowicz“.

[5]) Napiersky: Russisch-Livländische Urkunden, nr. 231 a.

nie podpisał aktu Świdrygiełły, chociaż to mogło stać się przypadkowo.[1])

Abstynencya Zygmunta w sprawach Świdrygiełły 1432 r. kończą się dane do jego biografii aż do chwili wstąpienia na wielkoksiążęcy tron 1. września 1432 r.

Bohdan Barwiński.

[1]) Грушевський: Іст. Укр. Руси IV. str. 176, „czy stało się to przypadkiem, czy umyślnie on (Zygmunt) zaczął usuwać się, trudno powiedzieć".

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

Ale té szykany ze strony katolików w niczem nie poprawiały ówczesnych stosunków religijnych. Sam Protaszewicz, wielbiony i sławiony za śmiały czyn swój, twierdził, że właściwie żadnej korzyści nim nie osiągnął. *Sed parum, vel nihil prorsus ista profuerat,* — pisał dn. 12. czerwca do Hozyusza, który przeceniał jego zasługi i jego własną osobę.[1]) Ufając jego dzielności i energii, radził on mu, aby zechciał wejść w ściślejsze porozumienie z innymi biskupami i dał w ten sposób zbawienną ini-

[1]) Hos. Ep. nr. 1718, list Hozyusza do sekretarza królewskiego Stan. Karnkowskiego, z 4. marca 1557: Saltim Episcopum Vilnensem vobis imitandam proponite, qui singulari quodam animi robore praeditus nullius potentiam reformidavit, quo minus officio suo strenue fungeretur. Quem ego cum antea quoque semper plurimi fecerim, propter hanc illius tantam animi magnitudinem pluris etiam nunc facio...

cyatywę do reformy całego Kościoła. namawiał go, aby wpływał na króla i na dwór jego, szczególniej zaś, aby starał się pozyskać dla kościoła tego, który w Wilnie stawia, świętokradzkie ołtarze przeciw ołtarzom właściwym. katedry zarazy przeciw katedrom prawdy. Miał na myśli możnego wojewodę wileńskiego, ks. Radziwiłła.[1]) Twierdził zresztą słusznie i trafnie, że pokąd schyzma będzie tolerowaną wobec samego króla, nie będzie jej można stłumić nigdy zdala od jego osoby. Wszak dają słyszeć się głosy: „Znosi J. Kr. M. coś podobnego w obliczu swego Majestatu, możnaż przypuszczać, że karać za to będzie nas, którzy oddaleni od niego jesteśmy; jeśli takie rzeczy bezkarnie dzieją się przy nim, to oczywisty dowód. że je aprobuje“ Trzeba więc koniecznie, ażeby król publicznem jakiemś świadectwem stwierdził, że nie solidaryzuje się z temi obrzydliwemi schyzmami.[2]) Tem świadectwem byłoby zapewne zerwanie przyjaźni królewskiej z księciem wojewodą. Protaszewicz jednak czuł się za słaby do takiej misyi, jak niemniej do akcyi reformacyjnej wespół z innymi biskupami. Tłómaczył się Hozyuszowi, że robi co może. pomagają mu w pracy także kaznodzieje królewscy, ale z Lucyperem — scl. Radziwiłłem — który usadowił się w Wilnie, trudna jest walka. Skutecznie prowadzić ją może chyba sam Bóg. Także nie wierzył. aby mogło dojść do skutku jakiekolwiek porozumienie z biskupami polskimi. Twierdził, że nie ma w Polsce takich. prócz jedynego Hozyusza, którzyby chcieli wespół z nim działać.[3])

A więc i Zebrzydowski mimo sławy obrońcy Kościoła. zdobytej na sejmie, nie obudzał do siebie zaufania! Nie obudzał go, bo nie pełnił swych obowiązków pasterskich. Miał się pojawić po sejmie w Krakowie tylko raz na wiosnę. lecz niedługo w nim bawił.[4]) Kanonicy krakowscy nieustannie odczuwali brak osoby jego w stolicy i brak dobrego z jego strony przykładu. o który

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1717, list Hozyusza do Protaszewicza z dn. 4. marca 1557.

[2]) Tamże.

[3]) Hos. Ep. nr. 1773, 1868, 1870.

[4]) Hos. Ep. nr. 1876, list Porębskiego z 6. listopada 1557, w którym znajdujemy wzmiankę, że Zebrzydowskiego nie było w Krakowie od sześciu miesięcy — a że go w pierwszych miesiącach b. r. w Krakowie nie było, zapewne pojawił się z końcem kwietnia lub w maju, może na jaki synod dyecezyalny, który powinien był złożyć przed prowincyonalnym (?).

głównie w owym czasie chodziło. Nie bez przyczyny wzdychali do Stan. Hozyusza, dawnego członka swej kapituły, błagając Boga, by go zachował w najdłuższe lata jako wzór dla innych biskupów, naśladowania godny.[1] bo tego wzoru szczególniej było potrzeba ich własnemu biskupowi — Zebrzydowskiemu. Wszelkie złośliwe wybryki dysydentów tłómaczyli sobie brakiem egzekutywy urzędu biskupiego. W lipcu b. r. dr. Jan Benedicti, donosząc Hozyuszowi o nowem świętokradztwie, popełnionem przez nich w owym czasie w Wiślicy, pisze: „W niczem nieposkromionej swywoli tej plugawej szlachty jeden z niej w tych dniach wpadłszy do kościoła wiślickiego, strącił cyboryum kamienne z Przenajświętszym Sakramentem Ciała Pańskiego, zbeszcześcił je, również baptisterium roztłukł i zbeszcześcił, nie oszczędził też kapłanów i pewnej dziewczyny, idącej po wodę: owóż w progach i w podwojach kościoła spełnia się dzieło szatana, a nie ma dotąd nikogo, ktoby karał i mścił się krzywdy ludzkiej i boskiej! Czyż można tedy spodziewać się czego dobrego, pomyślności lub pokoju?...“[2]) Tenże sam dr. Jan Benedicti z okazyi nowych wybryków dysydenckich, temi słowy żalił się w liście do Hozyusza z 4. października na Zebrzydowskiego: „Chociaż nie ma nic nowego, coby nieznane było Waszej Wielebności, nie mniej przeto, by nie sądził, że nie pamiętam łask przez Waszą Wielebność mi wyświadczonych, postanowiłem donosić Mu, co się u nas w religii po rozmaitych miejscach dzieje i popełnia z powodu braku wszelkiego wymiaru sprawiedliwości ze strony tych, co nam przodują: wolno bowiem wszystko, co się tylko komu podoba. W tych dniach wpadło do kościoła w Bochni podczas

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1751, list Stan. Górskiego, kanonika krakowskiego do Hozyusza z dn. 25. kwietnia 1557, z Krakowa.

[2]) Hos. Ep. nr. 1799, list z 23. lipca 1557, z Krakowa. W tej samej Wiślicy dopuścił się niedawno przedtem — jak pisze Wojc. Kijewski, kan. krak., w liście z 5. lipca b. r. do Hozyusza, Hos. Ep. nr. 1789 — niejaki Marcin, minister wojewody kaliskiego, Marc. Zborowskiego również karygodnego gwałtu, bo powyrzucał z kościoła nie tylko obrazy, ale nawet krucyfiks Jezusa Chrystusa, który nadto w kawałki połamał. Po wyrzuceniu obrazów miał sam złamać sobie nogę, po dopełnieniu świętokradztwa na symbolu chrześciaństwa zachorował w nocy tegoż dnia śmiertelnie i wśród rozpaczliwych krzyków, że umiera na wiekuiste potępienie, bo uwiódł lud boży, zakończył życie. Wypadkiem tym (powiadomiony o nim na wyraźne życzenie nieboszczyka) wojewoda Zborowski miał się okropnie przerazić.

Mszy św. trzech dobrze podpitych nikczemnych rycerzy — chciałem szlachciców powiedzieć — uderzyli na kapłanów i otaczających ich pobożnych wieśniaków, a wypędziwszy ich przemocą z kościoła, szybko umknęli. Podobnie postąpiono przed kilku dniami w wiślickim kościele. Jednak owieczki milczą, prałaci ujadać się nie umieją, wola włość do włości, dom do domu dołączać, ściągać od poddanych podatki, skarby z łez (ludzkich) dniem i nocą gromadzić, *per fas et nefas*, różnemi zdzierstwami, celem skupywania dla swoich krewnych — majątków." [1]) Inny kanonik, oficyał P. Porębski pisał znowu pod datą 6. listopada t. r. w te słowa do Hozyusza o Krakowie i o Zebrzydowskim: „Odbywają się zaiste po domach niektórych zebrania prywatne — scl. religijne — którymby obecność biskupa mogła położyć koniec, lecz nie ma go od całych sześciu miesięcy, gdyż buduje sobie nowy zamek, krewnych odwiedza a tymczasem biedne owieczki ulegają zarazie przewrotnych dogmatów." [2]) Zamek ów wznosił Zebrzydowski w Więcborgu, rodzinnem swojem gnieździe, z tego powodu bawił ku wielkiemu zgorszeniu współczesnych całe lato po za granicami swej dyecezyi w Wielkopolsce, gdzie Więcborg leżał.[3])

Właśnie w tym czasie najbardziej niepokoił kapitułę krakowską Bonar i Łaski. Ten ostatni święcił wówczas w Małopolsce największe swoje tryumfy. Za inicyatywą jego wzmagał się z dniem każdym ruch religijny wśród szlachty i mieszczaństwa. Mówiono o nim, jak niegdyś o Stankarze, że w Pińczowie, tem głównem środowisku różnowierstwa polskiego, odgrywał rolę papieża, kapłanów ustanawiał, urządzał zbory. [4]) Tryumfy swoje zawdzięczał tej okoliczności, że wrócił niedawno z Wilna, dokąd jeździł w marcu na umyślne kolokwium religijne z królem, tak pożądane przez siebie, a zkąd przybył z radosną dla przyjaciół swoich nowiną, że król pozwolił mu urządzać jawnie zbory i naukę swoją

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1840, wydawcy dodają w przypisie 1, s. 882: Haec passim A. Zebrzydowski, Episcopo Cracov. obiciebantur, qui etiam in Capitulo Crac. saepius questas est, iniuste se accusari atque ad Nuntium Apost. Lippomanum deferri, acta actorum V. 232 et alias, patrz poprzedni rozdział, opisujący czasy pierwszej połowy 1556 r.

[2]) Hos. Ep. nr. 1876.

[3]) Hos. Ep. nr. 1872, s. 911 i przypis. 2, s. 913.

[4]) Tamże. Pisze Przerębski do Hozyusza: Cracoviae possim in civium et nobilium domibus fiunt conventicula. Laski in Pinczow Papam agere dicitus, instituit sacerdotes, cogit conventicula. Episcopus interim in Maiore Polonia arcem aedificat...

opowiadać. Było w tem trochę przesady, ale była i prawda. Przybywszy do Wilna dn. 17. marca doznał honorowego i uroczystego przyjęcia ze strony księcia Radziwiłła a już w dwa dni potem dnia 19. marca otrzymał posłuchanie u króla i królowej.[1]) Krol miał go powitać bardzo serdecznie. A chociaż w odpowiedzi urzędowej, danej mu dnia 22. marca przez podkanclerzego Przerębskiego, oświadczył się przy wierze przodków swych, nie akceptując jego reformy Kościoła, jednak na prywatnej audyencyi, której mu potem udzielił, obiecał mu, że jak tylko upora się z wojną inflancką, zajmie się reformacyą religijną, przyjął nawet od niego jako zadatek dobrych chęci traktat jego o obowiązkach króla dla religii. Uradowany tym sukcesem swoim Łaski pozostał jeszcze cały miesiąc w Wilnie. Otaczany możną i zaszczytną opieką Radziwiłła, jawnie nauczał, prowadził dysputy religijne, wygłaszał częste kazania, jednając dla nowej wiary coraz liczniejszych wyznawców.[2]) W dysputach prowadzonych na zebraniach u Radziwiłła z dr. Augustynem Rotundem, teologiem i prawnikiem wileńskim, rzekomo dzielnym szermierzem katolickim, nie przeczył ku ogromnemu zdumieniu jego i innych, nawet swoich adeptów, że jest synem Kościoła rzymskiego, że winien mu wszelką uległość i powolność, że Kościół rzymski powinien być wspólnym dla wszystkich, że pismo św. czyli pisma proroków i apostołów nie wystarczają do zbawienia i poznania wiary, ale dodawał, że

[1]) Hos. Ep. nr. 1723. Karnkowski mniemał, że już w pierwszych dniach marca znajdował się Łaski w Wilnie. Pisał bowiem dn. 8. t. m. do Hozyusza: Nunc quidem Lascius ille haeresiarcha Vilnam adventare dicitur, et, ut audio, iam venit, sed in tenebris latitat. Także v. Hos. Ep. nr. 1724 i 1733, gdzie podano list z 1. kwietnia kaznodziei wil. Bonawentury Tomasza do Hozyusza a w przypisie 1. s. 805 datę przybycia Łaskiego do Wilna, dn. 17. marca 1557, według listu Uttenhovego do ministrów tiguryńskich, Calv. Opp. XVI. n. 2652.

[2]) Hos. Ep. nr. 1733. Pisze Bonawentura Tomasz o Łaskim, że tylko wobec Katarzyny miał być bardzo ostrożny i wstrzemięźliwy w słowach: ac cum propter ea non simplicem laudem a multis promeruerit, vereor, ne non absconditum virus facilius in eos postea infundat, quos cauda iam sua hic scorpius petiit: obawiał się więc zgubnego wpływu Łaskiego nawet na królowę i jej otoczenie, które sobie zjednał swoim taktem, swoją wstrzemięźliwością słowa, v. opis pobytu jego w Wilnie na podstawie Uttenhovego u Bukowskiego, T. II. s. 450. List Uttenhovego nosi datę: 23. czerwca 1557, Wodzisław. Książki, które ofiarował Łaski królowi, przesłał potem Przerębski synodowi piotrkowskiemu w maju b. r. do przejrzenia, Hos. Epar. 1763.

właśnie dlatego pragnąłby wyswobodzić ten Kościół z pod jarzma papieży. Wobec tego Rotundus, lubiący chełpić się swemi zwycięstwy nad adwersarzami, między którymi przed rokiem znajdować się miał Wergeryusz a obecnie Łaski i wielu innych, tracił przewagę nad nim, natomiast on zdobywał sobie poklask i mir.[1]) Ten mir ścielił mu drogę do Krakowa, gdzie czekały nań gościnne podwoje Bonara i całe rzesze jego adeptów. Panował też wówczas niepodzielnie nad umysłami Małopolan. Wergeryuszów, propagujących skrajny luteranizm, podkopujących z tego powodu skrycie z polecenia wroga jego Brencyusza, teologa wittenberskiego, wpływ jego w Polsce, już nie było w Krakowie, wyjechali byli do Wittenbergi.[2]) Lismanin, skłaniający się wówczas do frakcyi aryańskiej, która miała dopiero w przyszłym roku po chwilowem uśpieniu obudzić się na nowo do życia, nie mógł mu bardzo przeszkadzać, zresztą grał zręcznie, podobnie jak P. P. Wergeryusz, rolę jego przyjaciela. Mógł więc swobodnie wznosić sztandar swojej nauki i spełniać wysoką swą misyę, mającą na celu zjednoczenie wszystkich różnowierców polskich, Kalwinistów, Braci Czeskich, Luteranów i innych w wspólnym Kościele ewangelickim polskim.

Ta działalność Łaskiego i wpływ jego wydały się kapitule krakowskiej dla sprawy katolickiej bardzo niebezpieczne. Były one nawet przedmiotem dyskusyi na sesyach kapitulnych, dnia 28. maja i 4. czerwca. Szczególniej niepokoiła kanoników wiadomość, przywieziona z Wilna przez Łaskiego, jakoby król pozwolił mu prywatnie urządzać zbory w Polsce. Postanowili tedy sprawdzić ją urzędownie i wystylizowali w tym celu pod datą 4. czerwca

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1739, 1784. Także nr. 1586 z 22. marca 1556 do Hozyusza, któremu dziękuje za pochwały swej wytrwałości „in retinendis Romanae catholicaeque Ecclesiae institutis". Z Wergeryuszem miał mieć dysputę na temat chrztu św. Wergeryusz „negavit in baptismo infantibus dari spiritum sanctum, ita enim spoliatam ac nudatam eius virtute Romanam Ecclesiam persvadere voluit", ale Rotundus nie zdołał przekonać go o fałszywości tego twierdzenia: Hos. Ep. nr. 1784, str. 843.

[2]) Hos. Ep. nr. 1724. Jednak pojawiło się w tym roku dziełko Joachima Westfalczyka „Defensio adversus mendacia J. Lasco", wyszłe zagranicą, widziano je w Poznaniu, miał je w ręku Karnkowski i przesłał Hozyuszowi, v. Hos. Ep. nr. 1765, 1771. Łaski odpowiedział na nie broszurą „Responsio ad ep. Joach. Westphali", 1560, v. Bibliografia hist. pol. nr. 15026, 150, 27.

listy do króla, do kanclerza i podkanclerzego, tudzież do Zebrzydowskiego, w których opisali postępowanie Łaskiego i jego protektora Bonara, żądając zapewne zaprzeczenia tej nieprawdopodobnej wieści.[1]) Zdaje się jednak, nie otrzymali kanonicy w ciągu lata żadnych wyjaśnień ani z Wilna, ani od Zebrzydowskiego. W październiku bowiem, kiedy stan rzeczy w dyecezyi krakowskiej pod względem religijnym z dniem każdym się pogarszał, uznali za stosowne po naradzie kapitulnej, odbytej dn. 6. t. m. napisać nowe listy tak do króla jak do kanclerza, podkanclerzego i swego biskupa. Listy te ułożył w imieniu kapituły dr. M. Kromer i wysłał je pod datą 8. października.[2]) Zdawało się kanonikom, że nadeszła wówczas chwila odpowiednia do uzyskania pomocy króla. Właśnie Zygmunt August za interwencyą państw sąsiednich załatwił pomyślnie sprawę inflancką, zaniechawszy wojny, na którą wyruszył do granic Inflant z ogromną armią, i ukorzywszy bez rozlewu krwi przerażonego jego potęgą mistrza Fürstenberga.[3]) W listach owych gratulował Kromer w imieniu kapituły królowi

[1]) Hos. Ep. nr. 1872. przypis. 2, s. 913. Wyjątek z aktów kapitulnych. V. 268, sc., 28. Mai et 4. Iunii: „Cum Rdi Dni supra scripti capitulares tractassent secum diligentius de Ioanne Łaski homine haeretico, qui suos in religione sacra errores et virulenta dogmata in vulgus edit et hic Cracoviae in domo lapidea Grsi Dni. Ioannis Bonar Castellani Byecensis et magni Procuratoris Castri Cracov. evangelium vel sua potius figmenta praedicat, conventicula admittat et se quodammodo iactet, quod Mtas Regia, cum esset nuper Vilnae, illi hoc annuerit privatim etc. — itaque obviam ire huic rei cupientes Dni litteras suas ad Regiam Mtem ac ad Dnos Cancellarium et Procancellarium Regni nec non et ad Rmam Dnam nostram Eppar. Crac., qui in Vyenczbork dicitur esse, scribendas mandaverunt.“ Znajdują się te listy d. d. 4. Iunii in Lib. arch. IV. 482; Zakrzewski, Rodzina Łaskich, Ateneum. 1882, XII.

[2]) Hos. Ep. nr. 1872. przypis. 2 i App. 79 i przyp. 2.

[3]) Hos. Ep. nr. 1822, przyp. 2, 1826. Pokój został zawarty w Pozwolu, gdzie król stał obozem, dn. 14. września t. r. Przybył tam mistrz z arcybiskupem ryzkim Wilhelmem i koadyutorem jego ks. Krzysztofem meklemburskim, na kolanach przeprosił króla i zawarł z Rzptą zaczepno-odporne przymierze przeciw Moskwie. — Na wojnę wyruszył król w drugiej połowie lipca i stanął zrazu obozem w Onikszt ach, 4 mile od Wilkomierza, patrz Hos. Ep. nr. 1798. O poselstwach państw sąsiednich i książąt zagranicznych: Rzeszy niemieckiej, króla Ferdynanda, książąt pomorskich, ks. Clivii, Danii, o pobycie ks. Albrechta. v. Hos. Ep. nr. 1724, 1748, 1762, 1803. O pokoju: Hos. Ep. nr. 1847 i in.

zwycięztwa, wzywał Ocieskiego, jako starostę krakowskiego do Krakowa, przypominał Przerębskiemu, że piastuje od roku najwyższą po biskupie godność dziekana krakowskiego,[1]) że cieszy się szczególniejszymi względami u króla. Zebrzydowskiemu obowiązki pasterskie, i błagał ich wszystkich o ratunek dla pogrążonej w zamęcie religijnym dyecezyi. Przypominał im, że czas już najwyższy wykonać edykt czyli dekret sejmu warszawskiego, także recesem zwany, będący ich wspólnem dziełem, że powinni raz już ukrócić tę swywolę złych ludzi, zwłaszcza szlachty zheretyczałej, luterskiej, która nawet w Krakowie jawnie i publicznie odbywa swoje ceremonie religijne. W liście do Przerebskiego, najobszerniejszym ze wszystkich, skreślił nadto w ponurych barwach stan dyecezyi, przyczyny jej upadku i najświeższe wybryki i nadużycia dysydentów, które napełniały zgrozą serca kanoników. Pisał tedy, że Zebrzydowski już czas dłuższy jest nieobecny w Krakowie, że z tego powodu tak w nim jak w całej dyecezyi ogromnie zagmatwały się stosunki religijne. Stan dyecezyi tak opłakany, niebezpieczeństwo zagraża duchowieństwu, kościołom i wierze tak wielkie, że teraz on sam swoją jedynie powagą nie zdoła go żadną miarą od nich odwrócić. Po sejmie zeszłorocznym trzymało się wprawdzie wielu w granicach posłuszeństwa dla Kościoła z obawy kar przewidzianych edyktem królewskim — mowa tu o jednym z tych, które pojawiły się ku niezmiernemu oburzeniu szlachty z inicyatywy nuncyusza po styczniowych konferencyach warszawskich 1556 r. — przynajmniej czas pewien w tem mieście nic się prawie nie działo gorszącego: nic nie uczono przeciw obyczajom i instytucyom Kościoła. Było tak dopóty, dopóki bawił tu Zebrzydowski i kanclerz Ocieski, starosta tutejszy. Kiedy jednak obydwaj ztąd oddalili się i kiedy spostrzeżono, że urzędy w wykonywaniu tego edyktu stały się opieszalsze, natychmiast zbiegli się tłumnie chciwi nowości i heretycy, założyli tu sobie stałe siedziby i zaczęli odbywać bez najmniejszej obawy po domach mieszczańskich lub mniszych, wynajętych lub nabytych, swoje bezecne a prawnie zakazane zgromadzenia, i na nich nie tylko miewali burzliwe i bezbożne kazania, ale nawet sakramenta sprawowali, a raczej je profanowali. I zaiste ministrowie tych bezecnych nowości, apostaci księża i mnisi, wyuzdani i zepsuci, wałę-

---

[1]) Został Przerębski dziekanem po śmierci Stan. Borka, dn. 20. sierpnia 1556 r. zmarłego.

sają się swobodnie po mieście, nachodzą ludzi a zasłaniają się powagą królewską i zwodzą wielu opowiadaniem o rzekomych względach króla dla siebie. Gromadzą się koło nich tłumy kupców, gawiedź rzemieślnicza i motłoch kobiecy. A osłania ich wszystkich opieką swoją szlachta, skutkiem czego boją się urzędy miejskie pociągać ich do odpowiedzialności. Po wsiach także niektóre kościoły niedawno zostały sprofanowane, święte obrazy i hostye powyrzucane, ceremonie dawne usunięte. W królewskiem miasteczku Wiślicy wywrócono chrzcielnicę i wodę święconą na ziemię wylano. A nawet przed jednym lub dwoma miesiącami w tutejszej bazylice rozlano jakiś płyn obrzydliwy i śmierdzący, którego okropnie przykrego odoru nie mogli znieść kapłani, odprawiający wówczas nabożeństwo. I wiele innych rzeczy po rozmaitych miejscach spełnia się z większą zuchwałością niż niegdyś w głębi Saksonii lub Szwajcaryi. Z tego powodu cóż innego oczekiwać można, jak nie to, że podobnie jak tam — we Wilnie, tak i tu — w Krakowie upadnie nie tylko powaga niższych urzędów, ale i samego władcy, i że skończy się wszystko na jakiejś powszechnej rewolucyi? Prosił tedy Kromer, aby Przerębski, dopóki jeszcze nie wszystko stracone, spieszył kanonikom z pomocą i radą na to obecne i w przyszłości grożące dyecezyi krakowskiej nieszczęście. Proponował, aby wyjednał u króla nowe surowsze mandata tak do urzędów kościelnych jak do prefektur świeckich, aby ekzekwowały z całą sumiennością, bez względu na przywileje rodowe lub osobiste przestępców, dawny edykt królewski, liczył w końcu na jego własną roztropność i na jego poczucie obowiązku, nie wątpiąc, że zastosuje wszelkie środki, które będzie uważał za odpowiednie do okiełznania zuchwałości i swywoli heretyków... [1])

Odezwy powyższe kapituły nie pozostały tym razem bez skutku. Zainteresowano się w Wilnie sprawą dyecezyi krakowskiej, opuszczonej przez swego biskupa. Głównie Ocieski miał wpłynąć na króla w tym kierunku, że przesłał niebawem Zebrzydowskiemu najwyższe upomnienie, aby odłożywszy wszystkie sprawy swoje na inne czasy, przybywał do Krakowa celem podjęcia obrony Kościoła swego przeciw schizmatykom, usiłującym zawieruszyć go i zgubić. Sądzono o nim trafnie, że posiadając nie mało powagi i dosyć wybitnych zdolności, *cum naturae tum autoritatis adiu-*

[1]) Hos. Ep. App. 79, s. 1030—1031; tej samej daty i treści listu do Zebrzydowskiego nie znamy.

menta compluria, zwalczyłby łatwo nowatorów religijnych, gdyby mu tylko więcej leżała na sercu obrona wiary katolickiej i Kościoła bożego — niźli jego majątki, sua praedia.[1]) Upomnienie królewskie poskutkowało, Zebrzydowski przybył do Krakowa, chociaż znowu nie na długo, bo w grudniu spotykamy go w ulubionej jego rezydencyi, Bożęcinie.[2]) Na wieść o przyjeździe jego do Krakowa takie uwagi o nim wypowiedział w liście do Hozyusza kanclerz prymasa, Stan. Dąbrowski: „Zaiste głoszą niektórzy o sobie bardzo wiele, że oni sami jedynie religię katolicką na swych barkach w tej prowincyi podtrzymują: lecz chyba słowem tylko i piórem jedynie, nie zaś czynem. Bo wołał jeden — z biskupów — całe lato przeszłe wędrować po Polsce, dowiadując się, gdzieby mógł pochłonąć pieniądzmi swymi nowy jaki majątek, aniżeli opiekować się owieczkami swojej dyecezyi, trapionemi tylu i tak wielkiemi herezyami. Ale słyszę, że nie tak dawno otrzymał od króla list, w którym mu tenże przypomniał obowiązek jego, że winien raczej wrócić do owczarni swojej i oddać się pracy nad owieczkami swemi, aniżeli wałęsać się po różnych kątach. Skruszony tem upomnieniem już wreszcie wrócił do Krakowa.“[3])

Zebrzydowski nie był wyjątkiem. Po sejmie warszawskim postępowali tak samo, jak on, niemal wszyscy biskupi. *De aliis taceo*, o innych zmilczę, — dodaje do swej relacyi o Zebrzydowskim rozgoryczony Dąbrowski, wszak zna Wasza Wielebność wszystkich ich życie i obyczaje: słyszę, że niektórzy paktowali już z królem, że opłaciliby mu się rokrocznie kwotą kilku tysięcy, byleby im wolno było nie bywać na sejmach i nie psuć nimi sobie wesołego życia.[4]) Zniedołężniały prymas Dzierżgowski, napominany przez Hozyusza, dziękował mu wprawdzie za jego napomnienia, w których widział rzetelną gorliwość katolicką, przyznawał, że należałoby coś działać *in hoc rerum omnium perturbatione*, zapewniał go, że gdyby umiał i mógł, działałby chętnie — ale

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1869, list Ocieskiego z Wilna, dn. 3. listopada 1557 r.

[2]) Kor. Zeb. nr. 870, list jego z 26. grudnia 1557 r. do króla pisany w sprawie tureckiej.

[3]) Hos. Ep. nr. 1899, list Dąbrowskiego do Hozyusza z 24. grudnia 1557.

[4]) Audio, quod aliqui iam pacti sunt cum Rege, quotannis se daturos esse per aliquot milia, ut a Comitiis liceret illis abesse et voluptatibus suis indulgere... dosłownie: aby mogli dogadzać swoim namiętnościom.

nie umiejąc i nie mogąc, opuszczał zupełnie ręce. Kanclerz jego usprawiedliwiał go starością, brakiem pomocy statecznej ze strony sufraganów, którzyby go choć w części wyręczyć chcieli, nie przeczył jednak, że nie robił dla Kościoła nic.[1] Również And. Czarnkowski, biskup dyecezyi poznańskiej, nie mniej jak dyecezya krakowska zawieruszonej waśniami religijnemi, z całą swobodą i lekkością serca oddawał się po za granicami swej stolicy kuracyi troskliwej na podagrę, zapewniając Hozyusza, że w jego dyecezyi i stolicy panuje zadowalniający spokój, *in religionis negotio omnia satis sunt tranquilla*,[2]) gdy tymczasem rzecz się miała zupełnie inaczej. Dysydenci rządzili się tam jakby na swojem odwiecznem terytoryum. Ruch różnowierczy, spotęgowany sukcesami odniesionymi na sejmie warszawskim, dawał się srodze we znaki partyi katolickiej. Kanonik poznański, Jan Skrzetuszewski, żalił się na to w połowie b. r. temi słowy: „Nowości religijne szerzą się i tutaj, a zakorzeniły się u nas dlatego, że ani jednem słowem nie zabiera w nich głosu ten, którego głównie dotyczą. Swobodnie a bezkarnie zachowuje się szlachta i mieszczaństwo, nikt zaś przed niemi nie zasłania domu Izraela ani murem ani nawet płotem.“ [3]) W styczniu n. r. rzecz tę objaśniał w ten sposób: „Biskup nasz do Bożego Narodzenia chorował na podagrę, wreszcie ma się lepiej; lecz w religii dzieje się to samo, co pierwej, satanizm wzmaga się, obyż Bóg wszechmocny wszystko odmienił! Dochody duchownych z całą bezwzględnością zabierają heretycy, już bardzo wiele beneficyów pożarli, dusze giną a wrogowie radują się, co stwierdzam ze łzami. Nowatorowie nie poskramiani w swych błędach, tem uparciej przy nich trwają...“ [4]) Toż samo twierdził niejaki dr. Stefan Micanus, zamieszkały w Poznaniu, przypisując zarazem winę za taki stan rzeczy biskupowi. I Czarnkowskiemu miał przypominać Hozyusz obowiązek pasterski, aby położył koniec temu „satanizmowi“, który w Poznaniu „gwałtownie się srożył“. Podobnie jak w Krakowie popełniano i tu karygodne zbrodnie religijne. W czerwcu b. r. wpadł do katedry niejaki Gorecki, brat Mateusza, chorążego poznańskiego, chcąc znieważyć Sakrament Ołtarza. Wszczął się w kościele popłoch,

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1899.

[2]) Hos. Ep. nr. 1730, 1765, 1811.

[3]) Hos. Ep. nr. 1815, list z 19. sierpnia 1557, z Poznania do Hozyusza.

[4]) Hos. Ep. nr. 1915.

niewiasty krzyczeć poczęły, psałterzyści scholarze grozić i bronić ołtarza, skutkiem czego nie zdołał zamiaru swego dokonać. Udał się mu on innym razem w obecności kaznodziei Wojciecha Wolsteina, który mu nie zdołał zawczasu przeszkodzić.[1]) Między dysydentami tak Skrzetuszewski jak Micanus wyróżniali głównie Pikardów czyli Braci Czeskich. Widzieli, jak korzystając z nieobecności biskupa i generał-starosty. dawali publiczne kazania czyli, jak „bredzili bez najmniejszej przeszkody“ podług wyrażenia Skrzetuszewskiego. Szczególniej wygłaszali je w domu Jakuba Ostroroga, zresztą „i po innych kątach“. Tłumy „pospólstwa“ ciągnęły za nimi i przysłuchiwały się ich naukom.[2]) Oprócz publicznych kazań urządzali publiczne nabożeństwa i zgromadzenia współwyznawców tak w stolicy jak na prowincyi. Właśnie odbyło się jedno z takich zebrań w czasie wielkiego postu b. r. w Grodzisku u Stan. Ostroroga, na którem był obecny apostata ksiądz Lutomirski i teolog protestancki, Eustachy Trepka. Ułożono na niem jakieś nowe artykuły i rozbierano zapewne treść listu Filipa Melanchtona z 20. marca b. r., który przesłał tenże reformator przez Trepkę obydwu Górkom.[3]) Bo w liście tym sławił Melanchton królestwo polskie. jako więcej niż inne państwa europejskie broniące całe chrześciaństwo przed Tatarami i Turkami, życzył Górkom, aby królestwu temu, dobrze sprawie publicznej zasłużonemu, zabłysło rychło światło prawdziwej ewangelii, aby ustały w niem bezbożne i głupie obrzędy a zwróciły się serca wszystkich do prawdziwej służby Bożej. Wszak powszechnie wiadomo, że do Kościoła Chrystusowego doktryna papiezka i mnisza wprowadziła wiele obrzydliwych błędów. Czyż nie są jawnymi idyotyzmami owe ofiarowania w mszach papiezkich, owe nabożeństwa za żywych i umarłych, inwokacye do zmarłych ludzi? A wieleż sromoty kryje się w nieczystym celibacie? Życzył tedy

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1787.

[2]) Hos. Ep. nr. 1787, 1815. Kościelecki miał raz urządzić wspaniałą demonstracyę katolicką w Poznaniu. z okazyi uroczystości Bożego Ciała. Dnum Capitaneum nostrum cum uxore sua, femina christianissima, publicas supplicationes diebus praeteritis Corporis Christi magna sollemnitate ac pietate celebravisse simulque altaria quattuor pro more in civitatis foro (na rynku miasta) matutinis et postmeridianis horis splendite constituto frequentavisse, non sine catholicorum summo applausu confirmationeque, sed etiam cum in genti novatorum dedecore, podług listu dr. St. Micana z 24. lipca b. r. Hos. Ep. nr. 1800.

[3]) Hos. Ep. App. nr. 76.

Melanchton Górkom, owym głównym kierownikom ruchu protestanckiego w Wielkopolsce, aby Bóg błogosławił ich pracy i dobrym chęciom. Przypominał, aby uwzględniano w nowej nauce tylko pisma proroków i apostołów, jedynie Ewangelię świętą. Dawał rady, jak urządzać nowe kościoły, nowe szkoły, sądy i cenzury kościelne, jak przysposabiać kapłanów do służby Bożej. Załączył też do swego listu wiele książek i polecił im Eustachego Trepkę, jako tłómacza swych myśli.[1]) Trepka gorliwie spełniał powierzoną sobie misyę. Rozsiewał po dyecezyi poznańskiej różne książki, które podkopywały religię katolicką.[2]) Drukował je własnym kosztem w Królewcu, gdzie zwykle przesiadywał. Napisał też w tym czasie jedną polską broszurę pod tyt.: „Książki o tem, zkąd wzięło początek słowo Boże“, rozrzuciwszy ją nie tylko po Wielkopolsce, ale i po innych prowincyach polskich. Jeden egzemplarz przesłał także Hozyuszowi, który zgorszył się treścią jego, bo głosił Trepka, że Polacy nie są chrześcianami, gdyż od lat 600 wyznają fałszywą wiarę.[3]) Spolszczył również pracę Brencyusza *„contra Petrum a Sotto“*, w której autor potępia ceremonie i sakramenta katolickie.[4]) Właśnie Micanus widział, jak w Poznaniu takie książki niebezpiecznej treści sprzedawano, donosił o tem w sierpniu b. r. Hozyuszowi, dodając, że temu nikt nie przeszkadza, bo biskup odpoczywa w majątku Ciążyn.[5])

Nie lepszym od Czarnkowskiego był tyle sławiony przez Hozyusza, Waleryan Protaszewicz, biskup wileński, którego dyecezya równie roztropnej i energicznej wymagała opieki, jak krakowska i poznańska. Dr. Augustyn Rotundus, prawnik i teolog wileński, obserwujący go osobiście, wcale nie wyrobił sobie o nim korzystnej opinii. Chociaż zdawał się mieć nieco więcej energii od innych w wykonywaniu swego urzędu biskupiego, jednak na ratunek katolicyzmu, silnie zagrożonego w dyecezyi wileńskiej, miał tylko modły i łzy. Na króla nie miał żadnego wpływu, nie zdołał go nawet nakłonić do wzięcia udziału w publicznych suplikacyach, które zapowiedział był na intencyę pomyślności Kościoła. Wziął sobie tę obojętność monarchy bardzo do serca,

[1]) Hos. Ep. nr. 76 in App. s. 1027.
[2]) Hos. Ep. nr. 1730, 1811, 1785.
[3]) Hos. Ep. nr. 1785.
[4]) Tamże.
[5]) Hos. Ep. nr. 1811.

rozżalił się serdecznie na swoją niedolę przed Rotundusem, lecz nie ujął go swemi łzami, gdyż, jak tenże twierdził, prócz wylewania żalów, nie robił nic.[1]) Za mało widział w nim hartu ducha, za wiele zamiłowania w spokoju, za wiele zajęcia się palestrą, zresztą byle czem, a nie tem, co wchodziło w zakres twardego obowiązku.

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Dalszy ciąg nastąpi).

[1]) Hos. Ep. nr. 1870, list Rotundusa do Hozyusza z Wilna, dn. 3. listopada 1557: Na tych suplikacyach nie był obecny także Rotundus, bo się spóźnił do kościoła. Zganiony za to przez biskupa, zapytał: cui, dixi, Regem R. Dtio V. non reprehendit, qui hoc die, quo testatum vulgo facere debebat veteris se religionis esse tenacem, sacris non adest? Pisze dalej Rotundus: Ibi homo — t. j. biskup — prope in lacrimas effusus multa queri, suam curam et sollicitudinem iactare, sed mihi profecto verbis non satisfacit; praeter enim privatas querelas nihil agit amplius. Decrevit quidem supplicationes avertendorum horum ab Ecclesia malorum causa: sed vulgatum est (lecz spospolitował je).

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

Na naszej prawej wre, jak daleko okiem sięgnąć, najzaciętsza walka: huk nieustanny armat rozlega się, świecą co chwila ogniem wystrzały jak błyskawice, a białe ich dymy, to kłębią się w powietrzu w rozmaitych kształtach, to rozwalają się po ziemi — pyszny, ale zarazem pełen grozy widok!... Na przodku środka naszego frontu czerni się szeroko lasek Olszyny, niby długa wyspa na płaszczyźnie. Tam to nie bitwa, ale istne piekło; od 11 rano, pod osłoną kilkudziesięciu armat, rozkazał Dybicz korpusowi Rosena uderzyć na ten punkt tyle ważny. Broniła go brygada Rolanda, ostrzeliwały flanki nasze bateryo: Piętki, Rzepeckiego, Turskiego, Sałeckiego i Rylskiego, a ukośnie strzelając na następujące kolumny, straszną rzeź im sprawiały. Całe dwie godziny Roland w cztery bataliony opierał się szesnastu nieprzyjacielskim; te nakoniec opanowały prawy brzeg lasku. Na rozkaz Chłopickiego, Żymirski idzie ich wygnać z naszymi grenadyerami, lecz pada pod kulą armatnią. Pospiesza Skrzynecki z całą dywizyą, uderza z boku lewego, Chłopicki z grenadyerami, w lasku już nie strzelają... Zaczyna się bój bagnetem o zdobycie każdej zasłony, każdego drzewa. Olszyna znów zdobyta, cała w naszem posiadaniu, piechota rossyjska wyparta w pola, nasze działa gonią ją poci-

skami. Zwycięztwo zupełne w naszem ręku. Aby je wyzyskać, Chłopicki posyła rozkaz Łubieńskiemu iść do szarży z całą jazdą — drugi Krukowieckiemu, aby ze swą dywizyą z pod Białołęki i Kawenczyna uderzył z boku... Oba się wahają, nie mając rozkazu od Radziwiłła... i minęła ta szczęśliwa chwila... Chłopicki, który już trzeciego konia pod sobą stracił, prze przed sobą uciekających Rossyan, lecz ranny w nogę, ustępuje z placu.

Na dalekiej naszej lewicy, Krukowiecki, który wziął Szachowskiemu do 2.000 jeńców i kilka armat, strzegąc traktu od Jabłonny, jedną tylko brygadę posunął pod Targówek. Tym to sposobem, chybiony atak naszej kawaleryi, nie wejście na linię bojową i od skrzydła Rossyan całej dywizyi Krukowieckiego, pozbawiło nas sił właściwych, gdy przeciwnie Rossyanie wprowadzają na plac boju świeże i ostatnie swe rezerwy. Ustępują z Olszyny, zasłanej trupami, Skrzynecki i Szembek: Dybicz w przekonaniu, że to jest popłoch ostateczny, puszcza na cofających się dwie dywizye swej jazdy generała Witta. Na czele czernią się ogromne kare konie i czubate hełmy kirysyerów. Dzielnie idzie ta pancerna nawała, rozbija wszystko przed sobą, zatrzymując się prawie pod samymi okopami Pragi, a z tej wałów sieką ich nasze działa kartaczami. Kirysyery, nie poparte przez inne pułki, powracają... przyjmują ich kolejno morderczym ogniem czworoboki naszej piechoty, padają jak dęby... na tak zmieszanych dopada nasz 2-gi pułk ułanów. „W kark i pod pachy, bo to lud pancerny!“ — wołają oficerowie, — błyszczą zdala długie miecze broniących się kirysyerów, to znów bieleją chorągiewki dzielnych ułanów, któremi zrzucają ich z koni: nareszcie przerzedzają się szeregi, jeszcze chwilę idzie walka to grupami, to pojedyńczo... pomału ustaje wszystko, pierzchają niedobitki, ułani spokojnie w szwadrony się formują. Pułk kirysyerów księcia Alberta pruskiego, zniszczony zupełnie, zasłał pole trupami i rannymi: miał on białe mundury, wyłogi jasno-zielone, kirysy żelazne czarno smelcowane, takież hełmy z wysokiemi kitami końskiego włosienia.

Do schyłku dnia tego, grzmiały już tylko armaty z obu stron. Walczyły dywizye polskie przeciw całym korpusom, jedno nasze działo przeciw trzem nieprzyjacielskim; mimo tego, zupełne zwycięztwo byłoby po naszej stronie, gdyby nie usterki Krukowieckiego i Łubieńskiego. Popłoch u Rossyan był tak wielki, że od godziny drugiej z południa, jak opowiadali niewolnicy, bagaże, parki artyleryi i zapasy obozowe, wszystko to umykało do Mińska.

W bitwie opisanej, którą nazwano „pod Grochowem", straciliśmy dział zdemontowanych trzy, rannych i zabitych do 9.000. Dybicz podał urzędownie swe straty na 15.000 żołnierza; zapewne były wyższe.

Wódz naczelny, z obawy odwilży, która już następowała, z obawy, aby nie był odciętym od Warszawy, z którą jedyny most na łyżwach wojska nasze łączył, nakazał opuścić pobojowisko. Przeszła nasza armia do północy most w porządku. Na Pradze zostawiono 2.000 żołnierza i 35 armat na wałach — dowódzcą mianowany został pułkownik Koss. Chłopicki kazał się zawieść do Krakowa.

Tejże nocy o 4 zrana. Rząd narodowy zgromadził na radę wszystkich generałów. Niektórzy oświadczyli się za układami. Rząd jednak temu się oparł. Skrzynecki ostro krytykował prowadzenie bitwy, przekonali się też obecni, że należało oddać w zdolniejsze ręce dowództwo wojska. Umiński zaproponował Skrzyneckiego, zgodzono się na to i nazajutrz Sejm jednozgodnie zamianował go naczelnym wodzem. Urażony Krukowiecki, iż go to powołanie minęło, sarknął, „że i dobosza rozkazów słuchać będzie".

Nim słońce zeszło, spalono wszystkie budowle za okopami Pragi położone, aby Rossyanom nie dać przystępu do fortyfikacyj. Pod łuną tego pożaru, pułk nasz spędził bez ognia i prawie bez żywności resztę tej nocy na małym placu za koszarami Mirowskiemi: oficerowie z własnych funduszów zakupili w okolicznych szynkach dla żołnierzy wódkę i o ile się dało chleba.

26. przed południem ruszyliśmy za Warszawę na kwatery, ja z moim plutonem stanąłem w niepamiętnej mi z nazwiska wsi — był kościół, przyjął mnie proboszcz. Obozując ciągle na mrozach, w zimowych zawieruchach od przeszło pięciu tygodni, pamiętam to dobrze, żem nie mógł znieść temperatury ogrzanego pokoju: nimem się przyzwyczaił, kilka dni spędzałem na powietrzu, nocami sypiałem w spichrzu.

Na wstępie swego wyniesienia, Skrzynecki złożył swój sztab z młodych oficerów, którzy zdolności swe już okazali. Pułkownika Chrzanowskiego zamianował szefem sztabu głównego, Prądzyńskiego generalnym kwatermistrzem, Kołaczkowskiego dowódzcą inżynierów. Zasłużonym za poprzednie bitwy rozdał krzyże wojskowe.

Ze swej strony feldmarszałek Dybicz, w oczekiwaniu właściwej pory roku, cofnął swą główną kwaterę aż do Siennicy, o przeszło sześć mil od Pragi. Straty armii rossyjskiej miały za-

stąpić nadchodzące wojska z głębi cesarstwa. W. Książę Michał miał ruszyć z Petersburga z gwardyami, liczącemi 25.000 żołnierza; forpoczty rossyjskie stały tuż za Pragą. W lasach Miłośny obozował korpus generała Gejsmara; inny w borach Wiązowny. Taki to był pierwszy peryod wojny 1831 roku.

Historya przytacza, iż w owym czasie generał Skrzynecki, korzystając z otworzonych stosunków z obozem rossyjskim przy wymianie jeńców, rozpoczął z Dybiczem niejakie układy, określające przedugodne warunki zawieszenia broni. Feldmarszałek odrzucił je stanowczo, domagając się oddania się na łaskę i niełaskę cesarza! Służyło wprawdzie naczelnemu wodzowi traktowanie z nieprzyjacielem o wymianę jeńców, uważał jednak Rząd narodowy, że chwila była źle obrana, bo odkrywała niemoc naszą.

Kiedy główne wojska polskie i rossyjskie, stojąc naprzeciwko siebie i Wisłą przedzielone, pozostają w bezczynności, naczelny wódz wysyła z korpusem czterotysięcznym 1. marca generała Dwernickiego na Wołyń. Otworzył mu drogę pułkownik Łagowski, który z nowymi zaciągami, po większej części kosą uzbrojonymi, zgromił załogę Puław, zabrał jej kasę, sztandar i polową kaplicę. Dwernicki posunął się do Lublina, 14. marca był w Zamościu.

Pułk nasz zmienił stanowisko: poszliśmy pod Piaseczno i tam w okolicy rozlokowaliśmy się wygodnie.

Kiedy tak przymusowo wypoczywamy na zimowych leżach, przyszło ogłoszenie od naczelnego wodza, dające wiadomość, że zamierzył uorganizować korpus partyzancki, mający w tym czasie bezczynności działać na tyłach nieprzyjaciela; szkodzić jego komunikacyom, dowozom żywności; chwytać kuryerów itp. Odezwa ta energicznie napisana, odwoływała się głównie do młodych oficerów jazdy naszej, obiecując za udowodnione zasługi wyższe stopnie i odznaki honorowe. Za każdą uprowadzoną nieprzyjacielowi armatę 3.000 zł., za zagwożdżoną 500 zł., a w końcu wdzięczność narodu za poniesione trudy i poświęcenie, nie tając, że trudy te będą wielkie, wymagają męztwa, wytrwałości, wreszcie trafnego postępowania. Zapowiedziano oraz, że wyprawa ta miała trwać tylko do czasu rozpoczęcia na nowo wojny. Że nakoniec na jej czele stanie znany ze zdolności generał Umiński. Wzywała więc odezwa dobrej woli oficerów do natychmiastowego składania deklaracyj, upewniając, że każdy z nich będzie miał prawo wziąć

z sobą do głównego partyzanckiego oddziału ochotników z pułku, w którym służy.

Zapaliła mi się głowa: miałem zdrowie, konie dzielne, a pewny, że jeśli nie więcej to pluton mego dowództwa pójdzie z ochotą za mną, mimo perswazyi kolegów, próśb ich nawet, podpisałem deklaracyę, którą pułkownik niechętnie przyjął.

Niedługo przyszedł rozkaz, abym się stawił w Wierzbnie, ochotników z szwadronu mi odmówiono: ledwom uprosił pułkownika, że mi pozwolił wziąć dwóch moich zaufanych żołnierzy. Zacząłem chłodnąć i rozmyślać, czym dobrze postąpił.

W Wierzbnie już pod Warszawą zastałem gromadzących się oficerów z innych pułków: znaliśmy się wszyscy, jako koledzy ze Szkoły podchorążych i wyznam, że to był dobór młodzieży chętnej i z poświęceniem. I oni swych ochotników nie przyprowadzili; któryś zawiadomił, że z pułków nowego powstania dadzą nam żołnierzy. Zaczęliśmy szemrać... Gorzej jeszcze było, gdy ta zbieranina nadeszła. Że nie było z kim się rozprawiać, jednomyślnie postanowiliśmy zrzucić się z deklaracyi, skoro nam jej warunków nie dotrzymano.

Z Wierzbna maszerujemy na pola Mokotowskie; tu nowy zawód i jeszcze smutniejsze wiadomości. Generał Umiński odmówił swego dowództwa temu partyzanckiemu korpusowi, z powodu, że nie tak, jak on żądał, był zorganizowany. W jego miejsce podpułkownik Bardzki przeznaczony... Bardzkiego znaliśmy wszyscy: wychodził on z 1. pułku strzelców konnych, mógł być za dawnych wojen walecznym, bo miał krzyż polski i francuski, ale zresztą oficer we froncie żaden.

Rozpacz nas ogarnęła. Że sztab jazdy stał niedaleko, bo w Górcach, wysłaliśmy deputacyę z prośbą o uwolnienie i powrót do pułków. Deputacyę groźnie przyjęto i nakazano posłuszeństwo.

Przybywa do nas Bardzki, formuje cały oddział, składający się z jakich 500 koni, dzieli go na szwadrony i plutony i te rozdaje oficerom. Stawam na swojem miejscu... liczę roty... oglądam szczegółowo ludzi, broń i konie, ledwom zmysłów nie postradał! Zamiast czterdziestu moich wąsaczy, miałem teraz dwudziestu czterech prawie dzieciuchów: konie małe, chude; na cały pluton ledwie kilkanaście pistoletów i to nie kalibrowych. Słowem, byli to jeźdzcy powstania z dymów nakazani i zebrani.

I z takim to żołnierzem mieliśmy iść na partyzantkę!... powiedziałem sobie w duchu, że ja tam nie pójdę.

Wydano rozkaz, idziemy do twierdzy Modlina — odwilż, błoto, deszcz — mój dzielny gniadosz co się oglądnie na chmyzy za nim idące, to rży i wierzga; przechodzimy fortecę już w wieczór ciemny, a na dobitek Bardzki zakłada nam obozowisko pod Zakroczymiem, na jakiejś mokradli. Drzewa nie było, jałowcowe świeże krzaki palić się nie chciały, żołnierz młody nie umie sobie radzić... przestałem noc całą przy koniach, a deszcz jak pada tak pada.

Na drugi dzień melduję Bardzkiemu, że potrzebuję konie okuć i proszę o pozwolenie udania się do Modlina. Gdy mi nie odmówił, zabieram moje konie, obydwóch szasserów i oddalam się. W Modlinie nie było mowy o kuciu koni, bo te były w porządku, ale idę do generała Ledochowskiego, komendanta twierdzy, którego nieco znałem, daję się poznać, opowiadam na jaki niefortunny koniec przyszły moje najlepsze chęci; dodaję, że nie tylko ja, ale wszyscy moi koledzy żadnego zaufania do Bardzkiego nie mamy, a w końcu zaklinam generała na przyjaźń dla mego ojca zachowaną, aby mnie z tego położenia i oczywistej zguby wybawił. Rad był, jak uważałem, generał mi pomódz, ale po zastanowieniu się oświadczył, że nie ma do tego zasady. Korpus partyzancki, mówił, według regulaminu wojennego, pozostaje na odrębnych prawach, a dowódzca jego ma władzę nieograniczoną; dodał wreszcie: „próbujmy, zostań u mnie, zobaczymy“.

Tak upłynęły dwa dni i dwie noce, które Bardzki użył na ułożenie swych wielkich planów, jak nazywał: szachowania Moskwy. Trzeciego, gdym nie powracał, przysłał swego adjutanta, porucznika Skąpskiego, z konwojem dziesięciu żołnierzy, ze zleceniem aresztowania mnie i przyprowadzenia do obozu. Trzeba było być posłusznym!...

W drodze rozmyślałem nie o tem, jak się wycofać z partyzantki, ale jak się tłómaczyć, bo na pożegnanie generał mi szepnął: „bądź ostrożny i umiarkowany, ten waryat dla przykładu gotów cię kazać rozstrzelać“.

Bardzki fukał, krzyczał i groził sądem wojennym, a kiedym mógł przyjść do słowa, tłómaczyłem się, że byłem chory i doznawałem nawet symptomatów cholery. Nie poprzestał na tem, a za karę rozkazał mi iść z plutonem w awangardę, zapowiadając, że ruszymy w nocy.

Rzeczywiście, gdy się ściemniło, siedliśmy na koń, idziemy traktem ku Nasielskowi, tam bowiem miał stać posterunek kozaków. Ja, według rozkazu, w awangardzie, a nawet przy samej

szpicy, przy mnie dwóch moich szasserów. Wchodzimy w lasy; porozumiawszy się z nimi, po półgodzinnym marszu walę się z konia na ziemię, zaczynam najpotężniej jęczeć... szpica się zatrzymuje, dochodzi awangarda i staje; nadchodzi korpus, również pytają co to jest? Bardzki nadjeżdża, moje szassery meldują, żem cholery dostał... ciemno w lesie, jak w rogu, sprawdzić było niepodobieństwem. Zaklął Bardzki, odmienił komendanta straży przedniej, korpus partyzancki mnie mija, nareszcie w ciemności zniknął. Gdy ostatnie odgłosy marszu jego ucichły, siadam rześko na mego wierzchowca, zabieram szasserów i służącego z końmi podwodowymi, i tęgim kłusem pojechałem do Modlina. Tu, że noc już była, przyjmują wprawdzie straże, ale musiałem czekać dnia na odwachu w zewnętrznej poternie. Około 8 rano puszczają mnie, udałem się wprost do generała Ledochowskiego. — „A to co! — zawołał — czy znowu kuć konie?" — Opowiadam moje postąpienie, uśmiał się serdecznie, a dla zasłonięcia mnie od odpowiedzialności, kazał przywołać miejscowego wojskowego doktora, ten mi wydał świadectwo choroby, zapisał krople, te oczywiście moje wiarusy z wódką wypili — dla pozoru zostałem cały dzień w fortecy — na drugi dzień skoro świt ruszyłem, a idąc to kłusem to stępa, upaliłem siedm mil drogi i wieczorem stanąłem w szwadronie.

Spałem, jak zabity po tej przejażdżce; wesół, że jestem jak w domu, bo pułk dla wojaka to rodzina.

Należało zameldować mój powrót pułkownikowi; pojechałem furmanką, oszczędzając mego konia; wyznałem wszystko szczerze, a poczciwy Jagmin, upomniawszy mnie, abym na drugi raz podobnego czynu się nie dopuszczał, obiecał mnie bronić w razie jakich skutków tej dezercyi, bo taką wistocie była, pozwolił nadto odebrać nazad komendę dawnego mego plutonu.

Zebranym oficerom musiałem niejednokrotnie tę awanturę opowiadać, bo inaczej nazwać jej nie można. Naśmiali się ze mnie dowolnie i odtąd zyskałem u nich miano partyzanta.

A co się stało z Bardzkim i jego korpusem? w Nasielsku zabrał kilku kozaków, a mógł zabrać wszystkich; uciekający dali znać innym komendom swoim, nieostrożnego napadli i rozbili ze szczętem! A w tej nieszczęśliwej klęsce kilku dzielnych oficerów poległo, kilku wziętych zostało do niewoli.

ROZDZIAŁ IX.

Wielkie zwycięztwo i rozbicie korpusów Gejsmara i Rosena 31. marca. — Atak pułku 2. strzelców konnych i jego dowódzca pułkownik Czarnomski. — Potyczka pod Domaniewicami. — Wojsko polskie forsuje przeprawę przez rzekę Kostrzyn. — Bitwa wygrana pod Iganiami 10. kwietnia. — Niedołęztwo generała Stryjeńskiego osłabia jej skutki. — Pomnik kapitana Hipolita Stokowskiego, poległego pod Iganiami. — Urywek wiersza Godebskiego. — Bitwa pod Wronowem i Kaźmierzem.— Korzyści odniesione przez generała Umińskiego. — Powstanie na Litwie. — Rzeź Oszmiany. — Nieczynność naczelnego wodza. — Moje odznaczenie się pod wsią Trzebuczą na nocnym podjeździe. — Chlubne za powrotem przyjęcie w pułku. — Obraz i widok obozu. — Uwagi.— Naczelny wódz ozdabia mnie krzyżem wojskowym polskim. — Zajście z korpusem oficerów 3. pułku strzelców pieszych zgodnie zakończone. — Generał Dwernicki wpędzony z swem wojskiem do Galicyi austryackiej. — Pułkownik Różycki.

Kończyła się zima, dnie następowały dłuższe, nadchodzącą wiosnę czuć było w powietrzu: było to już w końcu marca, w wielkim tygodniu katolickiego Kościoła. Nadeszły rozkazy, pułk nasz się zebrał i ruszył do Warszawy. Dochodząc ujrzeliśmy zbierające się inne pułki jazdy w znacznej liczbie. Nad wszystkimi objął dowództwo generał Umiński Po przenocowaniu maszerujemy na Modlin, przechodzimy tę twierdzę i zaraz za północną bramą rozkładamy się obozem. Sądziliśmy, że tu noc przepędzimy, o dalszym pochodzie nikt nie wiedział. Zaledwie konie napasiono, zaledwie żołnierze spożyli ugotowaną strawę, trąbią na koń i około 9 wieczór znów przechodzimy fortecę, most na Narwi i tym samym traktem wracamy do Warszawy wyciągniętą stępą tak, że ostatnie szwadrony prawie kłusowały. Było już dobrze około 3 po północy, gdy stanęliśmy pod Marymontem; kazano dać koniom z sakiew owies, żołnierze stali przy nich. W godzinę potem ruszamy, przechodzimy most na Wiśle, a co szczególna, słomą grubo wysłany... i mówimy sobie: coś tu będzie nowego, taki marsz i kontramarsz forsowny nie bez celu.

Na Pradze ciasno, ile się dało, stanęliśmy, i znów z koni — jeszcze było ciemno. Cichy gwar dochodził, miarkować było można, że tu znaczne siły są zgromadzone.

Świt ledwo się pokazał, przechodzimy opalisadowane fortyfikacye Pragi, wyciągnąwszy się w kolumnach po obu stronach szosy, znów stój!...

Tak upłynęła dobra godzina, widniało pomału. Nagle gdzieś daleko na lewicy grzmi silny i nieustanny rotowy ogień piechoty — łyskało tylko, ale w wielkiej odległości; w mało pół godzinki przed nami gromkie strzelanie wielkiej masy piechoty — trwało to z godzinę i drugą... ogień coraz się oddalał... słońce jaskrawo zeszło zupełnie.

Był to najpiękniejszy dzień wojny r. 1831. Skrzynecki zgodził się nareszcie na plan generała Prądzyńskiego: wyprawił jawnie Umińskiego z znaczną kawaleryą 30. marca na Modlin, jakoby na rozpoznanie nadchodzących gwardyj rossyjskich. Szedł on Powiślem, patrolujący kozacy na prawym brzegu rzeki widzieli nas i rachowali szwadrony — oczywiście o tym ruchu wojsk naszych dali znać korpusowi generała Gejsmara, stojącemu w lasach Wawru. Wróciliśmy, jak powiedziałem, zaraz w nocy. Wojsko nasze, składające się z 30.000 piechoty, dział 116, po moście wysłanym słomą przeszło cicho przez Wisłę i Pragę. Dywizya generała Rybińskiego wyszła rogatkami Ząbkowskiemi, obeszła obozy Gejsmara i uderzyła na nie o pierwszym świcie — i tej to piechoty pierwszy ogień słyszeliśmy. Na jego odgłos ruszyły masy naszej piechoty z pod Pragi, dobrze już naprzód wysunięte i z frontu energicznie Rossyan zaatakowały. Bój trwał ze dwie godziny, oddalał się coraz dalej — korpus Gejsmara zupełnie został rozbity.

Gdy pościg dywizyi Giełguda nie wystarczał, ruszyliśmy z miejsca kłusem wyciągniętym. Zniewoleni byliśmy zejść z szosy, takie masy rossyjskiej piechoty, w niewolę wzięte, niektóre z bronią na ramieniu, małe nasze oddziały ku Warszawie prowadziły. Całe bataliony z sztandarami, muzyką, doboszami, szły w różnych odstępach, wszystko to wystraszone i blade; mijając ich obozowiska już zgasłe, widzieliśmy kupy żołnierstwa wykłutego, leżące tuż przy szosie. Jaszczyki, furgony, bagaże z zaprzęgiem, te stojące, inne wywrócone tamowały nam drogę. Niezliczona liczba efektów wojskowych, kotłów do gotowania, broni, przyborów, rozsiana była wzdłuż traktu. Kłusujemy wciąż... generał Dziekoński wpada do Wiązowny na trakcie do Lublina; korpus Rosena obozujący dalej, na ten huk armat i ręcznej broni, zbiera się pod wsią Dębe Wielkie — wypieramy go ztamtąd — zasłania się lasami. Lecz zanadto wysunęliśmy się przed naszą piechotą, kawaleryi

w lasy zapuszczać się nie podobna. Wysyłamy szasserów naszego pułku promieniami po jednym w odstępach, dla namacania, gdzie jest nieprzyjaciel. Nie długo strzały w ich głębi przekonały, że jest. Nasz podporucznik Kiernicki, wysłany brzegiem lasu z jednym plutonem, przyprowadza całą kompanię jegrów, z kapitanem i trzema oficerami. Nadchodzi nareszcie zziajana nasza piechota, wchodzi w lasy rozsypana w gęste tyraliery, oczyszcza je zupełnie i znów bierze niewolnika odciętych oddziałów. Kłusem przez las przechodzimy, otwiera się pole, na niem kilka kolumn piechoty rossyjskiej. Władysław Zamoyski porywa idący na przodzie pułk 4. ułanów, trąbią do ataku trębacze, lecą jak chmura ułani, każdy szwadron na osobny czworobok i rozbijają je wszystkie — następuje gonitwa, rąbanina, zabieranie niewolnika.

Stracili Rossyanie w tych walkach przeszło 4.500 żołnierza, więcej jak 10.000 niewolnika, 3 sztandary, 12 armat, do stu jaszczyków z amunicyą, furgonów, bagaży bez liczby.

W tym walnym pościgu pułk nasz, idący trzeci z porządku, mało był czynny. Z porozrzucanych rzeczy na szosie, moi żołnierze podnieśli mi poduszkę łosiową i kasserollę miedzianą z pokrywą do usmażenia na prędce mięsa; zrobiłem z nich wygodny użytek obozowy.

Pod wsią Dębe Wielkie, rozwinięty stał pułk rossyjskich ułanów, w asekuracyi armat, jakie zasłaniały odwrót korpusu Rosena; był i batalion piechoty, ale że to była płaszczyzna, na widok naszej rozwijającej się jazdy, uszedł do wsi. Pułk 2. strzelców konnych dowództwa pułkownika Czarnomskiego, z miejsca poszedł w całym pędzie do szarży. Tuż następował nasz pułk z pomocą; jeden tylko wystrzał kartaczami zdołała dać rossyjska artylerya... ułani rozbici, uciekali jak rozsypane po polach ptaki — armaty wzięte — nadchodzimy i my, widzę wyciągniętego na ziemi trupa jakiegoś pułkownika, staję i przypatruję się, przyskoczyli i inni oficerowie — poznajemy, był to Szyndler, któregośmy znali z Saskiego placu. W niewolę wzięci ułani opowiadali nam, że widząc idących szasserów 2. pułku do ataku, Szyndler odezwał się do swoich: „Rabiata!... Chrabro dzierżytsia... Carycy połk na was idiot!... mnoho starych sałdatow!...“ Takie przemówienie nie mogło dodać odwagi pułkowi — nie wytrzymał ataku. Szyndler poznał pułk cesarzowej po siwych koniach, na których siedział; bronił się mężnie, młody żołnierz ustrzelił go z karabinka.

Jeszcze jedno wspomnienie o dzielnym Czarnomskim. W pułku jego było wielu ochotników z uczniów Akademii i innej młodzieży.

W bitwie pod Grochowem, gdy pułk ten stał pod tęgim działowym ogniem, owa młodzież w pierwszym szwadronie służąca, za każdym przelotem kuli armatniej, nuż schylać głowy i kłaniać się, jakby to co pomódz mogło. Dostrzegł to Czarnomski, wypuszcza z środka pułku swego konia całym pędem, osadza przed pierwszym szwadronem i wykrzykuje: „Smarkacze jakieś!... „rum tum tum" nie śpiewałem... u Honoratki nie bywałem...[1]) ale tu stoję jak mur... jak który kiwnie jeszcze łbem, to go tak kordem liznę przez pysk, że go reiment dyabłów weźmie... Ostrzegam, stać! a nie — to won z frontu!..."

I rzeczywiście: w późniejszych a tegoczesnych wojnach inna jest taktyka, inna broń — wszystko. Obowiązkiem jest nawet żołnierza w bitwie korzystać z każdej zasłony, kamienia, drzewa, nierówności gruntu; całe pułki pod ogniem armatnim kładą się na ziemię: tyraliery suwają się na brzuchach pod nieprzyjaciela. U nas tego nie było: hańbą było kiwnąć głową, zasłaniać się czemkolwiek. Oficerowie czy w ogniu, czy w ataku, stali lub szli przed frontem, widzialni od żołnierzy; strzelaliśmy się tak blisko, że wąsy przeciwnika widać było: dziś strzelają z karabinów o 1.500 kroków: z armat o więcej jak pół mili; bagnet zapomniany — a to jest broń jedyna: karabin to tylko jego rękojeść.

W obozach pod Boimem doczekaliśmy Wielkiej Nocy. Rano dnia tego, kiedy kapelani pułkowi odprawiali nabożeństwo, Moskwa puściła na nasz obóz kilkanaście granatów, a te skaleczyły kilku żołnierzy. Nie odpowiadaliśmy im nawet, odwet na później zostawiając. Około południa adjutant pułkowy przyniósł pułkowi cztery jaja, jako resztki Święconego, z którem hojnie wystąpiła Warszawa. Zjedli je ci, co stali obozami bliżej stolicy: cóż było robić?... Stanęło na tem, że spożyli je w imieniu wszystkich czterej wachmistrze szwadronowi. Wyznam też, że nie było głodu w obozie, bo furgony dla żołnierza, wiwandyerki dla oficerów; pierwsze — potrzeby, drugie — i zbytek nawet załatwiały.

Wrzał żołnierz z niecierpliwości, stojąc bezczynnie w obozie pod Boimem. Zgromadzali się tłumem oficerowie radząc i szukając nadaremnie powodu tego wstrzymania dalszych wojennych kroków wtedy, gdy idąc zwycięzko, jak dotąd, naprzód, można było rozbijać jedne po drugich eszelonami rozstawione korpusy rossyjskie, od Siedlec przez Międzyrzec, Białę aż do Brześcia Li-

[1]) Słynna kawiarnia Klubu patryotycznego na Miodowej ulicy.

12

tewskiego. Mijał czas drogocenny... wojsko domagało się iść po nowe zwycięztwa. Wstrzymywał ten zapał Skrzynecki, wyprawił nareszcie generałów Chrzanowskiego, Prądzyńskiego oraz Skarzyńskiego pod Żelechów i dalej, w celu rozpoznania obrotów armii nieprzyjacielskiej. Prądzyński w dziesięć batalionów piechoty, z ośmiu szwadronami jazdy, przechodzi Kostrzyn powyżej jego biegu. Pod Domaniewicami pułk 2-gi ułanów rozbił dziesięć szwadronów kawaleryi rossyjskiej. Atak ten prowadził osobiście generał Kicki, ulubieniec naszych kawalerzystów. Tutaj ranny był niebezpiecznie Tomasz Potocki, adjutant sztabu głównego, który później, jako właściciel dóbr Praszki, długie czasy był ozdobą całego obywatelstwa naszego kraju. Gdy doszły pożądane wiadomości, rozpoczął się po naszej stronie ruch naprzód na całej linii. Na daną godzinę przygotowano materyały drzewne do położenia trzech mostów na Kostrzynie powyżej wsi Boimie. Ciężkie belki wiozą nasze furgony, drobniejsze sztuki niósł żołnierz na ramieniu; sapery na czele; artylerya nasza cała zebrana, stanęła na pozycyi po obu stronach szosy; rozpoczyna się straszliwy działowy ogień, osłaniający budowę mostów. Idą nasze grenadyery bez strzału z bagnetem w ręku do ataku, przechodzą Kostrzyn po pierwszych belkach, zdobywają pierwszą, drugą, nareszcie trzecią rzeki przeprawę na trzech jej ramionach. Rozwinąć się w prawo i lewo było niepodobieństwem, bo szosa szła środkiem topielisk nieprzebytych, była więc tu długa grobla. I tem to wązkiem przejściem idą nasze grenadyery, rozdzierani krzyżowym ogniem nieprzyjacielskim, ale idą — idą ciągle, mijając swych zabitych i rannych — i nareszcie rozwijają się za Kostrzynem na czystem już polu. Z tyłu ledwo pokłady mostów położone, idzie w pomoc piechota nasza, przeprawia się i artylerya — rozpoczyna się bój zażarty na drugiej stronie rzeki. Rossyanie odparci, przeprawa zdobyta... Czemuż nie piętnaście dni wcześniej!...

Kiedy się to dzieje na szosie i nad Kostrzynem, dwadzieścia cztery szwadrony naszej starej jazdy, wcześnie rzucone pod generałem Stryjeńskim o małe pół milki od powyższego boju, przechodzą częścią w bród, częścią wpław Kostrzyn. Pułk nasz szedł pierwszy, spędzamy placówki nieprzyjacielskie, rozległe pola otwierają się przed nami, za niemi lasy w prawo i w lewo. Na widok silnego oddziału piechoty i kilku szwadronów rossyjskiej kawaleryi, pułk się rozwija, dobywamy pałaszy i gdy już kłusem do szarży idziemy, Stryjeński przysyła rozkaz wstrzymania się — wkrótce też Rossyanie schowali się w lasy.

Stoimy tak całe godziny — generał kazał otworzyć swój furgon i spożywa najspokojniej śniadanie.

Tymczasem, gdzieś daleko w lasach, słychać bitwę piechoty; około pierwszej z południa za lasami odzywa się grzmot strzałów armatnich coraz silniejszy i gęstszy — tam bitwa wre w całym jej rozwoju, a my tu stoimy... A przecież oczywistem było, że ruch naszej jazdy miał przeznaczenie, przebywszy Kostrzyn, flankować od naszego lewego nieprzyjaciela, wejść w samą porę na linię bojową i potężnym atakiem zgromić go zupełnie — to zrozumieliśmy wszyscy. I jeszcze ten odgłos dalekiej bitwy nie porusza Stryjeńskiego... nakoniec z pod lasu pędzi do nas co koń wyskoczyć może, kilku jeźdźców... zbliżają się... to adjutant z kilku ułanami. Co powiedział Stryjeńskiemu, nie wiem — wydano rozkazy, siadamy na koń i z miejsca kłusujemy.

Lubo dwie tylko mile oddzielały nas od Siedlec, gdzie się bitwa toczyła, należało iść przekątnią, ale ciasną leśną drogą, marsz więc tylu szwadronów rozciągał się na długi ogon. Wychodzimy nareszcie z lasów, polami zdążamy do szosy, lecz słońce już nisko... ogień armatni pomału na przodzie słabnie. Pod sam zachód, dostajemy się na pole bitwy pod Iganiami: piechota nasza sama Rossyan zmusiła do odwrotu, uciekli do Siedlec i dalej — z krwawego zwycięztwa żadnej korzyści, bo kawalerya nie nadeszła.

Siedlce mogły być tego samego dnia zdobyte, z ogromnymi magazynami i zapasami, jakie w tem mieście Rossyanie nagromadzili. Siedlce wzięte: otwarta była droga i możność wyparcia zupełnego Rossyan z naszych granic i przeniesienia wojny w zabrane prowincye. Mimo wszystkie błędy, wzięto im trzy działa, jeden sztandar, narażono na stratę w zabitych i rannych, wreszcie wziętych do niewoli do 5.000 żołnierza — a co główna: godnem jest uwagi i zastanowienia, że rewolucya nasza i waleczne wojsko polskie, zamiast się trzymać odpornie przed nawałą rossyjską, przeszło zwycięzko po dwakroć razy w stan zaczepny.

Bitwa ta datuje 10. kwietnia — nazwano ją pod Iganiami. Zginął w niej jeden z najwaleczniejszych wyższych oficerów piechoty naszej, dzielny pułkownik Karski. Noc tę przepędziliśmy na pobojowisku wsi Iganie, o cztery wiorsty od Siedlec odległej.

W obozie od tuż stojącej naszej piechoty dowiedzieliśmy się o przebiegu bitwy dnia tego i o nieobliczonych rezultatach, jakie można było osiągnąć, gdyby jazda Stryjeńskiego w właściwym

nadeszła czasie. Niesłychane oburzenie nami owładnęło: głośno i jawnie wyrzekano na winnego... domagaliśmy się silnie zasłużonej nań kary, cały obóz dyszał jednozgodną myślą i życzeniem. Usunięto też zaraz w nocy Stryjeńskiego z wyższego rozkazu i jużeśmy go potem nigdy nie widzieli — wart był rozstrzelania. Cóż z tego!... jedna więcej fatalność do karty wojennej roku 1831 nam przybyła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów konfederacyi barskiej.

Teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor.

(1769—1772).

(Ciąg dalszy).

Z listu zaś jednocześnie pisanego do generała Esterhazego, dowiadujemy się, że wówczas pułkownicy Renn i Drewitz prowadzili przeszło 4.000 ludzi. Chodziło więc Generalności o zabezpieczenie obozom konfederackim prawa *asylum* w granicach austryackich. Zaraz też nazajutrz (25. lutego) wysłano nową missywę do lustratorów w Koniecznej, następującej treści:

„Zaledwie wierzyć można tak okrutnemu i w tak krytycznych okolicznościach imię kolegi naszego noszącego postępkowi, ażeby wspaniałą a nieoszczędną krwi współbraci widząc ofiarę, nie tylko z zimną krwią na nią patrzał, nie tylko potrzebnego sukursu zuchwale odmówił, ale niewczesnem nieposłuszeństwem, wznieconym buntem, rzeczy z najniebezpieczniejszym skutkiem wichrzył i mieszał. Zostawmy Niebu zasłużoną karę, a losy nasze z cierpliwością znosząc, w powszechnym ucisku, rąk nieopuszczajmy, serca nie traćmy. I to jest przyczyna, dla której, lubo rozpoczynania i kończenia lustracyi jawnie widzimy niepodobieństwo, lubo kompanji JW W. Panów uznajemy pożytek przez znajome nam ich światła w radzie, przeważającą atoli widzimy potrzebę pozostania ich dłuższego na tamtem miejscu, dla tem skuteczniejszej *in occuren-*

tibus rady i skuteczniejszej pomocy, niżeli ta tragiczna scena jednym lub drugim sukcessem swój koniec weźmie. Żądalibyśmy *hoc interstitio,* ażebyście JWW. Panowie rozkazali najpilniej i najdokładniej wypytać się o liczbie dywizyi ip. Bierzyńskiego, o komendach, z których się ona i pod jakimi rotmistrzami składa, o ich położenie, ostrożności, sporności etc. Do ip. Gostyńskiego (Dzierżanowski) nie widzimy potrzeby wydawania ordynansa *a Generalitate*, gdy trakt aż do Nowego Targu *inclusive* oddany jest pod JWW. Panów juryzdykcyą i władzę. Więc jeżeli tego widzicie potrzebę i jeżeli ta pomoc nie będzie już późną, dosyć będzie na ich ordynansie, tą tylko przypominamy ostrożność, iż będąc przerżnięty przez obóz ip. Bierzyńskiego od nich, — jaki bezpiecznego łączenia się znajdziecie środek i tem, jeżeli sami weźmiecie rezolucyę ustąpić za granicę, co za pożytek z tego złączenia. Od ip. Esterhazego jaki odebraliśmy respons przyłączamy, którego *consilium* znajdziecie JWW. Panowie z naszą zgodne intencyą. Listy, które nam przysłał do generała Almassy i majora Baraniay wraz umyślnym odesłaliśmy."

Nie posiadamy raportów przesyłanych z obozów do Generalności, takowe najdokładniej wykazałyby wszystkie szczegóły ówczesnych działań Bierzyńskiego. Z innych atoli listów, których cały szereg poniżej podamy, dostatecznie uwydatnia się cała przewrotność jego knowań. Dotychczas usiłował on ściągnąć pod swą władzę wszystkie komendy konfederackie, a marszałków, których siłą nie był w stanie przymusić do uległości, pragnął pokonać intrygą i podstępem. Zrazu Wessel nie obcy był całej tej robocie, przeznaczając Bierzyńskiemu znaczniejszą komendę, a przez niego chcąc zapewnić sobie wpływ stanowczy wśród wojskowych, i tem samem odjąć wszelką siłę i władzę Generalności, którą chciał usunąć. Teraz jednak, podczas pobytu podskarbiego w Dreźnie, Bierzyński zetknąwszy się z Grabowskimi, partyzantami dworu i Moskwy, dał się przez nich nakłonić do recessu od konfederacyi i poddania się Drewitzowi. Wskazówką tych konszachtów jest pismo Jana Grabowskiego następującej treści: „Jan z Konopnicy Grabowski, generał major kawaleryi, szef regimentu konnego w wojsku W. ks. Lit.,* orderu św. Aleksandra kawaler.

„Ponieważ JW. Imćp. Bierzyński, marszałek sieradzki, poznawszy próżność roboty, a bardziej złe intencye Generalności w Preszowie rezydującej, odstąpił od niej i nie chce więcej rujnującej własny kraj i naród, przeciw wojsku Najjaśniejszej Imperatorowej Jmci całej Rossyi prowadzić wojny, owszem życząc so-

bie stosować się do żądania tejże Najjaś. Monarchini uspokojenia i uszczęśliwienia Rzpltej: tym szczególnie celem, zostającą pod władzą swoją utrzymuje partyę wojska. Za czem, żeby te Jmć p. Bierzyńskiego dobre intencye wiadome były, doniósłszy wprzód o nich J. O. Księciu Jmci Wołkońskiemu, wielkiemu posłowi teraźniejszemu, skryptem moim wszystkim Jchmć. panom komendantom różnych wojska rossyjskiego dywizyi one ogłaszam: oraz żeby komendy tegoż Jmćp. marszałka sieradzkiego nie były atakowane, usilnie upraszam, z wzajemnem upewnieniem, że tenże Jmćp. marszałek przeciw wojskom rossyjskim broni nie podniesie. Dat. w Bardyjowie 27. Martii 1770 a. — Jan z Konopnicy Grabowski etc." [1])

Tego rodzaju skryptów wzajemnych więcej być musiało, utaić się też nie mogły tak daleko posunięte knowania. Zamiarom Bierzyńskiego chwytania lub odmawiania różnych oddziałów, przeciwstawiły Stany Generalne usilną działalność, wierne Generalności komendy często siłą odpierały jego napaści, a z obozów Pułaskiego i Miączyńskiego wysyłane były przeciw niemu oddziały. Wieści o znoszeniu się Bierzyńskiego z Moskwą, szerzyły demoralizacyą wśród szeregów, żołnierz upadał na duchu, starszyzna nie umiała zaradzić złemu wobec znacznej siły, jaką otoczył się marszałek sieradzki. Wreszcie Generalność postanowiła wystąpić z całą surowością. A zebrawszy dostateczne przeciw Bierzyńskiemu dowody, wydała wyrok, odsądzający go od czci i skazujący na śmierć. Miało to miejsce 13. marca 1770 r. we wsi Koniecznej, nad samą granicą po stronie polskiej. Zjechała tu cała Generalność, gdyż dla prawomocności dekretu, takowy tylko w granicach własnego kraju mógł być wydany. Rzecz prosta, że Bierzyński nie stawił się. „Dostać go w ręce nie było podobnem — pisał potem Pac do biskupa Krasińskiego, — przeto piorunem dekretu bić go potrzeba było."

W samym dekrecie wyliczone zostały wszystkie nadużycia i przestępstwa Bierzyńskiego, oraz powody, dla których zwlekano z wymiarem sprawiedliwości. Długo nie zastanawiała się Rada Generalna — czytamy tutaj — „nad głuchemi a przez ip. Bierzyńskiego prowadzonemi praktykami, — nie dochodziła źródła jego buntu i nieposłuszeństwa. Nie szukała winy, bojąc się jej znaleść, zwlekała karę, oszczędzając chociaż złego, przecież oby-

[1]) Publica pod r. 1770 (Zbiory Akad. Umiej. w Krakowie).

watela..." Ostatnie wreszcie postępki nieposłusznego marszałka przebrały miarę wszelkiej powolności, — „kiedy zuchwale wzgardzoną była cierpliwość, a dłuższa dyssymulacya publicznem stała się zgorszeniem, kiedy ojczyzny całej bezpieczeństwo nieodwłocznego woła zapobieżenia, kiedy przejęte ip. Bierzyńskiego listy i opraktykowany bunt przeświadczają i dowodzą jego winy... Przeto sprzymierzona Rzplta. wspomnionego... ip. Józefa Bierzyńskiego, jako część zarażoną od ogólności powszechnego ciała swego odcina, z Rady Generalnej wyrzuca, od marszałkostwa województwa sieradzkiego odsądza, — obywatelstwa nawet i imienia, zaszczytu szlacheckiego niegodnym czyni, a jako krzywoprzysięzcę według obowiązku w tymże juramencie zawartego, *pro produelli perpetuo infami communique hosti patriae* ogłaszać deklaracyi, *hocque intuitu* nieodwłoczną karę śmierci *statuendo*, osobę jego *pro inridicabili capite* podaje, ktoby go wziął i do sądu konfederackiego *statuit*, takowemu każdemu *condignam mercedem* ofiaruje. Dobra jego wszystkie, ruchome i nieruchome, *in usu* konfederacyi konfiskuje, areszta wszędzie zakłada, ktoby jakowe depozyta w kraju lub zagranicą będące wydał i objawił, delatorowi *quartam partem* przyrzeka, *pro resituo* wszystkim z nim łączącym się *ipso facto* za nieprzyjaciół ojczyzny deklaruje: komendy jego, jeżeliby które opornie go odstąpić nie chciały, z największym hazardem tak komendom od Rzpltej dependującym, jako i wszystkim gorliwym obywatelom znosić nakazuje, któreby zaś postrzegłszy się, same dobrowolnie do posłuszeństwa Rzpltej przystąpiły, wydany *eo nomine* pardon aprobuje, szczególnie *respectu complicium* ujścia ipp. Grabowskich. — Działo się w obozie pod Konieczną etc..."

Jednocześnie wydała Generalność wyroki tej samej mniej więcej treści, na Piotrowskiego regimentarza, na Janikowskiego, pułkownika łęczyckiego, na Lenartowicza, pułkownika sieradzkiego i na Wolskiego, sędziego wojskowego. Ogłoszony też został uniwersał publikujący te dekreta. Wszystkie te akta podpisali: Michał Pac, Czerny, Wybranowski, Karczewski, Kurnatowski, Medeksza i Kropiński. Do wojska wysłano odezwy, a do marszałków pisma przedstawiające cały przebieg sprawy. Do biskupa Krasińskiego pisała Generalność:

„Do utrzymania w granicach równie obywatelskich powinności i zaprzysiężonych obowiązków ip. Bierzyńskiego, nie opuściliśmy nic, coby zażytem i doświadczonem nie było, ale *sorte*

iniqua, prośby, perswazye, upominania, same nawet koła, delegacye, próżnemi i bezskutecznemi były, tak daleko między naszą ogólnością a rzeczonym ip. Bierzyńskim wygaszoną była poufałość, iż gdy nam o swojej pisał i upewniał jednomyślności, wtenczas za niezawodny już znak mieliśmy knutej jakiejś na nowo zdrady i występku. Skutek, najlepszy rzeczy świadek, zwiedzione i zbuntowane niektóre komendy, kraj bezprawnem podatków wybieraniem uciśniony. Zbiegło się do tego wiele dalszych przyczyn, które z przyłączonego *patent* dekretu...“ Wreszcie Generalność wzywa biskupa, ażeby kredytem swoim ostrzegał wszystkich od łączenia się z tak szkodliwym człowiekiem W osobnym zaś liście do biskupa (z 30. marca), Pac dosadniej jeszcze wyłuszczał wszystkie zarzuty robione Bierzyńskiemu, a „nimeśmy do sądzenia go przystąpili, — czytamy tu dalej — zastanawialiśmy się mocno nad krokiem tym. Zbieraliśmy zewsząd ślady dzieł jego, roztrząsalismy mowy jego i przyjaciół jego. Nie zostawała dalej wątpliwość o zamysłach jego najszkodliwszych. Znajdowaliśmy, że wykroczenia jego nie wypływały z małości światła jego, nie z błędu lecz ze złości, ambicyi i projektowanych nowych rozruchów, a szkodliwych *Generalitati*...“ Przytem Pac daje do zrozumienia, że za Bierzyńskim i Dzierżanowskim był ktoś, co kierował ich knowaniami: „Bogu i ojczyźnie winien rachunek — pisze tu dalej Pac, — kto do dźwigania wiary i wolności ludzi tych złych, jednego bez wiary, drugiego bez bojaźni Boga, a obu bez cnoty i umiejętności szacowania Rzpltej, nakoniec niewiadomych prawa narodowego, wybrał i w tak wielką wprowadził magistraturę. A jeżeli ten i teraźniejszych ich niegodziwości przewodnikiem, to pewnie równa jego z nimi religia i obywatelstwo być musi. Nie śmiem suspicyi moich dawać za myśli niewątpliwe, raczej radbym sam znaleść się w błędzie tego podejrzenia.“ [1]) Naturalnie Pac, pisząc te słowa, miał na myśli Wessla, którego złe usposobienie dla Generalności ogólnie znanem było, a biskup Krasiński otwarcie nazywał go „patryarchą“ Bierzyńskiego i jego spólników. Tu atoli zrobić należy różnicę co do poprzednich działań Bierzyńskiego, niewątpliwie w myśl Wessla prowadzonych, a otwartą zdradą, zapoczątkowaną czasu ujęcia Grabowskich. Wessel i całe jego otoczenie, jak gromem rażeni byli wobec oczewistej zdrady człowieka, który dotąd miał zupełną ich ufność, — pełno wska-

[1]) Schmitt, Źródła, str. 73.

zówek w pismach ówczesnych o wrażeniu, jakie wywarło na podskarbiego postępowanie Bierzyńskiego. Ten zaś w późniejszych pismach swych, zawsze zjadliwie występuje przeciw Wesslowi, mieniąc go jednym z autorów jego nieszczęścia.

Z liczby poprzednich sojuszników Bierzyńskiego, Dzierżanowski znany intrygant i wichrzyciel, zdawna niechętny i szkodzący Generalności. — sądzonym był także i przeciw niemu zapadł surowy dekret (14. kwietnia), atoli później odwołany i skasowany został. Dzierżanowski bowiem — w ostatniej chwili odstąpił Bierzyńskiego, a nawet dopomógł Walewskiemu do ujęcia go i uwięzienia, właśnie podczas pochodu Bierzyńskiego, dla zagarnięcia komend Wilkońskiego, marszałka oświecimskiego.[1]) Rychło przecież Bierzyński zbiedz zdołał i uciekł zrazu na Węgry, o czem Dzierżanowski pisał do Wessla z Białki, 21. kwietnia:

„Ledwo do siebie przyjść mogę po fatalnej scenie, która się u mnie ze środy na czwartek stała. Karabinierzy, a bardziej wszyscy od nich oficerowie, namówiwszy z okładem stu żołnierzy swego korpusu, o północy uwolniwszy Bierzyńskiego z kajdan, gdyż pod ich był strażą, pod pretextem wzmocnienia ‚placówki, za granicę uciekli, te nam tylko miłosierdzie uczynili, że nas w nocy nie wyrżnęli, według ich intencyi a bardziej Bierzyńskiego. Tak to kształtnie zrobili, że nawet cały magazyn u nich się znajdujący wszelkich rynsztunków wojennych z sobą zabrali, dość, że najmniej na 150.000 jest szkody. Oficerowie najprzód tak zwiedli żołnierzy, że im powiedzieli, jakoby przed nieprzyjacielem kazałem ich za granicę schronić, sam wprzód pojechawszy. Potem, gdy się żołnierze zreflektowali, nie słysząc *larum* i dalej iść nie chcieli, tak panowie oficerowie inszy pretekst wzięli, oświadczając im, że dlatego ich za granicę wyprowadzili, żem ich Moskalom chciał sprzedać. Takiemi kanalskiemi wybiegami uszli, ale kto do tego najbardziej dopomógł, to Rychter, starosta nowotarski, który nie tylko pieniędzy podsypał, bo Bierzyński ich nie miał, ale nawet kapitanowi garnizonu Białej córkę obiecał, aby temu interesowi dopomógł. Tak dalece, że ten pod samą granicę z huzarami cesarskimi podjechał, faworyzując ich niegodziwą ucieczkę i po sztandary, których oni zapomnieli, huzarów swoich przysłał.

[1]) Szczegóły ujęcia Bierzyńskiego, wedle współczesnych korespondencyi u Schmitta: Dzieje panow. Stanisława Augusta, Tom III. str. 415—423.

aby je wzięli gwałtem z obozu, lecz nie dopuściwszy tego, opowiedziałem im, że pan kapitan w odpowiedzi będzie za takową akcyę. Byli przytomni zesłani od Generalności do inkwizycyi marszałkowie: pomorski Lniński, ruski Potocki i konsyliarz Kropiński, tak niespodziewanej scenie i z tą relacyą do Generalności udali się. Te zaś zbiegi, czci i wiary na nas zostawić nie chcą, i głośno o tem mówią, że tylko zbliżenia Moskalów czekają, aby się z nimi złączyć.

„Pan Bierzyński zaś z tem się oświadcza, że on nigdy przeciwko królowi nie był, ale zawsze z nim miał kointeligencyą. Odgraża się najbardziej na mnie i na Sołtyka — i z tem się jeszcze oświadczają, że żeby byli Moskale na nas napadli, toby się byli przeciwko nam obrócili. Zważ tedy JW. Pan, jakie ja tutaj mam umartwienie, a zwłaszcza, że mi kapitan austryacki, podjeżdżając pod samą placówkę, ludziom perswaduje, że król na tronie się utrzyma i że im będzie daleko lepiej za granicą. Tym sposobem tak ludzi pomieszali, że szczęście dla mnie będzie, jeżeli życia swego od własnych ochronię...“

Ucieczka Bierzyńskiego rozniecIła nowe zamieszanie w obozach, a wzajemne oskarżania się i nieufności, przyczyniły się do dalszych nieporozumień. Na razie podejrzywano, że Dzierżanowski ułatwił ucieczkę Bierzyńskiemu, czemu trudno dać wiarę. Bierzyński zaś uszedłszy z obozów konfederackich, zawarł (29. kwietnia) tak zwany „akord“ z Drewitzem, który w tym celu podstąpił pod granicę. Akord ten niezwłocznie posłany został do kancelaryi królewskiej. Pod osłoną wojsk rossyjskich dotarł wkrótce Bierzyński do Krakowa, dokąd nadbiegło również trochę wojskowych z dawnych jego oddziałów, zamieszanych w jego knowaniach, ztąd powołanych przed sąd przez Generalność. W dniu 30. maja, wraz z Bierzyńskim, wnieśli do grodu krakowskiego recès od konfederacyi barskiej, „...od buntu przeciwnego prawom Rzpltej, który oprócz wzruszenia pokoju publicznego i złośliwej intencyi pustoszenia kraju, nic w sobie dobrego ani zbawiennego nie miał itd.“ — Później w 1771 r., Bierzyński w rozwlekłym manifeście, podanym do grodu piotrkowskiego, usiłuje tłomaczyć i bronić wszystkich swoich czynności od samych początków konfederacyi. Kończąc historyę tej smutnej sprawy, podajemy z owego manifestu Bierzyńskiego ustęp, dotyczący poddania się jego wojskom rossyjskim:

„...Niechaj tedy najmniejszego nikomu, który się ma być człowiekiem i życie szacować musi, — nie sprawuje podziwienia

ta moja złączona z desperacyą rezolucya i postępek, że gdy dla siebie żadnej nie widziałem pomyślności i nadziei, gdy zawsze w troskliwej od swoich zostawałem bojaźni, a w tym właśnie czasie pułkownik moskiewski Drewitz sam pod granicą podstąpił i przysłał do mnie z listem, abym się z nim akordował, oświadczając mi, tak osobie mojej, jako oficerom i wojsku, wszelkie bezpieczeństwo i uszanowanie. Z nim się akordować i z nim łączyć przymuszony zostałem. Mówić nie mogę tego, abym po wciągnieniu do Krakowa, należytej z oficerami i wojskiem przez niedziel cztery, mieć nie miał obserwy, ale kiedy podanych sobie do podpisu z oficerami memi, z ukazu ministra rossyjskiego przez tegoż Drewitza punktów, abym w województwo sieradzkie wymaszerowawszy, z komendami rossyjskiemi łączył się i konfederacyą znosił i prześladował, — przyjąć i podpisać nie chciałem. Wtedy oficerski łamiąc parol, Drewitz wyciągnąć kazał ludziom swoim i moim z miasta, i ze wszystkiego bez excepcyi obrawszy i dezarmowawszy, ludzi sto mnie i oficerom przystawiwszy, pędził na zamek i przymuszał do zwyczajnego recesu uczynienia. Potem przez dni kilkanaście w areszcie mając, wszystko zabrawszy, dragonią i poczty, tudzież niektóre towarzystwo i oficerów o północy z Krakowa wyprowadził i Najj. królowi pruskiemu zaprzedał, mnie zaś z pod głównego uwolniwszy karceru, z niektórymi oficerami mieć kazał w inspekcyi. Lecz Bóg miłosierny z tej mnie raczył wyprowadzić niewoli. Komuż teraz i ten akord mój i złączenia się z Moskwą, komu tak wielka strata ludzi, koni i broni, rzetelniej według Boga poczytana i przypisana być ma, jeżeli nie JWW. biskupowi kamienieckiemu (Krasińskiemu), podskarbiemu w. kor. (Wessłowi), marszałkowi nadw. kor. (Wielopolskiemu), instygującym i pobudzającym, oraz JW. Pacowi i innym ichmościom, dekretu i krygsrechtu na mnie autorom, i pp. Dzierżanowskiemu, Walewskiemu, Trassembergowi i księdzu Sołtykowi, delegatowi exekucyą przyspieszającym, na honor i życie moje następującym. Nigdybym zaiste nie był przystępował do tego akordu, gdyby mnie byli Ichmoście za granicą tak nie atakowali, nie prześladowali, zdrady, niebezpieczeństw takich nie knowali...“

VI.

Powrót Wessla z Drezna. — Usuwa się od spraw publicznych. — Listy jego do Lasockiego, do Gomulińskiego, do elektorowej saskiej i do ministrów zagranicznych. — Pisma Generalności do szefów barskich i do posłów konfederacyi za granicą. — Przybycie Duranda do Wiednia a Dumouriez'a do Preszowa (w lipcu 1770). — List Generalności do generała Zboińskiego. — Akt bezkrólewia (9. sierpnia). — Ordynacya rady wojskowej. — Memoryał Wessla. — Korespondencya z Durandem i Dumouriez'em. — Pismo Wessla do Generalności.

Z pobytu Wessla w Dreźnie nie przechowały się w tekach jego żadne piśmienne wskazówki. Luźne tylko wzmianki w listach współczesnych świadczą, że nie powiodło się tam podskarbiemu, bo dwór saski, choć bynajmniej nie zobojętniał dla sprawy polskiej i nie pozbywał się nadziei osiągnięcia tronu polskiego, to jednak wyczekiwał przedewszystkiem decyzyi Francyi co do omawianych kroków wspólnych. To też wróciwszy do Bielska, Wessel, widząc bezskuteczność dotychczasowych swych zabiegów, postanowił do czasu usunąć się od spraw publicznych, nie mogąc ich zwrócić, jak twierdził, w kierunku dla dobra publicznego pomyślnym. W tym też duchu wysłane zostały missywy do Lasockiego i do Gomulińskiego, w których znajdujemy trochę szczegółów, wyjaśniających stanowisko zajęte obecnie przez Wessla. I tak w liście do Lasockiego (25. kwietnia 1770 r.), pisał podskarbi: [1])

„...Ażeby się zastosować do nowego rozporządzenia konfederacyi Generalnej, która nie życzy sobie, aby ktokolwiek inny, oprócz naznaczonych przez nią, dotykał spraw publicznych i komunikował się z dworami zagranicznymi, piszę do Pana, nie jako do ministra tejże Generalności, ale jako do osoby, której odmówić nie mogę zapewnień przywiązania i szacunku... Nie będę już Panu wysyłać memoryałów i innych pism, opatrzonych pieczęciami, — prywatnie tylko donosić mogę o tem, co się tutaj dzieje...

„Stosując się do mojego postanowienia, proszę Pana nie wymieniać mnie nawet w swych pismach do Generalności i postarać się, abym również nazywanym nie był w pismach Prześwietnej Porty...

---

[1]) Wszystkie listy Wessla pisane po francusku. Podajemy je w przekładzie albo w streszczeniu.

„Od kilku dni jestem z powrotem z Drezna... Tam wszystko zatrzymane wskutek powolności Francyi. i wskutek milczenia, jakie zachowuje ministeryum wobec projektu aliansu proponowanego przez dwór drezdeński dworowi wersalskiemu. Dotąd książę de Choiseul nie dał wyjaśnień. Książę kurlandzki wyjechał 26-go z. m. z powrotem do Saxonij. ale nie wiadomo, co postanowiono we Francyi. Pan Wielhorski nie jest jeszcze uznany jako minister konfederacyi u dworu, wszystkie sprawy ciągną się tam do nieskończoności. Odwołuje p. Gomulińskiego, którego nie jestem już wstanie utrzymywać w Paryżu. Piszą mi, że projekta księcia zawsze są na widoku. Również mi donoszą, że Francya jest bardzo zadowolona z pobytu Pana w Turcyi.

„Chwiejność Francyi powstrzymuje Saxonię, która pragnie gorąco wspierać nas. Gotową jest dostarczyć nam wszelkiej pomocy, jakiej potrzebować możemy, byle tylko Francya popierała i nie opuściła w tem przedsięwzięciu dworu drezdeńskiego. Bez takiego zapewnienia, które mi się wydaje zupełnie słusznem, Saxonia nie może i nie odważy się nawet nic ważniejszego wykonać. Przytem oglądać się musi na Rossyą, póki upokorzenie tej ostatniej zadecydowanem nie będzie. W tem wszystkiem nic Saxonii zarzucić nie można. Przyrzekła swe posiłki Generalności i jej wysłańcom. Milczenie Francyi zmusza ją do wyczekiwania. Wszystkie państwa tak samo nic nie robią, a to wyczekiwanie wydaje się nam zupełnem opuszczeniem. . Ale co jest najboleśniejszem. — to że naród nasz coraz bardziej oddala się od stanowiska, które mogłoby na jego korzyść poruszyć dwory zagraniczne. Po powrocie moim do Bielska, zastałem sprawy publiczne bardziej niż kiedykolwiek zagmatwane. Generalność rozdzielona na partye, kilku jej członków podejrzywanych, inni usunięci, inni jeszcze gotowi każdej chwili do podniesienia nowego sztandaru. Wszystko było przygotowane do obioru nowej Generalności, nie uznając tej, która rezyduje w Preszowie. Bierzyński, Dzierżanowski i kilku innych. miało być wykonawcami całego przedsięwzięcia. — tymczasem wszystko zostało zniweczone przez zdradę Bierzyńskiego. Nieszczęsny ten człowiek, choć szczerze służył ojczyźnie, znużony ciągłem prześladowaniem swych współrodaków, uknuł w tajemnicy z Grabowskimi, projekt rekonfederacyi. Odkryto jego knowania. Dzierżanowski i Walewski pochwycili go, i pierwszy w swoim obozie pod strażą go trzymał. Na dzień przed wykonaniem wyroku. Bierzyński, przekupiwszy straż, zdołał uciec i przebrał się do Rossyan... Takie to sprawy nasze w obecnej chwili...

„Wszystko, jak Panu wiadomo, przewidzianem było. Chciałem, aby nie oddzielano deklaracyi bezkrólewia od aktu mającego zjednoczyć skonfederowanych. Chciałem, aby stronników Rossyi ogłoszono nieprzyjaciółmi kraju, chciałem wreszcie, aby wydanym był manifest przeciw ostatniej Radzie Senatu. Przedstawiałem projekt, mający kres położyć ciągłym sporom: uczucia patryotyczne zalecały mi przeciwdziałać wszelkim niedogodnościom, ale dwory zagraniczne zachowują milczenie, a tymczasem nieporozumienia wzrastają wśród konfederatów, zasoby dworu coraz to większe, intrygi jego skutecznie oddziaływują, wielu niewinnych stało się winnymi, nieszczęścia nasze nie ustają, a dwór i jego partyzanci, Rossya i jej stronnicy, zdają się tryumfować.

„Przygnębiony przez przeciwności tak bolesne, przez zdrady, których sam o mało nie padłem ofiarą, przez spory, którym radbym a nie mogę zaradzić, znękany przez współzawodników, którzy usiłują zniweczyć wszelkie moje plany, postanowiłem usunąć się zupełnie od spraw publicznych, do czasu, póki dwory otwarcie za nami nie oświadczą się...“

Tak samo mniej więcej pisał także Wessel do Gomulińskiego, i posłał mu czek na 150 dukatów, na drogę powrotną, zostawiając mu atoli do wyboru, czy ma wracać do kraju, czy też zostać w Paryżu, aby pomagać Wielhorskiemu.

Z pism powyższych widzimy, że Wessel, równie jak wielu innych przedstawicieli związku barskiego, — nie liczył bynajmniej na zasoby i siły narodowe, dla dokonania żądanego przewrotu w kraju i uwolnienia go z obcej przemocy. Liczono przedewszystkiem na pomoc zewnętrzną, na współudział przyjaznych potencyj. To też gdy rozliczne kombinacye międzynarodowej polityki, nie pozwalały Francyi otwarcie wystąpić, gdy Saxonia nie śmiała i nie mogła wspierać również otwarcie ruchu, do wywołania którego sama się przyczyniła, — główni kierownicy związku upadali na duchu. Wessel usuwał się w danej chwili od spraw publicznych, tracąc wiarę w możliwość zewnętrznej interwencyi. Że jednak dotąd był zawsze przedstawicielem stronnictwa saskiego w Polsce, przeto dwór saski, ufając widocznie jego zdolnościom i wpływom, — czynił starania, aby go od owej bezczynności odciągnąć. Elektorowa z pośpiechem zwróciła się ku podskarbiemu, a zapewniając o swem zaufaniu, zachęcała do dalszej pracy. Listu tego nie odszukaliśmy w tekach Wessla, jest tylko pod datą 9. maja, odpowiedź podskarbiego, w kopii, pisanej ręką księdza Doublier. Tutaj Wessel obok wynurzeń wdzięczności, wyraża

przecież kategorycznie, że bezskuteczność dotychczasowych jego czynności, wskazuje mu obecnie obowiązek zupełnego usunięcia się od spraw publicznych, póki dwór saski stanowczego przedsięwzięcia nie postanowi. A gdy takowe odpowiedniem będzie jego pragnieniom i uczuciom, to z całą gorliwością i z całym zapałem gotów jest służyć interesom dworu saskiego, a przedewszystkiem księcia elektora. W listach do Saint Priesta i do Duvala, jednocześnie wysłanych, Wessel składa im podziekowanie za dotychczasową ich pomoc i prosi o dalsze współdziałanie w interesach Polski, a w piśmie do księcia de Choiseul (25. maja), wzmiankuje o jakimś memoryale, przesłanym poprzednio, *„un court mémoire sur une circonstance qui mérite l'attention la plus sérieuse, et qui demande, une prompte résolution“*. Zapewne była tu mowa o Rossyi, której Wessel był zawsze nieprzejednanym przeciwnikiem, bo dodawał: *„Vous avez Monseigneur trop de génie, pour ne pas pênetrez toutes les vues de la politique russe, et trop de grandeur d'ame, pour permettre que nous ne soyons les victimes...“*

KAZIMIERZ PUŁASKI.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

późniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

(Ciąg dalszy.)

9. Aug. Wyjachawszy rano z Esselbach, jachaliśmy przez lasy namienione Szpesser, cztery mile do drugiej poczty nazwanej Bessenbach na południe. Ztamtąd zaś jadąc na noc za dwie poczty do miasta Hanau mil 5 a od Frankfortu tylko mil dwie, wyjachaliśmy z lasów nazwanych Szpesser za milę od Bessenbach pod Aszaffenburkiem, miastem należącym także do Elektora Moguncckiego.[1]) Miasto samo Aszaffenburg nie wielkie i domy w nim małe staroświeckie, w pruski mur albo wiązanie. Nie ma tylko mur i fossę słabą dokoła. Ale zamek, gdzie często Elektor rezyduje, barzo piękny i regularny, z ciosanego czerwonego kamienia, (których kamieni jest tu tak wiele, że po wszystkich wsiach bramy, wrota, fensterkopy i wejścia do domów chłopskich

[1]) A zatym i z dróg złych wyjachaliśmy, bo przez te lasy niecnotliwie górzyste i kamieniste drogi.

są z tych kamieni murowane). Zamek pomieniony jest w quadrat o trzech kontignacyach z czterema wieżami albo pawilonami po rogach, które pawilony mają siedm kondygnacyi. Situacia miejsca barzo piękna nad rzeką Maenem, z jednej strony góry i lasy Szpesser widać, a z innych stron na rzekę i równiny wielkie ku miastu Hanau prospekt i na wsie murowane jak miasteczka, których od samego Erlang i Norenberka począwszy, aż do Frankfortu nie obaczy pod słomą, tylko pod dachówką i wszystkie domy murowane. Począwszy tedy od Aszaffemburga, jachaliśmy równinami i drogą dobrą mil cztery na noc do miasta Hanau nazwanego i stanęliśmy w nowym mieście pod Złotą gęsią. To miasto leży in circulo albo Palatinatu Rheni, situacya jego w równinach wielkich okolicznie i kraju obfitym, na dwoje strzelanie z dział od Maenu rzeki odległe. Jest jedno stare miasto i z zamkiem starym, w którym i zamek i domy staroświeckie, i żydzi mają w nim osobliwą swoją ulicę. Drugie Nowe miasto co Francuzi Hugonoci wygnani z Francyi przed trzydziestą circiter lat założyli, i domy w nim lubo małe, jednak porządniejsze. Fortyfikacya dokoła nowego i starego miasta dosyć porządna i obronna. Kiedy Królewic Jmć przyjeżdżał i zbliżał się do bram, trzy razy z dział bito po wszystkich rampartach dokoła miasta i garnizon stał w bramach uszykowany i przed gospodą była kompanja grenadyerów. Lubośmy zaś tego honoru nie pretendowali, ponieważ Królewic Jmć pod tytułem Graffa de Lausnitz to jest Lusatiae w tę drogę incognito wyprawiony i takie honory aux Princes Souverains należące, nie zwykły się czynić tylko tym, co jadą cognito i dają znać o przyjeździe swoim, jednakże Pan tego miasta Graff de Hanau per iura conventionum do Domu Saskiego należy także in casu sterilitatis et indeffectu prolis masculinae wszystkie dobra Graffa tego, co się Feuda Imperialia na Elektorów Saskich devolvi mają et aliunde tenże Graff Hanau imieniem Philippus Reinhardus, ma za sobą Szarlotę Wilhelminę Xżniczkę Saskę de Salfeldt; więc ten honor propriomotu uczynił Królewicowi Jmci, i skorośmy stanęli w gospodzie, przyjachał Mr. de Etelsheim, intimus Consiliarius i Obersztерleitnant Kuhorst, komendant tego miasta z komplementem imieniem swego Principała, za którą ludzkość podziękowawszy, prosiłem imieniem Królewica Jmci, aby granadyerów przed gospodą stojących sprowadzono, czterech tylko dla warty przy bagażach zostawiwszy, i oraz żeby podczas commoraciey Królewica Jmci w tym tu mieście i na wyjezdnym traktowali go jako Comitem Imperii, z dział nie strzelając. Potym Mr.

d Etelsheim przysłał wina różne i frukty do stołu Królewica Jmci i już go jako Grafa inni wszyscy tytułowali. Graffa zaś samego de Hanau poznać nie mogliśmy, bo słaby w innym miejscu o cztery mile od Hanau rezydował.

10. Aug. Wyprawiliśmy rano Mr. Morteisen kawalera do Frankfortu dla rozporządzenia quaterów, uprzątnienia i potym relaciey nam uczynienia. Jachał z nim kuchmistrz Grothe i piwniczny Papst, dla sporządzenia rzeczy do wiktu należących i do sklepu. Woleliśmy zaś tu czekać nie dojeżdżając do Frankfortu, ażeby wszystkie quartiery sporządzono, niż dojachawszy, czekać tam kilka dni w oberży albo austeriey jakiej. Po objedzie jachaliśmy konno do zamku nowego pół godziny od miasta. co teraźniejszy Graff de Hanau noviter wystawił. Ten zamek albo pałac jest na miejscu pięknym w równinie nad samą rzeką Maenem. architekturą nową postawiony. manierą francuską, bo Architekt Króla francuskiego dał abryss albo dessein. Sam pałac idzie w perspektywę, o dwóch dziedzińcach, to jest jeden dziedziniec wielki między pałacem i stajniami, a drugi mały in corpore samego pałacu, z krat żelaznych pozłocistych formowany. Sam pałac o trzech kondygnaciach, stajnie o dwóch. bo są pokoje nad stajniami. Wszystkie pokoje w pałacu dembowemi balami wewnątrz wykładane z rżnięciem pięknym na kształt galeriey jednej w Angliey w pałacu królewskim w Hamptoncourt. Mobilia jeszcze nie sporządzone. Wschody wielkie w tym pałacu z kamienia czerwonego z kratami złocistemi i malowaniem włoskim al fresco. godne są widzenia, a to mają najosobliwszego, że żadnym filarem nie są podparte według wielkości swojej, ale tylko same kamienie certa proportione et arte składane, wstrzymują się. Dach des ardoises, to jest z kamieni czarnych łupanych w łuskę układanych, jako tu w tych krajach po wszystkich kościołach, zamkach i pałacach passim zażywając, począwszy od samej Saxoniey. Ogród przy pałacu piękny i dostatni, ale jeszcze nie skończony. Ostatek dnia strawiliśmy na polowaniu. pierwej na polach między zbożem. kuropatwy i przepiórki przed legawemi psami strzelając, a potym w lesie bliskim miasta sarny. które strzelcy tuteczni wabili do rusznicy, gdzie Królewic Jmć dwie sarny zabił. Wieczorem powracając do miasta, wstępowaliśmy w tymże lesie do studni pewnej sławnej Gutten brun. to jest Fons bonus nazwanej. dlatego że woda w niej jest mineralna tak dobra i zdrowiu pożyteczna jako Egierskie wody, i tymże sposobem jej zażywają ex consilio Doktorów, jako i tamtych wód. Ma w sobie sulphur, nitrum et

martem. Studnia jest wielka, czerwonym kamieniem porządnie obwiedziona, którą za kratami na kłódki zamykają z napisem roku i czasu, kiedy jest znaleziona. Zaraz przy tej studni kamienie, jako tu do murów zwyczajnych zażywają, kopią.

11. Aug. Rano jechał Królewicz Jmć na strzelanie sarn, na insze miejsce jechał z nim Mr. Miltiz, Mr. d'Etelsheim i major od garnizonu tutecznego Mr. Hutten. Ja dla innych zabaw zostałem się w gospodzie, ale że deszcz ustawiczny tego dnia był na przeszkodzie, nie zabił tylko sarnę jedną. Po objedzie jachaliśmy półtorej mile od Hanau na pewne miejsce, gdzie królików srodze jest wiele i tak się na górze pewnej, na której pełno jest chrostu jałowcowego, rozmnożyły, że ich tysiącem rachować może, tam kilkadziesiąt ludzi i chłopców z pobliższych wsiów zganiało króliki, idąc obławą do srzodka, gdzie mają swoje ogrodzenie i jamy największe (lubo po wszystkich górkach jam pełno mają), do uciekających strzelaliśmy w biegu i zabiliśmy przez godzinę dwanaście, nie rachując postrzelonych, których nie mało do jam pouciekało. Wieczorem samym powróciliśmy się do Hanau. W tych łowach assistował Królewicowi Jmci oprócz innych wyżej wyrażonych Oberjegermejster, umyślnie od Graffa Hanau dla polowania do Królewica Jmci przysłany.

12. Aug. Rano jeździliśmy z Królewicem Jmcią w pole z rusznicami, psami legawemi i chartami, pod samym miastem, gdzie kuropatwy, bekasy, gołębie dzikie strzelały się i kilku zajęcy uszczwaliśmy. Po obiedzie jeździliśmy w lasy bliskie miasta na sarny, bez psów tylko na wabia, gdzie, że czas nie był pogodny, jedną tylko sarenkę młodą zabił Królewic Jmć. Niżeli zaś jachaliśmy w pole po objedzie, wstępowaliśmy w mieście do domu pewnego na rynku samym do mieszczanina nazwanego de Craijen, u którego jest magazyn tabaki i manufaktura, bo ją tam suszą, potym na warsztatach kręcą i prasują. Rzecz jest curiosissima widzieć tę robotę, bo u tego samego mieszczanina (nie rachując innych wielu, którzy w tym mieście tą się ekonomią bawią, i jest tego miasta największy ten handel w całych Niemczech) więcej niż trzysta osób robi nie ustając codziennie, tak meszczyzni jako białogłowy i dzieci od siedmiu, ośmiu lat. Jedni liście tabakowe suszą, drudzy wybierają i odłączają dobre od złych do przedniejszego i podlejszego tytiunu. Trzeci rozkładają liście do warsztatów tym, co kręcą, inni kręcą na warsztatach, inni kółka obracają, inni środki z listków wyjmują, bez których szrzodków tabaka

jest przedniejsza i droższa. Inni rule pokręcone składają, przerzynają i w papiery uwijają. Inni liście krają i krajany tytiun w papiery pakują, inni rule w czarnej pewnej tynkturze moczą, aby był tytiun czarny, i w prasach potężnych, których tam jest 10, prasują i w bale pakują. Warsztatów samych do kręcenia tabaki jest u tego człowieka 50, na każdym warsztacie uprzedą na dzień jeżeli grubej tabaki rulów 18 albo 20, jeżeli cienkiej to rulów 70 albo 80, zkąd łacno proporcyę uczynić, że na każdy dzień uprzedą rulów blisko 3.000, każda rula trzy funtowa. A zatym przez rok, jako sam ten kupiec czynił relacyę, wyrobi i przeda tytiunu dziesięć i dwanaście tysięcy centnarów, każdy centnar po funtów 100, a zatym rocznie przedaje za półtora kroć, albo dwa kroć sto tysięcy talerów. Prawda, że koszt wielki łoży, ale i zarobek ma słuszny i jest kupiec dostatni. Od tego kupca jachaliśmy do innego w tymże mieście domu, gdzie robią porcelany, to jest naczynia glinianne holenderskie, tak jak w Hollandiey w Delffcie i ten człowiek kilkadziesiąt ludzi zawsze konserwuje, jedni glinę (która o półtorej mili ztąd tak dobra, jak w Hollandiey, znajduje się) rozrabiają, drudzy naczynia z niej formują, trzeci naczynia wypalają, inni wypalone naczynia materyą pewną, co biały grunt czyni oblewają, insi malują czarną materyą, która potym w ogniu błękitny kolor dostaje, insi w piecach już malowane szmelcują. Inni w młynie końskim materyą do bielenia tłuką, mielą i preparują. Statki tuteczne wyrobione glinianne tak są dobre i piękne jako holenderskie i dzwonią kiedy w nie zwolna uderzy. Te dwie roboty tu są najciekawsze do widzenia. Tegoż dnia posłało się do arsenału tutecznego puszkarzom diskrecją 20 talerów od strzelania z dział na przyjezdnym, lubośmy honoru tego nie pretendowali. Granadjerom zaś od straży bagażu dało się talerów 10.

V.

Przybycie do Frankfurtu n. M. — Oddawanie i przyjmowanie wizyt. — Opis miasta. — Zjazd elektorów Rzeszy na elekcyę Cesarza i zjazd posłów od różnych dworów.

13. Aug. Wyjechawszy rano o godzinie piątej z Hanau, stanęliśmy o siódmej, to jest za dwie godziny w Frankforcie i stanęliśmy gospodą w czterech kamienicach. Królewicowi Jmci prze-

bito dwie kamienice, (z którym w tychże pokojach ja stanę też i łóżko do tegoż pokoju, gdzie Królewica wnieść kazałem), jedna kamienica Pana Hassel — a druga de Mr. Beaucon. mieszczanów tutecznych, dwie drugie gospody na Dwór rozdały się. Tylko cośmy rozporządzili stancye, przyszedł do mnie Sekretarz od Jmci Pana Kanclerza Saskiego Barona de Friese, co jest oraz pierwszym posłem od Króla Jmci. jako od Elektora Saskiego na elekcyę Cesarza przyszłego i prosił mię o naznaczenie godziny, żeby Jmć Pan Kanclerz de Friese kłaniać się mógł Królewicowi Jmci, któremu naznaczyłem od imienia Królewica Jmci. godzinę jedynastą z rana. Potym Mr. Seiwertiz Marszałek poselstwa Saskiego przyszedł i wprowadziłem go zaraz do Królewica Jmci o jedynastej (to jest o godzinie naznaczonej) przyjechał Jmci Pan Kanclerz i pierwszy poseł Saski de Friese, którego we drzwiach samych do sali przychodzącego przyjmowałem i wprowadziłem do drugiego pokoju do Królewica Jmci. Po przywitaniu i wzajemnym komplemencie, prosił Królewica Jmci. aby z nim chciał zjeść objad prywatnie i mnie do siebie z Królewicem Jm. zaprosił i Jm. Pana Miltiza, potym sam się retyrował, którego do wschodów odprowadzałem, a dalej aż do karety zleciłem odprowadzenie à Mr. Morteise Kawalerowi Królewica Jmci. O samej dwunastej przysłał Jmć Pan Kanclerz dwie swoje karety: w jednej ja z Królewicem Jmcią, w drugiej Mr. Miltiz z Panem Morteisem zajachaliśmy do jego stanciey, w tejże ulicy gdzie i my, Buchengass nazwanej. Tam zastaliśmy gości niemało i siedział u stołu na najpierwszym miejscu Królewic Jmć. przy nim po prawej ręce Jejmć Pani Kanclerzowa sama i ja przy niej. Po lewej ręce Madame Ringraff, córka naturalna przeszłego Elektora Palatini Rheni acatholici, (ta sama już w latach podeszłych panną będąc, zostaje przy starej Elektorowej Jejmci Hannowerskiej), przy niej siedział Mr. Miltiz. Sam Jmci Pan Kanclerz na miejscu gospodarskim, przy nim Mr. le Baron Hagen trzeci in ordine poseł Saski na elekcyą. Inni byli Mr. le Baron Giertz Grand Echanson Elektora Hannowerskiego a syn pierwszego posła na elekcyą tegoż Dworu. Mr. Seiwertiz. Marszałek poselstwa Saskiego, Mr. Morteise i Madame Degenfeldt, wdowa, co była za pierwszym Ministrem Electoris Palatini Rheni, siostra samej Jejmci Pani Kanclerzowej. Po obiedzie niedługo się tam bawiąc, powróciliśmy tymże jako i pierwej porządkiem do gospody. Przed wieczorem opowiedziawszy się jeszcze z rana u mnie, przyjachali na naznaczoną godzinę Mr. le Baron Hagen trzeci in ordine poseł Saski na elekcyę,

Mr. Eberstein Ablegat Króla Jmci u Dworu Elektora Moguncкiego. Mr. Plantamour Ablegat drugi u Dworu Jmci Elektora Trewireńskiego, Mr. le Comte Fantoni Ablegat Florenski i Mr. le Baron de Frise, krewny Jmci Pana Kanclerza de Frise Kawaler de l'Ambassade de Saxe; których kolejno tym jako się napisało, porządkiem wprowadzałem do przywitania Królewica Jmci. Tegoż dnia Monsigneur Albani Nepos et Nuntius Extraordinarius Ojca S-o Clementis XI. na elekcyą Cesarza, dał mi znać przez swego Prałata Mr. l'Abbé Merenda, że będąc jeszcze sam incognito et extra Civitatem mieszkając, zjachał umyślnie do pewnej kamienicy blisko stanciej Królewica Jmci, chcąc się widzieć ze mną in tertio loco. Więc płaszczem zasłoniwszy się, szedłem do niego i w kamienicy nieznacznej przywitałem się i rozmówiłem z onymże w różnych materyach, i tymże sposobem powróciłem nazad do gospody.

14. Aug. Był u mnie rano z wizytą Mr. le Baron Hagen trzeci (jako się już wyżej namieniło) poseł saski, po którego odjeździe cały poranek do południa zszedł na pisaniu, ponieważ poczta w ten dzień o samym południu odchodzi: i posłaliśmy pospołu z JPanem Milticem relacyę niemiecką Królowi Jmci o drodze i przybyciu Królewica Jmci do Frankfortu. Po objedzie dwaj Kawalerowie od Ambassady Hannowerskiej Mr. le Marquis Nomi, Włoch i Mr. Szteinberg, syn Marszalka Księcia Starego de Wolffenbustel, opowiedzieli się u mnie i o godzinie naznaczonej, wprowadzeni przezemnie do pokoju Królewica Jmci, przywitali onego. Tegoż dnia Mr. le Comte Papenheim, Marszalek Imperij był u mnie z wizytą i potym wprowadziłem onego do przywitania Królewica Jmci. Ten urząd jest dziedziczny Domu Papenheimów, jeden po drugim per majorennitatem następują. Aże Elektor Saski jest Archimarschalem Romani Imperii, więc Mareschalcus z Domu Graff Papenheim jest subalternus i jakoby Vicarius Electoris Saxoniae. On kwatery rozdaje Posłom na elekcyę, on sprawy sądzi i jurisdykcyę ma podczas takiego aktu, on gdy który Elektor wjeżdża, publicznie onego wprowadza, mając wartę halabardników przy swojej karecie i na koniu jedzie kawaler przed jego karetą z laską, jak u nas drewnianą Marszałkowską, in signum Jurisdictionis (bo sami Elektorowie luboby byli praesentes, jeden przed drugim tych nie czynią funkcyi, tylko przed samym Cesarzem przy koronaciey jego) i dla tego każdy Elektor in ordine ad functiones annexas, jako to Archimareschalci, Archi Cancellarij, Archi Camerarij etc. mają suos subalternos, którzy

tylko Cancellarij, Mareschalci, Camerarii etc. Imperij tytuły mają. Tegoż dnia Monsigneur Albani przysłał Prałata swego Mr. l'Abbé Merenda (którego wprowadziłem do Królewica Jmci) z powinszowaniem nowiny dobrej, którą tu dziś rozgłoszono, jakoby Moskwa miała znieść Tureckie wojsko nad Dunajem, położywszy 20/m. Turków na placu, i że Turcy pokój traktują cum exclusione Króla Szwedzkiego. Ale tak wielka nowina konfirmaciey potrzebuje, nim się jej da wiara zupełna. Tę nowinę miał przynieść umyślny Curjer z Wiednia do Posłów od tamtego Dworu tu będących i do Xżęcia Jmci Elektora Moguncкiego, który jako i Xże Elektor Trewireński już tu zjachali przed nami, pierwszy, to jest Mogunсki publicznie wjeżdżał 7. putis, in assistentia sześciuset koni swojej assistenciey, w żałobie sam i cały Dwór, a Trewirski wjechał d. 11. putis prywatnie pocztą, z trzema tylko karetami a bagaże i Dwór cały przodem był ordynowany.

15. Aug. Rano był u mnie Mr. le Baron Wetsel, General des Postes de l'Empereur na tym tu miejscu, którego potym wprowadziłem do Królewica Jmci. Potym byli kawalerowie od ambasady Saskiej Mr. le Comte Saul, Mr. Tiscau i Mr. Wolde. Po objedzie byli u mnie Kawalerowie od Ambassady Pruskiej Mr. Fireck Marechal de l'Ambassade i Mr. le Brigadier Lubiere Francuz, co był przedtym Gouverneur de la Principauté d'Orange we Francyi, których do Królewica Jmci wprowadziłem. Tymże sposobem przywitali Królewica Jmci Ichmci PPwie Lubomirscy, młodzi synowie nieb. Jmci Pana Kasztelana Krakowskiego, Hetmana W. Koron., z których starszy jest kawalerem Malitańskim. Ostatek dnia zszedł na dispoziciey w dorabianiu liberiey dla Dworu Królewica Jmci, i w kontraktowaniu o karety dla Królewica Jmci tu w Frankforcie do wizyt służące: i zkontraktowało się z karetnikiem o jedną karetę parą końmi dla kawalerów za 50 talerów na miesiąc. A drugą karetę także parą końmi ale piękniejszą dla samego Królewica Jmci dał mi Szteinheim, Rezydent Króla Jmci w tym tu mieście zawsze będący, tą kondycyą, że kiedy sam pan Rezydent będzie potrzebował karety, tedy ma sobie najmować i pisać w rejestr, co mu się to ex Cassa Królewica Jmci nagrodzi. Tegoż dnia widzieliśmy u Pana gospodarza naszego Mr. de Hessel klejnoty różne (bo jest jubilerem), tudzież różne antiquitates z kamieni rozmaitych i galanterie z kleinotów do gabinetu godne widzenia.

16. Aug. Rano był u mnie z wizytą Mr. le Chancelier de Frise a po obiedzie był Mr. le Baron Faurstner Ablegat Xcia

Jmci Lotharynskiego, którego potym do Królewica Jmci wprowadziłem. Tegoż dnia przyszła konfirmacya z Drezna o zniesieniu Turków przez Moskwę, którą Jmć Pan Kanclerz de Frise kommunikował Królewicowi Jmci.

17. Aug. Rano byli u mnie le Comte Giardini Ablegat Xcia Modenae. Mr. Vlm (Ulm?) Chambelan Xcia Elektora Trewirskiego, Mr. Hotten. Kawaler od Dworu Elektora Jmci Hannowerskiego. których kolejno wprowadziłem do przywitania Królewica Jmci. Po objedzie Mr. le Comte Wartemberg przeszły pierwszy Minister Króla Jmci Pruskiego. potym disgratiatus i tu teraz w Frankforcie mieszkający. kazał się w szery przynieść bez żadnego ogłosu ani opowiedzi do stanciey Królewica Jmci i wszedł prosto do sali i zabawiwszy się blisko quadrans odjachał. Po nim Mr. Fischer Conseiller Privé Xcia Margraffa de Bareith. był u mnie i Mr. Reisbach Ablegat Wirtemberski. których także wprowadziłem do Królewica Jmci. Przed wieczorem zaś byłem na konferenciey u Monseignora Albaniego.

18. Aug. Rano byli u Królewica Jmci Mr. le Colonel Miltiz. brat J. Pana Miltica w służbie Elektora Hannowerskiego zostający w regimencie Xcia Hesse Darmstata i Mr. Pinau. kawaler Saski u Madame Rojale w służbie będący. Po objedzie był u mnie Mr. le Comte de Gratz. Konsiliarz Elektora Jmci Trewirskiego. którego do Królewica Jmci wprowadziłem. Przed wieczorem przyjachali o naznaczonej godzinie Deputaci od Magistratu Mr. de Holtzenhausen Patricius le Cheff du Magistrat. Mr. Sonderhaus Sindic i Mr. Bergiet Burmistrz. których Mr. Morteisen wprowadził do sali. a ja do Królewica Jmci i tymże sposobem Mr. Morteisen onych sprowadził.

19. Aug. Rano był u Królewica Jmci Mr. Erelsheim intimus Consiliarius Graffa de Hanau, co w Hanau u nas bywał i Mr. le Baron Hagen, brat JPana Barona Hagen. trzeciego in ordine Posła Saskiego. Po obiedzie byli u mnie Mr. le Baron Bewern intimus Consiliarius Elektora Jmci Trewirskiego, i Mr. le Baron d'Or Gentil'homme de Chambre tegoż Elektora Jmci. których do Królewica Jmci wprowadziłem.

VI.

Remer Frankfurcki. — Posłuchania u Królewica.

20. Aug. Rano jachał Królewic Jmć na ratusz tuteczny, nazwany Remer, gdzie Burmistrz protunc regens przyjmował u samej karety Królewica Jmci i wprowadził nas najpierwej na salę wielką, gdzie Cesarz post Coronatione zwykł jadać z Elektorami; na tej sali po ścianach są obrazy różnych Cessarzów. Potym byliśmy w izbie, gdzie sessye swoje Electores miewają. Ta izba cała suknem czarnym obita. Baldachin wielki, to jest długi przez całą izbę, czarny sukienny nad oknami, pod którymi Electores praesentes, et absentiam primi Ministri siedzą w krzesłach także żałobą powleczonych, i ci siedzą na miejscu uno gradu podniesionym z desek, suknem czarnym usłanym. Srzodkiem izby stół długi, przy którym stoliki avec le dos, ale bez poręczów naprzeciwko krzesłom Elektorów we cztery rzędy stoją: w pierwszym rzędzie siedzą secundi Legati, w drugim tertij, w trzecim quarti, w czwartym quinti, jeżeli ich jest tyle. Co zaś pierwsi posłowie, to w rzędzie z Elektorami w krzesłach pod baldachinem siedzą. Po prawej ręce jest stolik mniejszy poprzeczny, przy którym Secretarij legationum siedzą. Po lewej ręce drugi stolik do konfitur i liquorów, jako zowią, pour des rafraichissements. Wszystkie stoły, stoliki suknem czarnym pokryte. W tej sali, jakom namienił, bywają sessye póty, aż już kiedy ad ipsam electionem przystępują, porozumiawszy się, dopiero Electores et Ministri do osobliwych izdeb retyrują się, i ubrawszy się in diademmata et ornamenta Electoria, ztamtąd jadą konno z wielką assistencyą do kościoła S-o Bartłomieja Kathedralnego i tam w kaplicy Vota swoje dają et pronuntiant Cessarza. Potym pokazowano nam sławną na cały świat Bullam Auream, sam oryginał, formowaną a Carolo Quarto Imperatore Anno 1356 d. 11. Januarij. Ta Bulla aurea jest pisana charakterem staroświeckim, jak drukiem na pargaminie in quarto i w pargamin obwiniona, sznurkami jedwabnemi przymocowana, u końca tych sznurków jest pieczęć albo metal złoty, z jednej strony osoba Caroli quarti na thronie siedzącego repraesentowana z napisem dokoła, Carolus quartus Divina favente gratia Romanorum Imperator semper Augustus et Bohemiae Rex. A na drugiej stronie brama między dwoma wieżami i w samej bramie napis Aurea Roma, do koła zaś na tej stronie jest napis, Roma

caput mundi regit Orbis fraena rotundi. Ta aurea Bulla servatur w szkatułce żółwiowej w srebro oprawnej i konkredytowana jest do schowania miastu i Magistratowi tutecznemu. Z ratusza jachał Królewic Jmć do Balhausu, to jest au jeu de Pomme. Po objedzie był u mnie Mr. Mellarede Envojé. Xcia J. Sabauskiego, którego do Królewica Jmci wprowadziłem; tymże sposobem Mr. le General de Schulembourg przywitał Królewica Jmci. Także Iehmcie PPwie Miączyński, najmłodszy syn Jmci Pana Podskarbiego Nadwornego Koronnego i JPan Opaliński, brat stryjeczny JPana Regenta Koron., powracający z Paryża do Polski i tędy przejeżdżający byli u mnie, którzy także przywitali Królewica Jmci. Tegoż dnia przyszła konfirmacya o zwycieztwie zupełnym Cara Jmci nad Turkami i powinszowania od różnych odbierał Królewic Jmć. Tegoż dnia termin do zaczęcia elekciey przypadał. Ale że posłów niektórych Elektorów jeszcze nie było i że ceremoniały względem posłów postronnych i Elektorów przytomnych jeszcze nie były ułożone, odłożono inductionem tego aktu ad 25-tum pntis, to jest nazajutrz po S-tym Bartłomieju.

21. Aug. Witali Królewica Jmci Mr. Worm, kawaler Xcia Jmci de Wolffenbutel, Mr. Alphonsleben syn Consiliarij intimi Xcia Hannowerskiego, Mr. Done kawaler drugi Xcia de Wolffenbutel i Mr. Ror kawaler od Ambasady Saskiey. Po obiedzie był także Mr. Erff, Lieutenant Generał w wojsku Cesarskim i drugi Mr. le Comte Solms de Rittelheim Generał z Pruskiego wojska, tu teraz w bliskości mieszkający.

22. Aug. Byli u Królewica Jmci dwaj młodzi Graffowie. Tegoż dnia posłaliśmy relacyę niemiecką Królowi Jmci i rachunek expensarum odbierałem od Cassiera. Tegoż dnia przed wieczorem Mr. Alphonse Cammerier Królewski, wyprawiony z pilnemi listami od Monseignora Albaniego do Krola Jmci, przez którego i ja listy pilne do Dworu posłałem.

23. Aug. Rano Mr. le Comte de Werther, drugi Poseł Króla Jmci przyjachał i przywitał Królewica Jmci. Po objedzie Mr. le Baron Giertz intimus Consiliarius i pierwszy poseł Elektora Jmci Hannowerskiego przywitał także Królewica Jmci.

24. Aug. W dzień S-o Bartłomieja byłem w Kościele Kathedralnym S-o Bartłomieja, gdzie Xże Elektor Moguncki wotywę solenną odprawował. Rano zaś posyłałem mego Sekretarza niemieckiego do JPana Graffa Schönborna, Wielkiego Marszałka Xcia Jmci Elektora Moguncklego, prosząc o audyencyę u tegoż

Elektora i o naznaczenie godziny. Więc tenże Marszałek przysłał swego człowieka do mojej gospody, dając znać, abym zjachał na jedynastą godzinę przed południem, zaczym na godzinę naznaczoną gdym zjachał do Pałacu, wyszedł przeciwko mnie do samych wschodów Mr. le Baron Cnebel Marszałek Dworu, a w pokoju przed antykamerą przyjmował mię Mr. le Comte Schönborn, synowiec Elektora Jmci i Wielki Marszałek jego i skorom przyszedł do Antykamery, zaraz drzwi otworzono do pokoju Elektora Jmci i sam Elektor do samego progu wyszedł. — Gdym wszedł z nim do pokoju, drzwi zamknięto, że nikogo więcej w tym pokoju nie było, tylko Elektor Jmć i ja. Pokój ten, w którym dawał audyencye, czarnym suknem był obity i baldachim w nim czarny żałobny, krzesła żałobne etc., tylko lustr wielki i dwa wielkie zwierciadła, dwa stoły i gierydony srebrne w nim były. Xże Elektor gdy się zastanowił w pół pokoju, uczyniłem do niego komplement imieniem Króla Jmci, od którego miałem commissa jako i od całey Rzplitej in ordine do tej Cesarza elekciey służące. Na który komplement gdy wzajemną ludzkością odpowiedział, pytał się potym o naszych polskich rewolucyach, o circumstanciach wygranej Cara Jmci świeżo ogłoszonej nad Turkami etc., tandem o Królewica Jmci, życząc sobie okaziey prędkiej do poznania onego. Na co odpowiedziałem, że wzajemnie Królewic Jmć albo raczej Mr. le Comte Lousnic nic sobie barziej nie życzy jako kłaniać się i poznać Elektora Jmci i że się w tym poczuwać będzie, byle wiedział czas i godzinę Elektora Jmci od publicznych ile tak wielkich zabaw wolną. Potym po dyskursie więcej niż półgodzinnym, pokłoniłem się Elektorowi Jmci i wyszedłem, który mię aż do progu samego odprowadzał. W antykamerze nic się nie bawiąc, tylko podziękowawszy Jmci Panu Marszałkowi Wielkiemu za sprawioną audyencyą i pokłoniwszy się drugiemu synowcowi Elektora Jmci, to jest Graffowi Schönbornowi Proboszczowi Wirtzburskiemu, jako i innym w pokoju będącym Kawalerom i Prałatom, których wielka liczba była, wyszedłem: a tym sposobem jako przychodząc, odprowadzał mię za antykamerę le Grand Marechal, a drugi Mareschal de la Cour odprowadzał mię do wschodów i czekał aż wsiadłem do karety i odjachałam. A ponieważ tegoż poranku posyłałem i do Elektora Jmci Trewirskiego, prosząc o audyencyę przez JPana Graffa Ferrari Włocha, co jest Grand Chambellan i miałem czas przed samym południem naznaczony, więc tym sposobem, gdym był przyjęty jako u Elektora Jmci Mogunckiego i wprowadzony do Elektora Jmci, który także

do progu wychodził przeciwko mnie, po uczynionym wzajemnym komplemencie. między diskursami była wzmianka o Królowej Jmci Polskiej Eleonorze Matce Elektora Jmci, co była primo voto za królem Jmcią Michałem, a secundo voto za Xżęciem Jmcią Lotharynskim. Ojcem Elektora Jmci teraźniejszego Arcybiskupa Trewirskiego; i potym diskurs był podobny pierwszemu o Królewicu Jmci, którego ochotę do pokłonienia się Elektorowi Jmci opowiedziałem. Tandem z temi ceremonjami retyrowałem się i odjachałem. odprowadzał do wschodów Mr. Breittenbach Marechal de la Cour. Pokoje wszystkie u obudwóch Elektorów Ichmciów i dworscy i gwardye etc. w żałobę byli przybrani i w pokoju, gdziem miał audyencyą, tymże sposobem żałobny był baldachin i takież były zwierciadła, stoły i gierydony srebrne jako u Elektora Jmci Moguuckiego. Elektor Jmć Arcybiskup Moguncki jest najpierwszy in ordine między Elektorami Archi i Cancellarius Imperij z domu Comitum de Schönborn. i największe między innemi ma prerogatywy On obwieszcza śmierć Cesarzów innym Elektorom i termin elekciey juxta ordinem bullae aurea naznacza. On propozycye czyni, a nie tylko podczas elekciey. ale in omnibus actibus Imperii praesiduje, archiwum trzyma, Vota Eligentium colligit a sam na ostatku kreskę swoją daje etc. etc. i ma wielkie inne in Imperii prerogatywy. Tegoż dnia witali Królewica Jmci dwaj Graffowie z Holsatiey Duńskiej młodzi, nazwani Berkientin, Mr. Schol pasierb Feltmarszałka Duńskiego Graffa von Reventlau. Mr. Donckelmann syn owego najpierwszego Ministra i preceptora Króla Jmci Pruskiego. potym disgraciowanego: dwaj item Kawalerowie z Sląska nazwani Zeiwisz: Mr. Geming syn intimi Consiliarij Xcia Darmstata. Tegoż dnia oddałem wizytę JPanu Graffowi de Werther, drugiemu posłowi Saskiej Ambasady.

VII.

Narady elekcyjne. — Poselstwa. — Elektorowie.

25. Aug. Ponieważ nastąpił termin ex limitatione do zaczynania konferencyi in ordine do elekciey. więc Xżęta Elektorowie obadwa i od innych Posłowie wszyscy zjeżdżali się na Ratusz (jako się go wyżej opisało) Remer nazwany, o godzinie dziesiątej z rana. Jam patrzał z Królewicem Jmcią z okna z kamienicy pewnej w rynku blisko Ratusza. Zjeżdżali się tedy ci Ministri pro-

miscue, jako się który z gospody swojej wybrał prosto na ratusz, co się w niżej opisanym porządku obaczy. Najpierwszy przyjachał le Comte de Papenheim Mareschalcus Haereditarius Imperij, (którego osobę i szarżę opisało się wyżej pod datą 14. Augusti), aby według powinności i urzędu swego przyjmował i wprowadzał na Ratusz tak Elektorów samych, jako i Posłów wszystkich.

1. Potym przyjachali Posłowie Hannowerscy, pierwszy Mr. le Baron Giertz prim. Minister tegoż Elektora, drugi Mr. Schrader. Najpierwej szło lokajów 14 po czterech w rzędzie w liberiey pomarańczowej z galonami jedwabnemi błękitnemi z białym kolorem. Za lokajami szła kareta poselska poszostna na cztery osoby, w której dwaj posłowie siedzieli w tyle jeden przy drugim. Za tą karetą szło paziów 3. Za paziami szły trzy z kawalerami de l'Ambassade karety poszostne coupez, to jest na dwie osoby. Woźnice paziowie w takiejże liberiey jako i lokaje. Przy karetach szło hajduków z węgierska pod piórami sześciu.

2. Posłowie Czescy po Hannowerskich przyjachali tym sposobem. Najpierwej szło lokajów w żałobie 40. Za lokajami les Gentilshommes de l'Ambassade 40 także w żałobie, wszyscy szli parami. Za temi kawalerami szła kareta wielka poszostna, w której trzej posłowie siedzieli, najpierwszy Mr. le Comte Windisgraz, drugi Mr. le Comte Kinski Vicechancelier de Boheme, trzeci le Baron Konsbruck. Za tą karetą szła druga kareta na cztery osoby, a potym cztery inne karety na dwie osoby, w których siedzieli różni Graffowie i Baronowie znaczni ex Imperio, Posłom assistujący. Wszystkie karety żałobne, suknem czarnym obite i szory powleczone w sukno czarne w falbale i cugi wszystkie u sześciu karet, do żałoby akkomodujące się.

3. Sascy Posłowie naszego Króla Jmci jachali tym porządkiem. Lokajów najpierwej szło 24 po czterech w rzędzie, w liberiey żółtej z galonami srebrnemi z błękitnym jedwabiem. Za lokajami kareta Poselska na dwie osoby, sześcią końmi karemi barzo pięknemi, że innych wszystkich celowały i w szorach bogatych karmazynowych jedwabnych z złotem, w której karecie był Mr. le Baron Frise Kanclerz Saski pierwszy Poseł i Mr. le Comte Werther drugi poseł, za tą karetą szło paziów 6 i trębaczów 2 bogato przybranych, przy karecie hajduków 4 z węgierska pod strusiemi piórami. Za tą karetą szła druga kareta poszostna na dwie osoby, przy niej dwóch hajduczków, w której był trzeci poseł Mr. le Baron de Hagen. Za tą karetą szły drugie

dwie karety poszostne z kawalerami. Wszystkie cztery karety poszostne. Woznice w jedwabnej liberiey.

4. Posłowie Faltz Graffa, to jest Electoris Palatini Rheni jachali tym sposobem. Najpierwej szło lokajów 6 w liberjej cynamonowej z galonami jedwabnemi błękitnemi. Za lokajami szła kareta na cztery osoby, barzo piękna i osobliwą strukturą snycerską, z oknami in ovali figura, w której dwóch było Posłów, pierwszy Mr. le Baron Sihingien, drugi Mr. Micker Doctor Iuris. Za tą karetą szły trzy karety na dwie osoby poszostne z kawalerami. U woźnic barwa nie jednakowa z lokajami, ale niebieska z galonami srebrnemi a kamizole czerwone. Karet in summa cztery.

5. Przyjachał Elektor Jmć Moguncki tym porządkiem. Najpierwej szło lokajów 60 parami w żałobie. Za lokajami paziów po hiszpańsku, w płaszczykach czarnych jedwabnych 12. Za paziami kawalerów także w żałobie szło parami 60. Za kawalerami szła kareta wielka żałobna, sześcią końmi w kapach blisko do ziemi wiszących, w której sam Xże siedział: przy karecie szło 12 szwajcarów z halabardami, za karetą lokajów znowu 20. Za lokajami gwardiej szło piechotą z muszkietami 50. Za gwardyą szło innych karet wielkich żałobnych poszostnych 4 z Prałatami i pierwszemi dworu Officialistami, Ministrami etc. in summa karet poszostnych pięć.

6. Posłowie Pruscy przyjachali tym sposobem: Najpierwej szły cztery karety poszostne, trzy na dwie osoby, czwarta na cztery z kawalerami de l'Ambassade. W piątej ostatniej karecie byli posłowie, pierwszy Mr. le Comte Dona, drugi Mr. Henning: przed Poselską karetą szło lokajów 12, po trzech w rzędzie i paziów czterech w liberiej błękitnej z galonami srebrnemi z jedwabiem czerwonym. Porządek marszu tych Posłów był od innych odmienny w dwóch rzeczach. 1-o że Posłowie nie w najpierwszej karecie jako inni, ale w ostatniej jachali. 2-o że inni Posłowie choć w karetach na cztery osoby, jednak jeden przy drugim obok w tyle siedzieli, a tu le Comte Dona sam siedział w tyle, a Mr. Henning drugi poseł przed nim siedział na przodzie, nie obok z nim, co wszyscy ludzie obserwowali i uważali.

7. Elektor Jmć Trevirensis przyjeżdżał tym porządkiem. Najpierwej szło lokajów, po czterech w rzędzie, w żałobie 60. Za lokajami szli les Gentilshommes, także po czterech w czerni 30. Za niemi szły dwie wielkie karety żałobne parą końmi z Ministrami i Prałatami. Za temi dwoma karetami szło trębaczów 8.

Za trębaczami paziów szło po hiszpańsku w płaszczykach czarnych jedwabnych 12. Za paziami księży dwóch, za Xiężą kawalerów 40. Za niemi lokajów 12. za lokajami hajduków z węgierska pod piórami strusiemi 8. Za niemi dopiero kareta wielka poszostna żałobna, w której sam był Xże Elektor, przy karecie szwajcarów z halabardami 12. Za karetą znowu szło lokajów 68 i trębaczów 6 i gwardiej z muszkietami pieszo szło 50. Wszyscy w żałobie. Notandum, że Elektorowie sami byli z czarnemi żałobnemi długiemi płaszczami. Posłowie zaś od wszystkich innych Elektorów z hiszpańska byli ubrani w czerni, z płaszczykami krótkiemi jedwabnemi, z kołnierzami wielkiemi i w perukach długich. Wyjąwszy posłów Czeskich, którzy w żałobie byli grubej, według mody wiedeńskiej z płaszczami do ziemi i szorcami na kształt spodnic, w perukach także długich. Podczas tego wjazdu warta miejska albo część garnizonu stała w rynku uszykowana i za przyjazdem każdego Elektora i Posłów w bębny bito, która warta codziennie, kiedy sie na konferencye zjeżdzają Electores, stać musi przed Ratuszem i póty stoją uszykowani, póki trwa sessya, a oprócz tego gwardye Elektorów, jednego z jednej strony, drugiego z drugiej strony stoją uszykowane przy drzwiach ratusza, póki trwa sessya.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu

w latach 1399—1404.

Studyum historyczne.

I.

Po klęsce nad Worsklą.

Klęska Witolda w dn. 12. sierpnia 1399 r. była wielką i zupełną; kronikarz nowogrodzki, nieprzychylny Kiejstutowicowi, uważa ją jako karę boską za dumę księcia.[1]) Witold cofnął się zaraz po walce z niedobitkami wstecz ku Litwie i tu mógł oczekiwać i spodziewać się dalszych katastrof. Ale ze strony Timur-Kutłuka nie spotkało go nic więcej: Tatarzy ograniczyli się tylko do wzięcia bogatego okupu z Kijowa i Ławry peczerskiej i przelotnego spustoszenia pobliskich okolic. Wprawdzie jeden z ruskich latopisów — hipatiowski — opowiada, że „Tatare pobiadiwszi christian, poidosza w ruskuju zemlu, plenjajuszcze ognem i mieczem Wołyń i Litwu“,[2]) a nowogrodzki dodaje, że w Kijowie

[1]) Połn. sobr. rusk. latop. t. III. p. 101:

„Тако бо Богъ навелъ поганыхъ Татаръ на землю Литовскую за высокоумie князя ихъ...“

[2]) Ibidem, t. II. p. 532.

„namiestniki swoi posadisza“.[1]) — Witold jednak rychło ochłonął z przerażenia.

Co się tyczy powyższych wiadomości, to mamy je, jak widzimy, od dwóch latopisów: hipatiowskiego i nowogrodzkiego. A że hipatiowski jest latopisem lokalnie kijowskim i najwcześniejszym po tzw. Nestorze lub latopisie mnicha Wawrzyńca, bo powstał z końcem XIV. lub początkiem XV. w.,[2]) on tedy może mieć najpewniejsze w tym względzie wiadomości w przeciwieństwie do nowogrodzkiego, zbyt odległego od Kijowa i Witoldowi niechętnego: dlatego też najprawdziwszą wydaje się nam wiadomość hipatiowskiego latopisa tj. że Tatarzy ograniczyli się do wzięcia okupu i spustoszenia sąsiednich okolic. (Wołyń, Łuck).[3])

Jeżeli klęska nad rzeką Worsklą była wielką sama przez się, jako klęska, o czem świadczy choćby śmierć kilkudziesięciu bojarów i książąt poległych w tej bitwie, to była jeszcze większą pod względem politycznym, przez okoliczności zaszłe właśnie świeżo w Polsce.

17. lipca zgasła królowa Jadwiga. Opowiada Długosz,[4]) że zrozpaczony król chciał rzucić koronę polską i wrócić na Litwę. Nie uważał się bowiem za właściwego monarchę polskiego, tylko

---

[1]) Ibid. III. p. 101.

[2]) Bestużew-Rjumin: „Russkaja istoria“ t. I. str. 20.

[3]) Zreszta i inne latopisy podobnie opowiadają. Np. woskreseński (Połn. Sobr. t. VIII.), wcale obfity w wiadomości o tej bitwie, opowiada (str. 73): „I пойде царъ Темирь-Кутлуй къ Кіеви и взя съ него окупъ 3.000 рублевъ Литовскимъ сребромъ, а силу свою всю распусти воевати земли Литовскіе; и ходиша рати Татарскіе воюючи даже до Великаго Луцкаго, и много городовъ поплениша и много странъ повоеваша и много зло створивъ Темирь-Кутлуй земли Литовской и отъиде въ землю свою.“

Wreszcie Nikonowski latopis (t. II. p. 174), który, jak sądzimy po przeczytaniu jego ustępu o bitwie nad Worsklą, opiera się na hipatiowskim i woskreseńskim, choć w opisie bitwy ma szczegóły obce tamtym, mówi prawie dosłownie to samo, co woskreseński o okupie z Kijowa i spustoszeniu Wołynia (Łuck). Wszystkie wiedzą o ucieczce Witolda z małą garstką, ale nie o „posadzeniu namiestników“ tatarskich w Kijowie. Hipatiowska kronika i podobno część nowogrodzkiej są współczesne mniej więcej tym wypadkom a ze wszystkich, poza t. zw. Nestorem najwcześniejsze. Nikonowska zaś, jak mówi jej wydawca, powstała dopiero w w. XVII., woskreseńska wcześniej; hipatiowska jest lokalnie kijowską.

[4]) T. III. p. 537.

o tyle i przez to, że był mężem królowej Jadwigi, właściwej dziedziczki i królowej państwa polskiego. Że ten przekaz naszego historyka nie jest tylko legendą, świadczyć może list Konrada Jungingena, w październiku 1399 r. pisany do komtura wiedeńskiego Michała.[1]) Pisze w nim W. mistrz, że gdy Jagiełło chciał Polskę opuszczać po śmierci królowej, panowie polscy nie pragnący wcale rozerwania unii, zaczęli go prosić i zatrzymywać, perswadując, że śmierć królowej nie przeszkadza bynajmniej dalszemu jego królowaniu, zwłaszcza gdy oni, panowie, tego sobie życzą i radzili, by poszedł za wskazówką i radą, daną mu na śmiertelnem łożu przez małżonkę tj. poślubił drugą, najbliższą spadkobierczynię polskiej korony, wnukę po córce Kazimierza Wielkiego, Annę hr. cylejską. Opowiadanie to zgadza się zupełnie z opowieścią Długosza, czyli więc ta ostatnia jest prawdziwą i nie podlega żadnej wątpliwości. Dlatego też sądzimy, że słusznem jest twierdzenie prof. Piekosińskiego, że Jagiełło był tylko „królem-małżonkiem", że jego stanowisko prawne jako króla było oparte na ślubie z córą Andegawenów, której śmierć i Krzyżacy opłakali uroczystem nabożeństwem żałobnem[2]) — dopiero teraz przez fakt zatrzymania go, zmieniło się.[3])

Wobec takiego stanowiska Jagiełły w Polsce jako króla, mógł Witold śmiało oczekiwać jego powrotu na Litwę, a temsamem utraty swojego dotychczasowego stanowiska na Litwie, wytworzonego siłą faktów przez siebie od ugody ostrowskiej. A że ono już było zachwiane klęską nad Worsklą, że mógł się spodziewać dalszej zemsty Timur-Kutłuka, więc musiałby Jagielle ustąpić stolca wielko-książęcego i spaść do rzędu dzielnicowych książąt. Jagiełło bowiem był zawsze jeszcze „magnus dux Lithuaniae" i miał do niej niewątpliwe i lepsze od Witolda prawa. To więc, że ta klęska zeszła się ze śmiercią królowej, że stanowisko Witolda na Litwie, a równocześnie Jagiełły w Polsce było w niepewności, w zawieszeniu, podnosi ją istotnie do ogromnych rozmiarów i słusznie uważana jest przez historyków za punkt zwrotny w dziejach Witolda, nie tylko dlatego, że przez nią runęły

---

[1]) Voigt, Codex Prussicus, t. VI. nr. 87

[2]) Voigt, Geschichte Preussens, t. VI. p. 170. — „Tressler-Buch" p. 9 w uwadze Voigta.

[3]) Piekosiński, „Czy król Władysław Jagiełło..." (Rozpr. Akad. Umiej. t. 35).

śmiałe, fantastyczne niemal projekta o podbiciu całego dalekiego Wschodu, o shołdowaniu Moskwy.[1]) Przyjęte to bowiem powszechnie zdanie, że klęska nad Worsklą sprowadziła stanowczą zmianę w polityce Witolda, zbliżyła go do Polski na długo, bo aż do koronacyjnej burzy w 1429 r.; wprawdzie te groźne ewentualności, których Kiejstutowic mógł się lękać, jak powrót Jagiełły na Litwę i zemsta hana tatarskiego na szerszą skalę, nie nastąpiły i Witold mógł się utrwalić na Litwie, to jednak zbliżenie się jego do Polski stało się faktem i jest najważniejszym skutkiem rozbicia się planów wschodnich Witolda nad Worsklą. Przez ten fakt zbliżenia się do Polski, przez to, że stanowi punkt zwrotny w polityce Witolda, jest klęska nad Worsklą wypadkiem pierwszorzędnej wagi.

Za dowód tego tj. tej zmiany, tego zbliżenia się do Polski, a zarazem prędkiego odzyskania równowagi po klęsce, możnaby uważać odpowiedź Konrada Jungingena, datowaną 24. sierpnia 1399 r. na propozycyę zjazdu Jagiełły z W. mistrzem w sprawie dobrzyńskiej. Pisze tu Mistrz, że książę musi pierwej wrócić na Litwę z Krakowa, a kiedy to nastąpi tego on wiedzieć przecież nie może; że dalej pora zimowa nie wydaje mu się odpowiednią dla zjazdu, raczej na wiosnę to odłożyć należałoby, że wreszcie sam cel zjazdu, sprawa dobrzyńska jest jego zdaniem niedostatecznym i za błahym powodem, lęka się więc, by zjazd nie spełzł na niczem: gdy książę wróci, na czas będzie o tem pomyśleć.[2])

Krótki ten list pozwala postawić szereg przypuszczeń. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że rzeczą pierwszorzędnej wagi dla nas byłoby posiadać nietylko odpowiedź Jungingena, ale także sam list Witolda z propozycyą zjazdu, czyli innemi słowy wiedzieć, kiedy i zkąd pisał go Witold, a mianowicie czy przed, czy po klęsce; przez to bowiem zmienia się zasadniczo tendencya Witolda. Niestety nie posiadamy go — ztąd ta forma „możnaby", bo domysłami, hipotezą musimy się ratować i w niepewny sposób interpretować odpowiedź mistrza.

Chodzi więc najpierw o bliższe określenie terminu pobytu Witolda w Krakowie. List krzyżacki nie mówi nic bliższego, jedynie tyle, że poseł Witolda Pietrasz oświadczył, iż książę wyjechał do Krakowa („geretęn woret"); z Długosza też niewiele

[1]) Bestużew-Rjumin: „Russkaja istorja", t. II. p. 39.
[2]) Prochaska, Codex Vitoldi, Nr. 201.

więcej dowiedzieć się możemy, tembardziej, że popełnia nawet bałamuctwo.[1]) ale jako rzecz prawdopodobną możemy przyjąć na podstawie tych dwóch źródeł, że do Krakowa wyjechał po klęsce, zwłaszcza, że trudno mu było jechać w czasie przygotowań do walki, o których opowiada Długosz jako trwających przez czerwiec i lipiec[2]) i pewnego naprężenia w stosunku do Polski, ani też tembardziej podczas wojny. Zresztą opowiadanie Długosza wygląda tak, że Witold w Krakowie znalazł się po klęsce.

Jeżeli więc przyjmiemy, że do Krakowa wyjechał po bitwie nad Worsklą, to należałoby także przyjąć jako rzecz prawdopodobną, że owego Pietrasza wysłał z listem do Malborga przed swoim wyjazdem do Polski tj. także po bitwie. A wobec tego możemy się zgodzić, że niebezpieczeństwo ze strony hana, o czem zresztą i latopisy ruskie piszą, musiało minąć szybko, skoro mógł myśleć o opuszczeniu Litwy; dalej, że szybko odzyskał równowagę ducha po swojej katastrofie, skoro zajmuje się sprawą obojętną ostatecznie dla Litwy tj. sporem dobrzyńskim. A ta właśnie okoliczność, zajęcie się sprawą dobrzyńską, dowodzi chęci zbliżenia się do Polski, ściślejszych z nią związków, tembardziej, że Polska w tej właśnie chwili nie ma innej ważniejszej sprawy. A i to także, że jedzie do Krakowa, do Jagiełły, stwierdza ową dążność do zbliżenia się. Ale trafność tych wszystkich wniosków zależy

---

[1]) Długosz (Historia III. p. 527) mówi o klęsce worskleńskiej, że wypadła ona na „quarta decima Augusti die, feria videlicet tertia post festum beati Laurentii"; jest to błąd chronologiczny, bo „feria tertia" czyli wtorek wypadał wtedy na 12, a nie 14 sierpnia. Nieco dalej (p. 537) pisze tak: „Tristi nuntio Wladislaus, Poloniae rex de morte consortis suae Hedvigis reginae accepto, gemens Cracoviam advenit et diebus aliquot in luctu et moerore absumptis accersitis praelatis et baronibus regni funerias regio apparatu illi in Cracoviensi ecclesia, quarta decima Augusti celebravit. Juste quoque funeri persolvens, in terras Russiae, quibus longo tempore immoratus est (Jaśko z Tęczyna, kasztelan krakowski, był wtedy zastępcą, namiestnikiem króla w Koronie: Castrensia Biecensia t. 24. p. 732—734 w archiwum krajowem w Krakowie), ex Cracovia abiit. Venerat etiam sub eadem tempestate in Cracoviam Withawdus Alexander, dux Lithuaniae, cum ducissa Anna, consorte sua prima, Hedvigim, Poloniae reginam, in puerperio visitaturi et insignibus honoraturi numeribus. Sed solutis funeri iustis exequiis, ocyus in Lithuaniam rediere."

W „Rachunkach dworu" („Rationes curiae" Piekosiński) jest luka na rok 1399.

[2]) Historia, III. p. 527 (lib. X.).

od tego, kiedy Witold wysłał ów list i kiedy wyjechał do Krakowa, a tego niestety sprawdzić nie możemy.

Co na Witolda wpłynęło w tej mierze, czy oprócz klęski. oczywiście jeżeli się to stało po bitwie, działały jakie inne jeszcze wpływy i powody, nie umiemy odpowiedzieć. bo źródła nie dają nam w tym względzie żadnej wskazówki: poruszymy to zresztą później. Fakt jednak zbliżenia się i chęć ujęcia w swe ręce sprawy dobrzyńskiej są niewątpliwe. bo dowodzą tego późniejsze wypadki i zmiana stosunku Witolda do Polski. są powszechnie przyjęte jako skutek klęski. Jest to faktem bez względu nawet na to, czy ów list omawiany do mistrza był wysłany jeszcze przed katastrofą. Bo z drugiej strony i takie przypuszczenie można postawić i udowodnić nawet, tj. że list ów wyprawił przed bitwą, a wtedy propozycya zjazdu nie będzie skutkiem klęski i stwierdzeniem zbliżenia się, ale celem jej będzie pozyskać Polskę dla swoich planów, otrzymać od niej pomoc.

A teraz wnioski po za tem. Że Jungingen odrzuca propozycyą i co charakterystyczne; odrzuca dlatego. iż się lęka. by zjazd złożony tylko w sprawie dobrzyńskiej. nie spełzł bezowocnie. to dowód. że stosunki między Witoldem a Krzyżakami od traktatu salińskiego nie uległy jeszcze zmianie i przyjaźń między nimi trwa dalej. Naturalnie dowodzi tego nie odrzucenie propozycyi, ale ton listu. a przedewszystkiem intytulacya. Gdy bowiem porównamy korespondencyą między Zakonem a Witoldem w czasach. gdy żyją ze sobą w przyjaźni. z czasami, gdy przeciwne panują stosunki. to znajdziemy w intytulacyi ogromną różnicę: w pierwszym mianowicie wypadku czytamy: *„irluchter furste und grosmechtigen besunder libir herre“*, w drugim: *„irluchte forste und herre“*;[1]) a w czasach średniowiecznych intytulacya była rzeczą wielkiej wagi. A zjawisko to powtarza się tak regularnie, że nie czytając nawet listu i nie znając stosunków danej chwili, możemy wnioskować z wielkiem prawdopodobieństwem, jakie stosunki łączyły ich w danej chwili. Powtóre — odrzucenie owego projektu dowodzi także. że Krzyżacy wcale nie mieli ochoty do prędkiego zakończenia sporu dobrzyńskiego, czyli że cała przyjaźń względem królowej Jadwigi i zapewnienia mistrza, iż całem sercem pragnąłby, aby ten spór wyrównał się jak najprędzej. były nieszczere, fałszywe. Bo czemużby w takim razie odrzucał propo-

[1]) Porówn. choćby „Codex Vitoldi“.

zycyę, a raczej, co ciekawsze, odkładał ją na później — do powrotu Witolda? Widocznie szybki koniec sprawy dobrzyńskiej nie leżał w interesie Krzyżaków. Możnaby tu także podejrzywać W. mistrza o ukrytą tendencyę, domyślać się, że W. mistrz pragnął Witolda odciągnąć od tej sprawy, wypróbować go, jak się zachowa wobec Krzyżaków teraz po swojej klęsce.

W każdym razie sądzimy, że ten list W. mistrza można uważać za dowód, iż 1. niebezpieczeństwo dla Witolda minęło szybko ze strony Tatarów — kronikarze ruscy opowiadają, że Timur-Kutłuk wprost z pola bitwy ruszył na Kijów: — 2. klęska nad Worsklą zbliżyła Witolda do Polski; — 3. że trwają dalej przyjazne stosunki między Witoldem a Krzyżakami, wytworzone traktatem salińskim, zawartym bardzo uroczyście w październiku 1398 r. na wyspie niemeńskiej Sallin zwanej, w obecności Witolda, W. mistrza, dostojników krzyżackich i bojarów litewskich. Było to zawarcie ścisłej przyjaźni i przymierza, z obowiązkiem obopólnej pomocy i odstąpieniem Żmudzi Krzyżakom w czasie wspaniałej, trzydniowej uczty.[1])

---

[1]) Ob. opis zjazdu u Possilgego (Script. rerum Prussicarum t. III.), a dokument przymierza Raczyński „Codex Lithuaniae" p. 253, preliminarz przymierza „Codex Vitoldi" nr. 179.

Owa odpowiedź W. mistrza na propozycyę zjazdu uważamy za jedną z ciekawszych i ważniejszych z tych czasów, a zarazem za jedną z zagadek, której nie można interpretować na pewno z powodu niedostatecznych wiadomości źródłowych — zwracam też na nią uwagę. Być może, że nasz sąd, nasza interpretacya nie jest trafną, bo ten list można na dwa sposoby tłómaczyć tj. że Witold był w Krakowie przed bitwą lub po. Prawda, że czas między 12. a 24. sierpnia (choć tę drugą datę posiada list, jako że w tym dniu był dopiero pisany, a parę dni upłynąć musiało, nim go Witold mógł otrzymać, czyli, że mamy tu więcej czasu, aniżeli 12 dni, bo książę równocześnie z wysłaniem Pietrasza mógł i sam wyjechać) jest na to wszystko za krótki i że Witold był w Krakowie jeszcze przed klęską, chcąc odwiedzić chorą królowę i przypodobać się panom polskim, zjednać ich dla swych dalekich planów, czy też zamydlić oczy krakowskiemu dworowi w swoich właściwych dążeniach. Wprawdzie Długosz mówi, że przybył do Krakowa po klęsce i śmierci królowej (o czem nie wiedział), ale między treścią listu tj. że wyjeżdża do Krakowa, a rzeczywistem przybyciem mogły zajść jakieś nieprzewidziane przeszkody i nagłe, z powodu których przybył już później, a list w każdym razie wysyłał przez Pietrasza przed klęską; i wyrażenie odpowiedzi mistrza, że już wyjechał („gereten woret"), w ten sam sposób można objaśnić. Trudno już pogodzić to, że Długosz każe Witoldowi bawić przez czerwiec i lipiec

A teraz małe objaśnienie czy przypomnienie — o sprawie dobrzyńskiej, co to była za sprawa? Poświeciliśmy jej osobną rozprawkę, tu wypadnie nam ją tylko streścić w najogólniejszych zarysach.[1])

Władysław ks. opolski, ulubieniec króla Ludwika węgierskiego, otrzymał od niego w r. 1378, jako od króla polskiego, ziemię dobrzyńską, część Kujaw, ziemię wieluńską i ostrzeszowską tytułem lenna. Po śmierci Ludwika panowie polscy nie lubiący Władysława opolskiego, niejednokrotnie okazywali mu swą niechęć, a gdy później jeszcze popadł w zatargi z Jagiełłą, zerwał zupełnie z Polską i zaprzysiągł jej zemstę. Wszedł więc w bardzo przyjazne stosunki z Zakonem krzyżackim i w r. 1391 zastawił mu naprzód ważny pograniczny zamek Złotoryą, a w roku następnym całą ziemię dobrzyńską. To wywołało spór. Jagiełło wypowiedział Opolczykowi wojnę, która w r. 1396 skończyła się zupełną katastrofą księcia, bo utratą nawet dziedzicznego Opola, poczem zwrócił się do Krzyżaków, domagając się zwrotu zastawionej ziemi. Przez pierwsze trzy lata prowadziła rokowania w tej sprawie król. Jadwiga, spodziewając się, że ona, córka Ludwika, nadawcy tej ziemi Opolczykowi, potrafi do pomyślnego doprowadzić ją sukcesu i uzyskać wydanie ziemi. W. mistrz zapewniał gorąco o najlepszych chęciach, ale zastawu nie wydał, zasłaniając się Opolczykiem, od którego ją otrzymał i bez zezwolenia którego wydać jej nie może. Mimo usilnych i kilkakrotnych starań, królowa nie uzyskała nic i odumarła tę sprawę w zawieszeniu. Teraz, jak widzimy, próbuje Witold wziąć ją w swoje ręce. W rozprawie owej staraliśmy się wykazać i udowodnić, że ziemia dobrzyńska była tylko lennem Opolczyka, a nie jego posiadłością zupełną i że jego suzerenem z tej właśnie ziemi był król polski, ztąd też dalej wykazaliśmy, że zastaw tej ziemi dokonany bez wiedzy i woli suzerena był bezprawnym wedle zasad prawa feu-

---

w Kijowie; czynić przygotowania do wojny, a właśnie w lipcu zachorowała królowa. Dość, że tej kwestyi nie podobna na pewno rozstrzygnąć, ale jakkolwiek było, to zasadnicze i ostateczne nasze wnioski tj. o zbliżeniu się do Polski, nie podlegają żadnej wątpliwości, bo mamy na to zkądinąd dowody. Problematycznym może być tylko wniosek, że to właśnie klęska kazała Witoldowi zająć się sprawą dobrzyńską i wysyłać Pietrasza z projektem zjazdu.

[1]) „Sprawa zastawu ziemi dobrzyńskiej i pierwsze lata sporu“ (w „Przeglądzie historycznym“ warszawskim, r. 1905).

dalnego, był ich łamaniem przez Opolczyka i że bezprawnem także w myśl tego prawa było przyjęcie zastawu przez W. mistrza. Kładziemy nacisk na powyższe słowa tj. na bezprawność zastawu i jego przyjęcia przez Krzyżaków, bo na tej podstawie będziemy mogli ocenić należycie zjazd raciąski, który kończy ten spór o Dobrzyń. Równocześnie jednak podnieść trzeba, że co innego jest oceniać przyjęcie zastawu wyłącznie ze strony prawnej, co innego tłómaczyć go ze strony dyplomatycznej; nam chodzi przedewszystkiem o tę pierwszą, prawną, gdy omawiać będziemy zjazd raciąski i z tej strony zastaw i przyjęcie go potępiamy i za niesłuszne, bezprawne uznajemy.

Cały przeciąg czasu od bitwy nad Worsklą aż do zawarcia unii wileńskiej w 1401 r. między Witoldem a Zakonem trwa przyjaźń; naodwrót między Koroną a Krzyżakami są stosunki zrazu naprężone właśnie z powodu owej sprawy dobrzyńskiej, dotąd nierozstrzygniętej, później dopiero następuje zbliżenie. Między Litwą zaś a Koroną stosunki są takie same, jak między Witoldem a Zakonem. Czyli innemi słowy Kiejstutowic żyje w dobrych stosunkach i z Polską i z Krzyżakami i korzystając zapewne z tego, a zarazem by wzmocnić swój wpływ w Polsce, próbuje być rozjemcą między spierającymi się. Oto ogólna charakterystyka stosunków w tych latach. Przypatrzmy się im bliżej.

Że między Koroną a Krzyżakami stosunki były nieprzyjazne, wyraźne mamy na to świadectwa. Już ta okoliczność, że Jungingen w liście do landkomtura wiedeńskiego Michała, przedstawiając mu stan Polski po śmierci królowej Jadwigi, zatrzymanie Jagiełły na tronie przez panów polskich, podaje mu równocześnie rady, jak ma postępować ks. Wilhelm rakuski, by odzyskać swoje „dziedzictwo“ tj. koronę polską i usunąć tego, *„der sich eynen Konig nennet czu Polan“* czyli Jagiełłę, a mianowicie zanieść skargę na Jagiełłę przed forum papieskie, że mu wydarł panowanie, także i przed innych monarchów Europy, postarać się, by małżeństwo króla polskiego z Anną cylejską nie doszło do skutku, a tę mu doradzają i panowie polscy teraz i przedtem król. Jadwiga, jako najbliższą spadkobierczynię korony polskiej, a wreszcie upewnić się co do Zygmunta luksemb., u którego niewątpliwie będzie szukał Jagiełło poparcia i pomocy, zwłaszcza wobec

klęski Witolda[1]) — już ten list powtarzamy świadczy dobitnie, jak ciągle nieprzyjaznymi byli Krzyżacy dla Jagiełły. Wspomnieć należy, że po śmierci królowej Wilhelm rakuski znowu począł zabiegi o tron polski i pisał o radę do Krzyżaków w tej sprawie[2]) i na ten to list odpowiada W. mistrz.

Drugą okolicznością, świadczącą o nieprzyjaznych stosunkach tych dwóch państw, jest sprawa glejtu, jakiego w listopadzie żądał Jagiełło, by swobodnie polować nad granicami państwa zakonnego. Konrad Jungingen ubolewa wprawdzie, że król ma tak mało zaufania do niego, ale dopiero na powtórną prośbę przysłał takowy, żądając również i dla posłów swoich listu żelaznego.[3]) Sprawa o ten list bezpieczeństwa miała miejsce w listopadzie 1399 r. i Witold był w niej pośrednikiem. — Wreszcie w styczniu 1400 r. wynikły jakieś lokalne, graniczne zatargi w Kujawach i ziemi dobrzyńskiej, mianowicie grabież krescencyi we wsi polskiej i powieszenie przez komtura z Nieszawy poddanego polskiego. Jagiełło robił o to Krzyżakom wyrzuty, a ci znowu usprawiedliwiali się przed Witoldem i jego o pośrednictwo prosili.[4]) Wszystko to dowodzi niezbyt przyjaznych stosunków.

Ale niedługo widzieć się daje zmiana: Jagiełło zbliża się zwolna do Zakonu. 10. stycznia 1400 r. wysyła z Wilna król oświadczenie swej przyjaźni do W. mistrza i chęć pogodzenia się z nim, wyrównania wszystkich sporów,[5]) a równocześnie posyła zwierzynę i bogate podarki.[6]) Widzimy z tego, że król bawi na Litwie; widocznie już w listopadzie przygotowywał się do wyjazdu, a więc wkrótce po śmierci królowej i wizycie Witolda w Krakowie — ów glejt od Krzyżaków świadczy o tem wyraźnie. Jak wiadomo pora zimowa sprzyja łowom myśliwskim, a Jagiełło był zapalonym myśliwcem; posłanie mistrzowi zwierzyny stwierdza, że król na Litwie bawił już dłużej i łowów używał. Ale o to wszystko mniejsza, tembardziej, że król zawsze w zimie wyjeżdżał na Litwę. Jest tu ważniejsza rzecz. List ów z oświadczeniem

---

[1]) List po 4. paźdz. 1399 Voigt, Codex nr. 87 (tu pisze także mistrz, że odebrał od ks. Wilhelma list z prośbą o rady względem tronu polskiego i niniejszem ich udziela).

[2]) Voigt, Codex VI. nr. 86 (list do ks. Wilhelma).

[3]) Prochaska, Codex Vitoldi, nr. 205—206.

[4]) Ibidem, nr. 211—212.

[5]) Voigt, Codex VI. nr. 92.

[6]) Ibidem, nr. 93.

przyjaźni mistrzowi i chęci pogodzenia się z nim, datowany jest z Wilna i to właśnie daje nam silną podstawę do przypuszczenia, że na tę zmianę usposobienia króla wpłynął przedewszystkiem Witold i że jego to dziełem było zbliżenie się Jagiełły do mistrza i że król pierwszy (a nie mistrz) ten krok robi. Dlaczego Kiejstutowic przedłużał swoje przyjazne stosunki z Krzyżakami, zobaczymy niżej, ale dlaczego Jagielłę namawiał do przyjaźni z nimi (jeśli się tak wolno wyrazić) — nie wiemy. Czy to była jaka ukryta polityka i wyrachowanie, czy tylko po prostu dlatego, że sam zostawał w przyjaźni z nimi — trudno osądzić. Ale jedno przypuszczenie postawić można. Że swoich śmiałych planów wschodnich, walki z hordą tatarską, mimo klęski nad Worsklą, nie wyrzekł się Witold wcale, przynajmniej na razie, widzimy to z dwóch odpowiedzi Jungingena, jednej z 7. listopada 1399 r., drugiej pod koniec stycznia 1400 r.: w pierwszej pisze mistrz z prośbą, by mu Witold doniósł, jak stoją sprawy z Tatarami, gdyż dopiero po najbliższej Wielkanocy będzie mógł dać mu stanowczą w tej sprawie odpowiedź[1]) w drugiej, że cieszy się z mającego przybyć poselstwa nowego carzyka tatarskiego i zaręcza, że o ile tylko będzie mógł, spieszyć będzie zawsze Witoldowi z radą.[2]) Niewątpliwie chodzi tu o orężną pomoc Krzyżaków w nowej walce z Hordą, do której byli obowiązani traktatem salińskim z 1398 r. Dlatego to zapewne Witold okazywał dalej Zakonowi przyjaźń, służył jako pośrednik między nim i Jagiełłą i inne jeszcze, jak zobaczymy, wyświadczał usługi. Chciał więc utrzymać nadal, po klęsce, przyjaźń z Zakonem, a zarazem w podobny sposób pozyskać i Jagiełłę. Drogą do tego miała być sprawa dobrzyńska. Jakoż dwukrotnie (26. stycznia i 27. lutego 1400 r.) wznawia tę sprawę, ale bezskutecznie, bo Zakon żądał tak jak dawniej zezwolenia Opolczyka i zwrotu sumy zastawnej.[3]) A drogę w tej sprawie miałby Witold bardzo ułatwioną, gdyby i Jagiełło do Zakonu się zbliżył; pomyślne zaś załatwienie tej sprawy, zjednałoby mu bardzo serca Jagiełły i panów polskich i usposobiło przychylnie dla jego polityki wschodniej. Taka jest nasza interpretacya oświadczenia się Jagiełły z przyjaźnią dla Krzyżaków.

[1]) Codex Vitoldi, nr. 206.
[2]) Ibidem, nr. 214.
[3]) Codex Vitoldi, nr. 215 i 224.

Zakon nie pozostał też dłużnym i niezwłocznie podobną odpłacił monetą.[1]) Nastąpiło więc pewne zbliżenie się Jagiełły do W. mistrza: odtąd też kilkakrotnie słyszymy o projektach osobistych zjazdów i poddaniu wzajemnych sporów pod sąd rozjemczy. złożony z pełnomocników spierających się państw.[2]) Wystąpiła wprawdzie nowa jeszcze trudność. mianowicie pogłoska. jakoby Zakon chciał zabierać posiadłości biskupa kujawskiego. leżące w granicach państwa krzyżackiego, ale w maju usprawiedliwił się W. mistrz i pogłosce zaprzeczył.[3]) Że sporną kwestyą między Koroną a Zakonem na teraz w pierwszym rzędzie nic było nic innego, jak tylko sprawa dobrzyńska. to nie ulega najmniejszej wątpliwości, bo była to sprawa najbardziej paląca i dotąd jeszcze całkiem otwarta. Rzecz inna, czy te projekty zjazdów i sądów przedewszystkiem dla tej sprawy układanych, przestały być tylko projektami i rzeczywiście przyszły do skutku. Źródła nasze milczą o tem zupełnie: ale zważywszy, że jeszcze w dn. 8. stycznia 1401 r. czytamy odpowiedź W. mistrza do Jagiełły, że zostawia do jego woli wybór miejsca dla zjazdu wzajemnych pełnomocników. prosząc tylko o zawiadomienie o decyzyi[4]) (a to zaledwo na 10 dni przed unią wileńską), zważywszy, że ta odpowiedź jest taką samą, jak dwie poprzednie i ma wyraźny charakter projektu, możemy przyjąć śmiało. że w r. 1400 zjazdu nie było żadnego i projekta zostały projektami. W każdym razie widoczna jest pewna zmiana tonu. Przypuszczać można, że Jagiełło zbliżając się do W. mistrza zapewne pod wpływem Witolda, czynił to przedewszystkiem dla dokończenia sprawy dobrzyńskiej i ja miał na myśli. O ile więc o nią chodzi. to musimy skonstatować. że aż do unii wileńskiej nie posunęła się ona ani o krok naprzód. Jest to więc stan przejściowy, niepewny: ze strony Jagiełły próba dokonana mojem zdaniem pod wpływem Witolda i dzięki jemu. Że Jagiełło zbliżając się, zamierzał jednak ten stan lepszych stosunków utrzymać dłużej i ze z jego strony nie była to wyłącznie gra polityczna i jakiś chwilowy nastrój, zobaczymy później: tam także będziemy mieli podstawę do poparcia naszego wniosku. że

[1]) Voigt, Codex, VI. nr. 93.

[2]) Codex Vitoldi nr. 226: Voigt Codex VI. nr. 102: Cod. Vitol. nr. 232 (dałem tu porządek chronologiczny listów tj. z 8. czerwca, 27. grudnia 1400 i 8. stycznia 1401 r.).

[3]) Codex Vitoldi nr. 223. 225.

[4]) Codex Vitoldi nr. 232.

zbliżenie to było dziełem Witolda, by pozyskać dla swoich planów wschodnich i przychylnie względem nich usposobić oba państwa. Jeżeli się na to wszystko zgodzimy, to musimy przyznać, że jeżeli kiedy, to teraz właśnie, w r. 1400, Jagiełło i polityka polska była pod wpływem przemożnym Witolda, on nią kierował. — To jedna część.

Jaki był stosunek Witolda do Korony, mówiliśmy poprzednio. Pozostaje więc tylko przypomnieć, że wyświadcza Jagielle cały szereg usług, jak z owym listem żelaznym lub sprawą dobrzyńską: jest tedy pośrednikiem między Koroną a Zakonem i doprowadza wreszcie do jakiego takiego porozumienia. Że ze sprawą dobrzyńską nie udało się teraz ani jemu, ani Jagielle, jak poprzednio królowej Jadwidze — to rzecz inna; a dlaczego? Brak podstaw do domysłów. I na to także trudno odpowiedzieć z całą stanowczością, czy w tej sprawie i Witold i Krzyżacy działali szczerze i z dobrą wiarą. Że jednak te usługi zapisywały Witolda dobrze w opinii Jagiełły i Polaków — to niewątpliwe. Wyświadczał je, by zjednać Polskę dla swych planów, a podnieść się godzi, że z chwilą zawarcia unii wileńskiej, znikają i te plany wschodnie i równocześnie zmienia się zasadniczo stosunek Witolda do Zakonu. Zobaczymy to później. Narazie niech nam wystarcza fakt, że stosunek między Jagiełłą a Witoldem jest wcale serdeczny i przyjazny i przypuszczenie, że Kiejstutowic wpływał silnie na politykę Polski i jej wobec Krzyżaków stanowisko. To część druga.

Pozostaje nam stosunek Witolda do Krzyżaków.

Jaki on był — wiemy już z poprzednich słów. Ale nie ograniczał się on tylko na pośredniczeniu między Zakonem a Polską. Jeżeli tej ostatniej wyświadcza przysługi, wyświadczał je także i to wcale poważne Krzyżakom. Najważniejszą jest tu sprawa Żmudzi.

Jak wiadomo Witold zawierając uroczysty pokój i przymierze ścisłe na ostrowie salińskim w październiku 1398 r. — a który to pokój trwa dotąd nieprzerwanie — odstąpił Zakonowi Żmudź i zobowiązał się nietylko nie przeszkadzać, ale owszem dopomagać Krzyżakom w zawojowaniu tej ziemi i wybudowaniu dwóch lub trzech granicznych twierdz. [1])

---

[1]) Codex Vitoldi nr. 179, 187—188 i Raczyński, Codex Lithuaniae p. 251—259 (akt traktatu salińskiego w transsumpcie z 1404 r.).

Teraz posuwa się Kiejstutowic dalej. Źródła nasze tak dyplomatyczne, jak kroniki, opowiadają zgodnie o wyprawie krzyżackiej na Żmudź w r. 1400. Kronikarze pruscy, a zwłaszcza bogaty w szczegóły Possilge,[1] nie oznaczają czasu bliższego tej krzyżackiej „rejzy", ale materyał dyplomatyczny pozwala nam uzupełnić ten brak. W liście datowanym 26. stycznia z Malborga usprawiedliwia się Konrad Jungingen przed Witoldem, że nie wysłał do niego posłów w sprawie dobrzyńskiej, ale że urzędnicy zakonni wyruszyli na Żmudź.[2] W innym liście, który dr. Prochaska z powodu braku daty oznacza na czas „pod koniec stycznia", donosi W. mistrz Witoldowi o zamierzonej dopiero wyprawie na Żmudź, opowiada o przybyciu licznych z zagranicy „krzyżowców"; o chorobie ks. Geldryi, wreszcie dziękuje księciu za jego gotowość uczestniczenia osobiście w tej wyprawie.[3] Z tego wynika, że ten list jest wcześniejszy od poprzedniego z 26. stycznia 1400 r., bo tutaj słyszymy dopiero o projektowanej wyprawie, a tam (tj. w liście „pod koniec stycznia"), że wojska krzyżackie już wyruszyły; powtóre, że Witold pragnie osobiście na Żmudź się wyprawić, a do tego nie był wcale traktatem salińskim obowiązany, była to jego dla Zakonu przysługa. W dn. 18. lutego przesyła Jungingen księciu podziękowanie serdeczne i gratulacye z powodu jego powodzenia orężnego na Żmudzi, zapewniając o swojej wdzięczności,[4] a w 4 dni później donosi królowi Wacławowi czeskiemu o pomyślnej wyprawie krzyżackiej na Żmudzinów.[5] Wobec tego wszystkiego omawiana „rejza" odbyła się w pierwszej połowie lutego i w tej wyprawie dopomagał Kiejstutowic Krzyżakom i skarbił sobie ich przyjaźń.

Z korespondencyi między mistrzem a Witoldem widoczna, że ten ostatni zwierzał się Krzyżakom ze swoich zamysłów i o wszystkiem im donosił. I tak wiedzą Krzyżacy, że Kiejstutowic snuje jakieś plany przeciw Tatarom;[6] do Malborga ucieka się książę po radę, gdy któryś z jego „szwagrów" doznał krzywdy

---

[1]) Scriptores rerum Prussicarum, t. III. p. 235—237.

[2]) Codex Vitoldi nr. 215.

[3]) Ibidem nr. 214.

[4]) Ibidem nr. 220.

[5]) Voigt Codex VI. nr. 96.

[6]) Codex Vitoldi nr. 206, 214.

jakiejś:[1]) wiedzą dalej o wysłaniu przez Witolda poselstwa do wojewody mołdawskiego:[2]) Wszystko to świadczy o nader przyjaznych i ścisłych stosunkach. Na podstawie naszego materyału źródłowego nie możemy bliżej określić, jakie to zamiary snuł Witold względem Tatarów lub co miało na celu wysłanie poselstwa do hospodara, że jednak jakieś plany miał, to możemy przyjąć za fakt; dlatego też zapewne przedłużał przymierze z Krzyżakami, dlatego Polsce wyświadczał usługi.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Jagiełło zbliżył się do Zakonu z powodu sprawy dobrzyńskiej: ona była przyczyną, że bądź to sam, bądź też za sprawą Witolda szukał porozumienia: Witold działał zaś tutaj pod wpływem owych nieznanych nam dokładniej i jaśniej zamysłów. Później, po zawarciu unii wileńskiej, drogi tych dwóch braci stryjecznych rozejdą się: cele więc ich były różne i jeżeli nawet król zbliżał się do Krzyżaków pod wpływem Witolda, jeżeli on był tutaj kierownikiem, inicyatorem, to król zależny od niego w takim razie początkowo, potem działa samodzielnie i własnym kieruje się rozumem. Mam tu na myśli (co do tej początkowej zależności) fakt oświadczenia się przez Jagiełłę z przyjaźnią dla Zakonu w dn. 10. stycznia 1400 r. i późniejsze w tymże roku projekty zjazdów osobistych.

A Zakon? Ten wyzyskując przychylność obydwóch, szukał naturalnie korzyści dla siebie. Wobec Polski zwlekał z zakończeniem sprawy ziemi dobrzyńskiej, bo Witoldowi odpowiedział, że musi mieć pełnomocnictwo od Opolczyka, gdyż od niego wziął ją w zastaw.[3]) A więc po staremu, jak przed królową Jadwigą zasłania się księciem. Do Witolda znowu wysyła 27. maja komtura Ragnety z prośbą, by dopomógł im w wybudowaniu zamku nad Niewiażą.[4]) Prawda, że Witold zobowiązał się w traktacie salin-

---

[1]) Ibidem nr. 208. Z listu tego niepodobna odgadnąć, o jakim tu szwagrze mowa, bo W. mistrz (on pisze ten list) mówi tylko tyle „widder dris die euwern svoger sint widder faren". Wydawca (dr. Prochaska) domyśla się tutaj ks. twerskiego Michała lub syna jego Iwana, który pojął córkę Witolda za żonę; co prawda nie byłby w takim razie szwagrem, tylko zięciem: p. Kochanowski („Witold, w. książę" p. 111) przyjmując domysł dr. Prochaski, idzie dalej i przypuszcza, że Witold dążył tu do odzyskania i przywrócenia zachwianego klęską worskleńską swego wpływu i stanowiska na Rusi.

[2]) Ibidem, nr. 214.

[3]) Codex Vitoldi, nr. 214, 222.

[4]) Ibidem, nr. 224.

skim do pomocy tego rodzaju. Twierdza ta miała być dla Zakonu podstawą do zawojowania Żmudzi, dać punkt operacyjny do działań. Po owej wyprawie lutowej, dzięki powodzeniu oręża teutońskiego i pomocy Witolda, musieli Żmudzini w r. 1400 i 1401 upokorzyć się, przysłać licznych zakładników i dzieci; schylali jednak chętnie dosyć swe karki pod chrzest św. i poddaństwo Zakonu, a W. mistrz ustanowił osobnego urzędnika, wójta dla tej ziemi. [1])

Ostatnim wreszcie i to publicznym manifestem przyjaźni Witolda i Zakonu, a ze strony tego ostatniego, było wspaniałe przyjęcie ks. Anny, żony Witolda, gdy w lipcu 1400 r. zjechała do Prus w licznym orszaku, celem zwiedzenia miejsc świętych. [2])

Takie były stosunki tych trzech państw w przededniu unii wileńskiej, ale które żadnych pozytywnych nie sprowadziły rezultatów. Była to gra dyplomatyczna ze strony Witolda, tak sądzę wobec tego, co po unii nastąpiło — początek żywszych zabiegów ze strony Jagiełły. Sprawa dobrzyńska otwarta jeszcze ciągle; teraz, po unii, nastąpi druga o Żmudź. Nie widać tu, w tych stosunkach żadnej energii, żadnego wyraźniejszego akcentu: stan jakiś niewyraźny, niepewny, bez pozytywnych skutków. Zmianę i ruch sprowadzi dopiero unia wileńska i z tego przetworzenia się stosunków dyplomatycznych wyłoni się zjazd raciąski, który przynajmniej sprawę dobrzyńską rozwiąże. Stan między bitwą nad Worsklą, a unią wileńską, uważać możemy przeto za przejściowy. Nie bez wagi jest tu fakt, jaki zaszedł 20. sierpnia 1400 r. w Oberlahnstein. Wtedy bowiem sejm Rzeszy detronizował króla Wacława, przychylnego, jak wiemy, unii polsko-litewskiej i Jagielle od czasu sporu krzyżackiego z biskupem dorpackim o arcybiskupi tron w Rydze. Elektorom rzymsko-niemieckiego państwa bardzo nie podobał się ten związek i przyjaźń Wacława dla Jagiełły i między punktami oskarżenia, które miało uzasadniać detronizacyę, nie pominięto i tego. [3]) Następnego dnia, 21. sierpnia,

---

[1]) Possilge, l. c. p. 237 i 240.

[2]) Ibidem, p. 238 i „Tressler-Buch" w „Codex Vitoldi" Appendix nr. 3, p. 961—963.

[3]) Deutsche Reichstagsacten t. III. p. 272—275.

Art. 6. (oskarżenia): „Item so sturet er (videl. Wacław) den Konig von Krakau — we widder den deutschen Orden und hat sich zu eine virbunden; und ist derselbe Konig von Krackaw mer heiden, dan cristen" (p. 274).

wybrano następcą Wacława, Ruprechta z Palatynatu, obojętnego względem Polski, albo raczej nieprzychylnego, bo z dokumentów Ruprechta, wystawionych Zakonowi, a zatwierdzających wszystkie ich przywileje, widoczna jest wyraźnie życzliwość dla Krzyżaków,[1]) cieszących się, jak wiadomo, wielkim mirem i popularnością w Niemczech. Detronizacya Wacława i obiór Ruprechta nie ma wprawdzie dla naszej sprawy pierwszorzędnej wagi, ale nie jest zupełnie bez znaczenia, bo przyjaźń Ruprechta dawała Krzyżakom silne oparcie wobec sporów z Polską i Litwą.

Dr. Maryan Goyski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Art. 7. (z innego oskarżenia): „Item quod univit et confoederavit (Wacław) se cum rege Poloniae, qui se cum paganis habuit contra dominos Theutonicos in Prussia magis quam cum christianis“ (p. 275).

Są to rzeczy bardzo ciekawe i charakterystyczne jako dowód opinii zachodniej Europy o Polsce i polsko-litewskiej unii, a którą to opinię zawdzięczamy nie komu innemu, jak tylko Krzyżakom.

[1]) Voigt Codex. t. V. (Regesten, dwa z r. 1402 i 1403).

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI
BISKUP KRAKOWSKI
(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

Zachęcał tedy Hozyusza, gdy tenże chciał przybyć w misyi apostolskiej do Wilna, ufając, że powiedzie mu się ona przy pomocy rzekomo mężnego biskupa, aby raczej przypomniał mu tylko podobnie jak innym biskupom zwykłe obowiązki pasterskie, a nie narażał swojej osoby.[1]) Spostrzeżenia Rotundusa były trafne. Sam Protaszewicz nie widział w sobie zdolnego i szczęśliwego szermierza w walce z herezyą. Napominany przez Hozyusza tłómaczył się najlepszemi chęciami, przyrzekał, że walczyć z nią nie przestanie, dopokąd żyć będzie, cieszył się nadzieją przyjazdu Hozyusza, ale na widok przeważających sił przeciwników upadał na duchu, nie wróżył Kościołowi i sobie wygranej, całą ufność pokładał jedynie w pomocy Bożej.[2]) Tymczasem zamiast wyciągać

[1]) Hos. Ep. nr. 1862, 1868.
[2]) Hos. Ep. nr. 1868, list jego z 3. listopada 1557.

bezradnie i lękliwie ręce do nieba, trzeba było raczej w sobie samym szukać otuchy i sił do odpierania ciosów, które spadały wówczas na Kościół ze strony jego nieprzyjaciół, prowadzonych do boju śmiałą a potężną prawicą przyjaciela królewskiego, księcia Radziwiłła.

Z początkiem b. r. donosił Hozyuszowi Jan Pikarski, który niedawno przybył z królem do Wilna w charakterze kaznodziei nadwornego,[1]) że mieszkańcy tego miasta zarażeni są okropnie błędami, że mało jest między nimi, i to tylko ludzi z niskiego stanu, takich, którzy jeszcze wyznają obrządek katolicki, że wielu należy już do obozu przeciwnego i z dniem każdym wzrasta ich liczba i zuchwałość — a król temu pobłaża. Donosił dalej, że żyje tu w Wilnie jak owca między wilkami, że napominał króla dość surowo, aby im nie folgował, król miał mu dać jakieś przyrzeczenia, ale ich nie dotrzymał, bo zdaje się, że sam do ich obozu należy. Spostrzeżenia te porobił właśnie podczas pobytu w Wilnie Jana Łaskiego.[2]) W połowie zaś b. r., po wyjeździe tego reformatora ze stolicy królewskiej, takie przesłał Hozyuszowi uwagi o panujących w niej stosunkach religijnych: „Po wyjeździe Łaskiego z Wilna nie brak takich, którzy publicznie głoszą kazania, stawiają ołtarz przeciw ołtarzowi, katedrę przeciw katedrze. W tym samym czasie, kiedy odbywają się nabożeństwa i kazania w katedrze, odprawiają również ci nowatorzy swoje nabożeństwa i dają kazania już to u wojewody — scl. Radziwiłła — już to u innych, już to wreszcie po domach mieszczańskich, robią to

[1]) Hos. Ep. nr. 1722, list Karnkowskiego do Hozyusza z 8. marca 1557: Dnus Pikarski, contionator Regius, qui in praedicando verbo Dei egregie se geritet cum summa gratia et admiratione omnium hactenus auditus est, se in gratiam Ptis V. R. valde commendari cupit: hunc R. D. Vicecancellarius in domum suam accepit et eo familiarissime utitur; nos quoque familiares et domestici R. D. Vicecancelarii ipsius consvetudine in hoc exilio mirifice recreamur Deumque optimum precamur, ut det illi successum in evertendo regno Satanae. Natomiast Bonawentura Tomasz podał o nim mniej pochlebnie i życzliwie: hunc vehementem aiunt esse in movendis affectibus, ac in doctrina tepidum (słaby), illum vero nemo non catholicus vere fatetur catholicum, v. Hos. Ep. nr. 1777, s. 838.

[2]) Hos. Ep. nr. 1740, list jego z 9. kwietnia 1557, odpowiedź Hozyusza: Hos. Ep. nr. 1755, z 6. maja t. r.: quod ista civitas errorum plena est, doles vehementer, utinam inveniri posset ratio, qua possent errores isti propolsari...

bezkarnie i bez przeszkody tak, że na naszych kazaniach, które dajemy w kościele, mało bywa obecnych, z panów nie ma nikogo, z pospólstwa niewielu..." [1]) Przyczynę takiego stanu rzeczy widział w niedbalstwie tych, którzy Kościołem kierują. Sami bowiem, zdaniem jego, z wyjątkiem niewielu, sprawy Kościoła lekceważą a zajmują się swoimi osobistymi interesami, ci zaś, którzyby coś zdziałać chcieli, nie mają takiego znaczenia, aby biednemu Kościołowi pomódz zdołali. W królu, pisał w powyższym liście, mała nadzieja; chociaż zawsze obiecuje Kościołowi służyć, ale sam niezmiernie mu szkodzi, bo pozwala tym nowatorom rabować świątynie pańskie, wypędzać z nich kapłanów katolickich a wprowadzać do nich heretyckich, co więcej obcuje z nimi, zaszczyca ich najwyższymi honorami, [2]) od naszych zaś stroni a nawet ich nie nawidzi. Naszych przy dworze jest mało, a ci, co są, nie troszczą się o religię, chociaż, gdyby chcieli być prawymi synami Kościoła, wieleby zdziałać mogli. W innym liście, w październiku do Hozyusza wysłanym, donosił pełen smutku, że nie tylko Litwini, ale nawet Rusini przestają być chrześcianami: „I oni bowiem ulegli błędom, które z dniem każdym rosną, porzucają więc wiarę ojców, a lgną do nowych obrzędów, my zaś albo tego nie widzimy, albo na to przez palce patrzymy — a raczej zezwalamy. Albowiem ów chorąży heretyków, wojewoda wileński, zaszczyca i poleca J. Kr. Mości tylko takich, w których odkrył wrogów i bluźnierców dawnej religii." [3]) Tak samo niejednokrotnie skarżył się na nieznośny stan rzeczy Bonawentura Tomasz, kaznodzieja królowej Katarzyny, [4]) również dr. Łuk. Aquilinus, kaznodzieja krakowski, przybyły w maju t. r. ponownie w misyi apostolskiej do Wilna. [5]) Ten ostatni pisał dnia 5. grudnia t. r. do

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1780, list jego z 14. czerwca 1557.

[2]) W Post-Scriptum objaśnił to wiadomością: Syndicus Gedanensis (Jerzy Klefelt) apud nos in summo est habitus honore, nawet podkanclerzy często go zaprasza do siebie i okazalej go przyjmuje, niż się godzi, pierwsze mu daje miejsce przy stole, zaszczyty najwyższe mu się oddaje, a co najgłówniejsza, wyznaczony w poselstwie do króla duńskiego i t. d.

[3]) Hos. Ep. nr. 1847, list jego z 7. października 1557. Także Hos. Ep. nr. 1873, list jego z 4. listopada t. r.: religionis status hic est, qui et ita pridem fuit, in dies crescunt errores, noster Princeps etsi videt, connivet tamen; si monetur, indigne fert.

[4]) Hos. Ep. nr. 1733, 1777.

[5]) Hos. Ep. nr. 1777, 1778.

Hozyusza: „Zgoła nic się tu nie dzieje, coby mogło ludziom dobrej woli dodać otuchy, cześć Boga ostyga, ginie sprawiedliwość, pobożność zanika, natomiast podnosi czoło satanizm; lękam się niezmiernie, by nam władzy nie porwał, zwęszyłem bowiem niejedno, o czem teraz jeszcze sądzić nie mogę, czy jest prawdą, aż kiedyś czas prawdę wyjaśni.“ [1]) Te same spostrzeżenia porobił w Wilnie tegoż roku kanclerz Jan Ocieski. Donosił Hozyuszowi, że mógłby bardzo wiele pisać o tem, na co tu patrzał podczas niedługiego swego pobytu: wszyscy wróżą takiemu stanowi rzeczy jak najgorszy koniec, bo dobrowolnie idziemy w przepaść: zdaje się, jakoby Bóg zagniewany na nas, pozbawił nas rozumu i rozsądku, karząc nas za grzechy nasze a zwłaszcza za to, że dawną religię haniebnie opuściliśmy i porzucili. [2]) Zapewniał go, że sam wpływał usilnie na króla, ażeby na seryo przeciw nowatorom wystąpił, ażeby władzę swoją i powagę salwował, ale zupełnie bezskutecznie, bo wpływ jego unicestwiał ten, którego rady i pomocy w takich razach gorliwie zasięga [3]) — to jest Radziwiłł. Również podkanclerzy Jan Przerębski, przebywający stale w Wilnie przy królu, lękał się nieustannie pomsty Bożej za to, co oglądał tam codziennie własnemi oczyma. [4]) Dziwił się nawet, że król zakończył zwycięzko wojnę inflancką, że wojna ta niewiele szkody przyniosła religii, a twierdził, że gorsze od wojny to owe „*practicae domesticae*“, których owocem opustoszałe świątynie pańskie: wszyscy bowiem idą nie za głosem religii, tylko za powagą tego, który w niej więcej tu znaczy, niż wszyscy biskupi, [5]) niż polscy i pruscy senatorowie! Wiedział Hozyusz o tej powadze Radziwiłła aż nadto dobrze, znał ją z własnego doświadczenia. Niejednokrotnie krzyżował wojewoda jego plany, bruździł mu na dworze królewskim w sprawach dotyczących jego dyecezyi. Z ironią i z gniewem nazywał go księciem Litwy, królem jej, panującym w niej w zastępstwie Zygmunta Augusta. [6]) Powtarzał to, co

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1890.

[2]) Hos. Ep. nr. 1782, list z Wilna, dn. 17. czerwca 1557.

[3]) Hos. Ep. nr. 1869, list z Wilna, dn. 3. listopada 1557.

[4]) Hos. Ep. nr. 1842, list z Wilna, dn. 5. października 1557.

[5]) Hos. Ep. nr. 1872, 1907 (qui plus potest quam omnes et Poloni et Pruteni consiliarii tak pisał P. o Radziwille, żaląc się, że dzięki niemu król toleruje ekscesa i reformy religijne, dokonane w Gdańsku).

[6]) Hos. Ep. nr. 1718, s. 792.

mówił o nim nuncyusz Lippomanno, o czem wiedział z relacyi nuncyusza Paweł IV. Właśnie w tym czasie czynił ten papież królowi ostre wyrzuty za poufałą z nim zażyłość. Uważał ją za zbrodnię przeciw wierze, za publiczne zgorszenie. Wszak wojewoda zdaniem jego to nie tylko heretyk, ale heretyków obrońca i wódz, a przecież zaszczyca go król wszelkimi honorami: on jest kanclerzem w. l., on jest wojewodą, on najzaufańszym towarzyszem i spólnikiem pracy, niemal spólnikiem Królestwa, drugim królem polskim![1]) Dlatego to w marcu b. r. nakłaniał Hozyusz Protaszewicza, aby głównie Radziwiłła wpływ starał się podkopać, głównie z nim walkę dla dobra Kościoła rozpoczął — ale nakłaniał napróżno. Protaszewicz tej walki się lękał.[2]) Aliści nie tylko tchórzył przed wojewodą, nie tylko nie umiał sobie zjednać króla, bo nawet nie umiał panować nad samym sobą i nad swojem duchowieństwem. Folgował sam sobie i patrzył przez palce na postępowanie duchownych. Kler wileński miał dawać w tym czasie z siebie jak najgorszy przykład. Pikarski oburzał się na to, że duchowni tak mało odczuwali opłakany stan Kościoła: „chociaż widzieli te burze, które w nim szalały, te krzyki słyszeli, które wówczas na stan kościelny się podnosiły, przecież nie odmieniali swego nagannego życia, dzień za dniem spędzali w zbytkach i rozpuście, pili, biesiadowali, dalecy od trosk o Kościół, o stan swój i o złe czasy.“[3])

Tak samo opieszali byli inni biskupi, nadto Uchański lub Drohojowski zdawna podejrzani o herezyę. Jedyny Hozyusz, niezmordowany w spełnianiu swoich obowiązków pasterskich, stał wyżej moralnie od naszego Zebrzydowskiego. Tem więcej podziwienia i naśladowania godny, że dbał nie tylko o swoją dyecezyę, chociaż w tych ciężkich dla Kościoła czasach i z braku rzetelnej pomocy ze strony króla nie z większem powodzeniem jak inni, ale nadto interesował się sprawami całego Kościoła polskiego, trzymał w swym ręku niejako ster jego. Obyśmy więcej takich biskupów mieli, wołał pełen wiary w niego, dr. Augustyn Rotundus. Ale rozważając ówczesne czasy „fatalne“, lękał się zarazem, czy on jeden im oprzeć się zdoła. Zdaniem jego za wielu i u sie-

---

[1]) Ossoliński, Wiadomości hist. kryt. T. III. Cz. 2. przyp. 47, s. 83. Solą w oku był ten Radziwiłł Rzymowi. List Pawła IV. bez wyraźnej daty u Raynalda T. XXI. Pars. II. pag. 152.

[2]) Hos. Ep. nr. 1773.

[3]) Hos. Ep. nr. 1780.

bie i w świecie narobił sobie Hozyusz wrogów swojem pisaniem i radami.[1]) Także Pikarski, pełen podziwu dla niego, pisał do niego: „Zaiste, o ile wiem, ze wszystkich biskupów jedynie Wasza Wielebność dotychczas nie obcował z heretykami, bo nawet codziennie pismami swojemi usiłuje miażdżyć ich przewódców.“ [2]) Hozyusz istotnie pisał wówczas wiele. Główną pracą, która niebawem miała wyjść z druku, było dzieło jego o zasadach Brencyusza, bronionych przez Wergeryusza, pisane w tym czasie i podziwiane przez teologów.[3]) Zachwycony niem Rotundus powziął zamiar przełożyć je na język polski, chcąc jak mówił dostarczyć Polakom zdrowej i dobrej lektury w miejsce tej, którą czerpali na szkodę swoją z licznych książek, rozsiewanych po Polsce przez wrogów Kościoła [4]) W tym roku drukował Hozyusz nowe wydanie Konfesyi i pragnął widzieć ją w przekładzie niemieckim i polskim, mając zamiar prosić o przekład polski biskupów koronnych.[5]) Prowadził też rozległą korespondencyę z wszystkiemi wybitniejszemi osobistościami w kraju, w listach swych poruszał mnóstwo bieżących spraw i wypadków, karcił króla i dwór jego, karcił biskupów i nawoływał do pracy, do poprawy i do reformy. Solą w oku była dla dysydentów ta gorliwość jego, kpili z niej

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1862. Tak samo pisał 31. maja b. r. z Płocka (Hos. Ep. nr. 77) o Hozyuszu Paweł, opat płocki: Utinam tales Episcopos hac nostra in provincia habuissemus atque nunc etiam haberemus, qualem hunc unum — virum plane sanctum — Rigensis habet. (Warmijska dyecezya miała należeć do arcybiskupstwa ryzkiego). Fides catholica nosque omnes tantis in periculis non versaremur.

[2]) Hos. Ep. nr. 1780.

[3]) Hos. Ep. nr. 1756, przyp. 4. Mowa o dziele: Propugnatio una cum confutatione prolegomenorum, quae primum I. Brentius adversus Petrum a Soto teologum scripsit, deinde vero Petrus P. Vergerius apud Polonos temere defendenda suscepit, druk. in fol. a. 1558. Coloniae — v. Pikarski o nim: Hos. Ep. nr. 1780, s. 840: immo in dies suis scriptis illorum capita contandere solet, maxime in eo libello, quem contra virus Brentii Ptas V. R. edidit, in quo videtur suam Ecclesiae restituere autoritatem. Utinam illum libellum Ptas V. R. ad finem perducat et in lucem emittat! Magnam frugem ille adferre potest Ecclesiae, cuius autoritas nunc ab adversariis extenuatur... W sierpniu b. r. miał już dwa rozdziały gotowe: Hos. Ep. nr. 1808.

[4]) Hos. Ep. nr. 1829, 1862.

[5]) Hos. Ep. nr. 1816, 1821. W roku 1557 wyszła drukiem Konfesya w Dyllindze i w Moguncyi, tutaj nakładem księgarza poznańskiego Jana Patmusa, Hos. Ep. nr. 1800, 1811 i i.

i rozsiewali o nim złośliwe plotki.[1]) Gdy w Toruniu po sejmie obalono katolicyzm a wprowadzono protestantyzm, puszczono po nim pogłoskę, że Hozyusz miał na wieść o tem zakończyć życie.[2]) W zapusty bież. roku wydrukowano w Gdańsku jakiś bardzo zjadliwy paszkwil na niego i rozrzucono go po Polsce i Pomorzu. Paszkwil ten do głębi go dotknął. Skarżył się w Wilnie na to *libellum famosum,* pełne zniewag, obelg i kłamstw. Była w niem wzmianka o wojewodzie wileńskim, który go miał nazywać jadowitym wężem, były słowa zwrócone do Elblążan, aby go nie słuchali i za biskupa swego nie uważali.[3]) Hozyusz nalegał na podkanclerzego, aby zakazał w Polsce go czytać. Przerębski chociaż nie obiecywał mu, że zakaz podobny ogłosi, gdyż nie rozumiał, w jaki sposób można zabronić czytania jakiejś książki, jednak zapewniał urażonego Hozyusza, że ukarze autora, jeśli go tylko on sam odkryje.[4]) O autorstwo paszkwilu podejrzany był Hoppius, były rektor szkoły chełmińskiej, prześladowany przez Hozyusza jako luteranin, tudzież Krzysztof Czema, syn Achatiusa Czemy, wojewody malborskiego.[5]) Paszkwil ten napisany po niemiecku jakiś profesor wittenberski przełożył na język łaciński, a Hozyusz nawet lękał się, aby go nie przełożył także na język polski,[6]) nie miał zarazem żadnej nadziei, aby jego autorów dosięgła w Polsce zasłużona kara.[7])

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1860 (scribuntur contra me libelli famosi — nemine prohibente) lub nr. 1874 (Ich zwischen allen Bischöffen werde hie zum meysten verfolget). Słowa Hozyusza pierwsze wypowiedziane w liście do prymasa, drugie w liście do królowej Katarzyny, z okazyi paszkwilu, o którem poniżej.

[2]) Hos. Ep. nr. 1771, s. 834.

[3]) Hos. Ep. nr. 1771, s. 833. Paszkwil ten widział w zapusty tego roku dr. Krzysztof Heyll, o czem w kwietniu zawiadomił Hozyusza: Hos. Ep. nr. 1735. W poście t. r. właśnie Elblążanie: mutaremut omnes vitas : Hos. Ep. nr. 1754. Przy tej okazyi przypomniał sobie Hozyusz ich żądania i warunki ugody religijnej, stawiane rok temu na sejmie malborskim i z gniewem pisał o nich: sic mihi pastori et Episcopo suo leges praescribunt i s t i r u d e s a s i n i! (Tamże). Odpłacał się „heretykom" pięknem za nadobne.

[4]) Hos. Ep. nr. 1798, 1893.

[5]) Hos. Ep. nr. 1771, 1861.

[6]) Tamże.

[7]) Autor esse libelli putatur Hoppius, sed ego facile quis sit autor cognoscerem, si quid in vobis — ze strony króla i dworu — fore

Szczególniejszą uwagę zwracał Hozyusz na osobę króla i na zachowanie się jego względem edyktu warszawskiego. W listach do niego lub do sekretarzy jego przypominał mu nieustannie ten edykt, przypominał słowo królewskie, dane mu na sejmie, że ogłosi także mandata przeciw miastom pruskim.[1]) Czekał niecierpliwie tak edyktu, jak owych mandatów, cieszył się, że w edykcie miał król uwzględnić jego uwagi i rady, wypowiedziane na sejmie, lecz cieszył się napróżno.[2]) Wprawdzie otrzymał od Karnkowskiego, sekretarza królewskiego, w marcu jeden egzemplarz edyktu, ale nie zaopatrzony pieczęcią koronną,[3]) otrzymał też w przededniu wojny inflanckiej jakieś trzy mandata w sprawie religii,[4]) jednak ani z edyktu, ani z mandatów nie mógł robić użytku, bo nie miały nigdzie posłuchu. Częste interpelacye jego w tej sprawie ściągały tylko na niego urazy i niechęci ze strony króla i dworu. Ostrzegał go Tomasz Bonawentura, by nie pisywał zbyt często do Karnkowskiego, którego sobie obrał po wyjeździe Kromera z Wilna za głównego korespondenta swego, gdyż listy jego źle są widziane.[5]) Hozyusz jednak nie zrażał się tem wcale, nie zrażał się i tem, że listy jego często pozostawały bez odpowiedzi,[6]) że go nazywano w Wilnie tetrykiem, Katonem,[7]) że z większą ufnością zwracano się do „schizmatyków" wszelakich, n. p. do księcia Radziwiłła, księcia Albrechta, lub do Achaciusa Czemy, wojewody malborskiego,[8]) niż do niego albo do innych „z bożej łaski katolików", zasługujących na większą od nich w rzeczach religii wiarę.[9]) Tylko pisał z goryczą do Karnkowskiego: „Gdyby żyli teraz owi Tomiccy, Choińscy, Maciejowscy, dodam nawet Gamratów i Konarskich, chociaż pieczęci nie mieli,

---

praesidii certum haberem, sed videor hoc auditurus a vobis: fiunt haec et Mtr Regiae, słowa z listu do Karnkowskiego, Hos. Ep. nr. 1771.

[1]) Hos. Ep. nr. 1711, 1723.

[2]) Hos. Ep. nr. 1712, s. 786, nr. 1716.

[3]) Hos. Ep. nr. 1722, s. 795 i nr. 1771 s. 833. Biskup chełmiński nie miał żadnego.

[4]) Hos. Ep. nr. 1798. Później miał otrzymać mandat przeciw Gdańszczanom Jan Kostka, kasztelan gdański — v. Hos. Ep. nr. 1893.

[5]) Hos. Ep. nr. 1703, 1877.

[6]) Hos. Ep. nr. 1723, 1731, 1754, 1755, 1844, 1877.

[7]) Hos. Ep. nr. 1716.

[8]) Hos. Ep. nr. 1718, 1723, 1877.

[9]) Hos. Ep. nr. 1716, s. 790.

nie wątpię, że te dowody mej gorliwości umieliby uznać. Teraz do kogo tylko piszę, choćby do biskupa, natychmiast ściągam na siebie urazę, zaledwie do sekretarzy ośmielam się pisać o religii. Gdyby tak postępowali heretycy jak my, gdyby nie ufali sobie wzajemnie, nie porozumiewali się ze sobą, nie wzniecaliby w nas tyle obawy. Gdyby widzieli, że król jawnie przyznaje się do katolicyzmu, niczegoby nie pominęli, aby go przychylić na swoją stronę, my zaś nic innego nie robimy, tylko narzekamy... Lecz może znowu się nie podobam, że to piszę, wszakże zapewniam solennie, że jeśli co piszę, to w dobrej a nie złej myśli.." [1]) Myślą tą była myśl o opłakanych stosunkach religijnych w Polsce, o braku opieki nad Kościołem ze strony powołanych do niej czynników. Gdy mu przysyłał Karnkowski edykt warszawski, uprzedzał go z góry, że ten edykt wykonywany nie będzie, twierdząc, że został wydany tylko dla formy. Cała siła tego edyktu spoczywa zdaniem jego w egzekucyi a egzekucya w ręku króla i panów rad koronnych, tymczasem król mało troszczy się o religię, a senat w wielkiej części zarażony jest herezyą. [2]) Karnkowski wyraźnie wypowiadał to, o czem Hozyusz w głębi duszy sam był przekonany, na co miał patrzyć własnemi oczyma, na samym sobie doświadczać. Poznaję, że zażartowano sobie na sejmie z religii — skarżył się przed Karnkowskim. Widział bowiem, co się działo w jego dyecezyi, słyszał, co się działo w Polsce, jak sobie lekceważono edykt królewski w Prusiech gdzie mówiono wprost: nie obcy nam mandat królewski, ale my znamy także myśl króla, wiemy, że wola jego jest inną. [3]) Tak miał mówić także pewien rzemieślnik z Allensteinu, miasteczka war-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1877, list z 7. listopada t. r.

[2]) Hos. Ep. nr. 1722. Za pusty tylko panegiryk należy uważać głośny wiersz „Chiliasticon" Piotra Royzyusza, napisany przeciw Elegii Andrz. Trzycieskiego, De Sacrosancti Evangelii, wydany w bież. roku w Krakowie, w którym poeta podniósł zasługi senatorów duchownych i świeckich dla Kościoła katolickiego, między nimi, Zebrzydowskiego i jego braci, Bartłomieja i Kacpra. Wiersz ten ofiarował Royzyus byłemu nuncyuszowi, Lippomanowi. Podnosząc zasługi senatorów, napiętnował także błędy heretyków, którzy zdaniem jego na to zohydzali władzę papieża, na to podżegali przeciw niemu gniewy ślepego tłumu, aby tę władzę zrzucić z siebie i bezpodzielnie panować: Hos. Ep. nr. 1790, przyp. 1. nr. 1845, Ossoliński, Wiadomości. T. II. s. 155 i n.

[3]) Hos. Ep. nr. 1771, 1754, 1786, 1837, 1893, s. 929.

mijskiego. Wojewoda chełmiński, Jan Działyński, dziękując mu za przysłany sobie „wypis sejmowy około religii", pisał: „Ale baczę, iż srogości J. Kr. Mci nic się w tej mierze nie boją; bo jeśli pierwej troche w tym sobie tajemnie poczynali, teraz prawie jawnie, a zwłaszcza w Toruniu, w Gdańsku, tak słyszę i w Elbyngu: W Toruniu już i sakramenta wszystko luterskiem obyczajem a prawie jawnie snać ku zelżywości temu porządkowi sejmowemu i osobie J. Kr. M." [1]) Na wieść o tem wszystkiem upewniał się Hozyusz w tem przypuszczeniu, że działo się to istotnie za wiedzą króla. Do żywego oburzyła go wiadomość, że także Łaski przybył był do Wilna na czyjeś wezwanie, że może wezwanie to otrzymał od króla. Dziwił się, że nawet w obliczu króla pierwszy edykt jego, który wydał na sejmie za wolą senatu, został znieważony. [2]) Zdumiewają się ludzie, — pisał do Pikarskiego — gdy fakt ten lepiej rozważają. Sądzę, że albo inaczej król myśli, jak napisał, albo że heretycy nie uznają go za swego władcę. [3]) W listach do sekretarza królewskiego Karnkowskiego, najbardziej piętnował tę okoliczność, że heretyków nie przerażała groźba, wyrażona w edykcie, iż będą uważani za nieprzyjaciół ojczyzny i za burzycieli pokoju, [4]) że natomiast sami wszędzie głosili, jakoby edykt ów nie był wyrazem woli królewskiej. [5]) Pisał tedy: „Chociaż chce mię przekonać W. W., że wszelkie nowości w religii dzieją się wbrew woli króla, jednak widzę własnemi oczyma, słyszę na własne swe uszy, niemal rękoma dotykam, iż zupełnie przeciwnie się dzieje, jawnie bowiem głoszą heretycy, że wszystko czynią podług woli króla." [6]) Nie zadowalniało go i nie uspakajało go zapewnienie nawet samego króla, że niesłusznie go posądza o brak dobrej woli, o rozmyślną powolność dla heretyków lub chęć lekceważenia swojej osoby. Narzekał nieustannie na niego i na sekretarzy. Ale zapewnienia króla były wcale przekonywujące. Zdaniem jego nie powinien był Hozyusz mieć żalu do niego, jeśli czasem z jego kancelaryi nie otrzymał na swój list odpowiedzi: nie otrzymał, bo nie zawsze było na co odpowiadać. Nie powinien się też dziwić, że się dzieją zmiany w religii. Zaiste i on

[1]) Hos. Ep. nr. 1743, list jego z 15. kwietnia 1557.
[2]) Hos. Ep. nr. 1755, s. 820.
[3]) Tamże.
[4]) Hos. Ep. nr. 1844.
[5]) Hos. Ep. nr. 1771.
[6]) Tamże.

trapi się tem, chociaż to nieszczęście dotknęło nie tylko królestwo jego, ale niemal cały świat chrześciański, nawet Włochy przecież! Przynajmniej on nic więcej, już zrobić nie może nad to, co zrobił dotychczas. Wszak już napominał tych, od których to zależy, by ratowali upadający Kościół soborem powszechnym, a napominał tyle razy napróżno! Nawet nie wie, jak można inaczej temu złemu zaradzić. Tak samo nic nie może poradzić temu, że jego edykty podczas jego nieobecności w Królestwie nie są szanowane. Gdy załatwi sprawę inflancką, pomyśli nad tem i przedłoży odpowiednie wnioski sejmowi...[1]) Ale Hozyusz był głuchy na te wymówki i obietnice, nie widział bowiem przyczyny, dlaczegoby edykty nie miały być szanowane, gdyby były wyrazem prawdziwej woli królewskiej, gdyby król sam nie dawał o sobie złego świadectwa.

Postępowanie Zygmunta Augusta w tym czasie istotnie mogło razić biskupa, myślącego i działającego po katolicku. Mógł sądzić po niem, że nie egzekwował edyktów dla tego, bo nie chciał, że nie bronił katolików, bo sprzyjał różnowiercom i hołdował religijnym ich formom. W tym właśnie roku bronił wobec niego komunii pod dwiema postaciami. Tłómaczył mu, że nie można jej uważać za zdradę wobec Kościoła katolickiego. Wszak pozwala na nią w swoich państwach król Ferdynand, on sam musi ją cierpieć w wielu miastach pruskich, toleruje ją w obrządku greckim i ormiańskim, dlaczegożby nie miał tolerować w katolickim?[2]) Bronił zaś tej komunii dla tego, że chciał uczynić

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1768.

[2]) Hos. Ep. nr. 1879. Na Pomorzu, należącem do dyecezyi kujawskiej, tak głęboko zapuścił korzenie protestantyzm, że król z obawy poważniejszych rozruchów religijnych udzielił Gdańszczanom, najbardziej skłonnym do buntów, dekretem z dn. 5. lipca b. r. koncesyi na komunię pod dwiema postaciami: Hos. Ep. nr. 1786, tekst i przypis. 2. O rozruchach religijnych w Toruniu i wprowadzeniu tam obrzędów protestanckich za tajemną zgodą króla, wspominał nieraz z ubolewaniem Hozyusz: Hos. Ep. nr. 1771 i in. W Gdańsku wprowadzono komunię pod dwiema post. dn. 31./X. b. r. (nr. 1888, przyp. 1.). Także nr. 1893, gdzie mowa o zniesieniu dawnych obrządków katolickich w trzech miastach: w Gdańsku, Toruniu i Elblągu, podług słów mandatu królewskiego danego Kostce, kasztelanowi gdańskiemu, który miał dopiero wystąpić przeciw tym reformom. Zatem były te reformy w bież. roku 1557 tolerowane. Ale Kostka mandatu nie wykonał. Król nie

przysługę znanemu wrogowi Hozyusza i katolicyzmu, Achacyuszowi Czemie. Wojewoda wstawiał się u niego osobiście za swym zięciem, Janem Prenckem, usuniętym przez Hozyusza z urzędu prefekta biskupiego zamku i miasta Braunsbergu za to, że żona jego a córka wojewody, Eufrozyna, nie chciała podług życzenia Hozyusza komunikować się podług obrządku katolickiego. Opór jej wziął Hozyusz za bunt przeciw władzy biskupiej, za objaw skłonności do herezyi. Kiedy więc król i dwór wstawiali się za rzekomo niewinnym osobiście Prenckem,[1]) groził, że raczej zrezygnuje z godności biskupa, na wygnanie pójdzie, a nie będzie cierpiał na tak wysokim urzędzie w swym mieście — herezyi.[2]) Używał nawet pośrednictwa prymasa, aby w interesie całego episkopatu polskiego wyperswadował królowi, by nie przyjmował na siebie w tej drażliwej sprawie roli protektora.[3]) Jednak król nie tylko przyjął tę rolę na siebie, ale nadto w tym samym czasie, kiedy bawił u niego w Wilnie Achacyusz Czema, a było to w jesieni t. r. po wyprawie inflanckiej, zupełnem pomijał milczeniem jego częste listy, ściągając na siebie jego podejrzenie, że prowadził z nim wówczas tajne konferencye religijne, tak samo jak odbywał je z nim Radziwiłł, i że z tego powodu odwrócił zupełnie umysł swój od niego, jako od obrońcy katolicyzmu.[4]) Podejrzenie to skłaniało Hozyusza do tem większego czuwania nad nim i nad jego całem otoczeniem. Z okazyi sprawy prefekta swego, toczącej się na dworze wileńskim, pisał także do królowej Katarzyny, wyrażając nadzieję, że nie tylko ona sama dochowa wiary Kościołowi katolickiemu, ale roztoczy także opiekę nad dostojnym małżonkiem swoim, aby nie uległ podszeptom wrogów Kościoła. Pismo jego było wystosowane w porę, bo i Katarzyna w tym czasie — jak donosił mu Tom. Bonawentura — okazywała wielką chęć używania przy komunii św. kielicha, chociaż odradzał jej go jak wogóle wszelkich stosunków z heretykami i religijnych z nimi dysput sam ojciec jej, król Ferdynand.[5]) Hozyusz chcąc ją prze-

chciał nawet wierzyć, że w październiku wprowadzono w Gdańsku urzędownie komunię pod 2-ma postaciami. (Hos. Ep. nr. 1903, 1907). Nie wierzył, bo tolerował.

[1]) Hos. Ep. nr. 1878, 1880.
[2]) Hos. Ep. nr. 1844, 1858, 1872.
[3]) Hos. Ep. nr. 1860.
[4]) Hos. Ep. nr. 1869, 1877.
[5]) Hos. Ep. nr. 1828, 1806.

konać o potrzebie trzymania się dawnej wiary, skreślił jej w kilku dobitnych słowach ówczesną anarchię religijną, która i jej małżonka miała odstraszyć od dalszych stosunków z wrogami Kościoła. Pisał tedy: „Każdy chce mieć swój własny Kościół, chce także mieć swoją własną wiarę, nie chce znać powszechnego Kościoła. Już niestety do tego doszło, że Chrystusa Pana, Naszego Zbawiciela, nie uznają za Boga, tylko mają za jakiegoś tam prokuratora i pośrednika u Boga Ojca. Coś podobnego publicznie na piśmie przedłożono przed dwoma laty na sejmie piotrkowskim królowi i panom radom koronnym... My, biskupi, już teraz nie jesteśmy potrzebni, każdy sam sobie biskupem. Każdy chce pismo św. tłomaczyć podług swego upodobania, każdy chce Kościół urządzać podług swego widzimisię, ztąd powstają przerażające sekty i błędy, których teraz wszędzie pełno...“ [1]) Ale słowa Hozyusza przebrzmiały w Wilnie bez echa.

Właśnie owo postępowanie króla, pełne dwulicowości w wykonywaniu swoich własnych rozporządzeń a ukrytej lub jawnej niechęci do katolików, którą głęboko odczuwali tacy jak Ocieski lub Hozyusz, było nie tylko powodem owej anarchii religijnej, jaka po sejmie warszawskim ogarnęła całą Polskę, ale także wpływało niezmiernie ujemnie na biskupów polskich. Widząc, że teraz w równem była poniżeniu powaga królewska jak ich własna biskupia, [2]) widząc, jak król salwował swoją władzę na inne czasy, a sami nie mogąc używać swojej, woleli nic nie robić, niż się narażać i dręczyć, jak Hozyusz. Prym między nimi wiódł Zebrzydowski. Nie rozumiejąc i nie odczuwając potrzeby dawania dobrego przykładu z samego siebie, daleki był od naśladowania wzoru, jaki mu przed oczy stawiali w osobie Hozyusza, owej „perły duchowieństwa“, jego kanonicy. [3]) Wygodniej mu było naśladować króla...

Wyrazem upadku, zobojętnienia i rozprzężenia episkopatu polskiego był synod, który zwołał prymas w maju b. r. do Piotrkowa celem uchwalenia kontrybucyi wojennej dla króla. Upamiętnił się ten synod sporem o komunię pod dwiema postaciami, wybuchłym między Zebrzydowskim i Uchańskim a delegatami kapituł. Nasz biskup i biskup chełmski byli nadto jedynymi na

[1]) Hos. Ep. nr. 1874, list z 5. listopada 1557.

[2]) Hos. Ep. nr. 1712, 1723.

[3]) Hos. Ep. nr. 1751. Górski, kan. krak. nazywa go „gemma sacerdotum“.

nim przedstawicielami episkopatu,[1]) inni bowiem biskupi uchylili się od udziału w nim już to z powodu choroby, podagry, chiragry i innych słabości, jak Czarnkowski lub Drohojowski,[2]) już to z obawy spotkania się na nim z heretykami, którzy mogli pojawić się pod pretekstem, że chcieliby się czegoś nauczyć, a w istocie, aby wywołać pożądaną przez siebie dyskusyę o dogmatach religijnych. Tego spotkania obawiał się Hozyusz, opierał swe obawy na pewnych poważnych „konjekturach" czyli domysłach, zresztą nie bardzo interesował się synodem, jako zwołanym w sprawie, nie obchodzącej go bezpośrednio,[3]) usprawiedliwiając przed prymasem swoją nieobecność kłopotami z zaciężnem wojskiem, które snadź zbierał wówczas z obawy zawieruchy wojennej z powodu kwestyi inflanckiej.[4]) Tego spotkania natomiast nie obawiał się nasz Zebrzydowski, jednak pojawił się w Piotrkowie nie z poczucia obowiązku, tylko dzięki przypadkowi, że właśnie chciał oglądać pewien majątek, który dawniej nabył opodal od Piotrkowa w ziemi sieradzkiej, i inny, który niedawno nabył od St. Słomowskiego, kanonika krakowskiego, w Wielkopolsce, nazwiskiem Rusiec, z rzędu już czwarty. Dla oglądania tych majątków wyjechał przed końcem synodu pewnej nocy nad ranem, nie pożegnawszy się nawet z prymasem.[5]) Jego śladem poszli inni, zapewne Uchański i zastępcy nieobecnych biskupów, nie mogąc obradować z powodu braku kompletu. Miało to być dnia 21. maja, w cztery czy pięć dni po rozpoczęciu synodu.

Obecni na nim przedstawiciele kapituł, między nimi dwaj delegaci kapituły krakowskiej, sufragan Andrzej Szpot de Krajów, biskup laodycejski i opat wąchocki i mogilnicki, tudzież Wojciech Kijewski, kanonik krakowski,[6]) niezmiernie odczuwali brak osoby Hozyusza.[7]) Cieszyli się przynajmniej listem jego z daty 10. maja, nadeszłym do Piotrkowa pod adresem prymasa i biskupów.[8]) Bo

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1769.

[2]) Hos. Ep. nr. 1763.

[3]) Hos. Ep. nr. 1724.

[4]) Hos. Ep. nr. 1768.

[5]) Hos. Ep. nr. 1763, 1899.

[6]) Hos. Ep. nr. 1756, przypis. 2, Wierzbowski. Uchansciana, T. II. s. 67.

[7]) Hos. Ep. App. nr. 77.

[8]) Hos. Ep. nr. 1756. Przywiózł go Piotr Wyścielski, proboszcz gdański.

w liście tym zachęcał ich Hozyusz gorąco do niesienia pomocy upadającemu Kościołowi w Polsce. Wprawdzie synod zebrał się dla innej sprawy, nie dla religijnej, ale zgromadzeni na nim, zdaniem jego, nie powinni lekceważyć i pomijać sposobności omówienia stosunków kościelnych. Wszak wiedzą biskupi, jaka jest o nich opinia: nie troszczą się o sprawy duchowne, tylko o materyalne, które im dane są dla duchownych: zabezpieczywszy jedne nie czynią nic dla ochrony drugich; takie głosy publicznie podnoszono na ostatnim sejmie warszawskim. Wprawdzie on osobiście innego jest zdania, ale nie może nie boleć nad tem głęboko, że taka opinia o biskupach istnieje, że wraziła się silnie w umysły wielu. Powinni tedy wszelkimi możliwymi środkami dbać o bezpieczeństwo powierzonej sobie owczarni Chrystusowej. Środki te łatwo obmyśleć mogą. Przedewszystkiem niechby wpłynęli na króla, aby nie zapominał, że jest monarchą, i nie pozwalał na taką swywolę. Niechby także wpływali umacniająco, swoją powagą i taktem, na świeckich panów, naśladując w tem heretyków, którzy umieją zabiegać koło swej sprawy. W dalszym ciągu listu przypominał im Hozyusz zabiegi dysydentów podczas sejmu warszawskiego, od których rażąco odbijała zupełna indolencya biskupów, przypominał owe broszury, które Wergeryusz wówczas rozsiewał, podkopując niemi do szczętu powagę i jurysdykcyę biskupów, zwłaszcza ową o zasadach Brencyusza, dedykowaną czelnie samemu królowi. Właśnie on napisał już rzecz, która owe zasady zbija. Do listu swego dołączył gotową część tej swojej pracy, prosząc zgromadzonych biskupów, by dali ją do oceny któremu z teologów i uwiadomili go, czy zechcą wydać ją drukiem.

Tego samego mniemania, co Hozyusz, były kapituły. Kijewski, jeden z delegatów kapituły krakowskiej, miał polecone uchwałą jej z dnia 11. maja, aby zebrał na ten synod materyał synodalny z przeszłorocznego synodu łowickiego i aby wespół z towarzyszem swoim, Spottem, starał się teraz o wykonanie uchwał tego synodu. Mieli też obaj prosić prymasa i biskupów, aby nie publikowali uchwał, jakie zapadną na teraźniejszym synodzie, bo w przeciwnym razie narazić je mogą na takie bezecne i potwarcze komentarze ze strony heretyków, na jakie narazili uchwały łowickie. Przy dyskusyi nad kontrybucyą mieli przemawiać za kontrybucyą pojedynczą przeciw podwójnej, o którą miał prosić król, a to ze względu na zbyt wygórowaną i dotkliwą taksę dóbr krakowskich dyecezyalnych, wyższą od taksy dóbr, przyjętej w innych dyecezyach, tudzież podnieść wszystkie krzywdy, szkody, zabory, łu-

piestwa i gwałty, popełniane na dobrach i poddanych kościelnych ze strony heretyków. Podnieść je mieli także później wobec króla, zapewne w jakimś memoryale, który mógł mu przedłożyć razem z pieniądzmi legat jego Stanisław Dunin, kasztelan inowłocławski, umyślnie dla kontrybucyi przybyły na synod. [1]) Podobne rozporządzenia wydała dla swoich delegatów kapituła poznańska i inne. [2])

Wobec tego na synodzie dzięki presyi ze strony delegatów kapitulnych a pod wpływem zachęty listownej Hozyusza wywiązać się miała jakaś dyskusya na temat krzywd Kościoła i postępów herezyi, której owocem były nowe uchwały i nowe skargi i prośby do króla, aby ratował Kościół w zamian za ofiary, jakie dla niego duchowieństwo ponosi. [3]) Snadź jednak nie trwała ona zbyt długo, bo dekreta, dotyczące spraw Kościoła i dekret kontrybucyjny łącznie z artykułami, zawierającymi spis krzywd i postulatów duchowieństwa, były już gotowe dnia 17. maja, w którym to dniu miał się synod rozpocząć. Kontrybucyę wbrew życzeniu posłów kapitulnych uchwalono podwójną a w artykułach dotyczącej uchwały, jak niemniej w właściwych dekretach synodu ponownie poruszono wszystkie te kwestye, które poruszano na poprzednich synodach, jako dotychczas nie załatwione i nie weszłe pomimo nakazów i gróźb synodalnych w życie. Ztąd to obecny na synodzie poseł Hozyusza, Piotr Wyścielski, proboszcz gdański, donosił mu w swojej relacyi, że na synodzie traktowano rzeczy religijne powierzchownie, że prócz kontrybucyi podwójnej nic innego nie uchwalono, [4]) chcąc przez to powiedzieć, że nic no-

---

[1]) Z aktów kap. krak. Ms. V. 265—6, sub d. 11. Mai 1557 i wyciągi w Hos. Ep. nr. 1756, przypis. 2. Także: Archiwum kom. prawn. T. I. s. 450 (z materyałów ustaw synodalnych, zebr. przez Ulanowskiego).

[2]) Wierzbowski, Uchańsciana II. s. 67, lub V. s. 133: rzecz o synodzie samym na podstawie Hosiana i Uchańsciana.

[3]) Statuta synodu 1557, oraz kontrybucya na synodzie tym uchwalona zachowały się w urzędowych egzemplarzach Liber act. cap. crac. nr. 23, przedrukowane przez Ulanowskiego w Arch. kom. prawn. T. I. s. 336, XV., XVI., s. 439—450 i s. 451—456. Uchwał czyli artykułów jest 26, osobno 15 artykułów, dotyczących kontrybucyi, przy nich są wyliczone grawamina, których Kościół doznaje a które król raczy wynagrodzić (art. 8—15). W art. 1. powiedziano: contributionem duplam, hoc est per 24 grossos a marca argenti decrevit sacra synodus solvendum... Data uchwał: 17. maja 1557 r.

[4]) Hos. Ep. nr. 1786.

wego nie wymyślono, tylko dawne rzeczy powtórzono. Tak samo kanclerz arcybiskupi Dąbrowski, donosząc mu o słabym udziale biskupów w synodzie, pisał: „A tak skutkiem braku tych, od których głównie zależy cała sprawa utrwalenia religii, nie można było nic innego postanowić, chyba kontrybucyę, którą nazywamy podwójną, bo też we wszystkiem niestety piękne tylko słowa, skutku żadnego, *pulchra quidem verba, effectus tamen nullus*." [1]) Między temi dawnemi rzeczami, powtórzonemi na synodzie, była także kwestya szkolnictwa, spoczywającego w ręku Zebrzydowskiego, jako kanclerza *Almae Matris*. W artykule 5. uchwał synodalnych zaznaczono, że należy starać się u króla, aby zakazał wszelkich prywatnych szkół, a więc zamknął szkoły w Koźminku, Pinczowie i w innych podobnych miejscach, aby wykonał edykt ojca swego Zygmunta, wzbraniający wysyłania młodzieży na naukę do Niemiec: że należy natomiast szkoły publiczne pilnie lustrować, wizytować a zwłaszcza uważać, aby w nich nie używano katechizmów heretyckich: nadto powinno być zreformowane studyum generalne krakowskie, o czem była mowa na wszystkich synodach, we wszystkich ich statutach czyli konstytucyach; w tej sprawie daje się synodalne upomnienie przewielebnemu biskupowi krakowskiemu, jako jego kanclerzowi, zresztą porucza się umyślnej deputacyi synodalnej, aby wszelkie kwestye, tyczące się Akademii krakowskiej lub poznańskiej albo innych szkół, przedłożyła królowi... Artykuł ten bezpośrednio odnoszący się do naszego biskupa, bo krytykujący jego dotychczasową a pod każdym względem naganną działalność w zakresie szkolnictwa, uwidocznioną w zupełnem zaniedbaniu Uniwersytetu krakowskiego i szkół od niego zawisłych, mógł sam jeden pozbawić go ochoty do szczerego zainteresowania się zadaniami synodu, podniesionemi przez Hozyusza i kapituły, dlatego umykał z Piotrkowa, jakby winowajca, który się z swych czynów usprawiedliwiać nie myśli... A były jeszcze inne sprawy, dotyczące wprost obowiązków urzędu biskupiego, jak wizytacye dyecezyi, kollegiat, udział w sądach królewskich, w sejmikach i inne tym podobne, których on właśnie, jako zaniedbujący swój urząd, poruszać zbyt głośno nie chciał. wątpić tedy należy, czy na tok dyskusyi w tych sprawach osobiście wpływał, czy wogóle brał jakikolwiek w niej udział. Jeśli zachęta Hozyusza podziałała na kogo zachęcająco, przyjęta przez synod,

[1]) Hos. Ep. nr. 1763.

jak pisał prymas, nader wdzięcznie jako *adhortatio fraterna*,[1]) to z pewnością chyba na samych tylko delegatów kapitulnych, mających na myśli te same cele, co Hozyusz. Zebrzydowski był na nią głuchy.

Ale chętnie przyłączył się do dyskusyi o komunii pod dwiema postaciami, jaka wywiązała się zapewne przy omawianiu postępów protestantyzmu i środków, jakimiby je można powstrzymać. Był to temat, który chętnie poruszali w dyskusyach swoich ówcześni protestanci, który natomiast tacy ortodoksi, jak Hozyusz namiętnie zwalczali, jako widomy symbol apostazyi od obrządku katolickiego. Jeśli jakiej się obawiał dyskusyi Hozyusz, to właśnie tej, którą zainicyowali na synodzie obaj jedyni przedstawiciele episkopatu, Uchański i Zebrzydowski. W dyskusyi tej obaj starali się przekonać delegatów kapitulnych, że wprowadzenie do Kościoła katolickiego komunii pod dwiema postaciami mogłoby być znakomitym środkiem politycznym do uśmierzenia waśni religijnych w chrześciaństwie, pomostem do zgody z protestantami... Ale delegaci ten projekt ich, będący wyrazem ówczesnej postępowej opinii katolickiej, przyjęli z oburzeniem. Donosi o tem w swojej relacyi o synodzie temi słowy delegat krakowski, W. Kijewski: „Na ostatnim synodzie piotrkowskim byłem posłem, gdzie okropną rzecz nową usłyszałem, nasz biskup usiłował nas przekonać do komunii pod dwiema postaciami, zaś chełmski pochwalał projekt jego, jako święty i zbawienny. Nie dziwiłem się chełmskiemu biskupowi, boć wiem, że skłania się do nieprawości heretyckiej, ale naszemu dziwiłem się niezmiernie. Obaj chcieli wmówić w nas swoje mniemanie a raczej nieprawość heretycką, dowodząc, że nawet król poczuwa się do winy o to, że dotychczas nie przyjmował komunii pod dwiema postaciami, a jeśli mu na nią nie pozwolimy, sam sobie na nią pozwoli, pozbawi nas swojej opieki i wyda nas na łup heretyków, których potęga wszędzie jest wielką. W imieniu posłów kapitulnych odpowiedział im dr. Gabriel, kanonik gnieźnieński, który był deputatem kapituły gnieźnieńskiej: chociażby sami błądzili bardzo, kler bynajmniej nie chce odłączać się od Kościoła: następnie bardzo poważne argumenta przytoczył, którymi przekonany nasz biskup zmienił zupełnie pierwotne swoje zdanie i prosił, aby mu je przedłożono na piśmie; tymczasem

[1]) Hos. Ep. nr. 1764, list prymasa z 22. maja 1557 z Piotrkowa.

chełmski milczał, zachowując intrygi swej złości na inny czas".[1]) Relacyę tę Kijewskiego uzupełnił Dąbrowski w swym liście do Hozyusza tą uwagą, że jeden z biskupów zwyczajem swoim usilnie dążył do tego, aby przyzwolić na ową komunię na najbliższym sejmie, gdyż na sejmie właśnie gwałtownie jej się domagano, a biskup krakowski podniecał go, zdając się sam skłaniać do niego, z zastrzeżeniem jednak, aby rzecz ta uzyskała aprobatę Kościoła powszechnego; natomiast kapituły osądziły, że nie należy na nie przyzwalać i stawić choćby krwawy opór wszelkim napaściom i postrachom nawet największym, uznały też za stosowne, aby synod do Ojca św. napisał, jak w tej kwestyi należy postąpić, a zarazem go prosił, aby sobór powszechny doprowadził do skutku..." [2])

Przebieg powyższej dyskusyi świadczy o przewadze, jaką mieli na synodzie delegaci kapitulni. Nie tylko obalili projekt biskupów, ale przeprowadzili uchwały, wprawdzie będące powtórzeniem uchwał poprzednich synodów, jednak równocześnie wyrazem niezadowolenia z dotychczasowej ich działalności, które okazali głównie Zebrzydowskiemu i Uchańskiemu, jako obrońcom niekatolickiej komunii. Obok nich w jednym z artykułów napiętnowali także stosunki, jakie utrzymywał z heretykami Drohojowski, podobnie jak napiętnowali niedołęstwo zarządu szkolnego, reprezentowanego przez Zebrzydowskiego, zupełnie nie troszczącego się o szkoły. Uchwały te miały dojść do wiadomości papieża, którego stosownie do wniosku delegatów prosić miano o przyspieszenie soboru powszechnego, jako jedynego środka zbawczego dla upadającego Kościoła i upadłego moralnie i religijnie jego kleru. Podnietą dla delegatów do wypowiedzenia słów prawdy biskupom miał być, podług słów Dąbrowskiego, także ów list Hozyusza, który krył pod płaszczem braterskiego upomnienia surową krytykę całego episkopatu polskiego.[3])

Podczas synodu czytano także pracę Hozyusza o Brencyuszu i Wergeryuszu, przeglądał ją naprzód Uchański, potem dr. Gabryel, także prawdopodobnie prymas, który w imieniu wszystkich przesłał autorowi pochwały z prośbą i z życzeniami, aby ją jak

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1789.
[2]) Hos. Ep. nr. 1763.
[3]) Hos. Ep. nr. 1763: Litterae V. Dnis R. omnibus hic fuerunt gratissimae et maxime apud Capitula, quae magnam exportationis faciendae D. Episcoporum praestiterunt occasionem, pisze D. do H.

najprędzej ukończył i drukiem ogłosił.[1]) Ale pracy tej nie przeglądał Zebrzydowski a z nim wielu innych prałatów, gdyż egzemplarz jej przesłany przez Hozyusza pozostał w ręku dr. Gabryela, który nie udzielił go innym, nie mogąc sam dla braku czasu podczas synodu lektury ukończyć.[2])

Zaszczytną także zrobiono wzmiankę o Konfesyi Hozyusza, która — zarówno jak Konfesyę łowicką — potwierdzono. Czytano także nadeszły z Wilna od podkanclerzego Przerębskiego list, w którym podkanclerzy donosił synodowi o sukcesach Łaskiego w Wilnie, zachęcał biskupów, aby wyprawili do papieża poselstwo z relacyą o stanie Kościoła w Polsce i z prośbą o sobór powszechny, bo gdy się tylko sobór zacznie, zamknie się nim drogę wszelkim „instancyom przeciwników“, zachęcał w końcu, aby wyprawili delegata polskiego na kongres religijny, zebrać się mający za inicyatywą króla rzymskiego w sierpniu b. r. w Wormacyi. Głos Przerębskiego o tyle nie przebrzmiał bez echa, że i on wpłynął na uchwałę synodu, by szukać ratunku dla Kościoła u papieża i soboru powszechnego... Ale nie wpłynął na wybór delegata na kongres wormacki, chociaż ostrzegał, że w nim udział wziąć mają dysydenci polscy. Synod bowiem nie powziął o udziale teologów polskich w tym kongresie żadnego postanowienia.[3])

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1764.

[2]) Hos. Ep. nr. 1763.

[3]) Hos. Ep. nr. 1763, 1815, 1825. Kongres ten zebrał się dn. 24. sierpnia b. r. Brali w nim udział także protestanci luteranie (Melanchton i inni). Mieli brać udział i polscy dysydenci. Kalwin nie otrzymał nań zaproszenia. W Polsce krążyły w b. r. wersye, że kongres ten zniósł celibat, dozwalając się żenić tak biskupom jak kapłanom: zresztą nie wiedziano wiele, a raczej nic o nim: Hos. Ep. nr. 1825, 1842, 1844. Jeszcze w kwietniu t. r. wiedział o nim Hozyusz tyle, że to „colloquium vormaciense“ zostało postanowione w Regensburgu, i że zastrzeżono mu wszelką swobodę dyskusyi: Hos. Ep. nr. 1749. Dopiero w następnym roku 1558 pojawiają się o nim w Polsce szersze wiadomości: Hos. Ep. nr. 1919, 1945: „Widzieliśmy też tu scriptum tegoż Melanchtonis pisane absque titulo, ale znać, iż jego, w którym wypisuje sprawę colloquii Vormaciensis i tym zawiązuje, iż per nostros est colloquium dissipatum“ — pisze 30. kwietnia 1558 r. z Poznania Sebastyan, kustosz kurnicki do Hozyusza. Melanchton miał się poróżnić w Wormacyi ku uciesze katolików z jednym z teologów protestanckich.

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

W ten sam dzień bitwy pod Iganiami, generał Umiński, po przeprawieniu się przez rzekę Liwiec, zdobył bronione miasto Węgrów, o mil siedm w lewo od Siedlec położone. Dowodził pięciu batalionami piechoty i dziesięciu szwadronami jazdy, z odpowiednią artyleryą.

Gdyby bitwa pod Iganiami była wygraną w swych skutkach spodziewanych, gdybyśmy poparli Rossyan ku Brześciowi Litewskiemu, Umiński również pod Węgrowem zwycięzca, mając tylko mil sześć lub siedm od granicznego Buga, z łatwością mógłby wpaść w obwód Białostocki przez Drohiczyn i tworzyć dalekie, ale pomocnicze nasze lewe skrzydło, w dalszem wojny prowadzeniu.

W trzydzieści dziewięć lat później obowiązki cywilnej mej służby zagnały mnie w r. 1870 do dóbr Iganie. Właścicielem ich był p. Gorzechowski; z nim obchodziłem pola owej bitwy niegdyś stoczonej; widziałem mogiły naszych i Rossyan już zaklęsłe; w ogrodzie dworskim wybrukowana była cała jedna ulica wyoranemi kulami armatniemi. Przy szosie stoi pomnik w lasku sosnowym, krzyżem żelaznym opatrzony; na nim napis:

Hipolit Stokowski
10. kwietnia 1831 roku.

Tu to spoczywają prochy walecznego żołnierza. Stokowski był kapitanem w pułku grenadyerów, poległ od kuli działowej, od tego pomnika o kilkanaście kroków. Pamiątkę tę wystawiły mu żona i siostra. Jeszcze niedługi przeciąg czasu, a miejscowi nawet wiedzieć nie będą, kto był Stokowski i dlaczego tu pochowany!...

Czytając ten lakoniczny napis nagrobkowy, szczerze westchnąłem za duszę poległego; odtwarzałem sobie jego postać, bom go znał z widzenia i mimowolnie przypomniała mi się strofa, ze starej pieśni naszych legionów włoskich, utworu, zdaje się, Godebskiego, pułkownika, poległego również pod Raszynem w roku 1809.

Tam, gdzie ten dąb strzaskany sterczy,
Tam wznosił się Orzeł Biały...
Tam, idąc w ogień morderczy,
Polskie szeregi padały!...

Boże! co z grobów łona
Wskrzesisz ludzi w Sądu chwili...
Ty spamiętasz tych imiona,
Co tu za swój kraj walczyli!...

Kiedy wojska polskie zwyciężały Rossyan w środku swych działań i na lewem skrzydle, chociaż bez osiągnięcia spodziewać się dających przeważnych korzyści, mniej dobrze się powodziło na wysokiej Wiśle, pod Puławami i miastem Kaźmierzem. Generał Sierawski z nielicznym swym korpusem, składającym się w piechocie z samych prawie kosynierów, których ośm batalionów miało tylko w pierwszym szeregu karabiny, z kilku szwadronami nowego pułku Krakusów i tyluż jazdy kaliskiej, przeprawiwszy się przez Wisłę pod Solcem, zabrał wprawdzie magazyny przez Rossyan w Kaźmierzu nagromadzone, ale zanadto zaufany w męztwo nowo zaciężnych, przyjął bitwę z korpusem generała Kreutza w górach miasto Kaźmierz otaczających. Kreutz dowodził szesnastu batalionami piechoty, miał 24 armat, pod tą przewagą cofał się Sierawski, zdołał mimo silnego Rossyan nacierania, przeprawić znaczną część swego wojska za Wisłę, z sześciu armat nie stracił ani jednej. Poległych, ubytych z szeregu, lub wziętych w niewolę było jednak z naszej strony do 1.000 ludzi. Wśród rannej bitwy i silnej mgły, Sierawski na czele jazdy kaliskiej, zamierzył pójść na armaty rossyjskie i takowe zdobyć. Obejrzał

się, był sam z jednym adjutantem: rzucili się kozacy, chcieli go pojmać żywcem, uszedł jednak, ale konia tak mu pokaleczyli pikami, że zdechł w dni parę. Straż tylną cofających się w silnej górzystej pozycyi, wstrzymał Juliusz Małachowski: otoczony, nie przyjmując pardonu, legł na miejscu. Po wojnie, za pozwoleniem rządu, odkopać kazała jego rodzina te szczątki. Przeprowadzono je do Końskich i tam w grobach familijnych są pochowane.

W Kaźmierzu, na miejscu zgonu Małachowskiego, postawiono trzy wysokie krzyże, widne nawet z za Wisły, bo są wzniesione na wysokiej górze. Byłem u ich podnóża. Bitwa ta pod Kaźmierzem, a raczej pod wsią Wronowem, datuje się 13-go kwietnia owego roku.

Generał Umiński, posuwając dalej odniesione korzyści pod Węgrowem, napierał ciągle na Rossyan. Przegnał ich przez Sokołów i Mokobudy 21. kwietnia i tym sposobem zbliżył się do punktu środkowego naszych działań.

Zwycięztwa te, odnoszone przez nasze wojska, rozniosły szybko wieści po kraju i za jego granicami; dowodem ich było do dwudziestu tysięcy wziętego rossyjskiego niewolnika, a tych rząd posłał w województwa na lewem brzegu Wisły położone, w pomoc właścicielom ziemskim do prac rolnych. Żołnierze ci spokojnie się zachowywali, pracowali chętnie za żywność tylko, bardzo mała liczba uciekła do Prus sąsiednich.

Ośmielona naszem powodzeniem, nareszcie pierwsza Żmudź, a następnie Litwa powstała. W początkach kwietnia uderzyła na kilka głównych miejscowości: Matuszewicz zdobył Troki; w Oszmianie powstańcy zabrali 100.000 złotych, 10.000 ładunków i wielkie zapasy. Zemścił się okrutnie po ich ustąpieniu pułkownik Werzylin: z jego rozkazu wyrżnęli Czerkiesi do nogi mieszkańców miasta, nawet tych, co z dziećmi i niewiastami do kościołów się schronili.

Gdy tak wojna idzie nam pomyślnie, gdy wojska nasze coraz większego swej wyższości nad Rossyanami nabierają przekonania, gdy nakoniec w Królestwie potęguje się zaufanie i istotne dla sprawy poświęcenie, jakaś odrętwiałość ogarnia naczelnego wodza Skrzyneckiego, oglądającego się ciągle na urojone innych państw pośrednictwo. Po takich korzyściach, po takich zwycięztwach, cofa się z wojskami i daje czas odetchnąć feldmarszałkowi Dybiczowi. Z nadejściem też świeżych posiłków, wyciągnął on swą linię bojową od Siedlec, przez Łuków, aż pod Radzyn, a miał silne rezerwy, bo gwardye, wysłane z Petersburga, stanęły

już między Bugiem a Narwią. Postanowił więc przejść w stan zaczepny. Na pierwsze jego poruszenie Skrzynecki głównym naszym siłom nakazuje odwrót ku Warszawie, zasłaniając się tylnemi strażami.

Dotąd nic nie wspomniałem o sobie, bom się obawiał, aby czytelnik niniejszego pamiętnika nie zastosował do mnie ustępu sławnej bajki, a raczej nie bajki Krasickiego:

Był . . . .
Żołnierz co się nie chwalił, szewc co się nie upijał...

Wychowany wśród legend dawnych wojen, krzepki do konia i szabli, rozwinięty ciałem i umysłem nad wiek posiadany, z wrodzonym instynktem wojskowym czułem w sobie tę odwagę, jaką — dając mi życie — przelał we mnie mój rodzic. Młodość też ma nieograniczone zaufanie w sobie. Stawałem wszędzie ochoczo do walki, biłem się dobrze, a gdy jeszcze dotąd szczęśliwie mnie kule mijały, a w osobistem starciu niejednego tego naznaczyłem, rzekłem sobie, że tak zawsze będzie.

Pomijając przeto opowiadania rozlicznych mych spotkań z nieprzyjacielem, bo na te nie mając dziś dowodu, sądzę, iż mogłyby być poczytywane za próżną chwalbę, mogę jednak śmiało tu przytoczyć jeden z ustępów mej wojaczki, jako wsparty i powagą i sprawozdaniem naczelnego wodza, w raporcie jego Rządowi narodowemu złożonym.

Dnia 25. kwietnia pułkownik Dembiński z pułkiem 4. ułanów, jazdą podlaską, 8 szwadronami Mazurów, 2 batalionami piechoty i 4 działami lekkiej artyleryi pieszej, przy pomocy nader korzystnego położenia miejscowości, potrafił długi bój utrzymać przeciwko czołu wojsk nieprzyjacielskich, podtrzymywanemu 16 armatami pozycyjnemi, a prowadzonemu przez samego feldmarszałka Dybicza. Na koniec, wskutek otrzymanego rozkazu, ustąpił ku Cegłowu. Nazajutrz 26-go, tylna straż nasza, dowodzona przez generała Gielguda, składająca się z 8 batalionów piechoty, 6 dział pozycyjnych i 16 lekkich, z pułków 2. strzelców konnych i 3. ułanów, wstrzymywała przed sobą cały korpus Pahlena i może przed przewyższającą o trzykroć razy siłą nieprzyjaciela, cofnąć by się musiała, lecz na doniesienie swych rekonesansów, iż główna nasza armia stoi pod Siennicą i posunięciem się naprzód

rozgromić może lewe jego skrzydło, wyciągnięte aż pod Cegłów, generał Pahlen wstrzymał dalsze nacieranie.

Potyczki dni 25. i 26. kwietnia, widocznie okazywały jakieś zamiary w manewrach Rossyan. Rozwinęli się oni półkolem przed nami, poczynając od Stanisławowa przecinali szosę między Mińskiem a Kałuszynem, lewem skrzydłem dosięgali Cegłowa

Nie mieliśmy świeżego niewolnika, nasze patrole na całej linii spotykały Rossyan i z ich podjazdami ciągle się ucierały. Przy wiadomości przeto, że Dybicz jest osobiście na swym froncie, należało się mieć na baczności, co większa: odgadnąć jego zamiary. To powodowało naczelnego wodza, że wzmocnił pozycyę Mińska. Pod tem miastem postawił w lasku i przy szosie generała Tomasza Łubieńskiego z kilkunastu batalionami piechoty, kawaleryą generałów Skarżyńskiego, Kickiego, Kamińskiego, oraz silną artyleryą. Mińsk był w naszem posiadaniu, obsadzony tysiącem piechoty; pułki jazdy koleją służbę forpocztową przed miastem pełniły. W mieście dowodził generał Kamiński. Nakoniec, na naszej prawej, pułkownik Dembiński obserwował Cegłów.

Dnia 29. kwietnia wieczorem nasze patrole doniosły, że Rossyanie, jak się zdaje, odwrotowy marsz poczynają.

30. kwietnia, o godzinie 4 rano, pułk nasz 5-ty strzelców konnych objął służbę w przednich strażach przed Mińskiem. Dywizyon 1. (czyli szwadrony 1. i 2.) zluzował za miastem placówki i grangardy. Szwadrony 3. w którym służyłem i 4. pozostały na rynku w mieście. Słońce zeszło nadzwyczaj pogodnie, o godzinie 9 rano już było dobrze ciepło, wiadomości od forpoczt żadnych, na linii zewnętrznej cicho.

O tym czasie przyszedł rozkaz od generała Kamińskiego, dowodzącego, jak już powiedziałem, w Mińsku, wysłania oficera z oddziałem na podjazd, w kierunku miasta Stanisławowa: że na mnie była kolej, wziąłem z plutonu ośmiu żołnierzy na ochotnika i wachmistrza Bajtarskiego, a otrzymawszy zlecenie dotarcia ile się da do wsi Trzebuczy, po zoryentowaniu się na mapie, jaką miałem w olstrze, ruszyłem.

Minąwszy nasze grangardy i wedetty, o jakie ćwierć mili od Mińska, traktem szerokim i prostym wszedłem w las a niedługi, bo widać było, jak ten trakt dobiegał do jego końca. Za lasem ukazywały się pola. Uszedłszy tak paręset kroków, ujrzałem w końcu lasu i na trakcie pokazujących się jeźdźców: posłałem więc zaraz kaprala Dziekońskiego z rozkazem wysunięcia się naprzód galopem, rozpoznania, kto jest przed nami, a jeśli to nie-

przyjaciel, dania sygnału wystrzałem z karabinka. Dziekoński kopnął się z miejsca na swej klaczy: ja z ośmiu ludźmi rozwinąłem się na całą szerokość traktu, podnosząc za sobą tuman kurzu, osłaniający słabość mego oddziału i postępowałem truchtem, ścigając okiem Dziekońskiego. Ten, podbiegłszy o jakie kroków sto od ukazujących się jeźdźców, wystrzelił, powrócił i zameldował, że to są kozacy, w liczbie od dziesięciu do piętnastu. Żeśmy kozaków za nic nie uważali, ruszyłem wyciągniętym kłusem i w krótkim czasie ów las przebyłem. Tu się okazały pola w prawo i w lewo, różnemi małemi wyniosłościami pogarbione: trakt stanisławowski biegł prosto przedenną, podnosząc się ciągle pod górę, na której wierzchołku, o jakie pareset sążni, widniał jakiś budynek.

Kozacy cofali się, rozsypani po obu stronach traktu, trzymając się za strzałem. Nie widząc z boków żadnego zagrożenia, wiedząc, że wieś Trzebucza jest pierwszą na drodze od Mińska, żwawo parłem kozaków w zamiarze dostania się na wyniosłość góry, spodziewając się z tej pozycyi rozejrzeć okolicę dokładnie. I tak się stało: dotarłem do owego budynku, a była to pusta karczma, na wpół spalona. Z tego miejsca ukazała mi się nagle rozległa w obie strony dolina, w jej głębi po lewicy traktu wieś dobrze zabudowana, a tuż za nią czerniały obozy licznej jazdy, przedstawiającej siłę kilkunastu szwadronów: dalej dymiły ogniska piechoty.

Zadanie więc moje było skończone i widziałem, co widzieć należało i czas było powracać, gdyż ze wsi gromadkami po trzech, czterech i więcej, kozacy pędem ku mnie cwałowali. Za nim się w kupę zebrali i uradzili, jak się wziąć na pewno do słabego mego oddziału, już uszedłem od karczmy pareset sążni: część kozactwa, wysłana naprzód, rozsypała się, zaczęła z janczarek strzelać, ale po swojemu, to jest, że kulki albo nas nie dochodziły, albo górowały. Ja trzymałem mój oddziałek w kupie. Nagle z prawej strony widniejącego lasu, pokazała się garstka jeźdźców, których po chorągiewkach poznałem, że to są nasi. Posłany mój wachmistrz przyprowadził mi ich, było ośmiu ułanów z podoficerem inną drogą również na patrol wysłanych. Była to słaba, ale zawsze pomoc, miałem razem siedmnastu żołnierzy. Z ułanów zrobiłem sobie rezerwę, moich szasserów szeroko na flankiery rozsypałem, a wolno odstępując, odstrzeliwałem się. Tymczasem z rezerwy dają mi znać, że od lasu odwrót mój już jest zamknięty... Istotnie, kiedy jakie trzydzieści koni kozaków ucierało się ze mną

od frontu, drugie tyle lub więcej, zasłaniając się pochyłościami gruntu i pagórkami, zabiegło mi drogę od lasu.

Na ten widok, moje szassery sami zebrali się do rezerwy: z tyłu do nas strzelają, my kłusujemy na tych, co stoją w miejscu a trakt nam zagradzają. Gdyśmy się na strzał do nich zbliżyli, z tłumu kozactwa wyskoczył jeździec, osadził konia na połowie dystansu i woła po rossyjsku: „kto komandujet wami?“ — odpowiadam: „oficer“ — a on na to: „gaficer, poddajsia brat!... nie tu dieła“! Odwróciłem się do Dziekońskiego, a był to celny strzelec z myśliwskiej służby ordynacyi Zamoyskich i pytam: „Dziekoński, zwalisz go?...“ zaiskrzyły mu się oczy, jakby się na dzika szykował: „Zwalę, panie poruczniku!“. Poklepał klacz po karku, ta się jak drut wyciągnęła, potarł paznokciem skałkę od karabinka... zmierzył parę sekund... wypalił... a ów dowódca przez zad swego konia nakrył się nogami i padł na ziemię.

Nie było co już wyczekiwać... „hura, wiara na nich!“... kopnęliśmy się z kopyta... wnet pałasze nasze zabrzęczały po spisach kozackich, kilku skiereszowanych po pyskach spadło z koni... tłum ich otworzył się przed nami, a my dalej w nogi.

Silnie nas gnało kozactwo, strzelając na wiatr, ale gdzież sprostać mogli naszym biegunom. Tak dopadamy pod las, tu znajdujemy pluton naszej grangardy, który na odgłos strzałów, wyszedł na rozpoznanie. Osadziliśmy konie zdyszane biegiem i upałem; pluton rozsypał się flankierami, kozactwo przyjął gęstym ogniem, pognał ich silnie, wnet też się cofnęli, a my w las pomału.

Tak szczęśliwie około 2-giej z południa wróciłem do Mińska, raport generałowi Kamińskiemu zdałem, alem dostał porządne napomnienie, za narażenie siebie i żołnierzy na taką awanturę. Zdaje się jednak, że ta bura była formą tylko, bo generał był zadowolony, że dowiedział się, jaka siła Rossyan obozuje już pod Trzebuczą i przy mnie rozkazał swemu adjutantowi, Ludwikowi Schendel, natychmiast dać o tem wiadomość komenderującemu generałowi Łubieńskiemu.

Czy można było w tem posłannictwie inaczej postąpić?... tego nie wiem, bo na wojnie, mianowicie w podjazdach, nie ma czasu do zastanawiania się, a dowódcą patrolu rozporządza konieczność spełnienia swej powinności i pierwsza myśl, jaką uchwyci... Zresztą: krewkość młodego wieku i zaufanie w żołnierzu, któremu przoduje. Kazano mi się przekonać, co się dzieje w okolicy wsi Trzebuczy: dowiedziałem się, nie dałem się wziąć dziesięć razy

liczniejszemu kozactwu, nie straciłem ani jednego żołnierza, jeden tylko mój wiarus — a pamiętam, że się nazywał Kaczor — lekko był przez policzek kulką draśnięty, ale i ten po obandażowaniu z frontu nie odszedł.

Gdym przybył do pułku, koledzy mi winszowali wycofania się z tej burdy; napiliśmy się wódki, przekąsili co było na pogotowiu i zdawało się, że temu już koniec. Ale nie... do końca jeszcze daleko... bo te dwadzieścia cztery godzin miały być i zostały epoką w mem życiu.

Po przekąsce, poszedłem do moich koni dojrzeć, aby miały wygodę, położyłem się potem na pęku słomy z zamiarem przespania się, pomnąc, iż na noc pójdę na grangardę; młody, zasnąłem wnet.

Gdym się obudził, słońce już zachodziło, ale jakoś chmurno: luzować mieliśmy pierwszy nasz dywizyon o 7-mej wieczór. Wtem wzywają mnie do kapitana Kosko, komendanta szwadronu. Dzielny to był i mężny oficer, ozdobiony krzyżem Legii francuskiej z Napoleońskich wojen. Pyta mnie, na kogo kolej po mnie iść na podjazd? Odpowiadam, że na podporucznika Woronieckiego. „A to głupio" — mówi, „to dziecko prawie jeszcze i do tego książę". Gdy badam o co idzie? odpowiada Kosko, że przyszedł rozkaz z głównej kwatery wysłać w nocy silny podjazd na wieś Trzebuczę lub jej okolice i kosztem jakiej bądź ofiary wziąć koniecznie Rossyanom niewolnika, a tym sposobem dowiedzieć się: czyli istotnie się z swej linii cofają lub nie?

Pomyślawszy, proponuję kapitanowi, iż, jeżeli Woroniecki zgodzi się dobrowolnie iść za mnie na placówkę nocną, to ja, znając już drogę do Trzebuczy z rannego patrolu, podejmę się tego podjazdu. Uściskał mnie Kosko, posłano po Woronieckiego, a gdy ten przystał na zamianę, bo miał wzrok krótki, stanęło na tem, że ja pójdę na tę wyprawę.

Udałem się zaraz do moich żołnierzy, zebrałem ich w kółko, objaśniłem nasze posłannictwo, a gdy te z zapałem przyjęli, kazałem jeszcze konie napaść i napoić, żołnierzom się posilić i czekać rozkazów.

Około 8-mej wieczór, opatrzywszy osiodłanie koni, karabinki i pistolety po ich nabiciu, kazano mi siąść na koń i udać się po ostateczne rozkazy do generała Kamińskiego. Generał miał kwaterę na przodzie miasta, w małym murowanym domku. Dochodząc, ujrzałem stojący oddział piechoty na ulicy. Zatrzymałem moich i udałem się do generała. Zdziwił się mnie widząc, miano-

wicie, że po owej w dzień rejteradzie, znów idę na podjazd. Gdym go zapewnił, że z dobrej woli, poprzestał na tem uśmiechając się. Adjutant Schendel przywołał oficerów od piechoty: weszli, a pamiętam dobrze ich nazwiska — byli to porucznik Łubieński i podporucznik Ksawery Dobrzelewski. Generał poinformował nas, że trzeba iść cicho i ostrożnie: doszedłszy do nieprzyjaciela, zlecił mi rzucić się nań śmiało, bez zważania na liczbę, bo to noc, a on również nie będzie wiedział kto i w jakiej sile go napada. Rozkazał strzelać mało, rąbać więcej a głównie przyprowadzić niewolnika, bez tego — dodał — wracać ci nie wolno. Oficerom od piechoty zapowiedział, że winni mnie zasłaniać, w razie potrzeby bronić: czynił ich odpowiedzialnymi za całość mojej osoby.

Podczas tej instrukcyi, adjutant Schendel wprowadził do pokoju jakiegoś cywilnego, wzrostu więcej jak średniego, w kapocie. Był to człowiek około 30 lat wieku, barczysty i silny w sobie. Tego nam generał jako przewodnika wskazał, rozkazał mu dać z swej eskorty dobrego konia, nawet pałasz na jego żądanie, pistoletów mu odmówił.

Gdy go wyprowadzono, generał upominał raz jeszcze, abyśmy się gracko sprawili. Tu porucznik Łubieński odezwał się: „panie generale! piechota zrobi swą powinność, chodzi o kawaleryę“... Krzywo nań spojrzał Kamiński, ja się nie odezwałem zaciskając tylko pięści. Na koniec, gdy z dat awansów pokazało się, żem starszy porucznik od Łubieńskiego, z wielkiem, jak uważałem, jego niezadowoleniem komendę całej wyprawy generał mnie oddał i pożegnał życząc powodzenia. Schendel, którego dobrze znałem uściskał mnie w sieni mówiąc: „jestem pewny, że zdrowo wrócisz“.

Wyszliśmy — siadłem na koń z moimi, ruszyłem naprzód, trójkami: przewodnik ze mną — piechota za nami a było jej 120 żołnierzy.

Ciemno było, gdyśmy w pola weszli, choć oczy wykol: szliśmy zwolna, by piechota zdążyła: deszczyk drobny zaczął padać, kazałem więc szasserom karabinki u zamków nakryć połami od płaszczów. Tak idąc drogą, którą rano postępowałem, z rozmowy z przewodnikiem, dowiedziałem się, że posiada kolonię pod Stanisławowem, że go kozactwo napadło i zrabowało, bydło mu zabrali, żonę skrzywdzili, sam zaś zbity ledwo z życiem uciekł do Mińska, poprzysięgając zemstę i oddał się na usługi generała. Oświadczył nadto, że zna doskonale każdą drożynę w lasach i na pewno nie zbłądzi.

Pierwszy raz widząc tego człowieka, w którego ręku pozostawało powodzenie wyprawy, a może całość, życie, lub niewola oddziału, zapowiedziałem mu, że mu wierzę, ale przywoławszy dwóch zaufanych mi wiarusów, kazałem go wziąć między siebie, cugle od jego konia odebrać i powiedziałem mu, że za najmniejszym podejrzanym znakiem, jaki by wydał, kulą w łeb na miejscu dostanie. Obiecałem w końcu sowitą nagrodę, jeśli się dobrze i wiernie sprawi. Na tem poprzestał zupełnie. Żałuję najmocniej, że nie pamiętam nazwiska tego człowieka.

Idziemy więc naprzód, mijamy nasze grangardy i wedety, dochodzimy do lasu już w dzień mi znanego. Zatrzymałem oddział, posłałem po oficerów od piechoty i mówię im: „koledzy, póki pole, kawalerya na przodzie, wchodzimy w lasy, wasza rzecz przewodniczyć“. Łubieński chciał oponować, ale musiał uledz, tem więcej, iż zapowiedziałem, iż będę z nim i przewodnikiem szedł u szpicy oddziału, tak też się stało. Przewodnik po niedługiej chwili skręcił w lesie z traktu na lewo wązką drożyną. Jeszcze ciemniej się zrobiło, gałęzie drzew co chwila biły w oczy, mianowicie mnie, bom na wysokim siedział koniu. Fajek zakazałem palić, postępować wolno i bez rozmowy. Deszczyk mżył ciągle.

Ileśmy czasu tak szli, jakiemi drożynami, pełnemi wyboi i korzeni, to obliczyć trudno: pewna jednak, żeśmy maszerowali ciągle jakie godzin trzy, raźnie kołując, nic przed sobą prócz ciemności nie widząc, a uchem tylko chwytając miarowy krok piechoty, a za nią czasami odzywała się podkowa szasserów o kamień uderzona. Wyznam, że mi się przykrzył ten bezwiedni, ciemny i tak długi pochód, gdy człek do człeka mógł zaledwie zaszeptać, jeden drugiego czuł, a nie widział. Porucznik Łubieński klął na czem świat stoi, półgłosem narzekał, że zziąbł i przemókł, że go już nogi bolą, potykał się ciągle. Poradziłem mu, aby się trzymał długiej grzywy mego konia, co też uczynił, a w duchu śmiałem się z niego. „Poruczniku, mówiłem, powiedziałeś, że piechota zrobi swoją powinność...“ to czyń że ją... Badany przewodnik upewniał, że nie błądzi, zdawał się być pewny siebie w tym labiryncie drożyn leśnych i upewniał, że już niedaleko.

Jakoż, niedługo las zaczął się przerzedzać — po chwili weszliśmy w zagaje — nagle przewodnik mnie zatrzymał, oddział doszedł do szpicy, wszystko stanęło.

Rozpatrzywszy się, ujrzałem się na brzegu lasu, a na początku jakiegoś pola. Pole to, ile można było w ciemnościach rozpoznać, podnosiło się w dali. Przewodnik namówił mnie, iż zo-

stawiwszy oddział, wolno i cicho postąpiłem z nim na wzgórze. Jakiż widok!...

Oto znajdowałem się na kilka staj wgłąb uważając, po za prawem skrzydłem wyciągniętych obozów rossyjskich, tem się odznaczających, że w tej późnej godzinie gdzie niegdzie jeszcze słabe światełka dopalających się ognisk błyszczały. Obeszliśmy więc w koło obozy Rossyan manowcami, a linia ich rozciągała się daleko i szeroko, prostopadle do wzgórza, na którem stałem. Były to obozy pod Trzebuczą. Stanęliśmy u zamierzonego celu.

Kiedym z uczuciem prawdziwego zadowolenia rozpatrywał to położenie, nagle z dala na prawo koń obcy zarżał... Ściągnęliśmy cugle swoim, by się nie odezwały i nas nie zdradziły... Poczuł koń konie, ale choć czujny żołnierz na wedecie stojący, nie pojął instynktu zwierzęcego. Była to po za obozowa tylna straż nieprzyjacielska, o jakie dwieście kroków odemnie stojąca. Na prawo las nieco kolanem się załamywał: wpatrzywszy się w to miejsce, gdzie się koń odezwał, zdołałem porachować rzadkie już ale jeszcze wysokie drzewa i ich wierzchołki — powróciłem do swoich. Z oficerami nastąpiła krótka narada, przypomniałem hasła nasze na tę noc wydane, któremi były „Wieniec“ i „Warszawa“. Zaleciłem, aby piechota gęsto się rozsypała po nad brzegiem lasu, na który zwycięzca lub pobity cofać się będą. Nakazałem w razie poznania i pogoni za mną, gęstym ogniem ją przywitać. Nakoniec zaleciwszy żołnierzom cicho dobyć pałaszy, frontem wstąpiliśmy na owe wzgórze pola, a przewodnik przy mnie. Na wzgórzu przystanęliśmy nieco... I znów koń pod krzakami w dali zarżał. Już nie było wątpliwości; cichą stępą posuwamy się pod nieprzyjacielską wedetę — nie upłynęło kilku minut, gromki głos o kilkanaście kroków wykrzyknął: „Kto idiot?“ Odpowiadam „swoj“; „szto za swoj“? — a ja z ruska „patruł“: a on „katoroho połka?“ — nie wiem zkąd mi przyszło na myśl odpowiedzieć: „Oleopolski gusarski połk“ — a coraz bliżej pod wedetę. Ale kozuń, bo to on był, poznał nakoniec zdradę, lecz za późno!... Wystrzelił z janczarki, konia nawrócił, nakrył się burką, głowę schylił na karku swej szkapy i dalej w nogi... Już siedziałem na nim, szassery za mną — dałem mu w tej gonitwie kilka cięć pałaszem, ale go burka zasłaniała. Tyle było dobrego, że uciekając, sam nas zaprowadził na kolumnę obozującą.

Wszystko to się działo wciągu kilkunastu sekund: inne wedety strzał pierwszy w tej chwili powtórzyły, dla zaalarmowania swoich obozów.

Teraz wyobrazić sobie trzeba, jaką być mogła ta nawalnica, ten silny i niespodziewany napad trzydziestu dwóch mężnych, na dzielnych siedzących koniach żołnierzy, na to obozowisko bocznego skrzydła Moskali, a pułku Czarnomorskiego kozaków.

Szwadrony ich stały tyłem do nas napadających, w małych od siebie odstępach: spisy kozackie utknięte w ziemię przed końmi, kozacy pokotem leżeli, śpiąc przy dogorywających ogniskach, z zupełnem bezpieczeństwem, bo obóz ich był na tyłach i mieli inne wojska przed sobą. Konie z torbami u pysków roztrenzlowane, a uwiązane do palików w ziemię wbitych. Pierwsze nasze uderzenie, wykonane w całym pędzie koni, stratowało głęboko część tej im kolumny, słabe konie kozackie powywracane, rzucały się splątane, jeszcze większy nieład i zamieszanie sprawiały. Kozactwo zgromione i przerażone, chowało się za końmi, umykało pod ich brzuchami... a dzielne moje szassery rąbią, że aż słychać było głuche zadawane cięcia, a za każdem jęk bolesny. Dodajmy: że to była noc, noc ciemna — kozaki nie wiedzieli, gdzie się obrócić, jaka ich siła napada.

Lecz przednia część tej kolumny dorwała się janczarek, zaczęła gęsto strzelać do nas bez żadnego skutku: moi żołnierze rozsypują się, to pojedynczo to kupkami, tracę ich z oczu w ciemności: sam z trębaczem Rejchertem stępo po tym pokaleczonym tłumie postępuję. W tem zagrzmiało działo... za niem wystrzał drugi... trzeci gdzieś w dali... na całej linii ognie obozów zgaszone — słychać głosy komend, krzyki, trąbki odzywowe... słowem alarm we wszystkich obozach.

Posuwam się naprzód mijając ogniska — napotykam szałas obozowy, przed nim kozak trzyma konia białego, a jakiś oficer nań siada. Schwytałem go na tej pozycyi, kiedy prawą nogę przekładał górą przez kulbakę, zawieszony lewą na strzemieniu: w tej chwili dałem mu silne cięcie po karku, a mój trębacz wpakował mu w bok pałasz po samą rękojeść: padł na miejscu z jękiem, koń uciekł, a kozak klęknął, oddał mi swój pałasz i pistolet z za pasa. Byłem tak nierozsądny, żem z konia wziął go za lufę... on zaś taki głupi, że mogąc, nie położył mnie trupem, ale przelękniony, schwycił się mego strzemienia wołając: „pamiłuj!... pamiłujtie!...“ i już mnie nie odstąpił. Spytałem go, co to za oficer, któregośmy ubili? odpowiedział, że major Pietrassow.

Rzeź ta i rąbanina trwała już od kwadransa, może i więcej, kiedym postanowił ją skończyć. Kazałem trębaczowi zatrąbić zbiór. Kiedy ten sygnał się rozlegał, słyszę po mojej lewej stronie silny

tentent koni: mocny jakiś oddział wyciągniętym galopem się zbliża, przed nim dowódzca; ten mijając mnie o kilkanaście kroków, pali do mnie raz i drugi z dwururnego pistoletu i umyka naprzód po linii obozów, oddział za nim: mogli mnie wziąć, tylko rękę należało wyciągnąć.

Ale wnet moje wiarusy zaczęli się zbierać, robi się koło mnie tłum ludzi i koni, poznaję swoich, otaczających stadko zdobytych koni i pieszego kozactwa co nie miara. Znając moich po nazwisku, wołam: „ten jest?...“ „jest“ — odpowiada — „a ów jest? Obliczcie się!...“ Bóg dał, byli wszyscy.

— „Dalej zuchy za mną, pilnować koni i niewolnika!“ Zjawia się i przewodnik. „Daliśmy im łupnia, tym zbójom, poruczniku!.. ośmiu mię rabowało, ośmiu też zrąbałem!...“ Ruszamy — wchodzimy na jakąś grobelkę wierzbami wysadzaną, któryś woła: „a to co?...“ inni przystanęli, a mój wachmistrz: „Panie poruczniku! gruszki na wierzbach!...“ Spojrzę, coś czernieje między gałęziami, a to kozacy schowani... dalejże sięgać po nich, tu jeszcze siedmiu ich wzięliśmy.

Idziemy pospiesznym krokiem, za nami ciągłe krzyki i strzały, niedługo też las zaczerniał, podchodzimy tłumnie, a tu na szerokiej linii błysły strzały, nasza piechota wali do nas z karabinów, kulki tylko świszczą w powietrzu. Wołam: „swój! swój!...“ nie pomaga, więc daję ostrogi koniowi i dopadam do lasu. Tu nas poznają, ogień ustaje, moje szassery nadchodzą. „A gdzie oficerowie?“ — pytam — nie wiedzą... jadę po linii, nie znajduję!... nareszcie trafiam na sierżanta, i znów: „Gdzie oficerowie?“ ten się zbliża do mnie i po cichu odpowiada: „Panowie oficerowie w przekonaniu, żeś porucznik z oddziałem wzięty, rozkazali nam cofnąć się w lasy, jedni ich usłuchali, inni ze mną na ochotnika tu pozostali, a jest nas ze czterdziestu.“

Skląwszy tchórzów od wszystkich rejmentów dyabłów, wołam przewodnika. „Słuchaj, mówię, lasami nam wracać nie podobna, po tej ciemnicy połowa nam niewolnika ucieknie — co robić?...“ „Panie oficerze, odpowiada: rżnijmy się przez wieś, wiem drogę.“ — „Więc naprzód!... prowadź!...“ Zebrana piechota, opłotki nam w jednej chwili rozgrodziła, wchodzimy między stodoły i chałupy, skręcamy w prawo, tu dróżyna — za kilkanaście kroków most na jakimś strumieniu czy rowie, ale dyle ściągnięte na naszą stronę. Dwudziestu piechurów wnet ułożyło na ligarach pomost, ale kozactwo piesze i konne już nas dogania ciągle strzelając. Ledwie zdążyliśmy ów most przejść, przeprowadzić konie i niewolnika

kozaki tuż, ale ów sierżant wiedział co robić, przyjął ich rotowym ogniem, by poznali, że tu jest i piechota — więc się cofnęli — znów z dylami robota — w minucie most zdjęty, dyle rozrzucone, a my naprzód.

W tym odwrocie opatrzność boska i znajomość miejscowości dzielnego przewodnika nas prowadziła. Puściliśmy się w pola, ciemność nas zasłaniała, już nie spotkaliśmy nikogo, bo zewnętrzne wedety obozu Rossyanie na ten alarm cofnęli.

W tych kilku kwadransach, trzy razy mogłem być zabity: raz od kozaka, który po zabiciu majora podawał mi pistolet: drugi, przez oficera, który pędząc z swym oddziałem, dwa razy wypalił do mnie o kroków piętnaście; trzeci, od własnej piechoty, która strzelała do nas z pod lasu. Trzy dobre szanse, to wiele szczęścia.

Po dobrej godzinie marszu, zasłaniani ciągle przez piechotę, idąc ciągle wolnym krokiem, napotykamy oficerów Łubieńskiego i Dobrzelewskiego z resztą ich oddziału, już na trakcie stanisławowskim. Jak się tłómaczyli z swego postąpienia, już na to nie zwracałem uwagi, powiedziałem tylko Łubieńskiemu: „Kolego, nie wypełniłeś swej powinności!...“ Zaleciłem wzmocnić jeszcze naszą aryergardę i łańcuchem otoczyć nasze boki i niewolników.

Jeszcze jakiś czas marszu... gromki głos odzywa się: „kto idzie!“ — poznaliśmy się wnet. Była to cała kompania piechoty z kapitanem, którą generał Kamiński za las wysunąć polecił dla rozpoznania, boć w Mińsku słyszano dobrze nasz bój i dawane salwy armatnie. Pod taką eskortą, która łącznie z oddziałem Łubieńskiego, przeszło 400 ludzi liczyła, można było być spokojnym i bezpiecznym. Wchodzimy w las i na trakt, którym wczoraj przechodziłem: piechota po obu stronach gęsty łańcuch tworzyła, idziemy więc wolno i wesoło, gwar w szeregach, wiara ćmi fajki; zdobycz, choć już szarzało, jeszcze nie rachowana.

„No, szassery! — zawołałem na swoich, — zaśpiewać teraz, jak to umiecie!...“ Organizują się śpiewacy, a wiedząc com lubił, głośnem ale rzewnem pieniem rozległa się po lesie owa sławna „Warszawianka“, o której nic nie wie obecne nasze pokolenie!... a w niej te ustępy:

O Francuzi!... czyż bez ceny
Rany nasze dla was są?...
Z pod Marengo, Wagram, Jeny,
Drezna, Lipska, Waterloo?

Świat was zdradzał, my dotrwali,...
Śmierć czy tryumf, my, gdzie wy!...
Bracia! my wam krew dawali,
Dziś wy dla nas nic prócz łzy?!...

Grzmijcie bębny, ryczcie działa,
Dalej dzieci w gęsty szyk!
Wiedzie hufce wolność, chwała,
Tryumf błyska w ostrzu pik!
Leć nasz Orle — w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, światu służ!...
Kto przeżyje, wolnym będzie,
Kto polegnie, wolny już!...

Hej, kto Polak, na bagnety... etc. etc.

Za lasem pola — już była ranna godzina, bo w dali światełka w Mińsku gdzieniegdzie migotały. Poznały nas po hasłach nasze forpoczty i grangardy, przepuszczają winszując powodzenia. Wstępujemy w miasteczko, stajemy przed kwaterą generała Kamińskiego, okna wszystkie oświecone, wypada adjutant Schendel: „Sierawski jesteś!...“ — „Jestem“ — odpowiadam. Skoczył i uścisnął mi rękę. „Wiesz — ani generał, ani my tu wszyscy oka nie zmrużyliśmy, licząc strzały armatnie i inne za lasem dawane... toć tam chyba istotna bitwa była! Generał był bardzo niespokojny o ciebie, bo jakaż to odpowiedzialność przed twym ojcem, gdybyś zginął, lub cię wzięli!... Ale z konia mój dzielny rycerzu, idźmy do generała.“

Idę — za mną się tłoczy nieodstępny mój przewodnik; generał otworzył ramiona i uściskał mnie gorąco.

— „Zdróweś? — nie ranny?“ — „Jak mnie widzisz, generale“ — „A wieluś ludzi stracił?“ — „Nie straciłem ani jednego żołnierza, koń tylko ranny jeden — niewolników nie rachowałem, koni dosyć zdobyliśmy“.

Zapalono latarnię — generał wyszedł, my z nim, nastąpiło obliczenie; koni było 26, kozactwa 29 — kilku pałaszami poznaczonych.

Generał dziękował moim szasserom, a oni wąsy pokręcali. Wachmistrz w ich imieniu prosi, abym kozactwo po kieszeniach pozwolił zrewidować. — „A cóż to, zapominacie, — rzekłem. —

ze wy gwardya?" — Zabroniłem, a później żałowałem, jak opowiem. — „Konie zdobyte — mówię — są moje, siodła i mantelzaki wasze... podział w obozie... Dziekoński!... ruszaj do pułku, powiedz, że wracamy."

A panowie Łubieński i Dobrzelewski?... mieli tyle wstydu, że nawet do raportu przed generałem nie stanęli.

Wróciwszy do kwatery, Kamiński kazał mi opowiadać wszystkie szczegóły wyprawy. Wyznam sumiennie, iż chciałem zasłonić od odpowiedzialności dwóch owych oficerów, ale obecny przewodnik, ośmielony powodzeniem, wysuwa się z za mnie i mówi:

— „Jaśnie Wielmożny Generale!... udało się, ale za mało się udało. Gdyby oficerowie od piechoty nie stchórzyli, albo bylibyśmy cały pułk kozactwa wzięli, albo ich w pień wyrżnęli, ale i tak dosyć mięsa było. Pomściłem się JW. generale!" — dobył pałasza i istotnie krwią był zbroczony.

Tu generał zwrócił się do mnie, a widząc moje zmieszanie, surowo rozkazał prawdę wypowiedzieć, — nie było rady.

Po wysłuchaniu mego raportu, Kamiński rozkazał mi kask zdjąć, pałasz odpiąć i usiąść: przewodnikowi wyliczył na dłoni dwadzieścia dukatów złotem, ja mu jednego konia ze zdobytych darowałem; piechocie zlecono, aby poszła do obozu, moi pozostali otaczając jeńców.

Wniesiono wódkę, jakąś pieczeń zimną, parę butelek czerwonego wina — wnet i samowar zakipiał — ach! jadłem też i piłem... a generał kazał sobie ciągle opowiadać i jedno powtarzać — zrywał się z krzesła, chodził po izbie, brząkał ostrogami, a swoje sławne i ulubione „ramtiti" co chwila wypowiadał. Było to jego przysłowie, czy w gniewie czy w wesołości. „Panie generale, — kończyłem — gdyby zamiast moich 30 koni, poszedł cały szwadron, sprawilibyśmy kozakom taniec wyśmienity."

Tymczasem już się rozwidniło. Schendel raport do generała Łubieńskiego ukończył — pięćdziesiąt koni Krakusów stanęło przed dworkiem, zabielały białe sukmanki jak stado gęsi, wszedł oficer. Generał kazał mu jeńców odebrać, konie mi zostawić, raport oddać generałowi Łubieńskiemu, dowodzącemu korpusem pod Mińskiem. Wyszedłem z oficerem i w jednej chwili z nim się ułatwiłem. Wyszedł jeszcze generał przed dom, jeszcze raz winszował powodzenia, żołnierzom dziękował, coś pokazał na mych piersiach, czego na razie nie zrozumiałem, podał rękę i pozwolił odmaszerować. Na koń więc! konie kozackie zabieramy i idziemy ku rynkowi miasta.

Pułk stał na koniach w kolumnie, bo już go ułany zluzowały. Skorośmy się z ulicy na rynku pokazali, muzyka pułkowa zabrzmiała „generał marsz“ na nasze powitanie, a sześćset wiarusów wykrzyknęło: hurra!... Dreszcz rozkoszny przebiegł po mnie, bo to był honor niezwykły, a może i za wielki. Podskoczyłem do pułkownika Zielonki; salutując, zdaję krótki raport. „Dziękuję, poruczniku, odezwał się głośno — dziękuję w imieniu całego pułku i wam dzielne szassery, dodaliście chwały więcej naszemu pułkowi. Panie kwatermistrzu Ciechanowski! żołnierzom tego plutonu dać podwójną racyę wódki, mięsa i sucharów — koniom podwójny furaż“. A zwracając się do mnie: „porucznika proszę na obiad do mego baraku“.

Nastąpiły uściski oficerów sztabowych i kolegów moich. Przerwał je pułkownik komendą: „szóstkami od prawego! lewe ramię naprzod! stępa marsz!“ Muzyka kopnęła się na czoło, przed nią adjutant Tomkowicz i brzmiały wesoło trąbki!... Minęliśmy miasteczko, dalej po za obozy generała Łubieńskiego, stanęliśmy nad ruczajem, zsiedli z koni, gwar zwykły się rozpoczął pomiędzy żołnierzami, wielu zbiegło się do moich na opowiadanie, a było co słuchać. Po chwili już dymiły się ogniska, szassery wodę nosili kociołkami do gotowania strawy: przyszedł do mnie mój kapitan Kosko, wycałował, „dobra krew, dobra — wołał — w tobie — chwała ci... godnyś twego ojca.“

Jam padł jak nieżywy ze znużenia, a oparłszy głowę pod krzakiem o terlicę kozacką, zasnąłem twardo.

Żałuję najmocniej tych, co nigdy obozu wojennego nie widzieli, a jeszcze obozu zwycięzkiego wojska. Według mnie, nic więcej uderzającego, wszystkich na raz zmysłów zgromadzić nie można. W dekoracyach ujrzysz żywe i prawdziwe niebo z swym błękitem i lekko przesuwającymi się białymi obłokami — las zielony i wonny, w różnych kształtach rysujący swe drzewa — tu zielona łąka nad wijącym się strumieniem, dalej rozległe pola pagórkami falujące — a nad tą pyszną i prawdziwą naturą, zwolna przesuwa się wspaniała słoneczna gwiazda. To nie płótno malarza krajobraz wyobrażające, to obraz rozległy, perspektywa nieskończona, jak ją tylko okiem dosięgnąć zdołasz. Na ziemi, na szczupłej jej przestrzeni i na pierwszym planie widoku, mrowie ludzi, z twarzy, z ruchów, mundurów sobie podobnych — tu tysiące koni i łyszczącej się broni, tam armaty w liniach wyciągnięte o zielonych lawetach, ze spuszczonemi paszczami, wycze-

kujące połknięcia morderczego naboju — wszystko niby bez porządku, a pełne jednej harmonii. W odstępach kurzą się ogniska, dym wznosi się do góry... ten dym, którego dziwne kłębowania się malarz usiłuje wnieść na płótno, aby ożywił widok ludzkiego mieszkania — martwym on jest w obrazie, tu jest on żywy, buja swobodnie pod wiatru powiewem, rozpływa się w przestworzu i wkońcu niknie. Niemasz tu mieszkań, ale jest życie pod jasnem niebem, silniejsze jak gdzieindziej — to nie wieś ani miasto... to obóz ludny, gwarny, wesoły, ruchliwy — stań na jego krańcu... przestrzeń pól niezmierzonych przecięta drogami, połamana pagórkami — na ich niskich i wyższych czołach stoją nieruchomie jakieś w dali czarne punkciki niby postacie... to wedety i straże zewnętrzne.

Gdy ciemna noc zapadnie, odmienny widok zupełnie. Silniejsze ogniska się palą, łuna nad całym obozem — nie pożar, ale wielkie świeczniki bez dachowych mieszkań żołnierza. Już on się nasycił strawą, gromadzi się do ciepłego a tyle wesołego żywiołu — tu wypoczywa, szuka rozmowy z towarzyszami — słucha opowiadań lub je udziela — o czem?... o niczem innem, jak o bitwach, w których był czynnym, a przeżył bez kalectwa... o swych dowódzcach, których postępowanie w ogniu, obroty nakazane najtrafniej niekiedy przesądza. Energiczne to są wysłowienia żołnierskie, jędrne, zwięzłe, czasem klątwą przeplatane. Nie inna jest też treść owych gawęd nocnych, bo żołnierz zapomina o świecie, póki sen ożywczy powiek mu nie zamknie. Wonczas układają się ciasno, głowę jeden na drugim wspiera lub na tornistrze — zasypiają spokojnie, nie myśląc o jutrze.

Niechże wśród tego snu dadzą się słyszeć odległe strzały wedet, powtórzone w obozie trąbą alarmową, wystrzałem z działa: zrywają się te tysiące wnet trzeźwi, przytomni — porywają za broń, te drugą ich siłę, i wnet na głos dowódzców stają w szeregu, stają się machiną posłuszną jednemu głosowi, jednej znanej im woli.

Ileż to razy przechodziłem się rozmyślnie po obozie, aby się napatrzeć tyle dziwnemu ułożeniu się tych tysiąców w jeden obraz, szanujących każdą minutę danego im wypoczynku, a niewiedzących co za jej upływem nastąpi... Tu życie, istnienie jest niczem: rachuje je niewidomy wyrok godzinami, bo każda z upływających jest dla kogoś ostatnią... A mimo tego ten, którego ciało na zawsze już zastygnie przed słońca zachodem, w tej chwili karmi je jeszcze zgłodniały i odcina się żartem temu co mu prze-

szkadza. To inni ludzie, inną naturą obdarzeni od tych na których co dzień patrzymy.

O panowie filozofowie! którzy dowodzicie, że moje „ja“ jest przedewszystkiem... przyjdźcie tu studyować człowieka, nie tak głęboko rozumującego, nie takiego, z jakim codziennie obcujecie, ale takiego, co się zaparł sam siebie i poświęca się dla dobra innych.

O piękne panie!... którym zdaje się, że nam, mężczyznom wasza opieka jest konieczną i niezbędną... Pójdźcie tu zobaczyć, jak ten wąsaty żołnierz strawę sobie gotuje bez waszej pomocy, jak pierze swą bieliznę w mule błotnym bez mydła, jak igłą obraca naprawiając usterki munduru, jak pilnuje ochędóstwa około siebie, chociaż nań nie patrzycie!... a widząc to, co tylko w obozie widzieć można, skłońcie głowy przed mężczyzn wyższością.

Tak, druga połowo rodu naszego!... Dziękujemy Stwórcy, że was obok nas postawił, ale nam tylko waszych uczuć, waszego serca potrzeba.

Idźmy do galeryi obrazów. Tu krajobraz wspaniały jasnem słońcem oświecony — tu scena rodzajowa, żywo rodzinę przedstawiająca — dalej płótno wyobrażające młodą dziewicę uroczej piękności, o jasnem oku i włosie, z niezapominajką w ręku, a ta słodko się do widza uśmiecha i napełnia go słodkiem uczuciem. Patrzymy, chwalimy... ale cóż to za tłum tam się ciśnie? idziemy — to obraz srogiej bitwy ze wszystkiemi jej fazami, które zdolny artysta schwycił z natury, lub zdołał wiernie sobie wyobrazić. Powiedzcie mi, dla czego ten tłum, co nigdy bitwy nie widział, co nigdy oglądać jej nie będzie, tu się długo wpatruje, wtajemnicza w jej dzieje, rachuje zadawane razy, wnet odróżnia zwycięzcę od zwyciężonych — zapala się, przyklaskuje, a odchodząc, duchem silniejszym się być czuje?

W pułku naszym należał do starszych kapitan January Suchodolski, adjutant generała Wincentego Krasińskiego. Już przed rokiem 1830 prace jego malarskie, mianowicie bitew, zasługiwały na odznaczenie. Ile pamiętam, piękne były płótna: bitwa pod Wielkiemi Łukami: dzielna szarża husarzy polskich pod Kircholmem: przedstawił też obraz przejścia Francuzów pod Berezyną: bitwę naszych przy oswobodzeniu Wiednia od Turków: ostatnią szarżę księcia Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem i wiele innych. Znałem go z blizka, był tylko ochotnikiem przy naszym pułku w wojnie r. 1831: chodził po obozie z teką i ołówkiem, a gdzie tylko dojrzał grupę żołnierzy i koni (a te dobrze malował), szcze-

gólnie ułożoną, chwytał do swego albumu, z czego się utworzył znaczny i śliczny rodzajowy zbiorek. Po wojnie pozwolono mu wyjechać do Włoch. Bawił tam lat kilka i sam mi opowiadał później, że za małe szkice, czerpane z owego albumu, wziął od włoskich amatorów przeszło 30.000 franków, a za większy obraz 6000 fr. Byłem i ja w tem albumie, schwycony w osobistem spotkaniu z Czerkiesem pod Nadborami.

Według mnie, mało jeszcze o wojnie, a głównie o żołnierzu powiedziano i napisano. Obok innych prawie z gruntu dotkniętych, rozleglejsze myśli i zastanowienia wyczekują właściwej odsłony. W czasie pokoju, nazwano żołnierza pracowitym próżniakiem; trudy jego wojenne i poświęcenia dotąd słabo określono. Pisano wiele o męztwie, o chwale nabytej przez te lub owe wojska, są to tylko ogólniki: nikt tego najszczytniejszego powołania nie zbadał — dlaczego? historycy piszą dzieje wojen w wygodnem swem mieszkaniu, dowódzcy o swych czynach, między żołnierzami dotąd pismaka nie było.

Nawet wysłowienia i język wojenny, jest inny od zwyczajnego. Kiedy Napoleon w czasie bitwy pod Piramidami w Egipcie rzekł: „Żołnierze!... czterdzieści wieków na was patrzy“!... kilkanaście jego batalionów, spieczonych pod skwarnem słońcem tej sfery, rzuciło się na pięćkroć liczniejszą a sławną jazdę Mameluków i rozbiło ją ze szczętem. A wieleż takich myśli tyle szczytnych, usta innych wodzów już dotąd wypowiedziały!...

Tak — czyny i mowa wojenna, jest inną od zwyczajnej; ta mowa jest krótką jak grom, czyny zdwajają się w sile pod wolą osobistą, przemówienia wodza je potęgują: pierwsze szybkie, jak piorun, drugie — w uroczystych tylko chwilach wywołuje natchnienie.

I znów pytam, dlaczego? Oto dla tego, że są wygłaszane w obec widoku śmierci, tej niszczącej siły nad całą panującej naturą... Wtedy, gdy ona kościstą swą rękę po swe ofiary wyciąga. A gardzić nią, przyznajmy, że w tem podniesieniu ducha, to heroizm, to szczytność bohaterska, nieledwie nadludzka.

Prelekcye naszych uczonych, publiczne jakie bądź mowy, takiego wzruszenia, owładnienia nad całem naszem jestestwem nigdy nie wzbudzą.

W czasie bitwy, podnosimy ducha prostego żołnierza słowem, gestem, przykładem. Idzie on i daje się zabijać, przysypią go ziemią, wykreślą z kontroli pułku i na tem koniec jego na tym świecie istnienia.

Zwycięzca, pod którym służył, w swym biuletynie ogłasza: „straciliśmy w zabitych pięć, sześć lub więcej tysięcy“, a nazwiska giną w tych cyfrach zapoznane. Opłakują ich później ojcowie, bracia, siostry, może i żony — a szczątki ich próchnieją gdzieś daleko od rodzinnej chaty...

Ocalałym w tym szerokim krwi rozlewie, monarcha lub wódz przesyła dziesięć lub więcej krzyżów zasługi; dumni są prawdą z ich posiadania ci, co je otrzymali — inni milczą. Żołnierz taki czynnym był w wielu bitwach, przyłożył się do zwycięztw i chwały swego pułku, dywizyi, lub korpusu — wraca kiedyś kaleką pod swą strzechę, bez żadnej pamiątki swych trudów i poświęcenia! W jednej Rossyi inny jest porządek. Za osobiste odznaczenie się udzielają żołnierzowi krzyż wojenny Świętego Jerzego i niektóre przywileje — wszystkim innym, aż do ostatniego furgonisty, bo i ten jest potrzebny, pamiątkowe medale z odbytej takiej lub owakiej wojny.

I to jest słuszne, nawet sprawiedliwe.

Generał Józef Kamiński, pod którym służyłem od r. 1825 jako żołnierz i podchorąży w 4-tym pułku strzelców konnych do r. 1829, to jest do dnia mianowania mnie oficerem w konnej gwardyi, był wzrostu więcej jak średniego, brunet, o twarzy czerstwej i rumianej, silny w sobie, jeździec śmiały, lubił konie wierzchowe i miewał je zawsze dzielne. Ozdobiony był krzyżem Legii honorowej francuskiej. Za bitwę pod Grochowem dostał krzyż polski wojenny; wkrótce posunięto go na generała brygady. Odważny, trochę pasyonat, gdy się rozgniewał, nie było z nim rady ani żartów. Myśliwy, para chartów zawsze biegła przy nim w marszu. Gdyśmy po bitwie wielko-czwartkowej forsowali pozycyę Kostrzyna, piechota biła się na szosie, jazda nasza przeszła w bród Kostrzyn pod wsią Suchą, Kamiński z nami na przodzie, za rzeką kawalerya nieprzyjacielska stała opodal, w tem w polu pomyka zając z kotliny... Kamiński woła: hejdz go ha!... i sam za chartami z kopyta. Zając biegnie wprost na Moskali — generał tuż — musiano wysłać cały szwadron, by go zasłonić i wycofać, bo już flankiery nieprzyjacielskie go docierały. Postawił na swojem, bo zająca charty schwytały.

W bitwie pod Grochowem 25. lutego, kiedy, manewrując wśród boju, brygada nasza z Kamińskim znalazła się chwilowo w drugiej linii, pędzi z pierwszej na białym koniu oficer ku nam. Generał sądząc, że z jakimś rozkazem, podskakuje do niego, po-

znaje Antoniego K....skiego z pułku 2-go szasserów. „Stój! Antosiu — woła — cóż to jest?“ a Antoś, który był nawet jego powinowatym, osadza konia na miejscu i prawie nieprzytomny odpowiada: „Generale!... niech ich milion dyabłów weźmie, jak kulami strzelają!...“ Kamiński koniem natarł na niego: „a ramtiti! zjadłeś sam milion dyabłów! Cóż to chcesz, aby pierogami strzelali?...“ Zwrócił mu konia, dał kilka płazów po zadzie i zmusił biednego Antosia do powrotu na pierwszą linię. Buchnęliśmy śmiechem na całym froncie.

Zapisuję tu także, że oddział piechoty, który był ze mną na owej nocnej wyprawie, należał do pułku 3-go strzelców pieszych, dowództwa pułkownika Szmigielskiego. Porucznika zaś Łubieńskiego, nie należy zaliczać do rodziny hrabiów Łubieńskich, z której Tomasz był dowódzcą korpusu w r. 1831, brat jego biskupem, trzeci, Piotr znakomite urzędy sprawował w służbie cywilnej Kongresowego Królestwa, czwarty, Henryk był wiceprezesem Banku polskiego. Porucznik Seweryn Łubieński był synem patrona Trybunału w Suwałkach, czy też w Augustowie.

Wracam do przerwanego opowiadania. W czasie snu mojego, szwadrony 1-go i 2-go naszego pułku, odbywały dzienny rekonesans na wieś Trzebucze, posiłkowane przez pułk konnych Mazurów. W Trzebuczy i na całej linii Rossyanie już się nie znajdowali; zwinęli do dnia swe obozy, cofając się ku Kałuszynowi. Badane włościanki miejscowe, bo wszystkich chłopów zajęli na furmanki, zeznawały, że mnóstwo rannych z nocnego napadu uwieziono podwodami.

Dnia 1. i 2. maja nie zmienialiśmy pozycyi. Dnia 3-go generał Łubieński dawał obiad dla wszystkich dowódzców swego korpusu, a to na pamiątkę konstytucyi też historyczną datę noszącej, którą Sejm r. 1791 postanowił. Kiedy i my ten dzień u siebie wedle możności świętujemy, adjutant Łubieńskiego przybywa, szukają mnie i powołują do sztabu: siadam na konia i jadę.

Starszyzna nasza już była po obiedzie. Kielichy tylko jeszcze krążyły: dwie muzyki na przemian wygrywały narodowe pieśni. Gwarzono o wojnie, o wielkim cesarzu, o obecnych nadziejach, Sejmie nieustającym, Towarzystwie patryotycznem, któregośmy w wojsku nienawidzili i o jego klubie. Jam wszedł, a wiedząc, że to nie służba, zdjąłem kask i czekam. W tem Kamiński mnie dojrzał, posunął się do generała Łubieńskiego, ten się zbliżył do mnie w towarzystwie jakiegoś smagłego blondyna w okularach, w adjutanckim mundurze sztabu naczelnego wodza, i mówi: „po-

ruczniku: naczelny wódz, w uznaniu twej zasługi, przysyła ci przez księcia Sapiehę (wskazał na adjutanta) krzyż polski i patent nań. Jest to znak pasujący cię na rycerza, a my starzy żołnierze, co go od dawna nosimy, jesteśmy od dziś twymi kolegami!"

Kamiński przypiął mi krzyż do piersi i wetknął patent w rękę. Wyznam, żem oniemiał ze wzruszenia... Milczenie przerwał adjutant wodza, odzywając się po francusku, bo w sztabie głównym, gdzie sami książęta i hrabiowie Skrzyneckiego otaczali, niemal tego języka używano:

„*Monsieur Lieutenant! je Vous félicite... Vous avez bien merité cette Croix — et même reparé vôtre faute, que vous avez comise le jour du 30. avril.*" Widać, że był poinformowany o mojej dziennej w owym dniu burdzie z kozakami.

Lekko skinąłem głową, a zaczerwieniwszy się, odrzekłem: „*Merci, mon Prince! dans un cas pareil, faites mieux si Vous le pouvez!...*"

Uśmiechnął się Kamiński; mój pułkownik Zielonka przystąpił z kielichem wina, wypił do mnie. Jam podniósł podany do góry, z toastem na cześć wojska polskiego i naczelnego wodza. Pomału wysunąłem się z pokoju, dopadłem konia i jednym pędem stanąłem u swoich.

Czekali na mnie koledzy — szczerze winszowali... nie mogłem mówić... Ten krzyż, krzyż polski wojennej zasługi, to ziszczone me marzenie, kołatał mi na piersi z biciem serca mego. Urosłem w jakąś szlachetną dumę.

Dnia 6. maja przybył z furgonami z Warszawy, z żywnością i furażami dla pułku, kwatermistrz Ciechanowski; doręczył mi 1.100 zł. polsk. za sprzedane konie kozackie, które mu powierzyłem i Nr. 120 *Gazety Polskiej* z dnia 5. maja, a w nim raport naczelnego wodza Rządowi Narodowemu złożony. W tym, po opisie bitew z dni 25. i 26. kwietnia, znajduje się ten ustęp:

„Po potyczce pod Mińskiem, zająłem stanowisko pod Dębem, gdzie oczekiwałem nieprzyjaciela i postanowiłem przyjąć bitwę, którą tenże, jak się zdawało, chciał wydać, niepodobna bowiem wytłómaczyć tego zaczepnego poruszenia, które z całemi swemi siłami wykonał, i które pod pozycyą Dębego miał nagromadzone.

„Tymczasem z dnia 29. na 30. kwietnia nieprzyjaciel rozpoczął marsz odwrotny. Nasze przednie straże postąpiły za nim i z różnych stron zabierają niewolnika. W nocy z 30. kwietnia na 1. maja porucznik Sierawski z 5. pułku strzelców konnych.

w trzydzieści koni obszedłszy pod wsią Trzebuczą obóz całego pułku kozaków, napadł nań z tyłu niespodzianie, część zabrał w niewolę, część trupem położył, reszta się w lasy rozsypała."

Numer owej *Gazety* włożyłem do ładownicy; nosiłem go przez całą kampanię, przebył ze mną wszystkie następne życia mego koleje i dziś po pięćdziesięciu latach mam go u siebie, zachowując jako relikwiarz i świadectwo wojskowego mego honoru i odznaczenia się. Bo też był to niezwykły wypadek, aby naczelny wódz w swym raporcie wspomniał o czynie niskiego stopnia oficera.

Oto jest kopia patentu na krzyż wojskowy:

Nr. 1.151.

Szef Sztabu Głównego

do

Pana Porucznika Sierawskiego Napoleona

Zawiadamiam Pana Porucznika, iż Naczelny Wódz siły zbrojnej Narodowej, zaszczycił Go ozdobą Krzyża Wojskowego Złotego, na którą patent w zwykłej formie później odbierzesz.

(Podpisano) Generał Brygady *Chrzanowski.*

W nocy z dnia 29. na 30. kwietnia, napadłem obozy rossyjskie: 2. maja w Jędrzejowie, datowany jest patent powyższy. Nie ociągał się więc wódz naczelny z przyznaniem mi krzyża. Tem chlubniej dla mnie.

Kapitał 1.100 zł. pols., wzięty za konie kozackie, z których najlepszego bieguna sobie pozostawiłem, użyłem jak następuje:

Trzydziestu moim wiarusom kupiłem w Mińsku tyleż butelek wina po 5 zpl.: tytoniu paczek 60 i trzy barany na rzeź.

U Czarnej Marysi, naszej pułkowej wiwandyerki, zakupiłem cały furgon prowiantów, który z Warszawy peryodycznie nam przywoziła: były tam szynki, wędzone ozory, pieczenie, porter, wina, wódka, chleb, bułki, a nawet wielka fasa przedniego bigosu. Zapłaciłem jej za to przeszło 500 zpl., a używaliśmy ze cztery dni tego bankietu. Resztę przegrałem w lanc-knechta, który jako nowość, był w modzie w obozie. Żołnierze moi po zrewidowaniu mantelzaków kozackich, znaleźli sporo porządnej bielizny, mundurów i potrzebnych żołnierzowi drobiazgów; w poduszkach

u kulbak zaszyte były pieniądze w złocie, srebrze i ruskich bumażkach, ale w niewielkiej liczbie, bo pułk czarnomorski odbywał w latach 1828 i 1829 wojnę turecką, a później był na strażach granicznych od Galicyi austryackiej. Najlepiej się jednak obłowili Krakusy, odprowadzający kozaków do Jędrzejowa. Z ich trzosów tyle nabrali pieniędzy w różnej monecie, tak potem pili i dokazywali, iż musiano im tę zdobycz odebrać i częściami wypłacać. Żałowałem, że się to moim nie dostało.

Wyjednałem nakoniec pięć krzyżów żołnierskich dla mego plutonu. Dostali je: wachmistrz Rajtarski, kapral Dziekoński, trębacz Rejchert; dwa ostatnie poszły na losowanie między żołnierzy. Pluton świecił krzyżami, a oprócz tej ozdoby był przywilej, bo żołnierz taki lub podoficer pobierał żołd podwójny: co większa — taką zyskałem reputacyę między żołnierzami w pułku, że gdybym w potrzebie krzyknął: „hej wiara! kto za mną pójdzie?...“ nie wiem już ilu by gotowych stanęło.

Ale nie koniec temu wszystkiemu. — 6. maja po południu, dobry mój przyjaciel, kapitan Gotardowski, przyszedł do mego baraku z dwoma oficerami pułku 3-go strzelców pieszych, owego pułku, którego oddział był ze mną na nocnej wyprawie. Jeden z nich, kapitan o szpakowatych już włosach, miał na piersiach krzyż Legii francuskiej: po wzajemnem przywitaniu się zabrał głos:

„Panie poruczniku! — raportem twoim zniesławiłeś dwóch naszych kolegów, obraziłeś również honor pułku. Fakt spełniony, cofnąć go nie podobna — przychodzimy więc w imieniu całego korpusu oficerów pułku 3-go strzelców, żądać od porucznika honorowej satysfakcyi.“

Spojrzałem na Gotardowskiego, ten mrugnął na mnie oczami, krótko więc odrzekłem: „przyjmuję wyzwanie, zastrzegam tylko, aby o niem wiedzieli nasi dowódzcy — wyznaczenia terminu oczekiwać będę.“

Skłoniliśmy się sobie grzecznie, oficerowie odeszli. Gotardowski podjął się zawiadomić o tem, co zaszło, pułkownika Zielonkę: upewnił mnie nadto, że jeśli przyjdzie do rozprawy, będzie mi sekundował. Kapitan Kosko również sam się w tej sprawie ofiarował.

Wnet rozeszła się ta wieść pomiędzy naszymi oficerami, głowy się zapaliły: chcieli wszyscy przeciw wszystkim stawać i splantować piechotę. Ale Zielonka ochłodził młodzież perswazyą i postanowił, że chociaż w czasie wojennym nie powinny mieć

miejsca podobne rozprawy, jeśli jednak nie będzie można uniknąć spotkania, nie odmówi przyzwolenia.

Czekamy przeto z Gotardowskim i Koską 24 godzin: kartel od piechoty nie nadszedł, siadamy więc dnia trzeciego na koń, bierzemy z sobą trzech szasserów i jedziemy do jej obozu.

Dojeżdżając, widzimy pułk 3-ci strzelców w kolumnach batalionowych, kaszkiety zdjęte, broń u nogi, kapelan przed pułkiem, bo już słońce zachodziło, odmawia wieczorną modlitwę, stajemy więc opodal, zsiadamy z koni i czekamy. Po niedługiej chwili, bataliony cofnęły się do biwaku a oficerowie otoczyli pułkownika Szmigielskiego do odebrania rozkazów. Tu czas było przystąpić — na nasze zjawienie się oficerowie zrobili nam miejsce, weszliśmy w środek a Gotardowski przemówił:

„Panie Pułkowniku! — Kolega mój Sierawski odebrał wyzwanie od korpusu oficerów tu stojących i wyzwanie to przyjął, lecz ja i kapitan Kosko, jako jego sekundanci, przychodzimy wyjaśnić tę sprawę, zanim krew tyle dla Ojczyzny droga przelaną będzie.“

Szmigielski odpowiedział: „pułk, którym mam honor dowodzić, stał dotąd garnizonem w Zamościu, i na żądanie jego to oficerów, naczelny wódz ściągnął go na linię bojową. Oddział jego pierwszy raz był w ogniu owej fatalnej nocy. Może bezwzględnem przeistoczeniem, postąpienie jego w innem świetle głównemu sztabowi zostało przedstawione... Cokolwiek bądź, oficerowie Łubieński i Dobrzelewski, wykreśleni zostali z kontroli oficerskiej pułku, z rozkazu naczelnego wodza. Nie jestem za spotkaniem, ale go nie zabraniam, zostawuję to zdaniu korpusu moich oficerów.“

Chciał się oddalić... Jakaś silna wola mną ogarnęła. „Za pozwoleniem, panie pułkowniku — zawołałem — raz jeszcze powtarzam, że wyzwanie przyjmuję, ale nie chcę być pod zarzutem zdania fałszywego raportu. Mam honor prosić o przywołanie sierżanta z owego oddziału, który mnie oczekiwał w lesie.“

W parę minut stanął młody człowiek o inteligentnym wyrazie twarzy.

— „Jeśliś żołnierz honoru, mówię, wyznaj prawdę i powtórz słowa, któreś mi powiedział w lesie, kiedym do ciebie przystąpił — wyznaj, gdzieśmy się połączyli z resztą waszego oddziału?...“

Zawahał się, ale naciśnięty przez Szmigielskiego i przezemnie, wyznał wszystko dokładnie — pułkownik skinął ręką, sierżant odstąpił.

Nastąpiło milczenie — nareszcie znów przemówił Szmigielski: „Panowie! Czarna plama zawisła na pułku!... ale ją w pierwszej bitwie zmażemy... pocieszajmy się tem, że ten podoficer i nasze strzelcy mężnie sobie postąpili, bo zasłonili odwrót szasserów; nie widzę przyczyny ani zasady do pojedynku... Panowie oficerowie, na swoje miejsca!...“

Salutujemy się wzajemnie i rozchodzimy. Innych skutków opisanego nieporozumienia już nie było. Zielonka był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Tegoż dnia doręczono mi list mego ojca. Donosił, że chwilowo jest w Warszawie, oraz że życzył sobie mnie widzieć. Generał Łubieński udzielił mi urlopu na 48 godzin. Dosiadłem mego kozackiego konia, na całą noc pojechałem i nad ranem byłem w Warszawie. Ojciec już wyjechał, wróciłem więc natychmiast; odbyłem konno przejażdżkę mil 18. W tym czasie pojawiła się w obozie cholera.

Dotąd dobrze się powodziło orężowi polskiemu; z kolei rzeczy tego świata nastąpiły klęski: Wyprawiając generała Dwernickiego na Wołyń, naczelny wódz wyraźną dał mu instrukcyę, aby prowadził to, co w technicznym strategii wyrazie nazywamy „małą wojną“. Zalecono mu nie wdawać się w znaczniejsze bitwy, nocami i bocznemi drogami posuwać się w głąb Wołynia, a w głównem zadaniu organizować rozległe w tamtych stronach powstanie. Lecz krewki generał, zaufany w dotychczasowem swem powodzeniu, oglądający się na popularność swego nazwiska, co dzień wzrastającą, popychany namowami licznych ochotników powstańczej młodzieży, szedł ślepo przeciw wypadkom bez rozwagi ich przewidywania. Na wstępie, przeszedłszy Bug, rozbił pułk dragonów rossyjskich pod Poryckiem, pobił generała Rüdigera pod Boremlem, chociaż ten przewyższające miał siły. Lecz gdy temu przyszedł w pomoc Krasowskij, gdy zgromadzili 17.000 piechoty i 2.000 jazdy, wyzywającego nierozsądnie do otwartej walki wpędzili do Galicyi. Na otrzymane wiadomości o awanturniczem postępowaniu Dwernickiego, posłał wprawdzie Skrzynecki szefa sztabu głównego, generała Chrzanowskiego, z silnym oddziałem piechoty, jazdy i artyleryi, aby go z trudnego położenia wycofać, lecz już było zapóźno. Klęska to była wielka i niepowetowana. Straciliśmy do 5.000 mężnego żołnierza, a co gorsza, upadło stanowczo powstanie Wołynia i Podola, które już się w siły groma-

dziło, a pobite w kilku miejscach, również do Galicyi wpędzone zostało. Jeden pułkownik Różycki, po trzydziestu dniach marszu ciągle niepokojonego, w których przeszedł sto kilkadziesiąt mil drogi, przyprowadzić nam zdołał trzy szwadrony wybornej jazdy i połączyć się z naszą główną armią. Zapisuję tu, że przy początkowej swej formacyi, jazda ta uzbrojona była jedynie w lance broniakami opatrzone i niemi małe nieprzyjacielskie oddziały gromiła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów konfederacyi barskiej.

Teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor.

(1769—1772).

(Ciąg dalszy).

Później, gdy zmieniły się okoliczności, gdy Francya, wysyłając oficerów i zasiłki pieniężne dla konfederacyi, otwarcie popierać poczęła związek, — Wessel, jak to dalej widzieć będziemy, — powrócił do pracy około spraw publicznych, — tymczasem atoli, przez kilka miesięcy śledził tylko i rozważał rozwijające się wypadki, nie odzywał się publicznie, stosunki z Generalnością zerwał najzupełniej i wyczekiwał pory, aby módz wystąpić stosownie do raz nakreślonego programu, którego uparcie się trzymał, mimo wszelkich niepowodzeń i trudności. Z owego to czasu przechowało się w kopiach dużo listów Wessla do Lasockiego, przed którym wynurzał się otwarcie a poufnie ze swych planów i projektów. Tutaj, zawsze kładł nacisk na zapewnioną pomoc od Saksonii, która wedle jego zdania, wyczekiwała tylko, jakie stanowisko wobec Polski zajmie Francya. Dotychczasowe relacye Gomulińskiego z Paryża, wystawiały wprawdzie w różowem świetle nadzieje pomocy dworu wersalskiego, który ze swej znów strony, oglądał się na Austryę, szczególniej w sprawie detronizacyi Stanisława Augusta; de Mercy donosil z Wiednia o chwiejnym i wątpliwym w tym względzie poglądzie sfer dworskich wiedeń-

skich. Całą nadzieję pokładał Wessel na Durandzie, którego spodziewany przyjazd do Wiednia miał ożywić negocyacye w sprawach polskich. Z Drezna raz po raz wysyłano kuryerów do Paryża, gdzie odkładano z dnia na dzień wszelkie bliższe wyjaśnienia. „Wskutek tego wyczekiwania — pisał Wessel, — stajemy się ofiarami stronników Rossyi, i przewidywać można nowe zamieszki, wojnę domową, nowe spustoszenia i zupełną ruinę kraju, po mniemanem uspokojeniu, którem dwór się chełpi...“

Dużo razy wspomina Wessel w listach do Lasockiego o spodziewanem nawiązaniu bliższych stosunków Francyi z konfederacyą, liczył też wiele na przyjazd Duranda do Preszowa, — choć jak wiadomo dopiero w sierpniu Dumouriez przybył tamże. Ale ubolewał podskarbi, że przedstawione przezeń projekta upadły, ganił postępowanie Wielhorskiego w Paryżu, nie przywiązywał nawet wielkiej wagi do zadecydowanego już w Paryżu postanowienia, wysłania do obozów konfederackich pewnej liczby oficerów francuskich. „Bo — pisał dalej — cóż robić będą ciż oficerowie bez żołnierzy, — co znaczyć mają owi wysłańcy, skierowani tylko do Paca, który z Litwinami składa stronnictwo przeciwne koronnemu? Zostawiam Panu dalsze nad tem rozmyślanie, a ze swojej strony, choć życzę tym zabiegom najlepszego powodzenia, ale spodziewać się go nie mogę. Mówią jeszcze o projektach księcia (Karola), który dotąd przesiaduje w Monachium, oczekując co mu los przyniesie. Ale projekt jego, który tak piękne wróżył nadzieje w chwili gdy był przedstawionym, dziś z trudnością zapewnić by nam mógł korzyści, jakich po nim oczekiwano. Mnogość recessów i wstręt do związków konfederackich, okazywany przez naród, — dyktują mi powyższe słowa, — potrzeba nam czegoś więcej do rozbudzenia narodu, do podniesienia jego gorliwości i obalenia podstępnych intryg stronników Rossyi. Jednem słowem, bez pomocy wojska regularnego, bez wspólnego porozumienia co do wszelkich zarządzeń, nie podobna będzie doprowadzić spraw naszych do celu upragnionego. Saxonia, tak samo jak i my, jest w ciągłem oczekiwaniu — tak przynajmniej sądzę z jej milczenia...“

Od czasu do czasu odbierał Wessel listy z Drezna, w których uskarżano się na jego bezczynność. „Odpowiedziałem — pisze on do Lasockiego 11. lipca — że jak skoro usunięte będą okoliczności, które spowodowały moje usunięcie się od spraw publicznych, chętnie wezmę się do nich napowrót. Wszystko zdaje się

wróżyć, że niedalekim jest czas, w którym będzie można rozwinąć skuteczną działalność...“

Dotychczas Francyi tylko przypisywał Wessel zwlekanie z interwencyą na rzecz Polski — ale być może, iż w grę wchodziły tu także osobiste uczucia. O ile Wessel miał w Dreźnie największe wpływy, o tyle w Paryżu biskup Krasiński zjednał był sobie najwięcej sympatyi, a „ucząc ministra Choiseula“ — jak sam się wyrażał, co i w jaki sposób ma robić w sprawie Polski, — niewątpliwie nie zapomniał i o podskarbim, któremu wszędzie radby był zamknąć drogę do wszelkich negocyacyj. Przypuszczamy, że zabiegom biskupa mógł Wessel zawdzięczać znaczne ochłodzenie stosunków z ministeryum francuskiem. Korespondencya dawniej tak ożywiona, przerwaną została i gdy Lasocki w jednym z późniejszych listów zachęcał podskarbiego do odnowienia tejże korespondencyi, Wessel odpisał mu (12. sierpnia): „Chętnie zwróciłbym się do p. de Choiseul, gdyby nie wstrzymywało mnie milczenie jego wobec kilku moich listów i zapomnienie, w jakiem mnie postawił od chwili, gdy p. Gomuliński go pożegnał. Z odnowieniem mej korespondencyi czekać będę odpowiednich okoliczności, które mi na to pozwolą, bez ujmy dla mego honoru i z zapewnieniem pewnych korzyści.“

Z innych przedmiotów, poruszanych w listach Wessla do Lasockiego, zaznaczyć należy ciągłą, systematyczną krytykę wszelkich działań Generalności, — przytaczał też krążące pogłoski, że Generalność wraz z biskupem Krasińskim przedkładała dworowi wiedeńskiemu prośbę o pośrednictwo w celu uspokojenia kraju, że pragnęła z dworem się pogodzić. W innym znów liście (z 11. lipca), Wessel pisał do Lasockiego:

„Postępowanie Generalności jest bardzo podejrzane. Bezczynność jej nuży naród i odstręcza od konfederacyi. Akta przez nią wydawane przeciw wielkiej liczbie patryotów, wywołują zniechęcenie. Chciwość jej rujnuje osoby prywatne i zanurza kraj cały w odmęt bezładu. Ciągłe spory rozniecają wojnę domową, skutkiem czego jedni drugim wydzierają wzajemnie swoje oddziały i swe łupy. A ciągła odmowa ze strony tejże Generalności co do ogłoszenia bezkrólewia i aktów przeciw stronnikom Rossyi, zdziera — wedle mego zdania — zasłonę okrywającą przed wzrokiem ogółu grę ich, której stać się możemy ofiarami. A to wszystko zda mi się być robotą tych, którzy pragną doprowadzić do pewnego porozumienia z królem. Biskup Krasiński nie opuszcza Generalności, która wszędzie ma agentów, dla popierania swych zamysłów. Nie

jeden z nich zapewne znajduje się przy dworze saskim, którego chcą podejść na równi z nami, jeżeli jakie szczególne okoliczności nie przeszkodzą tym robotom. Zaiste smutne to uwagi. Radbym bardzo, aby nie były potwierdzone przez fakta, na które patrzymy...“

Niejednokrotnie w korespondencyi swej Wessel wspomina o Bierzyńskim. I tak w liście z 27. maja, donosi Lasockiemu, że „Bierzyński dręczony przez wyrzuty sumienia, wzywał Pułaskiego pod Kraków, aby wspólnie wytępić znajdujących się tam Rossyan. Ale gdy zamiar jego został odkryty, Bierzyński wraz z 400 ludzi, których miał z sobą, zakuci w kajdany i w więzieniu osadzeni zostali. Te jednak zamysły Bierzyńskiego są dowodem, że zdrada jego była następstwem rozpaczy, wywołanej przez niesprawiedliwe prześladowanie...“ Niewątpliwie jednak zmyślonemi być musiały owe pogłoski, a cokolwiek później (10. czerwca), Wessel pisze znowu do Lasockiego:

„Jeżeli Bierzyński godzien jest, żeby jeszcze o nim wzmiankować, to donoszę Panu, że nie wiele zarobił, przechodząc na stronę Rossyan, u których pozyskał wzgardę, zanim zostanie ich ofiarą... Otrzymuję wiadomość, że zdrajca ten zrobił recess, w którym wszystkich konfederatów mianuje buntownikami i rozbójnikami. Jednocześnie wydał pismo, w którem powstaje przeciw memu szwagrowi, moim przyjaciołom i przeciw mnie. Przytem pisze o jakichś planach, które ujmę przynoszą dworowi saskiemu i dążą do zdyskredytowania wszystkich mających na celu przywrócenie naszych praw narodowych...“

Liczne z owej epoki pisma i odezwy Generalności, przedstawiają całą jej ówczesną działalność, oraz stanowisko stronnictwa, grupującego się około szefów barskich, Krasińskiego i Potockiego. Obaj, jak wiadomo, przebywali w Turcyi, skazani na bezczynność. Przez czas długi, tylko przez pośrednictwo Lasockiego, dowiadywali się, co się w kraju dzieje, jak idą sprawy związku. Ale Lasocki, jako stronnik Wessla a przeciwnik Generalności, mało się troszczył o interesa szefów barskich, zaniedbywał ich, a popierał tylko u władz tureckich program Wessla. Ztąd Generalność zamierzała go usunąć a zastąpić wielkim posłem od konfederacyi. Zrazu bardzo utrudnioną była komunikacya między Generalnością a szefami barskimi. To też w odezwie z 24.



kwietnia 1770 r., Generalność pisała do Krasińskiego i Potockiego:

„...Między wszystkiemi przykrościami, których w niniejszych Ojczyzny krytycznych okolicznościach, liczba i regestr nieprzebrany, między wszystkiemi trudami i pracami *in ordine*, zatrząśnionej zewsząd Ojczyzny winnego ratunku, ta aż dotąd była najdotkliwszą, że mimo wszystkie usilności, mimo wszystkie w tej mierze wzięte środki, żadnej z JW. Panami znaleźć i otworzyć nie mogliśmy komunikacyi." Naprożno też kołatano o pośrednictwo posła francuskiego w Wiedniu. Lasocki, do którego schodziły się pisma, tą drogą posyłane, nie spieszył się z ułatwieniem szefom barskim bliższych komunikacyj z krajem. Słusznie też narzekała Generalność, że „przez czcze i ciemne responsa Lasockiego", — zaledwie tylko wiedzieć mogli o egzystencyi szefów barskich. „Wydziwić się żadną miarą nie możemy — pisze dalej Generalność — jakie to były przyczyny i które by to były pobudki tego postępku ip. Lasockiego, że tak dawno o nas i dziełach, dostateczną mając wiadomość i wyraźne jej nieodwłocznego JW. Panom komunikowania zlecenie, dotąd je taił i przewlekał..."

Dopiero dokładnych wiadomości z Turcyi dostarczył Ignacy Suchodolski, konsyliarz lubelski, wyprawiony przez szefów barskich z różnymi aktami, a który zarazem „przez ustanowione *hoc fine* kresy", przygotował sposoby dalszego porozumiewania się. Więc zaraz Generalność przesłała szefom barskim sprawozdanie swych czynności, od chwili ukonstytuowania się swojego (w Białej, 31. października 1769), poczem wyjaśniła przyczyny, dla których obrała miejsce pobytu po za granicami kraju. „Dosięga może JW. Pana odgłos, — czytamy tutaj — że i my sami, najwięcej czasu na pograniczu węgierskiem znajdujemy się, nie wjeżdżając w granice polskie, chyba dla ważniejszych i koniecznych interesów. Nie jest to skutek naszego osobistego zalęknienia się, tyle albowiem co do nas samych, raz tę ofiarę poprzysięgłszy, ochoczo życia nasze sakryfikowaliśmy; szczególny wzgląd czyni nas ostrożnymi, iż gdy uklecenie prawnej wszystkich województw, ziem i prowincyi Generalności, tak dla przeszkód przez exotycznego nieprzyjaciela, wszędzie po kraju zbrojnie rozrzuconego, jako dla wewnętrznych dwóch obywatelów zdrad i intryg, tyle pracy, tyle czasu i tyle krajowi kosztowało milionów, exponować ją zuchwale na niepewny los przemagającego mocą nieprzyjaciela, nie zgadzałoby się z roztropnością. Będąc zaś w jednem miejscu i razem, przez jakiżkolwiek bądź przypadek znie-

sieni lub zabrani, straciłaby Rzplta w jednym momencie to *corpus representativum,* które układa i ożywia Rzpltą i obywatelów, upoważa nas przed postronnemi przyjaznemi potencyami...“

Wystawiając w dalszym ciągu położenie konfederacyi w kraju, pisze Generalność: „...Gdy więc tym sposobem pod zaszczytem pozwolonego w sąsiedniej granicy bezpieczeństwa spokojności, o krajową spokojność zaradzamy, nie przeszkadza to iżby różne dywizye generalnej konfederacyi wierne i posłuszne, ustawicznie z nieprzyjacielskiem wojskiem nie czyniły mężnie, z różnem szczęściem, jako się w wojnach zdarza, lecz i zysk w różnym czasie odnosząc. Bije się mocno dywizya wielkopolska w złączonych niejako, różnych tychże województw i województw pruskich siłach, pod komendą ip. Malczewskiego, i już o same przedmieście warszawskie otarła się była, ustąpiła wprawdzie znowu przemagającemu i na nowo upartemu nieprzyjacielowi, nie przestając atoli trzymać pola i przez ustawiczne podjazdy i napadania alarmując i ukracając nieprzyjaciela. Ma swoje korpusy Małopolska, dosyć w różnych i licznych potyczkach z nieprzyjacielem szczęśliwa. Z tych jeden pod komendą JW. Miączyńskiego, marszałka bełzkiego, z którym nadworne JO. książęcia JMci Radziwiłła, wojewody wileńskiego złączeni ludzie, drugi pod komendą JW. Pułaskiego, starosty rerulinieckiego, marszałka łomżyńskiego, prawdziwie i nieoszczędnie, mężnie i walecznie we wszystkich akcyach exponującego się i dystyngującego, za którym *hoc loco* gdy o dawniejszych niejakich dyffidencyach przez wzgląd JWPP. *fato publico* zaszłych, niejaką choć ciemną mamy wiadomość, jako najuroczyściej, całem kołem wstawiamy się i interesujemy się, — ażeby te wszystkie *amore patriae* były umorzonemi i zupełnie zapomnianemi, powtarzamy albowiem to parcyalne świadectwo, że we wszystkich krokach, prawdziwego i cnotliwego obywatela gorliwości dowodząc, szczęśliwie i z dystynkcyą honor oręża narodowego utrzymuje. Jest jeszcze dywizya pod ordynansami JW. Dzierżanowskiego, marszałka gostyńskiego, są inne drobniejsze pod komendami dalszych regimentarzów, pułkowników i rotmistrzów. Prowincya litewska, lubo w istocie żadnego czyniącego nie okazuje korpusu, ustawicznym transmarszem wojsk rossyjskich na Wołoszczyznę ostrożna, wszystkie atoli czyni starania i sekretne przygotowania, iżby za pierwszą okazyą była w stanie ścisłego związku i nieodrodnej dowieść cnoty i wiary. Takowy więc stan rzeczy naszych w kraju, tym szczególnym namieniliśmy końcem, iżby potencyi N. Porty ministrom, w miarę *permissionem*

czynione być by mogły remonstracye, że jesteśmy narodem nietylko przyjacielskim, nietylko auxyliarnym, ale razem wyraźną wojną z Moskwą toczącym. Wysłaliśmy też posłów do dworów cudzoziemskich, *idque* do dworu wersalskiego Jmć p. Wielhorskiego, kuchmistrza litewskiego, cnotą, gorliwością i sposobnością znajomego i doświadczonego. Podobnież męża wielkich zasług JW. Roztworowskiego, starostę żytomierskiego, do dworu drezdeńskiego, którzy i mimo okazałość przyjętego lub nie charakteru, interesa konfederacyi popierać i reprezentować mają w zleceniu. Nieominęlibyśmy wiedeńskiego i berlińskiego dworów, gdyby też w niniejszych okolicznościach *strictam* postanowiwszy *neutralitatem*, dozwoliły nam były hazardować posłanie *ad compromissionem authoritatis Reipublicae*. W instrukcyach przyjaznym dworom danych, zalecone są punkta, nietylko z konfederacyą barską zgodne, ale owszem z obligacyą, iżby pomocy tak skutecznie dodane były, jakoby ściśle wejrzeć i ukarać bez dystynkcyi stanów *autores scelerum*. W tychże instrukcyach również jako w instrukcyi JW. Lasockiego, któremu Generalnej konfederacyi rezydenta w Stambule charakter przesłaliśmy, zalecono jest najwyraźniejszym sposobem, iżby wszystkie te dwory upewnić, że Generalność nasza nie jest inna, jako tylko na fundamencie podniesionej przez JWPana w Barze konfederacyi, że prowincye koronne nie mają i nie uznają nigdy szefów, jak tylko JWPana generalnym marszałkiem jednego, regimentarzem drugiego; przez ścisły swój związek z generalną konfederacyą litewską pod JW. starostą ziołowskim, *ad praesens in absentia* wszystkim prowincyom przodującym; że cele tej to krajowej konfederacyi nie są inne tylko te same, które JWPana są własne. Ztąd nieodbita wynika potrzeba, ażebyście JWPanowie nieodwłocznie przez najpewniejszą okazyę nam komunikowali, coście *in ordine* przyspieszenia *salucis publicae* traktowali i postanowili, tak, iżby autentyczną rzeczy pewnością przeświadczeni, co jest ojczyźnie i celom naszym zbawiennego, *conformiter* z strony naszej ustanawiali, potwierdzali i publikowali: to co może *crisis fatorum* i przykra nieuchronnych okoliczności potrzeba gwałtem wycisnęła, wreszcie zapobiegając przyzwoite do podźwignienia wynajdowali środki. Punkt ten zdaje się być nader jasny, iżby jeszcze potrzebował tłómaczenia, że się względem zupełności granic krajowych, względem fortecy kamienieckiej i względem narodowego jassyru chcemy inforwować i oświecić...“

Pominąwszy inne punkta missywy Generalności, zaznaczyć należy przebijającą się troskę i obawę ciągłych zdrad i podstę-

pów. Walka stronnictw wrzała na całej linii, powodując nawet w łonie samejże Generalności wzajemną między członkami nieufność, — nie mówiąc już o wielkiej liczbie tych wszystkich, którzy stojąc po za plecyma Generalności, bezustanną z nią toczyli walkę, pragnąc ją obalić, aby samym módz zająć owe zwierzchnicze niby w narodzie stanowisko. To też z widocznem przygnębieniem Generalność pisze do szefów barskich o takowem położeniu rzeczy, wzmiankując zarazem o głośnej sprawie Bierzyńskiego: „Niżeli list ten skończyć przyjdzie — czytamy tu — dla partykularnej JWPana informacyi, równie jako dla okazania czynności naszych, tę jeszcze mu przyłączamy wiadomość, że nie zbywa i nam na zdrajcach sekretnych i skrytych, większa jest liczba ich, niżeli w regestrach zawrzeć się mogła, tak dalece, że nie zbywa na przestrogach, iż i w samem kole, z którego dziś piszemy, skryci znajdują się *praeditores*. Czas ich odkryje, i zbliży tem cięższą im dłużej przewleczoną karę, równie jako p. Bierzyńskiemu... który z najniegodziwszych pobudek, okrutną gotując zdradę, zbliżał wielu cnotliwym obywatelom nieszczęście i zgubę. Dał Bóg tę knutę z dworem i książęciem Wołkońskim, posłem moskiewskim, dość wcześnie odkryć zdradę, i przez JW. Dzierżanowskiego wzięty winowajca, z kajdan przed dniem zasłużonej egzekucyi, przez podobnych łotrów znalazł sposób ucieczki. Co przedsięweźmie dalej, donieść nie zaniedbamy, dosyć w tem liczące zysku, że odkryte planty jego, dają nam czas przestrzeżenia narodu, niszczą i zmniejszają kredyt jego, pozorem fałszywej gorliwości nabyty.“

Wreszcie wspomina tu Generalność, że postanowiła wysłać wielkim posłem do Porty księcia Radziwiłła, wojewodę wileńskiego, a jako „ministra plenipotencyalnego“ Joachima Czernego, chorążego zatorskiego, marszałka krakowskiego. Dla tego też starać się należy o ferman i uproszczenie wszelkich trudności. W sprawie tej kilkakrotnie zgłaszała się Generalność nie tylko do szefów barskich, ale do wszystkich przedstawicieli konfederacyi za granicą, szukając poparcia, szczególniej u dworu wersalskiego. Wprawdzie Lasocki wyraźnie pisał, iż Porta odmawia fermanu, ale gdy Generalność w ogóle nie ufała Lasockiemu, jako popierającemu wyłącznie politykę Wessla, przeto tylko na szefów barskich liczyła, że wyrobią potrzebne pozwolenie Porty i przyznanie Radziwiłłowi „charakteru wielkiego posła przy zwyczajnych w takich okolicznościach prerogatywach.“ Wielhorski w tej sprawie usilnych dokładał starań w Paryżu, odnośne missywy

szły do posła francuskiego w Stambule, ale Porta, mimo półoficyalnych obietnic, uznać nie chciała posła stanów Generalnych, co najwięcej zezwalała na poselstwo do wielkiego wezyra. W sierpniu sygnalizowano Generalności ze Stambułu, że potrzebny do poselstwa Radziwiłła „instrument“ jest gotów. Mimo zastrzeżeń Porty, Generalność przystawala na warunki wymagane, ale brak funduszów stał na przeszkodzie wyjazdowi posłów, o czem też później donosiła Generalność szefom barskim (16. sierpnia) pisze:

„Cała trudność, nieznośne ztąd nasze umartwienie, defekt kassy naszej na potrzebne *exinde* i nieodbite expensa. Sekwestrowane albowiem przez Moskwę wszystkie dobra jednego (Radziwiłła) zniszczone i zrujnowane drugiego (Czernego), kassa nasza w dochodach swoich nadto szczupła, tak przez nieprzyjaciela exotycznego jako i wnętrzny porządek rozerwana, ustawicznym nieodbitym expensom wystawiona, — wchodzi to wszystko w przyczyny *ex utraque parte impossibili*. Wzięliśmy wszystkie środki i nie opuszczamy nic cokolwiek by mogło ten tak nader potrzebny przyśpieszyć wyjazd i tak tenże książę JMć wojewoda wileński, jako wszyscy w powszechności, ofiarujemy substancye nasze i zapisujemy chętnie one *in evictionem*, byleby kto chciał pożyczyć sum potrzebnych, które jak prędko zebrane będą i potrzebny przez Węgry do przyjazdu paszport z Wiednia wyjednanym, tak *ipso facto* nieodwłocznie nastąpi przyspieszenie podróży tak żądanej.“ Później atoli Radziwiłł odmówił podjęcia się tego poselstwa, mimo ponawianych kilkakrotnie wezwań Generalności. Może zastrzeżenia Porty zniechęciły wojewodę, może uważał za ubliżenie dla swej godności, — sprawowanie poselstwa tylko do wezyra, dość że z czasem sam Czerny wyjechał do Turcyi, ale miało to miejsce dopiero latem 1771 roku.

Ów niedostatek pieniędzy, o którym pisała Generalność z racyi projektowanego poselstwa Radziwiłła, jeszcze dotkliwiej czuć się dawał w sprawach wojennych, o czem już poprzednio pisaliśmy. Teraz Generalność pisała do Roztworowskiego, posła konfederacyi w Dreźnie (30. kwietnia): „Żołnierz niepłatny odmawia być posłusznym, podatki rozszarpane i wybrane, nadziei nawet nie zostawują kassie. Sami radę tę składający, w dobrach swoich *ac consequenter* w potrzebach subsystencyi wyniszczeni, posiłki zaś tak dawno przyrzeczone, dotąd próżno oczekiwane, słusznem prawem wątpić nam każą, że nie muszą być skutkiem wcale już wziętych i determinowanych intencyi.“ W późniejszem znów piśmie Generalności (30. czerwca) do Józefa Miączyńskiego i Ta-

deusza Przyłuskiego, bełzkiego i czernichowskiego marszałków, którzy zapewne upominali się o forszusy na wojsko, — czytamy dane objaśnienie w sprawie funduszów, następującej treści: „...wszystkie przykrości, trudność, szkodę, stratę i podobne z niepłatności żołnierza wynikające inkonwenyencye, znamy równie i czujemy, ale nie jest to „w ludzkich rękach niepodobne przemieniać rzeczy i uczynić to, co naszą przenosi możność. Póki jakiskolwiek w kassie ciągnął się zapas, nie przeczyliśmy nigdy dzielić go na te potrzeby, które nam były powszechne i wspólnie użytecznemi. Protestowaliśmy w pierwszym liście, że grosza jednego na prywatną nas marszałków i konsyliarzów, w szczególności, nie obrócilismy potrzebę. Protestujemy z tąż samą otwartością, *ad praesens* przydając jeszcze upewnienie, że wszystkie które tylko być mogą starania do zaciągnienia z kądkolwiekbądź na imię Generalności, bądź na kogożkolwiek z nas prywatnych nieomieszkiwamy. JMć ksiądz biskup kamieniecki równe z swojej strony podobneż czyni zaciągnienia długu starania, nie jesteśmy bez nadziei, a czekamy *et aliunde* sukursu, nie tylko codzień ale co minuta, i skoro tylko z kądkolwiek wejdą pieniądze, te przesłać do obozów nieomieszkamy. W teraźniejszym zaś czasie, upewnił nas JW. Łomżyński (Kazimierz Pułaski), że znając stan kasy generalnej, przez własny kredyt komendę swoją utrzymywać w zupełności i powinności będzie starał się. Ten chwalebny przykład równie JW. Panom niechaj służy, ażebyście utrzymali ludzi ile można, upewniając o niezawodnem *etiam* zaległych w czasie swoim wypłaceniu...“

Nic też dziwnego, że wobec piętrzących się co chwila trudności, Generalność nie przeceniała sił swoich, uważając prowadzoną walkę jako środek przeciągnięcia tylko zbrojnego oporu, do chwili spodziewanej interwencyi dworów. W tym też duchu pisała (26. kwietnia) do Wielhorskiego: „...Zawieszone akcye nasze, muszą być koniecznie teraz słabe i tylko dla wskazywania jakowejś egzystencyi ciągną się, albowiem nic dzielnie, nic skutecznie przedsięwziąć nie możemy, raz, że dostatecznych *hoc fine* brakuje nam środków, drugie, że sprawiedliwie ostrożnymi być chcemy, iżby niewczesnym krokiem lub gorętszem jakiem przedsięwzięciem, nie chybić miar i przepisów, na które nam od dworu wersalskiego doczekiwać zlecono...“

Nadmieniona tu ostrożność co do „niewczesnych lub gorętszych przedsięwzięć“, odnosiła się do drażliwej kwestyi ogłoszenia bezkrólewia w Polsce. Myśl odsądzenia Stanisława Augusta

od tronu, poruszaną już była od samych początków konfederacyi, atoli odkładano dopełnienie tego projektu do czasu wzmocnienia sił konfederacyi a przedewszystkiem do czasu uregulowania sprawy tej w porozumieniu z dworami przyjaznymi. Jak widzieliśmy, Wessel z całem swem stronnictwem pragnął już dawno owego bezkrólewia i agitował za niem, obiecując powołać dom saski do objęcia tronu polskiego. Generalność przecież długo się broniła i nie dopuszczała do przedsięwzięcia, które mogło być źle widziane u dworów, wyczekiwała szczególniej na decyzyę Francyi. Tymczasem szefowie barscy, przebywający w Turcyi, już w kwietniu 1770 roku spisali manifest, ogłaszający bezkrólewie. Bliższych okoliczności, towarzyszących wydaniu tego aktu, zupełnie nie znamy, tyle tylko wiemy, że Suchodolski, wysłany z Turcyi w kwietniu 1770 r. przywiózł ów manifest do Generalności, z żądaniem, aby był solennie po kraju ogłoszony. Generalność znalazła się w kłopocie, — postanowiła też odłożyć publikacyę tego aktu, z czego tłómaczyła się w następującem piśmie do szefów barskich, pod datą 11. czerwca:

„...My, którzy w wyraźną z dworem francuzkim weszliśmy determinacyą, nic z ważniejszych materyi bez zniesienia się z niemi nie możemy stanowić, a przez posła naszego jesteśmy obligowani nie ogłaszać bezkrólewia, póki Francya z nami względem kandydata i z sąsiedzkiemi potencyami względem środków do tak ważnego celu dążących, nie ułatwi się i nie umówi. Nie mogliśmy inaczej, tylko przyjąwszy przysłane Ich uniwersały z poważaniem, publikacyą ich do niejakiego czasu wstrzymać. *Accedit* jeszcze, iż *immediate* przed ich odesłaniem, byliśmy uszczęśliwieni przytomnością w tych tu stronach naszych Najjaśn. Cesarza JMci rzymskiego, nie możemy go dosyć wielbić ze wszelkich ludzkości Jego nam świadczonych: pozwolone są JW. marszałkowi generalnemu explikacye *gravaminum* rządu dzisiejszego et *crisum* stanu naszego, lecz rezolucye, które i sam do widzenia się z panującą matką zawiesił, tak były ostrożne, iż chełpić się żadną miarą nie możemy, że doszliśmy celów i intencyi tego najsławniejszego i najpierwszego z monarchów. Po tej więc bytności i ledwo oddaleniu się Jego, pośpieszyć krok, wedle wszelkiej polityki slizki, byłoby to *compromittere* powagę Majestatu, dać przyczynę powszechnej opinii, jakoby z cesarskiego instynktu i stać się — uchowaj Boże, słusznego ztąd ressentymentu ofiarą. Przepraszamy a zatem że to tak chwalebne i tak wspaniałe dzieło

wstrzymujemy do tego czasu, w którym uderzenie pierwej będzie uczutem, niżli przejrzanem..."

W instrukcyi zaś spisanej dla Suchodolskiego, powracającego do Turcyi, polecili delegatowi upewnić szefów barskich, iż „przysłane *publicationis interregni* uniwersały, są prawdziwie zgodne z powszechnym celem naszym...", ale w oczekiwaniu na rezolucye dworu francuskiego, do czasu zatrzymują ich ogłoszenie. W tejże sprawie pisała jeszcze Generalność do Michała Wielhorskiego do Paryża (20. czerwca): „...Jakie JWW. Barscy nakoniec wzięli determinacye, które to były przyczyny, dla których wstrzymaliśmy publikacyą tych rezolucyi, z przyłączonej responsu naszego kopii najdostateczniej wyczytać i widzieć będzie można, zachowując dyskrecyą tej wiadomości, ani komunikując komużkolwiek. Rozgłoszenie bowiem *in publicum* dałoby broń w ręce źle intencyonowanym i zażyliby tej okoliczności na oczernieniu naszej Generalności, iż z Barskiemi nie jesteśmy jednomyślni: że to, co według ich jest najessencyonalniejszem, gwałtownie utrzymujemy, — nie przenikając celów naszych, że taż sama w nas i równie gorliwa chęć była, jest i będzie, że pragniemy dopełnić jako najprędzej, ale ze wszelką ostrożnością i jakąkolwiekbądź nadzieją..."

Latem 1770 roku, przybył do Wiednia nowy przedstawiciel dworu wersalskiego Durand. Przyjazd jego poprzedziły wieści, że ważne niezmiernie wiezie polecenia swojego rządu co do spraw polskich, również dużo otuchy dodała wiadomość, że przyjeżdża wysłany przez Choiseul'a, francuski pułkownik Dumouriez, mający zająć się lepszą organizacyą sił wojskowych konfederacyi, a z nim wielu innych oficerów, oraz że odtąd stały zasiłek pieniężny dostarczany będzie konfederacyi.

Generalność w piśmie z 19. lipca, do Pułaskiego i innych marszałków pisała:

„Z Paryża stanął kuryer z wiadomością, że pułkownik francuzki, jadący do nas, ma wszystkie gabinetu powierzone sobie sekreta i że *directe*, nie referując się do żadnych *collateraliter* osób, *cum Generalitate* traktować i ustanawiać będzie. Tymczasem dla wzięcia jakiegokolwiek we dworze wiedeńskim oświecenia, jeszcze na jakiś czas pozostał przy Imci panu Durandzie umyślnie na to zesłanym." W chwili zaś przyjazdu Dumouriez'a do Preszowa (27. lipca), Generalność wysłała missywę do Wielhorskiego

do Paryża, a uważając ów przyjazd oficerów francuskich, jako wielki tryumf zabiegów, czynionych u dworu wersalskiego, wyrażała posłowi swemu wdzięczność. Czytamy tu bowiem:

„Oczekiwany z taką niecierpliwością, zbliżył się moment, w którym zaczniemy przynajmniej jaśniej niejako czytać w naszych przeznaczeniach, którekolwiek publicznej szczęśliwości wynikną ztąd skutki. Pierwsze *exinde* obligacye JW. Panu winnemi będą, który staraniem niespracowanem, rzadką przezornością, dostateczną naszego i ojczyzny stanu reprezentacyą, węgielny rzeczom położywszy kamień, obfite do przyszłej budowli przysposobiłeś materyały, wprawdzie gdy aż dotąd o samej tylko mówimy nadziei, ani w niniejszym liście rozszerzać się będziemy z dostateczniejszą projektów explikacyą, gdy Jmć pan pułkownik Dumouriez dziś w nocy stanął, jeszcze i nic nie rozpoczął, coby albo względem posiłków pochlebiać, albo względem intencyi dociekać można. Gdy atoli światłem roztropności wnosić potrzeba, że ten kawaler próżno i bez projektu wysłanym być nie może, cokolwiek w dalszym negocyacyi ciągu będzie pezedsięwziętem, JW. Panu otwarcie będzie komunikowanem."

Chcąc zaś mieć stałego w Wiedniu rezydenta, któryby interesów polskich pilnował przy dworze tamtejszym, a zarazem mógł potrzebne prowadzić negocyacye z posłem francuskim, Generalność przeznaczała na to stanowisko generała Zboińskiego, starostę kowalskiego, do którego wystosowała (10. lipca) list następujący:

„Pragniemy i spodziewamy się, iż list ten szczęśliwszem niżeli pierwszy przeznaczeniem, prędzej dojdzie rąk W. Pana, a przez konsekwencyą, że respons Jego wcześniej upewni nas o żądanej rezolucyi i determinacyi.

„Sentymentów rzadkich gorliwości, a nad powszechne wyższych przymiotów Wm. Pana, rozmyślnie zamilczymy opisanie, gdy sam sobie w szczególności i Ojczyźnie w powszechności nader znajomym jesteś, iżby potrzeba przez podobne expressye pobudzać intencye albo determinować chęci. Od samej zaczynamy istoty rzeczy, która z natury swojej da poznać ważność okoliczności i ztąd nieodbitą determinowanej na żądanie nasze rezolucyi potrzebę.

„Poświęceni na świętą swobód naszych obronę, ciągnęliśmy w nieustannem staraniu to przykre jarzmo, nic nie omieszkując, cokolwiek tylko do powszechnego uszczęśliwienia mogło *contribuere*. Zawarte wszędzie prawie wrota znaleźliśmy, zkądkolwiek tylko jakiejśkolwiek pomocy mieć mogliśmy nadzieję, stałość, determi-

nacya, chętna nietylko majątków ale i życia ofiara, trwale głoszona rezolucya, że nie pierwej podniesiony złożymy oręż, aż wydarte Ojczyźnie przywróconemi będą zaszczyty: że same groby nasze budujący następcom czyniąc przykład, nie zaspokoją cudzą ambicyę nieszczęśliwego zawsze, atoli o całość swoją troskliwego narodu. Ta więc stałość determinowała nakoniec niektóre dwory nie tylko do otwartego za nami interesowania się, ale i do wykonania najskuteczniejszych nieodwłocznego posiłkowania środków. Tak Porta, która dotąd Barskich naszych pod szczególnem tułaczów i schronienia szukających imieniem cierpiała i znosiła, teraz już z temiż, jako z istotnymi sprzymierzonej Rzpltej szefami, traktować nie wzbrania się. Mamy tego w ostatnich, sub prima Junii z Warny pisanych listach, jawne świadectwo. Ofiaruje sukurs i szczególnie czeka na determinacyą liczby, sposobów i kondycyi — jakokolwiek sukurs takowy nieodbicie potrzebnym zda się, — zataić atoli tego nie możemy, że dotyka serca nasze, lękają nas okropnie, uchowaj Boże, z takiej pomocy wyniknąć mogące pożytki. Pamiętamy te obowiązki, iż nas nie tak zemsta, jako raczej szczególny Ojczyzny ratunek wzbudzać i prowadzić powinien; strachamy się zuchwałego lekarstwa, pilnie go z niebezpieczeństwem choroby ważąc: przeto obraliśmy raczej niejaką w przewłoce czasu szkodę, niżeli porywczo śmiały i zuchwały krok czyniąc, kiedyżkolwiek żałować uczynionego. Obróciliśmy więc wszystkie starania do dworu wersalskiego, a przez pracowite i przezorne JW. IMC. Pana kuchmistrza litewskiego u tamtego dworu reprezentacye, staraliśmy się za najpierwszy cel wciągnąć dworu wersalskiego skuteczniejszą asystencyą. Zdajemy się być bliżej oczekiwania, kiedy po wielokrotnych *pro* i *contra* remonstracyach i rezolucyach, nakoniec dwór tenże otwarcie posiłkowania nas biorąc determinacyę, dla tem łatwiejszego *in deccurentibus* traktowania wysyła do nas Monsieur de Demouriez, razem wysłał do Wiednia Mr. de Durand, polskich okoliczności i samemu JWm. Panu dobrze znajomego, wyraźny wkładając na nas obowiązek, iżbyśmy ze strony też naszej wysłali osobę charakteryzowaną, a w znajomości narodowych okoliczności zaleconą.

„Przenikasz JWm. Pan łatwo, jak siła na tej zależy negocyacyi i że od niej szczególnie przyszłe kraju naszego zawisły losy. Widzisz łatwo, jeżeli komużkolwiek z wyższą ufnością podobnego powierzyć możemy zlecenia. Jeżeli nie ten ostatni jest krok, który ślizgo postawiony, ostatecznym bez nadziei powstania grozić może upadkiem, — jakiej interesów nie potrzeba znajo-

mości, jak gruntownej *status* Rzpltej praktyki, jakiej na ostatek delikatności w traktowaniu i kombinowaniu polskich, saskich, francuzkich, tureckich i austryackich interesów. Przeświadczeni jesteśmy, że gdy o tak gwałtownej mówimy potrzebie, że gdy o tak trudnej piszemy negocyacyi, czujesz JWm. Pan w sobie samym nieodbitą sukursu potrzebę i już wcześnie niejako domyślasz się, że w tych kolorach taimy osobę Jego, zaklinając Go najsolenniej, *amore patriae,* ażebyś wszystkie względy, trudności i przeszkody wspaniale na stronę odłożywszy, na to miejsce, gdzie największa nalega potrzeba, skuteczną swoją niósł pomoc. Pochlebialiśmy my jeszcze za bytności tu w Preszowie, Najjaśniejszego cesarza, pewne dworu wiedeńskiego wsparcia i pomocy, albowiem ten monarcha nie tylko wszystkich nas chciał mieć sobie na kompaniach prezentowanymi, ale prywatną przytomnym senatorom, acz krótką, a JW. marszałkowi generalnemu dwugodzinnej nie odmówił audyencyi, na której czyli *respectu status* czyli *respectu gravaminum* nic nie opuścił, aby nie informował kwestyi i w czemby jak najdokładniejszej nie potrzebował explikacyi, dowodząc przez gatunek pytania, że ze strony nieprzyjaciół naszych dostatecznie już był informowanym, i ze strony naszej równie skarg i zażalenia naszego jawne (miał) dowody.

„Czas zdaje się teraz odkrywać tajemnice, że to nie przypadkowej ciekawości, ale ułożonego już planu było skutkiem. Zaklinamy więc powtóre JWM. Pana tymże winnym Ojczyźnie miłości obowiązkiem, ażebyś jak najprędzej do drogi Wiedeńskiej uczyniwszy przygotowania, a niniejsze w najściślejszym sekrecie strzegąc doniesienie, i którykolwiek wojażu swego wziąwszy pretekst, jak najprędzej spieszył tu do nas, dla wzięcia ostatnich rezolucyi, uprzedzając zaś żądane przybycie swoje w dniu ruszenia się, przez umyślną *eo fine* sztafetę nieodwłocznie nas upewnił i uwiadomił. A ponieważ w nacisku praw *inde* wynikających, wiernej ręki i znajomego charakteru potrzebna pomoc, ponieważ nie zawsze i nie wszystkie okoliczności piórem traktowane być mogą i wyniknąć może potrzeba osobistego z Wiednia do nas *cum expositionibus* przesyłania. Ponieważ w czasie swoim sekretarza *legationis* będzie potrzeba, przeto ażebyś JWm. Pan w trakcie podróży swojej, WImć Pana Wybickiego z sobą zabrać i razem w tę podróż *assotiare* raczył, najusilniej obligujemy...“

Kazimierz Pułaski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

późniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

(Ciąg dalszy.)

Ci tedy wszyscy Elektorowie i Posłowie idąc na ratusz Remer nazwany, do izby Conferentiarum, (którą opisałem pod datą 20. Augusti) i tam swoim porządkiem zasiadają, to jest pod baldachinem na miejscu z desek uno gradu podwyższonym, suknem czarnym posłanym jest krzeseł 7 w równym rzędzie. Na miejscu najpierwszym, to jest w pierwszym krześle zasiada Xże Elektor Arcybiskup Moguncki jako Archi Cancellarius Imperiej per totam Germaniam: przy nim Elektor Arcybiskup Trevirensis: potym Pierwszy Poseł Bohemiae, potym Pierwszy Poseł Electoris Palatini Rheni, pierwszy Poseł Saski, Pruski, jako Elektora Brandenburskiego i pierwszy Poseł Elektora Hannowerskiego, jeszcze tu dwoch Elektorów nie dostaje, to jest Bawarskiego i Kolońskiego, ale że ci podczas wojny teraźniejszej na stronę francuzką udali się contra Imperium, dla tego ab Electione exclusi, a nawet państwa ich podane au Banc de l'Empire, to jest in confiscationem.

Przy stole zaś, na srzodku izby postawionym ex opposito baldachinu siedzą tymże porządkiem Posłowie subalterni, to jest secundi in ordine. Za niemi siedzą trzeci Posłowie, za trzeciemi quarti in ordine: bo to zawisło na woli Elektorów lub dwóch, lub trzech, lub czterech Posłów ordynować. A lubo są praesentes Electores, jednak mają swoich Ministrów Subalternos, co między drugiemi, trzeciemi i czwartemi posłami in suo ordine ex opposito swego Elektora zasiadają. Jako to ex parte Xcia Elektora Moguntckiego lubo przytomnego, był najpierwszy Cancellarius Moguntinus Mr. Lasser. Mr. le Comte Schönborn Grand Marechal de Majence i Mr. le Comte Schönborn Grand Prevaust de Würtzbourg. Ci obadwaj Schönbornowie są synowcowie samego Elektora. Ex parte Elektora Trewirskiego byli ad conferentias naznaczeni. Subalterni Mr. le Baron d'Els Grand Dojen du Chapitre, le Baron Kieselstadt Grand Prevaut de Spine Synowiec przeszłego Elektora. Le Baron Sollern Chancellier de Treve, i ci Subalterni powinni być instructi charakterem poselskim i plenipotenciey od swoich Principałów lubo przytomnych. Przy stole drugim przy ścianie zasiadają Secretarij legationum co Acta piszą. Ex opposito stołu sekretarzów, na małym stoliku stoją różne liquory i konfitury, co zowią rafraicki pement, co procurat miasto dla tych, co się chcą posilić. Notandum, że między temi Posłami ten co jest ostatni in ordine mówić powinien, inni pierwsi nie mówią, to jest nie notują.

Gdy tedy tę pierwszą sessyę zasiedli, Mr. Lasser le Cancellier de Majence uczynił propozycyą po niemiecku, imieniem Pryncypała swego, po której niedługo bawiąc się rozjachali się, ale już non sparsim albo promiscue jako przyjeżdżali, ale swym porządkiem, to jest najpierwszy odjachał Elektor Jmć Moguncki z swoją assistencyą, potym Elektor Trewirski, potym Posłowie Czescy, Posłowie Faltz Graffa albo Electoris Palatini, Posłowie Sascy, Pruscy i Hannowerscy, każdy do swojej stanciey. Notandum, gdy Posłów Czeskich powracały karety, brytan jeden z domu pewnego mieszczanina wypadszy, uchwycił i obalił konia z cugu najpiękniejszego a lubo ludzie przytomni poselscy obronili konia, jednak pies dużo go poszarpał i obraził.

Tegoż dnia witał Królewica Jmci Mr. Breittenbach Marechal de la Cour de Treve. Przed wieczorem wyjeżdżaliśmy z Królewicem Jmcią konno na przejażdżkę nad Maenem i spotkaliśmy

się z Elektorem Jmcią Trewirskim, który incognito w karecie parą końmi bez żadnej assistenciey przejeżdżał się z drugiej strony Maenu, przez most przejechawszy.

VIII.

Ceremoniał dworski. — Wizyty. — Assamble. — Wizyta u malarza Rossa. — Przybycie ks. Salerno w poselstwie od Papieża. — Podarunki. — W Ballhauzie. — Polowanie na jelenie. — Wyjazd do Darmstadtu.

20. Aug. Rano posłałem Pana Morteisena, Kawalera Królewica Jmci do Jmci Pana Grafa Schonborna, co jest Grand Marechal de Majence, prosząc imieniem Królewica Jmci pod tytułem Grafa de Lausnic, o audyencyą u Elektora Jmci Mogunckiego i o naznaczenie godziny, który przyniósł rezolucyą, że Elektor Jmć czekać będzie z ochotą o piątej po południu. Więc tegoż Mr. Morteisen posłaliśmy i do Elektora Jmci Trewirskiego prosząc także o naznaczenie godziny, który także o piątej naznaczył. Rano Królewic Jmć jeździł do Ballhauzu to jest au jeu de pomme, gdzie według zwyczaju dwie godziny zabawiwszy się, powrócił do stanciey i na objad jachaliśmy do Jmci Pana Barona de Frise, Kanclerza i pierwszego Posła Saskiego. Po objedzie jachał Królewic Jmć na godzinę naznaczoną do Elektora Jmci Mogunckiego, któremu ja nie mogłem assistować dla tego, że mając commissa à Republica musiałem assumere charakter Senatorski. Ale jachał z nim Mr. Miltiz i inni kawalerowie od Ambassady Saskiej. Tam gdy przyjachał Królewic Jmć zastał pełno kawalerów na pokojach i Mr. Cnobel Marechal de la Cour wprowadził Królewica Jmci prosto do pokoju Elektora Jmci, który do progu tak jako przeciwko mnie, gdym tam był pierwej, wychodził i gdy Królewic Jmć wszedł z Elektorem Jmcią do pokoju, Mr. Miltiz i inni wszyscy zostali się w Antykamerze. Po krótkiej rozmowie stojąc retyrował się Królewic Jmć, którego odchodzącego także do progu odprowadzał Elektor Jmć, a Mr. Marechal de la Cour odprowadzał do wschodów, a niektórzy les Gentilshommes aż na dół. Potym jachał Królewic Jmć do Elektora Jmci Trewirskiego, u którego tymże sposobem był przyjęty jako u Mogunckiego z tą tylko distynkcyą, że Elektor Jmć Trewirski wyszedł do drugiego pokoju przeciwko Królewicowi Jmci i wprowadził go do swego

pokoju sam jednak przodem idąc i po prawej ręce. Także wychodzącego aż do drugiego pokoju wyprowadzał.

Tegoż dnia rano Mr. Henning drugi Poseł Pruski nagle umarł z apoplexiey; ale że Mr. le Comte Dona, pierwszy poseł miał wyraźnie w swoje plenipotenciey moc od Pryncypała sobie daną (jakoby z jakiego praessentymentu) czego z innych Ministrów żaden nie miał, substituendi innego na miejscu Collegi swego in casu necessitatis; więc niemieszkanie substituit J. Pana Barona Mardenfeldta: i Collegium Electorale przyjęło onego i uznało za drugiego Posła. Wieczorem samym jachaliśmy z Królewicem Jmcią na Assemblée, do Jmci Pana Grafa Wartenberga, quondam pierwszego Ministra Króla Jmci Pruskiego teraz disgraciowanego, gdzie wszyscy niemal Panowie i Damy najznaczniejsi tam się zgromadzili, jedni grami w karty, drudzy konwersacyą bawiąc się. Sam JPan Graf Wartenberg na pół schodów spotkał Królewica Jmci przychodzącego. Tam więcej niż godzinę zabawiwszy się, powróciliśmy do gospody.

27. Aug. Rano byli u Królewica Jmci Mr. Sztaffenberg Grand Ecuyer Elektora Jmci Mogunckiego: dwaj Baronowie Rottenhan, Kawalerowie od tegoż Dworu. Potym Mr. le Comte de Waldeck znacznej in Imperio familiey et le Comte de Castel. Także Mr. le Comte de Hohenlo Conseiler prive Cesarza nieboszczyka, et le Comte Gejersberg Conseiller aulique także Cesarza przeszłego i Trockses Elektora Jmci Moguncкiego. Mr. de Babrem od Dworu Xcia Jmci Hesse Cassel. Mr. le Baron Schmertzing kawaler Saski i JPan Kurnatowski, Polak u Króla Jmci Pruskiego zostający, który tu dla widzenia aktu Elekciey przyjachał. Ku wieczorowi jeździliśmy konno, nad Maenem za miasto, gdzie karet było na promenadzie więcej niż sto. Wieczorem samym jachaliśmy na Assemblée do Barona de Wizer Rezydenta Electoris Palatini Rheni, gdzie się wszyscy znaczni ludzie znajdowali.

28. Aug. Witali Królewica Jmci Mr. le Comte Kreitenslau, krewny Elektora Jmci Moguncкiego, Mr. Potmar Saxon. Wieczorem samym byliśmy na Assemblée u Xiążęcia de Taxis młodego, który ma za sobą Xżniczkę de Lobkowitz z Czech. Ojciec tego Xiążęcia tu mieszka i jest Generalnym Pocztmistrzem per totum Imperium. Tam była wszystka kompania w innych dni u Grafa Wartenberga i u Barona Wisera. Tegoż dnia relacyą niemiecką posłaliśmy Królowi Jmci. Item witali Królewica Jmci Mr. Faust Envojé de l'Eveque de Bamberg, Mr. le Comte Schöneck z Śląska

i Mr. Frańckenberg także z Śląska. Mr. Schrader. brat posła drugiego Hannowerskiego, Mr. Gajsling. Kawaler Hannowerski. Mr. Jachseim z Margrabstwa Bahreit, Mr. le Comte Lenard pasierb Grafa de Werther. drugiego posła Saskiego. Mr. Auer Kawaler Elektora Jmci Trewirskiego.

29. Aug. Rano był u Królewica Jmci Biskup de Neisztatt z Austriey, z domu Buchheim. krewny Elektora Jmci Moguńckiego. który gdy zastał Królewica w antykamerze, wprowadził go do pokoju zwyczajnego do audyenciey, i potym wyprowadził do antykamery wychodzącego, a Mr. Morteisen schodził na dół do karety tak przyjmując jako i odprowadzając onego. Potym Mr. le Comte d'Oetling, co ma za sobą Grafównę Schönbornównę synowicę Elektora Mogunc. Mr. le Comte Schöinbork, z domu Grafów de Waldenbourg. Dwaj Grafowie Solms. Mr. von der Horst, Generał Elektora Jmci Trewirskiego. Na ostatek był Mr. le Comte Rechtern Envojé de Hollande, którego u progu Królewic Jmć przyjmował w izbie audyenciey i do progu odprowadzał: z tymże Ablegatem Hollenderskim był i syn jego; i tego Ablegata Mr. Morteisen na dół odprowadzał. A ponieważ Elektor Jmć Moguncki jeszcze wczorajszego dnia zastrzegł par Mr. Erberstein Envojé du Roy à Sa Cour. że dnia dzisiejszego chciał być u Królewica Jmci incognito po obiedzie, więc o piątej godzinie przed wieczorem przyjachał w karecie parą końmi. żadnej assistenciey oprócz kilku lokajów z sobą nie mając. a w karecie z nim siedzieli Mr. le Comte Schönborn. jego synowiec Grand Marechal de Majence. i Mr. Sztaffenberg Grand Ecuyer i Mr. . kawaler jegoż dworu: Królewic Jmć zbiegł na dół przeciwko niemu aż do karety i wprowadził go na górę prosto do pokoju audyenciej. gdzie krzesło stało. odstawione do ściany dla Elektora Jmci, a drugie krzesło przy ścianie w rzędzie swoim było. ale Elektor usieść nie chciał. a gdyby usiadł, toby pewnie nie w odstawionym krześle ale obok przy Królewicu wziął miejsce, albo gdyby usiadł w krześle odstawionym. toby Królewic Jmć w najbliższym krześle przy ścianie wziął swoje miejsce, alboby od drzwi swoje krzesło postawił, dając zawsze rękę Elektorowi Jmci. Sami tylko dwaj byli ze sobą a inni wszyscy w antykamerze zostali. Zabawiwszy się blisko pół godziny wyszedł Elektor Jmć, którego sprowadzał Królewic Jmć na dół aż do karety i czekał w progu aż się kareta z Elektorem ruszyła. Wszyscy Kawalerowie od Ambasady Saskiej byli w Antykamerze i assistowali Królewicowi Jmci wprowadzającemu i wyprowadzającemu. idąc wszyscy przed Elektorem i Królewicem. Ja

zaś jako nie byłem z Królewicem Jmcią, gdy Elektorom oddawał wizytę, tak i gdy Elektor przyjeżdżał nie assistowałem Królewicowi, dla tego że biorąc charakter Senatora cum Commissio od Króla Jmci et à Republica, byłoby to incompatibile utrumq. munus publice exercere non derogando dignitati Senatoriae. drugie jest inconveniens, żebym quà Senator nie mógł zostać przed Antykamerą z innemi, a quà Grand Maitre nie powinienbym pretendować. Simili modo gdybym wszedszy do pokoju audyenciey był z niemi, gdyby Elektor i Królewic usiedli, staćby mię quà Senatora nie zdobiło, a quà Grand Maitre siedzieć bym nie powinien. I tak uchodząc utrumq. inconveniens, w takich okazyach assistować Królewicowi Jmci nie mogłem quà Comiti Lusatiae, sam biorąc charakter Senatora. Tylko Mr. Miltic assistował, i on już teraz wszystkich przychodzacych wprowadzał do Królewica Jmci, a ja tylko do antykamery przychodziłem, czyniąc sobie okazyę do poznania noviter przychodzących. Elektor Jmć był w krótkich sukniach i w krótkim płaszczu ubrany en Abbé incognito. Tegoż dnia Elektor Jmć Trewirski chciał także być incognito u Królewica Jmci, ale że ten już się był dawniey opowiedział, dla tego Elektor Jmć Trewirski na inny dzień tę wizytę odłożył, ale przysłał Mr. Breithenbacha Marszałka Dworu swego, prosząc na dzień jutrzejszy Królewica Jmci na obiad do siebie, i mnie także prosił, et JPana Miltica i P. Morteisena, przez którego obiecaliśmy się, ułożywszy przez tegoż Marszałka traktament jakośmy mieli być akkomodowani, co się in die sequente opisuje. Tegoż dnia był u mnie z wizytą Mr. Eberstein Envojé Króla Jmci à la Cour de Majence i ja oddałem wizytę JJ. PPanom Lubomirskim młodym.

30. Aug. Rano witali Królewica Jmci Mr. Dalberg Conseiller Privé de l'Electeur de Treves, Mr. le Marquis San Bacaro Bononiensis Kawaler J. Xiędza Nunciusza Albaniego. Le Marquis de Palestrino Florenczyk. A że Elektor Jmć Trewirski prosił do siebie na objad Królewica Jmci, więc o godzinie pół do pierwszej jachałem z Królewicem Jmcą w jednej karecie, a w drugiej Mr. Miltiz z P. Morteisenem. Gdyśmy przyjachali, Mr. Braittenbach Marechal de la Cour schodził z kilką kawalerami aż na dół do karety, i ci wszyscy szli przed Królewicem na górę do pokojów, gdzie przychodząc Elektor Jmć wyszedł do antykamery przeciwko Królewicowi Jmci, i przywitawszy wprowadził go sam idąc po prawej ręce, i sam przodem wchodząc do pokoju swego i ja wszedłem z Królewicem Jm. (bom wprzódy przez Marszałka dworu

opowiedział to, że mi w antykamerze zostawać charakter Senatorski, który assumpsi nie pozwala), a Mr. Miltic z innemi został przed pokojem. Tam blisko pół godziny diskursem zabawiwszy się, jak dano znać, że jeść było na stole, Elektor Jm. najpierwej wyszedł, przy nim po lewej ręce Królewic Jm. Przyszedszy do stołu po benedykciey pewnego Prałata Elektor Jm. usiadł na miejscu najpierwszym pod baldachinem, przy nim po lewej ręce jako incognito i niepretendujący starszego miejsca usiadł Królewic Jm. a ja przy Królewicu, inni jako kto stanął, tak miejsce wziął. Siedzieli zaś u stołu Prałaci i Kawalerowie niżej opisani. Mr. le Baron d'Els, Grand Dojen de Treve. Mr. le Baron Kiesestadt Grand Prevaust de Spire. Mr. Kiesentruck, Panowie de Munster et Olmutz. Mr. le Baron Tasthungen, Conseiller Privé de l'Empereur. Mr. le Baron de Lejen, Landthoffmeister. Mr. de Saint Severin Envojé de Parme. Mr. le Baron Furstner Envojé de Lovraine. Mr. le Baron Eberstein Envojé du Roy a la Cour de Majence. Mr Plantamour Envojé du Roy a la Cour de Treves. Mr. Miltic. Mr. Morteisen. Stół był wielki owal na osób 15, ale by się i 20 wcześnie zsieść mogło, krzesło samemu tylko Elektorowi dano, innym wszystkim stołki avec dossier, sans bras. Elektor Jm. przy jedzeniu najpierwej pił do Królewica Jm. jegoż zdrowie małym kieliszkiem, potym moje zdrowie i innych kolejno jak u stołu siedzieli. Także Królewic Jmć zdrowie Elektora i innych kolejno. Ja i inni wszyscy tymże sposobem. Za pierwszym noszeniem żadnej nie było muzyki, za drugim noszeniem trębacze trąbili, a za trzecim, to jest przy wetach les cornes de chasse razem przeplatano z trębaczami; zrazu służyli do stołu Kawalerowie, póki się Elektor Jm. nie napił, poczym zaraz retyrowali się, a paziowie służyli do stołu aż do końca. Po obiedzie znowu Elektor Jm. wprowadził Królewica Jm. do pokoju, gdzie i ja wszedłem, i zabawiwszy się pół godziny, wyszedł Królewic Jm., którego Elektor do drzwi drugiego pokoju albo antykamery odprowadził; a Marszałek Dworu z kilkunastą Kawalerami sprowadzał aż na dół do karety. Wieczorem byłem sam tylko na assemblée u Xżnej Jm. de Nassau Husing, siostry rodzonej Xżnej Jm. de Lichtenstein.

31. Aug. Rano witali Królewica Jm. Mr. le Comte de Schönfeldt, Kawaler Elektora Jm. Palatini Rheni. Mr. Cantir Gouverneur du Prince Hereditaire d'Anhalt Kieten. Mr. le Comte Billard Prussien. Mr. Winterfeldt de Prusse. Mr. Altensleben de Prusse. Mr. de Jager de Prusse. Jako zaś przed trzema dniami

opowiedział się Xże Jm. Trewirski, że miał być z wizytą u Królewica Jm. i miał być 29., tylko że tegoż dnia był Elektor Jm. Moguncki, więc przysłał jeszcze Marszałka Dworu swego, dając znać, że po objedzie przyjedzie, i między piątą i szóstą przyjachał parą końmi w krótkich sukniach, z kilka tylko lokajami przy karecie. W karecie byli z nim Mr. le Comte Ferrari Grand Chambellan i Mr. Brettenbach Marechal de la Cour i jeden z Kawalerów jego. Tymże sposobem Królewic Jm. przyjmował Elektora Jm. jako i Elektora Mogunckiego na dół schodząc do karety, tak przyjmując jako i wyprowadzając, i w pokoju krzesło tymże sposobem było wystawione, jako się w wizycie i przyjmowaniu Elektora Jm. Mogunckiego opisało pod datą 29. Augusti.

September.

1. Septembris. Witali Królewica Jm. rano Mr. Dalberg Chambellan de l'Electeur de Majence, Mr. Hotten Chanoine de Majence i z bratem swoim. Mr. Itroth Grand Veneur de Darmstadt. Mr. Shlenfuss Grand Veneur et Frere de l'Abbé de Follen. Mr. Saint Severin Envojé de Parme. MMr. le Marquis Rinucini Envojé de Florence. Po objedzie byłem z Królewicem Jm. u JP. Kanclerza Frisa, a potym w Companiey jachaliśmy na promenadę zwyczajną nad Maenem, gdzie z drugiej strony rzeki trębacze de Mr. le Comte Schönborn Grand Prevost de Würtzbourg trąbili przeplatano avec les cornes de chasse.

2. 7-bris. Jeździliśmy rano w pole z rusznicami i chartami w dobrach Grafa de Solms pod Ridelheim, gdzie jest rezydencya jego bliżej niż o milę od Frankfortu. Ale że czas był szpetny, deszcz z wiatrem i z gradem, tylkośmy jednego zająca uszczwali, był z nami w kompaniey Mr. le Comte Gratz Conseiller Privé Xcia Elektora Trewirskiego.

3. 7-bris. Elektor Jm. Moguncki jako wczorajszego dnia, gdyśmy z pola powrócili, przysłał Kawalera swego prosząc Królewica Jm. na dzisiejszy dzień na objad do siebie, tak rano przysłał znowu drugiego Kawalera. A że sessya na ratuszu trwała aż do godziny wtórej z południa, więc na pół do trzeciej jachał tam Królewic Jm. z Mr. Milticem i z P. Morteisenem. Jam został w gospodzie dla niedispozyciey i bolu gardła, co mi z zaziębienia wczorajszego przypadło. Tym zaś sposobem był przyjęty Królewic u niego, jako gdy pierwszy oddawał wizytę (jako się pod datą

26. Aug. opisało), to jest Mr. Cnobel Marechal de la Cour przyjmował Królewica Jm. przychodzącego do pokojów, i prosto Królewic Jm. wszedł do pokoju Elektora Jm., który do progu wyszedł a Mr. Miltız i inni wszyscy zostali w Antykamerze. Tandem, gdy jeść dano, Elektor Jm. usiadł na miejscu najwyższym pod baldachinem, a Królewic Jm. nie affektując miejsca pierwszego, usiadł przy nim po lewej ręce. Inni wszyscy sparsim siedzieli jako który na które miejsce przyszedł. Siedzieli tedy u stołu, Elektor Jm. Królewic Jm. Mr. le Baron d'Oels Grand Dojen de Treves. Mr. Lansberg Grand Prevaust de Hildesheim. Mr. Haefeldt i Mr. Maisbuch Chanoines de Majence. Mr. le Comte Stadion Grand Maitre de Majence. Mr. le Comte Schönborn Grand Marechal de Majence. Mr. de la Lejen Landhoffmeister de Treves. Mr. le Comte Schönborn Grand Prevaust de Würtzbourg. Mr. Eberstein Envojé du Roy à la Cour de Majence. Mr. Plantamour Envojé du Roy a la Cour de Treve. Mr. Miltız. Mr. Morteisen. Wszystkich było u stołu osób 15. Zdrowia tymże sposobem pito malemi kieliszkami jako u Elektora Jm. Trewirskiego (jako się pod datą 30. Augusti opisało). Po objedzie wszedł znowu Elektor Jm. z Królewicem Jm. do swego pokoju i tam zabawiwszy się przez quadrans wyszedł. Elektor Jm. do progu odprowadzał, a le Marechal de la Cour i inni kawalerowie aż na dół do karety. Kawalerowie służyli do stołu, póki się Elektor Jm. nie napił, a potym paziowie aż do skończenia objadu. Muzyka takaż była jako u Elektora Jm. Trewirskiego, to jest trębacze avec les cornes de chasse. Tegoż dnia witali Królewica Jm. Mr. Gieisling d'Altheim. Mr. Kinsberg Kawaler z Alzaciey. Mr. Opel Kawaler Saski.

4. 7-bris. Witał Królewica Jm. le Prince Hereditaire d'Anhalt Keten, Mr. Dene. Mr. le Baron Grodeck de Boheme. Po objedzie jeździł Królewic Jm. konno za most na drugą stronę Maenu, do lasku bliskiego dla przejażdżki. Tegoż dnia odebrałem expedycyę od J. Króla z Kancellariey Koronnej, to jest listy partykularne do wszystkich Elektorów Jm. i supplement do instrukciey in ordine ad Commissa publica na tę elekcyę.

5. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. Taverna Rezydent Angielski w tym mieście i Mr. Fleming Kawaler z Pomeraniey, synowiec JP. Generała Fleminga. Na obiedzie z Królewicem Jm. byłem u JP. Barona Frisa, posła saskiego, gdzie była JP. Grafowa de Dona, żona JP. Grafa Dona, pierwszego posła Króla Jm. Pruskiego. Po objedzie jeździliśmy . . . . do ogrodu blisko

promenady nad Maenem, sławnego malarza tutecznego Mr. Mariene nazwanego, który ma oraz titulum Consiliarij Elektora Jm. Moguncklego i tam do wieczora zabawiliśmy się. Tegoż dnia Monseigneur Albani przysłał do mnie Mr. l'Abbé Merenda, prosząc mię na dzień jutrzejszy na objad do siebie.

6. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. Dalberg Chambellan Elekt. Jm. Trewirskiego i z bratem. Mr. le Baron Szpigiel z Westphaliey. Ja na objad jachałem do Monseigneura Albaniego. Zkąd po objedzie jachałem do Elektora Jm. Moguncklego, mając sobie godzinę naznaczoną między czwartą i piątą, któremu list Króla Jm. z pieczęcią Koronną oddałem, et desideria albo commissa exposui. Zabawiwszy się blisko godziny na audyenciey, gdym wyjeżdżał, posłałem sekretarza mego a Mr. le Comte Ferrari Grand Chambellan de l'Electeur de Treves, i prosiłem o audyencyę u Elektora Jm. Trewirskiego, który że mi zaraz nieodwłocznie czas naznaczył, byłem tedy u Elektora Jm. Trewirskiego z listem Króla Jm. także z koronną pieczęcią et publica commissa ustnie wyraziłem. U obudwóch Elektorów Jm. tym sposobem byłem przyjmowany jako na pierwszej mojej audyenciey, co pod datą 24. Augusti opisałem. Po tych audyencyach byłem na Conferenciey z JM. Panami Posłami Saskiemi, u JP. Kanclerza Frisa.

7. 7-bris. Rano byłem u JPana Grafa Werthera i JP. Barona de Hagen. Królewica Jm. witali Mr. Schack Grand Veneur de Darmstadt. Mr. Hollar Conseiller de Hannower. Wieczorem jeździłem z Królewicem Jm. na Assamblée do Xżnej Jm. młodej de Taxis.

8. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. Krott Gentil'homme de Hannover. Mr. Plesse Danois, Mr. le Baron Ber. Po obiedzie ku wieczorowi jachaliśmy do Lange, miasteczka po drodze ku Darmstadt jadąc, do Xcia Darmstadtt należącego, dwie mile od Frankfortu, gdzie Mr. Utrot Grand Veneur tego Xcia czekał Królewica Jm. i myślistwo sporządził na polowanie na dzień jutrzejszy. Więc na tym miasteczku przenocowawszy, nazajutrz to jest:

9. 7-bris. Jachaliśmy w pole rano najpierwej z legawemi psami i fuzyami na kuropatwy, których przede psy w lot zabiliśmy w dwóch godzinach trzynaście. Potym wjachaliśmy w lasy, gdzie kupa ludzi z wsiów poblizszych była zgromadzona do pędzenia zwierza obławą, a my z fuzyami na przesmykach byliśmy rozstawieni, gdzie dwóch zajęcy i lisa ubiliśmy, sarna zaś jedna

z postrzałem uszła. Po objedzie ku wieczorowi powróciliśmy nazad do Frankfortu.

10. 7-bris. Witali Królewica Jm. rano Mr. Veniger Grand Veneur de l'Electeur Palatin. Mr. Reingraffe. Mr. le Baron de Krugè Suisse. Po objedzie miałem audyencyę u JPana Grafa Windisgraza Pierwszego Posła Czeskiego, któremu list Króla Jm. do Króla Jm. Hiszpańskiego Carola oddałem. przyłączywszy kopią dla Posłów informaciey. Rano posyłałem mego Sekretarza. prosząc o naznaczenie godziny i mając piątą po południu naznaczoną. gdym na tę godzinę przyjachał. wyszło trzech kawalerów Poselskich. przyjmując mię u samych drzwi u pałacu. którzy przedemną idąc prowadzili mię po wschodach na górę. gdzie w pierwszej sieni uszykowani byli lokaje poselscy. i sam JPan Graf Windisgratz do ostatniego pokoju wyszedł. dając mi rękę prawą et passum przed sobą. aż do trzeciego pokoju, gdzie dwa krzesła z poręczami były postawione i ja na wyższym miejscu usiadłem. Po oddanym liście i skończonej audyencyej i wyrażonych ustnie punktach w instrukciey mnie zleconych, co trwało blisko godziny i po wzajemnym komplemencie, retyrowałem się, gdzie pomieniony JPan Windisgratz wyprowadzał mię aż do wschodów. a kawalerowie pomienieni szli przedemną na dół aż do samej karety, i czekali ażem wsiadł w karetę i ruszył się z miejsca. po której audyencyjej do gospody powróciłem.

11. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. le Comte Schliwen Wojewodzic Inflanski i Mr. le Comte Nini z Florenciey. Tegoż rana posłałem Sekretarza mego do JPana Grafa Kinskiego, co jest Vice Cancellarius Bohemiae, a drugi in ordine poseł Czeski, i do JPana Konsbrucha trzeciego posła Czeskiego. prosząc o audyencyę i naznaczenie godziny. Więc że miałem naznaczoną godzinę piątą u JPana Grafa Kinskiego a szóstę po południu u JPana Konsbrucha, jachałem tedy na czas determinowany do JPana Grafa Kinskiego, gdzie także we drzwiach na dole przyjmowało mię dwoch poselskich kawalerów i prowadzili przedemną idąc na górę, gdzie w sieni domowi byli także z obu stron uszykowani, a JPan Kinski wyszedł do sieni i także rękę et passum dając mi, wprowadził do trzeciego pokoju, gdzie krzesła dwa z poręczami były postawione i na wyższym miejscu usiadłem. Po skończonej audyenciey, expositis punctis instructionis, i po wzajemnych komplementach, co trwało blisko godziny, tandem wyszedłem i JPan Kinski wyprowadzał mię do samych wschodów. i póki z pierwszych wschodów nie zszedłem. czekał na górze,

a kawalerowie dwaj aż do karety mię odprowadzali i czekali aż odjachałem.

Ztamtąd jachałem prosto do JPana Konspruchа trzeciego posła Czeskiego, u którego jednakową recepcyę miałem, jako u JPana Kinskiego. Po których audyencyach skończonych, byłem u JPana Barona Frisa, gdzie wszystkich posłów Saskich w kupie zastałem, z któremi po konferenciey jachałem na promenadę zwyczajną nad Maenem zaraz za bramą, gdzie że czas służył piękny, było karet barzo wiele, wszyscy niemal posłowie przejeżdżali się i Elektorowie Jm. obadwaj Moguncki i Trewirski. Po przejażdżce samym wieczorem jachałem znowu do JPana Barona Friza, który Królewica Jm. zaprosił i mnie z nim na kolacyą i już zastałem tam Królewica Jm., gdzie po kolaciey zabawiwszy się grami różnemi w kompaniey wszystkich Saskich posłów, późno w nocy powróciliśmy do swojej quatery. Tegoż dnia JPan Graf Szliwen, Wojewodzic Inflancki Marszałek Dworu Xcia Jm. Cardynała Sax Zeitza, przyjachawszy świeżo z Wiednia, był u mnie. Także Mr. le Comte Nini, co był przy mnie w Wiedniu posłanym od Xcia Jm. Florenskiego en qualité d'Envojé Extraordinaire, do uczynienia Condolenciej familiey Cesarskiej po śmierci Josepha Cesarza.

12. 7-bris. Rano Królewic Jm. jeździł na łowy pod Pokenheim w Grabstwo de Hanau pół mile od miasta, gdzie kilka kuropatw i siedmiu zajecy, których ludzie z chrosty wyganiali, zabiliśmy. Po objedzie jeździliśmy na zwyczajną promenadę. Posyłałem zaś od siebie Sekretarza do JPana barona Sibingien pierwszego posła Electoris Palatini Rheni, i do drugiego posła Doktora Iuris nazwanego Micker, prosząc o audyencyę i naznaczenie godziny, ale że już pózno było wymówili się, że dla swoich konferencyi czasu mieć nie mogli. Potym posyłałem lokaja do JPana Grafa Schönborna, brata rodzonego Elektora Jm. Moguneckiego, co był Consiliarii Intimus Cesarza Leopolda, opowiadając się, żem mu się chciał kłaniać i prosząc o naznaczenie godziny jako i do Biskupa de Neisztadt z takimże komplementem. Tegoż dnia wieczorem JPan baron Sibingien, pierwszy Poseł Palatini Rheni przysłał swego Sekretarza, prosząc mię na dzień jutrzejszy na objad do siebie i za tą okazyą chcąc się ze mną rozmówić, alem się wymówił, żem był gdzieindziej angażowany. Tegoż wieczora przysłał swego kawalera JPan Graf Schönborn, oświadczając się z wzajemną ludzkością i gdyby mu słabość zdrowia pozwoliła, żeby mię swoją wizytą uprzedził, ale jeżelibym mu dnia

jutrzejszego chciał ten honor wyświadczyć, że mi godziny naznaczać nie chce, ale czekać będzie z ochotą na ten czas, który sam naznaczę i tak obiecałem się na dzień jutrzejszy na dziewiątą z rana. Tymże sposobem Biskup de Neisztadt przysłał swego człowieka, oświadczając się, że mię jutro sam chciał uprzedzić.

13. 7-bris. Na umówioną godzinę, to jest o dziewiątej z rana jachałem do JPana Graffa Schönborna, brata Elektora Jm. Mogunckiego. Gdym wjachał w podwórze, wyszło kilku Kawalerów przyjmować mię do karety i szli przedemną na górę, gdzie u wschodów przyjmował mię sam JPan Graf, exkuzując się, że dla słabości i starości nie mógł tak prędko znijść na dół, i dając mi zawsze rękę et passum i miejsce wyższe w krześle w pokoju, po wzajemnym komplemencie i diskursie, zaleciłem mu interessa zlecone sobie od Króla Jm., aby je u brata swego Elektora Jm. Credytem swoim utrzymował. Potym retyrowałem się i gdy mię do wschodów odprowadził, ledwo uprosić mogłem, aby się w swej słabości na dół schodząc nie turbował. Potym jachałem do Biskupa de Neisztadt nazwanego Buchheim z Austriey, który na sam dół zbiegł do karety i gdym po diskursie odchodził od niego, tymże sposobem sprowadzał aż do karety, i czekał aż się z miejsca ruszyłem. Po objedzie jeździliśmy z Królewicem Jm. do malarza sławnego nazwanego Ross w mieście, u którego najwięcej jest zwierzat barzo pięknie malowanych i portrety na szkle delikatnie malowane, reprezentujące figurę i twarz nie z tej strony z której są farby, ale z drugiej strony, przez szkło. Jest rzecz curiosissimae i kunsztu wielkiego. Między któremi obrazami zabawiliśmy się aż do wieczora.

14. 7-bris. Jachałem rano o dziewiątej do JP. barona Sibingien, pierwszego Posła Electoris Palatini, gdzie zastałem drugiego Posła Mr. Micker Doctorem Iuris et Vice-Cancellarium Elektora Jm., gdzie gdym przyjachał, trzech Kawalerów zeszło do karety do przyjmowania mnie, i szli na górę przedemną, nad samemi wschodami przyjmowali mię obadwaj Posłowie, i gdym wszedł do sali, gdzie stał namiot, krzesła były ustawione jedno na wyższym miejscu dla mnie pod baldachinem, a dwa ex opposito dla nich. Po uczynionym komplemencie, oddałem list Króla Jm.[1]) i kopię przyłączywszy dla informaciey Posłów, i commissa J. Kr. M.

[1]) Do Elektora Jm.

onymże exposui. Po diskursie blisko godziny retyrowałem się i Posłowie wyprowadzali mię do samych wschodów, pokazując ochotę jakoby na sam dół schodzić chcieli, których zatrzymałem. Kawalerowie sprowadzali do samej karety. Tegoż dnia Biskup de Neisztadt nie zastawszy mię rano, był drugi raz po południu u mnie. Jeździłem potym z Królewicem Jm. do malarza sławnego nazwanego Mr. Moriane, niemal w całych Niemczech do konterfektów najsławniejszego, który suchemi farbami malował Królewica Jm. Tamże widzieliśmy różne obrazy i jego malowania i innych sławnych malarzów godne widzenia. w kilku salach ustawione. Tegoż dnia witali Królewica Jm. młody Graf de Solms de Braunfelds. Mr. Helder von der Planitz. Mr. Markowski Conseiller Privé du Prince Hesse Darmstadt.

15. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. Schrauttenbach Majeur General du Prince de Darmstadt: Mr. Kisbach Brigadier des Suisses. Mr. Hacfeldt Colonel de l'Electeur de Majence. Mr. Ried Gentil homme de Chambre du Roy de Prusse.

Przed samym objadem dał mi znać Monseigneur Albani, że J. Xiądz Salerni Soc. Iesu z Rzymu przyjachał. Więc po objedzie jachałem do Mngra Albaniego, abym się z JX. Salernem przywitał, z którego rąk odebrałem niespodzianie od Ojca S-o przysłane paciorki agatowe dla mnie z metalem złotym cum indulgentiis in articulo mortis, za którą łaskę Ojca S-o przez Msgniora Albaniego i przez JX. Salerne solennissime podziękowałem. Przytym i kartka była ręką Ojca S-o pisana, gdzie wyraża, że te paciorki dla mnie destinavit, więc i kartkę tę z regestru wyrżniętą do siebie odebrałem.

16. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. Forstmeister i Mr. Schitz Chambellans de l'Electeur de Majence. Po objedzie jachałem z Królewicem Jm. na promenade, a wieczór byliśmy na kolaciey u JPana barona Friza, Kanclerza Saskiego. Wieczorem także był u mnie J. Xiądz Salerni.

17. 7-bris. Był u Królewica Jm. Mr. le Comte de Hanau, co ma za sobą Księżniczkę Saską de Weissenfeldt. Byłem na Conferenciey z Posłami Saskiemi. Tegoż dnia byliśmy z Królewicem Jm. wieczorem, na Assemblée chez Madame Wiser, gdzie trzech Włochów, sławnych śpiewaków z kapeli Elektora Jm. Palatini Rheni w osobliwym pokoju śpiewali in gratiam Królewica Jm., jako i Dam niektórych, osobliwie Xżnej Grafowej de Hanau. Xżnej de Hesse Homburg, Xżnej de Nassau Husing. Xżniczki de

Hesse Homburg. Xżnej Grafowej de Waldeck. Xżnej de Taxis. które wszystkie słuchały, i ja byłem w tejże kompaniey.

18. 7-bris. Posyłałem rano do JPana Grafa de Donau, pierwszego Posła Pruskiego. prosząc o audyencyą i godziny naznaczenie. Ale że był zabawiony wyprawą expedycyj pilnych do swojego Pryncypała. że tego dnia widzieć się z nim nie mogłem, więc posłałem do JPana barona Gierca, pierwszego Posła Hannowerskiego, prosząc o audyencye i naznaczenie godziny; i skoro z Ratusza powrócili Posłowie, jachałem zaraz do niego, który wysłał trzech kawalerów do przyjmowania mnie u karety, którzy szli przedemną na górę, a sam JPan baron Gierc, wyszedł do wschodów i rękę prawą et passum mi dając przed sobą, poprowadził do sali audienciey. i pod namiotem miejsce dał wyższe w krześle. Po uczynionym komplemencie i oddanym liście od Króla Jm. opowiedziałem ustnie commissa Pańskie i od Rzplitej. Po wzajemnych kontestacyach i blisko godzinnym diskursie, gdym się retyrował, prosił mię na objad do siebie i Królewica Jm. dniem przed tym przez JPana Grafa Werthera Posła Saskiego na tenże objad zaprosił. Gdym wychodził, wyprowadzał mię do wschodów na pierwsze nawet stopnie sstępując, ażem go zatrzymał. a kawalerowie schodzili aż na dół do karety i czekali, ażem się ruszył z miejsca. Wkrótce potym jachałem z Królewicem Jm. do tegoż P. Barona Gierca na objad, gdzie byli JP. Baron Frize, pierwszy poseł Saski z żoną, Mr. le Comte Werther drugi poseł z żoną, Mr. le Baron Hagen trzeci poseł z żoną. Madame Veniger, żona wielkiego Łowczego Electoris Palatini. Mr. Gierc pierwszy poseł Hannowerski. gospodarz. Mr. Schrader. drugi posel Hannowerski. Mr. le Baron Gierc, syn poselski. Grand Echanson de l'Electeur d'Hanovere. Mr. Miltiz. Mr. Morteisen. Rachując z Królewicem Jm. i ze mną, było u stołu osób 14. Królewic Jm. z Jejmością P. de Frisen na pierwszym miejscu siedział. inni wszyscy pele-mele, jako kto usiadł przeplatano z Damami. Ztamtąd jachaliśmy do J. P. Barona Friza, cały czas bawiąc się grami różnemi. po kolaciej, późno w nocy powróciliśmy się do gospody.

Tegoż dnia z rana byliśmy au jeu de pomme, to jest w balhauzie, przypatrować się dwom mocnym graczom. co kilka partyi grali, to jest Mr. le Comte Schlieven, i Anglik pewny nazwany Millord Pembrock. Tegoż dnia Millord Peterboroug z Angliej przyjechał do Frankfortu, który lubo miał charakter Posła Wielkiego, jednak go non assumpsit umyślnie uchodząc ceremoniałów samych. które siła trudności i oraz przeszkody w traktowaniu interessów

zwyczajnie przynoszą i tylko jako Millord, to jest Senator Angielski menażował interessa sobie zlecone, a będąc tym samym tak jako i u nas Polski Senator supra statum des Envoyés. to jest Ablegatów, równą niemal Posłom wielkim, tak jako i ja odbierał recepcyą i honory.

19. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. le Comte Reiss de Schletz. Mr. Warnsdorff Gentil'homme de Lusace. Po objedzie jeździłem z Królewicem Jm. au Remer. na widzenie jarmarku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu

w latach 1399—1404.

Studyum historyczne.

(Ciąg dalszy).

II.

Unia wileńska.

Uważa się ją powszechnie za skutek klęski nad Worsklą. Aby jednak zrozumieć, czem była i co niosła nowego w stosunku Litwy do Korony, musimy się przypatrzyć jej aktom i porównać je z dokumentami z r. 1386 i 1392.

Aktów unii wileńskiej jest trzy: ze strony bojarów litewskich, ze strony Witolda, oba wystawione w Wilnie 18. stycznia 1401 roku[1]) i ze strony magnatów polskich 11. marca w Radomiu.[2])

Akt bojarów litewskich mówi, że kiedy panowie polscy „divina cooperante clemencia“ powołali Jagiełłę na swój tron i wywiedli z pogańskich ciemności, zanieśli i im na Litwę światło

[1]) Codex Vitoldi, nr. 233—234.

[2]) Rzyszczewski-Muczkowski, Kodeks t. I. nr. 151, p. 271.

prawdziwej wiary, oni więc wdzięczni za to przyrzekają, że będą wspierać Koronę polską i jej króla we wszystkich potrzebach, nigdy jej nie opuszczą, przed wszelkimi nieprzyjaciółmi bronić a Korony polskiej „utilitates, commoda, profectus“ uważać i traktować „velut nostrum proprium“ (jako swoje własne). A skoro Jagiełło ich pana i księcia, Witolda — „ex speciali confidencia assumens in partem suae sollicitudinis“ i „ad vitae eiusdem terminum extremum“ (do końca życia) nadał mu „supremum principatum“ Rusi i Litwy, to oni, bojarowie litewscy i ruscy przyrzekają, że po śmierci Witolda to supremus principatus i wszystkie tegoż posiadłości (bona patrimonialia) wrócą do rąk Jagiełły i Korony polskiej „plene et integri“, a oni nie będą sobie szukać żadnego innego pana i nikomu nie będą służyć „sine dolo et fraude“, jak tylko Jagielle, jego następcom i państwu polskiemu. A za to z drugiej strony, jeżeli „noster dominus graciosissimus“ (nasz pan najmiłościwszy) Jagiełło umrze bezpotomnie, to panowie polscy nie wybiorą nowego króla bez wiedzy i porady Witolda i bojarów litewskich. Dokument ten podpisało 50 bojarów, biskup wileński i ks. Iwan Olgimuntowicz z synami swoimi Andrzejem, Symeonem i innymi.

Akt ze strony magnatów polskich, duchownych i świeckich jest prawie równobrzmiący z dokumentem bojarów; panowie polscy przyrzekają ze swej strony dotrzymać tych wszystkich warunków i bronić Litwinów wszędzie i zawsze, ich zło i dobro traktować jako swoje własne. Zawiera jednak jedno charakterystyczne wyrażenie, gdy określa stanowisko Witolda: mówiąc mianowicie o jego „supremus principatus“ dodaje, że Jagiełło Witolda na Litwie *„loco sui in eisdem statuit“* (postanowił na miejscu swojem).

Wreszcie akt ze strony Witolda mówi naturalnie o swoim tylko stosunku do Litwy i o powrocie owego „supremus principatus“ po jego śmierci w ręce Jagiełły, ale zawiera nadto zastrzeżenie co do niektórych posiadłości, któremi jako wdowią oprawą wyposaży swoją żonę i tych, które nadał „za wolą króla Władysława“ („de voluntate eiusdem domini Wladislai regis“) bratu swojemu Zygmuntowi, mianowicie Nowogródek i kilka wsi koło Grodna i indziej, z których jednak Zygmunt ma składać hołd i być posłusznym Jagielle i Polsce.

Aktom tym towarzyszył długi szereg hołdów homagialnych książąt dzielnicowych. I tak jeszcze 31. grudnia 1400 r. na jeziorze Krudy, więc jeszcze przed zawarciem unii, przyrzeka posłu-

szeństwo Koronie polskiej po śmierci Witolda kniaź starodubowski Aleksander Patrykiewicz;[1]) 12. lutego 1401 r. w Mereczu czyni to samo Iwan Olgimuntowicz;[2]) 24. lutego w Trokach kniaź Jerzy Michajłowicz z bratem Andrzejem i kniaź Jerzy Dowkhowd;[3]) 11. marca w Birsztanach kniaź drucki Semen,[4]) a wszyscy poświadczają, że „slubuiem i ślubiłieśmo, isze tot Boh ne day, sztob sia stał nad naszym hospodarem kniaziem welikim Wytowtom perwo nisz nad korolem, tohdy po smerti hospodara swoieho ne imamy inoho hospodara iskaty, nisz korol polskoy Wołodysław i korunoy Polskoy.“[5])

To jest treść unii wileńskiej. Przypatrzmy się teraz, czem ona była, czy i co nowego przynosiła we wzajemnym stosunku Litwy i Polski i jakie jej dziejowe znaczenie.

Co do powodów, przyjętem jest powszechnie zdanie, że inicyatywę do jej zawarcia dała Polska wobec i z przyczyny traktatu salińskiego z jednej, a klęski nad Worsklą z drugiej strony. Dla wyjaśnienia tego, trzeba nam wpierw rozpatrzyć stanowisko Witolda na Litwie i jego stosunek do Polski od ugody ostrowskiej w 1392 r. do niniejszej unii. Z pytaniem tem wiąże się ściśle drugie, a mianowicie, kiedy Witold został wielkim księciem. Są to kwestye ważne, bo od ich rozstrzygnięcia zależy prawność traktatu salinskiego, sama unia, wreszcie zjazd raciąski. Rozpatrzenie tych pytań da nam także odpowiedź na jedną stronę unii wileńskiej, bo, jak widzieliśmy z aktów, tj. z jej treści, ma ona ich dwie, ma dwa stosunki: stosunek Witolda do Polski i Litwy i stosunek tych dwóch państw do siebie.

Pytanie, kiedy Witold został wielkim księciem, było kilkakrotnie poruszane. Prof. Lewicki w dziele pt. „Powstanie Świdrygiełły“ oznacza to na rok 1392 czyli na ugodę ostrowską, podobnież dr. Koneczny[6]) — za nimi też idzie dr. Kochanowski w swej monografii o Witoldzie. Zaznaczam tutaj, że dwie pier-

---

[1]) Codex Vitoldi, nr. 230.

[2]) Codex epistol. saeculi XV. t. I. nr. 27.

[3]) Ibidem, nr. 28—29.

[4]) Ibidem, nr. 30.

[5]) Z przysięgi homagialnej ks. Andrzeja i Jerzego Michajłowiczów zasławskich — wszystkie są niemal dosłowne (Codex epist. saec. XV. t. I. nr. 28).

[6]) „Jagiełło i Witold“ (od 1382—1392) w „Przewodn. nauk. liter.“ 1892.

wsze rozprawy drukowane były w 1892 r., monografia zaś p. Kochanowskiego w 1900 r. Ale już w dwa lata później tj. w 1894 r. zmienia prof. Lewicki swój pogląd i w rozprawce, drukowanej w „Kwartalniku historycznym" pt. „Kiedy Witold został wielkim księciem", przyjmuje rok 1399. Mówi on tutaj, że traktat saliński, epokowe zdarzenie w dziejach Litwy, był dokonanym potajemnie, był zerwaniem dotychczasowych węzłów łączących Litwę z Polską, groził nawet wojną, a że do niej nie przyszło, to przypisać należy klęsce worskleńskiej — ale że w tym traktacie salińskim Witold uzurpował sobie władzę wielkoksiążęcą; Jagiełło zas i stany Królestwa polskiego nie potrzebując się teraz lękać Witolda wobec świeżej klęski, zatwierdziły mu uzurpowaną władzę. Przeciw temu mniemaniu wystąpił w r. 1896 dr. Prohaska[1]) i wykazuje, że 1) traktat saliński nie był wcale zawartym potajemnie, bo byli na nim pełnomocnicy Jagiełły; 2) że królowa Jadwiga wcale nie żądała od Witolda czynszu z Litwy, bo do tego nie miała żadnej podstawy prawnej, czyli że nie było żadnego konfliktu między Polską a Witoldem, owszem było nieporozumienie między królową a Jagiełłą, bo król wspierał brata, dawał mu swobodę działania na Litwie, a wobec Krzyżaków występował ostro (sprawa dobrzyńska) podczas gdy królowa pragnęła pokoju między Zakonem a Polską, chciała Krzyżaków zachować w ich „prawach" do Litwy tj. szerzenia missyi popartych powagą miecza; 3) że Witold wielkim księciem został nie w r. 1399, ale w 1401, bo ponieważ traktat saliński nie był potajemny, nie było też więc uzurpacyi ze strony Witolda, a Długosz opowiada wprawdzie pod r. 1399 o nadaniu Witoldowi godności wielko-książęcej, ale za to nic nie wie o unii z 1401 r.: jest to więc tylko jego pragmatyzm. Przypatrzmy się teraz, czyje zdanie prawdziwsze. Przypominamy tutaj jeszcze, w sprawie owego konfliktu o czynsze między Witoldem a królową Jadwigą, że Witold na wiadomość o chorobie królowej wybierał się z żoną do Krakowa odwiedzić ją — przybył jednak już po jej śmierci. Mówiliśmy o tem w poprzednim rozdziale. Nie bardzoby więc godziły się te dwa fakta ze sobą.

Że Witold nie został wielkim księciem w r. 1392, to można przyjąć bez żadnych zastrzeżeń za fakt, bo w aktach ugody ostrowskiej z 5. sierpnia 1392 r. jest mowa tylko o pogodzeniu

---

[1]) „Przyczynki krytyczne do dziejów unii", rozdział VI. (w Rozpr. Akad. Umiej.).

się Witolda z Jagiełłą, o restytucyi ojcowizny Kiejstutowica (Troki) i o posłuszeństwie Witolda dla Korony polskiej.[1]) a wiadomość, że Witold wtedy został wielkim księciem, posiada tylko Latopisiec litewski t. zw. Daniłowicza, redakcyi Popowa z 1854 r.,[2]) napisany ku uświetnieniu Witolda, a już Długosz inaczej tę rzecz przedstawia.[3]) Ale rzecz inna z r. 1399 i 1401.

Prof. Lewicki opowiada, że traktat saliński z 1398 r. był zawarty w tajemnicy przed Jagiełłą, a bezpośredni impuls do jego zawarcia dało wezwanie król. Jadwigi do Witolda, by złożył należny jej czynsz z Litwy: właściwym bowiem powodem traktatu były plany wschodnie Kiejstutowica, projektowana wielka wojna z Tatarami, mająca panowanie Witolda daleko na wschód i południe, aż po Moskwę i morze Czarne rozciągnąć, a w której Krzyżacy mieli mu pomagać. Lewicki opiera się tutaj na opowiadaniu Possilgego. Istotnie kronikarz pruski używa wyrażenia „Wytowt eynen frede heymelich begriffen".[4]) ale mówi to w miejscu, gdy się dopiero toczyły rokowania przedwstępne w Grodnie tj. przed owym uroczystym październikowym zjazdem na ostrowie salińskim (wyspa na rzece Memel), a ponadto używa wyrażenia „begriffen", a nie np. „geschlossen", co wskazuje, że mowa to dopiero o projekcie, a nie o zawarciu już pokoju. Opisując sam zjazd, mówi kronikarz, że „und ouch etliche Polan mit ym (tj. z Witoldem) durch der teydunge wille czu enden, die vor woren begriffen."[5]) Kto byli ci „etliche Polan?" Czy pełnomocnicy Jagiełły, czy też tylko Polacy należący do orszaku i dworu Witolda? Z zupełną stanowczością nie można tego orzec na podstawie powyższych słów, bo kronikarz wyraźnie tego nie mówi, ale jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że byli to posłowie króla, może nie wprost pełnomocnicy, ale przez niego wyprawieni dla uczestniczenia zjazdowi, czy z jakichś innych powodów.[6]) Czyli innemi słowy traktat saliński „heymelich" zawarty nie był. A mamy na to dowód jeszcze gdzieindziej. Jest nim dokument z 1404 r., którym Jagiełło zatwierdza ów traktat, a przytoczywszy jego warunki (tj. tekst

---

[1]) Codex Vitoldi Additamentum, nr. 2.

[2]) Por. Smolka, „Najdawniejsze pomniki dziejopisarstwa rusko-litewskiego" w Pamiętniku Akad. Umiejęt.

[3]) Historia, t. III. p. 500, lib. X.

[4]) Script. rer. Prussic. III. p. 219.

[5]) Possilge l. c. p. 223—224.

[6]) Prohaska uważa ich za pełnomocników.

cały traktatu w transsumpcie), odzywa się, że „carissimus frater noster illustris dominus Alexander alias Wytoldus, dux Lithuaniae etc. *nostro et suo nominibus* quendam terminum treugarum de et super pace perpetua firmanda cum dicto Ordine super fluvium Memla in insula ibidem dicta Sallin, multis venerabilibus utriusque partis episcopis etc. anno Dom. 1398 in die sancti Michaelis Archangelis solemniter celebravit...“ [1]) A więc zjazd saliński odbywał się w każdym razie z wiadomością Jagiełły, choćby nawet wbrew dr. Prohasce owi „etliche Polan“ nie byli pełnomocnikami króla umyślnie jako tacy wysłanymi — nie był też i potajemnym, jak sądzi prof. Lewicki. Wobec tego musimy uznać, że nie był ten traktat i odstąpienie Krzyżakom Żmudzi bezprawiem ze strony Witolda, bo Jagiełło, jako najwyższy pan Litwy, wiedział o tem i na to zezwalał. Witold mógł istotnie nosić się z podobnym planem tj. zawrzeć z Krzyżakami pokój potajemnie, bez wiedzy Polski; rokowania przedwstępne mogły być tak prowadzone, jak sądzić można z tekstu Possilgego, wyżej podanego lub też zaproponować tajemnicę, ale gdy mu Krzyżacy postawili w preliminarzu pokojowych warunków zatwierdzenie tego pokoju przez Jagiełłę,[2]) Witold od tego zamysłu odstąpił i porozumiał się z królem. „Heymelich“ Possilgego wcale więc nie dowodzi, by sam zjazd na ostrowie Sallin i traktat cały odbył się w tajemnicy przed Polską, a co zatem zmierzał, a nawet wprost zrywał z Polską. Sądzimy tedy za dr. Prohaską, że Jagiełło wiedział o wszystkiem co się tyczyło owego zjazdu.

Prohaska odrzuca także opowieść kronikarza pruskiego o żądaniu czynszów od Witolda przez król. Jadwigę. Prof. Lewicki domyśla się, że chodziło tu o Podole, ale tymczasem wiadomą jest rzeczą, że Jagiełło zapisał królowej „dotis nomine“ (tytułem oprawy, wiana) Kujawy i Ruś Czerwoną (w dn. 26. stycznia 1396 r.);[3]) ponadto 13. czerwca 1395 r. znaczną część Podola nadał król Spytkowi z Melsztyna, wojewodzie krakowskiemu, re-

---

[1]) Raczyński, „Codex Lithuaniae“ p. 253: „Najdroższy nasz brat pan Aleksander czyli Witold, książę Litwy etc. w naszem i swojem imieniu obchodził uroczyście zjazd w celu utrwalenia wieczystego pokoju z rzeczonym Zakonem na rzece Memel, na wyspie tamże zwanej Sallin, w obecności wielu czcigodnych z obu stron biskupów etc. w r. p. 1398 w dzień św. Michała Archanioła“.

[2]) Codex Vitoldi, nr. 179.

[3]) Lewicki, Index actorum, nr. 248.

szta zaś należała bezpośrednio do Korony.[1]) Witold nie miał więc wcale w tych latach Podola w swych rękach, a przez to król. Jadwiga nie miała ani potrzeby, ani też prawnego tytułu do podobnego żądania.

Wobec tego wszystkiego trudno się zgodzić na zdanie prof. Lewickiego z owych dwóch założeń wynikłe (nieporozumienie z królową, traktat potajemnie zawarty), że traktat saliński zawarty był wbrew Polsce i był ze strony Witolda uzurpacyą władzy wielko-książęcej na Litwie. Nie ma też eo ipso powodu, by w roku następnym stany polskie zatwierdzały Witoldowi tę uzurpowaną władzę. Ale za to z drugiej strony mogły ją wtedy wprost księciu nadać, bo nie zatwierdzenie uzurpacyi nie jest równocześnie zaprzeczeniem egzystencyi tego faktu w danym roku, czyli że Witold, mimo obalenia powyższych założeń, mógł zostać wielkim księciem w r. 1399. Ale na to możemy odpowiedzieć, że wie o tem tylko jeden Długosz i on na ten właśnie rok każe Witoldowi za zgodą Jagiełły i panów polskich włożyć mitrę wielko-książęcą na głowę, a to jeszcze za słaby dowód, tembardziej, że nasz historyk nie pisze ani słowa o unii wileńskiej, wyrażenia zaś jego, gdy opowiada o wyniesieniu Witolda, są niemal dosłowne z dokumentem Księcia z r. 1401.[2]) Może znał ten dokument, a w swej skłonności pragmatyzowania, łączenia wypadków, przeniósł to zdarzenie pod ten rok (1399), gdy w opowieści o dziejach Witolda i klęsce nad Worsklą trafiła mu się do tego sposobność, a pod r. 1401 już tego nie powtarzał.

Po tej rewizyi wywodów uznajemy więc za słuszne i trafne zdanie d-ra Prohaski, tj. Witold został wielkim księciem w 1401 roku. Rzecz inna, że Krzyżacy dążyli w traktacie salińskim do rozerwania związku polsko-litewskiego, do zupełnego odciągnięcia Witolda od Polski i wspomniany uczony to zaznacza, a owo okrzyknięcie Kiejstutowica przez bojarów litewskich w czasie uczty „królem Litwy“,[3]) było bądź co bądź zamachem na unią. Choć więc traktat saliński był wiadomym Jagielle, to jednak jego przebieg i wogóle postępowanie Witolda było niebezpieczeństwem dla unii polsko-litewskiej. Dlatego też, gdy z chwilą klęski nad Worsklą przyszła stosowna chwila, panowie polscy zapragnęli odnowienia związku, a wyrazem tego jest „unia wileńska“. Na-

[1]) Codex Vitoldi, nr. 115.

[2]) Długosz. III. p. 526, lib. X.

[3]) Possilge l. c. p. 224 „eynen Koning czu Littowen“.

wiasowo dodaję, że w owej opowieści Possilgego o czynszach, p. Prohaska widzi echo nieporozumień między królową a Jagiełłą z powodu Litwy i Witolda. Że one istotnie miały miejsce, świadczą dokumenta.[1])

Tak rozstrzygnęliśmy pierwsze pytanie. Witold zyskuje tedy unią wileńską dożywotnią godność wielko-książęcą na Litwie, jemu składają teraz hołd i jemu bezpośrednio są podlegli dzielnicowi książęta litewsko-ruscy.[2]) Wprawdzie od ugody ostrowskiej postępował sobie nieraz dość swobodnie i samodzielnie, ale przecież urzędowo był tylko zastępcą, namiestnikiem Jagiełły; teraz Jagiełło jest wprawdzie panem Litwy, „supremus dux", ale w interesa jej lokalne nie potrzebuje się już bezpośrednio mięszać, akta sankcyonować, by moc prawną zyskały: Litwa jest poniekąd oddzielnym organizmem państwowym, a jej wielki książę ma wolne i swobodne ręce w zakresie interesów i spraw litewskich, zwłaszcza wewnętrznych. To jedno. Drugą wiadomością wysnutą z powyższego dochodzenia, jest to, że odstąpienie Żmudzi Krzyżakom na mocy traktatu salińskiego, nie było ze strony Witolda jako namiestnika czynem bezprawnym i samowładnym, ale dokonanym z wiedzą Jagiełły. Ta wiadomość będzie nam później potrzebną. Wreszcie jeszcze jedno: okoliczność, że jeszcze przed zawarciem unii ks. starodubowski rozpoczyna ów szereg aktów homagialnych,[3]) jest dla mnie podstawą do przypuszczenia, przyjętego zresztą powszechnie w nauce, że unia wileńska była dziełem senatorów i rządu polskiego.

Przejdźmy teraz do drugiego pytania, tj. stosunku Polski do Litwy.

Dotykaliśmy tego poniekąd poprzednio. Bo jeżeli stwierdziliśmy, że Witold na mocy tej unii został dożywotnim wielkim księciem i w stosunkach wewnętrznych Litwy zyskiwał znaczną samodzielność, a przez przybranie przez Jagiełłę „do udziału w swej (króla) trosce"[4]) pewien także doradczy wpływ i głos w sprawach Polski, to eo ipso Litwa stawała się oddzielnym i do pewnego stopnia samoistnym organizmem państwowym. A dotąd,

---

[1]) Voigt Codex VI. nr. 60—61: list W. mistrza z 1398 r. do urzędników zakonnych w Niemczech i instrukcya dla Jana Rymana, jako posła zakonnego do książąt niemieckich w tymże roku.

[2]) Ob. akty homagialne książąt wyżej wspomniane.

[3]) Zob. wyżej.

[4]) „in partem suae sollicitudinis".

oczywiście po r. 1386. takim nie była. W t. zw. bowiem całkiem nietrafnie „unii krewskiej“ w 1385 r. Jagiełło przyrzeka wprost „terras suas Lithuaniae et Russiae coronae regni Poloniae perpetuo *applicare*“ [1]) tj. wcielić do państwa polskiego wieczyście; gdy w r. 1386 w dn. 13. marca wysyła Skirgiełłę na Litwę, powiada wyraźnie, że czyni to „ex consensu et voluntate dominae Hedvigis reginae et dominorum“ i wysyła go „ad dispositionem et ordinacionem“ [2]) czyli za wolą i wiedzą królowej i panów polskich jako starostę generalnego; jeżeli dalej zważymy okoliczność, że Jagiełło aż do r. 1392 sam bezpośrednio zarządzał Litwą i obsadzał dostojeństwa, [3]) a po usunięciu brata Skirgiełły nadał te godność jakby generalnego starosty litewskiego Polakowi, Jaśkowi z Oleśnicy — to musimy przyznać, że aż dotąd Litwa była niejako częścią państwa polskiego, nie wiele różną np. od województwa krakowskiego, Wielkopolski czy Rusi pod względem stanowiska prawnego i administracyjnego. Nie da się zaprzeczyć, że po ugodzie ostrowskiej zachodzi pewna faktyczna (ale nie prawna) zmiana, że nowy starosta czy namiestnik, Witold postępuje bardzo swobodnie, [4]) wszelako prawnie nie był ani on wielkim księciem, ani Litwa samoistnym organizmem. Dopiero teraz, z unią wileńską, zmienia się stan rzeczy: Litwa ma osobnego księcia i jemu bezpośrednio podlega; wyodrębnia się poniekąd, ale bo też w Koronie coraz silniej poczyna występować dążność decentralizacyjna w poszczególnych ziemiach czy województwach. Nie wynika z tego bynajmniej, by z tą zmianą stosunku Jagiełło albo Korona nie miała żadnych praw do Litwy. Owszem Jagiełło jest jej „najwyższym księciem (supremus dux) i tylko z łaskawości (naturalnie pod wpływem okoliczności) przyjął Witolda „do udziału w swej trosce“ i stanowi go na Litwie „loco sui“ z tytułem wielkiego księcia, jak się wyrażają panowie polscy w swoim dokumencie. Ponadto ten nowy stosunek miał być tylko czasowym, przejściowym, bo po śmierci Witolda to „supremus principatus“, jak i cała Litwa miała wrócić do rąk Jagiełły i on miał znowu wedle swej i dostojników polskich woli Litwą rozporządzać. W ka-

---

[1]) Sokołowski i Szujski, Codex epist. saec. XV. p. I. nr. 3.

[2]) Ibidem, nr. 4.

[3]) Lewicki, „Powstanie Świdrygiełły“ (dwa pierwsze rozdziały).

[4]) Np. stosunki z hanem Tochtamyszem, wypędzanie książąt dzielnicowych, zajęcie Kijowa po śmierci Skirgiełły w r. 1395, pertraktacye i stosunki z Krzyżakami od r. 1395 itd

zdym razie przez mianowanie Witolda wielkim księciem zmienia się stosunek Litwy do Korony, bo Litwa z prowincyi staje się samoistnym, jakkolwiek jeszcze niezupełnie równorzędnym z Koroną organizmem państwowym, przynajmniej póki życia Witolda. Okoliczność, że ten nowy stosunek ograniczony jest osobą Kiejstutowica, nadaje temu stosunkowi, jak i całej unii, której jest wyrazem i skutkiem, charakter czasowy, przejściowy. To jedna strona drugiego pytania.

Widzieliśmy, że 50 bojarów litewskich bierze udział w tej unii i wystawia ze swej strony dokument, na który odpowiadają najwyżsi dostojnicy polscy. Ten udział bojarów — to już rzecz bardzo ważna i zupełnie nowa. Dotąd bowiem bojarowie litewscy w dziejach litewskich prawie całkiem nie wchodzili w grę przy absolutyzmie wielkich książąt, których byli niewolnikami. W akcie krewskim w 1385 r., gdy się toczą rokowania o powołanie Jagiełły na tron polski, widzimy ze strony Litwy tylko króla i jego najbliższych krewnych. Potem tak samo we wszystkich ważnych sprawach politycznych i dyplomatycznych: bojarowie w życiu publicznem nie biorą wcale udziału. Poraz pierwszy spotykamy ich w traktacie salińskim, gdzie na odnośnym dokumencie podpisują się jako świadkowie, ale na tem kończy się ich udział. Pierwszy dokument ze swej strony wystawiają dopiero teraz. Sądzę, że jednak udział bojarów jako świadków w traktacie salińskim przyczynił się do tego znacznie, że wezwano ich teraz do samoistnego wystawienia aktu. Mimo to ta emancypacya bojarów z pod bezwzględnej zależności od wielkiego księcia, ten ich udział w sprawie tego rodzaju, jak stosunek prawny dwóch państw, jest całkiem nowy i dlatego właśnie niezmiernej wagi. Bo zaznacza nowy etap, dalszy rozwój w stosunkach społeczno-politycznych Litwy, przygotowuje w bojarach czynnik polityczny taki, jakim w Koronie byli już panowie polscy. W r. 1386 i 1387 nadaje Jagiełło Litwinom pierwsze wielkie przywileje i osłabia przez nie tę nieograniczoną dotąd władzę wielko-książęcą, ale w sferze tylko życia prywatnego (dziedziczenie, związki małżeńskie swobodne itd.), a nie powołuje ich do udziału w życiu państwowem, publicznem, nie daje im ingerencyi, sposobności do bezpośredniego wpływu i oddziaływania na bieg wypadków w polityce państwa, nie robi z nich czynnika ustawodawczego: to pozostaje jeszcze niepodzielnie przy księciu. Aktem unii wileńskiej robi się pierwszy wyłom w absolutnej władzy książęcej na Litwie odnośnie do spraw państwowych przez powołanie bojarów do życia publi-

cznego. W tem widzę podstawę daleko silniejszą niż poprzednie, że unia wileńska jest dziełem rządu polskiego. Znaczenie tego spotęguje się, jeżeli sobie przypomnimy, że ci bojarowie litewscy i dostojnicy polscy przyrzekają sobie nawzajem pomoc, a przedewszystkiem, że po śmierci danego monarchy nie obiorą następcy bez wzajemnej wiedzy i zgody. W unii wileńskiej występują tedy reprezentanci obu narodów, a nie jak dotąd państwa, o ile to tyczy Litwy. Tak, jak później unia horodelska z 1413 r. daje zaczątek, stwarza podstawę do wytworzenia się z czasem na Litwie sejmu czyli unii parlamentarnej,[1]) tak niniejsza unii społecznej przygotowując bliższe zbratanie i związki pomiędzy obu narodami. Tę unię społeczną, familijną niejako (przypuszczenie do herbów np.) stworzyła dopiero wprawdzie unia horodelska, ale ta, wileńska, przygotowała do tego, podobnież horodelska jest takiem przygotowaniem parlamentarnej unii. Horodelska przygotowuje Litwę i jej bojarów do czynnego udziału w sprawach państwowych za pośrednictwem jakby senatu czy sejmu urzędniczego (rady stanu), wileńska, do biernego udziału, (bo o sejmie ani zjazdach przedstawicieli jeszcze się nie mówi) przez udzielenie głosu doradczego. Ponieważ występują tu reprezentanci obu narodów i wzajemnie sobie robią przyrzeczenia, przeto unia wileńska jest pierwszą unią w ścisłem tego słowa znaczeniu tj. związkiem dwóch narodów i może nosić nazwę unii społecznej. Na tem polega jej doniosłe znaczenie, na tem jej ważność: jest bowiem dalszym etapem w rozwoju stosunku prawnego obu państw do siebie. Bo na to, co się działo w Krewie w 1385 r., na określenie tego jako „unii krewskiej" zgodziłby się można tylko w takim razie, jeżeli się przyjmie, że wobec poddaństwa mieszkańców Litwy Jagiełło i jego krewni byli jej reprezentantami, w przeciwnym bowiem razie nie może być mowy o unii czyli o związku. Choć i tak przecież w układzie krewskim występuje naród (Polska) i państwo (Litwa), a nie dwa narody, co więcej układ krewski inkorporuje wprost ziemie litewskie do Korony („applicare") i pozbawia je samodzielności państwowej — gdzież więc

---

[1]) Zob. akta unii horodelskiej: 1) akt ze strony litewskich bojarów: Działyński: Zbiór praw litewskich p. 20; 2) akt Jagiełły i Witolda: Długosz, Historia t. IV. p. 153. Volumina legum t. I. p. 66. Działyński j. w. p. 7; 3) dokument polskich magnatów: Rzyszczewski-Muczkowski, Codex I. nr. 162, p. 286.

tu unia? Dlatego niesłusznem wydaje mi się mówić o „unii krewskiej", i niniejszą, wileńską, uważam za pierwszą. Niektórzy uczeni [1]) mówią także o „unii ostrowskiej z 1392 r." — ale przecież tam nastąpiło tylko pojednanie się Witolda z Jagiełłą i zmiana zarządzcy Litwy, a nie zmiana stosunku Litwy do Korony. To więc, że unia wileńska jest zdaniem mojem pierwszą prawdziwą unią, przyczem nie przeczę wcale dalszem stadyum w rozwoju stosunku prawnego Litwy i Korony, to podnosi wielkie jej dziejowe znaczenie.

Na to pytanie wreszcie, jakie przyczyny ją wywołały, odpowiadam w ten sposób, że magnaci polscy zapragnęli odświeżenia, a właściwiej mówiąc, uregulowania stosunków prawno-państwowych, oparcia ich na bardziej realnych i praktycznych podstawach, odpowiadających stosunkom wewnętrznym Litwy, niż te, które dawał układ krewski. Przyczyniły się do tego ciągłe trudności, jakie trapiły Litwę i Koronę za gubernatorstwa czy wielkorządztwa Skirgiełły, Klemensa z Moskorzowa czy Jaśka z Oleśnicy, a potem niebezpieczne zachowanie się Witolda, gdy on został namiestnikiem Litwy. A istotnie daleko realniejszy i pewniejszy grunt zyskiwało się przez oddzielenie interesów specyficznie litewskich od koronnych, czyli przez nadanie wielkiego księstwa komukolwiek, w tym wypadku Witoldowi, przez powołanie bojarów litewskich, których zbliżało się do siebie, assymilując zwolna z dostojnikami polskimi, w których przez przypuszczenie do udziału w życiu publicznem zyskiwało się stróżów tego nowego porządku, wyraźniej określonego stosunku, a zarazem stróżów nad nowym wielkim księciem Witoldem, związanego i skrępowanego poniekąd w ten sposób, nie mogącego tak swobodnie snuć dalekich planów, groźnych dla całości unii. Wszystko, co w zarodku niosła unia wileńska, rozwinęła następna, horodelska, wnosząc ponadto nowe jeszcze pierwiastki w stosunku prawnym państw, a później rozwinięte — na tem polega ich wzajemny do siebie stosunek (tych obydwóch unii). Dla tych wszystkich powodów, dla ważności unii wileńskiej, dlatego także, że wtedy dopiero zyskał Witold na Litwie władzę wielko-książęcą — co dla rozwoju kulturalno-społecznego Litwy było rzeczą pierwszorzędnej wagi — nie akt traktatu salińskiego.

---

[1]) Np. Koneczny w swej rozprawie „Jagiełło i Witold" (Przew. nauk. i liter.).

jak prof. Lewicki, ale unię wileńską uważam za epokowe zdarzenie w dziejach Litwy.

Wśród Krzyżaków unia wileńska doznała nieprzychylnego przyjęcia.[1])

III.

Intrygi dyplomatyczne.

(1401—1404).

Niepodobna jest inaczej scharakteryzować stosunków Polski i Litwy z Zakonem krzyżackim w ciągu tych lat; zmieniają się one tak często, że trudno jest pochwycić ich kanwę, ich myśl przewodnią i cel wyrozumieć. Jagiełło i Witold rozchodzą się tutaj w dwie przeciwne strony. Sprobujemy rzecz przedstawić chronologicznie, poczem postaramy się wyciągnąć z tego obrazu jakieś ogólniejsze wnioski czy charakterystykę.

Powiedzieliśmy, że unia wileńska została nieprzychylnie przyjętą wśród Zakonu. Krzyżacy wyprawili zaraz do Jagiełły komtura gdańskiego Albrechta von Szwarzburg i wójta z Lipy, a zarazem komtura grudziądzkiego Jana von Sayn z ciekawem bądź co bądź pytaniem „ab her (Jagiełło) den Littowen welde bysteen“.[2]) Ale mimo zawarcia unii stosunek między Jagiełłą a Konradem Jungingenem nie ulega zmianie i pozostaje takim, jakim był przed unią; 24. marca bowiem pisze W. mistrz do króla, że zgadza się na proponowany przez niego czas i miejsce dla sądu rozjemczego wzajemnych pełnomocników w spornych kwestyach[3]) i istotnie w maju t. r. (1401) przychodzi do osobistego zjazdu Jagiełły i mistrza w Raciążu czy też w Złotoryi.[4]) Niewiadomo jednak, czy przyniósł on jakikolwiek rezultat, bo i co do tego brak w źródłach naszych zgody.[5]) Ale o bądź co bądź przyjaznych przynajmniej z pozoru stosunkach między Jagiełłą

---

[1]) Possilge l. c. p. 245.

[2]) Possilge l. c. p. 245, 247.

[3]) Voigt. Codex t. VI. nr. 107.

[4]) Annalista toruński l. c. p. 242 podaje Raciąż, Possilge, p. 243 — Złotoryą.

[5]) Annal. tor. mówi: „...et simpliciter nescitur, quid conclusum“; Possilge zaś: „...und schidin sich gar fruntlichin.“

a Jungingenem świadczyć może także drobna zresztą okoliczność, mianowicie posłanie królowi w podarunku sokoła w dn. 4. maja,[1]) a zatem według relacyi Possilgego jeszcze przed owym zjazdem, ten bowiem odbył się „XIII. tage vor pfingesten", a więc 4 dni później.[2]) Z tego właśnie, że po unii wileńskiej trwają w dalszym ciągu przyjaźniejsze stosunki, wnioskuję i uważam to za dowód tego, co mówiłem poprzednio, że Jagiełło zbliżając się do Krzyżaków po klęsce worskleńskiej za sprawą Witolda, czy nie, brał to zbliżanie się poważnie, pragnąc doprowadzić do końca szczęśliwego sprawę dobrzyńską i że jeżeli Witold miał tu istotnie jaki wpływ, to tylko z początku i na jego inicyatywie się skończył — teraz bowiem rozchodzą się ich drogi.

Gdy Jagiełło bawi się bezskutecznemi jak na teraz pertraktacyami, Witold tymczasem wzmacnia graniczne zamki litewskie, zwłaszcza Kowno, a na Żmudzi oddanej Krzyżakom sieje nasiona buntu.[3]) Żmudź, jak wiemy, od traktatu salinskiego była w rękach Zakonu; kilkakrotne jego wyprawy, a zwłaszcza ostatnia w 1400 r. dzięki czynnej pomocy Witolda, przyniosła Krzyżakom dobre rezultaty, bo w tymże samym roku Żmudzini uznali zwierzchność Zakonu.[4]) a w 1401 r. po Trzech Królach najznakomitsi wśród Żmudzinów przyjęli chrzest św. w Malborgu z rąk Zakonu.[5]) Krzyżacy otrzymawszy w 1398 r. Żmudź, uważali się za jej panów i osiągnęli dawno upragniony swój cel przez to poddanie się im Żmudzinów. Żmudź bowiem łączyła ich dzierżawy z posiadłościami Zakonu inflanckiego. Wiadomo jednak, że ta prowincya, właśnie jako tak wielka przynęta dla Zakonu, była oddawna kozłem ofiarnym w polityce książąt litewskich. Ile razy chcieli sobie okupić pokój od Krzyżaków lub ich pomoc zyskać, rzucali im ten szmat ziemi; tak zrobił np. Jagiełło w 1382 r., tak Witold na ostrowie salińskim. Temu ostatniemu pokój od Zakonu i jego pomoc była nieodzownie potrzebną w planach wschodnich, w zamysłach i polityce przed klęską nad Worsklą. Prohaska przyjmując, że traktat

---

[1]) Codex Vitoldi, nr. 239.

[2]) Possilge j. w. Annal. tor. oznacza czas zjazdu około św. Wojciecha (23. IV.).

[3]) Possilge, p. 241.

[4]) Ibidem, p. 236.

[5]) Possilge, p. 240.

saliński i jego warunki były znane Jagielle, rzuca wcale głęboką myśl, że król zgadzając się na odstąpienie Żmudzi, chciał przez to odkryć i zamanifestować przed Europą właściwe i istotne dążności Krzyżaków płaszczykiem misyi religijnych przysłonięte a chciwe i podstępne.[1]) Wracając do Witolda trzeba zaznaczyć, że Witold zbyt gorąco miłował tę „świętą“ Żmudź jako dziedzictwo swego ojca, by myślał naprawdę o wieczystem jej odstąpieniu Krzyżakom: miało to być chwilową tylko zapłatą, odebraną przy najbliższej sposobności. Nic więc dziwnego, że teraz, gdy z powodu klęski nad Worsklą i unii jego plany wschodnie runęły i pomoc Zakonu potrzebną mu nie była, uważał za stosowne odebrać to, co mu dał jako ofiarę tych planów tj. Żmudź. Tu więc zaczyna Krzyżaków niepokoić. Mówiliśmy wprawdzie poprzednio, że mimo klęski snuł Witold jakieś nieznane bliżej zamysły względem Tatarów i dlatego rozejm z Krzyżakami przedłużał — sprzeciwiałoby się więc to naszemu wnioskowi, i niepokojenie na Żmudzi wydaje się niezrozumiałe przez to. Do przypuszczenia powyższego (o zamysłach względem Tatarów) upoważniała nas korespondencya W. mistrza. Ale od unii wileńskiej począwszy aż do r. 1408 nie spotykamy już w naszych źródłach żadnego śladu, żadnej wzmianki o tem, wobec czego możemy wnioskować, że jeżeli Witold miał jeszcze istotnie jakieś plany, to musiał je na później odłożyć. Zresztą aż do końca jego życia nie słyszymy zupełnie o wyprawie przeciw Hordzie — prawda, inne sprawy zupełnie go pochłonęły. Zdaje mi się tedy, że na razie odłożył te zamysły na stosowniejszą porę, a przyczynę tego widzę w unii wileńskiej, a w szczególności w powołaniu bojarów, którzy, jak zaznaczyliśmy, mieli być stróżami zapędów do samodzielności Witolda względem Korony. Prawda, po unii wileńskiej Witold przez lat parę prawie wyłącznie zajęty jest na Wschodzie, ale to ma całkiem inny cel i charakter niż poprzednio. Prawda także, że teraz zrywając z Jungingenem, nie mógł mu się tak zwierzać ze swoich planów, jak dawniej, ale przecież po 1404 r. nastaje między nimi dłuższy pokój, a mimo to przy zwierzaniu się z innych zamysłów, o Tatarach nie spotykamy ani słowa w tem znaczeniu, jakoby się na nich chciał wyprawiać.[2]) Wynika więc z tego, że plany te odsu-

[1]) Prohaska: „Przyczynki krytyczne do dziejów unii“.

[2]) Codex Vitoldi passim. Przeglądnięcie aktów w tym kodeksie i ogólna znajomość dziejów Witolda starczą za dowód powyższych słów.

nał na bok i że eo ipso Zakon nie był mu potrzebny i postanowił z nim załatwić rachunki.

Zrywa więc, podburza Żmudź i to zaraz, ledwo akta unii obeschnąć zdołały, bo już w poście (luty, marzec) Żmudzini spalili dwa zamki,[1]) zbudowane z wielkim kosztem na ziemi żmudzkiej przez Krzyżaków:[2]) w ślad za tem wysyła Witold 20. marca wielką skargę na Krzyżaków do monarchów europejskich, że mianowicie okazują mu nieprzyjaźń z powodu zbiegów żmudzkich, szukających na Litwie schronienia, a na proponowany przezeń w tej sprawie sąd rozjemczy nie chcą się zgodzić.[3]) Kronikarz pruski, jak niemniej i sami Krzyżacy[4]) robią Witoldowi wielki zarzut, że przyjmuje zbiegów żmudzkich. Biorąc rzecz wedle słuszności i prawa, to przyjmowanie zbiegów było ze strony Witolda naruszeniem warunków pokoju, bo w traktacie salińskim było to zastrzeżonem wyraźnie. Ale też z drugiej strony świadczy to dobitnie, że Witold w polityce swojej nie zawsze przestrzegał tego co słuszne, że zrywawając z Zakonem, zrywał gwałtownie i nagle, paląc mosty za sobą, zmieniając stosunki, zmieniał je do gruntu. Nagłem i stanowczem było to zerwanie: nagłem, bo natychmiast, gdy tylko uznał, że dotychczasowy pokój nie jest mu potrzebny: stanowczem, bo gwałtownych i dla Zakonu najdotkliwszych (niepokojąc na Żmudzi) chwyta się środków. Zerwanie to jest tem charakterystyczniejsze i jaskrawsze, że Polska i Jagiełło pozostają ciągle w dobrych stosunkach z Krzyżakami. Dlatego też p. Kochanowski w swojem studyum o Witoldzie domyśla się i naszem zdaniem nie bez słuszności, że przez to zerwanie w taki sposób i w takich okolicznościach, chciał Witold zaznaczyć swoją i Litwy samodzielność wobec Korony, a skrępowany unią wileńską nie miał innego punktu do takiej manifestacyi jak tylko Zakon krzyżacki i że dalej polityka Witolda polegała na wzajemnem szachowaniu Polski i Krzyżaków, by przez to swobodniejszą sytuacyę

---

[1]) Possilge, p. 241.

[2]) Voigt, „Geschichte Preussens“ t. VI. p. 141, uwaga 4 („Tressler-Buch“ p. 60).

[3]) Possilge j. w. i Codex Vitoldi, nr. 238. Zjazd ten miał się odbyć 2. lutego; kronikarz rozbicie projektu zjazdu, który nie przyszedł do skutku, przypisuje złej pogodzie, a rozżalony na Witolda, cieszy się, że się tak stało, gdyż podejrzywał księcia o wrogie i zdradliwe zamiary względem mistrza.

[4]) W całym szeregu skarg, o których później mówić będziemy.

dla siebie wytworzyć. Jeżeli się zważy zachowanie Witolda po grunwaldzkiej bitwie.[1]) to można się zgodzić na sąd p. Kochanowskiego. W każdym razie faktem jest, że Witold zrywa z Zakonem, podczas gdy Jagiełło dawny, z r. 1400 stan utrzymuje. W tem właśnie rozchodzą się ich drogi, w tem różne jest ich stanowisko, a co zatem idzie i polityka.

Krzyżaków zerwanie to oburzyło bardzo, a echo tego oburzenia oddaje bardzo dobrze Possilge. Według niego unia wileńska była tego zerwania przyczyną, a posłanie przez Jagiełłę 300 ludzi zbrojnych Witoldowi[2]) wyrobiło w Krzyżakach przekonanie, że i Jagiełło także z wrogimi nosi się zamiarami.

Jeżeli Witold skarżył się na Krzyżaków przed monarchami Europy, to rzecz całkiem naturalna, że i Zakon nie pozostał dłużnym. Wysyłają też Krzyżacy szereg skarg do komturów prowincyonalnych: (Landcomthur) Alzacyi, Austryi i Koblencyi,[3]) w parę dni później (24. maja) do księcia burgundzkiego Filipa, najmłodszego syna Jana Dobrego,[4]) do kanonika wrocławskiego Hieronima,[5]) a wreszcie we wrześniu do kuryi apostolskiej.[6]) Oskarża tu W. mistrz Witolda, że przyjmuje zbiegów żmudzkich i buntuje Żmudź, wysyła tamże szpiegów i niepokoi ludność, która zaczęła się już chrystyanizować i władze Zakonu uznawać; nie pomija mistrz naturalnie i owego zburzenia zamków krzyżackich: a wszystko to jest zerwaniem pokoju, który zawarł z księciem z powodu żalów jego przed Europą, (odnosi się to do traktatu salińskiego i do obowiązku Krzyżaków walczenia z poganami, a Litwę jako pogańską jeszcze przedstawiano). Ale i Jagiełło nie lepszy, bo wspiera pogaństwo na Litwie, dopomaga Rusinom tj. heretykom, a teraz świeżo zawarł ściśle przymierze z nimi i z Witoldem (mowa tu o unii wileńskiej), które to przymierze jest bardzo niebezpieczne dla chrześciaństwa, bo należą do niego heretycy tj. Rusini; okazuje Jagiełło nieprzyjaźń Zakonowi z powodu ziemi dobrzyńskiej, a przecież otrzymał ją Zakon z rąk Opolczyka („der seyn eyn freyer herre was“) jako zastaw, (a dał ją Opolczykowi

[1]) Smolka, „Witold pod Grunwaldem“ (Szkice histor.).
[2]) Possilge, p. 247.
[3]) Voigt Codex, t. VI. nr. 109.
[4]) Ibidem, nr. 116.
[5]) Ibidem, nr. 113.
[6]) Lites ac res gestae t. II. Appendix, nr. 39, p. 425.

Ludwik węgierski),[1]) ale niech tylko on, mistrz, otrzyma zastawną sumę, zwróci natychmiast i ziemię. Naturalnie zaręcza W. mistrz za prawdziwość tego wszystkiego co pisze, prosi o pomoc i radę, a zarazem, by nie dawano wiary pismom Jagiełły i Witolda.

---

[7]) Voigt Codex, VI. nr. 113.

Dr. Maryan Goyski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI
BISKUP KRAKOWSKI
(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

II.

Zupełnie innym byli ożywieni duchem dysydenci po sejmie warszawskim. Pewni sympatyi królewskiej, ufni w zwycięztwo swojej sprawy, mając zupełną swobodę działania z powodu zawieszenia jurysdykcyi kościelnej o herezyę, z powodu niewykonalności edyktu warszawskiego, wydanego przez króla przeciw nim na prośbę biskupów a zaprotestowanego przez izbę posłów, poczęli niebawem po sejmie przysposabiać się solidarnie do nowej kampanii z katolicyzmem i jej reprezentantami. Już w ciągu roku 1557 dochodziły biskupów z ich obozu przerażające wieści, że na przyszłym sejmie koronnym mają stanowczo obalić katolicyzm w Polsce,[1]) że ten sejm będzie jednym z najbardziej burzliwych sejmów, bo ci „ministrowie szatana przygotowują już machiny,

[1]) Hos. Ep. nr. 1868, list biskupa Protaszewicza.

ktoremi powalą biskupów; zamierzają nawet obcych na sejm powołać, aby ich zwalczali." [1]) Wieści te potwierdzały się z dniem każdym, [2]) więc i w następnym roku opowiadano sobie w kołach duchownych, że „heretycy" z wszelką pewnością na przyszłym sejmie „wywrócą religię katolicką i stan kościelny". [3]) Środkiem do osiągnięcia tego celu miała być sekularyzacya dóbr kościelnych, któraby podkopała zupełnie byt materyalny duchowieństwa katolickiego. Hozyusz, który widział w tych bujnych i śmiałych zamysłach dysydentów karę Niebios, spadającą na biskupów za ich opieszałość w pełnieniu obowiązków pasterskich, tak o tem pisał w czerwcu 1557 r. do Karnkowskiego: „Słyszę, że na najbliższym sejmie ma być wniesiony taki projekt przeciwko nam: ponieważ zupełnie nie troszczymy się o religię, jak gdyby do nas nie należała, żadnego urzędu nie spełniamy gorzej jak urząd ojców duchownych, przeto trzeba nam odebrać wszelkie dobra doczesne, które dostaliśmy dla celów duchownych. Jeśli ten projekt wniesiony będzie, wdzięczny będę królowi, wobec Boga i całego świata, uznam go zupełnie uzasadnionym, nawet bowiem chleba, który spożywamy, niegodni jesteśmy..." [4]) Pod hasłem tej sekularyzacyi miano stoczyć na sejmie ponowny bój z biskupami o ich sądownictwo kościelne. Miano zaprotestować jeszcze raz nie tylko przeciw ich jurysdykcyi o herezye, aby snadź *interim* uzyskane dla niej w Warszawie nie zostało przerwane, ale także przeciw jurysdykcyi we wszelkich innych sprawach, jak w sporach o dziesięciny, o dobra kościelne, chcąc mieć zupełnie swobodną rękę w zabieraniu dochodów lub majątków kościelnych na rzecz wyznawców nowej ewangelii, która miała zapanować w Polsce na ruinach zdruzgotanego katolicyzmu.

Właśnie dla zapewnienia zwycięztwa tej nowej ewangelii, wznowiono po sejmie dawne usiłowania w kierunku zjednoczenia religijnego, które miało być zachętą dla króla i innych stanów

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1872, list Przerębskiego. — Także Hos. Ep. nr. 1869, s. 910.

[2]) Hos. Ep. nr. 1919. Pisze w styczniu 1558. Hozyusz do Ottona Trachsessa, kardynała augsburskiego: Quotidie ruunt in deterius omnia ac maiores in dies satanismus vires sumit, in Sermi Regis mei praesertim civitatibus, quamquam et mea iam oppida non sunt ab haereseos labe prorsus intacta.

[3]) Hos. Ep. nr. 1907 list Przerębskiego.

[4]) Hos. Ep. nr. 1785.

Korony do zerwania z papiestwem i Katolicyzmem Rzecznikiem tego zjednoczenia w Małopolsce był Jan Łaski, w Wielkopolsce, jak zawsze, Bracia Czescy, ale jak dawniej tak i teraz utrudniały je już to różnice wyznaniowe między Braćmi a Kalwinami, już to niezgody i waśnie, nurtujące pośród dysydentów małopolskich w skutek skłonności wielu z nich do aryanizmu, z zasady wrogiego wszelkiemu, nowemu czy staremu, chrystyanizmowi... Prócz tego Luteranie, którzy przewagę mieli w Wielkopolsce, na Pomorzu i w Prusiech, dotychczas stali zupełnie na uboczu ruchu różnowierczego polskiego, zasilani dostatecznie przez swoich współwyznawców z sąsiednich Niemiec.

Wyrazem dążeń dysydentów do zjednoczenia religijnego, podjętych w tym czasie, były częste synody i kollokwia religijne, odbywane w Małopolsce i Wielkopolsce. Jednym z takich synodów był synod w Wodzisławiu, miasteczku małopolskiem, odbyty w czerwcu 1557 r.[1]) Byli na nim obecni dwaj delegaci Braci Czeskich, znani nam Czech i Lorenc, umyślnie zaproszeni w imieniu Małopolan przez Stan. Lutomirskiego i Stan. Sarnickiego. Inicyatywę do tego synodu dali panowie małopolscy Filipowski, Lasocki tudzież Felix Kruciger i Jan Łaski. Przedmiotem obrad była kwestya unii Koźminieckiej, dotychczas nie weszłej w życie. Delegaci Braci Czeskich złożyli na piśmie obszerny memoryał w tej sprawie, pełen cierpkich wyrzutów do Małopolan za niedotrzymanie ugody w Koźminku zawartej. Narzekali też na nich, że oglądają się tylko na Lismanina, którego własnym kosztem z zagranicy z polecenia Kalwina sprowadzili lub też na Łaskiego, którego ostentacyjnie wzywali do Polski, a gdy przybył, jeszcze ostentacyjniej go przyjmowali. Małopolanie na zarzuty odpowiedzieli jednogłośnem ponownem zatwierdzeniem unii Koźminieckiej, tłómacząc się zarazem, że jeżeli dotychczas nie przyjęły się u nich agendy i obrzędy czeskie, to stało się to nie z braku dobrej woli z ich strony, tylko skutkiem zbiegu różnych okoliczności. Wręczyli też w imieniu ich delegatom Łaski i Kruciger odpowiednie listy, stwierdzające powziętą o unii uchwałę. Ale kwestyę

[1]) Opis tego synodu znajduje się w rękopisie archiwum Braci Czeskich w Lesznie, wyzyskany przez Łukaszewicza w dziełach o kościołach Braci Czeskich (str. 46—48, tłómaczenie niem. str. 34) i wyznania helw. w M. P. (s. 163), także w aktach Jakuba Sylviusa, wydruk. u Liubowicza, Istoria ref. w P., Appendix s. XIV. nr. 8 pod tyt. acta conventus Włodzisłaviensis, die XV. Iunii 1557.

zjednoczenia, podniesioną na synodzie w ramach unii Koźminieckiej, chciał Łaski jeszcze rozszerzyć o tyle, aby do unii przystąpić mogli także Luteranie wielkopolscy wyznania augsburskiego. Miał mówić, że wyznawcy słowa Bożego powinni się przygotować na najbliższy sejm koronny, w tym celu powinni Bracia Czescy odbyć kollokwium religijne z Luteranami wielkopolskimi, których kościoły są już tak liczne, powinni nakłonić ich do zjednoczenia się z nimi i z wyznawcami Kalwina w myśl unii Koźminieckiej, aby potem na sejmie módz śmiało wystąpić przeciw papistom i prosić króla o wolność dla Ewangelii... Tak samo synod małopolskich seniorów i ministrów z Janem Łaskim na czele, zebrany w Pinczowie dnia 8. i 9. września b. r. miał na celu głównie propagandę idei zjednoczenia. Omówiono na nim jeszcze raz różnice, dzielące Kalwinów i Braci Czeskich i postanowiono złożyć ponowny z nimi synod, na którym miano rozebrać 9 punktów spornych między obu wyznaniami, ułożonych przez Łaskiego.[1]) Na miejsce synodu wybrano Gołuchów, majętność Leszczyńskich w Wielkopolsce, na termin dzień 16. października b. r. Miał go poprzedzić przedwstępny zjazd w Chodczu, miejscowości kaliskiej, jednakże ani ten zjazd, ani synod nie doszedł do skutku z powodu choroby Jana Łaskiego...[2])

Na synodzie wodzisławskim postanowiono także na wniosek Łaskiego wydać w najkrótszym czasie biblię polskie... Wyznaczono w tym celu deputacyę do szlachty, złożoną z St. Lasockiego, St. Szafrańca, Balt. Łukowskiego, Zyg. Myszkowskiego, Justa Ludw. Deciusa, która miała starać się u niej o fundusze na to wydawnictwo, niezmiernie ważne dla protestantyzmu.[3]) Przekładu polskiego mieli dokonać nauczyciele szkoły pińczowskiej pod kierunkiem rektora jej, Grzegorza Orszackiego, zwanego Orszaciusem. Myśl szczęśliwie rzucona przez zapobiegliwego reformatora polskiego, nie została wprawdzie natychmiast wykonaną, jednak przyjęła się i nie zaginęła.[4]) Przyczyną zwłoki wydawnictwa któ-

[1]) Liubowicz, Istoria ref. w P., Appendix s. XIII, z aktów Jakuba Sylviusa. W sprawie unii z Luteranami jeździł Łaski w lutym 1558 r. do Albrechta pruskiego, także był w Wielkopolsce u St. Ostroroga i u hetmana Tarnowskiego, ale podróż nie udała mu się nigdzie, v. Bukowski, T. II. s. 490.

[2]) Łukaszewicz, O kościołach Br. Cz. w W. P.

[3]) Akta Jak. Sylviusa — jak wyżej, s. XIV.—XV.

[4]) Akta Jak. Sylviusa — jak wyżej. Synod w Wodzisławiu z 4. września 1558 r. ponawia uchwałę: Biblia edendi esse polonica ad

rego nie doczekał się Łaski a nie widział Zebrzydowski, było nie tylko samo przedsięwzięcie trudne i żmudne, wymagające wielkiej znajomości tekstów biblii i opanowania językowych trudności polskich, ale także scysya w szeregach tłómaczy, spowodowana przez aryanizm, będący również przeszkodą w dokonaniu upragnionego przez Łaskiego, jak niegdyś przez Krucygera zjednoczenia religijnego małopolskich Kalwinów z innymi różnowiercami polskimi. Właśnie w roku 1558, jakoby w przededniu spodziewanego sejmu, zjawiło się w Polsce wielu adeptów tego wyznania, którzy znaleźli oparcie w Pińczowie, miasteczku Oleśnickiego, gdzie aryanizm z zwinglianizmem pierwsze swoje święcił tryumfy. Przybył tedy Jerzy Blandrata, doktor medycyny, który przez Radziwiłła dał się poznać później Zygmuntowi Augustowi. Gonczyusz czyli Piotr z Goniądza, wyklęty przed dwoma laty przez synod pińczowski, Franciszek Stankar, znany autor dziełka: *De mediatore*, przybył też niejaki Piotr z Thionville, Statoriusem albo Stojeńskim później zwany, wreszcie Lelius Socyn. Tenże Socyn gościł już w 1551 r. w Krakowie podczas obecności samego Zebrzydowskiego i jednał już wówczas Lismanina i innych dla Serweta, co nauką swą pierwszy w epoce Reformacyi wskrzesił dawny aryanizm. Wszyscy ci przybysze wchodzą w mniej lub więcej ścisłe stosunki z miejscowymi teologami i ministrami, wielu z nich pociągają ku sobie, podkopując kalwinizm, popierany przez Krucygera i Łaskiego. Poczynają się nowe spory i walki na zjazdach i kollokwiach, które szkodzą sprawie zjednoczenia politycznego różnowierstwa polskiego.[1]) Bądź co bądź jednak nie zatracają by-

promovendum Regni Christi, tak samo synody w Pinczowie 25. IV. i w Wodzisławiu 26. VI. 1559 r. deliberowały „de edendis bibliis polonicis opera ludi magistrorum scholae pinczoviene translatorum". Tłómaczami mieli być: Piotr Gallus, Grzegorz Orszacki, Jan Gallus, także Piotr Statorius vel Stojeński, uproszony przez Orszackiego (App. s. XV. nr. 8. list jego z 1. lutego 1559 do Kalwina). Tak samo wyrażają życzenia wydania biblii polskich dalsze synody, w styczniu 1560 r. miała już być gotowa część przekładu, a na synodzie pińczowskim z 3. maja 1560 poeta Trzecieski wniósł projekt ks. Radziwiłła, aby w przekładzie złączyli swoje siły teologowie polscy i litewscy, tudzież ofiarował w jego imieniu pokrycie kosztów wydawnictwa (App. s. XVI.).

[1]) Porównaj Część I. monografii, odbitka s. 76. Właściwy początek aryanizmu czyli antytrynitaryzmu albo unitaryzmu, przeczącego Bóstwa Chrystusowi i istnienia Trójcy św., odnoszą historycy do roku 1546, v. Lubieniecki, s. 19, Modrzewski, Sylvae 2 p. 81. O arya-

najmniej różnowiercy śród owych sporów i walk wyznaniowych ducha jedności i solidarności w walce z katolicyzmem. Na synodzie wodzisławskim z dnia 4. września 1558 r. debatują o przyszłym sejmie, nakładają na siebie wysokie kontrybucye, które przeznaczają na drukarnie, na biblie polskie, na szkoły, kaznodziejstwa, protestują natomiast przeciw dziesięcinom, które płacą „papiści“, zamierzając wnieść na sejmie projekt zniesienia tego bezdennego źródła dochodów duchowieństwa katolickiego.[1])

Równocześnie w łonie episkopatu polskiego, który z całego kleru miał być wystawiony na najsilniejsze ataki ze strony dysydentów, występowały w ślad za odrętwieniem, paraliżującem go po sejmie warszawskim coraz gwałtowniejsze objawy zupełnej dezorganizacyi i demoralizacyi. Właśnie w tym samym czasie kiedy dysydenci kreślili śmiałe plany przyszłej kampanii sejmowej, biskupi jakby na urągowisko swoje toczyli układy z królem o udział swój w sejmach, radzi wykupić się od nich choćby znaczną kwotą, ofiarowywaną królowi, byle nie potrzebowali stawać na nich do boju z swoimi wrogami.[2]) Pozbawieni wiary w swe siły, usuwali się nawet od udziału w synodach lub jakichkolwiek innych zjazdach i naradach religijnych, które bez nich traciły swoje właściwe znaczenie.[3]) Kiedy Hozyusz przedłożył prymasowi projekt zjazdu biskupów i prałatów polskich, celem omówienia bieżących spraw kościelnych i duchownych, wątpił z góry tak prymas jak jego kanclerz, czy taki zjazd z powodu niechęci i apatyi biskupów dojdzie do skutku.[4]) A kiedy się zdecydował pójść za głosem Hozyusza i zaprosił biskupów na zjazd do Wolborza

---

nach, v. Sandii, Bibliotheca Antytrynitariorum, na s. 189—210 wspomina o pobycie w Polsce Leliusza Socyna w 1551 i 1558 r., podług Narratio compendiosa, auctore A. Wissowatio, który opiera się znowu na Sylwach Modrzewskiego. Porównaj Bukowski, T. II. s. 478—484. Nowoaryanów zwano także Gerwecyanami i Socynianami albo Sakramentarzami, chociaż tę ostatnią nazwę dawano także zwolennikom wyznania helweckiego i nauki Kalwina lub Zwinglego.

[1]) Bukowski, T. II. s. 499, podług listów Utenhovego do Kalwina z synodu pod dn. 12. września 1558 i do ministrów szwajc. z pod Krakowa, pod d. 18. września 1558: Corp. Ref. XVII. N. N. 2959, 3962. — Także Akta Jacoba Sylviusa u Lubowicza XV. — jak wyżej.

[2]) Hos. Ep. nr. 1899, s. 936, list Dąbrowskiego.

[3]) Hos. Ep. nr. 1898, list prymasa.

[4]) Tamże.

w dniu 10. marca 1558, przekonał się, że przeczucia niestety ich nie myliły. Prócz Hozyusza i prałatów kapitulnych, między nimi delegata kapituły krakowskiej, Wojc. Staroźrebskiego, nie pojawił się w Wolborzu ani jeden biskup.[1]) Wybierał się Zebrzydowski, na trzy dni przed terminem zjazdu bawił w Miechowie, miejscowości położonej w województwie krakowskiem, przyrzekał listownie prymasowi, że przyjedzie, ale nie przyjechał.[2]) Zgorszony tem wszystkiem Hozyusz, przesłał Karnkowskiemu dnia 10. marca z Wolborza taki list pełen goryczy: „Powołany na synod przybyłem chętnie, chociaż do prowincyi gnieźnieńskiej nie należę. Było zaś wiele powodów, dla których powinien się był odbyć: nie ma czasu i potrzeby wyliczać je teraz, widzi sama W. W., w jakiem znajdujemy się niebezpieczeństwie. Zresztą, jak bardzo troszczą się biskupi koronni o religię chrześciańską, której stróżami są, pokazuje się stąd, że żaden z nich acz wezwany nie przybył, żaden też prócz jedynie biskupa poznańskiego nie usprawiedliwił swojej nieobecności. Ponieważ zaś prócz arcybiskupa i mnie żadnego innego biskupa nie było, nie mogła być powziętą przez nas dwóch żadna uchwała. Tak więc nic nie zdziaławszy, rozjechano się.“[3])

Między wieloma innemi sprawami, które miały być omawiane w Wolborzu, była sprawa wakansu katedr, niepokojąca od kilku miesięcy opinię publiczną całej Polski. W czerwcu 1557 r. umarł był Drohojowski, biskup włocławski.[4]) Opróżnioną po nim katedrę nadał król Uchańskiemu a katedrę chełmską, zajmowaną przez niego, podkanclerzemu Przerebskiemu.[5]) Byłby zresztą tego ostatniego mianował biskupem włocławskim, gdyby nie to, że chciał go zatrzymać na podkanclerstwie przy sobie. Nadto sam podkanclerzy nie bardzo chętnie przyjmował nominacyą na biskupa

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1912, tekst i przypis. 2. Zjazd był naznaczony pierwotnie na 6. lutego 1558, ale potem odłożony z powodu zbyt wczesnej w tym roku odwilży i wylewu wód i popsutych przez nie dróg. Także Hos. Ep. nr. 1927.

[2]) Tamże. List od Zebrzydowskiego otrzymał prymas dn. 16. stycznia 1558. Także Kor. Zeb. nr. 872, list jego do króla z Miechowa pod d. 7. marca 1558 r.

[3]) Hos. Ep. nr. 1927.

[4]) Wierzbowski, Uchańsciana T. II. s. 381. Hos. Ep. nr. 1785, 1786.

[5]) Hos. Ep. nr. 1799, App. 78. Stało się to w ostatnich dniach lipca b. r. 1557.

wogóle, bo od roku się starał w Rzymie o godność koadyutora prymasa z przywiązanem do niej prawem następstwa.[1]) Ale właśnie te kombinacye i widoki króla i podkanclerzego, skutkiem których Uchański stał się jedynym kandydatem, godnym biskupstwa kujawskiego, krzyżowały się z opinią o obydwu kandydatach w Rzymie, której wyrazem było to, że raczej Przerębski uzyskałby zatwierdzenie na biskupstwie kujawskiem, gdyby je przyjął, ze Uchański jako dawno już podejrzany w wierze, niegdyś po wielkich dopiero zabiegach zatwierdzony na biskupstwie chełmskiem, nie dawał teraz rękojmi, aby był przykładnym biskupem w dyecezyi, podminowanej silnie przez protestantyzm.[2]) Właśnie w tym czasie, kiedy król wyprawiał do Rzymu posła swego, Jana Wysockiego z relacyą o wojnie inflanckiej, załączając do niej prośbę o konfirmacyę dla Uchańskiego na katedrze włocławskiej a o koadyutoryę dla Przerębskiego i o konfirmacyę dla niego na biskupstwie chełmskiem,[3]) krążyła wieść, jakoby Uchański, już jako nominat kujawski, zezwolił w Gdańsku na komunię pod dwiema postaciami, na którą także już przedtem zezwolił sam król.[4]) Istotnie w Gdańsku z końcem października 1557 r., zdaje się na mocy dekretu królewskiego z dnia 5. lipca t. r. przyjęto po wszystkich kościołach tę protestancką formę Sakramentu Ołtarza.[5]) Wieści o udziale w dokonaniu tej zmiany na niekorzyść obrządku kato-

[1]) Hos. Ep. nr. 1796, list Kostki, kaszt. gnieźn. do H. z 11. lipca 1557: „Ale iżem to wyrozumiał z pisania J. M. — Przerębskiego — iż żadnego przyjaciela nie ma, któryby mu radził do Kujaw, a nakoniec i Król J. M. sam radzi mu, aby przedsię przy pieczęci został a Chełmskie Biskupstwo wziął, a będąc na Chełmskiem Biskupstwie które mniejszym kosztem a nakładem mieć może, Arcybiskupstwa czekał, który słyszę jest bardzo niemocen, tak iż mu żywota nie tuszą, albo też Biskupstwa Płockiego, na którym będąc, przy pieczęci by przedsię zostać mógł; a gdyby Kujawskie wziął, tedyby pieczęć musiał puścić a nakład ktemu na sacrae niemały musiałby uczynić...“ Także App. nr. 78: pisze Przerębski dn. 16. sierpnia 1557 do Dąbrowskiego: Erat in manu mea Episcopatus Cuiaviensis; sed tantum abest, ut doleam, quod illo Rmo Dno Chelmensi cesserim, ut etiam me, quod Chelmensem acceperim, poenitent.

[2]) Hos. Ep. nr. 1837 i 1897 listy Lipomana z 30. września i z 23. grudnia 1557 r. do Hozyusza, nr. 1819, list prymasa do niego z 2. września t. r.

[3]) Hos. Ep. nr. 1897, przyp. 3, App. nr. 78.

[4]) Hos. Ep. nr. 1898.

[5]) Hos. Ep. nr. 1888 i przyp. 1, 1786 i przyp. 2.

lickiego wprawdzie Uchański zaprzeczał,[1]) nie zdołał jednak usunąć złej o sobie opinii, tembardziej, że niedawno na synodzie piotrkowskim bronił osobiście komunii pod dwiema postaciami. Miał wprawdzie dobrze usposobić dla siebie prymasa, prymas ze swej strony służył mu dobrem słowem i dobrem świadectwem, prosił za nim Hozyusza, aby poparł jego nominacyę w Rzymie i rozwiał uprzedzenia powzięte do niego „z powodu poprzednich delacyi i nienawiści wielu", — ale na darmo.[2]) Nie pomogło i to, że sam dawał wówczas dowody prawowierności katolickiej, że miał w lecie b. r. podczas chwilowego pobytu swego w Krakowie okazać wiele dobrych chęci, powstrzymując swym wpływem heretyków a nawet Jana Tarnowskiego, kasztelana krakowskiego i St. Tęczyńskiego, wojewodę krakowskiego, gdy zanadto na jakimś zjeździe, odbywającym się wówczas w stolicy, zdawali się — „skłaniać i zbliżać się do partyi heretyckiej".[3]) W Rzymie bowiem jak najgorzej był zapisany w pamięci samego papieża, który niegdyś jako inkwizytor uznawał go był niegodnym biskupstwa chełmskiego, a teraz utrwalił się w złem o nim mniemaniu przez nuncyusza Lippomana i królowę Bonę, słuchając chciwem uchem zeznań ich obojga w wysokim stopniu niepochlebnych dla całego episkopatu polskiego, a w szczególności dla niego.[4]) Właśnie też pod wpływem relacyi Lippomana o biskupach polskich, nosił się papież z myślą ukarania jednego z nich, by skłonić ich do zerwania stosunków z heretykami i zniewolić ich do większej gorliwości w wierze.[5]) W duszy wybierał między Drohojowskim, Uchańskim lub Zebrzydowskim, gdy w tem same losy przeznaczyły mu

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1898. Rozpisywał listy do wybitniejszych osób z prośbą o poparcie i wysłał do Rzymu domownika swego po bulle, obładowanego złotem i świadectwami polskiemi od prymasa, Hozyusza, Noskowskiego, Tarnowskiego do Lipomana i Jakóba Putensa. v. Wierzbowski, Uchańsciana V. s. 149—184, zaw. rozdział pod tyt.: Nominacya Uchańskiego na biskupstwo kujawskie i wywołany przez nią zatarg z Rzymem 1557—1561.

[2]) Hos. Ep. nr. 1819.

[3]) Tamże.

[4]) Hos. Ep. nr. 1930, Uchańsciana IV., 193; także Hos. Ep. nr. 1921, przyp. 3.

[5]) Hos. Ep. nr. 1799: In tellexi ex Urbe Papam aliquos in hoc Regno pontifices ex orbitantes castigare voluisse propter relationem Legati, nisi bellum hoc — wojna inflancka — intervenisset, pisze dnia 23. lipca 1557 r. z Krakowa do Hozyusza dr. Jan Benedicti.

na kozła ofiarnego karzącej sprawiedliwości osobę Uchańskiego. Odmówił więc królowi zatwierdzenia jego na nowem biskupstwie. tem samem nie zatwierdził nominacyi Przerębskiego i nie spieszył się wcale z potwierdzeniem koadyutoryi jego, o którą tenże niemal od roku się starał. Już sama sprawa koadyutoryi, tak długo będąca w zawieszeniu, groziła wybuchem zatargu między królem a papieżem, cóż dopiero odmowa konfirmacyi kandydata królewskiego, zupełnie formalnie i w właściwym czasie mianowanego i przedstawionego kuryi rzymskiej do zatwierdzenia. A spodziewano się tej odmowy i lękano się jej niezmiernie.[1]) Wysocki, poseł królewski, miał oświadczyć papieżowi, że biskupi polscy są senatorami, więc król musi stać na straży swego prawa do ich nominacyi, że jeśli papież nie uzna jego kandydatów, nie będzie wiele dbał o to.[2]) Przerębski dotknięty ociąganiem się kuryi rzymskiej w zatwierdzeniu jego koadyutoryi, traktowaniem jego osoby w ten sposób, jakoby go podejrzywano o herezyę, wyrażał w tym czasie przed Hozyuszem obawy, — „aby rzecz ta nie wznieciła burzy, któraby religią wstrząsnęła, zwłaszcza gdyby zanegowano translacyę kujawską“.[3]) — Miał uśmierzyć gniew króla o tyle, że na razie przedstawił mu sam trudności, jakie robi kurya w udzielaniu koadyutoryi wogóle, ale słyszał, — jak mówił — „że zdania swego nie zmieni, że ten będzie arcybiskupem, którego raz przeznaczył: pamięta, jak dziad jego (Kazimierz) postąpił sobie z biskupem krakowskim (Jakubem Siennickim) lub ojciec z płockim (Janem Albertem), musi też tego dokazać, aby w Rzymie słuchano jego świadectwa, nie zaś kłamstw cudzych, bo choćby nawet chciano inaczej uczynić, to on nie ścierpi tego, aby w jego państwie inni byli biskupi, a nie ci, których on sobie życzy; zna prawo papiezkie, zna i swoje, *scire se ius pontificium, scire suum*.“[4]) Tymczasem w pierwszych miesiącach 1558 r. nadeszły z Rzymu od Lippomana, kardynała Putensa i samego posła Wysockiego całkiem pewne wiadomości, że papież Uchańskiemu odmówił stanowczo konfirmacyi, przyjął nawet bardzo źle Wysockiego, chociaż prośbę króla popierał równocześnie Hozyusz.

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1819.

[2]) Uchańsciana II. 73—75.

[3]) Hos. Ep. 1872, list jego do Hozyusza z Wilna, dn. 4. listopada 1557.

[4]) Tamże.

będący w wielkich u niego łaskach.[1]) Wiadomości te uzupełniły dwa breve Pawła IV., redakcyi Lippomana z daty 17. grudnia 1557 r. nadeszłe do Polski w połowie t. r., jedno do króla z żądaniem innego kandydata, drugie do kapituły włocławskiej z poleceniem objęcia administracyi dóbr biskupich.[2])

Oburzenie we Wilnie na upór papieża i na sprawcę jego rozporządzeń było ogromne. Już po otrzymaniu pierwszych wiadomości o rezultacie misyi posła swego, król dotknięty mocno w swych prawach monarszych, chciał natychmiast wprowadzić Uchańskiego w posiadanie biskupstwa.[3]) Pragnął, jak pisał o tem do Hozyusza, zapewnić tym sposobem swemu nominatowi fundusze na reprezentacyę senatorską a zarazem uległością względem papieża nie stworzyć złego precedensu na przyszłość.[4]) Ledwo go Przerębski od tego kroku powstrzymał.[5]) Polecił więc na razie ponownie Wysockiemu, aby oświadczył papieżowi, że raczej jego świadectwu i opinii jego senatorów i biskupów a nie potwarzom postronnym dawać powinien wiarę, że jego nominatem jest Uchański i że jemu odda dochody biskupie.[6]) Równocześnie wystosował okólnik do senatorów, podając im do wiadomości sprawę swego nominata i prosząc o zdanie o niej. Napisał też do biskupów, mających się zgromadzić w Wolborzu, do prymasa i do kapituły włocławskiej, aby administracyę dóbr biskupich powierzono osobie, którą Uchański wskaże. Osobą tą miał być brat jego Arnolf Uchański, kasztelan raciązki.[7]) Ale zjazd wolborski nie mógł powziąć w tym kierunku żadnej uchwały, wysłał tylko do Rzymu w poselstwie od kleru polskiego Franciszka Krasińskiego, archidyakona kaliskiego, z relacyą o opłakanym stanie Kościoła polskiego, wymagającym pokojowego załatwienia sprawy wakansu katedr, zaś prymas wspólnie z kapitułą włocławską zgodził się jedynie na wydanie Uchańskiemu pieniężnych dochodów.[8]) Do-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1897, 1921, 1930, 1932.

[2]) Uchańsciana, IV. 189, 191. I. 31.

[3]) Hos. Ep. nr. 1930.

[4]) Hos. Ep. nr. 1932.

[5]) Hos. Ep. nr. 1930.

[6]) Uchańsciana, IV. 198.

[7]) Hos. Ep. nr. 1950, App. nr. 81.

[8]) Hos. Ep. nr. 1931, przyp. 1. v. Uchańsciana II, 83. W tekście listu nr. 1931 czytamy wprawdzie: Dni Postulati Vladislaviensis rebus provisum esse videtur in nostra non synodo Volboriensi iuxta voluntatem Regiae Mtis, nihil ut iam esse periculi videtur, ale rzecz

piero później w maju wybrała kapituła na administratora dóbr osobistość miłą Uchańskiemu, Jakóba Paczyńskiego, dziekana włocławskiego. Po nadejściu breve papiezkiego, sytuacya jeszcze więcej się zaostrzyła. Król wydał bowiem ponowne rozporządzenie do kapituły włocławskiej, aby dobra oddała wprost samemu Uchańskiemu. Nosił się nawet z zamiarem przyznania swemu nominatowi jurysdykcyi duchownej i zawiadomił o tem okólnikiem z 29. lipca t. r. senatorów i biskupów, nie chcąc wkraczać w zakres prawa kanonicznego bez ich wiedzy i zgody. Zanosiło się na wielką burzę.

Zdaniem Przerębskiego głównym a złośliwym jej sprawcą był były nuncyusz Lippomano. Jeszcze w marcu t. r. pisał z goryczą i żalem do Hozyusza: „Obecność biskupa weroneńskiego u nas więcej nam zaszkodziła, niż korzyści przyniosła. Nie przeczę, może to mąż prawy i święty, ma jednak, boć nikt śmiertelny nie jest bez grzechu, swoje błędy, zachował swój wrodzony: jest Włochem chciwym zemsty. On nie tylko zgoła nie usuwa złego, ale nawet judzi papieża, samego przez się srogiego i surowego. I zaiste, on to miał sprawić, że nominat kujawski nie został przeniesiony, że papież nawet zakazał przedkładać sobie swiadectwa, złożone do rąk kardynałów, a odpowiedź posłowi królewskiemu dał taką, na którą się mógł zdobyć następca raczej Konstantyna niż Piotra. Nazwał heretykiem tego, który nie tylko nie został przekonany, ale nawet nie był przesłuchiwany. Ale nie tylko nominat kujawski nie został przeniesiony, a orator J. Kr. Mości doznał przyjęcia, na jakie nie zasługiwał przedstawiciel władcy chrześciańskiego. Głośno mieli odzywać się klienci biskupa weroneńskiego: nie inaczej się powinno przyjmować naszych, jak się obchodzono z nimi i przyjmowano ich tutaj. Mówią, że biskup weroneński rzadko miewał tutaj audyencye u J. Kr. Mci, ale ja znowu mówię: miał je tyle razy, wiele razy chciał. Przyznaję, pisano na niego paszkwile, lecz w Rzymie na samego nawet papieża piszą się paszkwile, a nikt nie może temu przeszkodzić. Nie mógł

---

tę rozstrzygnął prymas właściwie sam jeden w porozumieniu z kapitułą kujawską i to nie zupełnie podług woli króla, gdyż sam powiada: Volboriae cum Capitulo Vladislaviensi constitui, ut illi proventus pecuniarii suppeditentur, dum noster nuntius ex Urbe revertitur. Pierwsza wiadomość — lakoniczna — pochodzi od Hozyusza. Król żądał nie tylko dochodów, ale i administracyi dla Uchańskiego, względnie dla jego zastępcy. — O Krasińskim v. Hos. Ep. nr. 1950.

dokazać tego, aby książek heretyckich po księgarniach nie sprzedawano, lecz w sprawie tej nigdy biskup weroneński u króla nic nie przedsiębrał (!). A chociaż zaiste mogło być pożądanem, aby go nic nie spotkało było obrażającego, to jednak pewne, że król obchodził się z nim łaskawie i z uszanowaniem. Teraz zaś nominat kujawski szemrze, a król gniewa się, zobaczymy, jaki będzie koniec tej tragedyi." [1]) Ale „szemrał" nie tylko Uchański, szemrał również sam podkanclerzy jako bezpośrednio w sprawie jego interesowany, nie mogąc uzyskać koadyutoryi gnieźnieńskiej i nominacyi chełmskiej, aczkolwiek tej ostatniej nie bardzo pożądał i nie bardzo się spieszył do nadanej mu „posesyi chełmskiej", [2]) nie przedstawiającej dla niego wielkiej wartości. Szemrał również senat cały, którego król pytał o radę i zdanie. I jeśli do Rzymu szły groźby i gniewy, podniesione w obronie podeptanych praw monarszych, działo się to właśnie pod wpływem opinii, jaką złożyła królowi w swoich odpowiedziach na jego okólniki w tej sprawie poważna część senatu, oburzonego na papieża i jego doradców. Niektórzy senatorowie na samą wieść tylko, że „translacya" została odmówioną, radzili królowi, ażeby Uchańskiego wprowadził w posiadanie biskupstwa. [3]) Najpierwsi dygnitarze państwa, nawet tacy ortodoksi jak kanclerz Jan Ocieski lub Stan. Tęczyński, wojewoda krakowski, widzieli w odmowie Pawła IV. ciężką obrazę króla, nawet zamach na wolność Polski. Tego samego był zdania pierwszy senator Korony, Jan Tarnowski lub Stan. Maciejowski, kasztelan sandomierski, który radził oddać Uchańskiemu także całą jurysdykcyę w nowej dyecezyi. Janusz Kościelecki, generał-starosta wielkopolski, lub. Łuk. Górka, wojewoda brzesko-kujawski, radzili sprawę całą wnieść na najbliższy sejm koronny, a Ławski, wojewoda mazowiecki podawał projekt, by król zasięgnął opinii innych chrześciańskich monarchów. Z se-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1930.

[2]) Tamże, post scriptum: si Domino Nominato debitur pessesio Episcopatus autoritate Regia contra omnes canones, quaeso — pisał do Hozyusza — suum mihi consilium impartiat, quid mihi erit faciundum: ego quidem omnino statui nos adire possesionem Chelmensem, sed hic consilio opus, an non praestat, ut me titulo etiam abdicem: omnia paratus sum facere, modo ut cedat in bonum Ecclesiae. Pod „tytułem" rozumie tytuł nominata chełmskiego.

[3]) Hos. Ep. nr. 1930. Pisze Przerębski: nonnulli ex maioribus ad solam famam negatae translationis suadent Sacrae R. Mti, ut in possesionem mittatur — Uchański, quod procul dubium futurum sit.

natorów duchownych tylko Ligęza, arcybiskup lwowski, Czarnkowski, biskup poznański i Dziaduski, biskup przemyski nie widzieli obrazy w postępowaniu papieża, radząc królowi, aby przedstawił mu do zatwierdzenia innego kandydata. Inni zajęli stanowisko pośrednie, umiarkowane. Noskowski, biskup płocki, radził czekać na rezultat misyi Krasińskiego, który po zjeździe wolborskim ruszył w kwietniu t. r. w drogę.[1] Słończewski, biskup kamieniecki, sądził, że papież powinien gruntownie zbadać zarzuty czynione Uchańskiemu, a arcybiskup Dzierżgowski radził czekać podobnie jak Noskowski na powrót Krasińskiego z Rzymu, równocześnie powierzyć całą sprawę Hozyuszowi, który się tam właśnie wybierał, wezwany przez papieża, nie działać z pospiechem a ostateczną decyzyę powziąć dopiero po osobistej naradzie z senatorami na najbliższym sejmie.[2] Do grupy umiarkowanych przyłączył się także nasz Zebrzydowski. W liście datowanym w Kielcach dnia 1. maja b. r. ofiarował królowi radę swoją tak misternie ułożoną, że przyjęcie jej powinno było usunąć zdaniem jego wszelkie kolizye władz i praw, połączone z kandydaturą Uchańskiego. Rozumie Zebrzydowski, że w tym zatargu z Rzymem narażona jest godność i spokojność Rzptej, narażony jest majestat królewski. Senatorowie, ci królewscy doradcy, towarzysze i ministrowie, nie mają po Bogu nic świętszego nad majestat króla, nic droższego i przyjemniejszego nad pokój i spokój Rzptej. A więc ze względu na dobro, pokój i godność Rzptej, radzi królowi tak postąpić, jak postępowali zawsze wszyscy chrześciańscy królowie i władcy, zwłaszcza ojciec jego Zygmunt I., najlepszy i najmędrszy władca, który do ostatniego tchu otaczał katedrę Piotra Apostoła najwyższą czcią i opieką. Powinien król pojąć, że papież nie dlatego odmówił biskupowi chełmskiemu dyplomu, jakoby chciał nam narzucić Włocha lub innego jakiego obcego człowieka, lecz dlatego, że już dawno opanowały umysł papieża podejrzenia co do religii

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1950: Dnus Crasiński iam fortassis est circa Venecias, nam mox a feriis Paschae — 10. aprilis — hinc discessit, podług listu Dąbrowskiego z 5. maja b. r. 1558.

[2]) Głosy te senatorskie zestawił Wierzbowski w swej monografii o Uchańskim (Uchańsciana, V.) cytowanej wyżej, na podstawie odpowiedzi na pierwszy okólnik, zebranych w Uchańsciana II. i trzech odpowiedzi na drugi okólnik (przytoczony in extenso u Zakrzewskiego s. 259), które znajdują się w Uch. II. i III. Dzieli te odpowiedzi na trzy grupy: moderantów, opozycyonistów i papistów.

jego: jeśli udowodni, że one są bezzasadne i fałszywe, sądzi Zebrzydowski. nie będzie miał żadnych kłopotów i trudności w osiągnięciu biskupstwa kujawskiego. Najlepiej więc byłoby, gdyby Uchański złożył wyznanie wiary, *fidelem religionis suae confessionem,* którem by się oczyścił z tych wszystkich podejrzeń i zatarł je całkowicie w duszy papieża. Tym bowiem sposobem i sam bez trudu dostąpi biskupstwa i król bez narażenia się na nienawiść, godność swoją zachowa i spokój Rzptej z chwałą ocali.

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ X.

Stagnacya w operacyach wojennych z winy wodza naczelnego. — Wyprawa na gwardye rossyjskie. — Korpus generała Łubieńskiego idzie pod Nur. — Pułk nasz rozbija saperów gwardyi, strzegących mostu na Bugu. — Śmierć kapitana Skarszewskiego w tej rozprawie. — Stanowiska gwardyj rossyjskich. — Dembiński bije Sakena i zdobywa most na Narwi pod Ostrołęką. — Chybiona wyprawa na gwardye. — Potyczka korpusu Łubieńskiego pod Nurem. — Korpus ten w nocy otoczony, przerzyna się przez środek Rossyan. — Ciągłe jego potyczki w marszu do Ostrołęki. — Miejcowość bitwy pod Ostrołęką. — Bitwa. — Atak naszej artyleryi prowadzony przez generała Bema, na grenadyerów Szachowskiego. — Moja krytyka prowadzenia tej bitwy. — Odcięcie dywizyi Giełguda i pochód jego przymusowy na Litwę. — Ustępy mych zdań wojskowych. — Pułk odnawia się po swych stratach, kosztem ofiar żołnierzy. — Kolega Miłosz. — Działania generałów Chłapowskiego i Giełguda na Litwie. — Prusy ubocznie pomagają wojskom rossyjskim. — Wypis z dzieła Teodora Morawskiego, objaśniający kolizye Skrzyneckiego z Rządem narodowym, Sejmem i podwładnymi generałami. — Uwagi nad nim. — Niestosowność stosunków Lelewela z Rządem i Klubem patryotycznym. — Wyprawa na korpus

Rüdigera pod generałem Jankowskim i przyczyny jej niepowodzenia. — Ja w obec generała Bukowskiego. — Wrzenie umysłów w Warszawie. — Generałowie Jankowski, Bukowski, Hurtig, Sałacki, aresztowani.

Tymczasem, skutkiem niczem nie dającej się usprawiedliwić bezczynności, naczelny wódz od 26. kwietnia, to jest od potyczki pod Mińskiem, stoi nieporuszenie pod Siennicą i Jędrzejowem. Dotknięty odezwą Rządu narodowego, zwracającego jego uwagę, że skupienie takie wojsk naszych wyczerpuje magazyny żywności i furaże, osłabia nadzieje narodu, wreszcie niekorzystną wywiera opinię o pomyślnem sprawy prowadzeniu, postanowił nareszcie się ruszyć! Poruczył generałowi Umińskiemu osłonę Warszawy z 11.000 wojska, zlecił mu omamienie Dybicza zręcznymi manewrami, sam zaś w 37.000 piechoty, 7.300 jazdy, prowadząc 104 armat, rusza za Bug 12. maja. Feldmarszałek atakuje Umińskiego, ten pięć godzin wytrzymuje ogień 40 dział na niego wymierzonych, wolno cofa się ku Jędrzejowu. Dybicz sądząc, że ma wszystkie nasze siły przed sobą, staje, a wreszcie cofa się za Kostrzyn, nic nie wiedząc o wyprawie Skrzyneckiego na gwardye rossyjskie.

Przeszły nasze wojska Bug i Narew pod Zegrzem i Serockiem: 16. maja spotkały pierwsze patrole nieprzyjacielskie, pognał je silnie generał Jankowski. Skrzynecki w przewidywaniu, że feldmarszałek nareszcie się dowie o jego poruszeniu, i dążyć będzie na ocalenie korpusu gwardyi nie inną drogą, jak przez most pod Nurem posiadany na Bugu, oddziela korpus 12000 żołnierza pod generałem Łubieńskim, z rozkazem spędzenia wojsk rossyjskich, pilnujących tej przeprawy i zniszczenia mostu.

Zanim opiszę, jak poprowadził naczelny wódz główną na gwardye wyprawę, pójdę z generałem Łubieńskim, do którego korpusu pułk nasz był przyłączony.

Korpus ten, złożony z kilku pułków starej piechoty, kilku nowo zaciężnych, z jazdy, ośmiu dział artyleryi konnej, tyluż pieszych, razem 12000 żołnierza, od Serocka rzucił się w prawo i w dwóch dniach uszedłszy przeszło mil dziesięć drogi, stanął w Broku. Trzeciego dnia o wschodzie słońca ruszył i uszedł mil dwie. Upał był wielki, kurz potężnie dokuczał ciągle postępującemu wojsku, W miarę załamków drogi, to widzieliśmy, to traciliśmy z oczu Bug. Wydano rozkaz chwilowego zatrzymania się, dla odetchnienia koniom i ludziom. Mija mnie generał Lewiński, szef sztabu korpusu, z dwoma adjutantami, pokazuje wioskę od traktu

w lewo kilkadziesiąt sążni oddaloną, i mówi: „pójdźmy się umyć z kurzu i co przekąsić". Daję się namówić i ruszamy w czterech, za nami ułan z powstania do trzymania koni. Ten, zauważyć należy, miał mundur gwardyi ułanów, stojących niegdyś w Warszawie, bo z zabranych im efektów ubrano trzy szwadrony naszego powstania. Wjeżdżamy do wsi, zsiadamy z koni, oddajemy je ułanowi i wchodzimy do chałupy. Gdy w alkierzu Lewiński się myje, a my coś w izbie przejadamy, słyszymy za oknem głośną kłótnię... Ułan nasz po polsku, ktoś po rossyjsku na niego wymyśla... Patrzymy, przez okopcone szybki mało co widać, ale nakoniec poznajemy kozaka na koniu, sprzeczającego się z naszym ułanem...... chwytamy z kąta pałasze... wybiegamy. Kozak dojrzawszy wyłogi amarantowe u adjutantów, w nogi... dopadamy koni, gnamy za nim, uciekł.

Co się pokazało? Była to stracona, jak ją nazywamy, rossyjska pikieta, postawiona we wsi na straży. Kozak, uwiedziony mundurem naszego ułana z pasowymi wyłogami, pozdrowił go po swojemu, ten znów go sklął po naszemu, a był przymusowo bezczynny, bo trzymał w ręku cugle pięciu koni. Kozak zawsze w błędzie, sądząc, że ułan Polaka udaje, zaczyna go łajać, ale w końcu na nasz widok domyśla się prawdy, i nim siedliśmy na koń, umknął. Nie było chwili do stracenia — ruszamy cwałem do korpusu z wezwaniem, aby natychmiast szedł pod Nur, bo Rossyanie niezawodnie już będą ostrzeżeni. Tak to w wojnie, na pozór małe wypadki, szczęśliwe lub przeciwne wywołują skutki.

Pułk nasz był na służbie — dwa szwadrony szły w awangardzie, dwa drugie na czele marszowej kolumny. Idziemy silnym stępem, mijamy las długi, droga ciągle piaszczysta. Z pierwszego wzgórza za lasem, widzimy na dole o jakie parę tysięcy sążni miasteczko Nur, oblewał je z prawej strony Bug, na nim most rzucony a od naszej strony, silny oddział piechoty rojącej się, bo bębny biją na alarm. Dowódzca przedniej straży wysyła z tą wiadomością w tył, z żądaniem artyleryi. Nieszczęście mieć chciało, że konna nasza artylerya szła w środku kolumny, piesza bliżej czoła, minęło więc pół godziny zanim zziajana nas doszła — drugie dwa nasze szwadrony stają w jej asekuracyi. Wnet działa odprzodkowane, dają kilkanaście strzałów kartaczami... widzimy zamieszanie między Rossyanami, padają ich szeregi. Komenda wydana: idziemy do szarży z naszym zwykłym okrzykiem.

Przed moim szwadronem, na jakie dziesięć kroków, biegł w całym pędzie swego konia, kapitan Aleksander Skarszewski,

przy nim trębacz. Dudni głucho ziemia pod kopytami koni. Czworobok rossyjski przypuszcza nas na sześćdziesiąt kroków, daje ognia całym frontem, a ścianami bocznemi ukośnie. Zakotłowało się między naszymi... ale na komendę oficerów, dopadamy Moskali, przybywa jeszcze jeden szwadron od armat naszych, rozpoczyna się walka ręczna — rąbią nasi pałaszami. Moskale bronią się bagnetem... zbijają się w nieforemną kupę, to znów rozerwani cofają: tak pasujemy się z nimi czas jakiś nieobrachowany: jeszcze czwarty szwadron dobiega, bo asekuracya armat potrzebną nie była: tu już otoczony karabatalion rozbity został zupełnie; rozdarci na kupy, jeszcze się bronią, wreszcie z ostatnich szeregów umykają: gnamy ich siekąc, dopóki resztki nie schroniły się w miasteczko.

Legł Skarszewski na miejscu, przeszyty dwiema kulami w piersi, a jedną w gardło, koń jego również zabity: w dwóch pierwszych szwadronach naszych: kapitanowi Narbuttowi ubito konia, dwóch oficerów rannych, żołnierzy straciliśmy kilkudziesięciu. Nieprzyjacielski batalion należał do gwardyi saperów, chłopy barczyste i silne, broniąc się pojedyńczo przyskakiwali i cofali się, jak prawdziwi fechmistrze. Padło ich dosyć od strzałów działowych, zrąbanych było przeszło stu, wziętych ze 200 i cały ich obóz. Oficer jeden tylko nam się dostał, ten pełne kieszenie miał kart i ponterek, oraz trochę pieniędzy, które mu nasi z zegarkiem odebrali. W wziętym obozie żołnierze pułku dobrze się obłowili. Wódki było całe dwie kufy, słoniny kilka centnarów, chleba stosy, krup kilka beczek, kilkanaście kotłów miedzianych etc. i bydła zarzniętego sztuk kilka.

Batalion ten, składający się z 1200 żołnierza, budował most na Bugu, zastaliśmy go na ukończeniu. Stanowił on jedyną a konieczną komunikacyę Dybicza z gwardyami: podpalony, zgorzał tego samego dnia.

Nie podobna opisać żalu naszego, na widok wyciągniętego i krwią zbroczonego ciała Skarszewskiego. Oblaliśmy je rzewnemi łzami. Był to dzielny oficer, nie liczył lat nad trzydzieści parę, z powierzchowności najpiękniejszy z nas wszystkich, wzięcie miał arystokratyczne, dla tego lordem go nazywaliśmy: zawsze wesół, w marszu nucący, kolega wzorowy — od kilku dni prawie zaniemówił i posmutniał — czyżby miał mieć przeczucie bliskiego zgonu?... ale i to się przytrafia.

Na drugi dzień pochowaliśmy go z honorami wojskowymi przy kościele w Nurze, na akcie zejścia podpisaliśmy się wszyscy.

Cześć jego pamięci! Gdy miano zabijać już trumnę, urwałem mu guzik od mundura i mam go jeszcze dotąd.

W podziale pamiątek po nim, dostał mi się jego pałasz. Była to doskonała, jak ją nazywaliśmy, klinga Augustówka, z napisem: *„pro Rege — Lege — et Patria“*; po rozbrojeniu nas po roku 1831, Rossyanie mi ją zabrali.

Utarczka nasza pod Nurem datuje 17. maja. Generał Łubieński natychmiast wysłał adjutanta z raportem do naczelnego wodza, idącego z naszem wojskiem ku Łomży, donosząc o zniszczeniu mostu pod Nurem.

Wstrzymuję się chwilowo z opowiadaniem dalszych działań korpusu Łubieńskiego, do którego się liczyłem, aby przejść do opisu wyprawy na gwardye.

Wielki Książę Michał, brat cesarza Mikołaja, z gwardyami, jakiemi dowodził, obozował między drogami łomżyńską i białostocką, które tu są prawie równoległe. Trzymał w swem posiadaniu most na Narwi pod Ostrołęką, którego strzegł wysunięty na prawe jego skrzydło generał Saken. Wojska nasze szły forsownymi marszami, panował w nich duch niezawodnego powodzenia, bo pierwszy też raz idąc na nieprzyjaciela, przewyższaliśmy go liczbą, już nie mówię męztwem żołnierza. Bo co za chwała, co za odgłos po Europie, rozbić gwardye a z niemi kwiat młodzieży rossyjskiej... Lecz inaczej zapisano było w księdze przeznaczeń naszych.

Na jednym z podjazdów przedniej straży, wzięto nam w niewolę porucznika 4-go pułku ułanów, Kamińskiego i na nim wymuszono zeznania, w jakiej sile i w jakim zamiarze idziemy. Nastąpił przestrach między gwardyami, wydano rozkaz skoncentrowania się. Skrzynecki dla uwieńczenia dzieła i zadania gwardyom ostatecznej klęski, wysyła generała Dembińskiego ku Ostrołęce. Ten w 4000 żołnierza uderza na Sakena, opanowywa miasto i most. Generał Giełgud, idzie z swą dywizyą drogą łomżyńską, a tem samem w razie pobicia gwardyj zamyka im stanowczo odwrót!... Szachownica cała tych manewrów wzorowo obmyślana, tak szczęśliwie dotąd prowadzona, spełzła na niczem. Nie śmiał Skrzynecki uderzyć na gwardye, nie odbierając wiadomości, czy Łubieński opanował pozycyę Nura i tam przeprawę na Bugu. Obawiał się być wziętym z flanku przez feldmarszałka, a może i odciętym od Warszawy, ale i to były zbyteczne ostrożności: rozstawione kresy lub małe oddziałki jazdy, wiążące Łubieńskiego z naszą armią, wciągu kilkunastu godzin mogły przynieść żądane

raporty. Tak więc wyczekiwanie na doniesienia generała Łubieńskiego i o opanowaniu Ostrołęki, oraz jej mostu, zmarnowało dzień jeden i noc całą, kiedy każda godzina tryumf zupełny zapewniała. Użyto tej doby niby na spoczynek strudzonego wojska. Kiedy więc generał Jankowski podstąpił pod Śniadów, gwardye już uciekły i słabe tylko z ich tylnemi strażami prowadzono utarczki. Zrozpaczony nasz żołnierz, mimo nadzwyczajnego znużenia, jeszcze doganiа silny oddział gwardyi pod Rutkami i Mężyninem na trakcie białostockim i zadaje mu klęskę. Podstąpiono pod Tykocin. Prowadziła do tego miasta długa grobla, na niej dziewięć mostów, z których Rossyanie bale zrzucili. Sypie się grad pocisków nieprzyjacielskich na to ciasne przejście. Pułkownik Breański rzuca się z ochotnikami na tę groblę, przechodzi belki mostowe, uderza tak silnie na Rossyan, że z nimi razem wpada do miasta. Był to dzień 22. maja. Posąg Wielkiego Stefana Czarnieckiego, na rynku stojący, ujrzał raz jeszcze zwycięzkie nasze zastępy. Gwardye umknęły.

W Tykocinie czy w Łomży, pułk nasz 2 szasserów zabrał między innemi, wszystkie bagaże generała broni Bystroma, dowodzącego gwardyami pod W. Ks. Michałem: miała to być zdobycz wielka i bogata. Że świadkiem tego czynu był Tomasz Pruszak, adjutant generała Skarzyńskiego, po ukończonej wojnie, gdy ten wrócił do kraju, rząd wyegzekwował na znacznym jego majątku 100.000 Zp., które Bystrom odebrał.

Syna generała Bystroma poznałem w lat dwadzieścia później, oddając mu jako delegowany urzędnik majorat Chełmno. Nie mogłem się napatrzeć dziwnemu wyrazowi i rysom jego twarzy: głowa jakaś szpiczasta, czoło w tył rzucone, usta wywrócone, nos płaski, włosy na czaszce kręcone a szczecinowate, cera jakaś niby bronzowa. Dopierom później się dowiedział, że jest potomkiem murzynki czystej rasy a faworyty cesarzowej Katarzyny II., która ją wydała za Bystroma, zrobiła go baronem, obsypała dostojeństwami.

Notuję również, że bogata młodzież, w gwardyach służąca, tak ogromne miała bagaże, że jeden Szeremetiew ciągnął za sobą kilka powozów i kilkanaście furgonów, pełnych najzbytkowniejszych przedmiotów, a sypiał w nocy w domu, ciągnionym na kołach przez ośm koni.

Niepowodzenie tej wyprawy, tak pewnej w swych skutkach, mogącej rzucić na szalę powstania polskiego niezmierne korzyści, głębokim smutkiem nasze wojsko ogarnęło. Zaczęto głośno szemrać

przeciwko Skrzyneckiemu, boć nie umiał schwytać tej szczęścia wojennego godziny, którą niekiedy los energicznych wodzów obdarza. Generał Prądzyński, twórca całego pomysłu marszu na gwardyę, nie zawahał się cierpkie mu czynić wyrzuty. Nieporozumienie do tego nawet doszło stopnia, że zażądał uwolnienia od obowiązków.

Nic o tem wszystkiem nie wiedzieliśmy nad Bugiem i pod Nurem. Ale doszły nas wiadomości od generała Umińskiego, że Dybicz w 40.000 żołnierza, opuścił linię Kostrzyna i idzie dzień i noc w pomoc Wielk. Księciu Michałowi. Most pod Nurem, jak powiedziałem, spaliliśmy — chodziło jeszcze o to, aby powyżej i po niżej Bugu, zniszczyć wszelkie materyały, mogące posłużyć nadchodzącemu nieprzyjacielowi do sporządzenia nowej przeprawy. W tym zamiarze Łubieński wysyłał oddziały jazdy. Z kolei i mnie wykomenderowano z dziesięcioma żołnierzami, poszedłem w górę Bugu aż do ujścia rzeczki Nurzec: spędzani włościanie z siekierami, niszczyli wszelkie statki przewozowe: tratwy z drzewa powiązane puszczałem z wodą. W tej misyi musiałem wstępować do kilku dworów obywatelskich. Nigdy nie zdołam opisać radości i rozrzewnienia, jakie nasz widok sprawiał na ich mieszkańcach, boć nigdy polskiego żołnierza nie oglądali. Feldmarszałek nadchodził, musiał kołować, marsz opóźniać, patrole nasze i szpiegi donieśli, że na pontonach przeprawia się pod Grannem. Nie było podobna, z korpusem 12000 żołnierza, bronić Dybiczowi przejścia Bugu, postanowił więc Łubieński go wyczekiwać i obserwować.

21. i 22. maja, nasze podjazdy gęsto naprzód i na boki wysyłane, raportują, że Dybicz idzie na Ciechanowiec. Od głównego sztabu nadszedł rozkaz obserwowania obrotów Rossyan, ustępowania wolno i cofania się na Ostrołękę. 23. pogodnie zeszło słońce: poprzedniej nocy żołnierz nakarmiony, konie napasione. Stajemy pod bronią, patrole przed nami. Położenie miejscowości było następujące:

Wysunięci byliśmy cokolwiek w lewo, mając przed sobą miasteczko Nur; roztaczała się przed nami obszerna płaszczyzna pól, której kończyny na dalszym widnokręgu zasłaniały lasy, przecięte szerokim traktem do Ciechanowca wiodącym. Prawem skrzydłem opieraliśmy się o Bug, panując nad wymienionym traktem, a w lewo nad drogą do miasteczka Czyżewa idącą, którą mieliśmy się cofać; ku tej drodze nachylały się brzegi lasów. Z tyłu za nami i w lewo, rozległe moczary i błota. Posłany pod-

jazd do Ciechanowca, doniósł, że Dybicz tuż nadchodzi: drugi do Czyżewa, dał wiadomość, że Rossyanie tam się nie pokazali.

Mijały tak całe godziny. Zaraz po południu, ogromne tumany kurzu, podnoszące się nad lasami, ostrzegły nas, że Rossyanie już się zbliżają. Rozwinęliśmy się więc w linię, z właściwą rezerwą. Pułk nasz stanął na samem lewem skrzydle, prawie wzdłuż traktu do Czyżewa: od prawej naszej pułk piechoty kaliskiej pułkownika Krasickiego; za nim baterya artyleryi konnej Kołyski: inne pułki co raz dalej aż do rzeki Bugu, a że jak wzmiankowałem, mieliśmy się cofać na Czyżew, w przewidywaniu przeto napaści od tyłów, od rzeki postawił Łubieński stare pułki piechoty, odwrót zaś, pułk mój i lewe skrzydło rozpoczynać miało.

Około 3 z południa wyszła z lasów jakaś kawalerya i rozpoczęła się silna utarczka flankierów. Po niejakim czasie, wytknęły z lasu czoła czterech kolumn piechoty, flankiery się usunęły i rozpoczął się obustronny bój artyleryi. Trwał on bez końca: że Rossyanie silniej nie nacierali, staliśmy w miejscu. Słońce zaszło i jak zwykle na wiosnę, szybko się ściemniło. Rozkazy wydano — piechota formuje się w kolumny marszowe, postępujemy ku Czyżewu już w zupełnych ciemnościach, pułk nasz na przodzie. Nie upłynęło dwa kwadranse, w tem nagle z prawego boku słychać zbliżającą się trąbkę. Szef sztabu Lewiński, tuż z nami idący, wysyła kilku szasserów na rozpoznanie, wracają i meldują parlamentarza. W istocie zbliża się kilku jeźdźców, a jeden z nich po francusku oświadcza się z chęcią rozmówienia się z generałem Łubieńskim: posłano natychmiast po niego, przybył też w jednej chwili. Parlamentarzem tym był generał Berg, w trzydzieści lat później namiestnik Królestwa, a wówczas zastępca szefa sztabu głównego Dybicza. Berg wzywa hardo Łubieńskiego do poddania się i złożenia broni, wyjaśniając, że droga do Czyżewa zamknięta jest dwiema dywizyami jazdy: od prawego, tuż stoi feldmarszałek z piechotą, z lewej, jak wiadomo, nieprzebyte błota, z tyłu droga do Broku zagrodzona... Istotnie położenie było rozpaczliwe: dodam, że generał Łubieński za długo z odwrotem się ociągał, a popełnił błąd wielki przyjąwszy utarczkę pod Nurem, bo wiedząc, że Dybicz idzie na nas z całą swą armią, wcześnie winien był cofnąć się do Czyżewa. Jeśli chciał tam się z awangardą rossyjską spróbować, zaniedbał postawić silny oddział w Czyżewie. Słabe nacieranie Dybicza podczas tego dnia, było jedynie zamaskowaniem jego zamiarów; trzymał pod ręką liczną swą jazdę i gdy się ściemniło, zamknęła nam odwrót. Z oburzeniem jednak Łubieński

odpowiedział na to poddania się wezwanie, a jak świadkowie poświadczali, czy on czy generał Lewiński miał skonkludować: *nous passerons sur vos ventres!*... to jest: przerzniemy się po brzuchach waszych.

W tej chwili wydał rozkazy: pułk nasz rozwija się na galopie... parlamentarz znika nam z oczu, z jego otoczenia padł strzał z pistoletu, a na ten sygnał i w tym samym momencie, zagrzmiały rossyjskie działa z boku i z przodu na tak bliskim dystansie, że puszki całe z kartaczami, jeszcze nie rozerwane, zawarczały nam nad głowami.

Pułk nasz rzuca się z miejsca do szarży... pędzimy w tych ciemnościach parę minut... nagle coś się czerni przed nami... olbrzymieje co sekunda... dochodzimy w całym pędzie koni i uderzamy o mur stojących w miejscu kirysyerów. Rozpęd naszych koni był tak silny, że złamaliśmy pierwsze ich szeregi, a sami jakby przez odbicie, cofnęliśmy się o kilka kroków. Ktoś krzyknął ogromnym głosem: „Wiara do karabinków! zapluć im ślepie!“ Ledwie skończył, już nasi dali ognia z pierwszych szeregów, sypiąc w pyski kirysyerów strzały z ładunkami i kulami... Znów komenda: „Teraz na pałasze!“ i zaczęła się rąbanina po ciemku, że gdzie niegdzie aż iskry się z szabel sypały. Każdy ciął przed siebie niezasłaniając się. Jakiś oficer od kirysyerów, nie tęgi widać rycerz, wygiął się w tył na swoim koniu i oganiał się gęsto długim mieczem: spiąłem mego konia ostrogami i uderzyłem jego tak mocno, że siadł na zadzie... Tu któryś z moich przyskoczył, kiedy go nie płatnie przez twarz, zwalił się od razu na ziemię. Ale prą nas kirysyery własnym swym ciężarem, w cztery szeregi uformowani: nie możemy im podołać... umykamy kołując w prawo i w lewo, dążąc za naszą piechotą. A teraz odsłonione kirysyery, idą wolnym galopem do ataku, ale już nasza piechota sformowała się w czworoboki i przyjęła ich salwą z karabinów, na jakie trzydzieści kroków. W ciągu może pół godziny, cztery razy wracały kirysyery do szarży, lecz zawsze ich nasza piechota dzielnie odpierała. A w czworobokach grzmią ciągle bębny, dowódzcy wołają: „Naprzód! Naprzód! bagnetami otwierać drogę!“ Tu już nie czworoboki regularne, ale tłum ludzi ściśnionych z sobą posuwa się depcząc trupy i rannych Rossyan. Tak noga za nogą posuwamy się, przedzierają się pierwsi, następnie i inni, nie dają się rozerwać, chociaż ułany, za kirysyerami stojący, jeszcze dwie szarże przypuścili a ogień karabinowy grzmi promieniami w około. Nareszcie przerzynamy się na wylot, nasze armaty w środku, jazda

na tyłach. I Rossyanom sprzykrzył się ten bój, tyle z naszej strony uparty, który drogo zapewne ich kosztował. Trakt do Czyżewa w końcu otworzony.

Pułkownik Zielonka przyzywa mnie. „Weź sto koni, co koń wyskoczy do Czyżewa, przekonaj się czy droga wolna... czy Czyżew nie zajęty“... Ruszyłem z kopyta, w drodze rozbiłem i zrąbałem dwa dość silne rossyjskie podjazdy. Dopadam do Czyżewa, miasteczko nie spało słysząc bój niedaleki: były w niem dwa patrole rossyjskie, ale się cofnęły. Zatrzymałem się, rozstawiłem wedety od strony nieprzyjaciela, dziesięciu szasserów posłałem w tył z raportem.

W dobrą godzinę potem, pospiesznym marszem korpus Łubieńskiego nadciągnął. Tylna straż jego jeszcze kilka szarż wytrzymać musiała, ale szyki nasze nie dały się złamać. W Czyżewie na jakiejś rzeczce był most, rozrzuciliśmy go po jego przejściu, a rozstawiwszy gęsty łańcuch placówek i wedet, rozłożyliśmy się obozem dla wytchnienia, winszując sobie naszego ocalenia.

W czterdzieści lat potem, marszałek francuski Bazaine w 80.000 w Metzu, marszałek Mac-Mahon w 100.000 w Sedanie z cesarzem Napoleonem, nie próbowali nawet przerznąć się przez otaczających ich Prusaków. Hańba im!... a sława słabemu korpusowi Łubieńskiego, ale znów biada! że synowie tych, co w ową noc pod Nurem walczyli, o niej nic dziś nie wiedzą...

Przededniem zrobiono we wszystkich naszych pułkach ogólny apel, brakowało we froncie trzystu kilkudziesięciu żołnierzy. Nasz kapitan Moniuszko, ojciec niedawno zmarłego artysty muzycznego, straciwszy ubitego mu konia, rzucił się w błota i nad ranem pieszo połączył się z nami w takim stanie, żeśmy go zaledwie poznali.

24. maja, równo ze dniem zwinęliśmy obóz i ruszyliśmy w kierunku Ostrołęki: mieliśmy dziesięć mil drogi do przebycia. Nasz pułk z 4-tym strzelców konnych i czterema działami artyleryi, szedł w tylnej straży. Nie upłynęło godziny, już chmary kozaków, pomięszanych z Czerkiesami, nas dognały. Odtąd utarczki flankierów trwały nieustannie, oba pułki co godzinę się luzowały, aby koniom w tym ciągłym harcu spienionym, dać wypoczynek w drugiej linii: tak kozaki jak i Czerkiesi doskakiwali, ośmieleni jeszcze przybyciem im w pomoc całego pułku ułanów. Tego dnia każdy z naszych do stu ładunków wystrzelał. Zsadzaliśmy ich z koni, kozactwo chybiało, ale Czerkiesi położyli nam około dwudziestu żołnierzy.

Podczas tego harcu, gdym objeżdżał linię moich flankierów, gwiznęła mi koło ucha tak blisko kulka, że wiatr jej przelotu uczułem; niedługo przeleciała druga, a byłem na celu, bom szlifami w jasnem świecił słońcu. Uważam więc lepiej i małym galopem ujeżdżam wolty. Aż tu znów podbiega Czerkies, pali do mnie z janczarki, ale chybił; natenczas wypuściłem mego konia co sił i kiedy nabijał swą ruśnicę, uderzyłem go taką siłą, że z koniem zwalił się na ziemię, a skrzeczał jak żaba. Na jego upadek zbierają się inni, moi również dopadają. Rozpoczyna się ciasna bójka na szable i szaszki kilkudziesięciu ludzi, ale przybiega nasz pluton z rezerwy flankierów, bierze ich z boku na pałasze. Zrąbaliśmy psiarstwo doskonale, lecz i naszych poznaczonych było kilku.

Pod sam wieczór doszliśmy do jakiejś wsi, w poprzek traktu pobudowanej, pełnej drzew i opłotków. Należało nam ją przejść i w niej się osaczyć. Generał Kamiński posłał rozkaz, by się piechota zatrzymała, co też nastąpiło. Już się dobrze ściemniało, wchodzimy do wsi, zostawując piechotę w cztery bataliony rozwiniętą w ogrodach. Moskale tuż za nami z ogromnymi krzykami, ale przyjęci potężnym ogniem karabinowym, wnet ucichli i cofnęli się.

23. maja, do dnia ruszamy w dalszy pochód. W marszu tym dogania nas jeszcze silniejsza kawalerya z konną artyleryą. Pod wsią Nadborami przyjęliśmy istotną i kilkugodzinną potyczkę, zawsze cofając się eszelonami, z widoczną stratą Rossyan, bo nasza artylerya pozycyjna daleko ich sięgała, a ich piechota nie zdążyła. My mając swoją pod ręką, obawiać się nie mieliśmy powodu. Jazdy rossyjskiej było z 4.000 — szli do ataku kilka razy, zawsze odpędzani. Znów bój straż tylna prowadziła dzień cały, nad wieczorem doszliśmy do obszernych lasów, otaczających brzeg Narwi. W nich to noc przeszła nam w spoczynku, ale wyznam, że głodna — nieprzyjaciel obawiał się nas zaczepiać. Do Ostrołęki była jeszcze mila drogi.

Tegoż dnia naczelny wódz, który przyszedł szosą z Łomży, przeprowadził nasze wojska po moście przez Narew — mianowicie dywizye piechoty: generałów Małachowskiego, Rybińskiego i Kamińskiego, całą jazdę, artylerye i parki; jak obliczam, przeszło 36.000 żołnierza.

26. maja, w lesie, w którym noc przepędziliśmy, już się zaczęły ucierać nasze tyraliery z piechotą rossyjską, której część

w nocy nadeszła, ale ta słabo nas napierała. Siadamy na koń, z artyleryą idziemy przodem, piechota za nami. Dochodząc do miasta, widzimy na wzgórzu przy trakcie i lewej jego stronie rozwiniętą ciężką bateryę Nieszokocia, a przy niej naczelnego wodza z całym swoim sztabem. Jakby jednomyślnie, nie powitaliśmy go żadnym zwykłym okrzykiem. Dążyliśmy raźno do przeprawy za Narew, w przekonaniu, że nas oczekuje niezawodny wypoczynek i że Rossyanom pokażemy zęby z za rzeki. Nikt o mającej nastąpić wielkiej bitwie nie myślał, nikt jej nie przewidywał. Wszyscy wiedzieliśmy, że most za nami będzie zrzucony, a tem samem feldmarszałek musi się zatrzymać.

Kilku autorów, opisując dzieje nasze roku 1831-go, różnie przedstawiało szczegóły Ostrołęckiej bitwy. Jedni poprzestawali na ogólnikach, drudzy niedokładnie jej przebieg opisywali. Nie zadawalniało mnie jej czytanie. Ja, com ją widział i był jej świadkiem czynnym, spróbuję ją sobie przypomnieć.

Ostrołęka, położona na dość wysokim brzegu Narwi i lewej stronie jej biegu, od strony wschodniej nie przedstawiała żadnego punktu obrony, prócz ogrodów, opłotków i budowli przedmieścia. Wojska broniące miasta, tu jedynie mogły szukać dla siebie osłony, a w takim razie poświęcić musiały miasto na spalenie.

Wojska znowu, których zadaniem byłoby nie dopuścić nieprzyjaciela na prawy brzeg Narwi, w razie wzięcia rzuconego przez nią mostu, pozostałyby na płaszczyźnie zupełnie odkryte. Most szeroki łączył oba brzegi rzeki; do miasta od wschodu dobiegała szosa z Łomży, tuż za mostem skręcała się na lewo, idąc przez Pułtusk, Serock do Warszawy. A przeto: w tem położeniu, w jakiem było wojsko polskie, należało most na Narwi koniecznie spalić, bo gdyby go Rossyanie zdobyć potrafili, opanowaliby szosę do Pułtuska prowadzącą i odcięliby nasz odwrót do stolicy, wpędzając w lasy. Tego nie przewidział Skrzynecki — miał małe przed sobą szanse powodzenia, wiele z tych przeciw sobie.

Przed mostem, na płaszczyźnie na strzał działowy, rozciągał się łęg Narwi, przecięty starem korytem rzeki; na prawo, patrząc od miasta, było znaczne wzgórze, na którem stał wiatrak — na lewo, u ujścia rzeczki Omulew do Narwi, w kotlinie młyn wodny. Wprost mostu, kończyły łęg pomieniony małe, nieregularne wzgórza piaszczyste, rozciągające się czołem do Narwi — tuż za niemi młody las sosnowy, a dalej w głębi gęsty starodrzew bez żadnej drogi. Nareszcie, za młynem wodnym spora i długa górzystość. W ogólności, miejsce do stoczenia bitwy ciasne i, jak powiedzia-

łem, zupełnie odkryte, bo nad niem położenie Ostrołęki panowało. Opisałem je zaś dokładnie, jak ten skazany, co się w ostatniej minucie życia rusztowaniu przypatruje. Ocalałem w tym dniu krwawym, ale ten łęg stał się fatalnem rusztowaniem dla wojska naszego.

Była godzina 8 rano — dzień jasny, pogodny, zanosiło się na upał. Jazda nasza przechodziła ulice Ostrołęki: mieszkańcy pootwierali okna i nam się przypatrywali. Przeszliśmy most, skierowaliśmy się na lewo i połączyliśmy się z kawaleryą głównej naszej armii, która z dywizyami piechoty, wyżej wymienionemi, artyleryą i furgonami amunicyjnymi, wcześniej się przeprawiła. Za miastem, za rzeką w ogrodach, zostawiono mężny pułk 4. liniowy i batalion weteranów czynnych o wyborowym i starym żołnierzu. Wojska te, na samym końcu miały przejść miasto i Narew, most za sobą spalić lub zniszczyć zupełnie.

Stanęliśmy niedaleko młynka wodnego, zakryci wyniosłą górą — kazano paść konie, tak upłynęła mała godzina, a podczas tej nastąpiła zupełna przeprawa wojsk generała Łubieńskiego, idącego od Nuru.

Nagle około 9 rano, gęsty ogień karabinowy dał się słyszeć — wybiegamy na wzgórze, już nie za miastem, ale w jego ulicach zacięty bój się toczy. Byli to Rossyanie korpusu grenadyerów, którzy wyparowawszy naszych siłą z ogrodów, wpędzili ich do miasta. Straż mostu już go nie podpala, bo jakże by nasi go przebyli... ale sapery rzucają się z toporami, rąbią pokład, bale, ile się dało, rzucają w rzekę, a te płyną z jej biegiem; zostają na palach prawie same belki. Broni się meżnie generał Bogusławski w ulicach i po domach, ale walcząc jeden przeciwko ośmiu, traci wiele żołnierza i cofa się do mostu: tu jeszcze silny stawia opór, lecz ulega przewadze. Na tym pozostałym szkielecie mostu, jeszcze idzie zacięta bitwa bagnetem i kolbą, spychają jedni drugich w rzekę... na końcu Moskwa przeprawę zdobywa i tłumem przechodzi na drugą stronę, zabiera nam dwa działa pozycyjne, mostu strzegące i rozsypuje się po bokach w tyraliery. Siły te co chwila przejściem nowego żołnierza zwiększają się. Ośmnaście tysięcy grenadyerów już jest na drugiej stronie. Teraz zerwała się nasza piechota do boju, całe pułki rozsypują się przeciw grenadyerom, a artylerya nasza obsypuje ich pociskami. Lecz wkrótce też odezwały się działa rossyjskie, cały brzeg lewy Narwi, wysoki, jak powiedziałem, zajęła rossyjska artylerya; postawiła

tam do stu armat ciężkich, te po nad głowami grenadyerów obalają nasze szeregi.

W chwili wzięcia mostu siadamy na koń i z 2. pułkiem ułanów, tym walecznym pułkiem, co w bitwie 25. lutego pod Grochowem, wytępił kirysyerów księcia Alberta, ruszamy na dalekie nasze lewe skrzydło, nieopodal od wzgórza i wiatraka na nim stojącego, bo tam jazdy nie było — dowodzi nami generał Kicki. Tu i z tego miejsca, ukośnym rzutem oka, widziałem cały ten nieszczęsny plac bitwy, nieomal aż do prawego jej skrzydła, gdzie się biła dywizya generała Kamińskiego — piechota Rybińskiego zdaje się była w środku — Małachowski nieopodal od nas.

Żaden opis nie jest w możności przedstawić obrazu tej bitwy, stoczonej i przyjętej przez nas w najgorzej obranej pozycyi, bo zupełnie odkrytej. Dla ciasnoty placu, ani rozwinąć się nie było możnością, ani manewrować, by z boku wpaść na nieprzyjaciela. Stały murem kolumny naszej piechoty, a kula działowa, jeśli je trafiła, przechodziła na wylot, kładąc trupem naraz po kilku i więcej żołnierzy. Nasze tyraliery ucierały się z grenadyerami na pół strzału karabinowego odległości, tuż kolumny rezerwowe, obok nich my. Od tego wściekłego boju byliśmy tak blisko, że kule ręcznej broni przeciwników, co chwila nam żołnierzy we froncie zabijały i konie kaleczyły — świst ich był nieprzestanny. Bój ten trwał już od kilku godzin, słońce dopiekało: przejeżdża koło mnie generał Jagmin, a widząc manierkę przez plecy u mnie przewieszoną, pyta: czy nie mam co pić? Było w niej trochę wina z wodą. Zdejmuję ją natychmiast z siebie, faworyt generała i ordynans jego za nim jadący, żołnierz Juszczyk, bierze mi z ręki manierkę — w tem kula karabinowa trafia go w samo serce... spadł z konia biedny i ani jęknął. Jagmin łzę po wąsach płynącą otarł.

Gęsto też dochodziły nas kule armatnie: uważałem, że konie istotnie we froncie wzdychały, a co szczególna, jeśli się zwalił z konia jeździec zabity lub ranny, ten umykał, żeby go nikt nie dogonił; przeciwnie ranny koń, lub mocno pokaleczony, pchał się do szeregu, jakby ratunku szukał; nie mogąc go odpędzić, trzeba mu było w łeb strzelić.

Rzeź ta, zdawało się, że końca mieć nie będzie. Skrzynecki, który — jak powiadam — sądził, że grenadyerów przepuściwszy na tę stronę Narwi, będzie mógł zupełnie wytępić, stracił zupełnie głowę. Zamiast pójść na nich całemi siłami swej piechoty, nawet liczbą nieprzyjaciela przewyższającej, bo rezerw nie było

potrzeby zostawiać, wysyłał pojedyńczo brygady i pułki, które wprawdzie dochodziły grenadyerów, ale wystrzelane, cofając się, siały za sobą zabitych i rannych. Stary generał Kamiński, bijący się na prawem naszem skrzydle, widząc jak nieszczęśliwie bitwa jest prowadzona, zsiadł z konia, poszedł pieszo na pierwszy łańcuch swoich tyralierów, założył ręce na piersiach i tak stał, nie dając się uprowadzić, aż przyszła kula działowa i na wpół go rozdarła.

Historya mówi, że w końcu bitwy pod Waterloo, sam pozostał Napoleon za uciekającymi bez otoczenia.

Tak też w owej pamiętnej godzinie, Skrzynecki bez żadnego adjutanta przy boku, przyjechał przed nasz pułk. „Zielonka! — mówi do pułkownika — idźmy umrzeć!“ Ruszył pułk z miejsca z 2. pułkiem ułanów pełnym galopem, ale cóż!... zatrzymać musieliśmy się nad owem głębokiem, acz suchem korytem starej Narwi, a o kroków pięćdziesiąt, z drugiej strony, tysiące strzałów karabinowych sypie na nas grad ołowiu.

Brzęczą i świszczą kule w powietrzu, jak jakiś rój niesłychany, a Skrzynecki stoi przedemną na ośm kroków, blady jak trup, z źrenicą ócz otwartą. Puścił cugle koniowi, który się rozparł tuląc uszy i tak czekał swej kuli... Ale dopadł Zielonka, porwał za munsztuk jego konia, krzyknął na pułk: „Trzema na prawo w tył zajdź!“ i wyszliśmy z tego piekła, straciwszy w tych kilkunastu minutach do trzystu żołnierzy i koni.

Znów stawamy na owych wzgórkach piaszczystych, jakby na celu Moskali, aż tu niosą kogoś na płaszczach ułani... Pytamy: „kto zginął?“ „Kicki, generał“ — odpowiadają! — Serce mi się ścisnęło, uczułem ból w piersiach niesłychany, bo Kicki był naszym ulubieńcem. W powyższym ataku kula działowa wyrwała mu cały kłąb prawy ciała i wywlekła wnętrzności. — Znów kogoś niosą... to majora Ołtarzewskiego, okropnie rozerwanego. Obu na tyłach, w płaszcze obwiniętych, w wykopany dół piaskowy złożono i zasypano a żołnierze z gałązek choiny uwity krzyżyk, w tę mogiłę wetknęli. Taka to śmierć żołnierza... taki jego obrzęd pogrzebowy!...

Kicki parę miesięcy przed tym chwalebnym zgonem ożenił się z panną Biszping, znamienitego rodu na Litwie, sławnej z urody. Co do Ołtarzewskiego, miał mieć, jak opowiadano, w trzosie trzysta dukatów; po ustąpieniu wojsk rossyjskich, żona jego kazała go odkopać, pieniądze wzięła, a szczątki męża obrzędowo w Ostrołęce pochowała.

Nasza piechota, tem nierozsądnem sił jej i męztwa zmarnowaniem, do szczętu się zdemoralizowała. Nie było już komu ją zachęcać ani naprzód prowadzić, tylu oficerów straciła. Cofnęła się zupełnie w lasy. Na linii została tylko nasza jazda i artylerya, szeroko się rozpościerając. Generał Rybiński, uprowadziwszy resztki swej dywizyi, stanął na szosie, by nam odwrót ułatwić i zasłonić. Dzień się kończyć nie chciał — była dopiero 5-ta godzina po południu. Szła bitwa jeszcze, ale tylko na armaty. Rossyjskie grenadyery ściągali za nogi swych poległych, układali z nich kupy i zasłony, i za te się chowając, strzelali — to na własne widziałem oczy.

Ale należała nam się zemsta i jakiś godny pamięci odwet. O powyższej godzinie, od naszej prawej strony pędzi szeroka linia, cokolwiek ukośnie od naszego frontu. To generał Bem, z dwunastu działami ciężkiego kalibru naszej konnej artyleryi gwardyi, mając po prawej i lewej asekuracyę karabinierów pod dowództwem Sznejdego.

Rozwija się ta baterya w galopie, staje na pięćset kroków biorąc ukośnie grenadyerów Szachowskiego; w jednej chwili działa odprzodkowane, sypią kartaczami... Trzeba było widzieć skutki tych strasznych strzałów, jakby wachlarzem posyłanych. Każdy z nich w ściśnionych szeregach grenadyerów, jakby całe ulice wycinał... Spieszą się dzielne kanoniery, idą nieprzestannie strzały jedne po drugich... Grenadyery już nie strzelają — jedni kładą się na ziemi, drudzy uciekają bezładnie, a śmierć ich dogania... Ale odezwały się naraz wszystkie działa rossyjskie z za rzeki; lecą armatnie pociski tak gęsto, jak z frontu batalionu piechoty. W kilka minut robi się ciemno od prochowego dymu na całej płaszczyźnie, bo wiatr, acz słaby, powiewał od miasta. Nie słychać już pojedyńczych strzałów, ale ciągły jeden huk i grzmot. Trwało to z pół godziny: dzielny Bem ustąpił straciwszy jedynie 19 kanonierów i porucznika Sachnowskiego; karabiniery zostawili także na placu ze trzydziestu ludzi i tyleż koni. Pomysł tego natarcia nie wyszedł z rozkazu Skrzyneckiego... wykonał go Bem bezpośrednio.

Historya nowoczesnych wojen nie przedstawia przykładu tak zadziwiającego ataku artyleryi, a mam przekonanie, że ten energiczny atak, który zasłał trupami grenadyerów całe pole przed nami, wstrzymał ostateczne ich natarcie, pod którem jużbyśmy zapewne placu nie dotrzymali. Upartą też wytrwałość naszej jazdy, która do późnego słońca zachodu dała się zabijać, utrzymując li-

nie bojową i wycofanie się w lasy piechoty, Rossyanie uważali być rozmyślnem, żeby ich wyciągnąć w głąb pola bitwy i z pod ostrzeliwającej ich z za rzeki artyleryi, tę zaś przez most, pozbawiony pokładu, przeprowadzić na prawy brzeg Narwi nie mogli.

Już zaszło słońce — jeszcze ogień armatni nie ustawał, dopiero z zupełną ciemnością wszystko ucichło. Po godzinie 10, zaczęliśmy opuszczać plac bitwy nieprzegranej, bo nas z niego nie spędzono, ale ponieśliśmy ogromne straty. Prócz generałów Kickiego i Kamińskiego, polegli: pułkownicy Gajewski, Kikiernicki; majorowie: Ołtarzewski, Czachomski, Koszucki i około 200 oficerów; poległ również dzielny major Szpotański, broniący mostu i może nie byłby on wzięty, żeby go nie ubito. Dowód to nadzwyczajnego męztwa oficerów, bo też szli na czele przodując swym oddziałom, Generałowie Pac, Węgierski, Bogusławski, pułkownik Breański, major Pawłowicz i inni odnieśli ciężkie rany. Pułkownik Krasicki wzięty w niewolę. Żołnierzy zabitych i rannych, których na placu zostawić musieliśmy, było przeszło 7000: korpus też grenadyerów rossyjskich do połowy wystrzelany został.

Pułk nasz tak dalece ucierpiał, że niedawszy ani jednego cięcia pałaszem, stracił przeszło 250 ludzi i koni. Z oficerów, Miłosz stracił nogę, Kęszycki również ranny.

Schodziłem z pola bitwy ostatni, ile sądzić mogę, o 11-tej w nocy, zostawując za sobą jęki tysiąców rannych: prowadziłem z półszwadronem aryergardę, rozmarzony tem, com widział, w jakimś niezrozumiałym stanie umysłu; głodu nawet nie czułem, choć nic nie jadłem od 26 godzin.

Postępowaliśmy nadzwyczaj wolno, bo z boków rozbitki nadciągały: Rossyanie nas nie naciskali. Dopiero o wschodzie słońca, gdy most ułożyli, dognała nas chmura kozaków i kilka szwadronów regularnej jazdy.

Z pułkiem 4-tym strzelców konnych musieliśmy się rozwinąć i ustępować eszelonami — flankiery ciągle się ucierały. Tak doszliśmy pod Rożan mil trzy, a mianowicie na silną pozycyą przed lasem, trakt żwirowy przecinającym, z obu zaś stron drogi były znaczne gruntu wyniosłości, a te już osaczyła nasza ciężka artylerya Rzepeckiego i dywizya Rybińskiego. Zwinął się nasz pułk, wszedł w las, a nacierająca jazda rossyjska, przyjęta ogniem działowym, zupełnie odstąpiła i już się nie pokazała.

Opowiadano, że Skrzynecki był zrozpaczony. Ale nie dość tej strasznej klęski — równie groźna nas spotkała.

Wspomniałem wyżej, że naczelny wódz w pochodzie swym na gwardye, po zdobyciu przez generała Dembińskiego mostu na Narwi pod Ostrołęką, wysłał dywizyę generała Giełguda ku Łomży, w celu odcięcia odwrotu gwardyom, kiedy one z przodu napadnięte będą. Istotnie Giełgud pędził przed sobą generała Sakena aż do tego miasta; odległość jego od Ostrołęki jest mil pięć, jeżeli przeto przed 25. maja, po chybionej wyprawie na gwardye, Skrzynecki koncentrował się pod Ostrołęką, dostateczny przeto był czas ściągnąć nawet w wigilią dnia tego dywizyę Giełguda pod Ostrołękę, i albo po zniszczeniu mostu na Narwi, cofać się z nim ku Pułtuskowi, lub przeciwnie, zdecydowawszy się na bitwę, walczyć z większemi siłami.

Niezawodną jest pewnością, że Giełgud mógł się z nami połączyć, na to 20 godzin z wypoczynkiem wystarczało. Gdyby ruszył z Łomży 23. nawet 24. maja, mógł iść szosą na Miastków do Ostrołęki, nie więcej jak wiorst 33 i dojść, jak przyszedł korpus Łubieńskiego z pod Nura. Gdyby później obawiał się wpaść na następujących Rossyan, należało mu nieco kołować, maszerować prawym brzegiem Narwi na Nowogród, co przysparzało najwyżej mil dwie drogi. Nieposłanie mu rozkazów w dniu 24. nawet 25. maja, dowodnie przekonywa, że tyle zgubna dla nas bitwa Ostrołęcka była dopiero około 10-tej rano 26. — że użyję tego wyrazu — improwizowaną: dopiero około 4-tej godziny tego dnia wysłano podporucznika naszego pułku, księcia Woronieckiego do Giełguda, jako już odciętego od głównych wojsk naszych, z rozkazem, by szedł na Litwę, bo połączenie się jego z nami już było niepodobnem; bezpowrotnie przeto straciliśmy przeszło 10.000 wyborowego żołnierza, armat 20, mniej nawet — jak potrzeba wymagała — w amunicyę zaopatrzonych. Lecz wracam jeszcze do samej bitwy Ostrołęckiej.

Nie będę zarozumialcem, ani twierdzić się poważę, abym w dniu jej wydania, ja, oficer niskiego stopnia, pojmował wówczas dopuszczone a niesłychane błędy Skrzyneckiego. Stojąc kilkanaście godzin pod kulami armatniemi i karabinowemi, nie był to czas do zastanawiania się. Z poddaniem się memu obowiązkowi, stałem w ogniu, pilnując porządku w szeregach ciągle przerzedzających się, zachęcając żołnierzy do wytrwałości. Dziś, żywo tkwiący w mej pamięci przebieg tej bitwy, pozwala mi sformułować niejakie o niej zdanie.

Nic nowego nie powiem, lecz powtórzę tu tylko, że wielkie są wodza obowiązki. Rozległym swym umysłem, kierując wiel-

kiemi wojsk masami, powinien mieć nieprzestannie przed oczyma obroty nieprzyjaciela i do nich stosować swoje ewolucye: posiadać — że się tak wyrażę — jasnowidzenia, bo gra tego rodzaju, najtrafniej do szachownicy przyrównaną być może. Pion na niej niewłaściwie stracony, figury jej wzajemnie się nie zasłaniające, nie bronione, nie związane, powodują przegranę. W manewrach bitwy, jest zupełnie toż samo. Dopatrzeć najsłabszego punktu w pozycyi nieprzyjaciela, w ten uderzyć, odebrać mu go przeważną siłą, rozdzielić i rozbić jego szyki, mieć gotową jazdę na skrzydłach do poparcia głównego ataku w razie powodzenia, oto krótka i elementarna teorya zwykłego boju, w tych prostych, jak je nadmieniłem, warunkach, bo pominę rozleglejsze manewra znacznych korpusów wojsk, którymi na daną godzinę oskrzydla się nieprzyjaciela, lub kiedy z dawno ułożonych planów, wódz jest wstanie urządzić napad na boki lub tyły tych, z którymi walczy oddzielnemi wojskami. Co zaś najważniejsza, wódz powinien znać najdokładniej teren, czyli miejscowość mającej się stoczyć bitwy.

Czytajmy historyę wojen Napoleona, zawsze on osobiście na szerokości i długości całych mil, rozpoznawał z pierwszym blaskiem słońca miejscowość i kontury gruntu przyszłego boju i te dokładnie wystudyował. Bywały nawet wypadki, że słabą eskorta otoczonego, o mało go w niewolę nie schwytano. Pod Ostrołęką wszystko to pominięto.

Już powiedziałem, że Skrzynecki, gromadząc swe wojska pod tem miastem i wyczekując nadejścia korpusu generała Łubieńskiego, wysuniętego pod Nur, jednocześnie miał czas ściągnąć dywizyę generała Giełguda z pod Łomży, bo ta już zrobiła swoją powinność. Jeśli nie wydał stosownych w tym względzie rozkazów, jasny dowód, że nie miał zamiaru przyjąć bitwy pod Ostrołęką, bo przeszedłszy most na Narwi i spaliwszy go, most jedyny na rzece bystrej, szerokiej i głębokiej, aż do mostu pod Serockiem, którego był panem, korytem tej rzeki był najzupełniej od wszelkich ataków feldmarszałka zasłonięty. Pytanie jeszcze, co miał za przeznaczenie Giełgud stać pod Łomżą, gdy polskie wojska cofać się zamierzały?... Błąd więc nie do przebaczenia, że Giełguda nie ściągnięto.

Przyznaję, że nęcącym był projekt powzięty w tej godzinie: zniszczenia całego korpusu grenadyerów w liczbie 18.000 żołnierza, rzuconych na drugą stronę mostu, a bez możności wycofania ich z tego pogromu. Przyznaję, że Dybicz śmiałem tem postąpie-

niem, wielkie w następstwie odniósł korzyści, ale przypisuję takowe niedołęstwu Skrzyneckiego, bo był to krok awanturniczy, trafem jedynie uwieńczony. A nasze wojska, przewyższające nawet swą liczbą grenadyerów, gdyby były dobrze prowadzone, bo im na męstwie nie zbywało, a tego tyle dotąd dały dowodów, gdyby uderzyły naraz i całemi siłami, można było grenadyerów częścią wytępić, częścią wpędzić w Narew.

Biada wojskom bijącym się, mającym tuż na tyłach głęboką rzekę, jedyny most na niej i jeszcze na wpół zniszczony. Nareszcie wolno domniemywać, iż feldmarszałek, przez dziesięć godzin trwającego boju, dla tego swoich grenadyerów nie posiłkował, że inne jego pułki dopiero nadchodziły.

Niepodobna również przypuszczać, aby naczelny wódz rozmyślnie przepuścić zamierzył nieprzyjaciela na drugą stronę Narwi: drugim przeto jego błędem jest, że postawił sześć batalionów tylko przed i w samej Ostrołęce, wiedząc, że za korpusem Łubieńskiego dążą wszystkie wojska feldmarszałka, poświęcał więc swoich bezwzględnie i niepotrzebnie.

Dalej — natarcie Rossyan na Ostrołękę i na bronić się mającego generała Bogusławskiego, nastąpiło dopiero około godziny 9 rano. Mógł Skrzynecki spodziewać się, że Rossyanie mostu nie zdobędą, ale należało i przewidzieć, że to nastąpić może, jak równie, że bitwa toczyć się będzie na prawym brzegu rzeki Narwi i jej łęgu.

Miał zatem obowiązek rozesłać cały swój sztab na dokładne rozpoznanie miejscowości, był na to czas dostateczny od wschodu słońca do 9 godziny rano. Gdyby to proste spełnił zadanie, byłby wiedział, że front nasz, środkiem owego łęgu, oddzielało owe głębokie stare, acz suche koryto Narwi, którego kawalerya nasza, dla stromych jego brzegów, przejść nie mogła, chyba, z pokonaniem najwyższych trudności, a w tych łamać swe szeregi i wstrzymać rozpęd swych koni, pod karabinowym ogniem nieprzyjaciela w samym ataku. Suche to i głębokie koryto rzeki, należało wcześnie zająć: nasza piechota znalazłaby tutaj osłonę, nawet przed ogniem rossyjskiej artyleryi, gromiłaby most przechodzących.

Dokładne rozpoznanie miejscowości z naszej strony, sprowadziłoby i te korzyści, że znaleziono by zapewne łatwiejsze przebycie owego starego koryta rzeki, a w takim razie silny opór naszej piechoty, poparty ogólną szarżą jazdy polskiej, mógłby przyprawić grenadyerów o zupełną klęskę. Przypominam również, iż przy opisie miejscowości bitwy Ostrołęckiej, naznaczyłem, na na-

szem lewem skrzydle znaczną wyniosłość gruntu, na której stał wiatrak. Sądzę, że tu postawione kilkanaście armat naszych, wzięłyby Rossyan swymi strzałami w sposób, który Francuzi w wojennym języku zowią „*en echarpe*“, a my moglibyśmy posługiwać się ukośną działobitnią, która nie przechodząc przez środek szyków nieprzyjaciela, lecz wzdłuż ich, jest nad wszystko dokuczliwą i morderczą.

Wzmiankowałem wyżej, jak prowadzony nasz pułk z 2. pułkiem ułanów, nie mógł dojść w szarży grenadyerów z powodu natrafionej przeszkody; dodam jeszcze, że Skrzynecki nie zgromadził swej wybornej jazdy w jeden punkt działania. Generał Skarzyński z 20 szwadronami, stał na dalekiem naszem prawem skrzydle i nibyto obserwował kozaków, z drugiej strony rzeki kręcących się, którzy tem samem ani flankować ani nam szkodliwymi być nie mogli. Mówiono w obozie, że przesłano mu rozkaz, by się zbliżył... nie spełnił go.. i to jego postąpienie było jedną z naszych fatalności.

Jak później opiszę, zdolny generał Prądzyński, przed Rządem narodowym i Sejmem mocno oskarżał naczelnego wodza o nietrafne prowadzenie bitwy Ostrołęckiej. Wiem, że wydał swoje pamiętniki, tych jednak nigdy nie czytałem, bo u nas były i są wzbronione. Mocno ciekawy jestem, jak on krytykował wyprawę na gwardye rossyjskie i ową zgubną dla nas bitwę Ostrołęcką.

W tem miejscu zapisuję, iż nie mieliśmy zdolnego generała jazdy w tej wojnie. Posiadał w tym względzie niejakie przymioty Dwernicki, wszakże daleko większe, a wsparte nieprzestanną nauką, pułkownik naszego pułku, a późniejszy generał Miller. Nie otrzymał on żadnego znaczniejszego dowództwa, bo była i w naszem wojsku arystokracya, a Miller miał brata bogatego, ale zawsze szewca w Warszawie. Nigdzie też nasza jazda właściwie użytą nie była, ani nie umiano korzystać z tej dzielnej broni, która w pościgu kończy wszystkie zwycięstwa. Kto czytał wojenną historyę Francyi ostatnich czasów i sławne manewra i szarże kawaleryi króla neapolitańskiego, Murata, ten przyzna słuszność tej mojej uwadze.

Straciliśmy więc stanowczo i bezpowrotnie dywizyę Giełguda, przydzieloną do niej jazdę i armat 20. Dołączywszy straty bitwy Ostrołęckiej, stanowiło to więcej jak $^1/_5$ sił naszych.

Cofamy się do Warszawy — a w tym marszu, rozbitki naszej piechoty z boków od Kołaków i Rożanna, dalej w Pułtusku

i Serocku, wszędzie się z nami łączyły: tak wielce nasz żołnierz, pozbawiony nawet swych oficerów, pojmował swój obowiązek. W Serocku mieliśmy niejakie magazyny, zabraliśmy je, ile się dało, resztę rozdano mieszczanom. 29. maja stanęliśmy pod Pragą.

W Warszawie już doszły wiadomości o klęsce przez nas poniesionej, bo niepomyślne lecą szybszym od ptaków lotem. Z placu też bitwy. Skrzynecki złożył Rządowi narodowemu raport, w wyrazach rozpaczliwych. Ten jednak Rząd zataił i nie ogłosił, by ducha kraju nie osłabiać, a podobno nawet mu go zwrócił.

Za ukazaniem się naszych wojsk, co tylko żyło w stolicy, rzuciło się za Pragę. Przybyły żony, matki, siostry, krewni i ojcowie do obozu, dowiadywać się o swoich. Nieszczęśliwi!... wkrótce dowiedzieli się o zgonie ukochanych im wojaków: powstał jeden jęk, krzyk i płacz, oraz narzekania tak bolesne dla żołnierza, że siłą kazano rozpaczających z obozu wydalić — już też nikogo potem straże nie puszczały. W parę dni gazety ogłosiły długą listę poległych, a w kościołach żałobą osłonietych, Msze za nich odprawiano. Dybicz w pięć dni dopiero po naszym odwrocie, zbliżył się pod Pułtusk: dowodziło to, jak wielkie poniósł straty, oraz, że bitwa Ostrołęcka była jedynie rzezią obustronną, a zwycięztwem dla Rossyan nazywać się nie może.

W obozie pod Warszawą obliczyliśmy się ściśle! Ten świetny i liczny w żołnierza pułk nasz, wynosił zaledwie trzysta kilkanaście koni i ludzi. W rezerwowym szwadronie było przeszło stu ludzi, ochotnicy i rekruci mogli go skompletować, koni nie było!... Postanowiono odwołać się do ministerstwa wojny o pomoc pieniężną; pułkownik Zielonka zwołał oficerów na radę: ktoś zaproponował, by uderzyć w poczciwe serca żołnierzy, a to takim sposobem:

Cesarz Mikołaj, za każdą bytnością w Warszawie, sowite rozdawał na manewrach i obluzach warty wojsku pieniężne gratyfikacye, gwardyom podwójne. Fundusze te składały się do Banku polskiego na procent, a wychodzący z frontu z dymisyą żołnierz, część swoją odbierał. Pułk nasz takich funduszów posiadał kilkadziesiąt tysięcy złotych. Otóż z owej rady rozeszliśmy się do naszych oddziałów, przedstawiliśmy naszym żołnierzom smutny stan pułku i obawę, aby nas nie rozrzucono po innych pułkach. W końcu powiedzieliśmy im otwarcie i krótko: „dajcie nam swoje pieniądze, a pułk zmartwychwstanie; my oficerowie damy swój żołd miesięczny.“

„Zgoda!... Zgoda!...“ — wykrzyknęli na raz wiarusy. Spisano zaraz po szwadronach upoważnienia, pułkownik je poświadczył, minister wojny zatwierdził i pieniądze odebraliśmy w 48 godzin. Zielonka wyznaczył czterech oficerów, ci natychmiast wyjechali w województwa przez Rossyan nie zajęte i we dwa tygodnie przyprowadzili około dwieście koni, jeśli nie pięknych, to dobrych, silnych i użytecznych. Wyznam tu, że obywatele, dla miłości tej wielkiej sprawy, tanio naszym remontierom konie sprzedawali, kilkanaście też oddali bezpłatnie.

Z obozu pod Warszawą odwiedziłem kolegę Miłosza, który stracił nogę pod Ostrołęką. Leżał gościnnie przyjęty u pani Ufniarskiej, właścicielki domu, stojącego niegdyś na tym placu, gdzie teraz jest dom bankiera Kronenberga, na rogu Mazowieckiej ulicy. Miłosz był jednym z najpiękniejszych młodych ludzi, jakich mi się w życiu widzieć zdarzyło: prawdziwy miłosz. Serce najlepsze, umysł wykształcony, charakter stały i łagodny, nie liczył wówczas jak lat 21 wieku. Amputacyę nogi pod kolanem szczęśliwie wytrzymał, ale jeszcze z łóżka nie wstawał. Nie mogłem się nadziwić jego opowiadaniu: mowił mi, że jak jest kołdrą nakryty, gotów zaprzysiądz, że mu nogi nie brakuje, że rusza palcami, że go swędzi pod podeszwą... Dopiero nasz doktór mi wytłómaczył, że to jest gra nerwów, które jeszcze żyją. Miłosz pochodził z bogatej rodziny, posiadającej majątki na Żmudzi. Po roku 1831, wrócił w swoje strony, mógł jeździć konno, nawet polować; i tu miał wypadek, bo własny sztuciec, wystrzeliwszy, mocno go okaleczył. Wyjechał później do Włoch, zkąd wracając po kilku latach, wyszukał mnie w Warszawie. Parę dni spędziliśmy z sobą najmilej przy zobopólnych wspomnieniach. Czy żyje dotąd?... nie wiem.

Zapisuję tu, iż w owej epoce, w pierwszej połowie czerwca, we wsi Kleczewie pod Pułtuskiem, umarł na cholerę feldmarszałek Dybiez. 27. tego miesiąca Wielki Książę Konstanty, w Witebsku; nie długo po nim księżna Łowicka, jego małżonka, w Gatczynie. Różnie mówiono o tych zgonach, tak szybko po sobie następujących.

Kilkakrotnie już powtarzałem, że pamiętnik niniejszy będzie ścisłym opisem tego, com widział; dotknie wrażeń, które na mnie bieg wypadków oddziaływał. Nie mógłby jednak przedstawiać jakąkolwiek użyteczność, gdybym szedł tylko krok za krokiem za

działaniami wojennemi, a pominął usiłowania Rządu narodowego w podtrzymywaniu sprawy naszej, ścierania się różnych opinii, a z tych głównie uważać należy: publiczną — naszą obozowo-wojskową i mnóstwa pism peryodycznych, w Warszawie wychodzących, a schlebiających odcieniom i stronnictwom swych czytelników, które łakomo ich zdania chwytając, walczyły przeciw innym. Związkowość tę za konieczną uważając, materyał do niej czerpać będę z dzieł, które czytałem, nieco z pamięci, a głównie z „Dziejów narodu polskiego“ Teodora Morawskiego, naszego ministra spraw wewnętrznych w r. 1831, a przed rokiem lub dwoma zmarłego na wychodztwie w Paryżu. Zresztą piszę, ile umiem.

Fatalność pociągnęła Skrzyneckiego do wydania mostu na Narwi i przyjęcia bitwy pod Ostrołęką: po tej klęsce, uważał sprawę powstania za straconą.

Nie posiadał on tej mocy charakteru, która podnosić powinna wodza w nieszczęściu: brakło mu daru szukania środków ku zasłonięciu się od nowych przeciwności. Straty nasze były ogromne, równe jednak poniosły wojska rossyjskie, dowód czego w ich bezwładności po odniesionych korzyściach. Wkrótce, gdyśmy się rozłożyli obozem pod Pragą, Izby sejmowe wysłały deputacyę z podziękowaniem Skrzyneckiemu i wojsku za okazaną wytrwałość; leżała w tem myśl podniesienia upadającego ducha. Gwardya narodowa warszawska braterską ucztą przyjmowała wybranych z pułków żołnierzy w ogrodzie Krasińskich. Rząd ogłosił, że Giełgud nie był odcięty, lecz rozmyślnie wysłany na Litwę w celu silniejszego rozwinięcia tam powstania. Zakrywano błędy, tajono prawdę. Postępowanie Rządu było szczytne: u nas w obozie smutek.

Tymczasem ubiegłe wypadki, chociaż groźne, goiło ściślejsze rozpatrzenie się w położeniu ogólnej sprawy.

Doszły wiadomości, że generał Chłapowski rozbił silny oddział Rossyan w Hajnowszczyźnie 24. maja, a przez puszczę Białowiejską dostawszy się do Niemna, przeszedł tę rzekę pod Zielwieńcami 28.

Generałowie Giełgud i Dembiński 29. tegoż miesiąca, gromią Sakena pod Rajgrodem, zabierając mu 2000 niewolnika i również Niemen przebywają. Partyzant nasz Zaliwski zajął Kowno. Chłapowski połączył się z Giełgudem pod Kejdanami i oddał mu pięć dział zdobytych, 1.500 karabinów i tyleż niewolnika, którego trzeba było obdarować wolnością, bo nie było go gdzie odesłać.

Młodzież wileńska rozsypała się po Litwie, rozsiewając wszędzie powstanie, a te zaczęło się organizować; na czele jego stanął kasztelan Tadeusz Tyszkiewicz, a wskutek takiego obrotu wypadków, armia rossyjska, działająca u nas między Bugiem a Narwią, traciła dowóz litewskich zapasów i komunikacye z Petersburgiem. Zauważyć także należy, że armia ta, ponosząc w boju ciągłe straty, gnębiona cholerą, o znaczną część już się zmniejszyła, a wreszcie śmierć feldmarszałka, obezwładniła ją zupełnie, w oczekiwaniu nowego wodza. Klęski więc i straty, jakie powstanie poniosło, zaczęły się poniekąd naprawiać, a zatrzymanie się Rossyan pod Pułtuskiem po bitwie Ostrołęckiej, dało mu czas do odetchnienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów konfederacyi barskiej.

Teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor.

(1769—1772).

(Ciąg dalszy).

Wkrótce też przybył Zboiński do Preszowa, gdzie przed wyjazdem do Wiednia dłuższy czas się zatrzymał, rozstrzygały się tu bowiem ważne decyzye, a Dumouriez z marszałkami układał plany nowych operacyj wojennych. Tymczasem Generalność, ze wszech stron naciskana, wobec silnie rozwiniętej agitacyi wśród marszałków, komendantów wojska i wogóle szlachty, podpisała pamiętny akt bezkrólewia w dniu 9. sierpnia 1770 roku. Dla prawomocności aktu cała rada generalna zjeżdżała do Koniecznej tuż nad granicą, już na ziemi polskiej i tu spisany został manifest, odsądzający Stanisława Augusta od korony i za niebyłe ogłaszający wszystkie prawa i uchwały, stanowione od śmierci Augusta III. Podobno sam Dumouriez, choć wbrew zaleceniom gabinetu wersalskiego i wbrew radom Duranda, najbardziej popierał ogłoszenie bezkrólewia. Ze względu jednak na różnicę zdań w powzięciu uchwały ostatecznej, oraz bezustannych z tego względu nieporozumień, publikacya odnośnych uniwersałów przeciągnęła się do października.

O przybyciu Dumouriez'a i pierwszych jego czynnościach w Preszowie, Generalność pisała do szefów barskich 16. sierpnia 1770 r.:

„Mamy też tu przy nas zesłanego pewnego pułkownika Demouriez, człowieka *aliunde* pięknemi przymiotami dystyngowanego: wszystkie jego aż do tego momentu kroki nie zdają się zmierzać tylko do poznania legalności i stanu konfederacyi naszej, w czem uczynione raporta są nam dosyć przyjazne i obiecują niezawodne i skuteczne, tego za nami interesującego się dworu posiłki.“

Wówczas też, zapewne dla narad z Dumouriez'em, a także dla lepszej organizacyi wojskowych operacyj, ustanowioną została nowa Rada wojenna, której ordynacya uchwaloną była na sesyi 14. sierpnia.

Ze względu na konieczność zachowywania w tajemnicy wielu rozporządzeń, tyczących się rozporządzeń wojskowych, „ścieśniono ją — jak się wyraża Generalność — w mniejszą godnych osób liczbę.“ Do składu jej wyznaczono z Wielkopolski: Turnę, poznańskiego i Piwnickiego, chełmińskiego konsyliarzy; z Małopolski: Dzierżbickiego, ruskiego i Wybranowskiego, lubelskiego konsyliarzy; z Litwy: Mirskiego, bracławskiego i Putkamera, żmudzkiego marszałków, którzy wraz z sekretarzem (nazwisko nie podane), wykonali jurament. Ordynacya zaś wyrażała:

„1. Rada składać się będzie z osób wyżej wspomnionych.

2. Ordynanse wojskowe wychodzić będą z tej Rady i podpisane będą przynajmniej przez prezydującego i sekretarza, wolno i dalszym będzie Rady członkom, jeżeli przytomni i w radach wojskowych oddalonymi nie będą, równie na tychże ordynansach podpisywać się.

3. Rada wojskowa sądzić będzie wszystkie osoby wojskowe, bądź wojskowe *rebellio*, bądź zuchwałe nieposłuszeństwo ordynansom i artykułom wojskowym, które będą przepisanemi, kryminalne zaś sprawy, co do samych osób marszałków i konsyliarzów, do decyzyi Koła Rady Generalnej odsyłane będą.

4. Rada wojskowa wydawać będzie wszystkie planty operacyj wojennych i skoro napisane będą ordynanse, zaleci ich dopełnienie Ichm. komendantom, pilną zawsze mając baczność, iż gdy znaczniejsze które *corpus* głębiej w kraj wchodzić będzie, na ten czas posłany będzie jeden lub więcej z tejże Rady, który lub którzy, zostając przy boku komendanta wojskowego, przestrzegać będą wszystkiego tego, cokolwiek do rządu wojskowego *et ad disciplinam militare* należy, tak, iżby nigdy nie zboczyć od celu planu generalnego umówionego i opisanego.

5. Rada wojskowa poszle dla wizytowania wszystkich postów, przez wojska Najjaśniejszej Konfederacyi objętych, one ubezpieczyć i ufortyfikować starać się będzie, zawsze *conformiter* do planu generalnego, który umówiony będzie przez też Radę.

6. Rada wojskowa wybrane sumy z podatków publicznych i dochodów importować będzie do Rady skarbowej, na potrzeby zaś wojenne od tejże Rady skarbowej rekwirować będzie sumy dostatecznej i z wydatków jej, tejże Radzie skarbowej punktualny zdawać będzie rachunek. Co się zaś tyczy wypraw ustawami wojewódzkiemi uchwalonych, te według podanego *distinctim* od każdego JW. marszałka regularnie exekwowanemi będą w ludziach lub w pieniądzach.

7. Rada wojskowa po upłynieniu każdych 15 dni, zda rachunek ogólny Generalnej Radzie konfederacyi, z całej konduity swojej i ze wszystkich ordynansów, które przez ten czas wydane lub odmienione będą.

8. Osoby do tej Rady naznaczone, wszedłszy w nią, pod żadnym pretekstem odmienione nie będą, i urzędu swego przez cały czas trwającej wojny złożyć nie wolno będzie.“

Tymczasem Wessel, jak widzieliśmy, — stał dotąd na uboczu, do niczego się nie mięszając od powrotu swego z Drezna. Dopiero przyjazd Duranda do Wiednia, ożywiając wogóle nadzieje związkowych, dał pochop Wesslowi do nawiązania korespondencyi dyplomatycznej. Ogólnie wierzono, że nowy minister francuski w Wiedniu miał szczególnie ważne instrukcye swojego dworu co do sprawy polskiej, że przywoził zapewnienia posiłków w ludziach i pieniądzach dla konfederacyi, że wreszcie miał sobie poruczone układy z dworem wiedeńskim, co do stanowczych kroków na rzecz Polski. Zaraz też Wessel zgłosił się do Duranda (22. lipca). „Je n'ai qu'à me féliciter — pisał doń podskarbi koronny — pour le bonheur de ma patrie, de ce que Vous devez, selon que Mr. Gomuliński m'en a informé, concourir auprès de cette cour pour accélerer le rétablissement des droits de la Pologne. La comission qui Vous en a été confiée, ferait seule l'éloge de Vos talents, s'ils ne nous étaient pas connus...“ Zresztą w samym liście, spraw publicznych nie dotykał, ale wyprawiony przez Wessla, znany już nam z poprzednich rozdziałów, ksiądz Doublier, powiózł Durandowi artykuły, „sur lesquels Mr. l'abbé est auto-

risé à fournir des éclaircissements à Mr. Durand.“ Otóż wyjaśnienia te miały być dane o wielu faktach i okolicznościach, począwszy od najpierwszego zebrania się marszałków w Muszynie, aż do chwil ostatnich; nadto wykazane być miały desiderata. w których rzecz prosta, odnajdujemy zdawna propagowane projekta podskarbiego. I tak między innymi są tu punkta:

O potrzebie wydania publicznych aktów surowości (des actes de vigueur), przeciwko stronnikom Rossyi, którzy jej pomogli do ujarzmienia narodu polskiego, — obecnie skonfederowanego w celu obalenia wpływów i przemocy rossyjskiej.

O potrzebie wsparcia ruchu narodowego dla przywrócenia spokoju w kraju.

O potrzebie wytworzenia w Polsce silnego stronnictwa francuskiego, dla zrównoważenia strat wynikłych przez zmianę rzeczy w Szwecyi, oraz dla przeciwdziałania stronnictwu rossyjskiemu.

Nadto wysłaniec podskarbiego dostarczyć miał wszelkich wyjaśnień o obecnem położeniu rzeczy w Polsce, — przyczem niewątpliwie sprawa detronizacyi Stanisława Augusta i projekt kandydatury saskiej nie musiały być pominiętemi. Wreszcie przedstawić miał nowy plan operacyj wojennych i bliższe szczegóły missyi Lasockiego do Saxonii i do Turcyi, oraz Gomulińskiego do Francyi, także szczegóły z bytności biskupa kamienieckiego w Wersalu, o projektowanej dywersyi w Liwonii, o nieporozumieniach z biskupem i t. d. Wzmiankowany plan operacyj wojennych opracowanym był w osobnym memoryale pod tytułem: *Plan pour réctifier les opérations des confédérés,*[1]) w którym reorganizacya Generalności poruszoną także była.

Po obszernym wstępie i ogólnych uwagach, główne punkta tego memoryału były następujące:

1. Umówić się należy z główniejszymi wodzami konfederacyi, których postępowanie było bez zarzutu, o sposobach zajęcia fortecy Częstochowskiej. Sposoby te są łatwe.

2. Po opanowaniu tej fortecy, należy ją opatrzyć we wszystko. a zapasy armat i broni. jakie się w niej znajdują, zapewnią długą i skuteczna obronę.

3. Dołożyć starań, aby wprowadzić surową dyscyplinę i karność wśród wojska.

---

[1]) Na kopii, znajdującej się w tekach Wessla, daty nie ma. W każdym razie memoryał ten przedstawionym być musiał przez Doublier'a.

4. Ustanowi się garnizon w mieście Częstochowie, która bronioną być może przez działa forteczne. W bliskości założyć obozy bronione również przez fortecę.

5. Marszałkowie i konsyliarze, najbardziej oddani dobrej sprawie, założą swą rezydencyę w Częstochowie i tutaj odbywać będą swe zebrania i narady.

6. Za ich przybyciem, poprawić się powinno wszystko, co jest nagannem w Generalności, t. j. usunąć członków, którzy stali się podejrzanymi, cofnąć te pisma, które są przeciwne dobru publicznemu, a ogłosić akta publiczne, potępiające stronników Rossyi, objawiające bezkrólewie, powołujące wszystkie wojska Rzpltej i pospolite ruszenie, jeżeli potrzebnem będzie.

7. Opanować należy skarb publiczny i ogłosić sądy kapturowe, przez co Generalność zapewni sobie ufność narodu i przewagę nad swymi przeciwnikami. Swoim porządkiem, oddziały konfederatów nie zaprzestaną ciągłych utarczek z nieprzyjacielem.

8. Również nie wspomina się tutaj o wszelkich zarządzeniach w sprawach wojskowych głównie w celu utrzymania subordynacyi, gdyż niewątpliwie ułożone przez p. Dumouriez w czyn wprowadzone będą.

9. Rozkazy Generalności, ufność, jaką sobie zjedna, ciągłe powiększanie wojska przez nowo zgromadzanych żołnierzy, to wszystko wzmoże jej siły i da jej sposobność do zajęcia fortecy w Krakowie, do której wprowadzi część dział z Częstochowy i kilku najlepszych oficerów. Następnie zajmie Bochnię, Wieliczkę i inne miejscowości aż do Poznania, gdzie wzmocniwszy się, będzie w stanie wytępić Rossyan, znajdujących się w Polsce.

10. W tej chwili największego wzmożenia sił swoich, Generalność rozpocznie układy z przyjaznymi dworami.

11. Główne negocyacye winny się prowadzić z dworem francuskim, który najwięcej ze wszystkich wziął do serca sprawy polskie i który tem samem zasługuje na największą ufność ze strony narodu polskiego. Tutaj wdzięczność i uznanie należy wyrazić kilku dzielnym oficerom francuskim, którzy z największą gorliwością pośpieszyli, aby wesprzeć usiłowania patryotów polskich. Dwór wersalski mógłby skuteczną dać pomoc, zapewniwszy zupełną bezkarność dezerterom francuskim, którzyby otrzymali świadectwa od p. Dumouriez, lub od p. Duranda, lub od któregokolwiek z oficerów, że służyli w Polsce do końca wojny. W ten sposób bez otwartej deklaracyi, Francya korzystnie wesprzeć by mogła Polskę, oficerowie francuscy mieliby żołnierzy przywykłych

do wojskowej dyscypliny i pewni by być mogli zwycięstwa, a dwór francuski pozyskałby silne stronnictwo w Polsce.

12. Raz rozpoczęte negocyacye, naród mógłby przystąpić do elekcyi (króla) i koronacyi, usuwając wszystkie formalności ostentacyjne, których obecne okoliczności nie znoszą. Następnie ułożonoby się co do posiłków, dla zrobienia Rossyi dywersyi. wchodząc do Liwonii, której mieszkańcy, z jarzma rossyjskiego niezadowoleni, wspieraliby z pewnością tę akcyę lub gdzieindziej przenosząc wojnę, stosownie do okoliczności. Przez tę dywersyę pozyskanoby Turcyę. odsuwając ją zarazem od Polski; zgnieciononoby dumę Rossyi, utrwalając jej poniżenie i przyspieszonoby koniec wojny.

Jeżeli plan niniejszy oraz projekta jego wykonania byłyby przyjęte, dostarczą się dalsze dopełnienia... Można upewnić, że wszystko to jest wykonalne, jeżeli dwory przyjazne chciałyby pomódz w uskutecznieniu podanych planów.

Czy nastąpiła jaka odpowiedź na powyższe przedstawienia Wessla, nie wiemy, ale niektóre propozycye. jak np. zajęcie Częstochowy przez konfederatów. przyjęte zostały przez Radę wojenną i Dumouriez'a. Poleconem też zostało Kazimierzowi Pułaskiemu opanowanie fortecy Jasnogórskiej i lepsze jej ufortyfikowanie, co też rychło zostało dokonanem.

W tymże czasie, na żądanie Duranda, przybył do Wiednia Pac wraz z Lnińskim, marszałkiem pomorskim. jednym z wybitniejszych członków Generalności. Nie mamy relacyi z narad prowadzonych wówczas z pełnomocnikiem francuskim, ale zapewne omawiane tu być musiały nowe zarządzenia gabinetu wersalskiego i przybycie oficerów francuskich. Co się zaś tyczy współudziału Wessla w sprawach publicznych, Durand i Pac nalegali nań. aby się złączył z Generalnością i w tym duchu pisali do niego. List Duranda (z 30. sierpnia) następującej był treści:

„Najlepsze intencye mojego dworu i innych państw wspólnie z Francyą działających, aby koniec położyć nieszczęściom Rzpltej, nie mogą mieć skutecznych rezultatów, póki nie będzie zupełnej jedności wśród tych. którzy poświęcili się dla ratunku swej Ojczyzny. W. E. może ztąd wnioskować, jak mi zależy — w zakresie powierzonych mi spraw, — na poznaniu wszelkich powodów niechęci, jakie powstać mogą między tymi, których uważamy za najgorliwszych obrońców wolności. Pozwól mi więc panie hrabio, abym z całą otwartością zwrócił się ku Niemu. do-

tykając sprawy, dla której największe chciałbym zapewnić korzyści.

„Panowie Pac i Lniński nie ukrywali przedemną, że Generalność przebywająca w Preszowie, przekonana o prawości pańskich zamysłów, radaby ustanowić pewną łączność z Panem. Dwór mój z największem zadowoleniem widziałby tę jedność, a sądzę, że i Pan nie odwówi swojego uznania zasadzie, mającej na celu ochronę reprezentacyi narodu, od osłabienia jej powagi przez wręcz przeciwne kroki, i że Pan raczy się zbliżyć do tych, którzy dla W. E. mają szacunek i poważania należne mu.“

Wessel odpisał Durandowi (12. września), co następuje:

„Ostatnią pocztą odebrałem list pański z 30. sierpnia. Nikt bardziej odemnie nie odczuwa słuszności wyrażonych w nim przekonań. A jeżeli dwór francuski raczy oddać sprawiedliwość przedstawieniom, które miałem zaszczyt pszesyłać w swoim czasie, będzie Pan najzupełniej przeświadczony, że wszystko, co się dzieje wśród konfederatów, było przewidzianem, i że dawno już mówiłem o powodach podejrzeń i nieporozumień, które nas dzisiaj przejmują, — gdy odmawiano żądanego przez naród ogłoszenia bezkrólewia.

„Ale, aby odpowiedzieć na szczerość pańską, przyznać muszę, że jakkolwiek owa odmowa musiała osłabić moją gorliwość dla konfederacyi, gdyż widziałem, że coraz bazdziej oddala się od zaznaczonych celów, — jednakże bezczynność, jaką sobie postanowiłem, była spowodowaną przez insynuacye Rady Generalnej, przekazane mi przez moich przyjaciół i przez uwagi dane mi piśmiennie przez tęż Radę, abym im tylko zostawił cały kierunek spraw publicznych. Odtąd, mogę powiedzieć, do niczego się nie wmięszałem, a ograniczając moją działalność, mam tylko zasługę bezczynności, której odemnie wymagano. Pochlebiam sobie, że udowodniłem tem samem, że ani namiętność, ani widoki osobiste, ani miłość własna nie kierowały mojem postępowaniem, a zawsze tylko dobro publiczne miałem na widoku. Widziałem wprawdzie o zaniesieniu wiadomego aktu do ksiąg publicznych przez Kożuchowskiego, i nie wątpiłem, że akt ten ożywi gorliwość narodu a szczególnie wojsk skonfederowanych, które odtąd z większym zapałem prześladowały nieprzyjaciela i odniosły większe korzyści. To też nic dziwnego, że w tej sprawie odczułem zadowolenie, widząc, że w swoim czasie słusznie oceniałem życzenia narodu, żądając, aby akt, ogłaszający bezkrólewie, nastąpił bezzwłocznie po akcie zjednoczenia wszystkich konfederacyj.

„Zresztą niech Pan będzie pewnym, że jeżeli dozwolonem zostanie mojej gorliwości czynnie wystąpić, będę najszczęśliwszym módz stosować się do żądań dworu francuskiego i innych potencyi, których los nasz obchodzi, w przeświadczeniu, że życzenia te dążą do przywrócenia naszych praw narodowych, zniszczonych przez sąsiadów potężnych. Przytem rad będę ze sposobności bliższych stosunków z Panem etc.“

W liście do Paca, jednocześnie wysłanym, Wessel upewniał marszałka generalnego, że nikt bardziej od niego, czuć nie może potrzeby owej jedności, o której Pac mu pisał, ale ubezpieczyć ją można tylko przez miłość zobopólną, szczerość i wzajemne zaufanie. Narzekał przytem na ciągłe oszczerstwa i zapamiętałe podejrzenia. Poruszywszy zaś znowu sprawę Kożuchowskiego, który oblatował akt bezkrólewia, pisze o nim, iż „ten godny obywatel, przez wspaniałość i zazdrości godną stałość swoją, nie powinienby być tak łatwo ani za zdrajcę ani za źle myślącego być poczytywanym...“

Jeszcze zaznaczyć należy list Duranda do Wessla (z 20. września), w odpowiedzi na powyżej podane pismo podskarbiego. „Wzruszony jestem — pisze przedstawiciel dworu francuskiego, — tą ufnością, z którą W. E. zwraca się do mnie i której nie nadużyję. Ufność ta ośmiela mnie do wyrażenia Mu, że prawdziwy patryota może być zasmuconym, gdy wszyscy nie idą po drodze, którą on im wskazuje, ale przez to nie powinien osłabiać swojej gorliwości, tem bardziej, że dużo dobrego zdziałać można, nie dosięgłszy do najlepszego... Dodam przytem, że nie można Panie Hrabio, nic użyteczniejszego zrobić, i bardziej odpowiedniego naszym życzeniom, — jak tylko jednając Generalności cześć i szacunek, potrzebne jej, dla zainteressowania państw postronnych losem Polski. Ośmielam się wyrazić, że to jest główny cel, ku któremu przedewszystkiem dążyć Pan powinien, gdyż w obecnem położeniu rzeczy, tylko za ich pośrednictwem dojść można do celu: tylko w obec zupełnej jedności reprezentacyi krajowej, państwa te udzielić mogą swego wstawiennictwa...“

Takie to nauki i przestrogi dawali cudzoziemcy, widząc niczem nie stłumione spory i nieporozumienia wśród wybitniejszych przedstawicieli polskiego stronnictwa narodowego. Tymczasem przysłany przez ministeryum francuskie, pułkownik Dumouriez, przesiadujący zrazu w Preszowie, i organizujący na nowych podstawach siły wojenne konfederacyi, — miał zapewne polecenie od księcia Choiseul zbliżenia się do Wessla, bo zgłosił się do niego, prosząc

o nawiązanie chociażby listownych stosunków — nie mogąc osobiście się porozumieć w sprawach polskich.[1]) Wessel pod datą 12. września odpisał Dumouriez'owi, a dziękując za wyrażone upewnienia o dobrych usposobieniach dworu francuskiego, obiecywał czynny udział w sprawach publicznych, jak tylko usunięte będą przeszkody, tamujące jego gorliwość. Zanim zaś osobiście będzie mógł się z nim porozumiewać, obiecywał listowną wymianę myśli.[2]) Tymczasem Generalność skłaniała się powoli ku środkom radykalnym, zdawna przez Wessla zalecanym. Już pod koniec września, zadecydowaną była publikacya aktu bezkrólewia, o czem

---

[1]) List Dumouriez'a do Wessla, 3. września 1770 r.

„J'ai beaucoup ressenti l'absence de V. E. à mon arrivée içi. Je regardais le bonheur de l'y rencontrer comme un des points essentiels de ma mission, et qui pourrait le plus contribuer au rétablissement des affaires de la Pologne. Je connais la pureté de Vos intentions et ma cour Vous rend toute la justice qui Vous est due à tant de titres. Je ne chercherai point à Vous engager à l'entrée d'une saison difficile à faire un voyage aussi fatigant que celui d'Epéries, ou cependant Votre présence serait très nécessaire, mais je serais très charmé au printemps d'avoir l'honneur de Vous voir, pour traiter avec Vous sur les moyens à prendre.

„Si d'ici à ce temps, Vous jugez M., que soit pour Votre utilité personelle, soit pour le bien de Votre patrie, je puisse m'employer selon Vos désirs, je Vous prie seulement de vouloir bien Vous ouvrir à moi par lettres avec la confiance, que peuvent Vous inspirer Votre zèle patriotique, Votre amitié pour ma nation et les sincères assurances de la parfaite considération et de l'estime respectueuse, avec laquelle j'ai l'honneur d'être de Votre Excellence etc."

[2]) List Wessla do Dumouriez'a 12. września 1770:

J'ai reçu avec plaisir la lettre que Vous m'avez fait l'honneur de m'ecrire, et j'ai été fort sensible aux assurances que Vous m'y donnez, de la justice que la cour de France veut bien rendre à la pureté de mes intentions. Je ne refuserai point de nouvelles preuves de mon patriotisme, lorsque mon zèle pour les solides intérêts de ma nation ne rencontrera plus les obstacles qui m'ont forcé de lui prescrire des bornes. — Les changements qui pourraient arriver d'içi au printemps prochain (s'il faut jusqu'à ce terme différer les opérations qui doivent accélerer le recouvrement de nos droits). — me procureront probablement l'avantage de Vous prouver de vive voix la juste amitié que Vous louez dans moi pour Votre nation, et toute l'étendue de mon zèle patriotique. Je m'adoucirai autant que les circonstances me le permettront, la durée de ce temps par la corespondence à laquelle Vous m'invitez, et je me ferai toujours un plaisir bien réel de Vous donner des preuves de l'estime qui Vous est si justement acquise et de la parfaite consideration, avec laquelle j'ai l'honneur d'être etc."

Dumouriez pisał do Wessla 29. września,[1]) donosząc, że tym sposobem spodziewano się uciszyć spory i nieporozumienia w łonie Generalności. Przytem pisze Dumouriez, że zażądał od Rady Generalnej, aby powiadomić o tem postanowieniu Wessla i wezwać go aby był obecnym ogłoszeniu samego aktu.

Z nietajonem zadowoleniem odpisał Wessel na list powyższy,[2]) dziękując Dumouriez'owi za „dobre wiadomości," — i znowu obszernie wyłuszczał wszystkie powody, dla których koniecznem było ogłoszenie bezkrólewia. Z powodu jednak złego stanu swego zdrowia, nie mógł przyjąć zaszczytnych zaprosin do Preszowa, zalecał tylko nie zwlekać z wykonaniem postanowienia uchwalonego i przyjąć uniwersał marszałków: Krasińskiego i Potockiego, aby podług niego spisać akt bezkrólewia. Wreszcie polegając na światłem zdaniu i talentach Dumouriez'a, — zdawał na niego zaradzenie wszelkim niedogodnościom i wprowadzenie ładu i porządku do spraw konfederacyi.

---

[1]) List Dumouriez'a do Wessla, 29. września 1770:

„Depuis que j'ai reçu Votre lettre, et depuis l'arrivée de Mr. le Comte de Pac de Vienne, ou il avait été appelé pour l'utilité des affaires de la Pologne, la confédération s'est décidée à la publication de l'interrègne, elle m'a fait part de sa décision, ainsi que des raisons qui l'y engagent. Elle se trouvait sur le point d'une scission par les discordes, les cabales et les divisions qui s'élevaient, d'après les intentions douteuses qu'on suppose à ses principaux membres; la précipitation des opinions particulières occasionnait des accusations, qu'il me parait que Mr. le comte Pac veut faire cesser par cette publication, qui réunira tous les sentiments.

„Avant de débattre cette affaire dans le Conseil de la Généralité; j'ai exigé de ces messieurs qu'ils trouvassent bon que je Vous en fisse part, et ils Vous inviteront à assister à cet acte, auquel j'ai crû devoir ajouter Votre avis. Je ne Vous ai dit qu'une des raisons, que ces messieurs m'ont détaillés, me reservant à traiter cette affaire d'une manière plus étendue quand nous nous verrons. Je desire l'union et la paix, qui peuvent seules amener le bien général, dont les divisions ont éloigné jusqu'à present. Je suis en outre dans ma confiance en V. E..."

[2]) List Wessla do Dumouriez'a, 9. października 1770:

„C'est avec beaucoup de satisfaction que j'ai reçu la lettre que Vous avez bien voulu m'écrire le 29. septembre. La confiance que Vous me témoignez Mr. ajoute infiniment au plaisir que me font les bonnes nouvelles que Vous m'annoncez. Il est heureux pour le bien des affaires, que Vous soyez parvenu Mr. à démêler la vraie source de nos maux et à découvrir une vérité qu'on a tant cherché à altérer. Il est certain qu'à force d'avoir été joués, notre nation a contracté une défiance, qui

Gdy wreszcie Generalność akt bezkrólewia, podpisany jeszcze 9. sierpnia, ogłosiła uniwersałami i powiadomiła o tem Wessla, ten ostatni wystosował następujący list do Generalności:

---

la mettra toujours à la veille d'une scission, tant que l'on ne parviendra à établir la confiance qui ne s'acquiers dans notre pays, que par des démarches légales et suivies. J'ai senti de tout temps cette vérité, j'ai cherché constamment à la présenter dans tout son jour, j'ai prévu les malheurs et les obstacles qui surviendraient si on la néglige; j'ai connu les dangers d'une représentation imparfaite et les risques des Délais, qui étaient trop étudiés pour ne point faire transpirer la crainte et les ménagements. Malheureusement, le temps n'a que trop justifié mes alarmes, nous n'avons pû seconder les bonnes intentions des cours amies, l'enthousiasme s'est éteint, le zèle s'est refroidi, les particuliers s'empressaient à faire leur paix, crainte qu'on ne la fit à leurs dépens, et la confédération a perdu jusqu'au pouvoir de rester dans un payx, qu'elle représente. Jugez d'après cela Mr. combien la publication de l'interrègne est indispensable, si l'on veut rétablir les affaires, prévenir les scissions, et fixer la confiance, et combien je suis charmé d'apprendre, que les Etats Confédérés viennent enfin de prendre une résolution digne d'eux et des motifs qui les animent. Je leur fais là dessus mon compliment bien sincère, joint à des assurances très positives de mon union dans tout ce qu'ils arrangeront à ce sujet.

Comme le mauvais état de ma santé m'empêche de me rendre aux invitations flatteuses tant de leur part, que de la votre: je Vous prie Mr. de vouloir bien ne plus retarder cet acte. D'ailleurs, les délibérations paraissent superflues dans un temps, où un moment d'indívision serait peut-être irréparable, je pense au reste, que par égard pour la Porte et pour faire honneur à notre propre choix, les Etats Confédérés devraient adopter dans cette affaire l'universal de M-rs les maréchaux Krasiński et Potocki, ou au moins se modeler sur son contenu. Vos talents et Vos lumières qui s'annoncent d'une manière à inspirer la confiance, me tranquilisent sur tout le reste. Vous parviendrez sans doute Mr. à établir un ensemble désirable et à remédier aux maux et aux désordres, qui se sont glissés dans les affaires, si Vous hâtez le moment de la décision, si Vous insistez sur la simplicité et la clarté des expressions à employer, que le stile du bareau a banni de nos écrits et qui a toujours occasionné les chicanes, les scissions et les défiances; si enfin Vous parvenez à suspendre jusqu'à la publication de l'interrègne, toutes les affaires moins importantes, toutes les jalousies du pouvoir et les coups d'autorité qui ne feraient qu'eclater, s'ils précèdent la confiance.

„Voilà ce que je croirais de plus nécessaire dans ce moment. Soyez persuadé Mr. que je suis sensible autant que l'on peut l'être à Votre amitié et à Votre confiance, et comme aucun interêt particulier ne m'enpêchera jamais de concourir au vrai bien de ma patrie, Vous trouverez toujours en moi de la candeur et de la sincérité. Je suis etc

Prześwietne skonfederowane obojga narodów stany!

Powszechną ogłoszonego bezkrólewia wiadomość, kiedy z listu JOO., JWW., MM. Panów, d. 22. Octobris wyczytuję, mam sobie za honor najprzód powinszować JOO., JWW., MM. Panom tak chwalebnego i potrzebnego przedsięwzięcia, a pamiętny poprzysiężonych obowiązków moich, za najpierwszą sobie poczytuję powinność, przełożyć w tych okolicznościach zdanie swoje, z tą otwartością, którą i sprawy ważność i charakteru mojego rzetelność wyciąga. Spełniliśmy Skonfederowane Stany, myśl pierwiastkowej konfederacyi barskiej, której utrzymanie i dopełnienie w obecności świata zaprzysięgliśmy Bogu i narodowi. Zażywamy prawa z natury danego, w nieśmiertelności przodków naszych usiłowaniem narodowi naszemu zachowanego. Publiczną zniewagę najuroczystszym znosimy sposobem, odpychamy gwałt gwałtem, ubezpieczamy wiarę św. i wolność najmilszą. Ustała w kraju bojaźń podejścia, zamilkło podejrzenie, odzyskała się narodu ufność, najwyższa albowiem Rzpltej ugruntowała się powaga. Z tem wszystkiem atoli, taić trudno, iż Ojczyzny losy, wszystko to co tylko cnoty najchwalebniejszego mieć mogą, wsadziły nas teraz między zwycięstwem i śmiercią, między wolnością i niewolą, między chwałą i zawstydzeniem. Jeden krok zdrożny, jedna obojętność, jedno zaniedbanie, może wiarę i wolność zgubić, może przyobiecaną szczęśliwość w smutną zamienić żałobę, może na nas wzgardę, przekleństwo i narzekania póżnego ściągnąć potomstwa. Mamy sprawę z postronnem i sąsiedzkiem mocarstwem, którego nagłe powstanie nowem zdziwionej Europie grozi zamięszaniem; którego pyszne zamachy od pół wieku ułożone, rozważone i zaczęte, oznaczają wiele sposobów, wiele sprężyn, wiele mocy, a więcej jeszcze sztuki i podejścia.

Nie zostaje obruszonej klęskami swemi Ojczyźnie naszej przeciwko temu tak zuchwałemu i okrutnemu nieprzyjacielowi, tylko cnota, męstwo i wstręt. Mamy doczynienia z krajowym, a przez to samo szkodliwym nieprzyjacielem, w którym blask panowania wykorzenił miłość ojczyzny i należyte prawa uszanowania; którego wyniosłość przyzwyczaiła do zdrady, którego pomyślność ośmieliła do przestępstwa. Nie mamy dotąd przeciwko niemu tylko sprawiedliwość i prawość i powszechną nienawiść. Spuszczać się zupełnie na postronnych mocarstw posiłki, a własne i dosyć znaczne Ojczyzny naszej zaniedbywać sposobności, nieszczęśliwe tylko może zapomnienie, — radzić zaś to sztuczna jedynie odważy się

zdrada. Wiem ja: że przyjazne potencye wiele dla nas uczynić mogą, wiem że obiecały, wiem że dla własnego swego bezpieczeństwa wiele uczynią: ale wiem też i to, że pomoc pomocy żąda, że dla nieużytecznych nikt nic nie uczyni i że w polityce, miarą czynności, jest własny interes. Kiedy niepomiarkowana państwa rossyjskiego ambicya, wzmacniającą się coraz przemocą swoją, odkrywać się poczęła, przejrzały europejskie gabinety zamysły, cele i ułożenia, które mieć może to państwo. Poznały że starania, pierwszy krok Moskwy być musiał, ogarnąć rozległe kraje nasze, wiarę przytłumić, wolność odebrać, moc narodową zwątpić i zniszczyć, a dopiero potem silniejsze zamachy na zadziwione obracać narody. Trudność tego pierwszego przedsięwzięcia usypiała ich ostrożność. Jeżeli z jednej albowiem strony, widziała Europa znaczne wojska, wielkie przygotowaaia, straszny porządek i wszystko to, cokolwiek dowcip i sztuka wielkim państwom przydać może, widziała z drugiej strony, naród liczny, zacny i wolny, który wiary św. nie odstąpi, który jarzma nie zniesie, który się gwałtom oprzeć może. Przypomniała sobie czasy Zamoyskich, Czarnieckich i Chodkiewiczów; widziała kraj niezmiernie, obfity i ludny, który przez położenie swoje od natury wyznaczonym być zdaje się na ich zasłonę i obronę od wtargnięcia i napaści dzikich narodów. Ujrzała w kraju naszym Europa okropne dla Moskwy mogiły, blizki koniec próżnego usiłowania. Postanowiła już wtenczas pomagać nam szczerze i dokładnie, i gdyby jaka znalazła się przemoc, usilnem wsparciem swojem zniszczyć ją przyobiecała, spuściła zresztą na czas, na utratę rzeczy i własną potęgę. Kiedy Turek własnego swego bezpieczeństwa przestrzegając, wojnę Moskwie wydać, wolność Ojczyzny naszej bronić przedsięwziął, widział nadto niebezpieczne dla siebie wzmocnienie rossyjskie przez zgubę naszą: widział niemałą dla siebie pomoc w przyjaźni i wdzięczności narodu naszego: przypomniał sobie Polaków pod Wiedniem i spodziewał się, iż własnym naszym dopomagając zemstom, tyle przynajmniej przeciw Moskwie czynić będziemy, ileśmy przeciwko niemu ratując stolicę Rzeszy niemieckiej czynić umieli. Zaczynają się już z jednej strony spełniać głębokie przyjaznych dworów przewidzenia, wszystkie rodzaje zdrady i podejścia, wszystkie klęski, gwałty i zniewagi ocuciły nasz naród, ożywiły cnotę i męztwo nasze powszechne nieszczęścia, przywracać nam poczyna tę potężną zgodę, która nas z najmocniejszymi zrównać potrafi. Bronimy już wiarę, wolność i niepodległość naszą, widzą z radością przyjazne dwory te początki od tak dawnego czasu potrze-

bnej odwagi, czekającej pomnożenia, z drugiej strony przeznaczenie jakieś, które gwałtem przymuszać nas zdaje się do dzielności, do cnoty, do odwagi, i to nawet sprawiło, że najpierwsze głowy nasze, jww. Kraiński i Potocki, marszałek i regimentarz generalni koronni, potwierdzili Najjaśniejszej Porty nadzieje, wzajemną imieniem narodu przyobiecali pomoc i te zaszczyty Ojczyzny naszej, ci wielcy ludzie, którym i wdzięczność i ufność naszą bez podziału winni jesteśmy, znajdując się teraz w państwach tureckich, zakładem publicznym i życiem swojem stałość i nieodstępność naszą już zaręczyli. Z tego wszystkiego, łatwo wnieść można Skonfederowane Stany, że jeżeli w pędzie naszym zatrzymywać się będziemy, jeżeli wszystkich nie zażyjemy sposobów na pomnożenie sił narodowych, na dotrzymanie tak uroczyście uczynionych obietnic, na osłabienie, przygnębienie wspólnego nieprzyjaciela: jeżeli żadnej nadziei nawet przyjaznym nie pokażemy dworom przyszłej mocy, to z naszego opierania zaciągniemy najprzód na nas wzgardę, przeklęstwo i niechęć narodu, który wszystko robił, co mu cnota i poczciwość czynić kazały, który się walecznie porwał, który Was Skonfederowane Stany wybrał, który się na Was spuścił, który krew, życie, dostatki i majątki swoje pod Waszą moc i prawodawstwo z ufnością oddał. Zabijemy potem własnemi rękami naszemi marszałka i regimentarza naszych, zginą ci rycerze, którym wiarę, którym wolność, którym wszyscy wszystko winniśmy. Ta krew poczciwa, wierna i bohaterska toczyć się będzie za niedotrzymanie danego słowa, za obojętność, zaniedbanie i bojaźń naszą. Będą może życzyli sobie w tym tak okropnym czasie, ażeby krew ich tak szlachetna, zamazała przynajmniej wstyd pozostałych i sprzysiężonych współbraci, ażeby na spełnieniu szczerej i życzliwej usługi, zakończyła przynajmniej wszystkie nieszczęścia miłej lubo niewdzięcznej Ojczyzny. Zgubimy wiarę i wolność, obmierzłe jedynowładztwo tam zasiądzie, gdzie miła przedtem panowała swoboda. Nie uwolnimy nigdy tych biskupów, tego hetmana, tego posła, których nam gwałtem z największą narodu wzgardą, z pośrodka nas wzięto i wywieziono. Ci wielcy ludzie jęczą z poniżenia i niewoli, tej nawet nie będą mieli pociechy, że ich wspaniałość i męztwo przykład cnoty narodowi zostawi. Nie doczekamy się posiłków, nie obaczymy pomocy, któż się za nami udawać zechce? Któż cały ciężar obrony na siebie przyjmie? Komuż się na co przydać może naród słaby, nieszczęśliwy, w którym wiara, wolność, honor, wzgarda uciemiężenia i rozpacz, słabe tylko wzbudza zamachy i próżne narzekania? Potrafimy może wyżebrać

sobie pozór tej niebezpiecznej protekcyi, za którą zawsze rozkazy chodzą i która jednostajnie wolność zdradzała, rozbudziwszy może to jakiekolwiek pożałowanie, które tak blizkie jest wzgardy, że myśleć o niem bez żalu nie można, ale nigdy sprawiedliwych nie zaciągniemy względów, nigdy zrównani z inszymi nie zobaczymy się narodami. Nastąpią traktaty, — niezgodzie sąsiadów winni będziemy jeżeli co nie stracimy, jeżeliśmy do nich pomogli. Trzeba więc Skonfederowane Stany, za najgruntowniejszą przyswoić sobie maxymę, że pierwszy nasz cel, pierwsze nasze staranie być powinno, wzmocnić waleczny nasz naród, że tym jedynie sposobem staniemy się strasznymi naszym nieprzyjaciołom i należyte ojczyźnie naszej dopiero wtenczas ubezpieczymy względy. Żarliwość i wiary św. miłość, wolność, chciwość chwały, nienawiść zemsty i rozpacz nawet, nie są to słabe sprężyny, kiedy je umiejętna chce zażywać ręka. Toć te chwalebne, gwałtowne chucie nieraz świat wzburzyły i odmieniały postać narodów. Chciejmy tylko Skonfederowane Stany, chciejmy usilnie i jednostajnie zażywać tych środków, które nam cnota narodu i obszerne kraje nasze podawać zdają się. Starajmy się wynaleść i ubezpieczyć sposoby pewne i nieomylne, któremi byśmy nagrodzić mogli stanu rycerskiego odwagę, cnotę tej szlachty, która się najprzód porwała, która się mimo płatnego wojska nieprzyjacielowi opiera, która wolność i wiarę nad swobody spokojnego życia, nad pożytki nieprawości statecznie przekłada. Ale nadewszystko trzeba Skonfederowane Stany wnijść nam do kraju, poprzysiężonym obowiązkom i prawu zadosyć uczynić. Wtenczas dopiero zlęknie się tyran i słusznie dotąd reprezentowana obojętność, blaskiem cnoty i najwyższej powagi przytłumiona zgaśnie. Ci ludzie bez dostatecznej siły, bez pomocy, a dotąd prawie i bez nadziei, odważają się z nieprzyjacielem walczyć, umieją mu się opierać i ustawicznie na śmierć patrząc, tą sobie dla miłości wiary i ojczyzny, mniej już ważą. Ci ludzie powinni zupełnie nasze pozyskać zaufanie. Ci mogą jedynie, dokładnie, prawnie i bezpiecznie najwyższą narodu zafundować juryzdykcyą. Ten krok narodowi przyniesie pożytek. Wam zaś Skonfederowane Stany i pierwszeństwu waszemu, nic ująć nie może. Już albowiem ogłoszenie bezkrólewia wszelkie w tej mierze uspokoiło powątpiewanie, dwory już Was uznają, naród już Was kochać, wielbić i szanować powinien.

Te są wierne i słuszne rady moje, które miłość Ojczyzny i czasu potrzeba, po mnie wyciąga. Spodziewam się, że za dobre, rzetelne i przyzwoite uznać je będziecie raczyli. Jeżeli się zaś

w nadziei mojej mylę, odwołuję się na czas, na świat i na potomność. Żądanej odemnie akcyi do bezkrólewia, lubo mi się nader potrzebnem być zdaje, (nie posyłam?), gdyż przystąpienie do generalnej konfederacyi w Białej, o nieodstępności mojej dosyć upewnia. Dwory zaś wszystkie o niej w tej okoliczności wątpić nie mogą. Jednakowoż jeżeli przeszłe i teraźniejsze listy moje dosyć jeszcze dowodów nie dają, proszę porządnego formę przysłać mi akcessu i jeżeli ułożenie jego, senatorom i ministrom żadnej nie czyni krzywdy, — podpisać go i odesłać jak najprędzej nie zaniedbane.

VII.

Dalsza organizacya sił zbrojnych konfederacyi. — Obrona Częstochowy. — Delegaci Generalności u Wessla. — Listy Dzierżanowskiego. — Dumouriez. — Relacye o nim. — Korespondencya Wessla z Gomulińskim (w marcu 1771 r.). — Projekt przeniesienia się Generalności do kraju. — Bitwa pod Lanckoroną. — Korespondencya Dumouriez'a z Wesslem. — Sprawa pojednania Wessla z biskupem Krasińskim. — List Paca (2. sierpnia) i odpowiedź Wessla. — Relacye Dzierżanowskiego. — Przyjazd Viomenila do Cieszyna. — Memoryał Wessla. — Lasocki. — Koniec konfederacyi. — Reces Wessla.

W ciągu zimy z 1770 na 1771 rok. Generalność usilne czyniła starania, aby stosownie do nakreślonych planów, powiększyć siły konfederacyi. Domouriez wraz z komissyą wojskową, wyznaczoną z łona Generalności, przygotowywał nową kampanię, a liczne oddziały konfederatów, rozłożone wzdłuż granicy nad Wisłą, ochraniały miejsca obozowe, stopniowo fortyfikowane przez inżynierów francuskich. Inne zaś komendy, po różnych województwach rozrzucone, z różnem szczęściem podtrzymywały walkę. Obrona Częstochowy przez Pułaskiego, podniosła znacznie ducha konfederatów, to też sklecona w Warszawie, tak zwana „Rada patryotyczna,“ po której tak wiele sobie obiecywano, nie przyniosła spodziewanych korzyści. Może więcej szkody sprawom konfederacyi wyrządziły uchwały Generalności przeciw królowi i pamiętny akt ogłaszający bezkrólewie, które wahającego się monarchę ostatecznie rzuciły w objęcia Rossyi.

Z owego atoli czasu, bardzo niewiele przechowało się pism w tekach Wessla. A przecież wątpić nie można, iż w obce wzna-

gających się na razie sił konfederacyi, w obec rozbudzonych nadziei przez przybycie oficerów francuskich i głoszonych zapewnień o posiłkach zewnętrznych, — podskarbi czynniejszym być musiał. To też nieodżałowana szkoda, że spuścizna piśmienna po Wesslu, z owych dwóch lat, w ciągu których tyle przeważnych zaszło wydarzeń, nie doszła do nas w całości, zaledwie w urywkach tylko. Podamy więc w niniejszym rozdziale to co się odnaleść dało, ale bez ciągłości jak dotąd, a często z pominięciem opisu faktów większego znaczenia, w których przecież musiał brać udział.

O obleżeniu Częstochowy przez Drewitza, które zwykle we wszystkich sprawozdaniach, tak szeroko bywa opisywane, tutaj znajdujemy tylko wzmiankę w liście Walewskiego, konsyliarza sieradzkiego, do Wessla, z dnia 4. stycznia 1771 r.: „Dziś w drodze — czytamy tutaj, — odebraliśmy wiadomość, iż w poniedziałek po południu, podstąpiła Moskwa pod fortecę, zaczęła w mieście będących atakować, lecz im nic nie zrobiła. We wtorek nasi wszyscy poszli do fortecy i lejb-regiment. Moskwa weszła w miasto i przez ten dzień cały straszny szturm trwał i w nocy, lecz nic nie zrobili. Nasi z fortecy miasto z Moskwą zapaliwszy, wycieczkę z boku zrobili, gdzie Moskwy dosyć padło. We środę Moskwa św. Barbarę opanowała, którą nasi opuścili i szturmują, lecz nie wiemy co się tam dzieje, jak prędko co odbierzemy, zaraz doniosę...“

Z listu znów Chomentowskiego (z dnia 8. lutego), dowiadujemy się, że komendy rossyjskie w lutym dążyły znów pod Częstochowę. „Moskwa znowu poszła ku fortecy. Drewitz dnia onegdajszego stał w Pilicy. Lange w Woli Walewskiego. Ciepielow w Żarnowcu. Od Wielkiej Polski również druga kolumna ciągnie. To szczęście, że pozwolili fortecy uprowidować się, która teraz ma wszystkiego pod dostatkiem i przynajmniej pół roku bronić się może.“

Pod tę porę, delegaci od Generalności, zjeżdżali do Wessla dla uzyskania odeń akcessu do ogłoszonego aktu bezkrólewia. Wspomina o tem Dzierżanowski pisząc do Wessla z Proszowa (9. lutego), przyczem porusza wiele innych spraw bieżących, a między innemi projekt oddania komendy nad wojskiem Suffczyńskiemu, kasztelanowi czerskiemu, w zastępstwie Joachima Potockiego, przebywającego w Turcyi.

„Spodziewałem się, — pisze marszałek gostyński, — że moje przestrogi względem delegatów, swój skutek odbiorą, i że JW. Pan na ich chytre reprezentacye, tak prędko i bez zniesienia się z innymi senatorami do akcessu bezkrólewia nie przystąpisz, mając najsprawiedliwszy pozór dla siebie, że nie oni, ale JW. Pan zawsze ich do tej czynności pociągałeś. Swiadkiem jest jurament do Gabułtowa nam przysłany, a teraz w archiwum generalnej kancelaryi złożony, tam JW. Pan najpierwszy podpisany jesteś. Dowiedziałem się tu partykularnie, że któryś z delegatów prywatnie pisał, że musiał we wszystkiem podlegać, aby JW. Pana do żądań Generalności nakłonił i tę przestrogę daje, żeby się teraz w niczem nie sprzeciwiać, a na dalszy czas urazę, którą pretendują nieść, w rezerwie zachować. Nasłuchałem się tu już niemało wymówek od kasztelana czerskiego, i od ordynata, nie wiem co jeszcze Dukla powie, która przecie, przez swój obrót, w spokojności od Moskalów zostaje, pani generałowa zaś w Krystynopolu, na weselu starosty szczurowskiego z wojewodzianką kijowską znajduje się, i tam zapewne o jednomyślności JW. Pana z niemi opowiedzieć nie zaniedba. Lubo to teraz powiadają, że nie wiedzą: po tym pośpiechu JW. Pana do akcessu, czego się trzymać, w kole także między przyjaciołmi, sprawiło to nieco impressyi, bo każdy się spodziewał, że przy opieraniu się JW. Pana, wszystko łatwiej na przeciwnych w kole przyszło by było wymódz, gdyż JW. Pan byłeś tutaj u nich w największej konsyderacyi, i teraz tak kontenci są, że wszędzie do Polski akces JW. Pana rozsyłają. Także p. Dumouriez do Francyi go posłał. A na projekt JW. Pana, który był mocno poparty przez JW. wołyńskiego, pan Pac z Boluszem jeździli umyślnie do księcia starosty rzeczyckiego, aby ten podał do koła projekt przeciwny, z ich kompozycyi, — co też nastąpiło, i jeszcze na dzisiejszej sessyi będzie o to kłótnia, a co wyniknie, przez p. Wysockiego doniosę. Zjechał tutaj starosta smotrycki, ten wcale dotąd z nami trzyma, dobrzeby i do tego napisać. Biskup kamieniecki pisał tutaj, aby mu Generalność *credentiales* do Paryża przysłała, snać spodziewa się, że skuteczniej jak JW. kuchmistrz interesa ojczyzny traktować będzie. Ułożyliśmy tutaj projekt na przemoc w kole panującą, którą JW. Gomuliński lubo zdradą nie nazywa, jednakże ta, przez podłość wielu i podległość, wolnemu narodowi absolutne i szkodzące może uknuć prawa. JW. kasztelan czerski podejmuje się objąć komendę nad wojskiem, byleby JW. Pan mógł nakłonić JW. Walewskiego, aby się z nim łączył, a tutaj się staramy żeby Radziwiłł dał wszyst-

kich swoich ludzi pod jego komendę, a ordynat 600 leśnych lub strzelców. Pieniądzmi starosta stężycki chce suplementować na początek. Ja z nim ruszę w pole i wielu innych, w kole zasiadających. Wsparcie będziem mieli skuteczne od wielu i okazałość w ojczyźnie będzie większa, gdy senatora będą widzieć w polu, a zwłaszcza mającego miłość w wojsku. Oczekujemy jak najprędzej w tej mierze rezolucyi JW. Pana, a gdy ten projekt do skutku przyprowadzimy, doznasz JW. Pan, że każdy naszą wolą chodzić będzie musiał. — Zagrzewasz mnie JW. Pan, ażebym w kole zasiadał, niech mi sprawiedliwość przynależytą uczynią, to natenczas bez podłości będę mógł to zrobić, ale bądź JW. Pan wyperswadowany, że więcej robię niż gdybym zasiadał. Do JW. Puławskiego niewiem w jakim sensie mógłbym pisać, bom dosyć jego przyjaźni szukał na perswazyą JW. Walewskiego, kiedym przez preferencyą dopominał się, aby moich kilkuset ludzi z jego obozem byli złączeni. Rozgniewałem na siebie przez to pana bełzkiego, a pan Pułaski, nie kontentując się moją przychylnością, jeszcze mi resztę rekrutujących się zabrał i oficerów. Zdałoby mi się, że popełniam podłość, okazując uniżoność moim prześladowcom. Nabili teraz głowę Pułaskiemu buławą, obiecując ją, byle był posłuszny Generalności. Dla młodego człeka, przy szczęściu, jest to niemały powab i swój skutek odebrał, bo czego pierwej nie czynił Pułaski, to teraz punktualnie do Generalności raporta przesyła...“

Nieco później tenże Dzierżanowski donosi Wesslowi (16. lutego): „Pieniądze z Francyi 6.000 dukatów, stanęły w Wiedniu i pan Dumouriez jutro wyjeżdża po nie. Powiadają zaś, że niema powrócić. Dla księcia kurlandzkiego przyszło także z Francyi 2.000 dukatów, według jego żądań, aby mógł w Preszowie przy Generalności figurować.“

Wyrażone tu przypuszczenie, że Dumouriez mógł z Wiednia nie wrócić, zasadzało się może na nieporozumieniach, które od pierwszej chwili wynikły między wysłannikiem francuskim a marszałkami konfederacyi. Podania zebrane w pamiętnikach, które Dumouriez spisywał na schyłku życia, przedstawiają w rzeczach dotyczących Polski, dziwną mieszaninę prawdziwych i zmyślonych faktów, — wszędzie zaś w czarnych barwach maluje Polaków, wytyka niezaradność Generalności, chciwość komendantów pojedynczych oddziałów, — ogólną niezdolność narodu do zapasów wojennych. Za to, zawsze na pierwszym planie siebie wystawia, sobie wyłączanie przypisuje wszystko co tylko pod tę porę podno-

siło ducha i znaczenie konfederacyi, zarówno w zakresie spraw wojennych, jak też w toku obrad Generalności. A gdy po długich przygotowaniach, zaraz na pierwszym wstępie, hufce konfederackie, prowadzone podług planu Dumouriez'a, zupełną poniosły klęskę, — dotknięty w swej ambicyi, chcąc ochronić się od zarzutów i odpowiedzialności, winnymi czynił wodzów polskich, miotając na nich oszczerstwa. Zła wiara Dumouriez'a w zostawionych przezeń relacyach, ogólnie jest potępioną. „Nadęty ten awanturnik — pisze Szujski, — nie szczędząc Polakom potwarzy, czyni się w sprawach konfederacyi ogniskiem wszystkiego... Absolutny i grubiański, oburzył on lepiej od siebie wychowanych Polaków, przeoczył naturę i siły konfederacyi a uroiwszy sobie wielkie dzieła, rozczarowanie nie sobie, ale brakowi odwagi i dzielności polskiej przypisywał..." [1]) Z wielu źródeł okazuje się, że zaraz po przybyciu Dumouriez'a, nastąpiły nieporozumienia, a arbitralność jego odstręczała wielu, — tem bardziej, jeżeli na uwagę weźmiemy słusznie wytykany zawsze brak karności wśród wojsk konfederackich i zupełną niezależność wodzów. Usilne atoli zabiegi biskupa Krasińskiego, Paca, księżnej Kurońskiej i wielu innych osób, wstrzymywały wybuchy tych nieporozumień. Marszałkowie, należący do stronnictwa Wessla, najwięcej okazują powolności dla wysłannika francuskiego, — snać mieli polecenie iść mu w ład we wszystkiem, a sam Wessel często się znosił z Dumouriez'em i ciągłe o nim odbierał relacye.

W kwietniu 1771 r., po dokonaniu jako tako prac organizacyjnych, Dumouriez wyjeżdżał do Polski. Przed odjazdem miał zajechać do Cieszyna, dla widzenia się z Wesslem, w ostatniej atoli chwili zmienił ten projekt i prosto do wojska odjechał, co różne wywołało przypuszczenia. W owej to porze, Walewski, konsyliarz sieradzki, pisał do Wessla (11. kwietnia):

„...Sentyment Dumouriez'a, jaki jest w niniejszych negocyacyach, opowie JW. marszałek nadworny, gdy jest zupełnie odemnie o nim informowany; zdaje się w każdej okoliczności w myśli nasze wpadać, z tem wszystkiem przezorności nie zaniedbany. Że traktu nie obrócił na Teszyn i o tem uwiadomiony JW. marszałek. Życzy sobie koniecznie, a i my nasze łączymy życzenia,

---

[1]) Szujski, Dzieje Polski, IV. 469.

abyś JW. Pan wyjechał w własny kraj do nas i o to chce pisać: jest to rzeczą nader potrzebną, jednakże ten miesiąc, lepiej że się postara o pewniejsze osób bezpieczeństwo. Radbym bardzo, gdybyś JW. Pan mógł z nim pogadać w teraźniejszych okolicznościach, myślę, iżbyś go sądził za człeka bez wszelkiej prewencyi, coraz jednak dalej postępując z nim w projektowania, zda mi się, że istotnie da się poznać."

W tymże liście Miączyński, marszałek bełzki, późniejszy przyjaciel Dumouriez'a, dopisał:

„Namieniony w liście JW. Walewskiego Francuz, w samej rzeczy dość nam się zdaje powolnym, wiele nam nadziei w pomyślności czyniący. Daj Boże, by dalej tak było, my zaś starać się będziemy, byśmy w tej porze, jak teraz jest, utrzymywali Dumouriez'a, żadnej podłości z hańbą narodu nie czyniąc. Wysyła tenże dzisiaj kuryera do dworu swego, gdzie wychwala dosyć wojsko nasze, nad mniemanie swoje tak piękne i porządne zastawszy... ...Żądania swoje względem przyjazdu JW. Pana z prośbą JW. konsyliarza łączę..."

O odjeździe Dumouriez'a i towarzyszących mu członków rady wojennej, oraz w innych okolicznościach pisze do Wessla z Białej Chomentowski pod datą 17. kwietnia:

„W niedzielę rano, wyjechali ztąd wszyscy dla zlustrowania miejsc niektórych i opatrzenia brzegów Wisły, które Dumouriez chce ubezpieczyć. Będą i pod Krakowem, chcą most rzucić i bateryę usypać na Krzemionkach, a to dla Wieliczki, by się można bezpiecznie rozrządzać i koło czwartku powrócą tu. Spodziewać się potrzeba wielu pomyślności, jeżeli kochany Francuz tak będzie czynił jak mówi, ale wątpić o tem nie trzeba. Nasze kochane panięta pilnują się bardzo dobrze, między nimi Walewski najwięcej się dystynguje, i choćby ci dali się w czem podejść, to ten ich utrzymuje. Nadzieja przyjazdu pańskiego wielce ich kontentuje, wszyscy okrutnie obligowali na wyjezdnem, abym powtórnie pisał, żeby JW. Pan wyjechał, mówiąc, że my czasem nie przez złość, ale przez niewiadomość moglibyśmy coś złego i niepożytecznego dla narodu zrobić, a jak Pan będzie, to znając już tak dokładnie interesa, przez konfidencyą, którą JW. Pan mieć będziesz z tym Francuzem, będziesz ich we wszystkiem informował. Listy pańskie do nich zaraz przez umyślnego posłałem, chcąc ich jak najprędzej sprowadzić i jak tylko tu staną, tego momentu

daję Panu znać. Starościna w nadziei pozwolenia pańskiego. po wyjeździe wojewodziny, wyprowadziła się do dworu. List pański wczoraj pokazywałem jej. nie wie tedy czy Pan, przyjechawszy na Bilsko, zaraz wyjedzie do Polski, chciej tedy JW. Pan uwiadomić mnie o tem, bo by się zaraz wyprowadziła i teraz by to zrobiła, tylko reperują kamienicę, w której stała...“

Kazimierz Pułaski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

późniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

(Ciąg dalszy.)

20. 7-bris. Rano posyłałem do JP. Grafa de Dolna pierwszego posła Pruskiego o naznaczenie godziny, i o dziesiątej jachałem do niego, gdzie u karety trzech kawalerów mię przyjmowało i prowadzili na górę, gdzie sam J. P. Dohna u wschodów przyjmował i w pokoju krzesło dał na wyższym miejscu. Po oddanym liście Króla Jm. i uczynionym wzajemnym komplemencie, gdy commissa ustnie opowiedziałem, wyszedłem i do wschodów J. P. Poseł odprowadzał, a czterech kawalerów aż na dół, do karety prowadzali i czekali aż się z miejsca ruszyłem. Po obiedzie byłem na konferenciey u Monsignora Albaniego i z Xdzem Salernem.

21. 7-bris. Rano Królewic Jm. jachał w pole ku Hanau, jam zaś został się dla oddania wizyt jeszcze niedokończonych, u Millorda Peterborouga, posła Angielskiego, który dla ujścia ceremoniałów nie wziął tego charakteru (jako się już pod datą

18. 7-bris). Królewic Jm. powrócił wieczorem z pola, ubiwszy pięciu zajecy, których ludzie z chrostu wyganiali i sześć kuropatw w lot. Tegoż dnia przysyłał do mnie le Comte Schönborn, brat Elektora Jm. Moguńckiego, chcąc mi oddać wizytę, ale mnie umyślny, co przychodził z opowiadaniem, nie zastał.

22. 7-bris. Rano przysłał do mnie Monseigneur Albani kawalera swego, prosząc, aby mógł być incognito u Królewica Jm. przed objadem, chcąc być pierwej u mnie, a odemnie iść do Królewica, co gdy sprawiłem, więc o dziewiątej rano kazał się przynieść w lektyce, przeciwko któremu wyszedłem i wprowadziłem go do mego pokoju, potym gdy Królewic Jm. był ubrany, prowadziłem go do Królewica, który wyszedł przeciwko niemu do wschodów i rękę mu dając et passum et titulum Excelentiae, wprowadził go do swego pokoju, gdzie było krzesło na wyższym miejscu postawione, ale usieść nie chciał: i tak stojąc uczynił komplement, gdzie i ja z nim byłem, i zabawiwszy się blisko pół godziny retyrował się, i Królewic Jm. wyprowadzał go do wschodów, czyniąc minę, jakoby chciał na dół schodzić, ale go zatrzymał; ale trzech Kawalerów Saskich, co natenczas ich zwołano i Mr. Morteisen sprowadzili go na dół. Jam go chciał na dół sprowadzać ex quo pierwej był u mnie, ale mi nie dopuścił. Tegoż dnia Millord Peterboroug był u Królewica Jm. w kompaniej z Ablegatem Hollenderskim avec Mr. le Comte de Rechtern. Wychodził przeciwko niemu na dół Mr. Morteisen i także sprowadzał go na dół. Przed wieczorem był Królewic Jm. u Grafa de Hanau, co ma Xżniczkę Saską de Weissenfeldt za sobą. Wieczorem ja sam byłem na Assemblée u Xżnej de Nassau Husing, potym na kołacyą jachałem do J. P. Barona de Frisen, gdzie już Królewica Jm. zastałem. Późno w nocy powróciliśmy się do gospody. Tegoż dnia witali Królewica Jm. Mr. le Comte Papenheim Dojen de Majence, et Mr. le Comte Waldeck.

23. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. Breitlach Majeur General Xżęcia de Darmstadt, Mr. Baar Kawaler de Hesse Cassel, Mr. Erff syn Generała Erffa, co już był u Królewica, Mr. Berlinger Capitaine des Grenadiers et Gentil'homme de Chambre Xżęcia Margrafa de Bareith. Po objedzie byłem u Grafa de Hanau, chcąc mu wizytę oddać, ale go nie zastałem. Posyłałem także chcąc być u J. P. Meckera, drugiego posła Palatini Rheni i do JP. Schradera, drugiego posła Elektora Hannowerskiego, ale obadwaj cały dzień u siebie nie byli. Wieczorem byłem z Królewicem Jm. na assemblée u Jej M. P. Grafowej de Wartemberg.

Tegoż dnia przed wieczorem przyjachał do Frankfortu Xże Jm. Phaltzgraff, to jest Elektor Palatinus Rheni: ale nie czynił wjazdu solennego, tylko dwieście gwardiej konnej było z nim w barwie granatowej z galonami srebrnemi. Stanął w pałacu pewnym w ulicy Wielkiej, Ceilen nazwanej.

24. 7-bris. Ponieważ Mr. le Comte de Hanau proponował Królewicowi Jm. łowy u siebie na jelenie, (gdyż w tym czasie zwyczajnie bywa rój ich), więc rano o szóstej przyjachał do Królewica Jm. i zaraz Królewic Jm. usiadł z nim do karetki, a ja z p. Miltizem i z p. Morteisenem jachałem w karetce Królewica Jm. i jachaliśmy trzy mile od Frankfortu z drugiej strony Maenu, przez most do miasta nazwanego Bobenhaus, należącego do Grafa Hanau, gdzie jest zamek i rezydencya tegoż Grafa. Tam za półtrzeciej godziny stanąwszy, zastaliśmy kompanją na też łowy zaproszoną, to jest dwóch Grafów de Waldeck, Grafa Szliwena i Grafa Papenheima, co jest Mareschalcus Haereditarius Imperii i kilku było Kawalerów z Dworu Grafa Hanau. Po wczesnym objedzie jachaliśmy pół mile od miasta w lasy, gdzie parkany stawiono i otoczono knieję z kilkadziesiąt jeleniami, łaniami i sarnami. A osobliwy plac był, gdzie buda we szrzodku była z chrostu zrobiona, tarcicami kryta, w której siedzieliśmy, mając strzelby sztuk kilkadziesiąt. W knieję samą puszczono między parkanami ogary i ludzi było więcej niż trzysta, którzy obławą idąc i kołacząc młotkami drewnianemi w deszczki, naganiali zwierza do placu, gdzieśmy w budzie siedzieli także parkanem i siecią potężną otoczonego. Tam tedy w tym placu zabiliśmy jeleni pięciu, łań sześć i sarn młodych ze staremi siedmnaście, co uczyni ze wszystkiem zwierza sztuk 28. Jam sam zabił jeleni dwóch i łań trzy. A że wieczór nastąpił a zwierza jeszcze nie mało w kniei zostało, więc zostawiono parkany i wartę przy nich na noc a sami powróciliśmy się nazad do Zamku Bobenhaus, gdzie przenocowawszy.

25. 7-bris. Rano na pół do czwartej jachał Królewic Jm. z grafem Hanau, Pan Miltiz z nim i Morteisen, w inszą stronę do lasu na ryk jeleni, ale że czas był ciepły, nie wiele ich słychać było i nie trafił się żaden do strzelania. Ja zaś z Grafem de Waldeck i z Grafem Szliwenem jachałem do parkanów, gdzie psy i ludzi w knieję puszczono, już do tego placu, gdzie była buda nie naganiając. Aleśmy się rozstawili z rusznicami w kniei do strzelania przed psami, gdzie zabiliśmy w trzech godzinach jeleni trzech, łań i sarn siedm, wszystkich sztuk dziesięć. Piąciu

zaś jeleni przeprawszy sztukę parkanu rogami, przebiło się i uszło. Jam tego dnia zabił jelenia i łanią, a druga łania z postrzałem uszła. Potym przed połudnием powróciliśmy się do Bobenhaus, gdzie zjadszy objad wczesny, rozjachaliśmy się. Graf Hanau z inнеmi gośćmi powrócił do Frankfortu; a my z Królewicem Jm. w Darmsztadzkie Xtwo na polowanie także na jeleni, gdzie Mr. Utrot Grand Veneur du Prince Hesse Darmstadt umyślnie był zjachał i w lasach do strzelania budy przygotować kazał. Stanęliśmy tedy o czwartej po południu w mieście małym Eberstadt do Darmstadt należącym, pięć mil od Frankfortu, jeszcze mila za Darmstadt ku Rhenowi, tylko co stanęliśmy w gospodzie, zaraz zaprzężono kolasę pewną polową, na której blisko dziesięciu ludzi wieźć się mogło, który pojazd i cug koni Xcia Landtgrafa de Hesse Darmstadt umyślnie na to sprowadzono, i kompanją piechoty dla warty z Darmstadtu Commendant General Szrautenbach zesłał. Jachaliśmy zaraz w lasy bliskie tego miasteczka, gdzie pour la chasse forcée drogi różne krzyżowe po całym lesie porobiono, gdzieśmy chodzili piechotą do trzech bud, jedna jest murowana i gankiem do niej idzie się kopanym i podmurowanym między wzgórkami, a dwie z chróstów były zrobione. Gdzie tylko łanie na placach przed budami zastaliśmy, do których się nie strzelało dla tego, żeby jeleni nie płoszyć, których szukaliśmy. Ale że wieczór nastąpił, powrócilismy do Eberstadt. — Z tychże lasów i pól widać kraj z drugiej strony Rhenu, do którego ztąd tylko trzy godziny, i miasto Openheim nazwane do Elektora Phaltz Grafa należące, na drugiej stronie Rhenu leżące dobrze widzieć może. Nad tymże miasteczkiem Eberstadem jest na górze wysokiej zamek Frankenstein zwany, na górze sławnej Melio bocus w historyach nazwanej, widzieć może Szpirę, miasto dziesięć mil z tego miejsca nad Rhenem, gdzie teraz Xże Eugieniusz de Sabaudia z wojskami koligackiemi przeciwko Francuzkim stojał. Ale że na tę górę wjazd bardzo przykry, nie wjeżdżaliśmy do tego zamku, ale tylko mimo tej góry jachaliśmy.

26. 7-bris. Rano w pół do czwartej jachaliśmy tymże co i wczoraj powozem do tego lasa, gdzieśmy ryk różnych jeleni słyszeli i najpierwej budy nawiedzaliśmy, potym jeździliśmy krążąc po lesie. Ale że był popłoszony zwierz przed kilką niedziel polowaniem Elektora Jm. forsującym na tymże miejscu i srodze był dziki, nie przyszło tylko raz do strzelania i to jeleń z postrzałem uszedł. Z tych kniei jachaliśmy prosto do miasteczka Hiero mimo miasta Darmstadt ku Frankfortowi, gdzie inne są

knieje na jeleni. Tam zjadszy obiad, jachaliśmy zaraz do lasu i na tymże powozie zjeżdżając powoli jeleni do trzech strzelił Królewic Jm., jednego co największego zaraz na miejscu zabił, a drugie dwa uszły z postrzałem, których strzelcy nazajutrz szukać mieli. Ztamtąd powracaliśmy prosto ku Frankfortowi, gdzie jadąc jeszcze przez lasy Darmstadtskie pod sam wieczór dzika blisko drogi trafiliśmy, do którego strzelił Królewic Jm., ale z postrzałem nachramując uszedł w lasy. Powróciliśmy do Frankfortu na pół do dziewiątej w wieczór, gdzie brama była zatrzymana z rozkazu Praezydenta, do ktorego się prosząc o to posyłało.

27. 8-bris. Rano witał Królewica Jm. Mr. Szrautenbach, syn Generała Commendanta z Darmstadt. Po objedzie przed wieczorem byłem na Conferencjej u Monseigneura Albaniego, i z J. Xdzem Salernem.

IX.

Elektorowie i ministrowie. — Izba elektorska. — Różne wizyty. — Ceremonia dworska u stołu. — Przysięga Magistratu, komendanta wojska i mieszczan na rynku. — Extranei. — Pojmanie szpiega francuskiego.

28. 7-bris. Rano o dziewiątej jachałem przed Remer dla widzenia zjazdu Elektorów i Ministrów a osobliwie Electoris Palatini Rheni, który pierwszy raz na sessyą jachał. Szło tedy najpierwej gwardiey pieszo 30 w modrych sukniach z galonami srebrnemi, potym kawalerów szło 60 i oprócz tego kawalerów Magni ordinis na wstędze czerwonej było 8. Za tymi kawalerami szło hajduków z węgierska 10 pod piórami, potym lokajów 30. Za lokajami dopiero szła kareta wielka bogata pozłocista wewnątrz na axamicie karmazynowym haftowana i sam Imperiat spodem i z wierzchu haftowany, sześcią końmi, w której sam Elektor Jm. siedział i przy karecie Szwajcarów z wielkiemi brodami, bogato przybranych szło 12. Za karetą szło officerów w modrych sukniach z galonami złotemi 6. Za officerami trębaczów 6. Za trębaczami gwardiey szło 100. Wszyscy lokaje, woźnice, trębacze w liberiey modrej z galonami srebrnemi suto szamarowanej. Tylko sami Kawalerowie byli jeszcze w czerni dla żałoby publicznej. Tegoż dnia byłem chez Mr. Mellorede Envojé de Savoye z wi-

zytą, także byłem u Millorda Peterboruga, który natenczas chorował. Także byłem u Grafa Szliwena. Po obiedzie posyłałem Sekretarza mego chez Mr. Diamentsztein, co jest wielkim Podkomorzym u Elektora Jm. Palatini Rheni, prosząc o audyencyą i naznaczenie godziny u Elektora Jm. Ale że tego dnia blisko trzeciej z południa wyszli z konferenciey z Remer, niżeli się objad skończył, a potym Elektor Jm. Moguncki był z wizytą solenną u Elektora Rheni i skoro ta wizyta skończyła się, zaraz miał Królewic tam jachać z wizytą, więc lubobym mógł mieć audyencyą po Królewicu Jm., ale że już późny czas w noc następował, odłożyłem tę audyencyę do dnia jutrzejszego. Tegoż wieczora Królewic Jm. był na kolaciey u JP. Barona Frisa, a ja byłem u JP. Barona de Hagen i wcześnie nazad powróciłem, a Królewic Jm. późno w nocy. Tegoż dnia (jakom już nadmienił) był Królewic Jm apud Electorem Palatinum, zaraz po wyjeździe ztamtąd Elektora Jm. Moguncbiego. Jak Królewic Jm. przyjachał i wszedł na górę, w pierwszym pokoju przed antykamerą przyjmował go Mr. Diamantsztein Grand Chambellan Elektora Jm. i prosto wprowadził go do Elektora, który do progu wyszedł: jak Królewic Jm. wszedł do pokoju, drzwi zamknięto, a Mr. Miltiz z innemi został w antykamerze. Tymże sposobem Królewic Jm., gdy odchodził zabawiwszy się blisko quadransa, Elektor Jm. odprowadzał go do progu, a Mr. le Grand Chambellan do drugiego pokoju. Na dół nicht nie sprowadzał. Jam nie był z Królewicem Jm.

29. 7-bris. Posyłałem rano mego Sekretarza do JP. Diamantszteina, Wielkiego Podkomorzego Elektora Jm. prosząc o audyencyą i godziny naznaczenie, który te rano na jedynastą naznaczył. Więc na godzinę naznaczoną jachałem i zaraz Mr. Diamantsztein, który był w antykamerze, wprowadził mię do Elektora Jm. Phaltzgrafa, który do progu samego wychodził, po uczynionym komplemencie i diskursie blisko pół godziny, że już dochodziła dwonasta, a jeszcze nie był w kościele Elektor Jm. odłożyłem commissa publica do inszego czasu, (co mi na wolę dał Elektor Jm., abym przyjachał kiedybym chciał), retyrowałem się i do progu mię także odprowadzał Elektor Jm. a Mr. Diamantsztein przez Antykamerę. Potym jachałem do kościoła Cathedralnego, gdzie był na mszy Elektor Jm. (ex quo było święto S-o Michała) dla słuchania muzyki wyśmienitej osobliwie Włochów, śpiewaków Elektora Jm. Wieczorem byłem z Królewicem Jm. na assemblée u Grafa de Hanau, gdzie wszystka kompanja była zgromadzona.

30. 7-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. le Comte de Brockdorff. Mr. Zorn Colonel de Saxe Gotta. Mr. Hotten de Majence. Mr. Obdam, co był Generałem w Hollandiey. Jachałem z Królewicem Jm. na objad do JP. Grafa de Hanau. u stołu siedziało osób 18. to jest Królewic Jm. Xżna Grafowa i sam Graf de Hanau. Xżna de Hesse Hombourg. Xżna Grafowa de Waldeck, Xiężniczka Saska Weissenfeldt, Xżniczka Saska de Salfeldt. siostra Xżnej Grafowej de Hanau. Xżnczka de Hesse Hombourg. Grafowna de Waldeck Abbatissa de Czaken w Westphaliey, Grafowa de Waldeck druga. Madame de Hanau. siostra Grafa de Hanau Madame Gieiling, której mąż jest Conseiller du Duc de Wirtemberg. Ja. Mr. Miltiz. Mr. Morteisen. Dwoch Grafów de Waldeck i Mr. le Baron de Einhausen. Po objedzie jachaliśmy z tą całą kompanją na promenadą zwyczajną nad Maenem, po której znowu powrócilismy się do Grafa Hanau na Assemblée i tam w kompaniey aż późno w nocy bawiliśmy się. Tegoż dnia Alphonse, Camerier Króla Jm. powrócił z Pomeraniey od Króla Jm., którego ztąd 22. Augusti expediowaliśmy z listami pilnemi.

October.

1. 8-bris. Ponieważ był dzień urodzenia króla Carola Hiszpańskiego, więc u Elektorów Jm. Trewirskiego jako brata ciotecznego rodzonego i Faltzgrafa jako wuja rodzonego, był dzień ten de Galla, to jest że wszystek Dwór w sukniach jasnych i bogatych był przybrany. Więc rano posyłałem Sekretarza mego do JPana Diamentszteina, najwyższego Podkomorzego Electoris Palatini Rheni. prosząc o audyencyę, także do J. Pana Plankenheima najwyższego Podkomorzego samej Elektorowej Jm. Phaltzgrafowej, prosząc o osobliwą audyencyę, którą na godzinę pierwszą po południu naznaczyła, a Elektor Jm. szóstą ku wieczorowi. Jachałem tedy przybrawszy się w suknie jasne do Elektorowej Jm., z domu córki Xżęcia Florenckiego: gdym przychodził do Antykamery, przyjął mię JPan Plankenheim, Najpierwszy jej Podkomorzy, który skoro opowiedział Elektorowej Jm. zaraz drzwi otworzyć kazała i wszedłem według zwyczaju, trzy czyniąc ukłony, pókim się do niej nie przybliżył, która stała pod baldachinem przy stole; a la Grande Gouvernante stała zdaleka przy drzwiach pewnych pobocznych po prawej ręce w tymże pokoju. Po uczynionym komplemencie pytała się nie mało o dispozicyach Króla Jm. respektem

Królewica Jm. i o innych naszych polskich transakcyach. Po diskursie blisko godzinnym retyrowałem się tym samym sposobem i z takiemi ukłonami jako gdym przychodził; i Mr. Plankenheim przez Antyszambrę mnie odprowadzał. Tegoż dnia na naznaczoną godzinę szóstą wieczorem jachałem do samego Elektora Jm. Palatinum Rheni, do którego, gdy mię prosto Mr. Diamentsztein wprowadził, gdy drzwi otwarto, w progu samym stanął Elektor Jm., przyjmując mię, któremu gdy komplement uczyniłem względem dnia tego, potym commissa publica od Króla Jm. i Rzpltej ustnie opowiedziałem, co wzięło czasu blisko godziny. Potym retyrowałem się, uczyniwszy znajomość w Antykamerze z Xżęciem młodym de Sultzbach, co jest Haeres praesumptivus Elektora Jm. bezdzietnego. Wyprowadzał mię przez antykamerę Mr. Diamentstein. Wieczorem samym jachał Królewic Jm. do samej Elektorowej Jm., gdzie był cercle des Dames i same tylko damy wchodziły do pokoju; Elektor Jm. Trewirski w karty grał i kilka innych Dam z Elektorową Jm. Tam gdy się Królewic Jm. opowiedział przez Jm. Pana Plankenheim, puszczono samego tylko Królewica i skoro wszedł, wstała z miejsca swego Elektorowa Jm. i Elektor Trewirski i prosili z sobą do gry Królewica Jm. Ale że gry nie umiał, exkuzował się i z innemi damami bawił się. Chciano Królewica przytrzymać na kolacyą u stołu, u którego sam tylko Elektor Paltz Graf z Elektorową Jm. i Elektor Trewirski siedzieć mieli. Ale gdy się Mr. Miltiz spytał, jako Królewica Jm. traktować chciano? i jeżeli Grafowie Imperii siadają u stołu Elektora: odpowiedziano, że go traktować chcieli jako Królewica i że grafowie do stołu Elektora nigdy nie siadają. Więc nie zdało się, aby Królewic Jm. został, bo gdyby go jako Królewica traktowano na tak publicznym miejscu, jużby przestał być incognito; gdyby zaś jako Grafa posadzić chciano, toby Elektorom krzesła, a jemu stołek bez poręczów dano, coby nie zdobiło. A zatym uchodząc utrumą, inconveniens raczej zdało się, aby na kolaciey nie zostawał; i tak Królewic przestrzeżony, cicho wyszedł z pokoju, nie kłaniając się nikomu bez ceremoniey.

2. 8-bris. Była wolna ceremonja przysięgi Magistratu, mieszczan wszystkich i garnizonu, coram Electoribq. iuxta ordinem prescriptum in bulla aurea. Więc jachaliśmy z Królewicem Jm. w rynek do pewnej kamienicy naprzeciwko ratusza Remer nazwanego, gdzie sessye bywają. Najpierwej Magistrat zgromadził się na salę ratuszną w Remer, potym Mieszczanie z chorągwiami przychodzili, przed któremi przodowała kupiecka chorągiew, pierwsi kupcy jak

officerowie szli w płaszczach szkarłatnych przed chorągwią, za niemi czterech doboszów w suknie fioletowe z galonami srebrnemi przybranych, ale bez bębnów, a za doboszami kupcy szli parami cała kompanja. Za kupcami szły inne chorągwie innych mieszczan. In summa było chorągwi 14, bo miasto jest rozdzielone na quaterów 14. Każda chorągiew miała swoich pierwszych ludzi miasta, officerów i czterech doboszów w kolorach rozmaitych, jakoto jedni byli w czerwonych, drudzy zielonych, żółtych, szarych etc. etc. i wszystkie chorągwie stawały w rynku jedna przy drugiej przeciwko Remer. In summa w tych czternastu kompanjach było ludzi blisko piącin tysięcy, oprócz pospólstwa po stronach, z którem pospólstwem na dziesięć tysięcy ludzi rachować się mogło, wszyscy zaś mieszczanie w płaszczach, ale bez chorągwi, bez bębnów i bez broni żadnej. Około dziewiątej godziny z rana najpierwej przyjachał le Comte Mr. Papenheim, Marszałek dziedziczny Imperij, a Subalternus Elektora Saskiego (jako się go i urząd jego wyżej sub data . . . . opisało), jachał w karecie parą końmi i dwoch Szwajcarów z halabardami szli przy karecie na znak jurisdykcyi jego, którzy Szwajcarowie codziennie przy jego karecie chodzą, ile razy na Remer zjeżdżają się. On zaś najpierwej powinien zawsze przyjeżdzać, bo tenetur wszystkich Elektorów i Posłów u drzwi przyjmować i na górę ad stubam Electoralem wprowadzać. Po tych wszyscy Elektorowie i Posłowie absentium z ceremonją i assistencyami zwyczajnemi zjachali się, co trwało blisko jedenastej. Jak się wszyscy zjachali, po krótkiej między sobą konferenciej ex stuba Electorali szli na salę wielką, która jest zaraz na górę wszedszy do Ratusza, gdzie są różni Cesarze malowani. Tam rozbito baldachin czarny aksamitny długi, pod którym suknem czarnym były posłane dwa stopnie z desek robione, na których krzesła czarne aksamitne były siedm rzędem postawione, wszystkie jednakowe dla Elektorów przytomnych i pierwszych Posłów Absentium. Przy baldachinie z obu stron były obrazy Cesarzy, z prawej strony obraz cesarza Leopolda, a z lewej cesarza Józefa, w ramach drewniannych rżniętych, złocistych. Po lewej ręce przy ścianie pobocznej wystawiono także o dwóch stopniach niewielkie theatrum, suknem czarnym posłane, ale bez baldachimu i bez krzeseł, tylko stołki były dla żon Posłów, jeżeliby się tej Ceremoniey chciały przypatrować, a osobliwie w ścianie wykonano jak drzwi i suknem albo zasłoną czarną zasłoniono, gdzie Elektorowa Jm. Phaltz-Grafowa krzesło miała i ztamtąd tej ceremoniey przypatrowała się. Jak Elektorowie za-

siedli, Magistrat miesiącem stanął przed niemi, do których uczynił propozycyę po niemiecku Mr. Lasser, Vice Chancelier de Majence, explikując im, że przysięgę wykonać powinni na wierność podczas Elekciey pro securitate Electorum, że tumultów żadnych wszczynać nie powinni ani dopuszczać, a in quantum byłby jaki tumult, że przy Elektorach stawać, ich bronić i im posłuszni być powinni, sub poenis rigorosis et amissione privilegiorum etc. Potym im formę albo rotę przysięgi przeczytano, i gdy się pytał tenże Vice Cancellarius, jeżeli przysiądz chcą, jak wszyscy odpowiedzieli: *Ja;* dopiero im dwa palce do góry wszystkim podnieść kazano i za czytającym głośno wszyscy przysięgę czynili stojąc. Po której skończonej Elektor Jm. Moguncki wstał z krzesła, a wszystek Magistrat, począwszy od Burmistrza, szli kolejno z ukłonami i rękę biorąc Elektora Jm. in signum obedientiae całowali. Wszyscy z Magistratu byli w płaszczach czarnych materjalnych krótkich, z kołnierzami miasto krawatów. Jak się to skończyło Magistrat ustąpił, a Commendant, wszyscy Officerowie z garnizonu tymże sposobem przysięgli. Dopiero Elektorowie Jm. szli do okien na tejże sali, co są na rynek, a w oknach były węzgłowia czarne aksamitne dla nich położone i stanęli w oknach.

A na dole pod Ratuszem albo pod Remer było theatrum w quadrat wystawione z poręczami, suknem czarnym do koła obite, na którym stali posłowie secundi et tertii ordinis, tym porządkiem, jako idzie na boku numerus. Nr. 1. Graf Stadion, Grand Maitre de Majence, przy nim Mr. Lasser Vice Chancelier de Majence, który wszystkie propozycye czyni imieniem swego Pryncypała i na konferencyach. Nr. 2. Le Baron Sollern Chancellier de Treves. Nr. 3. Mr. Konsprug, ostatni Poseł Czeski. Nr. 4. Mr. Micker, ostatni Poseł Electoris Palatini. Nr. 5. Mr. le Baron Hagen, ostatni Poseł Saski. Nr. 6. Mr. Mordefeldt, ostatni poseł Pruski. Nr. 7. Mr. Szrader, ostatni Poseł Hannowerski. Za temi ostatniemi posłami stali Ministri secundi ordinis; a że Ministri ultimi in ordine stali in fronte a za niemi ci, którzy procedere powinni secundi ordinis, ta jest racya, że ultimi in ordine są Votantes, bo primi Ministri et secundi assistują tylko, znoszą się ad invicem, ale ultimi perorują, i dla tego in stuba Electorali, ostatni posłowie, to jest Votantes przy stole siedzą ex opposito Elektorów, a secundi ordinis posłowie siedzą za ostatniemi. Jak stanęli swym porządkiem i Elektorowie w oknach, et Ministri secundi et tertii ordinis na dole theatrum dopiero Mr. Lasser, Vice Chancellier de Majence uczynił propozycyą do pospólstwa albo raczej

mieszczan chorągwiami zgromadzonych, explikując im sensum et obligationem przysięgi, tak jako wyżej przed Magistratem, i drugi Secretarius Moguntinus czytał im w głos rotam juramenti, po której przeczytaniu, Vice Cancellarius spytał się, czy chcą przysiądz, gdy odpowiedzieli jednym głosem: *Ja*, kazał im ręce i dwa palce podnieść do góry, i za czytającym sekretarzem wszyscy wraz przysięgę mówili: po której skończonej, zaraz kompanjami tak jak byli przyszli, poczęli się rozchodzić mieszczanie, i skoro się rozeszli, zaraz garnizon porządnie z chorągwiami, bębnami i muzyką, to jest faiframi następował, tysiąc ludzi pieszych, przed któremi Commendant jachał na koniu. Jak się uszykowali w rynku, przybliżyli się do theatrum wystawionego, z którego Mr. Lasser tenże Vice Cancellarius uczynił im propozycyą tak jak do mieszczan i po przeczytanej przysiędze przez Sekretarza, spytał się, czy chcą przysiądz, gdy odpowiedzieli: *Ja*, czytano im przysięgę, ale miasto rąk i palców podniesienia, muszkiety trzymali przed sobą tak jako ich prezentować zwykli. Co gdy się skończyło, cofnęli się na środek rynku i stali, aż się wszyscy Elektorowie et Ministri rozjachali swym porządkiem: gdy Elektorowie jachali, Komendant z szpadą dobytą stał na koniu przed garnizonem, Major pikę przed nim skłaniał, w bębny bito, fajfrowie grali i żołnierze muszkiety prezentowali. Jak zaś Posłowie jachali, lubo im inne honory garnizon czynił ale Major umknął się z piką i fajfrowie nie grali. Jak się wszyscy rozjachali, potym garnizon swym porządkiem zszedł z placu: która ceremonja wzięła czasu od dziewiątej z rana aż do trzeciej z południa. Tegoż dnia, że Mgr. Albani, Nuntius Extraordinarii i synowiec Ojca S-o Clementis XI, dał mi znać przez kawalera swego, że nazajutrz miał z miasta wyjachać ex quo wszyscy Ministri Extranei przed terminem elekciej juxta bullam auream ustępować powinni. Więc Królewica Jm. disposui, aby mu przed odjazdem oddał wzajemną wizytę, ponieważ Mgr. Albani przed kilką dniami był u Królewica Jm. W czym gdy była difficultas, bo mi opponował Mr. Miltiz, że Królewic żadnemu Posłowi wizyty nie oddał i tylko u tych był, którzy go na objad lub kolacyą do siebie zaprosili; co jeżeliby Jm. X. Nunciusz chciał uczynić, nie byłoby żadnej trudności. Gdyby zaś miał być u niego, rewizytując go sine alia formalitate, toby Milord Peterboroug, Minister Angielski, Mr. Rechteren Hollenderski praetendowali tegoż honoru, ex quo byli u Królewica. W czym explikowałem wielką differencyą charakteru Nuntij Extraordinarii et Nepotis, do tych Ministrów, potym gdyby tyle czasu było, toby się mogło hoc medium

podać, aby zaprosił Królewica: ale że nazajutrz wyjeżdża i podobno non rediturus, gdyby mu się tego honoru wzajemnie nie wyświadczyło, coby Rzym rzekł i Król Jm., jakoby to approbował, ile że Królewic jest sub titulo Comitis Lusatiae, i że Nunciusz był u niego z wizytą. Allegavi i to co pridie sam widziałem, że Xże młody de Sultzbach Haeres praesumptivus Electoris Palatini Rheni był z wizytą u Nunciusza, nie będąc wprzód wizytowany od niego: a że tu Nuncyusz wizytował Królewica, tym większa obligacya etc. etc. Tandem effecire conclusum być wieczorem u Jm. Xdza Nuncyusza, o godzinie siódmej, do którego zaraz posłałem, dając znać o tej rezolucicy. Więc na godzinę umówioną jachał Królewic Jm. do Xdza Nuncyusza i ja z nim jachałem, czyniąc dystynkcyą i honor osobliwy temu Prałatowi, bom z Królewicem Jm. nie jeździł, gdy samych Elektorów wizytował z racyi wyżej wyrażonych: gdy kareta Królewica wjachała w kamienicę, sam JX. Nuncyusz aż na dół zszedł i u karety przyjmował Królewica, paziów ośmiu szło przodem z pochodniami na górę, na górze zaś od wschodów począwszy uszykowani stali pazie i lokaje Nuncioszowscy z pochodniami, gdyśmy na górę weszli do pokojów, pod baldachinem krzesła dla nas postawiono, aleśmy nie usiedli tylko się ceremonją uczynioną kontentując. Zabawiwszy się blisko pół godziny, tymże sposobem wyszliśmy i JX. Nuncyusz aż na dół sprowadzał, czekając aż się Królewic Jm. z miejsca ruszył. Ztamtąd jachaliśmy na Assemblée do JPani Grafowej Wartemberkowey i późno aż w nocy powróciliśmy do gospody.

3. 8-bris. Elektor Jm. Trewirski przysłał rano kawalera swego zapraszając z sobą Królewica Jm. na strzelanie zajęcy i kuropatw o milę od Frankfortu dans la Comté de Hanau. Więc Królewic Jm. jachał na objad ranny do Elektora Jm. i ztamtąd jachali w pole, ja zaś zostałem się ex quo na dzień dzisiejszy miałem sobie naznaczoną audyencyą u Elektora Jm. Moguncкiego, o którą przez JP. Grafa Szömborna, Marszałka W-o Moguncкiego prosiłem. Przed samym południem przyjachał do mnie z wizytą Mr. le Comte Donha, pierwszy Poseł Króla Jm. Pruskiego. Zabawiwszy różnym diskursem publicznym blisko godziny, prosił mię do siebie na objad i zaraz z nim jachałem do jego stancіey, tam się przez objad i po objedzie aż do piątej zabawiłem, zkąd prosto na audyencyą do Elektora Jm. Moguncкiego, ponieważ godzina naznaczona następowała, jachałem i byłem przyjęty more solito tak jako i na pierwszych audyencyach (jako się sub data

24. Augusti opisało). Na tej audyencicy rekommendowałem interessa publiczne sobie zlecone, tym goręcej im bliżej elekcya do końca swego zmierzała. Zabawiwszy się u Elektora Jm. czas nie mały rekapitulując wszystkie interessa, gdym ztamtąd tymże sposobem jako i pierwej retyrował się. Jachałem do JPana Grafa Stadiona Grand Maitra de Majence, i w którego ręku i dispozycyey są wszystkie interessa Directorii Moguntini et ursi w propozycyach zleconych Elektora Jm. i jego samego assistentiam. Ztamtąd jachałem do Grafa Metternicha, drugiego in ordine posła pruskiego, temu similiter też zlecone interessa exposui. Od niego jachałem do JPana Mardefeldta trzeciego posła Pruskiego i do JPana Szradera, drugiego posła Hannowerskiego, u których antecedente jeszcze nie byłem i wszystkim toż samo exposui, et ad seriam et promptam resolutionem, zagrzewałem. Tandem ultimario późno w nocy byłem na konferencyi u Jm. Posłów Saskich, którym incumbit interessa Pańskie na konferencyach et in Stuba Electorali utrzymować. Królewic Jm. powrócił wieczorem z łowów, gdzie z Elektorem Jm. Trewirskim ubili zajęcy 19 i parę kuropatw.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu

w latach 1399—1404.

Studyum historyczne.

(Ciąg dalszy).

To jest ogólna treść tych wszystkich skarg, które stwierdzają, że stanowisko Krzyżaków wobec sprawy dobrzyńskiej jest takie samo jak wtedy, gdy rokowania w tej kwestyi prowadziła królowa Jadwiga tj. że oddadzą ziemię za zwrotem pieniędzy; [1]) 2. że występując przeciw Witoldowi, występują i przeciw Jagielle, do tego nie należy jednak przywiązywać wielkiej wagi, bo głównym powodem była tu unia wileńska; 3. że tę unię uważają za niebezpieczną dla siebie i swoich interesów i w niej poniekąd upatrują przyczynę wszystkiego. Z przedstawienia rzeczy, jakie czytamy u Possilgego, wynika, że o jej zawarciu dowiedzieli się późno, pierwej bowiem opowiada kronikarz o „buncie“ Żmudzinów. Zdaje mi się, że Krzyżacy widzieli w tej unii nie tyle uregulowanie stosunku prawnego Litwy do Korony, ile raczej taje-

---

[1]) Ob. moją rozprawę w „Przeglądzie historycznym“ p. t.: „Sprawa zastawu ziemi dobrzyńskiej przez Władysława Opolczyka i pierwsze lata sporu.“

mny związek przeciw nim: według ich opinii Litwa i Korona były to dwa odrębne całkiem organizmy państwowe pod naczelnem zwierzchnictwem jednego monarchy, ale które nie musiały koniecznie nawzajem się wspierać i mieć identyczne interesa nawet w tej samej sprawie. Ciekawym także pomnikiem i dodatkiem do tych skarg jest fragment z „pamiętnika“ krzyżackiego [1]) i list do urzędników krzyżackich (Gebietiger) w Niemczech. [2])

Powstały te skargi w maju, a list wspomniany jest nawet o jeden dzień wcześniejszy od najwcześniejszej ze skarg, a mianowicie skargi do komturów krajowych z 17. maja. Fragment z „pamiętnika“ Zakonu, jak go wydawca nazywa, jest właściwie relacyą, a raczej jej konceptem z układów prowadzonych z Witoldem przez Krzyżaków za pośrednictwem wzajemnych pełnomocników przez dłuższy czas w sprawie zbiegów. Z obu tych źródeł tj. z „pamiętnika“ i listu do urzędników krzyżackich w Niemczech wynikać się zdaje, że ta sprawa o zbiegów była początkiem sporów i zerwania, że Krzyżacy wysyłali do Witolda poselstwa i listy, wzywając go do zaprzestania podburzania Żmudzinów i przyjmowania zbiegów. Że tak być mogło, dowodzi wzmianka w skardze Witolda o uciekających pod jego opiekę z pod ucisku krzyżackiego Żmudzinach: listów bowiem owych krzyżackich nie posiadamy i tem samem nie możemy tego sprawdzić. Zresztą skarga Witolda pochodzi z 20. marca, a u Possilgego czytamy o propozycyi zjazdu Witolda z W. mistrzem na 2. lutego, „buntowanie“ zaś Żmudzinów miało miejsce w zimie tj. zburzenie przez nich nowo wystawionych zamków krzyżackich. Widoczna więc z tego wszystkiego, że musiały być jakieś próby porozumienia, że wprawdzie Witold i mistrz osobiście się nie zjechali, ale obsyłali wzajemnie poselstwami. Proponowany zaś zjazd pozostaje zapewne w związku z temi poselstwami i jego przedmiotem mieli być zbiegowie. Widoczna także, że Witold jeszcze przed zawarciem unii już o zerwaniu z Zakonem myślał i na Żmudzi czynił zabiegi, bo jak wiemy, unią zawarto 18. stycznia, zjazd proponowano na 2. lutego, a zburzenie zamków odbyło się po 13. marca: [3])

---

[1]) Codex Vitoldi, nr. 241.

[2]) Voigt Codex VI, nr. 112.

[3]) Possilge p. 241. „...und czogin (scil. Żmudzini) n a c h m i t f a s t i n vor die czwe huser...“ Według chronologii średniowiecznej wyrażenie „mitfasten“ oznacza czwartą niedzielę postu, a ta w tym roku wypadała na 13. marca (Grotefend: „Zeitrechnung“).

krótki więc bardzo czas dzieli te wszystkie wypadki. Nie przesądza to jednak wcale, jak sądzę, by unia wileńska nie miała na to zerwanie żadnego wpływu, bo choć o niem Witold myślał wcześniej, to przecież musiał wiedzieć pierwej, że ona będzie zawartą. Ta właśnie równoczesność prawie omawianych wypadków musiała wyrobić w Krzyżakach przekonanie, że ta unia wileńska, to nic innego, jak tylko tajemny przeciwko nim związek. „Pamiętnik“ wspomniany ma tem większe jeszcze znaczenie, że daje pewne wskazówki o składzie społeczeństwa na Żmudzi: widzimy tu mianowicie niewolnych, chłopów (Gebuwer) i bojarów i do tych jakoby trzech stanów, jeżeli się tak wolno wyrazić, odnoszą się nieporozumienia w układach i odnośnie do tych „stanów“, różne są warunki, pod jakimi wolno Witoldowi przyjmować ich lub wydawać jako zbiegów.[1]) Dodać wreszcie należy, że Witold w układach zajął dość stanowcze i twarde stanowisko i cała kwestya nie doprowadziła teraz do rezultatu — odroczono ją na później.

Ale nie na samych skargach skończyły się kroki krzyżackie. Zbroił się Zakon u siebie, obwarowywał zamki, a zwłaszcza Malborg,[2]) a ponadto oglądał za sprzymierzeńcami. I pozyskał ich, nie tyle sprzymierzeńców, ile raczej wojska zaciężne: przyrzekli mu mianowicie służyć za zapłatą żołdu rycerze pomorscy, jak Matzke Borke i Wilke Mantüffel,[3]) Henig z Wedelu,[4]) Jerzy i Gerhard z Dewis.[5]) Wszyscy przyrzekają dostawić Krzyżakom oddział zbrojny i służyć przez lat dziesięć pod pewnymi, oznaczonymi warunkami, a przedewszystkiem przeciw Polsce. I to stwierdza także wielką niechęć Krzyżaków do króla polskiego. A i to nie jest pewnie bez znaczenia, że Wacław czeski daje 10. sierpnia, a więc prawie równocześnie z zawieraniem wspomnianych traktatów z pomorskiem rycerstwem, Zygmuntowi luksemb. zezwolenie na sprzedaż Nowej Marchii Krzyżakom.[6]) Wiemy bowiem, że Zygmunt niejednokrotnie, ale bezskutecznie stawiał W. mi-

---

[1]) List do urzędników krzyżackich w Niemczech zawiera to samo, co skargi.

[2]) Voigt, Geschichte Preussens VI. p. 204, uwaga 3. (Tressler-Buch p. 61—62).

[3]) Voigt Codex. V. nr. 120.

[4]) Voigt Codex, nr. 118.

[5]) Ibidem. nr. 121.

[6]) Voigt Codex. V. Regesta.

strzowi, propozycyę zakupna Marchii; wiemy także, że właśnie w tymże roku, 1401, Zygmunt został uwięziony 31. kwietnia przez Węgrów, a poselstwo węgierskie ofiarowało koronę Jagielle,[1]) ten jednak odmówił, owszem nawet za jego pośrednictwem miał Zygmunt odzyskać wolność.[2]) Stosunki ówczesne i interesa zmuszały więc Zygmunta do utrzymania pokoju z Polską, być tedy może, że Krzyżacy, aby go odciągnąć od przyjaźni z Polską, znowu rozpoczęli układy o zakupno Nowej Marchii. Podobnie interpretuje zezwolenie Wacława i Voigt.[3])

Mimo jednak tak naprężonych stosunków nie przyszło do orężnego starcia między Witoldem a Krzyżakami. Wprawdzie Witold we wrześniu z jakimś oddziałem wojska stał pod Kownem w celu wyciągnięcia Krzyżaków do walki, jak mówi kronikarz, a marszałek Zakonu, Werner von Tettingen pod Memlem, by obserwować ruchy Witolda i ubezpieczyć Gotteswerder.[4]) wszelako w 1401 r. do starcia nie przyszło. Kowno tylko padło ofiarą pożaru 21. września, bo Kiejstutowic kazał zamek w perzynę obrócić za ukazaniem się nieprzyjaciela, ogołociwszy wprzód i zamek i miasto z mieszkańców: kronikarz pruski (krzyżacki) oburza się niezmiernie na to „barbarzyństwo.“[5]) Długosz opowiada wprawdzie o wyprawie Witolda na Inflanty w tymże roku,[6]) ale kronikarze pruscy nic o tem nie wiedzą; owszem z porównania Długosza z nimi, a zwłaszcza z Possilgem wynika, że tę wyprawę Witolda na Inflanty, a raczej pościg należy odnieść do r. 1403. Tylko załoga z Gotteswerder urządziła jakąś małoznaczną rejzę. W roku więc 1401 do walki nie przyszło, stosunki jednak między Krzyżakami a Witoldem były mocno naprężone i zapowiadają stan wojenny w tych, że się tak wyrazimy, obserwacyjnych wyprawach księcia i marszałka. Wpłynęły na to niewątpliwie wypadki na Wschodzie.

Zaznaczam, że stosunki naprężone istnieją między Witoldem a Krzyżakami. Jagiełło bowiem, jak mi się wydaje, nie chciał

---

[1]) Por. Possilge l. c., Voigt Codex VI. nr. 110, Rocznik miechowski w „Monumentach“ Bielowskiego II., Długosz, t. III. p. 544.

[2]) Długosz, t. III. p. 545—546, 548 lib. X.

[3]) „Geschichte Preussens“ VI. p. 204.

[4]) Possilge, p. 247: Voigt, Geschichte Preussens VI. p. 205. (Tressler-Buch p. 66).

[5]) Possilge, p. 247.

[6]) Historia III. p. 546—547 lib. X.

wcale zerwania, tak jak to zrobił Wielki książę, tylko Krzyżacy okazywali królowi nieprzyjaźń, przypuszczając, że on aprobuje postępowanie Witolda i nawet do niego przykłada rękę. Wspomniałem już, że Krzyżacy, gdy do Malborga przyszła wiadomość o zawarciu unii wileńskiej, wysłali posłów z zapytaniem o unię do Krakowa. Jakoż około 16. października, nie wiadomo zresztą napewno czy z tego powodu, przybyli do Malborga Ziemowit, ks. mazowiecki i biskup kujawski (później arcybiskup gnieźnieński) Mikołaj Kurowski, jako posłowie Jagiełły z odpowiedzią na zapytanie Krzyżaków: W. mistrz przyjął ich jednak niechętnie i nie bardzo ufał zapewnieniom posłów o przyjaźni króla.[1]) Jest to wyraźnym dowodem, że król nie chciał zerwania z Zakonem, a zarazem świadczy o niechęci i podejrzliwości Krzyżaków. W następnym roku podobnie znalazł się W. mistrz wobec posłów polskich.[2])

Wróćmy jednak do Witolda. Powiedzieliśmy, że nie przyszło jeszcze do orężnego starcia i wypadki na Wschodzie miały tu swój wpływ, a może nawet przyczyniły się do wyprawienia poselstwa przez Jagiełłę. Wypadki te mają ważne znaczenie dla naszej sprawy i odgrywają w niej rolę niemałą.

Jest to bunt Świdrygiełły od 1401—1404 r.

Najmłodszy z braci Jagiełłowych znany jest dobrze w dziejach jako bezustanny wichrzyciel i malkontent, zagrażający niejednokrotnie istnieniu unii polsko-litewskiej. Nie będziemy tu wchodzić ani w powody tej jego opozycyi, ani kiedy i jak się ta opozycya objawiała. Pisał już o tem obszernie A. Lewicki w dziele p. t. „Powstanie Świdrygiełły“, w którem rozdział czwarty poświęca zmarły uczony zarysowi działalności tego najmłodszego Olgierdowicza przed wybuchem ostatniego, najgroźniejszego powstania w ostatnich latach Jagiełły (1431).[3]) Tu przypominam tylko, że w knowaniach Zakonu przeciw Witoldowi przed traktatem salińskim brał Świdrygiełło żywy udział. Charakterystycznym także rysem dla Świdrygiełły (nad Worsklą walczył także) jest opowieść Possilgego o jego udziale w zawarciu unii wileńskiej: mówi mianowicie kronikarz, że gdy okolicznościami był

[1]) Possilge, p. 248.

[2]) Ibidem, p. 256.

[3]) Na tym rozdziale opieram się i ja także, o ile bunt Świdrygiełły łączy się z wypadkami, a zwłaszcza w Smoleńsku.

zmuszony do wzięcia udziału w aktach unii, przywiesił podstępnie fałszywą pieczęć, byle co prędzej wyrwać się z rąk Witolda. [1])

Przyczyną niniejszego buntu miało być, według Lewickiego, ustanowienie przez Jagiełłę starostów na Podolu. Posiadał je bowiem, jak wiadomo, w jednej części Spytek z Melsztyna na prawie lennem (służskiem [2]) — ten sam, który zginął nad Worsklą), część zaś północno-wschodnią nadał król Świdrygielle w r. 1398. [3]) Otóż w jesieni 1401 r. podniesiono sztandar buntu równocześnie na Podolu i w Smoleńsku. Witold wyprawił się pod Smoleńsk, gdzie mieszkańcy obalili rządy urzędników Witoldowych i obwołali księciem Jurja Światosławicza, oblegał gród przez cztery tygodnie, ale zdobyć go nie zdołał. [4]) Jurjowi dopomagał w obronie miasta Oleg rjazański. Ta to wojna smoleńska, niepomyślna dla Kiejstutowica, była zapewne powodem, że z Zakonem do rozprawy teraz nie przyszło. Groźne było położenie Witolda na Wschodzie, ale miało przybrać wkrótce jeszcze groźniejsze rozmiary.

W Polsce zaś przygotowywano się tymczasem do uroczystego ślubu Jagiełły z Anną cylejską. [5]) Na tych krakowskich godach

---

[1]) Possilge, p. 244.

[2]) Prohaska, „Lenna i mańtswa na Rusi i Podolu".

[3]) Possilge j. w. i Lewicki, „Powstanie Świdrygiełły", rozdział IV., uwaga 10.

[4]) Daniłowicz, „Skarbiec dyplomatów" I. nr. 738 (z kroniki hipatiowskiej); Possilge pisze także o tej wyprawie na Smoleńsk p. 250. ale błędnie kieruje ją na Wielki Nowogród.

[5]) Co do daty tych zaślubin panuje niezgodność w naszych kronikarskich świadectwach. Annalista toruński (p. 255) oznacza je na 29. stycznia 1402 r.; Possilge mówi o tem na 2 zawody: raz pod 30. stycznia 1401 r., drugi raz pod 1402 r. tego samego dnia (245, 255). Długosz wreszcie każe król. Annie odbyć ślub w 1401 r., nie oznaczając daty bliżej, koronacyą zaś 5. lutego 1402 (t. III. 543, 547). Ponieważ jednak dwa współczesne źródła tj. Possilge i Annalista zgadzają się co do dnia (różnica wynosi tylko jeden dzień), wzmianka zaś dwukrotna Possilgego jako identyczna co do dnia jest, jak mi się zdaje, tylko frazesem i nie ma faktycznego znaczenia, dalej okoliczność, że tenże kronikarz pisze o przybyciu Świdrygiełły do Malborga właśnie podczas tych uroczystości weselnych i właśnie w 1402 r., a z tegoż roku istnieje dokument pokoju zawartego przez Świdrygiełłę z Zakonem, o czem kronikarz wie dobrze, że wreszcie Długosz mówi o obecności Witolda w Krakowie na tym ślubie, (co i u Possilgego znajdujemy), tylko Długosz odnosi to do 1401 r., a Possilge do 1402 r. i całkiem słusznie, wobec bowiem zimowych wypadków w 1401 r. (bunt na Żmudzi, unia wileńska, hołdy dzielnicowych książąt) nietylko Witold, ale nawet Ja-

weselnych miał być obecny i Świdrygiełło. Gdy się jednak dowiedział, że będzie i Witold, wysłał do Krakowa tylko swoich „vorboten“, a sam pokryjomu, w przebraniu kupieckiem, samotrzeć przekradał się do pruskiej granicy, dał się naprzód poznać w Toruniu i 31 stycznia 1402 r. stanął w Malborgu, gdzie go bardzo radośnie powitał W. mistrz Konrad Jungingen.[1]) Naturalnie, że celem Świdrygiełły nie mogło być nic innego, jak tylko pozyskanie Krzyżaków dla swoich planów, zaatakowanie Witolda od zachodu tak, jak to zrobił na Rusi. W tem wciągnięciu Krzyżaków, a oprócz tego i Ziemowita mazowieckiego leży niebezpieczeństwo buntu Świdrygiełły. Ziemowit mazowiecki już 27. lutego 1401 r. zawarł ze Świdrygiełłą przymierze zaczepno-odporne przeciw wszystkim, wyjąwszy Jagiełły [2]) To wyróżnienie króla pozwala przypuszczać, że cała akcya skierowana była przeciw Witoldowi: istotnie on najwięcej na tym buncie ucierpiał. Ziemowita mazowieckiego widzimy także w wielkiej przyjaźni z Krzyżakami, podobnie jak i jego brata, Jana. Świadczą o tem listy, korespondencya między Zakonem a Ziemowitem, który prawie równocześnie z przybyciem Świdrygiełły do Malborga, bo 29. stycznia 1402 r., wykupił od Krzyżaków [3]) Wiznę. Korespondencya ta, pełna poufnych wiadomości,[4]) okazuje z drugiej strony wiele nieprzyjaźni i niechęci do Witolda.[5]) W ten więc sposób tworzy się jakby liga skierowana głównie przeciw Litwie, liga groźna, a z której tylko Krzyżacy potrafili wyciągnąć korzyści i tylko względem nich Witold poniósł straty (na zjeździe raciąskim). Wiadomą jest rzeczą, że Krzyżacy wspierali Świdrygiełłę tylko w widokach własnych, że najmłodszy Olgierdowicz był dla nich bardzo wygodnem narzędziem, ile razy z Witoldem były naprężone stosunki lub na nim chcieli coś wymódz: a gdy swego dopięli, Świdrygiełłę opuszczali. Tak było przed traktatem salińskim, tak jest i teraz.

Skutki tej ligi okazały się zaraz. Dzięki nieobecności Witolda na Litwie (bawił bowiem na ślubie Jagiełły), marszałek Zakonu

---

giełło nie mógł wtedy bawić w Krakowie — musimy się oświadczyć za Possilgem i przyjąć rok 1402.

[1]) Possilge, p. 255.

[2]) Lewicki, „Powstanie Świdrygiełły“ rozdz. IV. uw. 18.

[3]) Voigt Codex, V. nr. 126, VI. nr. 120.

[4]) Codex Vitoldi, nr. 260.

[5]) Ibidem, nr. 261, Voigt Codex. VI. nr. 126, 127.

około 12. lutego pustoszył przez trzy dni w okolicach Grodna: Świdrygiełło chciał wziąć udział w tej rejzie, ale przybył zapóźno, gdy już marszałek z łupami powracał.[1]) Siedział więc w gościnie u W. mistrza aż do pierwszych dni marca,[2]) przyjmowany gościnnie i obdarzany licznymi zasiłkami pieniężnymi.[3]) Wpierw jednak, nim do Inflant wyjechał,[4]) przyjaźń swoją z Zakonem zatwierdził dokumentem. W dn. 2. marca 1402 r. wydał mianowicie Świdrygiełło kilka aktów, którymi zawiera z Krzyżakami wieczysty pokój, na tych samych warunkach oparty, co traktat saliński,[5]) a więc z darowizną Żmudzi. Ponadto jednak przyrzeka, że będzie uznawał zwierzchność papieża i cesarza rzymskiego (na co Witold zgodzić się nie chciał), rozszerzał wiarę katolicką w swoich posiadłościach, a Psków, w jakikolwiek sposób i przez kogokolwiek zdobyty, należał będzie do Zakonu.[6])

Na ten związek Świdrygiełły z Krzyżakami i niniejszy bunt rzucają sporo światła rachunki Zakonu.[7]) Widzimy z nich, że Krzyżacy przez cały rok 1402 i następny wspomagali Świdrygiełłę pieniężnie, że wyprawiali posłów do zbuntowanego Smoleńska, na Mazowsze i Podole, że Świdrygiełło jeździł ciągle to do Smoleńska, to na Mazowsze, to do Inflant, podsycając i utrzymując zarzewie buntu. Na wschodnio-północnej Rusi trwał on też długo. W 1402 r. udało się wprawdzie Witoldowi, a raczej wysłanym przezeń Aleksandrowi Patrykiewiczowi i Lingwenowi odnieść zwycięstwo pod Lubuckiem nad Rosławem Olegowicem riazańskim, którego ojciec zostawał w przymierzu z Jerzym (Jurjem) Światosławiczem smoleńskim; w następnym roku Lingwen zdobył

---

[1]) Possilge, p. 255.

[2]) Ibidem.

[3]) „Tressler-Buch“ p. 76 w „Codex Vitoldi“ App. nr. 3. p. 963—4, także Daniłowicz, „Skarbiec“ I. nr. 756, zawierający list Jana Feldego, pełnomocnika Zakonu w Rzymie, a donoszący 5. sierpnia 1402 r. Jungingenowi, że za bulle na rzecz Świdrygiełły otrzymane od papieża, zapłacił 60 dukatów. Wiadomość ta znajduje potwierdzenie w „Tressler-Buch“.

[4]) Possilge, p. 256.

[5]) Voigt Codex. V. nr. 124. 125. Codex Vitoldi, nr. 249.

[6]) Bunge, „Urkundenbuch“ IV. nr. 1604, Napiersky, „Index corporis“ I. nr. 547. Ta rejza i traktaty pokoju Świdrygiełły, potwierdzają chyba wyraźnie, że ślub Jagiełły z Anną odbył się w 1402 r., a nie w 1401 r., skoro to wszystko zostaje w związku.

[7]) „Tressler-Buch“ j. w.

Wiazmę i pojmał jej księcia Jana Światosławica,[1]) a nawet 25-go listopada 1402 r. Bazyli, ks. moskiewski, zawierając sojusz z Teodorem Olgowicem, wyraża się, że nie miałby nic przeciw temu, gdyby i Witold do tego sojuszu przystąpił[2]) — mimo to wszystko Smoleńsk, kilkakrotnie oblegany[3]) uległ Kiejstutowicowi dopiero w czerwcu 1404 r.,[4]) a więc po zjeździe raciąskim.

Wracając do Świdrygiełły zaznaczyć należy, że po zawarciu tego przymierza w dn. 2. marca Olgierdowic udał się wkrótce do Inflant i tu zapewne spowodował wyprawę na Litwę.[5])

Widzimy więc z tego wszystkiego, że pierwotnie nieprzyjazne stosunki między Witoldem, a Zakonem doszły teraz dzięki Świdrygielle do stanu wojennego, który wypełnia cały rok 1402. Bo ani Krzyżacy nie poprzestali na wyżej wspomnianej „rejzie“, ani Witold nie pozostał im dłużnym. Jeszcze w lipcu wyruszyły dwa wielkie oddziały krzyżackie pod ogólnem dowództwem Wilhelma von Helfenstein, wielkiego komtura, a w których znajdował się i Świdrygiełło. Ten, jak sądzić można z opowiadania pruskiego kronikarza, podburzał do zdrady mieszczan wileńskich, sześciu z nich bowiem kazał później sciąć Witold. Wyprawa ta, skierowana głównie na Wilno, nie przyniosła spodziewanych rezultatów, Witold bowiem umiał bronić stolicy; ograniczono się też na spustoszeniu województwa trockiego i wileńskiego[6]) i zabraniu wielkich łupów.[7]) Witold zaś ze swej strony, a pierwej jeszcze Żmudzini w lutym, zniszczył i spalił Kłajpedę[8]) (Memel), a około Bożego Narodzenia — Ragnetę.[9])

Tym krokom wojennym towarzyszyła skarga Krzyżaków na Witolda z 2. kwietnia do nieznanego nam księcia — dokument

---

[1]) Lewicki, „Powstanie Świdrygiełły“ rozd. IV.

[2]) Lewicki, Index actorum, nr. 381.

[3]) Mianowicie w 1401 przez Witolda, w 1403 przez Lingwena i znowu przez Witolda w 1404 r. i wtedy go zdobył. Por. Daniłowicz: Skarbiec dyplomatów. I. nr. 738 (Kronika hipatiowska w Połn. Sobr. II.) i Lewicki, Powstanie Świdrygiełły.

[4]) Lewicki, Powstanie... i Possilge, p. 271, który mówi, że nawet sam pogodzony już Świdrygiełło dobywał Smoleńska, a potem z odsieczą nadciągnął Witold.

[5]) Possilge, p. 256.

[6]) Używam tu nazw według późniejszego podziału administracyjnego po unii lubelskiej w 1569.

[7]) Possilge, p. 258—259, Annalista toruński, p. 257—258.

[8]) Ibidem, p. 257.

[9]) Ibidem, p. 263.

bowiem w tytulaturze, jak wogóle zresztą cały, silnie jest uszkodzony, data jednak zachowała się — skarga opowiadająca zdarzenia roku przeszłego, 1401., tej samej treści co poprzednie.[1]) Charakterystycznem jest jednak, że Jungingen żali się tu tylko na Witolda, a o Jagielle wzmianki nie robi żadnej, czego właśnie nie było w poprzednich skargach, a powtóre, że pisze tylko o wypadkach z roku 1401., a nie znowu o przymierzu ze Swidrygiełłą: jest to bądź co bądź dziwne.

Mimo tego stanu wojennego i częstych na Litwę „rejz", Konrad Jungingen, znany w dziejach ze swego pokojowego usposobienia, prowadzi dłuższe rokowania z Kiejstutowicem w sprawie wymiany jeńców. Rozpoczęte 19. stycznia,[2]) po dłuższym czasie i kilkakrotnych próbach,[3]) doprowadzają dopiero z końcem września do wymiany jeńców na Dubissie.[4]) Nie trzeba jednak temu przypisywać wielkiego znaczenia i wnioskować, że Witold i Krzyżacy poczynają się ku sobie znowu zbliżać, bo naprzód sam przedmiot pertraktacyi jest małoznaczący, a powtóre W. mistrz robi np. ostre wymówki Janowi, ks. mazowieckiemu, że przechowuje szpiegów litewskich i nie przeszkadza swoim poddanym, zwłaszcza z zamku wiźnieńskiego, nieść czynną pomoc Witoldowi i niepokoić ziemie zakonne.[5]) Nie dowodzi to chyba wcale, by jakieś zbliżenie miało nastąpić między wrogiemi stronami, tembardziej, że ostatni w tej sprawie list nosi datę 19. listopada, a więc już po wymianie jeńców. Wreszcie i list Jungingena do papieża, by odebrał Janowi Kropidle, ks. opolskiemu, zarząd dyecezyi chełmińskiej, jako świeżo mianowanemu biskupem kujawskim,[6]) nadał go kandydatowi przez niego (mistrza) proponowanemu, jako oddzielnemu biskupowi, bo Jan Kropidło ślubował wierność Koronie polskiej (oczywiście jako biskup kujawski), a wobec obecnego postępowania Witolda, „mieniącego się księciem litewskim", biskupstwo to (chełmińskie) może doznać wielkich i niepowetowanych szkód[7]) — i ten list nie świadczy chyba wcale o jakiejś

[1]) Voigt Codex, VI. nr. 123.
[2]) Ibidem, nr. 120.
[3]) Ibidem, nr. 122; Codex Vitoldi, nr. 253, 257, 259.
[4]) Possilge, p. 262.
[5]) Voigt Codex, VI. nr. 126, 127, Codex Vitoldi, nr. 261.
[6]) Lewicki, Index, nr. 363.
[7]) Ibidem, nr. 368, Daniłowicz, Skarbiec, I. nr. 747. Lewicki oznacza ten list, podany przez Daniłowicza bez daty, na 17. marca, dodając przytem pytajnik.

zmianie na lepsze w stosunkach litewsko-krzyżackich. Zakon tedy w r. 1402 stoi wobec Witolda na nieprzyjaznem stanowisku.

Nieco inaczej było względem Jagiełły. Zaznaczaliśmy już niechęć Jungingena do króla polskiego, a z drugiej strony usiłowania tegoż, by nie zerwać zawiązanych w r. 1400. rokowań. Ostatnim tego dowodem jest fakt przysłania poselstwa przez Jagiełłę do Malborga w 1402 r., po odjeździe Świdrygiełły, a więc gdzieś w marcu, z którem jednak Krzyżacy nie chcieli jeszcze wchodzić w bliższe układy.[1]) Ale już najbliższy potem list. z 10. kwietnia, w którym mistrz zgadza się na swobodny handel kupców z Brześcia kujawskiego z kupcami krzyżackimi,[2]) za co król ze swej strony pozwolił 27 kwietnia na swobodny ruch handlowy między Kujawami a Toruniem,[3]) świadczyć może, że nastąpiło jakieś złagodzenie konfliktu. Zaznaczyliśmy, że w owej skardze z 2. kwietnia nie ma słowa o Jagielle, co także potwierdzać może powyższy wniosek. Wreszcie w liście z 13. lipca W. mistrz zapewnia Jagiełłę o swojej przyjaźni.[4]) Wogóle w korespondencyi W. mistrza do Jagiełły w 1402 r. widoczna jest dążność do zgody. Co na to wpłynęło? Zdaje mi się, że sprawa Nowej Marchii i Drezdenka.

W dn. 14. lutego pełnomocnik Zygmunta luksemb., wojewoda Scibor ze Sciborzyc prowadził w imieniu swego pana układy z Jagiełłą o zastaw Nowej Marchii za 10 tysięcy grzywien. Układ przyszedł do skutku w tym samym dniu, a wypłata sumy zastawnej i wydanie Nowej Marchii miało nastąpić 9. kwietnia.[5]) Co prawda Zygmunt później od tej myśli odstąpił i 10. sierpnia zastawił Marchię Krzyżakom[6]) po dłuższych rokowaniach.[7]) To jedno.

W Raciążu 25. maja Ulryk, hrabia i właściciel Drezdenka złożył Jagielle i Koronie polskiej hołd ze wszystkich swoich posiadłości i uznał się dziedzicznym wasalem Korony, po śmierci

[1]) Possilge, p. 256.
[2]) Voigt Codex, VI. nr. 124.
[3]) Lewicki, Index, nr. 370.
[4]) Codex Vitoldi, nr. 258.
[5]) Dogiel, Codex diplom. t. I. pars 1, nr. 4, p. 596.
[6]) Voigt Codex, V. nr. 129.
[7]) Ibidem, VI. nr. 138, Daniłowicz, I. nr. 755.

zaś jego bezpotomnej jego posiadłości mają wieczyście do Polski należeć. [1])

Być więc może, że Krzyżacy chcieli sobie z góry przyjaźnie usposobić Jagiełłę, albo też lękali się go wobec przyjaźni z Zygmuntem i ewentualnego nabycia Nowej Marchii — sami bowiem znacznie później weszli w jej posiadanie. Dr. Kochanowski powiada, że Krzyżacy przyjaźniąc się z Jagiełłą, chcieli w ten sposób poróżnić go z Witoldem i że Witold sam poniekąd był tego sprawcą. [2]) Mamy wprawdzie ślady i krążyły wieści, jakoby Zakon przez Markwarda, komtura Ragnety, podburzał Widolda przeciw królowi, [3]) że dalej, dawniej jeszcze miał się układać z Kiejstutowicem o podział Wizny na szkodę książąt mazowieckich, gdy była jeszcze w zastawie: [4]) Krzyżacy jednak energicznie zaprzeczają tym wieściom, a nawet mówią, że to Witold źle się wyrażał o królu polskim. [5]) Być tedy może, że p. Kochanowski ma słuszność, ale brak mu na to silniejszych dowodów, a już w szczególności na to, by Witold sam był tego sprawcą. Jakkolwiekbądź, mimo tych drobnych nieporozumień, skonstatować musimy, że stosunki między Jagiełłą a Zakonem łagodniejszy przybrały charakter.

To jest obraz wzajemnych stosunków w roku 1402., który w następnym ulegnie zmianie.

Wszelako nie w pierwszej połowie 1403 roku, bo ta nie przedstawia żadnej. Działania wojenne nie ustają wcale, a towarzyszą im nowe skargi krzyżackie. Marszałek zakonny, Werner von Tettingen z licznym orszakiem zagranicznych gości niszczy okolice Merecza i Trok; mistrz inflancki Konrad von Witinghove atakuje współcześnie Litwę od północy, a nawet komtur Ragnety hr. Fryderyk von Zollern, następca Markwarda Salzbacha, zbiera swoje siły przeciw Żmudzinom, na wieść jednak o ich gotowości od zamiaru wyprawy odstępuje. Napastnicy zabrać mieli, według kronikarza, ogromną ilość jeńców, a między tymi 176 bojarów (obydwa razem tj. marszałek i mistrz infl.), a tylko odcięcie furażów przez wojska Witoldowe zmusiło marszałka po 12-dniowem

---

[1]) Dogiel j. w. nr. 3, p. 595.
[2]) „Witold, wielki książę...“ p. 117.
[3]) Codex Vitoldi, nr. 258.
[4]) Voigt Codex, VI. nr. 131.
[5]) Ibidem.

pustoszeniu, cofnąć się przez Kowno ku Memlowi. Tu oczekiwali Krzyżacy dywersyi i zemsty Witolda.[1])

Za ten najazd odpłacił Witold Krzyżakom dywersyą, uderzając w połowie kwietnia, po Wielkanocy na Inflanty, zdobył

---

[1]) Possilge, p. 264—266. On jeden wie tylko o tej wyprawie marszałka i mistrza infl. i szeroko ją opisuje: Annalista toruński zaś mówi tylko o zemście Witolda. Nie sądzę jednak, by świadectwo Possilgego podlegało tutaj jakiejś wątpliwości: sposób, w jaki opowiada te wyprawy i maluje obawy Zakonu przed dywersyą Witolda, pozwala się domyślać, że to pisał świadek dobrze powiadomiony, jeżeli nawet nie naoczny. Dwie tylko rzeczy budzą pewne podejrzenie: mianowicie brak dokładniejszego oznaczenia czasu tych wypraw i znaczna ilość jeńców (blisko 4 tysiące), jaką mieli Krzyżacy uprowadzić, a zwłaszcza owych 176 bojarów. Co do pierwszego, to ta niedokładność oznaczenia nie wydaje mi się znowu rzeczą tak bardzo obciążającą wiarygodność źródła, bo u kronikarzy ignorowanie dat lub fałszywe ich oznaczanie, to zjawisko wcale częste. A Possilge przeciw temu nawet nie bardzo grzeszy, na obronę zaś jego możnaby i to jeszcze dodać, że rok 1403 zaczyna właśnie od przybycia gości zagranicznych i wyprawy marszałka, a po opisaniu tych wszystkich rejz, mówi o dywersyi Witolda w kwietniu (wie o niej i Annalista) i bliżej określa czas słowami „noch ostern“. Powtóre opowiada o przybyciu gości zagranicznych i dwóch z nich po imieniu wymienia, a właśnie z 11. stycznia pochodzi instrukcya W. mistrza do marszałka, jak ma bronić Zakonu przed gośćmi (Voigt Codex, VI. nr. 140). A więc wiadomość Possilgego musi być prawdziwą, jak również i to, że te wyprawy odbyły się z końcem stycznia lub początkiem lutego, czyli zresztą w porze, w której zwykle Krzyżacy wyprawiali się na Litwę. Wie i Długosz o tych wypadkach (t. III. p. 553). Opowiada pod rokiem prawdziwym i kierunek wyprawy oznacza zgodnie z Possilgem. Wie tylko tyle więcej, że Witold mając słabsze siły, nie chciał otwartej walki i bronił jedynie stolicy. Ale za to każe nasz historyk i Świdrygielle w tej „rejzie“ brać udział. Że jednak Possilge nic o tem nie wie, a jest świadectwem współczesnem i bliższem, a Długoszowi z drugiej strony nie jest znaną wyprawa z 1402 r., więc można przypuszczać, że te dwie wyprawy zlał w jedną i zgodzić się, że Świdrygiełło w ostatniej nie był czynny. Wprawdzie po owej wyprawie z 1402 r. Świdrygiełło otrzymał od Krzyżaków zameczek Baiselanken, niedaleko granic późniejszej Warmii, by mógł się utrzymać i Litwę niepokoić (Possilge p. 259), a w rachunkach podskarbiego Zakonu czytamy często o pobycie Świdrygiełły w tym zameczku (Tressler-Buch p. 80—84 w „Codex Vitoldi“ p. 964 i Voigt „Gesch. Preussens“ VI. p. 225. uw. 3), ale pozytywnego dowodu, że brał udział w wyprawie z 1403 r. w rachunkach tych nie możemy znaleźć, choć na ich podstawie pobyt Świdrygiełły w państwie zakonnem w początkach tego roku jest bardzo prawdopodobny, a jego udział w wyprawie nie niemożliwym, tylko milczenie Possilgego byłoby w takim razie bardzo dziwne.

i spalił Dynaburg, a potem Jurginburg. Pierwej jeszcze Żmudzini spustoszyli Kurlandyę.[1]) Ta dywersya jest ostatnim krokiem wojennym przed zjazdem raciąskim, zarówno ze strony Kiejstutowica, jak i Krzyżaków.

Tym krokom wojennym towarzyszą ciągłe skargi krzyżackie do panujących europejskich. Są one jakby dywersyą znowu ze strony Zakonu, jakby odpowiedzią na skargę Jagiełły i Witolda, zaniesioną przed króla rzymskiego Ruprechta prawdopodobnie z końcem 1402. lub początkiem 1403 roku.[2]) Broni się więc Zakon naprzód 11. stycznia przed ks. lignickim,[3]) 23. kwietnia wysyła skargę do króla francuskiego i elektorów niemieckich.[4]) 23. maja do papieża i innych książąt.[5]) We wszystkich tych trzech obronach o zupełnie podobnej treści, jak owe z r. 1401 (odnośnie do Witolda: „zdrada“ na Żmudzi — odnośnie do Jagiełły: dostarczanie pomocy Witoldowi i sprawa dobrzyńska, co do której mimo śmierci Opolczyka, która jego stanowisko utrudniała, na niezmiennem stoi stanowisku, uważając Opolczyka za zupełnego pana tej ziemi i tym razem powołując się na jego spadkobierców z powodu śmierci księcia), jest wzmianka o zjeździe Konrada Jungingena z Jagiełłą, wzmianka żałobna, że mimo usiłowań Zakonu utrzymania z Polską pokoju, król polski tak niesłusznie go oskarża. Nie wiadomo o jakim tu zjeździe mowa: czy o owym z maja 1401 r., czy też jakim innym. Annalista toruński każe się wprawdzie zjeżdżać W. mistrzowi i Jagielle z końcem maja 1402 r.,[6]) ale znowu nie wie nic o tem Possilge, ani też w materyale dyplomatycznym żadnych nie spotykamy śladów. Jak więc to pogodzić? Otóż sądzę, że mimo, iż skargi mówią o zjeździe, to takiego zjazdu w 1402 r. nie było, bo wyrażenia niemieckie, jakie w skargach spotykamy: „fruntliche te dinge“ lub „fruntliche tage“ (co już trudniej i mniej słusznie), a łacińskie „tractatus“, nie koniecznie muszą oznaczać zjazd osobisty, ale wogóle rokowania, pertraktacye — a te, jak wiemy, w r. 1402. istotnie miały miejsce. Że te skargi krzyżackie są odpowiedzią na skargę Jagiełły, dowód widzę w braku takich skarg

[1]) Possilge, p. 265—266 i Annal. tor. p. 266.
[2]) Codex Vitoldi, nr. 262.
[3]) Voigt Codex, V. nr. 134.
[4]) Ibidem, nr. 135.
[5]) Ibidem, t. VI, nr. 146.
[6]) l. c. p. 257.

krzyżackich w 1402 r., a o ile wiadomo, Zakon rozsyła tylko wtedy skargi, jeżeli sam w podobny sposób zostanie zaatakowany. Dlatego sądzę, że skarga polska pochodzi z końca 1402 r. lub z początku 1403 r. [1])

Owe krzyżackie odpowiedzi są bardzo ciekawym i charakterystycznym pomnikiem swego czasu i obłudy Zakonu pod tym mianowicie względem, jak Zakon przedstawiał na Litwie chrześciaństwo i stan kulturalny i tych, którzy byli tego sprawcami tj. Jagiełłę i Witolda przed opinią Europy.[2]) Obok tego kulturalnego znaczenia (jako pomniki współczesne o stosunkach na Wschodzie), mają te skargi jeszcze tę wagę, że były one w ówczesnej polityce i stosownie do ówczesnych pojęć prawno-publicznych jednym ze środków dyplomatycznych, mającym nakłonić przeciwnika oskarżonego do jakiegoś ustępstwa. Po za tem nie należy im przypisywać wielkiego znaczenia, chyba że jeszcze dodamy, iż są świadectwami naprężonych stosunków sąsiedzkich danej chwili. Zwłaszcza dla Krzyżaków i przeciw nim był to dość dobry środek, bo oni zawsze zasłaniali się papieżem i cesarzem, a na opinię Europy, przynajmniej pozornie, bardzo uważali. W niniejszych skargach czy obronach piszą wyraźnie Krzyżacy, że traktat saliński zawarli z Witoldem z powodu jego i Jagiełły skarg przed Zachodem. Wiadomo dobrze, że tak nie było i zapewnieniom tym nie ma co wiary dawać, ale dla nieznającej stosunków na Wschodzie ludów zachodniej Europy, zapewnienie takie i wogóle wszelkie informacye przez Krzyżaków przysłane, wystarczały w zupełności, a Krzyżacy też z tego wielce wygo-

---

[1]) Podnoszę tę kwestyę, bo prof. Lewicki oskarżenie to oznaczając na rok 1403, dodaje pytajnik (Index, nr. 403).

[2]) Np. „unrechter beschuldigunge czihet her uns, wie wir (Krzyżacy) die houptkirchen und ander kirchen yn synen landen Littowen und Russen tylden, vorsterben und heeren, die her gebuwet hat und wedirbnet mit grosen kosten, Von keynen kostlichin kirchen uns nicht wissen-tlich ist. Ap sie do synt so ich doch offenbar, das sie gleicher sien eyme armen wonhuse, denne eyner kirchen und vil ungleicher, der Russen kirchen kostlichir synt wen der cristen, und ouch so ich es scheyn und offenbar, das wir und unser orden, als beschutzer und vorwechter syn gesaczt an den ort der gemeynen cristenheit wedir die ungloubigen...“ etc.: a nieco dalej: „das synt die cristen grusamlichin toten, die kirchen der cristenen lestern, die bilde der heilgen czuhonwen und offhengen, den geloubten frede czubrechen...“ etc. (Voigt Codex, VI. nr. 146).

dnego-i łatwego środka często korzystali. Dlaczego oskarżają teraz w roku 1403. Zakon, Jagiełło i Witold? Zdaje mi się, że król w tym celu, by doprowadzić do energiczniejszego i poważniejszego traktowania sprawy dobrzyńskiej, Witold zaś i król razem, by rozerwać związek Zakonu ze Świdrygiełłą, odzyskać swobodne ręce do uśmierzenia buntu, ciągle jeszcze na Rusi trwającego.

Dr. Maryan Goyski.

(Dokończenie nastąpi.)

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

Jeśliby kto innego radził użyć sposobu, ostrzegał Zebrzydowski króla, aby nim nie wywołał burzy i nie zaniepokoił całej Rzptej. Co się tyczy jego samego, to on jak dotychczas nie odmawiał desygnatowi kujawskiemu jak najlepszego świadectwa w Rzymie, tak i teraz nie odmówi mu go. Jeśli tego zajdzie potrzeba, zaświadczy chętnie wobec papieża o jego szlachetnym sposobie myślenia, o jego prawości i prawdziwej świątobliwości...[1] Zdaje się, podał Zebrzydowski tę samą radę złożenia wyznania wiary również Uchańskiemu, gdyż tenże jakby idąc za nią, przesłał do Rzymu w tym czasie na ręce kuryi papiezkiej jakąś obronę dotychczasowego postępowania swego i dążności swoich.[2]

Ale do burzy przeczuwanej lub pożądanej przez senatorów jeszcze nie przyszło w tym roku. Król bowiem idąc za głosem

---

[1] Kor. Zeb. nr. 873.

[2] Wierzbowski, Uchańsciana, V. 152, przyp. 1.

senatorów duchownych, nie wprowadził, jak zamierzał, nominata swego w fizyczne posiadanie biskupstwa. Z decyzyą ostateczną wstrzymał się do wyniku negocyacyj, jakie mieli podjąć w Rzymie Krasiński i Hozyusz.

Tymczasem zawisła nad Kościołem polskim ciężka, duszna atmosfera, która napawała wszystkich umysły dziwną trwogą i niepokojem o niepewne, nieznane jutro. Grozę sytuacyi podnosił zamierzony wyjazd z kraju jedynego rzetelnego obrońcy katolicyzmu — Hozyusza. Wprawdzie wyjazd jego miał być poniekąd zaszczytem dla Polski, miał wziąć bowiem na życzenie papieża udział w pracach przygotowawczych do soboru powszechnego i reformy Kościoła, mógł stać się orędownikiem spraw polskich w samem sercu chrześciaństwa, jednak z odjazdem jego tracił episkopat polski jedyną poważną siłę, którą się mógł zasłaniać i wysługiwać w walce o prawa swoje i katolicyzmu, tracił przewodnika moralnego, umiejącego karcić i nawoływać do pracy, będącego sumieniem całego kleru polskiego.[1]) Również ziszczała się wprawdzie teraz owa szumna zapowiedź, nadeszła z Rzymu przed dwoma laty na ręce Lippomana, że biskupi polscy będą niebawem wezwani „do zagojenia ran Kościoła i własnej Ojczyzny“,[2]) ale obecne wezwanie samego tylko Hozyusza z wyraźnem pominięciem biskupów właściwej prowincyi gnieźnieńskiej, było dla nich samych zamiast zaszczytem raczej moralnym policzkiem, jaki wymierzył im papież, nie mający do ich prawowierności katolickiej żadnego zaufania. A właśnie zanosiło się w Rzymie na rzeczy niezwykłe, udział jednego z biskupów właściwej Polski w mających rozpocząć się pracach, był bardzo wskazany dla dobra kleru i interesów katolickich polskich. Papież bowiem ukończył już wojnę hiszpańską, na którą zużywał dotychczas w porywającym

[1]) Hos. Ep. nr. 1919. W dalszym ciągu listu swego do kardynała Ottona Truchsessa, ze stycznia b. r. 1558, pisał tak o sobie Hozyusz: Iusto quidem sedulo atque urgeo apud eos, in quibus aliquod esse tuendae religionis praesidium oportebat — t. j. u biskupów, prałatów i u króla — sed irriti cadunt conatus mei propemodum omnes; qua ex re quantum doloris capiam, ipsa pro sua prudentia R. et Ill. Dtio V. conicere potest. Z powodu daremnych usiłowań swoich i Hozyusz popadał w zwątpienie; quam obrem cum apud nos nihil praesidii videam, quo confugiam alio, quam ad eos, qui sunt cardines orbis totius christiani, inter quos principem locum obtinere video R. et Ill. Dnem V.?...

[2]) Relacye Nunc. Ap. T. I. s. 31.

go szale wojennym wszystkie siły Kościoła i swego państwa, zawarłszy pokój z królem Filipem we wrześniu ubiegłego 1557 r.[1]) Ukończył wojnę, siejącą nienawiści rasowe i piętnującą znamieniem hańby imię chrześciańskie, bo prowadzoną przeciw arcykatolickiemu królowi hiszpańskiemu przez głowę Chrześciaństwa w interesie samolubnej polityki własnej, w przymierzu z sułtanem pogańskiej Turcyi, na czele wojsk arcychrześciańskiego monarchy francuskiego i rot najemnych, złożonych z protestantów niemieckich i szwajcarskich![2]) Dotychczasowe próby reformy, podejmowane przez niego, zagłuszane tą wojną, chybiały celu. Nikt nie słuchał głosu reformatora, który broczył w kałużach krwi chrześciańskiej, popełniał i tolerował zbrodnie w samem sercu katoli-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1568, list Samsona a Worcia do Hozyusza z Rzymu, dn. 3. marca 1556: Incredibile numque dictu, quantopere viri animus belli incendiis rerumque novandarum cupiditate ardeat: nil nisi bellum somniat, omnesque facultates Ecclesiae in milites erogat... Hos. Ep. nr. 1876, list Porębskiego z 6. listopada 1557: Rumore certo allatum est ad nos, summum Pontificem cum Philippo Regae Angliae pacis condiciones iusisse, quod utinam cum bono reipublicae christianae pangent (id quod factum est 14. septembris 1557).

[2]) Hos. Ep. nr. 1727, list Mik. Kromera z Bononii, dn. 19. marca 1557: Copiae Gallorum, quas Pontifex sibi in auxilium accivit, parvis itineribus in Apuliam tendunt. Classis quoque Turcarum ab eodem in subsidium vocata iam adventare dicitur. Imperatori nec milites nec naves desunt, quibus et terrestri et navali proelio par hosti sit. Reginam nostram (królowa Bona) magnam vim pecuniae in expeditionem huius belli Imperatori (Filipowi) dedisse certum est... (sumy neapolitańskie). O najemnych wojskach protestanckich, v. Ranke, Hist. papieży i papiestwa tł. Przyborowskiego T. III. s. 59. Piotr Caraffa, synowiec papiezki, zawarł przymierze z księciem Albrechtem, znanym poplecznikiem protestantyzmu. Hos. Ep. nr. 1786, list Piotra Wyścieleckiego, z 1. VII. 1557 r.: Venit hic Gedanum ex Roma Iulius, filius Alexandri Sculteti, quondam Canonici Varmiensis, qui nil aliud narrat, tantum bellum atrox esse inter Caesarem (Karolem V., ojcem Filipa II.) et Regem Franciae (Henrykiem II.) ac summum Pontificem: et Turca summum Pontificem et Regem Franciae iuvat. Regnum Neapolitanum modo oppugnatur. Paweł IV. nienawidził cesarza Karola i jego syna Filipa. Jak mówi Ranke, obok gorliwości reformatorskiej, jedyną jego nienawiścią była ta nienawiść... (s. 53), pocieszał się wierszami, że zjadliwe węże deptać a na ogromnym smoku jeździć będzie, że nadszedł czas, w którym cesarz Karol i jego syn za grzechy swoje otrzymają karę, że uwolni od nich Włochy (s. 54) i „od tyranii Hiszpanów“; „tych schizmatyków i kacerzów, wyklętych od Boga, nasienia Żydów i Maurów, motłochu świata“ (s. 54).

cyzmu.[1]) Odczuwał to papież, dlatego surowo zakazywał pisać o tem, co się działo podczas wojny we Włoszech i w Rzymie.[2])

Aliści obecnie rozpętane mściwą ręką jego żywioły nienawiści rasowych i zawiści politycznych, miały uciszyć się, wszyscy mieli wspólnemi siłami jąć się dzieła poprawy podupadłego Kościoła. Mógł więc cieszyć się Hozyusz wiadomością, że dawny „Teatyn" przestał grać rolę „żołnierza".[3]) że przestał „szaleć" i „rozkoszować się chrzęstem machin spiżowych", mógł się spodziewać Przerębski, że może teraz jakaś „pomoc" z Rzymu nadejdzie, skoro „Mars" z niego ustąpił.[4]) mogli przypuszczać ludzie dobrej woli, że zabłyśnie jutrzenka lepszej przyszłości, gdy zamiast „szczęku broni, haseł wojennych, huku machin oblężniczych, świstu pocisków, wrzasków żołnierzy i bicia w bębny"[5]) — rozlegać się będą po stolicy Chrześciaństwa radosne głosy reformy. Wstępem do niej miały być konferencye, jakie papież zamierzał odbyć w Rzymie z wybitniejszymi biskupami katolickimi. Idąc za radą Lippomana, przeznaczył na uczestnika tych konferencyj z grona biskupów Rzptej Hozyusza, jako człowieka czynu, niezłomnego katolika i gorliwego pasterza. Na wybór osoby jego był zdecydowany już we wrześniu, breve powołujące go do Rzymu podpisał dn. 22. października t. r., zwrócił się również z prośbą do króla o pozwolenie dla niego na wyjazd a zarazem wystosował do niego samego jeszcze dwa listy z datą 18. grudnia t. r. i 8. marca 1558 r., nagląc go w nich do pospiechu w podróży.[6]) Równocześnie naglił go do niej jego protektor Lippomano.[7])

---

[1]) Ranke, jak wyżej, s. 56—60.

[2]) Hos. Ep. nr. 1770, list z Rzymu, dn. 5. czerwca 1557 od Jak. Tymmermana, kan. warm. do H.: De statu Urbis totiusque Italiae licet plurima scribenda essentiedicto tamen et mandato Principis non licet: publico enim praecone ante triduum cautum est sub poena gravissima, ne quis de rebus bellicis allisve Urbis totiusque Italiae condicionibus quidpiam scriptis mandet, sive quotidiano colloquio alteri communicet.

[3]) Wyrażenia Hozyusza, v. Hos. Ep. nr. 1561.

[4]) Wyrażenia Przerębskiego, v. Hos. Ep. nr. 1842.

[5]) Wyrażenia Samsona a Worcia, v. Hos. Ep. nr. 1868.

[6]) Hos. Ep. App. nr. 82; Hos. Ep. nr. 1894, 1925, v. Rel. Nunc. Ap. T. I. s. 68—69.

[7]) Hos. Ep. nr. 1837, list z 30. września 1557; nr. 1865, list z 29. października 1557; nr. 1897, list z 23. grudnia 1557; nr. 1926, list z 9. marca 1558.

Breve papiezkie wraz z towarzyszącymi mu listami otrzymał Hozyusz niebawem po zjeździe wolborskim, podjął też zaraz usilne starania u dworu o konsens królewski na wyjazd z granic Rzptej.[1]) A nie posiadał się z radości, że miał jechać do Rzymu. I dniem i nocą o niczem innem nie myślę, jak tylko o Rzymie, pisał przejęty doniosłością swej misyi do dworu. Spieszył się z wykończeniem nowej pracy treści religijnej pod tyt.: De expresso Dei verbo, pisanej w formie listu do Zygmunta Augusta, którą właśnie w tym roku wydać zamierzał.[2]) Zdawały się odurzać go wesołe nowiny o mającej rozpocząć się reformie, przesłane mu przez papieża w słowach: „Już nieraz próbowaliśmy wziąć się do poprawy obyczajów i restauracyi podupadłej dyscypliny kościelnej, w tym celu codziennie niemal ogłaszaliśmy jakieś dekreta. Ponieważ zaś teraz pragniemy złożyć koncylyum generalne celem uporządkowania Kościoła i wyplenienia z niego herezyi, zdało się nam rzeczą stosowną powołać do siebie tych i owych z każdej narodowości, aby nam swych rad udzielili, jak mamy tę rzecz pożytecznie i dobrze załatwić. A że wiemy, jaką korzyścią będzie dla nas twoja osobista usługa z powodu twojego niepospolitego wykształcenia, twojej prawości i znajomości spraw królestwa polskiego... jako też pojmujemy, że powinniśmy jednego z biskupów tego królestwa do rady tylu mężów powołać, napominamy w imię Boga W. W., abyś... zwinąwszy zarząd twego Kościoła, zniósłszy się z naszym najdroższym w Chrystusie synem Zygmuntem Augustem, królem polskim, do którego także piszemy, i wyłożywszy mu w naszem imieniu powody twojego wyjazdu, puścił się jak najprędzej w drogę i podjął się chętnie trudów dla dobra tego królestwa i całej Rzptej Chrześciańskiej...“[3]) Tem więcej czuł się dumnym z uznania i zaszczytu, którym go papież z pośród biskupów Polski wy-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1931, tekst i przypis 3.

[2]) Tamże i przypis 2. Wyszło to dzieło tego roku w Dyllindze. Przesłał je także w odpisie do Wilna jeszcze przed wyjazdem z Polski. Czytał je król, podkanclerzy, teologowie Rotundus i Pikarski, wszyscy je podziwiali v. Hos. Ep. nr. 1935, v. także, nr. 1948, 1953. Jan Łaski na to dziełko w rok później 1559 odpowiedział dziełkiem „De oppresso verias quam expresso Verbo Dei“, drukowanem w Pińczowie i dedykowanem I. Tarnowskiemu, v. Bibliografia Hist. Pol. nr. 15026 (Responsio ad articulos Hosii, Pińczów 1558, 1559?) i De oppresso verbo Dei (E. IX. 98. b. r.).

[3]) Ustępy z listów papiezkich, cyt. wyżej.

różnił, że równocześnie spadały nań cierpkie jakieś wyrzuty ze strony dworu wileńskiego, jakoby zanadto na złe czasy narzekał. Odpowiadał bowiem na nie gryzącą ironią, skierowaną przeciw członkom dworu i wszystkim biskupom, którzy ponosili wspólnie z nimi winę za upadek Kościoła. Ja zaiste nie żalę się, — pisał do Karnkowskiego — lecz dzięki składam, że mię od swych narad wyłączacie. Cóż mi do Rzptej, cóż mi do religii, gdy w brzuchu mi dobrze?! Wspólny łączy mię los z innymi biskupami, pisze W. W., przynajmniej takiego losu życzą sobie inni, boć jeszcze za mało zebrali pieniędzy, którymiby się wykupić mogli od obowiązków senatorskich i biskupich (!). Wdzięczny jestem, że mię od nich zwalniacie za darmo. Skorzystam z dobrodziejstwa waszego i będę tylko o własną skórę się troszczył. Wszak to większa połowa szczęścia, zdala od wszelkich trosk, jedynie jeść i pić. Niech ginie, kto się troszczy o jutro. Ale oto gdy to piszę, zazdrości mi tego szczęścia los, chce, abym był biskupem, abym się nie troszczył za przykładem innych o własną tylko skórę, do czego i wy zdajecie się mię zachęcać, lecz abym pełnił swój urząd. Wezwany jestem do Rzymu przez Ojca św., który tam reformacyę prowadzić zamierza. Rzecz, polecona mi, trudna jest i niebezpieczna. Lecz cóż pocznę? Woła ten, którego nie słuchać — znaczy odstąpić. Tymczasem wy zupełnie nie macie ze mnie pożytku, macie bowiem wojewodów, wileńskiego i malborskiego — Mik. Radziwiłła i Achacyusza Czemę, dodam i pomorskiego — Fabiana Czemę. Zupełnie teraz wam nie trzeba rady innych, wystarczą oni sami do informowania was o wszystkiem. Pragnę przyspieszyć mój wyjazd, chciałbym puścić się w drogę w miesiącu maju...[1])

Ale Zygmunt August nie bardzo był rad z powołania Hozyusza do Rzymu. Zrazu nawet zupełnie sprzeciwił się wyjazdowi jego, nie chcąc tracić takiego człowieka w tak niepewnych i ciężkich czasach. Pozwolił mu na wyjazd dopiero na skutek perswazyi Jana Przerębskiego i dr. Łukasza Aquilina, widzących w powołaniu Hozyusza do stolicy chrześciaństwa wielką korzyść i niemały zaszczyt dla Polski.[2]) Jednakże dając mu pozwolenie, nakładał nań trudny obowiązek przekonania papieża, że powinien zatwier-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1931, list do Karnkowskiego z końca marca 1557 r.

[2]) Hos. Ep. nr. 1934, 1935.

dzić traslacyę Uchańskiego, jeśli nie chce zmusić go do użycia środków, które wywołają w królestwie jeszcze większy zamęt i bunt przeciw religii, polecał mu również, aby starał się w Rzymie o przyspieszenie tego soboru powszechnego, na którym ma się dokonać tak pożądana reforma obyczajów i instytucyj kościelnych.[1]) Podobnie, jak król, przyjął również prymas z wielkim smutkiem wiadomość o powołaniu Hozyusza do Rzymu. Widział wprawdzie w niem tak samo, jak Przerębski lub Aquilinus wielki zaszczyt dla osoby Hozyusza i dla narodu polskiego, ale zarazem bolał nad tem, że Kościół polski traci go w tak niezmiernie krytycznej dla siebie chwili.[2]) Tak samo cieszył się i bolał Dąbrowski, kanclerz prymasa. Zdawało mu się, że zaszczyt, który go spotyka, nie wynagrodzi straty, jaką poniesie kler polski z powodu jego nieobecności. Któż bowiem, jeśli nie Hozyusz był dla niego w tych burzliwych czasach radą i pociechą? Widocznie nań gniewa się Bóg, skoro pozbawia go teraz takiego, jak on tęgiego człowieka.[3]) Niejaki Sebastyan, kustosz kurnicki, również ucieszony i zasmucony wieścią o zaszczycie Hozyusza, pisał do niego: „Dziękuję za to Panu Bogu, iż raczy pobudzać serca przełożonych naszych — scl. papieży — aby się o to starali, jakoby obłądzone owce jego i rozprószone do owczarnie jego zegnali, a te, które się jeszcze trzymają, aby zatrzymali i żeby się nie rozpraszali. Rozumiem temu iż będzie nie mało tych, którzy chcą Kościół święty rozerwać — scl. w Polsce, — którzy się będą cieszyli tym, iż W. M. nas na czas opuścić będzie raczył, a my się z tego będziemy smącić: ale mamy tą nadzieję, iż smutek

[1]) Hos. Ep. nr. 1932, 1948, listy króla z 16. kwietnia i 5. maja 1558 r. Dodatkowo poruczył mu także legacyę do króla rzym. Ferdynanda. Miał mu Hozyusz z okazyi wyboru jego na cesarza, dokonanego dnia 8. marca 1558 r., w jego imieniu i w imieniu Katarzyny złożyć gratulacye v. Hos. Ep. nr. 1938, list króla z 26. kwietnia t. r. Musiał więc podróż swoją skierować w tym celu na Wiedeń. Miał tam również poruszyć sprawę spadku po matce królewskiej Bonie, zmarłej 20. listopada 1557 r. chodziło o wydobycie sum z rąk Filipa II., które od niej pożyczył był na wojnę z papieżem. W tej sprawie bawił w tym czasie we Wiedniu w charakterze posła królewskiego dr. Marcin Kromer, miał tedy Hozyusz działać z nim wspólnie, v. Hos. Ep. nr. 1911, 1938, także Przeździecki, Jagiellonki polskie, T. III. p. 291. Do samego króla Filipa miał jechać w sprawie sukcesyi barskiej Wojc. Kryski, podkomorzy płocki, v. Hos. Ep. nr. 1920.

[2]) Hos. Ep. nr. 1949.

[3]) Hos. Ep. nr. 1950.

nasz niedługo obróci się w wesele a przeciwnicy nasi a nieprzyjaciele Boży rozprószą się a sromać będą; o co ja z kapłany swoimi Pana Boga prosić będziemy i inszy wierni, którzy Pana Boga i chwałę jego miłują.“ [1]) Słowa te mogą być wyrazem opinii szerszych kół kleru katolickiego, żegnającego z żalem szczerego obrońcę praw Kościoła. [2]) Ze strony biskupów koronnych, jeden tylko Andrzej Noskowski, biskup płocki, przesłał mu na drogę gratulacye i życzenia. — „aby wszystkie sprawy z pożytkiem dla wiary katolickiej załatwił, a później szczęśliwie do Polski powrócił.“ Żegnany i żałowany, oddawszy administracyę swej dyecezyi kapitule warmijskiej, [3]) opuścił Hozyusz w połowie czerwca b. r. granice Rzptej, spiesząc drogą na Wiedeń do Rzymu. [4])

Nie wiadomo, o ile Zebrzydowski brał udział w radości i smutku kleru polskiego z powodu wyjazdu Hozyusza. Wiadomo natomiast, że stosunek jego do Rzymu, do którego tenże w tak zaszczytnej misyi został powołany, nie był zadowalniający a nawet poniekąd nagany godny w tym czasie. Przez Jana Wysockiego, posła królewskiego, zanosił właśnie jakieś prośby do kuryi rzymskiej na ręce zaprzyjaźnionego z sobą Jakuba Puteusa, wiceprotektora Polski, mające za przedmiot nie interesa religijne i kościelne, lecz sprawy czysto osobiste, darowiznę miesięcy apostolskich lub widoki jego klientów i nepotów, ścielących sobie drogę do Rzymu protekcyą możnego biskupa i wpływowego kardynała. O miesiące apostolskie walczył w tym czasie z energią godną lepszej sprawy. Między zarządzeniami, które porobił Paweł IV. w pierwszych dniach swego pontyfikatu, było także zniesienie zwyczaju obdarowywania tymi miesiącami, przysługującymi papieżowi, biskupów lub prałatów kościelnych. Zebrzydowski tracił wskutek tego koncesyę, którą sobie w 1553 r. z takim trudem wywalczył. Gniewało go to i oburzało. Nie trafiała mu do przekonania perswazya kardynała Puteusa, że powinien znieść spokoj-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1945.

[2]) Hos. Ep. nr. 1939, 1947, 1952, 1953. Żegnał go Karnkowski, archid. pł. Głogowski, kan. pł. L. Podoski, kan. warm. Fabian Emerich. — List biskupa Noskowskiego z 29. IV. 1558: Hos. Ep. nr. 1942. — Posiadamy także list pożegnalny jednego z biskupów pruskich, Jana Lubodzieckiego, biskupa chełmińskiego: Hos. Ep. nr. 1955.

[3]) Hos. Ep. App. nr. 82. Locatio Episcopatus Varmiensis, 1558, Mai 11. Heilsbergae.

[4]) Porównaj Bukowski, T. II. s. 503, Wierżbowski, Uchańsciana T. V. s. 161,

nie cios, który wymierzył papież wszystkim zarówno, że, skoro go nie spotkało nic wyjątkowego, nie powinien on być jakimś wyjątkiem.[1]) Gdzie bowiem szło o jego „własną skórę“, był głuchy podobnie jak inni biskupi na wszelkie moralne refleksye, nie umiał wznieść się na wyższy poziom dobra publicznego. był takim, jakim nie był i nie chciał być Hozyusz. Ponieważ reformy papiezkie szkodziły jemu, tem samem w mniemaniu jego były ogółem złe. Bezwątpienia także zapatrywał się z samego początku na te reformy sceptycznie. Zamieszkawszy u schyłku 1557 r. jakiś czas w swojej rezydencyi krakowskiej, miał sposobność utrwalić się w tem przekonaniu, że groźne dekrety i szumne zapowiedzi reform kościelnych, wychodzące z Rzymu, nie zapewnią nigdy pokoju Kościołowi, narażanemu na ataki innowierców, nie uznających powagi i woli papieża, tem bardziej, że również i w Krakowie tak samo jak w całej Polsce nie dawano tym reformom posłuchu i wiary, wiedząc dobrze o tem, co się równocześnie działo w samym Rzymie z przyczyny i za sprawą papieża. Zresztą reforma samego Kościoła i kleru jego, zdawała mu się właściwie zbyteczną. Wszak o sobie zawsze był jak najlepiej przekonany. Raczej wierzył w potrzebę walki z wrogami swymi i Kościoła jako jedynego lekarstwa na rany jego. Walki tej tem goręcej pożądał, im więcej czuł się skrępowanym więzami edyktu warszawskiego. Wyglądał tedy interwencyi króla, poparcia władzy świeckiej, z pomocą której możeby pozbył się jakim doraźnym środkiem wrogów swoich, zakłócających mu spokój, poniżających jego powagę biskupią i wydzierających mu z ust smaczne kąski chleba duchownego. Odczuwał z tego powodu bardzo nieobecność króla w Koronie.[2]) Próbował wprawdzie ukrócić samowolę Jana Bonara, który mu się najwięcej dawał we znaki, naraził się jednak na smutne rozczarowanie. Bonar urągając jego władzy biskupiej, dopuścił się w tym właśnie czasie, kiedy on zdawał się osobiście interesować sprawami swej dyecezyi, takiego samego gwałtu na kościołach w Książu, jakiego niegdyś dopuścił się w Pińczowie Oleśnicki. Sposobność do tego wyszukał sobie podczas pogrzebu teściowej swojej Tęczyńskiej, wojewodziny sandomierskiej a rodzonej siostry Łaskiego, zmarłej w lutym 1558 r. w Książu. Chociaż

[1]) Kor. Zeb. nr. 869, 871, listy Jak. Puteusa do Zebrzydowskiego.

[2]) Kor. Zeb. nr. 872, 873, listy Zebrzydowskiego do Zygmunta Augusta.

Tęczyńska życzyła sobie być pochowaną po katolicku, jednak on razem z Łaskim wyprawił jej pogrzeb ewangelicki, po pogrzebie zgromadził na zamku przedniejszych mieszczan i wygłosił do nich mowę o nowych obrzędach, o zepsuciu prawdziwej wiary i religii w obrzydłym Babilonie papieskim, zalecając im słuchać słowa Bożego, głoszonego przez Łaskiego, Lutomirskiego lub Krowickiego, a w końcu oświadczył obecnym księżom katolickim, że pod tym tylko warunkiem mogą zostać nadal przy Kościele, jeśli porzucą papieża i mszę katolicką. Kiedy jednak księża zgorszeni tem oświadczeniem wśród płaczu i narzekań — „starłszy proch z obuwia swego" — opuścili miasto, wówczas wprowadził na ich miejsce tak do kościoła jak do klasztoru książskiego ministrów kalwińskich. Wiadomość o tym gwałcie oburzyła do żywego naszego biskupa. Żalił się na Bonara przed Tarnowskim, Ocieskim i Tęczyńskim, oskarżał go do króla, ale król, do którego także Bonar apelował, całą sprawę odłożył do sejmu, aby snadź nie narazić się wpływowemu a możnemu poplecznikowi licznych dysydentów.[1]) Strapiony biskup takim obrotem rzeczy, chciał sam poszukać sobie na nim sprawiedliwości, wystawił się jednak na pastwę ironii i szyderstw rozzuchwalonego wroga. Donosił o tem w przededniu zjazdu wolborskiego w pełnych gniewu i goryczy słowach królowi, żalił się, że z powodu ciężkiej a przykrej rozprawy z Bonarem, nie miał paru godzin swobodnych do wypoczynku i wytchnienia, że jest nią zupełnie wyczerpany, narzekał w końcu: „Dożyliśmy takich czasów, takich ludzi, że ustawicznie albo cierpieć, albo skarżyć się albo płakać musimy. Nieraz ubolewamy i płaczemy nad niedolą i nędzą ludzi, których nieprzyjaciel opanował, lecz nie mniejszą zaiste jest niedola nasza, która nas codziennie nęka, sprowadzona nieokiełznaną swywolą niektórych, co chociaż wyznają się katolikami, bynajmniej nimi nie są, bo samych barbarzyńców i scytów złośliwością swoją i nieludzkością już dawno przewyższyli, którzy dziedzictwo Chrystusa zagarnęli,

---

[1]) De violato atque everso in Ecclesia Ksyążnensi antiquo religionis cultu: deque Cracoviensis Episcopi in eo reparando cura et studio. Alberti Nినincii ad Raphaelem Celestinum Epistola, anno Domini 1553, podany przez Łukaszewicza w Dziejach kośc. wyzn. helw. w Małopolsce s. 17—18 w przypisie 1. — Bukowski, II. s. 497, przytacza jeszcze list Łaskiego do Kalwina z 5. sierpnia 1558, w którym donosi tenże Kalwinowi, że Bonar powyrzucał mnichów i bałwany w pewnem mieście swojem i zreformował tam kościół, że Zebrzydowski zrobił mu za to tragedyę, v. Corp. Ref. XVII. nr. 2931.

którzy wszelki kult Jego obalili, którzy nadużyli dobrotliwości króla... Ale to wszystko lepiej strawić w milczeniu, niż ból przypominaniem odnawiać..." [1])

W słowach powyższych odzwierciedla się ta apatya duchowa, ta gorycz i niemoc, jakie opanowały biskupów polskich po sejmie warszawskim. Potęgowała je obawa, podsycana coraz gorszemi wieściami z obozu innowierców, że sejm następny jeszcze sroższy zgotuje im los. Dręczeni tą obawą, jak z jednej strony chcieli widzieć króla w Polsce, licząc na to, że obecność jego może być sama przez się obroną zagrożonego katolicyzmu, tak z drugiej strony woleliby byli, aby król zupełnie nie zwoływał sejmu a przynajmniej zwołał go w jakim dalekim terminie. Ale samolubne życzenia ich mijały się z potrzebą chwili. Już bowiem po wyprawie inflanckiej wyłoniła się kwestya przyszłego sejmu, która z dniem każdym stawała się coraz bardziej żywotną i bliską spełnienia. Rozchodziło się tylko o wybór miejsca i o charakter sejmu.

Król, jak zwykle, ani nie myślał spieszyć się z powrotem do Polski, tem mniej narażać się na nową kampanię z szlachtą polską, która go zawsze kosztowała tyle zdrowia, sił i cierpliwości. Ale do powrotu do Polski i do ponownego zbliżenia się do szlachty skłaniały go ponowne potrzeby, których bez jej pomocy zaspokoić nie mógł. Kresy wschodnie, ustawicznie narażone na graniczne spory z Tatarami, były zagrożone więcej, niż kiedykolwiek przedtem wojną z ich opiekunką Turcyą, która od jakiegoś czasu szukała okazyi do zerwania przymierza, łączącego ją z Polską. Wysłany w 1556 r. podług uchwały senatorów na październikowym zjeździe warszawskim Andrzej Bzicki, kasztelan chełmski, w charakterze posła do Solimana celem powinszowania mu szczęśliwego powrotu z wyprawy perskiej i polecenia jego względom królowej Izabelli i jej syna Jana Zygmunta Zapolyi, [2]) przywiózł właśnie z Turcyi niewesołe wieści, jakoby groźny sułtan, zrażony do Polski, tak z powodu kwestyi siedmiogrodzkiej, jak owych sporów granicznych, myślał o zaborze jej choćby na rzecz swego lennika, Jana Zygmunta, tem bardziej, że słyszał, jakoby Zygmunt August nie miał żadnej nadziei potomstwa.[3]) Tak z powodu owych

---

[1]) Kor. Zeb. nr. 872, list z Miechowa do króla, dn. 7. marca 1558 r.

[2]) Hos. Ep. nr. 1674.

[3]) Hos. Ep. nr. 1869, list Jana Ocieskiego, z 3. listopada 1557.

wieści z Turcyi, jak z powodu grożącego niebezpieczeństwa od pobliskich Tatarów, trzeba było mieć się na baczności i przysposobić się do obrony granic i całości państwa. Zwołanie sejmu w tym celu było konieczne. Król myślał nawet o pospolitem ruszeniu, chciał zgromadzić Polaków i Litwinów w miejscu otwartem w pobliżu granic wschodnich, gdzieby mógł rozwinąć lepiej swoje siły zbrojne. Decydował się wreszcie na sejm do Parczowa, leżącego w województwie lubelskiem, który zwołać zamierzał z wiosną 1558 r. a na który zaprosić chciał pod pretekstem unii Litwinów.[1] Zebrzydowski, zapytywany razem z innymi senatorami w tej materyi o zdanie, nie brał rzeczy tak gorąco, jak król. W liście swoim z 26. grudnia t. r. 1557. starał się przekonać monarchę, że nie ma obawy wojny z Turcyą, bo sułtan bezwątpienia dochowa przymierza z Polską. Radził tedy w sprawie nowych sporów granicznych, dla załatwienia których miał sułtan przysłać na granice komisarzy swoich, wyprawić do nich komisyę, z pewnym tylko pocztem dworzan bez asystencyi zaciężnego wojska i załatwić z nimi całą sprawę pokojowo i rzetelnie, zaś koszta tej komisyi pokryć pieniądzmi pozostałymi z funduszów uchwalonych przez sejm warszawski na wyprawę inflancką.[2] Radą tą chciał usunąć Zebrzydowski potrzebę zwoływania sejmu. Ale potrzeba ta z dniem każdym wzrastała. Kanclerz Ocieski i wojewoda Tęczyński, chwilowo bawiący w Wilnie, usilnie namawiali króla do zwołania sejmu, chociaż wiedzieli, że pojawić się na nim mają nawet teologowie zagraniczni, aby czuwać nad przebiegiem debaty religijnej, mającej być według recesu warszawskiego i piotrkowskiego, jednym z pierwszych punktów programu sejmowego.[3] Decydował się też król koło Zielonych Świąt 1558 roku wrócić do Polski,[4] ale wahał się nieustannie w wyborze miejsca dla sejmu i w oznaczeniu jego charakteru. Wyraz tego wahania swego złożył w okólniku z daty 18. lutego t. r., którym pytał o zdanie senatorów, czyby nie można sejmu złożyć na wiosnę

---

[1]) Tamże.

[2]) Kor. Zeb. nr. 870, list z Bożęcina. Porównaj list Uchańskiego w tej sprawie z dnia 17. grudnia 1557, v. Uchanściana I. s. 25, nr. 11. Uchański radził także wysłać komisarzy na granicę do układu z Turkami.

[3]) Hos. Ep. nr. 1869, 1893, 1906.

[4]) Hos. Ep. nr. 1872, 1930.

jedynie dla załatwienia kwestyi obrony państwa z pominięciem kwestyi religii i egzekucyi.[1]) Jednak takiego sejmu nie pochwalali senatorowie. Zdaniem ich, mógł być zwołany tylko taki, któryby mógł według recesów poprzednich sejmów zająć się egzekucyą praw.

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

[1]) Zakrzewski, Powstanie i wzrost w przypisach VII. s. 262. z Metr. Kor. ks. 91. f. 124, Uchańsciana IV. 197.

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

Z drugiej jednak strony, moralne położenie sprawy pogorszało się: prawda na wierzch wychodziła... Dowiedziała się Warszawa ze stosunków mieszkańców z obozem, że bitwa Ostrołęcka była istotną klęską: dowiedziała się o wielkich błędach Skrzyneckjego w prowadzeniu wyprawy na gwardye i o tem, że Giełgud mógł być ściągnięty z pod Łomży i zrobić potężną dywersyę w czasie samej bitwy, lub po jej ukończeniu: wreszcie, że istotnie był odcięty.

W następstwie czego: „Skrzynecki stracił ufność w siebie i w sprawę, wzajemnie u narodu ją postradał" (Historya).

Prusy i Austrya przyjęły wprawdzie wyrzeczoną przez Francyę i Anglię zasadę nieinterwencyi, dziwnie jednak i jednostronnie ja sobie tłómacząc. Zamknęły szczelnie granice od Królestwa, rozciągnęły kordony swych wojsk pod pozorem cholery. W Księstwie Poznańskiem zaprowadzono stan oblężenia. Prusacy przejmowali nasze listy, raporta naszych agentów dyplomatycznych, schwytali 16.000 karabinów, jakie paryska nasza agencya tajemnie powstaniu przesłała: zabrali idący transport ryżu dla wojska z Hamburga, wagi miliona funtów; kuryerowie rossyjscy bez kwarantanny puszczani byli przez ich granice, dla Rossyan było wszystko: zapasy żywności, furażów w Prusach się zakładały,

wpędzone wojska rossyjskie inną drogą do swoich wracały: nasze przeciwnie rozbrajano natychmiast i internowano.

Jeszcze gorzej szło w Sejmie, w umyśle i sumieniu Skrzyneckiego. Choć współczesny, ale nie świadek wynikłych niesnasek, aby prawdziwy ich obraz przedstawić, wolę dosłownie przepisać wierny ich opis z dzieła Morawskiego, nadmieniając, że podobne echa do naszego obozu dochodziły.

„Upoważniony uchwałą sejmową z dnia 24. stycznia do układów o zawieszenie broni, generał Skrzynecki, rozszerzając nad miarę prawo i rozumienie tej uchwały, wszedł był nieszczęśliwie od chwili objęcia buławy na te same drogi, które uwiodły Chłopickiego. Gdy go wbiły w dumę odniesione zwycięstwa, nie poprzestał na rozmowie parlamentarnej z Dybiczem w miesiącu marcu, otworzył na swoją rękę samowolnie z głównej kwatery w Jędrzejowie korespondencyę dyplomatyczną na wsze strony. Wpłynęło to niepomału na ówczesną jego bezczynność, a takie wdzieranie się w prawa Rządu, sprowadzić musiało prędzej czy później, szkodliwe z tym Rządem starcie. Już takowe objawiła odezwa, którą odebrał w Jędrzejowie. Po klęsce Ostrołęckiej zwiększyć się oczywiście musiało. Z Jędrzejowa, okryty blaskiem zwycięstw, mógł i odpowiedział z przekąsem: teraz trudniejszą miał sprawę. Otóż, aby sobie uprzątnąć drogi i wolniejsze mieć ręce do układów, w których tem bardziej teraz upatrywał zbawienie, zapragnął generał Skrzynecki zupełnej odmiany w Rządzie. Dawało mu otuchę, przychylne widokom jego stronnictwo konserwacyjne, o którem wspomnieliśmy: ośmielało wyniesienie na ministra spraw zagranicznych Horodyskiego, którego już niegdyś jako referenta przy boku księcia Poniatowskiego, sam Rządowi w czasie wszechmocy swojej nie bez przyczyny naznaczył; ośmieliło go też pod naciskiem tegoż stronnictwa, usunięcie ministra skarbu Biernackiego, którego zastąpił kasztelan Leon Dembowski.

„Myśl swoją, wyraźne oskarżenie Rządu, objawił generał Skrzynecki deputacyi sejmowej, która go powitała na Pradze, prawiąc jej o różności zdań w Rządzie i jego składzie, nazwał takowe systemem anarchicznym. Wystawiał, jaka ztąd wyniknąć musiała niemoc w działaniach: winom Rządu, niby niedostatkowi żywności, przymusowi do nieszczęśliwej wyprawy, nie wahał się nawet przypisywać ostatniej klęski. Do wytoczenia wniosku wybrał posła jędrzejowskiego, Jana Ledochowskiego, popularnego detronizacyą Mikołaja, a powiązanego owego czasu z stronnictwem konserwacyjnem. Wzmiankował, że — jak na pamiętnem posie-

dzeniu Sejmu — Ledochowski wytoczył sprawę 1. czerwca, opatrzony w dokumenta dyplomatyczne, w świadectwa agencyj dyplomatycznych zagranicznych, jakoby obce mocarstwa w Rządzie pięciu widziały dawne nierządnictwo polskie i dlatego traktować z nim nie chciały... Uderzająca była sprzeczność w argumentacyach jego. Wniosek, rzetelnie podawanymi przez niego powodami wywołany, objął by koniecznie rozwiązanie, albo przynajmniej odroczenie Sejmu. Co zatem zwał generał Skrzynecki systematycznym anarchizmem, daleko łatwiej zastosować by się dało do Sejmu nieustającego, wszechmocnego, w którym rozwaga śmielej nierównie dojrzeć by mogła podobieństwa do dawnego nierządnictwa. O rozwiązaniu zaś czy odroczeniu Sejmu, bynajmniej mowy nie było i owszem: sam autor wniosku oświadczył wyraźnie, że nie wie do czego by się posunął, gdyby kto chciał niegdyś francuski Brumaire (rozegnanie Izb) naśladować!

„Rząd pięciu, każdy o tem dobrze wiedział, że był czasowym, wypływał tylko z bieżących potrzeb. Po Chłopickim nie było nikogo, coby przedstawiał konieczne do dyktatury warunki, coby mógł ją wziąć, nie czekając aż mu daną będzie. Złożono więc Rząd najodpowiedniejszy okolicznościom. Ale naród, uznawszy raz głośno i jednozgodnie monarchię konstytucyjną, jako jedynie odpowiadającą potrzebom swoim, wcale od tego postanowienia nie odstępował. Usilne starania Rządu o kandydata do korony, nie były tajne Europie: widzieliśmy, jak ją nadstawiał domowi austryackiemu. W tej nawet chwili, rozbierając nasuniętą kwestyę, mówił Niemojowski Wincenty na naradach Rządu: „nie mamyż Jagiellona?“

„Jagiellonowie, odpowiedział prezes Rządu, Czartoryski (do którego to było powiedziane) oddali już wszystko Ojczyźnie, co mieli — od Habsburgów mieć moglibyśmy poparcie, którego nam potrzeba“. Europa więc mogła być zupełnie spokojną, co do spodziewanej formy rządu w Polsce“ etc.

A dalej:

„Stało się gorzej jeszcze. Powaśniony z Rządem i Sejmem generał Skrzynecki, nie był w dobrem porozumieniu z podwładnymi swymi: nie umiał sobie zjednać miłości, jaką szczycił się książę Józef Poniatowski. Starsi generałowie niechętnie mu ulegali. Szembek porzucił czynną służbę zaraz po bitwie Grochowskiej; Krukowiecki nie wstrzymał się od nieprzyzwoitego listu po klęsce Ostrołęckiej i oddalony został. Umińskiemu, któremu do-

pioro co oddawał pochwały za najmężniejszy opór, jaki tenże stawił pod Jędrzejowem, odmówił zasłużonych nagród dla najwaleczniejszych, a nawet za nieco żywe upomnienie się o takowe, odebrał dowództwo, podsuwając tak i na niego podejrzenie o winy klęsk ostatnich, aby takowe od siebie odsunąć! Z młodszych generałów, Chrzanowski porzucił sztab główny po kłótni, którą stoczył przy naleganiu o wydanie walnej bitwy pod Kuflewem (25. kwietnia): z Prądzyńskim zapaliła się straszna niechęć w Troszczynie. Jak w Sejmie, tak tworzyć się poczęły stronnictwa w obozie. Prądzyński odpychając od siebie winę klęski Ostrołęckiej, zagniewany o udaremnienie pomysłów i zabiegów swoich w dwóch już wielkich wyprawach, rozpaczą uniesiony, zgłosił się 16. czerwca do prezesa Rządu i marszałka Izby poselskiej, z usprawiedliwieniem swojem, a właściwie z wystawieniem błędów generała Skrzyneckiego. Wyrzucał mu marnowanie czasu, opieszałość w pogoni po zwycięstwie, odprawianie wojny w pojeździe nie na koniu i co za tem poszło zaniedbanie korzyści z położenia i postrachu nieprzyjaciół podczas wyprawy kwietniowej. Wyrzucał mu kilkutygodniową bezczynność (pod Boimem), zabawę z malarzami portretu swego w Jędrzejowie, pomimo codziennych nalegań prezesa Rządu, kiedy można było — dodawał Prądzyński — przenieść wojnę aż nad Berezynę. Wyrzucał mu wreszcie odwłokę wyprawy na gwardye, zmarnowanie czasu pod Śniadowem i w końcu błędy bitwy Ostrołęckiej. Wódz — mówił Prądzyński — urodzić się musi wodzem: Skrzynecki się nim nie urodził".

Zastanawiający się czytelnik powyższych ustępów historyi zacnego Morawskiego, zadziwi się zapewne wraz ze mną nad słabością Rządu narodowego i ówczasowego Sejmu. Składał się on z tych samych w większości członków, jakimi byli w trzech poprzednich Sejmach i nie wahali się wończas występować z mniej stosowną opozycyą przeciwko wnioskom Rady stanu, przez cesarza i króla wpierw rozpoznawanym, aczkolwiek za legalnego króla go uważali: nie wahali się wśród Sejmu rewolucyjnego, jawnie wygłosić detronizacyę tego monarchy, a na tak jawne dowody niedołęztwa generała Skrzyneckiego, jego samowoli w traktowaniu z nieprzyjacielem i z zagranicą, jakiejś dumy niezrozumiałej, jaką przybierał w stosunkach swych z Rządem, dlaczegoż nie złożyli go natychmiast z dowództwa?...

Następne wypadki przekonały, że jeszcze czas był po temu: wojna mogła się była przeciągnąć, czego pozornie czy szczerze

gabinety Francyi i Anglii się domagały i korzystniejszy przybrać obrót. Rząd narodowy przekonał się o niezdolności generała. podniesionego na najwyższy stopień hierarchii wojskowej: wojsko straciło pokładane w nim zaufanie, patrzyło na jawne jego błędy, tyle trudów i krwi je kosztujące, na jego opieszałość: generałowie Prądzyński, Chrzanowski, nakoniec ów dumny, ambitny i ostry Krukowiecki, skrycie ubiegający się o naczelne dowództwo, mogliby go zastąpić. Wszyscy wymienieni byli ludźmi czynu, posiadali energię, a — jak twierdzić się poważam — równe lub większe zdolności, a głównie wiarę w siebie i powodzenie wojny.

Czemuż?!... Czemuż?!... do głównego sztabu Rząd narodowy nie wysłał komisarza wojennego, któryby dozierał czynności naczelnego wodza, kontrasygnował jego raporta i korespondencye i zdawał Rządowi bezpośrednie raporta, jak to czyniła konwencya w Wielkiej rewolucyi francuskiej?...

Tu było miejsce dla Lelewela.

Oto dalsze wyjątki z dzieła Morawskiego:

„Skazą zapewne była dla Rządu prezydencya Lelewela w Klubie patryotycznym (a był członkiem Rządu), który miał ten Rząd wywrócić. Wszakże prezes Klubu, służył tylko za świadka przeciwko pospolitym podejrzeniom. Obecność jego w Rządzie, nie pociągała za sobą najmniejszego niebezpieczeństwa. Prezesostwo Klubu odejmowało mu owszem wpływ, który inaczej byłby niewątpliwie osięgnął. Uczestnictwo razem w Rządzie i w Klubie, przynosząc ujmę osobistemu charakterowi Lelewela, przydać mu znaczenia nie mogło. Takie było wówczas usposobienie, mające w najwyższem obrzydzeniu sposoby rewolucyi francuskiej. Gdyby wódz naczelny nie przyjmował adresu Klubu, kiedy tenże zwycięztw mu winszował, gdyby obywatel Skrzynecki nie był przyjmował „miłem sercem“ obywatelskich uczuć i życzeń, jakich organem uznawał. Towarzystwo patryotyczne, mało ktoby wiedział o istnieniu tego Klubu, zszedłby on do takiego nicestwa, iż sam już widział, iż mu rozwiązać się trzeba było (2. czerwca). Galwanizowała go tylko Lelewela próżność.“

Opis ten, tyle prawdziwy i smutny, rzuca cień na ówczesne usposobienie Skrzyneckiego, niektórych członków Sejmu go popierających i tego nieszczęsnego Klubu patryotycznego. Acz mało o tem wszystkiem wiedzieliśmy, pamiętam, iż to, co nas z tych wiadomości dochodziło, było dostatecznem, by zwątpić o powodzeniu powstania. Pisma peryodyczne, przedstawiające tyle różnych

opinij, jedne drugim przeciwnych, a wszystkie dalekie od rozsądnego zapatrywania się na sprawę narodową, z gniewem i wzgardą rzucaliśmy w obozowe ogniska.

Nie dosyć jeszcze było tych niepowodzeń na polach bitew i waśni stronnictw głowę podnoszących — nowa kleska tę smutną epokę usiłowań narodu odznaczyła.

Pochód generałów Giełguda, Chłapowskiego i Dembinskiego na Litwę, przeważne operacye ich wojsk na tyłach nieprzyjaciela, skłoniły Rossyan do znacznego osłabienia ich armii nadwiślańskiej i wysłania pomocy słabym siłom nad Niemnem działającym. Z granicznego też Wołynia i Podola dochodziły wiadomości, że w tamtych stronach powstanie gotowe się ruszyć, byle jakakolwiek pomoc nadeszła.

Skrzynecki postanowił wysłać generała Chrzanowskiego, stojącego pod Zamościem, z wojskiem na Wołyń. Przeszkodą temu gruntownie obmyślanemu planowi, był marsz generała Rüdigera z dwunastotysięcznym korpusem, który wpędziwszy Dwernickiego do Galicyi, szedł połączyć się z główną armią i już był w Lubelskiem; prowadził zaś z sobą 3.000 koni remontowych i ogromne pociągi amunicyjne.

Znieść Rüdigera, zabrać mu wszystko, co z sobą prowadził, otworzyć drogę Chrzanowskiemu na Wołyń, podnieść znów chwałę naszego oręża i sprawy, było łatwem do wykonania przy nieruchomości wojsk rossyjskich, stojących pod Pułtuskiem, a wyczekujących nowego naczelnego dowódzcy.

Była to dotykalna konieczność.

I czemuż Skrzynecki tej sposobności nie uchwycił?! Dlaczegoż osobiście nie poprowadził tej wyprawy, któraby imieniowi jego wróciła pierwszy urok powodzeń na początku wojny osiągniętych!... Chyba, że nie chciał się trudzić!...

Wyprawa ta postanowioną została. Naczelny wódz przeniósł swą kwaterę główną 15. czerwca do Siennicy. — Generałowi Ambrożemu Skarzyńskiemu zlecił pilnować Rossyan od Serocka; ale waśnie i nieukontentowania obozowe, spowodowały brak dowódzcy pomienionej wyprawy. Prądzyński przeszedł prawie do bezczynności, Krukowiecki i Umiński oddaleni, generał Łubieński objął szefowstwo głównego sztabu. Sierawskiego wódz trzymał z dala z słabym oddziałem powstania, jako mu ciągle zawistny. Powtarzam: dla czego Skrzynecki nie sięgnął po pewne zwycięztwo?... Czyż dla tego pozostał w Siennicy, by prowadzić pokątne knowania przeciw Rządowi?

Poruczył dowództwo wyprawy generałowi Jankowskiemu, który nigdy więcej jak konnym pułkiem nie komenderował.

Jankowski nie posiadał żadnego usposobienia do prowadzenia oddzielnego i znaczniejszego korpusu. Człowiek łagodny i miękki, słabego zdrowia, schorzały, wygód potrzebujący, pod żadnym względem nie był zdolnym podnieść się do wykonania tyle ważnego zadania. Mogę to o nim powiedzieć, bom go znał osobiście; znali go oficerowie naszej jazdy, zdziwienie też było wielkie nad tym nieszczęśliwym wyborem.

Pułk nasz odebrał rozkaz należenia do wyprawy; korpus ją składający, donosił 20.000 wyborowego żołnierza: idziemy forsownymi marszami i 18. czerwca stanęliśmy w Łukowie. Rüdiger, lecący na swą zgubę, przeprawił się przez rzekę Wieprz, naprzeciw wsi Łysobyki, zostawił rzekę... nie było wątpliwości, że go schwycimy. Cóż czyni Jankowski? Rozprasza swe wojska na linii: Kocka, Rudy, Syrokomli, jakoby dla otoczenia Rüdigera. Rozkazuje generałowi Turno uderzyć na niego od środka w 3.000 piechoty, jazdy i bateryi artyleryi, a na odgłos jego boju, skrzydła nasze miały się połączyć, wejść na linię bojową, odnieść zupełne zwycięztwo, zmusić Rossyan do złożenia broni.

Pułk nasz był w oddziale Turny. 18-go wieczorem podsuwamy się pod nieprzyjaciela, ten stoi niewzruszenie... Noc nam schodzi w największej niecierpliwości, ognisk prawie nie zakładaliśmy, bo nie było w obozie oficera, któryby najdokładniej nie wiedział, jakie powodzenie nas oczekuje w dzień następny.

Cóż się dzieje?... Nocy tej, czy przez niedbalstwo służbowego sztabsoficera, czy skutkiem jakiejś fatalności, forpoczty nasze dokładnie nie związane, zostawiły znaczny pomiędzy sobą przedział i ten zajęli kozacy. Objeżdżającego linię naszych przednich straży podpułkownika Butryma, podszefa sztabu korpusu, kozacy chwytają, odstawiają Rüdigerowi... Butrym miał pod ceratą czapki spis wojsk całego korpusu Jankowskiego!...

Było już po północy, dzień miał niedługo świtać, nie mógł już umknąć Rüdiger za Wieprz, ale rozpoczął swój odwrót od wysłania w tył licznych swych furgonów: sam postanowił je zasłaniać.

O wschodzie słońca, dzielny Turno, pewny silnej ze wszech stron pomocy, mając sobie wydany rozkaz rzucenia się ślepo na nieprzyjaciela, rozwija swoje 3.000 żołnierza, nie zostawia nic w odwodzie, bo tego potrzeba nie wymagała i silnie naciera na Rüdigera. Baterya naszej artyleryi, aby dać Jankowskiemu wiado-

mość o rozpoczęciu ataku, daje kilka salw ogólnych wszystkiemi na raz działami. Rozpoczyna się bitwa w 3.000 ludzi z naszej strony przeciwko 12.000, mija godzina i więcej. Jankowskiego z piechotą, Bukowskiego z 24 szwadronami jazdy nie widać a nas tu gniotą Rossyanie... Rozsyła Turno swych adjutantów po pomoc, dopada frontu naszego pułku, a mnie pierwszego zoczywszy, daje rozkaz wyszukania Bukowskiego z kawaleryą. Ruszyłem z miejsca co tylko koń mógł wyskoczyć, dobrą milę tak go parłem, kiedym nakoniec dojrzał w dali nasze chorągiewki. Idą pułki stępą, jak w zwykłym marszu.

— A gdzie generał? — pytam.

— W tyle — odpowiadają.

Mijam szwadrony — cóż widzę?... na boku traktu Bukowski siedzi na pniu drzewa i coś pożywa: konia zdala za nim trzymają, adjutant przy nim.

— Generale, — mówię — słyszysz bitwę?!... to Turno się bije... woła przezemnie o pomoc... kłusem generale, bo dobra ztąd mila... zmiażdżą tam nas...

A on: — Coś śmiało mówisz, poruczniku..., a Jankowski wszedł już na linią?

— Nie — odpowiadam, — ale od dwóch godzin posłano po niego.

— No to jeszcze czas!... i dalej rusza szczękami.

Stanął mu za plecami jego adjutant, człowiek młody, brunet. Słuchając tej rozmowy, zaczerwienił się mocno, łysnął czarnemi oczami: podniósł pięść nad głową Bukowskiego, jakby chciał go uderzyć... Była to dlań przepowiednia przyszłego a tyle haniebnego jego zgonu.

Nie byłem przeto obecny do końca bitwy pod Budziskami 19. czerwca: szedłem na jej pole z jazdą Bukowskiego, kiedy cała wyprawa już była chybioną. Sześć godzin walczył Turno z przeważną siłą Rossyan, a nikt mu z pomocą nie przyszedł. Wymknął się Rüdiger, zabrawszy nam jeszcze w Rudzie kasę pułku grenadyerów i amunicyjne furgony.

Wrzało nasze wojsko prawie otwartym buntem; poszli w nocy nasi pułkownicy do Jankowskiego z wezwaniem, aby na drugi dzień dosięgnął jeszcze Rüdigera, przez Wieprz przeprawiającego się, lecz zastali go schorzałego. Tejże nocy nadszedł rozkaz Skrzyneckiego, aby wojska nasze czem prędzej wracały na obronę zagrożonej Warszawy. Generał Skarżyński prostą demonstracyę Ros-

syan od Serocka, wziął za ruch ich ogólny naprzód i tem spowodował nasze odwołanie. Nie dosyć było jeszcze tych nieszczęść: generał Chrzanowski, podsunąwszy się z Zamościa do Lublina, o mało co wziętym nie został przez Rüdigera, zręcznym tylko pochodem ocalał.

Mamże smutną prawdę wyznać?... Po zachodzie słońca owego 19. czerwca, wysłał mnie pułkownik do sąsiedniej wsi po bydło na rzeź dla pułku. Wziąwszy konwój, pojechałem. Zabrałem włościanom trzy krowy i wołu, a według danego mi rozkazu, udałem się do głównej kwatery generała Jankowskiego po fundusze dla zapłacenia tego zaboru. Była może 11-ta godzina w nocy: wchodzę do jakiegoś dworu, po prawej miał spoczywać chory generał, po lewej otwieram drzwi. Ciemno prawie od dymu fajek... stół na środku długi, na nim świec kilka, naokoło siedzą adjutanci Jankowskiego i sztab; grają w karty... Brat generała i jego pieczeniarz, znany szuler, który nawet nie służył w wojsku przed rokiem 1830, ciągnie bank Faraona. Po skończeniu talii załatwił mnie, płacąc z kupy złota przed nim leżącej.

Trudno opisać, w jakim stopniu rozjątrzenia wracało wojsko z nad Wieprza. W Warszawie błyskawicą rozniosła się wieść o przegranej pod Budziskami i już nie o błędach przez Jankowskiego i Bukowskiego dopuszczonych, ale o ich postąpieniu, zdradą nacechowanem.

Raport generała Prądzyńskiego, prezesowi Rządu złożony o nieudolności Skrzyneckiego, który pomału przecisnął się w swej treści do wiadomości publicznej, kierunek, jaki nadał wyborowi dowódzców wyprawy przeciw Rüdigerowi, wzruszył do głębi opinią stolicy. Jednocześnie odebrał Rząd doniesienie, że pozostawieni w bezczynności generałowie Hurtig i Sałacki, ułatwiają tajną korespondencyą jeńców rossyjskich, w Zamku osadzonych, z ich rodzinami w cesarstwie. Wymieniono i Jankowskiego jako w tych matactwach działającego.

Podniósł swój głos burzliwy Klub patryotyczny, wsparty liczną bandą nadliczbowych oficerów, przez regimentarzy mianowanych, a chroniących się od czynnej służby. Bluzgały pisma peryodyczne wyrzutami dopuszczonej hańby i zdrady, drukowały nazwiska zdrajców. W Sejmie, poseł Zwierkowski domagał się, aby wezwano Skrzyneckiego o wyjaśnienie postępowania obwinionych. Zawrzała Warszawa gniewem i namiętnością; rzucono się do Zamku wyrznąć w pień w niewolę wziętych generałów rossyjskich, ocalił ich energiczną przemową książę Czartoryski.

Uległ nareszcie Skrzynecki parciu opinii publicznej i rozkazał uwięzić Jankowskiego i Bukowskiego, oraz podejrzanych generałów Sałackiego i Hurtiga.

Nie wstrzymało to ogólnego na niego oburzenia, domagano się odebrania mu naczelnego dowództwa wojsk. I zachwiała się sprawa powstania, a klęska Ostrołęcka, niepowodzenia wyprawy na gwardyę, wypuszczenie niemal wziętego już Rüdigera, rozniesione po wszystkich krajach, spowodowały, iż już przychylniejsze opinie naszej sprawie gabinetów angielskiego i francuskiego, w parlamentach wygłaszane, ostygły.

W powodzeniu znajdą się przyjaciele — po klęskach zwykle się odwracają.

ROZDZIAŁ XI.

Feldmarszałek Paskiewicz obejmuje dowództwo wojsk rossyjskich. — Postanawia przebyć Wisłę pod samą granicą pruską. — Pomoc mu udzielona przez Prusaków. — Skrzynecki zaniedbuje bronić tej przeprawy. — Działania generała Giełguda na Litwie, która powstała. — Wilno nie wzięte przez jego opieszałość. — Przegrana pod Ponarami. — Różycki w pomoc mu posłany. — W Królestwie Chrzanowski zwycięża Gołowina pod Mińskiem i Kałuszynem. — Dywizya generała Milberga w Płockiem. — Potyczka pod Raciążem. — Paskiewicz przechodzi Wisłę pod Ciechocinkiem. — Na Litwie korpus Giełguda rozdziela się na oddziały. — Giełgud i Chłapowski wpędzeni do Prus. — Zamordowanie pierwszego. — W Królestwie oburzenie i skargi na Skrzyneckiego. — Burzliwa rada wojenna. — Późne ale pomyślne wiadomości od Legacyi paryskiej. — Liczba wojsk naszych pod Warszawą. — Opis jej zewnętrznej i wewnętrznej obrony. — Dembiński przyprowadza 5.000 żołnierza z Litwy. — Nasz partyzant, Wincenty Jurewicz Gedroić i jego wydanie przez zdradę pod Radomiem. — Skrzynecki i inni dowódzcy, układy z Moskwą za jedyny ratunek uważają. — Rząd i ludność Warszawy na nie nie pozwala. — Delegacya sejmowa w obozie. — Dembiński naczelnym wodzem. — Postąpienie generała Sierawskiego wobec tych wypadków. — Uwagi. — Posądzenia zdrady. — Dzień i noc 15. sierpnia i opis morderstw zdrajców i szpiegów przez lud warszawski spełnionych. — Uwagi.

Wobec widocznych korzyści, jakie osiągnął cesarz Mikołaj z opisanych wypadków, postanowił on i jego rada wojenna w Pe-

tersburgu, gdy dotąd nie zdołano przełamać linii obronnej Wisły. Królestwo po połowie rozdzielającej, przebyć ją jakimbądź kosztem, przenieść wojnę na drugą jej stronę, odciąć Królestwo od Prus, mianowicie od Księstwa Poznańskiego i wziąć Warszawę od suchej jej ściany. Dowództwo nad wojskami rossyjskiemi objął feldmarszałek Paskiewicz i oznaczył, za porozumieniem się z Prusami, punkt przejścia Wisły w miejscu, jak ta wpada w granice państwa pruskiego, mianowicie za miasteczkiem Nieszawą, przeciwko osadzie wiejskiej Słońsk i warzelni soli w Ciechocinku.

Posiłkując te zamiary, Prusacy począwszy od Torunia i Inowrocławia aż do swej granicy, mimo przyjętej zasady nieinterwencyi, zgromadzili berlinki, dubassy, materyały budulcowe i robotnika; przygotowały mosty na Wisłę dla wojsk rossyjskich, wyczekując rozkazu holowania ich w górę rzeki na punkt oznaczony. Aby jednak dojść do postanowionego miejsca przeprawy, należało Paskiewiczowi odbyć ze stanowisk jego pod Pułtuskiem i Serockiem marsz długi, niebezpieczny i flankowy przez Płońsk, Raciąż i Lipno

Mieliśmy most na Narwi i Wiśle pod twierdzą Modlinem; byliśmy panami całego brzegu tej szerokiej rzeki do Płocka i dalej, a tem samem jej przebycia. Możnością było przeciąć ten kolisty pochód Rossyan, który jedną ciągłą kolumną postępować nie mógł, lub wreszcie go powstrzymać; w końcu, zgromadziwszy odpowiednie siły pod Ciechocinkiem, trzema lub więcej bateryami artyleryi, bronić z korzyścią przeprawy na Wiśle, która tu się bardzo szeroko rozlewa, i burzyć budowę mostów.

Wiedział o tych Rossyan zamiarach i obrotach Skrzynecki, jak się później pokazało, z przejętych depesz i rozkazów nieprzyjaciela, lecz takowe zataił; nie zwołał Rady wojennej, by zasięgnąć jej rady i zdania w takim rzeczy obrocie; wbrew oczywistym a koniecznym środkom obrony kraju postąpił.

Ale wróćmy do działań generałów Giełguda, Dembińskiego i Chłapowskiego na Litwie, którzy w ostatnich dniach maja połączyli się pod Kiejdanami.

Na widok polskiego żołnierza, Litwa istotnie powstała. Ogiński przyprowadził 1.200 kosynierów; formowały się dwa pułki piechoty i pięć jazdy; zdobytą bronią miejscowi strzelcy się uzbrajali. Liczba wojsk naszych na Litwie, dochodziła do 14 batalionów piechoty, 10 szwadronów jazdy, armat 29. Niedługo potem do tych sił dostarczyła Litwa 4.000 kosynierów i tysiąc kilkaset koni. Wsławiła się hrabianka Emilia Plater uczestnictwem

w tem powstaniu, działając czynnie, rozniecając ducha w Żmudzinach, zagrzewając swą obecnością w bitwach. Jej wspomnieniu osobny rozdział poświęcę.

Lecz Giełgud, omamiony owacyami, jakie mu Litwini wyprawiali, traci dni kilkanaście w bezczynności w rodzinnem swem gnieździe w Giełgudyszkach, a tymczasem Rossyanie gromadzą w tamtych okolicach swe ostatnie siły, dotąd rozproszone. Łączą się Saken, Tołstoj i Kuruta — ubiegają w 24.000 żołnierza Wilno, które mogło być wcześniej wzięte, bo bronione tylko przez 3.000 Rossyan. Stary Kuruta zwołał dowódzców i zapowiedział płaczliwym swym głosem, że „tu umrzeć trzeba za cara, ale miasta nie oddawać“.

Giełgud odwłoką opuściwszy tak szczęśliwą sposobność zdobycia Wilna, popełnił drugą nieroztropność i poszedł na litewską stolicę, przeważnemi siłami bronioną; stoczył bitwę 19. czerwca pod Ponarami: odparty zupełnie, stracił 600 żołnierza w zabitych i rannych i ledwo wycofać się zdołał.

W pomoc Giełgudowi, za odebraniem tych wiadomości, posłał Skrzynecki Różyckiego generała z 900 ludźmi, wcielając do tego oddziału prawie przymusowo brukowych warszawskich oficerów i krzykaczy Klubu patryotycznego, o ile się to dało uczynić.

Na naszej linii bojowej, w dniach 14. i 19. lipca, generał Chrzanowski bije generała Gołowina między Mińskiem i Kałuszynem. Naczelny wódz, powiadomiony o marszu feldmarszałka Paskiewicza przez płockie województwo, zamiast w twierdzy Modlinie, stanął główną kwaterą w Łukowcu, a dla niepokojenia flankowego marszu Rossyan, posłał jedynie dywizyą piechoty Milberga i jazdę generała Turno, a w tej nasz pułk się znajdował.

Doganiamy ich pod Płońskiem 6. lipca i zarywamy potężnie. 14. pod Młynarzami rozbijamy jazdę aryergardę. Uchodzą nam ciągle, forsownymi marszami dopadamy pod miasteczko Raciąż i to z samą jazdą i bateryą artyleryi konnej, bo piechota nasza już zdążyć nie mogła.

W przednich strażach, szedł świeżo uformowany 2-gi pułk Krakusów: uniesiony zuchwałem męstwem i chęcią odznaczenia się, nie czekając na nadchodzącą pomoc, rzucił się śmiało na pułk gwardyi huzarów grodzieńskich, ale nie zdołał sprostać regularnemu żołnierzowi. Nim dobieglismy, huzary zrąbały kilkudziesięciu Krakusów i wzięli w niewolę przeszło sto ludzi i koni.

Był to korpus generała Gersztenzweiga z piechotą, jazdą i artyleryą, donoszący kilkunastu tysięcy, a bokami osłaniający

pochód Paskiewicza. Nasz to pułk odparł huzarów, którzy poznawszy nas, bośmy przed r. 1831 jedną brygadę konnej gwardyi składali, cofnęli się natychmiast. Na flankierach rozsypanych, obustronni oficerowie poznawaliśmy się wzajemnie i witali strzałami pistoletowymi. Nadszedł też Turno z resztą dywizyi jazdy i konną artyleryą. Rozwijamy się na płaszczyznie po obu stronach traktu, przed nami rossyjska piechota w czworobokach, po skrzydłach jazda. Zaczął się ogień działowy. Tymczasem z dnia chmurnego i małego deszczu, zgromadziły się czarne chmury i lunął deszcz potokami, a był tak mocny, że prawie zupełnie nam przeciwnika zasłonił; mimo tego, gdy lonty kanonierom zagasły, strzały bateryi Kołyski nie ustawały, bo brandtki armatnie rzymskiemi świecami zapalano.

Rossyanie również odpowiadają, bój się ciągnie a naszej piechoty nie widać.[1] W tej potyczce generał Gersztenzweig dotrzymał danego nam słowa, kiedyśmy od Wielkiego Księcia Konstantego odchodzili z pod Mokotowa; po prawej stronie naszego pułku stał 4. pułk strzelców konnych; rossyjskie działowe kule obalały mu ciągle ludzi i koni, do nas wcale nie strzelano.

Szczególnem zdarzeniem, jak pod Budziskami w bitwie z Rüdigerem, tak i tu generał Turno wysłał mnie po piechotę Milberga. W tę ulewę pospieszam co mogę; po przebyciu półtory mili dobiegam go stojącego z piechotą już obozem. Wzywam go w imieniu Turny, by szedł na Raciąż... Spojrzał na zegarek, była 4-ta po południu... pokaznje mi go i mówi: „piechota dziś przeszła więcej jak cztery mile drogi, zmęczona marszem, nie dojdzie jak po godzinie 7 wieczorem, zresztą broń zamokła, iść dalej niepodobna“. Zostałem więc i ja, zmokłem do żywej nitki, nocowałem z moim ordynansem w jakimś chlewie. Milberg zaprosił mnie na wieczorny posiłek. Było to 22. lipca.

Na drugi dzień dopiero doszedł Milberg do Raciąża z swą dywizyą. Gdym się połączył z pułkiem, dowiedziałem się, że Rossyanie, mimo ciągłej ulewy i dróg nadzwyczajnie złych, w nocy się usunęli. Turno oczekiwał na piechotę.

Schwytaliśmy kilku jeńców. Ci zeznali, iż silny oddział gwardyi stoi w Płocku. Maszerujemy więc na to miasto, docho-

---

[1]) Nie przypomniał sobie generał Turno faktu, zdarzonego w bitwie pod Drezném 1813 roku. Takiż sam deszcz ulewny nastąpił, karabiny piechoty austryackiej zamokły, Napoleon puścił szesnaście szwadronów kirysyerów, te wyrąbały ją prawie zupełnie.

dzimy prawie w nocy, uszedłszy mil pięć. Rossyanie przed dwiema godzinami już się oddalili, gnać ich zmordowanym żołnierzom było niepodobna. Deszcz urywkowo padał nieprzestannie, drogi się zepsuły zupełnie. Stanęliśmy obozem pod miastem.

Trzy dni i tyleż nocy trwała ulewa, mokliśmy na niej, że się życie przykrzyło, stojąc na rozmiękłej ziemi: w bruzdach pełno wody, ani usiąść ani się położyć, bo też nic dokuczliwszego dla żołnierza, jak ulewny i długi deszcz. Jedynie piechota, jak najciaśniej rozłożona w mieście, suszyła się i opatrywała broń. Nadeszły też rozkazy zaprzestania dalszego pościgu i powrotu pod Warszawę: niepodobna opisać trudów w tym odwrocie. Trakty po tych ulewach były prawie nie do przebycia, mosty i mostki wszędzie wody zerwały, piechota brnęła przez nie wyżej kolan, a uchodziła dziennie zaledwie małe dwie mile. Co gorsza, brakło żywności i furażów.

Kiedy z dywizyą Milberga, za późno na boki Rossyan wysłaną, uganiamy się za ich pojedynczymi oddziałami, pruskie władze między 12. i 17. lipca podciągnęły z pod Torunia materyał na mosty, przy przeprawie przez Wisłę Paskiewiczowi służyć mogące. Pięć ich postawiono naprzeciw Ciechocinka, trzy dni i tyleż nocy trwała przeprawa. Feldmarszałek przeprowadził 90.000 wojska, 310 armat, 6.500 wozów amunicyjnych. 19. lipca już był na lewym brzegu rzeki. Z naszej strony ani jednym strzałem mu nie przeszkodzono!...

Posuwając jednocześnie opowiadanie wypadków, winienem wrócić do działań ekspedycyjnego naszego korpusu na Litwie.

Pobity Giełgud pod Wilnem, cofnął się za Święte i Wiliję. Uznał sam siebie, uznało go wojsko nieudolnym do kierowania dalszemi działaniami[1], zniewolono więc generała Chłapowskiego do przyjęcia współdowództwa. Na bokach wojsk naszych, generał Tołstoj rozprószył powstańców. Giełgud cofa się przed nim do Rosien, dalej przez Szawle: tu było 3.000 Rossyan, przerwano bitwę dla braku amunicyi. W tej ostateczności uradzili nasi do-

---

[1]) Giełgud nie odbywał wojen Napoleońskich. W powstaniu częściowem Litwy nominowany był w r. 1812 szefem pułku, który nawet nie był czynny. Przy organizacyi wojska polskiego w r. 1815, jako pułkownik stanął z innymi do losowania na dowództwo pułku i wyciągnął los sprzyjający. Z kolei awansował na generała brygady. — Wzrok miał krótki: pozbawiony jednego oka, nosił je szklanne, — dekoracyi wojennych nie posiadał.

wódzcy, podzielić wojsko na oddziały, pomaszerować oddzielnemi drogami i kierunkami, aby rozerwać siły nieprzyjaciela. Dembiński poszedł w głąb Litwy, Chłapowski z Giełgudem ku Niemnowi, Roland ku Połądze.

Nie było już sposobu ocalenia — brakowało zdolnego dowódzcy, brakowało amunicyi, wojska straciły też ufność w siebie. Smutny przykład Dwernickiego, przejścia w granicę Galicyi austryackiej, tu się powtórzył. Giełgud z Chłapowskim, ścigani przez generała Kreutza, Dellinhausena i Szyrmana, przeszli granicę pruską w okolicach Kłajpejdy. W tej rozpacznej chwili, kapitan Skulski, dopadłszy Giełguda, wystrzałem z pistoletu zabił go na miejscu, o zdradę posądzając. Inne też oddziały, wpędzone do Prus, tamże broń złożyły.

Wiadomości o stłumieniu powstania na Litwie, oraz o przejściu Wisły przez Rossyan, prawie jednocześnie doszły do Warszawy. Nie było w niej magazynów żywności i furażów, jak na dni dwadzieścia, tak dalece wszystkiego zaniedbano. Przewidywano, że Paskiewicz szybkimi marszami podążać będzie pod stolicę, pozostawała więc już tylko jej obrona. Konało powstanie, pod wróżbą tylu świetnych zwycięztw rozpoczęte. W Warszawie rozpacz i zupełne ducha zgnębienie nastąpiło.

W tej ostateczności generał Prądzyński, wystąpił z otwartem piśmiennem oskarżeniem naczelnego wodza. Izba poselska je przyjęła i uchwaliła zwołanie rady wojennej, złożonej z członków Rządu narodowego i generałów. Pociągnięto na niej Skrzyneckiego do tłómaczenia z niepojętego oddania Rossyanom przeprawy przez Wisłę bez żadnego oporu.

„Na tej radzie — pisze Morawski — nastąpiła namiętna scena... Skrzynecki nie dopuścił do głosu generała Sierawskiego, dowódzcy piątej dywizyi piechoty i Prądzyńskiego, gotowych do poparcia skargi, mówiąc: „póki jestem głównodowodzącym, nie wolno podwładnym rozbierać planów moich i sposobów obrony kraju". Zaręczał, że bez boju posunąć się dalej nieprzyjacielowi nie pozwoli, że w razie potrzeby, z Warszawy zrobi drugą Saragossę... Zapowiedział walkę śmiertelną".

Świadek tej narady wojennej, a pokrewny mej późniejszej żony, generał Julian Bieliński, tak mi ją opowiadał:

„Na tej radzie zebrało się przeszło dwudziestu generałów, prezydował Skrzynecki. Odczytano naprzód etat czynny wojska wszelkiej broni, z którego pokazało się, że mieliśmy jeszcze przeszło 50.000 żołnierza; potem amunicyi i magazynów żywności.

Skrzynecki przemówił: przedłożył, że w magazynach jest tylko na 30 dni racyj żołnierskich, furażów jeszcze mniej. Wątpił, czy ludność Warszawy zaopatrzyła się w zasoby na czas oblężenia; dodał, że zamknięci jesteśmy z jednej strony armią Paskiewicza, z drugiej przez korpus Gołowina, stojący o milę za Pragą, zatem żadnego już dowozu spodziewać się nie możemy; że komunikacya z twierdzą Modlinem lada chwila może być przerwaną, dowóz więc amunicyi prawie niepodobny. Kończył zapytaniem, jakie jest zdanie rady w tem położeniu.

„Zapanowało głuche milczenie; kilka głosów się odezwało za wydaniem Paskiewiczowi ostatecznej i rozpacznej bitwy; inni proponowali układy i ocalenie bytu Królestwa w stanie, w jakim ono było przed 29. listopada. Zdania się krzyżowały. Skrzynecki znów się odezwał: „Nie podołamy — mówił — Paskiewiczowi, weźmie Warszawę, zrabuje ją i spali...“ Tu, dotąd milczący, zerwał się z krzesła generał Sierawski. Był to olbrzym nie człowiek — gęste siwe włosy, zaczesane w tył czoła, zwieszały mu się na kołnierz munduru. Na szerokich piersiach świeciły krzyże polskie i francuskie — przemówił głosem silnym, niekiedy przerywanym:

„Nie należy wodzowi wątpić o sprawie, póki stoi na czele wojsk walecznych i pewien jest poświęcenia życia i majątków mieszkańców kraju... Komu należy przypisywać, koledzy, takie wojny niepowodzenie?... Gwardye rossyjskie, mogące być zniesione, wyśliznęły nam się z ręki... Rüdiger nie wzięty... Paskiewicz przepuszczony przez Wisłę, lecz bez jednego wystrzału armatniego... Widzimy ztąd dymy jego obozów. Warszawa w żywność, wojsko w amunicyą niezaopatrzone...“

„Zmarszczył się Skrzynecki i odezwał się: „do rzeczy! do rzeczy przystąp generale!...“ A Sierawski trząsnął włosami swej głowy, jak lwią grzywą i mówił dalej:

„Stolica, acz sercem jest kraju całego, nie jest wszakże całkowitem ciałem jego... Barykady stoją na ulicach, z grodu naszego zrobimy twierdzę niezdobytą... Może zewnętrzne nasze szańce zdobyć Paskiewicz, ale z barykad, z okien kamienic położymy mu dwie trzecie części wojsk jego. Rossyjska jazda i jej artylerya, w ulicznym boju czynnemi nie będą... Udajmy pozorną zaczepkę nieprzyjaciela, cofając się do miasta... on za nami... a wtenczas biada mu!...

„Koledzy — Rossyanie w r. 1812 spalili Moskwę, a ludniejszą i bogatszą była, niż nasza stolica — ocalili Rossyę... Niech

padnie w gruzach Warszawa, ale Polska niech istnieje!... Odbudujemy ją... Jeźli i tym bojem nie uratujemy się, pójdziemy za Wisłę. — Paskiewicz osłabiony, zniewolony silną w Warszawie zostawić załogę, ścigać nas nie będzie... Dzierżymy jeszcze silne i obronne punkta w Modlinie i Zamościu — tam są prochy, amunicye... Znów będziemy bronić zawiślańskich województw, jak broniliśmy lewego brzegu naszej Wisły, most spalimy — a z konieczności pójdziemy na Wołyń, Podole, na Ukrainę, bo i to polskie ziemie!... Za Dniepr, do Turcyi nawet... tego odwiecznego wroga Moskwy... Już raz tam byłem po wojnie Kościuszki. Tu na naszej ziemi broń złożyć, to wieczna hańba!"

„Zamilkł generał — ktoś półgłosem szepnął: „stary zapaleniec". „Kto mnie tak nazywa! — gromko zawołał — nie ubliża mi, bo z zapałem kocham mą Ojczyznę!"

„Uwielbiałem w tej chwili twego ojca, — ciągnął dalej Bieliński — mówił stojąc, głową górował nad wszystkimi, mówił z przekonaniem i wiarą w siebie. Groźnie patrzył w oczy wodzowi, rzucając niekiedy wzrokiem po obecnych. Kiedy wspomniał o boju na ulicach, a w końcu o złożeniu broni, silnie uderzył po gardzie swej szabli, że ta aż jęknęła. Takim sobie wystawiałem niegdyś naszego sławnego Rejtana.

„Skrzynecki na twarzy zzieleniał. Cedząc przez zęby, mówił: „Generale! Dotknąłeś mnie wspomnieniem wyprawy na gwardye, bitwy Ostrołęckiej i porażki, jaką nam Rüdiger zadał. Jestem wodzem naczelnym — generał moim podkomendnym. Odbieram ci głos na dzisiejszej radzie..."

„Wstał Sierawski — łysnął siwemi swemi oczami, wolnym krokiem wychodził z sali, przed drzwiami głowę czapką nakrył."

Wojska nasze z pod Pragi przeprawiły się przez Wisłę, przeszły Warszawę, postąpiliśmy pod Sochaczew nad rzekę Bzurę. „W tem — pisze Morawski — przybywają ważne listy od legacyi paryskiej. Belgijczykowie losem Polaków poruszeni, przyjęli warunki konferencyi londyńskiej. Hrabia Sebastiani (minister wojny w gabinecie francuskim) oznajmił pełnomocnikom polskim o zaproszeniu gabinetu angielskiego, do pośrednictwa między Polską a Rossyą, którego skutkiem byłoby odrodzenie narodowe i polityczne Polaków. Niech jeszcze dwa miesiące opierają się, dodał minister, a Polsku zajmie znowu miejsce w polityce europejskiej.

„Z tą wiadomością, aby orzeźwiła naród i ośmieliła go do oporu, któryby upewnił czas do negocyacyj, przybył goniec z Pa-

ryża, opatrzony — co się dotąd nie zdarzyło — paszportem ministra francuskiego, a nawet kosztami podróży."

Czemuż tak późno!...

Natychmiast generał Skrzynecki wstrzymuje swój wyjazd do obozu i zaprasza na nową radę wojenną komisarzy sejmowych do spraw dyplomatycznych.

„Ale nie znano wtedy dróg żelaznych ani telegrafów elektrycznych: wysłanie gońca uprzedziło przeprawę Rossyan przez Wisłę i upadek powstania litewskiego. A jeszcze listy legacyi paryskiej nie doszły do Warszawy, już król Ludwik Filip, otwierając Izby francuskie 23. lipca, mówił o negocyacyach, jako o wypadku, który już przeminął... Książę Talleyrand, ambasador francuski, nie przemógł gabinetu Wielkiej Brytanii, w którym większość głosowała przeciwko wdaniu się do sprawy polskiej; między głosującymi, co później gorzko żałował i sobie wyrzucał, był pierwszy minister lord Grey, ów niegdyś żarliwy Polski przyjaciel, co Kościuszce w r. 1797 oddawał zaszczytną szpadę w imieniu narodu angielskiego. Lord Palmerston oświadczył posłowi francuskiemu (22. lipca), że pośrednictwa nie przyjmie Rossya; że przeto wypadałoby takowe poprzeć siłą. Anglia zaś zostaje w tak przyjaznych stosunkach z Rossyą, iż do podobnego kroku nie mogłaby przystąpić. A potem, mówił lord, nie przyszedł jeszcze czas, aby siły skutecznie użyć można przeciwko monarsze, którego prawa zresztą były niezaprzeczone. Anglii trzeba było: aby druga kampania rossyjska spełzła daremnie, jak pierwsza; aby okazało się, że car Polski pokonać nie może. Król więc francuski, opuszczony od Angli, w duchu może zadowolniony z tego, rzekł do Izb swoich: „Usiłowałem przyspieszyć koniec zaciętej i krwawej walki w Polsce, ofiarowawszy moje pośrednictwo: chciałem zapewnić Polsce, której męstwo obudziło dawną przychylność Francyi, tę narodowość, co się oparła czasowi i wszystkim jego odmianom." W rozmowach poufałych minister francuski uważać kazał pełnomocnikom polskim na co się zdobył, kładąc w usta królewskie wspomnienie o narodowości polskiej w ogólności, nie zaś o samem Królestwie. Lecz gdy dwa dni wpierw (21. lipca) tylko piętnastu dni było mu potrzeba do doprowadzenia rzeczy do szczęśliwego portu, teraz (24. lipca) zasadzał wszystko na spodziewanej bitwie nad Bzurą, niemoc Francyi usprawiedliwiając oziębłością Wielkiej Brytanii, oraz upadkiem powstania litewskiego, wreszcie nieszczęsnem zajęciem lewego brzegu Wisły przez Rossyan" etc.

Pod Sochaczewem Skrzynecki zdołał jeszcze, prócz garnizonu Warszawy, zebrać około 50.000 żołnierza i 140 armat. Powołał do czynnej służby generałów Prądzyńskiego i Umińskiego. Praga za Wisłą zasłonięta była ziemnemi fortyfikacyami i palisadami, które nie pozwalały jej wziąć za pierwszym zamachem. W wiosennych i letnich miesiącach, począwszy od Wilanowa i Wierzbna, okrążając rogatki Mokotowskie, Jerozolimskie, Wolskie, Powązkowskie, aż za Marymont usypano szereg lunet, mających bronić stolicę od możebnego szturmu z tej strony. Środkowy punkt, kościółek Woli, najmocniej utwierdzono. Pomienione lunety ostrzeliwały się wzajemnie; jedyną może ich było wadą, iż zanadto wysunięte po przed wały miasta, szerszej linii obrony i liczniejszych wojsk wymagały.

Na wiadomość o przeprawieniu się Rossyan przez Wisłę pod Nieszawą, gdy już była pewność, że stolica będzie z tej strony atakowana, Rząd ustanowił komitet do czuwania nad jej obroną. Wszystkie ulice, od zewnętrznego promienia fortyfikacyj wewnątrz miasta prowadzące, w odstępach na strzał zabarykadowano. Barykady te, zostawując miejsce dla przejazdu powozów i przechodu pieszych, sięgające wzniesieniem pierwszego piętra kamienic, ułożone były z podwójnych przedpierścieni, belkami związanych, w środku gruzami i kamieniami na $2^1/_2$ łokci zasypanych; w każdej były dwie strzelnice na tyleż armat. Na przedmieściach, w budowlach i parkanach wyrąbano strzelnice dla piechoty. Gwardya narodowa była uzbrojona w karabiny, innej ludności chętniejszej, której było 5.000, rozdano piki. Krawiec Tomasz Murawski, stary artylerzysta, zebrał towarzyszy i ochotników, zorganizował korpus artyleryi wałowej 300 ludzi wynoszący. Słowem, gotowano się do rozpaczliwej obrony.

Wśród tych niepokojów, jeden promyk przyjazny zaświtał: Dembiński, otaczany na Litwie przez Rossyan nieprzestannie, uszedł tej pogoni i przyprowadził swój oddział do Warszawy.

„Wyszedł on z Kurszan — jak pisze historya — w 3800 ludzi. Miał 6 dział, 450 ładunków i sto złotych gotowizny. W Mieszkuciu zdobył nieco broni i 450 dukatów. Niewiażę przebył w Poniewieżu, gdzie zabrał 70 huzarów i 150 piechoty. — Przez Świętą przeprawił się pod Kowarskiem 15. lipca. W Podbrzeziu nad Wilią wpadło mu w ręce 30 ułanów, 150 piechoty, 50.000 złotych, a co mu było najpotrzebniejszem, zapasy saperskie do przeprawy na rzekach. Ale ścigany już zbliska przez dywizyą generała Savoniego, zwrócić się musiał do Święcian. Wkrótce 19. lipca prze-

szedł Wilią pod Daniszkowem, Niemen na zbudowanym przez się moście pod Zboiskami. Tu połączyło się z nim powstanie nowogrodzkie Kaszyca, Mierzejewskiego i innych. W Dereczynie już za Szczarą spotkał i przyłączył do siebie 250 strzelców Brońskiego i Szrettera; a około Narewki, pod puszczą Białowiejską, zszedł się z Samuelem Różyckim 28. lipca. Przeprawił się pod Drohiczynem przez Bug, gdzie zrąbał dwa czworoboki rossyjskie i po kilku szczęśliwych utarczkach, pojmawszy generała Paniutyna, domierzał na miejsce swego przeznaczenia. Ale gdy już był bez otuchy żołnierz Dembińskiego, zetknięty z nim Różycki uledz musiał powszechnej chęci nierozłączenia się z braćmi. Dembiński wziął więc dowództwo wszystkich oddziałów i przez Ciechanowiec i Nur przywiódł do Warszawy 5.000 żołnierza.

„Sejm obrażony wstrętem Skrzyneckiego do walki, podnosząc wytrwałość Dembińskiego, a na potępienie tych, co w Prusach broń złożyli, wydać rozkazał każdemu z towarzyszów Dembińskiego świadectwo: „Że dobrze się zasłużył Ojczyźnie".

Mimo danych zaręczeń Rządowi narodowemu i Sejmowi, Skrzynecki nie próbował zajść drogi następującym Rossyanom i stoczyć z nimi bitwy. Opuścił znów jedną z tych szczęśliwych sposobności, które czasem los przyjazny nastręcza a zdolny wódz korzystać z niej umie. Feldmarszałek Paskiewicz minąwszy Łowicz, najnierozsądniej naprzód się posunął: przeszedł rzekę Bzurę i wszedł w klin, zamknięty z drugiej strony rzeczką Rawką. Krytyka wojenna poświadcza, że tu mógł być na głowę pobity. W naszym głównym sztabie zapóźno tę myśl pochwycono; skierowane wojsko na pozycyę pod wsią Kaskami, dosięgło już tylko tylnej straży rossyjskiej i takową zgromiło. Paskiewicz błąd swój spostrzegłszy, spiesznie cofnął się do Łowicza i tam go dochodziły resztki wojsk jego przez Wisłę przeprawione. Byłem w bitwie pod Kaskami, trwała krótko, bo nieprzyjaciel uciekał; w niej Wielki Książę Michał o mało co schwytany nie został.

Równocześnie generał Rüdiger 7. sierpnia przeprawił się przez Wisłę pod Józefowem bez żadnej przeszkody i wszedł do Radomia. Nasze obozy rozłożyły się pod wsią Bolimowem o milę od Warszawy.

Ze zgrozą muszę tu zapisać co następuje:

Po nad lewym brzegiem Wisły, w województwie sandomierskiem kręcił się nasz sławny partyzant, Gedroić z trzystu przeszło celnymi strzelcami; z tym małym oddziałem, łatwo mu było przeprawiać się przez Wisłę, rzucać się furmankami w Lubelskie,

chwytać kuryerów, niszczyć transporta nieprzyjacielskie, a potem naciśniętemu cofać się za osłaniającą go rzekę. Gdy generał Rüdiger przeprawił się na lewy brzeg jej biegu, schował się gdzieś umiejętnie, a skoro generał doszedł do Radomia, a za nim szły długim sznurem transporta i furgony, wypadł nagle z lasu, konwój wystrzelał, powózki zabrał. Należało mu to wszystko co prędzej zniszczyć; posłał więc oddział swoich do sąsiedniej wsi, by sprowadzić wielką ilość słomy. Właściciel jej opierał się z jej wydaniem: wzięto mu ją gwałtem, zwieziono, furgony i powózki szczelnie zbliżono do siebie, słomą obłożono i podpalono; konie wymordować kazał.

Ów obywatel S.. bo nazwiska dla hańby rodziny nie wymieniam, popędził do Radomia, zawiadomił Rüdigera o bytności Gedroica w lesie pod Skaryszewem; ten wysłał natychmiast dziesięć szwadronów jazdy i batalion piechoty; las otoczono, Gedroica wzięto. Kiedym zamieszkiwał w Radomiu i jego okolicach od r. 1834 do 1836, dobrze myślący obywatele opowiadali mi ową niecną zdradę właściciela wsi... pokazywano mi go nawet. Poświadczam, że wszyscy się od niego odwracali.

Gedroić był wysłużonym kapitanem z wojen Napoleońskich; w r. 1812 i w nadzwyczajnych mrozach, jakie cofających się Francuzów z Moskwy schwytały, odmroził nos tak mocno, że mu odpadł zupełnie, nosił więc jakiś sztuczny, lakierowany, co go mocno szpeciło. W *Roczniku wojskowym* z r. 1820 zapisany jest: Gedroić Wincenty Jurewicz, a zaliczony do 2-giej kompanii inwalidów, stojącej w Warszawie; widywałem go często. Był bardzo dokuczliwym partyzantem dla Rossyan. Cesarz Mikołaj na wiadomość, że go nakoniec wzięto, kazał go sobie przywieść do Petersburga, a widząc tak podeszłego wiekiem starca, uniósł się szlachetnością i wolnością po wzięciu Warszawy go obdarował, z funduszem na powrót do kraju, żądając słowa honoru, że już przeciw Rossyi służyć nie będzie.

Niepodobna naczelnemu wodzowi i niektórym wyższym naszym dowódzcom w tych postępowaniach i ostatecznych manewrach wojsk, nic innego zarzucić, prócz jakiegoś rozpaczliwego poddania się wypadkom i przeciwnościom, które nas zewsząd ścigały. Nie zastanawiali się, że źródło ich leżało w ciągłych błędach, jakich się dopuszczali. Brak wytrwałości, ta główna wada narodowa, przeważnie tu ciężyła. Jeżeli wśród najświetniejszych powodzeń nie tylko oglądano się na obcą pomoc, ale i na możność

układania się z obrażonym cesarzem, to w chwilach konania powstania, Skrzynecki i niektórzy generałowie tem silniej przemawiali za układami. Zastanowienie doprowadzało do pewności, że nic po nich spodziewać się nie należało. Zagrożona Warszawa z oburzeniem opinie te przyjęła; wojsko, niższych stopni oficerowie podzielali to zdanie. Mimo tego generał Chrzanowski, z upoważnienia naczelnego wodza, porozumiewał się z nieprzyjacielem, a z tych rozmów Skrzynecki żadnej Rządowi nie złożył relacyi — podejrzenia wzrastały. Rząd i Sejm nie mógł wierzyć w układy, zawsze później łamane! Przewidywać należało, że nawet stan kraju, konstytucya przed rewolucyą używana, powróconą nie będzie. Zatrwożony ich rokowaniem, wysłał deputacyę do obozu. Udzielając jej nieograniczone pełnomocnictwo, Rząd zalecił głównie ściśle rozpoznać stan rzeczy, a gdyby potrzeba wymagała, usunąć nawet z dowództwa Skrzyneckiego.

Jeszcze raz powtarzam: Czemu tak późno!... Czemu nie wcześniej...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów konfederacyi barskiej.

Teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor.

(1769—1772).

(Ciąg dalszy).

Z Preszowa, Dzierżanowski, Piasecki i Morżkowski, przesyłali relacye podskarbiemu, który również dawał im wskazówki postępowania. Z korespondencyi tej jednak, niektóre tylko listy przechowały się. I tak Dzierżanowski pisał 10. kwietnia:

„...Pana Dumouriez odwrócili od intencyi jechania do Cieszyna. Teraz znajduje się w Nowym Targu i tam wziął 2.000 dukatów dla wojska, na ułagodzenie jednych, a na przekupienie drugich... Tutaj wcale już zapomnieli pierwszych obowiązków, ponieważ w izbie bezwstydnie adherentów utrzymują jako to: krajczego kor. i pana Łętowskiego, już w sprawie Bierzyńskiego dekretowanego. O księciu wojewodzie ruskim powiadają, że dobry i prawdziwy patryota, a pana wojewodę kijowskiego, generała wielkopolskiego, ordynata i innych z niemi trzymających, za ostatnich ludzi poczytują. Komisarzów wojskowych aż do siedemnastu przyczyniono, jak do 24 dociągną, to nowa będzie Generalność, bo *sancitum* dozwala we dwadzieścia cztery osób, wszystkie materye *status* decydować. JWW. Miączyński, Puławski, Walewski, Zaremba, Sapieha, Zieliński, Kossowski, Kuczynski, — ci są teraz do komisyi przydani i pan Zieliński, marszałek płocki, ma pre-

zydować, a w niebytność jego pan Sapieha. Wielkopolscy marszałkowie, jako też: czernichowski, sanocki i nasi konsyliarze są odrzuceni i pisać do nich nie chcą, niegodnemi ich tego honoru czyniąc za to, że nieposłuszni są Generalności..."

Piasecki znów pod datą 17. kwietnia donosił Wesslowi:

„List iz 5 *praesenti* do mnie od JW. Pana ordynowany miałem honor z wielkiem odebrać uszanowaniem. Tą pocztą mam honor donieść JW. Panu, iż Dumouriez stanął już w Lanckoronie i pisał do swojego sekretarza, donosząc mu, że nadspodziewanie jest przyjęty od marszałków tamtejszych i wszelką łatwość we wszystkiem zastał, porządek około fortecy i wojska dobry, co większa pisał, że więcej bałamuctwa znajdzie w Preszowie, niżeli go zastał w kraju. Zaraz tedy zlecił sekretarzowi, ażeby jak najprędzej wyprawił po weksle, do Wiednia z Francyi przesłane. na trzechmiesięczną naznaczoną dla wojska pesyę. Ale nietylko Dumouriez kontent, że tak jest przyjęty, tem bardziej nasi imć, którzy się wcale innego spodziewali na tamtem miejscu przyjęcia..."

Relacya Morżkowskiego, z tejże samej daty, dopełnia powyższe wiadomości.

„Z wielkiem ukontentowaniem — pisze on tutaj — list JW. Pana, dnia 5-go pisany, odebrałem. Cieszę się wielce, że przecie tutejsze roboty, są nieco do gustu pańskiego, coraz tu się polepszają interesa. Dumouriez, stanąwszy w Lanckoronie, obiecał dać wojsku pieniędzy i oświadczył dla niego wszelką grzeczność i łatwość, aby tylko na kasę generalną zgodziło się wojsko, to on swoje pieniądze najpierwej włożyć chce do kasy i wojsku płacić punktualnie, toćby ta Dumouriez'a propozycya powinna być akceptowana, bo wojsko jużby się nie starało o zapłatę, ale patrzyłoby nieprzyjaciela i gromiło... Broni z Wiednia obiecano na kredyt i Francya, aby planta Dumouriez'a wzięła skutek, drugie tyle obiecuje pieniędzy..."

Z Gomulińskim, który powróciwszy z Francyi, przesiadywał w Preszowie lub w Cieszynie, Wessel utrzymywał ciągłe stosunki listowne, polecając mu kierunek wielu spraw bieżących. Jeszcze 6. marca pisał doń Wessel:[1])

„Odebrałem list W. Pana... Cieszą mnie mocno wiadomości, które mi W. Pan donosisz i nieskończenie mu wdzięczny jestem za dokładne w tej mierze starania Jego.

[1]) Z kopii.

„1. Oświadczenia przyjaźni i nieodstępności księcia Radziwiłła, wpadają w myśl moją, którą W. Panu w ostatnim liście oświadczyłem. Proszę najusilniej starać się utrzymać go w tych zbawiennych myślach, i na to wszelkich zażywać sposobów, ażeby zupełne jego zaufanie pozyskać. Dla tego proszę, ażebyś Wp. imieniem mojem oświadczył temuż księciu Jmci. że nieskończenie wdzięczny jestem tej przyjaźni, którą mi oświadcza, i że wraz z przyjaciółmi memi w kraju i przez konexye, które u dworu cudzoziemskiego mieć mogę. starać się będę nieustannie interesa jego polepszyć i kredyt jego utrzymać. Żądam tylko, ażeby wraz ze mną. powszechną przyśpieszył pomyślność i żeby mnie za poufałego swego miał przyjaciela. Staraj się W. Pan przełożyć mu to tak kształtnie i dokładnie, ażeby to w nim impressyę uczyniło, a dla łatwiejszego w tej mierze skutku chciej W. Pan przyjaciół jego i faworytów jego zaufanych kaptować sobie najmocniej.

„2. Potrzeba wnijścia do kraju. nie wiem jakim losem Rzptej nie jest jeszcze dotąd oczywistą. Oprócz tych przyczyn, które z publicznego wychodzą interesu i które nie przestanę wyrażać, a Wp. łatwo przenikasz, — chciej zażyć na konwokacyą wspólnych przyjaciół naszych pobudek z własnych ich wynikających osobistości. wszakże chcą kroki Generalności poprawić. na nic im się nie przyda w Preszowie zaufanie narodu. kredyt w wojsku i ta moc przyjaciół, która w kraju zawsze potrafi przekreskować Generalność. Wszakże raz w kraju znajdująca się Generalność jedynie od narodu dependować musi, którym sześciu ludzi trząsać nie będą na przekorę zasłużonym i najpierwszym mężom.

„3. Do Jmćp. kasztelana czerskiego pisać będę przez imćp. wieluńskiego (Morżkowski), który tam jedzie i z którym proszę Wp. znosić się i wszędzie go wspólnym przyjaciołom zalecać. Będę także przez niego pisał do JW. wojewodziny bełzkiej, do JW. podczaszego lit. i do Lasockiego, według żądania W. Pana.

„4. Piszę tą pocztą list do Generalności, na ręce ip. Piaseckiego, z przyłączoną tegoż listu kopią, którą od niego dostaniesz W. Pan i przepisać dla przyjaciół rozkażesz, trzeba wszelkiemi siłami wnijście do kraju popierać i żadnego w tej mierze nie zaniedbywaj W. Pan starania. będzie wkrótce i naród o to wołał.

„5. Cieszę się, że ip. Dzierżanowski zaczyna już trochę w gniewach swoich zwalniać i do zasiadania w kole zabiera się, chciej W. pan jak najusilniej tej od niego żądać powolności...“

Dużo już razy w pismach Wessla poruszaną była kwestya przeniesienia Generalności do kraju — ale różne stawiano przeszkody urzeczywistnieniu tego projektu. W odpowiedzi na list powyższy podskarbiego, Gomuliński w tej sprawie pisał: „Do tego czasu nic nie słychać, żeby Generalność wnijść do kraju zamyślała. bezpieczeństwo dla niej chcą pierwej upatrzyć a dopiero się ruszać. Nie wiem, na czem zakładają to bezpieczeństwo. jednych zażywa się pobudek na komunikacyą, że tego jest potrzeba, słuchają tego, chwalą, uznają prawdę, ale ciężko ich nakłonić, żeby w kole tę propozycyą (przedstawić), zwłaszcza, że byliby przekreskowani, bo nie są tak liczni. gdyż Litwa czuwa na francuskie pieniądze. Wołyński się odezwał, nikt go nie wsparł, więc jest prześladowany, ja rozumiem, że póki od Dumouriez'a nie będą mieć rezolucyi, póty tej materyi nie przepuszczą w kole. Słowem tak jest ciężko na to ich determinować, że nie widzę innego sposobu, tylko albo przez delegacyę od wojska imieniem narodu, albo przez Francyę, w której są zaufani, albo przez Saksonię...“ Z czasem dla projektu tego pozyskano Dumouriez'a, bo pod datą 11. maja, Dzierżanowski donosił Wesslowi z Preszowa: „Pisał tu pan Dumouriez do Generalności przez pana De la Roche, aby ta najdalej za trzy niedziele w kraju swoim znajdowała się. Czytali listy na sessyi i zezwalają na te pod kondycyą jednak, aby im Dumouriez pieniędzy pożyczył na wykupienie się z Preszowa i na drogę...“ Atoli niepomyślny obrót działań wojennych. zatrzymał znów Generalność po za granicami kraju, — nie mniej przeto Wessel ciągle nalegał na wyjazd jej do kraju.

Jeszcze trochę szczegółów znajdujemy o współczesnych okolicznościach, w cyfrowanym liście Gomulińskiego do Wessla z d. 17. kwietnia:

„Nie wiem, co się stało, że ip. Dumouriez w swojem nie stawił się słowie być w Cieszynie pierwej. niżeli w Polsce, dla rozmówienia się z JW. Panem. Jak słychać, ma być już w Lanckoronie z ip. Putkamerem. delegatem do komisyi wojskowej. mocno nas to bałamuctwo obchodzi, bo się boimy, żeby ztąd intryga jaka nie wynikła, którejby JW. Pan był przeszkodził za widzeniem się z nim, boję się, żeby wojska nie przekupił. lubo jak mogę to bojaźń uspokajam, upewniając. że się spodziewać należy. że projekta absolutyzmu utrzymać się nie potrafią. To prawda, że wszystkich jedyną nadzieją jest JW. Pan. bo Dukla siedzi cicho, gdyż samej niemasz, a wojewoda kijowski nie ma kredytu i ma teraz do czynienia z synem, o Radziwile słychać, że ma bawić w Dre-

źnie trzy niedziele. Ip. Czerny, jak pieniądze przyjdą z Saxonij, wyjeżdża do Turek.

„Co mogę to czynię, tak ordynat jako i wojewodzina pieniędzy nawet nie żałują na utrzymanie przyjaciół. Myśl ich była, żeby zrobić powszechną kasę na to, ale któż da, Dukla się boi, a kijowski nie chce bez pompensu, i pomyśleć nie można mieć *pluralitatem*. Wyraziłem prawdziwych przyjaciół liczbę, do tych należy przyłączyć Stoińskiego, który na onegdajszej sessyi prosił o sąd na biskupa, jako nieprzyjaciela ojczyzny i do familij przywiązanego. Wracam mu *activitatem*, oświadczam, że jest arcydobry.

„Dwa dni pracowałem, przekładając kasztelanowi czerskiemu potrzebę, aby zasiadał w kole, ponieważ przysięgę odmieniono, obiecuje wejść i akces uczynić, ale zasiadać nie chce tutaj, aż w kraju. Toż samo i starosta smotrycki śpiewa. Rozpisano listy do senatorów, zapraszając ich do łączenia się.

„Dawno już od podczaszego nie miano wiadomości, czekają na powrót umyślnego, który do niego wyjechał. Starosta kaniowski młody cierpieć nie może wojewody kijowskiego, ani wojewodziny bełzkiej. Oni go też wzajemnie, ale z inflancką jest dobrze i chcą, żeby się Pac żenił z podczaszanką, która go nie chce, bo się kocha w Sapieże. Bełzka temu także przeciwna, bo najprzód ojciec tego sobie nie życzy, potem, że Pac jest ubogi i w dziedzicznych dobrach nad 30 tysięcy intraty nie ma. Ordynata są dobre zamysły i we wszystkiem zgadzać się będzie z JW. Panem, ja czekam na pozwolenie JW. Pana jechania do Cieszyna..."

O projektowanym wyjeździe Czernego do Turcyi, Morżkowski donosił Wesslowi (27. kwietnia):

„...JMć pan krakowski za tydzień a najdalej za półtory niedzieli wyjeżdża do Porty, bierze 7.000 dukatów w gotowiźnie, ze skarbu 2.000 dukatów na ekwipaż dla siebie, za 1.000 dukatów porcelany na prezenta, a za 500 duk. zegarków, tabakierek i innych galanteryi, usiłują, aby mu nakupić, serwis zaś z Prus polskich za 700 duk. ofiarowany, chce zabrać z sobą: gdy tedy tak wielką figurę ma prowadzić i prezenta znaczne dawać, mówi wielu, że ks. Radziwiłł nie mając sposobu do takich prezentów dania, odstąpiłby funkcyi, a Porta nie doczekawszy się posła wielkiego, mogłaby się urazić i interesom naszym nie tak dopomagać, jak się deklarowała..."

O rozpoczętych działaniach wojennych przez Dumouriez'a nad brzegami Wisły, w okolicach Tyńca, Boboha i Lanckorony, żadnych nie znajdujemy relacyi w przechowanej korespondencyi Wessla, który pod tę porę przeniósł się do Białej. Na krótko przed pamiętną bitwą pod Lanckoroną, Dumouriez zjechał był do Wessla dla zobopólnych konferencyj, których szczegółów również nie znamy. Rychło zaś potem nastąpiła klęska konfederatów w bitwie stoczonej pod Lanckoroną (21. maja). Bitwa ta pokrzyżowała wszystkie plany chełpliwego Francuza, przeszło 300 ludzi ubyło z szeregów, a ze starszyzny poległ młody Sapieha, regimentarz litewski, Orzeszko, marszałek piński, a Miączyński, marszałek bełzki, wzięty został do niewoli, oddawszy swego konia Dumouriez'owi, który zbiegł na nim. Następstwem tej klęski, nowe wynikły nieporozumienia. Dumouriez miotać począł oskarżenia na wodzów polskich, obwiniając ich, że mu przeszkodzili wykonać plany ułożone, i zły, zniechęcony, postanowił czem prędzej dostać się do Generalności, ułożyć jako tako powierzone mu sprawy i rzucić stanowisko wojskowe, jakie zajął w konfederacyi. Tymczasem na granicy odsiadywać musiał kontumacyę, nadbiegli tu także Bohusz i Piwnicki, konsyliarz chełmiński. Pierwszy pod datą 23. maja, więc na dzień trzeci po pogromie lanckorońskim pisał do Wessla:

„Nieporządny papier i pióro dają świadectwo miejsca, z którego piszę. Za pierwszą wiadomością zdarzonych okoliczności nieszczęśliwie a najnieszczęśliwiej, przez nieodżałowaną stratę kilku pierwszej dystynkcyi osób; wysłany z JW. konsyliarzem chełmińskim, zjechaliśmy na kontumacyą, dla widzenia się z jp. pułkownikiem Dumouriez. Słyszeliśmy od niego wzięte wszystkie kroki z JW. Panem, które prawdziwie (bez szczególniejszego jak teraz przypadku), chybić nie mogły. Podobało się Opatrzności wstrzymać skutki tego. Ufać i spodziewać się atoli należy, że wsparci mocną i nieoderwaną już odtąd JW. Pana pomocą, prędzej lub później i przez ciernie do naszego dojdziemy celu.“

Do listu tego Dumouriez dopisał: „Mon cher comte. Je Vous assure que Vous ferez bien de toute façon de venir joindre la Généralité, Vous trouverez d'honnêtes gens, qui ne feront rien que pour le bien, et qui rempliront tous les devoirs de citoyens dans ce temps malheureux, je Vous y invite, j'irai Vous prendre.“

Parę dni później, wystąpił Dumouriez z obszernym listem do Wessla, [1]) w którym z największą zjadliwością rzucał oszczer-

---

[1]) List ten podajemy tu w całości z oryginału:

„Que je Vous plains, mon-cher comte, de Vous trouver à Biała, avec des pareils défenseurs, qui à ce qu'on me mande, se livrent à une joie insensée, après s'être deshonorés; les malheureux Mionczinski et Sapieha sont sacrifiés. Rappelez Vous notre conversation dans le jardin le soir de la veille de mon départ, Vous avez cru sans donte que j'avais de l'humeur. Malheurensement mes jugements ont été vérifiés. Si je n'étais que particulier, je me serais hâté de quitter des guerriers indignes de ce nom, qui n'ont ni courage, ni honneur, et pour qui n'est rien de sacré. Jugez à plus forte raison de ce que j'ai du faire, étant chargé de la confiance de ma cour; ne craiguez rien pour la Généralité, autant son état militaire est incapable de la soutenir ou de lui nuire, autant ses actes auront de validité pour la négociation; elle représente la République, et on se servira d'elle pour décider le sort de la Pologne, ainsi venez Vous y joindre et ne restez pas davantage dans un endroit, ou Vous êtes indécemment et avec danger. Vous auriez l'air de protéger l'anarchie et l'indépendance, à laquelle Belza et Sapieha ont été sacrifiés, à laquelle je dois m'opposer de toutes mes forces, et que j'élevrai moi-même contre la République si je l'appuyais du crédit de la France, de son subside et de ma présence. Si je dois un jour rentrer en Pologne, ce sera à des conditions préliminaires, que je regarde d'avance comme impossibles. Si les chefs militaires aiment assez leur patrie pour se désister de l'ambition personelle et de l'esprit de propriété; si l'on rend les troupes à la République; si elles cessent de porter les noms et les livrées des gens, qui dans un temps plus tranquille ne seraient pas faits pour en avoir; si on livre à la punition militaire ceux des chefs qui ont occasionné ma retraite par lacheté et par trahison, alors je rentrerai et la France pourra rendre sa protection. Voila mes conditions, j'ai cru pouvoir y amener petit à petit ces messieurs, n'y ayant pas rénssi, je les donnerai quand on voudra par écrit, et c'est aussi par écrit que je veux les promesses, car je ne crois plus aux serments des Polonais; tous ceux avec qui j'ai traité à l'armée, ont été parjures. Je Vous remercie de l'interêt que Vous me montrez sur mon danger personel, on ne m'a pas donné occasion d'être long-temps exposé et j'en ai couru de plus grands en ma vie, je n'ai pas même tiré l'epée et je ne me suis servi que de ma canne sur officiers et soldats sans distinction. J'attends incessamement mon cousin avec l'argent et un convoi de poudre, je Vous ferai passer 600 ducats, au sortir de ma contumace, j'irai à Bilitz Vous chercher, pour que Vous veniez Vous joindre à la République. Confiez Vous à ma tendre amitié et à mes soins, ne balancez point sur le parti que Vous avez pris, comptez sur la France, comptez que je ménagerai vos interêts, votre réputation et votre façon de penser. Les personnes que j'avais chargées de mes lettres pour l'évêque ont eu la

stwa na Polaków i zapowiadał swój odjazd z kraju. Wstrętny list ten, w którym pułkownik francuski, chcąc salwować swój honor

---

coquinerie de ne pas les remettre pour perpétuer Vos haines. Reconnaissez à tout cela la suite des projets, dont je Vous ai entretenu, je m'apperçois de cette surprise de lettres par le silence de'évêque et de la duchesse, sur ce qu'elles renfermaient. Je Vous reitère mes conseils, tous les raisonnements que je Vous ai faits à Biala, et les assurances de l'attachement sincère et de l'estime, avec lesquels je suis etc.

Du. 27. Mai.

Je vous renvoie par Bilitz copie de cette lettre que je crains, qu'elle ne Vous arrive pas par Rabka, je Vous reitère mes conseils, j'ai besoin de Vous pour mon plan sur l'ordre sénatorial et d'autant plus besoin, qu'il y a du trouble à la Généralité. J'ai trop d'amitié pour Vous, pour abandonner votre malheureuse patrie, si Vous Vous aidez. La voilà plus livrée que jamais au bras siculier, venez avec moi à Eperies, nous changerons bien des choses qui me déplaisent et qui vont mal: je connais votre embarras sur vos affaires domestiques, mais soyez sûr qu'il serait tout aussi grand en Pologne; cependant je n'ai point de conseil à Vous donner sur cela, car votre situation dépend du dégré de sureté, que Vous donnerait les impériaux à Biala. Soyez sûrs qu'on va renouveler le projet du Maréchal Zwionszkowi, prenez garde que votre patrie n'ait à Vous soupçonner de ce crime qui paraitra authorisé par votre présence; le projet de Lithuanie et celui de Kossakowski vont reparaître, et je n'ai plus d'obstacles à y opposer. Songez aux Potocki, songez à la confédération de Bar et à l'ordre sénatorial, aurez-Vous la force de soutenir ces trois objets essentiels tout seul à Biala, entouré de toute cette canaille, qui n'a plus de frein, qui Vous tiendra à sa merci, et qui abusera de Votre nom. Prevenez bien vite Dukla et le palatin de Kiovie. Si l'évêque vient, raccomodez Vous sans balancer, il n'y a plus du temps à perdre, mais l'évêque ne viendra pas, on a supprimé mes lettres, je les avais remises à Pulaskij. Cherchez sans partialité à vérifier la façon de penser de Zaremba, je ne sais qu'en croire, car plus ces gens-çi se sont acharnés à m'en dire du mal, plus je voudrais les connaitre. Il peut devenir le soutien du parti des grands, s'il est honnête, et il faut au moins le carresser pour contre balancer Pulaskij, que Vous verrez d'ici à cinq ou six mois l'attaquer. Walewsky plus fin que tous deux, les écrasera tous, et Vous fera tous trembler. Si ces vues sont droites, ce sera tant mieux, et je serai le premier à l'aider, mais sur qui compter? Quand à moi, me croyez Vous assez fou pour venir balotter ma cour entre pareils gens et la faire servir d'instrument à l'élevation de toute cette canaille. Je Vous parle vrai, cette lettre çi doit Vous ouvrir les yeux sur toute cette affaire, agissez avec bien de précaution et comptez sur moi. Je n'ai pas besoin de Vous réiterer l'assurance de mon tendre et sincère attachement.“

wojskowy, dotknięty klęską pod Lanckoroną, namiętnie wyrzeka na cały naród, — charakteryzuje małoduszność Dumouriez'a. Upewnia tu, że gdyby nie obowiązki nań włożone, byłby porzucił wojskowych niegodnych tego imienia, pozbawionych odwagi i honoru, a dla których nic niema świętego. W chaotycznem zestawieniu swych poglądów na obecny stan rzeczy, Dumouriez potrąca o Generalność, która, wedle jego zdania, użytą zostanie do decydowania o losach Polski, zachęca więc Wessla, aby pośpieszył do niej dla wspólnego radzenia w sprawach publicznych. Inaczej mógłby być posądzonym, że wspiera anarchię i samowolę, dla których Miączyński i Sapieha zostali poświęceni. Dalej upewnia Dumouriez, że jeżeli kiedy powróciłby do Polski, to tylko na warunkach wprzód umówionych, które jednak sam uważa za niemożliwe, bo chciałby, aby wodzowie polscy pozbyli się dumy i samowoli: aby zwrócili Rzpltej swoje oddziały, które nosić nie powinny ich nazwisk i liberyi: aby kary wojskowe zastosowano do tych którzy byli powodem poniesionej klęski. Wtedy tylko mógłby powrócić a Francya udzieliéby mogła napowrót swojej opieki. Na to zas potrzebowałby piśmiennych zobowiązań, bo przysięgom Polaków — jak pisał — wierzyć nie może. A że widocznie Wessel pisać coś musiał poprzednio o osobistem bezpieczeństwie Dumouriez'a, ten ostatni odpowiada, że nie danem mu było być narażonym na niebezpieczeństwa, których przecież w swojem życiu więcej zaznał. — Tutaj miecza nawet z pochwy nie wyciągał, a używał tylko swej laski, zarówno na oficerów jak i na żołnierzy. Narzeka dalej, że listy jego do biskupa kamienieckiego zatrzymane być musiały, aby przeszkodzić pojednaniu tegoż z podskarbim. Zresztą upewniając zawsze Wessla o swych sentymentach dla niego, zachęcał go Dumouriez, aby się łączył z Generalnością, obiecywał nawet przyjechać po niego do Bilitz. W dopisku do tegoż listu dnia następnego (27. maja), rozprawia Dumouriez o niektórych sprawach dotyczących związku i nalega na Wessla, aby koniecznie wyrwał się z otoczenia tej lichej zbieraniny (de cette canaille), która nadużywa jego imienia, i żeby pogodził się z biskupem. Wspomina też o Zarembie, który z czasem mógłby się stać podporą stronnictwa „des grands“, na Pułaskiego rzuca różne inwektywy, przypuszczając, że za jakie 5 lub 6 miesięcy będzie bić się z Zarembą, a ich obu zgnieść może sprytniejszy od nich Walewski. I jeszcze upewnia Wessla, że nie może dworu swego robić narzędziem ułatwiającem wyniesienie się tej całej hałastry.

Odpowiedź Wessla na list powyższy była następująca: [1])

„Przyjaźń, jaką mi Pan okazywał, podczas pobytu pańskiego w tych stronach i którą mi Pan obecnie oświadczasz w swoim liście z d. 26. maja, pozwalają mi zwrócić się do Pana z całą otwartością.

„Sądzę, że chyba wskutek stanowczych rozkazów pańskiego dworu, zapowiadających zupełne opuszczenie spraw naszych, — powziął Pan postanowienie wyjechania z Polski, tem bardziej, że marszałkowie ściśle postępują wedle pańskiego planu, a jeden dzień nieszczęśliwy nie może i nie powinien usprawiedliwiać fatalnego uprzedzenia, które zaleca Panu porzucenie tak ważnej sprawy. Zgadzam się z Panem, że wśród świeżo zrekrutowanych wojsk naszych, nie ma porządku i dyscypliny, a brak władzy zwierzchniczej, jeszcze bardziej te niedostatki powiększa, — ale wiem także, że jest sposób zaradzenia tym niedostatkom i wprowadzenia ładu i porządku, które pozwolą konfederacyi spełnić zamierzone cele, z honorem dla tych, którzy do tego dzieła się przyłożą. Przedewszystkiem trzeba stworzyć radę, przedstawiającą Generalność w Polsce, — co już od dawna proponowałem i nie przestanę o to nalegać. Wszyscy będą posłuszni tej władzy i wówczas dopiero plany i dobre projekta będą przyjęte bez trudności, i znajdą się środki, których nawet Pan się nie spodziewa. Bez tego obietnice, których Pan wymaga na piśmie, nic znaczyć nie będą, trudy i starania Pana staną się bezużyteczne a nasze straty nieuniknione.

„Co do mnie, gdyby nawet moje wejście do Polski miało być poświęceniem, którego odemnie wymagają, — cofnąć się nie mogę, chyba w ostateczności. Troska o moją reputacyę i obawa, żeby nie zniechęcać ludzi, ktorych prawo zrobiło równymi mnie, i którzy mogliby mi zawsze wymawiać wszelką chwiejność, — są najważniejszymi motywami w tych okolicznościach. Kroki moje w ten sposób będę miarkować, aby nieprzyjaciele moi nie mogli mi zarzucać podtrzymywania anarchii lub samowoli. Tylko prawdziwe dobro i prawdziwa korzyść kierować będą mojem postępowaniem. Ponadto nie wiem, w czem użytecznym być mogę Generalności, która ze swej strony nikomu użyteczną nie będzie, póki jej władza legalna we własnym kraju zatwierdzoną nie zostanie.

[1]) Z brulionu bez daty — pisanego po francusku.

„Nic nie wiem, jakiemu losowi uległy listy Pana, pisane do biskupa. Jeżeli tenże biskup zdoła ułagodzić tych wszystkich, których obraził, pańskie projekta co do pojednania mogłyby być wykonane.

„Sądzę, że wszystko co miałem honor tutaj wyłożyć, będzie dowodem rzeczywistej przyjaźni mojej dla Pana, która mi zaleca z całą otwartością przemawiać, troszcząc się jednocześnie o pomyślność dobrej sprawy i o osobiste pańskie powodzenie...“

List ten, napisany ze spokojem, stanowił przecież należną odprawę na wybuchy Dumouriez'a, przytem Wessel i tutaj powtarzał swe dawne propozycye, aby Generalność lub jej przedstawiciele do kraju się przenieśli, gdzie władza ich bardziej legalną i bardziej skuteczną być by mogła. Niedługo później Dumouriez listem pisanym z Friedmannu (10. czerwca), zwraca się znów do Wessla i powiadamia go, że biskup kamieniecki przybył do Bilitz „*conséquement à nos arrangements*“ [1]) i licząc na dobrą wolę obu, spodziewał się, że przyjdzie do pożądanego pojednania. I gorąco ku temu namawia Wessla, przekładając, że tylko ścisły związek „*entre les grands*“, może przytłumić dumę drobnej szlachty i dodać skutecznego bodźca konfederacyi. Następnie tłómaczy się Dumouriez ze swojego zamysłu ustąpienia, które przewidziane było mimo wszelkich traktacyj w Białej i w Cieszynie. Narzeka, że plany jego zniweczone zostały, że w jednym dniu stracono 30 mil kraju i 2.500 ludzi, które — jak powiada — Pułaski uprowadził do wszystkich dyabłów. Również dotkliwą jest strata Miączyńskiego i Sapiehy, którzy tamtych wodzów mogli w szachu utrzymać. To też Dumouriez uważa, że mógłby tylko skompromitować dwór swój, czepiając się dwóch indywiduów, którzy całą sprawę zepsuli, używając dostarczonych posiłków dla własnej tylko ambicyi. Wreszcie proponuje Wesslowi, aby przybył na zjazd w Nowym Targu lub w Orawie, na którym znajdować się mogą Pac, biskup Krasiński i on sam Dumouriez. W tym celu, po odsiedzeniu kontumacyi, zamierzał jechać do Preszowa, aby do skutku doprowadzić ów zjazd, mający rozpatrzyć wszelkie sprawy polityczne i wojskowe i nowe plany zakreślić. Tymczasem prosił jeszcze raz Wessla, aby się widział z biskupem i zbliżył się do

[1]) Z tego ustępu pokazuje się, że owe listy Dumouriez'a do biskupa, o których poprzednio pisał, że były przejęte, dojść przecież musiały.

niego, gdyż tylko zjednoczenie senatorów i silny układ polityczny, zaradzić mogą wszelkim nieporządkom i zachęcą dwory do dostarczenia posiłków.[1])

---

[1]) List ten Dumouriez'a z 10. czerwca z Friedmannu, podajemy tu w całości z oryginału:

„Monsieur le Comte. Vous devez avoir reçu par duplicata une lettre raisonnée que je Vous ai écrite sur Votre position. Je comprends tous Vos embarras, et l'amitié que Vous m'avez inspiré m'a dicté l'avis, que j'ai la liberté de Vous donner sur votre conduite ultérieure. Mr. l'évêque de Kamieniec s'est rendu à Bilitz, conséquement à nos arrangements, sa bonne foi et la votre m'assurent que le racomodement sera effectué comme nous l'avions dit. Il est plus nécessaire que jamais, Vous en sentez les raisons, il n'y a qu'une union très forte entre les grands, qui puisse modérer l'ambition de la petite noblesse et donner du poids à la confédération, que sa partie militaire ne peut que décréditer vis à vis des puissances étrangères.

„Je n'ai pas besoin vis à vis de quelqu'un, aussi consommé que Vous dans les affaires, de chercher des preuves, qui appuyent ma retraite. Elle était prévue, malgré tous les propos de Biała et de Teschen. Vous jugez que mon plan était renversé, que n'ayant plus..... dont ces messieurs ont tant abusé, ayant perdu en un jour 30 lieues de pays, 2.500 hommes, que Mr. Pulaski a emmené à tous les diables, le maréchal de Belze et le comte Sapicha, qui pouvaient balancer les autres chefs, j'aurais trompé et compromis ma cour en m'attachant à la fortune de deux particuliers, qui ont miné les affaires, en faisant servir le subside à leur ambition pariiculière. Mon amitié a sans doute beaucoup souffert, en Vous laissant dans l'embarras, mais comme Vous n'y êtes que par votre position à Biała, et que d'ailleurs Vous n'êtes point compromis dans tout cela, je n'ai pas du balancer à faire mon devoir, en exhortant Votre Excellence à faire le sien.

„Si par hasard, il ne Vous est pas possible de repasser en Silésie ou en Hongrie, vu la longueur de la contumace et Vos affaires-il est au moins à souhaiter que nous nous abouchions, le maréchal général, l'évêque, Vous et moi, à une contumace, soit de Nowitarg ou d'Orawa, ce qui sera aisé et sans péril en passant par derrière Żywiec. Dès que ma contumace sera finie, je me rendrai à Eperiès, et là je proposerai cette entrevue, dans laquelle nous traiterons toutes les affaires politiques et militaires, et nous conviendrons d'un nouveau plan, qui ne doit point être fait sans le concours des personnes, qui comme Vous connaissent les affaires de la République.

„En attendant, voyez Vous avec Mr. l'évêque de Kamieniec, et suivez les engagements mutuels, que Vous avez pris, et qui peuvent seuls sauver la République. Soyez sûrs, l'un et l'autre, que lorsque je Vous ai proposé Votre racomodement, c'est qu'il est extremement nécessaire et que les nouvelles circonstances ne font qu'en augmenter la necessité. Il faut montrer un corps de sénateurs, et un arrangement politique bien fort pour suppléer au désordre militaire, et engager les

Odpowiedź Wessla na list powyższy (15. czerwca), podajemy z kopii w przekładzie z francuskiego.

„Miałem honor odpisać na list Pana z d. 26. maja, którego duplikat otrzymuję dzisiaj przez pana La Roche wraz z drugim listem z Friedman z 10. czerwca. Z pisma mego mógł Pan zrozumieć, w jakim kłopocie znajduję sie w obecnych okolicznościach, a jestem w niemożności zniesienia z czemkolwiek mojego postanowienia.

„Raczy Pan przypomnieć sobie, że za powrotem pańskim do Białej, przedstawiałem powody nowego niezadowolenia, wywoływanego ciągle przez rozgłaszanie po kraju przez biskupa kamienieckiego najrozmaitszych oszczerstw, które zarazem przesyłał do Generalności, a w których nie tylko honor mój dotyka, ale obraża wielu innych, gorliwych patryotów, którzy w obecnych okolicznościach byliby użytecznymi. Sam Pan przyznał, że w celu doprowadzenia do pożądanej jedności, biskup powinien przedsiębrać pewne kroki, aby wynagrodzić krzywdę przez jego pisma nam wyrządzoną. Biskupowi zdaje się, że spełnił swój obowiązek, przesyłając mi list, w którym pisze o błahych rzeczach, o nieznanych mi okolicznościach. Kopię tego listu przesyłam wraz z moją odpowiedzią. Bądź Pan sędzią i zdecyduj, czy list ten wynadgradza ogrom zniewagi i czy jest dostateczny, aby mnie zachęcić do pojednania, bez ujmy dla mnie wobec tych wszystkich, którzy przy mnie stoją. Pominąłbym wszelkie względy osobiste, jeżelibym zdołał innych do zgody pociągnąć, ale niewątpliwem jest, że takie postępowanie odsunęłoby ich tylko odemnie i od Pana, jeżeli trwa Pan w żądaniu, abym do zgody przystąpił, nie otrzymawszy uprzednio od biskupa odwołania, które sam Pan uznawał za konieczne. Szczerość i otwartość, z jakiemi zawsze wyrażałem moje zdania, zalecają mi i dzisiaj wyłożyć myśli moje odpowiednio do zapewnień pańskiej przyjaźni. Jestem świadkiem naocznym wszystkich czynności marszałków, sądzę, że niesprawiedliwem by było posądzać ich o ambicye tak niewłaściwe, o dążenie wytworzenia władzy marszałka związkowego, teraz właśnie po uznaniu władzy zwierzchniczej Generalności, której rozkazy zawsze przez nich są

cours à nous donner des secours plus marqués, c'est le seul moyen de reparer vos malheurs. Ainsi mon cher comte, croyez en mon amitié et ma sincerité que Vous avez toujours reconnu et qui est invariable. Conservez moi Vos bontés, et comptez sur le tendre attachement de votre serviteur...“

uszanowane, i jedność, z jaką spełniają te rozkazy, odjąć powinna wszelką obawę w tym względzie.

„Projekta, które mi Pan komunikował, tak dobrze były ułożone, że w dalszem ich przeprowadzeniu, byłby Pan znalazł środki na zaradzenie zaszłym wypadkom. Mogłyby też nietylko zapewnić powodzenie konfederacyi, ale także dopomódz urzeczywistnieniu dobrych intencyj Francyi. Obawiam się, że odstępując od tego planu, oddalimy od siebie ufność wojska i jego wodzów i stracimy możność wprowadzenia Generalności do kraju, która zaradzie może przez swą władzę zwierzchnią wszelkim niedogodnościom i ograniczyć ambicyę tych, którzyby chcieli uzurpować jakąś władzę samowolną. Tylko Generalność byłaby w stanie zaprowadzić dyscyplinę wojskową i utrwalić porządek w finansach. To też trzeba wielkiej uwagi dla utrzymania jedności i dobrej harmonii między narodem, Generalnością i wojskiem, — bez czego przedłużać się będą klęski i nieszczęście publiczne, a na nas spadną wymówki potomności. Póki tylko na powyższych zasadach prowadzoną będzie praca, wszystko robić obiecuję, wszędzie gotów jestem się udać i szczęśliwy będę, mogąc się zaliczyć do rzędu tych, którzy przyczyniają się do szczęścia kraju, jak również, gdy znajdę możność dać Francyi dowody mych uczuć patryotycznych i szczególnej ufności, jaką pokładam nie tylko w projektach pańskich, ale i w sposobie ich wykonania...“

Do listu tego dołączył podskarbi kopię listu biskupa Krasińskiego, który interes soli i broni mając sobie poruczony, zwrócił się do Wessla, pisząc (13. czerwca): „...Podjałem się tego interesu tem chętniej, czem więcej widziałem, że ta okoliczność podaje mi sposób obaczenia się z Nim i rozmówienia się w teraźniejszych okolicznościach. Jeżeli tedy zdrowie JW. Pana pozwoli mu fatygować się aż do granicy, zleciłem mojemu księdzu ułożenie miejsca najprzyzwoitszego, jeżeli zaś słabość nie pozwoli, upraszam więc, abyś mnie uwiadomić raczył, czy jest potrzeba broni i można sól dać a broni wziąć, do czego, jakoby było potrzebne ułożenie i umowa, tak z kimby o tem mówić należało, czy z JW. Panem, albo czyli na miejscu Jego zostawionym substytutem, proszę o uwiadomienie...“

Tego rodzaju zgłoszenie się biskupa, po całym szeregu najzłośliwszych pism, oczerniających całą działalność Wessla, nie zdało się podskarbiemu dostatecznem zadośćuczynieniem, wyrównywającem nieporozumienia. Wessel dużo razy przedstawiał, że tylko w takim razie zasiąść może do wspólnych z biskupem narad

nad sprawami publicznemi, jeżeli biskup wyraźnie odwoła wszystkie swe pisma, przeciw niemu wydane. To też z niechęcią odpisał biskupowi: „W interesa i rządy ekonomiczne, jakom się dotychczas w teraźniejszych okolicznościach nie wdawał, tak i teraz w nie wtrącać się nigdy nie mam myśli, a to żeby nierozsądna złość ludzka, uszkodzenia publicznego winy na mnie nie składała. Jednakże jako z obligacyi obywatelskiej i urzędu mego, powinienem zaradzać a najbardziej w nieszczęśliwym czasie, więc życzyłbym referować się w interesie namienionym w liście JW. Pana do jww. marszałków, konsyliarzów lub ich substytutów...“

Tymczasem Dumouriez podążył do Preszowa. Niezadowolony, że Wessel nie spełnił jego wymagań, że odmawiał w obecnych okolicznościach przybycia do Generalności, uczuł żal do niego i pod datą 23. czerwca, wystosował doń list,[1]) w którym czynił mu wymówki, że nic nie robi dla pojednania się z biskupem. Niewątpliwie stronnictwo przeciwne Wesslowi musiało podżegać przeciw niemu Dumouriez'a, który też otwarcie wytykał podskarbiemu, że jego otoczenie, złożone z niskich figur, gubi go przez

---

[1]) Podajemy tu z oryginału list ten Dumouriez'a:

„J'ai appris avec peine, que Vous avez totalement changé depuis mon départ. Votre billet à Mr. de La Roche, qu'il m'a remis, me prouve que Vous n'avez point voulu répondre aux procédés de Mr. l'évêque de Kamieniec, je ne veux d'autre juge que Vous même, non pas entouré des gens subalternes, qui Vous perdent par de mauvais conseils et de faux raports, mais livré à Vos propres réflexions. Actuellement Vous avez reçu toutes mes lettres, et par conséquent Vous devez être au fait sur les circonstances de ma retraite. Vous eussiez dû me connaitre assez et connaitre assez Vos troupes pour ne pas me mal juger. Je suis faché que Votre confiance en des gens de cette espèce Vous fasse écarter de nos conventions, j'ai lieu de craindre que d'autres torts ne suivent celui là, que tout ce qui s'est passé entre nous, ne soit qu'une comédie, et que Vous ne preniez des projets injustes et funestes, qui peuvent avoir des suites fâcheuses et bien éloignées du but que Vous Vous serez proposé. Je continue jusqu'au bout mon caractère de vérité et de franchise. Je Vous parle en ami qui n'a aucun reproche à se faire, pas même celui du prétendu abandon, dont Vous Vous plaignez. J'ai rempli vis à vis de Vous tous les devoirs, cette lettre çi en est la dernière et la plus forte preuve, car vraisemblablement Vous, étant tourné vers d'autres vues, Vous y répondrez ou froidement ou politiquement. Réflechissez sur toutes mes lettres et sur Votre position, soyez sûr que je Vois assez bien et sans partialité, soyez sûr aussi que c'est avec les sentiments de l'amitié et de la considération la plus haute, que j'ai l'honneur d'être etc.“

złe rady i fałszywe relacye, a ufność, którą w nich pokłada, odsuwa go od nawiązanych układów. Przypuszcza też, że wszystko co było między nimi, było komedyą, że podskarbi zwróci się ku niesłusznym i fatalnym projektom, mogącym sprowadzić następstwa wręcz przeciwne zamierzonym celom. I choć upewnia Dumouriez o swej przyjaźni, zaznacza, że to list jego ostatni.

I w rzeczy samej nie pisał już więcej, nie znaleźliśmy też żadnych odtąd pism Wessla do Dumouriez'a, który oczekiwał tylko na przybycie swojego zastępcy, aby do Francyi powrócić.

Zapoczątkowany atoli projekt pojednania Wessla z biskupem i Generalnością, dalej był agitowany. Snać wpływy i znaczenie podskarbiego cenionemi być musiały, kiedy wszelkich dokładano starań o pozyskanie go do ogólnej rady. Pojednanie z biskupem Krasińskim powstrzymać mogło pokątną walkę stronnictw i zespolić obustronne usiłowania. W tej też myśli Pac pisał do Wessla 2. sierpnia:

„Wymowniejsze nad każdą moc słów, przykre rozerwania umysłów skutki, szerokiej oszczędzają eksplikacyi. Któżkolwiek albowiem siebie i wszystko swoje na wspaniałą ojczyzny obronę poświęcił, niepodobna, ażeby z najżywszą duszy goryczą nie czuł, że nic nas tak mocno od żądanego nie odtrąca brzegu, jako prywatne nieukontentowanie, szerzące się diffidencye, ustawiczne przez nowe podejrzenia execerbazye. Przeto wspólnemu z ojczyzną staraniu pomnażając trudności i zawad, a czułemu na wszystkie okoliczności nieprzyjacielowi gotowe *ad disunionem animorum* w rękę podając środki.

„My z naszej strony od najmniejszej suspicyi cienia szczerze oddaleni, wzajemnej z nami JW. Pana jednomyślności liczne ani obojętne mamy dowody: ale co nas atoli niespokojnymi czyni, co nam znajdujący się w kraju jww. koledzy gorliwie przypominać raczą, to jest: zagnieżdżona i trwająca dotąd z JW. Jmci księdzem biskupem kamienieckim nieprzyjaźń i diffidencye. Wiele dotąd jej skutków z przykrością doświadczamy; tyle słusznie wróżyć godzi się, że ściśłe umysłów złączenie pomnoży ojczystych szczęśliwości.

„Sakryfikowałeś wspaniale JW. Pan wszystko, cokolwiek Mu własnem było; przez ustawiczne starania targasz zdrowie, eksponujesz na rozliczne niebezpieczeństwa i własne życie, żaliż mogło więc co zostać, coby pożytkom tejże ojczyzny nie było sakryfikowanem, a tak *optime jure* ostatni ten krok być zda się, ażeby wszystkie nieukontentowania, przykrości, dotknięcia, z równąż wspa-

niałością, tejże ojczyźnie poświęciwszy, złączyć serca i starania, przez co tem łatwiej i pewniej te wielkie *patriae salutis* dzieło, do żądanego celu doprowadzić możnaby.

„Pomnoży to licznych zasług Jego, pomnoży to chwały w obcych winnej i mimo to wdzięczności u własnego narodu z nieskończoną satysfakcyą tych, których imieniem zostaję etc.“

Kazimierz Pułaski.

(Dokończenie nastąpi).

Pierwsze studyum francuskie o polskiej poezyi romantycznej.

(Gabryel Sarrasin: *Les grands poètes romantiques de la Pologne. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Paris. Perrin et Comp.* 1906).

Po wszystkie czasy Francya zajmowała się dużo Polską i Polakami.

Wynikało to i ze stosunków politycznych i z szczególniejszej sympatyi, z jaką społeczeństwo polskie ciążyło zawsze ku kulturze francuskiej. Francya wywierała na umysły u nas wpływ, który byłby wprost niezrozumiałym, gdyby rozejrzawszy się bliżej w ustroju psychicznym jednego i drugiego narodu, nie przyszło stwierdzać między nimi istotnych podobieństw charakteru i afinicyj umysłowych, aż nadto wystarczających, by to upodobanie z naszej strony wytłómaczyć. — Francya oczywiście nie mogła nie odpowiedzieć na te objawy przyjaźni i podziwu i wywiązały się stosunki, których wynikiem był stały prąd polakofilski wśród przedstawicieli umysłowości francuskiej. Zajmowano się nami przedewszystkiem z punktu widzenia etyki politycznej i filozofii historyi: ostatnio nawet jeden z przedstawicieli metody historycznej intuicyjnej, Bessonet-Favre, opracował w książce pod tyt.: „l'Egide“ całe dzieje nasze, od czasów bajecznych aż po wypadki ostatnie, dowodząc jednocześnie, że „siła nadziemska“ nie opuściła jeszcze Polski, że potęgi najwyższe tylko chwilowo usunęły jej swą pomoc. Polska zginąć nie może, bo pozostała jej tarcza

i obrona, obraz jasnogórski. — Najświętsza Panna, mimo podziału kraju, jest i nadal królową polską. Wszakże ludzie natchnienia, jak np. Wernyhora, przepowiedzieli, że Europa zachodnia zmuszoną będzie kiedyś wskrzesić swe dawne przedmurze od Wschodu — i pan Bessonet-Favre upatruje w obecnych wypadkach wszechświatowych znaki, zapowiadające możliwość spełnienia się tych przepowiedni, a w czci nieustannej, jaką lud polski otacza Jasną Górę, rękojmię, że naród spełni swe posłannictwo dziejowe.

Można oczywiście nie zgadzać się na poglądy pana Favre, ale bądź co bądź w pracy jego jest wiele wdzięcznych ustępów. Opis pielgrzymki do Jasnej Góry i wyjęty ze wspomnień Kaliksta Wolskiego, weterana z r. 1830, obraz — pochodu więźniów politycznych na Syberyę.

Do głębszego zapoznania francuskiego społeczeństwa z naszą umysłowością, przyczyniło się zaszczytnie grono ludzi, należących do emigracyi polskiej w Paryżu. Podtrzymując świetne tradycye wykładów Mickiewicza z Collège de France, syn poety, oraz Wacław Gasztowt z niezmordowaną gorliwością krzątali się około przełożenia na język francuski wszystkich wybitniejszych utworów wielkiej doby romantycznej. Wspierał ich w tem wykwintnem piórem Julian Klaczko, dopomaga Ludwik Leger, profesor języków słowiańskich w Sorbonie. Przedtem Gaszyński przetłómaczył był „Przedświt“. Obecnie więc istnieje już prześliczny, wierszowany przekład „Pana Tadeusza“ — Gasztowta, niemniej pięknie przez tego samego w szatę francuską przybrany „Anhelli“, bardzo zupełne, choć prozą, i ztąd nieco mniej silne tłómaczenie wszystkich innych utworów Słowackiego, także Gasztowta. Władysław Mickiewicz dał „Nieboską“ i „Niedokończony poemat“, Lacausade „Irydiona“. Dodajmy do tego studya i rozbiory Zdziechowskiego, Kozłowskiego, Lorentowicza, Klaczki, Gasztowta, Władysława Mickiewicza, działalność Antoniego Potockiego, Kozakiewicza i innych, a zbierze się pokaźny zasób materyału, umożliwiający cudzoziemcom rzeczowe zajęcie się naszą literaturą. Nie dziw też, że posiew ów wydał niebawem plon. Z tych prac przygotowawczych wyszło pierwsze, obszerniejsze i jednolite studyum francuskie nad literaturą polską.

Autorem jego jest Gabryel Sarrasin, znany już wśród swoich z dzieła „Odrodzenie poezyi angielskiej“, uwieńczonego przez Akademię.

Jeden z recenzentów temi słowy kończy artykuł, zatytułowany „l'âme polonaise“, a poświęcony rozbiorowi książki Sarra-

sina: „Niepodobna mi wniknąć w szczegóły tej tak głębokiej i porywającej analizy twórczej działalności trzech wielkich poetów polskich, dokonanej przez Gabryela Sarrasin. Trzeba czytać tę książkę, bo jest wzniosła i piękna, a autor włożył w nią całą swą duszę i cały zasób talentu artystycznego. Będzie ona dla wielu wprost objawieniem, dla wszystkich zaś pociechą. Oczywistem jest bowiem, że bolesny mistycyzm poezyi polskiej, który może się czytelnikowi francuskiemu wydać dziwnym, stanowi najwspanialszy przykład wytrwałości i wierności ideałom narodowym, jaki wogóle znają dzieje. W oczach Mickiewicza i jego szlachetnych współzawodników, wolność Polski nie zależy ani od kombinacyj politycznych, ani od sprzysiężeń, lecz jedynie od moralnego odrodzenia narodu, które dokona się w godzinie naznaczonej przez Opatrzność. Polska — mówi Krasiński — wybraną została, by nie słowami, ale czynami pouczać ludy o wielkiej i świętej zasadzie tego wszystkiego, co tworzy narodowość,. zasadzie, jedynie w przyszłości stworzyć mogącej harmonijną wszechludzkość. — Słowa prawdy i życia! I oto tajemnica tej poezyi „czynu“, zawsze jasnej i spokojnej, która na skrzydłach swych niesie w serca prześladowanych nieśmiertelną ufność — wiarę w Zmartwychwstanie.“

Tych kilka słów recenzenta charakteryzują wybornie cel całego studyum.

Sarrasin jest, jak sam mówi, zaciętym idealistą. boli go zmateryalizowanie francuskiego społeczeństwa, brak ideałów w poezyi, która powinna być szkołą uczuć szlachetnych, „bo nie ma wyższej chwały dla poezyi, jak gdy marzenia jej bratnio wiążą się z czynem.“

W naszej wielkiej poezyi romantycznej znalazł to, czegoby żądał od poezyi swego narodu, i ten bezpośredni wszechpotężny wpływ sztuki na społeczeństwo — wprawia go w zdumienie. „Trzeba to pojąć, — pisze — a pozwalam sobie dodać, że w Europie zachodniej nie ma się o tem najmniejszego pojęcia. do jakiego stopnia arcydzieła doby romantycznej w Polsce, stały się, dzięki wyjątkowym okolicznościom, ważnym, jeśli nie jedynym czynnikiem wychowania narodowego. I czy może być coś więcej porywającego jak fakt, że istnieje kraj, w którym poezya odgrywa tę wspaniałą rolę? Tam — mówiłem sobie bez ustanku, pracując nad tą książką — tam, poezya naucza! Tam jest królową i panią dusz — tam jest wiarą! I jako taka, otoczona jest czcią. wielbiona kultem... Wśród świata, który wszędzie amerykanizuje się

i nie ma innego Boga nad pieniądz — ohydny pieniądz — zjawisko to jest cudem.“

Nie ma co mówić, dobrze zrozumiał Sarrasin wyjątkowe stanowisko poezyi u nas.

Nie tu miejsce zastanawiać się nad pytaniem, czy taki wpływ literatury, niewątpliwie wynik anormalnych stosunków, nie jest i sam w sobie nieprawidłowym, — czy idealizując błędy popełnione lub popełniane, stawiając na piedestale estetyczne pojęcie życia, literatura, jeśli prawie wyłącznie jest szkołą pojęć etycznych i psychologicznych, nie działa rozkładowo i osłabiająco?

W każdym razie łatwo zrozumieć, że to nadzwyczajne stanowisko sztuki, musiało zachęcić idealistę-socyologa do bliższego rozpatrzenia się w niej. A jednocześnie idealistę-człowieka, spragnionego ludzi, dla których ideał jest rzeczywistością, którzy w sobie ziszczają swe pieśni, pociągały nieprzeparcie te trzy postacie poetów, biorących za zasadę życia to, co śpiewali. Pojął ich też doskonale. Mickiewicz dla niego, to Tyrteusz natchniony, którego poezya jest jednem wielkiem wołaniem do czynu, który całe życie spędza nad stwarzaniem sposobów działania dla sprawy. Począwszy od mesyanizmu i towiańszczyzny, a skończywszy na organizacyach legionów, każdy krok, każda myśl jego skierowana ku temu jednemu: „zbawić naród przez moralnie doskonały, materyalnie silny czyn.“

A znów Słowacki — to marzyciel, jeden z największych marzycieli świata. — Żyje samotnie, w dobrowolnej ofierze za naród i przez mękę duszy dąży do takiego wyszlachetnienia, by siła i czystość jego marzeń, mogły w oczach Wszechmocnego odkupić grzechy Polski.

Krasiński wreszcie, głęboko rozumiejący grozę samowoli, piętnujący ją w jej najsubtelniejszych czysto duchowych przejawach, wygórowanej wyobraźni (hrabia Henryk z „Nieboskiej“) i ideału, przeciwnego chrześciańskim zasadom przebaczenia, pokory, posłuszeństwa („Irydion“), sam przez całe życie jest męczennikiem, właśnie by nie zboczyć z drogi zaparcia się siebie, którą w swych pieśniach sławi i za jedyny sposób uszczęśliwienia narodu i ludzkości wogóle uważa. — Każdy z tych trzech, jednolity, jak ze spiżu ulany posąg, jest tem co śpiewa, i dla tego jest bardem natchnionym, prorokiem, wizyonerem.

Sarrasin nie tai się, że ten bardyzm wspaniały olśnił go i dodaje: „Poezya polska okresu romantycznego posiada pierwszą i najwyższą cechę natchnienia, ową nieokiełznaną swobodę myśli

twórczej, która zależy wyłącznie od siebie samej, łamiąc prawidła i ustawy, jakiemi epoki zużyte starają się zastąpić wygasły płomień ducha."

Książka cała, jak zresztą zawsze tego rodzaju studya, jest syntetyczną; nie znajdujemy w niej oczywiście obszernych krytycznych badań i nowych danych, przykuwa i porywa jednak głębią intuicyi, wdziękiem i polotem słowa i wielką sympatyą dla Polski, jaka bije z całego toku opowiadania. Do najciekawszych dla czytelnika-Polaka ustępów, należą szczegóły, dotyczące wykładów Mickiewicza w Collège de France, bo kreśląc tę część swej pracy, autor opierał się niemal wyłącznie na źródłach francuskich.

Przytaczam z niej niektóre wyjątki:

W pośród wypadków, które się rozwijały pod rządami Ludwika Filipa, któż nie zauważył epizodu wykładów w Collège de France? W starożytnej fundacyi Franciszka I. stworzył Cousin katedrę języka i literatur słowiańskich i powołał na nią narodowego poetę Polski.

Niebawem Mickiewicz zbliżył się do swych kolegów. Poznał w nich bratnie dusze, bo jak on, nienawidzili samolubstwa i niewoli, znaki udręczenia, bezprawia i ucisku myśli, rozumieli żywotne zagadnienia nowożytnych społeczeństw i czuli się na siłe dać wyraz dążeniom idealnym, całych zastępów ludzi. Michelet, Quinet, Mickiewicz spotkali się nareszcie i złączyli swą potęgę. Wymowa tych trybunów lirycznych strzeliła olśniewającym płomieniem nad monarchią lipcową. W wyłącznem posiadaniu przywilejów politycznych, nadęta pychą burżuazya, patrzała z góry na resztę narodu. Po za dobrobytem, pieniędzmi, korzyścią materyalną, monopolem wyborczym, nie obchodziło jej nic. Lękała się jak ognia wszystkiego co nowe, szlachetne, sprawiedliwe, co groziło wojną lub jakąkolwiekbądź przygodą. Znosiła spokojnie nieustanne obelgi Anglii i rozumiała się wybornie z królem, którego modlitwa poranna brzmiała, jak twierdził jeden z ministrów: „Pospolitość codzienną, daj mi dzisiaj — mój Boże".

Tymczasem prawdziwa Francya nudziła się, niecierpliwiła. Naprężenie utajone rosło z każdą chwilą i przewidywano ogólnie, że tego pokroju rządy, prędzej czy później, muszą runąć. — Na nizinach społecznych, proletaryusze żądali chleba, praw i odrobiny słońca dla siebie. U szczytów poeci i filozofowie usiłowali rozwiązać zagadkę poprawienia stosunków społecznych, głosili swe wspaniałe marzenia, i pełni wiary w przysłość niedaleką, czekali odrodzenia ludów z ufnością i bezinteresownością, która sobie

równej już nie znajdzie. Jednem słowem zbliżano się do „rewolucyi pogardy“. Ludzie z 1848 r. gotowali się zawładnąć sceną świata. Piękność ich dusz, naiwność, optymizm weszły w przysłowie. Wśród idealistów, którym dano było mówić w tym okresie, Quinet, Michelet, Mickiewicz i Lamartine, najwymowniejsi, najzapaleńsi, czarowali najsilniej.

Temperament unosił ich. Lubili publicznie trawić się w płomieniach zapału, ekspensować uniesienie bez rachunku. Jednocześnie uczeni, poeci, mówcy, natchnieni socyologowie i polemiści, dążyli do ideałów bardzo wysokich. Marzyli o polityce szlachetnej, o chrystyanizmie pozbawionym wszelkich naleciałości. Wyzwolenie myśli, czujny patryotyzm, postępowanie dumne a wspaniałomyślne, wreszcie zwycięstwo nad sobą, udoskonalenie moralne, wytrwałość, bohaterstwo — oto czego uczyli... Wielkie ideały są czasem w powietrzu, jeśli się komuś uda je pochwycić, wcielić w słowa ogniste i głosem porywającym wyrazić wobec licznego zgromadzenia rozgorą słuchacze. — Tak było tutaj. — Pod pokrywką wykładów literackich i społecznych, trzej profesorowie mówili o współczesnym stanie politycznym. To potrójne nauczanie stało się wraz z historyą Żyrondystów Lamartin'a najdonioślejszym wypadkiem życia umysłowego między rokiem 1840 a 1848. Wrażenie wywołane nie da się opisać. Cały Paryż mówił o tem. Ci, którzy u stóp katedr w Collège de France, słuchali owych głosów natchnionych, zachowali o tych iście apostolskich nauczaniach, wspomnienie święte i niezatarte. Spróbujemy sobie wyobrazić te wielkie dnie ducha, ten tłum, zapełniający amfiteatr, korytarze, galerye, podwórca, ulice, bo sala jest za mała, by go objąć. Co za wrażenie! Co za entuzyazm! — A jednocześnie, co za wybuchy wściekłości. Wrogie obozy po prostu walki toczą w audytoryum, słychać gwizdy, przekleństwa, groźby, obelgi, owacye, oklaski frenetyczne. Słowa mistrza bywają tak porywające, że kobiety klękają lub mdleją, wygnańcy wstają i płaczą. Zbiegli się przedstawiciele wszystkich ludów uciśnionych — Polacy, Włosi, Węgrzy, Rumuni, Niemcy, Hiszpanie, Amerykanie.

Jeden ze słuchaczów, Francuzów, w ten sposób charakteryzuje swoje wrażenie: „Dano było tym trzem ludziom odnowić potęgę życia starożytnego, gdy to słowo wszechwładnie rządziło, a nauczanie przyodziewało się w godność kapłańską. Mickiewicz, Quinet, Michelet stali przed nami jak kapłani i konsulowie tej republiki inteligencyi, która rosła pod panowaniem Pieniądza, na przekór wstrętnemu materyalizmowi. W ich obecności niejeden

z uczniów wołał jak Teages Platona: „Gdym był przy Tobie, a szaty moje dotykały Twoich, postępowałem więcej jeszcze na drodze wiedzy i cnoty, a teraz gdy jestem przy Tobie, chciałbym, aby życie moje upłynęło na słuchaniu Ciebie...“

„Ci nauczyciele, których głos rozbrzmiewał w Collège de France, działali przedewszystkiem na sumienie i wolę. Z nauk ich też wypływa cały łańcuch silnych postanowień i męskich czynów. Tutaj jest najszlachetniejsza szkoła życia publicznego, jaką znał wiek XIX. Europa z r. 1848, rozbrzmiewająca szczękiem broni powstańczej, była dziełem tych trzech ludzi i jeszcze kilku im podobnych. W trzech obozach, węgierskim, słowiańskim i włoskim, — pisze Michelet — mieliśmy przyjaciół, uczniów, niemal synów. We wszystkich trzech reprezentowane były szkoły paryskie.“

Wśród tryumfów ducha, ten tryumf jest najżyźniejszy, najdotykalniejszy. To tchnienie twórcze geniuszu moralnego, który rzuca na widownię dziejów postacie, jakby z wielkich epopei wycięte, przejmuje podziwem i pragnieniem nie mniejszem, jak owo inne tchnienie Ducha, z geniuszu estetycznego płynące i przynoszące ideały marzeń wielkich artystów, czasem nawet wstrząsa głębiej, zwłaszcza w dobie obecnej, gdy nam tak bardzo potrzeba życia przeżytego szczerze — i marzeń ziszczonych.“

Michelet — jeden z wielkiej trójcy tych nauczycieli Europy, tak charakteryzuje ogólnego ducha lekcyi Collège de France i stosunek Mickiewicza do towarzyszy:

„Cechą nowego sposobu uczenia w Collège de France była siła wiary, usiłowanie wydobycia z historyi nie doktryny, lecz zasady czynu, by stworzyć więcej jak umysły, bo duszę i wolę. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, co nawiasem mówiąc dowodzi, że myśli te nie były wyłącznie moje, ale leżały w duchu czasu, tą samą drogą, poszły dwa umysły wybitne, różne wyobraźnią, lecz zgodne ze mną głębokiem pojęciem życia — duszy narodu — Quinet i Mickiewicz. Od dawna już drogi Quineta i moje szły równolegle i mocno zbliżone. Mickiewicz, choć w innej formie, był sercem i treścią swych myśli z nami złączony. Wierząc w działanie wybawców i mesyaszów, tem samem składał wyznanie wiary w geniusz ludu. To też wykłady jego, choć wschodnie językiem i symbolami, stały w ścisłym związku z naukami nas, ludzi zachodu, toż samo w nich odwoływanie się do bohaterstwa, szczytnej woli, nieograniczonego poświęcenia. Odrębność zewnętrzna, jeszcze silniej podkreślała jedność wewnętrzną. Mickiewicz zmu-

szony był przebić ową ciemną chmurę, dla tej Francyi sympatycznej. Dla niej wydobywał z serca światło objawienia, którego nie wykrzesałaby może północ litewska. Widzieliśmy go czasem więcej jak człowiekiem. Płomień żywy, łzy zmieszane z błyskawicami, błąkały się w oczach krwią zaszłych.....

...Dzień 11. maja 1843 r. był jednym z najpiękniejszych dni mego życia. Quinet i Mickiewicz, jeden z prawej, drugi z lewej, stali obok mnie w czasie, gdym wykładał, stwierdzając w ten sposób naszą jednomyślność i dając młodzieży wspaniały przykład wzniosłej przyjaźni — harmonii serc, przez którą ojcowie nasi rozumieli braterstwo ludzi i ojczyzny. Między Polską a Francyą, mając przed sobą tylu świetnych obcoplemieńców — Włochów, Węgrów, Niemców, czułem w piersi jedną duszę — duszę Europy.“

Ten sam Michelet w swych „Légendes démocratiques du Nord“ opisuje ową słynną lekcyę, w której Mickiewicz, już wówczas pod wpływem Towiańskiego i przejęty jego teoryą, że Polska, by się stać godną dostojeństwa sędziego-kapłana świata, wyrzec się musi nienawiści do ciemięzców — wypowiedział słowa przebaczenia dla Rossyi.

„Mieliśmy przed oczyma cud, — mówi Michelet — fakt niesłychany, zdumiewający. Pot występuje mi na czoło, gdy o nim myślę. Collège de France było świadkiem tych rzeczy, świętą jest przez nie jego mownica. Mam na myśli dzień, w którym wielki poeta Polski, jej dostojny przedstawiciel, geniuszem, sercem, w naszych oczach, w obliczu całej Francyi, uczynił ofiarę z najsprawiedliwszej nienawiści, wyrzekł do Rossyi słowa bohaterstwa! Obecni na sali Rossyanie siedzieli jak piorunem rażeni, z oczyma wbitemi w ziemię. My Francuzi, poruszeni do głębi, ledwieśmy śmieli patrzyć na nieszczęsnych Polaków, siedzących przy nas. Brakowałoż bo którejkolwiek z nędz i boleści wśród tego tłumu?... O! żadnej!... Wszystkie nieszczęścia, jakie istnieją na świecie, miały wśród nich przedstawicieli. Wygnani, prześladowani, chodzące ruiny dawnych czasów, bitew przebrzmiałych. Biedne stare kobiety, w sukniach robotnic, księżne wczoraj, pracownice dzisiaj! Dla nich wszystko stracone, stanowisko, majątek, krew, życie... mężowie i dzieci pogrzebani na pobojowiskach lub w kopalniach Syberyi! Widok ich przeszywał serca!... Jakiej siły potrzeba było, by do nich tak przemawiać, wymusić zapomnienie, wspaniałomyślność, zabrać ostatni skarb, jaki im jeszcze pozostawał — zemstę! Ten tylko mógł się zdobyć na odwagę zadania im nowej rany, kto sam ze wszystkich był najciężej zranionym.

Ale tak było postanowione i tak się stać musiało. Próżno są wszelkie spory za i przeciw. Było napisane i zamierzone, by Polska, wyrywająca sobie Polskę z serca, tracąc ziemię z oczu, odpychając niezmierzoność cierpień, nienawiści i wspomnień, uniosła w swym locie ku niebu, Rossyę samą. Oto tajemnica białego orła, który krwią własną przelaną, zbawia orła czarnego.“

Świadectwo Micheleta stwierdza dobitnie, jak bardzo Mickiewicz był rozumiany przez elitę umysłową, nie tylko ówczesnej Francyi ale i Europy. — Sarrasin, przedstawiając tę stronę działalności Mickiewicza, w związku z rozwojem idei ogólno-europejskich, odejmuje jej tem samem ową cechę chorobliwego mistycyzmu, która w naszem pojęciu przyćmiewa jej świetność. Ani poglądy mesyaniczne Mickiewicza, ani nawet wystąpienie Towiańskiego, nie ma w sobie nic, coby mogło służyć za dowód jakiejś wyjątkowej, dziedzicznej skłonności do gubienia się w niezdrowych marzeniach. I wcale nie chcę przez to powiedzieć, żeby wogóle tego rodzaju anormalnego marzycielstwa u nas nie było. Bynajmniej! Stwierdzać je przychodzi aż nazbyt często, już w skrajności, z jaką wszelkie pojęcia chwytamy i usiłujemy przeprowadzić, podkreślam tylko to, co zrozumiał i doskonale podniósł Sarrasin, że mesyanizm Mickiewicza i Towiańskiego jest wytworem nie specyficznie narodowym, ale leży w duchu doby romantycznej jako takiej.

„Rozprawiano u nas w nieskończoność nad znaczeniem słowa, romantyzm, mówi on, pisano książkę za książką. Połowa ich co najmniej okazałaby się zbyteczną, gdyby miano na uwadze, że literatura i czyn towarzyszą sobie, przenikają się wzajemnie, wpływają jedna na drugi. — Nie byłby wówczas popełniony błąd, brania romantyzmu li tylko w znaczeniu literackiem, uważania go jedynie za zwrot ku pieśni i myśli, za reakcyę przeciw zbytniemu utrudzeniu czynnem życiem. Przeciwnie, stałoby się jasnem, że romantyzm, to nie tylko epoka twórczości poetyckiej, lecz epoka bohaterska i twórcza XIX. w. i historyi świata. Z ust kilku wielkich ludzi, Byrona, Shelley'a, Lamennais, Mickiewicza, Carlyle'a, Wiktora Hugo, Micheleta, Quineta, płyną słowa, które zapalają, podniecają i stają się źródłem działania. Wszyscy oni czują się powołani do spełnienia „misyi“, — jak mówi Mazzini — wszyscy ci spirytualiści i „wierzący“, wedle wyrażenia Lamennais, mają tylko jedno pragnienie wypełnienia mandatu, zleconego im przez Opatrzność.

Wobec tego przemówienie na przykład, jakiem Towiański rozpoczął swą pracę w emigracyi, wyda się o wiele mniej dziwacznem.“

Całą scenę tak opisuje Sarrasin:

„Pewnego poranku sierpniowego 1841 r. wnętrze Notre-Dame de Paris przedstawiało widok oryginalny. U stóp ołtarza, wzniesionego w środku kościoła, zastęp wychodźców, zwołany przez Mickiewicza, słuchał uroczystej Mszy św. Dwóch ludzi modliło się gorliwie klęcząc obok siebie, poeta i jakiś inny Polak, dotąd nieznany. Po skończonej Mszy św. towarzysz Mickiewicza wstał i przemówił mniej więcej w te słowa: „Bracia rodacy! Przedstawiając się wam po raz pierwszy, składam najprzód dzięki Najwyższemu, że mimo licznych przeszkód przywiódł mnie do was i pozwala mi rozpocząć apostolską działalność wśród was, w tym przybytku po Komunii św., którą mnie niegodnemu dane było przyjąć. Od dawna noszę w duszy gorące pragnienie, zbliżenia się do was — rodacy — i podania wam tego, co przekazanem mi jest z góry. Lecz teraz dopiero wybiła godzina, naznaczona przez Boga... Przychodzę Wam oznajmić — Wam najpierwszym, że czasy się dokonały, godzina miłosierdzia Bożego wybiła, przychodzę Wam oznajmić epokę chrześciańską wyższą, która otwiera się dzisiaj dla świata i t. d. i t. d.“

Dla nas ludzi współczesnych, zrównoważonych czasem aż nadto wpływem pozytywizmu, tego rodzaju wystąpienia nie mogą być niczem innem, jak mniej lub więcej zacną utopią. I słusznie że tak jest. Ale bądź co bądź zaszczytne to dla nas, że w owym okresie, w którym fantastyczne światopoglądy rosły jak grzyby po deszczu i co drugi człowiek czuł się apostołem — rad, że może się wygadać do woli, a po za tem, nie troszcząc się zupełnie o ziszczenie w sobie warunków moralnych, dla apostoła koniecznych, Towiański — przeciwnie — brał rzecz daleko głębiej i stał rzeczywiście na bardzo wysokim poziomie etycznym. Opierając się na obszernym życiorysie Towiańskiego, wydanym w Turynie przez senatora Tankreda Canonico, jego wielbiciela i ucznia, Sarrasin nie waha się twierdzić, że pan Andrzej był po prostu „świętym“. Cytuje różne rysy z jego działalności na Litwie, a wreszcie mówi: „Takie życie jest podziwu godne. Im więcej się je czyta, tem większe robi wrażenie i zdaje się być kartą Ewangelii od końca do końca... Co nie przeszkadza, że Towiański był umysłem bardzo przeciętnym. Pisał tak licho, że czytać go jest prawdziwą męką, poglądy jego i sądy uderzają ciasnotą i chwiej-

nością. A jednak wywierał na wszystkich, co się do niego zbliżali, wrażenie bardzo silne. Bił od niego jakiś urok, który zakrywał względną niższość umysłu. Wobec jego sposobu mówienia i bycia, badać wartość logiczną słów, stawało się niepodobnem — porywała promienność jego zachowania się ewangeliczny ton, jednem słowem „z człowieka biła piękność moralna, która jego najprostszym słowom nadawała rzadką siłę przekonywującą. Otulał się w blaski swej duszy silnej i czystej.“ Szwajcar Adolf Lebr, który go znał w Zurichu, gdzie Towiański mieszkał i umarł w r. 1878, wyraża się o nim z entuzyazmem.

„Widziałem Towiańskiego, jest to człowiek nadzwyczajny. Wszystkie pojęcia wieku tkwią w nim. Jest wcielonym duchem czasu, wszystkie jego porywy ogarnia swem wielkiem sercem. Jego wiedza, przenikliwość są nadludzkie. Wszechmocny zapałem i uniesieniem, dumnym lotem dąży coraz wyżej. Ten gest monarszy, ten spokój, siła, miłość, ta pogoda królewska, czoło imperatora, oblicze dziewicy. — Co za człowiek.“

Jak łatwo zauważyć, wszystkie przytoczone ustępy, czy to pióra samego Sarrasin'a, czy przez niego cytowane, obracają się w dość silnych superlatywach. Sarrasin nie mógłby się w żaden sposób wyprzeć idealizmu i prawdziwie romantycznej zdolności do entuzyazmu! Przy analizie dzieł poetycznych naszej triady wieszczów, która wypadła nadzwyczaj trafnie, a dzięki iście francuskiemu wdziękowi stylu, zarazem i dziwnie pociągająco, spotykamy się co krok z wyrażeniami, jak: najbajeczniejszy czyn, wszechświatowej literatury (Improwizacya), pomysł najbardziej nadzwyczajny w literaturze współczesnej (Król Duch). Przy wspomnieniu sceny z „Lilli Wenedy“, w której Derwidowi zamiast harfy upragnionej, przynoszą ciało córki, w skrzyni cedrowej zamknięte, brzmi ocena: „nie znam nic silniejszego, nawet w teatrze Szekspira lub tragików greckich i t. d.“

Zdaje się, że jedyne słowa krytyki, jakie można znaleźć w książce, odnoszą się do fantastycznych postaci dramatów Słowackiego. Są to wedle autora, niewłaściwie zastosowane naśladowania Szekspira, niewłaściwe dla tego, że Szekspir nigdy nie pozwalał sobie na wplatanie tego rodzaju lekkich fantazyj, do swych wielkich tragedyj. — „Komizm Ślaza w „Lilli Wenedzie“ jest po prostu zły. Ten sługa św. Gwalberta i sam św. Gwalbert, to pajace, i nasuwa się pytanie, jak mógł tego nie spostrzedz poeta miary Słowackiego.“ Goplana i Chochlik znajdują trochę więcej łaski. „Pomijając żywcem przekalkowanie ich z „Snu nocy

letniej“, język, jakim mówią. jest zupełnie odrębny. Gdy chodzi o obrazy, wyobraźnia Słowackiego jest bezgraniczna, nieporównana.“

Zacytowawszy potem ustęp z „Balladyny“, krytyk ciągnie dalej: „Tak, wszystko to jest magiczne. Im dalej postępuje się w dziele Słowackiego, tem silniej obejmuje czar jego marzeń. Ale powoli przestajemy się dziwić tej wizyi, wiecznie czarodziejskiej i drgającej życiem. choć graniczącej z cudem — tak bardzo ona jest naturalną u tego zdumiewającego poety. — Spostrzegamy niebawem, że ona tryska z najgłębszych tajników jego duszy — ogarnia go, władnie nim niepodzielnie.“

Dzięki tej boskiej sile obrazowania, poeta „zdołał wysubtelnić porywy namiętności romantycznej, złagodził głos muzy 1830 r., do jej dzikich okrzyków przydał dźwięki z kryształu i złota, na czole gwałtownem położył wieniec z róż, a na usta słowa nieporównanej piękności. A mimo to, jakie skrzydła ogniste, co za lot płomienny!... Wiersz Słowackiego przebiega błyskawicą świat ducha i wszystko poczyna się żarzyć i serce człowieka spopiela się — druzgocze.“

W Krasińskim podkreśla przedewszystkiem Sarrasin genialną intuicyę historyozoficzną: „Wpaść na myśl napisania dramatu na temat ukazania się demokracyi i jej nieuniknionej a wstrętnej karykatury demagogicznej, oraz walki, jaka będzie toczyć z wybrańcami rodu i pieniądza, było w r. 1835 rzeczą niezmiernie ciekawą, już dla tego, że prócz Krasińskiego, nikomu to do głowy nie przyszło. Nie w tem jednakże tkwi wielka oryginalność poety; błysk geniuszu, to przedewszystkiem fakt, że szlachcic polski nie pozwolił sobie ani na słowa, ani na ułudy. Odważnie postawił przed trybunałem swego sądu najpiękniejsze marzenia współczesnych, nie wyjmując nawet owego ideału, jaki najszlachetniejsi z nich ukuli sobie co do przyszłości ludzkości; powołał przedeń przyrzeczenia szczęścia, któremi poeci i saint-symoniści zachwycali współczesnych i promienne oczekiwania raju ziemskiego głoszone, by ukołysać siebie i drugich. Skarby te wizyonerskiej fantazyi, porównał szorstko z naturą ludzką i życiem. Ten młodzieniec jasnowidzący, obdarzony przerażającą wyobraźnią, zrozumiał, że wskutek rewolucyi francuskiej, godzina walki i klas wybiła, a dramat społeczny pocznie się rozwijać. Jednocześnie zaś posiadał zmysł spostrzegawczy. Przenikliwem okiem badał świat, gdzie właśnie przyoblekały się w ciało dwie wrogie idee nowego czasu, rozglądał się w duszach koryfeuszów i komparsów, przenikał ich dusze, przejrzał do dna swoją epokę, wyczytał złowrogą przyszłość.

Już w 1835, rzekłbyś, że odgadł krwawe ruchy chłopskie, które krwią zalały Galicyę w r. 1846, że widział na Zachodzie dnie lipcowe, komunę i wszystką groźbę tych grzmotów, idących z warstw niższych. Syn tragicznego narodu, obdarzony wyłącznie poczuciem tragizmu, nie dał się zatrzymać na drodze, komizmem wiekuistej komedyi politycznej, sięgnął po wielkie dnie dramatu, dnie burzy i grozy. W krwawych odbłyskach jego pióra — zjawiły się te chwile... groźne, najeżone pikami, z twarzą szatanów...

Czytelnik dzieł Krasińskiego mógł się dowiedzieć, co się stanie ze złotemi snami poetów, gdy zetkną się z rzeczywistymi ludźmi. . . . .

Smutna prawda... młodzieniec tak silnie przeczuwający, sam musiał zdumieć się boleśnie nad swem odkryciem — ale był nie tylko jasnowidzącym i psychologiem, ale i artystą... to też odmalował swe wizye, jak człowiek stojący pod rozkazami demona natchnienia, który musi utrwalić i pokazać innym — co widzi.

Postępować w ten sposób, znaczyło to mieć na ludzi i rzeczy pogląd najrzadszy z wszystkich, pogląd szekspirowski.

W roku 1835. rozpływającym się w liryzmie literackim i społecznym, było to czemś nadzwyczajnem... Prócz jednego Balzaca, nikt się nie troszczył o naturę ludzką, jaką ona była w istocie i Krasiński występował w roli tragicznej ostrzegającego.“

Szkicując życiorys Krasińskiego, Sarrasin opierał się przedewszystkiem na korespondencyi poety z słynnym publicystą angielskim, Henrykiem Reeve, wydanej w Paryżu u Delagrave z przedmową profesora Józefa Kallenbacha. Krasiński poznał Reeve'a w Genewie, dokąd wyjechał, zaraz po tylu dla niego bolesnych zajściach w Uniwersytecie warszawskim. Reeve i młoda angielka Henryeta Willan, to dwa jasne promienie, rozświecające mroki zniechęcenia do życia, ogarniającego przymusowego wygnańca.

Dla Miss Willan, Krasiński żywił uczucie głębokie, a beznadziejne. Oboje młodzi wiedzieli, że generał Krasiński nigdy się na ich małżeństwo nie zgodzi, to też stosunek ich przypominał średniowieczne związki trubadurów i kasztelanek, pełne idealnych zachwytów, duchowych wrażeń i pieśni. — Czy chcesz być moją ukochaną na świecie a narzeczoną w wieczności? — pytał poeta. A ona — zgodziła się z tym bohaterskim porywem młodości i ową nieświadomością i pogardą rzeczywistości, tak bardzo charakterystyczną dla wielu namiętności tej epoki. — „Wtedy uklękła w dniu, w którym umarł Zbawiciel i przysięgła mnie kochać — nie pragnąc mnie posiadać.“ — I jakże mogła nie wybrać go na

władzce duszy? Dziwna wspaniałość biła od tego potomka konfederatów barskich, młodzieńca o aspiracyach nieskończonych, oczach ognistych... Jego portret z tego czasu jest zupełnem przeciwieństwem Reeve'a, wysokiego, szczupłego, wykwintnego blondyna „eterycznego" — jak mówią Anglicy.

Idylla dwojga zakochanych zakończyła się smutnie. Henryeta wyjechała do Anglii i tam dowiedziawszy się, że generał Krasiński w rozgrywających się właśnie wypadkach 1830 r. został wierny Mikołajowi, a Zygmunt nie stanął w szeregach walczących za wolność, zerwała stosunki z ukochanym, nie mogąc pojąć jego postępowania. Była to niewątpliwie jedna z najcięższych ofiar, jaką Zygmunt złożył na ołtarzu synowskiego posłuszeństwa.

Wszystkie cytaty z pominionej korespondencyi przytoczone przez Sarrasin'a, są prześliczne. Nie mniej wdzięcznie jak życiorysy, odtworzył entuzyasta francuski tło epoki, wśród której żyli i działali trzej koryfeusze naszej poezyi.

Sylwetki Cezarego Platera, Sowińskiego, Mycielskiego, Juliusza Małachowskiego, Bema, Dembińskiego, Hauke-Bosaka, Langiewicza, Miłkowskiego, a przedewszystkiem — emira Tadż-ul-Fehra i trzech paszów, Kuczyńskiego (Skinder-Bey), Czajkowskiego (Sadyk-pasza) i Ilińskiego (Iskinder-pasza) wraz z rycerskiemi postaciami Emilii Plater, Tomaszewskiej i Roszanowiczównej, przesuwają się barwnym tłumem, dopełniając wiernie obrazu.

Sarrasin zna nie tylko Polaków ale i Polskę. W r. 1900 brał udział w uroczystościach jubileuszowych Uniwersytetu Jagiellońskiego i wspomina też o wrażeniach artystycznych, jakie wyniósł z Krakowa. Mówi np. „Rynek jest przepyszny. Sztuka i wspomnienie rywalizują tu z sobą o wielkość. W pośrodku wydłużają się Sukiennice, wykwintna architektura, na poły gotycka, na poły renesansowa. Opodal stara wieża dawnego ratusza, a dalej, rogu placu strzegą dwie wieże czerwonawe Maryackiego kościoła, dopełniając tej majestatycznej całości budowli. W tym dniu czerwcowym, zdawało mi się, żem w jakiem włoskiem mieście. Promienie słoneczne drżały wśród błękitów, a stada gołębi igrały w około kościoła. . . . .

W kościele Maryackim nawa błyszczała blaskiem nieporównanym, płonęła jak krwawe serce, mieniła się przecudnie purpurą i złotem matejkowskich dekoracyi, — ale te wrażenia wstrząsały mnie mniej silnie, jak ten napis widniejący na piedestale posągu poety: „Mickiewiczowi — naród". Im więcej wczytywałem się w niego, tem silniej utwierdzał mnie w przekonaniu całego

życia, że nie ma większej chwały literackiej nad tę, w której marzenie witane jest przez swego brata — czyn.“ . . . .

Tego dokonał Mickiewicz. W nim ziściło się jedno z tych połączeń niezwykłych, które od czasu do czasu spotyka się w historyi i które wyglądają na cud. Napis ten opiewał nie tylko nieśmiertelność człowieka i ludu, ale jeszcze sojusz tak rzadki — geniuszu indywidualnego z pojęciami całego narodu.

Kończąc ten krótki rys, tak bardzo przychylnej nam książki, dodam jeszcze, że rozpatrywana tak przez cudzoziemca na tle prądów umysłowych ogólno-europejskich, porównywana z współczesną twórczością postronnych krajów, literatura nasza nabiera w tem nowem oświetleniu dziwnego blasku. Jej myśli przewodnie występują z podwójną siłą i dostojeństwem, i ponownie przychodzi stwierdzić fakt tylokrotnie zresztą stwierdzony, że wśród dziejów natchnienia XIX. w. nie wiele dzieł rozległością koncepcyi i wspaniałą formą, dorówna pracom trzech naszych romantyków — żadne ich nie przewyższy.

Ludwika Dobrzyńska-Rybicka.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Prawne i moralne horoskopy socyalizmu.

I.

Wśród tej wielkiej zawieruchy rewolucyjnej, która rok cały szalała nad wschodnią Europą i ku zdumieniu całego świata zmiotła tam ostatnią a w powszechnem dotąd i ustalonem mniemaniu niezdobytą warownię absolutnego systemu rządów, historyczne samowładztwo carów rossyjskich, socyalizm w swoich różnorodnych odcieniach organizacyjnych ale w jednolitym szyku bojowym zaczepnym i burzącym wystąpił z takim rozmachem, z taką furyą i tak wybitną odegrał rolę, że jego kierownikom mogły się w upojeniu zwycięzkiem na prawdę głowy pozawracać. W swojej historyi wielkiej rewolucyi francuskiej Taine nazwał to wielkiem nieszczęściem, jeżeli wielka idea wciśnie się do głów małych, jakie właśnie przeważały w najsmutniejszych fazach francuskiego przewrotu rewolucyjnego. To też w małych a wielką ideą zbawczego dla całej ludzkości przeobrażenia społeczeństwa nabitych głowach kierowników wschodnio-europejskiego ruchu socyalistycznego mogło się na prawdę uroić, że już nadchodzi chwila ostatecznego obrachunku ze skazanym przez nich na zagładę i w dotychczasowej podjazdowej walce podkopywanym dzisiejszym ustrojem prawno-państwowym, w ogóle społecznym, że już świtać zaczyna jutrzenka nowego ustroju, nowej ery, w której ludzkość cała zostanie uszczęśliwiona.

Jakżeż wyglądać ma według planów wojującego socyalizmu nowy ustrój społeczeństwa nietylko pod względem ekonomicznym,

lecz w ogóle co do stosunków całego pożycia społecznego, objętego dzisiejszemi normami prawnemi i moralnemi, krótko mówiąc, jaką ma być według planu socyalistycznego nowa prawna i państwowa organizacya społeczeństwa? Ci sami kierownicy ruchu socyalistycznego, którzy w takiej harmonii zawsze umieli kierować masami w działaniach zwróconych ku podkopywaniu panującego ustroju stosunków, pewnie nie zdobyliby się na zgodną bodaj w głównych zarysach odpowiedź na powyższe pytanie. Nie tyle z braku pomysłów, ile raczej ze zbytku pomysłowości harmonia zdań nie dałaby się tutaj osiągnąć. Olbrzymia literatura socyalistyczna, w której zawsze jeszcze dział kwestyi ekonomicznych ma stanowczą przewagę nad kwestyami prawnemi i moralnemi, posiada już bogatą kollekcyę planów reformatorskich także i pod tym ostatnim względem. Złożyła się na tę kollekcyę nietylko pomysłowość samych socyalistycznych autorów, lecz także wielu ochotników, nie hołdujących socyalizmowi, dla których ten do fantazyi przemawiający temat stał się niejako literackim balonem, umożliwiającym wzlot i swobodne bujanie w najwyższych sferach fantasmagoryi bez obawy, że krytyka sąd wydawać zechce podług ściśłej miary wykonalności, w ogóle prawdopodobieństwa. Niektóre utwory tej kategoryi, napisane z talentem belletrystycznym, zdobyły sobie od razu tak wielką poczytność, jak w swoim czasie pokrewne im w wybrykach rozpasanej wyobraźni książki Juliusza Vernego.

Po ostatnich wystąpieniach wojującego socyalizmu już nie w aktach sporadycznych, lecz w akcyi zbiorowej i to na szerokiej widowni światowej, sprawa przyszłego ustroju społeczeństwa powinnaby pobudzić naukowy socyalizm do poważniejszych prób rozwiązania kwestyi, dotąd tak ogólnikowo traktowanych, jakgdyby one nie wymagały ścisłej odpowiedzi, jakgdyby po zburzeniu istniejącego ustroju stosunków społecznych z gruzów siłą cudowną powstać miała nowa konstrukcya bez poprzedniego nakreślenia planu i bez umiejętnego kierownictwa w budowie. Przecież każde stronnictwo, dobijające się panowania, powinno posiadać gotowy program przyszłej działalności, ażeby w chwili odniesienia zwycięztwa i objęcia steru mogło zaraz przystąpić do akcyi około ziszczenia swoich postulatów. Literatura socyalistyczna stanowi jednak pod tym względem świetną illustracyę do przysłowia: *la critique est facile l'art est difficile*. Z najwybitniejszych przedstawicieli tej literatury bierzemy tutaj jako typowy przykład tego rozdźwięku pomiędzy krytyką a zdolnością do twórczej pomysło-

wości zmarłego niedawno profesora prawa i byłego rektora wiedeńskiego uniwersytetu, dr. Antoniego Mengera. Jestto wybór najlepszy, bo Menger rozległą wiedzą swoją i skrupulatnem wystudyowaniem każdego opracowanego tematu z pewnością górował nad współczesnymi reprezentantami naukowego socyalizmu, a jeżeli pod względem rozgłosu w najszerszych kołach nie wysunął się na plan pierwszy, to stało się tak chyba tylko dlatego, że nigdy po za swoją pracownię naukową nie wychylał się na szerszą widownię walk i agitacyi politycznych, na której dziś niejedna miernota, nawet nicość pod względem wiedzy, wypływa już samem hałaśliwem głoszeniem drażniących komunałów, że dalej w całym sposobie przedstawienia rzeczy, jest on mimo gorącego przejęcia się ideałami socyalistycznymi spokojny niemal do oschłości, że wreszcie nawet w nieubłaganej krytyce dzisiejszych urządzeń i stosunków społecznych, wystrzega się tego tak dziś w literaturze socyalistycznej przyjętego a niestety i w zdobywaniu popularności popłacającego tonu, w którym gorycz łączy się z zawiścią a nie rzadko i z prostem łajaniem przeciwnika.

Dr. Antoni Menger rozpoczął swoją działalność naukową w kierunku socyalno-politycznym a potem otwarcie socyalistycznym od krytycznego traktowania stosunków robotniczych i w ogóle społecznych w obecnym ustroju. Z szeregu prac tej kategoryi największy rozgłos zyskała i pod względem praktycznym jest najdonioślejszą książka, napisana przed kilkunastu laty *(Das bürgerliche Recht und die besitzlosen Volksclassen)* w chwili, gdy w Berlinie dokonywała się w końcowem stadyum wielka praca kodyfikacyjna około nowego prawa cywilnego dla Niemiec. Książka ta zawierała nietylko szczegółową krytykę współczesnego prawa prywatnego, jako głównej warowni obecnego ustroju stosunków społecznych, lecz nadto szereg umiejętnie sformułowanych wniosków, adresowanych wyraźnie do berlińskiej komissyi kodyfikacyjnej a zawierających obok pomysłów, które dawały się jeszcze utrzymać w ramach poważnej i racyonalnej polityki socyalnej, także i postulaty już wprost socyalistycznego pokroju. Chociaż wtedy bardzo ożywiła się była w całych Niemczech dyskusya naukowa na temat przygotowywanego nowego kodexu cywilnego a do turnieju krytyczno-polemicznego z elaboratem berlińskiej komissyi kodyfikacyjnej stanęli najgłośniejsi prawnicy, najświetniejsi reprezentanci teoryi i praktyki, mimo to dzieło dr. Antoniego Mengera sprawiło sensacyę poważną w całych Niemczech, wybiło się nawet na pierwszy plan całej wielkiej rozprawy naukowej. Z ówczesnych wnio-

sków Mengera wprawdzie tylko minimalna część odniosła skutek zamierzony, ale sama książka pozostanie, jeżeli się pominie extrawagancye, i nadal materyałem uwagi godnym dla sfer, mających przygotować reformy potrzebne w zakresie prawa prywatnego wobec naporu dzisiejszych stosunków społecznych. Z krytycznymi wywodami tej książki co do słabych stron dzisiejszych postanowień prawnych o umowach, o zobowiązaniach, o stosunkach rodzinnych, służbowych itd. z pewnością liczyć się wypadnie w zamierzonej obecnie w Austryi rewizyi kodexu cywilnego, chociażby wnioski z tych uwag przez samego autora wysnute, w przeważnej części miały być tak samo traktowane jak przed laty w berlińskiej komisyi kodyfikacyjnej.

Po szeregu krytycznych monografii postanowił Menger w ostatnich latach życia wznieść się na wyżynę syntezy i podać zarys przyszłej, ideałom socyalistycznym odpowiadającej, organizacyi państwowej społeczeństwa. Uczynił to przed kilku laty w dziele „Nowa nauka o państwie“ *(Neue Staatslehre)*, które w przedmowie nazwał rezultatem studyów, całe dziesiątki lat wypełniających, a które, mówiąc słowami samego autora, ma „przedstawić w treściwym obrazie zbiorowym praktyczne projekty socyalizmu“. Już w czasie pisania tego dzieła, na kilka lat przed wielką zawieruchą rewolucyjną w Rossyi, Menger uznawał cel powyższy za aktualny w tych słowach: „Obecnie, gdy światopogląd socyalistyczny zbliża się stopniowo do urzeczywistnienia, będzie zapewne rzeczą na czasie opracować bliżej, niż dotychczas, jego stronę pozytywną i organizacyjną“.

Według przewodniej myśli tego programowego dzieła, dzisiejsze państwo, jako służące klasom uprzywilejowanym to zadanie swoje na sile opierające i ztąd nazwane indywidualistycznem państwem siły, musi pod naciskiem wielkiej ewolucyi socyalizmu przekształcić się na państwo, spełniające jego postulaty, na ludowe państwo pracy. Z obrazowego przedstawienia tej antitezy wychyla się od razu tak punkt wyjścia autora jak i cel, do którego zmierza. „Stoi przed nami — mówi autor — państwo nowożytne jako rozległy, skomplikowany gmach z licznemi wieżami, krużgankami, tylnymi schodami i podziemnemi przejściami, który wieki całe wznosiły. Na pierwszem piętrze mieszka szlachta, duchowieństwo, wojsko i biurokracya, na drugiem kierownicy handlu, przemysłu i gospodarstwa ziemskiego. Trzecie piętro zajmują intellektualni przodownicy ludu, uczeni i artyści, podczas gdy szerokie masy pracujące wygnane są do izdebek na poddaszu“. Takiej formy bu-

dowli państwowej „nie zakreślił plan budowniczego, obejmującego wszystkie stosunki, lecz samowola i samowładztwo poszczególnych jej mieszkańców“, co najwięcej uwydatnia się na najważniejszym czynniku obecnego ustroju prawnego, t. j. na prawie prywatnem, skazanem oczywiście w pierwszym rzędzie na zagładę.

Ten budynek państwowy ma być według Mengera tylko z gruntu przekształcony, a nie zniesiony, jak to proponuje skrajny anarchizm komunistyczny. Wprost mrzonką nazywa autor pomysły anarchizmu i uznaje, że „ludzkość nie potrafi obejść się bez państwa, jego prawodawczej i wykonawczej władzy, a ludowe państwo pracy nie przeprowadzi nigdy zupełnej równości wszystkich obywateli państwa.“ Nietylko co do zasad, lecz także i co do środków działania, Menger zastrzega się przeciw skrajnym pomysłom. Socyalna demokracya nie powinna myśleć o ziszczeniu swoich planów w drodze rewolucyjnej, bo „w razie zwycięzkiej rewolucyi musiałby się niebawem wytworzyć pomiędzy nią a anarchizmem podobny stosunek, jaki powstał w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej między żyrondystami a terrorystami“. Socyalna demokracya powinna raczej wziąć sobie „za wzór chrześcian z pierwszych wieków nowej ery, którzy nie robili żadnych rewolucyi, ale przez rozwój i rozkrzewienie swojej nauki oraz przez niezachwianą stałość w swojej wierze zdobyli stopniowo pośród największych niebezpieczeństw taką siłę, że nawet cesarstwo rzymskie musiało się przed nimi ugiąć“.

Zdania powyżej przytoczone wyjęliśmy z części ogólnej. W miarę jednak, jak czytelnik z autorem wchodzić zaczyna w szczegóły zaleconego przekształcenia obecnego ustroju państwowego na ludowe państwo pracy, zaciemnia się przed nim coraz więcej cały widnokrąg pomysłów. Chodzi już teraz bowiem nie o adaptacyę lub rozszerzenie, lecz o demolacyę owego gmachu państwowego, w którym według poprzedniego obrazowego przedstawienia lokatorowie zostali tak niesprawiedliwie rozklasyfikowani i pomieszczeni. Najpierw ciosy padają na własność. Nazywa ją wprawdzie Menger „koncepcyą wieczną, która nigdy nie zniknie całkowicie ze społecznego życia ludzkości“, ale po tem wszystkiem, co równocześnie powiedział, jak własność wyglądać ma w przyszłem ludowem państwie pracy, słowa powyższe wyglądają tak, jakgdyby to był frazes z mowy pogrzebowej. Własność bowiem w państwie socyalistycznem utrzymuje się tylko co do przedmiotów spożywczych, jako „najodpowiedniejsza forma podziału pomiędzy obywateli państwa“. Natomiast przedmioty użytkowe (bu-

dynki mieszkalne, sprzęty domowe, parki, ogrody i tym podobne miejsca rozrywki, książki, wyroby ozdobne itd.) i środki produkcyi (grunta uprawne wszelkiego rodzaju wraz ze swojemi przynależytościami, kopalnie, fabryki i tym podobne zakłady przemysłowe, koleje żelazne i parostatki, materyały surowe itd.) miałyby przejść na państwo lub związki państwowe.

Religia wchodzi w program Mengerowskiego państwa ludowego w tak kusej formie, jak własność. Właściwie Menger stoi zasadniczo na stanowisku tego radykała, który na jednem z paryskich zebrań socyalistycznych zaczął swoją przemowę od słów: *Le bon Dieu a fait son temps, en voila assez!* Uznaje bowiem jako fakt nieulegający już wątpliwości, że dziś poczucie religijne popadło w zupełny a nieuchronny zanik a w miejsce religii panować zaczyna „światopogląd experymentalny", którego ostateczna przewaga w państwie i w życiu w ogóle stanowiłaby „rozwiązanie jednego z największych, może nawet największego ze wszystkich problematów historycznych". Ale w poważnym umyśle profesorskim autora musiała zaraz potem ozwać się taka sama refleksya, jaką jeden z francuskich moralistów (Louis Proal), apostrofując socyalistów, zamknął polemikę w słowach: Wydarliście biednym ludziom niebo a nie daliście im za to nawet ziemi! „Śmierć — mówi ostatecznie Menger — choroby, zgnilizna moralna, słowem zło fizyczne i moralne będzie zawsze istnieć i będzie budzić w duszach pobożnych religijne pragnienia". Nadto wpłynął na Mengera w duchu tej refleksyi fakt, że, jak się pokazało z historyi północno-amerykańskich gmin komunistycznych, „religia daje się pogodzić z najkonsekwentniejszym socyalizmem a nawet niewielkie, mało dostępne prądom umysłowym komuny, oparte na religijnej podstawie, dochodzą do trwałego rozkwitu". W końcowym wyniku całej tej refleksyi Menger nie zgadza się na formułę, że w socyalistycznym ustroju religia ma być sprawą prywatną. Ludowe państwo pracy byłoby owszem „obowiązane, udzielać stowarzyszeniom religijnym niezbędnych do wykonywania obrzędów dóbr rzeczowych i usług, ale miałoby też prawo stowarzyszenia te organizować i wpływ swój na nie rozciągać". Tym stowarzyszeniom porucza Menger nauczanie religii, bo w szkole socyalistycznej, opartej na wiedzy doświadczalnej, niema dla niej miejsca. W ten sposób uczyni się zadość „funkcyom duchowym ciała ludzkiego, albo jak to powodując się dawnymi przesądami, nazywam, duchowej działalności człowieka".

Wobec takiej degradacyi religii instytucya małżeństwa omawiana jest w programie państwa socyalistycznego oczywiście tylko ze stanowiska ustalenia życia płciowego. Największe nawet rozluźnienie węzłów tego pożycia, w formułach wolnej miłości lub małżeństwa grupowego, nie przerażałoby Mengera ze stanowiska moralności, gdyż „stan podobny, przez który przeszła większość ludów w biegu swego rozwoju nie może żadną miarą uchodzić za niemoralny. A gdyby ruch socyalny miał rzeczywiście doprowadzić znowu do tych urządzeń i gdyby je przyjęła stopniowo przeważna część ludzkości, wydałyby się one wkrótce fanatykom rzeczywistości jako jedynie moralny porządek życia płciowego". Ostatecznie jednak przeważył wzgląd na to, że taką reformę małżeństwa „niewątpliwie odrzuciłyby ludy". Zatrzymuje tedy Menger w swoim programie państwa socyalistycznego dzisiejsze małżeństwo, ale według wzoru protestanckiego prawa małżeńskiego, z korekturą rozwodową.

Wobec małżeństwa nowego pokroju także stosunki rodzinne rozluźniają się w programie Mengerowskim z korzyścią dla dzieci nieślubnych, za któremi autor gorąco się ujmował już w swojem dziele o nowem prawie cywilnem. Za rozluźnieniem prawa familijnego, w połączeniu z okrojeniem prawa własności do minimalnego znaczenia, musiało oczywiście pójść takie samo okrojenie prawa spadkowego.

Łatwo — ale oczywiście tylko w ramach książki — pogodzić się z zanikiem prawa spadkowego, skoro według programu państwa socyalistycznego, prawo prywatne w ogóle ulotnić się ma w sferze prawa publicznego. Państwo socyalistyczne bowiem z całego założenia swojego uważać musi cele życiowe szerokich mas ludności, mianowicie bezpieczeństwo osoby, egzystencyę gospodarczą i życie rodzinne za główne zadanie swoje, więc za sprawy publicznego znaczenia, wypełniające sferę prawa administracyjnego.

W stopniowem burzeniu obecnego gmachu państwowego Menger chwilami zatrzymuje się tak, jakgdyby odwracał się od wymarzonego obrazu przyszłej organizacyi społecznej ku rzeczywistości i ta trzeźwa refleksya osłabiała naraz jego rozmach w dalszych ciosach demolacyjnych. Uznaje bowiem, że w ustroju socyalistycznym społeczeństwa człowiek nie ulegnie cudownej metamorfozie, nie otrząśnie się z namiętności, popychających go do zbrodni, bezprawia i sporów, wymagających bądź to repressyi karnej, bądź zaradzenia w drodze procesowej, na którą popychany będzie dotąd, dopoki egoizm nie przestanie być głównym motorem

jego działania, a więc dotąd, dopóki pozostanie człowiekiem. O tym demonie dzisiejszego życia prawnego, o egoizmie, mówi autor: „Dopóki człowiek w obrębie swoich fizycznych granic stanowi sam dla siebie świat mały, odczuwa bezpośrednio własny ból i własną radość, cierpienie zaś i radość drugich w sposób tylko uboczny, musi egoizm pozostać najsilniejszą sprężyną czynności ludzkich. Zaprowadzenie ludowego państwa pracy nie sprawi, jak to mniema wielu socyalistów, cudu pod tym względem, chociaż przez przeobrażenie formy posiadania usunie ono najważniejszą pobudkę egoistycznego działania. Dlatego też zadaniem socyalistycznego ustroju państwowego nie może być wykorzenienie egoizmu z serc ludzkich, lecz raczej odpowiednie kierowanie i uchylanie jego potworności."

Dopóki trwają takie trzeźwe refleksye, Menger kreśląc plan przyszłej budowli państwowej wśród fantastycznych pomysłów nie zapomina przynajmniej o pewnych liniach wytycznych. Gubią się one jednak później, gdy autor przechodzi do szczegółów organizacyjnych, do przedstawienia władzy prawodawczej i wykonawczej oraz do funkcyi organów przyszłego państwa. Czytelnik czuje teraz, że autor coraz więcej pociąga go w mgliste sfery utopii, które już może przebywał z innymi fantastami tego rodzaju. Uczucie to ogarnia czytelnika szczególnie w chwili, gdy mu autor stawia przed oczyma zamglony obraz gminy jako komórki przyszłego organizmu państwowego i przytem stawia taki horoskop: „Socyalizm gminny przedstawia tylko wyższy stopień społecznego uświadomienia ludzkości, zkąd oko może bujać w niedoścignionej dali. A w najciemniejszym punkcie tego widnokręgu w dalekiej mgle przyszłości okazuje się badawczemu spojrzeniu taki ustrój społeczny, w którym cały ród ludzki będzie tworzył jeden związek równouprawnionych braci bez żadnych politycznych lub ekonomicznych przeciwieństw".

Jeżeli wrócimy do obrazowego przedstawienia obecnego państwa jako wspaniałego budynku z niesprawiedliwem i niewygodnem rozmieszczeniem klas ludności, to teraz stanawszy z autorem na tym końcowym punkcie obserwacyjnym z perspektywą „dalekiej mgły przyszłości", musimy sobie powiedzieć, że nie widzimy tam nowego lepszego budynku państwowego, nie widzimy nawet wyraźnego zarysu nowej budowli, lecz chyba tylko *fata morgana!* A jeżeliby już kto koniecznie chciał w tym Mengerowskim planie nowej konstrukcyi państwowej odnaleźć jakie podobieństwo do budowli, to musiałby chyba wyobrazić sobie jaki olbrzymi falanster, czy namiot, w którym od biedy pomieściłby się ród ludzki,

w którym jednak stanowczo nie byłoby miejsca na pomieszczenie i zakonserwowanie tych wielkich a nieocenionych skarbów kultury, jakie ludzkość od wieków gromadziła, pomnażała i konserwowała w skazanym przez socyalizm na zdemolowanie gmachu dzisiejszej organizacyi społeczno-państwowej.

Chociażby jednak wypadło zrezygnować z tych skarbów kultury, to zawsze jeszcze ludzkość sprowadzając się do tego falansteru Mengerowskiego musiałaby przedtem zapytać jego twórcę, jaką daje rękojmię spokojnego i bezpiecznego pożycia, skoro sam przedtem powiedział, że samo przekształcenie dzisiejszego ustroju społeczno-państwowego w socyalistyczny nie dokaże tego cudu, żeby człowiek otrząść się mógł z tkwiących głęboko w naturze ludzkiej namiętności i zdrożnych instynktów? Przecież rękojmi takiej nie stanowią strzępy dzisiejszego prawa, pozostawione w projektowanej nowej organizacyi. Czuje to sam autor i dlatego ku końcowi dzieła, zalecając zamiast rewolucyi zdobywanie ideału socyalistycznego taką drogą potęgowania sił moralnych, jaką wybrali pierwsi chrześcianie, mówi wprost, że „do osiągnięcia tego celu nie wystarcza powtarzanie w nowej formie teoryi ekonomicznych, postawionych przez dawnych angielskich i francuskich socyalistów, lecz przeciwnie cała dziedzina duchowego życia: filozofia, prawo, etyka, sztuka i literatura powinny przeniknąć się duchem socyalistycznym". Jako prawnikowi zawodowemu przyświecać musi Mengerowi szczególnie etyka w roli pomocniczego dla prawa czynnika. „Już dziś — mówi na innem miejscu — prawo umów bywa w znacznej mierze uzupełniane i łagodzone przez miłość rodzinną, przyjaźń, litość, konwenanse towarzyskie i tym podobne moralne uczucia. Tem więcej w ludowem państwie pracy, w którem zniknie tyle przeciwieństw, rozdzierających społeczność dzisiejszą, wzrosłaby niewątpliwie działalność tych motywów etycznych w sposób nadzwyczajny".

W tem przywołaniu etyki do roli posiłkowej dla wątłego prawa socyalistycznego, czytelnik, dotąd raz porywany przez Mengera w zawrotne sfery utopii a potem po strąceniu na padoł ziemski wleczony po ciemnym labiryncie socyalistycznej organizacyi prawnej, spostrzega wreszcie z radością słabe światełko i zapowiedź zwrotu na prostszą drogę. Wnet jednak gaśnie to światełko za podmuchem „światopoglądu socyalistycznego", w którym niema miejsca dla etyki z normami, osłonionemi sankcyą religijną lub chociażby tylko filozoficzną. „Wprawdzie ludowe państwo pracy — mówi autor — nie będzie się odnosić wrogo do istnie-

jących religii właśnie z powodu ich związku z etyką, ale nie można tego ukrywać, że ponieważ prądy antireligijne nie dadzą się powściągnąć środkami repressyjnymi, będą one stale w ciągu stuleci osłabiały siłę motywów religijnych, aż pozbawią je wreszcie wszelkiego znaczenia. Jeżeli więc ludowe państwo pracy zechce stworzyć trwałe instytucye, musi głównie uwzględnić te motywy etyczne, których mu dostarczyć może należycie kierowana i zorganizowana opinia publiczna". Miałby to być wielki trybunał społeczny, spełniający swoje zadanie „przez urzędowe dzienniki, z ramienia państwa socyalistycznego wydawane, samem tylko opublikowaniem czynów nieetycznych, bez żadnej innej kary". Tak pewny jest autor trafności swojego pomysłu, że z całą powagą dodaje, iż „podobny system publikacyi przedstawiałby daleko skuteczniejsze gwarancye moralności, aniżeli nasza oziębła tysiącami wątpliwości trawiona religijność."

To już nie utopia, lecz taki dziwoląg, że prawie wierzyć się nie chce, iż pisze to uczony niezwykłej miary i to w dziele, któremu, jak sam w przedmowie zaznacza, poświęcił całe dziesiątki lat studyów! Czytelnik po strachu, jaki go ogarnął, gdy z autorem wzlatywał w zawrotne sfery utopii a potem gdy błąkał się z nim po ciemnym labiryncie projektów organizacyi prawnej w przyszłem państwie socyalistycznem, zamknie wreszcie książkę z tem uczuciem, jakgdyby ocknął się ze snu zmorami wypełnionego i z zadowoleniem, że mu już nie wypadnie za życia przenosić się do nowego gmachu państwowego z opinią publiczną, jako najwyższą i jedyną gwarancyą spokoju, bezpieczeństwa i moralności!

Dr. Bronisław Łoziński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

poźniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

(Ciąg dalszy.)

4. 8-bris. Posyłałem rano sekretarza mego do JPana Grafa Ferrari, co jest Grand Chambellan u Elektora Jm. Trewirskiego, prosząc o audyencyę u tegoż Elektora Jm., który te przed sessyą na godzinę dziewiątą z rana naznaczył, więc zaraz jachałem i tymże sposobem jako i na innych pierwszych audyencyach byłem przyjęty. Na ktorej audyencyej rekommendowałem fortis interessu publiczne pamięci jego. Tegoż dnia oddałem wizytę à Mr. Mellorede Envojé de Savoye, à Mr. le Comte Fantoni Envojé du Duc de Toscane albo Xcia Jm. Florenskiego; byłem na konferenciey chez Msgr. Albani, byłem i u Xdza Salerna, Jezuity z Rzymu od Ojca S-o do Króla Jm. wyprawionego. Wieczorem samym byłem na konferenciey u J. P. Grafa Werther, Posła drugiego Saskiego.

5. 8-bris. Witali rano Królewica Jm. Mr. Reiden Cavalier od Dworu Hannowerskiego, Mr. le Baron Schönck, to jest Envojé

od Króla Jm. przy Elektorze Jm. Phaltz Grafie, a brat rodzony J. Xdza Schöncka, Dziekana Warmińskiego, co jest od Króla Jm. do Rzymu expedyowany, Mr. Steinberg Cavalier de Wolffenbutel. Po obiedzie JP. Graff Metternich, drugi in ordine Poseł Pruski był u mnie z wizytą i blisko dwóch godzin bawił się. Wieczorem byłem item na konferenciej u J. Panów Posłów Saskich; tegoż dnia był przed moją stancyą dwa razy JP. Baron Görtz, pierwszy Poseł Hannowerski, raz gdy u mnie był Mr. Metternich, drugi raz, gdym był na konferenciey u J. Panów Posłów Saskich. Ponieważ zaś (jako się wyżej sub data 2-da Octobris dotknęło) powinni wszyscy Extranei immediate przed Elekcyą rugować się z miasta iuxta bullam auream, i według przysięgi mieszczan in eum finem, aby żadnego Extraneum nie przechowywali; więc żeby się Królewic Jm. i ja przy nim nie rugował, ten sposób Jm. PPwie Sascy Posłowie podali, aby i Królewica Jm. i nas wszystkich w furier Cettel quatermistrzowi Imperii podali, jakobyśmy do ich ambassady należeli, bo których ludzi Elektor lub Poseł który w regestrze między ludźmi swojemi poda, tych nie rugują; albo Elektorowie deklarują niektórych, jakoby ich do Dworów swoich za Consiliarzów, za Podkomorzych do siebie przyjęli ci wszyscy zostają. Słowem kogo chcą Elektorowie i Posłowie tym praetextem protegunt; ale gdyby się ex occasione takowych ludzi stał casus jaki albo disordo, za to już miasto nie odpowiada, ale ten Elektor lub Poseł, który takich ludzi w swoim regestrze podał. Więc i Królewica Jm. i nas wszystkich Ambassada Saska za swoich podała. Ale notandum, że hic rigor zaraz po elekciey publikowanej cesset, bo potym wszyscy extranei i ci co byli rugowani zaraz się powracać mogą, i tylko to rugowanie practicat dniem przed samą elekcyą, z tej raciey, aby ta à nemine interturbetur. Królewic Jm. był na kolaciey i późno w noc u JP. Barona Friza, posła Saskiego.

6. 8-bris. Witali rano Królewica Jm. Mr. le Comte Planckenheim Grand Maitre Elektorowej Jm. Phaltzgrafowej, Mr. le Comte Schönfeldt Cawaler Elektora Jm. Palatini Rheni. Przed południem był u mnie Millord Peterboroug, z Angliey (którego charakter et qualitates sub data 18. 7-bris opisało się) i bawił się blisko półtorej godziny. Chciałem zbiec na dół przeciwko niemu i sprowadzać odchodzącego, ale mi nie dopuścił. Po objedzie Xże Jm. Sulczbach, młody Haeres praesumptivus Elektora Jm. Palatini Rheni przysyłał prosząc o godzinę do Królewica Jm., który piątą wieczorem naznaczył; na godzinę tedy naznaczoną przyjachał,

przeciwko któremu Mr. Morteisen schodził i dwóch innych kawalerów od Ambassady Saskiej wziętych, Królewic Jm. wychodził przeciwko temu Xżęciu do drzwi antykamery i do tychże drzwi odprowadzał odchodzącego, rękę mu u siebie dał i krzesło praesentował. Był z tym Xżęciem Mr. le Baron Zikingien Goubernator jego. Wieczorem byłem item na konferenciey u JPPów Posłów Saskich. Tegoż dnia otrębowano po wszystkich ulicach i czytano taxę Victualium i od gospód jako płacić aby gospodarze więcej nie praetendowali od odjeżdżających po elekciey, którą taxę deputowani ex Stuba Electorali Ministrowie spisali et post approbationem Electorum Sasey Posłowie swoim trębaczom otrąbić kazali, ponieważ Elektora Saskiego jest powinność porządek czynić, jako gospodarza to jest Archimareschalci Imperii, NB. na ten dzień była złożona elekcya, ale przeniesiona ad 12. pr.

7. 8-bris. Rano witał Królewica Jm. Mr. le Prince de Saxe Meining, de la branche Ernestine to jest de Gotta. Po objedzie Princeps Haereditarius de Bareith, brat Królowej Jm. Augustowej, a wuj rodzony Królewica Jm. przyjachawszy z obozu z nad Rhenu, przyjachał do Królewica Jm., przeciwko któremu Królewic Jm. zbiegł na dół i do siebie wprowadził: tymże sposobem sprowadzał na dół do karety. Tegoż dnia Królewic Jm. oddał mu także wizytę wzajemną. Przed wieczorem Elektor Jm. Palatinus Rheni przysłał kawalera, dając znać, że chciał być u Królewica Jm. i samym wieczorem przyjachał, parą końmi, do którego zbiegł Królewic Jm. przyjmując go u karety i wprowadził, krzesło praesentował, ale nie usiadł i zabawiwszy się blisko kwadransa wyszedł, i tymże sposobem był sprowadzony, aż na dół do karety, że Królewic Jm. czekał, aż się z miejsca ruszył. Potym Królewic Jm. jachał na Assemblée do Xiężnej Jm. Grafowej de Waldeck, która z domu jest Xżniczka de Deux ponts, z której familiey jest król Szwedzki. Tam był bal i kolacya, a jam miał konferencyą z Jm. Pnami Posłami Saskimi, gdzie był i Mr. le Comte Stadion Grand Maitre de Majence.

8. 8-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. le General de la Laye, Mr. le General de Erlach, Mr. le Comte de Wolffsztein. Tegoż dnia rano posyłałem do JP. Barona Zikingien, co jest Gubernatorem Xcia Jm. młodego de Sultzbach, prosząc o naznaczenie godziny u tego Xcia. Więc o jedenastej zrana jachałem do tego Xcia, który jest Haeres prosumptivus Electoris Palatini Rheni, gdzie zabawiwszy się blisko pół godziny, jachałem prosto ztamtąd do Xcia Jm. Haereditarium de Bareith, u którego zabawiwszy

także pół godziny odjachałem. Po obiedzie przysłał do mnie Mr. Mardefeldt, trzeci poseł Pruski, chcąc być u mnie i potym nadjachał i bawił się blisko półtorej godziny. Wieczorem Królewic Jm. jachał na Assemblée do JPani Grafowej Nostycowej, a ja byłem na kolaciej u JP. Barona Hagen, trzeciego posła Saskiego. Tegoż dnia złapano przed Ratuszem szpiega francuskiego, od dywiziey sławnego partyzanta, nazwanego la Croix, który miał pakiet wielki listów przy sobie, i zaprowadzono go do więzienia. Tej nocy gorzało srodze w mieście i spaliło się kamienic kilkanaście.

9. 8-bris. Rano witali Królewica Jm. Mr. le Prince Henry Frederic de Wirtem. Stutgart et Mr. le General Bretlach de Darmstadt. Po obiedzie jachałem do kościoła kathedralnego widzieć Conclave przygotowane do elekciey Cesarza, które Conclave jest przy ołtarzu wielkim po prawej ręce, alias Zachristia, wybielona nowo, szpalerami obita, ołtarzyk w niej mały i przy ołtarzyku dwie ławy naprzeciwko siebie suknem czerwonym obite, ale jedna ława jest uno gradu podniesiona, na której Electus, kiedy jest przytomny, bierze miejsce i ziemia między temi ławami suknem słana takimże. Na ławie niższej Elektorowie i pierwsi tylko Posłowie absentium siedzieć mają. Stół jest tamże jeden na stronie dla zapisania Elekciey propter Notarios. Chór wielki obito szpalerami i formy, w których mają siedzieć Electores i Posłowie podczas mszy et Te Deus laudamus etc. Jak się chór zaczyna, zrobiono theatrum wysoko, na którym na trzech gradusach ma siedm krzeseł stać, a te theatrum suknem czerwonym także obite i baldachin nad nim. Na to theatrum po skończonej elekciey wnijdą Elektorowie i pierwsi tylko posłowie absentium i w krzesłach swym porządkiem zasiadszy Prałat, który przy nich bokiem stawa i z rozkazu Elektora Mogunckiego ogłasza ludziom obranego Cesarza. W kościele samym od pobocznych wielkich drzwi zrobiono most z desek, po którym Elektorowie wchodzić mają do kościoła, a z koni przed drzwiami kościelnemi zsiadają. Potym szedłem na sam wierzch wieży z ciosanego kamienia murowanej 350 stopniów wysoko, z której miasto i wszystek kraj w okolicy daleko widzieć się może jak na dłoni. Wieczorem byliśmy z Królewicem Jm. na Assemblée u JPani Grafowej de Wartemberg, na kolaciey zaś i późno w noc byłem u JP. Kanclerza de Frise.

X.

Conclave do elekcyi Cesarza w katedrze. — Termin elekcyi. — Wnijście do katedry. — Wizyty.

10. 8-bris. Rano Królewic Jm. jachał w pole ku Hanau dans la Comté de Hanau, gdzie trzech zajęcy i dwie pary kuropatw ubili. Jam zaś został i byłem na konferenciey z Jm. PPmi Posłami Saskiemi. Powróciwszy z pola Królewic Jm. oddał wzajemne wizyty bez ceremoniej i opowiadania się Xciu młodemu de Sultzbach Succesori praesumptivo Electoris Palatini i Xciu de Würtemberg Stutgart, co jest Generałem w wojsku i służbie statuum Hollandiae, którzy Xżęta obadwa sprowadzali aż na dół do karety Królewica Jm. Tegoż dnia otrąbiono tu przez trębaczów Saskich po wszystkich ulicach Elekcyą złożoną pro 12 praesentis i oraz aby wszyscy Extranei, co nie są w Furier-cettlach, to jest w specifikaciey dworów Elektorów i Posłów wyrażeni, aby się dnia jutrzejszego z miasta rugowali. Tegoż dnia Mr. le Comte Papenheim Mareschalcus Haereditarius Imperii odebrał klucze od kościoła kathedralnego, gdzie jest Conclave do Elekciey Cesarza przygotowane, bo sciendum że w dzień Elekciej tylko jedne drzwi kościelne będą otwarte, któremi Elektorowie i pierwsi Posłowie wjadą na koniach; nikogo zaś do kościoła warta nie puści, tylko tych co będą mieli cettle albo kartki od Elektorów albo Posłów, każdemu zaś Elektorowi i każdemu Poselstwu nie wolno dać więcej kartek nad osób szesnaście, chyba kogo per summam favorem nadto puścić każą a osobliwie Damy.

11. 8-bris. Rano witał Królewica Jm. Mr. le Comte Gronsfeldt, Feldtmarszałek Cesarski, co miał kilka lat Commendę nad wojskami Niemieckiemi przeciwko francuzom nad Rhenem. Po obiedzie byłem z Królewicem Jm. u JM. Pani Grafowej de Werther i jam był na konferenciej z JMCPP. Posłami Saskiemi. Wieczorem jachał Królewic Jm. do Elektorowej Jm. Phaltz-Grafowej, ponieważ w ten dzień przypadał jour de Cour, to jest, że się wszystkie Damy zjeżdżają do niej i rękę jej całują. Potym Elektorowa Jm. siada do kart przybrawszy pięć albo sześć dam w pewną gre włoską, a innym wszystkim Damom postawią do koła des tabourets, to jest stołeczki niskie bez podpory w tyle i bez poręczy, na których Damy które chcą siedzą i muzyka wyborna włoska z głosów i instrumentów przednich w tymże pokoju

gra. Potym idą do stołu, gdzie tylko Elektor z Elektorową Jm. siedzieć zwykli w krzesłach. a Xże młody de Sultzbach Haeres praesumptivus Samego Elektora Jm. Palatini Rheni, siedzi. ale zdaleka od Elektora i to na stołku odmiennym. bo tylko z tylną podporą bez poręczów. Przy tym stole Damy tylko, to jest Fraucymer Elektorowej Jm. służy do stołu: inne zaś są dwa wielkie stoły w drugim pokoju, jeden dla Ministrów i ludzi znaczniejszych. drugi dla Kawalerów. Te jours de Cour albo Ceremonje bywaja trzy razy na tydzień, to jest w Niedzielę. we Wtorek i we Czwartek. Ponieważ zaś Królewic Jm. tam jachał. tego życzył sam Elektor Jm. i aby z niemi jadł kolacyą. i umówiło się. że lubo Królewica Jm. za Grafa Lusatiae traktować będą, jednak Elektor Jm. krzesło mu da równo jako sobie i przy sobie go po lewej posadzić deklarował: bo sciendum gdyby jako Królewica traktować chcieli toby ręki trzeba praetendować. w czymby była trudność, aniby się jej ustępować godziło: a także jako Grafa traktują a takie mu honory swiadczą, to nie mogło być tylko z honorem jego. ponieważ jako Graff nic nie praetenduje. Na tejże kolaciej był i Elektor Jm. Trewirski. Że zaś podczas tych ceremonij nie puszczają do pokoju Elektorowej Jm. tylko same Damy, a z Kawalerów nicht nie bywa. i tylko Elektor Jm. Trewirski, który grał w karty z Elektorową Jm. i Królewic Jm. tam wszedł. Więc ja wiedząc już o tym zwyczaju nie jachałem tam z Królewicem Jm. ile żem nie chciał. będąc tu cum commissis publicis pod tytułem Senatora Polskiego zostawać w antykamerze. Z tej kompaniej i kolaciey powrócił późno w nocy Królewic Jm. z którym był Mr. Miltiz i Kawaler jego Mr. Morteisen.

12. 8-bris. Ponieważ termin Elekciey na ten dzień przypadał, jachałem rano z Królewicem Jm. do kamienicy pewnej na przeciwko Ratuszowi Remer nazwanemu dla przypatrzenia sie tej ceremoniey. Rano dzwonić poczęto w wielki dzwon na zgromadzenie pospólstwa. O godzinie zaś dziewiątej z rana poczęli się zjeżdżać Elektorowie Jm. i Posłowie; najpierwej przyjachał karetą sześcia końmi Mr. le Comte Papenheim Mareschalcus, Haereditarius Imperii, co jest subalternus Naszego Króla Jm. jako Elektora Saskiego. który jest Archi Mareschalcus. przy nim przy karecie szło dwóch Szwajcarów z halabardami in signum jurisdictionis (jako się to już wyżej opisało sub data 2. Octobris). Potym inni sparsim zjeżdżali się jako to: J. P. Graf Dohna, Poseł Pruski przyjachał; za nim JP. Kanclerz Frise, Poseł Saski. JP. Graf Windisgrätz Czeski, JP. Baron Görtz Hannowerski, Posłowie,

Potym Xże Jm. Elector Palatinus Rheni. Xże Elektor Moguncki. naostatku Xże Elektor Trewirski. Ci zaś wszyscy Elektorowie i Posłowie z assistencyami swojemi zwyczajnemi przyjeżdżali. i z karetami. tak jako się pod datą 25. Augusti et 20. Septembris wyżej opisało. z tą diferencyą. że na ten czas dwory Elektorów Jm. Mogunckiego i Trewirskiego i Posłów Czeskich były w żałobie, a dzisiejszego dnia splendidissime te Dwory pokazały się, oprócz samych Czeskich Posłów i ich ludzi. którzy w czerni zostali. Za każdym Elektorem i Posłem prowadzono konia. na którym miał który siedzieć. Siądzenia zaś na koniach i czapraki były axamitne bogato haftowane i deki na przykrywanie ich partim axamitne partim sukienne także haftowane. albo galonami bogato bramowane. w kolorach do liberyi każdego Elektora akkomodujące się, wstęgi tychże kolorów u ogonów i u grzyw końskich rzęsisto nawiązane. Notandum, że tego dnia tylko sami Xżęta Elektorowie i pierwsi Posłowie absentium na ratusz zjachali się, a secundi et tertii in ordine Posłowie prosto do kościoła jachali. Każdy Elektor szedł prosto do swojej izby osobliwej dla przebierania się, i już się do izby conferentiarum nie schodzili. Interim rozporządzano assistencye jako mieli iść w marszu przed Elektorami. gwardye zaś uszykowane były we dwa rzędy, z jednej strony począwszy od samych drzwi ratusznych aż do kościoła katedralnego stała piechota z garnizonu, z drugiej strony mieszczanie. Ale mieszczanie po prawej ręce byli, garnizon po lewej. Między zaś temi dwoma szeregami szła ta processya. Najpierwej Mr. Papenheim Marszałek Imperii jachał z kluczami kościelnemi 10 praesentis do siebie odebranemi do kościoła, a klucze niesiono przed nim w dwóch skrzyniach, w jednej kościelne. w drugiej od bram miejskich. Potym lokaje, co tylko w liberyach Elektorskich byli. poczynali marsz idąc parami. Najpierwej lokajów Hannowerskich 6, w liberiey pomarańczowej z galonami jedwabnemi błękitnemi z białym kolorem. Za niemi szło lokajów Posła Pruskiego 18 w liberiey granatowej z galonami srebrnemi z jedwabiem czerwonym. Potym Saskich lokajów 24 w liberyach żółtych z galonami srebrnemi z jedwabiem błękitnym. Za niemi Czeskich lokajów szło 30 w żałobie. Potym lokajów Electoris Palatini 30 w liberiey błękitnej z galonami srebrnemi, z wyłogami czerwonemi. Potym lokajów Xcia Elektora Trewirskiego 30 w liberiey zielonej z galonami złotemi, z wyłogami czerwonemi. Potym lokajów Elektora Jm. Mogunckiego 30 w liberiey cynamonowej z galonami srebrnemi z jedwabiem czerwonym.

Za temi lokajami szli pazie od wszystkich tychże Dworów tymże jako i lokaje porządkiem. Najpierwej Hannowerskich paziów 3 z galonami srebrnemi. Potym Pruskich 8 z galonami srebrnemi. Saskich 6 z galonami srebrnemi. Czeskich 6 w żałobie. Paziów Xcia Electoris Palatini 14 z hiszpańska w sukienkach krótkich z płaszczami długiemi, bogato srebrnemi galonami bramowanemi, z kołnierzami hiszpańskiemi długiemi z korun przednich szytych weneckich. Potym paziów Xcia Elektora Trewirskiego 12 z hiszpańska w sukienkach krótkich axamitnych a płaszczach długich bramowanych bogato galonami złotemi z kołnierzami także z korun przednich weneckich szytych. Potym paziów Xcia Elektora Moguncкiego 10 nie z hiszpańska ale z francuska ubranych, z płaszczami jednak długiemi z galonami srebrnemi. Za paziami szło trzech Marszałków Nadwornych Xżąt Elektorów przytomnych, z hiszpańska ubranych w sukienkach krótkich materyalnych czarnych z wstęgami u rękawów i u pluder bogatemi, w płaszczach długich do kolan materyalnych czarnych z korunami czarnemi jedwabnemi. Ci Marszałkowie laski nieśli podniesione, hebanowe czarne w srebro oprawne z pozłotą, tak jako u nas w Polszcze laski są Marszałkowskie, i szli wszyscy w rzędzie, w szrzodku Marszałek Elektora Jm. Mogunckiego, po prawej ręce Elektora Trewirskiego a po lewej Electoris Palatini. Za temi Marszałkami Nadwornemi szli Marszałkowie od każdej legaciey, jako to Czeskiej, Saskiej, Prusskiej i Hannowerskiej, i szli wszyscy ci czterej w jednym rzędzie, ale już nie po hiszpańsku, bez lasek. Za Marszałkami szli Kawalerowie od wszystkich Dworów tak X. Elektorów Jm. jako i Poselscy, jako który mógł najbogaciej przybrani, i było ich na kilka set: a nawet Xżęta niektórzy, jako to Sax Meining, Wirtemberg, etc. szli za kawalerami, potym Ministri wszystkich Elektorów Jm. przytomnych, a na ostatku Mr. le Comte Szemborn Grand Prevaust de Würtzbourg, Synowiec Elektora Jm. Mogunckiego, Mr. le Comte Stadion Grand Maitre de Majence, Mr. Lasser Vice Chancelier de Majence. Gdy ci już ostatni szli dopiero Elektorowie Jm. i pierwsi posłowie absentium wychodzili z Remer i zaraz siadali na konie. Elektorowie trzej przytomni jachali w jednym rzędzie, we szrodku Elektor Jm. Moguncki, po prawej ręce Elektor Trewirski, a po lewej Elektor Palatini Rheni: byli zaś ubrani Elektorowie w stroju Xiążęcym, to jest dwaj duchowni Moguncki i Trewirski w togach długich aż do ziemi, sukiennych ponso, z kołnierzami na kształt mucetow biskupich gronostajami białemi wykładanemi z ogonkami wiszącemi i u spodu

lisztwa była szeroka z takichże gronostajów z ogonkami, krzyże biskupie, diamentowe na szyi mieli, na wstęgach ponso. Na głowie mitry Xżęce, takiesz sukienne z obrębkiem gronostajami wykładanym. Elektor Jm. Palatinus Rheni świecki, tym tylko differebat, że togę i mitrę miał axamitną, nie sukienną. Przed samemi Elektorami Jm. jachali Mareschalci Haereditarii, Moguncki w poszrzodku, Trewirski po prawej, a Palatinatus Rheni po lewej ręce, wszyscy z hiszpańska ubrani w sukienkach i płaszczykach krótkich czarnych z wstęgami bogatemi i z korunami jedwabnemi czarnemi i wieźli miecze wielkie starośw iecką robotą, niedobyte, ale w pochwach srebrnych pozłocistych, każdy przed swoim Panem, kapelusze pod pachą trzymając. Za Elektorami przytomnemi, jachali posłowie pierwsi absentium, parami: z hiszpańska wszyscy ubrani. Najpierwej Mr. le Comte Windisgrätz, Poseł Czeski, w żałobie w płaszczu długim sukiennym czarnym ordinem aurei Velleris i z łańcuchem na sobie mający, jachał po prawej ręce, a po lewej Mr. le Baron Frise, pierwszy Poseł i Kanclerz Saski. Za temi Mr. le Comte Dohna, pierwszy poseł Brandeburski, a przy nim po lewej ręce Mr. le Baron Görtz, Poseł Hannowerski. Ci zaś trzej Posłowie ostatni, byli w sukienkach i płaszczach krótkich, hiszpańskich, z materyi jako najbogatszych złotych, z korunami do tego albo złotemi albo srebrnemi, z podszewką materyalną srebrną. Za Elektorami i Posłami szły gwardye Elektorów Jm. przytomnych, najpierwej Xcia Elektora Jm. Mogunckiego gwardiey 60 w sukniach czerwonych sukiennych z galonami srebrnemi, przed któremi szło trzech officerów, bogato z galonami złotemi przybranych. Potym gwardiey Elektora Jm. Trewirskiego 60 w sukniach zielonych, z galonami złotemi, z wyłogami czerwonemi, przed niemi także trzech officerów bogato przybranych. Na ostatku szła gwardya Elektora Jm. Palatini Rheni, ludzi 150, w sukniach błękitnych, z wyłogami czerwonemi, z galonami srebrnemi, oprócz officerów trzech przed nimi, i trzech co na samym szli ostatku z galonami złotemi bogato przybranych i tym się marsz konkludował. Tym tedy porządkiem Elektorowie Jm. jachali i cały marsz awansował powolusieńku, przy w bębny biciu mieszczan i garnizonu uszykowanego, i przy huku trębaczów i kotłów chorągwi kupieckiej konnej w rynku na stronie stojącej. A skoro się ruszyli Elektorowie Jm. z miejsca, zaraz we wszystkie dzwony po wszystkich kościołach uderzono i dzwoniono póty, aż przed kościelne drzwi, (u których Cadetów Krola Jm. tanquam

Archi Mareschalci Imperii umyślnie na to z Drezdy przysłanych, stało na warcie 40) przyjachawszy z koni pozsiadali i weszli do kościoła, gdzie mały chór był cały szpalerami obity i gdzie Elektorowie i Posłowie siedzieć mieli, kobierce axamitne karmazynowe z frandzlami złotemi i wezgłowia takież z galonami były położone.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu
w latach 1399—1404.

Studyum historyczne.

(Dokończenie).

Z tą skargą Jagiełły wiąże się jeszcze jedna sprawa, trochę niejasna. Opowiada mianowicie Possilge pod r. 1403, że około św. Jana Chrzciciela Jagiełło wyprawił posłów do króla rzymskiego Ruprechta, bawiącego właśnie w Norymberdze, z oskarżeniem na Krzyżaków. Właśnie wtedy przybyli i posłowie Zakonu, Fryderyk Wallenrod, komtur Strassburga, o czem gdy Polacy się dowiedzieli, skargę swoją odwołali i udali się do Rzymu, do Bonifacego IX., gdzie otrzymali bullę papieską przeciw Krzyżakom.[1]) Ale ta opowieść kronikarza jest podejrzaną, bo, jak skądinąd wiadomo, Ruprecht koło św. Jana Chrzciciela bawił w Heidelbergu, a nie w Norymberdze, gdzie był w zimie jeszcze (w marcu), a potem dopiero w 1405 r.[2]) Myli się więc kronikarz albo co do

[1]) Possilge, p. 267—268.

[2]) Chmel, „Regesten des Königs Ruperts" p. 88 i sq.; porównaj także uwagę wydawcy Possilgego dr. Strehlkego w Script. rer. Prussic. t. III. p. 267—268.

miejsca, albo co do czasu. Owa zaś bulla papieska pochodzi z 9. września, ale już z 19. marca posiadamy list prokuratora Zakonu, Jana Felde'go do W. mistrza o jakichś tajemnych zabiegach Polaków i Witolda w Rzymie i listach do papieża w sprawie polsko-krzyżackiej.[1]) Być więc może, że do tych to zabiegów odnosi się opowieść kronikarza, a w takim wypadku Possilge myli się w dacie i wobec tego należałoby także ową skargę Jagiełły przesunąć na rok 1402. Również podejrzaną bardzo wydaje mi się wiadomość, jakoby posłowie polscy mieli odwoływać swoje oskarżenie.

Że pomiędzy Jagiełłą a Krzyżakami trwał ciągle ten stan przyjaźniejszy nieco, jaki skonstatowaliśmy na końcu roku 1402, to dowodem tego dwa bardzo uprzejmie listy: jeden z 6. lutego, w którym zapewnia W. mistrz króla, że podejrzenia, jakoby żywił wrogów jego (zapewne Świdrygiełłę), są bezzasadne i wyłuszcza środki, jakich użył celem zapobieżenia dalszym nieporozumieniom, mogącym z tych podejrzeń wyniknąć;[2]) drugi z 6. kwietnia 1403 r., gdzie donosi, że na „latrocinia“ starosty brzesko-kujawskiego Jana ze Szczekocina polecił wglądnąć swoim urzędnikom.[3])

Temu jednak zdaniu o przyjaznych stosunkach między Jagiełłą a W. mistrzem pozornie przeczyć się zdaje uchwała szlachty wielkopolskiej z 26. stycznia 1403 r. na zjeździe prowincyonalnym (in conventione generali) w Poznaniu. Uchwala tu szlachta, że w razie napadu jakiegokolwiek nieprzyjaciela na Wielkopolskę, wszyscy i bezwłocznie mają stanąć pod bronią i to nietylko szlachta, ale nawet „kmethones“ tak z królewskich, jak prywatnych dóbr, zostawiając tylko w wielkiej wsi czterech, w małych dwóch ludzi dla opieki nad gospodarstwem i zaopatrzyć się w żywność na sześć tygodni.[4]) Ciekawa to uchwała i ważny przyczynek do dziejów polskiego parlamentaryzmu, a jak z jej tonu i treści można wnioskować, wywołana jakąś nagłą potrzebą i nagłem, a wielkiem niebezpieczeństwem, tembardziej, że nawet włościan powołuje się do broni. Uchwała nie nazywa nieprzyjaciela po imieniu, ale mogą to być tylko Brandenburczycy lub Krzyżacy, jako najbliżsi

---

[1]) Codex Vitoldi, nr. 251.
[2]) Codex Vitoldi, nr. 264.
[3]) Ibidem, nr. 265.
[4]) Lites ac res gestae (wyd. II.) t. II. Appendix nr. 42 p. 428. Porównaj także Pawiński „Sejmiki ziemskie“ str. XLIV. (Dodatki, zawierające lauda sejmikowe).

sąsiedzi Wielkopolan. Ale pamiętać przytem trzeba, że w Wielkopolsce trwał ciągle, prawie bez przerwy, stan wojenny, ustawiczne zatargi i spory graniczne z Zakonem i Brandenburgią, nawet wtedy, gdy urzędowo najściślejszy istniał pokój. Stan wojenny — to stan codzienny, normalny w Wielkopolsce, to życie codzienne szlachcica w tych stronach z końcem XIV. i początkiem XV. w. Dlatego też uchwale tej dziwić się nie będziemy, ani wielkiego jej przypisywać znaczenia, a już odnośnie do naszej sprawy wagi jej nie przyznamy, tem bardziej, że właśnie niedawno (w 1402 r.) zakupili Krzyżacy Nową Marchię, dzięki czemu odżyły waśni graniczne. Zresztą uchwała ta nie została zrealizowana.

Do podobnych stosunków, w jakich pozostawał Jagiełło z Krzyżakami, przystępuje teraz i Witold. Że Kiejstutowic miał znowu rozpocząć z Zakonem rokowania, wiedziała o tem Korona: albowiem w dn. 19. czerwca 1403 złożył Witold w Lublinie hołd, a raczej ponowił przyrzeczenie, że nie zawrze z Krzyżakami żadnego przymierza bez wiedzy Jagiełły i Korony polskiej:[1]) składa zaś Witold to przyrzeczenie pierwej, nim pierwsze kroki zbliżenia się do Zakonu rozpoczął. Okoliczność ta pozwala się domyślać, że panowie polscy — a najznakomitsi z nich występują na tym dokumencie jako świadkowie — pomni zachowania się Witolda przed klęską worskleńską, lękali się, by i teraz podobne nie zaszło niebezpieczeństwo dla całości unii i takiem przyrzeczeniem chcieli nałożyć pewne więzy moralne, krępujące samodzielność Kiejstutowica.

Niem tedy związany zawiera Witold 2. lipca z marszałkiem Zakonu zawieszenie broni aż do osobistego zjazdu z W. mistrzem i wymienia wzajemnych jeńców;[2]) zawieszenie to i ułożone na zjeździe z marszałkiem warunki, a zwłaszcza obietnicę osobistego zjazdu W. mistrza i Witolda 8. września na Dubissie, zatwierdza Konrad Jungingen.[3]) Jest to więc już nie prosta i małoznaczna wymiana jeńców, ale początek pertraktacyi.

Jakoż zjazd ten przyszedł do skutku. Przybył nań W. mistrz w licznym orszaku dostojników Zakonu, a Witold na czele rusko-

---

[1]) Codex epist. saec. XV. t. I. nr. 131.
[2]) Possilge, p. 266.
[3]) Voigt Codex. VI. nr. 150 i 151 (list do mgr. miśnieńskiego).

litewskiego wojska: spodziewano się nawet i króla polskiego.[1]) ale Jagiełło przysłał tylko kasztelana wiślickiego Klemensa z Moskorzowa i marszałka Zbigniewa z Brzezia. Obrady miały jednak dość ostry przebieg, bo ani pełnomocnicy polscy, ani Witold nie chcieli mówić o przywróceniu Krzyżakom Żmudzi bez wiedzy i zezwolenia Jagiełły. Przyszło nawet do sporów, bo komtur brandenburski Markward von Salzbach oczerniał Witolda, zowiąc go zdrajcą, apostatą, czem obrażeni Litwini pojedynkiem chcieli bronić czci swojego pana: W. mistrz z trudnością zdołał zażegnać walkę i listownie przeprosił skarżącego się Witolda.[2]) Kiejstutowic i posłowie Polacy zażądali przedłużenia rozejmu aż do najbliższych Zielonych Świąt, mistrz zgodził się wszakże tylko do Bożego Narodzenia 1403 r., a pod warunkiem, że jego żądania co do Żmudzi zostaną spełnione, przyjmie i dłuższy.[3]) To jest jedyny rezultat zjazdu z 8. września. Nie wiedzą o tem kronikarze pruscy, pisze to jednak wyraźnie W. mistrz w swym liście do elektorów. Lakoniczny Annalista wie tylko o samym fakcie zjazdu i że „nihil est conclusum".[4]) Bogaty za to w szczegóły Possilge opisuje cały przebieg zjazdu, co do wyniku natomiast, to opowiada, że Witold i Polacy przysłali do Malborga posłów z prośbą, by W. mistrz do Wilna przysłał swoich pełnomocników, ale nie określa czasu, kiedy się to stało; że zaś list W. mistrza do Ruprechta i elektorów datowany jest z 16. października, niby więc nie przeszkadzało dać kronikarzowi wiarę, ale sprzeciwia się temu treść listu, która wyraźnie dowodzi, że przedłużenie rozejmu nastąpiło na zjeździe, a nie po nim.

Jeżeli się uważnie przypatrzymy przebiegowi zjazdu, to musimy przyjść do przekonania, że tak Korona jak i Litwa w stosunku do Krzyżaków działają teraz zgodnie i o doprowadzenie do zgody starają się usilnie. Mimo bowiem ostrych sporów, chcą dłuższego rozejmu, a w relacyi mistrza (list do Ruprechta) czytamy, że na Zielone Święta 1404 r. odbędzie się zjazd Jagiełły z Jungingenem. Ale z drugiej strony nie chcą znowu Polacy zbyt wielkich na rzecz tej zgody ponosić ofiar, w sprawie bowiem

[1]) Ibidem, nr. 158 (list W. mistrza o zjeździe do króla Ruprechta i elektorów niemieckich).

[2]) Ibidem, nr. 159.

[3]) Ibidem, nr. 158; nadto Annalista toruński p. 267 i Possilge p. 267—269.

[4]) „nic nie zdecydowano".

Żmudzi odpowiadają odmownie. Zakon zaś przez to, że zgadza się na dalsze pertraktacye, okazuje, że mu na tej zgodzie zależy także, ale nie ustępując z artykułu o Żmudź, pozwala się nam domyślać, że położenie Witolda nie musi być jeszcze bardzo pomyślne, a za to chwila stosowna, by jak najwięcej korzyści wyciągnąć. Tak więc, choć ten zjazd pozostawił status quo dzięki stanowczości traktujących w sprawie Żmudzi,[1]) to jednak nie możemy tego zjazdu nazwać zupełnie bezowocnym, choćby dlatego, że nie zamknął drogi dalszym rokowaniom. Na tej stopie pozostanie już Witold do końca. Działań wojennych nie widzimy odtąd wcale, za to żywszą korespondencye. Witold do Zakonu nawraca, a przyczyny tego szukać należy w buncie Świdrygiełły i w Smoleńsku.

Nim jednak pertraktacye dalej prowadzić zaczęto, nadeszła do Malborga owa bulla Bonifacego IX. w dn. 9. września 1403 r. wydana, a która, jak opowiada Possilge, wielkie w Malborgu sprawiła wrażenie.[2])

O staraniach Jagiełły i Witolda w Rzymie mówiliśmy już poprzednio; tu dodajemy, że prawdopodobnie do tych to zabiegów odnosi się list prokuratora Zakonu w Rzymie, Jana Felde'go do W. mistrza z 19. marca 1402 r.[3]) Bulla tedy owa robi wielkie zarzuty Krzyżakom o tak niewłaściwe chrześciańskiemu rycerstwu i Zakonowi postępowanie z neoficką Litwą, zamiast bowiem dopomagać wzrostowi chrześciaństwa, nękają Litwinów ciągłą wojną; dlatego też on,- papież, jako najwyższy ich zwierzchnik, zakazuje im na Litwę wszelkich wypraw pod grozą klątwy aż do czasu, póki wzajemne spory nie zostaną rozpatrzone przed sądem papieża.[4]) Krzyżacy przypisywali tę ostrą bullę z jednej strony zabiegom króla, z drugiej zaszłej właśnie śmierci prokuratora Jana von Felde[5]) Z tego właśnie powodu Jungingen zwołał kapitułę zakonną i na niej ułożono uroczystą appellacyę do papieża, w której przedstawiając w odpowiedniem świetle swój stosunek do Litwy i postępowanie Witolda nietylko z Krzyżakami, ale także z własnymi krewnymi np. ze Świdrygiełłą, wykazują przez tę obronę, że papież nie był dokładnie powiadomiony o prawdziwym stanie rzeczy z powodu śmierci prokuratora Feldego, wydał więc

---

[1]) Wyraźnie o tem mówi list W. mistrza do Ruprechta.
[2]) Possilge, p. 268.
[3]) Codex Vitoldi, nr. 251.
[4]) Voigt Codex, V. nr. 137 (bulla owa w transsumpcie).
[5]) Possilge, p. 268.

tę bullę i zakaz wojowania z Litwą, jako jednostronnie poinformowany: od papieża więc źle poinformowanego, apelują do dobrze poinformowanego.[1]) Krzyżacy bowiem na wszelki wypadek, w razie rozbicia rokowań z Witoldem, chcieli sobie po dawnemu robić na Litwę wycieczki. Że jednak bulla ta nie była dla Krzyżaków przyjemna i wygodna, owszem krępowała ich nawet wobec Polski i Litwy, że wielki niepokój wywołała wśród Krzyżaków, dowodem to, że niespełna w miesiąc po tej appellacyi, 20. stycznia 1404 r., W. mistrz pisząc do nowego prokuratora w Rzymie, prosi go, by się postarał o jej odwołanie.[2]) Appellacya ta — to rzecz całkiem naturalna. Uczeni przypisują tej bulli wielkie znaczenie i mówią, że wpłynęła ona na mistrza, iż okazał się skłonniejszym do zgody. Być może — ale zaznaczam, że Krzyżacy, a raczej Konrad Jungingen nawiązując pertraktacye z Witoldem, zjeżdżając się z nim 8. września osobiście, już przez to samo okazał swą gotowość do zgody. Wprawdzie nie przystał wtedy na dłuższy rozejm, ale przecież zawarł go do Bożego Narodzenia, a to wszystko stało się przed nadejściem bulli. Zaprzeczyć się jednak nie da, by bulla nie wpłynęła nic na dalszy przebieg rokowań: stają się one łagodniejszemi i do skutku doprowadzają.

W październiku też, kiedy Kiejstutowic przysłał jednego ze swoich urzędników do W. mistrza z propozycyą, by w listopadzie przybył do Grodna brat mistrza, komtur Bałgi, celem bliższego porozumienia się, Konrad Jungingen odpisał z gotowością spełnienia propozycyi.[3]) W liście tym czytamy także, że Witold robił wymówki Krzyżakom o popieranie Świdrygiełły. Jakoż istotnie posłał Jungingen komtura bałżeńskiego, którego Witold przychylnie i gościnnie przyjął,[4]) ale nie wiemy nic bliżej o jego czynnościach. A i pozwolenie mistrza, udzielone Witoldowi i Jagielle na swobodne polowanie w granicach państwa zakonnego,[5]) świadczyć może, że porozumienie staje się coraz bliższe.

Wreszcie w grudniu 1403 r.[6]) znowu krok dalej: Jungingen pisze mianowicie do nowego prokuratora w Rzymie, że gdy Ja-

---

[1]) Voigt j. w.

[2]) Codex Vitoldi, nr. 279.

[3]) Voigt. Codex, VI. nr. 159.

[4]) Ibidem, nr. 162.

[5]) Voigt Codex, VI. nr. 161.

[6]) Że pogodzenie się ze Świdrygiełłą Jagiełły i Witolda i pobyt komturów bałżeńskiego i gniewskiego w Wilnie miał miejsce istotnie

giełło polował wraz z Witoldem niedaleko granic krzyżackich, posłał do nich swojego brata Ulrycha, komtura bałżeńskiego, by ze-

---

w grudniu 1403 r., w ten sposób możemy udowodnić: Kronikarz pruski Possilge (str. 268) pisze tak: „...und wedir die bulle appelirte der Ordin, das sie nicht redelichin were irworbin. Idoch was der Koning von Polan und sante sine botin begernde an den homeister...", a potem prawi o pogodzeniu się ze Świdrygiełłą i kończy „dis geschah uff die Wynachtin." Gdybyśmy brali ten tekst dosłownie co do porządku rzeczy w opowiadaniu kronikarza, to ponieważ owa appellacya miała miejsce 10. grudnia, kwestya byłaby zupełnie prosta. Ale bezpośrednio przed wzmianką o appellacyi, mówi kronikarz o nadejściu bulli i zabiegach, które ją wywołały — zrobił to jednak niewątpliwie w celach konstrukcyjnych, by opowiadania o bulli nie rozrywać, o czem zresztą może świadczyć spójnik łączący „und". Wobec tego nie będziemy mieli punktu oparcia, nie będziemy wiedzieli, kiedy to poselstwo wyprawił Jagiełło do Malborga; tyle nam tylko będzie wiadomo, że pogodzenie się ze Świdrygiełłą i pokój, — jak Possilge mówi — „czwuschin den landin Littowin, Russin und Pruszin", nastąpił na Boże Narodzenie. Że się tu nie myli, dowodem list W. mistrza do Witolda z 6. lutego 1404 r. z podziękowaniem, że Kiejstutowic chce Krzyżakom dawne posiadłości i dawne prawa na Żmudzi przywrócić (Voigt Codex, VI, nr. 169); naturalnie list tego rodzaju nie jest możliwym bez poprzedniego porozumienia się. A że wiemy tylko o tem poselstwie z listopada komtura bałżeńskiego, a o żadnem innem pierwej ani potem, wyjąwszy omawianego, gdzie bierze udział dwóch komturów i Świdrygiełło, zatem wersyę kronikarza przyjąć trzeba. Stało się to więc na Boże Narodzenie. A teraz mając ten punkt, możemy próbować oznaczyć czas owego polowania, które dało impuls do wznowienia rokowań, nadając im przez to żywsze tętno. Ponieważ Konrad Jungingen w owym liście do prokuratora kładzie nacisk na to polowanie, jako na rzecz, która dała sposobność do wznowienia pertraktacyi i tym razem nie z samym Kiejstutowicem, ale także z Jagiełłą, a w dn. 25. listopada 1403 r. (Voigt Codex, VI nr. 161) posyła mistrz Witoldowi pozwolenie na swobodne polowanie, równocześnie dziękując mu za gościnne przyjęcie brata, więc polowanie odbyło się w pierwszej połowie grudnia. Widoczna także, że te dwie sprawy stoją ze sobą w ścisłym związku, a mianowicie, że Witold spodziewając się przybycia Jagiełły, jeszcze Ulrycha Jungingena prosi o list na swobodne polowanie.

Possilge opowiada także, że Jagiełło pierwszy wyprawił posłów do Malborga, by mistrz przysłał kogoś do Wilna dla porozumienia się; Jungingen zaś w liście swoim do prokuratora mówi znowu, że on zaczepił pierwszy: dwie te wiadomości pozostają więc w sprzeczności — ale tylko pozornej. Mistrz opisuje dość szeroko te pertraktacye grudniowe, kronikarz pobieżnie. Mistrz mówi, że sam zaczepił na polowaniu, że Jagiełło i Witold odpowiedź wtedy na później odłożyli, wysyła

chcieli wypełnić jego żądania, dotyczące zwrotu Żmudzi, a potem powtórnie, gdy już bawili w Wilnie, w tej samej sprawie brata i komtura Gniewu, Henryka von Schwelborn. Do tych dwóch komturów przyłączył się i Świdrygiełło. Wtedy w Wilnie nastąpiła zgoda między zwaśnionymi, tj. Jagiełłą i Witoldem z jednej, a Świdrygiełłą z drugiej strony, tak że ten niedawny buntownik bierze udział w dalszych pertraktacyach, zwłaszcza tyczących się sprawy dobrzyńskiej. Tę bowiem sprawę postawił teraz król jako warunek nieodzowny pokoju, żądając, by Krzyżacy zdali spór o tę ziemię pod sąd obustronnych pełnomocników. Krzyżacy zgodzili się pod warunkiem, że gdyby sąd rozjemczy nie rozstrzygnął, to pójdzie ta sprawa przed forum rzymskiego imperyum — i zawarto rozejm do Gromnicznej.[1]) Sprawa dobrzyńska po dłuższem milczeniu wychodzi więc znowu na jaw — trzeba tu zaznaczyć tedy i podnieść z wielkim naciskiem, że stanowisko Zakonu wobec tej sprawy dobrzyńskiej było teraz w wysokim stopniu utrudnione: umarł już bowiem ten, który im tę ziemię zastawił i na którego mogli się bardzo wygodnie odwoływać i na którego istotnie przedtem się odwoływali — tj. Władysław Opolczyk. Obecnie brakowało im już tej obronnej tarczy.

Jeżeli zjazd wrześniowy z 1403 r. uznaliśmy za ważny dlatego, że zostawił mimo wszystkiego otwartą drogę do dalszych pertraktacyj, to ten jest daleko ważniejszy dla wielu względów. Wspominałem, że Witold, dzięki niepowodzeniom na Wschodzie i wojnie ze Smoleńskiem, dzięki buntowi i sojuszowi Świdrygiełły z Krzyżakami, chciał przywrócić dawne, przyjazne z Zakonem stosunki: być może także, że działał tu książę za poradą Jagiełły, że on był głównym teraz sprawcą tej zmiany, jak po klęsce nad Worsklą — Witold. Ale i Krzyżakom widocznie nie mniej na tem zależało, skoro sami zaczepiają na łowach Witolda i Jagiełłę; Possilge podaje nam nawet powód, dla którego Zakon jest gotów zawrzeć pokój: to spór Krzyżaków z królową duńską Małgorzatą o Gottlandyę.[2]) To jedno. Powtóre podczas tych świątecznych (grudniowych) pertraktacyj pogodzili się Witold i Jagiełło ze Świdrygiełłą, a eo ipso zniweczyli jego związek z Zakonem. A że

więc powtórnie, tym razem do Wilna, a Jagiełło przez Monwida prosi o przysłanie pełnomocników. Sprzeczność więc pozorna tylko, wynikła z lakoniczności kronikarza.

[1]) Codex Vitoldi, nr. 279.

[2]) Possilge, p. 269.

o tem pogodzeniu się myśleli oni już przed tem, świadczy ów list bezpieczeństwa, którym oprócz Jagiełły i Witolda objęto także i Swidrygiełłę, gdyby był z nimi obecny (list na swobodne polowanie); ponadto zaś wzmianka w liście W. mistrza do prokuratora, że przysłano Swidrygielle glejt, gdy się wybierał z Ulrychem Jungingenem (komtur bałżeński) i komturem gniewskim do Wilna — udzielił mu go oczywiście Jagiełło i Witold. Trzeci powód, dla którego ten zjazd jest tak ważny, to fakt, że poruszono na nim sprawę dobrzyńską i to w sposób tego rodzaju, że jej załatwienie było warunkiem nieodzownym pokoju. Takie postawienie kwestyi dobrzyńskiej przez Jagiełłę może także dowodzić, że i Krzyżakom na pokoju zależało. Sprawa ta, jak widzieliśmy, była w ciągłem zawieszeniu, dopiero teraz wychodzi silniej na jaw. Nie bez wagi jest wreszcie i to, co zresztą objawiło się już i na wrześniowych rokowaniach, że Witold i Jagiełło dotąd rozdzieleni, teraz pracują wspólnie i na tę samą drogę wkraczają.

Ten czas, jaki dzieli Boże Narodzenie 1403 r. od Zielonych Świąt 1404 r., upływa tylko na załatwieniu formalności między traktującemi stronami, na przygotowaniu się do zjazdu w dn. 18. maja 1404 r. w Raciążu.[1]) Taki ma charakter list W. mistrza do króla, w którym mu donosi, że Witold przysłał już odpowiednie dokumenta,[2]) taki także list z 18. marca 1404 r. do ks. głogowsko-żegańskiego Jana, jako spokrewnionego z Władysławem Opolczykiem, w którym donosząc o przebiegu sporu z Jagiełłą o ziemię dobrzyńską, prosi go, by jako spadkobierca Opolczyka (jego wnuk), albo też jego matka przysłali dokumenta stwierdzające jego prawa do ziemi dobrzyńskiej, a któreby mistrz mógł spożytkować wobec Jagiełły na zamierzonym zjeździe:[3]) Zakon więc nie chce przyznać Polsce jej praw do Dobrzynia.

Wśród takich tedy okoliczności przyszedł do skutku zjazd w Raciążu. Jeszcze w styczniu 1404 r. nie bardzo wierzył Jungingen w pokój, a przynajmniej nie chciał stawiać wszystkiego na kartę, w liście bowiem z 21. stycznia do Janusza, ks. mazowieckiego, z którym żył w przyjaźni, pisze, iż jeszcze nie wie, czy rozejm będzie trwał dalej po 2. lutego, zresztą jeszcze mu o tem doniesie;[4]) drugim dowodem jest ów list do prokuratora

---

[1]) Codex Vitoldi nr. 282 (z 25. kwietnia).
[2]) Ibidem.
[3]) Voigt Codex. VI. nr. 171.
[4]) Codex Vitoldi, nr. 280.

zakonnego, o którym poprzednio wspominaliśmy, z prośbą, by się wystarał u papieża o odwołanie bulli i zakazu wojowania z Litwą, bo gdy tylko pogoda sprzyjać będzie, wyprawi się jak zwykle na Litwę.[1] Dopiero kiedy w lutym Witold obiecał Zakonowi zwrócić Żmudź i pokój przedłużono,[2] a potem Jungingen doniósł Jagielle o przysłaniu dokumentów przez Kiejstutowica, wtedy zjazd i pokój nie ulegał już wątpliwości, a wzajemne obsyłanie się podarunkami[3] miało być wyrazem bliskiej zgody.

Po tym całym przeglądzie spróbujmy odtworzyć ogólną charakterystykę wzajemnych stosunków.

Po zawarciu unii wileńskiej Witold zrywa z Krzyżakami i niepokoi ich na Żmudzi. Czy chciał wprost odebrać im tę ziemię, nie umiemy dać stanowczej odpowiedzi, ale faktem jest, że bunt na Żmudzi jest dla Krzyżaków najboleśniejszym i to największa w ich opinii wina Kiejstutowica, że Żmudzinów przeciw panowaniu Zakonu podburza (dowód: treść skarg krzyżackich). Że panowanie Krzyżaków na Żmudzi było bardzo silnie zachwiane, dowodzi tego okoliczność, że przy rozpoczęciu rokowań przywrócenie praw swoich i panowania tamże uważają za najważniejszy warunek pokoju i nie odstępują do końca od niego. Witold zrywając oddziela się od Jagiełły, bo ten ciągle znajduje się w stanie rokowań. Przez to zerwanie z Krzyżakami sprowadza sobie Witold zemstę z ich strony i szereg nieszczęść: zniszczenie Litwy przez kilkakrotne Zakonu wyprawy, niepowodzenia na Wschodzie i utratę Smoleńska, sojusz Krzyżaków ze zbuntowanym głównie przeciw Witoldowi Świdrygiełłą. Że tego ostatniego uważał Zakon tylko za narzędzie mające służyć do szachowania Witolda w stosunku do siebie (Zakonu), wymuszenia na nim stanowiska odpowiedniego i dogodnego interesom zakonnego państwa, to dowód tego widzimy w tem, że choć zbuntowany malkontent potwierdza traktat saliński, a z nim darowiznę Żmudzi, to jednak Krzyżacy zachwiani w swem panowaniu, żądają zatwierdzenia i odnowienia darowizny

---

[1]) Ibidem, nr. 279 (list z 20. stycznia 1404 r.).

[2]) Voigt Codex. VI. nr. 169.

[3]) Voigt Geschichte Preussens t. VI. p. 266, uwaga 2 (Tressler-Buch).

od Jagiełły i Witolda, bo oni tylko mają prawo do tego. Dzięki tym niepowodzeniom, Witold po dwuletnich krokach wojennych nawraca i podobnie jak dawniej Jagiełło, rozpoczyna teraz razem z nim pertraktacye doprowadzające do zjazdu raciąskiego.

Nazwaliśmy ten rozdział „intrygami“: intryga leży tu po stronie Zakonu, a mianowicie w popieraniu przezeń Świdrygiełły. Obie spierające się strony — Krzyżacy i Witold — pragną zgody: kto pokierował tutaj i dał inicyatywę — nie wiemy. Sądzę jednak, że Jagiełło przedewszystkiem, ale że i Witoldowi musiało na zgodzie zależeć i do niej przeć, by z tem większą siłą i energią zaatakować Smoleńsk, bo co do Żmudzi, to ona i tak prawnie należała do Zakonu na mocy traktatu salińskiego; Jagielle zaś chodziło o wydobycie ziemi dobrzyńskiej. Pewnem jest jednak i to, że Świdrygiełło i jego bunt odegrali niemałą tutaj rolę.

A jeżeli teraz zważymy następstwa, jakie to zerwanie Witolda dla Litwy sprowadziło, a w dalszym ciągu, gdy poznamy uchwały zjazdu raciąskiego i porównamy stanowisko i zachowanie się Jagiełły z jednej, a Witolda z drugiej strony w okresie tych kilku lat, to musimy zerwanie Kiejstutowica uznać za błąd, za który słusznie ukarany został buntem Smoleńska i utratą Żmudzi. Bo jeżeli chciał załatwić rachunki z Zakonem co do Żmudzi, to ich nie załatwił pomyślnie i Żmudzi nie odzyskał; jeżeli zaś chciał tylko zaszachować Polskę pozostającą w nie wrogich (przynajmniej co do rządzących sfer) z Zakonem stosunkach, Krzyżaków zaś zaniepokoić (tylko) w ich panowaniu na Żmudzi, to sprowadził tylko jeszcze większe między Polską a Zakonem zbliżenie, a na Rusi poniósł co prawda chwilowe, ale poważne straty.

IV.

Zjazd w Raciążu w 1404 r.

Na Zielone Święta 1404 r. tj. 18. maja zjechali się licznie w Raciążu najwyżsi dostojnicy Polski, Litwy i Zakonu wraz ze swymi monarchami: z polskich byli obecni arcybiskup gnieźnieński, Mikołaj Kurowski, biskupi krakowski Piotr Wysz z Radolina i poznański Albert Jastrzębiec: ze świeckich panów kasztelan krakowski Jan z Tęczyna, wojewoda krakowski Jan Tarnowski, kasztelanowie Klemens z Moskorzowa wiślicki i Michał z Bogumiłowic lubelski, marszałek Zbigniew z Brzezia, podkanclerzy Miko-

łaj i podkomorzy krakowski Gniewosz z Dalewic; Witoldowi towarzyszył biskup wileński i sandomierski, marszałek Czapurna, bojarowie Minigail, Gastold i inni: wreszcie Konradowi Jungingenowi — biskupi pomeraneński i chełmiński, wielki komtur Konrad von Lichtenstein, marszałek Werner von Tettingen, najwyższy szpitalnik Jan von Rupenheim, komturowie Burhardt von Webeke cristborski i Fryderyk von Wenden toruński.

Co do obecności Witolda na zjeździe jest pewna wątpliwość. Annalista toruński mówi bowiem wyraźnie „absente Witoldo“, Possilge zaś jego obecność lub nieobecność pomija zupełnie milczeniem. Zgodzić się jednak trudno na opowiadanie Annalisty; bo mamy cały szereg aktów wystawionych przez samego Witolda właśnie w Raciążu i w tym czasie, a dostojnicy litewscy występują na nich tylko jako świadkowie, podobnie jak polscy na dokumentach Jagiełły — ani jedni zaś, ani drudzy nie wystawiają samodzielnie w swojem imieniu aktów. A zresztą sam przedmiot obrad był tak ważny i dotykający bezpośrednio Litwy, że obecność samego Witolda, a nie jego marszałka, jak chce Annalista, była niemal konieczną.

Po kilkodniowych naradach pełnomocników w Złotoryi i Słońsku, jak opowiada Annalista, ukończono sporne sprawy zgodnem ich załatwieniem i zawarciem uroczystego pokoju, poczem Konrad Jungingen gościł wspaniale Jagiełłę przez trzy dni w Toruniu. Wtedy to, według opowieści Długosza, gdy król w licznym orszaku przejeżdżał się po ulicach miasta, kucharka jakaś wylała nań nieczystości, co oczywiście wywołało wielkie podejrzenia w kołach panów polskich.[1])

Uchwały tego uroczystego zjazdu rozpadają się na dwie grupy: grupę związaną z Koroną i grupę związaną z Litwą.

Do pierwszej należy sprawa ziemi dobrzyńskiej. Wiemy co do tej, na jakiem stanowisku stał od początku Zakon: wspominaliśmy, że mistrz pisał do ks. głogowsko-żegańskiego Jana, syna Henryka i Katarzyny, córki Opolczyka, by mu przysłał dokumenta, któreby wykazać mogły jego prawa do tej ziemi. Czy przysłał — nie wiadomo, ale to wiemy, że dokumenta zastawne z czasów

---

[1]) Opis zjazdu zawierają Annal. toruński l. c. p. 274. Possilge l. c. p. 271—272 i Długosz lib. X. p. 556—557. Nie podają jednak przebiegu narad, tylko ich rezultaty, które znamy z dokumentów.

Opolczyka, Jagiełło odebrał[1]) (dokumenta wydane Opolczykowi przez Krzyżaków), ale nie wiemy, czy książę głogowski odesłał je wprost królowi, czy za pośrednictwem mistrza; zdaje się jednak, że wprost, bo w listach krzyżackich nie ma o tem wzmianki, a pewno by jej nie brakło. Otóż co do ziemi dobrzyńskiej ułożono się, że na Zielone Święta przyszłego roku (1405), Jagiełło wypłaci Zakonowi 2.400 kóp groszy praskich za Złotoryą, a 50.000 za ziemię dobrzyńską — poczem nastąpi restytucya ziem.[2]) Jakoż istotnie zarządził król złożenie sejmików, a w jesieni t. r. (1404) sejm walny do Nowego Miasta Korczyna, który uchwalił sześciokrotne łanowe tj. po 12 groszy (łącznie ze zwyczajnem poradlnem), z tem jednak zastrzeżeniem, że ten podatek jest dobrowolny i przywilejom szlacheckim uwłaczać nie będzie.[3]) Król też wydał na tym zjeździe walnym 11. listopada przyrzeczenie, że tak wielki podatek już więcej się nie powtórzy, nie będzie prejudykatem ani nadwerężeniem przywileju koszyckiego z 1374 r.[3]) Dzięki tej pomocy stanów szlacheckich 10. czerwca 1405 r. nastąpił w Toruniu wykup ziemi dobrzyńskiej wśród zwykłych formalności[5]) i znowu z przyjmowaniem króla przez mistrza połączony.[6]) Wtedy dopiero ziemia dobrzyńska powróciła na zawsze do Polski. Ponadto na tym zjeździe raciąskim ratyfikował Jagiełło pokój kaliski z 1343 r. ze wszystkimi jego warunkami, a więc i z odstąpieniem Krzyżakom wieczyście ziemi pomorskiej, chełmińskiej i michałowskiej.[7]) Później w 1405 r., przy restytucyi ziemi dobrzyńskiej, zatwierdził także Jagiełło granice między Wielkopolską a Nową Marchią, które na niniejszym zjeździe omówiono,[8]) a których niestałość prowadziła do ciągłych lokalnych walk i zatargów, a nadto artykuł, że będzie Krzyżaków bronił przed ewentualnemi pretensyami w sprawie Dobrzynia.[9]) W. mistrz ze swej strony przyrzekł dotrzymać warunków pokoju, nie przeprowadzać przez państwo

---

[1]) Codex Vitoldi, nr. 311.

[2]) Lites ac res gestae wyd. II. nr. 45, p. 433, t. II.

[3]) Długosz, l. III. p. 558.

[4]) Rzyszczewski-Muczkowski, Codex Pol. t. II. pars 1, nr. 349, p. 369.

[5]) Lites j. w. nr. 48, p. 436.

[6]) Annalista, Possilge p. 277. Wtedy także potwierdził król wszystkie dokumenty majestatyczną pieczęcią.

[7]) Lites j. w. nr. 46. p. 434.

[8]) Raczyński, Codex Lithuaniae p. 91.

[9]) Raczyński, Codex Lithuaniae, p. 91.

polsko-litewskie swoich wojsk, nie knuć nic przeciw niemu, nie naruszać ułożonej granicy, nie przyjmować zbiegów i zbuntowanych krewnych czy braci królewskich i nie wchodzić z nimi w przymierza.[1]) Ten ostatni artykuł odnosi się do Świdrygiełły. To grupa polska.

Do drugiej grupy należy przedewszystkiem Żmudź i wzajemni zbiegowie. Witold odnawia tedy w całości traktat saliński,[2]) przyrzeka dopełnić wszystkich jego warunków, dopomagać Krzyżakom w zawojowaniu Żmudzi, ale orężem dopiero wtedy, gdy mistrz tego wyraźnie zażąda; a gdyby Żmudzini trwali w oporze, wtedy zakaże swoim poddanym wszelkich z nimi stosunków, zwłaszcza handlowych. Gdyby zaś Witold nie dopełnił swoich przyrzeczeń, wtedy Zakonowi przysługuje prawo zaskarżyć go przed Jagiełłą, a w ostateczności wypowiedzieć mu wojnę, która jednak nie będzie dotykać, ani obowiązywać Polski.[3]) To zastrzeżenie bardzo ważne i charakterystyczne. Co się zaś tyczy zbiegów, to Witoldowi nie wolno nikogo z państwa zakonnego ani Żmudzi przyjąć i przesiedlić przed naradą wzajemnych pełnomocników, która ma się wkrótce odbyć i jeżeli zakończy się pomyślnie, wolno mu będzie przesiedlić 250, w przeciwnym zaś razie ma się zjechać osobiście z mistrzem, a gdy i to będzie bez rezultatu, cesarz rzymsko-niemiecki będzie między nimi sędzią.[4]) Wszystkie te przyrzeczenia wydał Witold za wiedzą i zezwoleniem Jagiełły, który sam zatwierdził i traktat saliński[5]) i niniejsze dokumenta ze strony Witolda.[6]) W roku zaś następnym wszystkie bez wyjątku akta zjazdu raciąskiego zatwierdził pieczęcią majestatyczną.[7]). — To grupa litewska.

To treść uchwał zjazdu raciąskiego — rozważmy je teraz i zapytajmy, czem jest i co przynosi ten zjazd.

Odnośnie do Polski, czy zjazd raciąski przez jego uchwały uważać należy za zwycięstwo, czy za klęskę dyplomatyczną? Jeżeli sobie przypomnimy i zgodzimy się na to, co wspomniałem w pier-

---

[1]) Lites j. w. nr. 43—44, p. 429—433.

[2]) Bunge, Urkundenbuch, t. IV. nr. 1642, p. 457.

[3]) Codex Vitoldi, nr. 285.

[4]) Codex Vitoldi, nr. 286.

[5]) Raczyński j. w. p. 252—258 (w transsumpcie z r. 1419).

[6]) Ibidem p. 88—90 (akt traktatu salińskiego w transsumpcie z r. 1404).

[7]) Codex Vitoldi, nr. 289.

wszym rozdziale niniejszego studyum, a co wykazałem w innej rozprawie,[1]) że zastaw ziemi dobrzyńskiej przez Opolczyka był bezprawnym, jako naruszenie zasad prawa lennego i złamanie obowiązków wasala, przyjęcie przez Krzyżaków zastawu tego i całe ich stanowisko w tym sporze również za bezprawne z tych samych powodów, to konsekwentnie i ten zjazd należałoby uznać za klęskę Polski, bo zwycięża w nim siła, a nie prawo, bo bezprawność, gwałt doznaje otrzymuje sankcyę i to od tego państwa, przeciw któremu był wymierzony. Naturalnie jest to klęska nie terytoryalna, bo owszem odzyskuje Polska utraconą ziemię, ale klęska dyplomatyczna, klęska pod względem zasady prawnej. Ale choćby i tak nie było, choćby premissa powyższa, a eo ipso i konkluzya okazała się fałszywą, to i tak zjazdu raciąskiego zwycięstwem nazwać nie można. Krzyżacy bowiem podczas pierwszych rokowań jeszcze odpowiedzieli, że nie wydadzą ziemi dobrzyńskiej bez zwrotu pieniędzy pożyczonych Opolczykowi. Wobec tego były dla Polski tylko dwie alternatywy: albo dochodzić swych praw wojną, jak zresztą doradzali to Jagielle niektórzy z panów rady,[2]) albo ustąpić i zapłacić za tę ziemię, której tracić wcale nie potrzebowała, ani była powinna płacić sumę, której nie pożyczała, odkupić swoją własną ziemię, którą utraciła wcale nie przez wojnę lub własną winę. Polska obiera tę ostatnią drogę, Jagiełło robi ofiarę: Zakon żąda zapłaty i Polska płaci, wprawdzie nie całą sumę, bo zamiast 80 tysięcy, przeszło 50 — w tem możnaby się także dopatrywać pewnej nielegalności w przyjęciu zastawu przez Krzyżaków, skoro mniej biorą, niż dali — ale zawsze płaci, a przez to ustępuje Krzyżakom, dozwala ich wytrwałemu stanowisku odnieść nad sobą tryumf. Przez to ustępstwo dowodzi niejako Polska, że jej dyplomacya nie dorównuje krzyżackiej, że przed nią ustąpić musi, ale z drugiej strony, że się wojny jeszcze lęka, nie widzi pewnego zwycięstwa, a raczej tegoż możebności. W tem właśnie ustępstwie, w tem, że Krzyżacy swego dopięli, tkwi to, co nie dozwala zjazdu raciąskiego uznać za zwycięstwo polskiej polityki. Z drugiej jednak strony prawdą jest, że w ówczesnych warunkach, wobec buntu Świdrygiełły, powstania Smoleńska, wojna byłaby może dla Polski i Litwy za ryzykowną, za wczesną jeszcze i innej drogi, jak pokój, nie można było obrać, choćby

[1]) „Sprawa zastawu ziemi dobrzyńskiej i pierwsze lata sporu" (Przegląd historyczny za r. 1905).

[2]) Pawiński, „Sejmiki ziemskie", str. 3.

nawet z pewnemi ofiarami. Z tego znowu punktu widzenia, zjazdu raciąskiego, zwłaszcza gdy się go jeszcze porówna z pokojem toruńskim z 1411 r. wobec Grunwaldu, nie można nazwać klęską, bo bądź co bądź przyniósł utraconą ziemię, bo rozerwał związek Świdrygiełły z Zakonem. Dlatego sądzę, że najodpowiedniej będzie i najtrafniej zjazd raciąski nazwać, o ile chodzi o Koronę, kompromisem, pod względem politycznym i terytoryalnym przynoszącym korzyści Polsce, pod względem zasady prawnej — Krzyżakom. A już choćby z uwagi na strony, które ten kompromis ze sobą zawierają, musimy z góry podejrzywać jego trwałość, musimy powiedzieć, że był on tylko przedłużeniem stanu przejściowego, odłożeniem stanowczej rozprawy na później i nie liczono też zapewne od początku na jego trwałość.

Co do Żmudzi i Litwy, rzecz biorąc prawniczo, ma się nieco inaczej. Wykazaliśmy już, że traktat saliński zawarł Witold za wiedzą i zgodą Jagiełły, prawdopodobnie i z darowizną Żmudzi rzecz ma się tak samo. Do niej więc, do Żmudzi, Krzyżacy mieli już prawo i słuszne pretensye i od Witolda mogli się śmiało domagać jej zwrotu, a raczej zaprzestania niepokojeń i podburzań. I to żądanie Zakonu zostało też załatwione pomyślnie dla Krzyżaków, i tu, w tej sprawie, wychodzą zwycięsko. Witold musiał im niejako za karę dostarczać pomocy zbrojnej przeciw Żmudzi.

A więc zjazd raciąski dla Litwy jest klęską, zwycięstwem Zakonu, przynoszącem nietylko nadwerężenie zasady prawnej jak dla Korony, ale także i materyalne, terytoryalne straty. Jest zwycięstwem dyplomatycznem w swoim sposobie, prawnem w treści, terytoryalnem w skutkach.[1]) Bo jeżeli Witold nie chciał odzyskiwać Żmudzi, a tylko podrażnić Krzyżaków, zachwiać ich panowanie na tej ziemi, co mu się też istotnie udało — okazać swą odrębność, a poniekąd swą niezależność od Polski, to za to utracił na pewien czas (aż do lata 1404 r.) Smoleńsk i wpływ na Rusi głębszej, a Litwę spustoszyły kilkakrotnie oba Zakony (tj. i inflancki) i Świdrygiełło. Zerwanie Witolda było więc błędem, który też klęski na niego sprowadził. Zakon odniósł zwycięstwo nad Litwą, a ta tę tylko korzyść, co prawda bardzo poważną miała z tego zjazdu, że Krzyżacy zerwali ze Świdrygiełłą, a Witold od-

---

[1]) Odstąpienie Żmudzi Zakonowi.

zyskał swobodną rękę, a nawet pomoc Świdrygiełły w stłumieniu buntu na Rusi północno-wschodniej, w odzyskaniu Smoleńska i osłabionego już klęską worskleńską wpływu i uroku na Rusi. I dla Litwy nie jest więc bez korzyści zjazd raciąski, ale mimo to możemy go śmiało uważać za klęskę Witolda, za zwycięstwo polityki Zakonu: bo nie sam zjazd i jego uchwały dały bezpośrednio, same przez się stłumienie buntu smoleńskiego i odzyskanie znaczenia i powagi na Rusi — Witold musiał o to walczyć — zjazd ten ułatwił mu tylko zwycięstwo nad Rusią.

Uchwały tego zjazdu ukazują nam jeszcze jedno: uzupełniają niejako unię wileńską, stwierdzają to, cośmy o niej powiedzieli i jak ją scharakteryzowaliśmy. Wykazują mianowicie, że Polska i Litwa, to dwa organizmy samoistne, ale nie równorzędne, że każdy z nich ma już teraz swoje interesa, które drugiego niekoniecznie obchodzić muszą, a w szczególności interesa litewskie — Polskę. Wyraźniej więc występuje tutaj zasada dwoistości polsko-litewskiego państwa, która doprowadzi z końcem XV. w., a nawet jeszcze w jego połowie do separatyzmu, aż odnowiona nowymi traktatami, ujawni się jeszcze jaskrawiej i ostatecznie skrystalizuje w tej prawdziwej unii z 1569 r., unii lubelskiej. Ale z drugiej strony, choć to organizmy samoistne, Polska i Litwa nie są równorzędnymi, bo Korona ma pewną wyższość, zwierzchność nad Litwą: król polski jest „supremus dux Lithuaniae“, władzca litewski, na którego wolno jej sąsiadom (Krzyżakom) uskarżać się przed królem polskim i wypowiadać mu wojnę nie dotyczącą Korony, tylko „magnus dux“.

Zjazd raciąski nie zakończył naprawdę sporów między Zakonem a państwami związanemi unią: dla Korony w krótkim czasie wystąpi spór o Drezdenko i Nową Marchię, dla Litwy — znowu o Żmudź: te spory doprowadzą już do Grunwaldu. Jest więc zjazd raciąski naprawdę kompromisem przejściowym, jest ostatniem pokojowem załatwieniem sporów bez dobycia oręża, dla Litwy zaś ostatnią klęską przed śmiertelną rozprawą na polach Tannenbergu, która stanowi epokę, punkt zwrotny w dziejach zarówno Zakonu jak Polski.

To więc, że jest ostatnim kompromisem, to że w uchwałach swoich odsłania nam jeszcze bliżej wzajemny stosunek prawno-publiczny Polski i Litwy, że jest ostatnią klęską dla Witolda — to wszystko jest przyczyną, że zjazd raciąski ma wielkie i doniosłe znaczenie w dziejach Unii, że poniekąd zamyka ten okres stosunków Polski, Litwy i Zakonu, gdzie spory drogą pokojową

zostają załatwione, bo kończy się ostatniem ustępstwem Unii wobec naporu germańskiego żywiołu. A jeżeli tak wielkie ma znaczenie ten zjazd, to nie mniejsze musi mieć i to, co go w swych skutkach sprowadziło, to jest unia wileńska i to, co nazwaliśmy „intrygami dyplomatycznemi“. I mają te „intrygi“ znaczenie wielkie jako przyczyna, ale także i same w sobie, bo nam ukazują wyrafinowaną i przebiegłą dyplomacyę krzyżacką w początkach XV. w., a w dodatku przed ostatniem jej zwycięstwem.

Dlaczego wreszcie sprawa dobrzyńska nie doprowadza do walki i Polska woli poświęcić zasadę prawną i słuszność, ponieść ofiarę, a ustąpić Krzyżakom? Oto przyczyna, że załatwiono ją drogą pokojową, leży jak sądzę niewątpliwie w buncie Świdrygiełły. On bowiem walczył nie tylko z Witoldem, ale równocześnie podniósł sztandar buntu na Podolu: a bunt na tej ziemi obchodził w tym samym stopniu Koronę, jak bunt w Smoleńsku — Litwę. By więc uspokoić walkę na Podolu panowie polscy, dla których ta prowincya była niemal najważniejszą, jako dająca niezmierzone obszary do kolonizowania, zgodzili się na tę ofiarę i pokojowo spór załatwili. Ponadto, nie bez znaczenia zapewne był w tej sprawie wpływ Witolda, który widząc, że jego wyrachowania co do Krzyżaków i Żmudzi nie osiągły celu, zapragnął zgody z Zakonem, by mieć wolne ręce do wojny na Wschodzie: on mógł także popychać dwór krakowski i Jagiełłę do zgody, do ofiary pod względem zasady prawnej: a kto wie, czy ten wpływ Witolda nie był tutaj, zwłaszcza odnośnie do uchwał zjazdu, bardzo silnym i decydującym?

Dr. Maryan Goyski.

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI
BISKUP KRAKOWSKI
(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

Zebrzydowski w odpowiedzi swojej na okólnik królewski wyzyskał sposobność, aby ponownie objawić swoją niechęć do sejmów wogóle. Zgadzał się wprawdzie na sejm taki, jakiego sobie życzyli inni senatorowie, jednak zgadzał się tylko z konieczności i z obawy, aby stronnictwo reformy nie udaremniło prac sejmu, aby się nie sprzeciwiło z góry uchwaleniu obrony, muszcząc się za usunięcie z programu jego spraw, określonych edyktem warszawskim. Radziłbym, Najjaśniejszy Królu, — pisał do Zygmunta Augusta — aby dla niebezpieczeństw, które z zewnątrz w tym czasie zagrażają, był zapowiedziany sejm taki, na którymby omówiono szybko konieczną obronę, gdybym widział, że tej myśli i tej chęci są wszyscy, jakiej my jesteśmy, którzy stoimy na rozkazy W. Kr. Mości. Lecz gdy niejedni zdają się skłaniać więcej do buntu niż do pokoju, lękam się, aby dla jakiej błahej przyczyny nie zechcieli zepsuć sejmu i naszych prac udaremnić. Sądzę przeto, że sejm powinien być zwołany podług edyktu warszawskiego dla

wszystkich bieżących spraw, by ci zbyt gorliwi stróże wolności swoich nie mieli powodu do uchylenia naglącej debaty, co ubliżałoby W. Kr. Mości i zmuszałoby Go do ogłoszenia innego sejmu podług ich upodobania. A będzie ten sejm za wolą Bożą potrzebny i pożyteczny, byle W. Kr. Mość miał na niego wpływ, namiętności ludzkie powściągał, samowolę uśmierzał, wszelkie burze uspokajał, spokój i pokój zapewniał. Kogo bowiem charakter jego w posłuszeństwie utrzymać nie zdoła, utrzymać powinna powaga prawa i władcy. Jeśliby zaś sejm miał być zwołany jedynie dla uchwalenia obrony, sądzę, że powinien być zwołany do Krakowa, tak dla dogodnego miejsca, jak niemniej dla dogodnej i szybkiej wyprawy gdyby się okazała potrzebną. Jeżeli natomiast ma sejm się zająć unią, religią i egzekucyą, nie widzę do omówienia tych spraw lepszego miejsca nad Parczów albo Lublin, dodałbym Lwów, lecz się lękam, by ta droga dla senatorów i szlachty z Wielkopolski nie była zbyt daleka i zbyt kosztowna, lepiej więc będzie, dogodniej i właściwiej zwołać sejm do Krakowa. Terminu nie przepisuję (!), pragnąłbym jednak, aby W. Kr. Mość uporządkowawszy i ustaliwszy sprawy litewskie jak najrychlej do nas przybywał, bo wszystko, co się złego dzieje w tem Królestwie, da się naprawić i wynagrodzić wtedy tylko, jeżeli w niem będzie obecny W. Kr. Mość... [1])

Sprzeczne rady senatorów duchownych i świeckich nie zmieniły wcale pierwotnego postanowienia króla. Zagrożony zewsząd na kresach wschodnich od nieprzyjaciół, bo nie tylko od Tatarów i Turków, ale i od Moskali, którzy pomimo rozejmu, zawartego z Polską, najechali Inflanty, zająwszy Dorpat i Narwę i spustoszywszy straszliwie kraj cały, [2]) pragnął uzyskać od Polaków przedewszystkiem pieniądze na przyszłe wojny. Aby okazać dobre chęci z swej strony, opuścił wreszcie Litwę, zjechał latem w Lubelskie do Krasnegostawu, potem do Warszawy i jeszcze raz okólnikiem z 20. sierpnia chciał przekonać senatorów o potrzebie zwo-

---

[1]) Kor. Zeb. nr. 872, list z Miechowa, daty 7. marca 1558. Porównaj odpowiedź Uchańskiego na okólnik królewski: sądził on także, że nie należy spraw egzekucyi i religii pomijać, ale radził postawić na pierwszem miejscu punkt o obronie. Zresztą zarówno z Zebrzydowskim wolał byłby, aby sejm mógł radzić podług życzenia królewskiego tylko o obronie, v. Wierzbowski, Uchańsciana V. s. 186—187.

[2]) Górnicki, Dzieje w Koronie, wyd. Turowskiego, s. 104.

łania sejmu jedynie dla celów obrony.[1]) Ale w końcu uległ opinii większości senatorów i zdecydował się na sejm, który miał zająć się głównie egzekucyą, przez nią religią, a dopiero potem obroną. Instrukcye na sejmiki ogłosił w Warszawie dnia 25. września a termin sejmu oznaczył na dzień 20. listopada b. r.[2])

Tak późna decyzya króla i tak daleki termin sejmu stały w przyczynowym związku z legacyą Krasińskiego i z misyą Hozyusza. Czekano z pewnym niepokojem na wiadomości od nich o rezultacie ich interwencyi u papieża w sprawie konfirmacyi Uchańskiego i Przerębskiego na przeznaczonych im przez króla katedrach. Szczególniej biskupom zależało na tem, aby interwencya ta wypadła pomyślnie, bo od wyniku jej zawisłe było stanowisko króla na przyszłym sejmie wobec spraw kościelnych. Jak wiele liczyli na osobę króla, świadczą choćby słowa Zebrzydowskiego, który w liście pisanym w sprawie Uchańskiego w ten sposób wyrażał swoją radość na wieść kursującą wówczas o zamierzonym powrocie jego do Polski:

„My, którzyśmy z powodu nieobecności tak długiej W. Kr. Mości niemal usychali z płaczu, składamy dzięki nieśmiertelnemu Bogu, że wreszcie nam przywraca W. Kr. Mość; niczego bowiem nie pragniemy więcej w tej chwili, jak obecności W. Kr. Mości, bez której nam gorzko i smutno.“ [3]) Czy mogli się jednak spodziewać poparcia od niego w przyszłej kampanii sejmowej, gdyby go papież swoją odmową konfirmacyi dla jego nominatów zraził do siebie i do katolicyzmu? Tymczasem przyszły w lecie od Krasińskiego niewesołe wiadomości, że Paweł IV. nie przychylił się do opinii zjazdu wolborskiego w sprawie Uchańskiego i Przerębskiego, że natomiast obiecał przysłać do Polski legata swego, który osobiście miał ją z królem omówić.[4]) Wiadomości te potwierdziły listy samego papieża z daty 11. sierpnia, nadeszłe do kanclerza, do prymasa i biskupów, z których dowiedziano się, że niebawem miał przybyć do Polski nuncyusz papieski Kamill, biskup Sutri i Kampanii, że po nim przybędzie właściwy legat Scypio, kardynał pizański, że przyspiesza swoją podróż pierwszy,

---

[1]) Zakrzewski, jak wyżej, s. 262, z Metr. Kor. ks. 90, f. 403.

[2]) Zakrzewski, przypisy s. 62, z Metryki Kor. ks. 93, f. 58. Wierzbowski, Uch. I. s. 187, z Metr. Kor. vol. 91, fol. 431.

[3]) Kor. Zeb. nr. 873.

[4]) Wierzbowski, Uch. V. s 160, podług Janickiego, Korespondencya Krasińskiego, 5 i Latinius, Epistolae, I. 133.

bo papież pragnie, aby zdążył na sejm. który ma się niebawem zebrać...[1]) Wobec zapowiedzianej tak rychłej pomocy z Rzymu, musieli biskupi wpływać na króla, aby jeśli koniecznie ma być złożony sejm egzekucyjny, był zwołany wówczas. kiedy stanie w granicach Polski nuncyusz. Przypuszczali, że może przywiezie on inną decyzyę papieża w drażliwej sprawie obu nominatów. Sądzili zapewne. że przed wyjazdem jego sprawę tę poprze jeszcze raz Hozyusz. Liczyli wiele na osobiste wpływy biskupa warmijskiego, cieszącego się względami papieża i poważaniem sfer rzymskich.[2]) Ale Kamill wyjechał z Rzymu pierwej, nim przybył tam Hozyusz. Do Polski zdążał wówczas. kiedy właśnie Hozyusz dopiero pierwsze miał mieć posłuchanie u papieża. Działo się to w miesiącu październiku.

Tymczasem trzeba więc było cieszyć się samym przyjazdem bądź co bądź pożądanego nuncyusza. Radość biskupów mogła być tem większa. że papież polecał go szczególniejszym ich względom, że nawet chwalił ich za dzielne zachowanie się wobec heretyków na ostatnim sejmie. Pochwała ta głównie dotyczyła naszego Zebrzydowskiego, który obok Hozyusza najgorliwiej na tym sejmie pracował. Miała ona być zachętą i podnietą dla niego i dla innych biskupów, aby równie dzielnie spisali się na zapowiedzianym sejmie. ile że znajdą pomoc tak w nuncyuszu jak w zastępcy króla, kanclerzu Ocieskim. Tak samo. jak im. również jemu papież nie poskąpił wyrazów uznania za jego zasługi położone dla katolicyzmu na sejmie warszawskim w obecności byłego nuncyusza Lippomana.[3]) Ale też skończyło się wszystko na czczych pochwałach i gołosłownem uznaniu. Wiadomości bowiem, jakie przywiózł z Rzymu przybyły nuncyusz, rozwiały wszelkie nadzieje w jego nuncyaturze pokładane. Wprawdzie miał on upewnić króla. „że go Ojciec św. kocha ojcowską miłością i życzy mu wszelkiego dobra i szczęścia na tym świecie z pomnożeniem łaski Boga. że aby ukazać swoje przywiązanie do niego, kazał mu udać się w tę długą i przykrą drogę, w tak wielkie upały. by w imieniu J. S. odwiedził go, powitał. pocieszył z wszelką uprzejmą miłością i przekonał go. że J. S. zawsze jest gotów zadość uczynić jego życzeniom, byle mu na to pozwalała cześć winna Bogu i Stolicy Apo-

---

[1]) Rel. Nunc. Ap. T. I. s. 69—71. Kard. Scypio zachorował i nie przyjechał do Polski.

[2]) Hos. Ep. nr. 1949, 1950.

[3]) Relacye, jak wyżej, str. 69—71.

stolskiej, tudzież jego własne sumienie" — wprawdzie miał „wpajać w umysł" jego — „że jest jak syn kochany i wysoce poważany przez Ojca św.", — a to w tym celu, by „uprzątnąć to wszystko, czem heretycy i inni niechętni nabić mu mogli głowę",[1]) jednak pozbawiał swoją nuncyaturę wszelkich szans powodzenia złożonem w imieniu papieża oświadczeniem, że nominaci królewscy, a zwłaszcza Uchański, nie mogli dotychczas, rzekomo z ważnych powodów, otrzymać od niego pożądanej przez króla konfirmacyi. Co do Uchańskiego, stosownie do życzenia papieża, miał odpowiedzieć królowi, gdyby się żalił, dlaczego go nie przeniósł na biskupstwo włocławskie — „że J. S. uczynił to dla sprawiedliwych powodów, nie zaś by miał jakimkolwiek sposobem naruszać przywileje królewskie, że jak Stolica Apostolska dozwoliła królom polskim mianować biskupów, tak z drugiej strony zastrzegła sobie prawo wglądania i roztrząsania, czy osoby mianowane są godne i czy im czego zarzucić nie można: a ponieważ ten biskup podpadł wielkiemu zarzutowi herezyi, gdy papież Juliusz potwierdził go na biskupstwo chełmskie i król JMć ręczył za niego, że będzie dobrym chrześcianinem, którym jednak nie został, owszem słychać było zawsze, a teraz więcej niż kiedykolwiek, *quod non recte sentiat de fide catholica*, przeto słusznie J. S. opierał się i nie chciał zezwolić na jego przeniesienie na biskupstwo włocławskie; sądzi, że J. Kr. Mość uzna jego powody za ważne i sprawiedliwe, że z synowską uległością poddać się raczej zechce decyzyi Namiestnika Chrystusa, niżeli iść za swą skłonnością ku temu biskupowi." Aby zaś król przekonal się, „że J. S. nie powodowały żadne lekkie względy, że nie działał z podszeptu niechętnych biskupowi osób" — miał nuncyusz pokazać mu „listy oryginalne ś. p. królowej Bony" jako „dostateczny dowód w tej rzeczy"; miał dodać — „że sami świadkowie ze strony biskupa słuchani przez kardynałów, którzy mieli poruczony sobie ten proces, jasno to zeznali": miał tedy powiedzieć mu — „by się postawił na miejscu J. S. i osądził, czy Ojciec św. mógł inaczej postąpić, jeżeli nie chciał zasłużyć na naganę i ściągnąć niesławę na Stolicę Apostolską: nie może tedy z tego powodu żalić się na Ojca św., jak to uczynił w listach do senatorów, w których się

[1]) Relacye, jak wyżej, s. 74, podług instrukcyi danej Kamillowi, podanej mylnie jako instrukcya dla późniejszego nuncyusza, przybyłego do Polski, r. 1560, Bernarda Bongiovanni (v. Bukowski, przypis. 1. na str. 505. T. II.).

wyraził, że go nie wysłuchano i pogardzono jego prośbami, zamilczając o istotnej przyczynie, to jest że Ojciec św. nie potwierdza biskupa dlatego, że jest heretykiem, o czem głośno mówią w całem Królestwie polskiem; niech J. Kr. Mość zanominuje kogo innego, przeciw któremu nie masz podobnego zarzutu i któryby był godnym duszpasterzem, a zobaczy, że J. S. chętnie jego woli zadość uczyni, jak to wyraził w swem breve, które Król J. M. może nie dość dobrze rozważył". [1]) Co do potwierdzenia podkanclerzego Przerębskiego na koadyutoryi gnieźnieńskiej, miał znowu oświadczyć królowi nuncyusz — „że ponieważ ta katedra jest najpierwszą w kraju, chciał wprzód Ojciec św. wywiedzieć się o nim i mieć dostateczną rękojmię jego dobroci i cnoty, nie brakło bowiem doniesień od najznakomitszych osób w Polsce, wcale nieprzychylnych podkanclerzemu; mimo to jednak J. Ś. nie chciał wręcz odmówić, sądząc, że J. Kr. Mość pewnie *non porrigeret preces, nec assensum suum nisi pro digno,* chciał tylko mieć trochę czasu, żeby zasięgnąć dokładniejszych o tej osobie wiadomości: a gdy się przekona, że ma w istocie te wszystkie zalety, które mu J. Kr. Mość w liście swym przyznaje, Ojciec św. pospieszy przychylić się do jego życzenia, równie jak do wszystkich innych, które będą słuszne; Król J. M. wie bardzo dobrze, w jakim stanie znajduje się teraz jego Królestwo, ile rozmaitych herezyj wywarło się przeciw niemu, powinien tedy mieć wielką baczność w wyborze osoby na pierwsze dostojeństwo duchowne w Polsce, powinien pamiętać, że ten znakomity dygnitarz ma być dobrym chrześcianinem, świątobliwego życia, nieposzlakowanych obyczajów, gruntownej nauki, że najmniejszy cień podejrzenia padać na niego nie może." [2])

Słowa powyższe, mające usprawiedliwić upor papieża, obrażały niezmiernie króla. Znowu bowiem Stolica i Kurya rzymska wyżej stawiały świadectwa osób postronnych a nawet zeznania złośliwej kobiety, niż świadectwo samego monarchy. Wymówki, jakoby papież dlatego zwlekał z potwierdzeniem koadyutoryi Przerębskiego, że nie miał jeszcze dostatecznych informacyj o jego osobie, były wprost śmieszne wobec faktu, że każdy z duchownych a nawet świeckich dygnitarzy, tem bardziej podkanclerzy koronny, cieszący się szczególniejszymi względami króla, był dobrze znany

---

[1]) Relacye, jak wyżej, podług owej instrukcyi, s. 74—75.

[2]) Tamże, s. 75—76.

i dokładnie opisany w Rzymie. Odmowa konfirmacyi dla niego była może jeszcze dotkliwszą dla króla, niż odmowa konfirmacyi dla Uchańskiego, jako wyraz stanowczo złej woli papieża. Jakież mogło być wobec tej odmowy stanowisko przybyłego z nią nuncyusza? Jakiż mógł mieć wpływ na króla, na dwór, na sejm lub na biskupów, skompromitowanych nią wobec całej opinii polskiej? A właśnie głównem zadaniem jego nuncyatury miało być pozyskanie sobie króla, sfer senatorskich i duchownych, stworzenie z nich karnego obozu katolickiego, gotowego do walki „z heretykami“ w obronie upadającego pod ich ciężkimi razami Kościoła. W jaki sposób miał dokonać tego trudnego zadania? Można się było spodziewać, że go z pewnością nie spełni.

Ale Paweł IV, jakby nie pojmował tej przykrej pozycyi, w jakiej stawiał swego legata, zdawał się być pewnym jego powodzenia, acz wiedział, że zbliżała się dla katolicyzmu w Polsce bardzo krytyczna chwila. W instrukcyi poselskiej polecał mu z tego powodu zwracać szczególniejszą uwagę na króla, senatorów i biskupów. Króla miał „uprzejmie“ prosić nuncyusz, — „by nie raczył dawać wiary powieściom złych ludzi i heretyków, lub tym, co źle o J. S. mówić będą, by był pewny, że J. S. nosi go zapisanego w głębi swego serca i niczego tak nie pragnie, jak mieć sposobność przekonać go o czystości swych uczuć dla niego.“ Miał go także prosić, — „by był stały i wytrwały w wierze katolickiej“, chociaż „Ojciec św. wie, że krol pozostanie do końca dobrym katolikiem, jak zawsze pisał, i za powrotem mówił biskup weroneński“; „niech nie raczy, ulegając naleganiu niewielkiej liczby osób, któreby chciały zaburzyć świat, czynić żadnych wznowień w materyi dogmatów, ani na sejmie, ani po za sejmem; niech nie zezwala na dysputy ani rozmowy w tych przedmiotach, lecz niech je wszystkie odeszle do rozsądku J. S. jako do powszechnego pasterza i ojca Kościoła, jak to zawsze bywało; niech raczy wytrwać w posłuszeństwie i uszanowaniu dla Stolicy Apostolskiej na wzór najjaśniejszych przodków swoich, a w szczególności sławnej pamięci króla Zygmunta, ojca swego, który był zwierciadłem wszystkich cnót i dostąpił wszelkiej sławy przez to mianowicie, że był posłusznym synem Stolicy Apostolskiej i wielkim prześladowcą różnowierców“.[1]) Miał też dołożyć nuncyusz

[1]) Tamże, s. 76.

wszelkiego starania. — „iżby w czasie przyszłego sejmu„ dla którego szczególniej był posłany, król z senatem nie postanowił czego szkodliwego wierze katolickiej lub przeciwnego posłuszeństwu Stolicy Apostolskiej". Polecał mu tedy papież: „Gdy się sejm odbywać będzie, nie zaniechasz odwiedzać często króla. celem utrzymania go w karbach powinności, rozmawiać z biskupami. którym ciągle przypominać będziesz ich obowiązek i zagrzewać do mężnego oporu. gdyby Polacy chcieli roztrząsać artykuły wiary: oświadczysz im nakoniec, że ich powinnością jest raczej wszystko wycierpieć. niżeli na cokolwiek niegodnego lub nieprzyzwoitego zezwolić. Zapobiegać będziesz złemu u podkanclerzego. który ma łaskę u króla i oświadczysz mu. że jeżeli się okaże dobrym biskupem. za jakiego jest uważany, i dobrze dopełni swej powinności w tej sprawie, J. S. potrafi mu być wdzięcznym i przyspieszy potwierdzenie jego koadyutoryi. A ponieważ zdarzyć się może, że lubo w uchwałach sejmowych nic przeciwnego wierze nie będzie. pokątnie jednak uknować mogą coś złego. co potem przyjmie całe Królestwo. W. P. będzie miał i na to pilne baczenie, *quod nec facto, nec verbo, nec connirentia, aliquod praeiudicium inferatur religioni christianae et S. Apostolicae sedi*. W razie potrzeby żądać będziesz audyencyi prywatnej u senatu bez króla i napomnisz wszystkich razem. aby byli prawdziwymi i dobrymi chrześcianami. naśladowali swych przodków zawsze posłusznych Stolicy Apostolskiej. Kiedy usłyszysz o jakim wojewodzie lub kasztelanie, że jest dobrym chrześcianinem. nie czekaj. aż przyjdzie do ciebie. lecz pójdź go pierwszy odwiedzić. ani sądź. że przez to sobie ubliżysz: doczekaliśmy bowiem tych czasów. w których nie potrzeba zważać na te drobnostki ceremoniału. lecz należy uniżyć się i upokorzyć dla chwały Boga i zbawienia dusz. Zasięgnąć możesz wiadomości o dobrych katolikach od arcybiskupa gnieźnieńskiego i jego sekretarza Stanisława Dąbrowskiego. którzy są dobrymi chrześcianami. przywiązanymi do Stolicy Apostolskiej. Gdyby zaś na nieszczęście zdarzyło się. że chcieliby koniecznie wznowić coś w materyi wiary. W. P. pod żadnym względem nie będziesz obecnym takiemu aktowi. aby się nie zdawało, że przytomnością swoją dodajesz wagi ich niecnym czynnościom, lecz pod pozorem słabości lub innej potrzeby odjedziesz z sejmu i usuniesz się o 30 lub 40 mil, gdzie pozostaniesz, dopóki nie minie czas panowania ciemności. Unikaj dysput publicznych w materyi wiary. lecz gdyby kto chciał objaśnić się

w swych wątpliwościach w duchu chrześciańskiej szczerości. wezwij go do domu swego, gdzie będziesz miał swych teologów, którzy go oświecą *in spiritu lenitatis et dilectionis*, byle tylko nie przychodził z trzaskiem ani z pocztem zbrojnych ludzi (!). Mówić będziesz każdemu. że nie przybyłeś tam. aby dysputować, lecz aby pocieszyć i uściskać każdego, bo dysputy w tych rzeczach należą do soborów powszechnych, nie zaś do sejmów".[1]) Jako „ostatnią część" włożonego na nuncyusza obowiązku polecał mu papież: „znosić się z dostojnymi biskupami wszystkimi razem i z każdym w szczególności. dać im do zrozumienia. że J. Ś. posłał go dla ich dobra i pociechy, aby mieli naczelnika, do któregoby mogli uciekać się w swych potrzebach i strapieniach. w jakich się teraz znajdują". Miał się im nuncyusz — „ofiarować za wodza we wszystkiem, co się tyczy czci Boga i zbawienia duszy". miał — „przemawiać, jeżeli tego by się okazała potrzeba, z nimi lub bez nich do senatu i króla i upominać, aby w najmniejszej rzeczy nie ustępowali natarczywości heretyków, aby wyszli z senatu i zanieśli protestacye, jeżeliby nie mogli wstrzymać postanowień przeciwnych wierze", — miał ich nawet „uwolnić od zwyczajnego bywania w senacie", aby nie tolerowali obecnością swoją dyskusyi religijnej. Tym sposobem — tłómaczył papież — pokażemy. że jesteśmy prawdziwymi biskupami, następcami apostołów i naśladowcami ojców Kościoła. którzy świętem i przykładnem życiem, niezwyciężonym umysłem opierali się niedowiarstwu i herezyi, a cnotami swemi wzbogacili i uzacnili Kościół. Aby zachęcić biskupów do tego naśladowania apostołów i ojców Kościoła, miał nuncyusz w jego imieniu „ofiarować im wszystkie łaski. jakie tylko otrzymywane bywają od Stolicy Apostolskiej. a które się zwykły udzielać zasłużonym biskupom, pełniącym gorliwie swe obowiązki."[2]) Co do samego siebie był obowiązany pamiętać o tem. jak „ważnym" jest urząd jego, że ma na nim „powierzone, co jest najdroższego", bo — „obronę wiary katolickiej". Masz przeto, objaśniał go papież. dołożyć wszelkiego starania. aby godnie odpowiedzieć życzeniom J. Ś. i nadziejom, które wszyscy w nim pokładają: dlatego przedewszystkiem starać się będziesz dowieść przykładnością swego życia, żeś jest godnym

[1]) Tamże, s. 77—78.
[2]) Tamże, s. 78.

ministrem Stolicy Apostolskiej i tak wielkiego papieża (!); niech cały dwór W. P. przyświeca temu Królestwu czystością obyczajów, aby każdy biorąc przykład z dobrze urządzonego domu nuncyusza nauczył się żyć po chrześciańsku; niech będą dalekie od niego gry, zabawy, wszeteczeństwa, bluźnierstwa i wszelkie inne sprosności; niech W. P. z miłością braterską przygarnie do siebie każdego, niech nikomu nie wzbrania do siebie przystępu, niech zaprasza ludzi zacnych i cnotliwych na skromne objady, a jeżeli chcesz w całej zupełności dopełnić swego obowiązku, nie będziesz i sam brał darów i sługom swoim ich przyjmować zakażesz, nic bowiem tak nie zaleca osoby nuncyusza jak niebranie podarunków." [1])

Aliści rady powyższe, jakkolwiek roztropne i godziwe, nie mogły utorować nuncyuszowi drogi do serca monarchy i jego doradców. Zrozumiał to niebawem sam Paweł IV, a zrozumiał dzięki informacyom o Polsce, których mu udzielił po wyjeździe Kamilla przybyły do Rzymu — Stanisław Hozyusz. [2]) Trzeba było choć w części naprawić błąd popełniony. Uchańskiego uznać katolikiem, gdy twierdził, że jest heretykiem, byłoby zdaniem jego wprost rzeczą karygodną. Nawet Hozyusz obawiał się w tym kierunku wpływać na zmianę jego postanowienia i zdania. [3]) Natomiast łatwem było ustępstwo w sprawie koadyutoryi Przerębskiego, o którym Hozyusz bez najmniejszych skrupułów wydać mógł jak najlepsze świadectwo. Idąc tedy za powagą tego świa-

---

[1]) Tamże, s. 78—79.

[2]) Tamże, s. 72, z listu Pawła IV. do Króla z dnia 7. listopada 1558.

[3]) Audyencyę Hozyusza z dnia 9. października opisał Wierzbowski (Uch. V. s. 161—163) podług relacyi jego, zachowanej w Tekach Naruszewicza, vol. 70, nr. 312. Między innymi motywami, dla których miał się podjąć Hozyusz interwencyi w sprawie Uchańskiego, wymienił list królewski, w którym był proszony o nią. Powiedział też Hozyusz: obiecałem mu pomoc, o ile mi na to pozwolą wiara i religia; skarży się zaś J. Kr. Mość, że świadectwo jego o biskupie chełmskim nie ma żadnej wagi w oczach Waszej Świątobliwości. Gdyby król, — odrzekł znowu Paweł IV. — wypowiedział swoje zdanie o formowaniu szyku bojowego i o innych rzeczach, odnoszących się do wojskowości, miałoby ono u mnie jak największą wagę, ale gdzie idzie o herezyę, o sprawę religijną, tam sąd do mnie należy i ja lepiej o tem sądzić mogę, niż J. Kr. Mość. Dlatego niech mi wybaczy, że świadectwu jego nie przypisuję takiego znaczenia, jakby pragnął, skoro wiem z zeznań wielu osób, że biskup chełmski jest heretykiem i t. d.

dectwa, uspokojony w duszy, że „nie obrazi wiary i religii", jeśli zatwierdzi Przerębskiego na koadyutoryi gnieźnieńskiej, stosownie do życzenia króla i prymasa, udzielił mu żądanej konfirmacyi, o czem przesłał królowi pod datą 7. listopada stosowne breve, w którem usiłował zarazem przekonać go, jak zbawienny jest rozdział spraw świeckich od duchownych, jak nie powinien wobec tego żywić urazy do niego, jeśli on jako papież chce samoistnie rozstrzygać o sprawach kościelnych i religijnych.[1]) Ale owo breve papiezkie i towarzysząca mu relacya Hozyusza, nadeszły do Polski w chwili, gdy się w Piotrkowie rozgrywała budząca tyle obaw i nadziei kampania sejmowa.

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Relacye, jak wyżej, s. 72—73.

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

Przybywszy na miejsce, delegacya zadała wodzowi zapytania: dla czego nie bronił Paskiewiczowi przeprawy przez Wisłę? Dla czego bez boju pozwolił zebrać się wojskom rossyjskim pod Warszawą? Co czynić zamierza? Czy ufa sobie i wojsku? a w razie przeciwnym, kto go może zastąpić?!...

W odpowiedzi swej Skrzynecki wzmiankując, że magazyny żywności są prawie wyczerpane, dawał do zrozumienia, że walka jest na ukończeniu; na resztę zapytań nie odpowiedział stanowczo. Pojedynczo zapytywani generałowie, różne objawiali zdania. Chrzanowski cierpko się odezwał: „dajcie mi tylu Moskali, ile jest wojsk naszych, to zwyciężę“. Konkludował, że tylko w układach jest zbawienie.

Skrzynecki nie odmawiał złożenia dowództwa, jakoż oddano takowe Dembińskiemu. Szefostwo głównego sztabu objął generał Łubieński; Prądzyński wrócił do obowiązków kwatermistrza generalnego. Zmiany te, na które najwyższe względy wpływały, spełniły się w 24 godzin. Głównie usuwano w ten sposób układy, którym dać wiary w ich dotrzymanie było niepodobna. Rossyanie chcieli co prędzej wziąć Warszawę, obiecywali wiele, ale słowami tylko, żadnej rękojmii nie dając.

Jednocześnie — mówi nasz historyk — opuszczały sprawę polską jedne po drugich zagraniczne potencye, które i tak dotąd wysokiego zajęcia się nią nie okazywały. Starania ich, mniej stanowcze w Petersburgu. nie odnosiły żadnego skutku. cesarz Mikołaj odpowiadał: „że wojska jego stoją o dwa dni marszu od Warszawy. że sam się z buntownikami rozprawi...“ Austrya i Prusy przekonane, że Polacy na samej narodowości i odbiciu rossyjskich zaborów nie poprzestaną, odmówiły wszelkiego pośrednictwa. Żył jeszcze i rządził Metternich, który nas nienawidził. W Izbach francuskich pierwszy minister, Kazimierz Perier zapowiedział ostatecznie, że Polska żadnej już pomocy od Francyi spodziewać się nie może. Anglia także się odsunęła. Z Wiednia agent nasz donosił, że w układach jedynie leży ocalenie. Chcąc do nich przystąpić, należało na tę chwilę jeśli nie zwycięzko, to przynajmniej bardzo groźnie się postawić. Tak. jak wówczas stała sprawa. spodziewać się należało od Rossyan warunków niepodobnych do przyjęcia i chyba z wieczną hańbą rzucić im broń pod nogi.

Wojsko nasze pod Bolimowem, nie rozwiązując zwykłej karności i posłuszeństwa wyższym rozkazom. wrzało nieopisanym niepokojem. Przyparci pod Warszawą, przeczuwaliśmy, iż zasłaniając ją własnemi piersiami. kosztem nawet życia naszego, obronić jej nie możemy. Bieg też wojny ciągle myślą rozważaliśmy, a jako czynni jej świadkowie, mogliśmy oceniać skutki dopuszczonych błędów. Byliśmy ludźmi i żołnierzami; myśli, mowy, zdania nikt nam wzbronić nie mógł. Silne więc tylko rozbudzało się postanowienie, skończyć tę walkę z honorem, rozlać jeszcze do syta krew nieprzyjacielowi. aby popamiętał, że się bił z Polakami. Gotowaliśmy się do rozpaczliwego oporu.

„A nuż. — mówili niejedni — podołamy im jeszcze?!“

Domniemywaliśmy, że coś się dzieje w sztabie głównym. Przyjazd delegacyi do obozu utajonym być nie mógł, służbowe oddziały ją widziały... Pojechałem do ojca po wiadomości: stał w mizernej stodółce; właśnie po powrocie z rady wojennej siadał na koń. by objechać pułki swej dywizyi — udałem się z nim. Ojciec był bardzo popularnym w wojsku naszem; prześladowania niezasłużone. jakich doznawał lat tyle od Wielkiego Księcia Konstantego, silna opozycya, okazywana przez tak długie lata tyle wysokiej woli, reputacya z dawnych wojen, odsuwanie go przez Skrzyneckiego, który niegdyś był jego podkomendnym. od głównej linii bojowej. energiczna wreszcie jego działalność w pier-

wszych dniach rewolucyi, wszystko to dawało mu dobre imię i wspomnienie w wojsku. Zatrzymał się przed jednym z pułków, wnet zgromadzili się oficerowie, z innych też nadbiegli.

„Wodza!... Wodza!.. nam potrzeba — jednozgodnie wołali. — Wodza, któryby się nie układał z Rossyanami, ale ich bił... Generale!... przyjm główne dowództwo... okrzykniemy cię naczelnym wodzem!...“

„Panowie! — przerwał silnym głosem ojciec. — W wojsku, pod bronią sejmikować nie wolno. Mamy rząd i wodza, ten tylko rozkazuje. Na miejsca swe, panowie!...“ Dał ostrogi koniowi. wróciliśmy nazad z powrotem.

Jeżelim smutnym ojca znalazł za mojem przybyciem, istotnie był zmartwiony i wzruszony, gdy wrócił: żadnego mi zwierzenia nie udzielił.

Dziś, po pięćdziesięciu latach ubiegłych, sięgając myślą do wspomnień owego dnia i godziny, mowię sobie w duchu: Czemu nie przyjął dowództwa?!... Czy w owej rozpacznej dla sprawy chwili, nie wolno było wojsku, jedynej jej obronie, wybierać wodza, złożyć w jego ręce jej kierunek?...

Tak, jak z gruntu ojca znałem, ja pierworodny jego, poniekąd wyrzucam mu obecnie to postąpienie, najszczytniejszą legalnością odznaczające się. W jego miejscu, przy jego wojennem doświadczeniu i wypróbowanem męztwie, przyjąłbym dowództwo... rozpędził zwolenników układów, nawet tych, którzy się jedynie dla honoru wojskowego bili, bez wiary w powodzenie wojny. Przyjąłbym szturm do zewnętrznych szańców Warszawy, odparty z nich, puściłbym Rossyan w ulice stolicy, tuby grób swój znaleźli...

Padłaby część miasta w gruzach: czas odbudował by ją... ale Polska by istniała!...

Skrzynecki osobiście przedstawiał wojsku Dembińskiego, jako naczelnego wodza: jeździł z nim przed pułki i przemawiał, z kolei przybył do naszego.

Słyszałem, co mówił, ani jednego wyrazu, ani jednej energicznej nie wypowiedział myśli... Ile pamiętam, odgrywał rolę poświęcającej się ofiary. Nie miał odwagi wspomnieć na pierwsze miesiące swego chwalebnego dowództwa, bo mógł domniemywać, że wojsko — co było prawdą — poczytywało odniesione zwycięztwa swej waleczności i planom Prądzyńskiego. Dembiński też

z słowami zachęty się nie odezwał; przyjmowały ich obydwóch pułki zimno i bez żadnego okrzyku.

Znaliśmy Dembińskiego jedynie z szczęśliwego odwrotu z Litwy: przed rokiem 1831 nie służył z nami. W takich warunkach nie mógł on wzbudzać zaufania. Wojsko nasze, pełne szczytnego poświęcenia, przyjęło powołanie Dembińskiego, jak powiedziałem, zimno, ale z godną uwielbienia karnością. Skrzynecki nie oddalał się z obozu. Mieliśmy nadzieję, iż jakim świetnym czynem podniesie gasnącą gwiazdę swego nazwiska. Dziś wolno mi się domyśmiewać, iż nie chciał się narażać na ubliżenia, w Warszawie spotkać go mogące.

Lecz nowe trudności wnet nastąpiły. Popędliwy charakter Dembińskiego; dawne jego szemrania przeciwko działalności Sejmu, zamienione w wyraźne niesnaski; nieukontentowanie, jakie okazał z nominacyi generałów Łubieńskiego i Prądzyńskiego przy jego boku, wkrótce dały go bliżej poznać, zaczem poszło, że mimo swojej prawości, energii i niejakich zdolności wojskowych, wnet postawił się w „najniekorzystniejszym do Rządu, Sejmu i opinii publicznej stosunku“ (historya). Obrzydłe też wieści rozchodziły się, a pod ich wrażeniem, jakieś rozpaczliwe naprężenie umysłów Warszawą ogarnęło. Zaliwski, jeden z przywódzców w nocy 29. listopada, ciągły i namiętny członek Klubu patryotycznego, partyzant na Litwie, niczem w działaniach swoich się nie odznaczający, wypychany ciągle naprzód przez Klub, intrygant, wyniesienie się swoje jedynie na celu mający, puścił zręcznie wieść, iż ma dowody „zdrady i zaprzedania się Rossyanom Skrzyneckiego“.

Przesłuchany przez delegacyę bolimowską, częścią zaparł się wszystkiego, częścią nie udowodnił. Burzliwy Klub zarzucił stronność raportowi delegacyi, rozpalał umysły, a gdy mimo oskarżenia, Rząd utrzymał Skrzyneckiego w czynnej służbie, gdy dowiedziano się, jakoby istotnie lub mylnie Dembiński postanowił iść w ślady postępowania oddalonego wodza, wnet mu zarzucono, iż należy do tego samego stronnictwa. — Zdrada!... Zdrada!... wszędzie wołano — podniósł silnie głowę Klub patryotyczny, a Lelewel na nowo mu przewodnicząc, rozpoczął znowu swe matactwa.

Nieudolny do opisania poniższych wypadków, ani też świadek ich naoczny, nie czuję się być w sile właściwie je tu przedstawić. Wypadki te były aż nadto ważne, by je tu pominąć — wywołały one na nieszczęście następstwa, zwykłe prawie we wszystkich rewolucyach, mianowicie, gdy rozpalona namiętność

ludzi zagorzałych, walczyć się odważy z ostatnim odcieniem rozsądnego umiarkowania.

W tych smutnych dniach rozkładu różnych opinij, zawiści osobistych, niezaspokojonych ambicyj, niezgody wreszcie między przewodnikami narodu, a nawet między wyższymi wojska dowódzcami, musiała lecieć szybkim pędem do swej zaguby sprawa powstania. Katastrofa zbliżała się tem szybciej, gdy zamiast gromadzenia wszystkich sił do rozprawy z naciskającym nieprzyjacielem i jednością takowe spotęgować, w głównem ognisku działań ducha i czynu, czem była wówczas Warszawa, zapanowała zawiść, niezaufanie i niezgoda. Przepisuję więc tu z historyi Teodora Morawskiego, członka Rządu narodowego, a naocznego świadka wypadków i ich porządku, co następuje:

„Udało się Klubowi patryotycznemu zwerbować zgromadzenie, ile w dniu świątecznym 15. sierpnia bardzo liczne. Na głos swoich vice-prezesów księdza Puławskiego i Czyńskiego Jana, wyszło całe upomnieć się u Rządu w imieniu ludu o innego wodza, a o zupełne oddalenie ze służby generała Skrzyneckiego. Święto i pogoda, wywołały ludność warszawską na ulice. Tłumy ciekawych pomnożyły tym sposobem grono klubowe — zapełniły się ludem dziedziniec i ulice przed pałacem posiedzeń Rządu na Krakowskiem Przedmieściu. Rząd nie otaczał się strażą, deputacya ludu bez trudności przeto weisnęła się do pałacu: dopiero w progach Izby posiedzeń swoich, zatrzymali ją członkowie Rządu. Lelewel schronił się pod okno. Już naznaczonym był wódz naczelny; wiadomo, że Dembiński był tylko zastępcą. Dwa głosy, Czartoryskiego i Barzykowskiego, miał za sobą Dembiński — dwa, Niemojowskiego i Morawskiego, Prądzyński — Lelewel obyczajem swoim ukręcił dwie gałki z papieru, popchnął je po stole i wymienił ostatniego. Utrzymał się więc Prądzyński, lecz gdy pomimo najusilniejszych nalegań delegowanego członka Rządu, Barzykowskiego i ministra wojny, którzy się osobiście do obozu udali, dowództwa przyjąć nie chciał, wysłał Rząd przed kilku godzinami deputowanego Zwierkowskiego z nominacyą dla najstarszego z generałów, Kazimierza Małachowskiego. Zasłużona jego popularność, co po upadku Napoleona i Księstwa Warszawskiego, przeniósł domową mierność nad zaszczyty generalskie, zamykała usta najzagorzalszym i ci poprzestać musieli na danej im odpowiedzi. Bez dopuszczenia się większych nieprzyzwoitości, cofnęła się ludowa deputacya — rozeszli się członkowie Rządu. Za deputacyą usunęły się tłumy ku Zamkowi, gdzie strzeżeni byli „owi zdrajcy“, uwię-

zieni 29. czerwca. Nie chcemy przypuszczać, aby rozbój, który opowiedzieć mamy, wcześnie był ułożonym i umówionym. Ale rozprawy Klubu i jego dzienników, przyspasabiały od dawna siepaczy do naśladowania najgorszych spraw Rewolucyi francuskiej. Uczyły te dzienniki, co mogli we Francyi nieubłagani sędziowie, nie przebaczając ani błędom, ani obojętnej woli. Błędy — mówiły — są rewolucyi zbrodniami. Najgorsi, jakich świat wydał, byli dla nich bohaterami!... Więc też tak zwanych zdrajców, ogłosiły skazanymi, potępionymi przez naród. Wystarczało zatem, że korzystając z zmierzchu, krzyknął ktoś snadź z tych, którzy sądzili, że jątrzyć umysły należało: — Śmierć zdrajcom i szpiegom!... Na to hasło rzuca się do Zamku zgraja oficerów brukowych i klubowych patryotów. Gwardya narodowa dała w powietrze ognia od bramy — jeden z członków krzyknął: Zabijają naszych!... Powiększyła się wrzawa. Zastępca gubernatora Warszawy, Węgierski przywiódł na pomoc gwardyi narodowej dwie kompanie piechoty liniowej; przez otworzone dla nich wrota, wciska się motłoch w dziedziniec zamkowy. Niedawno, parę miesięcy temu, wlekła się sprawa Rafała Cichockiego, dziedzica Czarnej wsi w Mazowieckiem, przekonanego o dostarczanie żywności nieprzyjacielowi; dwie najwyższe władze, Rząd i Sejm, odsyłały sobie nawzajem potwierdzenie wyroku sądu wojennego, nim spadła jego głowa.[1]) Tej chwili stać się miało inaczej, nie oparli się należy-

---

[1]) Objazdowy urzędnik, jakim byłem od r. 1839, liczne z obywatelami Mazowsza z obowiązków mej służby posiadając stosunki, badałem w okolicy Czarnej wsi sprawę Cichockiego. To, co mi opowiadano, tu zapisuję:

Wszystkie nasze władze, z rozkazu Rządu narodowego, po wkroczeniu Rossyan w województwa lubelskie i podlaskie, cofnęły się z miejsc swego urzędowania, a okolica tameczna pozostała bez żadnej administracyi. Wojska rossyjskie potrzebowały różnego rodzaju dostaw, zabierały więc wszystko w swych pochodach lub w czasowych swych obozowiskach. Był to prawdziwy rabunek zboża, siana, bydła itd. niszczący naraz całe mienie właścicieli. Ów Cichocki miał być niegdyś urzędnikiem; na zażalenia obywateli, dowódzcy rossyjscy nakazali mu niejakie prawidłowe paletowanie wymaganych dostaw uskuteczniać, czem się też zatrudnił i wykonywał. Po odpędzeniu Rossyan z tamtej okolicy, aresztowano go we własnym jego domu na wsi, przywieziono do Warszawy i oddano pod sąd wojenny; ten zawyrokował karę śmierci. Rząd i Sejm ociągały się z zatwierdzeniem wyroku, lecz znaglone opinią publiczną, dopuściły jego wykonania. Cichockiego powieszono publicznie na placu

cie dowódzcy gwardyi narodowej i wojska, również prezydent municypalności i prezydent policyi nie znaleźli się w swojem miejscu. Żadnego nie natchnął przykład Majewskiego, Zakrzewskiego, Wulwersa, Wybickiego z powstania 1794 r. Rozbójnicy więc wyprowadzali nieosądzonych więźniów z komnat zamkowych i jednego po drugim nielitościwie siekali, a porąbanych wiązali na latarnie, snadź przez uszanowanie dla tradycyi!... Najpierwsi legli Jankowski z Bukowskim za wypuszczenie Rüdigera. Jankowski nie wątpił, że się obroni rozkazami naczelnego wodza. Sąd z wyższego rozkazu czekał z tą sprawą, aż osądzoną będzie ważniejsza o „zdradę“, w którą nikt nie wierzył, do której nie było najmniejszego dowodu; tymczasowo jako zostającego pod zarzutem „zbrodni stanu“, skazywał na destytucyą i poddawał pod dozór policyjny (8. sierpnia).

„Po wyprzątnieniu Zamku, krzyknęła zgraja: do rogatek Wolskich, na szpiegów! — Oszczędzani łagodnością Rządu narodowego, jego uszanowaniem dla prawa, padli przy rogatkach Wolskich pod sprawiedliwością ludu. Makrot, Szlej, Szymanowski i inni. Podobnież nawiedzone były: Prochownia, więzienia franciszkańskie i dominikańskie. Tu na powrozie skończyli życie Birnbaum, Hankiewicz, ajent Szleja major Petrykowski. Przerażającym, lecz nauczającym blaskiem — mówiło jedno z pism demokratycznych — zajaśniało demokratyczne, więc katolickie posłannictwo Polski!... Przeciągała się krwawa przechadzka tłumów. Rząd zebrał się czem prędzej u Niemojowskiego, który mieszkał w pałacu rządowym. Zawiedzionemu od tych, którzy na straży porządku stali, dano znać o zjawieniu się w pośród rozruchów generała Krukowieckiego. Nie byli mu nieprzyjaźni przewodnicy Klubu, znając jego niechęć do Skrzyneckiego za obrazę, której od niego doznał. Sprzyjał mu szczególnie Mochnacki — ten więziony przed powstaniem, biorąc udział we wszystkich owoczesnych spiskach a czując wysokość zdolności swoich, bolał nad oddaleniem swojem od spraw wszelkich! Usunęła go od nich właściwa mu lekkomyślność, jaką w pierwszych dniach powstania objawił oraz chroma sława, wła-

---

Muranowskim w Warszawie. Już na rusztowaniu miał wykrzyknąć: „powiesicie mnie, ale się nie wybijecie“.

Nie mam zamiaru rehabilitować pamięci Cichockiego, zapisuję tylko, co mi opowiadano. Czy tak jest lub przeciwnie, to pozostało niezbadaną tajemnicą. Motywów sądu wojennego nie pamiętam, by ogłoszono.

ściwie skaza na charakterze, którą odkryły znalezione u W. Księcia papiery, wreszcie wycieczka po bitwie Grochowskiej, pokryta przez rodzinę, ale której zataić zupełnie było niepodobnem. W nadziei własnego wyniesienia, Mochnacki utworzył na wyniesienie generała Krukowieckiego spisek, do którego weszli klubowi: Puławski, Szyndlarski, Murawski kapitan artyleryi wałowej, a którego przewodnictwo przyjął poseł Zwierkowski. Rozległo się po mieście, że Krukowiecki, napotkawszy w domu swego przyjaciela Lesla między rabusiami czterech żołnierzy, zawiązał pęczek u chustki i podał im do wyciągnięcia; ten, którego los tak oznaczył, natychmiast na rozkaz generała rozstrzelany został.[1]) Rząd przypomniał sobie o energii i czujności, jakiej dał dowody generał na gubernatorstwie miasta i upoważnił go o godź. 2 po północy do zajęcia tegoż miejsca! — Krukowiecki powitany został od ludu okrzykiem radości. Uradzono odezwać się do ludu. Zaproszony do napisania odezwy deputowany Morawski, mniemał, że przemówić należało, jak w podobnejże okoliczności przemówił Kościuszko, potępiając surowo wobec świata i narodu tak zwaną „sprawiedliwość ludu". Lelewel przygotował odezwę „na uśmierzenie rozdrażnionych uczuć i rozjątrzonych umysłów". Przyjęta ostatnia wszakże, umiarkowana, przez Wincentego Niemojowskiego zredagowana. Ale wystarczało dnia, aby przy znanem usposobieniu moralnem narodu, krwawa rozpusta większych rozmiarów nie wzięła. Przybliżyło się też do stolicy wojsko, wykonywujące właśnie pod rozkazami Dembińskiego, odwrót swój od Bzury. Wiadomość o tem, co się działo na ulicach Warszawy, nie pozwoliła mu się zatrzymać pod Utratą, jak zamierzało. Przed wieczorem, przybyli dla przywrócenia porządku karabinierowie. Patryoci wykryli właśnie jeszcze jednego szpiega, przebranego w niewieścia odzież. Dowiedziawszy się o tem, generał Sznajde, kazał zsiąść z koni karabinierom i otrzepać się z kurzu, „aż sprawiedliwość ludu dokonaną została". Inne były usposobienia generała Chrzanowskiego, który za Sznajdem pospieszył nazajutrz zrana. Zdepopularyzowany, rozjątrzony odrzuceniem rad, które podawał, gotowy

[1]) Różnie opowiadano powody tej egzekucyi: twierdzono, że Krukowiecki w żołnierskim płaszczu, miał udział w tym nocnym ulicznym ruchu, a rozstrzelać kazał owego żołnierza za to, że go poznał... Aby owej nocy lud lub żołnierze dopuszczali się rabunku, nic nie wiem. Nadto dumny był generał, by się przyjaźnił z cukiernikiem Saskiego ogrodu, Leslem, przed którego domem ta egzekucya się miała odbyć.

do użycia dział swoich, zatoczył takowe na Krakowskiem Przedmieściu: sam wszelako przeświadczył się zaraz, że nie było tego potrzeby. Przestał więc na uwięzieniu księdza Puławskiego i kilku więcej znanych patryotów.“

W tej ulicznej rzezi, widzieliśmy gwardyę narodową a nawet wojsko liniowe prawie nie broniące Zamku od nawały tłumów. Czyż należało im strzelać ostrymi ładunkami do ludu i swoich, dla ocalenia dwóch podejrzanych generałów?... Widzieliśmy jednego dowódzcę, przybyłego z silnym oddziałem jazdy do pilnowania zachwianego porządku i niedopuszczania dalszych gwałtów, nieprzeszkadzającego wieszaniu w jego obecności jeszcze jednego szpiega; drugi znów zatoczył działa, aby kartaczować wzdłuż ulic rozwścieczonych klubistów. Bierzmy ztąd miarę, jak rozdwojone były umysły i zdania. Umiarkowani boleli nad splamieniem stolicy tak krwawymi czynami.

Toż samo działo się u nas w obozie, ale wyznam, iż przeważna większość przypisywała słuszność, nie pobechtywaniom Klubu patryotycznego, ale objawowi tego strasznego gniewu ludu na tych, co dawniej trudniąc się obrzydłem szpiegowstwa rzemiosłem, powodowali tyle nieszczęść i niepokojów rodzinnych, oraz i na tych, co sparaliżowali wyprawę nad Wieprz, zapewnić mogącą zupełnie inny obrót naszej wojny i powstania narodowego. Dziś, trzeba być współczesnym, jak ja, tych odległych już czasów, aby przypomnieć sobie, co to za zbrodniarze byli ów Makrot, Szlej, Szymanowski, a szczególniej Birnbaum, kat nad katy więzionych — a nawet wyższego stanowiska Rossyanka, Bażanowa, również w nocy 15. sierpnia zamordowana i wielu innych.

Jeżeli wspomniany wyżej Cichocki poszedł za wyrokiem na szubienicę, za dostarczanie żywności nieprzyjacielowi, czyż powinni byli być oszczędzani donosiciele, sprzedający za rządów W. Księcia Konstantego za pieniądze tych i w tej sprawie, którą naród od 29. listopada przyjął za własną? Legalne i publiczne skazanie tej obrzydłej szajki, rzuciłoby konieczny postrach na jeszcze ukryte a podobne żywioły. Wszakże w naszych obozach, wieszano za sumarycznymi wojennymi wyrokami schwytanych szpiegów, przez Rossyan nam nadsyłanych. Sam podpisałem, jako delegowany sędzia, jeden taki wyrok i nie mam dziś nic sobie do wyrzucenia. Żydzi, żyjący między nami, z nas czerpiący swe utrzymanie i dorobek swych bogactw, na naszej ziemi z pradziadów urodzeni, wiernymi byli w r. 1831 Rossyan sprzemierzeńcami; wielu też z nich na postronku żywot podły zakończyło a rodziny

ich, po uśmierzeniu powstania, sowite otrzymały wynagrodzenie. Toż samo i kołoniści Niemcy, osadzeni na gruntach prawie im darowanych, których nawet zapomogą opatrzono. Wszakże w okolicach miasta Łodzi porwali się do broni na słaby oddział wojsk naszych. Nie było jawnej kary, musiały nastąpić zbrodnie wyżej opisane. Obmierzły jest terroryzm, ale w wojnie, w rewolucyach obojętnych zaledwie tolerować można, winnym zdrady kraju przebaczać nie należy. A wreszcie: w wyrokach przeznaczenia zapisane było, że samorząd stolicy naszej, swoboda kraju, już tylko do dni dwudziestu trzech egzystencyę swoją liczyć miała. Wzięta Warszawa, pozostawieni przy życiu donosiciele, podwójnie by się mścili za dziewięciomiesięczne swe więzienie i obawy. Tak — Rząd powinien był surową karę wymierzyć; nie był w prawie lud warszawski sam kalać swych dłoni, pastwiąc się nad winnymi, ale jeśli się zastanowimy, że cierpliwość w długiem oczekiwaniu wyczerpać się może, a mściwości ludowej pozwolimy się podnieść, dziwić się temu, co się stało 15. sierpnia, niepodobna.

Pułk nasz stał obozem pod Wawrzyszewem, tuż obok tak zwanego psiego pola, na które wywożono padłe bydlęta. Widziałem wózek ciągniony przez chudą szkapę w deskach, prowadzony przez oprawcę psów, w nim leżały dwa ciała literalnie porąbane; były to resztki Jankowskiego i Bukowskiego — i przypomniałem sobie mą rozmowę z ostatnim, kiedym go wzywał, by spieszył pod Budziska, gdzie się toczył bój z Rüdigerem.

Ginie wszystko i zaciera się w czasu pomroce. W kilka lat po roku 1831. jeszcze przy fortepianie dziewice nasze, acz cicho, zanucić nam umiały pieśni w owej wojnie i w obozach wytworzone, pełne głębokich uczuć i rzewności, bo w obozach mieliśmy poetów natchnionych ówczasową walką. W tych pieśniach odbijały się wszystkie doznawane dawniej cierpienia i dolegliwości... była i wzmianka o donosicielach w tej strofie:

Kryliśmy się z myślą naszą,
Bo wszędy się zdrajca snuł.
Dziś, gdy nas więzy nie straszą,
Mówmy — co z nas każdy czuł!...
Któżby wahał się w tej chwili
Już czas! już czas!
. . . .
Uderzmy wraz!.....
Cześć i zwycięztwo oczekuje nas!...

Nuta tej pieśni wzięta była z chóru rybaków opery „Nieszpory Sycylijskie“.

Dziewice te, co nam śpiewały te pieśni, albo już nie żyją, albo są babkami — wnuczki ich nie przekażą tych słów swym pokoleniom. Zagasło wszystko, nawet tradycya owych czasów... ja starzec zapisuję ją tutaj... Czy mnie kto w przyszłości czytać będzie?...

ROZDZIAŁ XII.

Wojska rossyjskie ze wszech stron otaczają Warszawę. — Wojsko polskie bez wodza. — Zatargi w łonie Rządu narodowego. — Wichrzenia Klubu patryotycznego. — Lista proskrypcyjna. — Generał Krukowiecki prezesem Rządu. — Rekonesans pułkownika Le Gallois i jego wzięcie przez Rossyan. — Liczebna ilość wojska polskiego. — Rada wojenna 19. sierpnia i jej postanowienie. — Korpus generała Ramorino wychodzi w Podlaskie. — Jazda Łubieńskiego za Modlin. — Nieposłuszeństwo moje życzeniom ojca, odmienia zupełnie przyszły kierunek mego życia. — Zwycięzkie działania Ramoriny. — Jak zakreślono obronę Warszawy? — Parlamentarz rossyjski generał Dannenberg i jego rozmowa z Prądzyńskim. — Obietnice jego i groźby. — Rząd narodowy pierwszym nie wierzy, drugich się nie obawia. — Zlecenie posłane Ramorinie, by wracał pod stolicę. — Szturm Warszawy. — Uchybienie generała Bema. — Szturm szańca Woli i jego wzięcie, oraz bohaterska śmierć generała Sowińskiego. — Krukowiecki jest za układami. — Prądzyński jako parlamentarz. — Widzenie się Krukowieckiego z Paskiewiczem. — Zdanie sprawy przed Sejmem Prądzyńskiego. — Sejm się chwieje w swych postanowieniach. — Drugi szturm na Warszawę. — Prądzyński znów jedzie do obozu Rossyan. — Ich wybiegi przy układach. — Generał Berg w Warszawie. — Krukowiecki swym listem bez upoważnienia Sejmu, zdaje się na łaskę cesarza. — Sejm odbiera mu prezydenturę Rządu — Wojsko cofa się na Pragę. — Warszawa oddana warunkowo Rossyanom. — Pochód wojska polskiego na Modlin, a za nim tłumu ludzi różnego stanu. — Uwagi, zdania i opisy.

Zwykle ostatnie ciosy każdej zadawane sprawie, są szybkie i najsilniejsze. Za Pragą generał Gołowin pokazywał swe podjazdy — feldmarszałek podstąpił pod samą Warszawę — Rüdiger zajął Radom — żywność i furaże z magazynów naszych usuwały się codziennie — byliśmy ze wszech stron otoczeni, władaliśmy

już zaledwie kilku milami kwadratowemi kraju — a wojsko, ta jedyna nadzieja i obrona, było bez wodza!... Nikt z generałów nie chciał przyjąć jego dowództwa, a tem samem związać swe imię i nazwisko z historyą konania tej walki. Generał Małachowski wymówił się wiekiem. Prądzyński odpowiedział, że Skrzynecki pod nim służyć nie zechce, a przeto wojsko postrada znakomitego dywizyi dowódzcę. Łubieński składał się nieudolnością i słabością zdrowia. Bem również naczelnictwo odsuwał. Skłonił się nareszcie Prądzyński przyjąć ten ciężar pod warunkiem, aby Krukowiecki wziął obowiązek strzeżenia porządku w stolicy. Lecz znów po 24 godzinach złożył dowództwo. W tej ostateczności Rząd pozostawił przy niem Dembińskiego.

W łonie też Rządu nastąpiły najsilniejsze zatargi. Lelewel w upornym, jak zawsze, sporze z prezesem księciem Czartoryskim, bluznął słowem „zdrady“... porwali się z miejsc swych członkowie i z oburzeniem żądali odwołania obelgi. Książę-Prezes chciał natychmiast złożyć swe obowiązki, ukorzył się wprawdzie Lelewel, zaklinał księcia, aby się nie usuwał od prezydencyi, przyznawał jego zasługi i nieograniczone poświęcenie, przyznał niestosowność spisków Klubu, zapowiedział, że z niego wystąpi. Rząd wprawdzie utrzymał się w swem stanowisku, niezgoda ta jednak smutne wywierała skutki. Klub patryotyczny na nowo wichrzyć zaczął; przedstawił wniosek utworzenia Rady najwyższej, z dziewięciu osób złożonej, a w tej zamierzał umieścić najzapaleńszych demokratów. Mochnacki spiskował ze stronnikami Krukowieckiego. Celem ich było, rozpędzenie Izb sejmowych: Chrzanowski się ku temu przychylał... brakło im jednak wszystkim odwagi do targnięcia się na władzę przez naród uznaną. W tej groźnej chwili, kiedy Klub listę proskrypcyjną układał, kiedy głosił, iż pod oknami Sejmu należy szubienice stawiać, Rząd i Izby postanowiły wrócić do dyktatury. Wskazywano na to dostojeństwo Bonawenturę Niemojowskiego — nastąpiło głosowanie.

„Obecnym był w Izbie sejmowej — pisze Morawski — generał Krukowiecki, któremu powszechne mniemanie przypisywało uśmierzenie rozruchów, a obiegała pośród obradujących przygotowana w Klubie lista proskrypcyjna. Składało ją około pięćdziesiąt nazwisk, a na czele, któż temu da wiarę?... było nazwisko księcia Czartoryskiego!... Mąż, który życie całe swoje poświęcił Ojczyźnie, szukać musiał w tej chwili schronienia w obozie!... Z drugiej strony: przeciwnik generała Skrzyneckiego, jeden z oskarzycieli jego po klęsce Ostrołęckiej, był tem samem Krukowiecki wielce

popularnym i taką zyskał ufność u Klubu, że ten go stawiał na czele swej Rady najwyższej. Złączone kreski reformistów i lelewelistów, dały mu 88 głosów przeciwko 28. Z radosnym okrzykiem widzów, obwołany został prezesem Rządu narodowego.“

Dostąpił nareszcie Krukowiecki tyle przez się upragnionej władzy. Skrzynecki skryć się musiał przed zawziętością przeciwników. Książę Czartoryski przebrany, sam jeden udał się do obozu; powiadano nawet, iż w przejeździe przez miasto, gdy jechał konno, strzelano do niego. Nie mam dowodu na to, ale domniemywam, że zacny książę szukał i znalazł schronienie u ojca mego.

Krukowiecki mianował generała Małachowskiego zastępcą naczelnego wodza; gubernatorem stolicy — Chrzanowskiego; dowódzcą gwardyi narodowej — Piotra Łubieńskiego. Obsadził ministerstwa; Klub patryotyczny zamknąć rozkazał. Nakoniec nowym okólnikiem dyplomatycznym z dnia 23. sierpnia, jeszcze raz w imieniu Rządu odwołał się do współczucia europejskich gabinetów, przypominając odwieczne narodu polskiego zasługi i spowiadając się niejako z dotychczasowego, a tyle umiarkowanego postępowania.

Był to testament naszej sprawy.

W tych dniach, bo 17. sierpnia, wysłano na rekonesans 1.300 pieszego żołnierza, z dwoma działami i kilku plutonami jazdy, pod dowództwem pułkownika Le Gallois, Francuza. Oddział ten nieostrożnie w otwartych polach prowadzony, gdy kawaleryą zaniedbał przejrzeć, co się dzieje za okolicznemi wsiami, napadnięty i otoczony ze wszech stron przez nieomal całą jazdę rossyjską, złożyć broń zniewolony został. Przyprowadzonemu przed Wielkiego Księcia Michała dowódzcy, miał tenże powiedzieć: „że pierwsze tak znaczne trofea, z rąk Francuza odbiera“. Le Gallois rozmyślnie tak osadzony został w rossyjskim obozie, że nie ociągał się z ucieczką, ale u nas już się nie pokazał.

Mieliśmy jeszcze pod bronią w załodze warszawskiej 50.000 żołnierza; zakryci fortyfikacyami, mogliśmy śmiało się opierać przeciw więcej jak podwójnej liczbie Rossyan; w twierdzy Modlinie było 4.700; w Zamościu 3.600; Różycki działał na tyłach nieprzyjaciela z dość silnym oddziałem. Lecz brakowało zapasów żywności i furażów, których wcześnie nie przygotowano. Może też kraj już oddał co miał, a zboża jeszcze na pniu stały.

Na radzie wojennej, zebranej 19. sierpnia, różne były zdania generałów. Chrzanowski chciał iść przeciw nieprzyjacielowi i stoczyć ostateczną bitwę. Myśl tę odrzucono raz dla liczebnej w polu

przewagi Rossyan już skoncentrowanych, powtóre, że spodziewano się z większą korzyścią bronić się w liniach fortyfikacyjnych, za wałami miasta, wreszcie w jego ulicach. Krukowiecki z Rybińskim trzymali z Chrzanowskim; generał Sierawski oświadczył, że w obronie Warszawy, choćby ta wziętą być miała, można Rossyanom zadać straszliwą klęskę: opuścić ją z konieczności, znieść korpusy Gołowina i Rosena, operujące w Podlaskiem, posunąć się dalej, zdobyć Brześć Litewski, przenieść wojnę za Bug, zrównoważyć się z siłami wojsk rossyjskich, które musiałyby połowę ich zostawić w zajętej Warszawie i część jeszcze oddzielić na obserwacyę twierdz Modlina i Zamościa.

I ten wniosek, bodaj czy nie najlepszy, upadł. Postanowiono jedne wojska wysłać na prawy brzeg Wisły, dla odpędzenia Gołowina i Rosena, a zarazem rozszerzenia tem samem promienia dowozu żywności; drugie, mianowicie znaczną ilość jazdy naszej za Modlin, dokąd jeszcze mieliśmy otwartą drogę, w zamiarze rozległego furażowania. Tak więc, kiedy feldmarszałek stał o pół mili od Warszawy, ze zgromadzonemi swemi wojskami, postanowiono zmniejszyć o połowę załogę stolicy.

Piąta dywizya piechoty dowództwa mego ojca, której pierwotne przeznaczenie było bronić najgłówniejszego punktu, to jest szańca Woli, włączoną została, dla nieznajomych mi powodów, do 20-sto tysiącznego korpusu generała Ramorino, pół Francuza pół Włocha, mającego działać za Wisłą. Dano mu armat 40. Generała Łubieńskiego w 4.000 jazdy, wysłano jednocześnie 23. sierpnia za Modlin, jak wyżej powiedziałem, na furażowanie. W tej ekspedycyi pułk nasz poszedł. Winienem tu zapisać co następuje:

Doświadczenie, jakie mój ojciec posiadał w rzeczach wojennych, łatwość rozejrzenia się w stanie wojska, obecność na radach wojennych, zapewne go stawiały w możności ocenienia położenia dogorywającej sprawy naszego powstania. Oddalając się z Warszawy za Wisłę, zapewne przeczuwał, że już jej nie zobaczy... chciał mnie mieć przy sobie. Wyjednał więc w sztabie głównym nominacyę dla mnie na swego adjutanta. Czemuż mnie nie zawezwał do osobistego rozmówienia się?!...

Pamięć na uroczyste przyrzeczenie, jakieśmy sobie dali w pierwszych dniach po nocy 29. listopada, nierozłączania się pod jakimkolwiek względem, zła opinia, jaką sobie wytworzyliśmy o adjutantach, spowodowała, żem podał prośbę do sztabu głównego o uwolnienie od tego obowiązku, z życzeniem pozostania w pułku. Srogo mnie za to Opatrzność ukarała. Ojca już do końca

życia jego nie widziałem, nie spełniłem obowiązków syna, złamałem sobie może świetną przyszłość. Jako syn urzędnika Legii honorowej, barona państwa francuskiego, co łatwo było udowodnić, mógłbym być przyjętym we Francyi do wojska, tego jedynego mego zawodu — a jeślibym nie zginął w Algierze, dosłużyć się wysokich stopni. Inną poszedłem drogą... a idąc po niej, kaleczyłem tylko serce i najdroższe me uczucia.

Generał Prądzyński poszedł z korpusem Ramoriny. Książę Czartoryski jako ochotnik. Na odgłos tego marszu, cofali się spiesznie Gołowin i Rosen: dognani atoli pod Krynkami za Łukowem, 28. sierpnia pobici zostali: odparci, stanęli pod Międzyrzeczem w zamiarze przyjęcia bitwy. Pozycyę ich obeszła dywizya generała Bielińskiego i gdyby Ramorino nadszedł w porę z głównym korpusem, byliby obaj rozbici zupełnie. W tem spotkaniu, brygada Rossyan osaczyła się na cmentarzu silnie oparkanionym. Mężny pułkownik Rychłowski poszedł z pułkiem swoim na to stanowisko: mimo silnego ognia nieprzyjaciela, doszedł śmiało z bronią na ramieniu i bez wystrzału. Żołnierze jego bagnetami i siłą rąk parkan obalili, broniących się wykłuli, reszta z generałem Werpachowskim poszła w niewolę. Wzięto przeszło 1.000 Rossyan, kilkunastu oficerów, zdobyto 2.500 karabinów, dwa sztandary i trzy działa,— a co główna, Rosen odcięty od Brześcia Litewskiego, uszedł do Łomazów. Tym ruchem wojsk naszych odbita znaczna część kraju, zaczęła dostarczać ile możności opatrzenia w żywność Warszawie. Pułkownika Rychłowskiego, żołnierze okrzyknęli sami przez się generałem.

Pod rozkazami Krukowieckiego i Małachowskiego zakreślono obronę stolicy w następujący sposób: generała Czyżewskiego postawiono na samem skrzydle w 3.500 żołnierza, a to między Mokotowem i Siedlcami, (wioska pod Mokotowem); Umiński w 17.000 i 30 armat, wyciągnął swą linię od Mokotowa po trakt bity, wiodący do Raszyna. Dembińskiego w 13.000 i dział 16 usadowiono na prawem skrzydle. Prócz tego wszystkie zewnętrzne lunety obsadzone były właściwymi oddziałami, a na ich wałach zaciągnięto armaty. Generał Bem z całą konną artyleryą miał obowiązek ostrzeliwać fortyfikacye najbardziej zagrożone: wreszcie z kościoła luterskiego obserwowano ruchy nieprzyjaciela, a postawiony telegraf na szczycie teatru, wiązał komunikacyę z Modlinem.

Nie będąc obecnym przy szturmie Warszawy, bom poszedł z pułkiem za Modlin, gdzie się udał generał Łubieński, nie mogę

tu prostem wspomnieniem ograniczyć się, że stolica nasza, mimo nadludzkiego męztwa żołnierza ją broniącego, wzięta została. Opis też rokowań przed szturmem i w samej jego grozie, przez generała Krukowieckiego prowadzonych, nader ważnym być sądzę, bym go miał pominąć. A że piszę ten pamiętnik, nie jako historyk wojny r. 1831, lecz dla wiadomości jej szczegółów, przepisuję więc znów dosłownie, co mówi historya owego czasu (Morawski), dorzucając, co mi naoczni świadkowie opowiadali, a te opowieści niejednokrotnie miałem sposobność porównywać i sprawdzić.[1])

ROZDZIAŁ XIII.

Podpisanie kapitulacyi Warszawy na Pradze. — Rossyanie na wstępie łamią warunki umowy. — Generał Rybiński pod Modlinem mianowany naczelnym wodzem. — Rząd i Sejm gromadzi się w Zakroczymiu. — Zliczenie wojsk polskich. — Straty Rossyan w szturmie Warszawy. — Brak wszystkich potrzeb w wojsku naszem. — Generał Ramorino nie łączy się z wojskiem, jak mu to rozkazano. — 18. września składa broń w Galicyi ze swym korpusem. — Dyplomacya zagraniczna milczy. — Rossyanie otaczają wojsko Rybińskiego. — Zmowa nocna oficerów nie dochodzi do skutku. — Przekroczenie granicy pruskiej i złożenie broni. — Kwarantanna przymusowa pod Brodnicą. Marsz rozbrojonych wojsk ku Gdańskowi. — Moja kwatera na Żuławach w kolonii Mügenhall. — Rodzina niemiecka. — Moja choroba. — Ogólny opis Gdańska. — Propozycya mego gospodarza, oddania mi ręki jedynej swej córki. — Stryj mój Sabin. — Deklaracya oficerów naszego pułku, posłana cesarzowi Mikołajowi, prosząca o amnestyę i pozwolenie powrotu do Polski. — Moje w tym względzie postanowienie.

W tych ostatecznościach 8. września złożono radę wojenną na Pradze pod przewodnictwem generała Małachowskiego. Tu podpisano kapitulacyę Warszawy, wydano Pragę Rossyanom, pod warunkiem czasowego zawieszenia broni.

Rossyanie zajęli Pragę w południe i zaraz złamali warunki przez się podpisane. Wzbronili wywozu reszty potrzeb wojennych

[1]) Następuje w pamiętniku wypis, który tu opuszczono. Luźne uwagi autora, zamieszczone w formie przypisków, nie zawierają nic ważniejszego.

i zasobów do Modlina, oraz połączenia się głównych naszych posterunków z główną polską armią. Małachowski znów wysłał gońca do Ramoriny, z rozkazem, aby nadszedł do Modlina. W tej twierdzy nastąpiła druga rada wojenna 10. września, na niej Małachowski stanowczo odmówił dalszego nad wojskiem dowództwa, mówiąc: „Generał, który podpisał kapitulacyę Warszawy, nie może już rozkazywać wojsku polskiemu“. Generał Bem również dowództwa nie przyjął, wówczas prezes Rządu Niemojowski mianował wodzem generała Rybińskiego.

Rząd i Sejm zebrał się w Zakroczymiu o pół milki od Modlina. Izba sejmowa liczyła jeszcze kilkudziesięciu członków, posiedzenia odbywały się w miejscowym kościele. W uwiezionym skarbie było z górą siedm milionów w monecie. Zliczone wojska okazywały 25.000 piechoty, 6.000 jazdy, armat 95, z amunicyą dostateczną. Z korpusem Ramoriny, którego nadejścia co chwila się spodziewano, wojsko polskie dochodziło do 52.000 żołnierza, prócz garnizonu Zamościa i oddziału Różyckiego w Krakowskiem województwie. Co do Rossyan, drogo okupili wzięcie Warszawy — ubyłych z szeregu, zabitych i rannych było przeszło 17.000, oficerów do 500. Poległo generałów dwóch, dziewięciu pułkowników; ośmiu generałów i dwunastu pułkowników było mocno rannych.

Narady w tem rozpaczliwem położeniu do niczego nie doprowadziły: jedni chcieli napowrót zdobywać Warszawę, inni radzili iść na Litwę, inni znów rozdzielić wojsko i rzucić się na wojnę partyzancką.

Wszystkim tym zamiarom stanął na przeszkodzie zupełny upadek ducha w wojsku, któremu w tylu krwawych starciach wybito najodważniejszych i najdzielniejszych oficerów — młodzież już ich zastąpić nie mogła. Uprząż też w pociągach artyleryi była w najgorszym stanie: w jeździe konie schudzone i słabe; żołnierz w obozach i marszach zdarł mundury i obuwie. Na domiar złego nie zdążono uprowadzić z Warszawy do 20.000 par trzewików, tyleż płaszczy i kilkadziesiąt tysięcy koszul żołnierskich, a to już była połowa września i noce zimne. Żywność wprawdzie była dostateczna, bośmy ją z korpusem Łubieńskiego z okolicy przysposobili, ale ta w miejscu tylko jakiś czas służyć mogła, uwozić ją było niepodobieństwem.

W późniejszych latach niejednokrotnie słyszałem krytyki i wymówki naszych zaściankowych strategików, wyrzucających nam wojskowym, że rozpoczęliśmy wojnę z 30.000 żołnierza

i zwyciężaliśmy, a złożyliśmy broń na obcej ziemi w podwójnej liczbie sił naszych... Zdania takie nie mają racyi. Każde wojsko ma tysiączne i niezbędne potrzeby: żywność, furaże, ubiory, obuwie, uprząż artyleryi i furgonów amunicyjnych, fizyczna siła koni -- to są kardynalne warunki, inne tu pominę. Brak tych przymiotów był u nas po wzięciu Warszawy widoczny: ja, com patrzał na to własnemi oczami, dowódzców naszych i wojsko pozostałe usprawiedliwiam.

Tymczasem korpus Ramoriny nie doszedł z powrotem dalej, jak do Siedlec i tu powziął wiadomość o kapitulacyi Warszawy; rozkaz mu posłany, aby szedł pod Modlin, doszedł go, gdy był w Łukowie. Zawahali się dowódzcy co dalej począć: wątpiono, aby Rossyanie pozwolili się połączyć z głównem wojskiem. Skompromitowani, którzy w znacznej liczbie znajdowali się przy tym korpusie, radzi byli pozostawić mu samodzielność bez narażenia się na wypadki, wojsko to uważając jako swoją eskortę. Tak więc Ramorino, pchany przez wojska Rosena, Rotha i Kajzarowa, po krwawej bitwie pod Borownem, 18. września wszedł do Galicyi i broń złożył Austryakom.

Zebrany Rząd i Sejm w Zakroczymiu, piętnascie dni, wyczekiwał dyplomatycznych interwencyj obcych gabinetów, a głównie francuskiego, którą minister Sebastiani przyrzekł — ale i to zawiodło: mocarstwa milczały. W naszym korpusie, rady wojenne następowały jedne po drugich, większość zgadzała się na udanie się pod Płock, według manifestu cesarskiego i na wysłanie deputacyi do Petersburga z zupełną submissyą; inni wołali za przedłużeniem wojny. Niezgoda zapanowała w obozie; była chwila, że zapaleńcy chcieli w nim powtórzyć rzeź i noc 15. sierpnia. Kilku generałów, których tu nie wymieniam, schroniło się do obozowisk naszego pułku, a energiczna jego postawa ochroniła raz ostatni honor munduru i wojska.

Rossyanie tymczasem zewsząd nas otaczali i przecinali drogi — cofaliśmy się groźnie. Nieprzyjaciel zdawał się nas popychać jedynie. Tak minęliśmy Włocławek, a 29. września Lipno. W Swiedziebnie za Rypinem dnia 3. października, ostatnia rada wojenna naszej starszyzny postanowiła, że dalszy opór jest niemożebny. — „Było jeszcze 24.000 wojska — pisze Morawski — ale ogołoconego ze wszystkich potrzeb, otoczonego ze wszystkich stron. Aby nieprzedawnionych praw narodu, żadnym układem w wątpliwość nie poddać, postanowiono przekroczyć granicę pru-

ską, w obcem państwie broń złożyć. Oddzielny manifest z dnia 4-go października 1831 roku ogłosił to światu."

Manifest ten Rządu i naczelnego wodza Rybińskiego, jest następujący:

„Nim ojczysty kraj opuścimy, oświadczamy wobec Boga i świata, że każdy Polak jest jeszcze tak samo przekonany o sprawiedliwości i świętości swej sprawy, jako zawsze był i będzie!... Ma sobie za najświętszy obowiązek w tym manifeście, interwencyi wszystkich ucywilizowanych narodów, a szczególniej tych, którzy na Wiedeńskim Kongresie sprawą Polski się zajmowali, zawezwać. — Im zawierza nieszczęsny naród polski swój los i swoją polityczną egzystencyę, której wpływ na cywilizacyą i utrzymanie europejskiego pokoju jest tak wielkiej wagi! Zawsze byli Grecy, Belgijczykowie i wszystkie inne narody, przedmiotami ogólnego zajęcia ze strony panujących i nie może być inaczej. Mająż jedni Polacy być ich opieki pozbawieni?... Nie!... Interes narodów, sumienie i godność panujących, zaprzeczają tej myśli. Do was i do waszych narodów udaje się zatem pełen ufności szlachetny a nieszczęśliwy naród polski. Was zaklina w imieniu Boga, w imieniu praw narodów, w imieniu ludzkości — nie odmówcie mu swej pomocy waszej, do utrzymania praw narodowych i instytucyj, które dla powszechnego szczęścia i dla dobra Polski są potrzebne.

(Podpisano) *Generał Rybiński*."

Rozkaz dzienny generała Rybińskiego uwiadomił wojsko, że przechodzimy granicę pruską. Dzień 4. października zeszedł na porozumieniu się z wojskowemi władzami pruskiemi, które tak pewne były tej ostateczności, że już nas na granicy oczekiwały. Przyparci do słupów granicznych, widzieliśmy na drugiej ich stronie obozy pruskie, mianowicie liczną piechotę i dwa pułki kirysyerów. Z przeciwległej, czerniały na odległość dwóch strzałów armatnich, długie linie wojsk rossyjskich.

W tem rozbiegają się po naszych pułkach oficerowie artyleryi i powiadamiają nas, że w furgonach amunicyjnych mamy jeszcze około 8.000 pocisków działowych. Że oddać ich bez uwłaczenia honorowi, Prusakom niepodobna. — Żądają ostatniej rozpacznej z Rossyanami bitwy, by im jeszcze tego krwi upuścić... Zapalają się nam młodym głowy. Umrzeć ze skonaniem Ojczyzny,

ledz trupem na własnej jeszcze ziemi. powszechne objawia się życzenie. Zawrzał w jednej chwili obóz żądzą bitwy; idziemy do naszych dowódzców. ci odwołują się do generałów, mianowicie do Rybińskiego. Z każdego pułku po kilku oficerów udaje się do niego.

— Prowadź nas generale!... zmiażdżemy ich jeszcze! — wołają — kto przeżyje, odda broń Prusakom!...

Zadumał się Rybiński — jakaś rzewność oblała jego oblicze, wkońcu urywanemi rzekł słowy:

— Panowie! — nie wątpię o waszem poświęceniu, ale zapytuję, czy rozpaczna bitwa, jakiej żądacie. przyniesie Ojczyźnie jakąkolwiek korzyść?... Jeśli o chwałę wam idzie, dość jej nabyliśmy — jeśli o zemstę, i tej dosyć dotychczas było. Mojem zdaniem, szkoda przelewu tych ostatków krwi naszej. Sprawa nasza się nie skończyła. zachowajmy się na przyszłość, na lepsze czasy. Oceniam wasze poświęcenie, ale szanując życie wasze, Ojczyźnie jeszcze potrzebne, w przekonaniu, że mi posłuszni będziecie, nie zgadzam się na wasze życzenia. Do widzenia we Francyi!... ta nas utuli i przyjmie jak braci!...

Przed północą z dnia 4. na 5. owego miesiąca, utworzyła się zmowa między kilkunastu oficerami naszej jazdy, do której i ja należałem, a to na wniosek księcia Sanguszki czy Sapiehy, bo nie pamiętam. adjutanta w głównym sztabie.

Żądał on. abyśmy zebrali po pułkach dwieście lub więcej ochotników na najlepszych koniach, natychmiast nocą obeszli posterunki pruskie. rzucili się w Prusy, forsownymi marszami zgodnie lub siłą usiłowali przedzierać się przez ten kraj i złożyć broń dopiero na ziemi francuskiej. Popierał tyle śmiały swój plan, wyznaczoną drogą na mapie, jaką rozwinął. Rzucił przed nami odpięty trzos, poręczając. że zawiera parę tysięcy dukatów w złocie — a kończył:

— Koledzy!... trudna to sprawa będzie, ale podołać jej można... nie wszyscy dojdziemy, to pewna — ale choćby nas doszło pięćdziesięciu. trzydziestu nawet, co za chwała dla nas!... Konie nasze nie wystarczą na początek, jak na mil kilkanaście, ale są pieniądze: będziem je Prusakom po drodze dobrowolnie lub przymusowo zabierać, płacąc za nie sowicie; będziem chwilowo wypoczywać po lasach, obchodzić większe miasta: będziem przechodzić rzeki po mostach a nie, to wpław. Nim się obejrzą Prusacy, nim pogoń urządzą. nim nam zastąpią drogę, będziemy

daleko — a w końcu dojdziemy, pokażemy, do czego Polak jest zdolny!

Zgodzono się jednomyślnie — podaliśmy sobie ręce i rozbiegliśmy się namawiać ochotników. Ale projekt upadł. Gdy książę z tej narady powrócił, by się przygotować odpowiednio do awanturniczego marszu, Rybiński, za porozumieniem się z pruskim dowódzcą, doręczył mu kartę przejazdu i wyprawił kuryerem do Paryża z powiadomieniem, że resztki wojska polskiego przechodzą granicę pruską, pójdą do Francyi i oczekują gościnnego jej przyjęcia. Rybiński oddał mu nadto duplikat ostatniego naszego manifestu, wyżej nieco wymienionego, aby go złożył rządowi francuskiemu. Książę musiał być posłusznym i w tej chwili wyjechał.

Że ta myśl, ten projekt upadł, najmocniej żałowaliśmy... Czy dałby wykonać się, nie wiem: w danej chwili nad tem nie zastanawialiśmy się. Zdaje się, że można było go dokonać. Czuliśmy siły w sobie, lud też wiejski w Prusach był za nami; zresztą łatwo mu było usta zamykać płacąc po drodze — nie było też jeszcze telegrafów.

Nazajutrz, dnia 5. października, równo ze świtem zagrzmiały w naszych obozach trąbki głoszące pobudkę. — Mieliśmy ją usłyszeć raz ostatni... Zaczęło się wojsko ruszać. Ze zbliżającą się chwilą tego wielkiego aktu, umysły nasze uginały się, pod jakiemś otrętwieniem przygniecione. Rzucić kraj rodzinny, broń ukochaną, te wierne konie, które nas do zwycięztw poprzednich niosły, iść daleko w niewiadomą przyszłość... te to uczucia miotały nami po kolei.

W tych chwilach przyszła do naszego pułku deputacya innych pułków jazdy. Żądała od nas wiadomości i postanowienia, czy przechodzimy granicę?... czyli, przeciwnie, pójdziemy w tył oddać się tuż stojącemu z wojskiem rossyjskiem generałowi Toll, pogłoska się bowiem rozeszła, że pułk nasz strzelców konnych gwardyi, odprowadzi jedynie wojsko polskie do granicy — a jeśli mam wyznać, sami Rossyanie byli tego pewni. Pułkownik Zielonka zebrał nas wszystkich: deputacya swe zapytanie powtórzyła. Jednozgodnie odpowiedzieliśmy: że, jak przez cały przeciąg wojny, pułk wiernie wykonywał swój obowiązek, tak i w tym dniu, idąc za drogą honoru, nie odłączy się od wojska. A jeśli chodzi o przykład, domagaliśmy się przejść pierwsi za graniczne słupy. Deputacya, po przyznaniu nam pierwszeństwa, oddaliła się.

Około 10 godziny rannej uderzono w bębny — u nas rozkazano wsiąść na koń. Prusacy też na drugiej stronie stali już pod bronią, wyciągnięci w szyku bojowym.

Jak zapowiedzieliśmy, w plutonowym pułkowym marszu, bez dobycia pałaszy, bez żadnego odgłosu muzyki, pierwsi przeszliśmy ten wązki pas graniczny. Przyjął nas zaraz generał pruski z eskortą huzarów i prosił pułkownika, by pułk rozwinął się frontem do granicy Królestwa. Manewr ten uskuteczniliśmy w całym pędzie koni i z wzorową precyzyą. Generał przejechał pułk po całym jego froncie, salutował wszystkich oficerów — myśmy stali niemi, z zaciśniętymi zębami. Przejście granicy innych pułków trwało dwie godziny i po jego ukończeniu, zasłonili Prusacy ścianę od Królestwa. Nam się zdało, że jakaś czarna zasłona nam na oczy spadła. Rossyanie też w 20.000 wojska podstąpiwszy, szeroko linię graniczną z drugiej strony zajęli.

Zaledwie godzina upłynęła, generał pruski z swym sztabem i naszymi dowódzcami wojsko objechał. Rozkazano nam zsiąść z koni. Zielonka zebrał oficerów, mówił i prosił, abyśmy tę klęskę z wytrwałością przyjęli; wezwał, aby w szeregach spokojność i powaga zachowana była! Prosił jeszcze, abyśmy w przyszłości w braterskiem a ścisłem pożyciu, honor pułku i pamięć jego zachowali. Zawiadomił, że według ułożonej konwencyi, oficerowie broń swoją i konie zatrzymają. Żołnierze mają tylko mantelzaki od siodeł odpiąć, życzył sobie, aby zachowali na wieczną pamiątkę orły polskie kaszkiety ich zdobiące.

Spłakaliśmy się rzewnemi łzami, i dziś po pięćdziesięciu latach ubiegłych nie wstydzę się, że pod wspomnieniem tego dnia i godziny, gorzka łza zwilża me oczy. Poświęcam ją pamięci mych dawnych towarzyszy broni, których przeżyłem wszystkich!...

Nastąpiła ostateczna chwila... Spieszona część jazdy pruskiej przystąpiła i po kilkudziesięciu stanęła przed szwadronami, by nam konie i broń odebrać. Stali nasi żołnierze bez tchu i mowy... bez myśli i nieruchomi. Nareszcie należało wypowiedzieć ostatnie to słowo: „Odpinać pałasze!.. zdejmować karabinki!...“ Szmer głuchy dał się słyszeć po szeregach, minęło kilka minut pod tem wahaniem się wiarusów — Prusacy nalegali... nareszcie zaczęto się rozbrajać. Żołnierze powoli odpinali pałasze, całowali je, do piersi tulili, potem pod nogi rzucali je Prusakom. Kilka wystrzałów dało się słyszeć, . zmięszali się Prusacy, dopadamy — to kilku naszych swe konie zastrzeliło!...

Wolno szło to rozbrajanie — zdawało się, że ta straszna chwila się nie skończy, ale i to nastąpiło. Rozkazano żołnierzom w tył od koni odstąpić; kiedy się zobaczyli bez koni, bez broni, z mantelzakami na plecach, jeden ich jęk wybuchnął. Z wzorowego tego pułku i tyle mężnego, zrobiła się garstka do dziadów podobna... Co do mnie, z tego wzruszenia nerwowego porwała mnie na miejscu straszliwa febra, która mnie potem pięć kwartałów męczyła.

Jak się odbyło złożenie broni w piechocie i artyleryi — nie wiem. Nie widziałem — byłem prawie nieprzytomny.

Godziny jeszcze upływały... nakoniec otoczeni wojskiem pruskiem poszliśmy, niedaleko też było miasteczko Brodnica, którą sobie Niemcy Strasburgiem przezwali. Wpędzono nas jak trzodę w jakieś kolano rzeki Drwęcy, na grunt błotnisty, zamknięty z frontu wojskiem pruskiem.

Resztę dnia i noc następną spędziliśmy bez ognisk i pożywienia, bo nikt o niem nie pomyślał. Nadedniem wypłacono wojsku całomiesięczny żołd. Cicho było w tym tłumie, jakby wszyscy wymarli. Gdy się rozwidniło, mieszczanie niemieccy z Brodnicy przywieźli nam nieco żywności, za którą kazali sobie drogo zapłacić; ludność polska miasteczka rozdawała ją darmo. Dowódcy nasi dopominali się u generała pruskiego i przybyłego landrata żywności i furażów, obiecując zapłatę; dostarczono takowe, ale w małej ilości, tak dalece, że głód prawdziwy był u nas! Pod pozorem kwarantanny pięć dni i tyleż nocy trzymano nas w tem niezdrowem miejscu. Nareszcie ruszyły się partyami nasze kolumny pod eskortą wojska pruskiego; poszliśmy ku Gdańskowi.

Skarb nasz, w którym było jeszcze z górą sześć milionów, odprowadził do Warszawy generał Lewiński, szef sztabu korpusu. Twierdza Modlin poddała się po odejściu naszem z pod jej wałów. Zamość w dni czternaście później. Generał Stryjeński, który tak haniebnie postąpił w dniu bitwy pod Iganiami, jeden jedyny z dowódców z swym oddziałem w Krakowskiem, oddał się na łaskę cesarza.

W Brodnicy kupiłem sobie kożuch włościański i w tym, nękany febrą, marsz odbywałem konno. Po drodze, wszędzie ludność występywała, by nas witać i przypatrywać się smutnemu pochodowi; język jej polski, acz już zepsuty, jeszcze nam uszy mile głaskał. Szulce czyli wójci i sołtysi wychodzili naprzeciwko

nas i rozprowadzili po kwaterach, ale ścisłych. Od żołnierza nic nie przyjmowano za życie i nocleg mówiąc, że rząd te wydatki płacić będzie. Gościnność była wielka, w każdej wsi była porządna austerya, a w tej można było wszystkiego dostać, nawet wina, ale już reńskiego.

Kraj okazywał się piękny i w wielkiej kulturze, folwarki murowane pod dachówką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów konfederacyi barskiej.

Teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor.

(1769—1772).

(Dokończenie).

Na list powyższy Wessel odpisał:

„Uszczypliwe pisma Jmci księdza biskupa kamienieckiego, ubliżające sławie sprawiedliwych kroków moich, tem dotkliwiej czućby mi się dały, gdybym nie był wyperswadowany, że JWW. Panowie bynajmniej onym wiary nie dajecie, ani że żadnej w nich nie czynią impressyi. Jednakowoż mniej wiadomy, jakiej te w powszechności podpadać mogą interpretacyi, słusznej rozumiem, domagam się rzeczy, ażeby Jmć ksiądz biskup, nieprzyzwoicie wymyślone zarzuty i wszystkie skrypta przeciwko mnie i innym, którzy podobnej przez niego podlegają kalumnij, wydane i rozesłane, wprzód publicznie odwołał i za szkodliwe cnocie obywatelskiej uznał i poczytał. Od niego więc dependować będzie uprzątnąć zawady przeszkadzające dobrej harmonii, w jego ręku jest moc założyć tamę szerzącym się niechęciom i dififidencyom, którym z mojej strony zapobiegając, umyślnie wstrzymywałem się z odpisywaniem na listy, nie chcąc próżnej pomnażać exacerbacyi. On nakoniec, tym jedynie sposobem pożądaną przywrócić potrafi zgodę, od której i ja naówczas bynajmniej oddalać się nie będę, owszem miłością dobra publicznego zagrzany, znając dobrze jak

wiele nam zależy na jedności umysłów, odrzuciwszy na stronę partykularne niezadowolenie, najpierwszy do niej przychylić się zechcę. Gdyby zaś JMć ks. biskup tej propozycyi mojej dla jakowych przyczyn akceptować nie chciał i wzdragał się ten projekt do skutku doprowadzić, mam jeszcze drugi, to jest, aby Skonfederowane Stany *per sancitum* swoje wszystkie generalnie pisma Jmci ks. biskupa annihilowały z wyraźnem zaleceniem, żeby *ex actis* nikomu nie były wydawane, a przeto mnie pod żadnym pretekstem szkodzić nie mogły. Tę tedy Skonfederowane Stany, na uczynioną do mnie sub d. 2. Augusti odezwę, mam honor JWW. Panom przełożyć rezolucyą, pewien będąc, że przekonani o cnocie i obywatelstwie mojem, żadnej więcej supozycyi miejsca nie pozwolicie. Są bowiem źli ludzie, którzy szczególnie poróżnieniem i zakłóceniem zatrudniają się. Są i tacy, którzy mnie w partykularności prześladować wzięli sobie za zabawę, wynajdujące świeże znowu przeciw mnie kabały i imaginacye, ale tak częste doświadczenia powinny ich zabiegi przed Wami JJWW. Panowie, nieużytecznemi uczynić. Wierzcie Skonfederowane Stany, że inszego nie mam celu, tylko dobroć uszczęśliwienia narodu. Bądźcie pewni, że od tych wszystkich gwałtowności i nowości, które o mnie rozgłaszać nieprzyjaznym podobało się, daleki wcale jestem. Wierzcie nareszcie, że jeżeli usługi moje dla Ojczyzny zdolne i użyteczne być mogą, wspólnie z Wami radzić, pracować i hazardować się do samego końca nie przestanę i w tych nieodstępnych sentymentach mam honor pisać się i t. d.“

Jeszcze trochę szczegółów z ówczesnego położenia rzeczy w Prészowie, gdzie przesiadywała Generalność i wogóle o sprawach konfederacyi znajdujemy w ówczesnych listach Dzierżanowskiego do Wessla, które kolejno przytaczamy. I tak pod datą 3. sierpnia pisał Dzierżanowski:

„Dwa razem odebrałem od JW. Pana listy, jeden de 17., drugi de 21. Julii: w tych doczytuję się, że ks. biskup kamieniecki niekontent do Cieszyna powrócił, w samej rzeczy że nie miał racyi z tutejszego przyjęcia być kontent. Pan Dumouriez miewał tylko z nim konferencye po cztery godziny, ale natenczas jeszcze mu nie mógł powiadać o swoim do kraju powrocie, ponieważ sam niedawno od duka d'Aiguillon odebrał rozkaz, ażeby się tutaj bawił i utrzymywał konfederacyą ile możności. Tenże Francuz na usilne prośby księżny kurlandzkiej, ztąd najdalej za tydzień wyjeżdża, dla widzenia się z p. Puławskim i Zarembą, a potem lokacyą swoją w Bitsku zakłada i Generalność za sobą pociąga, która

najdalej za trzy niedziele ztąd rusza i na Białej siedzieć będzie. Niewiem skąd się tu znowu wiele bajek namnożyło o JW. Panu. dość że Francuz mocno się żali i w wielkiem niedowiarstwie o cnocie JW. Pana zostaje, z przyczyny, żeś go JW. Pan miał opisać do jego dworu, a najbardziej do p. Durand, gdzie oficerów w kraju się znajdujących miałeś obligować. aby się na tem opisaniu podpisali. i gdym JW. Pana bronił i za bajkę to poczytywał. na to mi Francuz odpowiedział. że pan podskarbi cudzoziemca więcej ochraniać nie będzie zapewne jak swego przyjaciela i dopiero określając z wielką exageracyą nieszczerość JW. Pana. powiedział mi, żeś jemu moje listy komunikował, w których przestrzegałem. aby mu ze wszystkiem nie dowierzać...

„Przysłał tu marszałek płocki sztafetę. donosząc, że hetman Ogiński miał się nadgłosić do p. Pułaskiego, że w 6.000 wojska skonfederowanego (którem już Salomona i inne komendy moskiewskie poznosił), ma się pod Pułtuskiem znajdować, i życzy sobie łączyć się z tymże jw. łomżyńskim. Podziwienie tu wszystkim tak raptowna konfederacya sprawuje, lubo o niej dawniej było słychać. ale w takiej kwocie wiary temu nikt dać nie chce. bo oprócz 6.000, co ma z sobą. miał jeszcze tenże Ogiński zostawić w Litwie dla dywersyi 4.000. Piękna by to i okazała była konfederacya. lecz ta jest z rady i znoszeniem się biskupa wileńskiego, Brzostowskiego podskarbiego i Sosnowskiego. który mając sobie zleconą od komissyi wojskowej nad wojskiem litewskiem komendę. tę złożył *in favorem* jw. Ogińskiego. Jednakże francuski minister donosi panu Dumouriez, że tenże jw. Ogiński za konsensem dworu francuskiego. konfederacyą ma podnosić. Aktu w samej rzeczy żadnego dotąd nikt nie ma tej konfederacyi. którą ja suponuję być przeciwko Moskwie. ale wątpię. aby była przeciwko królowi i familij. Generał Szyc niedawno znajdował się w Dubnie, teraz o nim słychać pod Barem. któremu na sukurs poszedł rotmistrz Rudnicki pod komendą Łubieńskiego. kasztelan czerski w tych dniach akces do Generalności uczyni i mnie. jak widzę, trzeba się będzie pogodzić. bo dalej nie wiem. cobym za figurę prezentował. gdy przyjaciół mało i to jeszcze chwiejących się...“

Parę dni później (6. sierpnia). pisał znowu Dzierżanowski do Wessla:

„Nigdy nie ustały i nigdy podobno nie ustaną różne bajki o JW. Panu. Trwożą się *de novo* tutaj, że JW. Pan chcesz propozycyą Salderna przyjąć do traktowania z nieprzyjaciołmi. Trwożą

się, że na koń chcesz wsiadać i wojskiem komenderować. Trwożą się, że Poniński wojewodzic do Paryża wyjechał, trwożą się jeszcze ze wskrzeszonych 48 punktów, przeciwko którym już raz uniwersał wydali, i nareszcie trwożą się nowej, przez JW. Pana ułożonej Generalności, o której planie, jak powiadają, cudem boskim dowiedzieli się. Przypominają JW. Panu, że z jego instynktu Skilski regimentarz chce Wybranowskiemu komendę w Lanckoronie odebrać. Ani perswazye, ani remonstracye żadne uleczyć zarażonych serc prewencyą przeciwko JW. Panu nie mogą. Dumouriez do tego wszystkiego się przyłącza, ale to pochodzi ze złości, bo mu tu za rzecz pewną udano, żeś JW. Pan jego, nie tylko do Duranda, ale i do Francyi opisał. Gdym temu Francuzowi opowiadał charakter JW. Pana i że naród jego lubisz, nareszcie, że o tem wiesz, jak się z wojewodziną inflancką pokłócił, przybywszy tutaj z kontumacyi, za JW. Pana, to cokolwiek wstrzymałem jego nienawiść. Dziś Dumouriez wyjeżdża do Bielska, rządzić już niczem nie będzie, bo na jego miejsce zieżdża także do Bielska Mr. de Vioménil, *maréchal de camp*, który ma być bardzo dobry żołnierz, żwawy, ale też przytem i grubian. Poznałem po Dumouriez, lubo kilka razy do dworu swego o odwołanie pisał, — że mu jednak żal nas porzucać... Pan Dzierżbicki z Piwnickim jutro do Bielska wyjeżdżają, a pan Zieliński, konsyliarz dobrzyński, także jest wyznaczony do stawienia się w Lanckoronie, na uspokojenie kłótni tam wznieconych; ma tam przy sobie listy księcia Radziwiłła do oficerów w fortecy się znajdujących, aby podziękowali Generalności, — pisze do nich — że akordowała im pardon za jego instancyą za bunt podniesiony przeciwko Wybranowskiemu. — Kasztelan czerski wczoraj akces do Generalności uczynił, z przyczyny, że do niego podczaszy litewski pisał, że potrzeba tą ceremonią poprzedzić przyszłe powagi jego rozpostarcie, i przysłał mu instrument, aby na jego miejscu, komendę nad całem wojskiem odebrał. Z tego tutaj wcale nie są kontenci i zapewne nowa kłótnia kasztelana z Generalnością nastąpi, gdy ten zechce komenderować, bo go zawsze naszym przyjacielem być sądzą...“

W dalszych listach, Dzierżanowski ciągle przestrzega Wessla o rozsiewanych przeciw niemu plotkach, szarpiących w dotkliwy sposób jego dobrą sławę a pewnego razu wręcz donosi, „iż ksiądz biskup kamieniecki pisał, że JW. Pan w traktaty jakoweś wchodzisz z Drewiczem i Branickim i assekuruje, że na to ma dokumenta niezawodne. Trzebaby jakoś zawczasu te bajki przytłumić i chorążemu Wybranowskiemu powiedzieć, żeby pisał do Gene-

ralności, aby takowym wieściom wiary nie dawała, bo przez to zamieszanie, niedowiarstwo i nienawiść wynika." O pośrednictwie Dumouriez'a między podskarbim i biskupem. — Dzierżanowski z niechęcią się wyraża, „bo nie na inny koniec – pisze w jednym ze swych listów, — ten Francuz do tego ciągnie, tylko aby nie mieć w Kole nikogo sprzeciwiającego się jego żądaniu o list. od Stanów Skonfederowanych do ministra francuskiego za nim, dający mu świadectwo wybornych jego czynów u nas. To w Preszowie już raz proponował i rozumiem, że nie dla czego innego swą podróż zatrzymał, jak tylko dla żądanej justyfikacyi przed swoim dworem. Wyraźne miał listy, aby jak najprędzej powracał."

Pod koniec sierpnia, marszałek generalny Pac, oraz wielu członków Generalności wyjechało do Cieszyna, dla powitania barona de Viomenil, który zastąpić miał Dumouriez'a. Ten ostatni również tamże podążył, a do Wessla wysłał 1. września następującą kartę: „Mr. le baron de Vioménil vient d'arriver — je pars sur le champ pour Teschen, je crois que Vous ferez bien de dépecher tout aussitôt le chevalier Duclos, qui trouvera le général préparé à lui donner les secours pour Tyniec. Je Vous l'amenerai dans quelques jours..."

Wzywany przez Generalność i Wessel zjechał także do Cieszyna, gdzie nastąpić musiało jakieś zbliżenie, o czem znajdujemy trochę szczegółów w liście samegoż Wessla do Dzierżanowskiego. List ten bez daty, zachował się w odpisie — odnieść go wypada do pierwszych dni września. Czytamy tu:

„Dwa listy W. Pana de 28. i 30. razem prawie odebrałem... Zagęszczone czyli bardziej ukorzenione w złych ludziach upodobanie, rozgłaszać o mnie plotki, azaliż przez przybycie Generalności w te strony, zupełnie już teraz ustać muszą. Donoszę W. Panu, że zaproszony listem ip. Paca, byłem w Cieszynie, gdzie w obecności ichm. znalazłem okazyą wyexplikować rzetelność sprawiedliwych zawsze sentymentów moich i tę szczerość, którą w radach i w listach moich do Generalności pisanych, okazywałem. Skoro ta explikacya zakończyła się, natychmiast porozumienie i niedowiarstwo ustało i przyrzeczenie nastąpiło, że więcej żadnym bajkom wiary nie dadzą. Nakłaniano mnie koniecznie do zgody z ip. biskupem, dając mi do zrozumienia, że jeżeli to nie nastąpi, interesa krzywdę cierpieć będą, abyś nie pokazywał się być okazyą do zamięszania dobra publicznego. Oswiadczyłem się, że zgody nie unikamy, byle ip. biskup żądaniom moim wprzód zadość uczynił, to jest, żeby wszystkie pisma swoje, mnie szkodliwe, pu-

blicznie odwołał, lub żeby Generalność przez sancitum swoje oneż anihilowała i jako nieprzyzwoite i szarpiące sławę moją za niesprawiedliwe deklarowała... Unikając najmniejszej postaci, żeby moje interesa klęskę jakową przynieść miały, odpowiedziałem, iż z wszelką indyferencyą z ip. ks. biskupem, w każdem zgromadzeniu na sesyach zasiadać i we wszystkich negocyacyach przy ip. de Viomenil zawsze znajdować się będę, do konfidencyi zaś i przyjaźni trwałej z ip. ks. biskupem póty nie przystąpię, póki tenże ip. ks. biskup wprzód generalnie wszystkich skryptów szkodliwych dla mnie rewokować nie będzie, lub też żeby Generalność skasowała...“

Zdaje się, że żądania Wessla w ten lub w inny sposób spełnionemi być musiały, bo są ślady, że odtąd Wessel częściej znosił się z Generalnością i zasiadał na jej zebraniach w Cieszynie. Pod tę porę przedstawił on obszerny memoryał w sprawach konfederacyi. Data nie oznaczona na kopii, którą posiadamy, odnieść atoli wypada ten ciekawy dokument do czasu, gdy Vioménil objął już był kierunek spraw wojskowych po Dumouriez. Memoryał ten „komunikowany był prywatnie a nie całemu kołu Generalności“, nie wiemy też, czy później był podany do ogólnego roztrząsania. Objaśnienia dołączone do każdego punktu, pochodzić muszą od Paca i Bohusza. Podajemy tu w całości wraz z przypiskami, to pismo Wessla, streszczające wszystkie jego poglądy na ówczesne sprawy konfederacyi:

„1. Pojednanie szczere i nieobłudne wzbudza otwartość i rzetelność, wymawiają sobie wtenczas ludzie wszystko, co mają na sercu, a zapomniawszy wszelkich uraz, kończą je prawdziwem przywiązaniem. Dla tego i ja teraz przełożyć pragnę i maxymy, które mną rządziły i zdanie moje w teraźniejszych okolicznościach.

Ad 1-mum. Rzetelność jest najessencyalniejszym obowiązkiem szczerego pojednania się, ale pojednanie się zda być zbytecznem, gdzie nie było osobistego rozróżnienia.

2. Wiadomo jest, iż w prawodawstwie naszem, w którem złączyć usiłowano wolność publiczną z wolnością osobistą obywatelów, nie masz lepszego w nieszczęściach naszych sposobu jako konfederacya, która łączy wszystkie władze i powagi, a zawiesza . . . . . powolne i zwyczajne formy rządów naszych. Wiadomo jest, że tym to konfederacyom winniśmy tę niepodległość, tę wolność i te wszystkie prerogatywy, któremi się szczycimy;

ale i to niemniej wiadomo być powinno, że te konfederacye, które szczęśliwie swoje przedsięwzięcia wykonały, niedostąpiły tego stopnia mocy, powagi i poważania, w którym zostawały, tylko przez zaufanie, przyłączenie się i przywiązanie narodu.

> *Ad 2-dum.* Wszystko to wielka prawda i ta wiadomość była prawidłem kroków naszych.

3. Nie pozyskały tego wszystkiego też konfederacye, jedynie przez wielkość i wspaniałość celu, który sobie obierały, przez prawość i poczciwość pobudek, które je wzniecały, jako to: *salus publicae* i obrona wolności. Wyciągnął jeszcze naród, ażeby sposób postępowania tych konfederacyi był prawny i jednostajny, otwarty i nieobojętny. Wyciągał, ażeby tych konfederacyi akta były solenne i ażeby w ogólnych tejże czynnościach, nie można było poszlakować ani słabości ani obojętności, ani żadnej tajemnicy.

> *Ad 3-tium.* Solenność aktów naszych, otwartość i nieobojętność kroków daje świadectwo, żeśmy tę obrali drogę, którą nam utorowały przeszłe konfederacye.

4. Sposób postępowania tych konfederacyi, był zawsze prawie jednostajny, ułożenia ich stosowały się ile możności do praw przyjętych i narodowi wiadomych, a najpierwsze staranie ich było zaradzać o obronie Rzpltej. I te to konfederacye powinny by nam służyć dzisiaj za prawidło: naśladując ich kroki, pozyskalibyśmy zapewne zaufanie, miłość i poważanie.

> *Ad 4-tum.* Sposób postępowania konfederacyom nie mógł być jednostajny, bo przyczyny nie zawsze były też same, nie mogą więc służyć za prawidło sposobem nieodmiennym, chyba tyle, ile wyciąga obrona ojczyzny i ile pozwalają okoliczności.

5. Lecz nieszczęśliwym losem Rzpltej stało się, żeśmy przeciwnym zupełnie postępowali sobie sposobem. Jeżeli celu naszego nie dopniemy, jeżeli nieszczęść ojczyzny zakończyć nie zdołamy, nie będziemy sprawiedliwie żalić się mogli ani na naród, który wszystko uczynił; ani na dwory cudzoziemskie, które wiele ułatwiały i cała wina na nas się zostanie, świat i Polska wymawiać ją nam nie przestaną.

Ad 5-tum. To wniesienie nie ma dosyć na ogólnej assercyi, wyraźniejszych trzeba zarzutów, tem więcej, że plan generalny postępowania konfederacyi dzisiejszej, w początkach fundującej się Generalności, nie tylko wspólnie był umówiony, ale niejako przepisany przez jw. podskarbiego.

6. Cel i pobudki nasze nie mogą być ani wspanialsze, ani szlachetniejsze; idzie nam o obronę wiary i wolności naszej: staramy się wydobyć z tej wstydliwej odległości, do której nas fakcya moskiewska przyzwyczaić usiłuje.

Ad 6-tum. Wielka prawda i tę głosimy we wszystkich naszych aktach publicznych.

7. Nigdy pomyślniejszego nie było momentu, nigdy większej do wykonania wielkich rzeczy sposobności, nad ten, któregośmy widzieli. Gorliwość o wiarę i wolność, w największym pokazywała się stopniu, nienawiść przeciwko Moskwie była zajadłą i ten głos, który nas do obrony ojczyzny powołał, był powszechny i jednostajny.

Ad 7-um. Prawda, ale cóż znaczy *sine viribus ira.*

8. Lecz ta żarliwość już ziembnąć poczyna, ten wszczęty ogień już gaśnie, opieszałość i obojętność nasze niemniej jako i ten słaby i bojaźliwy postępowania sposób, który zażywamy, przytłumiły odwagę dobrych obywatelów i obawiać się potrzeba, ażeby trwałość nieszczęść, któremi są obarczeni, nie pognębiły w nich zupełnie tych cnót, na które się jeszcze spuszczamy.

Ad 8-vum. Dyspozycye obywatelów są też same, gorliwość dusz ich zawsze jednostajna, dowodem tego pomnażające się przez najpierwsze osoby akcesy i chętna determinacya całej prowincyi w. ks. litewskiego. Nie zostaje więc tylko, jeżeli nie zniszczyć, przynajmniej na czas dalszy odłożyć dyferencye i prywaty a obrócić *fortiori unita virtute* wszystkie starania ku dobru publicznemu.

9. Przysięgi wszystkich konfederacyi, jako też i konfederacyi generalnej, ubezpieczyły jjww. Krasińskiemu i Potockiemu zaufanie i miłość narodu, z tem wszystkiem pokazały się rozróżnienia, zazdrości władzy i kłótnie o powagę dały się słyszeć zadziwio-

nemu narodowi. Pociągnęło to za sobą niesforność umysłów i smutne niezgody.

Ad 9-num. Przypadek ten winniśmy warszawskiej fakcyi, bo nie można myśleć, aby od kogokolwiek ze sprzysiężonych konfederatów wziął swój początek. Zachowała Generalność równość wagi, nie deklarując się za jednym lub za drugim, podzieliła raz na zawsze prerogatywy powagi, deklarowała tę wspierać stronę, którąby przez cudzą uzurpacyę była obciążona. Pisała, zagrzewając do jednomyślności, nie rozpacza o skutku i żadnej ztąd niesforności nie widzi.

10. Wszystkie akta konfederacyi barskiej, wszystkie skonfederowanych województw manifesta, początkowe nawet konfederacyi generalnej czynności, dość wyraźnie między gwałtami moskiewskiemi rachowali elekcyę Stanisława Augusta. Interes, położenie i natura konfederacyi wyciągały, ażebyśmy się otwarcie decydowali. Z tem wszystkiem ogłoszenie bezkrólewia tak długo było zatrzymane; czas pokazał, że te wielkie racye, których na wymówkę zażywano, nie były gruntowne, oznaczało to bojaźń, słabość i wiele obojętności.

Ad 10-mum. Nie oznaczało to bojaźni, słabości i obojętności, ale oznaczało przezorność, która z tak wielkiem dziełem była nierozdzielną. Intencyi konfederacyi najlepszym są świadkiem instrukcye, które niosły motywa potrzeby bezkrólewia. Nigdy na to wyraźnie dwory odpowiedzieć nie chciały, bez ich zaś komunikacyi *vel tanto consensu* determinować ten punkt esencyalny, należało słusznie lękać się, ażeby przez to nie zawieść ogólnych całego narodu celów. Jak prędko zaś pokazały się podobieństwa traktatu, jak prędko jw. Wielhorski upewnił, że nie może być to przykrem dworowi wersalskiemu, tak zaraz nastąpiło ogłoszenie bezkrólewia, które że nie jest późne, najwyraźniej ztąd widać, że solenne przyrzeczenie generalnych całego narodu akcesów i po uprzątnionym tym kroku, były i są dotąd, a w szczególności od nalegających najbardziej o bezkrólewie próżno oczekiwane. Czas więc daje widzieć, że racye, które przeciwko temu natenczas były dawane, były wtenczas i są racyami arcygruntownemi.

11. Ogłoszenie bezkrólewia nie było uczynione solennie i dokładnie, nie było poparte żwawo i usilnie, pogroziliśmy adheren-

tom, ale ich nie ścigamy, zaniedbywamy czynów, oznaczających najwyższą moc naszą. Naród tyle razy oszukany i do podejrzenia skłonny. już nas porównywać zaczyna do konfederacyi radomskiej. która nieszczęściem była Rzpltej, dlatego. że nie szukała wzmocnienia i że zaniedbywała dawnych zwyczajów.

Ad 11-mum. Co do solenności ogłoszonego bezkrólewia brakło, jaśniej okazać trzeba, bo ogólne wyrazy explikującym się czynią krzywdę. ale nie konwinkują. Niepoparte jest bezkrólewie walną radą, ale wiadomo. że w tym czasie nie mieliśmy innej posessyi w kraju, tylko góry pograniczne, a i te będąc przez nieprzyjaciela atakowane, gdzież te walną radę zbierać można było? — Nie ścigamy adherentów co do osób. i ta była przyczyna. dla czego manifest *gravaminum* wstrzymać chciano. ażeby niepierwej odkryć intencye, aż chyba winnych mając w ręku. Nie oszczędzamy ich atoli co do dóbr. ile ich dosięgnąć można. Nie należy nas porównywać do konfederacyi radomskiej, jej bowiem wina. zaniedbania dawnych zwyczajów i nie szukania wzmocnienia się, należy do pierwszych autorów ją formujących. Zawsze naród liczył za pierwszych autorów ip. księdza Podoskiego, natenczas referendarza kor. i ip. Ponińskiego. Konfederacyi radomskiej podobieństwo do nas mniej jeszcze naciągać można, kiedy wszystkie dzieła nasze nie regulujemy wedle biletów ip. Salderna. ale według prawdziwego ojczyzny interesu.

12. Senat, ten drugi i nieprzemijający stan Rzpltej. jest oddalony. zniechęcony i rozgniewany trudnościami i osobliwszemi wymysłami naszemi. Nie pomnaża to powagi i reprezentacyi naszej i cały naród niezmiernie dziwi.

Ad 12-mum. Dla pociągnienia senatu. wiele czyniono. Swiadkami są listy cyrkularne *deferendo* im wszelką prawną powagę. odmiana formy przysięgi. którą sam jw. podskarbi wykonał. Więc ich oddalenie się nie może być przypisane naszym umysłom, ale chyba pobocznym impressyom, które nietylko są nam dotąd nieznane, ale cale ich znać i szukać nie chcemy.

13. Skonfederowaliśmy się i przysięgliśmy Bogu i ojczyźnie, bronić wiary i wolności i dawnych praw naszych, przeciwko nowościom, które wprowadzone, a rządzić się chcemy według no-

wego prawa, komisye wojskowe i skarbowe, równie są u nas jak i w Warszawie. Cóż myślić można o intencyach i obietnicach naszych.

Ad 13-tium. Co się tyczy rady wojskowej, przeczytać tylko uniwersał *sub acta* 1770. Aug. 16. d., a widzieć można, jak dalekie są prerogatywy komissyi wojskowej warszawskiej od niniejszej rady wojskowej. Co się tyczy rady skarbowej, to żadnego niema *institutum*. Ma powierzone pilniejsze ekonomii rozrządzanie, ale z dnia na dzień zdać rachunek jest obowiązaną i stu złotych nie mogąc dysponować bez wiadomości Generalitatis. Nakoniec w tak wielkim celu ratunku ojczyzny, przystoi pierwszą mieć zawsze pilność na prawdziwy i essencyalny pożytek, niżeli na szkodliwą prawność i więcej nam podobno czyniłoby chwały nie zapatrywać się kto pierwszy wynalazł drogę, tylko widzieć, czyli dobra droga jest wynaleziona.

14. Mieliśmy wiele kraju i wiele wojska, wszystko utraciliśmy i tułamy się teraz u sąsiadów naszych: wszystko i te forteczki nawet, które opierają się teraz nieprzyjacielowi, wyrzucają i wymawiają nam niedbalstwo, niedozór i opieszałość naszą w utrzymywaniu mocy i powagi naszej: jakże zaufanie narodu pozyskać nam można?

Ad 14-tum. Wszystko prawda. Sporsze kroki w każdem zarządzeniu tamowały domowe nieufności. Wzajemna zaś delikatność broni wytykać autorom i dla tego najwygodniej ten punkt opuścić milczeniem.

15. Wznieciliśmy wojnę, zachęcamy ją radą naszą, pomnażamy ją ordynansami naszymi, aleśmy zaniedbali wprowadzić porządek i posłuszeństwo wojskowe, którego niedostatek niszczy sposoby nasze i uciemięża najpiękniejsze kraju naszego prowincye. Jakże współbracia nasi kochać nas mają?

Ad 15-tum. I to prawda, ale kiedy nie można było śmiało atakować nieporządku, ustanowiona *hoc fine* rada wojskowa. Jak jej skutki są przeciągane, jak i teraz jeszcze w rozporządzeniach swoich jest tamowana, explikować się obszernie, byłoby to obrażać kogo. Przeto radę wojskową w projektach swoich szczerze wspierać, wszystkim bez exce-

pcyi posłuszeństwo przyjąć, jest toż samo, co wcześnie cieszyć się z ustanowionego porządku.

16. Zawiesiliśmy sądy i juryzdykcye, a nie szukaliśmy sposobów ustanowienia sprawiedliwości. Jakże uciemiężeni obywatele szanować nas mogą?

Ad 16-tum. Zawieszone są juryzdykcye, bo ten był skutek naturalny trwającej konfederacyi. Postanowić nie można było sądów, bośmy nie w własnym kraju a juryzdykcya tychże sądów mogłaby się rozciągać tylko między Tyńcem a Lanckoroną i między wałami Częstochowskiemi.

17. Straciliśmy czas niezmierny na drobnych zabiegach, na podejrzeniach i na osobistych kłótniach. Czerniliśmy się, obmawialiśmy się i opisywali w kraju i u cudzoziemców. Podawaliśmy się w podejrzenie wzajemne, jakże chcemy, ażeby nas naród szanował i ufał zupełnie naszym ułożeniom.

Ad 17-mum. Generalność przez swoje województwa i ziemie, naród cały reprezentujące, nie może mieć drobnych kłótni i czerniącego obmawiania lub opisywania. Mówi wyraźnie o złej wierze tego, który jej jest podejrzany i tak głośno nazwała zdrajcami familię Czartoryskich, że zaś nie opisywała osób w swoim związku umieszczonych, dadzą świadectwo w oczach całej Rzpltej ipp. Zboiński, Wielhorski i Rostworowski. Potoczne zaś przeciwko Generalności opisywania, chcemy zagrześć w niepamięci.

18. Z tego wszystkiego łatwo wnieść można, że jeżeli pożądanego chcemy dojść końca, jeżeli miłość, ufność narodu i poważanie dworów przyjaznych pozyskać chcemy, trzeba odmienić zupełnie przyswojony postępowania sposób i zacząć się rządzić dawnym prawem i zwyczajem przeszłych konfederacyi.

Ad 18-vum. Odpowiedziano wyżej, że innego nie mamy celu, że utorowanej drogi nie odstąpimy, że chyba *ex novo casu* odmieniamy nieco w okolicznościach, bo ta jest natura konfederacyi, która w proporcyę odmiany przyczyn odmienia częstokroć sposób postępowania.

19. Najprzód zacząć trzeba od szczerego dawnych niechęci zapomnienia, trzeba się kochać szczerze i złączyć się nieobłudnie,

a przepisawszy sobie zgodnie i jednomyślnie sposób postępowania najprawniejszy i w tych okolicznościach najprzyzwoitszy, nieodstępnie wykonywać go potrzeba. Jako zaś i ułożenie z dworami cudzoziemskiemi i przysięgi nasze Bogu i narodowi uczynione, nie pozwalają nam ani cofać się, ani zastanawiać, utrzymujmy więc poprzedzające czynności z hazardem nawet życia naszego.

Ad 19-num. Na amnestyą przeszłych okoliczności wielka zgoda, oszczędzanie osób, jako osób szczególnego obywatela, nie wchodzi w niniejszy rachunek. I stałbym się niegodnym życia, jeżelibym się wzbraniał umrzeć dla ojczyzny, ale jako reprezentujący zwierzchność narodową, gdy siebie i składających radę oszczędzam, oszczędzam razem reprezentacyą krajową, tyle milionów kosztującą i dosyć czynię radzie gabinetu wersalskiego, którą w listach ip. Wielhorskiego komunikować będę.

20. Sposób postępowania według zdania mojego powinienby być następujący:

1. Starać się wszystkiemi siłami i sposobnościami, o wyszukanie i ubezpieczenie jakiego miejsca, w któremby Generalność w Polsce bezpiecznie i prawnie zgromadzać się mogła.

Ad 1-mum. Determinowaliśmy nasz wyjazd za pierwszym ip. pułkownika Dumouriez projektem i teraz daliśmy słowo ip. baronowi de Vioménil, że jak prędko sądzić będzie wyjście Generalności podobnem, to najmniejszej w tej mierze nie uczynimy trudności.

2. Nim zaś w stanie będziemy zażywania środków wojskowych, zażywajmy na utwierdzenie powagi naszej kroków cywilnych, które nam prawo pokazuje. A najprzód trzebaby ogłosić i ufundować najwyższą konfederacyi generalnej juryzdykcyą, wszędzie, gdzie tylko zasięgnąć będzie można, a obwieścić uniwersałem, że sądy konfederacyi generalnej sądzić się będą, że też będą wchodziły w kognicyą wszystkich abuzów i niesprawiedliwości, że miejsce i czas tych sądów drugim uniwersałem ogłoszone będą. Wszystkie konfederacye podobnym sobie postępowały sposobem.

Ad 2-dum. Juryzdykcya najwyższa konfederacyi generalnej są kaptury generalne, te ustanowić się nie mogą pierwej, niżeli staną partykularne po województwach kaptury; rzekło się wyżej, że nie mając więcej w kraju po-

sessyi, nie możemy ich ustanawiać, chyba dla mieszkających obywatelów między Tyńcem i Lanckoroną. Że zaś tę sprawiedliwość zaręczyliśmy już dawno narodowi, raczy jw. podskarbi przeczytać uniwersał 1769 r. 9. nowembra.

3. Ponowić uniwersały, które zawieszają i niszczą wszystkie sądy i juryzdykcye, które agitują się w Warszawie, jako sprawowane przez pseudo-ministrów, pseudo-komissye nieprawnie podczas bezkrólewia i przeciwko woli najwyższej konfederacyi generalnej, ktora ogłasza każdego, który albo sądzić odważy się, albo wdawać się do tych sądów ośmieli, *pro infami perduello et irrevindicabili capite*. Takim sposobem dawne konfederacye postępowały.

Ad 3-tium. Przeczytać raczy JW. podskarbi uniwersały sub actu 1770, Januarii 21. d., drugi r. 1770 maja 13 d., trzeci w tymże roku, miesiącu i dniu, i z tych widzieć będzie, żeśmy dawno *pro infamibus* deklarowali trwające pod imieniem uzurpatora juryzdykcye. Ta więc pełna gorliwości rada pochlebia jeszcze czułości naszej, żeśmy ją uprzedzili.

4. Wydać ordynanse wszystkim szefom i komendantom wojsk Rzpltej, ażeby uznawali jw. podczaszego lit. za regimentarza generalnego kor. i temuż we wszystkiem posłuszni byli. Okoliczność śmierci hetmana wyciąga po nas tę czynność, wkrótce zaś potem trzeba imieniem tegoż jw. regimentarza generalnego, wydać tym szefom i komendantom ordynanse, ażeby jak najprędzej łączyli się do konfederacyi generalnej kor. i tejże wierność poprzysięgli pod karą infamii i śmierci. Tak dawne konfederacye czyniły.

Ad 4-tum. Przeczytać raczy JW. podskarbi uniwersały do wojska *id quidem:* jeden *sub actu* 1769, 16. d. Novembris: drugi 1770, 27. d. Octobris, trzeci 1771, 2-go dnia Novembris, gdzie pod temiż kassacyi i infamij warunkami, łączenie się rozkazane. Śmierć hetmana nie przynosi odmiany *in sistemate,* bo za życia jeszcze jego, już oddani byli w komendę regimentarza generalnego, któremu wierność wojska, pierwiastkowym jeszcze unij narodów uniwersałem była zalecona.

5. Jako zaś nieprzystoi nam wznawiać wtenczas, kiedy opieramy się nowościom, powinniśmy urząd regimentarza generalnego przy tych wszystkich zostawić prerogatywach, które mu oczywiste prawo pozwala. Co się zaś tyczy mojego urzędu, trzeba

według myśli prawa przydać mi do pomocy komisarzów z senatu i stanu rycerskiego, którym jeżeli pod pretekstem nowych podatków coś więcej mocy przydać zechcemy, trzeba usilnie unikać, ażeby z warszawską komissyą podobieństwa nie mieli.

Ad 5-tum. Prawa o regimentarstwie generalnem nie znajdziemy w *Volumina Legum*, względem urzędu jego to jest istotnem prawem, cośmy zapisali *in santius* i co i pan regimentarz kor. chętnie przyjął. Co się zaś tycze skarbu, gdy jw. podskarbi uznaje potrzebę współpomocników, jakim sposobem od modelu warszawskiego najwięcej oddalać się możemy, wyraźniejszego czekamy projektu, jedną *qua* nieodbitą essencyonalną *pluralitatis votorum* kładąc kondycyę.

6. Trzeba się nam starać przyciągnąć do nas najwięcej senatorów i ministrów, dla tem prawdziwszej powagi i reprezentacyi naszej. O to się zawsze wszystkie starały konfederacye.

Ad 6-tum. Czyniliśmy wszystkie zabiegi i czynimy, a do wspólności starania JW. podskarbiego usilnie zapraszamy.

7. Komendanci wojsk tytuł regimentarza brać powinni, gdyż ich tak zawsze prawo nazywało. Ci regimentarze, w niebytności regimentarza generalnego i do dalszej jego rezolucyi, składać będą generalną radę wojskową, na której szefowie i komendanci województw zasiadać powinni, ale sądy tej rady wojskowej następować nie mogą tylko w materyach, w artykułach wojskowych wyrażonych, inaczej nastąpiłby *conflictus jurisdictionum*, którego zawsze prawo unikać rozkazuje. Raporta tej rady wojskowej do konfederacyi generalnej, jako też i ordynanse do całego wojska imieniem regimentarza generalnego oddawane być powinny, wzajemnie ordynanse, które konfederacya generalna dawać tej radzie będzie, powinny być pod imieniem regimentarza generalnego, bez żadnego rady wojskowej wspomnienia. Tak oczywiste prawo mieć chce i tak dawne czyniły konfederacye.

Ad 7-mum. Próżno tu i w tylu innych miejscach prawa są cytowane, nie odpowiadamy na nie, bo *in Volumina Legum* pokazać ich nie można; mówiono już, że o regimentarstwie kor. prawa nie ma, więc żądane ip. regimentarza przybycie, zaspokoi sprzeczkę względem tytułów na ordynansach kłaść się zwykłych, rada wojskowa zastępuje jego

nieprzytomność i powagę. Odmieniać ustawicznie, a to bez ważnych przyczyn porządek wewnętrzny, byłoby zgorszeniem narodowi. Pierwszą podał plantę JW. podskarbi tej krajowej juryzdykcyi, obligowany więc jest równie z nami do jej utrzymywania. Lękać się nie można *conflictum jurisdictionum,* bo ordynacya wojskowa nie pozwala rozsądzania spraw, tylko między wojskowymi, albo między obywatelem na wojskowego skarżącym się. Co się zaś ściąga różnicy między komendantem a regimentarzem, tę w czasie, gdzie rada wojskowa od siebie wydawa ordynanse, znajdujemy materyę do sprzeczki nic w sobie nie ważącej. Przybycie jako się rzekło ip. regimentarza generalnego, albo dotąd trwające tytuły utwierdzi je albo odmieni, przeciwko zaś potrzebie i prawności rady wojskowej nic wnosić nie można, bo nad to wyraźne mamy stare prawa, przez które w czasach niespokojnych Rzpltej komisarze i samym hetmanom są przydanemi.

8. Wchodząc do Polski, wydane będą nieodwłocznie pierwsze wici do pospolitego ruszenia, dla wczesnego szlachty przygotowania do obrony Rzpltej. Prawa zostawiły narodowi tę obronę w powszechnych nieszczęśliwościach.

Ad 8-vum. Przeczytać raczy JW. podskarbi po publikowanym *interregnum* na pospolite ruszenie wydany uniwersał.

9. Jak prędko wnijdziemy do Polski, starać się potrzeba będzie o ubezpieczenie jakiego miejsca, w któremby walna rada, zjazd walny lub sejm konny zgromadzić można i zaraz o tem naród uwiadamiać potrzeba będzie, to jest sposób, który na zakończenie nieszczęść publicznych konfederacye zażywały.

Ad 9-num. Nie mieliśmy konnego sejmu, jak za Michała, jeżeli ten stanąć może i w teraźniejszych okolicznościach, nic naprzeciw nie mamy. Pożytki atoli jego jasno widzimy, czasu naznaczyć nie zdołamy, bo ten dependuje od okoliczności i do tego czasu tę zdrową radę i jej skutki odkładamy.

10. Trzeba będzie zażywać wszystkich sposobów na pomnożenie wojska tak komputowego jako i konfederacyi i przepisać temuż zawczasu porządek i przyzwoitą subordynacyą.

Te są kroki, które według mnie ubezpieczyć nam mogą miłość i zaufanie narodu i poważanie przyjaznych dworów, tych zażywając spodziewać się możemy, iż wiarę i wolność naszą obronić i utrzymać potrafimy.

Ad 10-mum. Nie opuściliśmy nic, cokolwiek pomnożyć mogło siły narodowe W teraźniejszych zaś okolicznościach, stosując się do przezornego zdania ip. generała de Viomenil, troskliwsi jesteśmy o sposoby substancyi tego wojska, które mamy, niżeli o jego pomnożenie bez sposobów. Szczera więc na szczerą radę otwartość i umiarkowana na dosyć ostre termina odpowiedź, policzona będzie za dowód wzajemnej rzetelności, z tym szczególnym warunkiem, że gdy memoryał *in questione* komunikowany był prywatnie, a nie całemu kołu, rezolucya dana jest z oświadczeniem zdań partykularnych a nie rezolucyą *ex arbitrio Generalitatis* decydowaną, która atoli jeżeli dość szczęśliwą będzie jako być dosyć czyniącą JW. podskarbiemu, że do jej legalizowania wszystkie starania moje będą obrócone, oświadczam się.

Co do dalszej działalności Wessla w sprawach konfederacyi' braknie już nam materyałów. Nagromadzone w tekach Wessla pisma i korespondencye, urywają się na powyżej przytoczonym memoryale. Reszta widocznie zatracona, a może zniszczeniu uległy przez przezorność najrozmaitsze pisma i dokumenty, odnoszące się do rozwijających się wydarzeń w drugiej połowie 1771 roku i w następnym. Tak np. o zamachu na króla, dokonanym w Warszawie w celu uprowadzenia go ze stolicy, żadnej nigdzie wzmianki lub relacyi w rękopiśmiennej spuściźnie po Wesslu. A przecież fakt tak doniosły w swych następstwach nie mógł ujść baczności i roztrząsania tych, którzy do kierownictwa sprawami Związku przykładali rękę. Korespondencye z zagranicznymi dworami, jeżeli wogóle nie wiele ich dało się odnaleść w tekach Wessla, — to zupełnie już ich braknie z ostatniej epoki konfederacyi. Przypuszczać można, że w chwilach ostatecznego upadku Związku, wobec wypowiedzianego przez Austryę prawa *asylum,* wobec konwencyi podziałowej i grożących ze wszech stron niebezpieczeństw, dla uniknienia prześladowań a ułatwienia recessów od konfederacyi, wymaganych przedewszystkiem od główniejszych przedstawicieli, —

starać się musiano o zniszczenie lub ukrycie wszelkich papierów, bardziej kompromitujących osobistości, które godzić się musiały z nowym porządkiem rzeczy i przyjmować pewien *modus vivendi* z władzą, której dotąd nie uznawano. — Dla tego też bardzo trudno o całość ówczesnych aktów. Archiwum Generalnosci dotąd nie odszukane, mamy zaledwie i to z początkowych tylko posiedzeń część protokołów zapisywanych kolejno; zupełnie nie dostaje ani sprawozdań z placu boju, które, jak liczne wskazują wzmianki, składane były *ad archivum*, ani korespondencyi całkowitej wysłanników konfederacyi do dworów zagranicznych, ani nareszcie całego szeregu pism odnoszących się do układów z ministeryami obcemi. Takież luki znajdujemy w tekach Wessla a przedewszystkiem z ostatniego okresu, najbardziej zawiłych i najmniej zbadanych wydarzeń.

Przechowała się tylko cała plika listów Dzierżanowskiego, kilka listów Vioménile'a i reszta korespondencyi Lasockiego. W listach Dzierżanowskiego, mało ciekawych szczegółów. Znany intrygant, zawsze w ciągłych kłótniach ze wszystkimi, więcej zajęty plotkami niż sprawami rycerskiemi, któremi zawsze się przechwalał, — Dzierżanowski jako agent Wessla, nie wielką mu przysługę wyrządzał, wciskając się do wszystkich spraw i wszędzie wnosząc własne uprzedzenia, gwoli którym nie szczędził oszczerstw i insynuacyj. Ze sprawozdań, jakie znajdujemy w ostatniej seryi jego listów, jest trochę szczegółów o porwaniu się Ogińskiego na Litwie, o sporach Krasińskiego z Potockim w Turcyi, o ich powrocie do kraju i t. d., nic jednak nowego, a pełno wątpliwych pogłosek lub zmyślonych opinij o Generalności i niektórych jej przedstawicielach.

Jak wiadomo, Wessel ciągłe prowadził narady lub korespondencye z generałem francuskim Vioménilem, zastępcą Dumouriez'a. Choć znękany przeciwnościami i w ciągłych kłopotach pieniężnych, wskutek sekwestracyi dóbr jego, a często zapadający na zdrowiu, — podskarbi nie upadał przecież na duchu i niewyczerpany w pomysłach i planach dalszego prowadzenia walki, — ciągle obstawał przy zasadniczych swych poglądach, co do reorganizacyi Generalności, przeniesienia jej do kraju, powołania pospolitego ruszenia, zaprowadzenia sądów — jednem słowem uorganizowania rządu narodowego dla przeciwstawienia go „uzurpacyi warszawskiej", jak nazywano rządy Poniatowskiego. Vioménil, wnosząc z kilku listów jego do Wessla, uznawał konieczność wspólnych narad podskarbiego z Generalnością, ale zawsze spory z biskupem

Krasińskim, nigdy nie przytłumione, były ciągłą przeszkodą w doprowadzeniu do pożądanej jedności. Jeszcze ostatnich dni grudnia 1771 r., Vioménil chciał ściągnąć Wessla do Cieszyna, gdzie przebywała Generalność, przyczem upewniał go o dobrych intencyach biskupa.[1]) Nie wiemy dla braku źródeł, jak się skończyła owa sprawa pojednania Wessla z biskupem, — tymczasem zbliżający się ostateczny upadek konfederacyi — czynił dalsze już wysilki oporu bezużytecznymi.

Z korespondencyi z Łasockim, zaznaczyć nam wypada list Wessla z dnia 9. lutego 1772 r., opisujący zdobycie zamku krakowskiego. Jakkolwiek epizod ten ogólnie jest znany z licznych relacyj współczesnych, to jednak zachować wypada sprawozdanie Wessla, dobrze zapewne poinformowanego. Pisze on tutaj: „...Z tych stron donoszę WM. Panu ciekawość, iż zamek krakowski przez naszych jest odebrany. Wzięcie tej fortecy krótko opisuję WM. Panu. Z soboty na niedzielę to jest między 1. i 2. *praesent.* w nocy o godzinie 10 z garnizonu tynieckiego komenderowano sto ludzi piechoty pod Kraków, którzy podszedłszy pod zamek od Wisły kanałem na tę stronę wychodzącym, weszli do zamku tak gładko i cicho, że szyldwachy moskiewskie o niczem nie wiedziały. Wszedłszy, najprzód na odwach niespodzianie napadli, a potem na cały garnizon moskiewski w zamku będący uderzyli, nic nie strzelając, tylko na same bagnety, broniących się wycięto, a reszta Moskwy, przeszło 80 ludzi wynoszącej, poddała się. Wszystko to nagle działo się, dosyć, że w krótkim czasie cały zamek nasi opanowali i bramą grodzką do miasta kawalerya konfederacka wpadła, która potem na zamek rejterowała się. Kilku

[1]) List Vioménila do Wessla — z Teschen, 31. grudnia 1771:

„D'après ce qui m'a été répondu hier par la lettre de Pac à son retour de Freistatt, je dois croire que Votre Excellence ne ferait pas un voyage inutil en venant passer quelques jours avec la Généralité, tout y est préparé pour La recevoir avec amitié et pour y traiter les interêts personels sans prévention et avec le désir de La satisfaire, je crois même pouvoir Lui répondre qu'Elle n'éprouvera que des choses très honêtes de la part de Mr. l'évèque de Kamieniec, et qu'Elle finira plus d'affaires ici dans un instant par sa présence, qu'Elle ne pourrait en arranger dans un mois par la negociation. Si Mr. le marquis Wielopolski voulait aussi faire ce petit voyage, il me parait que la Généralité serait bien aise qu'il prit sa place à ses premières séances, et de profiter de ses conseils et des votres sur tout ce qui peut contribuer à l'avantage du parti républicain.

J'ai l'honneur etc...“

moskali, ci co na szyldwachach w zamku stali, z murów powyskakiwali, i ci dopiero alarm w mieście zrobili. Zebrawszy się tedy, cały garnizon moskiewski w mieście będący, począł szturmować jeszcze w nocy do zamku, po dwa razy, tymczasem sukurs naszym z Tyńca nadszedł i odpędzili mężnie Moskwę, gdzie 160 moskali trupem legło. Ta cała akcya bardzo dobrym porządkiem sprawowana była. Jpan Choisy, komendant tyniecki, zostawiwszy proporcyonalnie ludzi w Tyńcu na obronę fortecy, resztę piechoty ściągnął do zamku krakowskiego i sam w nim ulokował się w tysiące ludzi tak bezpiecznie, że nigdy go ztamtąd Moskwa nie wypędzi, ile że mu na niczem w zamku nie brakuje, jak w żywności tak i w amunicyi wielki dostatek zastali, bo jest prochu sto kilkadziesiąt beczek, ośmset tysięcy ładunków do armat, milion siedemkroć sto tysięcy ładunków do ręcznej strzelby, 4.000 sztuk broni, 1.000 przeszło postawów sukna, 300 mundurów gotowych na dragonią, z bronią i z wszelkim dla żołnierza muderunkiem. Owsa, siana, mąki, zboża i innych sprzętów, w znacznej bardzo liczbie, zgoła zdobycz cała do kilku milionów wynosi. Mogą się nasi śmiało nie tylko bronić, ale jeszcze dużo szkodzić Moskwie w mieście pozostałej, z którą jako i z miastem, co się dalej stanie, czekamy tęskliwie końca, gdyż Moskwa okolicznie zaczyna się ściągać pod Kraków, lecz i naszym komendom wszystkim dano ordynanse, podobnież pod Kraków maszerować. Projekt ten wzięcia zamku krakowskiego, był ukartowany przez samego barona de Viomenil, do egzekucyi onegoż był wyznaczony ipan Choisy, obersztlieutenant wojsk francuskich, wszystko zaś działo się pod komendą jw. Walewskiego, teraźniejszego marszałka krakowskiego, który będąc tam sam przytomny, mocno się dystyngował i uczyniwszy rozporządzenie dalszych obrotów, tutaj powrócił...“

Lasocki długo przesiadywał w Konstantynopolu. Jeszcze z 3. czerwca 1772 roku przechował się list jego do Wessla, atoli polityczna jego rola jako rezydenta konfederacyi była już bez znaczenia, u władz tureckich żadnego nie miał posłuchu, a ambasador francuski, zrazu tak życzliwie popierający wszystkie jego kroki, teraz nie mógł czy nie umiał w niczem mu pomódz. To też i liczne a długie listy Lasockiego do Wessla nie przedstawiają zajęcia, są tu wiadomości z wojny turecko-rossyjskiej, często li tylko pogłoski nie sprawdzone, często osobiste uwagi o położeniu rzeczy w Polsce, o stosunkach międzynarodowych, najrozmaitsze kombinacye, wysnute z własnych a nie rzadko najbłędniejszych rozumowań. Pobyt Lasockiego w Turcyi przeciągał się z tej racyi,

że nie był w stanie opłacić długów pozaciąganych dla szefów barskich i dla własnego utrzymania. Ciągle kołatał do Generalności, ciągle do Wessla się zwracał, aby uzyskać odpowiednie sumy na satysfakcye dłużników. W sierpniu 1771 r. pisał do podskarbiego: „Siedzę tu w zastawie sum pożyczonych dla konfederacyi barskiej i dla mojej sustentacyi. Z tych aby mnie Generalność według dawnych swych obowiązków przez uspokojenie onych uwolniła, suplikuję". Zniechęcony narzekał, że prace jego i hazardy „dotąd zamiast wdzięczności i radości, — w nadgrodę nienawiść i zgryzoty przyniosły". We wrześniu pisał znowu do Wessla: „Już wcale widzę się być od wszystkich opuszczonym, kiedy u JW. Pana potrzeby moje żadnego względu nie mają..." i prosił przynajmniej o 600 dukatów, „które bez karty" dał był podskarbiemu. Także jakichś 220 dukatów matka Lasockiego miała u Wessla — i o te również dopominał się bezskutecznie Lasocki — wysyłał jedne po drugich weksle — dla opłaty ich w Wiedniu lub Bielsku. W lutym 1772 r., Wessel pisze do niego: „Produkował mi tu Bartelmus weksle WMPana, które ja przyjąłem, lecz nieszczęście, iż nie jestem teraz w stanie zapłacić onychże, mając dochody przez Moskwę sekwestrowane, przyrzekłem jednakże, iż niezawodnie za wnijściem do Polski w czasie sposobniejszym uspokoję te dwie asygnowane sumy, o które nie rozumiem, aby mnie prędzej naglono, dosyć, że w tem zawodu z mojej strony nie będzie." W odpowiedzi na to pisal Lasocki: „Znam ja dobrze, że JW. Pan masz trudność w dostaniu pieniędzy, ale miarkować powinieneś, że dla mnie tem trudniejsze, kiedym i chudy pachołek od domu daleki, w cudzym nieznajomym żyję kraju, a ztąd raczysz mnie własnemi memi wesprzeć pieniędzmi..."

Nie znamy końca tych kłopotów pieniężnych Lasockiego, nie wiemy też kiedy powrócił do kraju. Wessel zaś doszczętnie zrujnowany majątkowo, wyczerpawszy wszystkie środki na cele konfederacyi, z wielkopańskiej fortuny, nic prawie synowi nie zostawił. — Dosiadywał on najdłużej na pograniczu, choć już w maju rozpierzchła się Generalność, starania Paca w Wiedniu o prawo *asilum* spełzły na niczem, a po upadku ostatnich forteczek, gdzie najdłużej trzymali się konfederaci, sprawa Związku barskiego istnieć przestawała, a konwencya podziałowa szybko w czyn wprowadzić miała zadecydowane zabory ziem polskich.

Ratowali się jak mogli przedstawiciele Związku. Jeden z konsyliarzy, Suchodolski pisał do Wessla pod datą 20. maja 1772: „Troskliwy o bezpieczeństwo JW. Pana, jakie tylko powezmę wia-

domości, zaraz mu donoszę. Osobliwszym zaś sposobem obligowany w tym punkcie jestem. Kiedy książę wojewoda wileński, wczoraj przed wyjazdem swoim obligował mnie, abym JW. Pana ostrzegł, iżbyś wczesne dla siebie czynił bezpieczeństwo, gdyż kapitan Devil, który z Krakowa powrócił, czynił relacyę, że Suwarow wszystkim protekcyę obiecuje, prócz JW. Pana, jw. margrabiego, jww. Pułaskiego, Kossakowskiego, Miaczyńskiego i Bohusza, że tych ma ordynans wszędzie ścigać, a złapanych z największą pilnością trzymać. Kossakowski ma już od generała Esterhazy przystawionego szyldwacha, patrz więc Panie, że i tu nam bezpieczeństwa nie zaręczają. Książę o godzinie czwartej zrana dziś wyjechał . . . . . . podczaszy wyjechał do Węgier...“

Oprócz niewielkiej liczby nieprzejednanych, którzy kraj opuściwszy, przekładali tułactwo całego życia, niż ukorzenie się przed władzą, której nie uznawali, większość atoli szeregiem recessów od konfederacyi, zjednywała sobie przebaczenie. W tych liczbie znajdujemy Wessla i Wielopolskiego, a recessa ich przechowały się w zbiorze aktów do konfederacyi barskiej, pochodzącym z archiwum Stanisława Augusta.[1]) Wessel pod dniem 15. czerwca 1772 r. pisał do króla:

Najjaśniejszy Królu, Panie a Panie mój miłościwy!

Okropny stan Rzeczypospolitej i te grożące klęski, których się zewsząd obawiać należy, jako wszystkich dobrze myślących obywatelów do jedności i do zgody nakłaniać powinny, tak i sprzeciwieniu mojemu koniec położyły. Tem zaś szczerzej i zupełniej łączą się teraz z W. Kr. M., Panem moim m., im mocniej przekonany jestem, iż to najwyższe przejrzenie wśród nieszczęść i przeciwności, zasłaniając statecznie W. Kr. M., Pana mego m., tem dokładniej światu i Polsce, cnoty, wspaniałość i obywatelstwo Jego przekazać chciało, — przeznacza W. Kr. M., Pana mego m., na jedyną wiary św. wolności i sławy narodowej podporę. Racz W. Kr. Mość, Pan mój m., łaskawie przyjąć to oświadczenie moje, w którem statecznie trwając, pomyślność Rzpltej, długoletnie i szczęśliwe W. Kr. M. panowanie, jedynem mojem będzie życzeniem.

---

[1]) Actes rélatifs à la Confédération de Bar (w Zbiorach Akademii Umiejętności w Krakowie) Vol. III. pag. 437—439.

Mam honor pisać się z najgłębszym respektem i uszanowaniem, Waszej Kr. Mości, Pana mego m., wierna rada i najniższy sługa...

W tym samym rodzaju było także pismo Franciszka Wielopolskiego, szwagra Wessla. Atoli gdy dla wielu innych zwykły reces był dostatecznym dla uzyskania prawa powrotu do kraju, Wessel znaczne napotkał trudności, o czem ślad znajdujemy w piśmie kanclerza Młodziejowskiego z 11. sierpnia 1772. Pisał on bowiem do podskarbiego:

„Nie umiem JW. Panu wyrazić, jak pragnąłem i pragnę, żebyś jak najprędzej *ante conspectum* Najjaśniejszego Pana przybyć i własności spokojnie zażywać mógł. Ale odkryty wielkiego posła sentyment, który w liście do jw. marszałka nadwornego kor. (Wielopolski), JW. Panu namieniam, daje mi do zrozumienia, że niedosyć jest na pozyskanie od swego króla pardonu, żeby na tym fundamencie wracać do kraju, bo jako urazę jego od urazy imperatorowej odłączają, tak nie wspólnego z łatwością i dobrocią królewską JW. Panu oświadczoną, mieć chcą. Że zaś tenże poseł zapytany, czego po JW. Panu żąda, wyexplikować się nie chciał, tylko do responsu danego JW. Panu przez ręce jp. generała Romanius odwoływał się, — nie potrafię cośkolwiek pomyślnego JW. Panu napisać, upewnić jednak mogę, że jak nikt więcej, całem sercem i z zupełnem poważaniem jestem etc.

P. S. Miało tu więcej osób listy JW. Pana, z tych któraż albo będzie szczęśliwszą, że wyczerpnie, czego dwór rossyjski po JW. Panu żąda, tymczasem cierpliwość i stateczność w rezolucyi uspokojenia się potrzebna."

Jeszcze w jednym z listów Dzierżanowskiego (z 12. sierpnia), jest wzmianka o trudnościach, jakie napotykał Wessel. „Jak uważam, — pisze marszałek gostyński — to sytuacya JW. Pana jest bardzo nieszczęśliwa, kiedy Moskwa choć po recesie uczynionym, dóbr jego z opieki swojej wypuścić nie chce, ale raczej bardziej je jeszcze niszczy..." Nie znamy dalszych szczegółów sprawy Wessla, ani też jak prędko i w jakich okolicznościach powrócił do kraju. W każdym razie żadnego już nie miał politycznego znaczenia, a z urzędu podskarbiego wielkiego koronnego rezygnował parę lat później (1775).

KAZIMIERZ PULASKI.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".



Prawne i moralne horoskopy socyalizmu.

(Ciąg dalszy).

II.

Wobec takiej mrzonki, jak upatrywanie skutecznej warowni dla norm etycznych w tak nieuchwytnym czynniku, jak opinia publiczna, której moralna powaga wobec zajętego poprzednio przez Mengera stanowiska negacyi zarówno co do religijnej, jak i filozoficznej sankcyi norm moralnych, wypływałaby z jakiegoś zagadkowego źródła, nowa etyka, którą autor jako konieczne uzupełnienie swojej nowej nauki o państwie już w tem dziele niejako pośrednio zapowiedział a niedawno, na kilka miesięcy przed śmiercią, istotnie drukiem ogłosił *(Neue Sittenlehre)*, musi z góry obudzać wątpliwości a nawet pewne uprzedzenie. Zawsze jednak rozgłośna firma naukowa Mengera pozwalała oczekiwać rzeczy niezwykłej, chociażby przytem parodoxalnej i jak nowa nauka o państwie odbiegającej od rzeczywistości w sfery fantasmagoryi. Tymczasem nowa nauka moralności nawet i pod tym względem sprawia rozczarowanie. Wzbudza je już sam wstęp, chociaż co prawda jest on tak oryginalny, że nad rozczarowaniem chwilowo stanowczo przeważa zdumienie. Z tego wstępu bowiem wypływałoby, że cała dotychczasowa filozofia, począwszy od Arystotelesa, służyła tylko widokom burżuazyi i z tego powodu powinna pójść w zapomnienie tak samo, jak cała dzisiejsza klasowa organizacya społeczeństwa.

Musimy tutaj trzymać się słów samego autora, bo rzecz taka mogłaby się wydać nieprawdopodobną w dziele pisarza poważnego, któremu w studyach naukowych nie chodziło o tendencyjną propagandę, lecz o ideały po swojemu pojmowane. Tak tedy pisze Menger na wstępie swojego ostatniego dzieła: „Flozofia w swoim tysiące lat trwającym rozwoju dotąd wyrażała tylko poglądy bogatych i silnych o ustroju świata. Pierwotnie wszędzie wszystkie stany łączył węzeł wspólnego religijnego światopoglądu. Gdy potem w duchowo wyżej stojących warstwach ludowych poczęło się rozwijać samodzielne rozmyślanie o świecie i o człowieku, filozofowie musieli z konieczności opinie wyższych kół, do których sami prawie bez wyjątku należeli, wziąć za podstawę swoich teoryi. Jakżeby tacy dumni filozofowie starożytności, taki arystokrata jak Plato, taki wychowawca książąt, jak Arystoteles, mogli myśleć o tem, żeby zapatrywania niewolników i niższych warstw o ustroju świata ująć mieli w swoich systematach? Tak też za wpływem równych co do istoty stosunków pozostało aż do dnia dzisiejszego. Naturalne przeciwieństwa między niższemi a wyższemi warstwami najwięcej występują na jaw w zakresie prawa i moralności. To też filozoficzna nauka o prawie i moralności przedstawia od dawna obraz bezgranicznej jednostronności. Ale i w innych zakresach filozofii, w nauce o poznaniu, w metafizyce, nawet w niektórych częściach filozofii natury, objawia się wpływ tego wielkiego przeciwieństwa. Wybór problematów, ich traktowanie, trudne do zrozumienia przedstawienie wyciskają na całej dotychczasowej filozofii piętno liberalno-arystokratyczne. Dopiero od powstania socyalizmu w XIX. wieku, siła i świadomość niższych klas tak się rozwinęły, że stworzenie prawdziwej filozofii ludowej stało się możliwem i koniecznem." Do tego dzieła przystąpił Menger, wydając na początek nową naukę moralności, po której nastąpić miało po kolei opracowanie dalszych działów, do czego jednak, jakby przewidując bliski kres życia, wzywa i zachęca młode siły.

Jeżeliby z etyki Mengera wnosić wypadło, jak wyglądać będzie ów przyszły socyalistyczny system filozofii w całokształcie, to najpierw musiałaby powstać wątpliwość, czy wogóle będzie w tem jaki system, skoro już sam początek wypadł tak niesystematycznie. Rzecz bowiem wydana pod wiele mówiącym tytułem nowej nauki moralności stanowi w swojej broszurowej objętości tylko kollekcyę szkicowych poglądów na obecny stan moralności, na jego ujemne objawy oraz na źródła złego, wreszcie na poprawę stosunków, którą sprowadzić ma socyalizm swojemi reformami. Niema tam

żadnych ogólnych zasadniczych wywodów o fundamentalnych pojęciach etyki, o kryteryach dobrego i złego, o psychologicznych elementach działania ludzkiego itp. Dla scharakteryzowania naukowego poziomu, albo raczej lekkiego publicystycznego traktowania rzeczy, wystarczy przytoczenie faktu, że nawet sam problemat wolnej woli zbywa autor we wstępnym rozdziale krótko w ten sposób, iż wprawdzie wolna wola stanowi postulat każdej moralności, ale człowiek w całem życiu swojem tak jest zależny od stosunków, że w działaniu wygląda jak maryonetka z zewnątrz w ruchach swoich kierowana. Jako główne czynniki, trzymające człowieka w dzisiejszym ustroju społecznym w ciągłej zależności, więc dyktujące mu prawidła moralne, wymienia autor organizacyę państwową i prawną, kościół, stany zawodowe, stronnictwa i opinię publiczną.

Mamy tedy determinizm społeczny, za czem idzie twierdzenie, że „nauka moralności nie wskazuje, jak to tylu moralistów utrzymuje, co człowiek ma czynić, lecz co rzeczywiście czyni i pod wpływem stosunków społecznych czynić może“ a dalej, że „moralnym jest ten, kto się przystosowuje do socyalnych stosunków siły, niemoralnym zaś ten, kto się im opiera“. W konsekwencyi w braku stałych kryteryów moralności zmiany zachodzące w stosunkach socyalnych sprawiać muszą to, że „te same osoby i czyny, które dziś są chwalone i podziwiane, jutro mogą wzbudzać wstręt i być piętnowane“. Niema tedy stałych norm a ze zmianą stosunków, naciskających na człowieka, zmieniać się muszą sądy o wartościach moralnych. Biedny człowiek, któremu danem jest dożyć zgrzybiałego wieku wśród ciągłych zmian w konstellacyi stosunków i sił społecznych a tem samem i pojęć moralnych jako ich reflexu! „Ponieważ — mówi autor — tylko głupota ludzka wskazywała mu w młodości pojęcia moralne jako najpewniejszy punkt oparcia w życiu ludzkiem, przeto najczęściej na schyłku życia zawołać musi: Ja już świata nie rozumię!“

Sumienie nazywa Menger, niemal drwiąc z tego, co o niem mówi etyka z religijną lub tylko z filozoficzną sankcyą norm (Kant), „w gruncie rzeczy bardzo prozaicznem zjawiskiem, pozbawionem tego wielkiego uroku poetycznego, jakim otoczyła je religia, filozofia i sztuka wszystkich czasów. Ponieważ cnota jest równoznaczną z przystosowaniem się do socyalnych stosunków siły a grzech i występek równoznaczne ze sprzeciwieniem się tym stosunkom, przeto sumienie polegać może tylko na trwodze przed szkodliwemi następstwami takiej sprzeczności. W wszechmocnym

Bogu nie byłoby z tego powodu żadnego śladu sumienia ludzkiego.“

Ale nietylko samej sile stosunków socyalnych, lecz także i prostemu przypadkowi przyznaje Menger w danym razie rozstrzygającą rolę w ocenianiu czynów ze stanowiska moralnego i jako przykład przytacza zamordowanie serbskiej pary królewskiej w r. 1903. „Jeżeliby — mówi — serbska para królewska w nocy z 10. na 11. czerwca 1903 r. zdołała była pokonać spiskowych oficerów, straconoby ich niezawodnie, a ich postępowanie zostałoby dosadnie napiętnowane we wszystkich serbskich kościołach, sądach, szkołach, w dziennikach, nawet w całym świecie. Ale oficerom powiodło się dzieło spiskowe szybko i gruntownie, więc reprezentacya kraju uznała ich zbawcami ojczyzny a ich postępowanie bohaterstwem. W świecie cywilizowanym nie brakło pedantów, którzy nie chcieli uznać, że siła i moralność są w gruncie rzeczy identyczne, ale ich wyroki potępienia nie miały żadnego znaczenia wobec powszechnego i zgodnego uznania, a nowej dynastyi, której panowanie zaczęło się od tej nocy morderczej, nie pozostaje nic innego jak tylko postaranie się o to, aby i później w Serbii i zagranicą owo królobójstwo było chwalone i wielbione.“

Jest to szczegół godny uwagi, bo charakterystyczny dla samej rzeczy, że szukając illustracyi dla swoich dziwolągów moralnych, Menger zapędził się na wschód Europy, do kraju z taką wątłą jeszcze powłoką kultury prawnej i moralnej, jak Serbia dzisiejsza. A w dodatku nawet i ten serbski przykład wcale tutaj nie wystarcza, bo owo królobójstwo belgradzkie wywołało właśnie w całym świecie, cywilizowanym równobrzmiący okrzyk oburzenia, więc stwierdziło jednolitość poczucia etycznego w świecie cywilizowanym. Przecież nawet w samej Serbii nie obeszło się bez groźnej moralnej reakcyi, którą rząd dopiero siłą mocą tłumić musiał. Jeżeli powoli moralna reakcya Europy, po za stałą w tej mierze dotąd Anglią, osłabła i opinia odstępować zaczęła od żądania takiej satysfakcyi, jakiej się początkowo domagała, to jestto tylko świeży dowód historyczny, że polityka jak zawsze była, tak niestety jest ciągle niepoprawną psotnicą w zakresie moralności, psotnicą urągającą tak często moralnym postulatom zarówno na szerokiej widowni międzynarodowych machinacyi dyplomatycznych, jak i w ciaśniejszym zakresie wewnętrznego życia państwa i społeczeństwa.

Jeżeliby zresztą zamordowanie rodziny królewskiej w Belgradzie miało być wzięte za objekt moralnych refleksyi, to bliższą niż Mengerowska teza moralna byłaby konkluzya, że ów przez socyalistycznego reformatora etyki tak wysoko wyniesiony trybunał moralny opinii publicznej dziś jeszcze nie posiada nietylko w polityce, lecz nawet i w prywatnych stosunkach, takiej siły, aby mógł wyręczać prawo w repressyi karnej tam, gdzie ono z przyczyn wyjątkowych nie może całą siłą dosięgnąć winowajcy. Ztąd pochodzą tak częste w naszych czasach wypadki rażącej bezkarności, nad którą biadają dziś w całym świecie prawnicy i moraliści, zawiedzeni w oczekiwaniu, że sam postęp wiedzy i oświaty podnosić będzie ludzkość na coraz wyższy stopień doskonałości bez pomocy religii i zjednoczonej z nią moralności. Biadanie to zamknął jeden z luminarzy niemieckiego świata prawniczego w starym aforyzmie: *qui proficit in litteris et deficit in moribus plus deficit quam proficit!* Mimochodem wspomniemy tutaj, że na temat osłabienia siły repressyjnej opinii publicznej i wypływającej ztąd bezkarności, posiada nasza literatura publicystyczna dwie wyborne rozprawy: Stanisława Koźmiana (Bezkarność) i Stanisława Tarnowskiego (Z powodu Panamy). Że jednak mimo to wszystko nie jest jeszcze tak źle z dzisiejszą moralnością, jak to Menger przedstawia, na to dowodem właśnie owa Panama, która w swawolnej Francyi tak wzburzyła poczucie moralne, iż nawet głowa państwa nie mogła się ostać przed burzą. Zmiotła ona wtedy wielu takich, którzy na miarę Mengerowską mogli uchodzić za ludzi bardzo moralnych, bo umiejących wybornie — przystosować się do panującej w danej chwili konstellacyi stosunków!

Ale nietylko co do królobójstwa serbskiego, lecz także w wyborze innych przykładów historycznych na poparcie własnych tez moralnych Menger jest stanowczo nieszczęśliwy. Podnosząc opinię nietylko publiczną, lecz także w ciaśniejszych kołach, zwłaszcza opinię i poglądy sfer wyższych a przedewszystkiem sfery dworskiej jako jedno ze źródeł przykazań moralnych, oczywiście pojmowanych konsekwentnie jako reflex siły, Menger przytacza fakt, że gdy w r. 1856 cesarzowa Eugenia dla osłonięcia defiguracyi ze stanu brzemiennego użyła krynoliny, za jej przykładem poszły zaraz najpierw damy wielkiego świata paryskiego a potem wogóle cały świat kobiecy bez względu na to, czy zachodził ten sam motyw, który cesarzową Eugenię natchnął pomysłem krynolinowym! Ten niezawodnie ciekawy a nawet klasyczny przykład wszechwładztwa mody przytoczony został w takiej paradoxalnej illustra-

cyi, że ustęp ten trzeba dwa razy przeczytać, aby być pewnym, że tak się rzecz ma w poważnej pracy uczonego rozgłośnej sławy. Przykładów wszechwładztwa mody nie trzeba zresztą szukać w dalekiej przeszłości i w stolicy światowej mody, bo obserwować je można na każdym kroku, nawet na zebraniach „towarzyszy" i „towarzyszek" wtórujących okrzykiem: hańba mowcom, piorunującym na kapitalizm i cały dzisiejszy ustrój społeczny. Moda w ogóle, zwłaszcza jako wierna towarzyszka zbytku może niezawodnie wchodzić w grę jako jeden ze szczegółów illustrujących krytykę współczesnych obyczajów i w ogóle stosunków społecznych, ale z całkiem innego punktu widzenia. W książkę Mengera szczegół ten chyba wśliznął się z braku uwagi, zupełnie pochłoniętej jedną myślą i jedną tendencyą.

Kompletny rejestr moralnych obowiązków i odpowiadających im cnót i zdrożności nie wchodził, jak to sam autor zaznacza, w plan jego dzieła, bo wobec tezy, że moralność stanowi tylko reflex konstellacyi sił i wpływów w ustroju społecznym, było to nawet istotnie zbędnem Autorowi i czytelnikowi *iuranti in verba magistri* wystarczyć muszą szczegóły, które nietylko wydają się znamiennemi, lecz nadto dają wyborną sposobność do przypięcia łatki już nietylko etyce z religijną sankcyą norm, lecz w ogóle tradycyjnie uznawanym przykazaniom moralnym. Na pierwszy plan obowiązków wysuwa Menger staranie o przyszłe pokolenie, negując przytem obowiązki wobec własnej osoby. Człowiek jest panem swojego życia i ciała, więc wolno mu popełnić samobójstwo lub samokalectwo. Natomiast w kollizyę z moralnością wchodzi człowiek, który w stanie opilstwa lub choroby zakaźnej daje życie charłaczemu potomstwu, lub z lekkomyślności nadmiernie rodzinę swoją pomnaża. „Tutaj — mówi Menger — ogólny charakter moralności jako reflexu siły w stosunkach społecznych występuje na jaw z szczególną jasnością, bo dziś żyjącym i działającym ludziom bezwarunkowo daje się pierwszeństwo przed następnemi pokoleniami, które bezsilnie spoczywają w ciemnem łonie przyszłości". Winę zwala autor na chrześciańską moralność, która ze starego zakonu przyjęła tezę o licznem potomstwie, jako błogosławieństwie boskiem i na dzisiejsze prawo, które ze swojego zakresu wyłącza pożycie małżeńskie, wyświadczając w ten sposób przysługę rolnikom i przemysłowcom, potrzebującym jak najwięcej tanich rąk do pracy! Jakby prawo miało uregulować pożycie małżeńskie w przyszłem państwie socyalistycznem, aby preliminarz budżetu dziecięcego nie został nigdy przekroczony, lub

zwichnięty charłaczemi pozycyami w *extraordinarium* — tej ciekawej kwestyi nie rozwija autor szczegółowo, lecz rzecz całą kończy tą ogólną, ale wiele mówiącą uwagą: „Dopóki państwo stoi wobec prawa prywatnego, jakby wobec zamkniętej twierdzy, do której tylko skrytymi chodnikami dostęp znaleść można, nigdy nie będzie ono w stanie osłaniać skutecznie interesów przyszłych pokoleń.“ Ta troskliwość autora o przyszłe pokolenia wchodzi później w program zaleconych przezeń reform moralnych i dlatego okazał ją już poprzednio także w nowej nauce o państwie.

W dalszym przeglądzie rejestru cnót i przywar moralnych w tradycyjnem ich znaczeniu nie możemy a nawet i nie potrzebujemy iść krok w krok za autorem. Jestto bowiem przegląd, w którym niema ani tej systematyczności, ani tej ścisłości, jaką niewątpliwie odznaczały się poprzednie prace naukowe Mengera. Rzecz cała w tym rozdziale traktowana jest wyrywkowo i urywkowo, w sposób przykrojony do przewodniej tendencyi.

Mówiąc o miłości bliźniego i o niezgodności obecnych faktycznych stosunków w tej mierze z zasadami, głoszonemi przez etykę religijną i filozoficzną, Menger chwieje się w zdaniu, której religii etyka najlepiej odpowiada celowi społecznemu. Budda, jak już poprzednio, cieszy się względami autora, ale także Mahometowi a nawet Konfucyuszowi dostają się komplementy w wcale nieskąpej mierze. Chrystyanizm natomiast postawił zasadę miłości bliźniego na wyżynie wprost niedoścignionej dla człowieka a kościół katolicki głosi tę zasadę obok uznania porządku państwowego i prawnego, który oddzielając od siebie jednostki murem obronnym stanowi niejako negacyę chrześciańskiej normy o miłości bliźniego.

W uwagach o kłamstwie Menger, nie odróżniwszy wcale różnych jego kategoryi, miał najobszerniejsze pole do powtórzenia i uzasadnienia tego, co przedtem powiedział o moralności jako reflexie siły. To też doszedł w argumentacyi do paradoxu, że pod tym względem możni są uprzywilejowani, bo zewsząd słyszą pochlebstwa i kłamstwa a „biedni tylko muszą zawsze słuchać prawdy i darzeni są co najwięcej przez rodzinę i najbliższych przyjaciół mizernem kłamstwem prywatnem“. W tej lekcyi o kłamstwie dotkliwie dostało się Kantowi za to, że wysoko wynosił moralny obowiązek prawdomowności a tymczasem sam, chociaż prywatnie nie krył się z uwielbieniem dla Rousseau, w swojej

nauce o państwie bronił z obawy przed królem pruskim skrajnego absolutyzmu. Na szczęście nie znał Menger, jak się zdaje, wszystkich spółczesnych filozofów. Byłby bowiem u francuskiego filozofa G. Tardea znalazł wątek do najsilniejszych ciosów na obecny ustrój stosunków i panujące pojęcia moralne. Tarde bowiem uznał w jednem z dzieł swoich kłamstwo za jeden z ulegalizowanych już środków rządzenia w państwach nowoczesnych, skoro bez kłamstwa nawet pomyśleć się nie dadzą biuletyny wojenne, akcye dyplomatyczne, różne polityczne enuncyacye ministrów itd. Ale Menger tak jest zrażony do wszystkich filozofów, że nie oszczędza nawet tych, u których znaleśćby mógł pod niejednym względem silne poparcie krytycznych uwag swoich o moralności w dzisiejszym ustroju społecznym. I tak np. wprost pogardliwie potrącił „filozofa zwycięzkich junkrów pruskich“ Nietzchego, mieniąc go „nadludzkiem filozofiątkiem Bazylejskiego uniwersytetu“. A zdawałoby się, że już ze względów taktycznych Menger inaczej traktować powinien filozofa, dostarczającego swoją tezą o moralności panów i moralności niewolników jaskrawego komentarza do stosunków, wśród których podobne pojęcia powstać i nawet wielbicieli znaleźć mogły.

Po przetrząśnieniu moralnego śmietnika i niemal do gderliwości posuniętem narzekaniu na niemoc etyki z religijną i filozoficzną sankcyą norm, przystępuje wreszcie Menger do części pozytywnej, własnej nowej nauki moralności, do konkretnych projektów ujętych w osobny rozdział, którego tytuł: „o poprawie stosunków moralnych“ zdaje się wiele obiecywać. Ale i tutaj — *la critique est facile, l'art est difficile!* Bardzo ostrożnie już w poprzednich rozdziałach autor przygotował czytelnika na zawód w wielkich oczekiwaniach a sobie samemu zabezpieczył wprawdzie nie odwrót, o którym pewnie nie myślał, lecz pobłażliwość krytyki. To też mówiąc o panującej dziś chciwości dodał, że w socyalistycznym ustroju stosunków byłaby ona nie wytępiona, lecz tylko „bardzo znacznie zmniejszona“. Także i panowanie kłamstwa nie skończyłoby się w tym ustroju, lecz „może być złagodzone“. Co jednak najważniejsza, Menger uważa to za prawdopodobne, że „stanowe (zawodowe) przeciwieństwa w socyalistycznym ustroju trwać będą dalej a może nawet osiągną większą siłę“. Gdy wreszcie przychodzi już do rozwinięcia własnego programu reform, Menger tak mówi: „Postępować należy przytem (przy reformach) roztropnie i wytrwale, niejako w ten sposób, jak się zakłada wodociągi i kanały dla zmniejszenia śmiertelności. Przy

reformie moralności nie należy z góry stawiać zbyt wysokich celów praktycznych. Jedynie anarchizm, uchylający prawie zupełnie państwowe i prawne czynniki siły, mógłby — gdyby w ogóle był wykonalny — zakreślić swojej moralności najwyższe zadania. Socyalizm, zatrzymujący maszynę państwową, wspólną własność a po części nawet własność prywatną, zadowolić się musi z konieczności stanem skromnej, średniej moralności."

Z konkretnych wniosków reformy moralnej na pierwszem miejscu stawia Menger sprawę szkolnictwa ludowego. Dzisiejszą szkołę ludową uważa za „jedną z najważniejszych, może najważniejszą instytucyę policyjną w przeważnej części krajów europejskich. Z mocy ustawy nie jest ona naukową, lecz moralno-religijną, nie podaje więc młodemu pokoleniu w pierwszym rzędzie prawdy o naturalnych i historycznych sprawach, lecz broni przedewszystkiem panujących stosunków siły". W państwie socyalistycznem według programu Mengera zmieni się szkoła z gruntu. Jak jednak ma być ta przyszłościowa szkoła zorganizowana, o tem autor nawet zarysu nie podaje, zaznaczając tylko, że nie zamierza „omawiać powierzchownie niezmiernego problematu szkoły ludowej". Poprzestaje więc tylko na „fragmentarycznych uwagach", z których to jedynie wypływa, że w dzisiejszym wieku najważniejszym materyałem nauki powinna być — hygiena. Później dojrzalszą młodzież obu płci należałoby wtajemniczać dla dobra przyszłych pokoleń — w tajniki życia płciowego, aby już ze szkoły młodzież wychodziła ze świadomością, że rodzice powinni być — umiarkowani w płodzeniu dzieci a unikać tego jak zbrodni w stanie pijanym lub w chorobie zakaźnej! Na tem koniec. O właściwej nauce szkolnej na wyższych stopniach więcej już znaleść można w nowej nauce o państwie, ale i tam tylko w fragmentaryczny sposób. To tylko pewne, że w programie tej nauki niema miejsca ani dla religii, ani dla humanistycznych przedmiotów, a za to zapanowałaby niepodzielnie nauka oparta na wiedzy doświadczalnej.

Drugi punkt Mengerowskiej reformy, sięgający już po za zakres życia indywidualnego w sferę życia zbiorowego, stanowi demokratyzacya polityczna i gospodarcza społeczeństwa. Poniekąd w sprzeczności z nową nauką o państwie, gdzie postulat równości uznany został za marzenie niedoścignione, przedstawia tutaj Menger ten sam postulat na polu politycznem jako ziszczalny w programie reformy społeczno-moralnej. „Istota politycznej demokratyzacyi — mówi autor — polega na tem, żeby każdy obywatel

państwa bez względu na wykształcenie, stan i majątek, przynajmniej w najdalszym zakresie posiadał równy wpływ polityczny tak, aby w ręku grup i jednostek nigdy nie mógł się koncentrować wpływ zbyt wielki i zbyt trwały". Stanowi takiemu najlepiej dziś odpowiada republika a najwięcej odbiega od niego absolutna monarchia. A może z wywodów Mengera prędzej dałby się wysnuć ten wniosek, że stanowi temu odpowiada zarówno dobrze republika, jak monarchia, byleby tylko — posiadała rząd słaby albo w ogóle, popadłszy w rozstrój, nie miała żadnego rządu!

Demokratyzacya życia gospodarczego stanowi istotę socyalizmu. Polega ona na tem, że „każdemu członkowi społeczeństwa dostarczone być muszą przedmioty i usługi potrzebne do godnej człowieka egzystencyi prędzej, zanim zaspokojone będą mniej pilne potrzeby innych." Znowu więc teraz nie chodzi już jak poprzednio o równość, lecz o „daleko idące ujednostajnienie gospodarcze". W sposób dogmatyczny łączy Menger z gospodarczą demokratyzacyą zapowiedź panowania prawdziwej miłości bliźniego i braterstwa, w ogóle raju ziemskiego. Wprawdzie „znikną lub mocno osłabione zostaną militarne, polityczne i religijne ideały naszych czasów", ale co to wszystko znaczy, kiedy na miejsce tych ideałów otrzyma się „moralne, umiejętne i artystyczne udoskonalenie ludzkości". Teraz dopiero przy malowaniu promiennego obrazu przyszłej doskonałości pod znakiem socyalizmu wymknęło się Mengerowi niespostrzeżenie uznanie, że jednak nie zawsze było tak źle, żeby zburzenie państwa i prawa dzisiejszego oraz wyrugowanie wszelkiej religii musiało być uważane za konieczny warunek i wstęp do poprawy stosunków. Było niegdyś lepiej z urządzeniami dzisiejszego typu a zatem mogłoby być lepiej, chociażby socyalizm nie zdołał zrobić ze wszystkiego *tabulam rasam*. Temi słowy bowiem zamyka Menger swój obraz przyszłego raju socyalistycznego: „Dawny węzeł między prawem a moralnością, który w naszych czasach prawie zerwany został, byłby przez zaprowadzenie socyalistycznego ustroju znowu silniej zawiązany. Średniowieczny kościół prawie nie znał przeciwieństwa między prawem a moralnością: kościelne księgi praw, pochodzące z XII.—XIV. wieku zawierają prawne i moralne przepisy w nieprzerwanej łączności. Później rozwinęło się prawo w organizm potężny, wykończony do najmniejszych szczegółów, kiedy tymczasem nauka moralności zeszła powoli na mizerny, w praktycznem życiu mało uwzględniany przyczepek."

Ten skąpy rejestr środków swojej reformy moralnej zamyka Menger zwrotem do opinii publicznej, której już poprzednio w nowej nauce o państwie zakreślił tak ważną rolę dla życia prawnego. Jak tam, tak i tutaj w nauce moralności, zalecone jest wydawanie organów urzędowych, w których byłyby publikowane czyny niemoralne. Także i publiczne zgromadzenia, na których byłyby ogłaszane czyny niemoralne, wydają się Mengerowi dobrymi środkami represyi i poprawy stosunków moralnych. Chodzi tutaj więc o nowy rodzaj infamii, przykrojony do stosunków i życia w państwie socyalistycznem. O skuteczności tak tego środka reformy, jak i innych poprzednio wskazanych, jest Menger na prawdę przekonany, bo w formalnej extazie dla swoich ideałów socyalistycznych wierzył święcie w odrodzenie się ludzkości pod znakiem tych ideałów. W tej extazie odróżniał trzy fazy rozwoju kultury, pierwszą jako okres religii ludowych u Greków, Rzymian, Germanów i Słowian, drugą w czasach chrześciaństwa, wroszcie trzecią, zbliżającą się w epoce socyalizmu. Mniemając, że tą extazą porwał za sobą czytelnika, apeluje do jego ślepej wiary i nową naukę moralności a z nią i całą swoją karyerę naukową kończy taką proroczą prognozą przyszłości: „Trzeci stopień w moralnym rozwoju zachodniego świata kultury stanowić będzie socyalizm, który przez niepowstrzymany upadek chrześciańskiego życia tak samo stał się historyczną koniecznością, jak niegdyś chrześciaństwo przez upadek świata pogańskiego. Socyalistyczna nauka moralności rezygnuje z wszelkiej religijnej podstawy, z wyobrażenia, że moralne przykazania pochodzą od bóstwa, z widoku na przyszłe życie, gdzie dopiero ludzkie działanie znaleść ma sprawiedliwą nagrodę lub karę. Natomiast przekształci socyalizm tradycyjne stosunki siły tak, że z przeobrażonego ich ustroju wyniknąć musi z konieczności doskonalsze życie moralne. Tak tedy socyalizm może spodziewać się, że sprowadzi moralność, która jako zabezpieczona przed reakcyami religijnego poczucia, zdolna będzie do zapewnienia nieprzerwanego rozwoju ku moralnym ideałom ludzkości... W obecnej chwili socyalistyczna moralność jest najwyższym ideałem moralności czysto ludzkiej, wolnej zupełnie od religijnej wiary w dogmaty. Ale strzedz się musimy podzielania mrzonki nieomylności chrześciańskiego kościoła i oddawania się urojeniu, żeby historya świata wypowiedziała kiedy ostatnie słowo o problemacie ludzkiej moralności.“

Rzecz to godna uwagi, że ksiażkę, w której w tonie lekceważącym traktowane jest wszystko, co nie wypływa z wiedzy

doświadczalnej i nie opiera się na niej, co nie wchodzi w ramy „doświadczalnego światopoglądu“ jako ewangelii przyszłości, że tę ostatnią książkę, więc niejako swój testament naukowy, Menger zamyka w sposób, stanowiący przeciwieństwo metody doświadczalnej, bo apostrofą trzymaną w tonie dogmatyczno-proroczym!

Dr. Bronisław Łoziński.

(Dokończenie nastąpi).

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

późniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał
Alexander Kraushar.

(Ciąg dalszy.)

Zaraz tedy Veni Sancte Spiritus muzyka wyśmienita z głosów i instrumentów rozmaitych grać poczeła, i msza wielka śpiewana wyszła, którą celebrował Biskup pewny de Neihaus z Austriey, podczas której wszyscy posłowie Acatholici jakoto Saski i Brandeburski i Hannowerski retyrowali się ad conclave zaraz przy tym chórze po prawej ręce będące, alias do Zakrystiey. Po mszy skończonej przy muzyce, przyszli na swoje miejsca Posłowie Acatholici. i zaraz Elektor Jm. Moguncki szedł najpierwej do ołtarza wielkiego i stanął przy ołtarzu, twarzą obróciwszy się do ludzi, za nim szli inni i po prawej ręce przy nim stanął Elector Palatinus Rheni, przy nim poseł Czeski i Pruski albo Brandeburski, po lewej zaś Elector Trevirensis, Poseł Saski i Hannowerski. Zkąd patet, że tym porządkiem stanęli jako in Stuba Electorali na Ratuszu zasiadają (jako się to już wyżej sub data 2. 8-bris opisało). Że zaś Elektor Trewirski, który jako Ecclesiasticus

procedit zawsze Electorem Palatinum. tu zda się, jako też in Stuba Electorali niżej. bo po lewej ręce siedzieć albo stać, ta jest racya, że po prawej ręce przy Elektorze Moguńckim miejsce jest teraz wakujące. że nie masz Elektora Colońskiego. któremu to miejsce należy. Jednakże Elektor Trewirski jest wyższy miejscem od Colońskiego, bo gdy jest Cesarz, tedy przy nim prawą rękę bierze Elector Moguntinus. a lewą Trevirensis. a dopiero przy Moguńckim Coloński. Stanąwszy tym rzędem przy ołtarzu, Elektor Jm. Moguncki tanquam Cancelliarius et Director. uczynił krótką przemowę po niemiecku ad Electores, w ten sens, że ponieważ zjachali się na to miejsce nie innym końcem tylko. aby Regem Romanorum Caput Imperij obrali i na tronie Cesarskim teraz per fata Cesarza Josepha Pierwszego wakującym osadzili, więc pytał się jeżeli Coelectores do Elekciey przystąpić byli gotowemi i jeżeli eo fine przysięgę według porządku in bulla aurea opisanego wykonać chcieli? Na co gdy wszyscy odpowiedzieli jednym terminem. że to wypełnić gotowi. Elektor Jm. Moguncki zawołał dwóch Sekretarzów z Cancellarjej swojej przysięgłych i kazał im to pierwsze pytanie i konsens. in forma solita w acta zapisać, i że ich chce mieć za świadków rei gestae in tempore et casu necessitatis. Na co gdy Pisarze odpowiedzieli, że rozkaz ten chcą wypełnić i że omnes ad stantes za świadków sobie przybierali in testimonium. aktu tego solennie zapisanego. Tandem Mr. Lasser Vice Chancelier de Majence podał Elektorowi Jm. Trewirskiemu papier, na którym była rota przysięgi napisana, który papier Elektor Trewirski podał Moguńckiemu i Moguncki prawą rękę do piersi przyłożywszy. w lewej papier trzymając. more Duchownych przysięgał. sam głośno czytając rotę. Gdy skończył, oddał tę rotę JP. Lasserowi Podkanclerzemu swemu, a wziął od niego drugi papier, na którym była podobna rota przysięgi i podał ją Elektorowi Trewirskiemu. który tymże sposobem jako i Moguncki przysiągł i oddał papier J. Panu Lasserowi. Tandem tenże Mr. Lasser podał Elektorowi Moguńckiemu trzeci papier z przysięgą in eandem formam tylko mutatis nominibus propter Electorem Palatinum Rheni. któremu gdy Elektor Moguncki podał ten papier, on rękę prawą i dwa palce do góry podniósłszy (jakto świeccy zwykli) w lewej ręce papier trzymając. czytał także w głos i przysiągł. I tym sposobem dla wszystkich innych czterech posłów. Czeskiego. Saskiego. Brandeburskiego i Hannowerskiego. osobliwy papier dla każdego Mr. Lasser podawał. Elektorowi Moguńckiemu. a on każdemu dawał i każdy na

swoim miejscu stojąc, dwa palce podniószszy głośno rotę czytał i przysięgał. Przysięga zaś, którą czynili, jest in bulla aurea wyrażona w ten sens, iż każdy Elektor ma nominować Króla Rzymskiego nie z respektu, ani przyjaźni, albo interessu, ale tego, którego według sumienia godnym i sposobnym być baczy, do rządzenia Cesarstwa. Co gdy się skończyło, znowu Elektor Jm. Moguncki pisarzom namienionym wpisać in acta przysięgę wykonaną kazał i protestował się, że ich za świadków brał. His per actis poszli wszyscy Elektorowie i ci pierwsi Posłowie ad Conclave, sami tylko nikogo więcej nie puszczając, a Mr. le Comte Papenheim Mareschalcus Haereditarius Imperij zawsze przy drzwiach stał, ale extra Conclave, Secundi także et tertii ordinis Posłowie w kościele wszyscy zostali się. Tam, gdy się zabawili blisko pół godziny, kazano przyjść ad Conclave secundi et tertii ordinis Posłom i dwom namienionym Pisarzom i innym barzo niewielu kawalerom, albo Prałatom: bo sciendum, że każdy Elektor i każdy Poseł ex septem Eligentibus, nie mógł więcej tylko pięciu ludzi naznaczyć, coby ad conclave wchodzili, a szesnaście co do kościoła samego puszczono za kartami na to danemi i to w tę liczbę wchodzili secundi et tertij ordinis Posłowie, którzy in hoc actu, już nie Posłów, ale tylko świadków raeprezentowali. Gdy tedy jako się namieniło, po pięciu od każdego Elektora i poselstwa osób wpuszczono ad Conclave i dwóch Pisarzów, Elektor Jm. Moguncki opowiedział ad stantibus, że ponieważ Bulla aurea opisuje, aby Regem Romanorum obierać, jeżeli nie może być un animi voce, tedy pluralitate i że tego co stanie pluralitate, Elekcya ma być tak ważna, jakoby omnium consensu stanęła, i że na tym fundamencie już actu Collegium Electorum do obierania chciało przystępować. Na co gdy wszyscy jednostajnie odpowiedzieli, że to jest według prawa i że taka elekcya powinna być ważna; kazał Pisarzom to samo zapisać i na ustęp znowu wszystkim kazano. Gdy tedy sami tylko zostali się, nie wyszło pół godziny, znowu tychże samych co i pierwej przywołano i Pisarzów; i opowiedział im Elektor Jm. Moguncki, że po słusznej deliberaciey zdało im się wszystkim przystąpić ad suffragia colligenda, i uważywszy jako Dom Austryacki pobożnie, sprawiedliwie i łaskawie, od tak wielu wieków im panował, że obrali Carola trzeciego Króla Hiszpańskiego, który ma być Carolem szóstym między Cesarzami: i potym obróciwszy się ad Coelectores, pytał się ich, jeżeli to przyznają i jeżeli nie dobrze wyexplikował, aby się odezwał ten, coby inaczej rozumiał? Na co gdy wszyscy od-

powiedzieli, że to ich jest a nie inne zdanie, kazał to samo Pisarzom zapisać. Potym pytał się coram ad stantibus, jeżeli jest który Minister z plenipotencyą od Neoelecta. żeby teraz imieniem jego Capitulacyę noviter uczynioną poprzysiągł. odezwał się JP. Graff Windisgratz, że miał plenipotencyę, którą gdy w ręce dał Elektorowi Jm. Moguńckiemu, a on innym Coelectoribus communikował, kazał tę plenipotencyę JP. Lasserowi Podkanclerzemu swemu głośno czytać i zaraz potym Mr. Windisgratz przy ołtarzu in Conclavi na to wystawionym klęknął i przysiągł. Co gdy się stało, kazał Pisarzom i elekcyę deklarowaną i plenipotencyą i przysięgę uczynioną zapisać i opowiedział potrzebę, aby tę elekcyę Populo ogłosić i do ogłoszenia tego nominował najpierwszego między Prałatami Daecanum Moguntiae, i zaraz Elektorowie powinszowawszy tego honoru JP. Windisgratzowi wyszli ex Conclavi i wchodzili na theatrum we szrzodku kościoła umyślnie wystawione, czerwonym suknem słane, na którym siedm krzeseł karmazynowych axamitnych pod baldachinem stało. i gdy miejsca swoje zwyczajnym porządkiem zasiedli, Dziekan Moguncki stanąwszy na boku po prawej ręce. bokiem do Elektorów i do ludzi. krótkimi słowy po niemiecku opowiedział, że z Bożej osobliwej Prowidenciey. et ex unanimi Voto Electorum Król Jm. Karol, królem Rzymskim obranym stanął i vivat zawołał, za którym wszyscy wielkim głosem vivat wołali i zaraz w dzwony wszystkie uderzono po wszystkich kościołach i z dział dokoła miasta po wałach bić poczęto. a Elektorowie zszedszy z theatrum szli do małego choru na miejsca swoje do form, spiewano przy lucznych muzykach Te Deum Laudamus etc. Po którym skończonym wyszli z kościoła, na konie wsiedli i tymże jako tam jadąc marszem, porządkiem i assistencyami powracali nazad do Ratusza Remer nazwanego. tylko spiesznie już jachali i dla tego już barziej tumultuarie. bo chmury następowały i deszczem straszyły, jakoż zaraz gdy się marsz skończył, deszcz padać począł. a przez wszystek czas ceremoniey pogoda piękna służyła. Przyjachawszy przed Remer, z koni pozsiadali i nie wchodząc więcej ad stubam Conferentiarum każdy Elector szedł prosto do swego pokoju dla rozebrania się i zaraz się ztamtąd rozjeżdżali już nie na koniach ale w karetach każdy do siebie. Najpierwej Xże Elektor Moguncki, po nim Trewirski. Palatinus Rheni. każdy z swojemi assistencyami: a potym Posłowie Czeski. Saski, Pruski, Hanowerski, którzy nie rozbierając się w swoich strojach jachali do domu. A na ostatku Mr. le Comte Papenheim Mareschalcus Haeredita-

rius Imperij wyjachał i klucze tak kościołowi jako i Magistratowi od bram oddał. Co wszystko począwszy od dziewiątej z rana, aż do trzeciej z południa trwało, nim się rozjachali. Tandem mieszczanie co byli uszykowani, chorągwiami odchodzili, a po nich garnizon. Notandum, gdy już Elektorowie powracali z kościoła do Remer, uczynił się tumult i wołać poczęto, że w mieście gore, i słychać było, że sławny partyzant francuski, nazwany La Croix subordynował ludzi, aby miasto zapalili we dwunastu miejscach razem podczas Elekciey, gdzie wszystek lud domy pozawierawszy, wyszedł dla widzenia tych ceremonij. a nawet i to słychać było, że już ludzie subordynowani mieli szukać sposoby, aby pod sam Ratusz podkopać się i miną z Elektorami Ratusz wyrzucić. Ale jeżeli to pewna, trudno twierdzić, i choćby tak było, do tego im nie przyszło: jednakże jeden incendiarius blisko kwatery Elektora Jm. Moguneckiego stajnię był zapalił, co szczęściem postrzeżono i ugaszono, i tak znać i innym do exekuciey tej złości nie przyszło, bo się na tym wszystko zakończyło, a że JP. Graf Windisgratz zaprosił do siebie na bankiet wszystkich Elektorów Jm. i Posłów, więc już samym prawie wieczorem zjachali się do niego i od piątej aż do dziewiątej u stołu siedzieli solennissime traktowani, Elektorowie Jm. siedzieli swym porządkiem, to jest Elektor Jm. Mogunecki na miejscu najwyższym w posrzodku stołu owalnego, przy nim po prawej ręce Elektor Trewirski, po lewej Elector Palatinus Rheni, Posłowie zaś tak pierwsi, jako secundi et tertii ordinis siedzieli pele mele to jest ręki nie upatrując, ale jako się któremu trafiło.

I tak ten dzień zszedł na samej ceremoniej i bankiecie.

XI.

Audyencya u elektora moguneckiego. — Narada ministrów. — Parada elektorów. — W kościele. — Przysięga przedelekcyjna. — Karol III, król hiszpański Cesarzem.

13. Octobris. Posyłałem rano do JP. Grafa Schemborna, Marszałka Wielkiego Moguntiae, prosząc o audyencyę u Elektora Jm. Moguneckiego i o naznaczenie godziny. Więc rano o dziewiątej przed sessyą (na którą się jeszcze dziś zjeżdżali Elektorowie) byłem u Elektora Jm. Moguneckiego, zwyczajnym sposobem (jako

w przeszłych audyencyach opisano) przyjęty i podałem memoryał łaciński ręką moją podpisany, ad Collegium Electorale, w którym według woli Króla Jm. wszystkie puncta, to jest desideria Króla Jm. i Rzpltej wyraziłem: a ponieważ te interessa nie mogły się pomieścić przed terminem elekciey, przed którym tylko około ułożenia Capitulaciey pracowano, a do Capitulaciey nihil admissum tylko co porządek in Imperio albo władzę cesarską i Elektorów concernebat: i gdybym był podał memoryał na ten czas, tedyby z innemi wszystkiemi materiami do Elekciey nie należącemi poszedł w remissę. Więc ponieważ się już Electia skończyła, wolałem uti tempore opportuno i prosiłem Elektora Jm. Moguncckiego jako Directorem Serenissimi Collegij, aby namieniony memoriał na sessiey publicznie proponat, et instíti tym barziej o to, iż przyszły były niedobre wiadomości, jakoby pokój z Turkami i Moskwą uczyniony, chwiać się począł i Turków przeciwko Polszcze Król Szwedzki animował etc. Co Elector Jm. z chęcią uczynić deklarował i uczynił, (ponieważ na tej zaraz sessiey interessa Króla Jm. przez Ministra swego proponować kazał i memoriał publicznie in praesentia wszystkich Elektorów i Ministrów czytano, o którego kommunikacyę wszyscy prosili dla uczynienia nad nim reflexiey ante resolutionem). Wyjachawszy od Elektora Jm. Moguncckiego, jachałem prosto do Elektora Trewirskiego, u którego także miałem naznaczoną godzinę przed sessyą, któremu interessa publiczne i memoriał, który miał zaraz wnijść w deliberacyą, rekommendowałem, motiva et pericula imminentia od Turków opowiedziałem etc. Potym byłem u JP. Grafa Stadiona, który jest Grand Maitre i pierwszy Minister de Majence i na konferencyach pierwsze miejsce między Ministrami Elektora Jm. Moguncckiego zasiada i on słowem ma dispozycią Directorij Moguntini, zalecając onemu podany do rąk Elektora Jm. memoriał i interessa w nim wyrażone rekommendując. Byłem potym u Mngra Albaniego, któremu memoriał per copiam kommunikowałem i prosiłem jako w tym jest interess nie tylko Króla Jm. i Rzplitej, ale consecutive totis Christianitatis, gdy Turczyn armuje się i wojnę przeciwko nam gotuje, aby i on imieniem Ojca Ś-o Capitis Christianitatis authoritatem suam interponat et secundet instancie J. Kiej Mc. i Rzplitej w memoriale wyrażone. Przed wieczorem jachałem z Królewicem Jm. na promenadę na miejsce zwyczajne za miastem nad Maenem, gdzie wszyscy Elektorowie Jm., że czas był piękny wyjachali i na trzysta innych karet było. Samym wieczorem powróciliśmy do gospody. Byłem

także u JP. Windisgraza, posła Czeskiego, gdzie i innych dwóch zastałem, z komplementem winszując im, że Electia stanęła szczęśliwie et sors cecidit na osobę Króla Jm. Hiszpańskiego, oświadczając ukontentowanie ztąd Króla Jm. i Rzplitej, że ad impleta sunt vota eorum etc.

14. 8-bris. Uprosiwszy sobie godzinę rano przed dziesiątą, byłem u Elektora Jm. Palatinum Rheni, rekomendując onemu pariter interessa publiczne w memoriale wyrażone, który memoriał według decyziej wczorajszej sessiey dziś miał być wszystkim Elektorom i Ministrom z Cancellariey Moguuckiej kommunikowany per dictationem, to jest na pewną godzinę, o której Cancellarius Moguntinus przestrzega, posyłają wszyscy Ministri swoich Sekretarzów do Cancellariey Moguuckiej, i tam im jeden Cancellarista diktuje, a oryginał zostaje zawsze circa directorium, to jest w Cancellariej. Byłem potym z wizytą u Xżęcia Sultzbacha młodego, co jest Haeres praesumptivus Electoratus post Domum Palatinam Neoburgicam jak ta steriliter zejdzie, gdzie Baron Zikingen jego Gubernator wychodził przeciwko mnie na pół schodów, a sam Xże do drzwi drugiego pokoju. Byłem także u JP. Barona Forstnera, Ablegata Xcia Jm. Lotaryńskiego, oddając mu wzajemną wizytę. A że się od JPP. Posłów Saskich informowałem, że gdy wczorajszego dnia czytano in publico mój memoriał Jm. PP. Posłowie Czescy i Hannowerscy odezwali się, że w tych interessach jeszcze nie są instructi od swoich Principałów. Więc byłem u JP. Barona Göriza, pierwszego Posła Hanowerskiego, gdzie byli na obiedzie zaproszeni wszyscy Posłowie Czescy i Brandeburscy, i tam w gromadzie i z każdym separatim expostulowałem, przypominając im, że od samego początku Elekciey lubo memoriału nie podawałem Collegio Electorali ex quo te interessa non respiciebant immediate Elektię, około której szczególnie pracowano, ale przy oddaniu listów Credencialnych do każdego Elektora, ustnie te samme interessa im proposui i że ci obiecali donieść principałom swoim dla otrzymania od onych instrukciej, która osobliwie Elektora Jm. Hannowerskiego, (który nie jest jako Król Hiszpański za morzem) mogła już nie raz ale kilka razy stanąć etc. i żywo z nimi o to expostulowałem jako się w relacyach do Króla Jm. obszernie opisało, oraz i ich repliki i jako to omieszkanie exkuzowali, tamże opisałem. Byłem potym u JP. Grafa Stadiona, prosząc go, ponieważ memoriał już był wszystkim kommunikowany, aby chciał Ministrów wszystkich convocare, dla wzięcia de super rezolucyi potrzebnych, co na dzień jutrzejszy

uczynić deklarował i secundować o tak słuszne instancye Imieniem Elektora Jm. Moguńckiego obiecał i potrzebował, aby mu in compendio napisać niemieckim językiem dla łacniejszego innym wytłómaczenia desideria Króla Jm. i Rzplitej. Com obiecał, i zaraz jachałem do JP. Grafa Werthera, Posła Saskiego, prosząc aby jako dobrze wiadomy tych interessów, raczył je compediose et punctatim po niemiecku napisać: co gdy nie bawiąc uczynił, posłałem zaraz te informacye pomienionemu Ministrowi. Przed wieczorem Mgr. Albani przysłał swego Cawalera, prosząc Królewica Jm., mnie, JP. Miltiza i Morteisena na objad do siebie na dzień jutrzejszy, na który dzień i Saskich wszystkich Posłów zaprosił. Tegoż dnia samym wieczorem byłem u JP. Grafa Schliebena, odjeżdżającego nazad do Wiednia, który kilka razy był u mnie. Na kolaciey byliśmy z Królewicem Jm. u JP. Barona Frisa, zkąd późno w nocy powróciliśmy.

15. Obris. Monsieur le Baron Görtz pierwszy, za którym potym przyjachał Mr. Schrader, drugi Poseł Hannowerski, byli u mnie rano, deklarując, że już odebrali ordynans wyraźny od Elektora Jm. Hannowerskiego, aby się we wszystkich rezolucyach co concernent moje propozycye, akkomodowali ad majora Vota, to jest ad pluralitatem Votorum innych Elektorów i sam mi ordynans oryginalny praezentowali. Za co im podziękowałem i zaraz tę deklaracią kommunikowałem Jm. PPnom Posłom Saskim: a że Elektor Jm. Palatinus Rheni tego dnia odjeżdżał do zamku swego Szwecingen nazwanego na łowy dziesięć mil ztąd, a mila tylko od Heidelbergu rezydenciey swojej, którego miał i Elektor Jm. Trewirski tamże wkrótce sequi. Więc prosiłem o audyencyą Elektora Jm. Palatinum i byłem u niego przed południem, życząc drogi szczęśliwej i prosząc, aby Ministra, którego zostawić tu na miejscu swoim raczył, dla zakończenia tych interessów, i wzięcia rezoluciey nad memoriałem, która ex re videbit. Co deklarował. Byłem potym u JP. Grafa Stadiona, który że dla pewnych przeszkód odłożyć konferencye cum Ministris musiał, obiecał ich na dzień jutrzejszy convocare i actu ich dziś obesłał. JP. Graf Werther był u mnie na konferenciey. Także Mr. Miltiz Consiliarz Xcia Landtgrafa de Darmstadt, brat JP. Miltiza, co jest przy Królewicu Jm, był u mnie z wizytą. Na objedzie byłem z Królewicem Jm. u Mgra Albaniego, gdzie pro miscue siedzieliśmy u stołu, nie uważając miejsca wyższego; na tym objedzie byli wszyscy trzej Posłowie Sascy JX. Salerna, l'Abbé Bussi synowiec Nunciusza w Coloniey będącego, le Marquis Santbecari z Bono-

niey, in summa z Królewicem Jm. i z naszą kompanją osób 15, gdzie Królewic Jm. był nadzwyczaj kontent i wesoły, jakoż był splendidissime częstowany i z wielkim honorem przyjęty, bo sam Mgr. Albani przyjmował go u karety i odprowadzał do karety. Tegoż dnia byłem chez Madame la Comtesse de Waldeck, która jest Abbatissą w Westphaliey, nad pannami zacnego urodzenia wiary luterskiej, odwożąc jej konterfekt Królewica Jm., o który prosiła i tegoż dnia odjachała z Frankfortu.

16. 8-bris. Conferencia była wszystkich Ministrów u JP. Grafa Stadiona nad moim memoryałem i po różnych kontrowersyach wzięto rezolucye bardzo dobre in favorem Króla Jm. i Rzplitej i postanowiono pisać o tym do Cesarza noviter obranego, rekommendując onemu interessa Rzplitej, et exhortando aby assistat Królowi Jm. i Rzplitej, którego sami Elektorowie secundować deklarują przeciwko Turkom i aby manuteneat neutralitatem, aby Polska albo Saxonia non invadatur od Szwedów à Provinciis in Imperio sitis etc. etc. jako się te rezolucye obszernie w relacyach do Króla Jm. opisały. Tegoż dnia Mr. le Comte Weltz, Consiliarz Cesarza Jm. przeszłego, był przed gospodą, chcąc być u mnie, ale mię nie zastał.

17. 8-bris. Ponieważ Elektor Jm. Trewirski odjażdżał (jako się wyżej namieniło) do Schwetzingen ad Electorem Palatinum na łowy, byłem u niego życząc drogi i powrotu szczęśliwego, oraz prosząc, aby Minister, którego na miejscu swoim zostawił dla zakończenia tych interessów i expedyowania rekomendaciey do Cesarza Jm., co ochotnie deklarował i naznaczył Mr. Langenbacha Consiliarza swego, dawszy mu ordynans, aby we wszystkim secundował desideria Króla Jm. i Rzplitej. Byłem potym przed gospodą JP. barona Huntheim, pierwszego ministra Electoris Palatini, ale żem go nie zastał, bo już wyjachał był za Principałem swoim do Szwecingen. Więc byłem u JP. barona Zikingen, co tu był Posłem na elekcyą przed przyjazdem samego Elektora Jm., którego także już na siadaniu w tę drogę znalazłem i rekommendowałem mu też interessa, aby u Elektora Jm. o prędką expedycyą dopomógł. Tegoż dnia Mngr. Albani przysławszy wprzód Cawalera swego, potym sam przyjachał z ceremonją i assistencyą w karecie wielkiej bogatej, wewnątrz i z wierzchu haftowanej, sześcią końmi; domowi wszyscy pazio i lokaje przed nim szli, w karecie z nim siedzieli l'Abbé Bussi i jeden jegoż kawaler; Królewić Jm. do wschodów wychodził, rękę ustępując et passum, dając titulum Excellentiae i krzesło praesentując, ale siedzieć nie

chciał. Zabawiwszy się blisko pół godziny, pożegnawszy Królewica Jm. (bo nazajutrz odjeżdżał do Coloniey) retyrował się, którego Królewic Jm. tymże jako przyjmując sposobem do wschodów odprowadzał, a jam sprowadzał na dół i Mr. Miltiz i inni Kawalerowie Sasscy, co się byli dla assistenciey Królewicowi Jm. zgromadzili. Tegoż dnia Mr. le baron Tastung, pierwszy Minister Elektora Jm. Trewirskiego był u Królewica Jm., chciał być i u mnie, ale mię nie zastał. Byli potym u mnie Mr. le baron Hagen, drugi poseł Saski i Mr. le baron Drost Canonik de Paderborn, który z Rzymu noviter przyjachał i list do mnie i rekommendacyą od JXdza Szenka przywiózł, aby go praesentować Królewicowi Jm.

18. 8-bris. W dzień urodzenia Królewica Jm. JMcie PP. posłowie Sascy i innych wiele Kawalerów byli z powinszowaniem u Królewica Jm., który tego dnia rok szesnasty począł. Tegoż dnia był w mieście triumph ex occasione elekciey szczęśliwie skończonej, Magistrat z dział bić kazał do koła miasta rano o szóstej, w południe i wieczór, za każdą razą po trzy razy dokoła strzelano; w dzwony po kościołach dzwoniono, Te Deum laudamus etc. w ich kościele przy muzyce spiewano etc. etc. Tegoż dnia byłem u Mgra Albaniego i konferencyą miałem z nim dosyć długą i JX. Salerną. Mr. Langenbach, Minister Elektora Jm. Trewirskiego był u mnie z wizytą i oddał mi imieniem swego Principała literas recredentiales, to jest respons ad meas credentiales literas. Na kolaciey byliśmy u Jm. P. barona Frisen, gdzie był koncert z trzech luteń, to jest Capelmaister Elektora Jm. Mogunckiego z dwoma córkami grał, ale córki ojca samego przeszły in perfectione. Także na osobliwym instrumencie na kształt cymbałów, ale delikatniejszym nierównie, na dwieście strun mającym grał, pewny sławny muzykant z Lipska Pantaleon nazwany z niewymowną prędkością i perfekcyą. Z tej kolaciey późno w nocy powróciliśmy do gospody.

19. 8-bris. Pożegnałem rano Mgra Albaniego. Byłem potym chez Mr. Lasser Vice Chancellier de Majence, który gdy mi kommunikował list à Collegio Electorali napisany do Cesarza Jm. i już podpisany od Elektorów Jm. Moguncklego, że w nim nie znalazłem terminów pewnych essencialnych, prosiłem, aby odmieniono i dołożono terminy opuszczone. W czym wielkich zażyło się trudności, jednak, że szło de autorithate Elektora Jm., że już był podpisał, druga że mutationem hanc trzeba było kommunikować wszystkim Ministrom dla consensu, ile że już ten pierwszy

list per dictaturam był im z Cancellariey kommunikowany, jednakże fortiter instìti z racyi fundamentalnych, które obszernie w relacyach do Króla Jm. opisałem i byłem zaraz w tejże materiey u JP. Grafa de Stadion. Tegoż dnia byli u Królewica Jm. Mr. le Comte Lerchenfeldt, Mr. le Comte Bavarois, Mr. Adlersberg Rezydent Xżcia de Wolffenbutel. Byli także u mnie JM. PPwie Lubomirscy młodzi, synowie JP. Kasztelana Krakowskiego, Hetmana W. Kor. z waledykcyą, ponieważ odjeżdżali do Heidelbergu, a ztamtąd do Akademiey w Nancy w Lotharingiey.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyk Nietzsche

i jego znaczenie w ruchu umysłowym współczesnym.

Ruch umysłowy rozpoczął się w początkach wieku XIX. potężnym wzlotem pod wpływem filozofii Kanta, rewolucyi francuskiej, tudzież pod wpływem wielkich odkryć i wynalazków, wszystko to razem zapowiadało jak gdyby nową erę ludzkości. Ruch ten miał w początkach zeszłego wieku charakter idealno-romantyczny. Po trzech dziesiątkach lat stosunki zmieniły się, nastała reakcya: umysły zaczął opanowywać empiryzm i przyrodniczy dogmatyzm: dokonał się zwrot do pracy na polu przemysłu, do finansowości, do handlu. Ludwik Filip zawołał do Francuzów: „Bogaćcie się“, a za tym hasłem poszli nie tylko Francuzi, ale poszły wszystkie narody europejskie. Rok 1848 stanowił w tej fazie przerwę krótką tylko, prąd zaś dawny trwał i rozwijał się dalej. Dopiero znowu w latach między 1860—70, a szczególnie po roku 1870 zaczęły stosunki nowej ulegać przemianie. W dziedzinie nauki i filozofii przyszło do pewnego krytycznego opamiętania się, literaturę zaczął ogarniać pesymizm: Schopenhauer stał się filozofem modnym i wpływowym nie wśród uczonych, ale w kołach inteligencyi, u literatów i poetów. Nawet teorye przyrodnicze takie jak np. ewolucyonizm, zaczęły wzniecać nowego rodzaju idealne nastroje. Zagadnienia społeczne wysunęły się nagle na plan pierwszy, rozpoczęła się walka o prawa polityczne najszerzej pojęte, o warunki bytu społecznego znośne dla wszyst-

kich, dalej walka przeciw egoizmowi klasowemu na różnych polach. Równocześnie nauka i filozofia zaczęła stawać się coraz więcej krytyczną: dawny dogmatyczny sposób patrzenia na zagadnienia naukowe, ustępywał powoli przed sposobem patrzenia nowym historyczno-krytycznym. Równocześnie, rzecz dziwna, rozbudził się na nowo interes do zagadnień, które uważano w połowie wieku za pogrzebane t. j. do zagadnień religijnych. Religia zaczęła zarówno w polityce jak w nauce i we filozofii coraz większą odgrywać rolę. Przyszło do niespodziewanego odrodzenia się powagi i znaczania kościoła chrześciańsko-katol. i papiestwa.

Z tego wszystkiego wyniknęło potężne zwarcie się przeciwieństw, zakotłowało w umysłach i zawrzała walka między chrześciańskim a antychrześciańskim poglądem na świat tak gwałtowna i namiętna jak nigdy przedtem. Walkę tę wczeli nietylko politycy tacy jak Bismark i wszyscy jego mali naśladowcy, nie tylko ekonomiści, działacze społeczni, dziennikarze i literaci, ale także ludzie nauki, najrozmaitszego pokroju historycy, filologowie, przyrodnicy wreszcie filozofowie, których to ostatnich liczba zaczęła nagle wzrastać w ostatnich latach wieku XIX. Stało się bowiem przy końcu wieku coś niezwykłego, oto wraz z zagadnieniami religijnemi, odżyła również filozofia i metafizyka, którym to czynnikom umysłowym w połowie wieku usiłowano także zgotować wieczny spoczynek w magazynie historyi.

Tak więc rozpoczął się pod koniec stulecia na wszystkich polach wir i zamęt szalony, sprzyjało mu zaś bardzo wielkie zbliżenie się ludzi i narodów pod wpływem ułatwionych komunikacyj, tudzież dziennikarstwa rozwiniętego do rozmiarów niebywałych. Na wszystkiem wycisnęła jednak piętno najwydatniejsze, walka poglądu na świat antychrześciańskiego z chrześciańskim. Widząc odradzający się kościół i chrześciaństwo przeciwnicy jego, powiedzieli sobie: „raz z niem należy skończyć, albo teraz, albo nigdy. Trzeba dać ludzkości jakąkolwiek religię nową, starą wyprzeć i wyrugować z umysłów całkowicie i gruntownie“. Nie wszyscy jednak przeciwnicy chrześciaństwa zdawali sobie jasno sprawę z tego, co właściwie uczynić należy. Przeważna liczba była takich, którzy odrzucali wprawdzie zasadnicze podstawy chrześciaństwa, odrzucali chrześciańską metafizykę i z nią w związku stojący dogmat, czynili to zaś w imię nowych poglądów historycznych i przyrodniczych, ale jednak w zakresie etyczno-społecznym, w stosunkach prawnych, w dziedzinie wreszcie życia osobistego i towarzyskiego, pragnęli zatrzymać wiele pierwiastków z czasów

dawnych. Zaczęła więc pod takiemi wpływami ucierać się zasada połowiczna, prawdziwie filisterska zasada, że religia jest rzeczą prywatną, niech sobie ją ten lub ów w razie potrzeby pojmuje tak lub owak, byle tylko nie mięszał jej do nauki, do filozofii, a szczególnie do polityki, zasady zaś moralne dawne, tudzież porządek towarzyski i społeczny na nich oparty ma pozostać, gdyż z nim dosyć wygodnie. Następstwem takiego stanu rzeczy, była atmosfera zgniła i trująca, która wytworzyła się na schyłku wieku zeszłego; obłuda nie tylko wobec drugich, ale także, co jest najgorsze, obłuda i nieszczerość względem siebie samego, zaczęły rozpowszechniać się coraz więcej, a zamęt niesłychany wzrastał.

Jednakże ruch umysłowy wieku XIX. nie skończył w bagnie! należy to z naciskiem podnieść na jego zasługę. Jak w polityce odświeżyło się, gdyż wystąpiła na widownię dziejów Japonia, tak to samo stało się także w dziedzinie ideowej. Wiek XIX. żegnając się z nami i mając zapaść się w otchłań wieczności, wydał ostatnie dziecko swoje, przysłał nam geniusza na obraz i podobieństwo własne, pełnego grozy, potęgi i sprzeczności. W umyśle tym wielkim zakotłowało raz jeszcze to wszystko, co wiekiem całym wstrząsało i sprowadziło wybuch groźny, ale pełen polotu niesłychanego, pełen wielkości i majestatu nieopisanego. Najbardziej charakterystyczną cechą tej myśli gienialnej to szczerość i odwaga w wyprowadzaniu wszędzie i na każdem polu wyników ostatecznych, nie cofanie się przed niczem, walka z obłudą, z połowiczością, ze wszystkiem, co truje i zgniliznę sprowadza, zdarł on maskę z udawania wszelakiego, a podłość i nikczemność, strojącą się w pozory, cnoty i prawdy stratował w sposób bezlitośny. Do spokoju i równowagi nie doszedł nigdy, tak samo jak i wiek, który go wydał, ale, co jest najważniejsze, na umysłowe i moralne bagno europejskie z końca stulecia puścił prąd świeżego powietrza i tak umożliwił rozjaśnienie się kierunków ideowych i dążności w czasach późniejszych. Tym geniuszem, którego tu mam na myśli, jest największy z pisarzy niemieckich z końca XIX. wieku — F r y d e r y k N i e t z s c h e.

Urodził się Fryderyk Wilhelm Nietzsche w Röcken około Lützen, dnia 15. paźdz. 1844 r. Ojciec jego kształcił się na teologa, był jakiś czas nauczycielem domowym na dworze Altenburskim, w końcu został proboszczem w Röcken. Był to człowiek szanowany, zdolny, pełen uczuć głębszych, a przytem zamiłowany w muzyce, co niewątpliwie odbiło się także dziedzicznie na synu. Umarł w parę lat po urodzeniu się syna tj. w r. 1849. Dziad

Nietzschego był superintendentem, pisał wiele, a szczególnie żywo zajmował go ruch religijny. Matka Franciszka była z domu Oehler, osoba wesoła i żywego usposobienia, miała lat 24, gdy ją mąż odumarł, ojciec jej zaś był także pastorem. Można więc powiedzieć, że duch protestantyzmu religijnego i prawowiernego czuwał nad kolebką Nietzschego, zamiłowanie zaś do zagadnień religijnych i moralnych tkwiło mu już we krwi. Jego wielka później do chrześciaństwa nienawiść dowodzi najlepiej, jak blizkie mu ono było niegdyś, coś w rodzaju propagatora religijnego leżało niewątpliwie na dnie jego osobistości. Nietzsche sam wyprowadzał pochodzenie swojej rodziny z Polski a mianowicie od Nieckich herbu Radwan. Miała to być rodzina protestancka, która przeniosła się do Niemiec w początkach wieku XVII. Istotnie Niesiecki w herbarzu swoim wspomina, iż niejaki Gotard Niecki przeniósł się w roku 1632 do Prus, w ostatnich zaś czasach podał dr. Bernard Scharlitt wiadomość, iż znajduje się w posiadaniu rodziny Nietzschego stara pieczątka z herbem Radwan. Jako fakt znamienny należy podnieść, iż Nietzsche chlubił się tem swojem polskiem pochodzeniem i cieszył się wielce, gdy go za granicą brano za Polaka, co mu się też istotnie nieraz wydarzyło, miał bowiem rysy i typ polskiego szlachcica. Jego skrajny indywidualizm ma w sobie także coś słowiańskiego. Zachwycał się Nietzsche polskiem „*Liberum veto*“, o Koperniku zas wyrażał się z podziwem, iż jako Polak rzucił światu w oczy swoje *Liberum veto* i stanął w sprzeczności z doświadczeniem zmysłowem całej ludzkości; uwielbiał także Chopina za to, że uwolnił muzykę od wpływów niemieckich i od zamiłowania w brzydocie i w ponurości. Wspomina też Nietzsche i w listach pisanych do przyjaciół o tem swojem pochodzeniu, nadmieniając, że właściwie nazywa się Niecki (*Nietzky* w pisowni niemieckiej), co go bardzo cieszy, gdyż Niecki znaczy po polsku niszczyciel, nihilista, duch wiecznego przeczenia.

Po śmierci ojca przeniosła się matka wraz z dwojgiem dzieci, Fryderykiem i Elżbietą (obecnie pani Förster-Nietzsche, kierowniczka archiwum N-go w Wajmarze) do Naumburga nad Salą, gdzie rozpoczęło się wychowanie szkolne dzieci, z początku w szkole wydziałowej, później w gimnazyum. Niezwykłe uzdolnienie chłopca sprawiło, iż otrzymał miejsce funduszowe w szkole wyższej w Pforta, gdzie aż do roku 1864 pozostawał. Tutaj rozbudziło się u Nietzschego zamiłowanie do filologii i historyi, naukami natomiast przyrodniczemi nie miał sposobności zajmowania

się, zaś do matematyki brakło mu wprost uzdolnienia. Już w gimnazyum zwrócił on uwagę na poetę greckiego Teognisa z Megary. fakt ten jest ważny, albowiem u tego właśnie poety spotykamy się z poglądami na moralność odpowiadającymi późniejszym zapatrywaniom Nietzschego. W ostatniej też klasie gimnazyum zaczął zajmować się dziełami Ryszarda Wagnera: z owych także czasów pochodzą pierwsze jego zachwyty dla dziewiątej symfonii Bethowena tudzież dla dzieła Aischilosa i Platona. W tych samych latach zawiązał także przyjaźń z Deussenem obecnie profesorem filozofii w Kielonii. Lata od roku 1864 do 1867 spędził Nietzsche na uniwersytetach, najpierwej w Bonn później w Lipsku. W Bonn najznakomitszymi jego nauczycielami byli Ritschl i Jahn. Gdy Ritschl pokłóciwszy się z Jahnem, przeniósł się do Lipska. uczeń poszedł za nim i słuchał w Lipsku wykładów Curtiusa, Roschera (ekonomisty). Tischendorfa oryentalisty. W czasie gdy Nietzsche był uczniem uniwersytetu lipskiego. wyszły pierwsze jego prace. Po uniwersytecie przyszła kolej na rok służby wojskowej. odbył ją od jesieni 1867 do jesieni 1868 r. w pułku artyleryi w Naumburgu. W wojsku skacząc na konia uległ wypadkowi. chorował ciężko. a po chorobie udał się znowu do Lipska. Tu zaczął przysposabiać się do promocyi doktorskiej i do habilitacyi na docenta prywatnego. Ale zanim jeszcze jednego i drugiego dokonać zdołał. powołano go na profesora do Bazylei. Wydział filozoficzny w Lipsku nadał mu doktorat bez egzaminu. tylko na podstawie prac i tak już w 24 roku życia kończą się dla Nietzschego lata nauki. a zaczyna się okres nauczycielski.

Do charakterystyki czasów studenckich należy jeszcze dodać. że w Bonn wstąpił Nietzsche z Deussenem do związku burszów „F r a n c o n i a“. nabrał jednak do tego rodzaju życia takiego obrzydzenia, że go ze związku wyrzucono. gdy kolegom zaczął zbyt dosadnie wykazywać. czem oni są. Nieprzezwyciężony wstręt do palenia. do pijaństwa i do rozpusty. oto jedyna korzyść, którą wyniósł Nietzsche z tego swojego krótkiego wśród burszów pobytu. Zdaje się, że w Lipsku zerwał także stanowczo z chrześciaństwem na wierze pozytywnej opartem. Łatwo zrozumieć. że nie mogło być inaczej. Suchy a połowiczny protestantyzm nie mógł zaspokajać potrzeb tego umysłu gorącego: zresztą nie szukał on spokoju. którego nie mogło mu dać zawieszone w powietrzu zreformowane chrześciaństwo. lecz szukał prawdy: „Czyż w badaniach naszych“ — pisze do siostry — „szukamy ciszy. spokoju. szczęścia? Nie! Tylko prawdy szukamy, choćby najbardziej odstrasza-

jącej i szpetnej? Chcesz być uczniem prawdy, to badaj!" Tak budzi się w nim i całe jestestwo opanowywa namiętna miłość i pragnienie prawdy, niech ona będzie jaka chce, byle była prawdą. Staje się więc Niętzsche powoli „filozofem" w dosłownem tego wyrazu znaczeniu, to jest miłości i prawdy miłośnikiem. Najwznioślejszy *Eros* w znaczeniu Platońskiem, oto treść całego jego życia dalszego. W Lipsku zapoznaje się także z filozofią Schopenhauera i przez dalszych lat dziesięć widzimy go jej uczniem. Zachwyciły go głównie dwie myśli Schopenhauera, tj. myśl metafizyczna o pierwotności woli i etyczna o wyzwoleniu: sprzeczności jednako tkwiące w rozwinięciu systemu dostrzegł wcześnie. W Lipsku zaprzyjaźnił się także z Erwinem Rhodem, znakomitym później filologiem i przejął się bezgranicznem uwielbieniem dla Ryszarda Wagnera. Napewno można twierdzić, że już w tych czasach zarysował się przyszły kierunek umysłowy Nietzschego. Z zawodu filolog, narzeka jednak na drobiazgowość studyów filologicznych: „Nasz sposób pracowania" — pisze w liście do Gersdorfa — „jest straszny, te sto książek, które leżą przedemną na stole, to tyleż kleszczy wypalających we mnie nerw samoistnego myślenia". Na prawdę zajmywały go już wówczas nie zagadnienia szczegółowe, lecz widnokręgi dalekie i pomysły bardzo szerokie. Powołany więc do Bazylei na profesora, rozwija tam Nietzsche działalność z duchem ówczesnej uczoności filologicznej wcale niezgodną. W kwietniu roku 1869 przybywa do Bazylei i pełen otuchy rozpoczyna zawód profesorski od wykładu „Homer i filologia klasyczna". Już w marcu 1870 zostaje profesorem zwyczajnym, ale w lecie wybuchła wojna: jako Szwajcar naturalizowany wstępuje do oddziału sanitarnego: pielęgnując chorych nabawia się sam ciężkiej choroby i ze zdrowiem już na zawsze nadwerężonym wraca do Bazylei na katedrę, zabiera się do pracy zawodowej, ale siły nie wytrzymują. W styczniu 1871 r. uzyskuje urlop: także później w latach 1875/6 i 1876/7 przerywa wykłady: dla poratowania zdrowia bawi we Włoszech, zresztą pełni obowiązki swoje gorliwie, aż na koniec w roku 1879 na wiosnę ustępuje zupełnie ze zajmowanego stanowiska. Jego wykłady w Bazylei obejmowały różne działy filologii, głównie jednak zajmował się w nich historyą literatury greckiej: napisał także parę rozpraw ściśle naukowych, w roku zaś 1871 ogłosił pierwsze swoje sławne dzieło: „*Geburt der Tragödie aus dem Geiste der Musik*". Z czasów bazylejskich pochodzą także jego „*Unzeitgemässe Be-*

trachtungen“ tudzież *„Menschliches Allzumenschliches ein Buch für freie Geister*“ (1878). Co do wpływów duchowych, to w Bazylei miejsce Schopenhauera, którego znał tylko z dzieł, osobiście zaś nigdy go nie widział, zajmuje Ryszard Wagner. Stosunek Nietzschego do Wagnera przeszedł w czasach bazylejskich wszystkie stopnie. Najpierwej oddany mu całkowicie, pragnie pod wpływem Wagnera zreformować całą sztukę współczesną. W towarzystwie Wagnera przebywa w latach 1869 i 70 nad jeziorem czterech kantonów: mistrz muzyk, a równocześnie poeta stają się dla niego wcieleniem prawdziwie filozoficznego ducha: odtąd dla Wagnera jedynie gotów działać i całkowicie się jemu poświęcić. Owocem tego niesłychanego zapału dla Wagnera było właśnie dzieło: *Die Geb. der Trag.* Olbrzymi był wpływ tego dzieła na Wagnera, tegoż rodzinę i wszystkich jego zwolenników, natomiast filolodzy z zawodu przyjęli je z lekceważeniem. Willamowitz von Möllendorf, obecnie profesor filologi w Berlinie, napisał osobną broszurę, w której napadł na Nietzschego w sposób bardzo gwałtowny. Odpowiedzieli mu niemniej ostro w obronie przyjaciela sam Wagner tudzież Erwin Rhode. W dziele *„Unzeitgemässe Betrachtungen*“ przebija się także jeszcze gorący kult dla Wagnera.

Ale już w roku 1874 rozpoczyna się zwrot.

Wagner staje się coraz większym mistykiem, twórczość jego przybiera cechy coraz więcej religijne, jakieś szczególnego rodzaju dążności metafizyczne zaczynają go opanowywać; przeciwnie Nietzsche zwraca się coraz więcej do życia rzeczywistego, duch czasu zaczyna go ogarniać: oddaliwszy się od Schopenhauera przechyla się nie do mistycyzmu, ale raczej do pozytywizmu.

Wreszcie do zerwania przychodzi w roku 1876.

W tym to właśnie roku odbywały się pierwsze przedstawienia oper Wagnerowskich w Bayreuth. Nietzsche przybył zaproszony, ale uciekł już zaraz po pierwszych próbach, wrócił raz jeszcze, jednak nie mógł przekonać się do nowej sztuki i zerwał z Wagnerem na zawsze. W czasie przedstawień w Bayreuth powziął plan dzieła *„Menschliches Allzumenschliches*“, które uważać należy za pierwszego zwiastuna jego właściwej filozofii. „Teraz nareszcie odważyłem się“ — pisze — „szukać mądrości samoistnie, odważyłem się zostać filozofem, gdy pierwej uwielbiałem tylko filozofów.“ — Posłał Niętzsche dawnemu przyjacielowi egzemplarz swojego nowego dzieła, równocześnie zaś Wagner posłał mu tekst Parsivala. Przesyłki skrzyżowały się dziwnym zbiegiem okoliczno-

ści i odtąd obaj stali się dla siebie obcymi. Wagner przeszedł ostatecznie do mistyki. Nietzsche do pozytywizmu. Jeżeli zapytamy. dla czego ci tak serdeczni niegdyś przyjaciele rozstali się ze sobą, to można odpowiedzieć, iż stali się oni sobie obcymi dlatego, gdyż ich poglądy na świat rozeszły się w kierunkach najzupełniej ze sobą sprzecznych. tak samo. jak to zresztą dokonywało się w całej umysłowości europejskiej z owych czasów. Mistycyzm albo pozytywizm. zwrot do chrześciaństwa z jednej, do myślenia tak zwanego „ściśle naukowego“ z drugiej strony. oto co się przygotowywało. Te dwa prądy sprzeczne porwały także Wagnera w jednym, a Nietzschego w drugim kierunku. Być może, iż do rozdziału przyjaciół przyczyniły się także jakieś niechęci osobiste lub plotki. ale były to na pewno pobudki natury drugorzędnej.

Ostatni okres twórczości Nietzschego. obejmuje lata od 1879—1889.

W Bazylei stracił zdrowie. opuścił posadę i przyjaciela najlepszego. pozostała mu tylko jego nowa filozofia: odtąd prowadził życie wędrowne. lata spędzał w Engadynie. zimę na Riwierze albo we Włoszech. Cierpienia fizyczne jednak zwiększały się ciągle, ogólny rozstrój nerwowy wzrastał. życie stawało się dlań — jak sam pisze — „s t r a s z n y m c i ę z a r e m“: W takich to warunkach powstają główne jego dzieła. W roku 1880 wychodzi *„Der Wanderer und sein Schatten“*, w 1881 *„Morgenröte“*, w r. 1882 *„Die fröliche Wissenschaft“*, od 1883 do 85 *„Also sprach Zarathustra“*. W lecie 1886 wydał *„Jenseits von Gut und Böse“*. W r. 1887 *„Zur Genealogie der Moral“*. Jeszcze rok 1888 obfituje w nowe prace. na wiosnę pisze: *„Fall Wagner“*. w lecie *„Götzendämmerung“*. w jesieni zaś *„Antichrist“*, jako pierwszą część wielkiego dzieła. które miało wyjść pod zbiorowym napisem *„Wille zur Macht Versuch einer Umwertung aller Werte“* wreszcie w grudniu 1888 pisze: *„Nietzsche contra Wagner“*. do tego przybywa jeszcze wiele niezużytkowanych ułamków, przybywają liczne poezye filozoficzne. pomysły. studya. Istny filozoficzny Eros opanowywa go w stopniu coraz wyższym i z jakiegoś z początku geniusza dobroczynnego przekształca się dlań w demona strasznego od zerwania z tradycyami religijnemi domu rodzinnego. prowadzi go dalej do zerwania z metafizyką Schopenhauera. z mistyką Wagnera. aż do pozytywizmu. który go jednak także zadowolić nie zdołał. Zrywa powoli ze wszystkiemi złudzeniami, ze wszystkiem co ukochał, a przytem owłada nim jakiś dziwny fanatyzm i chęć

nawracania wszystkich na swoją nową wiarę. Przyjaciele zaczynają powoli odsuwać się od niego, publiczność czytająca nie rozumie jego dzieł nowych, prasa, krytyka, uniwersytety ignorują go. Skarży się Nietzsche na opuszczenie, na samotność. „Jestem coraz samotniejszy“ — pisze w jednym z listów — „coraz chłodniejsze wieją na mnie wichry — o jakże wszystko odemnie ucieka, około mnie tylko moje dawne zagadnienia *czarne jak kruki*. Oto samotność! nie mam nikogo, ktoby dzielił ze mną moje *tak* i moje *nie*“.

Zanim jednak los jego spełnił się, doczekał się Nietzsche jeszcze pierwszych błysków uznania. W roku 1888 ogłosił znany Brandes w uniwersytecie w Kopenhadze wykłady o nim, liczba słuchaczy była ogromna, dzienniki zajęły się i wówczas zaczął doznawać pierwszych wrażeń zbliżającej się sławy. Ale już w styczniu 1889 r. popadł w chorobę umysłową nieuleczalną. W Turynie dostał napadu apoplektycznego, przewieziono go do zakładu obłąkanych w Bazylei, potem do instytutu w Binswangen w pobliżu Jeny. W marcu 1890 zabrała go matka do Naumburga, a po jej śmierci siostra do Wajmaru, gdzie umarł w r. 1900. Pochowano go w Röcken na wiejskim cmentarzu obok rodziców bez żadnych ceremonij religijnych, pożegnał go tylko nad grobem w imieniu młodzieży jakiś obcy nikomu nieznany student niemiecki. Oto krótki rys życia tego myśliciela i pisarza miary niezwykłej.

A teraz zwróćmy się do jego filozofii.

Na wstępie należy przedewszystkiem stwierdzić, iż charakterystyka jego poglądu na świat nastręcza wielkie trudności. Nietzsche bowiem nie był nigdy systematykiem, poglądów swoich nie rozwijał w formie rozpraw lub naukowych wywodów, opracowanych metodycznie, jak to czynili i zwykle czynią inni filozofowie. Był to umysł nie tylko filozoficzny, ale przedewszystkiem poetyczny, dla którego jedyną w życiu namiętnością było pragnienie prawdy; przeważał u niego zawsze nastrój dytyrambiczny, opanowywał go jakby jakiś szał dionizyjski i wówczas wyrzucał z siebie owe wspaniałym stylem pisane aforyzmy. Do spokoju Nietzsche nie doszedł nigdy, jego pogląd na świat zmieniał się ciągle: zaledwo ujął jakąś myśl lub zasadę w formę stałą, zaraz szedł dalej, przekształcał ją, rozwijał i urabiał na nowo. Jego filozofia to nie jakaś teorya spokojnie opracowana, to raczej cząstka jego istoty, coś, co on czuł, czego doznawał. Szukając pra-

wdy cierpiał lub radował się, dźwigał się w tryumfie ku górze, lub zrozpaczony upadał. Mógł on mówić razem z Mickiewiczem: „Myśli moje! gwiazdy moje! Czucia moje! Wichry moje!“ Jest to bardzo możliwe, że takie Nietzschego usposobienie miało jakiś związek z jego pochodzeniem słowiańskiem. W każdym razie jest on w dziejach myśli niemieckiej zjawiskiem całkiem niezwykłem i odosobnionem. Wprawdzie filozofem z nastrojem był już Schopenhauer, ale ten nastrój był u niego sztuczny; kto zna życie Schopenhauera, wie dobrze, iż pisał inaczej, a innym był w życiu: przeciwnie Nietzsche, ten wlał w pisma swoje całą gorącą duszę swoją. Jego życie to tragedya, będąca wynikiem współczesnego przesilenia umysłowego, tragedya rozdzierająca, potężna, rozegrała się zaś w jednej duszy pod wpływem tych wszystkich czynników, które umysłowość europejską przy końcu XIX. stul. opanowały. Jego los to wielkie „*Memento*“ dla każdego, kto je usłyszeć i zrozumieć zechce.

Gdy wiele umysłów powierzchownych z ostatnich dziesiątków lat wieku zeszłego przyjmowało lekkomyślnie dokonywujący się w poglądach na świat przewrot, gdy nawet umysły głębsze dochodziły do zerwania z dawnemi zapatrywaniami i wierzeniami z pewnym względnym spokojem; stawali się pesymistami, skeptykami, pozytywistami, agnostykami, ale tylko w teoryi, nie tracąc wcale ani gustu do życia, ani nawet dobrego apetytu, to przeciwnie Nietzsche przypłacił te wszystkie przewroty własną swoją osobistością. Duch jego chłonął w siebie nową treść, ale promieniała z niego skutkiem tego wikłania się taka jakaś straszna demoniczna potęga, że nie wytrzymało tego najbliższe ducha otoczenie tj. własny mózg i pękła duszy pracownia poszarpana w kawały przez te „wszystkie pierwiastki wybuchowe, które tam nagromadziły się pod wpływem dążności z końca zeszłego stulecia. Należy wreszcie i na to także zwrócić uwagę, że Nietzsche był z zawodu filologiem-literatem, a przytem bardzo muzykalnie usposobionym, nie miał zaś wcale wykształcenia matematyczno-przyrodniczego, brakło mu więc jako filozofowi jedynego skutecznego na wybujałość myśli lekarstwa. Jak Herbertowi Spencerowi brakowało wyrobienia humanistycznego, tak Nietzschemu brakowało znowu tej szkoły, którą daje zamiłowanie do studyów matematyczno-przyrodniczych. Na obu tych myślicielach mamy oczywisty dowód, że na szczytne wyżyny syntez najwszechstronniejszych, zdołają wznieść się w naszych czasach tylko takie potęgi umysłowe, które równomiernie opanują i w sobie przetrawią zarówno

pierwiastki z dziedziny duchowej jak i przyrodniczej. Uwzględniając wszystkie trudności powyższe, spróbuję naszkicować krótko nie filozofię ale rozwój poglądów na świat, w umyśle Nietzschego.

Wychowany w protestantyzmie nie mógł on oczywiście znaleźć zadowolenia dla uczuć religijnych na tym suchym i jałowym gruncie, ale jednak odziedziczył po przodkach zapał do propagandy religijnej. Zerwawszy z chrześciaństwem, stał się zwolennikiem Schopenhauera, poszedł więc na tory pesymizmu, poczem pod wpływem Wagnera zaczął przechylać się do mistycyzmu. Ale łatwo to było bawić się pesymizmem takiemu Schopenhauerowi, łatwo być nim również takiemu Hartmannowi flegmatycznemu, ciężkiemu, a w pisaniu nad wyraz rozwlekłemu, który przy całym swoim pesymizmie nie uronił nic z brutalnej natury Prusaka. Nietzsche nie mógł zadowolić się pesymizmem, on szukał wyzwolenia i wydało się mu, że je znalazł w twórczości mistycznej Wagnera. Ale stając się zwolennikiem jego, przeliczył się z siłami umysłu własnego, to znaczy: — oceniał je zbyt nizko. Były one za wielkie, za śmiałe, zanadto rwące się do jasnego słońca prawdy, aby mógł był wystarczyć im mętny mistycyzm Wagnerowski. Wagner to oczywisty dowód i przykład rozpaczliwego stanowiska protestantyzmu. Zawieszony w powietrzu bez steru żadnego, bez podstawy, szuka Wagner oparcia w jakiejś mistyce najpierwej pragermańskiej, potem prachrześciańskiej. Muzyka jego niewątpliwie wielka, wspaniała, ale już rozsadzająca ramy twórczości muzykalnej, a przytem tak złożona, że żadna dusza prosta a namiętna w niej się nie rozkocha. Czyj umysł rwie się do światła i do prawdy, ten u Wagnera zadowolenia nie znajdzie. Oto powody, dla których zerwał Nietzsche z Wagnerem, zerwał zaś w czasie, gdy na niego nowe zaczęły działać wpływy. Jakie one były i na czem polegały, okazuje się z dzieła, które powstało w chwili zrywania z Wagnerem, „*Menschliches Allzumenschliches*“. Poświęcił je pamięci Voltaira, w setną rocznicę jego śmierci. Czyż ta dedykacya nie jest znamienną? Cóż się to stało? Oto śmiały duch Nietzschego szybując ku szczytom prawdy, skruszył pęta dogmatyzmu protestanckiego, przebił chmury mistycyzmu i dostał się na chłodne wyżyny skeptycyzmu, tu zaś wydało się mu, iż znalazł się już w krainie prawdy ostatecznej i powiedział sobie: „teraz zmierzam do prawdy samoistnie, teraz dopiero odważyłem się być filozofem na prawdę“. Jako prawda najwyższa przedstawił się jemu obecnie pogląd, że prawdy nie ma żadnej. W miejsce jakiejś niby prawdy, można doskonale

postawić fałsz, jeżeli on tylko na coś przydać się może. Zrzekać się fałszu, to znaczy zrzekać się życia.

A więc cóż jest prawdą? Oto prawdą jest, że zamiast dążyć i szukać jakiejś niby prawdy, mamy pragnąć zaspokojenia i silnego rozwinięcia instynktów życia. Życie najpełniej rozwinięte, życie najpotężniejsze, które przygniata wszystkie inne życia, które buja i rozrasta się i siłę swoją całemu otoczeniu uczuwać daje, oto prawda!

Zawiera ją biologia, głosząca zasadę walki o byt, tudzież oparta na niej teorya o wykształcaniu się coraz silniejszych instynktów życiu właściwych. Człowiek powinien być silny, powinien cieszyć się tym światem, do którego w całości i jedynie należy; nie jest jego rzeczą uwielbiać dobra lub jakieś cnoty, które sam sobie pozmyślał, lecz rzeczą jego jest poza wszelkiemi utartemi pojęciami o złem i dobrem, uważać za dobre to, czego chce wola pragnąca siły, mocy, panowania, gdyż takie tylko są cele życia: kto jest cały przepełniony pragnieniem panowania, kto nie pożąda ani używania, ni szczęścia, lecz siły, kto sam sobie prawa nadaje, kto sam siebie stwarza i sam sobą rządzi, kto jest wolny i silny, taki może być nawet miłosiernym, ale nie ze słabości, taki oto jest dostojny, zacny i możny, taki jest n a d c z ł o w i e k i e m. Dla nadczłowieka istnieje więc moralność całkiem odmienna, aniżeli dla reszty ludzi, on ma prawo wyznawać moralność pańską *(Herrnmoral)* w przeciwieństwie do moralności niewolników *(Sklavenmoral)*, która jest moralnością pokory, zaparcia się siebie, miłości bliźniego. Co jest dobrem? Wszystko, co stopniuje uczucie siły! — Co jest złem? Wszystko, co pochodzi ze słabości! — Co jest szczęściem? Uczucie, że siła wzrasta! Szczęście daje nie spokój, lecz walka, nie cnota, lecz tęgość, nie miłość ludzi, lecz miłość siebie samego. Ludzie nie są i nie powinni być równi. — Radykalizm artystokratyczny, oto stanowisko Nietzschego. Bezprawie nie tkwi nigdy, według niego, w nierówności praw, lecz w roszczeniu sobie prawa do równości. Złem jest co? Wszystko, co się rodzi ze słabości, z zawiści i z zemsty. Anarchista i chrześcianin jednego są pochodzenia. Oto jak się dokonywa u Nietzschego odwrócenie i przemianowanie wszystkich wartości *(Umwertung aller Werte)*. W pojęciu nadczłowieka można łatwo dostrzedz pewne niejasności i niedokładności.

Nadczłowiek mieni się w świetle dwojakiem. Raz jest to ów pan dostojny i możny, ów duch wielki samoistny, pojedynczy, górujący nad szarym tłumem, jakby *Król-Duch* Słowackiego;

drugi raz znowu przedstawia nam Nietzsche nadczłowieka, jako jakiś gatunek ludzki doskonalszy, do którego wytworzenia zmierza cały rozwój społeczny. „Człowiek jest ogniwem między zwierzęciem a nadczłowiekiem“ — woła Nietzsche w Zaratustrze. W jakimże to jednak celu mamy zmierzać do nadczłowieczeństwa? Wszak ze śmiercią wszystko się kończy? O wcale nie! I tu naraz zjawia się nam Nietzschego myśl w postaci nowej. Od pozytywizmu skeptycznego, od biologii i od uwielbienia siły, walki i życia przechodzi do wytworzenia nowej religii. Trudno bowiem nazwać inaczej jego wiarę w wieczyste, ciągłe, ponowne powtarzanie się wszystkiego *(Ewige Wiederkunft aller Dinge)*.

Taki jest dogmat nowej religii. Mamy więc dążyć do nadczłowieczeństwa dlatego, że tak, jak teraz żyjemy, będziemy żyli jeszcze nie wiem ile razy! Wszystko ciągle wraca i powtarza się na nowo.

„O jakżeż nie mam pałać do wieczności, do owego pierścienia ślubnego, będącego pierścieniem pierścieni wszystkich do owego kręgu wiecznie w siebie wracającego. Nigdy jeszcze nie spotkałem niewiasty, z którą byłbym pragnął mieć potomstwo, dopiero tę pierwszą, którą kocham, gdyż kocham Cię o wieczności“.

Główna myśl metafizyki Nietzschego w fazie ostatniej polega, zdaje się, na uznaniu, że jedynie rzeczywistemi są jakieś ilości dynamiczne, znajdujące się w stanie napięcia w stosunku do innych ilości dynamicznych. Wszędzie wszystko polega na stopniu oporu i na stopniu przemocy. Wszechświat to walka pierwiastków nierównych, każde ciało zmierza do opanowania całej przestrzeni i natrafia na opór. Wszystko sprowadza się do woli jednostkowych i punktacyjnych. Jest więc Nietzsche w metafizyce pluralistą, tak samo, jak w etyce jest indywidualistą. Niekiedy jednak mienią się jego poglądy także w świetle monizmu. „Pragnienie siły“ — pisze — „nie mogło powstać. Należy wyobrażać sobie świat jako jakąś określoną ilość siły i jako określoną liczbę ośrodków sił, każdy inny pogląd nie zda się na nic. Ten świat to potwór siły, która się tylko przekształca, to ocean jakichś mocy ciągle burzących się i wzbierających, oto ten mój świat dyonizyjski — on już był nie wiem ile razy i będzie jeszcze nie wiem ile razy.“ Zasada utrzymywania się

energii wymaga — jego zdaniem — wieczystego powtarzania się wszystkiego. Cała więc filozofia Nietzschego zbiega się ostatecznie w myśli, którą on tak wyraża: „W świecie co jest najbardziej pocieszającego, oto że nie ma on ani żadnego celu, ani sensu“.

Zaiste myśl ta musiała być dlań nie lada otuchą, skoro w walce tragicznej ze samym sobą i z własnym na świat poglądem doszedł do tego, że aż dostał pomieszania zmysłów. „Zagadnienia czarne jak kruki“ zagryzły go i zadziobały. Gdyby był żył dłużej, kto wie coby się było jeszcze z niego zrobiło. Wielu znawców rozwoju umysłowego Nietzschego przypuszcza, że w końcu byłby się rzucił w objęcia jakiejś religii pozytywnej. I to możliwe, wszak rozwój jego duchowy nie był skończony. Nietzsche ciągle sam siebie przezwyciężał i obalał. Jego dusza to zwierciadło życia umysłowego dzisiejszego, pełnego niepokoju zmieniającego się ciągle z dnia na dzień, prawie z godziny na godzinę; morze ludzkich myśli i pragnień burzy się, wre i kotłuje się tak jak wrzało w duszy Nietzschego. Oto tajemnica szalonego powodzenia jego pism w latach ostatnich. Filozofia jego działa nastrojem, styl wspaniały dytyrambiczny, wszystkich porywa. Są tacy, co twierdzą i dowodzą, że od czasów Goethego nie było w Niemczech pisarza, któryby mógł co do piękności języka mierzyć się z Nietzschem. Liczba jego wielbicieli ciągle wzrasta i to nie tylko w Niemczech. Tam zaś rośnie pomimo, że on sam charakterem niemieckim gardził, wielbił natomiast słowiańsko-polski indywidualizm nawet razem z polskiem „*Liberum veto*“. W etyce są poprzednikami jego Spinoza i Hobbes, w najnowszych zaś czasach możnaby wskazać na Augusta Comte,a, Karola Darwina i Herberta Spencera, jako jemu najbliższych. Motywów do tragedyi, noszącej nazwę: Fryderyk Nietzsche, należy szukać w gruncie rzeczy u tamtych trzech, on z ich poglądów i stanowisk wyciągnął wnioski ostateczne, bez oglądania się na cokolwiek, on wszystkie te wnioski sam wywalczył, odczuł, doznał i własny mózg rozsadził. Jest jednak w nim o wiele więcej, aniżeli w tamtych trzech. Nietzsche doszedł do możliwie ostatecznych granic krytycyzmu, niczem nie daje się on złudzić, każdemu zagadnieniu przygląda się ze wszystkich stron, a jest wobec siebie samego tak sumienny, że go nic olśnić nie jest wstanie. Najokazalszą teoryę naukową on nieraz tak prześwietli i w jednym rzucie myśli tak ją przedstawi, iż okaże się środeczkiem marnym i płaszczykiem zakrywającym tylko niemoc ludz-

kiego umysłu. Jakżeż świetne n. p, takie jego powiedzenie: „Kto Boga się wyrzekł, tem usilniej wmawia w siebie wiarę w moralność“. Albo: „Mechanistyczne pojęcie ruchu jest tylko przetłumaczeniem jakiegoś przebiegu pierwotnego na mowę oka i dotyku“. Niektórzy krytycy poglądów Nietzschego usiłowali wywieść je i wprowadzić w związek ze stanowiskiem zajętem przez Maksa Stirnera w tegoż dziele, wydanem jeszcze w roku 1845 pt.: *„Der Einzige und sein Eigentum“*. Nie wydaje się to mnie słusznem, należy bowiem zważyć, że Nietzsche dzieła Stirnera wcale nie znał. Zresztą Stirner był zupełnym anarchistą, natomiast Nietzsche arystokratycznym radykałem. Hasłem Stirnera było zdanie: *„Ich habe meine Sach' auf nichts gestellt.“* Natomiast Nietzsche hasło swoje zawarł w słowach: *„Ich liebe dich o Ewigkeit“*.

W ostatnich latach, szczególnie od czasu wystąpienia Przybyszewskiego, zaczął Nietzsche także na umysły polskie dosyć żywo oddziaływać. W zeszłym roku przyszło nawet do skutku wydawnictwo obejmujące dzieła jego w polskiem tłumaczeniu. Jak dotąd nie zdaje sobie jeszcze jasno sprawy, co właściwe w Nietzschem tak silnie umysły polskie pociąga. czy jego styl wspaniały, czy wyobraźnia nad wyraz śmiała, i myślenie w krytyce nieubłagane, czy jego indywidualizm wybujały. a do polskiego charakteru taki zbliżony, czy też może ta jego szczególna dla Polski i Polaków sympatya, która przy każdej ujawniała się sposobności. W ruchu ściśle naukowym i filozoficznym wpływ Nietzschego u nas nie wydał jeszcze zbyt pokaźnych owoców, natomiast oddziałał dosyć żywo na literaturę tak zwaną nadobną, tj. na poezyę liryczną, na powieść z lat ostatnich, wreszcie na twórczość w zakresie dramatu. Czy wpływ ten jest pożądany, o tem trudno dzisiaj wyrokować. Umysłami naszego obecnie dorastającego pokolenia wstrząsa tyle sprzeczności, w duszach robi się taki zamęt okropny. iż na uspokojenie i złagodzenie przeciwieństw, Nietzsche chyba nie jest lekarstwem odpowiedniem. Wpływu jego na poważną pracę naukową i filozoficzną, jabym się nie obawiał, mógłby on nawet niejednego wyleczyć z różnych naukowych przesądów, mógłby rozbudzić krytycyzm wszechstronny, a w myśleniu filozoficznem podniecić do sumienności przedewszystkiem wobec siebie samego. Ale do tego wszystkiego potrzeba posiadać bardzo gruntowne naukowe przygotowanie i wyrobienie. Natomiast na umysły powierzchowne a gorące, na umysły rwące się coraz wyżej w górę, ale pozbawione ducha prawdziwie krytycznego i gruntowności naukowej. musi on działać

zabójczo, jak zresztą już na tylu zabójczo podziałał. Nietzsche w śmiałym locie swoich myśli przepatrzył do głębi nicość tkwiącą w różnych teoryach naukowych i pomysłach filozoficznych. Jednej tylko idei nie zrozumiał wcale, tj. idei Boga. Jakaś chmura dziwnego rodzaju przesłaniała mu to światło, gdyby był umiał tę chmurę przedrzeć, wówczas byłaby mu się dopiero uwydatniła w świetle należytem wartość jego własnej twórczości, która tylu naukowym i społecznym przesądom ostatecznie korzenie podcięła. Nawet idea nadczłowieczeństwa byłaby w oświetleniu idei Boga dopiero właściwą zyskała podstawę. Trudno teraz po tak tragicznej śmierci Nietzschego rozważać i zapytywać, na czem byłby on był skończył, że jednak myśl jego szybowała już w kierunku ideałów religijnych, dowodzi tego najlepiej jego kult wieczności.

Tłumaczenie polskie, o ile można wnioskować z wyszłych do tego czasu tomów, jest staranne a odznacza się nawet w wielu miejscach pięknością mowy polskiej niezwykłą. Oddanie jednak przez tłumacza Wacława Berenta tytułu: „*Also sprach Zarathustra*“ słowami: „*Tako rzecze Zaratustra*“, nie wydaje się mi szczęśliwe, jak mniemam, o wiele lepiej brzmiałby napis: „*Rzekł tedy Zaratustra*“. Albo całkiem po prostu: „*Tak mówił Zaratustra*“. Do ustępów wprost wspaniale przetłumaczonych należy między innemi rozdział: „*Przed wschodem słońca*“ (str. 228), rozpoczynający się jak następuje: O niebo ponademną przeczyste! Głębokie! Świetlana ty przepaści! Ku tobie spozierającego dreszcz boskich przejmuje mnie pożądań. — W twą wyż siebie rzucić — oto moja głębia! W twą czystość siebie ukryć — oto moja niewinność! — Boga własne przysłania piękno: tako i ty gwiazdy swe ukrywasz. Ty się mową nie głosisz: i tak oto zwiastujesz mi swą mądrość!“ etc...

Otwarcie wyznaję, iż wogóle myśli Nietzschego lepiej i barwniej wyglądają w szacie słów polskich, aniżeli niemieckich. Niedarmo on sam żałował nieraz, iż musi pisać po niemiecku, a swojemu polskiemu pochodzeniu przypisywał, „że o sztuce języka wie o wiele więcej, aniżeli prawdziwy Niemiec wiedzieć jest wstanie“.

Dr. M. Straszewski.

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI
BISKUP KRAKOWSKI
(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

III.

Zapowiedziany do Piotrkowa na dzień 20. listopada 1558 r. sejm walny koronny rozpoczął się dopiero dnia 5. grudnia t. r.[1] Przyczyną zwłoki był brak kompletu w senacie i izbie poselskiej, tudzież niedyspozycya króla, zasłabłego, gdy przybył do Piotrkowa, na febrę. Obrany dnia tego marszałkiem izby znany nam poseł ziemi ruskiej, Mikołaj Siennicki, powitał króla w imieniu posłów mową, w której wyraził mu podziękowanie od rycerstwa Korony

[1]) Dzienniki sejmów walnych koronnych 1555 i 1558 r., wyd. Lubomirskiego. Dyaryusz tego sejmu wypełnia strony: 139—300. Autorem jego tak samo jak dyaryusza sejmu 1555 r. jest poseł ziemi krakowskiej, Hieronim Ossoliński. W cytowanych ustępach, zdaniach lub wyrażeniach, wyjętych z tekstu dyaryusza, tylko tam zachowujemy pisownię staroświecką, gdzie ona zbyt nie razi.

polskiej za to wszystko, co w ostatnich czasach dla niej zdziałał lub teraz zdziałać zamierzał. Gdy po sejmie warszawskim odjeżdżał z Polski „do dalszych państw swoich“, wszyscy Polacy gorąco Boga błagali, aby mu się powiodła zamierzona wówczas wyprawa inflancka. Gdy z wyprawy tej wrócił, cieszyli się nie tylko tem, że wrócił z niej „w dobrem zdrowiu“, ale także tem, że raczył potem „osobą swą pańską“ udać się „w kraje koronne ziem ruskich“, by zasłonić je przed nieprzyjaciółmi sąsiednimi, którzy w nich wiele w tym roku „krwi chrześciańskiej“ przelali. Obecnie zaś wdzięczni mu są za to, że zwołał sejm. „I zasię — mówił Siennicki — zwołanie to senatorów koronnych rad swych uczynić-eś raczył, a rycerstwu swemu posły swe tu przysłać rozkazał, wszem jawnie ogłosując, iż jako krześciański król powinowactwu swemu pańskiemu dosyć czynić chcesz, które na tem nawięcej należy, abyś woley miłego Pana Boga naprzód pilnując, słowu jego świętemu między poddanymi swymi drogę przeprawował i sprawiedliwości ludzkiej wedle zwierzenia swego od ludzi a powinowactwa od Pana Boga włożonego dojrzał, pilnował i one mnożył wedle prawa od ludzi sobie zwolonego; w którym jeśli się co omieszkało albo z niego wykroczyło ku szkodzie pospolitej, iż to nagrodzić, w swą porę zasię wstawić chcesz, miłościwie-ś obiecać raczył, a to rycerstwu swemu po wszech sejmiech powiatowych obwołać rozkazał — zacz my imieniem ich wszech W. K. Mci dziękujemy z tak miłościwej obietnice, a jako posłańcy ich z tym W. K. M. witamy pana swego, iż gdy da miły Pan Bóg to przedsięwziąć statecznie, i kończyć będziesz raczył...“ Podziękowawszy królowi za owe jego dobre chęci wyrównania różnic religijnych i przeprowadzenia egzekucyi praw koronnych, prosił go w dalszym ciągu swej mowy, aby w nich wytrwać raczył, aby wypełnił „obietnicę swą pańską“ — „którą nieraz hojnie powtórzył“, — „prawa o wolności uiścił, cokolwiek się z nich wystąpiło, naprawił, na dalszy już czas tego nie odkładając..“ Powinien tak uczynić, choćby ze względu na niebezpieczeństwa, jakie grożą zewsząd jego państwom... Wszak „jedne nieprzyjaciel okrutny opanował, drugie z wolnych państw niewolnymi poczynione są“. „A co więcej — mówił Siennicki — doznawać to W. K. M. raczysz, jako w państwach W. K. M. rozdwojone są umysły ludzkie roztargnieniem sumnienia z różnego rozumienia woley miłego Pana Boga, gdyż żaden stan powinowactwa swego nie wie, ani pilnuje, zaczem wedle wyroku miłego Pana Boga żadne królestwo stać nie może, padać się a pustoszyć musi...“ Wskutek

„szkaradnego wszech rzeczy pomieszania“ w Koronie polskiej nie mają też „poczciwi ludzie“, to jest szlachta, spokoju od tych stanów — „którzy się na nie mimo prawa a wolności ich utargiwują prawem cudzym, któremu naród polski nie przywykł, ani należy“, to jest od biskupów, którzy wykonują na niej swą jurysdykcyę według prawa kanonicznego: „z czego jakowe różne chuci a rozdwojenia myśli ludzkich powstają, i W. K. M. i każdy iny obaczyć łatwie może, a temu wszystkiemu nikt iny, jeno sam W. K. M. za pomocą miłego Pana Boga zabieżeć teraz możesz...“ ile że „senat koronny radami swymi do tego wiedzie, my o to prosiemy i wszytką chuć a staranie swe... na to W. K. Mci zupełną wiarę ofiarujemy...“ [1])

Kostki zostały rzucone. Cała ta mowa powitalna i dziękczynna marszałka izby poselskiej była właściwie wezwaniem do walki, wystosowanem pod adresem biskupów. Przedmiotem walki miała być znowu, jak w latach poprzednich, religia i jurysdykcya kościelna, hasłem jej znowu egzekucya praw koronnych a więc i praw Kościoła i stanu duchownego, bez których rewizyi i reformy, egzekucya jako taka była wprost niewykonalną. Wezwanie było rzucone w porę. Zdawało się posłom, że biskupi nie wytrzymają ataku. Było ich tylko czterech, Zebrzydowski, Uchański, Noskowski i Przerębski. Z tych czterech najgroźniejszym był dla nich nasz biskup krakowski, jako zdawna im znany obrońca prerogatyw kościelnych, chociaż i on, zdaniem ich, nie był twierdzą nie do zdobycia, nie będąc przeciwny zasadniczym postulatom protestantyzmu, jak komunii pod obiema postaciami, polskiemu językowi liturgicznemu lub soborowi narodowemu. Uchańskiego i Przerębskiego, jako poróżnionych z Rzymem, a zwłaszcza Uchańskiego, zaliczali do swoich przyjaciół politycznych, niedołężny Noskowski nie przerażał ich wcale. Ale losy podjętej walki spoczywały bądźcobądź w ręku monarchy, ztąd te objawy wdzięczności, pokory i zaufania do osoby króla, którymi chciał podbić jego serce Siennicki i wciągnąć go do jawnego sojuszu z izbą.

Król i biskupi odrazu odgadli zamiary posłów. Należało przyjąć ich chęci i ofiary w dobrej wierze, podziękować za objawy lojalności i przywiązania do tronu, uczynić w pewnej mierze zadość ich życzeniom, by nie dopuścić do wybuchu walki, która mogła tak dla króla, pożądającego głównie nowego podatku na wojnę lub obronę kresów wschodnich, jak dla biskupów, nie czu-

[1]) Dz. s. 139—141, w streszczeniu.

jących się na siłach do walki i pragnących spokoju, wypaść bardzo ujemnie. Dla tego król przez usta podkanclerzego Przerębskiego, zasiadającego w senacie także jako nominat biskup chełmski, podziękował posłom za słowa wiernopoddańcze, lecz w propozycyi, którą potem podkanclerzy z polecenia jego odczytał, różnice religijne i stanowe radził poświęcić interesom państwowym, a więc obronie i egzekucyi. Wszak o tej obronie i egzekucyi nadmieniał już w swej propozycyi na sejmiki powiatowe, jako o głównych „potrzebach koronnych“, będących powodem zwołania obecnego sejmu. Potrzebę egzekucyi król dobrze rozumie, już przeciez w 1550 r. obiecał formalnym „listem“ ją „uczynić“ i wszystko „naprawić“. Dobrym chęciom jego stawały na przeszkodzie rozmaite „trudności tak koronne jako księstwa Litewskiego“. Obietnicę swoją ponawiał na sejmach przeszłych, tak piotrkowskim jako i warszawskim. Potem skoro tylko „potrzeby księstwa Litewskiego z Inflanty postanowił“, myślał o tem, kiedyby mógł „dla spraw tych koronnych“ do Polski zjechać i sejm złożyć, ale znowu „nowina zaszła o Tatarzech, którzy państwa J. K. Mci wojowali“, — „miasto sejmu musiał się J. K. M. do Rusi udać, aby się nieprzyjaciel hamował... chcąc osobą swą się nieprzyjacielowi zaprzeć, mając też tę nadzieję o w. m. rycerstwie swym a wiernych poddanych, żeby w tym osoby J. K. Mci byli nie opuścili“. I rzeczywiście, jak donosił wojewoda ruski Mik. Sieniawski, hetman polny, przeraził się wieścią o obecności jego na Rusi nieprzyjaciel. Będąc tam, nie omieszkał król także „sądy swe sprawować“ — „urzędowi swemu królewskiemu“ czynił zadość, dopóki go „podejrzane powietrze“ nie zmusiło do odjazdu. Zaraz też podjął na nowo myśl złożenia sejmu „wedle recesu piotrkowskiego i warszawskiego“. Rad był na sejm ten powołać Litwę, ale że trudno było o wybór miejsca na wspólny zjazd z Litwinami, przeto za radą senatorów koronnych zwołał niniejszy sejm „na miejsce zwyczajne“, specyalnie dla spraw koronnych. Jak wiedzą posłowie z sejmów powiatowych, wezwał król wszystkich „tak panów, szlachtę, miasta“, jako też „obywateli ziem pruskich“, aby przybyli na sejm „z listy swemi“, rozkazał więc — „aby przywileje koronne, gdziekolwiek są, zniesione tu były...“ rozumiejąc dobrze potrzebę — „aby przywileje i prawa koronne były przejrzane, jeśli się co w nich wykroczyło, aby naprawiono było“. Ale nie tylko egzekucyę praw trzeba już raz przeprowadzić, król ufa, że posłowie będą radzić także nad tem — „jakoby się opatrzyło bezpieczeństwo granic koronnych od nie-

przyjaciół postronnych". Tureckie wojska z Węgier wpadają „do Spiskich państw koronnych": wołoski wojewoda tylko „czycha" na to, kiedyby mógł pomścić „krzywd w sąsiedztwie" na krajach koronnych; moskiewski książę „Inflantom miasta, zamki bierze i posiada" i do tego dąży, aby jeszcze zagarnąć mógł porty tamtejsze, których utrata byłaby niepowetowaną tak dla księstwa Litewskiego jak dla ziem Pruskich i państw koronnych: również „Tatarowie" zasmakowawszy w tegorocznej wyprawie „na państwa podolskie", z których „z wielką korzyścią bez pomsty" odeszli, gotują się do nowych wojen i łupów, ile że wiedzą — „iż ludzi służebnych żadnych nie masz", bo nie tylko nie ma pieniędzy Rzpta na dalsze zaciągi ale nie ma „czem zapłacić" tych, którzy „już odsłużyli". Zakończył tedy Przerębski: „Nierząd też domowy, który powstaje z roztargnienia różnych nauk i obyczajów, jako sami w. m. powiadacie, ten sam dosyć jest do zginienia; a tak uważywszy potrzeby koronne, a na stronę odłożywszy te różnice, szukać J. K. M. drogi raczy, aby w rządzie i w pokoju wszystko było zachowano..." Dla tego celu król nie będzie żałował „nie tylko pracy swej, ale też zdrowia i krwie swojej", to też spodziewa się, że i posłowie to „czynić i sprawować będą" — „czego wiara nasza ku dobremu Rzptej potrzebuje i oczekiwa", a gdyby „co inego przedsiębrać chcieli", wówczas spadnie „wina" za skutki takiego przedsięwzięcia na kogo innego a nie na króla — „który jest do wszytkiego gotów..." [1])

Słowa powyższe były wyraźną aluzyą do wojowniczego usposobienia posłów i łagodną przestrogą, aby niewczesnej walki z biskupami nie wszczynali. Na nich też zakończyły się obrady sejmowe dnia pierwszego, bo król ponownie zaniemógł na febrę i wota panów, które miały być zwykłym porządkiem sejmowym podane izbie po propozycyi tronowej, zostały odłożone do dnia jutrzejszego. Ale nazajutrz król nie wróciwszy jeszcze po nocy spędzonej w febrze do sił, prosił panów, by wotowali bez niego. Wypadek ten wpłynął ujemnie na tok obrad sejmowych, choroba królewska paraliżowała i tamowała czynności senatu i izby, chociaż zarazem była pomyślnem zdarzeniem dla biskupów, odwracając od nich uwagę sejmu i osłabiając wrażenie pierwszego ataku, zrobionego na nich przez posłów. Wprawdzie panowie „gotowi byli wota swe odprawić", ale posłowie uważając to za *„res mali exempli"*, lękając się — „sejm zaczynać bez osoby królewskiej.

[1]) Dz. s. 141—144, w streszczeniu.

zwłaszcza takowy, na którym się egzekucya, która napirwei na osobie królewskiej należy, zacząć miała" — nie chcieli z panami samymi wdawać się w żadne dysputy. Wskutek tego panowie znowu odłożyli swe wota do dnia jutrzejszego. Tymczasem król wcale nie zapowiadał rychłego wyzdrowienia. Rozpoczęły się więc spory między senatem i izbą o sposób prowadzenia rozpraw sejmowych. Stanęło wreszcie rzekomo na tem, że panowie mieli je „referować" królowi a król zgodne uchwały izby i senatu bezwzględnie miał „aprobować", a to dlatego, jak mówili posłowie — „aby ta praca wotowania ich m. i słuchania naszego daremna nie była, gdyby król J. M. chciał deliberować jeszcze na to, na coby się rady koronne z posły ziemskimi zgodzili." [1])

Nie dając na te uwagi posłów wyraźnej odpowiedzi, zaczęli panowie jeszcze tego samego dnia, to jest we środę 7. grudnia, składać w izbie swe wota. Pierwszym, który miał je złożyć, był najdostojniejszy z senatorów duchownych, obecnych na sejmie — nasz Zebrzydowski. Ale przed wotum jego odczytał jeszcze podkanclerzy Przerębski list prymasa Dzierżgowskiego, złożonego śmiertelną chorobą, którego ten sens był: „Egzekucyi, aby już król J. M. dokonał. Obrona, wojna pospolita a na żołnierze pobór. Nowości i zjazdy, na których nowatorzy religijni nawet biskupów nowych ustanawiają, aby były zakazane. Do odbycia sądów aby byli wybrani z senatu i stanu rycerskiego pewni sędziowie, którzyby nową przysięgą umocowani, zaległe od tylu lat sprawy odsądzili." [2])

Po odczytaniu listu prymasa wygłosił swe wotum Zebrzydowski. W wotum tem przeszedł niemal samego siebie. Widać w niem tę samą dążność uśmierzenia umysłów posłów, gotujących się do boju, jaką nacechowana była propozycya tronowa. Mówił więc tak, że mógł się podobać posłom i skłonić ich do powolności dla króla. Odczuwał, podobnie jak posłowie, brak osoby króla w senacie jako jego „głowy a fundamentu". Uznawał w całej pełni potrzebę gruntownej egzekucyi praw. Twierdził, że — „ludzie utyskują sprawiedliwie", podnosił, że — „wielkie nierządy i przesprawia dzieją się ze wszech urzędów koronnych, miasto wolności licencia wielka a prawa koronne w kancelaryi tylko leżą"; że — „dobra koronne szarpają, rozdawają i na tych dani-

[1]) Dz. s. 144—147.

[2]) Dz. s. 147. Ostatnie dwa zdania podano w tłumaczeniu łacińskiem.

nach piszą: *praesentibus consiliariis,* ni mianują nas (senatorów), którzy przy tym nie bywamy, ani wiemy, co się tam dzieje". Konkludował więc: „Przeto trzeba, aby egzekucya prawom wszytkim pospolitym była, która się począć ma od osoby J. K. Mci, jeśli raczy, a potym też od rad i od rycerstwa, i od innych stanów" — zatem chyba jeszcze od duchowieństwa — „aby się licencia hamowała". Licencyę tę czyli swywolę widział jednak szczególniej w krzywdach, jakich doznają katolicy ze strony innowierców, zakończył bowiem swoją rzecz, która miała być „długa, mowna a napominania częstego i dotykania" czyli poparta jawnymi dowodami, że — „już nie tylko żywym ale i umarłym wydzierają", że — „kościoły pustoszą, nadania ich biorą, czego sami nie dali, to wydzierają", mając na myśli głównie wypadki zaszłe po sejmie warszawskim w swojej dyecezyi krakowskiej a zwłaszcza w Książu z okazyi pogrzebu wojewodziny Tęczyńskiej, wywołane przez Jana Bonara, który drwił sobie bezkarnie z jego władzy biskupiej.[1] Przemawiający po nim Jakob Uchański, który chociaż nie potwierdzony przez papieża, zasiadał w senacie krzesło biskupa kujawskiego, również głosował za egzekucyą. Twierdził, że jeśli ona będzie dokonana, znajdzie się wówczas „i sprawiedliwość i obrona". Nie kwestyonując potrzeby jej dokonania, podawał sposób, jakoby ją zacząć można, a mianowicie „przywileje koronne znieść zewsząd a statuty wziąć przed się, a one dobrze przejrzeć a roztrząsnąć, a gdzieby tego potrzeba, aby była w nich moderacya znośna i sprawiedliwa". Aby zaś zupełnie wytrącić posłom broń z ręki, posunął się znacznie dalej od Zebrzydowskiego w wyrażeniu swej życzliwości dla programu szlacheckiego, podniósł bowiem otwarcie potrzebę soboru narodowego celem załatwienia na nim spraw religijnych, mówiąc: „Bo jednak to jest nawłaściwsza zmowa z Bogiem i z ludźmi, różnice też te, które są między stanem duchownym a świeckim, trzeba porównać, a i innego obyczaju do tego nie baczę, jeno aby co rychlej był złożon nie mówię concilium nacionale albo colloquium, ale synod nie tylko księżey, ale wszem stanom wolny (!). A czas na ten synod, aby tu już był mianowan, rycerskim ludziom aby tam wolno przyjechać, a w czymby wątpliwość mieli, rumnować, a wszakoż by im tego pirwej samym było potrzeba, aby się między sobą zgadzali w tych rzeczach: jeszcze wielka różnica jest około rozumienia pisma tych autorów, któreby przed się brać

---

[1]) Dz. s. 147—148.

chcieli (!). A do tego synodu łatwa droga, gdyż już K. J. M. słał do papieża (Maciejowskiego!) i oświadczenie tam uczynił. że zabronić tego poddanym swym nie może, jeśli żeby concilium pospolite nie doszło. A tak by już synod złożyć, na którym jeśliby się zgodzić nie mogło, tedy na sejm odnieść (!!). aby wszyscy tam o tym spólnie radzili". [1]) Śmiałe to żądanie soboru narodowego, będącego celem długoletnich zabiegów dysydentów polskich. podniesione przez biskupa wobec senatu i izby poselskiej, jak z jednej strony działało poniekąd podniecająco na wojownicze zapędy posłów, było jednak właściwie zręcznym manewrem. który miał usunąć zupełnie z porządku dziennego obrad sejmowych drażliwe kwestye religii, a zwłaszcza różnic, dzielących stan duchowny i świecki, a tem samem nie dopuścić do wybuchu walki między nimi na sejmie. Tak samo Noskowski. biskup płocki głosował za tem — „aby egzekucya co rychlej prawom była, ale z niej Boga nie ekskludować", co miało znaczyć: „aby też te różnice, które są około praw boskich. były nieopuszczone a skończone.“ [2]) W końcu Przerębski. wotując jako biskup chełmski. oświadczył się również za egzekucyą, nazwał ją sanitas in republica. dla której należałoby: „nie mówić wiele ale czynić": twierdził jednak. że mimo to należy z powodu „ustawicznych nowin". które „przychodzą od ludzi pewnych do K. J. Mci" o niebezpieczeństwach na kresach państwa. naprzód radzić o tem — „jakoby pograniczne strony obroną opatrzone były.“ Gdy się bowiem opatrzy państwo potrzebną obroną. wówczas będzie można swobodnie zająć się egzekucyą i za pomocą niej ukrócić „te rozpustności". które „się namnożyły“ także „w religii“. [3])

Senatorowie świeccy, wojewodowie i kasztelanowie, podobnie jak biskupi usuwali na plan dalszy religię, a głosowali za egzekucyą. tylko jedni stawiali ją przed kwestyą obrony i sądownictwa, jak hetman Tarnowski lub wojewoda krakowski, St. Tęczyński, uważający te sprawy za składowe części programu egzekucyjnego, inni stawiali ją po nich. aby ją lepiej i dokładniej przeprowadzić można było wśród pokoju. zależącego właśnie od bezpieczeństwa granic na zewnątrz i sprawiedliwości w sądach we-

---

[1]) Dz. s. 148.
[2]) Dz. s. 148—149.
[3]) Dz. s. 149.

wnątrz państwa.[1]) Wszyscy jednak jednogłośnie twierdzili, że egzekucyę tę koniecznie trzeba już na tym sejmie wypełnić, zalecali ten sposób, jaki podawał Uchański lub król w swej propozycyi. Tarnowski mówił: „Łaska boża, żeśmy dawno nie zginęli przez nierząd nasz w rzeczach domowych jako i postronnych, którego u nas na wszystko dosyć. A iż nam Pan Bóg tak pofolgował i czasu użycza, że wżdy jeszcze o tym mówić mamy i na tochmy się zjechali zabiegać temu nierządowi, a co lepszego stanowić ku dobremu Rzptej, możemy jeszcze rzec: *Haec est dies, quam fecit dominus,* jeśli to naprawiemy, co się nierządem pokaziło...“ Szkoda nawet czas tracić na rozprawy o egzekucyi — „ale już czynić co rychlej wziąwszy przed się statuty koronne...“ Wprawdzie „do egzekucyi czasu trzeba, prawda, ale może się krotko odprawić wiele rzeczy“, byle „począć czynić“.[2]) Wojewoda poznański, Marc. Zborowski podnosił okoliczność znamienną, że od czterdziestu lat, odkąd on pamięta, mówi się w Polsce o tej egzekucyi, odkłada się ją od sejmu do sejmu: widać — „że o niej źle rozumiemy a stąd się jej bojemy“.[3]) Tęczyński dowodził: „I nie masz czego mieć za złe panom posłom, iż się jej upominają, ale owszem im dziękować, bo tego już potrzeba, aby już doszła...“ Radził rownież, jak Tarnowski, „statuta i przywileje koronne przed się wziąć, wziąwszy przeczytać i konkordować... contraria statuta porównać, a tak się dopiro łatwie znajdzie jako i o sprawiedliwości i obronie mówić“. „Trzeba i temu zabieżeć — mówił — iż się wiele dzieje przeciwko Panu Bogu, aż strach i powiedzieć, co się tymi czasy w starostwie moim stało“, mając na myśli stosunki panujące w ziemi krakowskiej. Zastrzegał się jednak, że — „*de religione* mówić teraz czasu nie masz“.[4]) A wojewoda sieradzki, Janusz Kościelecki, generał starosta wielkopolski, podnosząc egzekucyę jako sprawę, która „wszystko w sobie zamyka“, również głosował za tem, aby ze względu na nią religię odłożyć na inny czas, choćby do soboru narodowego, o jakim wspominał Uchań-

---

[1]) Dz. s. 149—152. Między senatorami był także brat starszy Zebrzydowskiego, Bartłomiej, wojewoda brzeski. Treść jego wotum podaje dziennik sejmowy w słowach: „To najpilniejsza, aby egzekucya co rychlej była, żeby inemu początku, którego potrzeba, nie przekazywała, a już o niej więcej nie mówić ale czynić“.

[2]) Dz. s. 149—150.

[3]) Dz. s. 150.

[4]) Dz. s. 150—151.

ski.[1]) Chodziło mu o to, podobnie jak Tęczyńskiemu, o tymczasowe przynajmniej zabezpieczenie katolicyzmu i jego przedstawicieli-biskupów, którzy nie czuli się na siłach lub też nie chcieli kruszyć kopij na sejmie o wiarę i o siebie. Jednem słowem egzekucya miała być dla biskupów i senatorów katolików tarczą ochronną przeciw protestantyzmowi, którym chcieli posłowie zgruchotać Kościół rzymski, jego instytucye i jego hierarchię. W ten sposób pojął znaczenie tej egzekucyi sam król. W odpowiedzi na wota senatorskie, przesłane izbie i senatowi przez kanclerza Jana Ocieskiego, nie wspominał już o obronie, lecz główny kładł nacisk na egzekucyę, którą obiecał przeprowadzić „od deski do deski", odrzucając radę Tarnowskiego, aby dla ułatwienia i uproszczenia tej pracy pomijał mniej ważne statuta; usuwał też z porządku dziennego religię, natomiast pragnął ugłaskać posłów, podobnie jak Uchański i Kościelecki, obietnicą soboru narodowego. Mówił tedy kanclerz: „O religii zda mi się próżno mówić, bo się i to w egzekucyi wynaleść może, gdy się okaże jakowa wiara była, kiedy wolności a prawa koronne dawano (!!). I synod potym na to złożyć zda mi się, żeby teraz tym sprawom i inszym nie przekazywało" — to jest, aby dyskusya religijna nie psuła debaty o egzekucyi, o obronie i o sądach — „ale tak, aby nie był przez (bez) osoby królewskiej, a owszem, aby król J. M. z radami swymi i złożył (go) i na nim być raczył". [2])

Tymczasem posłowie w następnych dwóch dniach wszczęli spory z królem o strawne czyli opatrzenie poselskie, twierdząc, że to jest także „*non postrema pars executionis*, które na królu J. M. należy, posły opatrzywać". Tak mówił do panów w imieniu posłów Jakubowski, pisarz i poseł ziemi krakowskiej. Król oświadczył przez kasztelana bełzkiego, Dembowskiego i kasztelana przemyskiego, Starechowskiego, że opatrzenie owo im da, ale nie ze skarbu swojego, tylko „z reszty pobornych pieniędzy", które w tych dniach mu zniosą poborcy. Ale takie rozstrzygnięcie sprawy, podobnie jak na sejmie warszawskim, nie zadowolniło posłów. Poczęli znowu utyskiwać na „dolegliwości koronne" — „a zwłaszcza od stanu duchownego", radzić ni tak ni owak „o obyczaju zaczęcia egzekucyi", nie mogąc zdecydować się na nic. [3]) Dopiero w sobotę 10. grudnia postanowili po wyczerpującej dyskusyi nad

---

[1]) Dz. s. 152.
[2]) Dz. s. 153.
[3]) Dz. s. 153—154.

propozycyą królewską i wotami senatorskiemi podziękować królowi i senatorom — „iż się tak ochotnie i wiernie o egzekucyi mówić i starać obiecali...“ następnie prosić — „aby już Król J. M. raczył ją zacząć i kończyć, wziąwszy przed się przywileje i statuta koronne wedle zdania i przodku rad koronnych, które w wotach swych ich. m. odkładali“: przyrzec, że i oni, posłowie, także „przywileje koronne i statuta przezirać będą, i cokolwiek się z nich wykroczyło, znaszać do rad koronnych przed K. J. Mci...“ — ale zarazem podnieść wbrew życzeniu króla i senatu skargi na duchownych, podnieść mianowicie „angarię wielką, którę cierpi stan szlachecki od duchowieństwa, iż na nie zakłady wielką autoritate sua stawiają“ czyli że nakładają w swych sądach na szlachtę grzywny pieniężne jako kary sądowe, że szlachtę „w sądach swoich przewodzą“ czyli do sądów swych pozywają, w końcu, że zabraniają ekskomunikowanym „klątwami duchownemi“ stawać lub świadczyć w sądach świeckich. Chcieli krzywdy te podnieść przy przeglądaniu „praw koronnych“, twierdząc, że gdy „się zacznie“ ich egzekucya, pokaże się, że duchowni „takowej jurysdykcyi mieć nie mogą“. Mieli tedy prosić króla — „aby decreto suo regio a wynalazkiem sejmowym (uchwałą sejmową) rozkazał księżey biskupom supersedere (zaniechać) takowych sądów swych i przewodów prawa“, ile że także „tu“ — t. j. w Piotrkowie — miało być „wiele osob“, które były „na posłudze Rzptej“, zapewne w charakterze posłów sejmowych, na których właśnie biskupi mieli doświadczać swej władzy, nawet zaocznie „in absentia eorum“, stosując do nich swe „prawa i zakłady“.[1]) Ale właśnie podczas dyskusyi na temat tych krzywd stanu szlacheckiego ze strony biskupów zjawił się w kole poselskiem wojewoda sandomierski, Spytek z Melsztyna z listami wojewody ruskiego, hetmana polnego Mik. Sieniawskiego, który donosił, że Turcy i Tatarzy gotują się do wyprawy na Polskę i już „ciągną do ziem pogranicznych koronnych“. Prosił tedy Spytek w imieniu króla, aby radzono „co rychlej“ o obronie państwa. Posłowie porozumiawszy się między sobą, postanowili prosić nawzajem króla, aby on „obyczajem przodków swoich i ojca swego“ zechciał państwo ratować „w tak nagłej potrzebie“, a więc jak przedtem bywało: „dworem swym i pańskimi“, a w ostateczności „ludźmi służebnymi tamtych krajów pogranicznych“, którym niechby opłacił „służbę żołnierską“ z „reszty pieniędzy poborowych“. Postanowili tak po-

[1]) Dz. s. 154.

mimo opozycyi posłów ziem podolskich i ruskich, pomimo perswazyi panów tych ziem, zapewne głównie wojewody podolskiego, Jana Mieleckiego, którzy jako bezpośrednio zagrożeni napadem Turków i Tatarów, pragnęli rychłego ukończenia sejmu i sądów sejmowych, aby mogli wracać do domów swych „dla pewniejszego ratunku i opatrzenia krajów onych".[1])

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Dz. s. 155.

Listy Kazimierza Brodzińskiego

do stryjecznej siostry, Szczęsnej.

Wydał z autografu i zaopatrzył wstępem

Aleksander Łucki.

Wiek cały upływa już od czasu, kiedy rozpoczynał działalność swą Kazimierz Brodziński, a jednak dotychczas nie mamy wyczerpującej monografii o tym tak wybitnym pisarzu. Fakt ten, niewątpliwie dziwny, usprawiedliwić można przecież w pewnej przynajmniej mierze dotkliwym brakiem materyałów biograficznych.

Wprawdzie już sam poeta prowadził przez czas, jak się zdaje dłuższy, „Dzienniczek", — później zaś spisał owe powszechnie znane, a tak piękne „Wspomnienia", — ale z „Dzienniczka" doszły nas tylko drobne fragmenty, zaś „Wspomnienia" odnoszą się wyłącznie do lat pierwszej młodości: wreszcie i wiadomości w nich podane, są często niedokładne, wiele ważnych okoliczności tylko zaznaczają, nie uwydatniając ich znaczenia w dalszem życiu Brodzińskiego.

Na poparcie tego ostatniego twierdzenia, dostarcza nam dowodu świeżo właśnie odkryte listy Kazimierza do stryjecznej siostry, Szczęsnej Brodzińskiej. Przekonamy się z nich bowiem o wielkiem znaczeniu przyjaźni z Szczęsną w życiu Brodzińskiego, dowiemy się, że znajomość ich, zawiązana podczas wspólnego po-

bytu u stryja, zamieniła się rychło w gorącą, obopólną miłość rodzeństwa, i, co najważniejsze, że uczucie to przetrwało długie lata późniejszej ich rozłąki, objawiając się na zewnątrz we wzajemnej korespondencyi. Otóż tego nie moglibyśmy przypuszczać, opierając się na samych tylko „Wspomnieniach"; znajdziemy tam bowiem wprawdzie ustęp o Szczęsnej, ale tylko z okazyi owego wspólnego pobytu u stryja.

Ustęp ten, wzięty jako fragment, jest swoją drogą jednak bardzo ładny i bez przesady powiedzieć można, że na szarem tle tych smutnych dziejów młodości naszego Kazimierza — tworzy on jakby uroczą oazę, jest prawdziwą sielanką. Dowiadujemy się mianowicie, że Szczęsnę poznał Brodziński w r. 1805 u swego stryja, proboszcza w Wojniczu, dokąd uciekł z domu macochy wkrótce po śmierci ojca. Znalazł się tam w licznem gronie rówieśników, właśnie bowiem bawił w Wojniczu jego brat Andrzej, nadto zaś czworo dzieci po drugim stryju, a jeszcze po innym — córka, to jest właśnie owa Szczęsna. Nic też dziwnego, że Kazimierz, spędziwszy właśnie samotnie dłuższy czas u macochy, a więc stęskniony za ludźmi, za przyjaznem sercem, czuł się w tem otoczeniu bardzo szczęśliwym i kilka spędzonych tam miesięcy liczył zawsze do najszczęśliwszych dni swej młodości.

Otóż wtedy to zbliżył się on do Szczęsnej i odrazu serdecznie się z nią zaprzyjaźnił, a pamięć tych miłych wspólnie spędzonych chwil odbiła się po latach we „Wspomnieniach", w następującym opisie:

„Ja najwięcej przywiązałem się do Szczęsnej, stryjecznej siostry, która zupełnie była równego ze mną wieku i jednych skłonności. Z nią chodziłem najczęściej na łąki zbierać zioła, któreśmy zasuszali i układali z nich pewien rodzaj landszaftów. Ona wkrótce wraz z matką wyprowadziły się o pół mili do wsi Więckowic, gdzie bawiły przy państwie Miroszewskich, w pałacu pięknie umeblowanym, a raczej trudniły się dozorem domowego gospodarstwa. Tam, niewidziany od państwa lub gości, przychodziłem na sam koniec dużego ogrodu, pod umówioną morwę, gdzie wybiegała do mnie, przynosząc mleka kwaśnego i chleba, tudzież książki, jakie z biblioteki porwać mogła. Jeżeli dzień minął, gdzieśmy się nie widzieli, nie obeszło się bez listu; kochaliśmy się najczulszą miłością braterską, weseli w zabawach, a może zbyt sielankowi i gesnerowi w naszych listach... Szczęsna widziała nierównie więcej świata odemnie, miała przyzwoite wykształcenie i bywała u znakomitych pań w stolicy, a moje przecież nieokrze-

sanie wcale jej nie uderzało i często wymykając się od zabaw i gosci, wolała w ogrodzie przebywać z chłopakiem odartym, ktory nawet okna unikał, gdzie widział gośei. Każdy przysmaczek, jaki się jej dostał, był wspólnie ze mną zjedzony, a z rozmowy naszej rozumowania były, jak mówiła, więcej nauczające, niżeli towarzystwo, które opuszczała. Czuliśmy do siebie nie tylko przywiązanie, ale pewne uprzedzenie o sobie: wszystkie nasze zdania były zawsze jedne i najlepsze. Szacunek dla jej wyższego poloru miałem taki, że nigdy nie odważyłem się dać jej braterskiego pocałunku: żyliśmy z sobą, jak bracia..."

Prawdziwa ta idylla nie trwała jednak długo, gdyż stryj zaraz po uporządkowaniu spadku po ojcu Kazimierza, wysłał tego ostatniego do Tarnowa na dalsze studya. Tak więc skończył się wspólny pobyt kochającego się rodzeństwa i odtąd już we „Wspomnieniach" nigdzie nie znajdziemy wzmianki o Szczęsnej: opierając się więc tylko na „Wspomnieniach", musielibyśmy przypuścić, że przyjaźń ta, na razie bardzo serdeczna, była jednak tylko przelotną i w późniejszem ich życiu żadnem już nie odezwała się echem.

Tymczasem, jak już wspomnieliśmy, rzecz miała się zupełnie przeciwnie. W życiu naszego Kazimierza, dotąd tak opuszczonego, samotnego lub otoczonego ludźmi zupełnie dlań obojętnymi, ogromne miało znaczenie to znalezienie serca dlań tak przyjaznego, takiej serdecznej powiernicy jego uczuć i myśli: to też nie dziwnego, że czułe jego serce nie zapomniało nigdy tego szczęścia i uczucia wtedy zaszczepionego, przechowało przez długie lata w całej pierwotnej ich sile i świeżości.

Wobec ciągłej rozłąki uczucia te wyrażać się musiały w ich korespondencyi, do której właśnie należy tych kilkanaście odszukanych listów.

Znajdują się one w zbiorach rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej pod numerem 5628, w osobnej kopercie, zawierającej nadto kilka listów Andrzeja i Piotra Brodzińskich do Szczęsnej, oraz autografy drobnych wierszy Andrzeja i wierszyka Kazimierza pt. „Dziadek". Listów bezpośrednio nas tu obchodzących jest 18: pisane są one wyłącznie przez Kazimierza do Szczęsnej i odnoszą się przeważnie do okresu lat od 1807 (względnie może nawet od 1806) — do r. 1820. Przeważna ich część pochodzi z Tarnowa, później trzy z Krakowa, dwa z Poznania i wreszcie dwa ostatnie

z Warszawy. Zmodernizowawszy odpowiednio pisownię i interpunkcyę, podaję dosłowny ich tekst w porządku, o ile to możliwe, chronologicznym.

I. (bez daty).

Kochana Siostruniu! Szczerym afektem rozlicznych sukcesów, fortuny, szczęścia i zdrowia i po skończonym (!) życiu Korony niebieskiej życzy Waćpannie

Brat

K. Brodziński.

Ale mi Cię żal, napiszę co jeszcze!

Żart na stronę, ale żyj tylko tak, jak zawsze, poczciwie, niewinnie, niemasz Ci co więcej życzyć.

Bądź zdrowa, — ej, jeszcze co

W. Ciotuni D. i Babuni powinszuj odemnie.

Peter kiep, wytnij go odemnie.

Adres: JMCI Szczęsna Brodzińska D. odbierze.

(Na stronie III. niedołężny rysunek z powinszowaniem Nowego Roku).

II. (bez daty, częściowo uszkodz.)

Czytaj Siostruniu!

Nunu... nudy! Już nawet i Jędruś odjechał, ach nieszczęście, jakżeśmy się żegnali, oto gdy (wyr. nieczyt.) nas wartkim pędem wściekłe losy w różnych Exystencyach (nieczyt.), jakże się im oprzeć? Oto poddajmy im sie, a chociaż w przepaści bezdenne (nieczyt.) niezliczonych światów nas stawiać będą, drzyć (!) się będziem do siebie przez niebo i piekło, a stanąwszy razem, z pogardą zygać palcem będziemy na owe miejsca, po których losy z nami broiły (3 wyrazy nieczyt.). Z nudów wielkich sam nie wiem, co robić, to biegam po książkach (nieczyt.), to złorzeczę (nieczyt.) Jesieni, to wodę popijam, umyśliłem więc pisać do Siostruni, bo nie wiem, co robić, i myślę co dzień tomik jeden

podobnych Liryków jej przesłać, ale też proszę nawzajem o odpis. Wczoraj wesoły będąc, zasmuciłem się nad światem. Oto życzyłem Babuni powinszowanie, lubo nie wysiliłem się na wielkie wyrazy, ale czule i ze szczerego serca mówiłem, pomyślano sobie zapewnie, że to nieszczerze, odszedłem ciesząc się przynajmniej, że tem jestem, tylko co mówię, to myślę. — Usiadam: Przychodzi z parę osób, mówią pode drzwiami: pochlebny staruszce, — zostawiły serce w czarnej, a usta w złotej sukience, na jakie mogły koncepta, na te się zdobywały. Odpowiedziano im: jestem przekonana, że mi dobrze życzycie i macie dobre serce. O! cóż nas nędznych ludzi obłąkiwa (!), chcemy poznać prawdy wyższych rzeczy, gdy tymczasem równych sobie poznać nie można. Rozśmiałem się i na to

Wesół na swe przeznaczenie
Rzekłem, czyż mi wiele trzeba,
Ten za łganie zjadł pieczenie,
Mnie za prawdę nic nie trzeba (?)

Ej, co tu ten nababrał, możem znudził

(nieczyt.) Przywiązański.

(Na dołączonym do tego listu arkusiku znajdują się następujące wierszyki, znowu często uszkodzone i nieczytelne):

Zima tęga, trzaskają z Mrozów tęgich domy
(nieczyt.) czemu? — bo ma dach ze słomy.

Jegomość jest cielę.

(cały niemal wierszyk zamazany).

Jaśnie oświecony.

Jaśnie oświecony byłby zbłądził w lesie.
Byłby zginął, lecz w tem mu chłop kaganek niesie.

Czemu nie klęka?

Za pewnej damy w kompanii zdrowie
Klęczkiem radzili pić kawalerowie.
Jeden się tylko temu sprzeciwiał co siła,
Czemu? bo mu się dziura w podeszwie zrobiła.

Topi się.

Nie utonę, — potok mały.
Gwałtu! pięty się zmaczały.

Franciszkan.

(przeważnie nieczytelne).

Ślepa.

Powiedziała mi ślepa, co we śnie widziała,
Żeby zawsze widziała, radziłem, by spała.

Dług oddany po miesiącu.

Po miesiącu, że oddał dług, drugi go zwodzi.
Przyszedł do niego wieczór, kiedy miesiąc wschodzi.

Król hojny.

Żołnierz w boju stracił rękę,
Tak cierpiąc nieznośną mękę,
Rzekł: król hojny, przecie da mi
Mundur z dwoma rękawami.

Z gęby mu zimno i ciepło.

Na mrozie on w ręce dmuchał,
Na gorącą kaszę dmuchał...

Jak pięść do gęby.

Mówią: tak to przystoi, jakby pięść do gęby:
Widziałem, jak przystała: wypadły mu zęby.

Głupie głowy nie łysieją.

Chwalił się łysy: głupie głowy nie łysieją.
Przytomni tej powieści z niego się rozśmieją.
Mówiąc, że jego włosy więcej warte chwały,
Że z takiej głupiej głowy wczas pouciekały.

Staruszka przędąc umiera. (nieczyt.)

To są padki (nieczytelne).

III.

Dnia 16. maja (rok nieczyt. prawdopodobnie: 1807).

Kochana Siostruniu!

List od Ciebie dopiero dalibóg 14. maja odebrałem. nie sądź więc. jeżeli nierychło mój odbierzesz. że ja nierychło odpisałem. Drugiego dnia zaraz piszę. i to byłbym jeszcze prędzej. gdyby nie starałem się posłać Ci rzecz. któraby Cię wiele ucieszyła: oto chciałem koniecznie wypenetrować dwie książki tj. Poezye Franciszka Dyonizego Kniaźnina. moralne i zabawne, dlatego czekałem. bym Ci je posłał. ale darmo. daj Boże. że ich może potem dostanę, ale za drogo kosztują. trzebaby za dwie dać z ośm z mojej biblioteki książek. Są w nich tyle dzieł: Matka do córki o cnocie, Bajki. Troiste wesele (opera). Rozmaryn (poema), Sielanki, Matka Spartanka (opera). Balon (poema w 10 pieśniach, śliczne). Cyganie (opera) i różne wiersze. Przyjmij tymczasem, co mogę posłać. Bajki Ignacego Krasickiego. trzeba z wielką czytać uwagą, upewniam. że w żadnej książce tyle smaku i morału, jakoteż piękności wiersza niema. jak w tym nieśmiertelnym pisarzu: ja także go naśladowałem w moich Bajkach. niektóre są u mnie kiepskim wierszem. ale to tylko dla rozśmieszenia Ciebie tak pisałem, i żem nie miał czasu dużo pisać, ukracałem wiele.[1]) Książka Ogrody może się nie będzie podobać. ale proszę czytać wiersze moralne. które tam są przy końcu. Dzieła Gessnera także może dosyć piękne. Chcę Ci temi trzema książkami nadgrodzić za to nieszczęsne Klimeniwo. bom go dotąd jeszcze nie zrobił. Wierszywów, co mogę, posyłam. Wierzaj mi. tak mało mam czasu teraz. że ledwie go dorwałem do pisania do Ciebie. Po francusku się zaczynam uczyć, bardzo to, widzę. łatwo: Jędrusiwo tu przejeżdżało przez Tarnów do Lwowa przed trzema niedzielami. odprowadzałem go do półtorej mili piechtą. — ci maluczko wierszywów naczytali. — pisał zaraz do mnie po przyjeździe do Lwowa i jemu także musiałem dużo pisać, prosił mię bardzo. Nadgrobki moje, których tam z parę posyłam. okrutnie mu się podobały i bajki o Ojcu i dzieciach..).

---

[1]) Brodziński mówi tu zapewne o bajkach, przesłanych w poprzednim liście.

Przetłómaczyłem tu dramę śliczną i smutną z niemieckiego (w przypisku: pt. Sydonia czyli mniemana czarnoksiężniczka), której czasu nieman przepisać, chyba na wakacyach. Piszesz mi, że masz książki niemieckie, ale nie masz w nich gustu: upewniam, że pomimo wszystkiego Niemcom przyznać potrzeba, że najpiękniejsze książki u nich są; przeczytaj tylko jedną całą, upewniam, że się podobać będzie, bo naturalnie, kiedy co z niechcenia i nie całe czytamy, podobać się nie może; a jeżeli nie rozumiesz dobrze, trzeba się koniecznie wprawiać w czytanie, bo po niemiecku bardzo ciężko się nauczyć z reguł, tylko z czytania i używania. Jeżeli Ci się zdarzy widzieć niemieckie książki, upatruj osobliwie sztuk teatralnych vom August von Kotzebue, te są na podziw wszystkie śliczne a wprawiwszy się w te powoli, łatwo wszystkie czytać i nie z uprzykrzeniem będziesz: tak i ja ich dawniej nie lubił, a teraz nad wszystkie...

Książki chyba na wakacye przywieziesz, ale pewnie i nie zterane (!). Posłałem Jędrusiowi, jak był w Krakowie, na kilka książek, ale go list nie doszedł, nie wiem dlaczego: i pieniądze przepadły i książek niema. Nie wiem, jak Twoje Siostruniu, wakacye będą, bo może od września do Wszystkich Świętych. Ja sobie tu wesoły podług tego, na czem ja wesołość moją zakładam; niejeden zbrodniarz chce sobie założyć szczęśliwość, ale być jej udziałem nie może, dobrze też napisał Krasicki:

Użyjmy dobrej chwili mimo zdania gminne,
Śmiechy, żarty, zabawki czułe i niewinne
Niechaj liczbę zbyt krótką dni naszych przedzielą,
Źli się silą weselić, dobrzy się weselą.

K. Brodziński.

Nadgrobek Próżniakowi.

Żyłeś na świecie, nikt nie wiedział o tem;
Był tu człek, a któż ma pamiątkę miłą.
Rolniku krwawo twym robiący potem
Ziemi ci chyba kawałek przybyło.

Nadgrobek Cnotliwemu.

Na co cnotliwe tu liczyć sprawy,
Będęż rozwodził twe cnoty i szlochał,

Napiszę tylko. o, ileż sławy.
Oto cię tylko cnotliwy kochał.

(Dopisek na marginesie): Jeżelim Cię ucieszył książkami, daj mi za to podarunek. a to — odpisuj prędko i dużo. dużo, dużo bardzo... Te książeczki posyłam. bo mi niepotrzebne. Tobie się może zdadzą na co. Litwins... już w Mogilinach dawno i u niego mi kilka książek przepadło.

IV.

Dnia 21. lipca 1807 r.

Pani Siostro!

Kiedy też Twoje listy oba razem prawie przywędrowały. jeden po przyjeździe z Krakowa. drugi odpis (?). Może lubisz długie listy. jak ja, ale materyi jak ty. tak ja nie mamy do długich listów; mając bogactwo. miałbym pisać o zarobkach. procentach, ale dzięki Bogu nie ma nic. będąc polirykiem pisałbym wiele zginęło Francuzów albo Moskali, o co się biją i za co? — ale ja nie wiem nic. niech się tam biją: za co? wiem, (że) nie za mnie. bom nikomu nic nie winien. więc mię głowa o to nie boli: o jarmarku Dąbrowskim bym doniósł. kto co kupił lub stracił: — jedni płaczą. że ich okradli. mnie nie okradli, anim nic nie stracił. kontent jestem. Cóż Ci więc doniosę? oto dzień Ci wczorajszy opiszę: mieliśmy studencką zabawę z profesorem: lepsza ona była od wielkich pańskich zabaw. ani tam było cukrów, ale w pańskich cukrach często gorycz panowie czują i przy wetach siedząc, niejeden radby porwać chłopu kawał chleba, co go konsumuje bez ceremonii. Już ja się przygotowawszy. wyszliśmy w pole (!) (i) tę moją pieśń śpiewali kamraci: chwalił ją profesor, była moralna do naszego wieku:

Cieszcie się bracia. pókiście młodzi,
Dla nas ta łąka, owoc uroczy:
Niech kto chce, w losu ślepotę wchodzi,
A my czekajmy. co nam los stoczy.

Bawmy się, pięknie póki na łące,
Pijmy go, póki zdrój czysty płynie,
Rwijmy z tej łąki kwiaty pachnące.
Tam je nieść będziem, gdzie wiosna zginie.

Ale słuchajcie, idźmy powoli,
Wiecie, że w podróż iść mamy dali.
Z biegania doby noga zaboli,
Cieszmy się, byśmy nie żałowali.

Nota bene były to, zapomniałem napisać, Imieniny Profesora, ja prawie najpierwszy poszedłem winszować, dostałem kawy i takem sobie marzył przy niej:

Ej, bodaj to żyć w dziewiętnastym wieku,
Może w dwudziestym jeszcze lepiej będzie:
Cieszyć się z tego, co dzierżysz człowieku,
To jest najlepiej w przyrodzonym rzędzie.
Achilles, Cezar wielcy ludzie byli,
Jednakże kawy z śmietanką nie pili.

bo w tym wieku, w którym żyli, jeszcze kawy nie gotowano, więc ja pił lepsze, choć oni byli wielcy:

Wielcy? cóż z tego? ja im nie zazdroszczę,
Byli, — ja jestem, śpię, piję i jadam,
Przebiorę miarę, więc się przeposzczę,
I znowu wesół jem, piję i gadam.
Przejdę, a o mnie nie będzie się badał
Ten, który po mnie będzie jadł, pił, gadał.

Gdyśmy wyszli w pole, słońce pięknie wschodziło, byłaby piękna pora przywitać go wierszami, ale już mu dużo śpiewali poeci, — niechże go więc ptaszki witają:

Pozdrawiajcie miłe ptaszki,
Pozdrawiajcie jasność słońca,
Rzeźwcie dzień swemi igraszki,
Nim się zabierze do końca.
Niech uprawiając zagony
Słucha was rolnik znużony...
Odzywajcie się ptaszęta.
Zorze nikną, słońce wschodzi,
Do piosneczek, o dziewczęta,
Chłopcy, milczeć się nie godzi:
Zaczynajcie wdzięczną zgrają,
Niechaj echa powtarzają...

A ja słucham i w lubej prostocie widzę wiek złoty, bawimy się, ale jakież to nasze zabawy z ową żywą radością tych, co to zowiemy prostakami:

Na wsi męska radość, żywa.
Tam uprzejma, tam prawdziwa.
Wstyd rumieńcem twarze wdzięczy.
Prawą przyjaźń cnota więczy (!).

Słońce zaczęło dopiekać, poszliśmy do lasku:

Nie kunsztowny, nie wspaniały
Nie są tu przesadów (!) cuda,
Ani wielki ani mały,
I taki się czasem uda.
Ścieżki kręte, potoczyste.
Drzewa spore, gałęziste.
Miło błądzić w tych uliczkach.
Widząc cienie, kwiat w zawiązkach...
Spada strumyk po kamyczkach.
Wiatr szeleści po gałązkach.
Świeża trawka w drzewach cieniu
Wabi wdzięcznie ku spocznieniu.

Zmordowany siadłem na brzegu strumyka i patrząc w kręty bieg jego rzekłem:

Pomiędzy łąki, ogrody
Płyniesz rozkoszny strumyku:
Idą spiesznie twoje wody,
Mruczysz sobie na kamyku.
Jak my żyjem, tak ty płyniesz.
I my przejdziem, i ty zginiesz.

Tak potem polatawszy po lesie, nagadawszy, co który mógł, różne były sprzeczki:

Były też i dysputy o gwiazdach i słońcu.
Różnie różni sądzili, jednakże przy końcu
Profesor najdokładniej radzenie osłodził:
Wiśnie, chleb biały, smaczny wnet mędrców pogodził.

Jakaż to miła pora jeść dobrze, pić smaczno i bawić się w równym (!) towarzystwie: wszak i w zakonnym refektarzu:

Brat Kapistran przy pulpicie
Czyta z Skargi świętych życie.
A ojciec Rafał tymczasem
Pomrukując sobie basem,
Chwaląc wstrzemięźliwość świętą,
Dusi flaszkę nadpoczętą.

Powiada Tacyt, jeden pismak, iż ludzie północni lubią długo biesiadować, byłaby niegrzeczność zadawać fałsz tak wielkiemu człowiekowi, dlatego nagadawszy, naśmiawszy się, rozeszliśmy się: gdzie kto chce idzie:

A ja w pole, między zboże.
Tam, gdy w bruździe się położę,
Słucham, jak ptaszęta nucą,
Jak się godzą, jak się kłócą.
Kończy się ich dzienna praca,
Do gniazdeczka każde wraca:
Wraca z plonem czułość matek,
Wita je pisk małych dziatek;
Rosa pada, czas się chłodzi,
Zorze gasną, księżyc wschodzi.

Jakaż to słodka pora, w spoczynku przyrodzenie:

Zda się sapać przyszłe pienia,
Jednakże się coś odzywa:
Bąk w jeziorze wznosi brzmienia,
Derkacz je grdaniem przerywa.
Noc ponurą rzeźwi w cieniach
Słowik czuły w swych nuceniach,
Lśkni się niebo z gwiazd wielości,
Lśkni się wiecznotrwałym szykiem:
W nieprzejrzanej ogromności
Owe światy są płomykiem.
Myśl się wzmaga i upada,
Czuje, kto wzniósł i posiada. (w nawiasie: Bóg).

Potem powróciłem do domu, myśląc do Ciebie Siostruniu list pisać. O Jędrusiu, żal mi go, że może źle sądzisz, ale ja Ci powiadam, że musiał jechać nie dlatego, żeby szkoły skończył, i owszem, że we Lwowie dają teraz jakąś Materyę, której już w Krakowie nie dają, a przez ten rok Jędruś, co nie chodził do szkół, powinien był jej słuchać, więc jak to wysłucha, przyjedzie tu. Wdzięczny Ci będzie niezmiernie, gdym mu doniósł, żeś Ty tak o niego troskliwa. Mnie pisał już dwa razy, dobrze mu się powodzi, przepisawszy nieco dzieł swoich, zaniósł je pewnemu Hannowi, konsyliarzowi gubernialnemu, który jest krytykiem książek, wychodzących z druku: tak go polubił tamten, iż wszelką, jaką tylko pomoc będzie mu mógł zrobić, nie odmówił mu jej. Dzieła Jędrusia już podpisane w krytyce, może są już i w druku, jakże ja się z tego cieszę: on jest tymczasem u Borysiewicza, ma

darmo stół i stancyę u niego, ma nawet i inne przyzwoite miejsce, ale tenże nie chce go przyjąć; pisz list do niego, ja się tu spodziewam okazyi, to mu go poszlę, ucieszy się. W moim tym liście nie są wszystkie wiersze moje, wybrałem niektóre nie dlatego, żeby sobie je przywłaszczyć, ale że Tobie je posyłać byłoby dużo pisania i nie takby Cię może bawiły; ale jest tu i więcej moich, co się dało przystosować, tom włożył. Posyłam Ci listy Krasickiego, źle pisane,[1]) nie spodziewałem się, żebym Ci je posłał, ale, że nie mam co innego, czytaj kilka razy, warto jest, osobliwie o wilczurze schowaj. Mam tu książkę, powieść moralną Marmontela[2]) dla Ciebie; posłać Ci jej nie mogę, ale niedługo będzie Twoja.

Brodziński, brat.

A pisz też Waćpanna przecie.

V.

Dnia 7. grudnia 1807 r.

Najukochańsza Siostruniu!

Zasmuciłaś się zapewne, że przez tak pewną wczorajszą sposobność nie pisałem do Ciebie, czyli prędzej, że książek nie posłałem na wtorek. Wymówki na to, wiem, nie potrzebujesz, bo nie myślisz zapewne, iżbym był opieszały na takie prośby, których, gdyby mnie samemu kto inny tak nie chciał uczynić, pewniebym się smucił. Oto książek tych nie miałem w domu, chodziłem po nie dwa razy, ale nie mogłem zastać tego, któremu je pożyczyłem,' za trzecią razą ledwie dostałem i pobiegłem do Kazaneckiego, ale już okazya odeszła. Miło, jeżeli Ci tylko prędko oddano teraz. Może nie będą Cię bawić wszystkie, ale innych nie mam. Z czytaniem nie bardzo się spiesz, bo może nie będę miał zaraz Ci co posłać. Jeżeli J. Xiądz N. N. ze Lwowa powróci, proszę Cię też o jak najprędsze odesłanie mi listu, jeżeli będzie do mnie, (w przypisku: jak niema, to nie odsyłać bardzo pro-

---

[1]) Uwagę tę należy zapewne odnieść do niedbałego odpisu rękopiśmiennego, w jakim Brodziński posyłał te Listy Krasickiego.

[2]) J. Fr. Marmontel — powieściopisarz franc. (1723—1799); utwory jego tłómaczyli u nas Węgierski i Kłokocki.

szę...): że on też to nie pisał pierwszą okazyą do mnie, ani nawet podobno do Ciebie; ja tu napisałem list do niego i długi bardzo, prosiłem żyda jednego, żeby go wziął, bo miał jechać do Lwowa, obiecał i nie przyszedł, i pojechał i nie wziął, i przepadła moja praca; — to był szelma żyd! (w przypisku: a dałem mu ostatnie z Częst.).

Ta książka niemiecka, jeżeli się podobać będzie, czytaj, są tam niektóre bardzo piękne kawałki, i donieś mi, czy Ci się podoba, dam Ci ją, jeżeli chcesz, a nie, to (wyr. nieczyt.). Donieś mi też o naszej Honorasi, czy nie pisała. Jeżeli chcesz pisać do Jędrusia, będę miał okazyę, ale może nie zaraz, a pisz WPanna.

Adieu

Kochający Cię Brat

Kazimierz Brodziński.

Mamuni i Babuni Dobrodziejkom uszanowanie moje dołączam. A nie pojedzie też tam kto do Krakowa, hę?

(Na marginesie): Był tu wczoraj pewny Jegomość z Niemczech (!) i dawał koncert, na czym, zgadej (!) — oto na Brómli. Dalibóg, — ale że aże po Ryńskiemu bilet, nie poszedłem, a więc Ci więcej nic nie mogę donieść, czyli się spisał, czy nie...

VI. (bez daty).

Siostruniu!

Właśnie dzisiaj przed przyjazdem Franusia myślałem sobie, że może siostrzyczki będą sobie jutro winszowały Nowego Roku, i tak jedna powie drugiej:

Daj mi rękę, siostro miła,
By nam skąd nie przyszła strata;
Ty mię będziesz prowadziła
W pośród cierni tego świata,
Idąc wyroków nakazem,
W deszcz, pogodę, byle razem.

Tak razem będziecie żyć, a ja myślą (bo los nie zezwoli inaczej) będę z Wami tak, jak byłem przez całe święta. Nie mogę

się namyśleć, żebyście moje Siostry tak się moim nieprzyjazdem strapiły, tem się tylko pocieszam, że to może nieprawda, tak, muszę nie wierzyć, bo gdybym wierzył. Boże, jakżebym w liście moje wzruszenie wyraził. Cóżkolwiekbądź, niezmiernie tem tknięty jestem, moja Siostruniu, że jak razem żyć poczęliśmy, tak nasze przywiązanie z latami wzrasta: ile żeś Ty tego godna! ale ja, wiesz sama, że nie zasłużyłem na to. Nie piszże mi też nigdy, moja Siostruniu kochana o tem, żeś smutna, prawda, że dobrze się dzielić, ale lepiej się dzielić kroplą słodyczy, niż morzem gorzkości: piszesz mi jeszcze, że mi darujesz wesołość Twoją. Oj, najdroższa Siostruniu, jabym był najnieszczęśliwszy, gdybym Ci miał ten skarb zabrać. Wiesz, jak trudno takie rzeczy słyszeć, a jeszcze mnie o Tobie. Teraz i ja trochę smutny jestem, moja Siostruniu, musi to Pan Bóg litościwie patrzeć z nieba, że ludzie sami biedni pocieszają jak mogą drugich, dlatego musi On coś dla każdego gotować dobrego. Wczoraj odprowadzaliśmy wesoło, bo wszyscy, naszego przyjaciela Maźniewskiego, spodziewaliśmy się smutnego rozstania na drodze:

Dobry tru...
Na frasu...

i wzięliśmy do wozu wina, wóz dyabli wywrócili, wino się rozlało, nie mieliśmy czem smutnej sceny zalać i musieliśmy ją nieco łzami pokropić: po pożegnaniu się żaden do drugiego nie mówił, koniom puszczono cugle i tak zwolna, smutno i cicho postępowaliśmy do domu. Ile to takich smutnych scen nie trzeba będzie jeszcze przeżyć na świecie! ale iluż jeszcze nie doczekamy się wesołych! Naprzykład osiem niedziel minie, a ja jestem w pogoni, witam się z Tobą. To, to słodka nadzieja. Nadzieja musi to być żona losu, dobra żona, męża ma takiego dziwaka i pijaka, — ale doczekam się przecie, że Ci będę mógł ustnie powiedzieć tyle razy powtarzane, zawsze większe, najszczersze moje

Droga Siostruniu ku Tobie przywiązanie

Brat Twój

Brodziński.

Kochanego szwagra ściskam i całuję.

VII.

Tarnów, 12. X-bra 1808 r.

Kochana Siostruniu!

Z żalem wielkim dowiedziałem się, że już jadąc do Tarnowa, wrócić się musiałaś: zimna ta rzeka nie tylko na zimę, ale i na moje życzenia (tom się wysilił!) Serdecznie Ci dzięki przez przyjaciółkę Twoją za Twoją o mnie pamięć zasyłam. Piszże do mnie jak najprędzej, choćby i jutro, poszlę Ci Karpińskiego, tomik dawnych Edycyi, już mam obiecane. Jak mogę, radbym sobie na Twój list zarobić, ale to podobno wszystko napróżno, jeżeli Ty nie zechcesz. Podczas targów tuzinami bab Wojnickich z mąką zasiada na rynku. a przez żadną też nie piszesz; Frankiewicz by zawsze zaniósł w wigilię targu. Ten sobie popadł z mojemi (!) listami. powiesz sobie, ale wierzaj mi, że w święta, jak tylko mię Nudy męczą, biorę pakę Twoich listów i czytam, przez co zaraz nudy odstraszę. Tę grubą książkę prędko odsełaj (!). — W. Stryjaszkowi najniższy ukłon zasełam, zmiłuj się niech ja też na listy moje jaką odpowiedź dostanę, proś, jak możesz, dla Brata

Twojego — *K. Brodzińskiego.*

Adres: A Mademoiselle Felice Brodzińska
ma tres chere seur.

VIII. (bez daty).

Droga Siostruniu!

Jeżeli dawno nie pisałem do Ciebie, dziękuję Ci najczulej, iż przecie nie myślałaś, iż o Tobie zapomniałem, ale przyczyna, którą masz domyślania się o milczeniu moim (!) i taka była nawet (?). Bogdajby się ludzie nie kochali. jeżeliby przez to mieli już zapominać na Dobrodziejów. Przyjaciół i na tak, jak Ty, poczciwą Siostrunię! Nie wierzyłem, wydałaś się Siostruniu sama, („bierz ze mnie przykład, i tak piszę do Ciebie“): wyraz ten pomimo sprawiedliwego wyrzutu ucieszył mię. Pisałbym Ci dużo, gdyby, — wiesz co, — nie, żem na końcu wakacyi nie był

w Wojniczu (z) przyczyny, żem nierychło do Tarnowa przyjechał, a choćby i wczas, dzieci tak swywolnych na krok odejść trudno, a dopieroż odjechać (?). Daj Boże, byśmy się wkrótce widzieli: od Służnowskich dziś, jak na złość okazya, trzy listy mam odpisywać szlachcie.

Bądź zdrowa, szczęśliwsza, jak Twój brat

kochający Cię

K. Brodziński.

(Dokończenie nastąpi.)

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

Szliśmy okolicą prawego brzegu Wisły, za nami posuwały się bandy meklerów pruskich i handlarzy koni, którzy od potrzebujących za bezcen je kupowali. Ja prowadziłem za sobą cztery konie. jednego dzielnego mego wierzchowca bojowego, drugiego powodowego pod juki. dwa wzięte z szwadronu wiedli żołnierze: w tym marszu sprzedałem te ostatnie za 65 talarów na ratunek zdrowia. Tak idąc małymi etapami, minęliśmy Grudziądz, Kwidzyn i doszliśmy do Malborga; tu nam dwa dni udzielono wypoczynku, można też było się napatrzeć starożytnemu miastu, a szczególniej potężnym gmachom Zakonu krzyżackiego. Małom jednak z tego korzystał, leżąc chory bez ducha. Miałem kwaterę u właściciela domu z polskiem nazwiskiem. lecz ani słowa już naszej mowy nie rozumiał. Doszliśmy nakoniec pod sam Gdańsk i rozłożyli się na tak zwanych Żuławach, w tym kraju tyle bogatym, że mimowolnie wzdychaliśmy smucąc się, że nasza Polska nie ma takiego pozoru.

Dostałem kwaterę u kolonisty nazwiskiem Titz. Niemiec był już siwy, suchy, z wiekuistą fajką w ustach. Żona i jedynaczka córka Malchen, całą rodzinę składały; obok tego dwóch knechtów służących i trzy dziewczyny. Dom murowany pod dachówką, o pięciu czyściutkich izbach. w oknach firanki; stajnia i obora

murowane; dwie stodoły z chrustu pod gontem, szopa na wozy. Ogród owocowy otaczał tę porządną zagrodę, która obejmowała z 90 morgów magdeburgskich.

Titz uprzejmie mnie przyjął, przemówił po niemiecku, odpowiedziałem podaniem ręki, bom mało rozumiał, a jeszcze mniej tym językiem władał. Wziął mnie pod ramię, wprowadził do gościnnego pokoju, a wskazując na belkę sufitu, rzekł: „znam Polaków“. Spojrzałem na nią, był wyrżnięty napis: „Ignacy Żeliński, kapitan wojsk polskich — rok 1813“. Wytłómaczyłem moim gospodarzom, że Żeliński jeszcze żyje i jest pułkownikiem: cieszył się tem niezmiernie. Po chwili weszła panna Malchen, nakrywszy stół, przyniosła dzban kawy, bułki i masło. Ujrzałem się więc po tem tyle twardem obozowem życiu, wśród jakiejś przyjaznej i poczciwej rodziny, w mieszkaniu cichem — i wyznam, że mi się oczy zwilżyły, bo mnie febra zdenerwowała. Pocieszała mnie pani domu, Malchen się uwijała, a gdym oświadczył, żem chory, że mnie już gorączka porywa, wnet posłano łóżko, pełne miękkich i czystych betów. Ordynansi moi wnieśli juki, zapewnili, że konie dobrze ulokowane. Położyłem się przeto do łóżka, przyszła gorączka, a póki trwała, poczciwa gospodyni ciągle mi usługiwała. Na dzień drugi, wzmocniony nieco, obejrzałem się po pokoju; był obszerny, frontowy, o trzech oknach, podłoga lakierowana, kilka sztychów na ścianie: portrety króla pruskiego, Blüchera, i bitwa pod Lipskiem: pod oknem fortepian niewielki, meble czarno lakierowane, wyścielane, z białem jak śnieg nakryciem. Byłem smutny, ale czułem, że mi tu dobrze będzie.

Że febra była czwartaczka, trzeciego dnia wybrałem się do Gdańska szukać rady lekarskiej; pojechałem konno z kilku kolegami. Doktor zapisał mi chinę ordynaryjną, bośmy jeszcze ekstraktu chininy nie znali: trzeba było pełnemi łyżkami ją co godzina zażywać, a była to prawdziwa męczarnia.

Do dziś dnia żywię w sercu mojem wdzięczność dla tej poczciwej niemieckiej rodziny, za ich starania koło mnie, pieczołowitość i doznane wygody. Za dwa złote dziennie, miałem do zbytku kawy, obiad, kolacyę, opał, świece, nawet pranie: furaż dla koni osobno płaciłem. Na drugi dzień pierwszego mego noclegu przyszedł do mnie mój ordynans Jankowski, umyty, ogolony, wąsy wyczernione i zakręcone, zdając raport, że konie zdrowe, napojone, owies chrupią — i mówi: „niechno pan porucznik wstaje, pokaże coś ciekawego...“

— Cóż tam takiego? — odrzekłem.

— O, to dziwowisko!... sześć krów w oborze za rogi na łańcuchach u żłobu stoi, a wszystkie ogony do góry na blokach i sznurach do sufitu przywiązane. To nic jeszcze, ale te paskudne Niemcy, wychodek dziś szorowali...

Pierwszy raz od wielu dni się roześmiałem.

Kolonia, bo nie wieś, jaką zamieszkałem, nazywała się Mügenhall; budowle w szerokich odstępach wyciągały się w długą linię; że ulica była brukowana i ogrodzona, można było wygodnie kolegów odwiedzać; od Gdańska nie było jak pół mili odległości. Szły mi dnie cicho i spokojnie, febrę zgubiłem: konno w kilku kolegów, wziąwszy mego ordynansa z sobą, pojechaliśmy do miasta w dzień pogodny, a przedewszystkiem do portu.

Gdyśmy minęli ostatnie przedmieście, nagle z za węgła potężnej kamienicy morze Bałtyckie nam się odsłoniło. Wspaniały jego widok zawsze wzrusza patrzącego: mój ordynans Jankowski stanął, jak wryty, otwierając wielkie oczy... w końcu pyta mnie:

— Panie poruczniku! co to jest?...

— Morze — odpowiadam.

— A za niem co?...

— Znów lądy, na których ludzie mieszkają...

A on: Och! chyba nie!... tam już koniec świata!... i wierzyć tem więcej nie chciał, żem mu tłómaczył, iż do tych lądów będzie ze trzysta mil, może i więcej.

W porcie ruch wielki — kilkaset okrętów kupieckich ładowało zboże i drzewo budulcowe już obrobione: roje robotników pracowały przy jakimś kadencyjnym śpiewie. Wisła przy ujściu swem szeroko się rozlewała. Odznaczała się w porcie ogromna fregata wojenna angielska z rozwiniętą swą flagą: na prawo cytadela portowa Weichselmünde, głęboko i klinem w morze wysunięta, a to morze lekko się bałwaniło, gdzieś daleko na przodzie, coś jakby mgłą się bieliło — to wyspa Hela. Dobrą godzinę z prawdziwem zajęciem przypatrywaliśmy się temu nowemu dla nas widokowi. Wracając do miasta, jadąc ulicami, odbieraliśmy wojskowe honory od szyldwachów pruskich — stanęliśmy w hotelu Angielskim. Po dobrym obiedzie, podczas którego Niemcy prawie nas oblegali, poszliśmy oglądać miasto. W pysznym gmachu ratuszowym, w głównej sali, ujrzeliśmy wizerunki olejno malowane naszych dawnych królów polskich, ale oprowadzający nas Prusak kilka tylko ich imion wiedział. Tuż ogromny i potężny kościół. Nie będę go opisywał, bo go mało po tylu latach pamiętam, ale nadmieniam, że podziwiałem bogactwo jego ornamentów

wewnętrznych. Dwa szczegóły w nim mnie szczególnie uderzyły. Wielkich rozmiarów olejny obraz Sądu ostatecznego — był tam i Stwórca wszechświatów, Archanioł trąbiący i wzywający niezliczoną moc różnych postaci z grobów — byli i dyabli z widłami — w dali ognie piekielne, a co szczególniejsza, w kącie obrazu i jego narożniku, huzar niemiecki spokojnie palący tytoń z krótkiej fajeczki. Trudno się dorozumieć w tem myśli artysty. Malowidło to jednak uderzyło swym ogromem i było istotnie imponującem. W bocznej niszy czy kaplicy był znowu zegar, średnicy najmniej stóp sześciu, bogato rzeźbiony, ale zepsuty: opowiadano nam, że przy każdem wybiciu godziny, wychodziło dwunastu apostołów i kolisty swój pochód odbywało; były i inne podobnego rodzaju, ruszające się pod ukrytą maszyneryą postacie. W mieście ulice ciasne, kamienice bardzo wysokie. Kanały miasto przerzynały, nad nimi olbrzymie spichrze murowane, do których okręty kupieckie dopływały. Całe miasto otoczone silnemi fortyfikacyami i bastyonami, z których paszcze armat wyglądały. W ogólności ruch na ulicach wielki. W cukierni próbowaliśmy sławnych gdańskich marcepanów, a te były wyśmienite, jak również przy obiedzie ryby morskie, szczególniej smażone, a tak zwane flondry.

Odwiedziliśmy pułkownika Zielonkę, który mieszkał w mieście; uściskał nas serdecznie i powiadomił, że rząd pruski będzie nam płacił żołd włącznie do stopnia kapitana, po 30 talarów miesięcznie, sztabs-oficerom po 50, żołnierzom złoty na dzień, z którego potrącaną będzie żywność po kwaterach dawana i jakiś „szlafgeld“.

Wyszedłszy, wróciliśmy do hotelu na kawę, zastaliśmy kilkunastu oficerów pruskich, od huzarów gwardyi Kajserlinga, wnet znajomość się znalazła, uderzyliśmy w butelki, trwała gawęda tak długo, że fortecę o godzinie 9 wieczór zamknięto i musieliśmy nocować. Na drugi dzień znów śniadanie z huzarami; wróciwszy do wsi, dowiedziałem się, że byli o mnie niespokojni, panna Malchen pogroziła mi paluszkiem po nosie, pocałowałem ją w rękę, z czego była uszczęśliwiona. Z nią jedną mogłem się rozmówić, bo będąc na pensyi w Gdańsku, dość płynnie mówiła po francusku, ale niegodziwym akcentem. Na nieszczęście febrę to gubiłem, to znów wracała — zmizerniałem, schudłem, gorączki mnie trawiły; pocieszała mnie ta niemiecka rodzina, a Malchen była moim opiekunem. Było to dziewczę młode lat ośmnastu, zgrabna, pulchna, o twarzy miłej, włosów i oczu jasnych. Zażyłość nasza z dnia na

dzień wzrastała. dostrzegłem w końcu, że mnie pokochała!... nigdym jednak żadnego słowa zachęty jej nie udzielił.

W końcu grudnia pewnego dnia, przyszedł do mnie stary Titz z jakiemiś papierami, długo i uroczyście mówił, ilem mógł zrozumieć, wchodził w moje położenie, badał co myślę począć na przyszłość.. a w końcu z papierów wyjmując jakies druki, pokazywał cyfry tysiąców talarów; dorozumiałem się, że są to kwity depozytowe Banku berlińskiego na jego kapitały, było ich do 40.000 talarów. Wreszcie nagadawszy wiele, wypaliwszy kilka fajek, przyszedł do konkluzyi... wziął mnie za rękę i wypowiedział swe ostatnie słowo: „Herr Leutenant... to, co widzisz, jest pracą moją, ojca i dziada — zostań z nami... dam ci moją Malchen i moją fortunę!...“

Z jego długich kołowań i przemówień domyślałem się o co idzie: słuchając go, rozmyślałem co odpowiedzieć. Wreszcie uściskawszy go najserdeczniej, powiedziałem, że mam rodzinę w Polsce, że winienem się jej poradzić, że to zaraz uczynię, że nakoniec proszę o czas zastanowienia się. Weszła Malchen, bystro mi w oczy spojrzała. Gdy nakrywała do kawy, rączęta się jej trzęsły. W tej chwili, pod wrażeniem takiego przywiązania, istotnie zmiękłem. Wziąłem jej rękę i uścisnąłem ją... Nie było woli Bożej — ta sekunda, w której mogło wybić moje przeznaczenie, minęła...

Od tej chwili Malchen spoważniała, stała się rzewną, trudno mi przychodziło ją rozweselić, unikała mnie nieco, wzdragała się śpiewać przy fortepianie, a gdym ją raz uprosił, po smutnym śpiewie, gdym siedział przy niej, oparłszy głowę o piersi moje, krzyż wojskowy, com go zawsze nosił, ucałowała i rozpłakała się. Zacząłem się do niej przywiązywać, ale gdy serce już się odzywało, ciało upadało pod ciągłą febrą i gorączką. Nogi zaczęły mi puchnąć, wątroba dokuczać, zwątpiłem o życiu — a biedna Malchen chodziła z czerwonemi od płaczu oczyma.

W tym czasie odebrałem odpowiedź od mego stryja, posiadającego majątek ziemski w Opoczyńskiem, a bezdzietnego, z radami, aby wrócić do kraju. W tych zdawało mi się upatrywać, że zamierza mi przyszłość zapewnić. Tęskniłem istotnie od ojczyzny, jednak nic jeszcze nie postanowiłem.

Niedługo potem przyszło wezwanie od pułkownika Zielonki, abyśmy się wszyscy stawili. Wolny mając dzień od bolesnej febry, pojechałem. Oświadczył nam, że nasze oddziały, w Prusach konsystujące, dostały rozkaz od tego rządu zdeklarowania się, co

zamierzają począć z sobą w przyszłości? Że wolno wydalić się do Francyi, wolno również, kto będzie chciał, powrócić do Polski, a wracającym cesarz zapewni zupełną amnestyę.

Między nami było kilku żonatych i dzietnych. Ci oczywiście nie zawahali się powrócić do Warszawy. Byli też oficerowie rodem z Galicyi i Księstwa Poznańskiego. Tam mając rodziny, postanowili wrócić do nich, mała liczba nas krajowców, nie wiedziała co z sobą począć, więc prosiliśmy Zielonkę o radę.

Odpowiedział nam: „Znam Francuzów, ogół nam sprzyja i z nami sympatyzuje, ale gdy przyjdzie pomagać jednostkom, odmówią... Do wojska panów nie przyjmą, na to trzeba być rodowitym Francuzem. Legionów polskich tworzyć nie pozwolą dla swej polityki zagranicznej. Chcecie walczyć z niedostatkiem i przeciwnościami życia?... idźcie za Ren. Sądzę jednak, że w kraju naszym znajdziecie współczucie — może też cesarz wojsko polskie przywróci — ja jadę do Polski.“

Postanowiliśmy wrócić do kraju.

Zdaniem Zielonki było, że gdy pułk nasz był gwardyą cesarską, a on sam flügel-adjutantem Mikołaja, znajdowaliśmy się przeto w wyjątkowem położeniu, mogliśmy działać odrębnie i niezależnie od innych oddziałów wojsk naszych. Radził, aby ci, którzy zamierzają wrócić, podali o to prośbę do cesarza. Zgodzono się na to. — Adjutant pułkowy, Edward Tys, zredagował po francusku pełną szlachetności prośbę, a ta we dwie godziny była gotową. Podpisali ją koledzy porządkiem starszeństwa; gdy na mnie przyszła kolej, stanął mi na myśli mój ojciec, który pewno kraj rzucić postanowił i emigrować do Francyi, stanęła mi w oczach postać poczciwej i kochającej Malchen, rodzina w Krakowie bez opieki i sposobu utrzymania się — zawahałem się pod tylu obowiązkami... Przyszła też wątpliwość, czy przeżyję tę nieszczęśliwą chorobę, przybierającą codzień groźniejsze rozmiary. Umrzeć na swojej ziemi, było ostatniem mojem pragnieniem. Podpisałem. Nazajutrz Zielonka sztafetą wysłał nasze podanie do Petersburga.

ROZDZIAŁ XIV.

Rzut oka na przeszłość Królestwa Polskiego od roku 1815 do 1830 włącznie. — Polityka cesarza Aleksandra I. — Uwagi nad artykułem Kongresu Wiedeńskiego, dotyczącym Królestwa Polskiego. — Uwagi nad rządami jego. — Jak pojmować należy akt koronacyjny cesarza Mikołaja na króla polskiego? — Czy było na czasie powstanie roku 1830? — Zdanie Alfonsa de Lamartine. — Wzmianki o księciu Czartoryskim, generałach: Chłopickim, Skrzyneckim, Prądzyńskim, Chrzanowskim, Krukowieckim, Bemie, Szembeku, pułkowniku Zielonce, Lelewelu. — Czy właściwym był projekt wkroczenia do Litwy? — Treściwy przebieg wojny r. 1831 oraz dowodzenia, że Polska mogła Rossyan zwyciężyć.

Dziś, kiedy te karty mych wspomnień odczytuję, pozwalam sobie uogólnić wypadki owych czasów i wypowiedzieć o nich zdanie. Łatwem ono jest do sformułowania, po następstwach, jakie one wywołały. Nie wątpię nawet, że będzie ono przeciwnem niejednej opinii, oddaję je jednak pod sąd opinii publicznej, a ten, jeśli jest błędnem, niech je sprostuje. Zapiszę więc tu, jakie mam przekonania

Przypominając, że od rewolucyi polskiej r. 1830 upłynęło już lat pięćdziesiąt dwa; że dziewięćdziesiąt pięć setnych ludzi, którzy na nią patrzyli i w niej czynnymi byli, już się do grobu pokładło: że dziś z zimnem zastanowieniem możemy rozważać stan kraju od r. 1815 do włącznie 1830: że ostygło nakoniec to wrzenie krwi i umysłu, pod których naciskiem podnieśli rewolucyą ci, którzy pragnęli wywalczyć większe dla kraju przywileje — przedewszystkiem zadaję sobie pytanie: czy należało podnieść powstanie dnia 29. Listopada, lub nie?

Były to czasy tajnych towarzystw i spisków politycznych; sieć ich pokrywała Włochy, całe Niemcy, Francyę — sama nawet Rossya nie pozostawała w tyle, nie dziw więc, że się one w Polsce zawiązywały, naśladowanie leży w naturze ludzkiej. Koalicya obaliła potęgę Napoleona siłami ludów, którym wiele za krew przelaną obiecywano, lecz nic nie udzielono. Przed laty czytałem gdzieś, iż nawet ów „wściekły“, jak go nazywano, Blücher, gdy się dopominał u króla pruskiego ziszczenia jego przyrzeczeń, a ten mu odmówił, nieukontentowany wydalił się z czynnej służby i umarł w zaciszu domowem.

Ucichły tryumfy zwycięzców Francyi, nacieszono się festynami, uregulowano osobiste interesy panujących, nakreślono nowe granice krajom, bez względu na narodowości; odwieczne nawyknienia i zwyczaje ich ludności. Wszystko zdziałano dla władzców świata, nic dla pomyślności ludów. Za pośrednictwem żadnego organu nie miały one prawa, przedstawiać rządom swe życzenia i potrzeby. Prasa wszędzie uciśniona i pod surową cenzurą pozostająca. Rządy konserwatywne, opierające się na sile, odwiecznej samowoli, solidarnością z sobą połączone. Handel nie protegowany, ograniczony i uciążony cłami i przywilejami mnóstwa państw i państewek w Europie. Wiekowe prawa nikogo zadowolić nie mogące. Wychowanie publiczne nietylko zaniedbane, ale ciągle wstecz się cofające. Przywileje szlachty niewzruszone i nad wszystkiemi innemi klasami górujące. Stan średni już myślący, skazany na milczenie. Centralizacya wszędzie — samorządu żadnego. Municypalności rządzone z góry, gminy bez wiadomości o swych siłach i że są podporą krajów. Nie wolno było mówić, co się myśli, bo tajne policye wszędzie nasłuchiwały. Ludy płaciły podatki, rządy bez kontroli rozrzucały fundusze. Siła panowała wszędzie, a ta nagradzała pomoc jej daną: pieniędzmi, orderami, znaczeniem, tytułami.

Właśnie uczy historya: „Spólnicy świętego przymierza, nie potrzebując już pomocy ludów, oświadczyli się w Karlsbadzie na swym zjeździe r. 1819, za cofnięciem zaręczeń ludom danych w r. 1813. Wszelkie odmiany — powtórzyli 21. maja r. 1821 — iść powinny z woli tych, w których ręku Bóg wraz z odpowiedzialnością złożył najwyższą władzę. — Ci, którzy posiali burze, którzy na Kongresie Wiedeńskim, dzieląc się narodami, jak trzodą, a potem gwałcąc najświętsze prawa, przecząc najuroczystsze zapewnienia, gotowali domowe i zewnętrzne wojny — przybierali teraz charakter ścisłych stróżów porządku i prawa, wyłącznych konserwatorów przywłaszczeń swoich. Wypowiadali walkę tym, których zwiedli, burzycielom porządku, rewolucyonistom. Brali się do karania tego, jako zbrodnie, co niedawno cnotą nazywali.“

Wszystkie te jednak ludy i kraje, tyle uciśnione, z biegiem czasu cierpliwością, okazaniem sił swoich i wyczekiwaniem w niespełna pół wieku zdobyły sobie wiele ustąpień. Widzimy wszędzie postęp jaśniejący, ciemność dawna niknie — a chociaż jeszcze nie doszła ludzkość do zenitu swych życzeń, wyznajmy, że jest na ich drodze.

Polacy byli w wyjątkowem położeniu. Ojczyzna ich rozdarta w kawały, pomiędzy trzy potężne mocarstwa graniczne, mimo usiłowań jej synów od r. 1794, nie zdołała wywalczyć sobie niepodległości: ale ich poświęcenia, krew za tę sprawę tak hojnie przelana, niesprawiedliwość rozbioru kraju, nikogo niezaczepiającego, historyczne kraju zasługi — wzbudziły wszędzie współczucie, nawet w zimnych sercach dyplomatów Kongresu Wiedeńskiego.

Cesarz Aleksander chciał posiąść całą Polskę. — Nie mogły się zgodzić na to powiększenie, tyle już strasznego kolosu północnego inne potencye, dbające jeszcze o system równowagi europejskiej. Przyjaciele dotąd i sprzymierzeńcy, poróżnili się wkońcu o podział tej wielkiej zdobyczy, o mało co nie przyszło do nowej wojny. Ustąpił Aleksander pod grozą kojarzącej się koalicyi przeciw sobie — poprzestawał na dawnych zaborach i części Księstwa Warszawskiego, zamieniając takowe na Królestwo Polskie, z przybraniem dla siebie tytułu króla. Dlaczego?... dlatego — ile domniemywać można — że tym tytułem wywoływał oczywistą atrakcyę tych dawnych prowincyj polskich, które dostały się Austryi i Prusom. Jaśniej mówiąc: wyciągał po nie swe ręce. Ale ta atrakcya mocniej jeszcze przyciągała, gdy za zgodą jego Kongres Wiedeński postanowił, by nowe Królestwo Polskie konstytucyą rządzone było, jakiej nie używały wówczas jeszcze ani cała Austrya, ani Prusy, tem mniej prowincye polskie im przyznane. Czyż nie pamiętamy my współcześni, że, nie zazdroszcząc nam, nasi bracia z za Prosny, Bugu, Niemna i z Galicyi, szczęśliwymi nas być uważali, jako używających narodowego języka, samorządu, instytucyj, wojska i godeł narodowych?

Przyznać należy, że polityka cesarza Aleksandra była zręczną, rozległe widoki na przyszłość posiadającą. Mogły one być spełnione, z obustronnemi korzyściami Polski i państwa rossyjskiego. Stanęła na przeszkodzie niecierpliwość nasza, a więcej nieumiejętność cesarza i jego następcy, Mikołaja, w prowadzeniu jednoczesnem rządów samowładnych w cesarstwie a konstytucyjnych u nas.

O artykule Kongresu Wiedeńskiego, stanowiącym Królestwo Polskie r. 1815, już nieco wspomniałem. Nie będę rozbierał, czy ów Kongres i pełnomocnicy obradujących mocarstw nacisk w tym względzie wywarli, aby Królestwo to konstytucyjnie rządzone było, czyli też przeciwnie, cesarz Aleksander sam tę swą wolę wypowiedział. Czy tak jest, czy inaczej — gdy historya nam tej okoliczności nie wyjaśnia, pozwalam sobie twierdzić, że w gruncie

rzeczy Kongres w zasadzie przyjął jedynie deklaracyę cesarza Aleksandra i tę jako obowiązkową do swego protokołu zapisał. Jasnem jest wszakże wyrażenie: „że Królestwo to używać będzie oddzielnego rządu — oraz, że ma łączność z Rossyą, jedynie przez posiadanie jego w osobie panujących monarchów rossyjskich“. Dalej: Udzielenie Królestwu „rozciągłości (extensité) wewnętrznej“, którą cesarz za potrzebną uważać będzie (Convenable), Kongres wyraźnie zostawił jego woli. Tymczasem my Polacy rozumiemy, że: Aleksander zobowiązał się nadać Polsce konstytucyę, a w obietnicy nadania jej potrzebnej „rozciągłości“, chcieliśmy widzieć przyłączenie do niej zaborów r. 1772.

I to mogło nastąpić, jeśli damy wiarę poświadczeniom ludzi wielkiej powagi, ludziom na naszej ziemi zrodzonym i dobrze jej życzącym.

Jednakże, jeżeli taką interpretacye artykułu Kongresu przyjmiemy, przyjdziemy do wniosku, że wyrażenia się jego, w wysokim dyplomatycznym języku i wysłowieniu skreślone, otwierały cesarzowi rossyjskiemu szerokie furtki do wyjścia na wsze strony: że silniejszy, mógł je sobie tłómaczyć według upodobania a w konkluzyi ów artykuł był martwą litera, a my Polacy, mieszkańcy Królestwa, pozostawieni na łasce lub niełasce cesarza.

Konstytucya nasza obiecana i jak bądź wykonywana od roku 1815 do włącznie 1830, upadła z nocą 29. listopada, a jak widzieliśmy, nikt o rozdarcie artykułu Kongresu, nas dotyczącego, nie upomniał się, pod wygodną zasadą nieinterwencyi, to jest nie mieszania się do interesów państw obcych.

Błądzić w mem zdaniu mogę — ale, jeśli ono jest racyonalne, jeśli nasi mężowie stanu z przed r. 1831 tak sobie tłómaczyć mogli artykuł tyle razy wymienionego Kongresu, powinni byli być więcej umiarkowani w okazywaniu opozycyi, acz legalnej, w Sejmach. — Należało pomijać ucisk, wprawdzie wielki, W. Księcia Konstantego i jego koryfeuszów, a w tej burzy przejściowej trzymać się silnie rudla nawy narodowej, chociaż burza ta jeden maszt lub dwa z pokładu jej zerwała. Z niejakim nawet naciskiem dodam jeszcze: lekkośmy sobie traktowali akt koronacyjny cesarza Mikołaja na króla polskiego, nie gdzie indziej, lecz w Warszawie spełniony — ja go zaś uważam za nowe przyznanie i utwierdzenie autonomii, odrębności nawet Królestwa Polskiego od cesarstwa. Izby sejmowe bynajmniej nie występowały z wnioskiem tego obrzędu dotyczącym: wyszedł on z wyraźnej i samo-

dzielnej woli tego monarchy, a miał bardzo rozległe polityczne cele.

Mieliśmy rząd własny, skarb, Senat, Radę stanu, Izby poselskie, wojsko narodowe. Sejmy nasze posiadały atrybucye podawania wniosków do tronu, wyłuszczających potrzeby kraju. Król nawzajem projekty do praw, przez się obmyślanych, pod debaty Sejmu oddawał — z tych pierwsze: jeśliby na czasie zatwierdzone nie były, może przy cierpliwości dałyby się w przyszłości przeprowadzić. Cesarz Mikołaj był autokratą w swem dziedzicznem państwie, u nas był królem konstytucyjnym, musiał więc posiadać dwoistą naturę, myśl, słowo i postępowanie. Nie wdrożył się jeszcze w te podwójne, a tyle sprzeczne z sobą obowiązki. My też początkującymi byliśmy uczniami, po tylu latach upadku ojczyzny, na drogach parlamentarnych. Czas, ten wielki motor i nauczyciel, możeby wszystko do równowagi doprowadził. Toż samo można zastosować i do W. Księcia Konstantego. Już był nieco złagodniał, lubo go podbudzali zawsze Nowosilcow, Morenhejm i inni — a wyznajmy z boleścią i ze wstydem, że i wysoko położeni Polacy, których tu nie wymieniam, byli mu więcej jak służałcami. Wielki Książę nie był nieśmiertelnym, z doczesnem jego życiem możeby się wszystko odmieniło. W cierpliwości, w takcie, w zmyśle politycznym i przeczekaniu tych lat nieszczęśliwych, leżało zdaje się nasze zbawienie i ziszczenie wielu nadziei. Rozpatrzmy, co sobie od lat już wielu zdobyła nasza Galicya, Węgry i Czechy, pod rządem austryackim — a przecież swobodami, nam w Królestwie nadanemi, wyprzedziliśmy te kraje o lat sześćdziesiąt kilka.

Nie przeczę, że łamano w wielu głównych punktach Kartę konstytucyjną, ale któryż władzca nie łamał podobnego kontraktu, z ludami swymi zawartego? Monarchowie są ludźmi; postawieni tak wysoko, chcą mieć swoją wolę, drażni ich opozycya; my maluczcy za ostro z nią występowaliśmy. Sejmy nasze zaczęły przybierać, jeśli nie zupełnie, to w przybliżeniu przynajmniej postawę historycznych dawnych obrad Sejmów Rzeczypospolitej. W każdym parlamencie, zdobycie popularności u tłumów, idzie za wygłoszeniem śmiałego słowa przez mowcę — galerye przyklaskują. Jest w tym cel dwojaki: głośnym być w narodzie, lub oczekiwać aż rząd zamknie usta datkiem, stopniem lub znaczeniem. Za tymi brudnymi widokami posłowie nasi wprawdzie się nie ubiegali, ale mocno grzeszyli swemi mowami. To co nam z dyaryuszów sej-

mowych pozostało, chociaż nie wszystko w nich zamieszczono, daje tego jawne dowody.

Pamiętajmy, przypomnijmy sobie, że cesarz Aleksander nadał Królestwu Polskiemu konstytucyę, ale jego następca, Mikołaj. koronował się na króla naszego, spełnił więc najwyższy akt zaręczenia z swej strony, zaprzysięgając przy tej koronacyi, wobec reprezentantów narodu, wobec Boga i świata całego, dotrzymanie warunków tejże konstytucyi. Czyż to nie była dostateczna gwarancya? Ministrowie nasi niekonstytucyjnie postępowali, mianowicie książę Lubecki, skarbem i finansami zarządzający, ale mimo niektórych ich w czynach samowładności, mimo wielu fiskalnych nadużyć, w gruncie dobro kraju mających na celu, dobrobyt jego widocznie i prędko się podnosił.

Otóż z powodu ucisków policyjno-politycznych Wielkiego Księcia Konstantego, dotykających jedynie gorącą młodzież: z przyczyny niejakich pogwałceń Karty konstytucyjnej; niedopuszczenia do obrad Sejmu koronacyjnego jednego z posłów opozycyjnych, który podpisał deklaracyę niestawienia się na nim, a mimo tego chciał w nim uczestniczyć: skasowania jawności obrad sejmowych, którego to projektu myśl nie wyszła zkąd inąd, lecz z naszej Rady stanu, co wszystko, prawdę mówiąc, dotykało jedynie stolicę, Senat i Izby sejmowe — podnieśliśmy rewolucyę 29. listopada, kiedy kraj cały rósł w zamożność i dobrobyt. kiedy rozwijały się wszędzie jego prace produkcyjne.

Dziś, po tylu ubiegłych latach, po skutkach, jakie nastąpiły — przed Bogiem, własnem sumieniem i przed mymi rodakami wypowiem me przekonanie, że niewczesnem było nasze powstanie r. 1830.

Nieskończenie wyższą była wonczas Rossya od nas swą siłą materyalną; my znów przodowaliśmy nad nią ogólną naszą inteligencyą. Moralny punkt jej ciążenia był u nas; przez nasze to ziemie szła dla niej droga do ucywilizowanej Europy. Ocieranie się więc Rossyan o Polskę konstytucyjną, przodującą całej Słowiańszczyźnie zdolnościami umysłowemi, zbawienne tylko skutki na nich wywierać mogło. Królestwo Polskie, rządzone konstytucyą, prawami osłaniającemi osobisty honor każdego mieszkańca, jego mienie, religią, społeczne stanowisko, posiadające reprezentacyą narodową — nie brudną zazdrość, ale spokojne dążenie do uzyskania podobnych przywilejów, wzbudzać w Rossyanach było powinno. Rewolucyą naszą zatraciliśmy ojczyznę — została nam

tylko chwała szczytnego i zadziwiającego oporu przeciw silniejszemu — ale z jej zgnębieniem i Rossya na długie lata, bo po dziś dzień, stanęła na drodze wielkich swych przeznaczeń.

Gdzie się wykłuł zamiar podniesienia naszej rewolucyi?... W rozpalonych głowach kilkudziesięciu młodzieży wojskowej i cywilnej: kilku oficerów najniższych stopni, dwóch członków Sejmu: Zwierkowskiego i Lelewela. Byliż oni pełnomocnikami narodu?... Nie! uczniowie Uniwersytetu, do spisku należący, rozwinąć go skutecznie nie mogli bez siły zbrojnej, bez Szkoły podchorążych — ci mieli w ręku broń, w piersiach energię i odwagę. Spisek rozszerzał się przeważnie między wojskowymi; dumnie oni nosili swe znaki oficerskie, ale trwały pokój zatrzymywał ich długo w niskich stopniach, należało na awans wyczekiwać lat sześć i więcej. Wojskowy zawsze i wszędzie żąda sławy, honorów i awansów — u nas to wszystko było zamknięte — mieliśmy podporuczników, liczących lat trzydzieści wieku. I sądzę, że gdyby Wielki Książę Konstanty, zgodził się był z życzeniem brata i cesarza, wysłał wojsko polskie na wojnę turecką lat 1828 i 1829, gdyby temu ciału apoplektycznemu dobrze krwi upuszczono, gdyby starzy dowódzcy, wiekiem obarczeni, dla samej niemożności odbywania tej kampanii usunęli się i otworzyli młodszym a silniejszym wakanse, ruch ten, nużące marsze, widok obcych krajów, zdobyta sława, odznaczenie się, stopnie, krzyże, jeśliby nie wykorzeniły zupełnie z umysłów zamiaru powstania, to przynajmniej dokonanie jego na długie lata odroczyćby zdołały, a może i na zawsze, bo czas, jak wiadomo, zmienia najsilniejsze postanowienia.

Jakby wieszczym duchem cesarz Aleksander I. przewidywał nasze powstanie w r. 1815. Chciał, by wojsko polskie składało się jedynie z 24.000 ułanów, bez artyleryi, korpusu inżynierów, etc. Wielki Książę Konstanty chciał się bawić w organizacyę wojska wszelkiej broni i stało się, czegośmy doczekali w piętnaście lat później. Dodam, że wojna, wypowiedziana przez Rossyą Austryi, Prusom lub Turcyi, była u nas jedynie popularną i na nią wojsko polskie ochoczo by poszło. Któż zresztą dziś przewidzieć może, czy za niezawodne zasługi tego wojska, w wojnie z Turcyą położone, cesarz Mikołaj nieczułby się w obowiązku przyzwolić na ściślejsze wykonywanie konstytucyi krajowi nadanej?... Czy nie spełniłby obietnicy swego poprzednika, przyłączając do Królestwa Litwę i zabrane prowincye?...

Rewolucya wybuchła. Wielki Książę Konstanty nie śmiał jej czoła stawić. Wzięli jej kierunek ojcowie narodu. Widzieliśmy,

w jakim duchu odezwali się do niego, w pierwszej proklamacyi, datowanej 30. listopada. Uniósł ich na tę chwilę nieprzełamany prąd wojska i ludności Warszawy, która za niem poszła, a nawet krew przelana na jej ulicach. Ale gdybym mógł zajrzeć w ich serca i umysły podówczas, przekonałbym się, że podjęli tę sprawę, by ocalić z jej wyniku co się da uratować. Podjęli ją, jak ten, co staje do walki sam przeciw wielu przeciwnikom i życie swe przedaje dla ocalenia honoru. Tak też uczuwali i wyżsi nasi dowódzcy. — Nie pierwszy to raz dobywali swych pałaszy za sprawę narodową, honor im nakazywał raz ostatni z pochew je wyciągnąć. Bili się mężnie, nadstawiali swe piersi, ginęli na pobojowiskach z przyznaną im sławą w wojsku i narodzie, ale bili się bez przekonania i nadziei!... Wojskowe ich doświadczenie nie pozwalało im wierzyć, by siłami, czerpanemi z czteromilionowego Królestwa, mogli zwyciężyć olbrzyma Północy. Może ufali nieco interwencyi Francyi, ale Francya była daleko. Rzuciliśmy się więc w przepaść. Honor wojskowy, honor narodu w tej nierównej walce został ocalony — ale „matka - ojczyzna wstąpiła do grobu bodaj czy nie ostatecznie!...

Na poparcie mego zdania, tak śmiało tu przytoczonego, dołączam w ścisłem tłómaczeniu ustęp z listu pisanego w dniu 25. października 1831, a przeto zaraz po stłumieniu rewolucyi naszej, przez sławnego autora francuskiego, Alfonsa de Lamartine, do redaktora „Głównego Przeglądu Europejskiego“, w rozbiorze polityki racyonalnej i obowiązkach rządów względem rządzonych przez nie ludów. (Dzieła Lamartina, wydanie brukselskie r. 1844, stronica 785).

„Co do Polski — szczytnemi były jej żądania wskrzeszenia swej narodowości, która nigdy wygasnąć nie może i również bohaterska reklama praw przez Europę pogwałconych. Francya, nieprzeszkadzająca jej rozbiorowi w dawnych czasach, nic nie zyskująca z jej rozszarpania, miała obowiązek jej krwią swój dług wypłacić — tem więcej uznać usiłowania w wywalczeniu niepodległości. Wolno jest zawsze narodom odżyć, bo zbrodnie polityczne nie są prawem dla ofiar tego rodzaju. Nie ma też przedawnienia dla ludu, który chce i może wyjść z tymczasowej, a narzuconej mu niewoli. Lecz jeśli w sumieniu Francyi leżał obowiązek wdzięczności i pomocy dla Polski, miała ona prawo i słuszność wybrać do tego odwetu czas i godzinę. Ogólna i narodowa jej sympatya dla bohaterskiej Polski, nie narzucała jej jednak nierozsądnej konieczności rzucenia się ślepo w ogólne nieporozumienia z ościen-

nemi państwami. Rządy są opiekunami rządzonych ludów, a w tych obowiązkach władne są stłumić na razie najszczytniejsze swe współczucia uwielbienia i litości. Chwila powstania polskiego nie odpowiadała interesowi Francyi, zaledwie organizującej się po rewolucyi lipcowej r. 1830. Czy mogła być ta sprawa podjętą przez rząd jej chwiejący się jeszcze na swych niepewnych podstawach?... Tu jest właśnie kwestya. My Francuzi nie mogliśmy jej rozwiązać, bo rząd sam tylko posiada środki działania w swem rozporządzeniu. Prawo takie jest najwyższą siłą! uwielbienie zaś i współczucie są tylko bodźcami w takich razach. Wojny za takie uczucia prowadzone, są najwięcej bohaterskiemi. Były takiemi wojny krzyżowe, powstanie Wandei, opór Hiszpanii przeciwko Napoleonowi. Widzieliśmy ludy wybijające się pod mniej wrażliwemi sympatyami, jakich Polska używała; ale biorąc na uwagę skutki, następstwa i opinię polityczną, którą wywołała rewolucya lipcowa — a tem samem zadanie odpowiedzialności rządu francuskiego wobec interesu rządzonego przezeń kraju — Polska może źle wybrała dzień swego zbrojnego powstania... rok wprzódy, trzy lata później... cała Europa podjęłaby jej sprawę i zwyciężyłaby!"

Zdania te życzliwego nam Lamartina, nacechowane są — jak mniemam — zdrową i gruntowną polityką. Nie mogła nam przyjść z pomocą Francya w owym czasie. Rok wcześniej... trzy lata później... pisze on, niechby wybuchło powstanie polskie. I prawda!... rok wprzódy, była to wojna z Turcyą, wyczerpująca wszystkie siły Rossyi. Trzy lata później, rząd francuski, wzmocniony na swych podstawach, nie odmówiłby nam swej interwencyi. Pamiętajmy, że zrzucony z tronu Karol X. w owym powszechnym pokoju środkowych państw Europy, zostawił Francyę z wojskiem, nie liczącem stu tysięcy żołnierza i z finansami prawie zrujnowanemi.

Przejdę teraz do skreślenia charakterów i działań niektórych osobistości, na widowni naszej rewolucyi stojących.

Generał Chłopicki — to bożyszcze wojska, ulubieniec narodu, chowający się w pierwszych dniach powstania: ogłosił się dyktatorem 5. grudnia 1830 roku — mówię: ogłosił się sam, bo inną władzę, więcej ograniczoną mu oddawano, a na tem stanowisku chwycił nie tylko dowództwo wojsk naszych, ale i rządy kraju. Umysłem jego dzielnym i energicznym na polach dawnych bitew, owładnął natychmiast książę Lubecki, minister skarbu i stał się jego

kierownikiem, wlał weń niewiarę w podniesioną sprawę. To przypuszczenie dowodzi proklamacya Chłopickiego z dnia 8. grudnia, już wyżej przytoczona, a odwołująca się do „serca króla, który nie może uznać, gdy się dowie, jak go zwodzono.“ Te słowa publicznej odezwy przekonywują, że dyktator nie miał zamiaru zrywać z cesarzem Mikołajem. Popiera to twierdzenie wysłanie Lubeckiego i Jezierskiego do Petersburga, w zamiarze złożenia cesarzowi sprawozdania z położenia rzeczy. Zręcznym tym manewrem i namową dyktatora, Lubecki unikał dalszego kompromitowania się przed Mikołajem, unikał również osobistych niebezpieczeństw, bo w stolicy naszej i w kraju wcale popularnym nie był. Wysłańcy ci, mieli tłómaczyć Chłopickiego z faktu pochwycenia władzy, „aby nie stała się pastwą ludzi burzliwych i niespokojnych“.

Postąpienie to ulega najsurowszej krytyce z tego względu, że po zabójstwie tylu generałów polskich, aresztowaniu schwytanych rossyjskich, targnięciu się na życie brata cesarskiego w Belwederze — stanowcze zerwanie z Rossyą już niejako nastąpiło, a tem samem porozumienie się z „królem“ było już niepodobne, bo ów król pragnąłby odwetu i srogiej kary za targnięcie się na swych zwolenników i swą władzę. Rewolucya, podniesiona w zamiarze odzyskania niepodległości Polski, nie była uliczną swawolą — był to akt szczytny, jak go pojmowali spiskowi, nie dający się stłumić żadnymi układami. Wstrzymanie zaś ruchu wojskowego, do którego cała ludność Warszawy tak chętnie się przyłączyła, który, jak się spodziewać należało, przyjmie cały naród — było prostem zaparciem się jego głównej zasady, boć cesarz i król na ową niepodległość zgodzić się nie mógł. Jasnem było przewidywanie, że praw swoich dochodzić będzie siłą, przeciwko której również siłę postawić należało.

Nie zdołali na razie pojąć ducha naszej rewolucyi ci, którzy, powodowani chęcią zatamowania tego burzliwego potoku, zamierzali go zwrócić w naturalne jego łożysko. Przyznać należy, że ciemne były tym ludziom przedstawiające się drogi; nie owładnąć tym ruchem — mogła nastąpić anarchia a może i terroryzm; wziąć jego kierunek bez wiary w powodzenie — równym było grzechem. Należało więc pójść z prądem niespodziewanego wypadku, bez oglądania się na skutki i następstwa — przyjąć godło: „być, albo nie być!...“

Te wahania się kierowników rewolucyi powodowały, że pozwolono cofnąć się z pod Warszawy Wielkiemu Księciu Konstan-

temu z jego wojskiem, które mogło i powinno było być wzięte. Chłopicki zaniechał szybkiego uzbrojenia narodu, a jeśli wydał w tym względzie jakowe rozkazy, to jedynie naglony opinią publiczną.

Że nie wierzył w siły powstania, że ani myślał o wyprawie na Litwę, że ciągle się oglądał na układy z cesarzem Mikołajem, dowód w tem smutnem jego wyznaniu, złożonem 17. grudnia przed deputacyą sejmową, której powiedział: „że wojska na oczywiste jatki nie powiedzie i przysiędze, wykonanej cesarzowi, wiernym pozostanie“.

Obdarzony nieograniczonem zaufaniem narodu i wojska, mógł być jedynym przewodnikiem powstania. Ale go nie rozumiał, w nie nie wierzył. Nie zatajać więc, jak to uczyniono, lecz natychmiast ogłosić należało to jego wiary wyznanie. Urok, jaki wywierał, upadłby natychmiast a sprawa by na tem zyskała. Usunął się też niedługo... odepchnął nieśmiertelną sławę, jaką mógł zdobyć; tymczasem wojsko i naród, nie wtajemniczone w jego powody, przypisywało błędnie to oddalenie się kabałom Rządu narodowego i Izb sejmowych. Nie skąpił wprawdzie swej krwi, broniąc Olszyny w bitwie 25. lutego, na którą, gdy szedł, wyraził się w swem otoczeniu: „trzeba się jeszcze raz porządnie wytrzepać“ — ale w dziwactwie swojem, szedł na czele wojska, jak opowiadano, w cywilnem ubraniu. Nakoniec znając swą wyższość nad księciem Michałem Radziwiłłem, któremu tylko w ostateczności Rząd narodowy dowództwo wojska powierzył, nie przedsięwziął środków, by podwładni dowódzcy jego również rozkazom posłuszni byli. Dlatego to generał Krukowiecki w bitwie, jak wyżej, nie poparł Rossyan należycie pod Białołęką, dumnie wysłanemu adjutantowi odpowiedział: „że rozkazom generała w cywilnym surducie ubranego, posłusznym nie będzie“. Dla tego też generał Łubieński z naszego lewego skrzydła, nie poszedł z jazdą do ataku, na zgromionego już nieprzyjaciela. Rozważając wreszcie pojedyncze pretensye naszych generałów i ich nawyknienia do uległości tylko wyższej woli, mam przekonanie, iż przed jednym tylko Chłopickim, jako naczelnym wodzem, uchylili by czoła z posłuszeństwem.

Chłopickiego widziałem raz ostatni w r. 1837 w Krakowie, w ogrodzie Strzeleckim. Siedmdziesięcioletni starzec wyglądał czerstwo, głowę wysoko trzymał i zachował to głębokie spojrzenie, które go zawsze odznaczało. Poznałem go natychmiast — przywitałem się z kilku osobami z jego otoczenia, spojrzał na mnie

swym orlim wzrokiem, a gdym odszedł bez przedstawienia mu się, spytał: „kto to jest?...“ Na otrzymaną odpowiedź wyrzekł tylko jedno krótkie: „Aaa!...“ W Krakowie utrzymywał się dostatnio, ale bez zbytku — chodził jadać do restauracyi pod różą i tam go zawsze Galicyanie otaczali. Ognisty i namiętny we wszystkiem, grał w karty prawie zapamiętale. Dziwak do końca życia, umierając, jak mnie zapewniano, rozkazał do śmiertelnego swego ubrania przypiąć krzyż francuski Legii honorowej. Krzyż polski, również chwalebnie zasłużony, odrzucił. Karyera jego wojskowa, była jedną z najświetniejszych. Odbywał wojnę w Hiszpanii pod marszałkiem Suchet, jako szef batalionu a później pułkownik; długi czas służył w wojsku francuskiem. Ciągle wspominanego w raportach marszałka, Napoleon, za przybyciem swojem do Hiszpanii, kazał go sobie przedstawić. Zobaczył ogromnego mężczyznę, a w nim zuchwałego tylko nieporównanem męstwem żołnierza, nic więcej; polecił mu wypłacić 20.000 franków, wysłał do Paryża, by się ogładził, później posunął na generała, nadał mu wreszcie tytuł barona państwa francuskiego i wielce go cenił — szczegóły te posiadam z opowiadania starych naszych wojskowych.

Książę Adam Czartoryski, potomek naszych Jagiellonów, wzór cnót obywatelskich, pan przeszło pięćdziesięciomilionowej fortuny, sypiący swymi dostatkami na wychowanie i kształcenie młodzieży polskiej. Fundator szkół powiatowych w dobrach swoich, Międzyborzu na Podolu, które utrzymywał własnym kosztem, protektor Liceum krzemienieckiego — nie zrażał się ciągłem odsuwaniem go od spraw publicznych za czasów Księstwa Warszawskiego za to, że był przyjacielem cesarza Aleksandra I-go, za rozmarzonej jeszcze filantropią jego młodości, a później ministrem spraw zagranicznych cesarstwa; usiłując wszelkiemi siłami na Kongresie Wiedeńskim utrzymać sprawę polską, nie zrażał się również późniejszą obojętnością, okazywaną mu przez cara Aleksandra jako króla polskiego — owszem: odwołując się do dawnych z nim swych stosunków, w listach mu przesłanych, przedstawiał ciągle potrzeby kraju, przypominał mu dane obietnice a niespełnione.

Gdy nadszedł dzień ostatecznego poświęcenia, mąż ten, pełen politycznego rozumu i przenikliwości, znający gruntownie politykę trzech monarchów świętem przymierzem związanych, nie zawahał się ani na chwilę i przyjął spełnioną rewolucyę 29. listopada za narodową i własną. Stanął na jej czele, jako prezes Rządu. On, nie wojskowy, kiedy na radach rządowo-wojennych

dowódzcy nasi nachylali swe zdania do układów z cesarzem, przenikając, że te nigdy żadnego nie wezmą skutku, tem mniej dotrzymane będą, zagrzewał swą mową wątpiących. Już dosłownie zacytowałem jego przemówienie, gdy obwołany został prezesem Rządu — a należało go postawić na tak wysokiem stanowisku, aby przekonać świat polityczny, że rewolucya nasza nie dąży do anarchii, lecz uszanuje społeczny bieg spraw wszelkich. W tem to przemówieniu wskazywał obrońcom kraju niebezpieczeństwa mu grożące, ale i upominał, aby pod ich gromami nigdy nie upadali. On to po bitwie ostrołęckiej, zrozpaczonego Skrzyneckiego podniósł, podsuwając jeszcze niejakie nadzieje. On przemawiał do ostatniej chwili, za wytrwałością i bojem, bo domyślając się, że sprawa na zagubę jest skazaną, chciał przynajmniej honor narodu ocalić i pokazać światu, że godni byliśmy lepszych losów. Podjął rękawicę, jaką młodzież nasza rzuciła cesarzowi — nie przyjął korony, jaką mu ofiarowano, oświadczając, że „Jagiellonowie już wszystko, co mieli, oddali ojczyźnie". Kto zgłębi wielki charakter tego męża, ten powie ze mną: był to ostatni magnat polski!... Skończył życie na wygnaniu!

Książę był wzrostu dość wysokiego — oblicze wielkiej powagi, krasił dobrotliwy uśmiech — miał wysokie, mądre i myślące czoło — włosy i oczy ciemne, nos ściągły — chodził wolno — wymowę ustną i pod piórem, posiadał znakomitą — pamięć obszerną — naukę nadzwyczajnie rozległą, tę też protegował wszelkiemi siłami i swą możnością.

Jan Skrzynecki — dowódzca 8-go pułku piechoty liniowej przed r. 1831. Kawaler krzyża wojskowego polskiego, urzędnik Legii honorowej francuskiej, człowiek honoru, naukowy, nie narzucający się jak inni W. Księciu Konstantemu. W pierwszych początkach naszej wojny, odznaczał się swemi manewrami, po wejściu wojsk rossyjskich do kraju i w bitwie swej dywizyi pod Dobrem. Gładki redaktor biuletynów wojennych, pozornie zimny i w sobie zamknięty. W nocy z dnia 25 na 26. lutego po bitwie pod Grochowem, powodowany natchnieniem, wymownem słowem krytykował błędy w jej prowadzeniu, wobec zgromadzonego Rządu i Izb sejmowych. Chciano w nim widzieć obok zdolności wojskowych, siłę ducha i energię. Obrany naczelnym wodzem, strawił się pod wrażeniem tak wysokiego stanowiska. Chwalono mu to, że zaraz na wstępie powołał do sztabu głównego: Chrzanowskiego, Prądzyńskiego i Kołaczkowskiego. Wyprawa wielko-czwartkowa i zniszczenie korpusów Rosena i Gejsmara, uświetniły jego imię —

zdobyte trofea zyskały mu podziękowanie Sejmu, krzyż komandorski polski, wdzięczność narodu, ufność wojska. Błędy jego późniejsze już wytknąłem: mógł zdobyć Siedlce i magazyny tam przez Rossyan nagromadzone, następnie bić ich nieprzestannie, znieść zupełnie gwardye, inaczej poprowadzić bitwę ostrołęcką. Zamiast iść osobiście na Rüdigera, podnieść znów swe zasługi i sprawę, powierzył dowództwo ekspedycyjne korpusu niendolnemu a nawet podejrzanemu generałowi Jankowskiemu. Nie bronił Paskiewiczowi przeprawy na dolnej Wiśle, pod Ciechocinkiem: dopuścił nakoniec nieprzyjaciół pod same okopy Warszawy, nigdzie ich marszu nie wstrzymując. Oglądał się ciągle na pośrednictwo państw obcych — wdawał się bezpośrednio w korespondencye dyplomatyczne z zagranicą, a kiedy Rząd narodowy mu to postępowanie zganił, pokątnie spiskował na jego skład osobisty i wyrabiał sobie partye na jego obalenie. Podniósł niezgodę i waśnie w sztabie głównym, gdy Chrzanowski i Prądzyński wygadali się, że przeszłe powodzenia były skutkiem ich planów i pomysłów: nie umiał być skromnym, kiedy istotna zasługa nie była po jego stronie, a chwała wykonania zawsze by przy nim pozostała. Nakoniec złożono go z dowództwa. Czemuż nie kilka miesięcy wcześniej?!...

Skończył swą karyerę sromotną i tajemną ucieczką z Warszawy i obozów naszych, przed mściwą ręką, jaka go ścigała!

Rys ten treściwy jest wprawdzie powtórzeniem szczegółowego opisu naszej wojny, ale winienem go był tu zamieścić. Obrazuje on niedołęztwo Skrzyneckiego, który nigdy stopnia prostego generała nie powinien był porzucać. Odpowiedzialności przed światem, przed historyą narodu i własnem sumieniem, pojąć on nie umiał: podjął władzę, by ją zgubić. Wyprawa na gwardye, bitwa ostrołęcka, nie otworzyły mu oczu na własną niendolność. Chybił wyprawę na Rüdigiera, aby zostać pod Warszawą, aby intrygować przeciw Rządowi i Izbom sejmowym.

Dorzućmy do tego, że wzbił się w niesłychaną dumę, otaczał się książętami i hrabiami, a ci będąc jego adjutantami, schlebiali jego próżności. Jeździł w marszach powozami cesarskimi, w Zamku zabranymi, w cztery i sześć koni — poprzedzał go półszwadron kawaleryi, za nim drugi. Sumy trwonił na utrzymanie swej obozowej kuchni, bo do stołu jego zasiadał cały sztab jego. Pewnego razu, po Radzie wojennej, ojciec mój z innymi generałami, zaproszony był na obiad czy śniadanie do wodza. Zbytek był prawdziwy w przyjęciu, rozmowy głośne i wesołe. Ojciec mil-

czał — ktoś z obecnych go wezwał jako najstarszego, aby przytoczył jedno z tych wspomnień z czasów wojny Kościuszki... Rodzic mój na to odpowiedział, zmarszczywszy czoła: „Posłany byłem przez generała Wodzickiego z raportem do naczelnego wodza po bitwie Racławickiej: zastałem Kościuszkę siedzącego na zydlu przed chłopską chałupą... zajadającego z prostej glinianej miski zrazy z jagłaną kaszą i dostąpiłem tego zaszczytu, że się ze mną tem jadłem podzielił...“ Oniemieli wszyscy.

Kiedy nasz pułk z pułkiem Mazurów, szedł połączyć się z generałem Milbergiem idącym z swym korpusem w Płockie, stanęliśmy na dziedzińcu pałacowym w Jabłonnie dla wytknięcia koniom; w tem dają znać, że Skrzynecki jedzie. Po niedługiej chwili, pędzą przodem Krakusy, za nimi lando odkryte, w niem rozparty wódz z żoną i z jakimś księciem adjutantem; dalej kilka powozów i znów eskorta. Raczył wysiąść z żoną i tu nastąpiła ceremonialna imienna prezentacya pani wodzowej naszych oficerów. Stała nieopodal i gromada włościan, nam się przypatrująca, a jako ciekawa, zbliżała się pomału, aż prawie do nas dotarła. Jeden z adjutantów pyta siwiutkiego chłopka, czy pamięta księcia Józefa Poniatowskiego?... ale tak głośno, żeśmy wszyscy ucichli. Chłopek mówi, że go dobrze pamięta — na to adjutant pochlebca: „Gospodarzu! widzisz tego generała? to taki sam, jak książę Józef“. A starzec: „o nie, panie oficerze!... nasz książę był inny!...“

Czy podobna uwierzyć temu co opowiadano; jakie temu maluczkiemu człowiekowi roiły się po głowie marzenia?... Wiedział on, że Chłopickiemu Izby sejmowe ofiarowały najwyższą władzę. On też chciał być Janem IV.!!

W jakiś czas po naszej wojnie, kiedy Belgia wywalczywszy swą niepodległość, potrzebowała wojskowych organizatorów, z Paryża, gdzie zamieszkiwał, przyjął u niej służbę Skrzynecki z kilkunastu naszymi oficerami. Król Leopold I. przyznał mu stopień generała, ale cesarz Mikołaj dosięgnął ich tam potężną swą ręką. Wydalono wszystkich. Osiadł w Pradze, później w Krakowie i utrzymywał się z pensyi, jaką mu płacił rząd belgijski — nie długo też zmarł.

Nie słyszałem, aby on i Chłopicki zostawili po sobie jakie usprawiedliwienia lub pamiętniki. Był wzrostu średniego — brunet, szczupły, twarz bez wyrazu — zdjąć było z niego mundur i szlify, miał pozór pospolitego człowieka.

Prądzyński Ignacy — jako oficer głównego sztabu, był zdolności niepospolitych. Energii miał mało — na radach wojennych

nie umiał bronić przekonywującą mową swych planów i zdań, chociaż takowe najlepiej były obmyślane.

Bajarz — opowiadał każdemu, co go tylko chciał słuchać, że on jeden zna i pojmuje wyższą taktykę wojenną, on jeden wszystko prowadzi. Ztąd plotki i zazdrości ze strony Skrzyneckiego. Podejrzany jest powrót jego z korpusu Romariny, wtedy, kiedy z nim go wysłano dla dopilnowania ścisłego wykonania danych temuż generałowi instrukcyj. Widzenie się jego z generałem rossyjskim, Dannenbergiem, z którym parlamentował, kiedy Warszawa już ściśniętą została, poddanie się łechtaniu swej ambicyi w tej rozmowie, zaufanie, jakie w nim pokładał generał Krukowiecki, wysyłając go kilkakrotnie do obozów nieprzyjacielskich, zanadto wymowny obraz sił wojsk stolicę oblegających, jaki złożył przed Izbami sejmowemi — na ostatnie jego czyny i postępowanie przed wzięciem Warszawy, smutną rzucają plamę, tem więcej, że nie poszedł za wojskiem do Modlina, ale oddał się Rossyanom. Historya dotąd jeszcze nie wszystko wyjaśniła — zapewne wiele tajemnic zostanie na zawsze nieodsłoniętych. Może i lepiej.

Generał Chrzanowski Wojciech — równie zdolny, ambitny, zarozumiały, uparty, szemrzący ciągle, walczył o lepszą z Prądzyńskim w waśniach ze Skrzyneckim — w końcu stanowczo przeszedł na jego stronę. Z upoważnienia naczelnego wodza i on parlamentował pod Warszawą z Rossyanami i otworzył sobie nieznajome nam drogi, że go nie kto inny przyjął w przednich strażach, tylko generał Tielmann, z którym się był zaprzyjaźnił podczas wojny tureckiej r. 1828/9, bo tę razem odbywali. Rozmowa ta pozostała tajną. To pewna, że od tej chwili Chrzanowski zupełnie stracił wiarę w powodzenie powstania i bluzgał na radach wojennych mniej przyzwoitymi wyrazami, a naszemu wojsku ubliżającymi. Jak Prądzyński, i on nie poszedł z nami do Modlina po kapitulacyi Warszawy.

Generał Jan Krukowiecki. Już w niniejszym pamiętniku wspomniałem o jego intrydze przeciwko generałowi księciu Sułkowskiemu, po bitwie pod Lipskiem w r. 1813. Burzliwego nadzwyczaj charakteru, nie posiadał nigdy miłości swych podwładnych. Długoletnia rutyna wojskowa wyrobiła w nim zdolności do pewnego stopnia. Posiadał męstwo Polakom wrodzone. Dumny, ambitny w najwyższym stopniu, pragnął wszystkich i zawsze wyprzedzać, a w r. 1831 dosięgnąć najwyższej władzy. Kiedy w nocy z dnia 25. na 26. lutego naradzano się, komu naczelne dowództwo wojska powierzyć, bolało go najmocniej, że wybór nie padł na

niego, a po mianowaniu Skrzyneckiego, szorstko się odezwał. że i dobosza słuchać będzie.

Jestem przekonania, że gdyby Krukowiecki w dniu bitwy 25. lutego spełnił swą powinność, wykonał rozkaz przesłany mu przez Chłopickiego. bitwa ta byłaby zupełnie wygraną — a wtenczas okryty chwałą, obrany byłby niezawodnie naczelnym wodzem. Duma jego, żądza wywyższenia się nad innych raz zaspokojona, może by go doprowadziła do wielkich czynów, mianowanie zaś Skrzyneckiego wodzem, prostego pułkownika z przed r. 1830, kiedy on już był generałem dywizyi, wyrodziło w Krukowieckim najsilniejszą zawiść, zazdrość i niechęć.

Odtąd między tymi dwoma ludźmi, rozpoczęła się jawna, cicha i nieprzełamana wojna, oraz zgubny dla sprawy narodowej antagonizm. Nie uważając wreszcie zdania mego za stanowcze, wolałbym widzieć Krukowieckiego naczelnym wodzem, jak Skrzyneckiego; pierwszy więcej energii posiadał; ostry w słowie i czynie, wzbudzałby uszanowanie i posłuszeństwo w innych dowódcach; nie był zresztą takim wygodnisiem, jak Skrzynecki. Charakter, jaki posiadał, niezaspokojona duma. współzawodnictwo ze Skrzyneckim, rzuciły go na pole pokątnych intryg. Zyskał zaufanie i uwielbienie Klubu patryotycznego, bo go szukał. potrzebował, o nie się starał — stawiany też był zawsze na przodzie przez Lelewela.

W pamiętnej nocy 15. sierpnia, mocne jest podejrzenie, że bezpośrednio lub pośrednio kierował ulicznym ruchem, a conajmniej nań pozwalał, kiedy go tej nocy, wśród zaburzeń widziano, kiedy jego obecność była skonstatowana. A tak umiał kierować opinią publiczną, że jemu przypisywano uśmierzenie rozruchów.

Po tyle bezwzględnem obaleniu prezydentury Rządu, sprawowanej przez księcia Czartoryskiego, połączonymi głosami w Izbach reformistów i lelewelistów, wybrany został na prezesa Rządu narodowego. Gubernatorem stolicy mianował generała Chrzanowskiego, który tym razem znów przylgnął do niego. On to wskazał mniej stosowny system obrony Warszawy; on zluzował generała Sierawskiego z załogi szańca Woli, a postawił w nim wprawdzie równie walecznego Sowińskiego z 10. pułkiem nowej piechoty, zostawując w tym najważniejszym punkcie jedynie dziesięć armat i 2.000 żołnierza.

Konferował za pośrednictwem Prądzyńskiego z generałem Dannenbergiem; nadstawiał ucha łudzącym warunkom, na których

wykonanie żadnej gwarancyi ów parlamentarz nie dawał: na radzie Rządu silnie przemawiał za ich przyjęciem.

W samym szturmie Warszawy, Krukowiecki, prezes Rządu, *de facto* wódz naczelny, wojskowy z powołania, nie kierował jej obroną, nie pokazał się na linii bojowej. On to z Chrzanowskim po pierwszym dniu szturmu i wzięciu szańca Woli, postrachem rozpaczliwego położenia chciał doprowadzić Izby sejmowe do oddania miasta. Znów użył Prądzyńskiego do rozmowy z nieprzyjacielem — sam konferował z Paskiewiczem. Sam już będąc pełnomocnym do stawienia przedwstępnych układów, zwalał winę na Sejm, że mu nie udzielił właściwego upoważnienia. Wśród tych chwil rozpacznych działał samoistnie, nareszcie bezpośrednio wysłał Prądzyńskiego z listem do cesarza, a w tym poddawał się w imieniu narodu, już bez żadnego warunku, w oczekiwaniu zaś powrotu wysłańca, spokojnie siedział w krześle przed pałacem Rządu — w chwili, gdy Rossyanie, wyprowadzając do boju ostatnie swe rezerwy, drugi szturm przypuścili. Jeszcze druga linia fortyfikacyj miasta zdobytą nie została, a nasze wojska cofały się za most na Pragę... Generał Małachowski, zastępca naczelnego wodza, nie wydał tego rozkazu — o jego wydaniu nie wiedział... Któż go więc wydał?...

Te matactwa skłoniły Rząd narodowy, że złożył Krukowieckiego z urzędu. Istotnie niepojętą jest rzeczą, co w tej epoce wrzało w jego umyśle. Braku honoru wojskowego, przywiązania do kraju, nikt mu zarzucić nie mógł — a tymczasem w owych godzinach nieszczęścia naszego, rozmyślnie pchał do zguby sprawę tak świętą. Zdawałoby się, iż po to sięgał po władzę najwyższą, aby skończyć tę walkę jak najprędzej, chociażby z upodleniem narodu i jego przedstawicieli.

Jakież więc miał powody i widoki do takiego postępowania?... Jeśli mamy wierzyć bardzo upowszechnionej wówczas pogłosce i opinii, działała w nim brudna ambicya. Widział on koniec powstania i wojny — przyspieszyć go, oddać cesarzowi Warszawę, z jak najmniejszym krwi jego żołnierzy rozlewem, by posiąść jego łaskę, ten jeden miał być jego cel i zamiar... a za to... czekał... pożądał... by go mianowano namiestnikiem uspokojonego Królestwa. Czy mu to obiecano?...

Miał świadków swej rozmowy z feldmarszałkiem Paskiewiczem, ale nie zbyt bliskich, by jej osnowę dosłyszeli — miał ich i Prądzyński, gdy był jako parlamentarz wysłany... ale są sposoby na wszystko!...

Broni Krukowieckiego w swem dziele pułkownik Förster, cytuje dokumenta i jego listy. Sam Krukowiecki w nich wyrzuca księciu Czartoryskiemu, że ten przy powadze swego nazwiska i położenia, oraz posiadanych wpływach, nie rehabilitował go w opinii publicznej, wtedy, gdy, jak oświadcza: radził się księcia we wszystkiem i używał jego zaufania. Ale to wyznanie, ta skarga, właśnie go najsilniej pobija. Nadto wiele posiadał uczciwości i honoru książę, aby w tym razie mogąc, nie przyszedł niewinnemu z obroną. Milczenie jego aż do zgonu, jest bardzo znaczącem — dodam nakoniec i przypomnę — że książę Czartoryski poszedł z korpusem generała Ramoriny za Wisłę, więc nie widział szturmu Warszawy, nie przyłożył ręki ani zdania swego do jej ostatecznego upadku.

Z wojen Napoleońskich Krukowiecki wyniósł stopień generała. Był ozdobiony krzyżem wojskowym polskim, był również komandorem Legii honorowej francuskiej i orderu obojga Sycylii.

O ojcu moim, generale Sierawskim dość już powiedziałem. Dodam tylko, iż bodaj czy on jeden jedyny ze wszystkich wyższych dowódców wierzył niezachwianie w możność wybicia się na niepodległość ojczyzny naszej. Koledzy zwali go zapaleńcem, mimo, że nie wichrzył z Klubem patryotycznym i żadnej z nim nie miał styczności. Skrzynecki go nie lubił, bo był niegdyś jego podkomendnym, dlatego też odsuwał go ciągle od działań głównych wojsk naszych.

Generał Józef Bem — kawaler Legii honorowej francuskiej, dzielny dowódzca artyleryi — w początkach organizacyi wojska polskiego, to jest po roku 1815 był kapitanem artyleryi konnej. Nie pomnę, z jakiego powodu oddalił się później ze służby czynnej, nie wiem też co robił do czasu rewolucyi. Po jej wybuchu wstąpił zaraz do naszych szeregów — odznaczał się w bitwach, szybko się w stopniach posuwał, został w końcu generałem artyleryi. Już opisałem atak jego na grenadyerów Szachowskiego w bitwie pod Ostrołęką: była to myśl genialna, wykonana z nadzwyczajnem męstwem i energią, uratowała nas, a zważmy, że na jego dwanaście armat, biło przez pół godziny stokilkadziesiąt dział rossyjskich.

W szturmie Warszawy, obserwując z kopuły kościoła luterskiego ruchy wojsk nieprzyjacielskich, nie zdążył dopaść boju i wydać rozkazów swej artyleryi bronienia szańca Woli, co mu

mocno zarzucaliśmy. Emigrował do Francyi: w powstaniu węgierskiem roku 1848 przyjął służbę, dowodził oddzielnym korpusem i odniósł kilka zwycięztw nad Austryakami. Nie czytałem nigdy dokładnego opisu wojny i powstania węgierskiego, więc szczegółowych czynów jego tu przytoczyć nie umiem. Znałem go tylko z widzenia.

Tomasz hrabia Łubieński, generał kawaleryi naszej. Odznaczający się dowódzca pułku za czasów wojen francuskich, pod W. Księciem Konstantym nie chciał służyć. W wojnie naszej odznaczył się pod Nurem, com już opowiedział. Jako człowiek, był bardzo miły i uprzejmy, znałem go osobiście: kilka razy był szefem sztabu głównego. Za panowania cesarza Napoleona III., gdy ten ustanowił tak zwany medal „Świętej Heleny“, jakim ozdobił wojskowych, którzy służyli wojskowo pod wielkim cesarzem, przed Łubieńskim to składali nasi dowody swoje i na jego ręce przychodziły dla nich owe medale i dyplomy. Rząd rossyjski pozwolił je nosić: gęsto jeszcze przed laty można było je widzieć na piersiach naszych staruszków: dziś już ich nie widzę. Medal ten był bronzowy z koroną cesarską — na nim z jednej strony: popiersie Napoleona I., z drugiej napis: „*A mes amis et Compagnons d'armes de la Grande armée*“. Wstążka zielona w czarne paski. — Łubieński za trudy poniesione w tym względzie, obdarzony został przez Napoleona III. komandorskim krzyżem Legii honorowej: kawalerem jej już był poprzednio.

Dwernicki Józef, generał, kawaler krzyża wojskowego polskiego, urzędnik Legii honorowej, dowódzca 2. pułku ułanów przed r. 1831. Był niepomiernej tuszy, a mimo tego lekko dosiadał konia i żwawo go zażywał. Lubiał dobrą kuchnię i ułańskie hulanki: posiadał wielką miłość swoich żołnierzy! W wojnie r. 1831 winniśmy mu byli pierwsze zwycięztwa, pierwsze zdobyte działa. Miał wiele przymiotów dobrego generała kawaleryi. Śmiały, dał się wciągnąć w bitwę na Wołyniu z przeważającym w siłach nieprzyjacielem, otoczyć i wpędzić z wojskiem, powierzonem mu, do Galicyi. A co smutniejsza, stał się w tym względzie przykładem innym naszym dowódzcom. Emigrował do Francyi, około r. 1840 wrócił do Galicyi i tam obfitemi obywatelskiemi składkami zasilany, dostatnio się utrzymywał. Znałem go osobiście. Brat mój, Władysław, był przy nim adjutantem: ciężko ranny, zmarł we Francyi. — Drugi mój brat, Maksymilian, oficer w szwadronach ordynacyi Zamoyskich, zginął w bitwie pod Iganiami.

Generał Piotr hrabia Szembek, kawaler krzyża wojskowego polskiego i Legii honorowej, sławny z waleczności okazywanej za wojen napoleońskich, dowódzca I. pułku strzelców pieszych przed rokiem 1831. W pierwszych dniach rewolucyi listopadowej przyprowadził natychmiast swój pułk pod Warszawę, sam pojechał osobiście oddać się Wielkiemu Księciu. Gdy wrócił do pułku, zastał go już zrewoltowanym i z nim wszedł do stolicy. Był czynny w bitwach 19. lutego pod Wawrem. 25. t. m. pod Grochowem. Gdy mu wódz naczelny odmówił dekoracyi wojskowej dla jakiegoś jego protegowanego, której, jak mówiono, ten nawet nie zasłużył, chwycił tę sposobność i żądał uwolnienia z wojska. Oddalił się w Poznańskie, gdzie jego potomkowie majętności posiadają.

Zielonka Benedykt, pułkownik, urzędnik Legii honorowej francuskiej, adjutant cesarza przed rokiem 1831, dowódzca pułku, w którym służyłem. W naszej wojnie odznaczał się zimną krwią w bitwach — nie przyjął stopnia generała, na który go chciano posunąć, mówiąc, że „będzie walczył za ojczyznę, nie żądając awansów". Ani razu w bitwach pałasza nie dobył: szedł do szarży z laską w ręku, dla tego też bez jego wiadomości, w takich chwilach żołnierze nasi z bliska go otaczali i zasłaniali: posiadał wysoki szacunek u nas oficerów, miłość u żołnierzy. Zdaje się, że pochodził z Podola, pięknym był mężczyzną. Około roku 1826, ożenił się z wdową po sławnym kościuszkowskim generale, Mokronowskim, z domu, o ile pamiętam, hrabianką Potocką — ta umierając zapisała mu testamentem 500.000 złp. Po wojnie wrócil z nami do kraju z Gdańska, kupił majętność ziemską w Rzeczypospolitej Krakowskiej i w niej osiadł. Odtąd ciągle chmurny, bolejący nad zmianą położenia kraju, żył samotnie — niedługo też zmarł: daleki po nim krewny i imiennik z Podola, odziedziczył spadek po nim. — Cieszyłem się jego dla mnie życzliwością.

Jeszcze mała wzmianka o Klubie patryotycznym. Przewodnicy jego werbowali sobie w wojsku naszem, co tylko było najdzielniejszego, a chciało im się poddać. Wiceprezesa Klubu, Krępowieckiego znałem, jako guwernera młodego Dąbrowskiego, bom bywał z moim ojcem u generałowej wdowy po Henryku. Po mojem odznaczeniu się pod Mińskiem, które opisałem i ozdobieniu krzyżem polskim, wynalazł mnie Krępowiecki — usiłował zbadać mój sposób myślenia, rozbudzał ambicyę, obiecywał poparcie wszechmocnego Klubu, awanse, stopnie, bylem się zacią-

gnął pod jego chorągiew, a było to zaraz po bitwie ostrołęckiej. Kto wie, może dałbym się nakłonić; ale, gdy w tajnej rozmowie źle się wyrażał o moim dobroczyńcy, księciu Czartoryskim, grzecznie odmówiłem, odpowiadając, że istotny Klub patryotyczny jest w obozie. — Już go potem nie widziałem. Był to człowiek wielkich zdolności i bardzo wymowny. Emigrował do Francyi.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

Prawne i moralne horoskopy socyalizmu.

(Dokończenie).

III.

Nowa nauka moralności stanowić miała niejako uzupełnienie nowej nauki o państwie a oba dzieła powinny się były złożyć na ukoronowanie przeszło trzydziestoletniej poważnej i rozgłośnej karyery naukowej dr. Antoniego Mengera. Tymczasem skończyło się wszystko — mówiąc otwarcie — fiaskiem. Wprawdzie krytyka niemiecka nie powiedziała tego wyraźnie. lecz owszem dziełom tym wymierzyła znaczny na pozór *succès d'éstime,* ale nikogo to nie może zachwiać w samodzielnym sądzie, kto refleksyą sięgnie po za ramy książki w świat realnych warunków ziszczalności przedstawionych postulatów, zapewnień i proroctw. Nawet w ramach książki uważny czytelnik nie znalazł pewnie tego sezamu promiennych ideałów socyalistycznych, które autor odsłonić obiecał w przedmowach i niektórych ogólnych ustępach.

Po wyraźnem wotum nieufności, danem całej dotychczasowej filozofii jako wrzekomej służebniczce państwa opartego na sile i ucisku wydziedziczonych, po zapowiedzeniu nowego systemu filozoficznego w ramach „socyalistycznego światopoglądu“, prawie wierzyć się nie chce, że w nowej nauce moralności Menger nie próbował nawet zaingurować tego systemu w zakresie etyki. Przypuścić było można, że z potępienia całej filozofii wyłączy bodaj

utylitaryzm Benthama, tę skarbnicę, z której czerpały wątek i materyał różne systemy etyki społecznej, stosownie do tendencyi autorów. Jak z tej skarbnicy łatwo się zasilić, na to przykładem jest Jhering, który znalazł tam punkt oparcia dla takiej etyki *(Der Zweck im Recht)*, jaka mu potrzebna była dla gloryfikacyi obrotu jako arcydzieła cywilizacyi a egoizmu jako głównego w tem współpracownika, jako pod pewnym względem *perpetuum mobile* cywilizacyi. Dobro społeczeństwa, które w etykach tego rodzaju występuje w formie elastycznej, nazwał Jhering „otwartą księgą, zapisywaną przez jedno pokolenie po drugiem w nieskończoność“, a sam zapisał w tej księdze jedną kartę słowami, w których pomieścić można najdalsze prawne i etyczne postulaty socyalizmu: „Jak wszystkie zasady moralne, — mówi tam Jhering (t. II. str. 586) — tak i ich miara ma swoją podstawę w interesie społeczeństwa t. j. żadna z tych zasad nie może rościć sobie szerszego zakresu, aniżeli tego wymagają cele społeczeństwa. Przykazanie opiewia: nie zabijaj! W obronie koniecznej mogę zabijać, w wojnie muszę to czynić a zbrodniarzowi ustawa grozi karą śmierci. Czy jest w tem jaka sprzeczność? Zachodziłaby ona w takim razie, jeżeliby zakaz zabijania istniał sam dla siebie, jeżeliby prawdziwą była idea, że tak zwana świętość życia ludzkiego zabrania wszelkiego rozlewu krwi. Ale zakaz ten istnieje dla społeczeństwa. Dlatego zabijanie jest zakazane, dozwolone, wskazane w miarę, jak tego wymaga cel społeczny. Podstawą całego prywatno-prawnego porządku jest bezpieczeństwo i obrona własności. Ale podstawę tę narzuca sama władza państwowa wywłaszczaniem a ustawodawstwo wydawaniem ustaw, uchylających prawa nabyte. Czy jest w tem jaka sprzeczność? Zachodziłaby ona, jeżeliby podstawa własności w niej samej leżała, jak to utrzymuje błędna teorya, która i tutaj sięga po ideę świętości. Ale własność istnieje tylko dla społeczeństwa. Jeżeliby ono nie mogło ostać się z własnością, to własność musiałaby być uchylona. Całkiem tak samo rzecz się ma z przykazaniem prawdy. Nie istnieje ono dla prawdy, lecz dla społeczeństwa. Jeżeliby ono istnieć mogło tylko kłamstwem, to kłamstwo zajęłoby to miejsce, które teraz prawda zajmuje. Kłamstwo byłoby ze stanowiska społecznego nakazanem, a więc moralnem.“

Jhering miał na myśli dzisiejszy ustrój społeczny i dostroił swoje poglądy etyczne do apologii obrotu jako dzieła egoizmu, ujętego w karby dobra społecznego i prawa. W sposób analogiczny mógł Menger dostosować etykę społeczną do wymarzonego ustroju

socyalistycznego i na tem tle rozwinąć w systematycznej całości całą skalę postulatów etycznych. Ale Jhering i Menger — to dwie dyametralnie różne organizacye umysłowe. Pierwszy, jak był genialnym na wyżynie historyczno-filozoficznej w swojem głównem pomnikowem dziele o duchu prawa rzymskiego, tak genialnym pozostał nawet wtedy, gdy po kuglarsku igrał paradoxami, aby w dziele powyżej przytoczonem stworzyć dla współczesnego prawa podstawę utylitarno-etyczną. Menger nie był genialnym, ani nie posiadał tej lotności umysłowej, którаby mu pozwalała przerzucać się z jednego obszaru pracy na drugi, objąć na każdym szersze horyzonty i bujać w ich przestworze bez obawy, że po wzniesieniu się w utopijne sfery tchu mu braknie. Z pierwszego zawodu swojego profesor procedury cywilnej, więc tej gałęzi prawa, w której właśnie umysł zasklepia się a więc i zacieśnia w subtelnych preparatach mikroskopii i mikrotomii jurydycznej, Menger przerzucił się najpierw na pole pracy socyalno-politycznej i tutaj zdobył sobie wielki rozgłos ścisłą analizą wielu istotnie ujemnych stron dzisiejszego prawa prywatnego, a tem samem i analizą wielu ztąd wynikłych drażliwych kwestyi społecznych. Zachęcony powodzeniem swoich prac socyalno-politycznych a przejęty dla nich gorącem zamiłowaniem, zapragnął objąć całokształt kwestyi społecznej. Wziął się do tej pracy po benedyktyńsku i doprowadził też do benedyktyńskich rezultatów w wszechstronnem przestudyowaniu materyału. Jak z czasem zasłynął z posiadania uzbieranej z wielkim nakładem trudów i kosztów a dziś największej w świecie biblioteki socyalistycznej, znanej szczególnie z kompletu najrzadszych nawet efemerycznych publikacyi, tak zasłynął też z największej znajomości całej literatury socyalistycznej, czego świetnym dowodem jest nowa nauka o państwie.

Ale do objęcia całej kwestyi społecznej, chociażby w formie utopijnej brakło Mengerowi polotu. Jeszcze w nowej nauce o państwie próbował unosić czytelnika w mgliste sfery złudy, zkąd w dalekiej perspektywie rysowały się fantastyczne kontury przyszłego państwa socyalistycznego. W nowej nauce moralności nie pociąga już czytelnika w sfery utopijne takimi obrazami, lecz sam zasklepiony w swojej idei i przejęty niezłomną a niezawodnie szczerą wiarą w trafność swoich pomysłów, odsłania przed nim całą nędzę moralną w dzisiejszym ustroju społecznym i pragnie go przykuć do siebie — proroctwem! W proroctwie tem nie zapowiada zupełnej przemiany człowieka dzisiejszego, owszem przyznaje to otwarcie, że tkwić w nim będą nadal dzisiejsze przywary

i ułomności moralne, ale wszystko zmieni się na lepsze a złe zostanie zredukowane do minimum. Ma to nastąpić po zaprowadzeniu ustroju socyalistycznego samo z siebie, niejako automatycznie. Ale sama wiara w proroczą moc autora nie wystarczy jeszcze czytelnikowi, żeby mógł patrzeć z zupełną otuchą w promienną przyszłość ludzkości pod znakiem socyalizmu. Musi nadto posiadać bardzo bujną fantazyę, żeby sobie wypełnić konstrukcyę państwa według planu Mengerowskiego, bo konstrukcya ta stanowi *conditio sine qua non* owej automatycznej asanacyi moralnej społeczeństwa.

Menger w ostatnich chwilach życia może z uczuciem tryumfu spoglądał na swoje prace o państwie i moralności socyalistycznego pokroju. Krytyka bowiem pod urokiem powagi naukowej autora, była bardzo powściągliwa a do tego zaszły wypadki, które mogły autora utwierdzić w przekonaniu, że socyalizm w niepowstrzymanym rozpędzie rozwojowym zbliża się do celu i państwo socyalistyczne — *farà da se!* Wszakżeż na zachodzie, we Francyi, wymierzono gwałtowne ciosy na jeden z fundamentów dzisiejszego ustroju państwowego, na kościół, a główny środek politycznej demokratyzacyi społeczeństwa, tak wysoko wyniesionej w nowej nauce moralności, zdobywa teren nawet w państwie tak konserwatywnem, jak Austrya, i to z inicyatywy i pod powagą samego rządu. W jednym i drugim wypadku widział może symptomy rozpadania się panującego ustroju państwowego i pierwsze dalekie promienie wschodzącego słońca socyalistycznego.

Zarzut zbytniej rozwlekłości słusznie spotkałby nasze wywody, gdyby tutaj chodziło o samo tylko ocenienie dwóch ostatnich książek Mengera i skonstatowanie ich fiaska naukowego. Jednakże rzecz zasługiwała na obszerniejsze omówienie, gdyż chodzi nam nie o same książki i ich efekt naukowy, lecz o ciekawy symptom ogólnego znaczenia, o chybioną próbę narysowania planu budowy państwa socyalistycznego nie w lekkiej formie belletrystycznej, lecz z poważnym zakrojem i zamiarem na gruncie realnych warunków wykonalności, o próbę chybioną, chociaż podjętą przez konstruktora najwięcej dziś powołanego do rozwiązania takiego zadania, bo przez pierwszorzędnego prawnika i najlepszego w współczesnym świecie naukowym znawcę wszystkich zamysłów, aspiracyi i planów świata socyalistycznego, objawionych od chwili urodzin socyalizmu. Jeżeli nawet taka próba zupełnie się nie powiodła, jeżeli ona wbrew intencyi autora wzbogaci tylko kollekcyę utopijnych pomysłów nowym egzemplarzem i to egzemplarzem mniej ciekawym, bo napisanym bez fantazyi, sucho i bezbarwnie,

to powstaje pytanie, czy po tym zniechęcającym przykładzie znajdą się inni fanatycy idei, gotowi do ponawiania prób w tym rodzaju? Nie braknie pewnie ochotników, chociaż nie rychło znajdzie się naśladowca równie zasobny w wiedzę i fachową kwalifikacyę, jak Menger. Ochotników nie braknie dlatego, że każda praca w tym rodzaju jest ze stanowiska poczytności ponętna dla autorów, żądnych rozgłosu. Ale ztąd wcale nie wypływa, że każda dalsza próba będzie bliższa rezultatu i że w końcu rezultat zostanie osiągnięty. Przecież także i kwadratura koła jako temat dociekań nie straciła dotąd amatorów. Faktem jest, że z pracą na ten temat, pracą w pojeciu autora epokową, zgłaszał się w ostatnich czasach do redakcyj poważnych miesięczników a podobno nawet do akademii umiejętności człowiek z pewnym talentem pisarskim i z głową niezawodnie normalną.

Istną kwadraturą koła w prawno-społecznem znaczeniu jest teza, jaką Mengerowi podyktował jego do fanatyzmu podniesiony entuzyazm dla socyalizmu. Według tej tezy, naszkicowanej w nowej nauce o państwie, może powstać a nawet już się poniekąd w zawiązku wydobywać zaczyna, i to nie za pomocą przewrotu rewolucyjnego, lecz samą siłą rozwojową idei, więc drogą pokojowej cywilizacyjnej ewolucyi społecznej, takie państwo socyalistyczne, jakie w mglistych zarysach przedstawił dr. Menger i że w takiem państwie ludzkość nietylko nie poniesie uszczerbku w swoim wiekowym dorobku kulturalnym, lecz owszem pomnoży ten dorobek do najwyższej miary. A przecież w tem państwie miałyby być podcięte korzenie dzisiejszej kultury, tak materyalnej przez zachwianie jej dźwigni w prawie własności i w prawie spadkowem, jak i duchowej przez unicestwienie jej religijno-moralnych podstaw i przez sprowadzenie całego życia umysłowego na nizki poziom experymentalnej wiedzy.

Gdyby nawet w tem nowem państwie wraz z podkopanemi w Mengerowskim zarysie instytucyami prawnemi zniknąć miały wszystkie, dzisiejsze życie gospodarcze społeczeństwa zamącające, rodzaje wyzysku, pokrzywdzeń, w ogóle niesprawiedliwości, to wyglądałoby to tak samo, jak wyplenienie chwastów przez zniszczenie całego plonu! Gdyby w tem urojonem państwie socyalistycznem, społeczeństwo stało się automatycznie niejako białą kartą, na której dopiero Mengerowska nowa nauka moralności miałaby wycisnąć swoje znamię, to dzięki wyniesieniu hygieny na stanowisko podstawowego przedmiotu oświaty, powstałby może z czasem człowiek fizycznie doskonalszy, ale zarazem i bliższy tych

nieobjętych jeszcze kulturą szczepów, które życiem nie odbiegły daleko od łona natury.

A jeżeliby kto zmienić chciał w programie Mengerowskim tylko środki wykonania z pozostawieniem celu, jeżeliby program ten postawiony został pod hasłem rewolucyi? W takim razie program Mengerowski zostałby niezawodnie sprowadzony z mgły utopijnej na krwawy grunt realny, ale na tym gruncie według prognozy samego twórcy programu żyrondyści socyalizmu musieliby wnet ustąpić terrorystom. A współczesne wydarzenia może samego Mengera zachwiałyby w powyższej prognozie, bo żyrondyści socyalistyczni zapewne nie dostaliby się nawet do krótkiego przemijającego panowania, a natomiast terror, tak zasobny dziś w ochotników, w materyał i środki walki od razu rozpocząłby swoje krwawe dzieło. Wtedy państwo socyalistyczne znalazłoby się w posiadaniu ogromnego, trudem całych pokoleń i wieków nagromadzonego, skarbu kultury materyalnej i duchowej, z którego nowe społeczeństwo mogłoby żywić się czas dłuższy, aż do wyczerpania. Byłoby to życie z kapitału, niezasilanego przyrostem, niejako życie pod hasłem *après nous le déluge,* byłoby to spożywaniem owoców nie zbieranych po gospodarsku z oszczędzaniem drzewa dla przyszłych urodzajów, lecz zagarniętych od razu przez zrębanie drzewa, jak to czynią dzicy ludzie. W jakikolwiek tedy sposób miałoby powstać państwo socyalistyczne, w ustroju przez Mengera nakreślonym, czy drogą ewolucyi przezeń zapowiadanej albo raczej urojonej, czy drogą przewrotu, w każdym razie zamach zabójczy na dzisiejszą kulturę wysuwać się musi na pierwszy plan prognozy, liczącej się z realnymi czynnikami. Proroctwo Mengera, że w państwie socyalistycznem kultura nietylko nie poniesie uszczerbku, lecz owszem wznosić się będzie na coraz wyższy stopień doskonałości, wystarczyć może chyba tym fanatykom idei, którym wystarczała każda dotychczasowa utopia o przyszłem państwie socyalistycznem. Ale liczba takich fanatyków pewnie nie wzrosła po pojawieniu się książek Mengera, lecz raczej zmalała, gdy z świeżem tiaskiem naukowego socyalizmu zbiegły się grozą przejmujące wybryki wojującego socyalizmu we wschodniej Europie, wybryki dające przedsmak tego, co już nie z proroctwa, lecz z oczywistej konsekwencyi czekałoby społeczeństwo w państwie socyalistycznem.

IV.

Jestto niezawodnie nowy dowód wielkiej siły atrakcyjnej idey socyalizmu, jeżeli ona opanować mogła zupełnie uczonego tej miary, co dr. Antoni Menger, umysł tak głęboki w poglądach, tak uzbrojony w wszechstronną wiedzę, a przytem zawodowo na polu jurydycznem tak zaprawiony do ścisłości. Opanowany, albo raczej uwiedziony przez ideę socyalizmu, Menger do głębi przejęty przekonaniem o niezawodnym a poniekąd nawet już niedalekim rozkładzie obecnego ustroju państwowego, w stanie formalnej autosuggestyi, zajął stanowisko Kassandry, ostrzegając przed zbliżającym się kataklizmem i wskazując społeczeństwu zamgloną drogę ku lepszej, nawet wspaniałej w jego wyobrażeniu, przyszłości. Ale w rozumowaniu swojem Menger za mało oglądał się na historyę a właściwie oglądał się na nią ze strony politycznej tylko o tyle, o ile mu ona dostarczała materyału do obrazu dzisiejszego państwa, jako dzieła siły i przewagi możnych nad słabymi. Nie miał przed oczyma historyi kultury w szerokich ramach, bo w takim obrazie historycznym życie i rozwój tego przezeń na upadek skazanego państwa z klasowo-hierarchicznym ustrojem warstw społecznych stanowi stałą wytyczną linię postępu cywilizacyjnego. Wprawdzie linia ta załamywała się i krzywiła nieraz pod naciskiem kataklizmów dziejowych, ale zawsze po chwilowem załamaniu się lub skrzywieniu wspinała się dalej w górę. Każda przerwa tego rodzaju stanowi tylko objaw niespożytej siły regeneracyjnej państwa, bo z przebytych burz wychodziło ono w odmłodzonej postaci.

W tem ciągłem przekształcaniu się i odmładzaniu ustroju państwowego kwestya socyalna odgrywała główną rolę nie od tej chwili dopiero, kiedy socyalizm niejako oficyalnie przybrał swoją nazwę dzisiejszą i sformułował swój program zasadniczy. Pod naporem tej kwestyi na schyłku XVIII. stulecia budowla państwowa przebywała wstrząśnienia niebezpieczniejsze, niż w tej chwili, z tego powodu, że ci, którzy stali na jej straży i ci, którzy w niej przebywali, nie posiadali jeszcze ani dostatecznej świadomości niebezpieczeństwa, ani znajomości umiejętnego przystosowywania budowli do zmieniających się stosunków i nowych potrzeb. Dziś lepiej rzecz się ma pod tym względem. Od 25 lat, więc za życia jednego pokolenia i w jego oczach, państwo zmieniło się tak, że co z początku wydawało się niemożliwem bez gwałtownego przewrotu, to albo się już dokonało, albo się dokonuje drogą na-

turalnego i spokojnego rozwoju. Weźmy np. kwestye robotniczą. Kto przed 25 laty u nas przypuszczał, że państwo przekształci robotników niejako w klasę funkcyonaryuszy publiczno-społecznych, niezdanych, jak przedtem tylko na łaskę losu! A dzieło to jest już w znacznej części dokonane, bo obowiązkowe zabezpieczenie pod powagą państwa zbliża się do wykończenia. Niepodobna tutaj wyliczać ustaw z tego okresu, w których dążność do sanacyi nienormalnych stosunków społecznych wycisnęła wyraźnie piętno swoje. Całe ustawodawstwo z ostatniej ćwierci ubiegłego wieku można ująć w tę ogólną charakterystykę, że przenika je dążność społeczno-etyczna, że czynnik pracy znalazł w nim zawsze należne uznanie.

Obecnie w program aktualny wchodzi reforma ustawodawcza, w której rozwiązany zostanie cały szereg kwestyi społecznych, wprawdzie już i w tej chwili nieleżących odłogiem, ale w braku trwałego i zasadniczego uregulowania za pomocą norm ustawodawczych załatwianych drogą administracyi, więc niejako prowizorycznie i wyrywkowo, chociaż zawsze zgodnie z wytkniętym polityce socyalnej kierunkiem etycznym. Mamy tutaj na myśli rewizyę obowiązujących kodexów cywilnych, których jubileusz stuletni albo już minął, jak we Francyi, albo się zbliża, jak w Austryi. Nietylko zawodowe koła prawnicze, lecz także sfery rządowe wzięły tę rewizyę pod rozwagę. We Francyi osobny komitet zajmuje się zasadami rewizyi, pomiędzy któremi najpierw wyłoniła się myśl wydzielenia i ujęcia w odrębną całość stosunków i interesów pracy, niejako plan ułożenia osobnego kodexu pracy. W austryackim świecie prawniczym z inicyatywy jego najwyższej dziś powagi, dra Ungra, przez enuncyacyę rządową autoryzowanej, żywo omawiana jest sprawa rewizyi i uzupełnienia kodexu cywilnego. Chociaż z przesadnego rozgłosu, nadanego w pierwszym rzędzie rewizyi prawa małżeńskiego, zdawaćby się mogło, że rzecz traktowana jest jednostronnie, to jednak w głosach poważnych nacisk na stronę socyalną pada tak silnie, że także i tutaj wyłania się myśl podobna jak we Francyi.

Wiek XX. prowadzi tedy dalej dzieło rozpoczęte w drugiej połowie jego poprzednika, dzieło prawnego wyrównywania różnic w życiu społecznem i wciągania coraz szerszych kół w obręb życia państwowego z pełną miarą praw i obowiązków obywatelskich. W miarę, jak ten proces naprzód postępuje, państwo w coraz dalszych kołach przestaje być pojęciem abstrakcyjnem, a staje się natomiast urządzeniem, niezbędnem dla bezpieczeństwa życia i roz-

woju wszystkich, urządzeniem w tem zadaniu swojem tak naturalnem i niezbędnem, jak atmosfera dla życia fizycznego. W miarę, jak ten proces zakreślać i łączyć będzie coraz szersze kręgi, zanikać musi wiara w utopie i możliwość przekształcenia ustroju państwowego za jednym zamachem w raj marzeń socyalistycznych. Twórcy takich utopii podobni są do dawnych alchemików, pewnych, że przecież w końcu zdołają wydobyć ze swoich retort kruszec szlachetny dla uszczęśliwienia ludzkości. Jak z postępem wiedzy znikli alchemicy ze swojemi retortami i mrzonkami, tak z rozwojem nowożytnych pojęć o celach i zadaniach prawa i państwa w najszerszych kołach znikną tegoczesni alchemicy społeczni, utopiści mozolący się z wielkim nakładem pracy i erudycyi nad konstrukcyą przyszłego państwa socyalistycznego, stanowiącego generalne i ostateczne rozwiązanie całej kwestyi społecznej. Z czasem tedy takie społeczno-alchemiczne konstrukcye nowego ustroju państwowego wyrzucone zostaną nawet w świecie książkowym poza nawias pracy naukowej w dziedzinę szarlataneryi!

Dr. Bronisław Łoziński.

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

późniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

(Dokończenie.)

20. 8-bris. Był u mnie Mr. le baron Forstner Envojé Xcia Lotharyńskiego z pożegnaniem przed odjazdem swoim do Lotharyngiey. Byłem także na konferenciey u J. PPów Posłów Saskich respektem supplementu do expedyciey Elektorów do Cesarza, aby agant et cooperent z swojej strony.

21. 8-bris. Byłem w tejże materiey u JPana Konspruga, Posła Czeskiego i JPan Graf Werther był u mnie na konferenciey in eodem puncto, i byłem powtórnie chez Mr. Lasser Vice-Chancelier de Majence instando fortiter o odmianę tej expedyciey.

22. 8-bris. Byłem rano u samego Elektora Jm. Moguńckiego raepraesentując necessitatem do łożenia terminów opuszczonych essencialnych, i allegując racie obszernie w relaciey do Króla Jm. opisane: który z wielką łacnością deklarował powtórną wygotować kazać expedycyę, i drugi raz podpisać. Co zaraz kommuniko-

wałem JP. Lasserowi, i on wygotować expedycię ad mentem meam deklarował, ale przestrzegł, że zachodzi w tym additamencie kontradykcya od JP. Szradera Posła Hannowerskiego, i że żadną miarą na to pozwolić nie chce. Na kolaciey byłem z Królewicem Jm. u JP. Barona de Frisen.

23. 8-bris. Byłem rano u JP. Grafa Werthera na konferenciey respektem wczorajszej przestrogi o kontradykciey JP. Szradera. Więc że JP. Werther proponował, że sam chciał jachać do niego, ile znając już jego gieniusz, bo dziesięć lat zostawał in Ministris z nim pospołu w Ratisbonie; jakoż nie bawiąc jachał do niego, spodziewając się, że miał przystąpić ad sensum aliarum według ordynansu nam przedtym kommunikowanego od swego Principała, w którym kazał Ministrom swoim konformować się ad majora vota. Chciał go JP. Werther różnemi raciami disponere do consensu, ale żadną miarą zezwolić nie chciał, bez wyraźnego w tym punkcie nowego ordynansu od Principała swego. W tym zaś nie tak metu wdania się in tam gravem materiam, bo miał już rezolucię od Pana swego, ale barziej propria passione narabiał, Szwedom oczywiście faworyzując. Ja interim byłem u JP. Grafa Metternicha, posła Pruskiego, który miał ordynans, aby interessa Króla Jm. i Rzplitej secundował, prosząc, aby on swoją perswazyą chciał zmiękczyć pomienionego Ministra, co chętnie czyniąc jachał do niego, i ja potym sam nadjachałem, racie raciom przydając, ale nic to nie pomogło; i widząc, że samiż Lutrzy nie mogli z niego Szwedzkiego ducha wypędzić, naradziwszy się z JP. Wertherem, wyprawiliśmy umyślną sztafetę do Ministra Króla Jm. P. J. Grafa Nostiza do Hannoweru, opisawszy wszystkie circumstancie, aby skarzył się imieniem Króla Jm. na proceder tego Ministra, i żeby samego Elektora Jm. prosił o rezolucyą. A interim ponieważ Elektor Hannowerski jest ultimus in ordine Electorum, prosiłem JP. Lassera, aby wygotować raczył expedycyę i podpis Elektora Jm. Moguntckiego wyjednał, chcąc się starać o inne podpisy, nim rezolucya z Hannoweru nadejdzie. Wieczorem byłem z Królewicem Jm. na Comediaey.

24. 8-bris. Byłem w tejże materiey u JP. Grafa Stadiona i JP. Graf Werther był u mnie na konferenciey.

25. 8-bris. Mr. Lasser Vice Chancellier de Majence przysłał mi powtórną expedycyą już podpisaną od Elektora Jm. Moguntckiego, który w godzinę potym odjachał sam z całym Dworem swoim do Mogunciey. Więc zaraz pisałem do JP. Barona Schenka, Ministra Króla Jm. przy Elektorze Jm. Phaltzgrafie, i byłem

u JP. Langenbacha Ministra Trewirskiego, oddając mu wizytę. i prosząc, ponieważ umyślnego wyprawuję do Szwecingen dla otrzymania także podpisu Elektora Jm. Trewirskiego et Palatinum Rheni, aby rekommendować chciał mego umyślnego, któremu ex primariis Ministris Elektora Jm. Trewirskiego. Co deklarował. i wieczorem listy swoje przysłał do mnie.

26. S-bris. Wyprawiłem rano umyślnego pocztą do Schwetzingen z pomienioną expedycyą do JP. Barona Schenka. aby urgeat podpisy Elektorów.

Tegoż dnia Xże Landgraff de Darmstadt przejeżdżając przez miasto, nie chcąc się nic bawić, przysłał tylko z komplementem do Królewica Jm.. aby nie miał za złe. że mu się teraz kłaniać nie może, a że się spodziewa być tu znowu wkrótce, i że sobie ten honor na ten czas odkłada. Więc Królewic Jm. z JP. Miltizem i Morteizenem i jeszcze jednym Saskim Kawalerem jachał z wizytą do niego. którego Xże Landgraf u karety przyjmował. i tymże sposobem odprowadzał. Nie bawiąc zaś znowu tenże Xże Landgraff przyjachał z wzajemną wizytą do Królewica Jm. tylko z Consiliarzem swoim. Baron Persius nazwanym, przeciwko któremu Królewic Jm. na dół schodził i tamże go odprowadzał. Tegoż dnia Mr. l'Abbé Santini był u mnie z komplementem i powtórnym pożegnaniem od Mgra Albaniego, który po swoim wyjeździe do Coloniey odebrał umyślnego Curiera od Ojca S-o z ordynansem. aby czymprędzej biegł in occursum nowemu Cesarzowi do Mediolanu, i tak już tu więcej do miasta nie wstępując, tylko w ogrodzie pewnym za miastem konie wyprzęgszy pocztowe, biegł prosto ku Mediolanowi. Tenże l'Abbé Santini miał zlecony komplement pożegnania i Królewicowi Jm., którego do Królewica Jm. zaprowadziłem. Tegoż dnia już samym wieczorem była przestroga od pewnych ludzi mieszczan, że się jacyś nieznajomi ludzie przypatrowali naszej gospodzie i informowali o pokoju. w którym Królewic Jm. sypia i o miejscu, gdzie łóżko stoi. Więc uczyniwszy Consilium z JP. Miltizem, posłaliśmy do Capitana Cadetów, których tu jest przy posłach Saskich 40, aby czterech na noc na wartę do kamienicy naszej przysłał, i żeby co noc kolejno po sześciu zawsze bywało, to jest trzech przed pokojem, a jeden. żeby się zawsze na dole przechadzał. A delatorowi mówiło się. aby tę depozycię uczynił przed Magistratem. co się nazajutrz zaraz rano stało. i Magistrat iniunxit onemu. aby tych ludzi obserwował, i jeżeli którego uzna. aby go z oka nie spuścił, ażeby widział, gdzie stoi i żeby zaraz dawał znać do Magistratu albo

do Praezydenta. Magistrat przykazał także, aby straż nocna miejska częściej niż przedtym w naszej ulicy bywała; ale nic się potym więcej nie wydało, ani żadnego z tych ludzi nie uznano.

27. 8-bris. Mr. le Baron Ross z Śląska był u Królewica Jm. Wieczorem byłem z Królewicem Jm. na Comaediey.

28. 8-bris. Byłem u JP. Grafa Werthera, a wieczorem u JXdza Salernego.

29. 8-bris. Elektor Jm. Moguncki powrócił incognito z Moguncicy, chcąc jachać na łowy do Aschaffenburgu i dla przygotowania się dla przyjęcia tam po drodze Cesarza tu przejeżdżającego, o którym była wiadomość przez umyślnych Curierów, że Cesarz praesentis stanął z flotą u portu Vado niedaleko Gienuy, d. 11. wysiadł na ląd pod Gienua, a 13. stanął w Mediolanie. Byłem u Xdza Salernego i JP. barona Hagen.

30. 8-bris. Powrócił mój umyślny z Szwecingen z podpisami i pieczęciami Elektorów Jm. Trewirskiego et Palatini Rheni. Więc nie bawiąc disponendo innych Ministrów do podpisu, byłem u Grafa Dohna Pruskiego Posła, u Grafa Metternicha; u Grafa Kinskiego Czeskiego posła; i u JP. Grafa Werthera; a że expedycyę posłałem in absentia JP. Lassera, do Sekretarza Mogunckiego Mr. Streb nazwanego, aby on pro more solito à directoris, to jest od kancellariey Mogunckiej sollicitował podpisy innych Ministrów i ja żebym od niego rem expeditam odebrał.

31. 8-bris. Gdy już wszyscy podpisali expedycyą i sam Mr. Schrader opponował się i dwa razy tego dnia ad requisitionem Secretarij Moguntini podpisać recusavit, tandem gdyśmy w tym jego uporze czekali na powrót stafety z Hanoweru, tactus podobno Konfuzie, którąby była większa, gdyby to uczynił rozkazem przymuszony, sam się determinował, i niespodzianie przysłał do nas, deklarując, że chce exemplum aliorum sequi i chce podpisać, o czym, gdy Sekretarz Moguncki był przestrzeżony, był zaraz u niego i tak na ostatku po tak wielu zawodach i trudnościach podpisał. I zaraz expedycię zupełną z wszystkiemi podpisami i pieczęciami odebrałem. Sama tylko Czeska legacia nie podpisała, bo żadnych expedycyi innych nie podpisowała ex quo się to do ich Pana reguluje, którego oni tu repraesentują; a zatym sama racia diktuje, że nicht sam do siebie nie pisze.

November.

1. 9-bris. Królewic Jm. jachał rano na polowanie na kilka dni do Hanau zaproszony od Grafa tamecznego tymże imieniem nazwanego de Hanau. A ja mając rozkaz od Króla Jm., abym expedycię odsyłał, choć przez umyślnego jak prędko onę odbiorę, zostałem i gotowałem listy do odesłania onych oraz z expedycią oryginalną przez JXdza Salerne, który miał nazajutrz wyjeżdżać do Króla Jm. do Pomeraniey. Mr. le Baron Gersdorff z Saxoniey był u Królewica Jm.

2. 9-ris. Gdym już ku południowi wygotował expedycye, JXdz Salerni był u mnie na objedzie i po objedzie zlustrowawszy naszę rezydencyą, bo go wszędzie prowadziłem i odebrawszy zupełną expedycyą prosto odemnie usiadł na pocztę i za moim paszportem pod tytułem Marchionis Rosarum wyjachał z Frankfortu prosto ku Pomeraniey. JP. Baron Hagen był u mnie.

3. 9-bris. Byłem u JP. Grafa Stadiona, dziękując za skuteczną promocią i cooperacią w tej expedyciey. Chciałem być u samego Elektora Jm. Mogunckiego, ale zapadł był na różę na nodze, dla której musiał odjazd swój differre do Aszafemburga. Wieczór byłem u JP. Barona Hagen i tam zostałem na kolaciey, gdzie był także Mr. le Baron Hutten Chanoine de Würtzbourg, krewny JP. de Hagen.

4. 9-bris. W dzień S-o Karola, ponieważ od dwóch dni przysyłał Jm. P. Graf Kinski, zapraszając mnie na dzień dzisiejszy Imienia Cesarza Jm. teraźniejszego na objad, więc tam jachałem, gdzie byli zaproszeni wszyscy Ministrowie, którzy się tu znajdowali. Siedzieliśmy u stołu, nie obserwując miejsca wyższego, byli zaś ci, Mr. le Baron Frise, Mr. le Comte Schemborn brat Elektora Jm. Moguckiego, Mr. le Comte Werther, Mr. le Baron Hagen, Sascy Posłowie, Mr. le Comte Stadion, Grand Maitre de Majence, Mr. le Baron Tastung Pierwszy Minister Trewirski, Mr. Schrader Poseł Hannowerski, Mr. Mellarede Envojé Jm. Xżęcia Sabauskiego, Mr. Langenbach Minister Trewirski, Mr. le Prince Lichtenstein, syn tego co teraz jest Grand Maitre u nowego Cesarza, Mr. le Marquis Davia, co był niedawno przyjachał z Barcellony, Mr. Konsprug, Mr. Kinski Czescy Posłowie gospodarze, Mr. le Comte Cincen zięć Grafa Szemborna, co ma córkę jego, a synowicę Elektora Moguckiego za sobą. In summa ze mną rachując, osób było 15. Częstowano splendidissime i trwał ten

bankiet przy kotłach i trąbach aż pół do siódmej wieczór. Tegoż dnia Królewic Jm. z Hanau z łowów powrócił, gdzie jednego dnia ubili swiń dzikich i dzików 29, łań 5, lisów 12, zająca 1, a drugiego dnia ubili sarn 4, lisów 8, zajęcy 26.

5. 9-bris. Byłem u JP. Barona Tastung, który do karety przyjmując mnie wychodził i odprowadził. A ponieważ JP. Graf Werther gotował się do wyjazdu za ordynansem Króla Jm., więc był u mnie z pożegnaniem i ja potym byłem u Jm. cum Votis szczęśliwej drogi. Byłem potym u IP. Barona de Frisen.

6. 9-bris. Jm. P. Graf Werther odjachał rano. Mr. le Baron Tastung był u mnie, przeciwko któremu na dół schodziłem i odprowadzałem onego. Byłem także u JP. Grafa Schemborna, brata Elektora Jm. Moguncкiego.

7. 9-bris. Jm. P. Graf Szemborn, brat Elektora Jm. Moguńckiego przysyłał chcąc być u mnie, ale mię nie zastał. Był u Królewica Jm. Mr. de Roeden Chambellan de la Cour de Hannover.

8. 9-bris. J. P. Graf Schemborn, brat Elektora Jm. Moguńckiego był u mnie, którego u karety przyjmowałem i tymże sposobem odprowadzałem. Ja przed wieczorem byłem wzajemnie u niego i u JP. Grafa Stadiona chciałem być, alem go nie zastał. Na kolaciey byłem z Królewicem Jm., byłem u JP. Barona de Frisen.

9. 9-bris. Byłem chez Mr. l'Abbé Santini. Po objedzie jeździliśmy z Królewicem Jm. do kupca pewnego, nazwanego Mr. von der Felde, widzieć gabinet curiositatem, jakoż ma rzeczy bardzo piękne, osobliwie statuę z słoniowej kości Herculis, rzecz srodze piękną et antiquissima. Kamieni barzo wiele rżniętych antiquitatum. Metalów wiele cum effigie starych Cesarzów Rzymskich i innych sławnych w Historiach, z szmelcu wyrobione twarzy auffgehoben nową inwencyą etc.

10. 9-bris. Mr. Plantamour Envojé Króla Jm. à la Cour de Treves, był u Królewica Jm. i potym u mnie z pożegnaniem, gdyż jachał za Elektorem Jm. Trewirskim do Coblence.

11. 9-bris. JP. Baron Frise był u mnie i ja u Jmci wieczorem, i u JP. Barona de Hagen.

XII.

Igrzyska ludowe. — Odwiedziny mieszczan. — Galerye obrazów.

12. 9-bris. Była osobliwa w mieście ceremonja, albo igrzysko z wołem corocznie w ten dzień przypadające. Od kilkunastu dni przed tym terminem, mieszczanie zwykli tu strzelać do tarczy, (co się w inszych miejscach koło Świątek dzieje), kto najlepiej strzeli, to jest najbliżej celu, ten wołu wygraje między innemi zwyczajnemi po wszystkich miastach awantażami. Ale tego wołu pozłociwszy mu rogi i ubrawszy w kapę płócienną malowaną z herbami miejskiemi, długą aż do ziemi, prowadzą po mieście najpierwej po wszystkich ulicach, a czterech rzeźników, co mają majstrami tego roku zostać, w białych kamizelach z czerwonemi nowemi czapkami, jak pod barwę ubranych, trzymają go zdaleka na długich powrozach, do rogów przywiązanych, kilką zaś psami szczują tego wołu, które szczypiąc go i naszczekując, drażnią ustawicznie, tandem wszystkie ulice z niezliczoną assistencyą chłopców obiegawszy, dopiero go w sam rynek prowadzą, a jak przed ratusz Remer nazwany przychodzą, gdzie Magistrat stoi w wielkich drzwiach, szarpią wołu owego powrozami i gniotą, że przyklękać musi, jakoby ukłony Magistratowi czyniąc, i trzy razy go tak dokoła rynku, koło fontanny obwodzą, a za każdą razą, gdy przed Magistrat przychodzą, przyklękać musi. A za wołem ci, co do tarczy strzelali, i co pretium jakie wygrali, idą parami, każdy małą chorągiewkę w jednej ręce trzymając, a w drugiej pretium wygrane, które zwyczajnie w flaszach cynowych consistit, tylko jedni większe, drudzy mniejsze flasze mają, według proporciey, jako który był bliższy celu. Ten zaś co Królem zostaje, tarczę, do której strzelali, z znakami, gdzie kto trafił, niesie na grzbiecie, i dobosz przed tą kompanją w bęben bije: było ich in summa, co szli cum pretijs w tej kompaniey 20. Ci po wszystkich ulicach za tym wołem chodzą. Gdy się to skończyło, że trzy razy za wołem ci ludzie obchodzili rynek, potym wołu zaprowadzono z całą assistencią do domu tego, co go wygrał, i tym się kończy cała ceremonja.

13. 9-bris. Był u Królewica Jm. Mr. d'Enten Marechal de la Cour du Margraff d'Ausbach i dwaj Panowie Milticowie, jeden Consiliarz a drugi Pułkownik u Xcia Landgrafa de Darmstadt w służbie będący, bracia JP. Miltica, co jest przy Królewicu Jm.

przyjachali, i z diskreciey sam prosiłem, aby objad u stołu Królewica Jm. jedli, także i kolacye, póki tu są.

14. 9-bris. Brałem lekarstwo. Mr. le Comte Stadion przyjachał przed gospodę, chcąc być u mnie, alem się hac legalitate exkuzował, żem go przyjąć nie mógł.

15. 9-bris. Byłem chez Mr. Lasser Vicechancellier de Majence. Potym byłem u JP. Barona Eberszteín, co jest Ministrem Króla Jm. przy Elektorze Jm. Moguńckim. Przed wieczorem byłem u JP. Barona de Hagen. Wieczorem posyłałem do Jm. Pana Grafa Szemborna, Marszałka Moguńckiego, prosząc na dzień jutrzejszy o audyencyę u Elektora Jm. Moguńckiego i o naznaczenie godziny. U Królewica Jm. był Mr. Nostiz Conseiller du Duc de Saxe Mertzbourg. JP. Baron de Frisen prosił Królewica Jm. i mnie na objad do siebie na dzień jutrzejszy.

16. 9-bris. Byłem na godzinę naznaczoną u Elektora Jm. Moguńckiego o godzinie dziesiątej z rana, winszując mu konwalescenciey po dwuniedzielnej indispoziciey na różę, i życząc drogi i powrotu szczęśliwego, gdyż za dwa dni miał wyjeżdżać ztąd do Aszaffemburga zamku swego, a przed przyjazdem tu Cesarza, ma znowu powrócić. Ztamtąd wyjachawszy, byłem u JP. Grafa Grousfeldta Feldmarszałka Cesarskiego, co miał kilka lat Commendę wojska Imperij nad Rhenem przeciwko Francuzom. Na objedzie byłem z Królewicem Jm. u JP. Barona de Frisen, Posła Saskiego, gdzie byli także goście niżej wyrażeni i u stołu sparsim siedzieli, nie uważając miejsca wyższego, to jest Xżna Jm. de Taxis, Jm. Pani Grafowa de Werther, JP. Baronowa de Hagen, Mr. le Comte de Hanau, Mr. le Comte d'Erbach Pocillator haereditarius Imperij, Mr. le Comte Stadion Grand Maitre de Majence, Mr. le Baron de Frisen, Mr. le Baron de Hagen, Consiliarz Grafa de Hanau, Mr. le Comte Lausnic albo Królewic Jm., ja, Mr. Miltiz, Mr. le Comte Lenard, zięć Grafa Werthera, Mr. le Baron de Frisen, synowiec JP. Kanclerza i Panna Xżnej Jm. de Taxis, in summa osób 15. Po skończonym objedzie o godzinie piątej był Królewic Jm. u Xcia Jm. Elektora Moguńckiego, dla czego rano Mr. Morteisen jeździł do JP. Grafa Szemborna, Marszałka Moguńckiego, informując się o sposobnej godzinie do tej wizyty. Byłem wieczorem u JP. Barona de Hagen, a potym byłem z Królewicem Jm. na assemblée u JP. Grafowej Wartembergowej, zkąd późno do gospody powróciliśmy.

17. 9-bris. Rano przysłał do mnie Xże Jm. Elektor Moguńcki Kawalera swego, zapraszając na objad do siebie. Więc o go-

dzinie naznaczonej jachałem do jego rezydenciey. O pierwszej godzinie niżeli usiedliśmy do stołu, jeden Kawaler miednicę trzymał, drugi nalewkę do umywania rąk, a marszałek nadworny serwetę na talerzu podał do utarcia onych. Potym Elektor Jm. uczyniwszy do gości komplement, usiadł na swoim pierwszym miejscu w krześle axamitnym karmazynowym, jam usiadł przy nim po prawej ręce, a po lewej JP. Graf Grousfeldt Feltmarszałek Cesarski, który miał kilka lat Commende nad wojskami Imperij nad Rhenem przeciwko Francuzom; inni siedzieli sparsim jako który stanął, jako to Mr. le Comte Fantoni Envoje du Duc de Gvastalla, Mr. le General de Hatzfeldt, Mr. le General-Major Baron Driselbach, obadwaj ci Generałowie są w służbie Electoris Palatini, Mr. le Comte Papenheim Mareschalcus haereditarius Imperij, Mr. le Comte Schemborn, synowiec Elektora Jm. Chambellan de l'Empereur, Mr. le Comte Stadion Grand Maitre de Majence, Mr. le Comte Zincheim, co ma synowicę Elektora Jm. Mr. Nomi, Kawaler od Dworu Hannowerskiego, Mr. Morteisen, Mr. le Comte Schemborn, drugi synowiec Elektora, Rezydent Cesarski, Mr. le Comte Hatzfeldt Chanoine de Majence. In summa osób 15. Najpierwej Elektor Jm. pił moje zdrowie, potym JP. Grousfeldta, potym sparsim pił za innych zdrowie. Jak się zaś Elektor Jm. pierwszy napił, potym każdy jego zdrowie pił, obiecując do kogo innego; wszystko małemi kieliszkami; skończywszy zdrowia przytomnych, co u stołu byli, pił potym Elektor Jm. zdrowie nowego Cesarza, Króla Jm., Królewica Jm. etc., wszystko małemi kieliszkami. Po skończonym objedzie kapelan jak do stołu błogosławił, tak i gratiarum akcią czynił. Elektor Jm. umywszy ręce tak jako i do stołu idąc, rozmówiwszy z nami z quadrans, podziękował za kompanją i retyrował się do pokoju swego. Więc mu powtórnie drogi szczęśliwej powinszowawszy, nie bawiąc się, odjachałem. Tegoż dnia J. P. Seiwertitz, Marszałek legaciey Saskiej, powróciwszy z Saxoniey, (dokąd w interessach swoich jeździł) był u Królewica Jm. potym i u mnie. Królewic Jm. po objedzie swoim jeździł do Balhauzu, i tam się bawił do wieczora.

18. 9-bris. Elektor Jm. Moguncki odjachał do Aszaffenburga przed samym południem, na wyjezdnym z dział bito po wałach do koła miasta. Po objedzie jezdziłem do mieszczanina jednego... widzieć obrazy dawnego malowania, barzo piękne, kilka tylko sztuk. Miedzy innemi jeden obraz myśliwego zająca w ręku trzymającego i chartów po śniegu wodzącego, barzo piękny, za który Jm. Xdz Salerni dał przed odjazdem ztąd swoim tysiąc złotych

ryńskich, chcąc Królowi Jm. praezent uczynić i dla tego już go układano do zawiezienia do Drezdy.

19. 9-bris. Rano Królewic Jm. jeździł do balhauzu. U mnie zaś był rano Mr. le Comte Grousfeldt, Feldtmarszałek Cesarski, co miał kilka razy kommendę wojska Imperij nad Rhenem przeciwko Francuzom. Potym był u mnie Mr. Schak Grand Veneur de Darmstadt. Jam zaś był wieczorem u JP. Barona Frisa, Posła Saskiego.

20. 9-bris. JP. Baron Eberszteín Envojé Króla Jm przy Xżęciu Elektorze Moguuckim, był u mnie. Królewic Jm. był po objedzie w balhauzie. Tegoż dnia odebrałem ordynans od Króla Jm., abym z Królewicem Jm. został w Frankforcie aż do Coronaciey, tak dla widzenia aktu tego, jako żeby dać okazią Królewicowi Jm. kłaniać się Cesarzowi Jm. i insinuować się w przyjaźń i affekt jego.

21. 9-bris. Królewic Jm. jeździł rano do balhauzu. Po objedzie Jm. Pan Kanclerz de Frisen był u mnie. Wieczorem byliśmy na kolaciey z Królewicem Jm. u JP. Kanclerza Frisen. zkąd późno w nocy powróciliśmy do gospody.

22. 9-bris. Był u Królewica Jm. rano Mr. Becker, Colonel, co ma inspekcią w wojsku nad pontonami, który dwa baty juchtowe robić tu kazał dla Cesarza Jm., jakoż już są zrobione i na rzece pod miastem te baty stoją. Wieczorem byłem chez Mr. l'Abbé Santini. Tegoż dnia przed wieczorem przysyłał Mr. le Comte Kinski, Poseł i Podkanclerzy Czeski, zapraszając mię na dzień jutrzejszy na objad do siebie.

23. 9-bris. Jachałem na objad do JP. Grafa Kinskiego, gdzie sparsim u stołu siedzieliśmy, to jest nie uważając miejsca wyższego. W tej kompaniey byli Madame la Comtesse Trautmansdorff z domu Kinska, siostra rodzona JP. Kinskiego, JP. Baron Hagen, Poseł Saski i z żoną. Mr. le Prince Eugene de Savoye, synowiec Xżęcia Jm. Eugieniusza. Mr. le Prince de Lichtensztein, syn tego, co teraz jest Grand Maitre u Cesarza. Mr. le Comte Kinski brat rodzony posła Czeskiego. Mr. le Comte Sereni, Mr. le Comte Lip. Mr. le Comte Nostiz. Wszystkich osób ze mną rachując 10. Po objedzie jachałem z JP. Baronem Hagen i z samą Jejmością na Comaedią, a Królewic Jm. jachał wieczorem do JP. Plangraffowej, co jest córką naturalną Electoris Palatini Rheni, ojca teraźniejszego Elektora Jm., zkąd po kolaciey późno w nocy powrócił. Mr. l'Abbé Santini był także u mnie wieczorem.

24. 9-bris. Rano Królewic Jm. jeździł do ballhauzu. Wieczorem był Królewic Jm. u JP. Barona de Frisen.

25. 9-bris. Byłem u JP. barona Frisen. Po objedzie oglądałem z Królewicem Jm. le Cabinet des peintures albo obrazy różne. będące w schowaniu w osobliwym pokoju chez Mr. Stokon u gospodarza naszego. Tegoż dnia byłem u JP. Grafa Wartemberga, co był pierwszym Ministrem u Króla Jm. Pruskiego, a potym disgratiowany, tu się retyrował; wychodził przeciwko mnie na dół i odprowadzał do samej karety, stojąc, aż się z miejsca ruszyłem. Byłem potym w kościele Karmelitów, gdzie muzyka albo raczej cała Capela Electoris Palatini zgromadziła się i grali przy wybornych głosach i instrumentach Te Deum laudamus, dziękując Panu Bogu za konwalescienci Elektora Jm., który po ciężkim paroxyzmie, bo już był zdesperowany, przyszedł do zdrowia pierwszego.

26. 9-bris. Jeździliśmy z Królewicem Jm. nad Maen. rzekę tu pod miastem płynącą. widzieć dwa baty skórzanne juchtowe, które le Colonel Becker, co ma inspekcię w wojsku nad pontonami, zrobić kazał dla Cesarza Jm. Jeden jest wielki, drugi mały. Większy jest na 40 łokci długi, szeroki circiter na dziesięć łokci, nakryty cały nakształt okręciku z galerją na wierzchu, i z masztem jednym, że pod żaglem iść może albo wiosłami. Wewnątrz są dwa pokoje, jeden wielki z oknami, z piecem żelaznym, który dosyć ciepła daje, drugi mniejszy bez pieca z wielą oknami. jak latarnia. Drugi zaś bacik mały z nakryciem także, ale bez okien, tylko ławy są po obu stronach i stół długi we srzodku, może się w nim zsieść osób 40. Te baty są z juchtu, tak wewnątrz jako i po wierzchu, ale strona co idzie na wodę, jest pewnym wernissem naszmarowana żółtawym, że woda ani słońce szkodzić tej skórze nie może i ma być to rzecz tak trwała i trwalsza, niż gdyby był bat dębowy. W tym zaś bezpieczny, że rozbić się nie może, ani zatonąć, choćby się wody pełno weń nalało. Nie jest też wywrotny, bo oprócz szerokości dosyć proporcyonalnej, są skrzydła po bokach jako u okrętów, co się spławiają i od wywrotu zatrzymują. Te dwa baty według powieści tegoż P. Beckera kosztują cztery tysiące talerów currentis monetae; i mają ich ciągnąć do góry do Aschaffenburga, gdzie Elektor Jm. Moguncki rezyduje teraz i czeka na przyjazd Cesarza, aby się ztamtąd wodą mogli opuścić. Tegoż dnia wieczorem byliśmy na assemblée u Xżnej Jm. de Nassau Hussing. zkąd się późno powróciliśmy.

XIII.

Memoryał polski w sprawie pokoju z Turcyą, Rossyą i Szwecyą. — Ballhaus. — Assamble. — Ks. Eugeniusz. — Przygotowania do wjazdu Cesarza do Frankfurtu. — Rozkaz Augusta II., by królewicz pozostał we Frankfurcie na koronacyi. — Przejażdżka po Menie. — Dalszy pobyt królewicza we Frankfurcie.

27. 9-bris. Był dzień nabożeństwa od Magistratu naznaczony i tak obserwowany, że nie tylko rzemieślnicy próżnowali i kramy były zawarte, ale żadnej kompaniey nie było, tylko zrana do południa y potym aż do wieczora w kościołach swoich czas strawili.

28. 9-bris. Rano był przed gospodą JPan Graf Wartemberg. chcąc być u mnie z wizytą. alem natenczas wyjachał na miasto. Po objedzie Królewic Jm. jeździł do Balhauzu. zkąd samym już wieczorem powrócił i JP. Baron Hagen był u mnie wieczorem i blisko dwóch godzin bawił się.

29. 9-bris. Rano był u Królewica Jm. Mr. le Baron Ber. gracz wielki w Karty, który zwyczajnie od Dworu do Dworu jeździ. gdzie tylko grami się bawią bogatemi. Po objedzie byłem chez Mr. l'Abbé Santini i u JP. Barona de Hagen.

30. 9-bris. Rano byłem u Grafa Donha, pierwszego posła Pruskiego: na objedzie i kolaciey byłem z Królewicem Jm. u JP. Kanclerza de Frisen, gdzie byli Mr. le Baron Görtz i Szrader. posłowie Hannowerscy: Mr. le Prinze Lobkowitz, brat Xżnej de Taxis, Mr. le Feldtmarechal Grousfeldt, Mr. le Comte Welts Minister Cesarski à Liege i innych ludzi niemało. Zkąd późno wieczór powróciliśmy.

December.

1. Decembris. Królewic Jm. jeździł rano do balhauzu. Wieczorem jachał na Assemblée do Xżnej de Taxis. zkąd późno powrócił się.

2. X-br. Rano Królewic Jm. jeździł do balhauzu. Wieczorem byliśmy z Królewicem Jm. na Assemblée u Xżnej de Nassau Husing.

3. X-bris. W dzień Swiętego Franciszka Xawiera po skończonym immediate nabożeństwie odebrałem wiadomość od Dworu, a JP. Miltiz odebrał ordynans od Króla Jm., aby sine mora po-

spieszał do boku Pańskiego; jakoż rezolwował się jachać zaraz nazajutrz pocztą do Pomeraniey do Króla Jm., którego wybieranie się i expedycya cały dzień czasu zabrała.

4. Decembr. JP. Miltic rano o godzinie ósmej wyjachał według ordynansu wczoraj odebranego do Króla Jm. Byłem u JP. Barona de Hagen. Wieczorem byłem z Królewicem Jm. na Assemblée u Grafa Erbach.

5. Decmb. Był u mnie JP. Hagen. Przed wieczorem jachałem z Królewicem Jm. na komaedją, a po Comediey na Assemblée do Xżnej Jm. de Taxis, zkąd późno wieczorem powróciliśmy.

6. Decmb. Byli rano u Królewica Jm. Mr. Meecz Conseiller Aulique de l'Empereur. Mr. le Comte Cabriani z Czech. Mr. ..... Adjutant Xżęcia Landtgrafa de Hesse Cassel. Po objedzie byłem u JP. Barona de Frisen, Kanclerza Saskiego.

7. Decmb. Witał Królewica Jm. Mr. le Comte Dun z Czech. Na objedzie był Królewic Jm. u JP. Barona de Frisen, gdzie była zaproszona Xżna de Nassau Husing, Mdme Rangraffe, Madame de Görtz, posłowa Hannowerska, Mr. le Comte Weltz Conseiller Privé de l'Empereur. Mr. le baron Görtz, Conseiller Privé du Duc de Holstein, i inna była zwyczajna kompanja domowa. Tam Królewic Jm. bawił się cały dzień i na kolaciey był, zkąd późno w nocy powrócił do gospody. U mnie był tegoż dnia Mr. l'Abbé Santini.

8. Decmbr. Był rano u Królewica Jm. Xże Lobkowitz, brat rodzony Xżnej Jm. de Taxis, przeciwko któremu Królewic Jm. wychodził w pół antykamery, a Mr. Morteisen wychodził przeciwko niemu aż na dół i tymże sposobem wyprowadzał onego. Po objedzie byliśmy u JP. Grafowej Wertherowej, a wieczorem u Xżnej Jm. de Taxis na assemblée, zkąd późno powróciliśmy.

9. Decemb. Jm. Pan Graf Dhona, pierwszy Poseł Króla Pruskiego był u mnie rano, a potym wprowadziłem go (ponieważ prosił o to) do Królewica Jm., przeciwko któremu wychodził Królewic Jm. do wschodów i rękę mu dał, A titulum Excellentiae. Zabawiwszy się blisko pół godziny odjachał, którego Królewic Jm. znowu do wschodów wyprowadzał. Tegoż dnia byli u Królewica Jm. Mr. le baron Görtz, Conseiller Privé du Duc de Holstein. Mr. Wejberg Envojé de Dannemarc. Mrs. les Comtes Szemborch, Kawalerowie Sascy, dwaj bracia, Mr. le Comte Papenheim, Mareschalcus Haereditarius Imperij. Wieczorem byliśmy na Assemblée u Grafa d'Erbach. Tegoż dnia Xże Jm. Eugeniusz rano przyjachał do Frankfortu.

10. Decmb. Byłem rano u Xcia Jm. Eugieniusza, do którego nie opowiadając się (tak jako inni wszyscy czynili), wszedłem do Antykamery, gdzie kilku Xiążąt, Ministrów różnych i Kawalerów zastałem i opowiedziawszy się przez Barona Hohendorffa, Generała Adjutanta Xżęcia, wszedłem do jego pokoju, po przywitaniu i po uczynionym komplemencie, zaleciłem interessa publiczne i Króla Jm. przyjaźni i pamięci jego, ile że ztąd zaraz nazajutrz miał wyjeżdżać do Hollandiey a potym do Angliey. Więc że Xże Jm. uczynił komplement, pytając się o Królewica Jm. i że mu się chciał kłaniać, po objedzie jachałem z Królewicem Jm. do niego, nie opowiadając się aż kiedy już kareta przed gospodą stanęła, chcąc mu oddać wizytę pod imieniem Comitis Lusatiae, aleśmy go w gospodzie nie zastali, bo tymczasem on wyjachał, chcąc być u Królewica Jm. i był także przed naszą gospodą i wzajemnie nas nie zastał. Więc potym jachaliśmy na Assemblée do Xżnej Jm. de Taxis, gdzie także Xże Jm. Eugieniusz przyjachał i tam się widział z Królewicem Jm. Jako zaś miał go przyjąć Królewic Jm., gdyby go był Xze Jm. zastał w gospodzie, umówiono już było, to jest, że Królewic Jm. miał zniść przeciwko niemu z schodów na dół. Ale *NB.* nie do karety, bo distynkcyą trzeba było uczynić między Elektorami actu panującemi, do których tylko (jako się to już wyżej wyraziło) schodził i odprowadzał ich do karety. Tymże sposobem wychodzącego Xcia Jm. Eugieniusza miał na dół schodow sprowadzać. Notandum zaś, że sami Elektorowie panujący przyjmują Xcia Jm. Eugieniusza na wierzchu schodów, a sprowadzając go, schodzą na pół schodów; a zatym trzeba było co więcej uczynić ze strony Królewica Jm., jako będącegó pod tytułem Comitis Lusatiae, i jeszcze nie panującego. Tegoż dnia Elektor Jm. Trewirski przyjachał do Frankfortu o godzinie wtórej z południa, na którego przyjazd bito według zwyczaju z dział po wałach do koła miasta. Że zaś na przyjazd Xcia Jm. Eugieniusza, lubo mu jako Generalissimo Imperij tenże honor należał, z dział nie bito, jest okazią, że wjachał incognito i tego honoru sam nie praetendował.

11. Decembr. Rano przyjachali do antykamery Królewica Jm. a jam ich praesentował, Mr. le Comte Honis z Wiednia, Chambellan de l'Empereur, Mr. Oziander, Prałat Luterski, co był gubernatorem u Xżąt młodych de Wirtemberg. Po obiedzie byłem z Królewicem Jm. u JP. Barona de Frisen, gdzie byliśmy na Kolaciey i późno powróciliśmy do gospody. Tegoż dnia Xże Jm. Eugieniusz popłynął wodą Maenem, a potym Rhenem do Hollan-

diey, któremu, gdy odkładał od brzegu, z dział bito po wałach do koła miasta. Tegoż dnia Elektorowie Jm. i posłowie absentium zjeżdżali się do Ratusza Remer nazwanego disponendo ceremonialia et sollennitatos przyszłego wjazdu Cesarza Jm. do Frankfortu. Tegoż dnia jeździłem do kościoła Cathedralnego z JP. Steinheimem, Rezydentem Króla Jm. (który u mnie był z wizytą) dla obrania miejsca dla Królewica Jm. do widzenia wygodnego przyszłej Coronaciey.

12. Decmbr. Królewic Jm. jeździł rano do balhauzu. Był u mnie Mr. le Comte Fantoni. Ja zaś byłem chez Mr. le Comte de Schemborn Grand Prevaust de Würtzburg, Chez Mr. Plantamour Ministre du Roy, et Marechal de l'Ambassade de Saxe, ałem tych wszystkich trzech nie zastał. Wieczorem byliśmy z Królewicem Jm. na Comaediey.

13. Decembr. Byli u Królewica Jm. rano Mrs. les Comtes de Roie dwaj bracia z Saxoniey. Mr. le General Horst. Po objedzie byłem u Jm. P. Barona de Hagen. Tegoż dnia Elektor Jm. Trewirski przysłał Marszałka swego nadwornego z komplementem do Królewica Jm., dowiadując się o zdrowiu jego. Tegoż dnia Elektor Jm. Moguncki odjachał ztąd w samo południe, któremu wyjeżdżającemu z bramy z dział bito do koła miasta i jachał do Aszaffenburga na przyjmowanie Cesarza, który jutrzejszego dnia ma tam stanąć. O wtórej zaś z południa Elektor Jm. Palatinus Rheni i z Elektorową Jm. przy biciu także z dział stanął w Frankforcie.

14. Decemb. Byli u Królewica Jm. Hunis z Wiednia. Podkomorzy przeszłego Cesarza i Jm. Pnowie Lubomirscy młodzi, co powrócili z Heidelberga dla widzenia Coronaciey. Byłem zaś ja rano u JP. Grafa de Arach, Ministra Cesarskiego, który był w Hiszpaniey posłem od Leopolda Cesarza. Brat jego jest Princeps Imperij, Arcybiskup Saldzburski, który wychodził przeciwko mnie aż na doł, i tymże sposobem sprowadzał. Po objedzie posłałem JP. Morteisena, dowiadując się u Marszałka Dworu Xcia Elektora Trewirskiego, jeżeliby Królewic Jm. mógł się tego dnia klaniać Elektorowi Jm., na co gdy odpowiedział, że Elektor czeka z ochotą, więc jachałem z Królewicem Jm., który komplement uczynił, ciesząc się z powrotu szczęśliwego Elektora Jm. na to miejsce i zabawiwszy się blisko pół godziny, powróciliśmy się nazad. Recepcia zaś była zwyczajna, jako się to już nie raz wyżej

opisało. Wieczorem byliśmy na assemblée u JP. Grafowej Wartemberkowej; a stamtąd byliśmy na kolaciey u JP. Barona de Frisen, ztąd późno wieczór powróciliśmy.

15. Decmbr. Byli u Królewica Jm. Mr. le Comte de Vollgarth Chambellan de l'Empereur, Mr. de Lutzelbourg z Frankoniey, Mr. le Baron Krekewitz z Sląska, Mr. Bernstein Genth. du Duc de Wartenberg. Wieczorem byliśmy na assemblée u Xżnej Jm. de Taxis.

16. Decemb. Królewic Jm. jeździł rano do balhauzu. Tegoż rana przyjachali, chcąc być u mnie, Mr. le Comte d'Arach, Minister Cesarski i Mr. le Comte d'Altheim, Generał-Major Cesarski, co ma za sobą siostrę Grafa Wratislaua, Ministra Cesarskiego, ale mnie nie zastali. Tegoż dnia byłem u JP. Seiwertitza, Marszałka Ambassady Saskiej. Wieczorem byliśmy na Comaediey.

17. Decmb. Byli rano u Królewica Jm. le Prince de Schwartzbourgh Rudelstatt, młody. Mr. Benckendorff jego Gubernator. Mr. le Comte de Baar, młody, którego ojciec jest haereditarius Magister Poczt w państwach dziedzicznych Cesarskich. Dwaj bracia Mrs. les Comtes de Beilwitz. Mr. le Comte Solms de Bog, z Saxoniey. Mr. de Zehme, Mr. de Koetteritz, także Kawalerowie Sascy. Mr. Planta Gentil'homme du duc de Saxe Eisenach. Po objedzie przysyłał Xże d'Elboeuf, z domu Xiążąt Lotharyńskich, co podczas tej wojny we Włoszech przeszedł z wojska francuskiego na stronę Cesarską i teraz jest actu w służbie cesarskiej, przysyłał mówię, prosząc o naznaczenie godziny do przywitania Królewica Jm. Gdy mu się odpowiedziało, że Królewic Jm. czeka nieodwłocznie, więc nie bawiąc przyjachał w Companiey avec Mr. Plantamour, co jest Ablegatem Króla Jm. przy Xciu Elektorze Trewirskim. Wychodzili przeciwko niemu na dół Mr. Morteisen i Mr. Pinau, jam przed Antykamerą przed drzwiami onego przyjął, a Królewic Jm. wyszedł w pół antykamery i dając mu rękę et passum, wprowadził do pokoju audienciey i jam wszedł z niemi. Zabawiwszy się blisko quadransa, wyszedł i tymże sposobem Królewic Jm. odprowadził go do antykamery, ja za drzwi, a ciż kawalerowie Mr. Morteišen i Pinau aż na dół. Skoro Xże d'Elboeuf odjachał, jachałem zaraz z Królewicem Jm. do JP. Grafa Dhona, pierwszego posła Pruskiego, który oddawał już wizytę Królewicowi Jm. a pierwej kazałem się informować nieznacznie, jeżeli był u siebie i jeżeli nie było obcych ludzi u niego, co się natenczas trafiło. Gdy zaś przed rezydencyę jego przyjeżdżaliśmy, dopiero kazałem dać znać, że Mr. le Comte de Lusace chciał mu się kła-

niać, i zaraz wysiedliśmy z karety, idąc prosto do niego, którego na dół zbiegającego spotkaliśmy na wschodach. Poszliśmy tedy prosto do pokojów samej JP. Grafowej, gdzie zabawiwszy się z quadrans, Królewic Jm. retyrował się, którego JP. Graf Dhona sprowadził aż do karety i wszyscy kawalerowie Ambassady Pruskiej szli przodem. Wieczorem byliśmy na assemblée u Xżnej Jm. de Taxis.

18. Decmbr. Byli rano u Królewica Jm. Mr. le Comte d'Arach, Minister Cesarski, który był posłem Cesarskim od Leopolda w Hiszpaniey, i ma ordinem aurei Velleris, i Mr. le Comte d'Altheim, Generał-Major i Chambellan Cesarski, co ma za sobą siostrę Grafa de Wratislau, Ministra i Fawority przeszłego Cesarza. Ex consideratione zaś pierwszego Grafa d'Arach, jam ich przed samą antykamerą przyjmował, a Królewic Jm. wyszedł kilka kroków do antykamery, ale ręki nie dając neq. passum wprowadził do pokoju, którzy zabawiwszy się blisko pół godziny, wyszli tymże jako na przyjściu sposobem odprowadzeni, a Mr. Morteisen sprowadził ich aż na dół schodów. Potym był Mr. d'Obdam, Generał Cawaleriey Statuum Hollandiae ordinem Króla Duńskiego, to jest Elephantis na błękitnej wstędze mający. Ale go Królewic Jm. w pokoju przyjmował, ani wyprowadzał do Antykamery i ja z antykamery nie wychodziłem. Potym byli Mr. le Baron Giersdorff, Conseiller Aulique Króla Jm. Mr. le Comte Roloff z Saxoniey. Po objedzie był u mnie Mr. le Comte Provana Envojé Extra-Ordinaire Xcia Sabauskiego przy Cesarzu, którego na wierzchu wschodów przyjmowałem, gdy zaś odprowadzać go na dół chciałem, żadną miarą nie dopuścił, żem u wschodów zostać musiał. Potym był także u mnie Mr. le Baron de Hagen, trzeci poseł Saski i Mr. le Comte Fantoni Envojé Florenski, a teraz du Duc de Gvastalla. Wieczorem byłem z Królewicem Jm. na Comediey a potym na Assemblée u Grafa d'Erbach.

Poselstwo Bieniewskiego

od śmierci B. Chmielnickiego, do umowy Hadziackiej.[1]

Zanim jeszcze wybuchnął bunt Chmielnickiego, najlepsi pomocnicy i doradzcy „rozbójnickiego hetmana“ — jak pisze stale

---

[1]) Nasi dziejopisarze, od śmierci B. Chmielnickiego do umowy w Hadziaczu zawartej, znali właściwie tylko dwa fakty: śmierć Chmielnickiego i umowę Hadziacką. Okres czasu między jednym faktem a drugim był prawie nieznany. Wypełniły go walki o hetmaństwo i poselstwo Bieniewskiego, który umowę Hadziacką do skutku przywiódł. Część materyałów, dotycząca walk, leżała w archiwach rosyjskich i od niedawna dopiero dostępną się stała dla badań historyków; druga część, dotycząca poselstwa, jego początku, przebiegu i końca, rozrzuconą była po archiwach grodzkich, skupionych teraz w Kijowie i prywatnych — przeważnie Czartoryskich w Krakowie. Niektóre z materyałów polskich do tej sprawy i czasu wydane zostały, inne dotychczas spoczywają bezpiecznie pod ochroną bramy Floryańskiej. Do okresu, który rozpatrzyć postanowiłem, nieznane materyały wydobyłem na jaw, znane w druku, ale niezużytkowane — użyłem. Z tego złożyła się pewna całość, obejmująca prawie dwa lata dziejów ze stosunków polsko-kozackich, najmniej znana z tego powodu, że akcya główna odbywała się za Dnieprem, na przestrzeni obcego państwa.

Ażeby nie cytować źródeł zbyt często i nie rozrywać uwagi czytelnika, poniżej podaję spis ważniejszych w porządku cytowania.

1. Informatio usługi ku Rzptej urod. Krzysztofa Peretiatkowicza 1656—1659. Pamiat. izdan. Kijew. Komis.

Jerlicz — kształcili się w szkołach polskich, w wojskowości polskiej, rośli w otoczeniu polskiem, karmili się kulturą polską. Żyli i pracowali wspólnie i zgodnie: o żadnych krzywdach mowy nie było, a jeżeli zdarzały się nadużycia z jednej strony, a wybryki krewkości ruskiej z drugiej, przebaczano je sobie rychło bez zawiści i złości wzajemnej. Ruch, wywołany przez Chmielnickiego, oderwał od spokojnej pracy tych wszystkich robotników i uniósł w wirze szalonym za sobą. Awantura, rozdmuchana w wojnę do-

---

T. III. wyd. II-gie Kijów 1898. W pierwszem wydaniu informacyi nie było, str. 341—354; 242, 238, 290, 293, 296, 301, 304, 305, 308, 313.

2. Akty otnosiacz. k istorii Jużnoj i Zapadnoj Rossii T. III. (1638—1657). Petersburg 1862 str. 597, 556, 558, 563, 579.
3. Bibl. Czartoryskich w Krakowie. Rps. 402, str. 155. Oryginalny list Wyhowskiego Jana do króla z kwietnia 1657 r.
4. Bibl. Czart. w Krakowie. Rps 402. str. 197. List do B. Chmielnickiego z podziękowaniem od niektórych senatorów za okazaną Bieniewskiemu chęć zgody 17. maja 1657 r.
5. Joh. v. Engel: Gesch. d. Ukrainie und der Cosaken. Halle 1796, str. 210 i n. n. 214.
6. O tom czto słucziłoś na Ukrainie etc. Moskwa 1847, str. 15.
7. Akty otnos. k ist. J. i Z. R. T. XI., 1672—1674 dodatek do r. 1657. Petersburg 1879. str. 682, 766, 802, 743, 362, 772. 787, 798, 804. 795. 807.
8. Lietopiś Sam. Wieliczka. Kijów 1848, T. I. 293, 307, 309. 324, 325, 328, 330. 331. 332.
9. Akty otn. k. ist. J. i Z. R. T. IV. 1657—1659. Petersburg 1863, s. 3. 5, 11, 42. 44. 56, 57, 48, 60. 66. 80, 91. 88, 93, 94. 108, 109. 110, 125 n. n. 128, 129, 145.
10. Akty itd. T. VIII. 1657—1663, 1668—1669. Petersburg 1872, str. 7, 18, 181, 229. 194, 192, 187. 195, 197. 210, 213, 206, 200, 202, 205, 225, 233, 237, 247 n. n. 253. 252.
11. Lietopiś samowidzca o wojn. B. Chm. Moskwa 1846, str. 29, 30.
12. Akty J. i Z. R. T. XV. 1658—1659. Petersburg 1892, str. 3. 11, 12, 28, 79, 252, 274.
13. Hist. panow. I. Kazimierza (Kochowski). T. I. Poznań 1840, str. 358 n. n.
14. Bibl. Czartoryskich w Krakowie. Rps 402, str. 245 (oryginał). Deklaracya Wiel. Jana Wyhowskiego, hetmana wojsk Zaporoskich na punkta niektóre w komissyi pod Hadziaczem zawartej opisane, przy skończeniu tejże komisyi dana.
15. Jan Rudawski. Hist. pol. od śmierci Władysława IV. aż do pokoju Oliwskiego. T. II. Petersburg 1855. str. 362 n.

mową przez Chmielnickiego, nosiła dwa znamienne rysy niemoralne: z a z d r o ś ć i z e m s t ę. Lichy podstarości Czehryński był tylko powodem do wybuchu. Cechy te były tak silne, tak znamienne, że nie tylko nadawały charakter wojnom Chmielnickiego, ale stały się fermentem, który zatruł ruskie społeczeństwo i wywoławszy zaraz po śmierci Chmielnickiego wojny i niepokoje wewnętrzne, nie przestawał dezorganizować doszczętnie młode, pełne energii i nadziei, życie Rusi, aż wreszcie złamał je i zgniótł. Walki Wyhowskiego z Puszkarem i Barabaszenkiem, Zaporoża z Wyhowskim, Chmielnickiego Juryszka z Polską i Moskwą, Brzuchowieckiego z Doroszenkiem i tak bez końca aż do zdobycia Siczy, są wymownym świadectwem, że niemoralnych ideałów nie można zaszczepiać bezkarnie pośród narodów.

Już Chmielnickiemu Bohdanowi pod koniec życia wstrętną się stała atmosfera obłudy, dzikości, ustawicznego fałszu i udawania, w której ciągle żyć trzeba było. Nawet jego żelazna energia łamała się pod naciskiem tej atmosfery. Nie mógł się do tego przyznać, nie umiał tego stanu swej duszy określić, ale nosił w niej pragnienie spokojnej przyszłości, rozpoczął działać w tym kierunku, a niewątpliwie byłby się na starość pohamował i nie rujnował „wspólnej ojczyzny". Chwila uniesienia, która doprowadziła do wojny, nie nadawała się do rozwagi, nie pozwalała patrzyć w przyszłość.

Wodzowie „zgubę swego narodu recipiunt pro summa felicitate" — jak charakteryzował ten nastrój A. Kisiel w liście do Prymasa. Ale przyszło opamiętanie, rozwaga, zastanowienie. Utworzenie własnej dynastyi na Wołoszczyznie zawiodło, związanie się z Moskwą i ze Szwedami, na zgubę Rzptej, nie udało się. Polska po klęskach dźwigała się, w nowe siły wzmagając się, a stosunki z Moskwą stawały się coraz cięższe, wymagały coraz większego naprężenia, coraz wykwintniejszej obłudy. Jasnem było, że do federacyi nie wystarcza jedność religii, trzeba jeszcze jedności kulturalnej, a Ruś chowała się w innej kulturze, innej państwowości niż Moskwa. Większy był w owym czasie między nią przedział niż między Rzptą i trzeba było kilku wieków, ażeby ten przedział wyrównać i połączyć się z nowem, nieznanem sobie życiem państwowem. Nastąpiło to dopiero w XIX. w.

Zanim jednakże do tego przyszło, ci wszyscy, którzy w szkole polskiej i kulturze polskiej wyrośli i wykształcili się, spostrzegli pierwsi, że federacya z Moskwą nie rokuje samodzielnego rozwoju ruskiemu narodowi i zapragnęli wrócić znowu do „wspólnej ojczy-

zny" silniejsi i rozumniejsi w doświadczenie. Trzej ludzie wysunęli się na czoło ruchu i usiłowań, zdążających do powrotu pod opiekę Rzptej: Bohdan Chmielnicki, Jan Wyhowski i Paweł Tetera. Zrozumieli, że zemsta i nienawiść nic nie budują. Dużo wszakże trzeba było przebiegłości, ostrożności i czasu, ażeby się cofnąć na dawny gościniec.

Nie wszyscy doczekali tej chwili, a Nemezys dziejowa mściła się na lekkomyślnych — za lekkomyślność.

I.

Kiedy Kazimierz Stanisław Bieniewski, późniejszy wojew. Czernichowski, w r. 1645 był pisarzem grodzkim, Paweł Tetera aż do r. 1648, do awantur Chmielnickiego, pracował w kancelaryi jego, mile widziany i ceniony przez wszystkich. Był on synem kozackim z Pereasławia, a synem chrzestnym Bohdana Chmielnickiego. W r. 1648 był już regentem grodzkim Włodzimierskim, ale porzuciwszy służbę pisarską, poszedł do Chmiela i został pułkownikiem Pereasławskim. Z racyi tedy służby wołyńskiej z Bieniewskim znał się i wzajemną życzliwość dla siebie zachowali.

Nieszczęśliwy, ale pełen niezłamanej energii Jan Kazimierz, wiedząc, że stosunki z Moskwą są napięte, postanowił spróbować rozerwać je. Dla tej akcyi wybrał Bieniewskiego, jako znającego „humory kozackie" i postanowił zetknąć go z Chmielnickim. W końcu stycznia w r. 1657 przysłał Bieniewskiemu, będącemu wówczas w Tarnowie na pogrzebie swego pupila, asygnacyę do żydów lwowskich na 2.000 złotych z poleceniem jechania corychlej do Chmielnickiego i traktowania o pokój. A właśnie pułkownik kozacki Anton wraz z Węgrami Rakocego grozili Lwowowi. Chodziło na razie o odwołanie Antona. Taki był pretekst. Bieniewski, pragnąc pierwej zbadać teren, na którym niezadługo działać mu przyszło, rozpisał listy do Chmielnickiego, Wyhowskiego i Tetery, oznajmując o poselstwie i z temi listami polecił jechać do Czehrynia Krzysztofowi Peretiatkowiczowi. Trzeba było na tę podróż pieniędzy. Peretiatkowicz miał sobie wziąć kilkadziesiąt złotych z przeznaczonych Bieniewskiemu na podróż i jechać niezwłocznie. Udał się tedy z listami i z przekazem do żydów, do Lwowa, ale na milę przed Krakowską bramą trafił na trwogę. Kto żyw uciekał, powiadając, że Węgrowie pod Lwów podstępują. Trudno było iść przebojem. IMi pan Peretiatkowicz cofnął się na Krechów,

tam u ojca ihumena wyprosiwszy sukień zakonnych, na wypadek spotkania się z kozakami, do Żółkwi na noc wyruszył, a dopiero nazajutrz gościńcem wołyńskim do Lwowa pojechał nie bez strachu, gdyż nieprzyjaciel rabował już w okolicy.

Pięć dni zabawił we Lwowie w celu wydostania pieniędzy — i nie wydostał. Żydzi składali się trwogami, ubóstwem swojem, słowem lękali się dać — nawet na wyraźny podpis króla. Czasy były ciężkie. Interweniował w tej sprawie Mniszek, starosta lwowski, ale bezskutecznie. Peretiatkowicz był wszakże człowiekiem śmiałym i zdecydowanym. Miał trochę swego grosza, nie czekając tedy na łaskę żydowską, pojechał do Połonnego, gdzie przebywała IMi Pani Bieniewska, wręczył jej asygnacyę królewską, oświadczył z czem posłany i samotrzeć ruszył do Czehrynia z listami, wziąwszy ze sobą tylko kozaka z Połonnego, ażeby przez niego zawiadomić Bieniewskiego, jak mu się ściele droga do poselstwa. Szczęśliwie do Czehrynia przybył i oddał listy Wyhowskiemu i Teterze, zapowiadając przybycie Bieniewskiego dla trakowania o pokój, a Teterę specyalnie głaszcząc obietnicami łask i względów pisarza Łuckiego. Chmielnicki kazał wziąć IMi p. Peretiatkowicza za wartę i przez trzy dni pod kluczem przytrzymał. Odwiedzał go tajemnie Tetera. Od niego też dowiedział się Peretiatkowicz, że listy mile zostały przyjęte przez Wyhowskiego i radził wysłać kozaka, ażeby dzień i noc leciał do Bieniewskiego z dobrą nowiną i prośbą o rychły przyjazd. Pospieszył Bieniewski i już 20. marca 1657 r. stanął w Czehryniu. Ale tu go spotkało rozczarowanie, Gdy tylko stanął w gospodzie, otoczono go zaraz potężną strażą i odosobniono zupełnie od zetknięcia się z kozakami. Był to wszakże tylko manewr dla przypodobania się czerni. Kilka tygodni przesiedzieli obaj w zamknięciu, a Chmielnicki nie wołał ich do siebie, nie pytał o poselstwo. Dla czerni, dla nie wtajemniczonego otoczenia było tego dosyć. Ale znalazł się pośrednik, dawny znajomy IMi pana wojewody Czernichowskiego, Paweł Tetera. Ten w nocy, ukontentowawszy straże, przychodził do więźniów, długie z nimi rozmowy tocząc, niby tylko ze strony Wyhowskiego i swojej. Rezultatem tych konferencyj była rewokacya Antona od Węgrzyna.

Rozpoczęły się dyplomatyczne kroki. Jan Wyhowski 18. kwietnia 1657 odpisał kanclerzowi koronnemu Stefanowi Korycińskiemu, bardzo ostrożnie. Zawiadomiwszy o rzeczywistej przyczynie przyjazdu Bieniewskiego, obiecał, że uczyni wszystko, ażeby doprowadzić do zmiany pożądanej obustronnie zajątrzonych stosunków.

Pod tą samą datą Chmielnicki odpisał królowi. Przedewszystkiem uderza w tym liście ogólny ton jego: trochę smutnych reminiscencyi o przeszłości, a taka czułość i pokora, jakgdyby nigdy nie było unii Pereasławskiej. Dziękuje tedy za obesłanie listem przez Bieniewskiego, obiecuje, że starać się będzie także o „ukontentowanie“ króla. Co do poselstwa mówi ostrożnie, że z Bieniewskim „poufale rozmawiał, pragnąc, ażeby majestat królewski w poniewieranie, a swobody kozackie w upadek nie poszły“. Bardzo to się różniło od tego zadzierzystego i zuchwałego tonu, w jakim dawniej do króla pisywał. Usprawiedliwia się z tego, że życzenia króla nie doszły do ostatecznego rezultatu, ale przyczyn tajemnicy listowi nie powierza, owszem oświadcza, że opowie o tem Bieniewski. Rad jest, że tajemnicza misya powierzoną została wojewodzie Czernichowskiemu i cieszy się, że „nie przez inszego będzie ten akt, jeśliby Bóg pozwolił, jeno przez niego terminowany“.

Zanosiło się istotnie na zmianę stosunków. Chmielnicki, który dotychczas nie napotykał na żadne przeszkody, po r. 1654 już czuł się krępowanym. Stosunki z Moskwą pogorszały się. Mimowoli przeto cofał się myślą w przeszłość, porównywał i musiał natrafić na niejedną sprzeczność między pragnieniem a rzeczywistością. W takiej chwili zjawił się Bieniewski. I jednej i drugiej stronie błysnęła nadzieja uspokojenia. Nawiązały się stosunki stałe w kierunku zgody. Zrazu niewyraźnie wysuwała się chęć pokoju obustronna i chęć do obustronnych ustępstw, ale rychło stanęła na czele tajemnych układów idea możności powrotu do *status quo ante*. Wykónanie wszakże tego planu napotykało już trudności wielkie, już wchodziło w sferę nie pokoju między stronami walczącymi, lecz interesów politycznych dwóch państw. Sytuacya była poważna zarówno dla kozaczyzny jak i Rzptej, a przyszłość niedaleka pokazała o ile istotnie groźną była. Chmielnicki przystąpił tedy z wielką ostrożnością do dzieła — wszystko poruczał ustnemu porozumieniu stron wobec nadzwyczajnej czujności Moskwy, która mu zaraz przez umyślnych posłańców mówiła o „nieprzystojności“, o grzechu i o złamaniu przysięgi. Mimo to wszystko Chmielnicki, bądź osobiście przez listy, bądź przez Wyhowskiego porozumiewał się w sprawie „pokoju“. Po ostrożnym liście, jaki napisał do króla, odezwał się znowu Wyhowski, który do chwili śmierci Chmielnickiego, był zawsze echem jego uczuć i myśli. Zaledwie jeden list do króla doszedł, już drugi był w drodze, w którym przebiegły, jak stary lis, Wyhowski „popisywał się

świeżą życzliwością“, „której się napatrzyli oczy pana Bienieckiego“. Wdzięcznie przyjmując „zapomnienie inimitiarum i łaskę pańską“, chwalił się, że „póty zmysłom swoim nie mógł dać odpoczynku“, póki „dobry nie uczynił koniec“. Z listu tego widać, że Chmielnicki zwołał m. w. w połowie kwietnia 1657 r. do Czehrynia pułkowników dla „spólnej porady“, ażeby „unanimi na to zezwolili voto, czego po nas potrzebna W. K. Mości wyciągała afektacya“. Zdaje się, że narady pułkowników wypadły pomyślnie, a przynajmniej mniejszość nie śmiała się sprzeciwić, gdyż Wyhowski dyskretnie porucza przebieg całej sprawy „ustnej relacyi Bieniewskiego“, mającego równocześnie wyjaśnić wszystkie koło tego zachody.

Poselstwo Bieniewskiego trafiło na chwilę rozgoryczenia, bardzo nadającą się do pokoju i oderwania się od Moskwy, osobiste przymioty posła trafiały w gust kozacki. Nie tylko tedy Chmielnicki prosił króla, ażeby dalsze pertraktacye prowadził wojew. Czernichowski, ale z większym jeszcze naciskiem powtórzył tę prośbę Wyhowski. „Z dobrze zrozumianych humorów naszych, — pisał — nie trzymam, aby kto był na to sposobniejszym“.

Życzliwe przyjęcie poselstwa Bieniewskiego w Czehrynie, relacye, jakie z ust jego usłyszano, wywołały w sferach rządzących Rzptej ogromną radość. Grupa senatorów, skupiona przy wojsku polskiem w Sokalu, wystosowała d. 17. maja 1657 r. zbiorowy list do Chmielnickiego, podpisany „uprzejmie życzliwi przyjaciele“. List to był ogromnie charakterystyczny: przedstawiał samorzutny wyraz tych uczuć i pragnień, które tkwiły w duszy każdego obywatela Rzptej. Mógł on być napisany dopiero po długich wojnach i walkach wzajemnych, gdy już gniew w duszy ludzkiej gaśnie, a budzi się chęć poważnego zastanowienia się nad przyszłością. To też szczerość i gorąca chęć zgody przenika ten list od początku do końca. Senatorowie wdzięczni są pisarzowi Łuckiemu, że „dulce nomen pacis wprowadza do ojczyzny“, a Chmielnickiemu dziękują za to, że „jungit et sociat jedne członki i serca z dawności naszych“. „Komu wojsko Zaporoskie, reunitum z nami, przyjacielem będzie, z kim adversa sentire zechce, za directią WPana, w ten i my secure i unice uderzymy“. Senatorowie zapewniają, że stoją pod Sokalem tylko dla wypoczynku wojska, a wszelkie starania poczynili, ażeby wzajemnych zaczepek uniknąć.

Poruszona sprawa zjednoczenia. pod pokrywką zawarcia pokoju z Chmielnickim, przybrała nagle prawie inny charakter — daleko donioślejszy. Po złożeniu relacyi. Bieniewski wysłany został powtórnie do Czehrynia. tym razem już z wyraźną instrukcyą. wydaną mu d. 13. czerwca 1657, która wypłynęła z ustnych pertraktacyi i porozumień. Celem tej instrukcyi było „pożądane zjednoczenie obwarować i przy wspólnej ojczyźnie potęgę wojska Zaporoskiego z potęgą wojsk Rzptej złączyć“. Dla łatwiejszego dopięcia tego celu. miał Bieniewski przedstawić Chmielnickiemu, że Porta z Tatarami pragnie. pokonawszy księcia Siedmiogrodzkiego, jakoteż hospodarów Wołoskiego i Multańskiego. w końcu zgnieść kozaków. co tem łatwiej sobie obiecuje. że dowiedziała się, jakoby Chmielnicki stracił łaskę cara moskiewskiego. Polecano tedy Bieniewskiemu całą sprawę „prędko skończyć. umówić, spisać, podpisać: jeden oryginał miał pozostać u Chmielnickiego. a dwa miał poseł do rąk swoich otrzymać“. Przestrzegać miał najbardziej. ażeby Moskwa. przed ukończeniem umowy, nic nie wiedziała. Wyjawienie tajemnicy, po dokonanej transakcyi. mogłoby działać jako nacisk na rychlejsze zawarcie pokoju z Moskwą. Co do tego punktu. było to złudzenie, jak to dalsza przyszłość pokazała. Czy Bieniewski zawarł umowę z Chmielnickim i jaką — niewiadomo. Prawdopodobnie nie zdołał tego uczynić z powodu choroby. a wkrótce rychłej śmierci hetmana.

Z instrukcyą tedy, nadzwyczaj obszerną bo ogólnikową. wyruszył Bieniewski do Czehrynia. Zastał już tam posłów od cara mosk. namiestnika Muromskiego Fiedora Wasylewicza Buturlina i diaka Wasyla Michajłowa. którzy 3. czerwca s. s. stanęli w Czehryniu. a 4-go już byli na audyencyi u Chmielnickiego. Hetman był chory. Sprawy poselskie były bardzo drażliwe i różne. Chmielnicki przewidywał. że poselstwo Bieniewskiego nie będzie tajemnicą w Moskwie i dla tego wcześnie zabiegał, ażeby cara i bojarów stosownie usposobić. Uciekł się do środka bardzo zwykłego: cząstkę prawdy powiedział. drugą ukrył. Listem z Czehrynia już z daty 13. marca s. s. zawiadomił cara o poselstwie Bieniewskiego. „Sekretarz królewski — pisał — przysłany z tem, ażeby nas od Waszego Carskiego Wieliczestwa wysokiej i mocnej ręki oderwać. ażebyśmy po dawnemu byli w jedności i zgodzie z Polakami. Czego my nie tylko przenigdy (na wieki) nie uczynimy, lecz i pomyśleć nawet nie chcemy, ażebyśmy od was, wielkiego hosudara. jedynego prawosławnego Cara. odstąpić mieli“. Ale Moskwa okazała się czujną. ostrożną, przezorną i łatwo odgadła brak

wszelkiej stałości w starszyźnie. Z czernią nie liczyła się — ta nie miała nigdy dążności politycznych, pragnęła po za wojną, spokojnego chleba i skłonną była do sprzedania się za tanie pieniądze. Ze starszyzną inna była sprawa. Większość jej, wyniesiona na czoło szczęśliwą fortuną Chmielnickiego, wzbogaciła się rychło, spanoszała jeszcze rychlej, a zaślepiona powodzeniem, trzymaną była w karbach jedynie żelazną dłonią Chmielnickiego. Ale dłoń ta słabła. Więcej nawet — przychodziła rozwaga, która zdawała sobie sprawę z agresywnego zachowania się Moskwy, słusznie niezadowolonej z ciągłego wrzenia na Rusi, nie łatwo dającej się nagiąć do nowych autokratycznych porządków.

Chmielnicki poszedł daleko: szczęście dało mu wiele, ale matka-natura nie dała tej miary, jaką odznaczać się muszą mężowie stanu, przywódzcy narodu, budowniczowie jego przyszłości. Stąd wytworzyła się prędko sytuacya wzajemnego niezaufania, podejrzliwości, a ze strony Chmielnickiego i jego otoczenia obawa o przyszłość, o stanowiska już zdobyte. Rozpoczęło się z obu stron sztucznie pokrywane niedowierzanie, połączone z nieokreślonem planem na przyszłość. Moskwa nie mogła w swoim organizmie państwowym znosić drugiego, odmiennego zupełnie organizmu kozacko-polskiego i jeszcze za życia Chmielnickiego rozpoczęła się akcya asymilacyjna przy pomocy „sobolów“ i obietnic. Stąd wytworzyła się z obu stron atmosfera obłudy wzajemnej, zapewnień wierności z obu stron — przy chęci, z obu stron, złamania obietnic, będących już tylko obiegowemi frazesami. Tem tylko dadzą się wytłomaczyć ustawiczne przysięgi wierności ze strony starszyzny kozackiej., przy równoczesnem nawiązaniu stosunków, jawnie dążących do złamania tej wierności i przysięgi.

Moskwa, mająca od pewnego czasu ciągle na oku, że tak powiem, Chmielnickiego, wysłała, jak wspomniałem, już w końcu kwietnia s. s. 1657 specyalne poselstwo do Czehrynia, mające na celu zbadanie sytuacyi. Fiodor Buturlin i Wasyl Michajłow po drodze wypytywali o to i owo, a brali się do rzeczy bardzo zręcznie. Od gadania nie mogli powstrzymać się nawet ludzie z najbliższego otoczenia hetmana Czehryńskiego, zdradzali się lub okłamywali się wzajemnie, a nawet nie powściągali się od wyjawiania tajemnic. Osobista polityka zdawała się być ideałem dla każdego z nich. Najbardziej ochoczym do zwierzeń i do podstawiania nogi Chmielnickiemu okazał się Ostafi Wyhowski, ojciec Jana. Byle jaka pogłoska, z której był niezadowolony, wywoływać miała u Czehryńskiego hetmana wybuchy, rzucania się, niezadowolenia.

Chmielnicki — według relacyi pana Ostafija, — dowiedziawszy się, że Moskwa jakoby zawarła pokój z Rzptą, „miotał się, jak szalony, który rozum postradał. Nie smućcie się, dziatki, powiadał; wiem ja co uczynić trzeba: odstąpimy cara moskiewskiego, a pójdziemy tam, gdzie Bóg nam przeznaczył, nie tylko do chrześciańskiego pana, ale nawet do bisurmanów“. Zwołał naradę starszyzny. Tu miał wystąpić IMi Pan Jan Wyhowski w roli Katona. Rzucił się do nóg hetmanowi i pułkownikom z płaczem, „ażeby tego nie czynić i nie słynąć na cały świat zdrajcami i krzywoprzysiężcami“. Ostafi Wyhowski starał się przedstawić syna swego jako najsilniejszego obrońcę idei łączności Rusi z Moskwą a Chmielnickiego jako szaleńca, któremu ufać nie można. Syn skarżył się przed ojcem, że „radby raczej nie żyć lub uciec gdzie, byle by tylko nie widzieć hetmana-zdrajcy“. Iwan Neczaj, wyjąwszy szablę, przysięgał, że „jeśli nie służy wiernie carowi, niech ta szabla szyję jego utnie“. Grzegorz Leśnicki, pułkownik Mirgorodzki, okazał więcej umiarkowania. Ten o wierności swojej nic nie mówił, ale wspomniał o pogłoskach jakie krążyły, jakoby car „był z kozaków niezadowolony“ — co oczywiście posłowie sprostowali natychmiast, zachęcając do wiernej służby i zapewniając, że „nigdy zapomnianą nie będzie“.

Chmielnicki posłów zrazu przyjąć nie chciał, usprawiedliwiając się ciężką chorobą: odsyłał ich do Pisarza, przed którym nic w tajemnicy dziać się nie może. Ale posłowie stali twardo przy swojej instrukcyi. Musiał Chmielnicki ustąpić i posłów przyjął na łożu, z którego już nie powstał. Formalnościom stało się zadość. Ale obie strony były niezadowolone. Hetman rozdrażniony, posłowie natarczywi i bezwzględni — nawet wobec majestatu śmierci. Po urzędowem niejako powitaniu hetmana, posłowie, w oczekiwaniu polepszenia zdrowia, które umożliwiłoby rozmowę o „sprawach hosudarskich“ z Chmielnickim, przysiedli się do Wyhowskiego. Pisarz mówił zupełnie co innego niż ojciec. Zaręczał on, żegnając się i klnąc się przed obrazem, „że hetman, on, pisarz i całe wojsko zaporoskie są najwierniejszymi sługami i poddanymi cara“, że „z pod wysokiej ręki carskiej nigdy nie odstąpią“. Wysunęło się naprzód dwie sprawy: sojuszu kozaków ze Szwedami, jakoteż rozmieszczenia po miastach ruskich wojewodów moskiewskich i ściągania przez nich podatków. Chmielnicki uniósł się. „U nas — rzekł — z królem szwedzkim stara przyjaźń i zgoda: nic nas nie rozłączy“. Co zaś do wojewodów, wręcz po-

wiedział, że posłom swoim Samojle, Bohdanowowi i Teterze nie polecał tego przedmiotu i nie zgodził się na ściąganie dochodów do carskiej kasy. Wojewodowie odpowiedzieli: „wstyd ci mówić takie nieprzystojne słowa". Innych argumentów nie znaleźli na razie. Mimo to wszystko przy następnem widzeniu się stary hetman zapewniał, że „nie ma zamiaru oderwania się od mocnej ręki cara". Zdawało się, że im więcej było zamiarów i chęci oderwania się, tem wyszukiwano silniejsze słowa dla maskowania myśli.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy).

Pokazało się, że wdzięczność, którą posłowie chcieli wyrazić królowi i panom za ich gotowość do egzekucyi, była tylko pozorna. Zamiast współczuć z królem z powodu wieści niepomyślnych z pogranicza wschodniego, zamiast okazać swą wdzięczność rzekomą natychmiastowem przystąpieniem do dyskusyi nad obroną państwa, zajmują w tak krytycznej chwili wręcz opozycyjne stanowisko, chcąc koniecznie wytoczyć przed królem i senatem skargi na biskupów. Decyzyę ich miał królowi i panom obwieścić Łukowski, poseł ziemi sandomierskiej. Jednak król Łukowskiego nie przyjął — „folgując niedobremu zdrowiu swemu i temu, że się już panowie byli z rady rozjechali“. Audyencya poselska została odłożona do poniedziałku, 12. grudnia. Aliści dnia tego zażądali posłowie, gdy panowie im oznajmili, że król znowu niezdrów, aby przypuścił ich wszystkich do komnaty swojej... Żądanie to zakrawało na kpiny. Król oświadczył, że słaby, bierze lekarstwa i nie mógłby przyjąć u siebie „mnóstwa ludzi“ w tym

„małym gmachu", w którym obecnie przebywa, lepiej więc niech posłowie rzecz swoją odbędą z samymi panami, z którymi on potem tam naradę odbędzie i da im odpowiedź nazajutrz — „jeśli będzie lepszego zdrowia". Oświadczenie to króla wywołało w kołach poselskich ogromne zamieszanie. Poseł Łukowski, który miał przygotowaną mowę do króla, nie chciał mówić przed samymi panami pod pretekstem, że nie potrafiłby mowy swej na prędce przerobić. Wielu też posłów chciało sesyę sejmową odroczyć, inni sprzeciwiali się temu, radzili — „zaraz już do panów iść, bo *urgebat imminens periculum*", wielu znowu podnosiło skargi na sądy biskupie, na ich klątwy, przeciwko którym należy założyć protest, a więc nie zwlekać lecz radzić. Wzgląd ostatni przemówił do przekonania większości posłów, skutkiem czego poruczyli marszałkowi Siennickiemu, aby — „naprędce" ułożył sobie rzecz do panów... [1])

Siennicki w mowie swej, wypowiedzianej w imieniu izby dnia tego do senatu, powtórzył postanowienia zapadłe w niej na odosobnionych naradach poselskich, prowadzonych w sobotę. Ubolewał, że nie mogą królowi osobiście podziękować posłowie za to, — „że się ofiarować raczył wolności a prawa koronne wyiścić, naprawić, egzekwować", dziękował panom za tę gotowość, objawioną w wotach, zapewniał, że i posłowie chcą począć egzekucyę i zgadzają się na sposób podany przez panów, że pragną gorąco — „żeby się wszystkiemu dostateczna egzekucya stała co rychlej, czasu próżno nie tracąc", a po tym wstępie o egzekucyi przystąpił do rzeczy o sądach biskupich i o obronie państwa. „Nie jest w. m. żadną nowiną" — mówił — „bo się tego od niemałego czasu też i na sejmiech jawnie i osobliwie po wszystkich kątach koronnych nasłuchali, jakowe angarie a dolegliwości stan rycerski od panów duchownych cierpi, którzy się na nie utargiwają, zakłady na nie dając u sądu swego, na nich je przewodząc tak, że już nie tylko majętności ich, ale i poczciwości szlacheckie nie są wolne od takowej jurysdykcyi ich, którą sobie nad nami uzurpować chcą tak nieznośnie, że podziwować byście się w. m. musieli, iż się to w Polsce dzieje, o czym-eście w. m. ni przodkowie w. m. nigdy nie słychali: gdyby czas po temu był, żebyście je w. m. raczyli przesłyszeć". Tylko posłowie nie chcą zaprzątywać sejmu wyliczaniem tych krzywd, rzecz tę „na inny czas sobie odkładają", ale ponieważ za wiele ludzi tak dla spraw pospolitych jak

[1]) Dz. s. 155—156.

dla potrzeb swoich własnych tu przyjechało, którzy właśnie skarzą się na te zakłady u sądów księżych, przeto proszą panów: „aby króla J. M. radami swemi i przyczyną wieść raczyli, żeby J. K. M. wyrokiem swym pańskim a wynalazkiem sejmowym rozkazać raczył panom duchownym supersedere od takowych sądów swych i przewodów zakładów wszelkich dotąd, aż się to da Pan Bóg pokaże z praw a wolności koronnych, żechmy nie są powinni takowej jurysdykcyi na sobie nosić, ani zakładom jakim poddani być, gdyż to wiemy i dobrze się w tym czujemy, że jako jednego pana, tak i jedno prawo mamy, zaczym o jurysdykcyi żadnej nie wiemy, na które się panowie duchowni utargiwając przesprawie stanu rycerskiemu czynią“. Zaprotestowawszy temi słowy przeciw jurysdykcyi kościelnej wogóle, podniósł Siennicki inny jeszcze „żal“ posłów, który ich „boleśnie dolegał“, mianowicie ważną sprawę klątew, pozbawiających wyklętych prawa udziału w sądach koronnych. Żalił się więc na biskupów — „iż u sądów K. J. Mci odrażają wiele ludzi od najwiętszych spraw klątwami księżemi tak, iż gdy kto sprawę u sądu ma, a zada strona przeciwna, żeś w klątwie i ukaże klątwą o cozkolwiek, tedy oni odpędzają je, iż nie mają *locum standi in iudiciis, sive sit actor sive reus*“. Prosił, aby panowie wystąpili przeciw temu, bo to „obraża serca ludzkie“, bo może z tego „niemałe zajątrzenie urość“, ile że posłowie nie wiedzą o żadnem polskiem prawie, któreby na to pozwalało, tylko słyszą „o nowych nijakichś dekretach ludziom nieznośnych“, to jest o prawach kościelnych, które ich nie obowiązują. Co się tyczy żądanej przez króla obrony, wprawdzie posłowie wiedzą z listów hetmana polnego, iż wtargnął nieprzyjaciel w kraje pograniczne ziem podolskich i ruskich, wprawdzie lękają się bardzo o nie, bo grozi im spustoszenie i wielki rozlew krwi chrześciańskiej, ale liczą w tym wypadku na króla i proszą panów, aby — „radami swemi i króla J. M. do tego wiedli i sami się k'temu przychylili, żeby zwykłym obyczajem przodków swych i ojca swego w tak nagłej potrzebie... ratować tamte kraje pograniczne dworem swym i pańskimi raczył... a k'temu, jeśliże jest co reszty pieniędzy poborowych, aby raczył ludziom służebnym tamtych krajów służbę żołnierską przypowiedzieć...“ Rzecz swoją zakończył Siennicki prośbą dodatkową, będącą w związku z sprawą sądów duchownych, klątew i obrony, aby król pozwolił posłom i panom ziem podolskich i ruskich prędzej odjechać do domów celem ubezpieczenia tych ziem przed napadem nieprzyjaciół, aby tedy „co

rychlej i u sądów i w sprawach swych byli przed innymi naprzód odprawowani.“ [1])

W imieniu senatu odpowiedział posłom Zebrzydowski i Tarnowski. Nasz biskup silił się na uprzejmość, dziękował im „jako braci swej“, że „przyjmują wdzięcznie“ panów chęci i starania w sprawach Rzptej, zapewniał, że powodowani względami „społeczności braterskiej“, gotowi są jąć się wszelkiej pracy dla dobra Rzptej, byle tylko posłowie zawsze tę gotowość ich życzliwie oceniać chcieli. [2]) Uprzejme słowa Zebrzydowskiego pomijały to, na co głównie posłowie oczekiwali odpowiedzi. Ale czego nie dopowiedział biskup, to powiedział Tarnowski. Oświadczył on, że co się tyczy klątew, któremi akcye sądowe tamują biskupi, już król rozkazał, aby niemi „nie trudniono a nie obciążano sądów“ (!), powtóre rozporządził, że akcye te będą przejrzane i załatwiane teraz na sejmie. Co się tyczy samej „jurysdykcyi panów duchownych“, na którą posłowie utyskują, jakoteż „obrony potrzebnej na pograniczu“, prosił, aby na nie oczekiwali posłowie decyzyi króla do jutra. Nadto celem ułatwienia czytania przywilejów i statutów koronnych, zaproponował, aby utworzono do tego specyalną komisyę z deputatów obydwu izb. [3]) Na tem zakończył się dzień poniedziałkowy, panowie i posłowie rozeszli się w zgodzie...

Nazajutrz we wtorek 13. grudnia panowie „deliberowali“ u króla nad tem „co od posłów słyszeli“, natomiast posłowie omawiali ostatni projekt Tarnowskiego. Projekt ten przypadł im w zupełności do gustu, obrali więc po dwu „deputatów“ z każdego województwa, uchwalili zarazem, że w tym czasie, kiedy będzie komisya przeglądała statuta, wszyscy tak panowie jak posłowie mają przysłuchiwać się jej „deliberacyom“, że gdyby król sam nie mógł być na jej naradach obecnym, tedy mieli mu je referować panowie, ale w obecności posłów. Tymczasem powołał posłów do siebie król, chcąc im obwieścić rezultat narady senatu i treść swojej decyzyi. Natychmiast też wybrali z pośród siebie po jednemu z każdego województwa i wyprawili ich do króla. W imieniu przybyłej deputacyi poselskiej przemówił Tomicki, kasztelan rogoziński. Dziękował królowi, że chce dopełnić egzekucyi i podał do wiadomości jego i panów, że izba zgadza się „na ten

[1]) Dz. s. 156—159.
[2]) Dz. s. 159.
[3]) Dz. s. 159.

sposób deliberowania o tej egzekucyi a przejrzenia praw pospolitych, jakowy ich m. panowie dnia wczorajszego podali", że zarazem wybrała już na to „pewny poczet posłów".[1]) Tomickiemu odpowiedział w imieniu króla kanclerz Ocieski. Miło słyszeć królowi, że go posłowie mają za chętnego i gotowego do wszech spraw pospolitych pana. Na wszystko się zgodzi, co posłowie wspólnie z panami uradzą. Skoro już wysadzili deputatów do przejrzenia statutów i przywilejów koronnych, mogą już rozpocząć egzekucyę. Właśnie wybrali deputatów także panowie, gotowi są wziąć się do pracy, niech do niej okażą gotowość posłowie, a wszystko będzie dobrze. „Co się tycze tych spraw panów duchownych" — uspakajał kanclerz — „łatwie się to pokazać będzie mogło z tej egzekucyi, jeśliże co czynią mimo prawa swe nad wolność pospolitą, a wszako na ten czas prawa tego swego używać nie będą, aż się to pokaże, jeśli słusznie to czynić mogą. Klątwy też te, któremi u sądów hamowanie było, król J. M. jeszcze dnia wczorajszego zahamować rozkazał tymże sposobem, aż się to z prawa pospolitego pokaże, jeśli miejsce u sądów mieć mogą....."[2]) Słowa powyższe miały wielkie znaczenie dla posłów. Zawierały one wszystkie wyroki duchowne, wszystkie klątwy kościelne, które tamowały sprawy po sądach świeckich, znosiły na czas pewien wszelką jurysdykcyę biskupów zarówno w sprawach religijnych jak w sprawach cywilnych, mogły więc napawać zadowoleniem i otuchą serca posłów, że po tym pierwszym sukcesie odniosą na sejmie zupełne zwycięstwo nad biskupami. Wrażenia tych słów nie mogło już osłabić dalsze oświadczenie kanclerza, że król nie zgadza się na odjazd posłów podolskich i ruskich, że nie pochwala sposobu obrony granic wschodnich podanego przez posłów, że zarazem życzy sobie, aby posłowie „co rychlej" radzili o obronie a nie liczyli na to, że wystarczą na nią pobory uchwalone na sejmie warszawskim. Posłowie bowiem zadowoleni z zawieszenia jurysdykcyi biskupiej, przystąpili tego samego dnia jeszcze tuż po audyencyi swej deputacyi u króla do rewizyi statutów, którą prowadzili spólnie z panami przez cały ten dzień i przez następny, we środę 14. grudnia. Rozpoczęli tę rewizyę od statutów wiślickich Kazimierza Wielkiego.[3])

---

[1]) Dz. s. 159—160.
[2]) Dz. s. 160.
[3]) Dz. s. 161.

Aliści pierwsze te dnie poświęcone rewizyi statutów spełzły właściwie na niczem. Pokazało się podczas dyskusyi o kwestyach spornych, jak wielką klęską była dla sejmu choroba króla, który przez nią nie mógł osobiście kierować jego pracami. We środę podnieśli spór biskupi o przysługujące im prawo zwalniania sołtysów swych od służby wojennej, posłowie i niektórzy panowie, a zwłaszcza Tarnowski, kwestyonowali statut o straży wojennej, nakładający na szlachtę obowiązek utrzymywania tej straży. Twierdzili, że należy ona do zaciężnych żołnierzy królewskich. Nie mogli jednak powziąć w tych ważnych kwestyach żadnej uchwały w nieobecności króla. Zarezerwowane do decyzyi jego, musiały być jeszcze raz roztrząsane. Taki sam los spotkał poruszoną kwestyę klątw kościelnych. Odczuwali ten brak osoby królewskiej szczególniej posłowie. Aby więc powetować czas, który tracili przy kwestyach spornych, postanowili zaproponować panom, aby zezwolili komisarzom rzeczy mniejszej wagi ze statutów opuszczać a przeglądać głównie „przywileje koronne". Miał o tem mówić do nich poseł ziemi krakowskiej Hier. Ossoliński. Uczynił to dopiero w piątek 16. grudnia, we czwartek bowiem nie było posiedzenia komisyi skutkiem nie przybycia na nie deputatów senatorskich. W dniu tym przyjechać miał do Piotrkowa możny wojewoda wileński Mik. Radziwiłł Czarny, na którego powitanie wyjechało mnóstwo senatorów a nawet obydwaj kanclerze, chociaż dzień przedtem stanęła była ugoda między panami i posłami tej treści, że na powitanie tego przyjaciela i krewnego królewskiego miano wyprawić tylko pewną deputacyę, złożoną z panów i posłów, jako przedstawicieli senatu i izby, byle nie przerywać z okazyi przyjazdu jego prac sejmu. Ale stało się inaczej ku niezmiernemu oburzeniu posłów, które w nich podsycał antagonista Radziwiłła — Tarnowski. Tem więcej więc czuli się w obowiązku przedstawić panom „inny sposób przezierania statutów" — „gdyż takowym porządkiem jako zaczęli trudno się statecznie kończyć co może, bo o jednej rzeczy różne się i osobno statuta (czyli sprzeczne) znajdują" a — „czas się wlecze a traci".[1]) Panowie zasadniczo nie byli przeciwni propozycyi posłów, przynajmniej nie okazali im tego w pierwszej chwili. Gdy jednak król oświadczył się przeciw niej, odrzucili ją także. Podkanclerzy Przerębski odpowiedział tedy posłom dnia tego w imieniu króla i senatu, że zachowany powinien być przy egzekucyi „obyczaj", „który jest

---

[1]) Dz. s. 161—163.

w recesiech opisan sejmów przeszłych, tak piotrkowskiego jako i warszawskiego", to jest, ma być egzekucya „od deski do deski". Posłowie radzi nie radzi wzięli się znowu do czytania statutów. Czytali je przez cały piątek i sobotę.[1])

Najbliższe posiedzenie komisyi egzekucyjnej miało się odbyć w poniedziałek, 19. grudnia. Tymczasem dał znać posłom marszałek koronny Jan Mielecki, iż panowie dnia tego zejść się z nimi nie mogą z powodu rady, jaką król złożył z wojewodami i innymi przedniejszymi senatorami — *exclusis ceteris castellanis* — w sprawie sukcesyi barskiej po swojej matce. Zaskoczeni tą przeszkodą, nie chcąc tracić darmo czasu, roztrząsali w tym dniu sami posłowie ważną kwestyę prowadzenia egzekucyi. Aby ją uprościć i zyskać przez to na czasie, postanowili prosić króla, aby przynajmniej te artykuły, które będą rezerwowane do jego decyzyi, raczył bez ponownej dyskusyi aprobować. Na razie przygotowali do aprobaty królewskiej cztery artykuły sporne, jeden „o powinności szlacheckiej na straż wojenną", drugi „o klątwach na świadki", trzeci „o sołtysiech panów duchownych", czwarty „o kielichach po śmierci kmiecej". Miał o nich mówić nazajutrz poseł Stadnicki. Oprócz tego miał inny poseł prosić króla, „aby podolskie kraje pograniczne obroną opatrzył", aby na nią obrócił „pieniądze poborowe z sejmu warszawskiego", gdyż nadeszły znowu groźne wieści o Tatarach i Wołochach.[2])

Mowa Stadnickiego, wypowiedziana do panów dnia 20. grudnia we wtorek, była skierowaną głównie przeciw biskupom. Wyraziwszy na wstępie ubolewanie posłów, że król chory, że nie-

---

[1]) Dz. s. 163. W senacie bezwątpienia popierał projekt posłów, tyczący się uproszczenia egzekucyi, hetman Tarnowski. W wotum swojem z dnia 7. grudnia pierwszy podniósł tę myśl, że „może się krótko odprawić wiele rzeczy, bo rzeczy są nie mało, które pośledniejszymi statuty są naprawione, wiele jest, które per abusum odeszły" i t. d., patrz. wyżej. Bezwątpienia też on sam poddał posłom radę, aby postawili wniosek o uproszczenie prac komisyi egzekucyjnej. Na naradach poselskich dnia 15. grudnia, we czwartek, kiedy wielu panów witało Radziwiłła, był właśnie razem z kilkoma innymi panami, z Uchańskim, Zborowskim, Spytkiem z Melsztyna, Mieleckim, obecny i żywy brał w nich udział: „panowie drudzy zszedszy się z posły expostulowali na inne pany, którzy im o zmowę wczorajszą (we środę) odjechali, a najwięcej pan krakowski na to iwechował, i potym inni...." (Dz. s. 162).

[2]) Dz. s. 163—164.

obecność jego w kole panów utrudnia obrady sejmowe, że skutkiem tego „czas się trawi próżno nic innego nie czyniąc jeno czytając statuta Kazimierza Wielkiego“ — prosił panów o interwencyę u króla, o wyrobienie aprobaty dla powyższych artykułów, na które mają z nimi jednakowe zapatrywania. Zawsze tak bywało, że ludzie służebni „bojowni godni i umiejętni“ straż wojenną przy królu trzymali. Raczyli się też zgodzić panowie na to, co jawnie w statucie stoi o sołtysach, mianowicie że — „wszyscy sołtysowie *utriusque ordinis* są powinni na wojnę jeździć“. Wprawdzie „ich m. panowie biskupi opowiadali prawa mieć takowe, za któremi mianują nie powinne być sołtyse swoje ku posłudze wojennej“, wprawdzie „to bywało, iże się ich m, na tamte swoje przywileje odwoływali, ale już teraz nie mogą“(!). Nadto *„ius privatum non derogat communi“*, więc „nie mogli sobie wypracować własnych wolności na przeciwko temu prawu pospolitemu, od króla Kazimierza w Wiślicy danemu“, tem bardziej, że gdy „księża ich m. wyjmowali sołtysy swoje z wojny“, tedy król Zygmunt statutem „a prawie wyrokiem sejmowym in anno 1538“ a „dzisiejszy pan nasz“ w roku 1550 zatwierdził statut Kazimierzowy, a wobec tych statutów „przywileje już miejsca nie mają teraz“ — „i upadli już są w tej rzeczy panowie duchowni“, przeto proszą posłowie „aby czasu ruszenia wojny sołtysi wszyscy od niej nie byli wolni, ale żeby ją służyli wedle pisania praw“. W końcu istnieje wprawdzie prawo, usuwające wyklętych od świadczenia w sądach, ale nikt tego prawa dotychczas „nie używał“, więc też jak każde prawo *„per abusum* upadło“. Tymczasem teraz „księża, ich m. ten statut poczęli już rozciągać *non in eum ut sonat sensum*, ale już odrażają od *causs* niektóre osoby, powiedając, iż *locum standi in iudicio* mieć nie może w klątwie będący: aby (chociażby) ksiądz zakiął o grosz kolędy, te już tym traci akcyą o nawiętszą sumę wedle dekretów, ku którym teraz króla J. Mci księża ich m. przywiedli niedawno w Krasnym stawie“(!!), gdzie w tym roku czas jakiś w lecie z senatorami sprawował sądy. I to więc prawo, jako przestarzałe „gdyż *jura abusu evanescunt*“ i połączone z niem nadużycia popełniane przez biskupów powinien król za przyczyną panów już teraz „egzekwować“ czyli znieść“.[1]) Po Stadnickim mówił o obronie Łukowski, poczem panowie udawszy się na dłuższą naradę do króla, wrócili po niej

[1]) Dz. s. 164—166.

do posłów z odpowiedzią odmowną. „A gdyż J. K. M.“ — mówił w imieniu ich biskup kujawski Uchański — „wszystkie konstytucye i przywileje egzekwować miał, nie może jednych tych zaczętych teraz egzekwować, aż się wszystkie przejrzą, a to społem zbierze, co egzekucyi potrzebuje, bo wiele jest statutów sobie przeciwnych, wiele przedniejszych pośledniejszymi skarzono, niektóre też *per abusum* zaniechano, niektórych nie używamy“. Mogłaby wypaść „niemała confusia“, ze zbyt pospiesznego zatwierdzania lub znoszenia tych i owych statutów, lepiej więc dalej przeglądać takowe w ten sposób, jak się zaczęło, a gdy się je wszystkie „do końca przejrzy“, wówczas dopiero „będzie J. K. M. zaraz wszystko egzekwować“. Co się tyczy powierzenia obrony kresów wschodnich zaciężnemu żołnierzowi, nie by król nie miał przeciw temu — „gdyby służebnym było czym zapłacić“. Ale o nowych zaciągach nie może być mowy — „bo im nie masz z czego już zasłużonej służby zapłacić“.[1] Odpowiedź odmowna króla, szczególniej w sprawie ważnych dla duchowieństwa artykułów o służbie wojennej sołtysów i o klątwach na świadków sądowych, była wyrazem zwycięstwa biskupów, odniesionego w senacie nad Tarnowskim i jego towarzyszami, którzy solidaryzowali się z dążeniami izby poselskiej. Sprawcą tego zwycięstwa był bezwątpienia Zebrzydowski, zawsze energicznie broniący przywilejów i postępowania duchownych. Nazajutrz też sprosił do siebie wszystkich senatorów „na ucztę“, podczas której omawiano sytuacyę sejmową, może debatując nad tem, że równocześnie posłowie łamali sobie głowy nad sposobem, w jakiby przecież dało się uprościć to czytanie statutów, tę „jeno tylko zabawę“, która do niczego nie prowadziła. Podczas gdy u Zebrzydowskiego zapijano zwycięstwo wczorajsze, posłowie radzi nie radzi, z obawy, aby nie posądzono ich o zamiar rozerwania sejmu, postanowili ustąpić na razie senatowi i królowi, nie mniej jednak „uczynić protestacyą jawnie przed pany, iż ten sposób zaczęcia egzekucyi nie rozumieją niczym inszym, jeno traceniem darmo czasu, a przewłoką do spraw potrzebnych, która nie z nich idzie, ale z panów ich m.“ Tą protestacyą chcieli sobie wynagrodzić porażkę, którą im zadała *„autoritas et regis et senatus“*, widocznie nie mających szczerego zamiaru dokonania egzekucyi, działających pod presyą

---

[1]) Dz. s. 166—167.

biskupów, zatrwożonych o swe przywileje.... Miał z nią wystąpić w imieniu izby Siennicki nazajutrz we czwartek 22. grudnia.[1])

W mowie marszałka izby, jaką wypowiedział w tym dniu, nie ma już tego zaufania do panów, jakie jeszcze widoczne było w przedwczorajszej mowie Stadnickiego. Przepełnia ją żal i gorycz, tchnie z niej uczucie zawodu, jakiego od panów doznali posłowie. Wymawiał im Siennicki, że za mało okazują dobrej woli, że napróżno pozyskało się dla egzekucyi króla, bo nic innego teraz się nie czyni — „jeno statut darmo czytamy“, o niczem panowie nie chcą stanowczo decydować, wiele rzeczy odkładają, nie wyrabiają dla nich aprobaty królewskiej pod pretekstem — „aby się statut od deski do deski we wszystkim wedle recesu sejmu egzekwował.“ „I cóż to jest inszego“ — pytał — „jedno czas nad który nie masz nic droższego tracić a tak go rzeczami mniej potrzebnemi wlec, żeby się i panu naszemu i waszmościom i nam wszem sprzykrzyło, albo potrzeba nagła, która się zewsząd od nieprzyjaciół postronnych pokazuje.... nas stąd rozegnała, a tak się rzeczom najpilniejszym dosyć nie stało?“ Wszak „recesy przeszłych sejmów“ nie mówią tego — „aby się egzekucya od deski zacząć miała, jeno aby się wszystkiemu dosyć stało, skądkolwiek się pocznie egzekucya.“[2]) Wyrzuty posłów dotknęły panów. Naradziwszy się między sobą, odpowiedzieli na nie, że bynajmniej się czasu nie traci, robi się to — „co jest w recesiech opisano“, że byłoby się już wiele zrobiło, nie mało statutów „odprawiło“, — „gdyby się posłowie raniej z pany schadzali a pilno odprawowali, co się zaczęło“.[3]) Wobec takiej przygany wzięli się posłowie dnia tego do czytania statutów Kazimierzowych. Czytanie to ukończyli nazajutrz w piątek 23. grudnia, poczem dnia tego przystąpili do przywileju Ludwikowego. Święta Bożego Narodzenia przerwały tę pracę. Wielu panów i posłów rozjechalo się do domów. Miano zejść się znowu na czytanie statutu Ludwika we czwartek po świętach dnia 29. grudnia. Posłowie wprawdzie zeszli się, ale panowie nie przybyli, bo wielu ich zgromadziło się u naszego biskupa Zebrzydowskiego, który w dniu tym złożył u siebie sąd polubowny w sprawie jakiegoś wielkiego „zajścia“ między panami Wolskimi a wojewodą krakowskim, Stan. Tęczyńskim.[4])

---

[1]). Dz. s. 167.
[2]) Dz. s. 167—169.
[3]) Dz. s. 169.
[4]) Tamże.

To lekceważenie sprawy publicznej przez panów do żywego oburzało posłów. Postanowili jeszcze raz zaprotestować przeciw dotychczasowej procedurze egzekucyi. Wychodząc z tego stanowiska, że statut Ludwika nosi charakter przywileju, że natomiast o przywilejach nie można dyskutować bez króla — „zmówili się jeszcze upomnieć pany, aby król sam praesens był z nimi, a statecznie przywilejom koronnym zaraz dosyć uczynił nie czytaniem tylko, ale wypełnieniem ich“. Wystąpił z tym postulatem do panów poseł sandomierski Kietliński. W mowie swej, wypowiedzianej w piątek 30. grudnia, wyraźnie oświadczył, że posłowie życzą sobie, aby przywileje były czytane przy królu i natychmiast egzekwowane — „bo wszystko na tych przywilejach koronnych należy“, że czasu więcej już tracić nie można; dodał w końcu: „widziemy i baczemy to, iż nam nie schodzi (czas) ni na kim jeno na waszmościach, króla w tym winować nie możemy, bo się jawnie opowiada, iż jest do wszystkiego gotów, my też ustawicznie prosimy, aby się nie mieszkając zaczętym rzeczom działo dosyć, a tak już ni mamy kogo inszego winować jeno waszmościów, bo gdybyście wy chcieli do wszystkiego statecznie przedsięwziąć, a radami swymi K. J. M. do tegoż wieść, jużby się niemało odprawiło, a K. J. M. jako dobrotliwy pan wszystkoby za waszemi radami uczynił. Jeno widziemy, że w. m. sami te rzeczy wszystkie zwłaczacie godząc na to, aby ze wszystkiego nic nie było (!!)“[1])

Słowa Kietlińskiego zelektryzowały panów. Tego samego dnia udali się do króla i „tam cały dzień wotowali“. Rezultatem tej narady całodziennej było to, że król obiecał być obecnym przy przeglądaniu przywilejów. Rozpoczęła się więc w ostatni dzień starego roku, w sobotę 31. grudnia, dalsza praca egzekucyjna, tylko na razie król z senatem prowadził ją osobno a posłowie osobno. Przeglądano i omawiano „pierwszy paragraf“ przywileju koszyckiego króla Ludwika, tyczący się następstwa tronu po jego śmierci. Paragraf ten zwrócił uwagę wszystkich na bardzo ważną kwestyę elekcyi przyszłego króla. Jawną było tajemnicą, że królowa Katarzyna straciła już wszelką nadzieję macierzyństwa. O tej drażliwej materyi jednak bali się tak posłowie jak senatorowie mówić zbyt otwarcie i szczerze. Krępował ich wzgląd na osobę króla. Nic więc dnia tego nie postanowili.[2])

[1]) Dz. s. 169—170.
[2]) Dz. s. 170.

W poniedziałek 2. stycznia N. R. król przysłał do posłów dwu kasztelanów z życzeniem, aby przedłożyli mu swoje zdanie o przywileju koszyckim. Panowie bowiem, chociaż im pozostawił wszelką swobodę w dyskusyi, chociaż sam „animował" ich — „aby bezpiecznie nie obawiając się w tym osoby jego mówili a za żywota jego porządek stateczny *de electione libera regis* stanowili", — i tego dnia jeszcze „wahali się o takowej sukcesyi po zejściu królewskim mówić swobodnie", nie też *„conclusive"* o elekcyi nie postanowili a tylko przeczytali cały przywilej, każdy jego paragraf z osobna, oświadczywszy, że radziby słyszeć pierwej o nim zdanie posłów.[1]) Aliści posłowie także nie mieli chęci pierwsi swego zdania wyjawiać. Chwycili się pozoru, którym wymówili się od tego pierwszeństwa. Marszałek Siennicki udawszy się osobiście z pewną ilością posłów do króla, oświadczył mu mianowicie, że posłowie nie mogą „radzić o tem, o czem jeszcze panowie nie wotowali".

Oświadczenie to rozgniewało króla i panów. Dali więc na nie odpowiedź dość szorstką, że rzeczą właśnie posłów przedkładać stosowne wnioski — „przynaszać a opowiedać potrzeby koronne", podczas gdy panowie nad niemi „radzą i z królem J. Mcią konkludują". Odpowiedź ta rozgoryczyła znowu posłów. Pamiętali bowiem, jak panowie „doma" gniewali się na to, „że posłowie o rzeczach niektórych pierwej zdania a rady swe królowi przynoszali, przyczytając im, że sami i radzić i konkludować chcą a pany i króla nic sobie nie ważą...." „teraz zaś" — mówili — „niewdzięcznie przyjmują, że już zdania ich m. pierwej słuchać chcą".[2]) Nazajutrz we wtorek 3. stycznia miał na ten temat w senacie, lecz w nieobecności króla, bardzo długą, pełną namaszczenia i retorycznych wycieczek, mowę poseł ziemi krakowskiej Mik. Rej z Nagłowic. Scharakteryzował w niej dotychczasowy

[1]) Dz. s. 171—172. O posiedzeniu senatu dn. 2. stycznia t. r. 1559 pisał nazajutrz król do Radziwiłła: „Po Twojej Mości odjechaniu stąd nic się nie ponowiło, tylko iż siedzieliśmy wczora z pany na jednym przywileju, gdzie iż z okaziej przyszło de electione regis ruszyć tedyśmy sami podali, aby namawiali modum eligendi regis, za co nam panowie podziękowali, lecz przecie się wszystko panu krakowskiemu (Tarnowskiemu) nie podoba, prosto z podziwieniem ludzkiem szaleje i nabroi tak wiele błędów, iż nie trudno będzie kiedy wykorzenić, tak jest jadowity bardzo". Lachowicz, Listy Zygmunta Augusta, s. 118, list z 3. stycznia 1559 r.

[2]) Dz. s. 171.

przebieg sejmu, ową powolność posłów względem panów w sprawie egzekucyi i owe trudności, jakie w niej panowie stwarzali, przemawiał do ich ambicyi rodowej i stanowej, by „uważywszy i starożytność i powinność domów swych, i miejsca i przysięgi swe“ raczyli się przychylić do tego — „aby się ta sławna sprawa i z woley bożej poczęła i dokonała szczęśliwie a fortunnie“, bo jeśli tego nie uczynią, ściągną na siebie „złą sławę, przeklęcie, płacz a narzekanie“. Z tej przyczyny nie powinni się teraz ociągać z wotami swojemi, w których jako stróże praw koronnych mają pierwsi o nich wypowiedzieć swe zdanie.[1])

Przemowa Reja sprowadziła nowy zwrot w obradach sejmu. Król odbywszy dłuższą naradę z panami, polecił podkanclerzemu obwieścić tegoż dnia posłom, że życzy sobie, aby tak oni, jak panowie przystąpili do formalnej dyskusyi nad sukcesyą i elekcyą. Chciał tym sposobem przerwać bezcelowe spory pomiędzy izbą a senatem. Podkanclerzy miał motywować projekt króla obszernie i wymownie. Po jego mowie zwykłym porządkiem rzeczy mieli wotować panowie. Ale trwając w swoim uporze a nie chcąc psuć szyków królowi, złożyli tylko do rąk posłów, zamiast wotów, spis uwag o egzekucyi przywileju Ludwikowego, które wczoraj wypowiedzieli w obecności jego w senacie.[2]) Z uwag owych, zamieszczonych w porządku przy każdym z 13. artykułów czyli paragrafów przywileju, naczelne miejsce zajmuje uwaga o artykule pierwszym: „pierwszy artykuł około elekcyi na królestwo dziwek Lodwikowych“ — powiadają w niej panowie — „już skutek wziął, tylko się to ich m. zda za potrzebną, aby nalazł się obyczaj, którymby na przyszłe czasy bez zamieszania albo rozerwania królowie polscy obierani być mieli, czego J. K. M. pozwolić raczy, życząc tego Koronie polskiej, aby nie jeno za panowania J. K. Mci dobry porządek w niej był, ale i po zejściu J. K. Mci w dobrym rządzie się wszystko sprawowało“.[3]) Było to gołosłowne uznanie potrzeby obmyślenia „obyczaju“ przyszłej elekcyi, nic więcej. Ale posłowie zadowoleni i z takiego, acz niezwykłego sposobu wotowania, złożyli tego samego dnia jeszcze w ściślejszem swojem kole naradę nad projektem króla i owym spisem, podanym im przez panów. Postanowili na niej podziękować królowi — „iż rady swe i posły napominał, aby o wolnym obieraniu sobie pana po zejściu

[1]) Dz. s. 172—175.
[2]) Dz. s. 175.
[3]) Dz. s. 176.

Jego teraz radzili i stanowili". Postanowili też przypomnieć mu, że ojciec jego, król Zygmunt uzupełnił przywilej Ludwikowy nowym przywilejem z daty 1530 r., którym utwierdził „wszystkim obywatelom koronnym“ z dawna używane prawo wyboru króla, że więc w egzekucyi tego prawa wyboru króla chodzi teraz głównie o to, aby już za życia jego uchwałą sejmową był oznaczony czas i miejsce sejmu elekcyjnego, jakoteż sposób obwieszczenia śmierci królewskiej. A ponieważ krążyły po kraju różne pogłoski, że król w sprawie następstwa tronu po sobie miał już od pewnego czasu prowadzić jakieś podejrzane konszachty z domem habsburskim, przeto mieli go także zainterpelować, ile było na tych pogłoskach prawdy. Na mowcę swego wybrali starostę radziejowskiego, Raf. Leszczyńskiego.[1])

Leszczyński wywiązał się ze swego zadania nazajutrz we środę 4. stycznia. Wzmianka „o paktach około Korony polskiej“ do żywego oburzyła króla. Chciał wiedzieć — „kto takowe rzeczy o nim rozsiewa“. Zażądał więc przez podkanclerzego od posłów, aby wymienili „powiedacza“ czyli autora tych plotek, które mają na celu zohydzenie „osoby Jego pańskiej“ w oczach poddanych. Oświadczył im również, że panowie nie wiedzą, co właściwie mają uchwalać „wedle ich żądania“.[2]) Wobec tego nazajutrz we czwartek Leszczyński powtórzył ustęp swej mowy, tyczący się sejmu elekcyjnego a inny poseł, Kietliński szerzej wyjaśnił powody, dla których posłowie ośmielili się podnieść w sejmie sprawę paktów królewskich. Nie wierzą wprawdzie, aby istotnie król jakie pakta „z postronnymi pany około sukcesyi na królestwo polskie“ zawierał, ale że wieści o tem „rozeszły się po wszystkiej Koronie i z niektórych województw rozkazano to publice dowiedzieć się tego i przyniesiono to w pośrodek między posły“, przeto musieli je podnieść teraz z obowiązku poselskiego, — bo też „nigdzie indziej“ sprawdzić ich nie mogą, tylko u króla i rad koronnych.[3]) Wywody obydwu mowców izby poselskiej nie zadowolniły ani senatu ani króla. W odpowiedzi na nie oznajmił izbie podkanclerzy, że co się tyczy elekcyi, nie chodzi teraz tak bardzo o czas i miejsce przyszłego sejmu elekcyjnego, więcej chodzi o to, jakim ma być ten sejm. Nie przeczą panowie, że wszystkie stany mają

[1]) Dz. s. 177—178.

[2]) Dz. s. 178—179.

[3]) Dz. s. 179—180.

brać udział w elekcyi, ale niepodobna, aby wszyscy obywatele obierali króla *Ubi multitudo, ibi confusio*. Trzebaby więc temu zapobiedz — „jakoby wielkość stanów zawady nie uczyniła...“ „aby też na ten czas konfusia jaka nie była...“ Dopóki posłowie nie objawią w tej rzeczy zdania swego, dopóty panowie o żadnym „porządku“ elekcyi mówić nie mogą — „bo w tej wielkości ludu porządek żaden zachowan być nie może“. Co się tyczy paktów, niepodobna, aby posłowie nie wiedzieli, kto o nich plotki rozsiewa. Doszło do wiadomości króla — „że nie tylko *in locis privatis*, ale też na sejmiech niektórych a zwłaszcza w Proszowicach zminka o tem była“, wobec tego musiał tam być ten, który o nich mówił.[1]) Gdy skończył podkanclerzy, rzekł sam król: „Widzę, że mi tego żyda chcecie zagrześć, a ja się chcę o nim dowiedzieć i w niwecz się wdać nie chcę ani sprawować, aż mi go powiecie, bo ja nie umiem zdradzać Rzeczy Pospolitej“. Znać było po jego osobie, że sobie te plotki o paktach wziął bardzo do serca.[2]) Ale posłowie zdradzić autora plotek nie chcieli. Na ustronnej swojej naradzie orzekli, że byłoby to naruszeniem swobody poselskiej, gdyby mieli z wszystkiego się zwierzać, co im szlachta zleci. Wydelegowali jednak po chwili marszałka, który miał uspokoić króla. „Nie tylko to zebranie nasze poselskie“ — zaczął Siennicki — „które tu za rozkazaniem W. K. M. od rycerstwa koronnego jest, ale ani żaden obywatel Korony polskiej był kiedy o W. K. Mci mniemania takiego, żebyś miał co takowego przedsiębrać, czymbyś ku upadu a zniewoleniu przywieść je chciał, bo wiedząc, żeś W. K. M. potomek sławnych przodków swych królów polskich, którzy wielkie swobody narodowi polskiemu nadali, znając k temu wrodzoną chuć W. K. Mci, że się inymi narody cudzoziemskimi jeno swymi właściwymi zabawiać nie raczysz, bacząc też osobliwą ludzkość, iż się łaskawie z każdym rozprawiać, uczciwie rozmawiać nie lenisz, pomyśleć na to żaden nie może“. Tylko ponieważ teraz mowa o elekcyi, ponieważ rzecz toczy się o konstytucyę, którą z łaski króla ma ten sejm uchwalić, a powinnością jest posłów — „wszytko, coby R. P. szkodliwo być miało a trudność udziałać, to przed J. K. M. i rady koronne przynaszać, prosić, upominać, aby J. K. M. tego zabiegać raczył“, przeto posłowie podnieśli teraz „takowe rumores szkodliwe“, aby

---

[1]) Dz. s. 180.

[2]) Dz. s. 181.

uchronić Rzptą od losu „sąsiedzkiego państwa węgierskiego“ (!) — „bo gdzież łatwiej się wszytkiemu zabieżeć może, jeno tu teraz, gdy J. K. M. jako miłościwie tego podał, tak skończyć konstytucyą będziesz raczył“. Kończył tedy Siennicki: „Prosimy, abyś W. K. M. nasz m. p. nie inaczej tego od nas przyjmować i rozumieć raczył, jeno tak, jako my W. K. Mci powiedamy, żeśmy to w obyczaj przestrogi więcej wspomnieli, a niż prze to, żebyśmy to twierdzić i sami temu wierzyć mieli, ani tego W. K. M. dotyskować racz. dowiedywać się powiedacza tych rumores, gdyż i ten dobrym podobno duchem powiedał inym ku przestrodze, zaczymby każdy nie karania ale wdzięczności godzien...“ Poczem obróciwszy się do panów dodał, aby i oni potwierdzili, że do niektórych z nich takie wieści dochodziły „z postronnych krajów“, gdyż to jest ich obowiązkiem „serce pańskie lenire“ i „świadectwo dać“, że oni sobie ich „nie zmyślili“.[1])

Mowa marszałka izby uspokoiła króla. Łaskawie też odpowiedział posłom, że rzecz całą odkłada do najbliższej sesyi senatu...[2]) Niemniej jednak nie porzucił myśli wykrycia oszczercy. Nazajutrz w dzień Trzech Króli, kiedy posiedzenia ani senatu ani izby nie było, taki — a drugi już z rzędu[3]) — wysłał list do Radziwiłła, którego od tygodnia już w Piotrkowie nie było: „Oznajmiliśmy Twojej Mości pierwszym naszym pisaniem, żeśmy sami *sua sponte* puścili, aby podali między Pany i także między pósły *electia futuri Regis*, gdzie gdy nam za to posłowie dziękowali, tedy przy dziękowaniu przypomionęli, iż się też i za tym wypiele *ex mentibus hominum haec opinio*, która weszła w ludzie około uczynienia jakichś pakt z dzisiejszym cesarzem *de futuro successore*, gdzie my to przed Pany przodkiem sobie ociążywszy, iż to *de his pactis*, a jeszcze to od mego wesela zmyślone wrzucenie w ludzie jest się stało nam ku ohyzdzie i komuś innemu... a iż my chcemy od nich autorem wiedzieć, skąd to mają i samiśmy przy Paniech i przy nich powiedzieli, że my tego żyda zagreść nie chcemy... Wczora odpowiedzieli posłowie: że z kilku województw jest poruszono o tym mówić... nie przeto, abyśmy temu wierzyli, ale w obyczaj przestrogi tośmy przypomiąneli jako wierni poddani... powiedzieliśmy, iż koniecznie o tak wielkiej nam ohyzdliwej rzeczy, aby się inne plotki zastanowiły, chcemy po-

[1]) Dz. s. 181—183 (w skróceniu).
[2]) Dz. s. 184.
[3]) Vide wyżej.

wiadacza mieć... To się do poniedziałku (9. stycznia) odłożyło... ale my jednak tego żadną miarą nie przestaniemy, jeno, iż autor okazać się musi..." [1])

Tymczasem w sobotę po Trzech Królach chcieli panowie „zaczętym obyczajem" czytać dalsze statuty, ale sprzeciwili się temu posłowie. Twierdzili, że należy uporać się naprzód z przywilejem Ludwikowym a zwłaszcza z tak ważnym artykułem, jak ów o elekcyi króla, żądali tedy, aby panowie im lepiej wytłumaczyli, jakich zmian domagają się w przywileju króla Zygmunta, o którym była przedwczoraj i we wtorek mowa. Po krótkiej naradzie odbytej między sobą i z królem oświadczyli panowie — „że to rozumieją być w tym przywileju szkodliwym, iż do tej elekcyi wszyscy się zjechać i wszyscy króla obierać mają, a gdyż to jest rzecz nie podobna, aby *in tanta multitudine* porządek a zgoda być miała, bo każdy autoritatem sobie uzurpować będzie chciał, a stąd konfusia i fakcye byćby musiały...." Zaproponowali tedy posłom, aby o tem radzili, jakoby od elekcyi żadnego stanu nie usuwać a przecież elekcyę prawidłowo przeprowadzić. Ich zdaniem najlepiejby było, gdyby — „był mianowity poczet ludzi, którzyby się na tę elekcyę zjechać mieli, naznaczon ze wszech stanów". Tłumaczyli, że „inaczej trudnaby zgoda być miała i granice by się zewsząd ogoliły, gdyby się na jednę kupę wszyscy obywatele zjeżdżać mieli (!!) [2]) Wobec tych uwag panów jęli posłowie między sobą omawiać kwestyę elekcyi. W dniu tym omówili już cały porządek jej i wybrali z pośród siebie kilku, którzy mieli ułożyć go na piśmie w stosownych artykułach, odpowiadających warunkom czyli kondycyom — „które się im widziały potrzebne *ad electionem*". W poniedziałek artykuły te były już naszkicowane. Właśnie posłowie byli zajęci ich czytaniem, gdy zawezwał ich król do siebie, chcąc im dać odpowiedź na rzecz — „którą czynili we czwartek *de pactis*".[3]) Do przybyłych posłów przemówił kanclerz. J. K. M. — mówił on — zawsze był za tem, „aby się wczas zabieżało burzliwemu obieraniu królów a co lepszego i gruntowniejszego w tym stanowiono było...." To go skłoniło, że sam dał teraz inicyatywę do dyskusyi na ten temat: „a gdy największą chuć swą R. P-tej okazał, i gdy się namniej tego nadziewał, podkało go to od was z tamtego koła, którzyście są od

[1]) List z 6. stycznia 1559 (wyjątki), v. Lachowicz s. 119—120.
[2]) Dz. s. 184.
[3]) Tamże.

wszech powiatów tu wyprawieni, że do stanu szlacheckiego jest podan i przyniesion (oskarżony) w rzeczy nawiętszej, jakoby J. K. M. umowy jakie czynić z kim miał do *succesione* Korony tej....“ Ma za to do posłów słuszny żal, tem więcej, że się wzbraniają wyjawić oszczercę. Chętnie przyjmuje do wiadomości, że posłowie podnieśli te oszczercze pogłoski tylko z obowiązku poselskiego, — „*legacionis non accusationis munere*“, ale przebaczyć nie może temu, kto dla prywaty szerzy o nim plotki. A ma pewne wiadomości — „gdzie i kto i co za osoby na jednym sejmie zmiankę o nim czynili“, ufny tedy, że kto o czem wie, ten nic nie zatai i oszczercę wymieni.[1]) Stanowczość króla wywarła pożądany skutek. Pierwsi panowie, jak Dembieński kasztelan sądecki, Wolski kasztelan brzeziński, Spytek z Melsztyna i kanclerz Ocieski zeznali, że słyszeli o tem od Ossolińskiego, posła ziemi krakowskiej. Miał on o paktach mówić w Proszowicach podczas odbywającego się tam sejmiku, i to nie w kościele tylko na cmentarzu, gdzie właśnie miała szlachta obierać posłów. Pierwszego senatora ziemi krakowskiej, biskupa krakowskiego, na tym sejmiku nie było. Zebrzydowski więc w tym wypadku nie mógł złożyć żadnego naocznego świadectwa. Ossoliński mówił wszakże o paktach nie w formie twierdzenia, tylko skargi — „że takowe powieści między ludźmi się roznoszą“. Sam słyszał o nich od niejakiego Ozarowskiego, a ten znowu od kasztelana inowłocławskiego,[2]) Teraz zaś nie wahał się powtórzyć tego, co słyszał. Do świadectw pańskich dołączył swoje własne. „Nic inego“, — mówił — „nie mówię, jeno to, co prawdziwie wiem, a zawsze usta z sercem się zgadzają: tedy ja też tak o tym powiedam, gdyż nie jeno z panem kanclerzem, alem z wielem panów, których i tu widzę w radzie nie mało, mówiłem o tym, chcąc tego, aby się temu zabieżało, żeby te jakieżkolwiek *rumores certi et incerti* szkody jakiej nia uczyniły Rzptej.....“ Ale panowie lekce sobie brali to „*actum periculosum*“, umyślił więc „*publice* na sejmiku to przełożyć“, — „aby to wżdy *publico nomine* do J. K. M. było przyniesiono od rycerstwa, gdyż żadny ex senatu ani publice ani podobno i *privatim* do J. K. M. tego przynieść nie chciał“. „A tak tom w ten sposób uczynił“ — mówił dalej — „żebych to był rad widział, aby te rumores jeśliże incerti były

[1]) Dz. s. 185—186, streszczenie swobodne.
[2]) Dz. s. 186—187.

wykorzenione, jeśli żeby też było co certi, aby się temu tak zabieżało, aby o nas jako o bydło nie targowano, bowiemem ja tak słuchał, żeby ktoś jakieś dary za to wielkie wziąć miał....“ Prosił tedy króla — „aby wdzięcznie przyjmować raczył, co się dobrym sercem a ku dobremu i Jego K. M. Rzptej mówi albo przestrzega“.[1]) Na to odezwał się król: „Wdzięcznie przyjmuję, panie Ossoliński, wierę wdzięcznie“. Teraz dopiero zapanowała zupełna harmonia między panami, posłami a królem. Tarnowski zeznawał, że wieści te nie są wcale nowe w Polsce — „bo każdy, kto jeno będzie u dworu cesarza dzisiejszego albo synów jego, tedy to zawżdy usłyszy, że o tym jawnie mówią, że jednego pana z nimi mieć mamy“, i już tego są pewni, że tak kiedyś będzie. Skąd mają tę pewność, Tarnowski wytłumaczyć nie umiał. Tak samo posłowie opowiadali, że już od dawna o tem wszystkiem wiedzą, ale nie słyszeli, aby osobę królewską do tych układów kto mieszał. Wyrazili też nadzieję, że król nigdy się nie da do nich wciągnąć. W ten sposób ten przykry zatarg o pakta został wreszcie umorzony.[2])

We wtorek i we środę znowu posłowie rozprawiali o elekcyi, król zaś z panami odbywał sądy. Tymczasem nadeszły nowe listy od wojewody ruskiego, hetmana polnego i od innych z Podola z wiadomościami pewnemi, że Tatarzy już są na pograniczu. Król sądy przerwał, a przeczytawszy listy podał je przez kilku panów do wiadomości posłów, napominając ich zarazem — „aby radzili, jakoby się tak nagłej potrzebie zabieżało“. Ale posłowie omawiali dalej *„condiciones electionis“*. Nazajutrz we czwartek król ponownie zażądał od nich, aby radzili o obronie, aby też przedłożyli swoje zdanie o podaniu panów, tyczącem się przywileju Ludwikowego. Stosownie do życzenia króla wystąpił w imieniu posłów Ossolinski i rozwinął „ustnie“ zapatrywania ich na „kondycye electionis“. Tomicki zaś ponowił dawną ich prośbę, aby król sam „z radami swemi ratunek ziemiom ruskim przeciw Tatarom obmyślił“, bo oni innego „oprócz ruszenia pospolitego“ na razie „nalcść nie mogą“. Wówczas król zażądał, aby mu posłowie kondycye elekcyi podali na piśmie, poczem przerwał na dwa dni obrady sejmowe, poświęciwszy dnie te obchodom żałobnym za cesarza

---

[1]) Dz. s. 187—188.

[2]) Dz. s. 188.

Karola i matkę swoją królowę Bonę.[1]) Przez ten czas spisywali posłowie artykuły elekcyi.[2]) Artykuły te przedłożyli tedy królowi i panom dopiero po niedzieli w poniedziałek 16. stycznią, objaśniając, że nie podają ich w tem przeświadczeniu, jakoby król i panowie nie mogli lepszych od nich wymyślić, i owszem proszą nawet, aby je poprawili, o ile tylko będą widzieli w tem dobro Rzptej.[1])

W przedłożonych przez siebie artykułach czyli w projekcie przyszłej elekcyi[3]) pominęli rozmyślnie posłowie biskupów, usunąwszy ich tym sposobem od udziału w obiorze króla, tej najkardynalniejszej prerogatywie stanów Rzptej. Był to nowy a niebywały zamach na przedstawicieli Kościoła rzymskiego i papiestwa w Polsce. Wymierzony pod hasłem egzekucyi praw, z jej łona wybuchły wycisnął też charakterystyczne piętno na dalszym przebiegu sejmu. Obrócił wśród rozgorzałej na nowo walki między posłami a biskupami w niwecz całą jego pracę, tę z takim trudem podjętą reformę praw państwa, o którą od lat tylu wołano. Posłowie jednak nie spodziewali się po nim takiego rezultatu. Uczynili go jak wiele innych, wierni swojemu programowi, z którym na sejm przybyli. Uzyskali już wiele, bo zawiesił król dnia 13. grudnia z. r. na ich uporczywe żądanie wszelkie pozwy, wyroki i klątwy kościelne tak za religijne jak za cywilne przestępstwa. Zachęceni tem pierwszem zwycięstwem swojem, podnieśli przy statutach wiślickich ponownie kwestyę uwłaczającego prawom koronnym usuwania wyklętych przez Kościół od sądów świeckich, bądźto powodów, bądźto świadków, jakoteż kwestyę uzurpowanego, sobie przez biskupów prawa zwalniania sołtysów swych od służby wojennej. Ale sprawę przegrali. Król i senat nie chcieli tych artykułów, aczkolwiek przeciwnych statutom wiślickim, unieważnić, motywując ten krok swój tą okolicznością, że skoro król zobowiązał się dokonać egzekucyi praw „od deski do deski", trzeba naprzód przeglądnąć je wszystkie, tak statuta jak przywileje, zestawić je, porównać a dopiero potem egzekwować. Było to dnia 20. grudnia z. r. Otrzymawszy tę nieprzychylną

---

[1]) Dz. s. 188—89. Bona, zm. 20. listopada 1557 r., cesarz Karol zm. z początkiem 1558 r.

[2]) Dz. s. 189.

[3]) Dz. s. 189—195: Articuli condicionis de electione regis.

rezolucyę, zabrali się wówczas do dalszej bezcelowej, zdaniem ich, lektury statutów. Ale nie zapomnieli o biskupach i nie spuszczali z oczu spraw przez nich reprezentowanych, a ze szkodą dla ogólnych interesów państwa bronionych. Wezwani przez króla do ułożenia porządku przyszłej elekcyi, nie mogąc skłonić panów, aby oni „jako senatus obyczaj takowego obierania wynaleźli a między nie podali“.[1]) rozumiejąc dobrze, że wrogą dla nich partyą w senacie kierują biskupi, korzystają z wybornej okazyi, aby upokorzyć ich i zmusić zarazem do uległości prawom koronnym. Kiedy więc w projekcie swoim senatorom świeckim, tak wojewodom jak kasztelanom, jakoteż szlachcie samej zabezpieczają wyraźnie prawo wyboru króla, udział w urzędowem obwieszczeniu śmierci królewskiej, w pospolitem ruszeniu w czasie bezkrólewia, tudzież w sejmie walnym elekcyjnym, na który miała być powołaną poczwórna liczba posłów — a wszystkich wota wolne i równe „tak panów jako i posłów“,[2]) o biskupach wszakże lub o innych prałatach kościelnych nie czynią w nim żadnej wzmianki. Aby zaś nie myślano, że może uczynili to przez zapomnienie lub nieuwagę, poruczyli Hier. Ossolińskiemu, wytrawnemu mowcy sejmowemu, rzecz tę unotywować i w sejmie królowi i senatowi zupełnie otwarcie wyjaśnić.

Ossoliński wywiązał się ze swego zadania jeszcze tego samego dnia przy wręczaniu artykułów — a wywiązał się znakomicie. We wstępie swej długiej a pięknej mowy[3]) dziękując jeszcze raz królowi za „ojcowskie“ jego starania około dobra i pokoju Korony na obecne i potomne czasy, za tę „ojcowską łaskę“ jego, że sam dał inicyatywę do dyskusyi „około wybierania króla na przyszłe czasy“, prosząc go, aby „już tak do końca statecznie obmyślić a postanowić raczył“, jakby „święte ustawy“ Korony mogły być „przeskuteczne a dostateczne“, począł tak dalej mówić: „A iż my przodkiem za miłościwem upomnieniem a rozkazaniem W. K. M. N. M. P. przytym też za prawem a zwyczajem dawnym koronnym sprawujemy a stanowimy to, jakoby się nam zdało najpożyteczniej postanowić *modum electionis futuri regis*, a iż niesiemy na sobie tę powinność, że też powinniśmy przy-

---

[1]) Dz. s. 189. Słowa wyjęte z wstępu załączonego do artykułów.
[2]) Dz. s. 193.
[3]) Dz. s. 195—207.

nosić ku W. K. Mci N. M. P., co znamy być pożytecznego, przy tym też coby... ku skazie naszej Rzptej (było), tedy ku W. K. Mci przynieśliśmy tę przysięgę, którą ich m. księża biskupi obowięzują się papieżowi panu swemu, jako go ich m. zową, z której W. K. M. N. M. P. łacno wyrozumieć będziesz raczył, jakiego strachu pełni być musiemy, jeśli żebyśmy takowe ludzie ku tej elekcyi przypuścić też mieli, którzy się przysięgą obwiązali we wszytkiem i przeciw każdej osobie *autoritatem et mandata* papieżów rzymskich bronić *omnibus viribus suis* a jeśliżeby obronić sami nie mogli, tedy bez omieszkania wszytko, coby się przeciw im działo, by też natajemniej im to było zwierzono, jemu oznajmić przysięgają".[1]) Przytacza tu Ossoliński los króla Olbrachta, który tylko królowej matce zawdzięczał swój wybór, bo ówczesny arcybiskup gnieźnieński, Zbigniew Oleśnicki, przeforsować chciał wybór księcia mazowieckiego, Janusza, ze szkodą dynastyi Jagiellońskiej.

Podnosząc ten przykład, wyjęty z niedalekiej przeszłości dziejowej, jako dowód, że biskupi swoją potęgą i władzą, której początek jest obcy, mogą, jeśli chcą, zaważyć na szali losów państwa lub jego dynastyi, dowodził dalej: „Teraz, kiedy papież pilniej do wszytkich królestw nagladać począł, łatwiejby takiemu arcybiskupowi już też i u nas było taką elekcyą teraz przywieść, niż w on czas, bo z więtszą pilnością teraz tego dogląda, aby to wypełniali skutkiem, co mu przysięgają słowy, strzedz państwa i pożytków jego; albowiem pewnie inszego więtszego pożytku, ani też szkody papież mieć nie może, jeno z osoby królewskiej, bo będzieli król posłuszny, będzie papieżowi pożyteczny, będzieli nieposłuszny, będzie nie tylko niepożyteczny, ale szkodliwy bardzo.

---

[1]) Dziennik powiada: Gdy to p. Ossoliński mówił, w tejże oraciey swej czytał przysięgę tę biskupów, którą papieżowi czynią... (Forma iuramenti episcoporum, quod praestant papae suo). Inkryminowane ustępy brzmią: „Papatum romanum et regalia sancti Petri adiutor eis ero, ad retinendum et defendendum contra omnem hominem..." Nec ero in consilio, in facto, seu in tractatu, in quibus contra ipsum dominum nostrum vel eandam romanam ecclesiam aliqua sinistra vel praeiudicialia personarum, juris, honoris, status et potestatis eorum machinentur, et si talia a quibusdam tractari novero vel procurari, impediam hoc pro posse, et quantocius potero eo modo significabo eidem domino nostro vel alteri, per quem ad ipsius noticiam possit pervenire (str. 205—206).

A tak gdyby z taką przysięgą ku elekcyi przypuszczeni być mieli, musielibyśmy się zawsze bać, abyśmy nie musieli za ich m. sprawą takiego pana mieć, któryby im był tak pożyteczny, jako chcą i jako obmyśliwać przysięgają, a nam tak szkodliwym, jako widziemy, żeby był za ich wolą obrany, bo rozumiemy temu, żeby nie inakszego nam pana życzyli, jeno takiego, jakimi ich m. sami są sąsiady...“

Dr. Tadeusz Troskolański

(Ciąg dalszy nastąpi).

Listy Kazimierza Brodzińskiego
do stryjecznej siostry, Szczęsnej.

Wydał z autografu i zaopatrzył wstępem

Aleksander Łucki.

(Dokończenie).

IX.

11. II. 1809 r.

Moja Siostruniu!

Chociaż tak blisko siebie jesteśmy, a jednak nie tylko się nie widujemy, ale nawet tak rzadko pisujemy do siebie, gdy może potem oddaleni od siebie będziemy, żałować pewnie przyjdzie nam czasu, z którego tak mało korzystaliśmy; tak ja czuję i tego samego, pochlebiając sobie, po Tobie się spodziewam. Na Ostatki bardzobym rad odetchnąć, przyjechawszy do Wojnicza, ale niechaj, czy mogę, sam Piotruś mię wyświadczy. Baw Ty się, jak możesz najlepiej, siostro moja kochana, bogdaj Ci Bóg mnie zabraną wesołością Twoją powiększył, a dla mnie byłoby to nagrodą! Spodziewałem się, że tu będzie dzisiaj stryjaszek D., żałuję bardzo, że podczas dawniejszej tu bytności Jego tylko dwa słowa w kościele z nim mówić mogłem, chociażbym był o żadnych interesach

nie mówił, a może one były do tego tylko powodem. Gdybym kiedy znalazł okazyę, dostałbym się chociaż i w powszedni dzień na parę godzin do Ciebie. Bardzo Cię proszę, racz mi przez Piotrusia koniecznie przysłać moje tak dawno zależałe u stryjaszka D. książki, osobliwie Listy czyli korespondencye Heroin Greckich,

adieu. Twój brat

Kazimierz Brodziński.

X.

Dan w Tarnowie, 23. lutego 1809 r.

Moja kochana Siostruniu!

Najprzód (!) wypogódź Twoje czoło, jeżeli go (!) zmarszczyć umiesz, iż nic prócz tego listu nie widzisz w ręku posłańca. Skrupulatni moi przyjaciele powybierali mi wszystkie książki z domu i ledwie pozwolili popieścić się z piórem, wyrażającem Ci najczulsze pozdrowienie: ale z tych zabranych nie miałbym co wybrać dla Ciebie, a mój Kolega obiegł wszędzie, gdzie mógł zwąchać książki i ledwie wywlókł gdzieś we 3 tomach Romans, prawda, że tego roku dopiero wyszły (!), ale ja Ci Romansu posłać nie chcę. Piszże do mnie wesoła Siostruniu, bo ja wesół jestem pisząc do Ciebie, a jakże nie będę czytając Cię? Żyj zdrowa! a ja Twój Cię kochający brat.

K. Brodziński.

Odeślijże mi bieliznę, a prześcieradło każ zacerować, bo w całej mojej garderobie to jedno się tylko znajduje.

XI.

Dnia 7. marca 1809 r.

Kochana Siostruniu!

Do piątku odwlekłem odpis, w piątek nierychło list wygotowałem, a w niedzielę nie miałem go przez kogo odesłać, a czy

łżę, czy nie łżę, to przepadło, a Ty daruj, a jak nie, to musisz, ale nie chcę, abyś co musiała, lecz wolę Cię prosić.

Drobno zacząłem trochę list pisać, a nie będę go miał czym (!) zapełnić, zapełnię go, czym (!) będę mógł. Oto u nas wesoło bardzo, zawsze żołnierze jadą, bębny i trąby obijają się zawsze o okno cichej kwatery mojej, — jabym jednak wolał słuchać, jak na przeszłych wakacyach na (wyr. niecz.) fornal koło stajni rzępolił. Koni i ludzi na rekrutów biorą, konie na munsztukach, a ludzi na powrozach, — za konie płacą, za ludzi nie, — konie więc pierwszeństwo nam odebrały.

Dalej widziałem dziś zagraniczne zwierzęta, tygrysy, lwy lamparty, hyeny straszniejsze jeszcze, jak lwy; gdy im jeść dawano, srożyły się niektóre na Dobroczyńcę, niektóre lizały ręce Tyrana, który ich w klatkach więzi: cóżby Ci tu z tego wytłumaczyć? — tłumacz sobie sama, co chcesz; był i satyr leśny, wielce zabawny i wykrzywiał mi się, chociaż w którejś sielance rodzeństwo jego uwielbiłem; a dawszy mu jabłko za to, rzekłem mu: gdybym się nietylko tobie tak mógł wywdzięczyć, — oby wszystkim.!. był ptak z 5-tej części świata, który kamienie i pół szyny żelaza smaczno zjadł! gdyby to taki mieć apetyt: nie potrzebaby nigdy na ludzi płakać!

Na moje Imieniny dostałem od jednej osoby w Tarnowie dukata w złocie, bawiłem się z tym niewdzięcznym kruszcem, ażem go zgubił... szukałem smutny ze dwie godziny, znalazłem przecie, myślałem, gdzie go schować, nareszcie, co sprawić za niego; oznajmiłem, że go zmienię, kilku żydów zwaliło się do mnie, ledwie ich wypędziłem: gdy żydy wychodzili, prędko potłukli garki, które na drodze do mycia porozstawiano: baby wrzasku narobiły, musiałem natychmiast inne garki sprowadzić; kupiłem sobie aże za tego dukata kapelusz, który mi z dziesięć godzin czasu zabrał, smutku, kłopotu, fatygi i hałasu narobił: jeden dukat taki, brońże mię Panie Boże mieć ich więcej! Milszy mi był Twój półkoszulek, który nie był potem kmiotków zlany, od żydów złupowany (!), ani w kozie u skąpca nie siedział. Stokrotnie Ci za niego dziękuję, biedny ja, kiedy Ci też i ja kiedy nie dać, lecz ani nawet zrobić, jak Ty mnie, nie mogę (?); zły ja sobie bardzo zarobek obrałem i z tego warsztatu dotychczas nic wytrząsnąć nie mogę. Rady Twoje względem mego zdrowia były najszczersze, ale nie bardzo skuteczne, dałbym się za to obiesić (!), że mnie czytanie nic nie szkodzi; ja jednak zachowuję Twoje i wszystkich rady, próżnuję w ostatnim stopniu (nie co się tyczy

szkolnych rzeczy) i to lekarstwo jest mi nad samą rutę gorsze, a i tak nie jestem zdrów zupełnie, leczyć się też już apteką nie chcę; donoszę Ci prawdę, jak mi kazałaś. Na święta będę musiał jechać na wieś,[1]) co mię bardzo smuci. Piszże mi też, co możesz, jak i ja. — pozdrawiam Cię

brat Cię kochający

K. Brodziński.

XII.

Kraków, 6. sierpnia 1810 r.

Dobra Siostruniu!

Radbym pisać cały dzień do Ciebie, ale mi interes ledwo chwilę pozwala ucałować Cię i przeprosić za niedotrzymanie obietnicy: przyczynę Siostruniu zgadłaś, ale Ty umiesz zaraz wymówić! To mię tylko najbardziej cieszy, że sprawiedliwie wymawiasz mię. Z nowin, chociaż z miasta, nic Ci nie doniosę, niegłęboki, wiesz, że mnie polityk: idę do Gazeciarza, pytam się, czy wojna? — odpowiada: nie zaraz! — wracam więc do domu i piszę wiersze, od reszty wszystkiego dalekim, — tylko nowina o Tobie Siostruniu i wszystkich, do których przywiązany jestem, mię obchodzi. Cieszę się niezmiernie, że Franuś ze mną będzie, a Ty mi nie zazdrość Siostruniu tego, — nagły wyjazd jego był Ci zapewne przykry. Ciocia Dobr. zapewne sobie potrafi wyperswadować, że to czy zaraz, czy później być musiało, kiedy tak ułożono, — i potrafisz, moja kochana Siostruniu, zapewnić Ciotunię, że chociaż obcując z Franusiem, surowej postawy guwernera wziąć nie umiem, ale mam przywiązanie ku niemu braterskie, a brat potrafi zawsze zastąpić miejsce takiego, — a mojego Kapitana[2]) Ty sama zalecić możesz. Nieborak kapitan zasłabł teraz, i daruj, że list mój tak roztrzepany, bo mi się spieszy do niego — posyła po mnie, że mu się nudzi. Wiersze, kiedy Cię to Siostruniu zabawi,

---

[1]) Prawdopodobnie do p. Służnowskich, którzy powierzyli jego opiece swych synów.

[2]) Reklewski.

poszlę, a pewnie za drugą okazyą. Kapitanowe już się drukują, a moje zaczęto, będzie to z kopersztychami! Edycya superb, takiej książki jeszcze w Polsce nie było, nie mówię pięknej z rzeczy, ale z druku. O nuty użyłem wszelkiego dowcipu złodziejskiego, ale darmo, — poczciwym sposobem nabędę Ci później, tymczasem graj Siostruniu moją faworytkę, piosneczkę, która wiesz. Dziękuję uniżenie za duserek, który mi napisałaś: że Ciocia przekonała się o mym niegodziwym charakterze, — omyliłaś się Siostruniu (i) napisałaś pierwszy raz to, co myślisz. Bura to ma być? — nie, to żart, wet za wet. Donosisz mi, że wkrótce imienia Twego nie będziesz nosić.[1]) — żal mi tego, ale Ci życzę, abyś nosiła imię tego, którymbyś się tak mogła szczycić, jak ja szczycę się Twojem, Siostruniu. Honorasia jest jeszcze w Krakowie i pisze do Ciebie, nie miejże jej za złe, że nie była u Wujaszka, bo to ja winien, żem nie poszedł po nią, jak mię prosiła, burę za to cierpliwie przyjmę. Od Jędrusia spodziewam się listu, z Wojnicza ktoby się go mógł spodziewać? — adieu, adieu Siostro.

Zmiłuj się, przeproś Ciotunię, że pisać do niej nie mogę, zaręcz o Franusiu i podziękuj za pamięć i dobre rozumienie.

Twój kochający Cię brat

K. Brodziński.

Stryjaszkowi D. powinne uszanowanie dołączam, Siostruni nieznajomej, której jednak dobroć poznaję, że pamięta o mnie, najrzewniej dziękuję za przypisek.

XIII. (bez daty).

Droga Siostruniu!

Patrz, jaki los szacher! Ja z wielkiego żalu nie wiem znowu, co pisać, — kiedym Twój list odebrał, chorowałem mocno na gardło, jeść nie mogłem, a gadałem tak, jak stary (wyr. niecz.); prosiłem Lisowieckiego, żeby ostatnich sił dobył na wyleczenie, żebym jechał, — wyzdrowiałem, w tem przychodzą z Warszawy rozkazy takie, że żadnym sposobem nie mogę dla nich odjechać.

[1]) Szczęsna wyszła niebawem za p. Szotarskiego.

Przewidziałaś ten szpas w Twym liście po części, ale że Franus pojechał, więc nie bij Basi i ucałuj ją odemnie. Z powinszowaniem nie silę się do nikogo na święta i Nowy Rok, bom bardzo w złym sosie i co mam mówić: niech Bóg da, — to mówię: niech dyabli wezmą. Miej się zdrowa i wesoła, Siostruniu, mnie się zda w Krakowie, że samotnik będę.

Twój zawsze przychylny brat

K. Brodziński.

Meżulka ściskam serdecznie, Basię całuję trzymilion razy...

XIV. (bez daty, pisany bardzo niecz.).

Dobra Siostruniu!

To prawda, że żaden list tak mi z ciężkością nie przychodzi do napisania, jak do Ciebie, chociaż zawsze miałbym Ci wiele pisać. *C'est moi, que je pense toujours...* (kilka wyrazów nieczytelnych). Droga Siostruniu, gdziekolwiek będę, będę pisywał, a może i pewnie tak mało, jak z Krakowa, nie gniewaj się o to (kilka wyr. nieczyt.)... *savoir par une silence, que je vous aime. Patience! Courage! Esperance!* Jeżeli będę w Warszawie, będziemy z Franusiem pisali do Wujostwa D., — teraz ich przeproś, przy zatrudnieniach głowa nie do listów, przesyłam im czułe pozdrowienie (kilka wyraz. franc. nieczytelnych). Cóż ja dziś po polsku i po francusku piszę? uczę się teraz pilno, a toż mi zawsze francuszczyzna brzmi w głowie. Jeżeli będzie wojna, to Cię może Gosposiu ja sam ze szczętem zrabuję, i kasę i sperkę zabiorę. *Pardonnez, si cela* (wyr. nieczyt.) *ne me luira pas devant vous je ne peu(x) pas autrement parler, que comme je pense.*

Do zobaczenia z Tobą: tak kończę, inaczej zakończyć nie byłbym w stanie. *Je vous embrasse avec Babetta de tout mon coeur.*

Brodziński,

Wszystkim a wszystkim znajomym pozdrowienia.

XV.

Dnia 17. listopada 1813 r.

Kochani Braterstwo!

Wasz kochający brat, Kazimierz Brodziński. — podpisuję się naprzód, zamiast na końcu, abyście się prędzej dowiedzieli, że żyję, zdrów jestem, — już po bitwie pod Lipskiem; wzięty w niewolę, przywędrował(em) piechotą z Lipska do Polski, od granicy polskiej do Poznania na furze, wpakowałem się do Waszego kochanego Brata, wkrótce Was może odwiedzę, bo sobie jestem wolny niewolnik. Szlachcic pewien Kunsinowski czeka na mnie z niewielkim (wyr. nieczyt.), należącym mi się z owej sukcesyi po Komorowskcih, który spodziewam się bez wielkich trudności odebrać, a co dalej z sobą zrobię, donieść Wam nie umiem, bo dalszy los zadyktują mi zapewnie dalsze polityczne obroty. Dowiedziałem się prędzej, niż się spodziewałem, o tem, że jesteśmy zdrowi. Z radością czytałem pochwały Waszego małego Bugra, którego daj Boże, abym najprędzej poznał, uściskał i napuszony stryjowską miną pobłogosławił. Wytłumacz mu Mamo, że żyje na świecie wysoka, chuda, sponiewierana po świecie facyata, która go kocha nie wiedząc za co, że włócząc się po różnych kwaterach na widok małych dzieci jego sobie wspomina.

Powróciłem z Lipska prawie w tym samym guście, jak powracałem z kochanej Moskwy, obdarty, jak ubogi student z Akademii, któremu skórę wybito za to, że się źle uczył. Może mi Felisia co będzię mogła donieść o Lisowieckich, niechże to zrobi, — pisałem ja do nich, ale niewiem pewnie, czy dojdzie, bo mi nieznajomy ich pobyt, a gwałtem by mi potrzeba mieć od nich list względem tej sukcesyi. — Soczyński był ranny pod Lipskiem i pewno powróci do domu. Felisię osobliwie urazi zapewnie tak mały mój list, ale gdybym Wam chciał szczegóły o sobie donosić, musiałoby to zapewne więcej wynosić, niż list zwyczajny, a tak przywiozę Wam, gdy tam będę, mój Dziennik, z którego to i owo przy kominku przeczytamy sobie. Waszym wszystkim przyjaciołom, mianowicie WW. Błeszyńskim chciejcie odemnie pozdrowienie i uszanowanie oświadczyć. — Płacz i zgrzytanie zębów, jeżeli prędko listu od Was nie odbiorę, a Ty Felisiu w tonie Pani Genlis[1]) napisz mi, czem radzisz zostać staremu bankrutowi woj-

[1]) P. Genlis (1746—1830) — autorka kilku dzieł pedagogicznych.

skowemu. Bywajcie zdrowi i weseli. Was prawdziwie kochający brat — jak na początku.

Bugra małego ucałujcie oboje na moje conto.

XVI.

Poznań, 3. XII. 1813 r.

Kochani Braterstwo!

Widzicie, choć to ja żołnierz, jak to ja dobry! już drugi list do Was piszę, a Wy żadnego! mała rzecz, a wstyd! Felisia pewno zdobędzie się jeszcze na dawny panieński rumieniec, że dotąd nie pisała! Niechajbyś też tupła nogą na małego Bugra, aby się cokolwiek uciszył, a zasiadła na kwadrans do napisania nam co (!), — myślisz, że wielkiego bohatera gotujesz światu, i na ludzi już może patrzeć nie chcesz (kilka wyr. nieczyt.).

Rób, moja Felisiu, co chcesz z Twojego Bugra, ale go, zmiłuj się, na poetę nie formuj! jest to stworzenie nieszczęśliwe samo, nieznośne sobie i towarzystwu: rozkosze, które maluje, są tylko w piórze, ale nigdy w sercu jego nie postały: praca to najniewdzięczniejsza, doświadczyłem tego po sobie i takbym się chciał starać o rozwód z Muzą, jak jaki nieszczęśliwy mąż z babą sekutnicą. — Moja Ty poważna Matko! ja Tobie fraszki piszę, a Ciebie to może nie bawi, — wiedz o tem, że ja teraz jestem próżniak bez najmniejszego zatrudnienia, a z nudów moich chcę Ci zbyć jakąkolwiek cząstkę. Szczęśliwsza płeć Twoja, Felisiu, — jesteś równa mi w latach, a patrz, już grasz rolę na ziemi czynnego Towarzystwa, pocieszasz sobą małżonka, gotujesz ziomkom obywatela; a ja porzuciłem sztukę wojenną, pięć blizko lat na czemże straciłem? — gdzież się teraz popiszę z wiadomością armatnią. Poezyi uchwyciłem się, jak pijany płotu, komukolwiek z szpargałem takim wyjechać, stęka od strachu nudzenia (się). — cóż ja teraz pocznę, cóż więcej umiem, czembym był użyteczny sąsiadom: weź mię do gospodarstwa, ledwobym Ci kartofli na zimę, pszenicy na lato nie zasiał, — wdam się z adwokatem, patrzę jak raróg na niego, gdy mi coś niezrozumiałemi słowy o mojej gada sprawie. — spotkam się z Panem, nie umiem mu podchlebić, z Panną, gdy zasiądę, jak gdyby mi gębę zamurował. — gwałtu, gdzież tu się obrócić! Trzeba się, jak mól, zagrzebać

w księgach i zapomnieć o ludziach i czasem wysyłać im po librze wierszów! — Wierzcie mi, że nie dam spoczynku panu Antoniemu, tylko się go o tysiączne rzeczy o Was pytam i tak się cieszę z Waszego szczęścia, jak Wam go zawsze życzyłem. — Ty, Ty Felisiu, powiadał mi pan Antoni, żeś się raz wyrwała, że Twój dzienniczek chcesz spalić, — ja usłyszawszy chodziłem mrukliwy, jak sęp po pokoju i złorzeczyłem Ci. — gdybyś to uczyniła, czeka Cię klątwa literacka i satyra taka, która we wszystkich dworach, klasztorach, pensyach, biurach, regimentach i karczmach miejsce mieć będzie, a jeżeli wstyd masz w oczach, musiałabyś za granicę uciekać i jak niegdyś (wyr. niecz.), na jakiej wyspie schronienia szukać. Piszcież mi też przecie, piszcie, a Ty, Felisiu nie dziwuj się, że ja Ci nigdy nic pochlebnego nie piszę: gdybyś Ty wiedziała o tem, co jesteś warta, połowęby Ci w oczach ludzi wartości ubyć musiało. Patrzajcie, Honorasia dotąd mi nic nie pisze, a mnie się tak przykrzy siedzieć tu tak próżniacko i nadaremnie, może bywacie w Krakowie, a mogłabyś się Felisiu co o niej u Włosowicza wywiedzieć; donieś mi, ja Ci podziękuję, a Bóg Ci zapłaci.

Bądźcie zdrowi, pamiętajcie na niegodnego Was brata, niech przynajmniej przywiązaniem swojem do Was zobowiąże Was, abyście mu byli wzajemnymi.

Brodziński,
weteran.

XVII.

Dnia 19. stycznia 1815 — z Warszawy.

Kochani Braterstwo!

Że wiele zgrzeszyłem, to prawda! ale że i raz do Was już pisałem, jest także prawda niezawodna, a to przez oficera jadącego tamtędy, P. Zajkowskiego, któremu razem z Leonem oddaliśmy listy do Sulikowa. Nie widząc od Was odpisu, myślałem, że się na mnie gniewacie, i tak sobie brnąłem, póki mię Pan Przesmycki nie poratował. Nie chcę się Wam usprawiedliwiać, bo wiecie, że to jest łatwo, — miałem niektóre powody, jak w mojem przekonaniu, dosyć słuszne, a wreszcie sam czasem sprawie-

dliwą zgryzotą i tęsknotą za wiadomością o Was może już dosyć się ukarałem, — nie chciejcież więcej ze mnie i wybaczcie mi to.

Upokorzyliście mię bardzo, przerywając milczenie między nami, ja, przyznam się, jeszczebym się był na to nie zebrał. Nie chciałem wierzyć listom p. Antoniego, że znowu zostaliście w tych zaklętych Strzyżowicach i prawdziwie, mimo wypytywania się P. Przesmyckiego, nic pojąć nie mogę, co się między Wami stało, — w interesach najważniejszych krajów niema tyle kombinacyi, ile w tym waszym interesie widzieć się daje. Boże, popraw ludzi i Wasze szczęście!

Bądźcie tak dobrzy i chciejcie mi pisać przez pocztę obszerniej o sobie, a ja Wam już przysięgam regularność w odpisywaniu o sobie.

Jestem dosyć kontent z mojego losu, gdy patrzę na biedniejszych, a nie na szczęśliwszych od siebie. Miejsce moje teraźniejsze jest, prawda, bardzo pracowite, tak jeszcze, że lepszej pracy sądzę się przecie być godnym, jednakowoż, gdy mi jakikolwiek los do czasu zapewnia, póki okoliczności publiczne innego obrotu nie wezmą, jestem dosyć zaspokojony. Od wojska z wielką trudnością się mogłem usunąć i to jestem tylko wolnym za nieograniczonym urlopem; miałem być umieszczony, i z awansem, w korpusie Inżynierów, ale to nie jest dla mnie, — a patrząc na ogólny bieg rzeczy, wstręt do wszystkiego bierze. — Pensya i teraz dosyć nieregularna. Powiadają mi, że tu p. Antoni wkrótce będzie w Warszawie. Ściskam Was wszystko troje z prawdziwem przywiązaniem.

Wasz brat

Kazimierz Brodziński.

XVIII.

Warszawa, 29. marca 1820 r.

Najukochańsza Siostro!

Miałem prawdziwie ważne powody wstrzymania się z odpisem na Twój list pierwszy, ażeby więc, jak mogę, troskliwość Twoją zaspokoić, odpisuję Ci, lubo nie tak, jak sobie życzyłem.

Co poczta wyglądałem listu z Siedlec od siostry z zeznaniem co do sumy po panu Janie, ale nieszczęściem nic się doczekać nie mogę, — teraz tylko dowiaduję się, że Siostra znowu odbyła połóg, a tak słabość znowu odwlecze... Piotruś ma tam jechać na święta, a tak sądzę, że przecież osobiście tam będąc, tę małą czynność wykołacze, co Ci natychmiast odeszle.

Ja spodziewam się co moment odebrać pieniądze za zaległą mi od kilku miesięcy pensyjkę, byłbym Ci tymczasem przesłał, kochana Siostro, dzieląc się z Tobą, czem mogę, ale i tego nie mogę się doczekać, co przecież, gdy będę miał, niezawodnie uskutecznię. Nie chcę Ci nic mówić o tem, co wyczytałem z listu Twojego... [1])

Ja postradawszy urząd, przy którym byłem, z rozwiązaniem Komisyi, — utrzymuję się jak mogę, dając lekcye literatury w szkołach publicznych: jest to dla mnie ciężka praca, ale w Bogu nadzieja, że coraz pójdzie lepiej.

Starać się będę wszelkimi sposobami, ażeby się los mój na przyszłą jesień ustalił, — nie chcę Ci czynić płonnych obietnic, gdy najszczersze chęci nie od człowieka, ale od losu zawisły, — przecież, mam szczery i niezmienny zamiar prosić Cię, gdy będę w stanie, o powierzenie mi Julisia; wziąłbym go do mojej stancyi i miałbym nad nim zupełną opiekę, i śmiało na mnie rachować możesz, że jako najszczerzej Cię kochający brat, uczynię wszystko, co siostra od brata, matka od dosyć uczciwego człowieka wymagać i spodziewać się może. Przyzwyczajaj go do wytrwałości w pracy, ale nie obciążaj, bo najważniejsza rzecz w jego wieku siły i zdrowie, a później zdolniejszy będzie do pracy, jaka go w naukach czeka.

Dowiedziałem się od jadącego z Kalisza, że P(ani) Szotarska miała nader niebezpieczny połóg, dziecię nieżywe... Racz mi też donieść o P(aństwu) Rudnickich, czy Basi nie trafia się za mąż. Leoś Glombik żeni się z dość bogatą panną i ładną, — niech mu Bóg dopomaga, wart on tego.

Całuję Cię, moja Siostro, najserdeczniej, Julisia ściskam, dziękuję mu za rysunki.

K. Brodziński.

---

[1]) Prawdopodobnie wiadomość o śmierci jej męża.

Adres: Wielmożnej J. Pani

Szotarskiej

p. Siewierz, w Strzyżewicach franco.

Przejrzawszy te listy, przekonywujemy się zaraz na pierwszy rzut oka, że nie tworzą one bynajmniej całokształtu o wiele obfitszej zapewne i częstszej korespondencyi z Szczęsną, ale są raczej tylko luźnymi z niej fragmentami; a dalej, że pisane dorywczo i niedbale, nieraz nawet wprost niezrozumiale z powodu dziwacznej składni, nie zawierają one treści specyalnie ważnej lub ciekawej, nie przynoszą jakichś odkryć, któreby zmieniały dotychczasowe nasze poglądy na Brodzińskiego. A jednak, wobec braku źródeł do tego okresu jego życia, a zwłaszcza wobec zaginięcia „Dziennika", odnoszącego się do tych lat, a znanego jeszcze Dmochowskiemu, nabierają poważniejszego znaczenia i te listy, przynoszące bądź co bądź wiązankę nowych, nieznanych dotąd szczegółów.

Stosunkowo mało zawierają one szczegółów ściśle biograficznych: Brodziński bowiem wogóle niewiele mówi w tych listach o swem życiu, zdarzeniach i wypadkach, a natomiast rozwodzi się najczęściej o swych uczuciach dla Szczęsnej. Ale i te wynurzenia nie są zupełnie pozbawione wartości, gdyż pozwalają nam studyować dokładnie jego charakter, usposobienie, wogóle sposób myślenia i czucia. Przekonywujemy się więc z nich, że już wtedy cechowała naszego Kazimierza owa głęboka uczuciowość, zawsze żywa i szczera, zawsze gotowa słowa poprzeć czynem, a więc szlachetna i piękna; na zewnątrz, w słowach, wyrażała się ona przecież nieraz dziecinnie lub nawet śmiesznie, przedewszystkiem zaś sentymentalnie; otóż i na genezę owego, tak wybitnego zawsze w usposobieniu Brodzińskiego sentymentalizmu, rzuca ta korespondencya nieco światła; wykazuje bowiem, że na wyrobienie tegoż wpłynęło, obok wrodzonego usposobienia i ogólnego wpływu ducha czasu, przedewszystkiem owo otoczenie w Wojniczu, ów sentymentalny jakiś, tkliwy i idealny nastrój całego rodzeństwa, objawiający się później tak wyraźnie w listach do Szczęsnej.

Przechodząc do zawartego w niniejszej korespondencyi materyału literackiego, zwrócić należy uwagę na szczegóły odnoszące się do lektury Brodzińskiego. Zebrawszy je bowiem razem i pa-

miętając przytem, że są one tylko przygodne i fragmentarycznie zachowane, przekonamy się na pierwszy rzut oka o wielkiej wszechstronności tejże lektury: zwłaszcza, jeżeli zestawimy te wzmianki z relacyami zawartemi we Wspomnieniach, to będziemy musieli przyznać, że Brodziński już wtedy zaznajomił się z wybitniejszemi dziełami całej niemal literatury europejskiej.

O dziełach tych wydaje on tu i ówdzie swoje sądy: jakąkolwiek zaś jest ich wartość bezwzględna, to nie mogą one być nam przecież obojętne, gdy zważymy, że pochodzą z okresu, który wskutek wpływu poznawanej właśnie literatury niemieckiej, odegrał tak decydującą rolę w rozwoju literackich poglądów Brodzińskiego.

Na uwagę i ciekawość zasługują wreszcie także rozrzucone w kilku listach drobne wierszyki Kazimierza. Niektóre z nich były wprawdzie tylko próbami doraźnemi, rzucanemi na papier bez namysłu, do których też i sam autor żadnej nie przywiązywał wagi: ale obok nich — zjawiają się i wiersze układane staranniej, przeznaczone nie tylko dla Szczęsnej, lecz i dla szerszego grona znajomych. Do takich należą owe wierszyki, ułożone z okazyi majówki studenckiej w 1807 r., a więc najwcześniejsze ze wszystkich znanych dotąd utworów Brodzińskiego, dalej kilkanaście bajek również z tego roku, wreszcie owe dwa nagrobki, najwyżej, jak się zdaje, przez autora cenione....

Oczywiście na podstawie tych drobnych próbek trudno wyrobić sobie zdanie o ówczesnym talencie Kazimierza, zwłaszcza, że uprawiane przezeń formy należą do kategoryi poezyi, w których wyobraźnia poetycka wogóle niewiele ma pola do popisu. W każdym jednak razie odnosimy z nich wrażenie, że przy gorącem zamiłowaniu do poezyi i niezaprzeczonej przyrodzonej zdolności — brakowało jeszcze naszemu poecie w tym młodocianym okresie odpowiedniego wyrobienia formy i wogóle dbałości o artystyczną stronę utworów....

Nie można też wątpić, że młody chłopiec, obdarzony tak żywym pociągiem do poezyi, czując w sobie iskrę talentu, zachęcany w dodatku przez brata i całe otoczenie w Wojniczu, musiał ciągle układać takie wierszyki i coraz się w nich doskonalić. Jakoż niejednokrotnie spotykamy wzmianki o tej twórczości, a w liście z 16. maja 1807 r., który możnaby słusznie nazwać literackim ze względu na jego treść, czytamy nawet o tłumaczeniu całego dramatu. Wreszcie dowiadujemy się, że Brodziński już w 1810 r. przygotował i oddał do druku pierwszy zbiorek swych poezyj:

jakieś nieznane nam bliżej przeszkody musiały jednak uniemożliwić ich wydanie, nie znajdujemy bowiem nigdzie żadnej wzmianki o tym tomiku.

Zaznaczywszy w ten sposób najogólniej, co nam przynosi nowego ta korespondencya, pragniemy jeszcze zwrócić uwagę na ten wyłaniający się z niej piękny i godny istotnie pamięci obrazek stosunków między rodzeństwem Brodzińskich. Bo oto mamy przed sobą gromadkę dzieci biednych, przeważnie sierot, przebywających u stryja w Wojniczu: i rozrzewnieniem przejąć musi nas widok, jak one wszystkie się kochają, jak sobie pomagają, w jakiej żyją harmonii, jak starają się wszystkie razem wspólnie użyć tych chwil szczęśliwych, jakich każde z nich miało w swem życiu zapewne niewiele. A kiedy skończyła się ta sielanka, kiedy po krótkim wspólnym pobycie rozprószyli się na długie lata po świecie, nie zapomnieli już o sobie, przechowywali w całej świeżości miłe wspomnienia i serdeczne uczucia, wyrażając je w stale prowadzonej korespondencyi. Punktem zaś niejako centralnym, skupiającym uczucia ich wszystkich, była właśnie Szczęsna: była ona jakby opiekunką, powierniczką, a zarazem ulubienicą całej tej gromadki — do niej też pisali oni później wszyscy swe listy, z których kilka zachowało się obok listów Kazimierza w powyższym zbiorku: otóż odznaczają się one tym samym serdecznym, czułostkowym nastrojem.

Tak naprzykład Andrzej Brodziński, rodzony brat Kazimierza, pisuje często listy i zapełnia je całe wspomnieniami wspólnie przebytych chwil, oraz wyznaniami zawsze świeżych i stałych dla niej uczuć; w liście z dnia 20. sierpnia 1807 r. czytamy:

„Przeszłego roku o te czasy, ktoby się był spodział, że w tychżesamych dniach następującego lata zaledwie piśmiennie i z dalekich stron przyjdzie mi się odzywać do Ciebie. Przedtem ćwierć mili oddalenia było zawiele dla mnie, kilka dni niespędzonych z Tobą przynosiły mi tesknotę, a teraz przestać trzeba na tem, gdy los pozwoli o kilkanaście mil kilka wyrazów w liście przesyłać i t. d.“, a takie skargi i wyznania powtarzają się w każdym z jego listów...

Niemniej czule odzywa się do Szczęsnej po wielu latach rozłąki inny z braci stryjecznych, Piotr Brodziński:

„Pięć lat minęło we wzajemnem milczeniu po ostatnim do mnie pisanym od Siostruni liście; tak wygórowany czas ani przytłumił raz powziętych uczuć, ani ścisłego nie osłabił przywiąza-

nia, lecz je niezmienione wiernie w mojem dochowuje sercu i t. d....."

Otóż porównawszy te listy z przytoczonymi wyżej listami Kazimierza, przekonywujemy się najlepiej, czem była Szczęsna dla swego rodzeństwa, jak bardzo ją wszyscy kochali i jak wszyscy zarówno za nią tęsknili...

Dlatego też najważniejszą może zdobyczą tej korespondencyi jest wydobycie z ukrycia tej postaci i oświetlenie roli jej w życiu Kazimierza. Przekonywujemy się bowiem, że w tych smutnych latach samotnie pędzonej młodości, kiedy z całej rodziny został mu tylko brat, mieszkający w dodatku daleko i zajęty swemi pracami — biło przecież naszemu Kazimierzowi czułe, przyjazne serce, że miał on się komu wyżalić i wyspowiadać ze swych uczuć i wrażeń — słowem, że on, tak bardzo stęskniony za prawdziwą przyjaźnią, za kochającem sercem, znalazł je w Szczęsnej. Wdzięczność zato zachował jej na całe życie; i upływały długie lata rozłąki, zmieniało się położenie i stosunki, Kazimierz z małego chłopca stał się mężczyzną, a jednak nie wygasła w nim wdzięczna pamięć i serdeczne uczucie dla Szczęsnej....

Nie można chyba wątpić, że ta, która odegrała taką rolę w życiu Brodzińskiego, zajmie też zaszczytne miejsce w jego biografii.

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Dokończenie).

Projekt ruszenia natychmiastowego na Litwę, to jest w grudniu 1830 r. — nie był, według mego zdania, właściwym, chociaż wonczas brukowi strategicy głośno go zalecali, a dziś jeszcze wielu to zdanie podziela. Mogliśmy prócz słabej załogi Warszawy fortec Zamościa i Modlina, wystawić w pole zaledwie dawnego wojska 27.000 i 90 armat. Nowe pułki jeszcze się nie zorganizowały. Były więc to siły za małe, żeby wyjść za Bug lub Niemen, w te rozległe płaszczyzny, przecięte zamarzniętemi rzekami. W takim nawet razie, należałoby podzielić wojsko nasze na dwie części, bo idąc masą za Niemen lub Bug, wojska rossyjskie, szeroko w tamtych prowincyach rozrzucone, mogłyby jedne nam czoło stawić, inne wkroczyć do Królestwa i iść na odsłoniętą stolicę.

Oddalenie się też dalekie od wojennej podstawy działań naszych, mogło być zgubnem tem więcej, że środkujące się wojska nieprzyjacielskie łatwo zdołałyby nas otoczyć, odciąć od naszych komunikacyj i samej Warszawy. Zresztą, czyż można było liczyć na natychmiastowe powstanie prowincyj litewskich?... a i w takim razie byłaby to pomoc bardzo słaba, bo Rossyanie wszędzie i skutecznie jej organizacyi przeszkadzaliby. Należy się też zastanowić,

że idąc naprzód, musielibyśmy ciągnąć za sobą liczne parki amunicyjne, przeszkadzające szybkim obrotom wojska, a i do sformowania tych pociągów i parków wcale przygotowani nie byliśmy. Dalej: nie mając za sobą bliskich magazynów żywności, trzebaby było żywić się rekwizycyami w kraju, w którym folwark od folwarku, wieś od wsi, całe długie oddzielają mile — a idąc takim systemem, nie tylko ogłodzilibyśmy żołnierza, ale jazdę i konie pociągowe narazilibyśmy na zupełne zniszczenie. Zabór przymusowy nadto żywności i furażów zniechęciłby zupełnie dla nas tameczną ludność.

Jednakowoż śmiały ten projekt mocno doradzano i dziś jeszcze trzymają się go ci doraźni krytycy, co się na rzeczach wojennych nie znają. Kraj przyjmując powstanie za sprawę narodową, musiał i powinien się był wojennie organizować! Należało mieć wzorowe kadry, osłonięte siłą regularną, instruktorów, a tych tylko dawne wojsko dostarczyć mogło.

Ale idźmy inną drogą. Przypuśćmy, że Skrzynecki, po bitwie wielko-czwartkowej, tyle zwycięzkiej, rozbiwszy korpusy Rosena i Gejsmara, nie zatrzymał się nad Kostrzynem, jak to uczynił, lecz sforsował przeprawę tej rzeki — niezawodną jest rzeczą, że już nie obawiając się o swe skrzydła, spokojny o bezpieczeństwo stolicy, mógł iść śmiało naprzód i gromić jedne po drugich korpusy rossyjskie, zeszelonowane aż do Brześcia Litewskiego: wziąć nawet tę twierdzę, a po stratach, jakie zadał nieprzyjacielowi, dopiero wtargnąć na Wołyń i tam przenieść teatr wojny, mając wówczas rozporządzalną armię, przeszło 50.000 żołnierza liczącą i 140 armat. »Na samym więc wstępie wojny, mógł Królestwo z wojsk nieprzyjacielskich oczyścić. To, co tu piszę, nie jest żadnem marzeniem: radziliśmy o tym planie nieprzestannie pod Boimem i nad Kostrzynem, w czasie bezczynności, w jaką nas naczelny wódz pogrążył przez dni kilkanaście, bo wojsko umie również wojnę rozumieć i pojmować. Zresztą strategia uczy, a doświadczenie z wojen Napoleona powzięte przekonywa, że po wielkiem zwycieztwie, tyle stanowczem, jakieśmy odnieśli w bitwach stoczonych w wielkim tygodniu, należy bez wytchnienia ścigać strwożonego nieprzyjaciela i coraz nowe zadawać mu klęski.

Opuściwszy tę jedyną sposobność, Skrzynecki toż samo uderzenie na czoła armii rossyjskiej w kilkanaście dni wykonał. — Kostrzyn przeszliśmy siłą — party nieprzyjaciel, zasłaniając Siedlce, musiał przyjąć bitwę pod Iganiami — wygraliśmy ją zupełnie; jazda Stryjeńskiego, jak opowiedziałem, w porę na prawe

skrzydło Rossyan nie nadeszła i wygrana ta pozostała bez rezultatu.

Czyż niemiał wódz innego dla niej dowódzcy, nad oficera, który nigdy pojedyńczym nawet pułkiem nie dowodził?... Wzięte Siedlce z ogromnymi magazynami, jakie Rossyanie w nich nagromadzili, o cztery tylko wiorsty od Igań oddalone, też same znów by korzyści okazały, jakie się przedstawiały pochodem naprzód, po bitwach wielkiego tygodnia. Gwardye rossyjskie jeszcze były daleko a Kreutz w Lubelskiem, albo mógł być zniesiony, albo by umykał wszelkiemi siłami.

Drugi okres wojny, poniekąd naprawiający błędy wyżej wytknięte, zależał na możności, pewności nawet pobicia gwardyj w okolicach Łomży lub Tykocina. Postrach ich pogromu zatrząsłby samym nawet Petersburgiem. Doścignęliśmy je w sile przewyższającej. Znów Skrzynecki zatrzymał doganiające nasze wojska godzin 30. Gwardye uciekły!... Za wypuszczenie z ręki tego świetnego zwycięztwa ukarani zostaliśmy klęską Ostrołęcką i odcięciem dywizyi generała Giełguda.

Dotąd opisywałem możność przejścia z wojny odpornej w zaczepną, z najświetniejszemi jej następstwami. Gdy te się nie powiodły, odporna już tylko walka mogła przedłużyć wojnę, a tego tylko domagały się gabinety francuski, angielski, a podobno i austryacki. Trzeba było nieszczęścia, żeby Skrzynecki powierzył wyprawę nad Wieprz, to jest na pobicie Rüdigera, idącego z ogromnymi parkami i remontą kawaleryi do 3.000 koni wynoszącą, tyle nieudolnemu generałowi, jakim był Jankowski. Jak postąpił ten dowódzca, jak sroga karę poniósł za swe niedołęztwo, a może i zdradę, opowiedziałem już poprzednio.

Zamiast więc tych wszystkich niepowodzeń, kardynalnymi błędami wywołanych, rzućmy, przeciwnie, na szalę wypadków zwycieztwa wojska polskiego, liczebne straty armii rossyjskiej w tylu bitwach pokonanej i jej demoralizacyę, kiedy, przeciwnie, u nas duch mógł się potęgować... Czyż nie zajaśniałoby polskie powstanie pełnym blaskiem chwały i siły?...

Mimo tylu błędów i uchybień, tak prostych i elementarnych, gdy wiadomy był marsz feldmarszałka Paskiewicza przez płockie województwo, a dążącego do przeprawy przez Wisłę, nie dopuścić mu jej wykonania było najłatwiejszą rzeczą. Generał Milberg z 12.000 korpusem, wysłany również został prawym brzegiem Wisły, by flankowemu Rossyan marszowi przeszkadzać

i ich drażnić — nie zwrócili się nań nawet, mogąc go zniszczyć. ciągnąc za sobą przeszło 100.000 żołnierza i 400 armat — nie tracił czasu Paskiewicz na taką małą korzyść. bo mu pilno było wyższych dopiąć zamiarów. Ale ten sam korpus Milberga. z podwójnie zwiększoną artyleryą, wysłany w nasze Kujawy. z wysokich gór Raciążka, zniszczyłby budujące się mosty rossyjsko-pruskie pod Ciechocinkiem i przez szeroką a opiekuńczą naszą Wisłę feldmarszałka nigdyby nie przepuścił.

Nie mieliśmy wodza. Wojsko cudów waleczności dokazywało — mogliśmy się bić przeważnie jeden przeciwko trzem i jeszcze wyjść z walki zwycięzko. Bohaterami byli oficerowie niższych stopni, ale gdy ich wystrzelano w obronie, a nie w zaczepnem działaniu. duch wojska musiał w końcu osłabnąć.

Rozważał i przeczuwał to wszystko Rząd narodowy. Agencya nasza w Paryżu już skłoniła francuskich generałów do przyjęcia u nas służby, a może i naczelnego dowództwa. Król Filip, nieuznany przez gabinet petersburski. zwany przywłaszczycielem przez cesarza Mikołaja, a ciągle o to błagający, odmówił nam pomocy dzielnych swoich generałów.

Trzecie pytanie z kolei przychodzi. Pobiliśmy armię Dybicza. jak tego możność usiłowałem udowodnić, przenieśliśmy teatr wojny na Wołyń i Litwę. Rossya, zmęczona wojnami 1829 i 1828 roku przeciwko Turcyi prowadzonemi, w których straciła do 300.000 żołnierza, widząc ostatnie swe siły pokonane w polskiem powstaniu, czy żądałaby zbrojnej interwencyi. Prus szczególnie... Austryi wątpliwie?... na to odpowiadam: „może“, ale bez skutku.

Zwycięzkie powstanie, skłoniłoby Austryę do przyjęcia korony polskiej dla jednego z jej arcyksiążąt: podjął by może też samą politykę cesarz austryacki, jaką prowadził cesarz Aleksander I. od r. 1815. Prusy, jeszcze wówczas słabe i niepewne siebie były, a gdyby zbrojnie ruszyć się zamierzały, zapaliła by się ogólna europejska wojna — wojna dla nas popularna. bo wszystkie ludy aż do Amerykanów, były sercem i duszą za naszą sprawą i życzyły powodzenia — a na tej wojnie tylko skorzystać mogliśmy.

Zdań i opinij, wyżej tu przezemnie przytoczonych. nie narzucam nikomu. Ten. co je czytać będzie i z wątpliwościami przeciw nim wystąpi. niech pomni, że zaocznie nie jest w możności ich przesądzać, bo nie był świadkiem tego, com ja widział. a dziś rozważam z głębokiem zastanowieniem. Przez niepowodzenie wojny

r. 1831 postradałem ojczyznę, rodowe w niej stanowisko, uwielbianego rodzica mego, karyerę osobistą na polu jedynie mi właściwem. Pamięć tych strat, do dziś dnia mnie nie opuszcza — dla tego, badając ich powody nieprzestannie, przyszedłem do przekonań tu zapisanych. Czyż nie wolno mi być w tym względzie interesowanym?... Krytyk tych przekonań, zarzucić mi tylko może, że maluczka wonczas Polska, nie mogła się mierzyć z potęgą rossyjską — na to już odpowiedziałem.

Pięćdziesiąt dwa lata, więcej jak pół wieku, od tych zapasów minęło. Historya ludów je zapisała, jako ponowione usiłowania nieszczęśliwego narodu wybicia się z niewoli. Rozbitki tej wielkiej sprawy w maluczkiej już liczbie tu i ówdzie ugięci starością dogorywają. Tym, co pomarli, niech Przedwieczny udzieli spokoju i zbawienia duszy, prochom odpoczynku.

ROZDZIAŁ XV.

Dalszy ciąg pobytu pod Gdańskiem. — Ja i Malchen. — Cesarz Mikołaj udziela amnestyi pułkowi i pozwala wrócić oficerom do kraju. — Przybycie do granic Polski. — Bal prusko-rossyjski. — Podróż. — Zajście z żołnierzami rossyjskimi w Raciążu. — Przybycie do Radomia. — Co nastąpiło w Królestwie od chwili poddania się Warszawy. — Cesarz udziela dożywotniego zasiłku oficerom polskim. — Stryj mój Sabin i jego żona. — Jak mnie przyjęli w swym majątku? — Ludwik Lewiński. — Odjazd do Radomia i zawiązane w tem mieście oraz w okolicach stosunki. — Rząd rossyjski ofiaruje mi służbę wojskową. — Dla jakich powodów odmówiłem. — Krótki rys następnego życia mego. — Zakończenie Pamiętnika.

W opowiadaniu wypadków osobiście mnie dotyczących, stanąłem na chwili, kiedym w Gdańsku z niektórymi oficerami podpisał prośbę do cesarza Mikołaja o udzielenie mi amnestyi i pozwolenie powrotu do kraju: idę więc dalej:

Wróciłem smutny do Mugenhall i jakiś niepewny, czym dobrze postąpił. Poczciwy Tietz domagał się odemnie stanowczej na swą propozycyę odpowiedzi. — Malchen, pod różnymi pozorami wchodząc do mego pokoju, znacząco patrzała mi w oczy. Mijały tak dnie w smutku moim — pewnego z nich Tietz przyszedł

z nowiną dla siebie, ale nie dla mnie, że z wojsk naszych jedni deklarują się iść do Francyi, drudzy wracać do Polski — i pyta, com postanowił? Odpowiedziałem szczerze, że wrócić muszę dla uregulowania moich interesów, a jeśli przyjdę do zdrowia, powrócę. Powody były słuszne, lecz Malchen zrozumieć ich nie chciała. Przeciwko interesom stawiała kapitały ojca; o wyzdrowieniu mojem nie wątpiła. Żądała już wyraźnie, bym został; w tem małem nieporozumieniu zeszło około dni dziesięciu.

Zwołał nas znowu do siebie pułkownik Zielonka. Zaprezentował nam jakiegoś oficera rossyjskiego z generalnego sztabu, który przybył kuryerem z Moskwy. Oświadczył on nam, że sztafeta, niosąca nasze podanie, nie zastała cesarza w stolicy państwa — był w Moskwie, tam go więc dogoniła. Cesarz kuryerem natychmiast go wysłał do konsula rossyjskiego w Gdańsku, radcy stanu Tęgoborskiego — depesza ta zawierała zupełną amnestyę dla pułku i pozwolenie oficerom, deklarującym się na powrót do kraju! Oficer, który ją przywiózł, zaopatrzony był w fundusze na nasze koszta podróży pocztą. Zlecił nam być gotowymi w 48 godzin.

Ostatnie chwile, spędzone wśród rodziny Tietza, były istotną męczarnią dla mnie. Chciałem złamać me słowo i położony podpis na owej deklaracyi. Zwierzyłem się kolegom, ci mi wyperswadowali. Wiernego mi wierzchowca sprzedałem konsulowi belgijskiemu, p. Mathy, za 200 talarów, wart był 1.000. Nareszcie wybiła godzina pożegnania; należało krótko się rozprawić... Uścisnąłem serdecznie starego Tietza i jego żonę — ta popchnęła ku mnie spłakaną Malchen, otworzyłem ramiona, rzuciła mi się na szyję... pierwszy i ostatni pocałunek złożyłem na jej ustach — na palec jej włożyłem pierścionek złoty z turkusikami, niezapominajkę wyobrażającymi, a dawszy mój adres do Polski, ze ściśniętem sercem wskoczyłem na bryczkę, uciekając z tego domu cichego, spokojnego, zostawiając za sobą może istotne szczęście domowe, wierne serce, byt skromny, ale pewny. Poszedłem ślepo na boje z losami, z którymi później walcząc, zawsze pokonywany byłem.

Szybko z nami leciały pruskie pocztowe bryczki. Zielonka swoim powozem, w towarzystwie owego kuryera, nam towarzyszył. Był to człowiek młody, miły, uprzejmy, mówiący po francusku prawdziwym paryskim akcentem. Przybyliśmy tak do ostatniej stacyi pocztowej w Prusach, w miasteczku Neumark 13. stycznia 1832 r. w południe.

Gdyśmy zrzucali nasze pakunki na poczcie, przyszedł do nas na powitanie pułkownik pruskich kirysyerów, niepamiętnego mi nazwiska, z kilku oficerami: wzajemne przedstawienia odbyły się bardzo grzecznie. Po nich Prusak oświadczył, że w dniu dzisiejszym daje bal u siebie i czuje się w obowiązku nie tylko zaprosić nań oficerów dywizyi huzarów rossyjskich generała Bezobrazowa, która kantonowała tuż nad polską granicą, ale i nas. Motywował zaś, że generał Bezobrazów fetował jego oficerów u siebie, winien się był przeto odwdzięczyć, zważając na ścisłe i pokrewne obowiązki dworów pruskiego i rossyjskiego. Wymawialiśmy się co sił, tłómacząc się smutnem naszem położeniem i zmęczeniem podróżą. Zielonka był chmurny, ale w końcu odezwał się do nas po polsku: „przyjmijcie, panowie, zaproszenie — nie drażnijmy Rossyan przy pierwszem wstąpieniu na naszą ziemię...“ Trzeba było uledz.

Paradne mundury, wojną nie zniszczone, mieliśmy w jukach: szlify tylko, pasy srebrne od ładownic i pendenty od pałaszy, były zczerniałe od obozowej poniewierki. Postanowiliśmy pójść na ten niemiły nam bal jak najpóźniej i zdjąć zasłużone polskie krzyże, aby nie kłuć nimi w oczy Rossyanom.

Weszliśmy z naszym pułkownikiem do sali — bal wrzał w najlepsze, tańczono zapamiętale. Gdyśmy się pokazali, taniec natychmiast przerwano, pruski pułkownik pospieszył nas witać, zbliżył się i generał Bezobrazów, około czterdziestu oficerów rossyjskich nas otoczyło, miedzy nimi poznaliśmy wielu kolegów ze Szkoły podchorążych. — Powitań, ściskań rąk było co nie miara. Nareszcie po prezentacyi damom, które ciekawie na nas poglądały, wzięto nas pod rece i zaprowadzono do bufetu. Tu wino, a głównie szampan lał się potokami, w godzinę już w głowach było gorąco.

Damy widząc, że już po balu, odjechały. Nastąpiła dopiero orgia prusko-rossyjska, opowiadania kto z kim się bił, gdzie i kiedy, przypominano rozmaite wypadki wojny. Do mnie przyczepił się jakiś rotmistrz od huzarów, z ogromnymi wąsami, ściskał, całował, pił do mnie ciągle na połączenie wiekuiste braci Rossyan z Polakami... Serce mi pękało z żalu, nie mógł mnie rozruszać. Nareszcie zaklina na honor, bym wyznał, dlaczegom taki smutny?... Wzruszony do żywego owem naszem położeniem, odpowiedziałem pukając palcem w jego piersi: „My krzyże polskie, w boju przeciw wam zyskane, przez wzgląd na was do ła-

downie schowali... Chcesz, to ci mój zaraz pokażę. — Wy niemi za tę samą walkę, świecicie nam teraz w oczy...“ Zerwał się równemi nogami ów rotmistrz, krzyknął ogromnym głosem: „Gaspada! Krzyże polskije won!...“ W jednej chwili wszyscy je odpięli — zaczęła się szalona pijatyka, a tej należało dotrzymać.[1])

Następnego dnia odpoczywaliśmy w Neumarku. Trzeciego, ruszyliśmy do naszej granicy. Czekał nas z honorami wojskowymi szwadron huzarów rossyjskich i odprowadził do wsi. We dworze stał kwaterą szef sztabu obserwacyjnego korpusu, generał Zejdeler: przyjął nas najuprzejmiej i zaprosił na przygotowane śniadanie. Poczem wzywano nas po kolei do zdeklarowania się, w które województwo kto chce się udać. Ja z Stanisławem hrabią Sołtykiem z Kurozwęk, oświadczyłem się w Sandomierskie. Wydano nam karty drożne i bezpieczeństwa, broni nie odebrano, a po wyrachowaniu etapów po mil pięć dziennie, wypłacono po trzy ruble srebrem na każdy etap — furmanek miały dostarczyć gminy.

Pierwsze podwody już stały gotowe — ze łzami w oczach żegnaliśmy się wzajemnie — ruszyliśmy. Po przeszło dwumiesięcznym pobycie w Prusach, błogi nam był widok ojczystego kraju: cieszyła nas i radowała polska mowa furmanów i ludu naszego. Wsie, acz ubogie, dachy i drogi pokryte śniegiem, wesołe być nam się zdawały.

Po kilku stacyach, ubywało nas z tej gromadki rozbitków, nareszcie z Sołtykiem pozostaliśmy sami. Zajeżdżaliśmy wszędzie do obywateli, a ci przesadzali się w gościnności: niejedną łzę widziałem w oczach ich żon i córek, odsyłano nas własnymi końmi i powozami. W miasteczku Raciążu stanęliśmy przed domem zajezdnym, bo tu dworu nie było: posłałem po pocztę. W austeryi pełno było piechoty nietrzeźwej rossyjskiej: nim się poznali na nas, byli spokojni: dorozumiawszy się, żeśmy Polacy, zaczęli zaczepiać i groźnie nastawać na nas. Nie było rady — usiedliśmy w kątku za stołem z Sołtykiem, a dobywszy z za pasa pistoletów, odwiedliśmy kurki i mówimy im: „gadajcie pijaki co chcecie, ale który nas dotknie, kulą w łeb dostanie...“ Hałas się

---

[1]) Za wojnę polską r. 1831 cesarz Mikołaj rozdał wszystkim swym czynnym w niej oficerom i żołnierzom, polskie wojskowe krzyże. Powiadano, że to uczynił na wniosek naszego renegata, generała Rożnieckiego. Już ich nie widać; po tylu ubiegłych latach, ozdobieni zapewne już wymarli.

zrobił, wymyślali nam od buntowników — nie odpowiadaliśmy na to. Gospodarz był tyle przytomny, że przybiegł i sprowadził dwóch oficerów; pokazaliśmy im karty drożne generała Zejdelera, a ci natychmiast czynnie ukarawszy niesforne żołdactwo, wypędzili pijanych z izby. Zaszła też bryczka pocztowa — po wzajemnych grzecznościach z naszymi zbawcami, odjechaliśmy spokojnie.

Bez żadnego już wypadku, po długiej podróży, zajechaliśmy do Radomia, jadąc wolno dla mojego mocnego osłabienia. Tu był gubernatorem wojennym generał Buschen: zameldowaliśmy mu się natychmiast — był grzeczny, ale zimny — prosił, byśmy po mieście chodzili bez pałaszy i wyjechali w swoje strony, o ile się da jaknajrychlej.

Dwa dni przebyłem w Radomiu, a otrzymawszy nową kartę drożną, drugiego dnia podróży już sam, chłopskim wózkiem w deskach z Gowarczowa, zjechałem do mego stryja, właściciela starostwa Opoczyńskiego.

Co się stało przez ten czas w kraju naszym?...

Ustanowiony został Rząd tymczasowy — składali go: prezydujący, tajny radca Engel, członkowie: Strogonow, Fuhrmann, polski generał Rautenstrauch, który przez cały czas powstania rozmyślnie przeleżał w łóżku, udając chorego tak dobrze, że zwiódł własną żonę, urodzoną księżniczkę Gedroić.

Generałów naszych, czynnych w powstaniu, którzy zostali w Warszawie, wywieziono do Wiatki, zkąd po dwóch czy więcej latach powrócili. Rozpoczęło się badanie sądowo-kryminalne sprawców buntu polskiego; w trybunale zasiedli Polacy: radcy stanu Szaniawski i Wyczechowski, wojewoda Czarnecki; prokurator Poklękowski był oskarżycielem z urzędu. Piotra Wysockiego, po wyleczeniu z rany, wywieziono na Sybir. Innych zaocznie skazano na główną karę.

Do Rady administracyjnej weszli generałowie Rożniecki i Wincenty Krasiński, obaj przybyli z Petersburga, gdzie się schronili. Jaki następnie skład rządu miał miejsce, może później opowiem. Na resztę rozporządzeń rzuca się zasłonę; kto chce o nich wiedzieć, niech czyta „Dzieje narodu polskiego Teodora Morawskiego“ Tom 6-ty. Książę Lubecki już do Warszawy nie wrócił. Wojsko polskie ukazem cesarskim z dnia 1. maja 1832 roku rozwiązane zostało; żołnierzy i podoficerów wcielono do armii ros-

syjskiej, rozproszono po pułkach z przymusową wysługą na lat piętnaście!

Winienem jednak oddać tu wysoką sprawiedliwość cesarzowi Mikołajowi. Nie chciał on, by oficerowie żebrali na swe utrzymanie, nominowanym przed 29. listopada 1830 r. kazał wypłacać zasiłek pieniężny pod tytułem wsparcia do lat trzech, a ten się przedłużał prawie do zgonu. Pobierali go oficerowie wszelkich stopni, którzy się nie pomieścili w służbie cywilnej, a tej im nie wzbraniano, nawet chętnie do niej przyjmowano. Mnie przeznaczono 880 zł. polskich rocznie, miałem więc swój własny fundusz, szczupły, prawda, ale własny.

O emigracyi naszej we Francyi nic pisać nie będę; nie byłem tam, a chociaż wiem, jaka w niej początkowo zapanowała niezgoda, wzajemne zatargi, zawsze polityczne i szkalowania się stronnictw, nadmienię tylko, że z latami przyszło umiarkowanie i kto chciał z Polaków wziąć się do pracy, znalazł chleb powszedni i utrzymanie.

Przyjechałem więc do domu mego rodzonego stryja: przyjął mnie dość serdecznie, żona jego zimno. To mnie powoduje, iż o nich obojgu muszę tu niejaką uczynić wzmiankę.

Stryj mój, Sabin, dawny kapitan polskiej piechoty, później inspektor popisów wojskowych za Księstwa Warszawskiego, mógł liczyć wówczas lat pięćdziesiąt kilka. Brunet, nieco otyły, łysy, bynajmniej podobnym nie był do swego brata. Charakteru bardzo żywego, nieco pasyonat, serce miał dobre, lecz tę wadę, że nikt i nigdy dogodzić mu nie mógł. Zawołany gospodarz, mechanik pomysłowy, sam sobie toczył i wyrabiał modele, a te stosował u siebie. Posiadał wielką zdolność do wierszowania, ale tylko w okolicznościowych zdarzeniach: poważniejszego nigdy nic nie napisał. Dał się kierować przez swą żonę, a ta nad nim panowała. Powinien był mieć wielkie obowiązki dla swego brata a mego ojca, bo ten protegował pierwsze jego na świat wystąpienie, a później, kiedy książę Lubecki, minister skarbu, ogłosił sprzedaż dóbr rządowych, wyjednał mu kontrakt wieczysto-dzierżawny na starostwo Opoczyńskie. A był to majątek piękny, 1.100 morgów ornej ziemi, łąki, pastwiska, dwa młyny wodne, dwanaście karczem propinacyi. Za ten kontrakt zapłacił tylko wkupnego 16.000 złp. a potem rocznie uiszczał 4.000 złp. Gospodarstwo to prowadzone było wzorowo i, jak na owe czasy, postępowo. Pod takim zarządem, mimo tanich cen zboża, majątek ten przynosił rocznie więcej jak 25.000 dochodu. Przy stryju od niemowlęctwa chowała

się moja siostra. Wanda, bo był bezdzietnym — zastałem ją już zamężną.

Wróciłem z Gdańska do kraju raz, że byłem zmarnowany na zdrowiu, powtóre, że mi ten powrót stryj radził. Miałem więc prawo spodziewać się, że stryjostwo przyjmą mnie z współczuciem na me położenie i pomyślą o mej przyszłości. Lecz inaczej się stało, bo stryj — obok najżywszego temperamentu — dawał się swej żonie zupełnie powodować, a ta mego ojca, matkę, całą naszą rodzinę nienawidziła z tego jedynie powodu, że była neofitką i zdawało się jej, iż tę plamę, która nią nie była, ciągle jej wyrzucamy, co nigdy miejsca nie miało. Zresztą posiadała wysokie wykształcenie, to zaś nad jej żółciowem usposobieniem stanowczo nie panowało.

Dzień, w którym przybyłem do stryjostwa, był dniem paroksyzmu mojej nieszczęśliwej febry, która mnie już zaczęła rozbierać. Prosiłem o spoczynek, a lubo dom był dość obszerny, dano mi pokój przechodni, łóżko parawanem zasłonięte; rzuciłem się na nie jak nieżywy. Przyszła gorączka, straszliwy ból głowy, a tu służba biega, drzwiami trzaska; dano mi rumianku i na tem skończono. Nadeszła noc, oblany trawiącym potem, musiałem tak doleżeć do rana, bom nie wiedział, co z mym tłomokiem zrobiono, a w tych cichych i długich godzinach, w tej ciemności, bolało mnie serce... pytałem sam siebie, czy tu u najbliższych mi krewnych jestem?... westchnąłem za poczciwą i kochającą Malchen!...

Wrażenia, jakich tej nocy doznawałem, były nadzwyczaj bolesne. Obrachowałem się z sobą i z mem nowem położeniem; nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, aby poznać, że w tym domu nie znajdę uczucia, przytułku, opieki. Jakże też gorzko żałowałem, żem powrócił do kraju!... Groźną i ciemną mi się przyszłość ukazała.

Na dzień drugi przybył doktor, przywołany z Opoczna. Obejrzał moje spuchnięte nogi i brzuch rozdęty; znów chinę zapisał. Pytałem go, czy będę żył? Odpowiedział mi, że wątroba już jest zaatakowana; jeśli ona wytrzyma, to może. Smutne to wyznanie przyjąłem z rezygnacyą, ale żal mi było umierać w dwudziestym trzecim roku życia mego.

W kilkanaście dni przyjechał brat mojej stryjenki, Ludwik Lewiński z Rzeczycy, powiatu rawskiego — kawaler, wiele od niej młodszy. Ten zlitował się nad moim stanem, bo prawdę mówiąc, byłem jedną nogą już w grobie i sam o sobie wątpiłem. Ofiarował mi gościnność u siebie; chwyciłem się tej myśli natych-

miast. W tym czasie nadszedł list od Tietza, pełen serdeczności, z zapytaniem, jak się mam i kiedy wrócę do jego zagrody? — Odpowiedziałem, że majątkowo jestem zrujnowany, pod względem zdrowia umierający — pożegnałem oboje najczulej, błogosławiąc Malchen na drogę przyszłego jej życia. Więcej się już nie odezwali. Dzisiaj, oboje starzy dawno już spoczywają w grobie. Malchen może żyje jeszcze... liczyłaby lat 68 — a jeśli żyje, zapewne czasem o swej młodości i o mnie wspomina.

Pojechałem więc do Rzeczycy — tu mię opatrzono istotną wygodą i staraniem. Doktor, w okolicy bardzo wzięty, Markiewicz, bywał u mnie raz lub dwa tygodniowo, jednak uporczywa febra mnie nie odstępowała. Radził, by mnie przeniesiono do Rawy. Komisarzem obwodowym był tam Heymans, stary wojskowy, żonaty, bezdzietny, a przyjaciel Lewińskiego — u niego mnie umieszczono. Nic na tej zamianie nie straciłem. Markiewicz bywał codziennie: jego rady, a może i młode siły wróciły mnie do zdrowia. W końcu października r. 1832 byłem zdrów zupełnie.

Powiedziałem wyżej, że ukazem cesarskim wojsko polskie rozwiązane zostało: trzeba było zrzucić mundur. Na to przebranie wydałem resztę mego funduszu, a kiedym się raz pierwszy ujrzał w cywilnem ubraniu, łzy mi stanęły w oczach — zdawało mi się, że ze mnie skórę zdarto, jak przed wiekami z jakiegoś męczennika!... Co tu robić na tym świecie?... sam siebie wielokrotnie pytałem: do niczego nie zdolny, jak do konia i pałasza, chmurno patrzyłem w mą przyszłość. Na stryja już nic nie rachowałem — odezwać się do Tietza, duma moja nie pozwalała. Byłem ubogi, czyż mogłem żądać ustalenia mego bytu, szczęścia domowego od niemieckiego włościanina z pruskich Żuław?...

Odwiózł mnie Ludwik Lewiński już zdrowego do stryjostwa. Chciałem im być w czemkolwiek użytecznym, prosiłem o to — oddano mi pod dozór konie stajenne!... Stryjenka zimna ciągle, nie odzywająca się, patrzyła na mnie wielkiemi swemi czarnemi oczyma z szczególnym wyrazem, bo straszną jest kobieta, gdy kogo nienawidzi. Stryj po swojemu negował każde moje odezwanie się. Cierpiałem. Wybierali się do wód Maryenbadzkich; wyznam, żem się cieszył z projektowanego ich wyjazdu, że zostanę sam z rządcą dóbr, że dosięgnę koniecznego wypoczynku umysłowego. Na odjezdnem i przy pożegnaniu, oświadczyła stryjenka, że zostawiła mi zapasy spiżarniane; okazało się, że to było kilkanaście kurcząt

podwórzowych i trochę mąki. To już było dla mnie zanadto: ze stu kilkunastu złotymi w kieszeni, po ich odjeździe, ruszyłem w świat szeroki, bezgraniczny, bez innego zamiaru, jak tylko, aby odejść z niegościnnego mi domu. Z małym tłomoczkiem, to furmanką, to okazyą, nawet pieszo, dostałem się do Radomia. obiecując sobie już nigdy do Opoczna nie wrócić. Jakoż stryjenki już nie widziałem, chociaż żyła jeszcze lat dziesięć.

W Radomiu poznałem się z Franciszkiem Lubienieckim, kasyerem magistratu. Kawaler, miał własny domek na przedmieściu. Człowiek miły, otwarty, szczery — szukał ze mną znajomości, później domagał się przyjaźni. Złote miał serce, wdzięczność też moją mu dochowam do grobu za podanie mi ręki w tak trudnem mojem położeniu. Wziął mnie do siebie, stołował darmo. Za jego wpływem porobiłem znajomości w mieście, a z kolei poznałem okolicznych obywateli. Rozrywano mnie, nie umiałem się podzielić między tylu życzliwymi. Najbliżej jednak żyłem ze Szczepanem Potkańskim, właścicielem dóbr Malczewa pod Radomiem i Janem Szymanieckim, dziedzicem dóbr Odechowa za Skaryszewem.

Pan Szczepan, był to dawny oficer od huzarów Księstwa Warszawskiego. Człowiek dzielny, prawdomowny, charakteru wielkiego, prawdziwie polskiego. Żona jego, najpoczciwsza kobieta, córka Terenia i dwóch synów jeszcze w szkołach. Z nim to była nieskończona gawęda o epizodach wojen Napoleońskich, a umiał obrazować je, że ich nasłuchać się nie mogłem; kochał mnie też jak rodzonego syna.

Znów Szymaniecki, pułkownik dawnych wojsk naszych, adjutant króla westfalskiego, Hieronima Bonaparte, stary kawaler, filozof, mimo tego dowcipny i wesoły, nawet uczony. Widział dużo świata i dobrze mu się umiał przypatrzeć — miał wiele i ciekawych rzeczy do opowiadania. Wielbiciel pozostałej rodziny Bonapartych, co parę lat jeździł do Włoch ją widzieć i członkom jej się przedstawiać — od wszystkich też posiadał upominki, które czcił jak świętość. Żył cicho z książkami, a miał ich zbiór doborowy. W obu tych domach byłem jak u siebie — jesień, zima, z fuzyą po lasach całymi dniami — w lecie inne znów myślistwo, trochę gospodarstwa, więcej czytania, bom zawsze czytać lubił — to gawędka o dawnych czasach, bo o lepszych już marzyć było niepodobna.

W tym czasie prezes Komisyi województwa sandomierskiego, wezwał mnie z urzędu do zdeklarowania się, czyli gotów jestem

przyjąć w wojsku rossyjskiem służbę, mianowicie w jeździe ze stopniem sztabs-rotmistrza i wyborem pułku, z wyłączeniem gwardyj. Bo cesarz Mikołaj zamierzył pociągnąć do swych wojsk, co tylko było najdzielniejszego i odznaczającego się w naszej armii, a listy takich oficerów rozkazał przygotować z biuletynów naszej wojny. Zapytanie to wymagało co do odpowiedzi zastanowienia. Byłem bez majątku osobistego; służbą cywilną brzydziłem się i nie czułem się do niej zdolny; rodzina odepchnęła mnie widocznie. Miałem wprawdzie obcych przyjaciół, lecz ciężarem im być nie mogłem, a życie przed sobą długie...

O istnieniu kraju, jakim był przed r. 1831, o organizacyi wojska polskiego, już mowy być nie mogło. Te uwagi roiły mi się po umyśle. Nie chciałem jednak samoistnie postępować; pojechałem do Warszawy poradzić się zamieszkałych tam kolegów pułku naszego. Zdania były różne — najwięcej przeważały te, jak tu służyć Rossyanom, kiedy ojciec był w emigracyi?... Generał Kurnatowski najsilniej mnie namawiał, udzielił nawet najchlubniejszego świadectwa. Wyznam, żem miał wielką ochotę podpisać żądaną deklaracyę, bo czułem, że wojskowość jest jedynym moim zawodem, ale chciałem, byśmy poszli służyć w kilkudziesięciu i stanowić w wojsku rossyjskiem jakąś partyę związkową, jakieś zjednoczenie, bynajmniej nie polityczne i tam wspierali się wzajemnie. Ale nie udało mi się zebrać ochotników; w Warszawie zamieszkali jedynie żonaci i dzietni, szukając chleba powszedniego między rodakami; inni rozprószyli się po kraju, bez wiadomości, gdzie zamieszkują. Wróciłem więc do Radomia niezdecydowany, a gdy mnie później naciśnięto, odmówiłem.

Jeżeli zamykam niniejszy pamiętnik, winienem w krótkości tu zapisać, jakim losom i przeciwnościom ulegałem później od roku 1832 do 1882, to jest w pięćdziesięciu następnych latach.

Po powrocie do kraju z Prus, wyznam, iż lat ośm zmarnowałem w zupełnem próżniactwie. W tych czasach, po wielu staraniach i pokonanych trudnościach, uzyskałem pasport i pojechałem odwiedzieć mą matkę, zamieszkującą w Krakowie od roku 1825, a której od tej pory nie widziałem. Tam poznałem jej wychowanicę, prawie dziecko jeszcze, lat trzynaście liczące. Oczarowała mnie swą zaledwie rozwijającą się pięknością, nieporównaną dobrocią i rozkwitem swego umysłu. Ukochałem ją — powiedziałem sobie, że przyszłość całego życia mego zależy od posiadania

jej kiedyś. Aby zaś ten cel osięgnąć, uchwycić to szczęście. postanowiłem sobie wywalczyć pewne stanowisko, jakiś byt pewny i stały w społeczeństwie. Miłość ta prawdziwa i głęboka, jaką miała później odpłacić najczulszą wzajemnością, stanowczy przewrót w mem usposobieniu wywołała; jej to winienem kilka krótkich lat istotnego, nieporównanego ziemskiego szczęścia, które dotąd z rzewnością rozpamiętywam.

Człowiek ucywilizowany podniósł miłość dla kobiety, przez się wybranej, do istotnej ekstazy: Sam silny, butny, pan wszelkiego stworzenia, chętnie i z prawdziwem uwielbieniem zgina przed nią kolano. Drży mu ręka pod jej dotknięciem, szuka jej ciągle wzrokiem, każde słowo, przez nią wyrzeczone, składa do skarbnicy serca swego. Życzenie jej, to rozkaz chętnie spełniany; uśmiech — to ziemskie niebiosa. Wszystko, czego dotknęła, co upuściła, co zgubiła, to — relikwie dla niego... To też takie uczucie jest potęgą, ideałem, to szczyt dobra ziemskiego. Nie ma poświęceń, przed któremi by się cofnął. Życie poświęcić dla jej obrony, to drobnostka; nic droższego nad odebraną od niej podziękę. Jest to najwyższe dobro, jakiem Bóg człowieka obdarzył; to raz uczuwszy, podnosi wszystkie jego szlachetne uczucia! Kobieta wypełnia nasze ziemskie przeznaczenie — po za nią już nic niema, tylko dziękczynna dla Stwórcy modlitwa. Dwoje takich ludzi, związanych z sobą sercem, niepojętymi umysłowi węzłami, stanowią bezwzględną najdoskonalszą całość — reszta świata, to kwiecisty ogród, stworzony dla ich szczęścia. Wysoka jedynie oprawa uczuć sercowych i umysłu — uszlachetnienie charakteru, zupełne pojęcie swej godności i wszystkie duchowe przymioty, jeśli zjednoczyć się zdołają, mogą wytworzyć podobną miłość dla kobiety. Jest to cześć, uszanowanie, uwielbienie. Godną też była Michalina tak silnego mego przywiązania. W jej sercu zlały się wszystkie kobiece przymioty, obok nieporównanej urody. Była dobrą, litościwą: myśl jej wznosiła się w wyżyny natchnieniem oświecane: goniąc tam za nią, z dobrego stałem się lepszym, wyrozumiałym na błędy innych, pracowitym: bo świat mój ona tylko i zawsze upiękniała, prowadząc drogą kwiatami usłanego szczęścia domowego. Był to anioł na tym ziemskim padole.

Jeżeli w ciele naszem uczuwamy jakiś ból ciągły, nieprzestannie nam się przypominający — mimo niego jesteśmy wstanie myśleć, mówić, działać w zakresie koniecznych naszych czynów lub zamiarów. Odwrotnie podobnemu uczuciu, czułem w onczas najwyraźniej, że duchowe me jestestwo zupełnie się rozdwoiło.

Byłem wesół wesołością młodzieńczą, mogłem zastanawiać się nad wszystkiem, co mnie otaczało — mogłem tłómaczyć me myśli słowami i zdania nawet wymownie, co mnie nieraz zadziwiało — zdolny byłem słuchać z uwagą rozmowy innych, czytać poważną lub lekką książkę, ale ponad tem działaniem duchowej mej strony górowało uczucie dla mej ukochanej, na chwilę mnie nie opuszczającej. Czułem ją w sobie, ostatnią była myśl o niej, gdym zasypiał na nocny spoczynek, pierwsza, gdym się z niego budził. Wszędzie i zawsze ona — ona jedna, jedyna!...

I potężniałem sercem i duchem — wewnętrzne zadowolenie, jakie uczuwałem, całą jasnością biło mi z twarzy, z oczu moich. Byłem wymowny, dowcipny, rozpromieniony — ten sam, co dawniej, a inny zupełnie.

Taką to była potęga, pod której ożywczą siłą patrzyłem na świat ten i wszystko przez pryzmat mego ideału. Taką to była ta miłość wierna, tkliwa i czysta, jak kropla rosy niebiańskiej.

W późnym mym wieku, gdy to piszę, po tylu latach ubiegłego czasu, jeszcze te wspomnienia rozgrzewają me piersi. Są one światłem mej starości — widzę jeszcze tę przeszłość, dawno za sobą pozostawioną, w tak jasnym obrazie, jakbym posiadał wzrok silniejszy nad ziemskiego człowieka. Nic nie zgasło... nic się nie ostudziło we mnie...

Niecałe lat siedm używałem tego nieporównanego szczęścia — była żoną moją. Bóg mi ją powołał do Siebie lat temu trzydzieści dwa... silny więcej niż silny jestem, kiedym tę stratę przeżyć zdołał.

Aby posiąść moją ukochaną, w roku 1839 wszedłem do służby rządowej cywilnej. W początkach przyszło mi pokonywać niesłychane trudności, łamać hardą naturę, skłaniać się do przyjętych obowiązków. Miałem przed sobą cel wielki, niezłomny — wytrwałem. Wzorowa pilność, niezwykła praca, rozwinięte zdolności spowodowały, że w lat cztery wyprzedziłem mych kolegów. Hojnie mnie władza wynagradzała, posuwała w stopniach — zyskałem byt niezależny, nieledwie dostatek — przyszedł nieszczęsny rok 1863, z nim ogólna klęska i odmiana administracyi krajowej. W tej burzy straciłem syna, pełnego nadziei: oddalono mnie w r. 1867 dla nieznajomości zaprowadzonego urzędowego rossyjskiego języka. Za dwadzieścia dziewięć lat i siedm miesięcy wiernej i użytecznej służby, udzielono mi 200 rubli rocznej emerytury. Jestem więc ubogi, ale spokojny w sumieniu; poprzestając na tym szczupłym dochodzie, nie narzekam, czekam cierpliwie chwili, gdy

mnie Stwórca do Siebie powoła. Mieszkam w szczupłej chałupie na wsi, którą z mych oszczędności zdołałem sobie pobudować. Czytam, piszę, myślę, zatrudniam się, jak mogę. Ale człowiek, stworzenie składowe ducha i ciała, ulega różnym i niepojętym wrażeniom: ma naprzemian chwile wesołości, spokoju, poddania się cierpliwego gnębiącym go przeciwnościom, zwątpienia nawet. Czy wolno mu wtenczas narzekać?... Jedyna to według mego zdania ulga — i mnie więc takie czarne godziny czasem nawiedzają.

Dziś obchodziłem rocznicę jedną z bardzo mi bolesnych, rocznicę zgonu ojca mego, zmarłego w emigracyi w Paryżu r. 1849 Skończył życie na panującą wówczas w tem mieście straszliwą cholerę.

Zwłoki mego ojca spoczywały tymczasowo w Neuilly pod Paryżem, pod numerem cmentarza 2272 Serya 43/6, ztąd później przeniesione w r. 1856 do grobów polskich na cmentarz du Nord, kosztem Polaków. Zgasł w 73 roku swego życia, dzielny wojownik ojczystej sprawy: dziś, gdy to piszę, przeżyłem go lat 33. Nie posiadam po nim żadnej pamiątki, chociaż po nią zgłaszałem się do Paryża: przyjaciele jego wszystko rozerwali: ordery, szlify, nawet pałasz honorowy, jaki mu miasto Besançon ofiarowało, gdy w r. 1831 wstępował na ziemię francuską: mam jedynie zachowany portret jgo olejny i z dumą patrzę na niego, oraz ułamki zaszczytnej jego służby wojskowej.

Pod tem wrażeniem wstałem dziś rano z nocnego spoczynku. Poszedłem w pola daleko, by w samotności odnowić wspomnienia tyle już odległych czasów. Żyłem pamięcią moją. Wróciłem, wziąłem w rękę Rocznik oficerów wojska naszego z r. 1830. Wczytywałem się w te nazwiska, a gdziem trafił na znajomego, odtwarzałem sobie jego postać, rysy twarzy, głos mowy... i to mi zajęło godzin kilka. Zamykając ten Rocznik, wyszeptałem: Boże, daj im wieczny odpoczynek! Smutek mnie ogarnął, bo z tych dwóch tysięcy oficerów wszelkiego stopnia, któryż jeszcze żyje w dniu dzisiejszym?!...

I ci, co polegli w krwawej wojnie r. 1831, i ci, co się potem rozproszyli po całej kuli ziemskiej, już zapewne zasnęli snem wiecznym w tej długich lat kolei. A ja — żyję jeszcze, by ich wspominać, by oddać cześć zasłużoną ich pamięci...

Potem — usiadłem naprzeciw portretu ojca mego i wpatrywałem się weń bez obrachowania nawet ubiegłego czasu, jakbym pierwszy raz go oglądał. Piękny to portret, malowany w Mona-

chium, kiedy rodzic mój liczył zaledwie lat 36 wieku. Żywe kolory na nim błyszczą z generalskiego munduru, grubych srebrnych szlifów jego i krzyżów: wojskowego polskiego, Legii honorowej, oraz wielkiej gwiazdy orderu św. Stanisława. Głowa okolona czarnym włosem, czoło białe i myślące; nad niebieskiemi oczami czarna i gęsta brew się zaokrągla, nos orli, pod nim długie, ciemne i strzępiaste wąsy, z pod nich wyglądają usta karminowe. W jego wzroku schwycił malarz wyraz męzkiej odwagi, siły charakteru i rozlał po policzkach rumieniec zdrowia.

Pięknym i imponującym był mój ojciec — wysokiego wzrostu, rozrosły w piersiach, prosto się trzymający, odznaczał się wszędzie swą postacią. Nie kłamię, iż równego mu powierzchownością rzadko widywałem. Stworzony był, ukuty — że się tak wyrażę — na rycerza polskiego, — był to posągowy człowiek.

W końcu wyszeptałem... śpij i odpoczywaj drogi mój ojcze daleko... tam na francuskiej ziemi, ktoraś ukochał jak drugą swą ojczyznę. — Odpoczywaj po trzydziestu sześciu latach ciągłych wojennych trudów, prawdziwy Polski synu. Trudy twe i twych towarzyszy broni były daremne, aleś chlubnie oddał dług swojej krwi rodzinnemu krajowi i ten opisała nasza historya. A jeśli ci wolno z górnych niebios nieśmiertelnym duchem spojrzeć w serce twego pierworodnego, błogosław mi na resztę niedługich tu już dni moich. Zapewne wiesz o dniu mego przyszłego skonania... Czekaj mnie ojcze i przyjm ducha mego z rodzicielską radością, żem ten świat już zdołał porzucić... I cicha łza spłynęła po mej twarzy — nie otarłem jej, bo była czystą i święta.

Wstałem — długo chodziłem po mej szczupłej izbie — przypadkiem w lustro spojrzałem... włos biały jak mleko na głowie — długie i bujne wąsy również ubielone — łzawe spojrzenie pod doznanem wzruszeniem... czy to ten sam, mówiłem sobie, ów dzielny młodzian, z przed pięćdziesięciu dwu lat?!...

Skończyłem dumanie dziękczynną modlitwą do Stwórcy mego, za to długie życie, acz pełne zawodów i srogich boleści — za żywą pamięć mych wspomnień, za zdrowie, jakiego jeszcze używam.

Wybiło południe — weszła moja poczciwa gospodyni — nakryła stół białem płótnem i wniosła miskę barszczu, talerz ziemniaków i kapusty. Pożywając ten skromny posiłek, pomyślałem: z górą lat trzydzieści pracowałem uczciwie i na starość cóż wywalczyłem?... Oto przytułek w wiejskiej chałupie i to pożywienie, tyle dla mnie dostateczne, że z niego zadowolniony jestem. Upadłem nisko, ale nie z mojej przyczyny — za słaby jest człowiek,

by mógł pokonać losy mu przeznaczone. Siłą charakteru i ducha przyszedłem do poddania się dzisiejszemu położeniu. Niepotrzebny już krajowi, ani społeczeństwu polskiemu, które od ubogiego wojaka się odsunęło — życzę, by jego jednostki, w razie swych niepowodzeń, zachowały tę trzeźwość umysłu i poddanie się, jakie ja posiadam.

A teraz, jakim byłem?... jakim jestem?...

Żwawe i ładne chłopię o jasnych włosach i oczach, za dzieciństwa mego szybko się umysłowo rozwijałem, przestając ciągle z mym ojcem i jego wojennymi towarzyszami. Namiętnie wysłuchiwałem opisu tych krwawych wypraw, w jakich wojska nasze brały udział pod wodzą wielkiego cesarza. W wolnych chwilach od nauki, ustawiałem całe pudła ołowianych pieszych i konnych żołnierzy, w marsze z bocznemi strażami, w regularne obozy i wojenne szyki. Od najmłodszych lat, ile pamiętam, ubierano mnie w mundur: posiadałem cały arsenał broni, memu wiekowi odpowiedniej. Ojciec mój, dowódzca dzielnego pułku grenadyerów gwardyi, który miał swe koszary w Ujazdowie, brał mnie często z sobą na musztrę tego pułku, a wtenczas przy pierwszym plutonie pierwszego batalionu, obracałem się z żołnierzami, stosownie do wydanej komendy — a umiałem maszerować, a nawet bębnić, bo mnie nauczono. Kiedym zaczął czytać i pisać, nie pomnę — musiało to być dawno i przyszło bez żadnej trudności. Ojciec mój, dobry matematyk, w ósmym roku życia mego już mi tę naukę wykładał. Wyznam jednak, że ta natężona uwaga młodociany mój umysł i jeszcze nierozwinięty zmordowała; temu też przypisuję, żem się nigdy dobrą pamięcią nie odznaczał. Mając lat dziewięć, rozpocząłem nauki w Krzemieńcu — tam skończyłem je zaledwie w połowie. Po sześciu latach niewidzenia rodziców, gdy mnie wywieziono na wakacye do Warszawy, w Krasnymstawie zobaczyłem polskich ułanów: serce mi zadrżało na ten widok, już się uczyć odmówiłem. 5. marca 1825 roku, już byłem frontowym żołnierzem, licząc lat 15 i miesięcy 6 wieku. Edukacya więc moja nie była skończoną i nader szczupłe umysłowe wykształcenie. Doszedłem wzrostu stóp sześciu, jak mój ojciec, zdrów i silny, wytrwały na wszelkie trudy, zręczny w ruchu. Wszystkie rycerskie ćwiczenia były mi miłe, to też dzelnie władałem szablą, celnie strzelałem z pistoletu, pływałem jak ryba. Wisłę przepłynąć pod Warszawą, jak była szeroką, to były dla mnie fraszki i niejednokrotnie tego próbowałem: narowistego konia śmiało dosia-

dałem. Mimo tej pewności siebie, nigdy nie byłem zaczepiającym awanturnikiem, ale silniej dotknięty, zapraszałem obrażającego w honorowy taniec i w kilku tego rodzaju spotkaniach wychodziłem zawsze bez szwanku. Energię miałem przez całe życie wielką — odwagę osobistą wziąłem po ojcu. Kochałem tylko dwie kobiety i obiedwie były mojemi żonami; uczuwałem dla nich nie miłość, ale jakieś nieograniczone uwielbienie. Obie umarły nie dochodząc 28 lat swego życia, w całej a rozwiniętej piękności ciała, umysłu i serc anielskich — kochały mnie tyle, ile kobieta kochać może. Dziś, po trzydziestu latach od chwili ich zgonu, obrazy ich skrystalizowały się w mym mózgu i pamięci; postacie ich, ruch, mowę, w każdej chwili zmysłami mymi przywołać, odtworzyć, widzieć, uczuwać mogę duszą moją. Po nocy, kiedym śnił o nich i z niemi rozmawiał, długie dni jestem szczęśliwy i chcę wierzyć, że z nieznanych mi światów, rozmyślnie do mnie zstępują, by mnie pocieszyć i dodać odwagi na resztę życia.

Wiele czytałem — i acz mało mi dla słabej pamięci z tego czytania pozostało, czuję jednak, iż brak szkolnego wykształcenia ile możności zastąpiłem. Dla tego, ktokolwiek czytać będzie ten pamiętnik, niech raczy być na mą nieudolność wyrozumiałym. Pisałem go dla rozrywki w mej starości i pozostawienia śladu czasów, w których żyłem.

Dziś w późnym mym wieku, dosyć jeszcze zdrów i silny jestem, bom nie nadużywał życia w młodości; podobien jestem do pięknej ruiny, która wyczekuje silniejszych, jak doznanych dotąd, wstrząśnień, by się obaliła! Trzymam się prosto, każdy też pozna, żem służył wojskowo — żadnej zmarszczki na twarzy — gdybym uczernił mą siwiutką głowę, wyglądałbym na lat trzydzieści kilka. Chrześcianin, po części filozof, jakim jestem, przyjmuję schyłek mego życia z przekonaniem, żem usiłował spełnić wszystkie me obowiązki. Umierać będę spokojnie, z wiarą w Boga Stworzyciela wszechświatów, w połączenie ducha mego z tymi, których tu kochałem — z przebaczeniem nakoniec dla tych, co nie rozumieli mych uczuć i serca. Wspomnę jeszcze, żem miał kilku przyjaciół prawdziwych; przeżyłem ich wszystkich.

Na tem kończę ten pamiętnik. Losy, jeśli je tak nazwać można, rzuciły mnie na ten świat, zwiastując od zarania życia mego wszelkie pomyślności na przyszłość. Mogłem być poniekąd dumny z mego rodu i widzieć przed sobą drogę spodziewanych powodzeń. Ustęp mego życia, jaki tu opisałem, tę mi nastręcza uwagę: że rodziny, oddające się całą swą duszą i przekonaniami

usłudze oraz sprawom krajowym, jeśli pominą starania około podniesienia materyalnego swego bytu, nisko upadną, gdy runą podstawy ojczystej ich ziemi i zamkniętą im zostanie droga wysługi dla niej; poświęcili się jej przodkowie moi, czcigodny mój ojciec, i ten skończył swój żywot tułaczem. Jam również nie zdołał oprzeć się dwom burzom, jakie nad Polską zawisły; zmartwiały pod ich uderzeniem, długi czas nie mogłem dość wzmocnić ducha mego. Jednakże podniosłem się później z upadku po r. 1831 — stanąłem na wyżynie niejakiej pomyślności: ale na starość znowu mnie obaliły klęski i przeciwności... Gdybym miał przynajmniej rodzinę!...

Cóż mi pozostało z tej przeszłości?... oto niezgasła miłość dla mego kraju — krzyż wojennej zasługi — pamięć tego, com widział i groby tych, com ukochał.

Kwiecień, roku 1882.

Ankieta w sprawie moralności niezależnej.

Długie wieki łączono moralność z religią w ten sposób, że siły i źródła moralności szukano w tej ostatniej. Cały porządek moralny w ostatniej instancyi opierano na rozumie i na woli Bożej. P. Boga pojmowano jako stróża i opiekuna moralności. Taki pogląd przedstawiają dziś jeszcze kierunki uznające istnienie Boga osobowego, a zwłaszcza chrześcijaństwo, które przestrzega wiernych, że *Bóg bada serce człowieka* i przypomina każdemu owe słowa biblijne: *oddaj, coś winien, zdaj liczbę z włodarstwa twego.* W XIX. jednak wieku, gdy nauka w wielkiej części zerwała z wiarą chrześcijańską i gdy swobodnie mógł każdy zwalczać prawdy religijne, rozerwano ten związek między moralnością i religią i dla moralności innych poczęto szukać podstaw. Skoro zwolniono rozum ludzki od obowiązku wierzenia w P. Boga, to musiano temu rozumowi pozostawić zupełną swobodę w stawianiu praw moralnych. Moralność poczęto opierać na samym rozumie. Stworzono w ten sposób moralność niezawisłą od religii, wyzwoloną z pod sankcyi Boga, przeznaczoną przedewszystkiem dla arystokratów umysłowych.

Trudniej tylko było znaleźć dostateczne uzasadnienie moralności dla szerokich mas ludowych. Jednostki bez głębszej nauki nie umieją dość samodzielnie myśleć, ani dość umiejętnie rozróżniać, ani nie miały sposobności wykształcić swego poczucia moralnego, aby je można pozostawić na opiece samego rozumu: na czas więc jakiś zostawiono ludowi religię, aby przez nią strzedz moralności. Powoli jednak, w miarę postępu demokracyi i popula-

ryzowania nauki, poczęto i ludowi zalecać moralność, opartą na samym rozumie, sądząc, że ona wystarczy, że społeczeństwo może zapewnić sobie względny porządek, bez uciekania się o pomoc do religii.

Ale pozostają ciągle skrupuły, czy to droga bezpieczna i środki moralności wystarczające. Dyskusyi na ten temat nie brak. Redakcya paryskiej *La Revue* postanowiła kwestyę tę omówić pokojowo. Wysłała w tym celu do wielu wybitniejszych literatów francuskich zapytanie, czy można w obecnej chwili całą moralność ludu oprzeć na samym rozumie?[1]) Odpowiedź w szczegółach wypadła rozmaicie, a i co do zasadniczego pytania nie było jednolitej zgody. P. Gsell podjął się zestawić nadesłane uwagi, zaopatrzyć je w potrzebne niekiedy wyjaśnienia i ogłosić w *La Revue*, by publiczność czytająca o rzeczy wyrobiła sobie sąd własny.

I u nas także słyszy się rozmaite zapatrywania co do moralności i religii, echo haseł z Francyi dochodzi przecież zawsze do Polski — dlatego zająć się tą sprawą, na tle uwag ogłoszonych w dwutygodniku paryskim, omówić stosunek moralności do religii, zdaje mi się rzeczą zarówno potrzebną jak ważną.

Na wstępie należy zaznaczyć charakter nowoczesnej moralności. Prawda, że pewne pojecia moralne przez wszystkie wieki nie zmieniają się, ale wiele jest też pojęć moralnych, mających znaczenie tylko w niektórych okresach czasu. Te właśnie zmienne pojęcia wyciskają na moralności właściwe rysy i sprawiają, że możemy mówić o pewnym rozwoju moralności wśród ludzi, o rozmaitych jej okresach. Rysami charakterystycznymi dzisiejszych pojęć moralnych są: większe, niż dawniej, zainteresowanie się sprawami dobrobytu i oświaty, od których przedewszystkiem zależy szczęśliwe życie na ziemi; zwracanie uwagi na klasy uboższe i dążenie do poprawienia ich warunków życia, a wreszcie wiara w rozwój i postęp ludzkości ku coraz doskonalszym fazom.

Nie mówię, że w wiekach średnich ludy europejskie zapominały o sprawach ziemskich. Ale w wiekach średnich największą potęgą był Kościół, a Kościół to przedewszystkiem Królestwo Boże, to zakład, który z woli P. Jezusa ma prowadzić ludzkość do wiecznego życia z P. Bogiem; sprawy ziemskie tylko pośrednio zajmują Kościół. Kościół szerzy przedewszystkiem myśl o zba-

---

[1]) Est-il possible de fonder actuellement une morale populaire uniquement sur la raison?

wieniu duszy, a tem samem wskazuje na marność rzeczy ziemskich, na niebezpieczeństwa, jakie grożą nieraz duszy ze strony świata. Wynika ztąd dążność do skierowania energii jednostek ku zbawieniu dusz, a dopiero na drugiem miejscu stawia się staranie o rzeczy tego świata. Taki kierunek myśli płynął z chrześcijaństwa, a zawierał się już w owych słowach Ewangelii: *Szukajcież tedy naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam dodane.*

Z zasady tej niektórzy asceci wysnuwali dalsze, jednostronne wnioski. Nie dbali wcale o rzeczy tego świata, umartwiali się, odmawiali sobie wszelkich przyjemności, w świecie upatrywali swego wroga i uciekali przed nim; szerzyli pewną pogardę dla rzeczy życia doczesnego. Nie wszyscy byli takimi, ale przyznać się musi, że tacy byli, a i dziś jeszcze z tego rodzaju zapatrywaniami spotkać się można w pismach ascetycznych. Nie można czynić Kościołowi zarzutu z tego, że wyżej stawiał sprawę życia przyszłego nad życie doczesne — w imię swej nauki tak czynić musi i dziś — ale trzeba uwzględnić, że narody w wiekach średnich nie wyrobiły się na tyle, aby dobrze zrozumieć chrześcijaństwo, aby zachować jednostki przed jednostronnością. Życie doczesne i świat cały jest dziełem tego samego Boga, który daje zbawienie po śmierci, niema więc przeciwieństwa między życiem doczesnem i światem a zbawieniem, nie trzeba światem gardzić, aby być zbawionym — przeciwnie nawet od stosunków, w jakich się ułożą sprawy ziemskie, w znacznej mierze zbawienie zawisło. Natura sama wskazywała, jako konieczność, zajmowanie się sprawami życia doczesnego i Kościół i społeczeństwa średniowieczne nie spuszczały tych spraw nigdy z oczu, ale moraliści chrześcijańscy tym sprawom stosunkowo za mało poświęcali uwagi.

Dziś w tym kierunku nastąpiła wielka przemiana. Dziś wprawdzie w dalszym ciągu powtarza Kościół: „Szukajcie naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam dodane“ — i dobrze czyni, że to powtarza, bo wieczność nie jest rzeczą małej wagi i żadne społeczeństwo nie obejdzie się bez sprawiedliwości i cnoty — ale dziś świat cały, literatura i publicystyka, może pod wpływem całkiem odmiennych dzisiaj stosunków w przemyśle i gospodarstwie społecznem, przepojona jest troską o ową resztę, a ze stolicy Piotrowej idzie upomnienie do ludów chrześcijańskich, aby zajęły się dolą ziemską klas niższych. Materyalna tedy strona życia ludzkiego doznaje u dzisiejszych moralistów większego uwzględnienia, niż dawniej. Materya-

liści zajmują się tą stroną wyłącznie, wszystko chcą z tego punktu oceniać i oburzają się, jak Haeckel, na moralność chrześcijańską, zarzucając jej, niesłusznie zresztą, że uczy pogardy dla osoby, dla ciała, dla przyrody, dla cywilizacyi, dla rodziny i dla niewiasty. Nietzsche podbój świata zewnętrznego przez jednostkę podniósł na sam szczyt, z człowieka uczynił nadczłowieka i każe mu łamać wszelkie przepisy etyki, byleby wybił się ponad innych, byleby życie uczynił jak najbogatszem w treść, byleby zdobył na ziemi najwyższy stopień energii i użycia. Moraliści chrześcijańscy, praktycy zwłaszcza, choć zachowują wskazane umiarkowanie, w myśl wskazówek Leona XIII. sprawom pomyślności ziemskiej poświęcają dziś stosunkowo dość miejsca.[1])

Drugim rysem współczesnej moralności, jest zajmowanie się społecznością całą więcej, niż dawniej. Ogromny rozkwit nauk społecznych, rozwój stosunków społecznych, na naukę moralności bez wpływu być nie mogły. Dawniej systemy moralne mówiły przedewszystkiem o książętach, o magnatach, bo oni rządzili ludami — dziś ludy wyemancypowały się, stanowią prawa, którym i książęta i magnaci są poddani. Szczególniejszą uwagę zwracają nauki społeczne na rzesze robotników, na rzesze bezdomnych, szukają wszyscy środków, jakby urządzić społeczeństwo, aby była większa sprawiedliwość w stosunkach ludzkich i aby ułatwić życie tym, dla których ono dotychczas było zbyt ciężkiem. Rozumie się, że ta dobroczynność prywatna jest prawie bez znaczenia, że tu tylko ustrój społeczeństwa odpowiedni może zaradzić niedostatkom. Prowadzi to do walk klasowych i do reform społecznych, a ruch cały na systemach moralności współczesnej wyciska silne piętno. O solidarności, o zajmowaniu się klasami ubogiemi, o przeprowadzaniu reform społecznych i ekonomicznych na rzecz warstwy pracującej, na rzecz proletaryatu, nigdy tyle nie mówiono i nie pisano, co dzisiaj. Muszą i moraliści dzisiejsi w dziełach swoich ten moment uwzględniać w dostatecznej mierze.

Jest wreszcie wiara w postęp, w doskonalenie się ciągłe ludzkości, a ten postęp będzie niezawodnie i na polu moralności. Tak spodziewał się zmarły niezbyt dawno Spencer, tak mniej lub więcej powtarzają różni uczeni spółcześni. Czy jest to prawdą? Tego dziś nikt udowodnić nie może. Ale jest rzeczywisty postęp w naukach, jest postęp ogromny w wyzyskiwaniu sił przyrody,

---

[1]) Por. ks. Zimmermana: Kilka zdań o potrzebie działalności społecznej duchowieństwa (Przegl. kośc. grudz. 1905).

jest postęp ogromny w technice, w przemyśle, w środkach komunikacyjnych, jest postęp w złagodzeniu obyczajów, jest postęp w cywilizacyi. Czy jest ciągły postęp w moralności, czy możliwy jest jej rozwój bez pomocy religii w nieskończoność? Na to nie wszyscy jednakową dają odpowiedź. Moraliści odrzucający religię, wierzą w postęp moralny nawet bez pomocy religii. Wiarę taką wpaja w nich cywilizacya dzisiejsza.

Przyjmując raz ewolucyę w świecie, twierdzą, że ona obejmuje także pojęcia moralne i prorokują, że ludzkość pod względem moralnym będzie coraz lepszą i doskonalszą. Ta wiara w naturalny postęp moralny u ludów — to trzeci rys systemów moralnych dzisiejszych, przynajmniej tych moralistów, co nie opierają moralności na religii.

Po tych wstępnych uwagach wracamy do ankiety, ogłoszonej we francuskiem piśmie. Przedstawimy poglądy na moralność i to najpierw tych, co nie widzą potrzeby łączenia moralności z religią.

Anatol France, jeden z najlepszych literatów francuskich doby obecnej, uważa w ogólności religię za stan wiedzy ludowej w pewnym okresie czasu. W zgodzie z tym poglądem uważa też moralność chrześcijańską za moralność, jaka odpowiadała w przeszłości pewnemu stanowi cywilizacyi. Dziś przeżyła się już. Jeszcze się ją szanuje choćby dla wieku podeszłego, ale w rzeczywistości nie liczą się z nią ludzie. Nowsza moralność w Europie wolną jest od wszelkich pojęć wyznaniowych. Moralność zmienia się ciągle, jak się zmieniają obyczaje, których ona jest wyrazem ogólnym, ale zmiana w przyszłości dokonywać się będzie nie przez religię, tylko przez rozum. Rozum, nauka, wiedza będą w dalszym ciągu wpływały na postęp w obyczajach i moralności.

Max Nordau wypowiada zdanie, że moralność jest prawem, jakie wydaje nie państwo, lecz samo społeczeństwo norganizowane, społeczeństwo też samo daje sankcyę potrzebną moralności. Sądzi, że moralność chrześcijańska, oparta na dogmatach, wystarczy tylko do czasu, jak długo ludzie nie umieją samodzielnie myśleć. Z chwilą dojrzałości, kiedy się człowiek pyta: dlaczego, musi i Kościół przemawiać do rozumu i na samem przytoczeniu dogmatu nie poprzestaje. Sankcya Boża dziś ludziom nie wystarcza i bez sankcyi świeckiej obejść się nie można. Jedynym tedy fundamentem niewzruszonym moralności jest rozum ludzki, a sankcyą władza społeczeństwa. Zresztą uznaje w człowieku jakiś wrodzony instynkt, który sprawia, że jeden człowiek postępuje w zgodzie ze społeczeństwem i to jest instynkt zdrowy — inny zaś

postępuje przeciw moralności społeczeństwa i to jest instynkt chorobliwy. Rozum potrafi prowadzić po dobrej drodze istotę ze zdrowym instynktem, ale ani rozum, ani wiara, ani żadne dowodzenie nie potrafi moralniejszym uczynić człowieka antyspołecznego, z instynktem chorobliwym.

Karol Richet podnosi, że religie kłócą się między sobą, wzajemnie się zwalczają, jakżeż więc można na nich opierać pojęcia moralne, które winny być wspólne wszystkim ludziom? Nie można opierać moralności na religii dlatego także, że niektóre z nich chcą uchodzić za nadprzyrodzone i objawione, co jest znów dla rozumu trudnem do przyjęcia. Z łatwością natomiast uznaje rozum ludzki potrzebę i znaczenie solidarności. Aksyomat: trzeba pomagać ludziom, braciom naszym — narzuca się sam przez się każdemu. Trzeba z góry przypuścić, że zasada ta obowiązuje wszystkich. Przecież w każdej nauce przyjmuje się pewniki i pewne utwierdzenia z góry. Moralność oparta na solidarności, na miłowaniu drugich, jest zupełnie prostą i da się obronić z łatwością.

Ludwik Havet przypuszcza, że moralność nie tylko da się utrzymać bez pomocy religii, ale nawet usunąć należy religię, aby moralność mogła się rozwijać. Moralność i religia — to antyteza. Religia opiera się na powadze, na autorytecie, religia przedstawia swoim wyznawcom moralność zawsze pod kątem jakiegoś interesu, ale interes w moralności sprzeciwia się zasadniczemu pojęciu moralności. Wychowanie religijno-moralne opiera się na nagrodzie i karze, co jest rzeczą niemoralną. Wychowanie jest wtedy prawdziwie moralnem, kiedy uczy przewidywania rozumem tego, co złe. Cała moralność opiera się na przewidywaniu rozumnem i zapobieganiu złemu.

Maurycy Bouchor, poeta i literat, nie dowierza wprawdzie słowom: rozum, wiedza, bo słów tych ludzie nadużywają często w sposób, który nie jest ani rozumnym, ani naukowym. Ale nie chce opierać moralności na religii, bo religia posługuje się rozkazami, groźbą i karą, względnie nagrodą. Dobry czyn, jeśli pochodzi z rozkazu, nie jest moralnie dobrym, bo zabija w człowieku autonomię woli i rozumu. Nie radzi uczyć dzieci w szkole moralności przy pomocy religii i z tej przyczyny, że w dalszem życiu łatwo mogą stracić wiarę, a wówczas nie ostoi się i moralność na niej oparta. Moralność religijna uczy nadto nieraz obłudy i kłamstwa. Sam wierzy w przyszłość ludzkości i dlatego twierdzi, że moralność czysto rozumowa jest możliwą.

Durkheim, socyolog, słusznie zauważa, że moralność nie jest czemś w rodzaju geometryi, ani nie jest systemem prawd oderwanych, któreby można wyprowadzić z jakiegoś pojęcia zasadniczego. Moralność według niego jest wypadkową rozmaitych skłonności, które tkwią w człowieku i w naturze ludzkiej. Jedne skłonności więcej odpowiadają obyczajom społeczeństwa w pewnym okresie, inne mniej; jedne są dla społeczeństwa szkodliwe i przestarzałe, inne zaś potrzebne i pożyteczne. Postęp w moralności polega na tem, że ludzie pozbywają się skłonności dla społeczeństwa szkodliwych, a umacniają w sobie skłonności dobre, do rozwoju społeczeństwa przystosowane. Podziału tego i pozbycia się starych, niepotrzebnych skłonności dokonać może tylko socyologia.

Eugenius Fournière, wydawca *Revue socialiste*, zdeklarowany zatem socyalista, uwzględnia w całości program swej partyi. W energicznych słowach potępia usiłowania klas bogatszych, które podają klasom uboższym religię, aby w niej mieć niejako żandarmeryę przeciw chciwości klas niższych. Nie uznaje potrzeby religii dla moralności, ale nie może też oprzeć moralności na prawach przyrody, na tem, co podają nauki przyrodnicze, bo w przyrodzie spotykamy wszędzie motywy niemoralne, widzimy gniecenie słabszego przez silniejszego. Objawy moralne spotyka się tylko w życiu społecznem. Człowiek jest zwierzęciem społecznem, natura zniewala go, aby żył w społeczeństwie, zniewala go do tego instynkt. Prawie instynktowo narzucają mu się dwa zasadnicze prawa moralne: nie czyń złego drugiemu i sobie — i czyń dobrze bliźniemu, jak możesz. Instynkt społeczny człowieka rozwija w dalszym ciągu rozum. Rozum z łatwością poznaje potrzebę solidarności i łączenia się z podobnemi sobie istotami do walki przeciw innym, przeciw wspólnemu wrogowi. Jest to objaw moralny. Solidarność i wzajemne zbliżanie się ludzi do siebie dla obrony swoich interesów, prowadzi do idei braterstwa ludzi i ludów. Socyalizm też, który podnosi te hasła, jest w istocie objawem moralnym, nawet wtedy, kiedy go się pojmuje po myśli Marksa. Socyalizm jedynie może stać się podstawą czysto rozumowej moralności. Nawet socyalizm, który wskazuje ziszczenie swych celów dopiero w przyszłości, stać się może oparciem dla moralności, bo hasłami swemi zbliża ludzkość do owych kresów, do których zdąża myśl i praca wieków.

Gabryel Séailles zaznacza krótko, że demokracya współczesna znajdzie sposób, jak będzie można uczynić ludzi godnymi wolnego i sprawiedliwego życia w społeczeństwie.

Z wielką natomiast zjadliwością wyraża się o moralności chrześcijańskiej Oktaw Mirbeau, znany radykalny pisarz francuski. Według niego religia zrodzić może moralność chyba niemoralną, bo prowadzi do kłamstwa i obłudy. Lada modlitwa i poniżający człowieka żal, choćby na sekundę przed śmiercią, wystarcza, aby być przyjętym przez Boga. Moralność chrześcijańska umie się na wszystkie strony układać, moralność zaś oparta na samym rozumie, mniej sobą kupczy i mniej się układa, dlatego ma mniej zwolenników wśród ludzi. Ale religia potrzebna jest panom i królom, bo im daje większą powagę i łatwiej jedna posłuch, dlatego kierownicy państwa nawet ateuszowskiego nie przestaną powtarzać dzieciom: Bóg sam jest wielkim, a panujący są jego pomazańcami.

M. Berthelot, chemik, uważa moralność chrześcijańską za wykwit filozofii greckiej. Religia sama jest bezpłodną dla moralności. Wiedza jest najlepszą szkołą moralności. Moralności nie trzeba łączyć z religią, bo ona tylko na wiedzy rozumowej może się szczęśliwie rozwijać.

Podobne zapatrywanie wygłasza Magnaud, z zawodu fizyolog. Wróg religii i metafizyki zapamiętały, nawet filozofię Kanta, tyle dziś sławionego wszędzie, śmie nazywać paplaniną. Metafizyka według niego wnet stanie w jednym szeregu z kamieniem mądrości i kwadraturą koła. Religia w jego oczach jest kłamstwem. Co w niej jest prawdziwego, to wzięli uczeni założyciele religii, jak Mojżesz, Mahomet, Jezus, ze swego doświadczenia. Ale to, co podawali, ubierali w powagę Boga, aby lud, skory do wiary w cuda, skorym był także do ślepego posłuszeństwa. Podstawą moralności może być tylko rozum i wiedza. Nauka może już dziś dać podstawę moralności, bo fizyologia, hygiena, socyologia, dość się już rozwinęły. Te to nauki uczą człowieka wstrzemięźliwości i solidarności, na nich zaś polega moralność.

Można tu jeszcze wspomnieć Juliusza Claretie i Aularda, którzy na przesłane im zapytanie dali także odpowiedź twierdzącą.

Dość długi szereg pisarzy i wycieczek przeciw moralności religijnej. Prawdopodobnie redakcya sama przechylała się na stronę moralności czysto rozumowej i chciała mieć większość głosów po swej stronie.

Ale życie jest silniejsze, niż doktryna. Wiedza i nauka moralnością jeszcze nie są, niekoniecznie nawet z moralnością idą w parze. Nauka i wiedza nie wyczerpują jeszcze całej energii człowieka, ani nie zaspokajają wszystkich jego władz. Można zdo-

być naukę i wiedzę, a można się czuć mimoto nieszczęśliwym. Stwórca wlał w człowieka jakiś instynkt nieskończoności, jakiś pęd niepohamowany ku temu, co wielkie i szlachetne. Stwórca dał człowiekowi serce, którem obejmuje człowiek bliższe i dalsze istoty podobne sobie i wylewa się miłością względem nich i wyrywa się ponad codzienne potrzeby ciała i dąży do rzeczy, których nie widzi i nie dotyka się. A serca nie zaspokaja jeszcze wiedza i nauka: wiedza i nauka raczej prą serce, aby się wznosiło wyżej ponad kwestye jadła i napoju. Serce żyje uczuciem i uczuciem się karmi i domaga czegoś więcej, niż dać może czysty rozum. Ta uczuciowa strona człowieka silniej się odzywa w ludziach szlachetnych i głębiej myślących, którzy chcą ogarnąć wszystkie władze ducha i ciała i chcą prowadzić ludzkość ku idealnym szczytom cnoty, dobra, piękna.

Między nadesłanemi odpowiedziami spotykamy i takie, które nie oświadczają się wyraźnie za moralnością religijną, nie przyjmują bez zastrzeżeń moralności chrześcijańskiej, ale też odrzucają możliwość oparcia całej moralności na samym rozumie.

Elizeusz Reclus twierdzi, że ani obecnie, ani w przyszłości nie da się oprzeć moralności ludowej na samym rozumie: bo człowiek oprócz rozumu ma także inne siły życiowe i w życiu potrzebuje w szczególności miłości i zapału. Miłość i zapał rozwijają w człowieku energię. Potrzeba tylko energię ludzką zwracać nie ku górze, ale ku ziemi, gdzie żyją ludzie-bracia, potrzeba, aby energia pracowała na świecie i dla świata, dla życia, dla drugich.

Emil Boutroux uznaje i w religii pewne dobre strony i te dobre strony dadzą się pogodzić z rozumem. Pierwiastek religijny polega na uczuciu, że rzeczy odnoszą się do pierwszej swej przyczyny, a w tem nie masz nic nierozumnego. Niektóre tylko religie wydają się rozumowi nieprzejednane. Człowiek w ogólności religii potrzebuje w życiu. Dla człowieka, który zastanawia się nad wszystkiem, wystarczy na wyrobienie moralności sam rozum, ale rozum sam musi ulegać wpływowi i wiedzy i życia i potrzebuje do pomocy także religii. Wiedza, życie i religia razem współdziałają w ciągu wieków przy urabianiu się moralności. Przestrzega jednak przed obłudą w szkole i nie godzi się, by inną moralność wyznawał nauczyciel a innej uczył dzieci i by sztucznie wpajał w dzieci szacunek dla zasad moralnych. Radzi wreszcie, by państwo nie robiło doświadczeń na narodzie, czy ta moralność

jest lepsza, czy inna, ale by starało się uczyć dzieci moralności dobrej i starej, moralności ich ojców.

Podobne zajmuje stanowisko poeta Sully-Prudhomme. I on pragnie, aby moralność przedewszystkiem odnosiła się do życia na ziemi, ale też pragnie życie na ziemi ożywić wszędzie myślą wyższą. Nie można uczyć dzieci moralności i opierać tę naukę tylko na rozumie, bo i sam minister nie potrafi dzieciom dostatecznie udowodnić, na czem polega różnica między dobrem a złem, że prawa muszą obowiązywać i ktoś nad niemi musi czuwać, że człowiek ma wolną wolę. Tych rzeczy człowiek się nie uczy, ale je czuje w sumieniu. Wiedza nie daje jeszcze moralności, może przeciwnie dopomódz komuś, że będzie jeszcze bardziej niemoralnym. Aby kogo uczyć ze skutkiem moralności, trzeba przedewszystkiem budzić w nim i rozwijać sumienie, które nie jest przedmiotem wiedzy. Więcej wagi trzeba kłaść na serce, niż na umysł.

Alfred Fouillée, którego H. Struve uważa za najwybitniejszego współczesnego filozofa francuskiego, wypowiada zdanie, że jest to nieumiarkowaniem, właściwem racyonalizmowi XVIII. wieku, chcieć, aby do głowy biednego dziecka szkolnego nie dostała się żadna idea, żadna wiara, jak tylko drogą poprzedniego rozumowania. Coby się stało z czytaniem poetów, jeśli każde piękno i dobro, zawarte w ich dziełach, ma być dzieciom dopiero udowadniane? Rozumowanie doprowadziłoby chyba do utraty rozumu. Człowiek potrzebuje także pewnych myśli wyższych. Każdy okres cywilizacyi miał swój zespół pewnej wiedzy i wiary żywej, z których powstawały jego myśli twórcze *(idées forces)*. Także nasz wiek ma swoje myśli twórcze, a dostarcza ich współczesna biologia, psychologia i socyologia wspólnie z filozofią i wiarą współczesną. Lecz nie należy się spodziewać, że młodzież dzisiejsza powróci do wiary wieków średnich, potrzeba więc dla niej moralności rozumowej, aby zachowała w całem życiu to, co poznała, jako prawdę. W szkole nie powinna mieć miejsca ani apologia wiary, ani jej krytyka. Przy wychowaniu trzeba mieć baczność na serce młodzieży, ale sercem religia wyłącznie nie włada, filozofia ma również pewne prawa wpływać na serce. Filozofia i religia próbowały każda na swój sposób zadowolić idealne dążności człowieka. Filozofia oddała nawet religii wielkie usługi, bo od niej pochodzi to wszystko, co w religii jest prawdziwego, dobrego i słusznego. I dziś nauka i filozofia wpływa na religię, na odwrót w zdrowej nauce i filozofii można rozpoznać

prawdziwą religię, religię moralną i społeczną. Rozszerzcie wiedzę i pogłębcie filozofię — woła filozof — a zobaczycie, że serce to jest wiedza wlana i wrodzona *(la science infuse et innée)*, dzieło wieków, coraz bardziej będzie zdobywało sobie prawa.

Inni uczeni silniej jeszcze zaznaczyli, że na samym tylko rozumie moralności opierać nie można; ci stanowią niejako przejście do tych, co się wyraźnie oświadczyli za moralnością opartą na wierze w Boga. Ekonomista Karol Gide wówczas tylko mógłby odpowiedzieć na pytanie, czy możliwą jest moralność ludowa, oparta na samym rozumie, gdyby widział lud jaki, wychowany na takiej tylko moralności i gdyby patrzał na ten lud bodaj przez dwa lub trzy pokolenia. Dotychczas ludu w tych warunkach nie widział, dlatego też wstrzymuje się z wypowiedzeniem swego zdania.

Emil Faguet stwierdza, że nie doszedł jeszcze do żadnego wniosku i żadnego nie wyrobił sobie dotychczas przekonania w tej sprawie. Najkrócej brzmiała odpowiedź Juliusza Lemaitre'a; powiedział tylko tyle: „Nie wiem, obawiam się, że nie". Kilka tych słów, napisanych niezawodnie po dobrym namyśle i rozwadze należytej, dowodzi co najmniej tej prawdy, że kwestya wiary, na której zwykle opieramy moralność, nie jest ani tak błahą, ani tak obojętną, jak to się zdaje niektórym ludziom. Nie można sprawy tej lekceważyć. Bagatelizowanie religii byłoby ciężkim grzechem przeciw moralności i przeciw społeczeństwu. Rzecz oczywista, że w szeregu rozmaitych pisarzy francuskich znaleźli się i wyraźni zwolennicy religii. Znalazłoby się ich we Francyi więcej, ale nie byli wezwani przez redakcyę *La Revue* do wypowiedzenia swego zdania. Niektórych jednak pominąć nie można było, wypadało nawet pomieścić głos księdza katolickiego — i tego więc redakcya nie zaniedbała. Na dobrym tonie Francuzom nigdy nie zbywa. Niewiele tu mamy nazwisk, za to myśli są tu jasne i proste.

Znany i u nas dość dobrze, Ferdynand Brunetière, literat i krytyk, rozwija myśl, że religia jest dla człowieka konieczną, że sam założyciel pozytywizmu, August Comte, uznawał tę konieczność, a nawet nową religię dla siebie wymyślił; potrzeba tylko w miejsce ludzkości w religii Comte'a postawić Boga; a mamy religię rzeczywistą. Dla moralności jest religia jedyną podstawą. Moralność, jeśli nie jest opartą na czemś bezwzględnem, na Bogu, nic nie znaczy. Rozum może wynajdować więcej lub mniej doskonałe systemy moralne, ale nie ma mocy nakazać lu-

dowi stosowania się do nich. Pełnienie moralnych czynów tam tylko stać się może powszechnem, gdzie jest powszechna wiara. Mówi się o moralności żydowskiej, chrześcijańskiej, muzułmańskiej lub buddyjskiej i słusznie, bo tę moralność praktykują masy — o moralności stoickiej, platońskiej nie mówi się, bo są to tylko systemy filozofii moralności, które przyjęli niektórzy stoicy lub niektórzy Platończycy.

A. Mezières słusznie wskazuje na fakt, że w czasie rewolucyi wielkiej wynaleziono boginię Rozumu, ale bogini ta ludziom nie zastąpiła religii i wkrótce powrócono do wiary w Boga. Sądzi, że i w przyszłości nie będzie można Boga zastąpić rozumem.

Obszerniej omawia tę sprawę Anatol Leroy-Beaulieu, prezydent ligi przeciw ateizmowi. Zwraca uwagę, że w historyi spotykamy zawsze moralność ściśle połączoną z religią. Nawet wśród jednostek wyjątkowo tylko spotyka się moralność bez wiary. Religia jest podstawą moralności. Zabobonem nazywa wiarę w postęp moralny społeczeństwa, jeśli się społeczeństwo pozbawi wiary, na której opiera się moralność. Jeśli była gdzie moralność niezależna od religii, to była tylko wśród niewielu i była to moralność pańska. Chociaż dziś wiara u wielu znikła, to trzeba pamiętać, że atmosfera moralna unosi się w społeczeństwie, jakby zapach po wonnościach dawnej wiary. Co będzie, jeśli ta woń zupełnie się ulotni? Moralność bez Boga jest podwójnie niższą od moralności chrześcijańskiej: jest gorszą co do jakości i słabszą co do skuteczności. Wystarczy popatrzeć się na stosunek moralności niezawisłej *(laïque)* do czystości i do zmysłowości, jak pojmuje małżeństwo, aby ocenić, o ile wyżej stoi moralność chrześcijańska. Jasną też jest rzeczą, że moralność czysto rozumowa podległą będzie zupełnej dowolności, może mieć tylko względną moc obowiązującą, bo narażona jest na ciągłe roztrząsanie, na ciągłe zmiany, a nawet na zaprzeczenia, religia natomiast daje moralności podstawę niewzruszoną i bezwzględną. Religia nadto podaje wiele środków pomocniczych, których wiedza moralności czysto rozumowej nie da. Zwraca wreszcie uwagę na napisy nad łóżkami po zakładach klasztornych dla dzieci: „Bóg mnie widzi“ i pyta się, czem skuteczniejszem możnaby te słowa zastąpić u dziecka, aby w niem wyrobić sumienie czułe i delikatne.

Na samym końcu wspominam o odpowiedzi ks. Gayraud'a, deputowanego do paryskiej izby posłów z Normandyi. ks. Gayraud zauważa, że lud prosty i dzieci nie dochodzą do poznania moral-

ności przez rozumowanie i osobistą krytykę, ale przez uczenie się od innych: nie jest więc rzeczą pożądaną zalecać im moralność czysto rozumową. Jako ksiądz katolicki podnosi, że ludzkości P. Bóg wyznaczył cel nadprzyrodzony, a do celu nadprzyrodzonego potrzeba także środków nadprzyrodzonych, te zaś wskazać może jedynie moralność chrześcijańska, oparta w znacznej części na prawdach objawionych. Moralność chrześcijanska ma i tę przewagę nad moralnością niezależną, że jest bezwzględną, że dosięga woli człowieka wszędzie i zawsze.

Takie wyrażano zapatrywania o stosunku religii do moralności, o moralności i religii, o moralności, opartej na wierze w Boga i o moralności czysto rozumowej, od wiary niezależnej. Chodziło w całej sprawie nie tyle o moralność samą, ile raczej o religię, czy jest potrzebna społeczeństwa, czy nie.

Spotykamy zdania za religią, a spotykamy więcej zdań przeciw. Zarzuty, podnoszone przeciw opieraniu moralności na religii, znamy, znamy też powody, dla których inni uznali moralność czysto rozumową za niewystarczającą dla ludzi. Odpowiedzi zwolenników moralności religijnej odpierają wprawdzie zarzuty przeciwników, ale czynią to tylko ubocznie, bo polemika nie była celem ich pisania. Wypada więc zebrać różnorodne owe zarzuty i im poświęcić słów kilka.

Wielu autorów wychodziło z założenia, że moralność rozumowa a moralność religijna, rozum a wiara — to rzeczy zupełnie sobie obce, a nawet wręcz sie wykluczające. Stojąc na takiem stanowisku, sądziło, że usuwa się religię, jeśli się każe przy uczeniu moralności, uwzględniać wyniki rozmaitych nauk świeckich, jak hygieny, socyologii, filozofii. Pogląd taki dowodzi jednak zamieszania pojęć i niezdawania sobie sprawy, jak się ma rzecz z rozumem i wiarą, względnie z moralnością.

W jakim stosunku zostaje rozum względem wiary chrześcijańskiej, która jest religią objawioną?

Teologowie wiedzą, że uczenie się dogmatyki szczegółowej poprzedza nauka o prawdach wstępnych, zwanych *praeambula fidei,* o znakach *(criteria),* po których można poznać i rozróżnić prawdziwą religię objawioną, a tak *praeambula fidei,* jak i *criteria revelationis* roztrząsa się i dowodzi jedynie rozumem i niczego się nie przyjmuje, czego rozum poprzednio dostatecznie nie udowodni i nie pojmie. Wiara ma być przecież *rationabile obsequium.* Tylko na gruncie przez rozum przygotowanym i wygładzonym, buduje się gmach nauki chrześcijańskiej, podaje się szczegółowe prawdy

objawione, a nie zapomina się nigdy o owych prawdach wstępnych i znakach, uznanych poprzednio przez rozum. Podobnie uderzać musi każdego aż do znudzenia jednostajna metoda scholastyczna w teologii, że przy każdem twierdzeniu obok dowodów z Pisma św. i tradycyi, spotykamy zawsze dowód rozumowy *(ex ratione)*. Może ten dowód nie jest wystarczającym, ale nie jest pominiętym przy żadnej tezie. Jest to oczywistym dowodem, że teologowie katoliccy nie widzieli i nie widzą przeciwieństwa między rozumem a wiarą, ale rozum i wiarę uważali za dwie blizko siebie położone drogi, które zgodnie prowadzą człowieka do Boga-Stwórcy.

Podobnie i przy moralności, jakąkolwiek by ona była, wielką rolę odgrywa rozum. Normą, wedle której oceniamy czyn jakiś jako moralny lub niemoralny, jako dobry lub zły, jest w ogólności prawo. Jeśli pominiemy na chwilę prawa pozytywnie przez Boga objawione — to ogół praw moralnych, bezpośrednio albo pośrednio, opiera się na prawie natury. Ale prawo natury nie jest człowiekowi wlane, ani nie jest ujęte w żadną formę gotową — to tylko wrodzona zdolność człowieka,[1]) że poznaje i ocenia czynności pewne jako zgodne z rozumem lub niezgodne, jako dozwolone lub niedozwolone, jako dobre lub złe. Rozum więc jest tą drogą, jaką człowiek zazwyczaj dochodził do poznania praw moralnych. Może szkoła i społeczeństwo tę pracę młodym ludziom ułatwiać, mogą pewne zasady moralne i zwyczaje przez wychowanie i otoczenie z łatwością się przyjmować, może i prawo dziedziczności wyrabiać u ludzi pewne skłonności moralne — to wszystko jednak nie umniejsza znaczenia rozumu przy tworzeniu się moralności indywidualnej i społecznej. Wszystkie też czynniki, które rozwijają rozum i posuwają naprzód wiedzę, pośrednio wpływają także na pojęcia moralne. Pewne ogólne zasady moralne znachodzą się wprawdzie u wszystkich ludów, ale szczegółowe prawa moralne i pojęcia zazwyczaj w każdym narodzie są odmienne. Odmienność ta tłumaczy się w sposób bardzo prosty. Doświadczenie życiowe, różne przemiany społeczne, wynalazki i od-

---

[1]) Wiktor Cathrein S. J. określa prawo natury w ten sposób: „das uns von Natur innewohnende Licht der Vernunft, durch welches wir erkennen, was wir tun und meiden sollen“ albo „die uns vom Schöpfer durch die Natur mitgeteilte Erkenntnis, dass wir die unserer Natur entsprechende Ordnung im Handeln einhalten sollen“ (Moralphilosophie IV. Auflage I. 344 i 345).

krycia, wzbogacają wiedzę, rozwijają umysł i sprawiają, że rozum z tych samych zasad ogólnych wyprowadza coraz dalsze wnioski, coraz dokładniejsze określenia, albo też te same zasady uczy się inaczej stosować. Możemy powiedzieć, że dziś człowiek w życiu zachowuje się inaczej, niż przed lat tysiącem, bo rozum odmiennej dziś pojmuje wiele rzeczy, niż wtedy, dokładniej poznaje to, co zowiemy porządkiem moralnym albo prawem natury, a poznaje dlatego dokładniej, bo wzbogacił się pracą i doświadczeniem wieków. W ten sposób łatwo zrozumieć i zgodzić się na to, że były w rozwoju pojęć moralnych pewne okresy, że w pewnych okresach mogły być właściwe im tylko prądy i myśli przodujące, które ludzkość pchały do czynów.

Nie ucierpi rozum na znaczeniu nawet wówczas, jeśli wprowadzimy na widownię prawa i prawdy objawione. Przedewszystkiem bowiem rozum sam ma się upewnić, że fakt objawienia miał miejsce, a następnie może dochodzić, co właśnie zostało objawionem. A jeśli się rozum o tem dostatecznie upewni, to co ztąd wynika? Oto ma dane prawdy bezwzględne, od niego zgoła niezawisłe, których nie może odmienić i których nie wolno mu przestępywać, które wreszcie mają być drogowskazem w ciągu całego życia. Św. Tomasz z Akwinu w kilku słowach określa dokładnie stosunek objawienia do rozumu, mówiąc, że prawo Boże dane jest człowiekowi jako pomoc dla prawa naturalnego.[1]) Według tego określenia rozum nawet po objawieniu ma ogromne pole pracy, ma przecież sądzić przy każdym poszczególnym czynie, czy postępuje według prawd objawionych, czy prawo objawione dobrze stosuje, czy z praw objawionych właściwe wyprowadza wnioski. Być może, że przedtem prawo objawione nieco mylnie stosował; dziś z postępem wiedzy stosuje je inaczej. Zresztą praw objawionych co do liczby jest stosunkowo niewiele — i dziś więc rozum sam rozwija w dalszym ciągu prawa moralne i korzysta tu z nowych doświadczeń i wyników wiedzy nowoczesnej, a baczyć tylko musi na owe prawdy objawione, aby moralność nie poszła na tory objawieniu przeciwne, wówczas bowiem moralność stałaby się niemoralną.

Ten krótki wywód niech starczy za dowód, że rozum nie jest antytezą wiary, ani antytezą moralności religijnej, że z wiedzą i doświadczeniem i postępem moralność chrześcijańska zry-

---

[1]) Lex divina profertur homini in auxilium legis naturalis (Summa c. Gent. lib. III. cap. CXVII.)

wać nie może, że czynniki te, na których chcą niektórzy uczeni budować moralność czysto rozumową, zajmują należne im miejsce i w moralności chrześcijańskiej.

Druga uwaga ogólna odnosi się do autonomii woli i rozumu. Wielu z pisarzy współczesnych wypowiada zdanie, że czyn dobry, wykonany z pobudek wiary, nie jest uczynkiem moralnie dobrym. Tkwi w tem zarzut, że religia posługuje się groźbą i obietnicą, karą i nagrodą, że podaje nakazy, które nie pochodzą od rozumu, ale zkądinąd. Do istoty moralności należy według tych pisarzy autonomia, to znaczy, że czyn wtedy tylko może być moralnym, kiedy się spełnia własne swoje prawo. Autonomia taka stała się dziś hasłem; heteronomie, czyli poddawanie się obcemu prawu z góry uznaje się za niemożliwe do pogodzenia z moralnością. Pogląd taki dziś wśród filozofów francuskich i niemieckich jest bardzo rozpowszechnionym. Jedni przedewszystkiem powołują się na autonomię rozumu, inni upatrują źródło moralności w jakimś bezwiednym zmyśle moralnym, który ma siedzibę w woli człowieka — a wszyscy nazywają czyny niemoralnymi, jeśli wypłynęły z pobudek zewnętrznych. Rozum przedstawia woli pewne czyny jako dobre, inne jako złe; wola ma te czyny spełniać dla tej tylko przyczyny, że je rozum jako dobre przedstawia i nakazuje, a nie ma się oglądać na żadne inne względy. Jeśli człowiek postępuje dobrze wskutek obawy przed karą, nie postępuje moralnie, bo nie spełnia wprost nakazu rozumu. Nagroda czy kara, to dla jednostek kwestya interesu -- ale interes nie rozstrzyga o wartości moralnej; normą moralności jest tylko nakaz, imperatyw rozumu, że coś trzeba czynić, jako dobre. Czynić, co nie jest nakazane wprost rozumem, nie jest czynieniem moralnem.[1]) Wszystkie tego rodzaju zapatrywania, oparte są na filozofii Kanta, który dziś po 100 latach święci tryumfy.

Jakież stanowisko zająć może moralista chrześcijański wobec tej autonomii, niezależności rozumu i woli?

W książkach teologicznych, a nawet w obszerniejszych katechizmach, spotykamy twierdzenia, że żal za grzechy z obawy przed karą i tylko z obawy, bez wewnętrznego odwrócenia się od grzechu, nie jest żalem wystarczającym do odpuszczenia grzechów przy spowiedzi. Rozróżniają moraliści katoliccy obawę niewolniczą i obawę synowską. Obawa niewolnicza jest wtedy, kiedy człowiek

---

[1]) Por. artykuł Ad. Żółtowskiego w Bibl. Warsz z października 1905 o Teodorze Lippsie, idealiście niemieckim.

z lęku tylko zaprzestaje jakiejś czynności, ale w sercu jest do niej przywiązany i nie zaprzestałby jej, gdyby się nie lękał. Rozróżniają też moraliści katoliccy miłość bezinteresowną *(amor benevolentiae)* i miłość mającą własną korzyść na względzie *(amor concupiscentiae)* i pierwszej dają znacznie wyższą wartość, niż drugiej. Te dwie uwagi dowodzą, że moralistom katolickim nie jest rzeczą obcą rozpatrywanie stosunku kary lub nagrody i pożytku (interesu) do moralności: dowodzą także, że w myśl moralistów katolickich, moralność czynu nie na karze, ani pożytku polega.

Różnicę między dobrem a złem upatrują moraliści chrześcijańscy nie w tem, że za ten czyn obiecana jest nagroda, a za tamten kara, ale w tem, że ten odpowiada porządkowi przez Boga ustanowionemu, o ile go poznaję rozumem, tamten zaś się sprzeciwia. Porządek moralny ma źródło swoje w Rozumie i Woli Bożej, nie w nagrodzie i karze. Człowiek postępuje wówczas doskonale, kiedy się przystosowuje do porządku moralnego, kiedy się nie ogląda na nagrodę lub karę, ale spełnia czyny dobre dlatego, że są dobre, że się jest do nich obowiązanym, że odpowiadają porządkowi moralnemu. Nagroda i kara w moralności chrześcijańskiej mają znaczenie tylko pomocnicze; mogą być rodzajem zachęty lub przestrogi, mogą być wyrazem nadziei wyrównania w życiu przyszłem wszelkich nierówności życia teraźniejszego: są wyrazem wiary, że jest Istota Wszechwidząca, która kiedyś odda każdemu wedle uczynków jego — ale nagroda nie czyni z uczynku złego cnoty, ani kara nie czyni z dobrego uczynku, występku. Różnica między dobrem a złem, według moralistów chrześcijańskich, jest wynikiem porządku moralnego, opartego ostatecznie na Rozumie i Woli Boga, jest czemś bezwzględnem, od człowieka niezawisłem, czemś, co się narzuca człowiekowi za pośrednictwem rozumu, jako nakaz, ale nakaz nie znoszący wolnej woli człowieka — a nagroda i kara to tylko następstwa naszych czynów, sankcya ze strony prawodawcy.

W przedstawionych pojęciach moralistów katolickich i autonomistów, dają się zauważyć pewne punkty wspólne. Wspólne jest zapatrywanie, że prawa moralne za pośrednictwem rozumu narzucają się woli, jako nakazy jakieś bezwzględne, że pełnienie dobrego bez oglądania się na nagrodę jest rzeczą moralnie doskonałą, a zaprzestanie złego z obawy niewolniczej jest rzeczą moralnie złą. Co do reszty, nie trudno będzie wykazać, po czyjej stronie słuszność.

W każdem społeczeństwie uporządkowanem muszą być nagrody i kary — nikt chyba temu nie ośmieli się przeczyć, nikt przynajmniej z tych, co na mocy stanowiska swego musieli czuwać nad zachowaniem porządku i bezpieczeństwa publicznego. A przecież ludzkość cała jest także jednem wielkiem społeczeństwem i jak potrzebuje dla zachowania moralności praw moralnych, tak też potrzebuje nagrody i kary. Prawa moralne poznają ludzie przyrodzonem światłem rozumu, rozum też każe spodziewać się nagrody lub kary, a wiara nadzieję tę umacnia. Okoliczność, że moralność chrześcijańska odkłada nagrody i kary na życie przyszłe, istoty rzeczy nie zmienia, bo nagrody i kary w życiu ziemskiem nie są tem samem zabronione, ani zniesione, a z drugiej strony życie przyszłe jest życiem tych samych jednostek, które żyły na ziemi, podmioty więc kary lub nagrody będą te same zawsze.

Nic też nierozumnego, a tem samem i nic niemoralnego nie widać w fakcie, że ludzie w życiu oglądają się na nagrodę i karę: ta właśnie okoliczność jednych odciąga od złego, drugich do dobrego zachęca. Taka już natura ludzi i nikt jej nie zmieni. Chrześcijanin wierzący będzie w tem upatrywał dowód celowego urządzenia świata, że na człowieku mści się grzech, a cnota sprowadza błogosławieństwo, że człowiek pozostaje zawsze wolnym i sam tylko może być sprawcą czynów swych moralnie dobrych lub złych, że jednak owa wolność człowieka ma pewną przestrogę w karach i nagrodach, których się rozum domaga. Wszyscy też w życiu kierujemy się potrosze interesem, choć co prawda nieraz zupełnie odmiennym. Trzeba się zaś liczyć z rzeczywistością, bo nie piszemy oderwanych systemów filozoficznych dla mieszkańców innego planety. Zapominać o prawdzie życia, nie jest filozofią zdrową, ale zabawką doktrynerów.

Jest też pewna niejasność w żądaniu autonomistów, by czyny dobre spełniane były tylko z nakazu rozumu własnego. Zauważyć bowiem trzeba, że nie każdy ma możność dochodzenia własnym rozumem, co jest dla niego prawem moralnem, nie każdy może uzasadnić, dlaczego to jest moralnie dobrem, a tamto złem. Z drugiej strony i katolik, jeśli świadomie wykonywa dobry uczynek, to wykonywa dlatego, że tak nakazuje rozum. Głos sumienia nie jest przecież niczem innem, jak tylko sądem praktycznym rozumu, to znaczy, że rozum nakazuje lub zakazuje spełnienia jakiegoś czynu. Inna rzecz, w jaki sposób ten głos sumienia w człowieku się wyrobił. Trudno w każdym razie odmawiać

człowiekowi prawa korzystania z wiedzy i doświadczenia innych. Gdzieżbyśmy byli, gdyby każdy z nas zaczynał *ab ovo* pracę, gdyby nie przyswajał sobie i nie korzystał z tego, czego dokonali nasi poprzednicy? Wolno mi zatem, jeśli sam nie wiem, poradzić się drugiego, wolno mi tu korzystać z prawd nawet objawionych. Jeśli rozum w ten sposób doszedł do utworzenia własnego sądu praktycznego, to jeszcze prawa jego nie zostały uszczuplone i nakazy te obowiązują wolę i spełnianie tych nakazów rozumu nie jest rzeczą nierozumną, ani też nie może być rzeczą niemoralną. Jeśli więc autonomii woli nie pojmuje się po doktrynersku, to da się zupełnie pogodzić z moralnością chrześcijańską; a jeśli kto się upiera przy swej autonomii i bezwzględnie jej strzeże przed wpływem zewnętrznym, to znów wikła się w sprzeczności z samym sobą, staje w sprzeczności z prawdą życia.

Wyjaśnienie stosunku rozumu do wiary i moralności i wyjaśnienie autonomii — daje ogólną odpowiedź na zarzuty, czynione moralności religijnej, wspomnę jednak coś jeszcze i o innych.

Powiedziałem wyżej, że moralność oparta na religii, w szczególności moralność chrześcijańska, nie wyklucza ani postępu, ani nie zachowuje się obojętnie wobec wyników socyologii i nauk przyrodniczych. Moralność chrześcijańska musi uwzględniać i rozwój stosunków społecznych i postęp wiedzy. Niema też podwójnej moralności chrześcijańskiej, innej dla panów, innej dla biednych, bo i fundament jej, religia chrześcijańska, jest jedną tylko dla wszystkich. Moralność chrześcijańska z natury swej wpływa na warstwy niższe uspakajająco i łagodząco, równocześnie jednak przypomina obowiązki, ciążące na możnych, więcej żąda od tych, którym więcej dano. Ruch społeczny dokonywa się zazwyczaj wskutek rozmaitych przyczyn, działających poza moralnością, ale też moralność chrześcijańska ruchu tego nie potępia i nie zakazuje. Jeśli prąd czasu przynosi ruch emancypacyjny klas ubogich i robotniczych, to moralność chrześcijańska tego nie potępia, ani nie widzi w tem czegoś niemoralnego. Przeciwnie nawet, wiara w jednego Boga, wspólnego Ojca całej ludzkości, w równą wobec Boga wartość każdej duszy ludzkiej, w braterstwo tych, których Chrystus wiąże — dostarcza dążeniom klas niższych do emancypacyi silnych a szlachetnych pobudek.

Czy naprawdę dzisiejsi moraliści bezbożni stawialiby jako myśli najwznioślejsze w swoich systemach moralnych ideę braterstwa ludzi i ludów, gdyby tej idei nie objawiła światu Ewangelia?

Wieki średnie z feudalizmem i rycerstwem, wieki późniejsze ze szlachtą i przywilejami stanów, są różnemi fazami w rozwoju społecznym. Faz tych nie wytworzyła moralność chrześcijańska, dokonały tego inne czynniki, moralność chrześcijańska musiała się tylko z tym faktem, jak i z wielu innymi, liczyć i oddziaływać po swojemu, aby i w takich stosunkach społecznych działa się wszystkim względna sprawiedliwość. Dziś mamy odmienny ustrój społeczny, a i w tym ustroju działa moralność chrześcijańska i nakazuje wszystkim pełnienie sprawiedliwości. Rozwoju społecznego ona nie wstrzymuje. Można np. równe, powszechne, tajne i bezpośrednie wybory zwalczać i można przeciw nim różne wysuwać względy, można je zwalczać w imię rozmaitych haseł, ale nie można ich zwalczać w imię moralności chrześcijańskiej, bo wybory pośrednie lub bezpośrednie z moralnością chrześcijańską się nie łączą. Fazy rozwoju społecznego zmieniają się, moralność w zasadach swoich się nie zmienia, bo w każdym okresie ona ma wskazywać ludziom obowiązek czynienia dobrego.

Nie jest więc moralność chrześcijańska rodzajem żandarmeryi, zabezpieczającej klasie wyższej posiadanie majątków i przywilejów, bo ona z natury swej bierze w obronę raczej ubogiego i słabszego, a wszystkim każe oddawać to, co się im należy. Wieki średnie ze szpitalami trędowatych, z zakonami szpitalnymi, domami przytułku, z wykupywaniem niewolników, dość jasnym są dowodem, że moralność chrześcijańska jest nieskończenie czemś większem i wyższem od żandarmeryi zabezpieczającej majątki bogatym. Inna rzecz, że nie wszyscy, którzy się przyznają do moralności chrześcijańskiej, pełnią jej przepisy; wina to jednak ludzi, nie moralności. A niech kto wskaże moralność, którąby w całości zawsze praktykowali wszyscy jej zwolennicy!

Ale są wielkie różnice i spory między religiami i wyznaniami — jakżeż na nich oprzeć moralność, która ma być jedną dla wszystkich?

A jakżeż oprzeć moralność na samym rozumie, skoro tak wielka różnica w sposobie myślenia i rozumowania u ludzi? Co głowa, to rozum. Nie byłoby tyle kłótni religijnych i sporów wyznaniowych, gdyby rozumy ludzkie jednakowo pracowały. Zdaje się, że więcej jest sporów i różnic między uczonymi i filozofami, niż między wyznaniami. Jasną jest rzeczą, że i pomysły uczonych i religie rozmaite mają wspólne pewne pojęcia, na których możnaby oprzeć moralność, jeśli jednak zależy komu na wynalezieniu jak najszerszej dla moralności podstawy, to szukać jej trzeba ra-

czej w religiach, niż w systemach filozoficznych lub w pomysłach uczonych. Jeśli mniej będą się różnili między sobą uczeni, mniej też będzie sporów między wyznaniami.

A owa wiara w przyszłe szczęście ludzkości na ziemi, w braterstwo ludów, czy może się stać normą i punktem wyjścia moralności?

Szlachetne to marzenia, ale prawdopodobnie marzeniami pozostaną. Jeśli dziś liczba wierzących w ideały chrześcijańskie, wedle niektórych, nie jest wielką, to chyba znacznie mniejszą jest liczba wierzących w niezawodne szczęście przyszłe ludzkości. Moralność oparta wyłącznie na takiej wierze, byłaby zbyt subjektywną i zależną od poglądów działającego. Trudnoby też było ująć taką moralność w konkretne normy, obejmujące całość życia: nie miałaby nadto ani sankcyi potrzebnej, ani mocy obowiązującej. Przecież i moralność chrześcijańska nie zakazuje pracować dla przyszłego szczęścia ludzkosci, ani nie wyklucza starań, by np. przyszłemu pokoleniu zapewnić zdrowie, a uchronić je od chorób dziedzicznych — a jakaż rękojmia, że moralność oparta na wierze w szczęście ludzkości, będzie skuteczniejszą?

Najmniej zasłużenie gniewał się p. Mirbeau na etykę katolicką, że się układa ze wszystkiem, że lada modlitwa, lada żal wszystko odpuszcza. Lada modlitwa wszystkiego nie odpuszcza, trzeba żalu i to żalu serdecznego, a nie jest on zbyt łatwym dla tych, którzy nigdy nie myśleli o swoim stosunku do Boga. Zresztą moralność katolicka mówi jeszcze o czyśćcu po śmierci, gdzie każdy musi wszystko odpokutować aż do ostatniego szelążka. Nie może się też ona układać z okolicznościami więcej, niż jakakolwiek moralność czysto rozumowa, bo w religii katolickiej są pewne prawdy objawione i od tych nikomu odstępować nie wolno. Stosowanie tych norm, objawionych w życiu tak tu, jak w każdej innej moralności, odbywa się przez rozum, nieraz za wpływem woli, wola więc i rozum, a nie religia katolicka, odpowiadają za niemoralne postępowanie niektórych osób. Nie gniewać nam się też na to, że P. Bóg łączy sprawiedliwość z miłosierdziem i nie odpycha upadłego człowieka, jeśli bodaj minutę przed śmiercią zwróci się do Niego w pokorze i żalu.

Obrońcy moralności chrześcijańskiej słusznie powołują się na doświadczenie i historyę. Jeśli przyjmiemy za miarę moralność chrześcijańską, a ta przecież jest u nas panującą — choćbyśmy nawet pominęli obowiązki religijne — to mniej moralności znajdziemy wśród niewierzących niż między wierzącymi. Codziennie

spotykamy dowody, że niewiara otwiera na oścież wrota niemoralności. Ale niewierzący tworzą sobie zazwyczaj moralność własną i tę tłumaczą dowolnie, a jeśli popełnią uczynek moralnie zły, znajdą sposób, aby go usprawiedliwić i piętno zła z niego zrzucić. Jeśli ja sam mam być dla siebie prawodawcą, to nałożę na siebie prawa takie, jakie odpowiadają mojej indywidualności, a wyjątkowe to będą natury, które stale będą przestrzegały tego, co raz uznają za obowiązek. Moralność subjektywna zawsze będzie zdaną na łaskę ludzi, a doktrynerstwem jest uznawać kategoryczne nakazy moralne, bez osoby nakazującej. Często pozbywają się ludzie wiary w Boga dla tej tylko przyczyny, aby się czuć wolniejszymi, aby nie były zganione uczynki ich. Wybierają moralność niezależną, bo ta ich mniej wiąże i nie powoduje żadnych wyrzutów sumienia. Łatwo oszukać społeczeństwo i poza jego oczyma zachowywać się niemoralnie; przed Bogiem skryć się nie można i Jego nigdy nie można oszukać. To jedno: „Bóg mnie widzi", ma tak głębokie znaczenie i tak dosięga człowieka w tajnikach duszy, że żadna etyka niezależna czynnika tak silnie działającego na wolę i wyobraźnię człowieka nie podaje. Jeśli moralność chrześcijańska wielu wydaje się mało skuteczną, to daleko mniej skuteczną będzie dla ogółu społeczeństwa etyka niezależna.

Tak w teoryi — a w praktyce?

Dopóki mamy do czynienia z ludźmi wierzącymi, dopóty sankcya owa Boża, owo czuwanie Boga nad zachowaniem Bożych nakazów i zakazów ma stokroć większe znaczenie, niż sankcya i czujność państwa lub społeczeństwa, bo ani państwo ani społeczeństwo nie dochodzą do myśli człowieka, ani nie mają daru wszechwiedzy, ani przywileju nieomylności. Bywali i w naszej Polsce panowie, którzy napadali, kogo chcieli, drwili sobie z państwa i społeczeństwa, a drżeli na myśl o sądzie Bożym; ta myśl prowadziła ich nieraz na starsze lata na pokutę w ustronia klasztorne. A cóż z człowiekiem niewierzącym?

Wolno zaznaczyć, że i niewiara nie jest znów rzeczą nadzwyczaj łatwą. Ludzie raczej wmawiają w siebie niewiarę, niż są przekonani o nieistnieniu tych rzeczy, które podaje wiara. Sam słyszałem, jak pewien młody człowiek wykształcony, w kółku znajomych w ciągu dyskusyi na temat religii, kilka razy powtarzał, że chciałby się całkiem pozbyć wiary, a nie może. Wiara w Boga ma przecież wielką podporę w całym porządku i ustroju świata i nie jest tak niemądrą, aby ją można zniszczyć mądrością pierw-

szego lepszego uczonego. I strona uczuciowa człowieka domaga się jej i czuje człowiek pewien brak w sobie, jeśli tam niema miejsca dla Boga. Religia jest jedną z tych rzeczy, których potrzebuje natura ludzka dla swego rozwoju i szczęścia. Ale w każdym razie znachodzą się tacy, którzy się do niewiary głośno przyznają — na nich religia działa chyba pośrednio przez społeczeństwo, bezpośrednio nie działa — dla takich sankcyę porządku moralnego przedstawia tylko społeczeństwo lub państwo.

Siła jednak sankcyi społeczeństwa z sankcyą religijną równać się nie może. Tresowanie dobre jest dla zwierząt, dla ludzi nie wystarcza. Sankcya społeczeństwa nie wszędzie dojrzy, nie przemówi do sumienia. Jeśli zatem jednostka w młodych latach nie utrwaliła się w dobrem dzięki wychowaniu domowemu i wpływowi otoczenia, to moralność świecka takiego nie uszlachetni, chyba wyjątkowo. Kara ze strony społeczeństwa nie zawsze winnych dochodzi, o szacunek u ludzi można się postarać w łatwiejszy sposób, niż przez cnotę wzgardzoną. Spryt i rafinerya, z jaką się wykonywa swoje plany, daje własne zadowolenie. Myśl o poświęcaniu się dla drugich i przyszłych pokoleń wyda się może komu śmiesznem marzycielstwem. Uprawianie cnoty dla cnoty nazwie kto może niedorzecznością. Dlaczego nie miałby czynić, co mu się podoba, do czego czuje skłonność? Dlaczego ma poświęcać się dla społeczeństwa? Dlaczego nie ma korzystać z przewagi swojej, gdy się nadarza dobra sposobność? Jest to wprawdzie moralność interesu, ale czemu nie wolnoby jej się trzymać? Jakiś tam arystokrata duchowy, który ma poddostatkiem wszystkiego, może lekceważyć zwykły interes, dla niego bowiem interesem będzie odszczególniać się swem postępowaniem i swą nauką od szarego tłumu, zyskać sławę przez nowe pomysły, przejść do świątyni wielkich ludzi — i dlatego zdobędzie się na siłę wytrwałości, na stałe doskonalenie się w jednym kierunku, choćby go to wiele kosztowało. Ale biedak, o którym nikt prawie nie myśli, który do potomności nie przejdzie, hołdów od nikogo nie odbiera, pochwał i uznania ze strony społeczeństwa nie słyszy, dlaczego on ma się krępować, dlaczego ma słuchać nakazów moralnych, wbrew swemu interesowi, jeśli nikt na świecie tego nie uzna, nie nagrodzi w jakikolwiek sposób?

Wobec takich pytań moralność niezależna jest bardzo słabą i chwiejną i w tem właśnie jest jej niższość wobec moralności chrześcijańskiej, w tem jej niedostateczność. Dla jednostek, które nie przyznają się do żadnej religii, lepiej jest, jeśli przestrzegają

bodaj moralności czysto rozumowej, bo i taka moralność może mieć dobry wpływ w pewnym kierunku, podnosi wartość człowieka, wyjątkowo nawet może porywać do ofiar i poświęcenia — ale dla ogółu, dla społeczeństwa moralność świecka jest bardzo niewystarczająca. Pomyślność i zdrowie społeczeństwa wymaga moralności opartej na wierze chrześcijańskiej, bo w cieniu tej wiary najłatwiej krzewią się cnoty i dobre obyczaje, najpiękniej rozwijają się uczucia szlachetne, ofiarne. Choćby zatem część tylko społeczeństwa przyznawała się do wiary, to społeczeństwo i dla tej części powinno dbać o wiarę i popierać ją, nie krępować, ani osłabiać. Z wiary i z moralności na niej opartej pośrednio korzystają zresztą i niewierzący. Dzięki bowiem moralności chrzecijańskiej, utrzymuje się w społeczeństwach europejskich stale suma pewnych pojęć moralnych i owa atmosfera moralna, z której czerpie dla siebie pokarm moralność niezawisła. Chmiel się wznosi wysoko, jak długo się trzyma tyki: gdy tyki zabraknie, chmiel będzie leżał na ziemi, aż zgnije. Można wiele wymyślać zarzutów, nie twierdzę, że słusznych — przeciw moralności chrześcijańskiej, ale jej treścią karmi się wszelka etyka czysto rozumowa. Niezmiennością swoją, budową, siłą, pięknością, sankcyą swoją, moralność chrześcijańska przewyższa śmiało wszystkie inne i dla społeczeństwa, dla mas ludowych, ona jedna nadaje się w jak najwyższym stopniu. Bezpośrednio działa na wierzących, pośrednio wspiera moralność niewierzących, na nikogo nie może oddziaływać źle, dla wielu staje się jedyną pociechą i przewodniczką w życiu, na społeczeństwo nie sprowadzi żadnego nieszczęścia, może się stać natomiast dla niego silną podporą, dla ludzi w smutku i ucisku może się stać jedyną dźwignią i pociechą. We własnym tedy interesie winno społeczeństwo popierać moralność chrześcijańską.

Jeszcze jeden moment, na który zwrócił uwagę ks. Gayraud. Z woli Bożej jesteśmy powołani do celu nadprzyrodzonego, a do tego celu dał nam P. Bóg środki nadprzyrodzone, przykazania, rady, Sakramenty święte — wszystko to obejmuje moralność chrześcijańska. Moralność chrześcijańska obejmuje i nadzieję i miłość i rozwija te uczucia i ma dość siły, aby uszlachetniać serca, podnosić myśl ku najwznioślejszym ideałom i wywołać uniesienia czyste, proste, niewinne, wpływać na jednostki i masy, goić rany, cieszyć smutnych. Mówiąc o wieczności, o karze i nagrodzie po śmierci, działa temi pojęciami na upartych, przeraża lekkomyślnych, podnosi upadłych i słabych umacnia. Strona zatem uczu-

ciowa i rozumowa domaga się moralności chrześcijańskiej, nadprzyrodzone zaś powołanie człowieka czyni tę moralność konieczną. I modlitwy i przyjmowanie Sakramentów i robienie codziennego rachunku sumienia i unikanie okazyi złej — to środki, które nam zaleca moralność chrześcijańska, a które nam mają ułatwiać wznoszenie się po drabinie doskonałości nadprzyrodzonej coraz wyżej i wyżej.

Jak nie może człowiek znaleźć dość silnego dowodu na stwierdzenie, że Boga niema; jak nie może śmiało a naocznie wykazać, że życia pośmiertnego niema: jak nie może powiedzieć, że zna dobrze wszechświat i nie widzi w nim żadnych tajemnic — tak nie może nie uznać, że moralność chrześcijańska ze względu na cel nasz nadprzyrodzony, jest konieczną, a ze względu na jej skuteczność i znaczenie społeczne — jest najlepszą.

Ks. Szydelski.

Nowy przyczynek do wyjaśnienia misyi Kościuszki i próby nawiązania stosunków z Francyą

w roku 1793.

Ogłaszając przed paru laty pracę p. t. „Misya Kościuszki do Paryża w r. 1793“,[1]) nie miałem w ręku dokumentów, które wiózł z sobą Kościuszko dla przedstawienia rządowi francuskiemu. Daremnie poszukiwałem ich wówczas zarówno w Archiwach spraw zagranicznych, jak i w Archiwach narodowych w Paryżu, a ta bezowocność poszukiwań skłaniała do przypuszczenia, iż zaginęły.

Dopiero po ogłoszeniu drukiem tej rozprawki, przyszedłem do wiadomości o istnieniu dodatkowych tomów Korespondencyi polskiej w Archiwach spraw zagranicznych. Skłoniło to mnie do powtórnych poszukiwań, wykonanych w r. 1900, na ten raz ze skutkiem pomyślnym. Odnalezione cenne te dokumenta podajemy w przekładzie lub skróceniu obok kilku innych, wiążących się z nimi.

I.

W depeszy pod datą 18. stycznia 1793, przesłanej przez tajnego agenta dyplomatycznego francuskiego, Piotra Parendier'a,

[1]) Przewodnik naukowy i literacki za r. 1899 oraz osobna odbitka: Lwów 1899 (uzupełniona mową Turskiego).

który utrzymywał stosunki ze stronnictwem rewolucyjnem polskiem przez głównych jego przedstawicieli, mieszkających w Lipsku, znajduje się punkt następujący (3):

„...z rozmaitych memoryałów, doręczonych Obywatelowi Kościuszce dla przedstawienia Ministrowi spraw zagranicznych Rzptej francuskiej, a mianowicie o ucisku, wywieranym przez Rossyan w Polsce oraz o środkach wywołania powstania narodowego, Minister przekona się, że ten ostatni punkt może być uskuteczniony jedynie przy pomocy wojny z Rossyą lub innego jakiegokolwiek środka, któryby się przyczynił do oddalenia części wojsk rossyjskich z terytoryum polskiego.“ [1])

W XIV. tomie Suplementów do Korespondencyi polskiej, znajdujemy, obok innych dokumentów, dwa memoryały, które odpowiadają zarówno datą, jak i treścią, tej sygnalizacyi. Jeden ma charakter polityczny; drugi wojskowy. Zaczniemy od politycznego p. t. *Mémoire sur la Pologne.* [2])

Memoryał o Polsce.

Korzyści, jakie Francya odnieść może z rewolucyi w Polsce.

Rzeczpospolita francuska usiłuje rozszerzyć w całej Europie zasady wolności i równości. Niezależnie od tej wielkiej i wspaniałomyślnej pobudki, skłaniającej ją z konieczności do pomocy wszystkim ludom, które pragną odzyskać najwyższowładztwo swoje (*souveraineté*), istnieją inne poważne powody i korzyści specyalne, które powinny ją skłonić do wzniecenia w Polsce rewolucyi całkowitej, lub takiej przynajmniej, któraby mogła przybrać całą rozległość, na jaką pozwala położenie ludzi i rzeczy, a którą umożliwią okoliczności.

1. Przedewszystkiem więc taka rewolucya w Polsce rozwiązałaby naród, który, przez swoje położenie topograficzne, przez pokrewieństwo pochodzenia, obyczajów i języka, przez siłę zbrojną, którą by mógł rozporządzać, byłby jedynym zdolnym do szybkiego rozszerzenia republikanizmu w Rossyi, do zasadzenia i uma-

[1]) Misya Kościuszki, str. 24—25.
[2]) Supl. Vol. 14, fol. 287.

jenia drzewa wolności nawet wśród lodów Petersburga. Niema wątpliwości, że Rzpta francuska będzie narażona na ciągłe niebezpieczeństwo zaburzenia swego spokoju wewnętrznego przez intrygi obce i ulegać będzie ustawicznym agitacyom, póki na brzegach Newy będzie się znajdował potężny despota, niezwalczony może innymi środkami prócz tych, któreby łącznie z Polską zastosować można.

2. W wojnie śmiertelnej, którą Francya wypowiedziała despotom, głównym środkiem, ułatwiającym zwycięztwa jej armij, jest wzniecanie coraz to nowych powstań, wytwarzanie coraz to nowych wrogów. Metoda to mniej kosztowna a użyteczniejsza niż zwycięztwa, zwalniająca przytem Francyę od konieczności utrzymywania tak znacznych sił zbrojnych jak dzisiejsze, a przytem zabezpieczyłaby, po dokonaniu rewolucyi w Polsce, sto tysięcy ludzi wolnych, którzy biliby się bardzo dobrze, a wpadliby na kark Prusom i Austryi.

3. Jeśli motywa przytoczone przedstawiają już korzyści istotne, istnieją inne, związane ściśle z przyszłością Rzeczypospolitej francuskiej, a które powinny zachęcić ją do przyspieszenia najbardziej skutecznymi środkami rewolucyi w Polsce. Francya chce otoczyć się po tamtej stronie Renu pasem Rzeczypospolitych federacyjnych. Zapewne ambicya ludów nie będzie je zachęcała tak łatwo do owych walk bezmyślnych, któremi duma, chciwość lub kaprysy królów tylekrotnie krwawiły rodzaj ludzki. Wszakże nowe stosunki, które wytworzą się wówczas pomiędzy narodami, nie są i nie mogą być dziś już dostatecznie znane, aby można było przesądzać istnienie pokoju trwałego i powszechnego, nigdy nie zakłóconego przez namiętności, dumę lub rewolucye ludów.

Na nieszczęście też, słabości, właściwe naturze ludzkiej, może także owo znużenie, które wytwarza długo trwająca jednakowa wciąż sytuacya, zachęcając ludzi do zmian, każą przypuszczać, że zawsze istnieć będzie nie dający się wyniszczyć zaród niepokoju, dosyć potężny, aby wzburzyć ludy, oraz aby je pobudzić do kłótni i wojen w nowych formach. Wobec tego, nie wyda się rzeczą obojętną dla Rzptej francuskiej mieć po za owym pasem ludów skonfederowanych, który ją otoczy, naród przyjazny i związany sojuszem, naród, liczący dziś jeszcze około ośmiu milionów ludzi, a mogący wystawić trzysta tysięcy żołnierza, które w każdym czasie stanowić będą pogróżkę dla ludów sąsiednich z Francyą, a powstrzymają te z nich, któreby ambicya skłoniła do zaburzenia spokoju.

4. Byłoby również bezużytecznem, jak i niemożliwem, wyliczać inne korzyści polityczne i handlowe, które Francya odniesie z rewolucyi w Polsce; czas odsłaniać będzie coraz to nowe, a wdzięczność Polaków zgodnie z ich interesem każe je ofiarować Narodowi wspaniałomyślnemu i przyjaznemu, który potężnie przyczyni się do odzyskania własnej niepodległości, wolności i równości.

2. Sposoby wywołania rewolucyi w Polsce.

Gdy Polska była wolną od wpływów i armij obcych, rewolucya całkowita byłaby w niej tem łatwiejszą, że stan surowy i niski stopień oświaty większej części kraju, uczynił wprawdzie lud uległym zabobonom, lecz przez to samo nie mógł ustanowić przesądów trwałych i głęboko zakorzenionych. Słabe przeszkody, któreby przeciwstawiał interes pewnej liczby jednostek wprowadzeniu wyników podobnych do tych, jakie spowodowała rewolucya francuska, zostałyby wkrótce i bez wielkich wstrząśnień pokonane: dowodzi tego przykład ostatniego sejmu. Chociaż złożony wyłącznie z klasy szlacheckiej, a nie będąc nawet popychany ku temu siłą okoliczności, uczuł on samą siłą rozumu konieczność ustanowienia rządów bardziej równościowych i bardziej ludowych. Sama więc szlachta, oddając cześć poczuciu prawdy i sprawiedliwości, powołała inne klasy obywateli do korzystania z ich praw. A jeśli taka była wówczas wola większości narodu, jakże wielką rozległość osiągnęła dziś, gdy okrutne nieszczęścia wykazały słabość środków częściowych, wówczas przyjętych? Umysły dojrzałe w nieszczęściu, oświecone wielkimi przykładami Francyi, oczekują tylko pomyślnej chwili, któraby je wyzwoliła od ciemiężców obcych, zalewających Polskę. Armia polska, utworzona dla obrony niepodległości, której zaszczytnie dokonywała, jęczy wśród przeszkód narzuconych jej przez zdradę króla, który był jej wodzem naczelnym. Skoro tylko przeznaczona będzie na odzyskanie wolności narodowej, powstanie cała i podzieli energię innych obywateli. Jest to tak pewnem, duch rewolucyjny i nienawiść przeciwko tyranii są w niej tak widoczne, że patryoci widzą się zmuszonymi pracować ustawicznie nad tem, aby przeszkodzić jakiemukolwiek wybuchowi przedwczesnemu lub powstaniu częściowemu, któreby wyczerpało daremnie siły, tak potrzebne na przyszłość. Skoro więc armie nieprzyjaciel-

skie oczyszczą terytoryum polskie, rewolucya wybuchnie natychmiast. Do tego więc celu przedewszystkiem dążyć należy.

2. Ogłoszenie wojny przez Turcyą, jeśli w ślad za nią nastąpi takież ze strony Szwecyi, zmusi Katarzynę do usunięcia większej części swoich wojsk. Lecz ponieważ ona, zdaje się, tego się spodziewa, pozwoliła więc 20.000 Prusakom wkroczyć do Polski. Bardzo prawdopodobnem jest, że równa ilość Austryaków przedsięweźmie ten sam krok polityczny. Koniecznem jest więc, aby w ślad za ogłoszeniem wojny, nastąpiły inne środki, tembardziej, że Turcy zostaną zgnieceni przez Rossyę i przez Austryę, jeśli potęgom tym nie nabawi się innych kłopotów.

3. Pierwszym środkiem ku temu byłoby wywołanie zaburzeń i powstań częściowych na Węgrzech, w Galicyi, w Czechach i na Śląsku, w Prusach i w Rossyi. Sposoby te wymagają pieniędzy, lecz ruchy owe zmuszą potęgi nieprzyjacielskie do odwołania znacznej ilości wojsk z brzegów Renu do wnętrza państw swoich, co swoją drogą zmniejszy koszta uzbrojeń ze strony Francyi. Też same pobudki skłonią Prusy i Austryę do odwołania wojsk z Polski, a wówczas Francya będzie mogła liczyć na pomoc armii polskiej obecnie istniejącej, a wynoszącej 50.000 żołnierza. Patryoci polscy przyczynią się do wzniecenia tych powstań.

4. Do tych środków bardzo użytecznem byłoby dołączenie dziesięciu do piętnastu tysięcy Francuzów, którzy wylądowując w Krymie (z transportem broni, wystarczającym, aby uzbroić milicye polskie), popieraliby najsamprzód operacye Turków, a następnie wkroczyliby do Polski, gdzie obecność ich byłaby potężnym przyczynkiem do przyspieszenia rewolucyi, tak, iż cała sprawa zostałaby zakończona w ciągu trzech miesięcy, a pociągnęłaby za sobą nieodwołalnie następujące wyniki:

3. Na jakich podstawach spocznie rząd, który rewolucya ustanowi w Polsce.

Słusznem jest, iżby Francya, dopomagając Polakom do odzyskania niepodległości, wiedziała, na jakich podstawach ma spocząć ich rząd przyszły, a także, czy wyniki rewolucyi w Polsce będą zgodne z zasadami wolności i równości. Nie wchodząc w szczegóły, któreby zabrały zbyt wiele czasu, ograniczymy się do sumarycznego przedstawienia wyników, któreby napewno miały miejsce, zwłaszcza, gdyby wysłanie wojsk francuskich zostało

uskutecznione. Biorąc pod uwagę stopień oświaty, dawne nawyknienia i liczebność ludności Polski, która na przestrzeni równie wielkiej jak Francya, wynosi zaledwie trzecią część jej ludności, można wnosić, że Polacy mogą w kraju nowym i podlegającym dopiero ukształtowaniu, osiągnąć wyniki rewolucyi francuskiej postanawiając:

1. Zniesienie władzy królewskiej.
2. Zniesienie Senatu, czyli Izby wyższej.
3. Zniesienie duchowieństwa wyższego.
4. Ustanawiając, że każdy człowiek jakiegokolwiekbądź kraju, stanu lub religii, będzie miał wolność nabywania lub posiadania własności ziemskiej.
5. Że każdy, posiadający własność ziemską, lub płacący jakikolwiek podatek, będzie miał prawo obierania i będzie obieralny do wszystkich czynności publicznych.
6. Zgodnie z tem — zupełne zniesienie poddaństwa włościan, wolność i prawa równe dla wszystkich.
7. Cały naród będzie uzbrojony; dobra koronne, starostwa i posiadłości duchowieństwa posłużą na utrzymanie siły zbrojnej.
8. Wszystkie te zasady zostaną wygłoszone w ciągu tygodnia po zwołaniu sejmu, natychmiast wykonane, a w ciągu dwóch lub trzech miesięcy rozpocznie się wojna z Rossyą, Prusami i Austryą.

Taki więc był pierwotny plan rewolucyi, ułożony przez patryotów, zgromadzonych w Saksonii: spowodować wyprowadzenie obcych wojsk z pozostałego po drugim rozbiorze terytoryum; wywołać tu rewolucyę, doprowadzającą do zakończenia w duchu republikańsko-demokratycznym dzieła przeobrażenia Polski na państwo nowożytne, napoczętego i połowicznie tylko przeprowadzonego [1]) przez rewolucyę 3-go maja: uderzyć na rządy zaborcze ze spotęgowanemi siłami zbrojnemi w celu odzyskania przywłaszczonych przez nie terytoryów.

---

[1]) Dzięki wpływom panujących wówczas jeszcze poglądów Monteskiusza, którego dzieło służyło za podstawę pracom równolegle się odbywającym konstytuanty francuskiej. Obszerne streszczenie „Ducha praw“ dał był „Monitor“ Bogusławskiego jeszcze w r. 1769.

Nie wątpili patryoci, i my nie mamy powodu do wątpliwości, że drugi punkt tego planu. tj. rewolucya wewnętrzna: obalenie władzy królewskiej, zniesienie senatu, równouprawnienie cywilne i polityczne wszystkich obywateli, dałaby się bez trudności przeprowadzić.

Istotnie fakcya reakcyjna, przeciwna konstytucyi 3-go maja, trzymała się przy władzy jedynie siłą obcych wojsk. Jeśli była w mniejszości przed wojną 1792 r., to teraz po konfederacyi targowickiej i przywołaniu Rossyi, a zwłaszcza po wkroczeniu Prusaków, któremu, pomimo usiłowań swych, nie mogli oprzeć się targowiczanie oraz po odsłonięciu zdradzieckiego planu rozszarpania Polski w deklaracyi Katarzyny. 9. kwietnia 1793 r., cała Polska wrzała oburzeniem na tych, którzy spowodowali najazd i rozbiór kraju.

Nie było więc wątpliwości. że skoro sejm, którego większość przyjęła konstytucyę 3-go maja, a który. jak wiadomo, był tylko limitowany. zebrałby się ponownie, ogół narodu i wojsko stanęłyby po jego stronie: bo o ile fakcya reakcyjna skompromitowała się wobec narodu i zasłużyła na miano zdrajców. o tyleż posłowie i oficerowie patryoci. z których pierwsi zmuszeni byli opuścić kraj. ustępując przed gwałtem, drudzy gromadnie opuścili wojsko, aby nie służyć pod królem. przystępującym do Targowicy, urośli w opinii powszechnej na bohaterów i męczenników idei postępowej.

Powrót więc do zasad 3. maja, nie nasuwał żadnej wątpliwości. Możnaby tylko zapytać się. czy naród zechciałby posunąć się dalej i biorąc przykład z Francyi, zaprowadzić w Polsce rządy demokratyczne i republikańskie? Na pytanie to nie wahamy się odpowiedzieć twierdząco.

Krótki przeciąg czasu, który upłynął od 3. maja 1791 r. do połowy stycznia 1793. (czas. w którym Kościuszko opuścił Lipsk. udając się do Paryża) był wypełniony szeregiem takich wypadków, które potężnie oddziaływały na opinią całej Europy. a najgłośniejsze echo znaleźć musiały oczywiście wśród narodu. który równolegle z Francyą i w tym samym kierunku podążając. rozpoczął reformy polityczne, które otrzymywał od narodu francuskiego i przesyłał mu wzajemnie wyrazy uznania i życzliwości, który wreszcie doświadczył na sobie całego ciężaru najazdu obcego, ściągniętego przez żywioły reakcyjne. podobne do tego, z jakim walczyła Francya. — Ujawnienie konszachtów Ludwika XVI. z wrogami Francyi, próba ucieczki, jego aresztowanie w Waren-

nes, oddanie pod sąd i skazanie na śmierć; wcześniejsze jeszcze zniesienie władzy królewskiej i ogłoszenie rzeczypospolitej we Francyi! towarzyszące tym przewrotom wewnętrznym tryumfy oręża francuskiego nad koalicyą — był to szereg lekcyj poglądowych dla ludów, pod których wpływem opinia, nawet klas niewykształconych, szybko dojrzewała.

Uwidocznia się to i w tonie przytoczonego przed chwilą memoryału i w tonie przemówienia Turskiego i w całym zresztą szeregu objawów w piśmiennictwie lub w życiu. Teraz dopiero odbył się w Polsce ów „przewrot umysłowy“, do którego literatura stanisławowska była tylko przygotowaniem.[1]) Co tylko było myślącego w kraju, zrozumiało, że droga rewolucyjna jest jedyną prowadzącą nie tylko do wewnętrznego odrodzenia ojczyzny, ale i do przywrócenia całości, zniweczonej przez pomyślniejszą, niż równoległa we Francyi, akcyą żywiołów reakcyjnych, a gotowych zaprzedać ojczyznę dla utrzymania przeżytych przywilejów.

Władza królewska, chwilowo popularna przez połączenie się króla z patryotami, utraciła wszelką sympatyę, gdy Stanisław August przystąpił do Targowicy. Odtąd gorętsi patryoci nie odzywają się o nim inaczej, jak o zdrajcy. Równouprawnienie cywilne i polityczne włościan spotkałoby zapewne więcej niechętnych. Wszakże i w tym kierunku umysły już były przygotowane przez konstytucyę 3-go maja: przykład zaś Francyi i klęski kraju musiały skłonić większość do przychylnego przyjęcia tej odmiany. Przyjęcie, jakiego doznał Uniwersał wydany przez Kościuszkę pod Połańcami, świadczy o tem, jak dalece opinia była na nią przygotowana.

Reforma ta tem łatwiej dałaby się uskutecznić, że głównym czynnikiem, na którym oprzeć się miała rewolucya, nie była szlachta, lecz wojsko.[2])

Słabszymi punktami planu wydają się nam nadzieje na wojnę, którą miała wzniecić Francya ze strony państw Skandynawskich i Turcyi przeciwko Rossyi, oraz rachuby na powstania na Śląsku, w Czechach i na Węgrzech. Francya przy szybko następujących po sobie rewolucyach, obsaczona zewsząd koalicyą europejską, utraciła większą część dawnych wpływów dyplomatycznych. Jej

---

[1]) Ob. Smoleńskiego: Przewrot umysłowy w Polsce w drugiej połowie XVIII. w.

[2]) Zajączek: Powstanie 1794 r.

fizyonomia polityczna niejasną była nawet dla jej przyjaciół: konstytucya monarchiczna 1791 oczywiście równie mało odpowiadała rzeczywistym aspiracyom narodu w chwili, o której mowa, jak i nasza konstytucya 3. maja — opinii ogółu w Polsce. Dlatego też i później, po powrocie z misyi swojej (pod datą 25. maja 1793 r.), Kościuszko pisał do La Roche'a: ....przedewszystkiem zaś koniecznem jest, abyście ukończyli konstytucyę waszą: ona bowiem tylko może przerwać niezgody wasze, przywrócić zaufanie do was cudzoziemców i utrwalić związki waszych prawdziwych współprzymierzeńców. Nie masz wolności bez konstytucyi, ani dla was, ani dla nas. A gdyby nawet inne narody weszły w związek z wami, co będą mogły bez niej uczynić?"

„Niech więc Francuzi wydadzą ją jak najprędzej i niech pamiętają, że ona tylko może utrwalić zarazem ich szczęście, ożywić nasze nadzieje i pokonać tyranów." [1])

Że wreszcie spotęgowane i pomnożone wojsko polskie mogłoby, mając za teren operacyjny pozostałą jeszcze po drugim rozbiorze część kraju, bez trudności odzyskać prowincye przywłaszczone przez sąsiadów, z których dwóch przytem było zajętych wojną z Francyą, o tem nie pozwalają wątpić powodzenia oręża polskiego w r. 1794, gdy w cięższych bez porównania i trudniejszych warunkach walczyć wypadło.

Cały ten plan pełen jest polotu, który powinien był znaleźć uznanie w ówczesnem, przez Dantona kierowanem ministerstwie spraw zagranicznych a wytykał nową drogę dyplomacyi francuskiej, drogę rewolucyjną, zgodną z ogłoszonemi przez Konwencyę zasadami a harmonizującą z biegiem wypadków wewnętrznych.

Drugi memoryał zatytułowany: *Notice sur l'état actuel de la Pologne.* [2]) przedstawia szczegółowo stan Polski w chwili, gdy był zredagowany. Podzielony jest na cztery działy. Pierwszy dotyczy wojsk rossyjskich w Polsce. Liczba tych wojsk w Koronie podana jest na 73.000: na Litwie — 30.000. Wolne od wojsk moskiewskich są województwa: Poznańskie, Kaliskie i Gnieźnieńskie. Prusacy pilnują, aby tam nie wtargnęli. Natomiast Inowrocławskie i Brzesko-Kujawskie zajęte są przez Rossyan.

---

[1]) Przekład francuski tego listu (oryginał nieznany) znajduje się w Arch. spraw zagr. w Paryżu. Ogłosiliśmy go w „Kwartalniku historycznym" 1898, IV. str. 820.

[2]) Corresp. pol. supl. 13, fol. 316 i nast.

„Różnice te — dodaje memoryał — wskazują, zdaje się, na część, którą sobie wyznaczają Prusy w wypadku podziału.“

Rekwizycye i rozlokowanie wojsk wyszczególnione są w tablicach (*A* i *B*) [1]) Wszystko pobiera się od mieszkańców bezpłatnie. Prócz tego żywi się 700.000 wołów moskiewskich. Karności żadnej: kradzieże i łupieztwa ustawiczne. Moskale biorą rekrutów w województwach: Kijowskiem, Bracławskiem, Wołyńskiem i Podolskiem, a także po całej Polsce biorą ludzi pod pozorem, że szukają zbiegłych poddanych swoich. Całe rodziny z inwentarzem i pługami przenoszone są do pustyń Oczakowa.

Środki zabezpieczenia względem wojsk polskich „wykonywane są z występną powolnością przez naczelników niby-konfederacyi. Na komendantów dywizyj narodowych obrani są ludzie oddani systematowi i fakcyi panującej. Artylerya, amunicye oddalone są od wojsk a nawet od korpusu artyleryi, który oddalono z miejscowości, gdzie znajdują się składy amunicyi. Podczas marszu dywizyj polskich z jednego miejsca na drugie, odbierają żołnierzom naboje. Gdzie oba wojska mają wspólne kwaterunki, patrole nocne zostają pod komendą rossyjskich oficerów, jeśli pełnią je Polacy. Warszawa jest szczególniej strzeżona. Otaczające ją baterye, pikiety, rozmieszczone w pewnych odległościach, działa umieszczone na Woli, niewielkiej równinie przed bramą Warszawy, nadają jej wygląd miasta obleżonego.“

Dział II. O armii polskiej.

1. Siła armii polskiej.

W czasie sejmu, w maju roku zeszłego [2]) Polska dostarczała żołdu na opatrzenie kompletne 67.000 ludzi. Wszakże wskutek braku dozoru ze strony władzy wykonawczej, armia liczyła wówczas tylko 55.000. W chwili, gdy Rossyanie wkroczyli do Polski, Sejm nakazał podnieść stan wojska do 100.000 ludzi. Kilka nowoutworzonych batalionów powiększyło natychmiast jej liczbę na

[1]) Suma dostaw na pół roku obliczona tu jest na 8,481.217 złp. Egzekwowana jest na cały rok, tj. w sumie 16.962.435 złp. Tyle zapłaciła sama Korona; Litwa — co najmniej połowę tego.

[2]) Memoryał ten pisany był oczywiście w końcu 1792 r

6.000 głów; liczba rekrutów szybko urosła do 15.000. W czerwcu i w lipcu roku bieżącego, armia polska wynosiła 70.000 ludzi, licząc w to i rekrutów, których już ćwiczono. Liczba ta istnieje dotąd z różnicą jakich 4—5.000.

2. Uzbrojenie.

Armia zaopatrzona była w broń: zarówno pierwotne 55.000, jak i pułki utworzone później. Nie było natomiast broni zapasowej, nie dlatego, iżby zabrakło środków w skarbie, lecz wskutek przeszkód, które wytworzyło współzawodnictwo przy kupnie oraz tych, jakie wystawiły Austrya i Prusy przewiezieniu broni przez ich terytorya. Arsenały Korony były dobrze zaopatrzone w artyleryę polną; litewskie, które ją miały, mniej były skompletowane. Zaopatrzono się także w amunicyą. Całe to uzbrojenie zostało wykonane w krótkim czasie. Polska miała przed ostatnim sejmem mało wojska, prawie żadnej artyleryi i żadnej amunicyi.

3. Komenda armii w okresie najazdu rossyjskiego.

W chwili najazdu rossyjskiego król był dowódzcą armii. Według nowej konstytucyi, dowództwo nad wojskiem należało specyalnie do niego. Planem jego była wojna obronna, a jedynym celem tego planu oraz wszystkich jego pożądań było osłonięcie Warszawy, swojej rezydencyi. Armia wykonała ten plan; stawiała opór Rossyanom, cofała się w porządku, nie została ani otoczona, ani przecięta: nigdy nie zaczepiono jej bezkarnie, miała nawet powodzenia przeciwko nieprzyjacielowi wytrawnemu i dwa razy liczniejszemu. Lecz wojsko to wierne i odważne zostało źle pokierowane przez niezdarność króla i zdradzone przez jego tchórzostwo. W chwili, gdy wojsko powoływało go do siebie, król dawał mu rozkaz rozlokowania się po kwaterunkach, przedstawiając mu niską kapitulacyę, jako ustępstwo konieczne i korzystne.

4. Komenda obecna.

„Gdy król zdradził konstytucyę i odstąpił od niej...“ wojsko przeszło pod zarząd Targowicy, która mianowała Kossakowskiego i Branickiego hetmanami. Branicki, udając się do Petersburga, oddał komendę Szczęsnemu Potockiemu.

5. Duch żołnierza polskiego:

„Duch żołnierza jest dotąd ten sam. W Rossyanach widzi nie tylko wrogów ojczyzny, ale nieprzyjaciół swego zawodu i swego honoru. Powodzenia podczas ostatniej wojny oswoiły go z niebezpieczeństwem i dały mu dobre pojęcie o własnej mocy i o konieczności porządku. Żołnierze polscy znają oficerów, którzy dzielili ich trudy. Oczekują z niecierpliwością powrotu generałów i oficerów, którzy opuścili służbę, w nowych zaś widzą tylko zdrajców i ciemiężycieli. Rozkaz wydany przez niby-konfederacyę odebrania medali, rozdanych tym, którzy się najbardziej odznaczyli, jest dla nich nieuleczalną raną. Generał Kościuszko należy do tych, którzy mają całe ich zaufanie i przywiązanie.“

Dział III. Obecny rząd w Polsce.

Podajemy tylko w skróceniu treść tego rozdziału: Konfederacya obecna jest uzurpacyą. Przedsięwzięta jest przeciwko sejmowi. Z procederów sejmowych zachowane tylko te, które jej są użyteczne. Mianowali radę, która kieruje wszystkiemi sprawami. Z czterech komisyj: administracyjnej, edukacyjnej, wojskowej i skarbowej, pierwsza jest wykoszlawiona: policya zniesiona przez usunięcie komisyj porządku miejskiego. Rady utworzone na ich miejscu mają charakter polityczny i szpiegowski. Zarząd wojskowy doprowadzony do nicości przez przywrócenie hetmanów. Komisya skarbowa, podzielona na koronną i litewską, służy prywacie, po części pełni funkcyę prawodawczą, naznaczając podatki. Stosunki zagraniczne odebrane królowi. Małachowskiego i Chreptowicza pilnują marszałkowie konfederacyi, którymi kieruje Petersburg. Dążeniem Rossyi jest zerwanie stosunków Polski z obcymi dworami. Ambasadorów odwołują.

„Należy zauważyć, — dodaje autor memoryału — że konfederacya unika zwołania sejmu. Rossya sama uważa za właściwe odłożyć to zwołanie. Jeśli zaś przyjdzie do skutku, sejmiki i sejm otoczone będą bagnetami rossyjskimi. Debatów nie będzie: przyjmą ryczałtowo formę rządów dogodną dla wpływów rossyjskich. Konfederacya przygotowywa to dzieło; udawała, iż chce zasięgnąć opinii narodu drogą proklamacyj, lecz publiczność odpowiada na ten akt hypokryzyi, przesyłając egzemplarze konstytucyi 3. Maja, lub posyłając im filipiki i katylinarye.

Dział IV. Usposobienie rewolucyjne w Polsce.

1. Włościanie. Według szczegółów podanych o ucisku rossyjskim w Polsce we wszystkich kierunkach, można sądzić o powszechnem usposobieniu do rewolucyi. Włościanin, stojący zawsze bliżej do mieszczanina, nie uważał przyrzeczeń konstytucyi za próżne obietnice. Był on codziennie prawie świadkiem tego, jak mieszczanie używali swoich praw, jak się bratali ze szlachtą, widział uroczystości obchodzone na cześć nowej równości cywilnej. Poczucie miast udzielało się wsiom i dawało włościanom nadzieję równie szczęśliwych dni. Jeśli do utraty tej nadziei dodamy zachowanie się wojsk rossyjskich, poczucie klęsk, ustawicznie się odnawiających, łatwo się przekonamy o pragnieniu włościan otrząśnięcia się z tego jarzma zewnętrznego i wewnętrznego.

2. Mieszczanie. Miasta korzystały już z praw, które im przyznał sejm. Miały już wybory, zgromadzenia przedwstępne, wyborcze, miały swoich posłów w sejmie, swoje rady miejskie, swoich delegatów w wyższym zarządzie policyi i skarbu. Wykonywując prawa swoje, mieszczanie złożyli dowody przywiązania do wolności i wykazali talenta, przewyższające zdolności posłów i urzędników szlacheckiego pochodzenia. Ta klasa obywateli umie gardzić arystokracyą i zna doskonale rewolucyę francuską. Nie jest jej obcem, że ustanowienie rad miejskich nierównie więcej przestraszyło dwory sąsiednie i przyczyniło się do koalicyi tyranów przeciwko konstytucyi, niż domniemany despotyzm, który Rossya zarzuca obok ducha demokratycznego.

3. Szlachta. Szlachta złożyła dowody wielkiego taktu podczas obrad sejmowych. Ośmnaście lat starannego wychowania przygotowały doskonale umysły do rewolucyi. Cztery lata obrad sejmowych, dyskusye nad wszystkimi przedmiotami, wchodzącymi w skład rządu, dały możność poznania ludzi i rzeczy. Jednogłośne uznanie, objawione na sejmikach względem wszystkich postanowień sejmu, uznanie, które stanęło wyżej od wszelkich środków intrygi i korupcyi, zabezpiecza z góry gorliwość i prawie jednomyślność szlachty względem doskonalenia dzieła rozpoczętego przez sejm.

„Król, pogardzany powszechnie, zaczyna odczuwać swoją agonię polityczną. Widzi, że jest zdetronizowany i sam skłania się do abdykacyi. Usposobienie to jego powinno być wiadome

ludziom, którzy się zastanawiają nad Polską ze stanowiska, jakie przedstawiać może względem propagandy praw człowieka i konstytucyi z nich wynikającej."

Oba te memoryały, na równi z konferencyami ustnemi, które Kościuszko miał z Le Brun'em, a może i z innymi członkami rządu, wzięte były niezawodnie pod rozwagę. Prócz przyrzeczeń ze strony Le Brun'a, które przytoczyliśmy w Misyi Kościuszki[1]), a o których szczerości nie mamy powodów wątpić, oraz instrukcyi danej Descorches'owi względem traktatu z Turcyą,[2]) mamy inne na to dowody.

W chwili, gdy Kościuszko bawił w Paryżu, (koniec stycznia i luty 1793) ministrem spraw zagranicznych był żyrondysta Le Brun. Pozostał on na tem stanowisku aż do 21. czerwca. Chociaż bowiem uwięziony był razem z innymi żyrondystami 2. czerwca, jednak zachował tekę ministeryalną na żądanie Dantona i przychodził w towarzystwie straży na posiedzenia Komitetu Ocalenia[3]). Dwudziestego pierwszego czerwca mianowany został na jego miejsce De Forgues, zwolennik Dantona, który w owym czasie nadawał już główny kierunek stosunkom zagranicznym: 10. lipca, gdy wpływ Dantona został zachwiany przez oskarżenie jego przyjaciela, gen. Westermanna, pobitego przez Wandejczyków pod Châtillon, wybrany został nowy Komitet Ocalenia, który rządził przez cały II. rok Rzptej. Sprawami zagranicznemi kierowali w nim Barère i Hérault-Séchelles. 10. germinal r. II. (30. marca 1794) Komitet Ocalenia łącznie z Komitetem Bezpieczeństwa wydały rozkaz uwięzienia Dantona, a na dwa tygodnie przedtem, 25. ventôsa (15. marca) uwięziony został Hérault-Séchelles. Obaj ścięci zostali 16. germinal (5. kwietnia) obok 14 innych współtowarzyszy.

Podczas pierwszych poszukiwań za memoryałami, przywiezionymi przez Kościuszkę, w Archiwach Narodowych (*Archives Nationales*) w Paryżu, natrafiłem tam na karton zawierający szereg memoryałów pod wspólnym tytułem: *Extrait des pièces trouvées chez Hérault de Sechelles et classées au Comité du Salut publique.* Obok obszernych rozważań o handlu zewnętrznym Polski, znalazła

---

1) Str. 30.
2) l. c. str. 33.
3) Le Brun został ścięty 27. grudnia 1793.

się tam notatka, która, jak się pokazuje z zestawienia z przytoczonym powyżej memoryałem politycznym, jest jego dokładnem streszczeniem. W XIV. zaś tomie dodatku do Korespondencyi polskiej, zaraz po Memoryale o Polsce, znajdujemy raport przygotowany widocznie dla odczytania w Komitecie przez referenta z ministerstwa spraw zagr. Zaczyna się on od słów: „*Indulgence même pour les erreurs lorsque c'est le bien publique qui les dicte*". Narody pragnące wolności, czytamy tu, są spólnikami Francyi. Wpływ jej na nie może być bezpośredni lub pośredni: pierwszy — drogą pomocy orężnej; drugi — przez negocyacye. „W tym wypadku idzie o ten ostatni. Obaczmyż, czy Polska na niego zasługuje?".

„Nie wolno już wątpić dłużej, że usposobienie ogółu w Polsce zasługuje bezwzględnie na naszą uwagę; wspomnienia własnych powodzeń, nienawiść przeciwko obecnym tyranom, a zwłaszcza odgłosy naszych tryumfów przyczyniły się do dojrzałości usposobienia tego w sposób groźny dla Satellitów Katarzyny, oraz nikczemnych, lecz nielicznych jej zwolenników. Otoczony bagnetami i działami, naród polski nie zadawał sobie nigdy trudu ukrywania radości swojej i nadziei na wieść o naszych zwycięstwach.

„Ponure milczenie, które panuje w kraju, miejscowe powstania we wszystkich częściach jego, pogarda powszechna dla jego ciemięzców, wszystko to świadczy, że opinia publiczna jest skuta, lecz niezwyciężona. Nie brak tam zapewne nielicznych dzieci, buntujących się przeciwko swojej ojczyźnie, a sprzedanych nieprzyjaciołom; lecz nienawiść ogółu oddała zapewne, jak i u nas pod słuszny wyrok ich postępowanie i mści się na ich istnieniu".

Możliwe, że był to raport, odczytany na posiedzeniu Rady Wykonawczej (poprzedniczki Komitetu Ocalenia) w d. 4. lutego 1793, o którym wzmiankę znajdujemy w *Recueil des Actes du Comité*[1]) *de Salut Publique* Aularda.

II.

Jakkolwiekbądź w ciągu kilku miesięcy polityka zagraniczna Francyi republikańskiej ulega ewolucyi bardzo niekorzystnej dla spraw polskich. Przemiana ta w kierunku coraz bardziej oportu-

---

[1]) Ob. Misya Kościuszki, str. 34.

nistycznym odbywa się pod wpływem Dantona i jego stronnictwa.

Dekret z d. 19. listopada 1792, w którym Francya oświadczała, „iż okaże pomoc i braterstwo wszystkim ludom, które zechcą odzyskać wolność“ i polecała „władzy wykonawczej oddać rozkazy generałom armij francuskich, aby pomagali obywatelom, którychby prześladowano za wolność“, dekret tyle obiecujący dla Polski a z takim entuzyazmem przez naszych patryotów przyjęty, był zdawało się punktem zwrotnym, rozpoczynającym nową dobę w stosunkach międzynarodowych. Był on wyrazem myśli wielkich i daleko sięgających, które cechowały Żyrondę.

Jeszcze przed ogłoszeniem Rzeczypospolitej, w dekrecie z d. 24. sierpnia 1792, nadającym obywatelstwo francuskie „wszystkim filozofom obcym, którzy odważnie bronili sprawy wolności i dobrze się zasłużyli ludzkości“, dekrecie obejmującym także i Kościuszkę, czytamy, że jeśli nie można się spodziewać, „iżby wszyscy ludzie utworzyli kiedyś wobec prawa jedną rodzinę, jaką stanowią wobec przyrody, jedno stowarzyszenie, przyjaciele wolności powinni niemniej być drogimi dla narodu, który ogłosił swoją niechęć do wszelkich zaborów i swoje dążenie do braterstwa ze wszystkimi ludami“. A 9. września, jeden z tych nowych obywateli, „mowca w imieniu rodzaju ludzkiego“, jak sam siebie nazywał, Anacharsis Cloots, tak przemawiał przed kratą Zgromadzenia: „Chcecież jednym ciosem wytępić wszystkich tyranów? Oświadczcie autentycznie, że najwyższowładztwo jest patryotyzmem wspólnym i solidarnym wszystkich członków *jedynego narodu*“... „Ludy zapomną o wszystkich klęskach politycznych w powszechnem braterstwie, w olbrzymiem państwie Filadelfii“... „Pierwszy naród sąsiedni, który połączy się z nami, da hasło do konfederacyi powszechnej“... A gdy 20. września zebrała sie po raz pierwszy Konwencya, witając to zebranie 22-go, Manuel określił je jako „*zgromadzenie filozofów, zajęte przygotowaniem szczęścia świata*“.

Nie były to czcze słowa: czyny im towarzyszyły. 21. września Montesquiou wkracza do Sabaudyi: wojsko sardyńskie ustępuje, lud wita go jako wybawiciela, przypina kokardy trójbarwne, śpiewa Marsyliankę, zasadza drzewa wolności po wszystkich wsiach. Montesquiou oświadcza, że „naród allobrogów sam zadecyduje o swoim losie“. Jakoż naród ten ukonstytuuje się niebawem w Rzeczpospolitą sprzymierzoną z Francyą.

Toż samo dzieje się nad Renem. Custine wkracza do Spire 30. września. W odezwie do żołnierzy tak przemawia: „Francuz walcząc o wolność, jedną ręką podaje symbol pokoju, drugą — zanurza broń w pierś ciemiężców; tylko żołnierze broniący niewoli, powinni paść pod naszymi ciosami“. Zająwszy kraj, obciąża podatkami dobra elektora i zamożnego duchowieństwa; niesie pomoc biednym. „Walka obecna, powiada do ludności, skierowana jest przeciwko uzurpatorom władzy, nie zaś przeciw ludom: tylko władze wasze poniosą ciężar kontrybucyi“.

Kółko uczonych i myślicieli z Moguncyi, przejętych nowemi zasadami, powołuje Custine'a do tego miasta. Moguncya poddaje się za pierwszem wezwaniem (21. października) a wódz francuski oświadcza, iż mieszkańcy sami postanowią dla siebie formę rządu. Frankfurt również otwiera bramę Francuzom. Odezwa do Niemiec uciśnionych dociera wszędzie. Custine przyrzeka walczyć tylko z despotyzmem i przywilejami. Powołuje żołnierzy pod sztandary francuskie. Zbliża się królestwo wolności i braterstwa. 17. marca 1793 zbiera się w Moguncyi Konwencya narodowa reńsko-niemiecka i decyduje o przyłączeniu się do Francyi na wezwanie Forstera, który mówi: „Połączmy się z Francyą, narodem dwudziesto-pięcio-milionowym, dosyć potężnym, aby wywrócić trony jak domki z kart i przeciwdziałać awanturniczym zamiarom despotów! Obudźcie się ze snu waszego! Nabierzcie odwagi i zostańcie Niemcami wolnymi, braćmi i przyjaciółmi Francuzów“.

Toż samo dzieje się w Belgii. Dumouriez rozbija Austryaków pod Jemmapes (6. listopada 1792), wkracza do Mons wśród okrzyków: „Niech żyje Rzeczpospolita! Niech żyje wolność!“ Bruksella poddaje się 13-go, a 29. listopada cała Belgia jest w ręku Dumouriez'a. Gdy władze brukselskie oddawały mu klucze, generał francuski tak do nich przemówił: „Obywatele, zatrzymajcie wasze klucze i pilnujcie ich dobrze. Nie dawajcie panować u siebie żadnemu cudzoziemcowi: nie na taki los zasługujecie. Połączcie się z nami, aby wygnać Niemców; jesteśmy waszymi przyjaciółmi, waszymi braćmi“. Ogólne wybory tworzyły szereg komitetów, które ogłosiły niepodległość Belgii i sojusz z Francyą przy odrębnej konstytucyi.

Konwencya istotnie dążyła do otoczenia Francyi pasem Rzeczypospolitych niepodległych.

Pod wpływem tych wieści układali patryoci nasi wyżej przytoczony memoryał. Do tego przyłączyły się niebawem wiadomości

o deputacyach ludów rozmaitych, sąsiadów Francyi, wyrażających wdzięczność za dekret 15. listopada; 28. listopada wystąpili przed kratą Konwencyi Irlandczycy i Anglicy, protestując przeciwko władzy królewskiej, a Gregoire odpowiadając im wyrzekł: „Obrońcy naszej wolności staną się kiedyś obrońcami waszej" — wspaniałe słowa, które się odnajdą na naszych sztandarach bojowych w r. 1831.

Wreszcie już przed samym wyjazdem Kościuszki przyszła wieść o wystąpieniu podobnem Turskiego w imieniu narodu polskiego, o sympatycznej odpowiedzi prezydującego Treilhard'a, oraz o przyjętym wniosku Barbaroux, który tak brzmiał: „Gdyby kampania we Włoszech była się nam lepiej powiodła, gdyby floty nasze były się więcej zbliżyły ku morzom Czarnemu i Adryatyckiemu, wolność Polski nie byłaby tyle ucierpiała. Z tem wszystkiem Władza Wykonawcza zda nam raport z sytuacyi naszej względem mocarstw Europy. Żądam, aby wniesienie obywatela polskiego było poparte".

Nie wszyscy wszakże tak szeroko i tak pięknie pojmowali zadania „Nowej Francyi" w stosunku do innych ludów, jak wymienieni generałowie, których postępowanie ściśle zgadzało się z programem żyrondystów. Ciasnota i wyłączność jednostek spowodowały niebawem wypadki, które popchnęły całą politykę zagraniczną Francyi na drogę oportunizmu, poddając ją coraz bardziej wyłącznym wpływom Dantona.

Belgia nie chciała wzorować instytucyj swoich na francuskich. Camus i Danton, wysłani do niej jako komisarze, chcą je siłą narzucić: zmuszają do przyjęcia asygnatów francuskich, żądają 40.000 wojska; Belgowie sprzeciwiają się temu. Opór Dumouriez'a, jego przedstawienia na nic się nie przydały.

Już 15. grudnia 1792 Konwencya ogranicza znaczenie dekretu z d. 19. listopada wydając nowy, w którym wygłasza: „Nie powoduje nami burzliwa namiętność zaborcza; nie chcemy panować nad żadnym z narodów ani go ujarzmiać; lecz wszelka rewolucya wymaga władzy czasowej, którąby kierowała jej ruchami dezorganizacyjnymi, którąby wprowadziła niejako metodę w burzeniu... Władza ta może należeć tylko do Francuzów w krajach, do których, ścigając nieprzyjaciół, wkraczają armie francuskie". Było to nie tylko usprawiedliwienie postępowania komisarzy w Belgii, lecz także i nowa teorya wojen rewolucyjnych: teorya Góry, rugująca teoryę żyrondystów.

Następstwa samowoli Francuzów rychło się okazały: w Palatynacie lud powstał przeciwko Francuzom; Belgia okazała się „niewdzięczną". Niepowodzenia oręża francuskiego w pierwszych miesiącach r. 1793 przyspieszają reakcyę przeciwko ideom żyrondystów.

13. kwietnia Robespierre wnosi w Konwencyi, aby kara śmierci wyznaczona została „przeciwko nikczemnikom (les lâches), którzyby zaproponowali pertraktacye z nieprzyjacielem". Danton dodaje poprawkę: „którzyby nie uznał, jako preliminarz. najwyższego władztwa ludu". Dodatek ten motywuje tak: „W chwili energii — a niezawodnie była to piękna chwila — wydaliście dekret, oświadczający. iż przyjdziemy z pomocą ludom. które zechcą oprzeć się uciskowi tyranów, i że nie będziemy traktować, jak tylko z tymi, które mają podobne do naszych rządy. Wszakże ten dekret, bardzo niejasny, zobowiązuje was do pomocy kilku patryotom. którzyby zechcieli wywołać rewolucyę w Chinach. Przedewszystkiem pomyśleć należy o zachowaniu naszego ciała politycznego i utrwalić wielkość Francyi... Dajmy sami przykład rozsądku. Postanówmy. że nie będziemy mięszali się w to. co się dzieje u naszych sąsiadów. lecz że naród prędzej się zagrzebie. niż podpisze ustępstwa". Dekret przyjęto w tej formie. „Było to odwołanie dekretów z 19. listopada i 15. grudnia", powiada p. A. Sorel.[1])

Trzecia teorya wojen rewolucyjnych święciła swój tryumf. Teorya żyrondystów widziała w nich wyzwolenie ludzkości bezinteresowne dla Francyi. Teorya Góry traktowała je jako propagandę zasad republikańskich, gotowa była nieść pomoc ludom. ale pod warunkiem. że przyjmą instytucye demokratyczne francuskie. że zleją się z Francyą w jeden „naród powszechny", że staną się jej przednią strażą w walce z królami, że odwdzięczą się jej ludźmi i pieniędzmi. Teorya Dantona była powrotem do dawnej zasady — nie mięszania się w obce sprawy: ludzkość znikała z oczu: zostawała tylko Francya. dla której inne narody służyć miały tylko za środki; sojusze z nimi przyjmowano lub odrzucano. zależnie od tego. czy widziano w nich najbliższą korzyść dla Francyi lub nie, niezależnie zaś od zasad, które nimi kierowały. Polityka interesu stanęła na miejscu polityki ideowej.

Robespier występuje przeciwko tej teoryi. 24. kwietnia wnosi on dekret uznający, że „ludzie we wszystkich krajach są obywa-

[1]) L'Europe et la Révolution française. T. III. str. 387.

telami jednego państwa", że powinni pomagać sobie wzajemnie, że „królowie, arystokraci, tyrani są niewolnikami, zbuntowanymi przeciwko naturze". Anacharsis Clootz rozwija tę myśl w duchu Rzeczypospolitej powszechnej pod hegemonią Francyi, użytkując idee Herdera i Kanta.[1]) Na to odpowiada dantonista Robert, zalecając „egoizm narodowy"; powiada, że „kocha wszystkich ludzi, zwłaszcza zaś ludzi wolnych: lecz, że kocha wolnych Francuzów więcej od wszystkich innych ludzi na świecie".

W kwietniu więc r. 1793, wkrótce już po wyjeździe Kościuszki z Paryża, zwycięża stanowczo polityka Dantona, którą tak charakteryzuje p. A. Sorel, jego apologota:

„Pragnąc pokoju, chce prowadzących do niego środków. Pomimo zabójstwa króla, Europa przedstawiała jeszcze możność pojednania; należało z niej korzystać: uspokoić rządy co do kwestyi propagandy i zaborów, ofiarować im w pokoju z Rzecząpospolitą korzyści conajmniej równe tym, jakich szukają w wojnie. Wojna Rzeczypospolitej nie będzie już „wojną wspaniałomyślną", lecz „pospolitą", w której Francya będzie szukała korzyści dla siebie, zastosuje się do tonu Europy, aby traktować z Europą. Wciągnięta do wojny dla obrony własnej, Rzeczpospolita będzie ją prowadziła tak, jak by to uczyniło każde inne państwo europejskie. Będzie zaborczą, gdyż stanowisko zaczepne jest korzystne; będzie żywiła swoje wojska kosztem nieprzyjaciela, gdyż stanowi to oszczędność; będzie zajmowała terytorya, gdyż dla traktatów potrzebne są zakłady. Co zaś do ludów, to niech idą według własnego przeznaczenia. Jeśli przeznaczeniem tem będzie wyzwolenie się, bez tego, iżby Francya czyniła jakie ofiary i jeśli będą grupowały się dokoła Rzeczypospolitej bez szkody lub niebezpieczeństwa dla niej, Francya przyjmie ich do sojuszu i skorzysta z niego. Lecz w stosunkach z ludami, jak i z królami, nie będzie miała innego celu, prócz własnego bezpieczeństwa i własnej niepodległości.[2])

Ten ogólny kierunek polityki odbił się oczywiście i na stosunkach Francyi do Polski. „W styczniu, powiada przytoczony przed chwilą autor, wyzwolenie Polski wchodziło jaknajściślej do

[1]) P. A. Sorel robi subtelną uwagę nad ewolucyą, której uległy pojęcia w ciągu tych kilku miesięcy: na początku wojny krolowie są źli, ludy dobre, ztąd — powszechne wyzwolenie; po powstaniu w Belgii — ludy są złe, tylko rodzaj ludzki dobry; ztąd zasada przewagi „narodu cnotliwego".

[2]) l. c. T. III. str. 388.

planów dyplomacyi republikańskiej [1]). W kwietniu ludy traktowane są w Komitecie jako środki jedynie... Polacy posłużą do wykonania dywersyi. Komitet spekuluje na zazdrość, którą obudzą w Austryi i w Prusach manewry Rossyi względem Polski". [2]) Ujawnia się to w depeszy, którą wysyła Lebrun do Descorches'a, posła francuskiego w Turcyi, pod datą 20. kwietnia:

„Na porządku dziennym stoi kwestya rozbioru Polski. Opór Francyi krępuje Prusaków i przeszkadza im działać przeciwko Polsce. Austrya również pragnęłaby mieć ręce wolne. Skłonna jest na równi z innemi potęgami do pokoju... Co zaś do Polski, dalecy jesteśmy od tego, aby podpisać nieodwołalnie jej zgubę. Lecz czy już teraz należy przedsięwziąć jej obronę wobec sprzysiężenia trzech mocarstw? W takim razie, wbrew życzeniu, które naród objawia, pokoju z Prusami, Austryą i Anglią, potrzeba będzie z konieczności toczyć wojnę. Jeśli wojna nie uda się, zgubimy Francyę nie dopomógłszy Polsce. Jakaż jest niedogodność pozostawić wypadki ich biegowi? Rossya zbliży się do środka Europy: będąc dostępną, stanie się łatwiejszą do zwalczania, a współzawodnictwo urośnie pomiędzy nią a państwami biorącemi udział w podziale".

Zwodnicze widmo pokoju, niemożliwego po ścięciu króla, popychało do zaparcia się szerokich planów: zamiast skorzystać z rozpędu nadanego przez dekret 15. listopada, myślano tylko o minimum żądań dla uzyskania pokoju.

W takich to niekorzystnych warunkach odbyły się pierwsze kroki naszej dyplomacyi rewolucyjnej. Dalsze jej postępy znalazły się więc w warunkach wysoce nieprzyjaznych, dzięki dalszemu zwrotowi opinii we Francyi, a wybór osoby, która miała reprezentować interesa Polski, wybór, jak się zdaje, raczej przypadkowy, niż z góry obmyślany, nie sprzyjał polepszeniu sprawy. Franciszek Bars, któremu rola ta przypadła, jakkolwiek uczciwy i szczery, nie stał na wysokości swego zadania, nie umiał pojąć ducha panującego we Francyi, ani znaleźć tonu, w którym przemawiać należało do jej przywódców. Przeniósł do dyplomacyi rewolucyjnej zwyczaje zapożyczone z palestry.

Ograniczamy się tu do tych twierdzeń ogólnych, których uzasadnieniu osobną pracę poświęcić zamierzamy. W tem miejscu

[1]) Ob. Misya Kościuszki: instrukcya dla Descorches'a, str. 33.
[2]) l. c. str. 396.

dodajemy jeszcze dwa dokumenta, należące do epoki nieco późniejszej — chwili wybuchu powstania w r. 1794, ale ściśle wiążące się z ową zaczynającą się wytwarzać przyjaźnią francusko-polską. Są to charakterystyki Kościuszki i Ignacego Potockiego, przesłane rządowi francuskiemu przez Parandier'a, które znaleźliśmy w tych samych tomach dodatkowych Korespondencyi polskiej. Ciekawe są nietylko dlatego, iż wykazują nam, w jakiem świetle te dwie postacie przedstawiały się współczesnym, a zwłaszcza rządowi francuskiemu, lecz i dlatego, że zawierają niektóre nieznane szczegóły ich biografii, lub rysy charakteru.[1])

1. Tadeusz Kościuszko.

„Kosciuszko mianowany został przez lud najwyższym dowódcą armii. Jeśli istniała kiedy dyktatura, jest nią ta, którą on posiada. Czynności wojskowe, sprawy cywilne, finanse, ekonomia polityczna — wszystko podlega jego rozkazom, wszystko zostaje pod jego kierunkiem. Władza jego, chociaż chwilowa, byłaby przerażającą, gdyby charakter jego i intencye nie były równie czyste, jak wielkiem jest zaufanie, które położyli w nim jego współrodacy. Urodził się w Brześciu na Litwie[2]): stan majątkowy jego dosięgający 6000 liwrów dochodu rocznego, przewyższa jego potrzeby. Budowy jest wątłej i wyraz twarzy ma łagodny, lecz poważny. Powierzchowność jego skromna, prawie nieśmiała: aby go dostrzedz, potrzeba, aby go pokazano. Bystry i łatwy w pojęciu, z trudnością wypowiada myśli swoje oraz w sposób niejasny, zwłaszcza, gdy ten, z kim mówi, jest mu mało znany. Może wrażliwość jego i przyzwyczajenie, które posiada, myślenia w kilku językach, są przyczyną tej trudności wysłowienia się.

„Po ukończeniu studyów w szkole Kadetów w Warszawie Kościuszko udał się do Paryża, w celu udoskonalenia wykształcenia swego. Poświęcał się tu przeważnie studyom matematycznym i rysunkowi. Wielu artystów francuskich, którzy byli jego kolegami szkolnymi, pamiętają ten stosunek i wspominają o nim z interesem. Po powrocie do kraju umysł jego został żywo dotknięty widokiem obcego ucisku, anarchii rządu, zbytku magnatów i nę-

[1]) Np. to, co dotyczy pobytu Kościuszki w Paryżu po skończeniu szkoły rycerskiej: jego rozmowa ze Stanisławem Augustem itd.

[2]) Wiadomość ta, jak wiemy, nie jest dokładna.

dzy ludu. Wpadł więc w melancholię, która zaniepokoiła jego krewnych i przyjaciół".

Idzie dalej kilka niedokładnych szczegółów o pobycie w Ameryce, które pomijamy. Po powrocie ztamtąd, „Kościuszko widzi z nowym bolem ojczyznę swoją oddaną pod rozkazy obcego posła i króla-niewolnika na tronie.

„Przemawia energicznie do króla, który urodził się obywatelem, a którego posądza o podniosłość ducha. Idee niepodległości i wolności, propozycya, którą czyni z ramienia swego na służbę krajowi, budzą nieufność Stanisława, który obawia się nawet jego talentów wojskowych. Znużony zwłoką, którą król przeciwstawiał jego żądaniom, powiedział mu raz z siłą: „Jeśli mi odmówisz tego, na co, jak sądzę, zasłużyłem, oddalę się z kraju i będę czekał na sposobność służenia mu skutecznie wbrew Tobie". „A więc wyjeżdżaj, niech Bóg Ci towarzyszy", odrzekł Stanisław.

„Kościuszko udał się do sadyby swojej i mieszkał tam, nieznany, wśród rodziny, aż do czasu owego sejmu skonfederowanego z r. 1789, który trwał cztery lata. Wtedy dostał niewielką komendę w nowej armii wówczas stworzonej. Podczas zbyt krótkiej wojny, która miała miejsce w epoce najazdu Rossyan w czerwcu 1792 r., pomimo zdrad Stanisława, wszystkie bitwy, jakie wydał nieprzyjacielowi, były dla niego zwycięzkie"...

Opuszczamy znany epizod dymisyi, emigracyi i t. d., przechodzimy do opowieści o misyi do Paryża.

„Kościuszko przybył do Paryża na początku 1793 r. Zaproponował tu środki ku wznieceniu rewolucyi w Polsce. Oświadczył życzenia swoich współrodaków na rzecz konstytucyi całkowicie republikańskiej. Aprobowano te środki, podano mu nadzieje: lecz stronnictwo Żyrondy, kierujące wówczas dyplomacyą Rzeczypospolitej francuskiej, nic nie ukończyło [1]): po kilku więc miesiącach

---

[1]) Zwracamy uwagę na sposób, w jaki przedstawia Parandier przyczyny niepowodzenia Kościuszki, w porównaniu z tem, co przytoczyliśmy w M i s y i K o ś c i u s z k i z raportu Laroche'a. Przyczyną ta było, iż „żyrondyści nic nie ukończyli", co oczywiście nie z ich winy płynęło, skoro usunięto ich od władzy i pościnano. Nie kopie tu Parandier pokonanego stronnictwa, jak to czyni Laroche, nie oskarża go o zdradę, chociaż pisze, jak i tamten, do ich wrogów i katów. Przeciwnie ze słów jego wypływa, że właśnie zmiana rządów żyrondystowskich na jakobińskie, była przyczyną udaremniającą usiłowania Kościuszki, co, jak widzieliśmy, zgadza się z prawdą historyczną.

pobytu w Paryżu, zmuszony był wrócić do swoich współrodaków, nie przynosząc im żadnych skutków swojej misyi.

„Kościuszko wrócił do Saksonii i zostawał tam przez rok. Kiedy tu medytował nad planami rewolucyjnymi, współrodacy jego działali wśród otaczających ich nieprzyjaciół i udzielali mu wiadomości o pracach swoich. Potworzyły się tajne komitety... Kościuszko został mianowany dowódcą.

„Nie będąc nigdy posłem, Kościuszko nie miał sposobności wypowiedzenia swoich przekonań politycznych. Często słyszałem, jak mówił, że skoro tylko terytoryum Polski oczyszczone zostanie od wrogów, a współrodacy jego będą wolni i połączą się w zgromadzeniu narodowem, nie będzie żądał od nieba innej łaski, tylko tej, by mógł spędzić resztę dni w pokoju, nieznany i spokojny w majątku ojców swoich. Takim jest ten człowiek, którego imię stanowi postrach hord rossyjskich i pruskich. Trudno by mi według tego dopuścić, aby zechciał kiedy nadstawić ucha podstępnym insynuacyom, któremi by zechcieli kusić go nieprzyjaciele jego kraju".

2. Ignacy Potocki.

„Ignacy Potocki, przyjaciel i współpracownik Kościuszki w sprawach obecnych Polski, wykazuje zarówno w życiu prywatnem, jak i publicznem cechy charakteru, jemu tylko właściwe. Jest tem w polityce, czem Kościuszko w wojskowości, a jeśli jeden uwolni ojczyznę od ucisku obcego, drugi przyczyni się do nadania jej mądrych praw.

„Potocki miał nieszczęście urodzić się w jednej z tych rodzin, które nazywają w Polsce magnackiemi... Początkowe wychowanie jego, jakkolwiek złe i niedorzeczne, sprawiło jednak pewne dobre skutki.

„Nigdy nie zbliżał się do rodziców swoich inaczej, jak z uczuciem obawy: nigdy nie doznał od nich pieszczot ani uścisków. Sądzono wtedy w Polsce, że okazując dzieciom surowość i nieczułość, rodzice spełniają obowiązki swoje. Ta okoliczność może wpłynęła na to, że wcześnie potrafił ocenić urok studyów.

„Był on drugim wśród pięciu synów; ojciec jego postanowił jednego z nich wykierować na dostojnika kościelnego: przemówił więc raz, zebrawszy wszystkich: „niech ten wśród was, który czuje usposobienie do zawodu kościelnego, odezwie się: wy-

się go do Włoch dla ukończenia studyów". Ignacy się odezwał, gdy inni milczeli. Udał się więc w towarzystwie księdza do Rzymu, gdzie wstąpił do kollegium Nazaryńskiego.

„Potocki zostawał we Włoszech do śmierci rodziców swoich. Wtedy udał się do Francyi, zwiedził jej porty, jej główne miasta, jej fabryki i arcydzieła; zatrzymał się niedługo w Paryżu a poznawszy tam Rousseau'a, Mably'ego i Condillac'a, wrócił, zrzucając sutannę, do Polski, aby odziedziczyć, mając 21 lat, majątek zbyt wielki na jego wiek.

„Wiek jego, jego pierwsze wystąpienia podawały świetne nadzieje. Obrany posłem na kilka sejmów, wypowiadał się w rozmaitych przedmiotach ekonomii i prawodawstwa, jako człowiek, który przemedytował starożytnych i nowych pisarzy".

Opisuje dalej Parandier jego udział w komisyi edukacyjnej, jego prośbę zwróconą do Mably'ego o napisanie logiki dla szkół polskich: „napisał wreszcie do niego 27. grudnia 1777: „Sam tylko potrafisz spełnić tak doniosłe zadanie. Pracowałeś dla monarchy najwyższowładnego: czyliżbyś odmówił poświęcić pracę swoją dla narodu, który powinien nim być?"

Błędem Potockiego było, że uwierzył w możność zrobienia dobrze przez króla. Opowiada w krótkości Parandier historyę sejmu czteroletniego: intrygi i krętactwa pruskie, ufność Potockiego do króla pruskiego, którego miał za człowieka, prace jego ze Stanisławem Augustem.

„Stanisław przynosił na te obrady same tylko poglądy ciasne i ubogie; Potocki pomysły śmiałe, wielkie, często przesadne. To też najczęściej rozchodzili się nie doszedłszy do porozumienia".

Konstytucya 3. maja obudziła obawy despotów. „Rossya, Austrya, Prusy widziały już z obawą przemysł i rękodzieła swoje przenoszące się do Polski, kraje swe wyludnione, a Polskę panią części ich bogactw".

Następuje najazd 1792 r.

Przechodzimy, pomijając jego szkic do portretu i charakterystyki Potockiego:

„Ignacy Potocki ma lat 43: jest wielkiego wzrostu, budowy atletycznej. Twarz jego łagodna i przyjemna, przybiera łatwo wszystkie odcienie jego uczuć. Sposób zachowania się jego jest stateczny, bez zbytniej powagi, lecz czuje się zmieszanym, gdy mówi do kogoś po raz pierwszy. Wysławia się ściśle i wdzięcznie. Zbyt stara się uogólnić myśl swoją, przez co ona wydaje się niekiedy zbyt subtelną, często jest wzniosła. Posiadając wielką wie-

dzę, liczne talenta i potężną wyobraźnię. mało ma zaufania w sobie; waha się, gdy zmuszony jest działać samodzielnie, szuka często aprobaty innych. W zgromadzeniach publicznych motywował swoje zdania jedynie w przedmiotach doniosłych a przemawiał zawsze z przejęciem. Uczucia towarzyskie mają wielki urok dla niego. Jego dziecko, jego rodzina, jego przyjaciel są ciągłymi przedmiotami jego troski i niepokoju. Kocha lud, lecz nienawidzi popularności. Czuły jest na sławę, lecz złoto nie ma dlań żadnego uroku. Majątek jego, niegdyś bardzo znaczny, jest obecnie dosyć nadwerężony, nie przez kaprysy i fantazye — żaden sankiulota nie miał ich mniej od niego — lecz wskutek niedbalstwa. Rozmaite spadki, zabezpieczone jego córce jedynej, pozostawiają go nietroskliwym o przyszłość. Pierwotny jego monarchizm zatarł się dzięki zdradom Wilhelma, barbarzyństwu Katarzyny i nikczemności Stanisława. Życzeniem jego jest Rzeczpospolita polska. Pragnie dla niej sojuszów a związek z Francyą, której kraj kocha na równi z jej rewolucyą, wydaje mu się jedynie trwałym. Powodzenia żołnierzy wolności mogły tylko wzmocnić tę opinię“.

W. M. Kozłowski.

Poselstwo Bieniewskiego

od śmierci B. Chmielnickiego, do umowy Hadziackiej.

(Ciąg dalszy.)

Wyszła na jaw jeszcze sprawa dla Chmielnickiego niemiła, a zasadniczo ważna dla obu stron. Chmielnicki zgodził się był wprawdzie na to, że w Kijowie ma siedzieć wojewoda moskiewski i trochę strzelców, dla obrony od nieprzyjaciół. ale spostrzeżono się rychło, że utworzyła się tam placówka obserwacyjna, posterunek kontrolujący całą działalność hetmańską. Teraz posłowie domagali się. ażeby hetman dał ziemię strzelcom i osadził ich na stałe. Wyhowski i Kowalewski gwałtownie sprzeciwili się temu — porozumiawszy się poprzednio z Chmielnickim. Hetman, po długich rozhoworach, uległ: obiecał zbadać tę sprawę i po namyśle dać odpowiedź. Gdy następnego dnia posłowie wymawiali Wyhowskiemu zbyt „szumne“ zachowanie się, pisarz usprawiedliwiał się „rozkazem hetmańskim“, a całą winę przesuwał na asawułę Kowalewskiego, któremu dla uspokojenia radził „jakiś podarunek dać“.

Widocznem było, że przy łożu umierającego hetmana targowano się o przyszłość Ukrainy.

Posłowie nie przepomnieli jeszcze bardzo ważnej sprawy: następstwa na wypadek śmierci hetmana Zaporoskiego. Chmielnicki marzył o utworzeniu dynastyi. W tem nie tylko nic złego

upatrywać nie można, ale przeciwnie żałować należy, że przeznaczenie nie pozwoliło idei tej urzeczywistnić się. Utworzenie państwa ruskiego, między Moskwą a Rzptą, byłoby pchnęło dzieje dwóch sąsiednich państw, a nawet teraźniejszych księstewek naddunajskich, zupełnie innemi drogami. Ale to już jest kwestya domysłów. Zawistne losy nie pozwoliły Tymoszkowi utrwalić się na Wołoszczyznie. Pozostawał jeszcze młodszy syn Juraś, chłopiec bardzo słabiuchnej inteligencyi. Chmielnicki myślał o tem, ażeby mu po swojej śmierci zapewnić hetmaństwo czehryńskie, nie bez nadziei zapewne, że Bieniewski zdoła zatrzymać w jego rodzie dziedziczne hetmaństwo, może księstwo ruskie, do czego była skłonną Rzpta już dawniej.

Ale i tu ślepa ręka fatalizmu zaciężyła na nim.

Gdy już układy z Bieniewskim były nawiązane, gdy już stanęły na dobrej drodze, Chmielnicki tedy na Radzie kozackiej wysunął zręcznie kandydaturę Jurasia, zasłaniając się starością i znękaniem pracą. Był to tylko jeden z manewrów politycznych. Wysuwając na czoło syna, tem łatwiej za plecami jego działać mógł, tem łatwiej oderwać się od Moskwy, że można byłoby za nieposłuszeństwo Jurasia schować się, umyć ręce od wszelkiej winy, zasłonić się jego wolą, a jednak być sprężyną, działającą za kulisami. Zwołał zatem na wiosnę w końcu kwietnia lub maju radę starszyzny do Czehrynia, przedstawił im zły stan swego zdrowia, zasługi swoje w walce z Polakami, dziękował za pomoc, jaką otrzymał od niej, za rady, za waleczność i zasłoniwszy się starością i troską o przyszłość, wyraził życzenie, ażeby starszyzna i wojsko zaporowskie wybrali sobie hetmana jeszcze za życia jego. Radził na tę godność wybrać Puszkara, Teterę, Wyhowskiego i innych, równie dzielnych jak zasłużonych. Ale, wyliczając swoje zasługi i prace, mimowoli zwracał uwagę zgromadzenia, że pragnie od nich jakiejś wdzięczności. Nie bez tego zapewne było, ażeby ludzie wtajemniczeni w zamiary starego wodza, nie agitowali przedtem. Dość, że starszyzna i przedstawiciele czerni jednogłośnie zażądali, ażeby hetmaństwo objął młodszy syn Chmielnickiego, Juryszko. Tak się też i stało. Wkrótce przyszła niemoc silniejsza, Chmielnicki położył się do łóżka, ale za życia groźnego kozackiego hetmana nikt nie śmiał głosu podnosić. Przyszłego następcę swego oddał Chmielnicki w opiekę Wyhowskiemu Janowi.

Posłowie moskiewscy już w drodze dowiedzieli się, że hetman nie tylko chory, ale że za życia swego następcę sobie naznaczył.

Zaniepokoili się tem. Chmielnicki nie ukrywał faktu, tylko w opowiadaniu zmodyfikował go nieco. Powiedział, że prosił pułkowników i starszyznę, ażeby po jego śmierci wybrali na hetmaństwo Juryszka, ale „dziś i póki żyć będę, hetmaństwo i starszeństwo trzymam przy sobie. A jeżeli po mojej śmierci syn mój hetmanem zostanie, on tedy na wierną służbę carowi przysięgę złoży". A właśnie tej przysięgi żądali posłowie. Odjechali tedy uspokojeni nieco. Ale wkrótce los zgotował kozaczyźnie i Moskwie smutną niespodziankę. 27. lipca 1657 roku o 5-ej godzinie rano, we wtorek, Chmielnicki umarł w Czehrynie. Rozpętały się namiętności, zawrzały intrygi i waśnie i rozpoczęły się bratobójcze walki.

Jak zwykle, po zgonie szczęśliwego awanturnika, śmierć kozackiego hetmana nie wydawała się naturalną. Szukano koniecznie jakiejś tajemnej, nieznanej przyczyny, a nie trudno ją było znaleźć. Opowiadano, że jakiś młody Polak, który wszedł do domu Chmielnickiego pod pozorem starania się o rękę córki kozackiego hetmana, zadał mu powolnie działającą truciznę. Historya o tyle nieprawdopodobna, że w owym czasie obie córki Chmielnickiego już były wydane: jedna za Neczaja, druga za Daniłka Wyhowskiego.

Chmielnicki, jakkolwiek umarł w Czehrynie, kazał się pochować w Subotowie, nie dla żadnych innych niewątpliwie względów, tylko dla tego, że wybudował tam obok swego zameczku murowaną cerkiew, istniejącą dotychczas. Kilka tygodni upłynęło, zanim porobiono przygotowania do pogrzebu, zanim zjechała się starszyzna i przedstawiciele czerni. Aranżował całą tę sprawę Wyhowski, on kierował zaproszeniem i urządził zjazd kozacki, jako opiekun, z woli ojca, Juryszka. Wiedział dokąd dąży i umiał wybierać pośród starszyzny ludzi przychylnych sobie. W drugiej połowie dopiero sierpnia odbył się wspaniały pogrzeb, przy nader licznie zebranej starszyźnie i czerni. Pożegnał go na wieczny spoczynek stary znajomy, pisarz wojskowy i towarzysz do Siczy, historyk pierwszych powodzeń kozackiego hetmana — Samuel Zorko. Gdy po zwycięskich bitwach Żółtowodzkiej i Korsuńskiej wysunął się na czoło, wzięty pod Żółtemi wodami do niewoli Jan Wyhowski i objął przy Chmielnickim ważny urząd pisarstwa wojskowego, Samuel Zorko zniknął w cieniu. Zaćmił go zdolny i bystry intrygant Wyhowski. Nic o Zorce nie było słychać przez długie lata, aż dopiero śmierć Chmielnickiego wysunęła go z ukrycia. Żegnał starego wodza kwiecistą mową polską, ale przez retoryczne kwiaty przebijała się trwoga o jutro. Nadaremnie, zwąc go

Odonacerem i Skanderbegiem, wzywał Chmielnickiego „o przestrogę jak Ukrainę od nieprzyjaciół ratować“ — słowa te odbijały się głucho i złowrogo o wieko trumienne. Kilku wybitnych pułkowników kozackich brakło na pogrzebie, a między innemi największego zwolennika nie odrywania się od „mocnej ręki cara“, Martyna Puszkara; nie było starszyzny zaporoskiej, a to wszystko pozwalało przypuszczać, że po za nieobecnością kryją się niezadowolenia i ambicye osobiste.

Ster wszystkich spraw kozackich ujął odrazu Wyhowski w swoje ręce i widocznem było, że dąży skrycie do hetmaństwa. Urzędownie nie zawiadomił Moskwy o śmierci Chmielnickiego, z czego się później usprawiedliwiał, trudno zgadnąć z jakiego powodu, ale w prywatnych listach dał znać o tem wojewodzie Putywlskiemu, Nikicie Zuzinowi i wojewodzie Kijowskiemu, Andrzejowi Buturlinowi, będąc pewnym, że tą drogą wiadomość dojdzie do Moskwy. Wspomniawszy tedy krótko o dniu śmierci Chmielnickiego, donosił, że jeszcze za życia ojca „starszyzna wybrała hetmanem syna jego, Jurasia, który i dotychczas urząd hetmański sprawuje“. Zawiadomił również, że zaraz po pogrzebie będzie rada, „a co uradzą, nie wiem“ — mówi ostrożnie. Z Buturlinem już przed pogrzebem wymieniał korespondencye. Wojewodę Kijowskiego niepokoił Bieniewski i jego obecność w Czehrynie. „O Bieniewskim, pośle polskim, tyle Waszej Miłości powiem, że on tu przyjechał nie bez kozery: dla tego mianowicie, ażeby nas oderwać od wysokiej i mocnej ręki Carskiego Wieliczestwa, ale taki nastrój miejsca w wojsku Zaporoskiem nie ma, gdyż my od Jego Carskiej Miłości na wieki nie odstąpimy“. W przypisku dodaje, jakby dla wyjaśnienia: „bracie mój miły! służąc wiernie i szczerze Jego Carskiemu Wieliczestwu, lękam się, ażeby ten Bieniewski jakich niepokojów nie wywołał; ale mam w Bogu nadzieję, że tego nie będzie“. Mimo obawy Bieniewski siedział w Czehrynie bezpiecznie, gdy Smarowski padł ofiarą. Widocznie Buturlin domagał się, ażeby Bieniewskiego odesłano do Moskwy, gdyż Wyhowski, jakby na uspokojenie jego, wraca znowu do posła i pisze: „Bieniewskiego nie puścimy; a co do wysłania jego, o tem będę mówić ze starszyzną, ażeby Lachy cudzej ziemi nie zabierali“.

Jakiemi drogami szły intrygi Wyhowskiego — niepodobna dociec. Znamy tylko ich rezultat. Część starszyzny kozackiej uważała Jurasia Chmielnickiego za zbyt młodego na hetmana: byli według pojęć kozackich i zasłużeńsi i lepsi. Niezadowolenie to

prawdopodobnie Wyhowski podsycał, a rozmaitymi obietnicami jednał sobie stronników. Wkrótce tedy po pogrzebie, 26. sierpnia st. s. zebrała się Rada kozacka na dworze Chmielnickiego. Wyhowski zebrał tam — jak mówi pisarz współczesny — najwięcej ludzi przewrotnych a życzliwych sobie. Gdy się tedy oni zeszli, dwór zamknięto i nie puszczono nikogo. Juraś Chmielnicki, wyszedłszy z izby w krąg rady, podziękował za hetmaństwo, położył buńczuk i buławę na stole, a pokłoniwszy się radzie, do izby wrócił. Wyhowski podziękował za pisarstwo, oboźny Nosacz za urząd oboźnego.

„I tak — powiada kronikarz — leżała czas jakiś ta buława. Nie jednemu chciałoby się po nią sięgnąć, ale wojsko nie pozwalało". Potem Rada kozacka poczęła przez asawułów porozumiewać się. Większość, a szczególnie czerń głośno wypowiadała życzenie, ażeby na urzędzie hetmańskim pozostał młody Chmielnicki. Juraś zasłaniał się młodością swoją, smutkiem po ojcu, wreszcie brakiem zdolności, „dowcipu", — jak się wyrażał — do takiego sprawowania wojska, ażeby było w cichości i porządku. Znaleziono i na to radę: Chmielnicki niech zostanie hetmanem, a ci sami doradzcy ojca, Wyhowski pisarz, Nosacz oboźny, a Leśnicki Grzegorz, sędzia, ażeby nadal pozostali doradzcami syna. Juraś odmawiał stanowczo. Widocznem było, że działały jakieś wpływy na ten chwiejny umysł za kulisami. Ażeby skłonić Chmielnickiego do przyjęcia buławy, radzono, ażeby ona pozostała przy młodym Chmielnickim, a na wypadek wojny miał ją brać do rąk swoich, w zastępstwie młodego hetmana, Wyhowski. Mądry pisarz udawał, że nie życzy sobie tego i prosił o trzydniową zwłokę do namysłu. Minęło trzy dni, znowu zebrała się Rada i znowu gwałtownie popartą została ta sama propozycya. „Ale przecież — pisze kronikarz — fortel lacki i łacina przewrotna znalazły otworek, którędy można było wcisnąć się do urzędu hetmańskiego i opanować go". Wyhowski udał pokorę i nieświadomość i wytoczył przed Radą sprawę na pozór zupełnie formalną: ponieważ w czasie wojennym Juraś ma zostać w domu, a uniwersały i listy nieraz według potrzeby muszą być wysyłane z obozu, jak Wyhowski ma się podpisywać wtedy? Pytanie było obliczone na naiwność kozacką. Wyhowski już miał odpowiedź gotową. Przyjaciele podsunęli formułę: Jan Wyhowski na ten czas hetman wojska Zaporoskiego. I na tem się rada zakończyła. Tenże sam kronikarz dodaje: „raz wziąwszy buławę i buńczuk z rąk młodego Chmielnickiego, już mu nie oddał, ale przy sobie zatrzymał". Kozacy,

zebrani na Radzie Czehryńskiej, prosili o przeczytanie artykułów ugody Perejasławskiej z r. 1654 i przyznali. że „wolności kozackie“ nie zostały zmniejszone. Przyznawszy to, postanowili, ażeby wszystkim kozakom wolno było prowadzić handel gorzałką i rozmaitymi trunkami bez żadnych kar i opłat, w ten sposób powiększając swoje „wolności“.

Bojarowie moskiewscy byli bardzo czujni na wszystko, co się na Ukrainie działo. Zuzin, po otrzymaniu wiadomości od Wyhowskiego o śmierci Chmielnickiego, wysłał natychmiast od siebie do Czehrynia posłańca Ilejkę Rokołowa, ażeby się dowiedział o biegu wypadków i zdał sprawę.

Rokołow 21. sierpnia s. s., jeszcze przed pogrzebem kozackiego hetmana, w Czehrynie stanął. Posłańcowi zwierzył się Wyhowski, że „pułkownicy, setnicy i wszystkie wojsko zaporoskie“ życzą sobie, ażeby on, Wyhowski, hetmanem został aż do dojścia do pełnoletności Jurasia“ 26. sierpnia odbyła się Rada, o której wyżej nieco pisaliśmy i Wyhowski wybrany został tymczasowym hetmanem. Buławę, „której nikt wziąć nie śmiał“, ujął w swoje ręce, podniósł ją do góry i oświadczył, że tej buławy „Jego Carskiego Wieliczestwa będzie używać złym na karanie, dobrym — na łaskę“. Wziął ją, ażeby już nie wypuścić z dłoni swoich.

Ilejko Rokołow także z uwagi Bieniewskiego nie spuszczał. Dowiedział się, że „przysłany on w tym celu, ażeby kozaków napowrót przyciągnąć do poddaństwa Rzptej, ale oni o tem ani myślą“. Przez tegoż Ilejkę zawiadomił Wyhowski Zuzina, że „starszeństwo wojsko kozackie jemu wręczyło“, stosownie do życzenia starego Chmielnickiego, który mu w opiekę syna oddał, a ze swojej strony zapewniał, że „będzie Jego Carskiemu Wieliczestwu wiernie służyć“. Przez skromność nie podpisał się „hetmanem“, ale jako „przyjaciel Joan Wyhowski“. Zdał także relacyę o tej Radzie Buturlin, żadnych nowych szczegółów nie podając.

Wyhowski działał dotychczas bardzo zręcznie i bardzo przebiegle, manewrując między ostrożną a zaniepokojoną Moskwą, z drugiej między niezadowolonymi z jego wyboru kozakami. Uspokajał Moskwę, a gładził starszyznę. Chcąc wygrać na czasie, ażeby go użyć wyłącznie dla załatwienia spraw własnych, nie zawiadomił urzędownie Moskwy o śmierci Chmielnickiego, lękając się, ażeby z tej strony nie napotkał na jaką przeszkodę. Usprawiedliwiał się później niezbyt zręcznie — bojaźnią przed kozakami. Nie zawiadomił również o tym wypadku Siczy, aż dopiero

po Radzie Czehryńskiej. Z tej strony najwięcej miał obawy i, jak się pokazało, słusznie. Po dokonanym zatem fakcie wdał się w korespondencyę, kiedy już trudno było odrabiać to, co się stało. 16. września dopiero, już po wyborach Czehryńskich, a na 9 dni przed Radą Korsuńską, do której przysposobił się należycie, zawiadomił atamana koszowego wojska Zaporoskiego „o wielkiem zmartwieniu i smutku, jaki sprawiła nieubłagana śmierć, zabrawszy wojsku Zaporoskiemu miłego wodza i hetmana, Bohdana Chmielnickiego, zmusiła oddać go zimnemu łonu ziemi“. Po tym frazeologicznym wstępie zawiadomił, że został wybrany „wodzem i hetmanem“ jednogłośnie, mimo to — dodawał skromnie — bez woli i życzenia waszego, nie chce utwierdzić się na tym urzędzie, „wolno wam, braci mojej — zapewniał — z godności tej usunąć mię i wybrać kogo innego“. Była to fałszywa pokora i skromność.

Wojsko Zaporoskie nie mogło rozpocząć żadnej akcyi przeciwko niemu, bo byłoby to początkiem wojny domowej, ale na polityce „Joana Wyhowskiego“ — tak się na liście podpisał — poznano się w Siczy. Odpisano mu z Kosza bardzo zręcznie i bardzo stanowczo. Po kilku słowach żalu, poświęconych pamięci zmarłego — Paweł Homon, ataman koszowy, otwarcie pisał: „wybór wasz i elekcya nie powinna była odbyć się bez woli i rady naszej, wszystkiego wojska Zaporoskiego, a jedynie tylko przez starszyznę jeneralną, pułkowników i wojska grodowego ukraińskiego, zacząć się i ukończyć się, ponieważ i nieboszczyk Chmielnicki nie w Czehrynie, ale w Koszu naszym siczowym, nie przez grodowych kozaków, ale przez nas, wojsko Zaporoskie, wybrany został“. Dorzuciwszy kilka frazesów o tem, że nie wątpią, jako nowy hetman pójdzie śladami poprzednika swego i podziękowawszy za łaskawe obietnice, IMi pan Homon dodał: „co do owych zapewnień i obligów zachodzi pewna wątpliwość z tego powodu, że Waszmość Pan od siebie jednego, jak o tem napewno dowiedzieliśmy się, udawałeś się do Najjaśniejszej Królowej Polskiej, szukając u niej łaski i zastępstwa przed J. K. Mością, a życząc sobie Ukrainę od wysokiej protekcyi Cara odłączyć, a do Rzptej nazad wcielić“.

Po takim liście nie mogło już być dla Wyhowskiego żadną tajemnicą z kim będzie musiał o swoje hetmaństwo i o przyszłość Ukrainy walczyć.

II.

W chwili śmierci Bohdana Chmielnickiego, w Moskwie było jeszcze poselstwo Czehryńskie, wysłane przez kozackiego hetmana d. 10. lipca 1657. Na czele tego posestwa stał Paweł Tetera, ten sam, którego Chmielnicki najprzód, a potem Jan Wyhowski używali do pertraktacyi z Bieniewskim. Przywieźli hramotę hetmańską, datowaną z Czehrynia. Chmielnicki zawiadamiał cara, że Krymcy, przeprawiwszy się przez Dniestr, dążą do Raszkowa, że Polacy mają otrzymać od nowego cesarza rzymskiego 20—30 tysięcy wojska na pomoc i uprzedzał, że prosił o pomoc Grzegorza Romodanowskiego. Nastraszywszy cara, oświadczał, że poseł jego, Tetera, ustnie i szczegółowo o sprawach, poruczonych sobie, mówić będzie. List pisany był w tonie pokory i wierności.

4. sierpnia stanął Tetera przed „jasnymi oczyma“ Aleksieja Michajłowicza i powitał go szumną a panegiryczną mową w języku cerkiewno-słowiańskim. Kadził w niemożliwy sposób. „Zjednoczenie Małej Rusi i przyłączenie jej do wielkopaństwowego sceptru Najjaśniejszego Waszego Carskiego Wieliczestwa — mówił — jako do przyrodzonej gałęzi i korzeni, nie od ludzkiej rady, lecz z Bożej woli pochodzi“. Wspomniawszy i Dawida i Saula, w przededniu zdrady i oderwania się, do czego sam rękę przykładał, chwalił cara za to, że z pod długoletniej niewoli lackiej i litewskiej Małą Ruś wyzwolił, a przyjął pod swoją „wysoką i mocną rękę“. Nazajutrz 5. sierpnia stanęli posłowie na przesłuchanie u okolniczego Fiodora Rtiszczewa i dumnego diaka Almaza Iwanowa. Oświadczyli tedy bardzo nabożnie, że Chmielnicki, będąc już starym, pragnie, ażeby krew chrześciańska lać się przestała nareszcie i życzyłby sobie, ażeby car zawarł pokój z Rzptą albo Szwedami. Po takim wstępie stary hetman uspokajał cara miodowemi usty Tetery co do Bieniewskiego, że go przyjąć musi, bo jeżeli nie przyjmie, to król już więcej nie poszle i nie można będzie o niczem dowiedzieć się. Posłaniec, który poprzedził przyjazd Bieniewskiego, straszyć miał Chmielnickiego, że jeżeli hetman pokoju z Rzptą nie zawrze, Polacy z wielkim swoim smutkiem „poddadzą się“ cesarzowi tureckiemu, a wówczas razem z Muzułmanami będą gnębić kozaków. Bojarowie poznali się rychło, że taki sposób przedstawiania stosunków politycznych jest tylko krętactwem, któremu trzeba położyć koniec przez ukrócenie samowoli hetmańskiej, do czego rząd cara moskiewskiego stale dążył. Zamiast tedy odpowiadać na te matactwa, potrącili o przedmiot

pierwszorzędnego znaczenia, a dotyczący bezpośrednio sprawy ustalenia się w Małej Rusi. Zwrócili zatem uwagę na to, że hetman „prosił“ o wojsko dla bezpieczeństwa granic, że car uwzględnił tę prośbę i osadził w Kijowie 3.000 żołnierzy, a hetman nie daje im żywności, a nawet miejsca pod osiedlenie się i budowę. Sprawę tę, ze swego stanowiska ważną i słuszną, ciągle wysuwała Moskwa na pierwszy plan, torując sobie drogę do raz wytkniętego celu — wcielenia kozaczyzny. Posłowie zbyli interpelacyę bojarów zręcznie, odsyłając ich do Chmielnickiego.

Następne posłuchanie odbyło się 7. sierpnia. Bojarowie znowu zaatakowali posłów bardzo drażliwą interpelacyą, tym razem powołując się nie na „prośbę“ hetmana, ale na artykuły umowy Pereasławskiej. W artykułach zastrzeżono wyraźnie, ażeby wójtowie, burmistrze, rajcy i ławnicy wszelkie dochody pieniężne i w zbożu odbierając, oddawali do kasy carskiej, ludziom, których car na to wyznaczy. Z tych dochodów miał otrzymywać pisarz 1.000 zł. pol., sędziowie wojskowi po 300 zł., chorążowie i buńczuczni hetmańscy po 50 złp., pułkownikowie po 100 jefimków, asaułowie pułkowi po 200 zł., wojskowi po 400, setnicy po 50, a kozacy po 30 złp. Podatków na cara dotychczas nie pobierano, wojsko niepłatne, a do cara dochodzą wiadomości, że pułkownikowie i hetman ściągają podatki na siebie i z tego powodu w wojsku niezadowolenie. Posłowie nie tylko nie zaprzeczyli temu, ale zapaliwszy się zbytnio, potwierdzali niezadowolenie śród kozaków, oświadczając, że tych poborów wystarczyłoby aż nadto dla zapłacenia żołdu. Druga drażliwa interpelacya, zdążająca wyraźnie do ograniczenia władzy hetmana, dotyczyła samowolnego przyjmowania przez Chmielnickiego posłów cudzoziemskich. I tu powołano się na artykuły Pereasławskie. Posłowie i tym razem nie bronili swego mocodawcy, ale oświadczyli, że tego hetmanowi „powiedzieć nie mogą“. Słowem, widać było, że Moskwa występuje stanowczo, a posłowie zajęli zbyt niewyraźne stanowisko, raczej ganiąc hetmana, niż broniąc go.

Już po tej drugiej konferencyi nadeszła wiadomość o śmierci Chmielnickiego. Przyszła ona zarówno drogą urzędową przez wojewodów pogranicznych, jak i przez Wyhowskiego do Tetery. Rezultatem tego było natychmiastowe prawie wysłanie na Ukrainę stolnika, Bazylego Kikina, bo już 10. sierpnia dane mu były stosowne instrukcye. Ale do tego tematu wrócimy później nieco.

W tydzień po audyencyi posłów kozackich, nastąpiła dopiero następna t. j. 14. sierpnia. Był to okres narad, mających na celu

poselstwo Kikina. Śmierć Chmielnickiego czyniła poselstwo kozackie bezprzedmiotowem. Wytwarzały się nowe stosunki, mieli wystąpić na czoło kozaczyzny nowi ludzie — trzeba było przeto robić politykę na miejscu. Takie miał zadanie Kikin. W poselskim przykazie przeto bojarowie zbyli Teterę gładko — obietnicami w najważniejszej sprawie Chmielnickiego o interwencyę pokojową. „Jeżeli polski i szwedzki król zapragną pokoju — odpowiedziano mu — według woli carskiej, to Carskie Wieliczestwo na pokój zgodzi się“. Tetera prosił, ażeby hramota carska była napisaną na imię Juryszka, gdyż sam car, jeszcze za życia Chmielnickiego, na hetmaństwo syna jakoby zezwolił i uznał je. Ale żądanie to uwzględnione nie zostało.

Przyszła w końcu kolej na sprawy osobiste. Wyhowski prosił o zwrot majątków żony, Konstanty Wyhowski także „bił czołem“ o majątek, a w końcu Tetera, który już był dawniej otrzymał darowizną Smiłe, prosił o nową hramotę nadawczą, gdyż pierwszą zakopał w ziemię — na lepsze czasy — i zbutwiała. Janowi Wyhowskiemu wręcz odmówiono, zasłaniając się tem, że majątków już nadanych odebrać bez przyczyny nie można, życzenie Konstantego pominięto milczeniem.

Tetera prosił przytem, ażeby o nadaniu jemu Smiły przed wojskiem nie wyjawiać, gdyż nikt ze starszyzny, z obawy przed wojskiem, majętnościami nadanemi nie włada, a o nadaniach nawet Chmielnicki nic nie wiedział. Wogóle poselstwo robiło wrażenie nieprzyjemne, zajęło stanowisko niewyraźne, dwuznaczne, obłudne. Z jednej strony frazesy niewolniczej pokory, z drugiej zbyt wyraźne żądanie za tę wrzekomą wierność i pokorę zapłaty, a po zatem wszystkiem tajemne układy o zdradę. Przytrzymano ich w Moskwie zbyt długo i zapewne nie bez rozmysłu: chciano dać Kikinowi czas i możność zbadania sytuacyi zanim się posłowie będą mogli za powrotem porozumieć ze starszyzną.

21. sierpnia nastąpiła dopiero odprawa posłów. „Uderzyli czołem“ „przed Wielkiej, Małej i Białej Rusi samodzierżcem, mnogich państw i ziem wschodnich, zachodnich i północnych ojczyccem, dziedzicem, następcą, hosudarem i obładatelem“. Imć pan Paweł Tetera otrzymał kawał atłasu gładkiego, czerwonego sukna dobrego, sorok sobolów w cenie 70 rubli i 30 rubli pieniędzmi. Towarzysze otrzymali tylko „żałowanie“ z hosudarskiej kazny. Na drogę obdarzeni zostali „hramotą“ carską na imię „wojska Zaporoskiego“ Car oświadczył, że do obrony Ukrainy wyszle Romoda-

nowskiego i Wasyla Szeremetjewa, a „dla wielkich hosudarskich spraw“ będą wysłani. Kniaź Aleksy Trubecki, namiestnik Rżewski, Bohdan Chitrowo i dumny diak Łarion Łopuchin.

Kikin już dojeżdżał do Czehrynia, gdy Samojło Bohdanow i Paweł Tetera żegnali Moskwę. W poselstwie Kikina już zarysowała się wyraźnie polityka Moskwy, zaledwie widoczna i nieśmiała w stosunkach z Chmielnickim. Spostrzegłszy, że między czernią, wojskiem, ludnością wiejską, a starszyzną kozacką nie tylko nie było zgodności interesów, ale przeciwnie tkwiło ukryte wzajemne niezadowolenie, postanowiono wykorzystać je na korzyść swoich interesów państwowych. Centralistyczna i silna samowładztwem Moskwa, nie mogła obok siebie tolerować zupełnie odmiennego ustroju społecznego i państwowego: nie mogła być obojętną gdy Ruś, przyłączona do niej, broniła nie tylko swojej autonomii, lecz prawie państwowej odrębności. W kierunku złamania i usunięcia tych różnic działać poczęła polityka moskiewska od śmierci Bohdana Chmielnickiego, zręcznie manewrując między swawolą i ambicyą łatwo sprzedajnej starszyzny, a obojętnością wobec interesów narodowych mas ludowych, dostrzegających tylko najbliższe swoje materyalne potrzeby. Śród stosunków tedy pełnych wichrów i swarow wewnętrznych, zdobywała Moskwa powoli nowe posterunki dla swojej idei państwowej lub przygotawiała grunt dla niej. Poselstwo Kikina także zmierzało do tego celu. Śmierć Chmielnickiego stała się niespodziewanym impulsem do tego poselstwa. W Moskwie tak rozumiano potrzebę i doniosłość zbadania stanu umysłów na Rusi i nastroju społeczeństwa, że już 11. sierpnia Kikin otrzymał szczegółową instrukcyę.

Moskwa rozpoczęła akcyę swoją nader ostrożnie. Nie wiedziano kto z kozackiego chaosu wypłynie na wierzch. Widzieliśmy już, że odrzuciła propozycyę Tetery, ażeby hramotę adresować do Jerzego Chmielnickiego. W tym samym duchu brzmiała instrukcya Kikina. Nie do tej lub innej osoby ale do „wojska Zaporozkiego“ był wysłany i w „obozie“ miał się stawić. Po formalnościach, których w Moskwie mocno przestrzegano, miał odpowiedzieć najprzód na życzenie posłów Chmielnickiego: była to zapowiedź przysłania pomocy — Romodanowskiego i Szeremetjewa — jakoteż przybycia Trubeckiego z towarzyszami. Miał on znowu podnieść sprawę: dlaczego wojsko zaporozkie nie było płacone, czy wybierano podatek na wojsko i dlaczego nie płacono. Następnie miał poruszyć znowu sprawę carskich wojewodów na Rusi, na co

Moskwa z nadzwyczajną stanowczością nacisk kładła. Kikinowi była co do tego wyznaczona wyraźna dyrektywa. Gdyby ludność sama żądała Wojewodów carskich, w celu obrony od wrogów i sądownictwa, Kikin miał powiedzieć, że uregulowanie tej sprawy Car powierzył mającemu przybyć poselstwu. Na wypadek wszakże, gdyby o wojewodach nikt nie wspomniał, Kikinowi polecono tę sprawę zainicyować i samemu podsunąć myśl o potrzebie obsadzenia większych miast kozackich carskimi wojewodami dla obrony mieszkańców od krzywd starszyzny. Dalsza część instrukcyi dotyczyła zbadania politycznych stosunków Kozaczyzny z Moskwą i Krymem na miejscu i wewnętrznego stanu rzeczy w Kozaczyźnie. W końcu wyraźnie zastrzeżono, ażeby „hramotę wręczył wojsku zaporozkiemu całemu w obozie, a do syna hetmańskiego i do pisarza Wyhowskiego pojedynczo nie chodził".

Zanim Kikin wręczył hramotę carską starszyźnie kozackiej, zetknął się z nią prywatnie, w domu swoim. Od razu przystąpił do sprawy najważniejszej. „Dobrze byłoby — mówił — ażeby w większych miastach kozackich byli carscy wojewodowie. Nieprzyjaciele wiedząc o tem, baliby się ich i w wojsku kozackiem nie byłoby buntów i swarów". Starszyzna odpowiadała z pokorą: „wolno to jego carskiemu Wieliczestwu uczynić", ale dodawano: „na ukrócenie buntów jest u nas karność wojskowa". Kikin odniósł to przekonanie, że starszyzna nie życzy sobie wojewodów i miał słuszność, jak obaczymy. 25. sierpnia s. s. wręczył starszyźnie hramotę carską i urzędownie zapowiedział przybycie Romodanowskiego, Trubeckiego, Chitrowo i in. Prywatnie znowu zagaił sprawę wojewodów, motywując w znany już sposób potrzebę ich wprowadzenia. Ale i tym razem starszyzna zachowała się powściągliwie. Widocznem było, że nie życzą sobie dzielić władzy z nikim. Co do możliwej swawoli wojskowej i buntow, oświadczyli otwarcie, że mają na to wypróbowany sposób: „karają śmiercią lub też ucinają uszy i nosy" po tatarsku. Następnie był na radzie kozackiej, której przebieg już znamy.

Najbardziej niepokoiło Moskwę poselstwo Bieniewskiego, obecnego bezustannie w Czehryniu. Rola Wyhowskiego była rzeczywiście niezmiernie trudną: paktował z Bieniewskim, a musiał od tego paktu odwracać uwagę Moskwy i zapewniać ją o swojej wierności. Gdy tedy po wyborach wstąpił do niego Kikin, rzekł mu: „przyjechał do nas od Rzptej poseł Kazimierz Bieniewski, ażeby nas chytrze do pokoju nakłonić. Ale my znamy przebiegłość

Polaków: chcą nas tym poselstwem uspokoić, a potem zebrać wojsko swoje i cudzoziemskie i napaść na nas". Uprzedzając możność wykrycia układów Bieniewskiego z Wyhowskim, nowo obrany hetman, ostrzegał, ażeby car nie wierzył „żadnym złośliwym i przewrotnym wieściom niczyim". Kikin nie bardzo ufał temu. Zasięgał wiadomości od innych i do cara pisał: „Wyhowski widząc złośliwość i nieprawdę Bieniewskiego pragnie go zatrzymać,— Chmielnicki pisał, że nie chce i podawał racye — a jeśli ty wielki carze zażądasz tego niewątpliwie z Czehrynia go nie odpuści". Dowiedział się on, że „Bieniewski w całej koronie polskiej jest człowiekiem znanym i rozumnym", a co do „carstwa moskiewskiego i wiary prawosławnej — bardzo nieżyczliwy i obłudnie namawia hetmana i starszyznę, ażeby odstąpili od wysokiej woli carskiej, a wrócili znowu z całem wojskiem zaporozkiem w poddaństwo króla polskiego". Ażeby ostatecznie odwrócić Wyhowskiego od Bieniewskiego, Kikin straszył go tem, że „Bieniewski czarnoksiężnik i czarodziej". Musiał się na to śmiać w duszy świeżo nominowany hetman wojska zaporoskiego. Widząc że Kikin bardzo interesuje się poselstwem polskiem, Wyhowski starał się odwrócić od siebie podejrzenie. Spostrzegł, że słowa nie wystarczają, że trzeba cara czemś uspokoić co do swojej wierności, wręczył tedy do rąk Kikina list króla do Wyhowskiego drugi taki list do Bieniewskiego i kilka listów różnych panów także do Bieniewskiego pisanych. Oczywiście, było to wszystko niczem, gdyż korespondencye prowadzono ostrożnie, w tem przekonaniu, że zawsze do rąk niepowołanych dostać się może, a układy na innej drodze miały się prowadzić.

Kikin, wierny swojej instrukcyi, nie zadowolnił się wcale urzędowym stosunkiem ze starszyzną, ale zbliżył się do czerni, do mieszczan, do ludności wiejskiej. Jadąc jeszcze z Putywla do Czehrynia, w Romnach, Łochnicy, w Łubniach rozmawiał z mieszczanami, z kozakami, z wójtami, a wszędzie potrącał sprawę obsadzenia miast przez wojewodów moskiewskich. Odpowiedzi zupełnie inaczej wypadały. Kikin wyniósł to przekonanie, „że ubogiej ludności byłoby to bardzo na rękę". I kozacy szeregowi nie okazywali wielkiego zadowolenia i istniejącego stanu rzeczy. Póki żył Bohdan Chmielnicki, wszyscy milczeli: żelazna jego ręka i despotyczna wola rządziły wszystkiem. Milczano ze strachu. Starszyzna kozacka szła za przykładem wodza. Rabunek, wyzysk, samowola stały się czynnikami normalnymi życia. Kikin potrącił

także zręcznie sprawę zapłaty wojsku. Kozacy, którzy chodzili w głąb Rzptej i Litwy z Antonem Zdanowym powiedzieli otwarcie, że nic im nie płacono, „żołd każdy na siebie zdobywał“. Wspomniawszy o tem, że Bohdan Chmielnicki zobowiązał się był wypłacać żołd kozakom, gdy na wojnę pójdą, pocieszył tem, że całą sprawę tę załatwi z polecenia cara Trubecki z towarzyszami.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

Właśnie są biskupi dla szlachty złymi sąsiadami, nie szanują jej wolności i praw, sami chcą nad nią panować. „Ich m. nie oglądają się nic na nasze wolności, na nasze prawa“ — żalił się Ossoliński — „wszystko to, co im samym dobre, by nam miało wszytkim być nagorzej i czynią, i W. K. M. do tego i prożbami i perswazyami cisną, abyś czynić raczył, czego (dlatego) są wiele mandatów, których sobie nawyprawowali *ad oprimendum* wolności a swobód koronnych, ale iż W. K. M. swego m. pana mamy króla dobrego, świętego a krześciańskiego, nie mogą jednak tak swej myśli nad nami użyć, jakiej chcą. A tak nie wątpiemy, gdyby onym było można króla obierać, żeby inakszego nie radzi widzieli jeno takiego, na którymby się dosyć stało ich przysiędze, którą przysięgli papieżowi. I Ich m. też (z) takiej chuci ku panowaniu nad nami, jakiej pragną, przełamali wszytkie wolności nasze, czego się dobre znaki po ich m. dawno okazują, jeno iż je-

szcze po swej myśli pana mieć nie mogli. Aby to była prawda. że tego dawno pragną, racz W. K. M. N. M. P. wejrzeć w przywileje nasze. a w te też karty, których między nasze przywileje ich mości nakładli. Ujrzysz tam W. K. M. n. m. p. jako ich m. przez moc się włonić chcą przez nasze prawa ku opanowaniu a ku zwoleniu nas". Tu począł wyliczać mowca kardynalne prawa i swobody szlacheckie i zestawiać je z przywilejami duchowieństwa, które wprost im negują. Pierwszy artykuł tych praw i swobód to: *neminem possesionatum capi faciemus* etc., chroniący winnego szlachcica od więzienia. dopóki mu wina sądownie nie będzie dowiedzioną.[1]) Przeciw temu artykułowi mają biskupi swój przywilej: *ubi clericus ordinatus vel presbyter esset occisus* etc., zawieszający w miejscu tem, gdzieby kleryk lub kapłan był zabity, raniony, pojmany lub zatrzymany, wszelką służbę Bożą. dopóki złoczyńca biskupowi nie będzie wydany, nakładający też na mieszkańców tego miejsca obowiązek wydania go biskupowi lub złożenia przysięgi, że złoczyńcy pojmać nie mogli ani mu okazyi do ucieczki nie dali i t. d., a samego złoczyńcę proskrybujący, bo ktokolwiek zdołałby go pochwycić. miał go biskupowi dostawić.[2]) Drugi artykuł brzmi: *promittimus, quod nunquam alicuius subditi regni nostri bona haereditaria recipiemus, confiscabimus* etc.: wzbrania on konfiskaty majątku szlachcica bez wyroku sądowego.[3]) Artykuł ten gwałcą biskupi przywilejem swoim, który opiewa, że ekskomunikowany za zabór dziesięcin *(propter raptum decimarum)* lub za inne jakie ekscesa podlega konfiskacie majątku ruchomego i nieruchomego, który ma dokonać starosta miejscowy.[4]) „Trzeci artykuł naszych swobód mówi: *nihil novi statuemus absque con-*

---

[1]) Podług przywilejów czerwińskiego i jedlińskiego z 1421 r., nadanych szlachcie polskiej przez króla Władysława Jagiełłę.

[2]) Podług konstytucyi Bodzanty, biskupa krakowskiego, z 1359 r. pomieszczonej w statucie Łaskiego pod rokiem 1433.

[3]) Podług przywilejów z 1421 r., czerwińskiego i jedlińskiego.

[4]) Bukowski, T. II. s. 522—523 w przypisach przytacza edykt pewien z 1433 r., wydany przez króla Władysława Jagiełłę. potwierdzający dawną konstytucyę de sententia excommunicationis (podług Wężyka Constit. synod. i Vol. leg. I. f. 193). Edykt z 1433 r. potwierdził Kazimierz Jagiellończyk 1458 r. A więc słusznie wyrażał się Ossoliński. że biskupi „przez moc się włonić chcą przez nasze prawa", bo te edykta, uzyskane od Jagiełły i Kazimierza, naruszały wcześniejsze przywileje szlachty z 1421 r.

silio consiliariorum et nunctiorum terrestrium consensu" [1]) etc. — ale dowodził Ossoliński — „ich m. przodkowie i przeciw temu włożyli swój własny, iż ktoby w klątwie był, nie ma miejsca u sądu". Miał tu na myśli owo podniesione 20. grudnia przez Stadnickiego nadużycie, popełniane przez biskupów, że statut Kazimierzowy o klątwach na świadków „rozciągali" bezprawnie także na powodów i na pozwanych do sądów — „powiedając, iż *locum standi in iudicio* mieć nie może w klątwie będący." [2]) Ale biskupi, zdaniem jego, naruszyli swobody szlacheckie nie tylko wyrabianiem sobie przywilejów, uwłaczających prawom koronnym, oto wprowadzili jeszcze do Polski zupełnie obce prawa, prawa papieskie, któremi chcą szlachtę zgnębić i poddać swej władzy. „Mamy też — mówił — statut pospolity, iż *a quolibet gravamine* ma być ku W. K. M. *apellacio,* tego wszytkiego oni nam dopuścić nie chcą, i mocno to obserwują i bronią, jedno chceli kto apelować, tedy do swego pana papieża ukazują, i tam jeno dopuszczają apelacyi. A k'temu jego ustaw nanosili do nas, któremi uciskają nas a ku poddaństwu swemu nas uczą, a sroższemu daleko a niż W. K. Mci N. M. P., który nam rozkazować raczysz wedle prawa naszego pisanego. Cisną nas zakłady wielkimi, rozkazując, abyś to zapłacił albo to wroczył pod zakładem (grzywną) tyle tysięcy dukatów węgierskich albo tyle funtów złota, i osądziwszy już o zakład, pozywają już o on, jako o napewniejszy dług, podzieliwszy się już iem (nim), jednę połowicę do skarbu swego oddzielają, a drugą na budowanie kościoła. Pozywają nas za swym dworem (kuryą sądową) o cokolwiek chcą i kiedy chcą, a W. K. M. N. M. P. wedle prawa naszego masz pewne artykuły, o co za dworem swym pozywać raczysz. Prawa nasze bronią królom panom naszym, aby nas z Polski do inych ziem nie wyzywali, biskupowi krakowskiemu do Ślązka wolno wyzywać kiedy chce (zapewne jako księciu siewierskiemu) a każdemu księdzu wolno, by chciał, i do Rzymu, jakoż tego wiele czynią. A tak gdyż tak ich m. smaczne takie panowanie nad nami dziś wyciągając wyżej władzą swą, a niż ani nasze prawo uczy, aniż też i W. K. M. czynić raczysz, czego i takiemi sprawami ich m. poświadczamy i jeszcze i mandaty królów polskich ukażemy, z czego się jaśnie znaczy, że nas *autoritate regia* pod swe panowanie

---

[1]) Konstytucye radomskie Aleksandra z r. 1505.
[2]) Dz. s. 165.

wcisnąć chcą, czego są dobremi świadki mandat in Wieluń (edykt wieluński 1424 r.), mandat in Opatowiec (1474 r.) list arcybiskupowi gnieźnieńskiemu dzisiejszemu na koronacyi dany (1550 r.), mandaty, które dzisiejszy ksiądz biskup krakowski (Zebrzydowski) wyprawował, i do nieboszczyka pana Kmity, wojewody i starosty krakowskiego i do inych urzędów dzisiejszych (1551 i 1556 r.). A tak jako mówiemy, gdyż tak smaczna taka zwierzchność ich m. i pożyteczna papieżowi, którego oni pożytków i władzy strzedz przysięgli, tedy nie wątpiemy nic w tym, że będą chcieć ich m. pewnie o takiego króla się starać nam na on czas, jakoby im tego wszytkiego bezpieczniej używać dopuścił, czego jeszcze czynić nie mogli za przodków W. K. Mci i za W. K. Mci panowania tak bezpiecznie. Smaczne to rzeczy N. M. Królu a bardzo łakome panować nad ludźmi a jest to tak każdemu człowieku rzecz wrodzona... żeby nie tylko o dominatum jakie mieli stać, ale też żeby się *ex regula* pod posłuszeństwo czyje wdali, tedy ukazują się w nich tak wielkie ambitiones, jako i w tych, którzy *ex professo* okazują to po sobie... A jeśli kiedy, tedy teraz na świecie okazują się wielkie ambicye w stanie tym, w którym są ich m. x. biskupi i u nas się to jaśniej teraz za panowania W. K. M. N. M. P., a niż kiedy przedtem okazuje. Abowiem acz przodkowie ich m. starali się o to zawdy, jakom powiedal, co się znaczy z tych i ich samych ustaw prawom naszym przeciwnych, i z tych takich mandatów królewskich, których do naszego statutu nakładli, ale tego wżdy skromniej i nie z taką śmiałością używali, jako teraz ich m., bo oni arte nas używali (podeszli), nakładszy między nasze prawa to, czego się im chciało, nie używali tego, jeno czekali, aby się to tak tam zastarzało, aby wżdy kiedy albo oni sami *per occasionem* albo potomkowie ich mogli potym za prawo tego używać... bo się wżdy i onej konfederacyi naszej (zawartej w Korczynie 1438 r.) bali, na którą też i oni sami acz podobno nie chcąc z przodki naszymi zwolili, która w statucie stoi: *nos principes spirituales et seculares* etc., kędy się wszyscy sprzysięgli *in jure terrestri communi contentari*, a ktoby przeciw temu *iuri terrestri communi* (pospolitemu prawu ziemskiemu) *inoboedientias* jakie czynił, tedy naprzeciw takim mieli powstać *in eorum destructionem subfide et honore absque dolo et fraude, nec aliquid verbum pro eis loqui*, też *sub fide et honore...*“ Dziś się już tej konfederacyi nie boją, jakby zapomnieli, że przez nią „zamknęli się wszyscy *sub unum jus terrestre com-*

mune, tak *spirituales* jako *seculares*". [1]) Dziś odgrzebują nie tylko to, co ta konfederacya i inne statuty „umorzyły", ale nadto „okazują nieposłuszeństwo majestatowi sejmowemu i K. J. Mci", bo przeciw uchwale sejmowej (1538 r.) — „którą król *cum senatu* i z posły był uczynił, aby panowie duchowni kładli listy (przywileje) na sołtystwa, które skupili, zaczem ubyło wiele służby wojennej, arcybiskup zasię synod złożył po tym to sejmie do Piotrkowa (1542 r.) i tam z biskupy postanowił, aby żaden listów swoich na sejm nie ukazował..." [2]) Oto jaki rezultat tego, że biskupi „nie obowiązują się taką przysięgą" względem króla i Rzptej, jaką się zobowiązuje sam król i panowie, których oni „świeckimi zowią": „W. K. M. obwięzować się raczysz o Rzptej dobre i pożyteczne się starać" — tłumaczył wymowny poseł królowi — „a ich m. (panowie) obwiązują się przysięgą *et consulere* ku dobremu W. K. Mci i Rzptej, i *opponere sese* i *avertere,* coby złego baczyli, a ich m. (biskupi) nie mają takiej przysięgi na sobie jako ina rada koronna radzić i starać się o dobre pospolite albo oponować się o złe, przeto też ich m. więcej tego pilni, aby te prawa, to *autoritas* tego pana, któremu tego strzedz przysięgli, mocniej dzierżona była a niźli nasze prawa i *autoritas* a władza W. K. Mci N. M. P. i Rzptej". Wprawdzie składają oni królowi przysięgę „jako sekretarze" i jako tacy „przysięgają *secreta concredita non pandere*", ale ta przysięga niczem jest wobec przy-

---

[1]) Patrz studyum A. Prochaski „W obronie społeczeństwa" (Kwart. hist. Rocz. XV., Z. III. — 1901, str. 328—330). Przytacza autor w przypisach na str. 329 zdania współczesnych naszej epoce Bielskiego i Skargi o owej konfederacyi, na którą się posłowie sejmowi powołują. Są one zgodne z ich zdaniem. Bielski (Kronika I., 641) nazywa ją wprost konstytucyą i pisze: iż każdy za nieprzyjaciela ojczyzny ma być poczytan, który się prawem pospolitem nie kontentuje a gwałtem i mocą krzywdy swej dochodzi, także ktobykolwiek heretykiem został lub heretyków bronił. Skarga mówi: Ona Korczyńska konfederacya dawnością się wzmocniła i spróbowała mając lat dalej niż półtorasta, przez które nikt jej nie przyganiał, nikt jej nie psował, nikomu nie wadziła, jedno heretykom a husytom, które jako potępione i burzliwe od Korony odegnała a pokój w Królestwie zatrzymała. Na czele konfederacyi stał kardynał Zbigniew Oleśnicki, który w laudum krakowskiem pozostawił wybitne świadectwo, jako żywo pragnął, aby duchowieństwo szanowało wyroki sądów świeckich. Obok niego byli inni książęta Kościoła...

[2]) Dz. s. 206—207. Ossoliński odczytał uchwałę tę w oryginale łacińskim.

sięgi składanej papieżowi, którą zobowiązują się „*consilia* wydawać“, tajemnice zdradzać. Ale, zdaniem mowcy, chociażby nawet „i taką koronną przysięgą obowiązani ich m. byli, jako i ina rada koronna“, zawszeby sobie „więcej ważyli“ tę, którą papieżowi składają. Wszak kiedy ojciec króla i sam król z panami radami podniósł potrzebę zachowania annat papieskich na obronę Rzptej — „rozumiejąc to być szkodliwe Rzptej, że tak wielkie skarby darmo z Korony za te sakry do Rzymu wynoszone bywają, a rozumiejąc, żeby to było z wielkim pożytkiem koronnym, aby to w Polsce zostało na obronę“ — „tedy wstawali ich m. i opowiedali się, że w takiej radzie być nie chcą, gdzie się dzieje przeciw papieżowi, albo jego władzy i pożytkom, i jaśnie go zwali panem i dobrodziejem swym, bez którego łaski biskupy by być nie mogli...“ Cytuje dalej mowca parę ustępów przysięgi koronnej na dowód, że w sprawie owych annat postąpili sobie biskupi wbrew intencyom tej przysięgi. Senatorowie zobowiązują się nią odwracać od króla i od Rzptej wszystko, co im szkodę przynosi, *nocibile et damnosum*. Tymczasem, powiada Ossoliński: ich m. znając i od W. K. Mci i od inych rad koronnych, że takie złota a skarbów z Korony wynoszenie jest bardzo *nocibile et damnosum*, nie tylko tego ich m. nie chcieli *avertere*, ale mocnie się ich m. oponowali *in contrarium*“. Konkluduje tedy: „A tak jako powiedamy, jako taka przysięga ich m. W. K. Mci i Rzptej pożyteczna być może, gdyż i rozum i *experientia* ukazuje inaczej, a przeto pod wątpieniem musiem o tym mówić, jeśliże radzić o czem nam pożytecznem... A tak za tak wielkiemi przyczynami, jakobyśmy my mieli bez strachu przypuścić ich m. do takowego aktu wybierania króla a pana sobie, gdyż nie tylko wtenczas, ale i teraz w radach ich m. musiemy wielkie suspicye i wątpienie mieć, póki widziemy, że ich m. noszą na sobie tak srogą inemu panu przysięgę...“ Podniósłszy następnie doniosłość przysięgi państwowej, przyjętej na całym świecie, której i królowie dla dobra i bezpieczeństwa państwa nie tylko panowie poddawać się muszą, tłumaczy Ossoliński, dlaczego to posłowie: „i teraz“ muszą mieć biskupów w podejrzeniu. „I toż“ — rzekł — „nam wielkie suspicye czyni, że i na warszawskim sejmie i na tym dzisiejszym te legaty rzymskie (Lippomano! Kamill!) widziemy, bo to nigdy nie słychano było w Polsce pierwej, aby tak papież pilnował sejmów polskich, jako teraz już czynić począł, co rozumiemy, że to *misterio non cavet*, bo niektórzy ludzie wydali tu, a myśmy o nich słychali jakiegoś księdza Krasickiego (Krasiński!) listy, z których się zna-

czyło, że obiecował ich mościom to, że tu legatowie snadź i kardynałowie (Scypio!) być mieli, i tak rozumiemy, że to nie bez wiadomości ich m. się dzieje. A tak iż widziemy, że takowi ludzie nie ku czemu inemu posyłani bywają, jeno ku utwierdzeniu dominatum pana rzymskiego, tedy i tu tego bardzo się strzeżemy, aby co jakiego ku naszemu złemu się nie działo". Dowodził dalej, że ostrożność wszelka względem owych legatów, nasyłanych teraz przez papieża do Polski jest bardzo wskazana, bo i historya poucza, jak bardzo strzedz się należy polityki papiezkiej: „gdyż to jaśnie wiemy i z listów do niektórych panów z Rzymu pisanych, tedyż i z kronik koronnych, że ten pan rzymski raczej to widzi, aby się Korona w niwecz obróciła, a niśliby z jego władzy i powagi co namniej się umniejszyć miało, i tak mówi o tym, żeby to było pożyteczniej, czego i kardynali w pisaniu swym do niektórych panów jaśnie temi słowy dokładali, *praestaret terquaterque funditus regnum everti, quam de autoritate apostolica vel tantillum diminui* (!)". Wobec tego znowu wraca do swej konkluzyi Ossoliński: „A tak i z tego samego tedy się łacno przestrzedz możemy, jakieby to nam niebezpieczeństwo i strach przynieść mogło, gdyby ich m. tą przysięgą ku takiemu posłuszeństwu będąc obowiązani ku elekcyi nowego króla przypuszczeni być mieli". Zastrzegł się jednak: „Nie mówiemy tego n. m. królu, abyśmy mieli *ex aliquo odio privato* to czynić, Pan Bóg nas tego uchować raczył, że my nic *privato odio* albo *affectu* nie czyniemy, jeno to czyniemy, k'czemu nas powinność przeciw osobie W. K. Mci, któryś jest głową naszej Rzptej, powinność przeciw prawom, swobodom a wolnościom naszym ciśnie..." W końcu rzekł: „Ich m. my służemy radzi i czciemy i ważemy i życzemy wszytkiej czci i dostojeństwa, jakom panom i braci swej starszej (!), ale iż widziemy, gdyż ich m. przysięgą swą wdali się pod posłuszeństwo inemu panu, tedy już tak głową W. K. M. swoją wyznawać nie mogą, jako my czyniemy: a jeślize W. K. Mci za głowę swą nie będą i słowy i skutkiem wyznawać, jako my aż do krwie ostatecznego przelania czynić-eśmy zwykli i czyniemy, tedy jedno ciało z nami rozumiani być ich m. nie mogą: a tak chcąli ich m. wedle swej powinności W. K. M. za głowę swą wyznać, chcąli w prawie naszym jako konfederacya (1438 r.) uczy, z nami zostać, jakoż my ich m. tego z serca życzemy (!!), tedy tym to ich m. pokazać będą raczyć k'tak srogiej przysiędze (wyrzec się jej!), która obraża i osobę W. K. Mci i prawa pospolite i *unitatem* ciała tego, któregoś W. K. M. jest głową... a tę powinność na

się wziąć przeciw osobie W. K. Mci i Rzptej. którą ine koronne rady na się biorą (złożyć przysięgę senatorską!), także też ku Rzptej tę powinność, której konfederacya nasza z ich m. spólna nas uczy, tedy my i wybierać przyszłego króla z ich m. jednako chcemy i we wszytkiej zgodzie i miłości trwać, jako i krześciański zakon uczy. i ta społeczność nasza, którą z ich m. mamy wspólnej Rzptej. potrzebuje (!!). Mamy za to i są-śmy pewni n. m. królu. iż ich m. za złe mieć nie raczą tego od nas ich m. upominania i ostrzegania, gdyż to. czego się ostrzegamy, tak wiele ich m. według powinowactwa przeciw osobie W. K. Mci i Rzptej jako bracі naszej starszej jako i nas też słusznie dolegać i dotykać się ma, czemu wszyscy zabiegać i ostrzegać spolnie mamy, jakoby się temu staremu ale złemu i szkodliwemu osobie W. K. Mci i Rzptej zwyczajowi zabieżało i ostrzegło".

Mowa Ossolińskiego oburzyła biskupów. Nie ujęły ich zapewnienia miłości i życzliwości braterskiej. których im mowca przy końcu swej mowy nie szczędził. Odkrywszy w żądaniu wyrzeczenia się przysięgi kościelnej tendencye wrogie dla katolicyzmu i papieztwa, zapoznawali zasady. bronione przez izbę poselską. że w Rzptej powinny jak w każdem nowożytnem państwie panować jedne prawa. jeden wymiar sprawiedliwości. jeden rząd i jeden władca. W zamachu na ich przywileje. w proteście posłów przeciw ich przysiędze. krzyżującej się z przysięgą senatorską. widzieli zwykłą napaść na stan duchowny, pozbawioną głębszej myśli. wznioślejszego celu. Pierwszy Zebrzydowski, — „zruszony rzeczą" Ossolińskiego. począł wymawiać im — „iż oni bacząc to, że ich tu ni masz jeno czterech biskupów, przy każdej sprawie (na nich) burkają. a ci najwięcej, którzy heredetarie poselstwa mają; i sami się posły obierają na to jeno, aby naprzeciwko stanu duchownemu burzyli i powiadają. żebychmy prawa na to nie mieli, co się potym okaże. iż cokolwiek czyniemy, za prawem swoim czyniemy". Odgrażał się tedy: „A iżem w tym cierpliwy był. żem nie tak postępował, jako prawo na to mam, tedy teraz będę czynił". Protestował przeciw twierdzeniu posłów. jakoby biskupi „turbowali rem publicam" i zapowiadał. że udowodni. iż oni sami ją zakłucają, byle tylko król zostawił biskupom trochę czasu. aby się mogli porozumieć, jaką dać im mają odpowiedź. [1]) Również Uchański twierdził. że zarzuty posłów „potrzebują namysłu dobrego", nie chciał na nie z tego powodu zaraz odpowiadać,

[1]) Dz. s. 207.

dodawał jednak, że jego zdaniem przysięga składana papieżowi nie stoi w sprzeczności z przysięgą senatorską i on ze swej strony gotów obydwie złożyć. „Acz o tej przysiędze, którą przypominali (posłowie) — mówił „nie wiem, bom jej nie czynił, (będąc dopiero nominatem kujawskim, mając też zapewne już wiadomości od Hozyusza, że go papież potwierdzić w żaden sposób nie chce, nie wiedząc więc, czy wogóle kiedy ją składać będzie) a wszakoż się pokazać może, że chociaż ją tam tej stolicy świętej czyniemy, tedy oboje to stać może, iż my i Waszej K. Mci, Rzptej i naświętszemu ojcu, jako to mówią, naszemu wiarę swą zachować możemy, a oboje to stać może, bo póki ociec święty będąc na miejscu tym, na którym go Pan Bóg postawił, *super catedra petri* będzie chciał uczyć i rozkazować to, co Piotr i ini apostołowie rozkazali, tedych my go powinni słuchać wedle nauki boskiej *estote subditi praepositis vestris*, boć to tak być musi, że wżdy jeden ma być pirwszym a głową drugim. A iż o tę przysięgę drugą mówią, iżesmy w radę nie przysięgali, tedyż tak przodkowie nasi zawsze i w radę u K. Mci zasiadali, boć jednak każdy sekretarzem będąc przysięga W. K. Mci, a wszakożbym ja o to nic nie dbał, abych i drugą raz przysięgę czynił, bo co raz uczynić dobrego, tedym to zawżdy gotów powtórzyć ni jeden kroć ale ile jeno potrzeba. [1]) Noskowski widział w napaści posłów „zły przykład“: jeśli się teraz oburzają na biskupów i chcą ich „z ich miejsc ruszać“, pokuszą się z czasem o to samo i względem kogo innego. Miał na myśli naturalnie — króla. A Przerębski między innemi rzeczami powiedział, że się temu nic nie dziwi, iż to teraz biskupów spotkało, bo o tem dawno wiedział, — „że tak być miało i do uszu króla przychodziło“ — „że to dawnego kowania a nie dzisiejszej nocy jest ta robota“, — że jednak można inwektywy posłów łatwo odeprzeć, dać na nie „słuszną odpowiedź“. [2]) Najbardziej posłów oburzyły zarzuty i pogróżki Zebrzydowskiego. Chcieli wiedzieć — „o kim to jegomość ksiądz biskup krakowski rozumie“, aby się dziedzicznie miał obierać posłem. Aby dokuczyć biskupom, oświadczyli, że na inny czas zachowują sobie dyskusyę o „dolegliwościach i angaryach“, które od nich „wszyscy obywatele Korony cierpią“; teraz tylko mówili o tem, co miało związek z elekcyą, od której ich odsunęli, później powiedzą więcej. Nie

[1]) Dz. s. 207—208.

[2]) Dz. s. 208.

prawdą też jest, jakoby oni jak wspominał Przerębski mieli sami od dawna knuć co przeciw biskupom — „bo żadnego mistrza i kowania nie słuchają, jeno to sprawują, co im jest od braci zwierzono“. Być może, że ktoś potrafi lepiej od nich radzić o potrzebach Rzptej, — „za lepszym dowcipem od Pana Boga jemu danym i za większą experientią spraw pospolitych“, ale nikt „życzliwiej a lepszym duchem“ od nich. W pracy dla dobra Rzptej nie potrzeba im „niczyjej nakowalni“, niczyich podszeptów, a „na takowe ich m. księży biskupów kryminacye“ także w swoim czasie potrafią odpowiedzieć. Śród zgiełkliwej kłótni powstałej między biskupami a posłami o zarzuty, które sobie nawzajem robili, główną rolę odgrywał Zebrzydowski i posłowie ziemi krakowskiej. Zarzut, jakoby w nielegalny sposób osiągane były mandaty poselskie przez posłów, obrażał przedewszystkiem tych, na których wybór Zebrzydowski jako biskup krakowski bezpośrednio mógł wpływać. Nalegali więc uporczywie na niego — „aby powiedział, którýby takowy był, którýby się sam na poselstwa obierał“. Spory i kłótnie przerwał król, który po naradzie z panami oświadczył posłom, że na ich podanie o elekcyi da im później odpowiedź. [1]) Nim jednak rozeszli się posłowie, wystąpił w ich imieniu Rey, poseł ziemi krakowskiej, z żądaniem do króla i panów, aby „opatrzyli pruskie miasta i zamki“, bo Prusacy „się z tem nie tają“, „że nie radzi są pod posłuszeństwem Polakom, a zwłaszcza Gdańsk“. Miał być w Piotrkowie jakiś pleban gdański, który zeznawał, — iż Gdańszczanie jawnie o tem mówią, że nie powinni nic koronie polskiej, bo są ludzie wolni, nie dobyto ich mieczem, ale się dobrowolnie podali królowi polskiemu, którego

[1]) Dz. s. 208—209: „Potym posłowie krakowskiej ziemie jęli się upominać X. biskupowi krakowskiemu, aby powiedział, któryby takowy był, któryby się sam na poselstwa obierał, i były rozmowy posłów z biskupy tam nie małe promisere, aż król J. M. panów ku sobie zawołał...“ Zapewne w tym samym dniu, 16. stycznia, po rozejściu się senatu i izby, posłowie owi naszli Zebrzydowskiego także w prywatnem jego mieszkaniu właśnie w chwili, gdy bawił u niego nuncyusz, obrzuciwszy go wymówkami i groźbami za obrazę, którą wyrządził im w sejmie, — o czem w rok po sejmie pisał sam Zebrzydowski do swych kanoników, przedstawiając siebie jako męczennika za wiarę: quantum invidiae ac gravioris odii sustinuerim, quae minae mihi proponebantur, quae pericula intendebantur, quae formidines opponebantur, quo impetu me in domo privata cum legato pontificio colloquentem invaserint, quam impura comitia fuerint, quo item ego animo eorum anduciae restiterim i t. d., patrz niżej, Kor. Zeb. nr. 877, s. 553—554.

gdy nie stanie, mogą sobie obrać pana, albo poddać się komu chcą, gdyż są ludzie wolni". [1]) Żądaniem tem i zeznaniem chciał Rey złożyć dowód, że posłowie czuwają nad bezpieczeństwem Rzptej, że dbają o jej dobro, że więc i w swym projekcie elekcyjnym kierowali się tylko rzetelną miłością Ojczyzny..

Nazajutrz powtórzyły się spory i kłótnie. Przedmiotem ich były znowu „kryminacye" Zebrzydowskiego i Przerębskiego, tudzież *„angariae et praeangariae"*, które szlachta znosi „od urzędu i stanu duchownego". Te ostatnie podnieśli posłowie przy roztrząsaniu dalszych artykułów przywileju koszyckiego, spełniając groźbę rzuconą wczoraj biskupom, że o nadużyciach ich krzywdzących szlachtę, powiedzą obszerniej w innym czasie. [2]) We środę 18. stycznia, król wezwał posłów przez kanclerza i kilku wojewodów, aby wzięli pod obrady piekącą kwestyę apelacyi sejmowych, bo wiele spraw wisi niezałatwionych od dwudziestu kilku lat, a król ich żadną miarą na sejmie z panami odsądzić nie może, choćby sejm ten trwał rok cały i na nim nic innego nie robił tylko sądy odbywał. Panowie już się zajęli tą sprawą, już naszkicowali projekt takich sądów, którymby mogły być te apelacye oddane, ale radziby wiedzieć, czy zechcą o nich mówić posłowie. Nie chodzi tu o to, aby króla zwolnić raz na zawsze od sądów apelacyjnych, bo on — „nie wyłamuje się z powinowactwa swego, sądzić będzie tak jako powinien wedle statutu dwa dni co tydzień", ale o te zawody i straty, jakie ponoszą ubodzy ludzie, trawiąc na sejmie czas darmo, nie mogąc doczekać się załatwienia swych spraw. Jeśli posłowie zechcą, przyślą im panowie natychmiast swój projekt, *modum iudiciorum.* [3]) Zdawało się, że prośba króla uśmierzy gniew posłów i odwróci ich uwagę od biskupów. Ale posłowie podobnie jak na poprzednich sejmach nie brali tak goraco sprawę sądów apelacyjnych jak król. Niektórzy z nich zgoła nie chcieli o niej mówić, bojąc się, aby król „nie wyśliznął się" z swego obowiązku wymierzenia najwyższej sprawiedliwości, gdyby zostały ustanowione jakieś nowe dla niej trybunały. Drudzy — „oglądając się na płacz a ucisk ludzi pospolitych", radzi byli coś postanowić, aby.i sprawiedliwości i obowiązkom króla stało się zadość. Ostatecznie w dniu tym nic nie

[1]) Dz. s. 209.
[2]) Dz. s. 209—210.
[3]) Dz. s. 210—211.

postanowiwszy, nazajutrz załatwili rzecz o sądach w ten sposób, że mieli wziąć od panów ich projekt sądowy, aby przedłożyć go po sejmie braci szlachcie na rokach czyli sejmach powiatowych. O tej decyzyi swojej zawiadomili natychmiast króla, wyprawiwszy do niego marszałka Siennickiego na czele licznej delegacyi, złożonej z posłów wszystkich województw. W mowie swojej wypowiedzianej przy tej sposobności do króla zastrzegł się wyraźnie Siennicki, że posłowie chcą tylko przejrzeć projekt sądowy panów, że nic nie chcą stanowić teraz w rzeczach sprawiedliwości, bo nie mają „k'temu poruczeństwa na to braci swej", że wprawdzie i oni rozumieją potrzebę jakiegoś innego sposobu czy obyczaju sądów, „którymiby się te causy zatrzymane rychlej odsądzić mogły", ale muszą baczyć na to, „aby się recesowi przeszłego sejmu w czym nie ubliżyło, który mianowicie przestrzega, aby się tu w niwecz nie wdawało ażby się pirwej egzekucya wszem prawom i wolnościom pospolitym skończyła". Tym wybiegiem umorzyli posłowie sądy w ten sposób, jak niegdyś król i senat za przyczyną biskupów artykuły o sołtysach duchownych i klątwach na świadków sądowych, podane przez nich jako sprawy, wymagające natychmiastowej egzekucyi. Był to odwet za poniesioną wówczas klęskę. „Acz my" — mówił w ich imieniu Siennicki — „oczekiwaliśmy od W. K. Mci odpowiedzi i dokończenia na to, cośmy podali mówiąc około tych przywilejów Loisa i Jagiełła, widziemy też (przypuszczamy), że w innych jeszcze przywilejach doczytalibyśmy się tego byli artykułu, który ukazuje powinność króla ku sądom, a tamby podobno było mogło miejsce być i o tym namawiać, ale gdyż jest taka wola W. K. Mci a rady p. rad ich m. stróżów wolności Rzptej., tedy my i teraz tego weźmiemy na przypatrywanie się temu" — nie więcej. Ale król się na wybiegu posłów rzekomo nie poznał, przyjął ich oświadczenie „z łaską a wdzięcznie", obiecał przysłać im niebawem projekt senatorski, tylko zastrzegł się, że tu nie chodzi o to, aby posłowie „wynajdowali obyczaj inszy sądzenia, — żeby się miało w czym ubliżyć recesowi sejmów przeszłych", ale o to — „aby był wynalezion sposób sądów prędszy". Według obietnicy nazajutrz przysłał też posłom ułożony przez panów „obyczaj sądów".[1]) Natomiast w oby-

---

[1]) Dz. s. 211—212. Projekt sądowy króla i panów pod tyt.: „Obyczaj sądów, któryby być miał, v. str. 301—304: na ten obyczaj sądów posłowie przeczytawszy nic nie namawiali, do inej szlachty na roki albo sejmy powiatowe odnieśli... (s. 304). Miały to być sądy

dwu dniach tych. 19. i 20. stycznia „tem chętniej przeglądali posłowie statuty.[1]) Właśnie w tej ochocie ich tkwiła chęć walki z biskupami, niestłumiona niespodziewanym epizodem o sądach.

Krytykując podanie panów o przywileju koszyckim zwrócili szczególniejszą uwagę na artykuł trzeci tego przywileju, zapewniający szlachcie różne „wolności“, zwalniający ją od wszelkich ciężarów i powinności, *ab omnibus angariis, praeangario in rebus et personis*, a kończący się poręczeniem królewskiem, że ani sam nie będzie uciskał szlachty, ani też nie pozwoli nikomu jej uciskać, *aut per quempiam faciemus agravari*. W uwadze swojej załączonej do tego artykułu podnieśli właśnie fakt „wszem świadomy“ — „jako jest uciśnion i stan rycerski i człowiek pospolity od panów duchownych i od urzędów ino prawo pisane“ — i fakt ten objaśnili licznymi przykładami, które przy niej spisali.[2]) Toż samo powtórzyli przy artykule szesnastym, dotyczącym „wolności stanu szlacheckiego i poddanych ich“, użalając się na wielką niewolę, jaką cierpią właśnie „od urzędu i od stanu duchownego“.[3]) Przykłady ucisku szlachty ze strony duchownych oznaczyli tytułem: *„angariae, praeangariae et vexatio periculosissima et iniustissima“*, ciężary, dolegliwości i udręczenie najniebezpieczniejsze i najniesprawiedliwsze, — a objaśnili je wstępem, w którym uderzyli głównie na jurysdykcyę kościelną i na prawa kanoniczne sprzeczne z prawami koronnemi, żądając od króla, aby tę jurysdykcyę zniósł i te prawa rugował, „Księża ich m.“ — pisali w tym wstępie posłowie — „przez długi szas i teraz jeszcze angarują nas sądy swemi, które sobie sami na nas uczynili *privata autoritate, abutendo facilitate nostra*, a odrywają nas sobie od prawa naszego, czyniąc się nam absolute pany, a nie urzędem króla J. Mci naszego m. pana, czego acz zawsze okazują się znaki jasne tego, że przodkowie nasi zabiegali temu i wydzierali się im z tego

---

assesorskie, osobne dla Wielkopolski, składane w Piotrkowie w dwóch terminach, po Wielkiej nocy i po św. Michale. Miał właśnie sejm mianować i obrać 10 assesorów małop. dla Wielkopolski i 10 assesorów wielkop. dla Małopolski „tak z panów jako i z rycerstwa“, a zarazem ich zaprzysiądz. Król ofiarowywał się sam ponieść koszta utrzymywania tych sądów, gdyby szlachta nie chciała na nie wyznaczyć podatku „z łanu po groszu albo po dwa“. Porównaj z dyskusyą o sądach na sejmie krakowskim 1533 r. — jak wyżej.

[1]) Dz. s. 213 i 233.

[2]) Dz. s. 215.

[3]) Dz. s. 217.

ale jednak oni *existimatiòne solitatis et potentia diviciarum* wciskali się do tego, że je cierpieć musieli i często naszym przodkom zadawali trudności wielkie, jakoż o tym powieda Długosz w swej kronice, iż wnet za panowania Władysława króla węgierskiego i polskiego (bo dopiero za starości a już prawie w ostatecznym wieku Jagiełłowym napisali sobie byli mandat i list otworzysty 1424 r. wieluński, 1433 r. krakowski? — za którym bezpiecznie poczeli wciskać przodki nasze pod jurysdykcye swą, jako o tym te to listy jaśnie uczą). a tak po śmierci Jagiełła... były oto takie tumulty, że do tego przychodziło, że *concilium basiliense* słało tu posły swe, uśmierzając to między stany ich m. księży a między stanem rycerskim, co jednak uśmierzono być nie mogło, aż potym konfederacyą tą (korczyńską 1438 r.) to się uśmierzyło, bo wszyscy zjednoczyli się pod *unum ius commune terrestre sub fide et honore,* a jedna *pars corporis regni* nie chciała już panować nad drugą: albowiem wiedzieli to przodkowie nasi, co i my też już wżdy kiedy wiemy, że na nas tego panowania nie miał nikt iny oprócz osoby królewskiej, abyśmy my powinni za swego pana wyznawać kogo innego oprócz osoby królewskiej, bo to już wyznanie tego za pana swego, przed kim na pozyw stawać musisz a od niego apellacya nie idzie do króla IMci pana a głowy naszej, jeno do jakiegoś pana ich (papieża!), którego oni sędziami i sługami się zową". Podnosili dalej ten fakt znamienny, że statut Łaskiego z 1506 r., chociaż ułożony przez księdza, przecież nie akceptuje praw kościelnych takich, które naruszają prawa koronne. Łaski okazał w swem dziele „wrodzoną cnotę szlachecką i miłość ku Rzptej swej", bo pominął w nim prawa szkodliwe „rządowi i wolności w Rzptej", a zwłaszcza to, którem teraz księża szlachtę tak „cisną". Prosili tedy: „a tak gdyż się nie pokazuje nigdzie z praw wolności a przywilejów naszych, aby kędy znak jaki był, abyśmy my byli powinni przed ich sądy stawać, a owszem inego superiorem przyznawać na osobę królewską, a my nikomu inemu przyznawać takiej powinności swej nie chcemy, jeno K. IMci pana a głowie naszej, przeto pokornie prosiemy, aby nas K. J. M. wyjąć raczył z tej angaryi", grożąc, że jeśli król nie wysłucha ich prośby, będą musieli postąpić w myśl konfederacyi korczyńskiej, a więc podnieść broń w obronie prawa pospolitego ziemskiego przeciw biskupom, którzy je gwałcą.[1])

---

[1]) Dz. s. 219—222.

Między angaryami, poniżej tego wstępu wymienionemi, znajdujemy cały szereg spraw cywilnych i kryminalnych, które należały do sądów duchownych. [1]) Między niemi są także sprawy województwa sandomierskiego dyecezyi krakowskiej, przy których posłowie podnieśli niemniej energiczny jak przy innych protest przeciw jurysdykcyi biskupiej i „pana rzymskiego papieża", tłumacząc królowi, że tej — „jurysdykcyi, jako jej w prawie swym nie widzą, tak też jej na sobie nieść nie mogą, ani chcą". że oni „ni o czyjej inej jurysdykcyi nie wiedzą, jeno zwierzchności króla IMci". Oburza ich postępowanie biskupów tem bardziej, że pozywają do sądów swych także *„vigore regiae maiestatis"*, bo — to jest *res mali exempli,* iż ich m. zwierzchność króla I. Mci sobie przywłaszczają". Jako przykład tego nadużycia powagi maje-

---

[1]) Dz. s. 222—232. Podali tu także ciekawą angaryę ziem Ruskich: „Stan duchowny rzymskiego Kościoła jako w inych ziemiach szlachtę a rycerstwo koronne do sądów swych ciągnie i za dworem wyzywa, tak się też to wszytko dzieje w Ruskich Ziemiach. ich m. księża przywłaszczają sobie nad nami (Siennicki!) zwierzchność, prawo, sądy o majętności, o gardła, o poczciwości, o małżeństwa, o dzieci nasze i dusz naszych zbawienie, co nic inego nie jest, jeno tyraństwo, a niewola, ludziom wolnym a zwłaszcza krześciańskim nieznośna... Ślachtę posłuszeństwa greckiego do sądów swych przymuszają, prawa swe na nich przewodzą, klątwy wydawają, roku doczekawszy do starosty na egzekucyę odsyłają; jeśli się kiedy trafi, by jeden raz rzymski człowiek na roli siedział, już po nim kmiotki nasze greckie w nabożeństwie, zwyczaju, na dawanie mesznego przyciskają. Przetoż gdy rola po lachu spustoszeje, nie chce na niej rusin dla płacenia mesznego siedzieć, tak iż wiele pustek we wsi mieć musiemy. Są to rzeczy bardzo obciążliwe a przedtym nigdy w Rusi niesłychane, abowiem ludzie ruskiego zakonu mają osobne swe kościoły, osobne władyki, osobne popy, których pasterstwa używają a onym skromne wyżywienie z dobrej woli swej oddzielają, co wdzięcznie a z dzięką przyjmując (owi władycy i popi) pana Boga chwalą, a służby owiec swych pilnują, o dochody swe sądów sobie żadnych nie przywłaszczają, ani klątwy żadnej na ludzi nie wydawają, ani pro exequutione do urzędów odsyłają, jako ich m. księża Kościoła rzymskiego czynią, których praeangariae nam ciężą, (więcej) niźli tatarzyn albo który iny poganin. Aby się nam i braci naszej i poddanym naszym nie działy, prosimy i pilnie się oświadczamy, żeśmy się pod nie nigdy nie poddali, ani poddać chcemy, bo nie wyznawamy ani mamy inszego pana, jeno W. K. M., pod którego zwierzchność i rozsądek majętności, gardła i poczciwości nasze poddaliśmy". Nie bez powodu też groził w tym czasie biskupom ulubieniec szlachty ks. Orzechowski, że przejdzie na schyzmę, skoro w niej szlachta widziała większe dla siebie swobody religijne a mniejsze ciężary kościelne, niż w katolicyzmie i papiestwie rzymskiem.

statu królewskiego przytoczyli pozwy i grzywny, jakie otrzymali „pan biecki i pan Jost“, oprócz wielu innych w Koronie. Były to pozwy i kary, wymierzane przez kuryę Zebrzydowskiego przeciw Bonarowi i Decyuszowi za ich znane nadużycia popełniane w Krakowie lub po miasteczkach i wsiach krakowskich i sandomierskich, o których sam Zebrzydowski w pierwszem swem wotum senatorskiem z ubolewaniem wspominał. Właśnie tak kurya jego jak on sam i dawniej a zapewne i w sprawie z Bonarem o pogrzeb wojewodziny Tęczyńskiej urządzony podług obrządku ewangelickiego, nadużywał imienia królewskiego. A że nie wahał się w owem wotum podnieść żalów i skarg na swoich dyecezyan, mówiąc wówczas wiele o ich licyencyi — „bo już nie tylko żywym ale i umarłym wydzierają, bo kościoły pustoszą“ — więc i posłowie za te jego żale i skargi podnoszą angarye nie mniej ciężkie i wielkie, jako obrażające prawo ziemskie koronne i powagę króla, prosząc, aby z pokrzywdzonych były „zdjęte a w niwecz obrócone“.[1]) Tak samo skarżyli się na ucisk szlachty po innych województwach, piętnowali postępowanie kuryi gnieźnieńskiej lub płockiej, które „leda o co“ miały „pozywać a klnąć“ ubogą szlachtę, nakładać na nią grzywny pieniężne, pozbawiać urzędów lub dóbr. Były to skargi oparte na licznych dowodach, stwierdzających, że biskupi gwałcą prawa koronne i nadużywają imienia królewskiego. Obecny na sejmie Zebrzydowski lub Noskowski sami mieli je czytać — w imieniu nieobecnego prymasa kanclerz jego ksiądz Dąbrowski. Spisywali je i gromadzili posłowie tem skwapliwiej, że właśnie w dniu tym, to jest we czwartek 19. stycznia, kiedy zajęci byli pracą około podania panów na przywilej koszycki, przyszła wiadomość, że Dzierżgowski umarł. Chcieli może nowemu arcybiskupowi, Janowi Przerębskiemu, podkanclerzemu i nominatowi chełmskiemu, który mając już koadytuoryę na gnieźnieńskie arcybiskupstwo, zasiadł natychmiast w senacie krzesło zmarłego swego poprzednika,[2]) otworzyć oczy na bezprawia i nadużycia tegoż w pierwszorzędnej dyecezyi koronnej. Między innemi upomnieli się o krzywdę wyrządzoną przez kuryę arcybiskupią „panu Fryczowi“, Modrzewskiemu sekretarzowi królewskiemu, autorowi dzieła „O poprawie Rzptej“. Odjęła mu bowiem kurya plebanię w Brzezinach za to — „iż nie wierzy jako kościół rzymski uczy“, odjęła mu ją pomimo, że miał „mandat“ i „glejt“ od

[1]) Dz. s. 222—223.
[2]) Dz. s. 212.

króla uzyskany od niego na sejmie warszawskim za przyczyną panów, na mocy których miał być zachowany w posiadaniu plebanii a sądzony przez samego króla, co było zgodne z uchwałą piotrkowską z 1555 r. — „iż ci, którzyby inaksze mniemanie rozumieli być o Kościele rzymskim... a zarzuciwszy rzymskie ustawy naśladowali światłości wiekuistej prawdy a słowa Krystusa miłego, mieli być w pokoju zachowani od jurysdykcyi ich m. panów duchownych aż do jakiego postanowienia w Koronie Jego Kr. Mości przez *concilium nationale*“.[1]) Angarye te i tym podobne spisywali właśnie w tym dniu, kiedy król z panami przygotowywali dla nich projekt nowych sądów apelacyjnych. W tym samym dniu podali też panom swoje uwagi czyli „deliberacye“ na podanie ich około artykułów przywileju ludwikowego wraz z spisem owych angaryi, uczyniwszy to na ich własne żądanie. W końcu rozpoczęli przegląd dalszych statutów a za swym przykładem pociągnęli panów. Jeszcze przedtem zwrócili byli uwagę na przywilej czerwieński króla Jagiełły, artykuły jego podnosił był w swojej mowie Ossoliński, opierając na nich powody, dla których rugowali biskupów z senatu i usuwali ich od elekcyi króla, teraz więc zażądali od panów, aby im swoje zdanie o tym przywileju na piśmie podali. Panowie powolni ich wezwaniu wręczyli im swoje podania jeszcze tego samego dnia a w podaniu tem zgodnie z nimi ważny „artykuł o niebraniu majętności bez sądów“ naruszany przez biskupów w całości zatwierdzili.[2]) Nad biskupami nagromadziły się więc znowu brzemienne burzą chmury, niemniej ciężkie jak te, które zawisły nad nimi wskutek pamiętnego wystąpienia Ossolińskiego w poniedziałek b. t. z poselskim projektem elekcyi króla...

Ale burza zerwała się dopiero w następnym tygodniu. W sobotę bowiem b. t. nie było „rady u króla“. A ponieważ wskutek tego i posłowie nie mogli zejść się na sesyę sejmową, musieli zamiast przeglądać statuta i przy nich jak zwykle wytoczyć leżące im na sercu sprawy z duchownymi — zająć się osobą króla, który zdaniem ich za często i bez powodu tej rady u siebie nie zbierał. Wyprawili tedy do niego deputacyę z prośbą i upomnieniem, — „aby tymi pauzacyami i sobie i im czasu nie tracił“, aby sejm energiczniej — nie tak „kwaśnie“ — prowadził. Nic jednak na razie nie wskurawszy, musieli zachować swą cierpliwość do po-

[1]) Dz. s. 224—225.
[2]) Dz. s. 213—215.

niedziałku, 23. stycznia.[1]) W dniu tym król z panami roztrząsał poselski projekt elekcyi a posłowie przeglądali referat senacki o przywileju czerwińskim króla Jagiełły. Pracę tę przerwała sprawa sądowa dwóch braci, Jakóba i Krzysztofa Lasockich, tocząca się między nimi w kuryi arcybiskupiej, a mająca wielki związek z przedłożonemi królowi przez posłów skargami na sądy biskupie. Był to spór o prawo podawania plebana w Brzezinach, które zdaniem Jakóba miał na rzecz jego utracić Krzysztof jako heretyk przez arcybiskupa wyklęty. Urażony Krzysztof oddał swą sprawę właśnie w dniu tym jako świeży dowód ucisku szlachty pod sąd opinii poselskiej. Oburzeni nią obrońcy swobód szlacheckich postanowili natychmiast „opowiedzieć“ tę nową „angaryę“ królowi i wyprawili w tym celu do niego deputacyę złożoną z posłów każdego województwa, na czele której postawili Ossolińskiego. Był to nowy atak na biskupów. Deputaci mieli nawiązać sprawę Lasockich do ogólnych skarg i próśb, załączonych przez posłów przy referacie z dnia 19. stycznia o podaniu panów na przywilej koszycki. Zadanie to spełnił Ossoliński. „Najaśniejszy Miłościwy Królu“ mówił on — „nie radzi tego czyniemy, iż W. K. M. w tak pilnych potrzebach Rzptej perturbujemy, ale iż *praegnans negotium* wypchnęło nas do tego, przeto prosimy, abyś W. K. M. od nas miłościwie to przyjąć raczył. Mamy za to N. M. K., iż w dobrej pamięci jest W. K. Mci, jakie często skargi W. K. M. od nas słychać na ich m. pany duchowne raczysz, którzy nieznośnymi sądy swymi uciskają nas — jako oni zową stan świecki,— przez które nasze tak częste skargi mieliśmy nadzieję, że wżdy mieli kiedy ulżyć takich nam angaryi a nie poturbować imi (niemi) ani nas braci swej ani uszu W. K. Mci ani praw pospolitych“. Ale te nadzieje zawiodły. Biskupi „cisną a prawie dręczą“ szlachtę nawet w obliczu J. K. M., nie tylko włóczą ją po swoich sądach, narażają na wielkie straty majątkowe, ale też „targają się“ na jej cześć i gardła. Przeciw temu wszystkiemu posłowie protestowali tak na dawnych sejmach jak i na obecnym sejmie, a nawet „wiele pisma żałością serdeczną napisanego“ królowi podali. Teraz znowu przybyli, aby upomnieć się o krzywdę wyrządzoną u sądu arcybiskupiego Krzysztofowi Lasockiemu. „Tam u tego sądu“ — mówił dalej Ossoliński — prokurator tego pana łęczyckiego (Jakuba Lasockiego) chcąc (go) i od sądu i od tej plebanii odcisnąć, zadał mu to, że ty *non habes locum in iudicio*

[1]) Dz. s. 233.

standi, boś heretyk, które słowo tak my u siebie uważać musiemy, jako je nam ich m. interpretują... bo takowego już chcą ich m. za to mieć, że jest bezeczci, już gardło jego podają urzędowi W. K. Mci pod karanie. A iżby mogli mieć ochotniejszy a powolniejszy urząd, jako oni zowią, świecki ku egzekucyi takiej ich m. ambicyi ad absolutum dominatum, tedy też czynią urząd świecki participem praedae, skazują tak, że ma dobra ruchome i nieruchome brać temu, którego oni heretykiem nazową, od których dóbr i jego własne potomstwo odkazują, skazując tak, że *heretici posteritas cavet successione, honore et omni privilegio nobilitatis* wedle mandatu wieluńskiego (1424 r.), który *ad oprimendam libertatem publicam* między przywileje koronne przywiązali... Już też to tu wnoszą ich m. do nas N. M. K., co też w Niemczech byli czynić poczęli ich towarzysze a tegoż stanu ludzie, takież (tak samo) sądzić heretyki, odsędzać ich czci i gardł, a majętnościami się dzielić z urzędem świeckim. I tak się to było zabieżało w Niemczech, iż już panowie kiedy gdzie widzieli którego między swymi poddanymi bogatego, wzywali tych do swych miast, którzy mieli od ich m. księdzów biskupów taki urząd odsędzać heretyki, i kazali je odsędzać czci i gardł, a sami majętności ich sobie brali, aleć to tam zły koniec wzięło, bo jedne pozabijano, drugie powieszono (!) A tak i my tu obawiamy się, aby to ku takiemu czemu gorszemu też u nas kiedy się nie wcisnęło, przeto pokornie prosimy, abyś W. K. M. obaczyć to raczył, a raczył się temu przypatrzyć, z jakimi to ludźmi i W. K. M. w radzie i my w sąsiedztwie siedzimy, którzy tak łakomi są na to, aby nas pod jarzmo swe wzięli. I aby im snadniej czynić to przyszło, jakieś cudzoziemskie prawa do naszej Rzptej wciągają dlatego, aby niemi kogo chcieli bezecnym uczynili albo gardła zbawili, albo z ziemie albo saltem ex ordine nobilitatis wypędzili, a za się aby prohibitu suo kogoby chcieli i ślachcicem i poczciwym i sukcesorem w ślachectwie i w majętności, i godne do rady i do urzędu W. K. Mci i Rzptej czynili, co jeśliby im doszło, jako się o to mocnie kuszą, sromotniejsza, mizerniejsza niewolaby być nie mogła... Wciągają tu do nas jakiegoś pana (papieża), którego ich m. swoim panem zowią, prawa, któremi prawy przywłaszczają sobie, że im wolno z bękarta, z łotrzyka uczynić równego szlachcicowi poczciwemu tak w czci tak też i w sukcesyi po ojcu...“ [1])

---

[1]) Dz. s. 233—235.

Słowy temi odsłaniał śmiały poseł krakowski tajemne arkana. brudne cele i zgubne skutki władzy sądowniczej. spoczywającej w ręku biskupów a tak często używanej przez nich na zgubę świeckich stanów Korony. Biskupi posiadający tę władzę tak dla spraw religijnych, jak dla wielu spraw cywilnych i kryminalnych są w oczach jego i jego towarzyszy tem, czem byli w starożytnych czasach potężni eforowie lub cenzorowie, od których opinii zależały losy wszystkich obywateli państwa. Stąd te częste ich skargi i protesty. stąd ta walka, granicząca z uporem. podporządkująca wszystkie sprawy koronne tej jednej ich sprawie z burzycielami porządku świeckiego w państwie. Organizują zamachy jedne po drugich, ponawiają je przy każdej sposobności, wstrząsając do głębi schorzałą i niedołężną hierarchią katolicką, której przodowali biskupi. Wystąpienie Ossolińskiego miało związek z faktem, że właśnie król i senat wzięli już pod obrady projekt elekcyi, przedłożony przez posłów. Obrady nad tym projektem i nad związaną z nim sprawą biskupów wypełniły dwa dni 23. i 24. stycznia. poniedziałek i wtorek b. t. Posłowie rozumiejąc dobrze, że rozgrywały się teraz w senacie losy podjętej przez nich z biskupami walki. ułożyli równocześnie odpowiedź, jaką dać im obiecali w obecności króla pamiętnego dnia 16. stycznia — „gdy pan Ossolinski mówił o ich przysiędze, którą czynią papieżowi“.[1]) Wystąpił więc znowu w imieniu ich we wtorek zaraz rano poseł Stadnicki i tak przemówił do króla ku ogromnemu oburzeniu biskupów, a zwłaszcza naszego Zebrzydowskiego, którego głównie piętnował jako wroga szlachty i całego porządku społeczno-państwowego Korony: „Iż od W. K. Mci przodków i od W. K. Mci samego mamy wszytkie wolności, a przeto też do nikogo inego około jakiegokolwiek uciśnienia uciec się nie możemy, jeno ku osobie W. K. Mci i ku ich m. panom a radom, jako stróżom tych swobód naszych. Abowiem w tymże przywileju króla ludwikowym, około którego teraz za dozwoleniem W. K. Mci namowy czyniemy, teda też takowe uswobodzenia swoje widziemy, iż od wszelakich weksacyi i też angaryi mamy być bezpieczni. A gdyż to tak a nie inaczej jest, teda jegomość ksiądz biskup krakowski dnia onegdajszego (16. stycznia) nie tylko *vexationem, sed et angariam et praeangariam* w rzeczy swojej na persony koła naszego poselskiego, którzy reprezentujemy personas wszytkich obywatelów koronnych, uczynić śmiał, nie mając baczenia na to, iżeś W. K.

---

[1]) Dz. s. 235—236.

M. jest powinien nie tylko nam tego sam nie czynić, ale i od tych bronić, którzyby nas chcieli ucisnąć. A gdyż jegomość ksiądz biskup krakowski nie pokajał się z tego przeszłego, jakie angarye czynił nad niektóremi personami naprzeciwko wolności tej nam danej od króla Ludwika, ale jeszcze tak bez strachu przy bytności W. K. Mci opowiedział, a niektórzy z posłów i z rad W. K. Mci słyszeli, iż acz nie tak daleko a nie tak srogo używali ich m. księża tej juryzdykcyi, dopiero teraz tym śmielej jegomość obiecał używać nad nami tej swej woli a uciśnienia jakimiś zakłady (grzywnami) — a tak Najjaśniejszy a Miłościwy Królu to przedsięwzięcie ich m. księdzów biskupów przedtem jeno tylko sławą (wieścią) do W. K. Mci uszu przychodziło, jako oni używali i używać chcą nad nami takowej albo więtszej zwierzchności, a niżli W. K. M. nasz m. p.; to jest już przy bytności W. K. Mci jegomość ksiądz biskup opowiedzieć raczył, na co się bierze, iż chce i obiecuje śmielej extendować władzę swoją nad nami, a nam nic inego się nie godzi jeno to żałośliwie przed W. K. M. donieść, a widziemy, że nie lęka się tego jegomość biskup albo temu nie wierzy, iż tu W. K. M. masz egzekucyą prawom wszystkim naszym uczynić (!). Gdyżby temu wierzył, co obiecanego od W. K. Mci mamy, pewnieby nam nie groził *autoritate ista sua*, której się my namniej nie lękamy, gdy będziemy mieć całe a nienaruszone w niczym prawa a wolności nasze: boć my nie mamy prawa ani pana rzymskiego, ale mamy i wyznawamy być królem a panem swym W. K. M., któremu poddaliśmy pod moc poczciwości, gardła i majętności, o czym dostatecznie a szeroko w prawiech naszych wypisano jest. Abowiem wedle praw to przyznawamy, iż W. K. M. jesteś *verus interpres legum et jurium nostrorum*, i mamy takową nadzieję, iż prawa nasze będą nam już wedle obietnice W. K. Mci na tym sejmie tak umocnione, iżeby ich dekretały rzymskimi ani żadnym wymyślonym obyczajem nie można borzyć. I o to W. K. M. swego m. p. prosimy, abyś W. K. M. takowej władzy ich m. księżom biskupom pozwalać nie raczył, abowiem się my opowiedamy W. K. Mci, iż nad nami nie mają ani mogą mieć żadnej juryzdykcyi, a oświadczamy się przodkiem Panu Bogu, po tym W. K. Mci panu swemu i panom a radom W. K. Mci, iż im posłuszni być nie chcemy. Tylko o to pokornie prosimy, abyś W. K. M. zwierzchności swej od Pana Boga nad nami danej nie raczył ku nim przykładać inaczej jeno wedle praw naszych opisania, tak jako W. K. Mci i przodkom W. K. Mci prawo polskie zamierzyło. A na ostatek

naprzeciwko gwałtowi, któryby się nam tymi prawy księżymi od nich dziać miał, godzi się wszystkim obywatelom Korony polskiej ostać (oprzeć), a czynić wedle onej konfederacyi (korczyńskiej), która się stała naprzeciwko tym albo temu, *qui non esset contentus iuri terrestri communi.* (!)... A my głowy swoje pod największą srogość prawa polskiego podchylamy, a inszemu prawu musiemy się przeciwić wedle tamtej konfederacyi. A iż też jegomość ksiądz biskup krakowski w rzeczy swej powiedział, iżeby się niektórzy na ten urząd poselski sami obierać mieli i przypoczedł (zarzucił) nam na poselstwo *ius hereditarium,* wiemy dobrze N. M. K., iż na żadnym sejmie powiatowym jegomość ksiądz biskup krakowski nie był (!!), a tu przed W. K. Mcią powiedział jako rzecz pewną — tego żadnemu z koła naszego nie godzi się ścierpieć, abowiem jednako powinniśmy się czcić: acz my ubożsi, ale w cnocie i zachowaniu poczciwym jesteśmy tak ubogaceni, jako jegomość ksiądz biskup, a gdyżeśmy sobie równi, nie godzi się przymówek czynić. Abowiem gdyby kto rzekł, iż jegomość *non canonice est electus* na urząd biskupstwa krakowskiego, pewnieby to jegomość obraziło (!!), także też mnie i każdego z tego koła obrażać musi, iż jegomość przypoczytał niesłusznie być obrane, a drzewiej nie mogą być uspokojone serca nasze, ażby jegomość powiedział, o kim to mówił i aby tego dowieść raczył na tych, którzyby się sami obrali. A jeśliże jegomość nie będzie chciał powiedzieć i nie będzie chciał dowieść tego, którzyby byli takowymi posły, tedy my to baczeniu W. K. M. porucząmy, za jaką rzecz od jegomości księdza biskupa W. K. M. to przyjąć będziesz raczył, a każdy z nas czuje się być *legitime electus* na ten urząd, którego nie z takową chucią domagają się ludzie jako *episcopatum,* podobno przeto iż S. Paweł powiada: *bonum opus desiderat, qui episcopatum desiderat,* abowiem nie tak wielkie dochody na poselstwa, jako na biskupstwa (!) A iż też ksiądz biskup płocki powiedział, iże bychmy w tej rzeczy przez p. Ossolińskiego czynionej ich m. książę biskupy z Korony wymiatać mieli i od elekcyi królów odrzucać, takci my u siebie rozumiemy, iż tą rzeczą onegdajszą nie wyrzucamy ich m. ale i owszem przyciągamy je w pośrodek siebie, abowiem ku temu ich m. przywodzimy, aby przysięgli w radę W. K. Mci. k'temu, iżeby się z nami stali *unum corpus regni* bo *unum corpus* być z nami żadną miarą nie mogą, póki wyznawają głowę sobie iną, a niż W. K. M. naszego m. pana: a tak my od tego, co jest złego, odwodzimy księżą ich m. i przyciągamy ich m. ku temu, aby odstąpili od tamtej przysięgi, którą

uczynili postronnemu panu (papieżowi), i stali się z nami uczestniki wszystkich praw a wolności koronnych a wiernymi poddanymi W. K. Mci — nikomu innemu. Abowiem powinniśmy W. K. M. swego m. p. i wszytkę Rzptą w tej mierze ostrzedz, bacząc a rozumiejąc to, jakie niebezpieczeństwo osobie W. K. Mci i Koronie z tego mogło przyść, kiedyby się temu nie zabieżało w czas, aby żaden nie śmiał wygościć a oddawać wierności swej inszemu panu, gdyż i pismo św. to świadczy, iż żaden nie może dwiema służyć panom. A iż przy tymże ksiądz biskup płocki miałby to rzec: teraz nas wyrzucają a potym kogo inszego, temu iż nie rozumiemy, na którą osobę mówił, prosimy, aby przed W. K. Mcią jawnie powiedział, na kogoby to wyrzucenie mianował. A gdy usłyszemy od jegomości, będzieli potrzeba, odpowiemy i. m. tak, jako się godzi dobrym synom Korony polskiej a wiernym poddanym W. K. Mci. A iże też to tu spominano, iżeby to, cośmy przed W. K. M. przynieśli, dawno kować miano, my o żadnej nakowalni nie wiemy, albowiem my żadnego mistrza i kowania nie słuchamy, jeno to sprawujemy, co nam jest od braci naszej zwierzono, i acz to być może, że kto za lepszym dowcipem od Pana Boga jemu danym, i za więtszą experiencyą spraw pospolitych mądrzej o nich radzić może (Przerębski jako podkanclerzy), ale by kto życzliwiej a lepszym duchem obmyśliwać miał a niż my, tedy tego żadnemu naprzód nie damy, ani nam do tego potrzeba niczyjej nakowalni. A tak my ich m. księdzom biskupom nie winniśmy cierpieć takowych przymówek...“ [1]) Nie pominął tedy cięty a wymowny Stadnicki żadnego z biskupów, którzy śmieli byli obrazić posłów ciężkimi zarzutami i srogiemi groźbami, opacznie i tendencyjnie przedstawiwszy królowi i senatowi powody i cele, dla których zostali usunięci przez nich od udziału w elekcyi króla. Oszczędził tylko Uchańskiego za to, że okazał gotowość złożenia przysięgi senatorskiej a ośmielił się dowodzić, że biskupi powinni być o tyle tylko posłuszni papieżowi, o ile uczy i rozkazuje *super catedra Petri*... Najwięcej dotknął najbardziej znienawidzonego przez szlachtę naszego biskupa Zebrzydowskiego, przypomniawszy mu wcale nie dwuznacznie, że biskupstwo swoje posiadł nielegalnie — bo drogą symonii, i zagroziwszy, że jeśliby się poważył dręczyć szlachtę swymi sądami i wyrokami — ona będzie zmuszoną w myśl konstytucyi konfederacyi korczyńskiej postąpić z nim jak z zdrajcą ojczyzny, gwałcącym ojczyste

[1]) Dz. s. 236—239. Podałem tu tę mowę w całości.

prawa koronne. To też Zebrzydowski słuchał mowy Stadnickiego z wielką niecierpliwością — „*im pacientissime*“ — a niecierpliwość ta udzielała się także królowi i niektórym panom. Chciał nawet natychmiast mu odpowiedzieć, ale był „zahamowan od króla i od inych“, musiał więc stłumić za przykładem swoich towarzyszy bez silny gniew swój w sobie samym.[1])

Po mowie Stadnickiego zapanowała wielka konsternacya tak między biskupami jak w samym senacie. Tak z tego, co on powiedział, jak z tego, co powiedział wczoraj Ossoliński, przekonali się biskupi, panowie i król, że posłowie raczej poświęcą całą sprawę egzekucyi a nie ustąpią z pola walki wszczętej pod hasłem tej egzekucyi przeciw przywilejom i praerogatywom duchowieństwa. Tyle tygodni sejmowania spełzło z powodu tej walki na niczem. O dokonaniu egzekucyi na tym sejmie nie było już mowy. Trzeba było raczej coś takiego wymyśleć, coby mogło kres położyć bezustannym napaściom posłów na biskupów. Jakieś ustępstwa na rzecz pierwszych były konieczne, jeżeli sejm miał się zakończyć przynajmniej uchwałą pożądanej przez króla obrony. Na projekt elekcyi podany przez nich jako wykluczający od niej biskupów, zgodzić się nie mógł ani król ani senat. Po wyczerpującej naradzie, nie ułożywszy nowego, odrzucono tamten w całości, spisano jednak przy artykułach jego uwagi czyli „zdania“, któremi chciano usprawiedliwić ten smutny fakt, że zaprzepaszczono tym sposobem zainicyowaną przez samego króla piekącą sprawę elekcyi.[2]) Aby zaś w przyszłości, gdy sprawa ta ponownie będzie

---

[1]) Dz. s. 239.

[2]) Dz. s. 241—246: „Zdanie ich m. panów około artykułów de electione regio, które panowie posłowie podali: Dodaje Dziennik: „Tego w tym spisku nie spomieniono, co jest słownie powiedziano (przez kanclerza), aby mieli panowie z tak małymi poczty przejechać na elekcyą, drudzy na starostach ostawać, tedyby to poczciwa exkluzya była, aby też równe wota poselskie miały być jako i pańskie, tedy tego non fert dignitas senatoria.“ Posłowie bowiem w swoim projekcie zastrzegali, że „tam na sejmie walnym (elekcyjnym) jako wota libera wszech mają być, tak też równe wot każdego pondus być ma, tak panów jako i posłów, aby jedni przed drugimi więcej nie ważyli“ (Dz. s. 193). Tem bardziej nie chcieli się na to zrównanie głosów senatorskich i poselskich na sejmie elekcyjnym zgodzić panowie, że jak obliczyli, — jeśliby posłów miała być na sejmie poczwórna ilość, jak tego żądał projekt poselski, to będzie ich razem z ich pocztami 2.800 osób, gdy przeciwnie senatorów z pocztami zaledwie koło 400 osób, ile że

wniesioną na sejm, posłowie nie mieli powodu wykluczać biskupów od prawa wybierania króla, zgodzono się odebrać od nich w myśl żądań poselskich przysięgę senatorską. Sami biskupi oświadczyli tę gotowość na sesyi wtorkowej senatu po odejściu Stadnickiego i jego towarzyszy. Złożyli też przysięgę senatorską jeszcze tego samego dnia przed rozpoczęciem się sesyi. Fakt ten mógłby być uważany za wyraz zwycięztwa posłów, gdyby nie był zwyczajnym wybiegiem, którym chciano obalić rozumowania ich, że biskupi jako niezaprzysiężeni dotychczas przez króla nie byli właściwie senatorami Korony, i gdyby nie zapomniano, że posłom chodziło o to, aby biskupi wyrzekli się przedewszystkiem przysięgi papiezkiej, która równała się zdaniem ich prostej zdradzie stanu. Bądź co bądź jednak przysięga senatorska, złożona przez biskupów była sama przez się ze względu na sytuacyę sejmową wielkiem dla nich upokorzeniem, które głęboko odczuli. Na większą ofiarę z siebie, na wyrzeczenie się przysięgi papiezkiej, a przynajmniej na zacieśnienie jej, na ujęcie jej w formy kanoniczne, o których wspominał skłócony z Stolicą Apostolską nominat kujawski, Uchański, nie mógł się zdobyć żaden z trzech innych biskupów, ani Noskowski, ani nasz Zebrzydowski, ani też Przerębski, ile że ten ostatni dopiero co zasiadł na stolicy arcybiskupiej i nie mógł na samym wstępie popisywać się zbyt radykalnemi reformami istniejących przepisów Kościoła. Trzeba było wszakże prócz owej przysięgi jeszcze coś innego wymyślić, coby mogło ułagodzić posłów, coby miało charakter rzeczywistego ustępstwa dla nich, takiego, za któreby dali się nakłonić do zaprzestania dalszej walki z biskupami. Wszyscy senatorowie świeccy wspólnie z królem widzieli jedyny sposób uśmierzenia tej walki w obietnicy zwołania soboru narodowego, na któryby się odłożyło ogółem wszystkie sprawy, wszystkie różnice, dzielące stan duchowny i świecki a paraliżujące obrady sejmu. Naturalnie rozchodziło się głównie o dalsze zawieszenie juryzdykcyi biskupiej, tudzież o rozszerzenie tego zawieszenia do wszystkich ogółem spraw, nie tylko religijnych lecz i świeckich, które należały dotychczas do sądów duchownych. Biskupi radzi nie radzi, aby sobie okupić spokój, zgodzili się na sobór narodowy, proponowany przez senatorów świeckich i przyrzekli zarazem, że będą tylko o tyle swą

---

kasztelanie mieli zostać po powiatach na czele pospolitego ruszenia szlachty; w tem samych posłów 400, a panów zaledwie kilkadziesiąt tj. wojewodów, biskupów i urzędników koronnych.

juryzdykcyę wykonywać, o ile im na nią prawo, — naturalnie prawo pospolite krajowe, na które się powoływali posłowie — zezwala. Ustępstwo to, istotnie wielkie, usposobiło dobrze dla biskupów króla i senatorów. Sądzono, że zrobi ono korzystne wrażenie na posłach, pospieszono tedy obwieścić im jeszcze tego samego dnia rezultat narady dwudniowej senatu.[1])

Przemawiał do posłów kanclerz. Przypomniał im na wstępie, że król sam z własnej woli i z miłości dla Rzptej dał inicyatywę do dyskusyi o elekcyi, chcąc tem przypomnieniem osłodzić przykre wrażenie, jakie miała wywrzeć na nich wiadomość, że ich projekt nie podobał się ani jemu ani panom radzie koronnej. Mówił następnie wiele o biskupach. Z przemówienia jego dowiedzieli się o nich posłowie, że stosownie do ich żądań — „przysięgę przy osobie J. K. i radach koronnych uczynili opisanym obyczajem w statucie tak, jako i ini wszyscy w radę przysięgają“. Uczynili to sami z dobrej woli — „okazując w tym miłość Rzptej i chuć dobrą ku spólnym sprawom“, aczkolwiek mieli się dziwić — „że się to dzieje teraz dopiro za czasów ich mości, iż ich to naprzód podkało, a nie za przodków ich mości to się działo, którym zawżdy wiara we wszem dawana jest i okrom przysięgi“, ile że wiedzą — „iż na tych miejscach (krzesłach senatorskich) wiele ludzi zacnych narodu polskiego i cudzoziemskich i snadź i plebei bywali siedziało, a zawżdy się przystojnie i wiernie w radzie królewskiej zachowali i ten kredyt mieli, że ich nigdy do przysiąg nie ciągniono...“ Co się tyczy angaryi, które posłowie „onegda ustnie powiedzieli (Ossoliński i Stadnicki) i na piśmie potym podali“, chociaż one są „obrazą“ dla biskupów, chociaż są wyrazem „niemiłości“ przeciw nim i stanowi duchownemu, jednakowoż oni „ksiądz arcybiskup i z inymi biskupy powolnie o tym dali słyszeć, tak, iż nigdy przodkowie ich m. tego z tą chucią nie pozwalali, że na rozsadek się przypuszczą radzi i ju-

---

[1]) Theiner, Mon. Hist. Pol. T. II. s. 592—594, list włoski obecnego w Piotrkowie legata papiezkiego Kamilla, biskupa Sutri, do kardynała Caraffy z dnia 28. stycznia 1559. W liście tym znajdujemy krótką wzmiankę o owej naradzie senatu z dn. 24. stycznia, o soborze narodowym, na który na niej biskupi zezwolili — tudzież opis narady duchowieństwa, zainicyowanej nazajutrz we środę 25. stycznia przez arcybiskupa, o której — poniżej. Naradę senatorską na sesyi poniedziałkowej i wtorkowej opisaliśmy na podstawie owej wzmianki i na podstawie odpowiedzi królewskiej, podanej w Dzienniku na str. 239—241, jak niżej.

ryzdykcyi sobie przywłaszczać nie chcą, jeno tyle, ile im prawo dopuszcza, w którym chcą się jednak tak zachować, iż i ustąpić go gotowi, w czym się jeno godzi i przystoi". Tem oświadczeniem uprzedzili zamiary samego króla, który rozumiejąc, że obowiązkiem jego jest „różnice między stany równać", objawił właśnie życzenie, aby panowie i posłowie ułożyli z nimi „czas wolny", na którymby te różnice i waśnie dały się ostatecznie wyrównać i przestały być „zawadą inym wszem sprawom koronnym". Teraz więc „J. K. Mość jest dobrej nadziei, że nie długo te różnice zawadzać będą, gdyż ich m. na to zezwolili, aby czas stanowieniu tych różnic był obran wolny od inych spraw pospolitych..." Obwieściwszy posłom te wesołe nowiny o biskupach, o ich juryzdykcyi i o angaryach, które kiedyś w wolnym czasie naturalnie na soborze narodowym miały być usunięte, począł kanclerz omawiać artykuły ich projektu elekcyi, zbijać je jedne po drugich, poczem wręczył im uwagi senatu około tychże artykułów zgodne z jego opinią, z których mieli się dowiedzieć, że zdaniem króla i senatu „lepiej i użyteczniej" będzie „ostać przy przywilejach, które są dane od nieboszczyka sławnej pamięci Zygmunta króla..." [1]) Na tem przemówieniu zakończył się pamiętny dzień 24. stycznia.

Posłowie wręczone im przez kanclerza „zdanie ich m. panów około artykułów *de electione regis*" przeglądali przez całe dwa dni następne. Panowie w tym czasie przeglądali znowu „deliberacye" posłów na swe podanie około przywileju czerwieńskiego, które otrzymali od nich już we środę rano. [2]) W tym samym dniu właśnie, 25. stycznia, biskupi razem z innymi prałatami i duchownymi, obecnymi w Piotrkowie, zebrali się na wielką naradę nad bieżącą sytuacyą sejmową. Nie zaprosili jednak na nią nuncyusza Kamilla, a nawet go o niej nie zawiadomili. Postąpili z nim tak, jak niegdyś na synodzie łowickim z nuncyuszem Lippomanem. Nie chcieli może narażać się posłom, którzy wogóle krzywo na to patrzyli, że papież przez swoich legatów zanadto „pilnował sejmów polskich", a może podobnie jak na synodzie łowickim, nie chcieli mieć niepotrzebnego świadka dyskusyi nad drażliwemi sprawami sejmowemi, podniesionemi przeciwko nim przez posłów.

---

[1]) Dz. s. 239—241 i 245—246 w skróceniu.

[2]) Dz. s. 246—251: „Podanie poselskie na zdanie ich m. panów rad koronnych około przywileju Jagiełowego prope Czerwieńsko".

Przedmiotem dyskusyi na tej naradzie była głównie wczorajsza uchwała senatu, dotycząca soboru narodowego. Przerębski zawiadomiwszy o niej zgromadzony kler, zapytywał, coby teraz dalej czynić wypadało. Archidyakon krakowski Filip Padniewski odrzekł mu na to z ironią, że rada kleru w tej materyi zbyteczna, skoro ją już sami biskupi w senacie załatwili. Wówczas Przerębski i Zebrzydowski objaśnili go, że jeżeli się na sobór narodowy biskupi w senacie zgodzili, to naturalnie nie na inny tylko na taki, na któryby się zgodził i zezwolił papież. To samo powtórzył Noskowski, gdy przeciwnie Uchański oświadczył otwarcie, że właściwie na taki sobór nie potrzeba zgody i zezwolenia Stolicy Apostolskiej, bo sam arcybiskup jako prymas kościoła polskiego ma zupełną władzę zwołania go. Obecny na zgromadzeniu prowincyał dominikanów Melchior z Moscisk odpowiedział na to nominatowi kujawskiemu, że władza prymasa nie sięga tak daleko, aby mógł zwoływać synody mające decydować o artykułach wiary katolickiej, taką bowiem władzę ma tylko papież albo sobór ekumeniczny. Słowom sławnego prowincyała nikt nie zaprzeczył, jednak wszyscy twierdzili, że należy również wypełnić wolę króla i senatu. Wówczas Zebrzydowski podał projekt zaniechania synodu lub soboru do którego prymas nie ma prawa, a zwołania konwencyi czyli zjazdu kleru. Zjazd taki zdaniem jego mógłby się odbyć jeszcze tego roku we wrześniu w Krakowie, mógłby ułożyć zasady wiary katolickiej i obmyślić środki obrony przeciw wszelakim nowatorom, a następnie wręczył jedne i drugie królowi z prośbą, by nakazał w rzeczach wiary wieczyste milczenie, by powagą swoją w myśl uchwał owego zjazdu zobowiązał wszystkich do życia chrześciańskiego.[1]) Myśl zjazdu podniesiona przez Zebrzydowskiego nie była nowa, podnosił on ją już na synodzie 1554 r. Tak samo nie był nowym fakt, że Zebrzydowski podobnie jak wszyscy ówcześni biskupi jedyną opiekę dla kościoła katolickiego widzieli nie w samych sobie, nie w klerze, tylko w królu, nie w dobrym przykładzie, tylko w przemocy, w skrępowaniu swobody sumienia... Ale ani ten zjazd proponowany przez Zebrzydowskiego, ani sobór uchwalony za zgodą biskupów przez senat i króla, nie miał dojść nigdy do skutku. Kiedy nuncyusz oburzony na biskupów o to, że pominęli jego osobę, zaniepokojony zarazem wiadomością, że w senacie i na zgromadzeniu kleru rozprawiano o soborze, interpelował o to wszystko arcybiskupa,

---

[1]) List Kamilla z 28. stycznia 1559 — jak wyżej.

grożąc, że gdyby przyszło do uchwalenia tego soboru na sejmie, będzie zmuszony przeciw temu wobec króla zaprotestować i natychmiast opuścić Polskę, arcybiskup uspokoił go, że nie ma się czego obawiać i srożyć, bo sejm podobnej uchwały nie poweźmie z tej prostej przyczyny, że królowi chodzi jeszcze tylko o obronę a całą rzecz o soborze ułożył jedynie dla uspokojenia posłów i powstrzymania ich napaści na biskupów...[1]) Tymczasem posłowie przeczytawszy referat panów o swoim projekcie elekcyi i obaczywszy — „iż wszystko spisanie ich o obwieszczeniu śmierci pańskiej panowie odrzucili i takież *modum electionis* a na starym przestawali zwyczaju, który jest w starych przywilejach“, słusznie poczęli ubolewać nad tem — „iż czas tak stracon był“. Od samego początku chcieli oni „ostawać przy starym obyczaju“, panowie naciskali na nich — „aby iny obyczaj namawian był“, dziękowali i sami i posłom kazali, królowi za to, że pozwolił radzić o sukcesyi tronu, o elekcyi swego następcy, a kiedy oni ulegli ich prośbom i „całe dwie niedziele“ poświęcili tej sprawie, panowie „odrzucili wszytko na stronę a przy starym ostawali“. Widzieli w takiem postępowaniu złą wolę, podejrzywali, że panowie radziby również egzekucyę w ten sposób zaprzepaścić, postanowili więc jeszcze raz zaprotestować przeciw dotychczasowemu procederowi tej egzekucyi i prosić, aby król ją podług recesów dokończyć raczył. Mieli też podziękować biskupom za ich dobre chęci w sprawie wyrównania różnic między stanem duchownym a świeckim, tudzież prosić króla i panów, aby, jeśli odrzucają ich projekt elekcyi, zechcieli przynajmniej te dwie „kondycye“ tyczące się elekcyi „opatrzyć“, pierwszą — „aby czas sejmowy ku elekcyi był statutem obwarowany, w którymby po śmierci królewskiej sejm miał być celebrowan *electionis novi regis*“, drugą — „aby obwieszczać szlachcie śmierć królewską mieli w mocy sześć osób“, na co sami panowie w swym referacie przyzwalali, byle te osoby były „spólnie“, a więc na sejmie obrane. Mieli w końcu zaprotestować przeciw temu, że król i senat zżymali się na mowę Stadnickiego, słuchając jej „*impacienter*“. O tem wszystkiem poru-

---

[1]) Tamże. Nuncyusz wyraźnie nie wymienia arcybiskupa, pisząc w liście swym tylko o pewnem źródle, z którego te wiadomości zaczerpnął. Któż jednak mógł być dla niego lepszem źródłem, jak nie podkanclerzy, znający króla, a świeżo mianowany arcybiskup, któremu zależało na pozyskaniu sobie względów i na dobrej opinii przedstawiciela Stolicy Apostolskiej?

czyli mówić marszałkowi Siennickiemu. Do głosu Siennickiego miał się przyłączyć poseł Rey, aby założyć protest przeciw „sakrom biskupim“, które do Rzymu posyłane bywały, bo właśnie w tym czasie „za wstąpieniem księdza podkanclerzego na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, a księdza Uchańskiego biskupa chełmskiego na kujawskie biskupstwo, po którym też i na chełmskie kto wstąpić miał — wielkie sumy do Rzymu wysłane być miały, przeszło 50000 złotych“... [1]) Uchwały te koła poselskiego zapadły we czwartek późnym wieczorem. W tym samym czasie panowie byli już gotowi z odpowiedzią „na podanie poselskie około przywileju Loisowego i Jagiełłowego“, czyli koszyckiego i czerwieńskiego. Odpowiedź ta i protesty posłów miały wypełnić sesyę sejmową dnia następnego, 27. stycznia, którą otworzono pod wrażeniem wieści, rzuconej przez króla między posłów, o rzekomem pojawieniu się morowego powietrza...

Siennicki przemawiał pierwszy. Zaczął od skargi, że Stadnickiego król i panowie słuchali „teskliwie“, chociaż on mówił w imieniu swych towarzyszy, odpowiadając „na kryminacye“, które rzucili na posłów biskupi w obecności króla. „Ale iż my wiemy“ — tłumaczył mowca — „że nigdzie indziej, jedno tu przed majestatem W. K. M. i senatem koronnym miejsce jest każdemu deległiwości swe przekładać, o nie się nagrody upominać... a tym więcej nam, którychmy od wszego ślacheckiego stanu tu są posłańcy, zamilczeć nie przystało, gdyśmy słyszeli, że tu przed osobą W. K. Mci *in corona tocius senatus* potykali nas przymówki, które wezwanie nasze poselskie hydzili (Zebrzydowski!!) — sprawęśmy W. K. Mci dać musieli“. Od skargi tej przeszedł Siennicki do elekcyi króla. Ułożyli posłowie na życzenie królewskie projekt tej elekcyi, aczkolwiek woleliby byli i o to prosili, aby go panowie — „jako senatus koronny“, obdarzeni „experiencyą wszech rzeczy większą“ pierwsi go podali. Mogli byli panowie przynajmniej ich projekt poprawić, boć go posłowie wcale nie mają za rzecz doskonałą; tymczasem oni „wszystko odrzuciwszy, a mało co swego mianowawszy, tym spisek swój kończą, aby przy starym obyczaju, który jest w przywileju opisan, ostać“. Wszak posłowie zdawna słyszeć się dawali, że chcą przy starym pozostać, po cóż więc było tyle czasu tracić? „A wszakoż“ mówił — „nam stracenia tego czasu wielce żal, i podobnobyśmy i my i kto iny rozumieć musiał, że ta zabawa namyślna była ku

[1]) Dz. s. 251—252.

exkluzyi poczciwego czasu, aby się ine sprawy potrzebne przewlokły“ (!!). Prosił tedy, aby przynajmniej owe dwie kondycye, wspomniane wyżej, w zamian tego projektu teraz przyjęte były. Poczem odezwał się w te słowa: „Podano też nam od W. K. Mci, aby się różnice wszystkie, którekolwiek jeno są między stanem duchownym i świeckim na iny czas ku uznaniu odłożyły, opowiedając nam chuć ich m. księdza arcybiskupa i biskupów. że się tu przed W. K. Mcią chutliwie ofiarowali, powolnymi się do wszystkiego okazać. Aczy my w prawiech swoich i wolnościach pospolitych nic nie wątpimy, iż im żadne ine prawo ani wolność czyjaśkolwiek ubliżyć nie może, a wszakoż i za tę ich mości dobrą chuć przed W. K. Mcią dziękujemy, nic w tym nie wątpiąc, że ich m. by też dobrze co takowego mieli, coby wolność pospolitą obrażać miało, pomnąc na to. że ich m. są krwie ślacheckiej i narodu tego, którego i my, odstąpić tego litować nie będą (!).

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ELEKCYA ZYGMUNTA I.

KILKA UWAG O ELEKCYI W POLSCE ZA JAGIELLONÓW.

Zgodnie z wolą Senatu polskiego, a nawet na wyraźną jego prośbę,[1]) pochowano 17. października[2]) 1506 r. w Wilnie zwłoki króla Aleksandra.

20-go tegoż miesiąca osadzili Litwini Zygmunta wbrew prawno-państwowym traktatom z Polską na wielkoksiążęcym tronie. Przedstawienia Senatu koronnego zostały zignorowane — mniejsza o to, czy pod naciskiem zewnętrznych okoliczności, czy z rozmysłu. Polska musiała przystąpić znowu do elekcyi pana tylko regni Poloniae, a nie całego państwa. Ogłoszono zatem na dzień 30. listopada sejm elekcyjny.[3])

Kandydatem do tronu był tylko Zygmunt. Władysław, król Czech i Węgier, zrzekał się na jego rzecz swych wszelkich praw —

---

[1]) Acta Tomic. I. str. 8. Consiliarii regni Poloniae Sigismundo principi: „Scripsimus etiam super Serenitati Vestrae eandem rogantes, ut corpus regium sepeliri istic curaret cum ita Deo placuit illum istic ab humanis separari, quod ipsum arbitramur pignus fore perpetuum unionis nostrae cum Dominis Lithuanis“ — nie był to więc akt samowolnego postąpienia Litwinów, jak to się często przedstawia.

[2]) „die ante festum S. Lucae ap. quae erat 17. Octobris“, — zobacz niżej Decretum electionis. Mylną więc jest podawana dotychczas data 11. X.

[3]) „pro festo S. Andreae proxime praeterito“. Decretum elect.

jeśli je wogóle posiadał — i przez Karłacza polecał W. ks. Litwy, którego, jako takiego i bez tych rekomendacyi, ze względów zasadniczych królem Polski okrzyknąć musiano.

Wybór Zygmunta nie ulegał żadnej kwestyi: senatorowie, z góry, przed naradzeniem się, oddawali mu swe głosy. Przytaczamy charakterystyczne pod tym względem votum biskupa chełmińskiego, Mikołaja Kościeleckiego, oddane przez plenipotenta, Jana z Kalinowa, generał-starostę wielkopolskiego: [1])

Reverendissimis in Christo patribus nec non magnificis et generosis Dominis archiepiscopis, episcopis, palatinis, castelanis, nec non omnibus et singulis praesentibus spiritualibus et saecularibus ad electionem novi regis congregatis, maioribus et amicis honorandis. Nicolaus Kościelecki Dei gratia episcopus chelmensis complacendi voluntatem. Reverendissimi in Christo patres nec non magnifici et generosi Domini maiores et amici honorandi. Quamvis cordi mihi fuit, tamen praeventus infirmitate et hospicii spolatione intencioni et debito satisfacere non potui, prout Deum testor facere non possum. Et, ut vero nec redderer contumax esse, votum meum in personam Magnifici Domini Joannis de Kalinowa maioris Poloniae capitanei fratris mei refundo, in personam Serenissimi principis et Domini, Domini Sigismundi Dei gratia nati D. Regis Poloniae, Domini mei gratiosissimi proferendum et ipsum in Dominum eligendum, in regem Poloniae acclamandum refudi et refundo tenore praesentium mediante, Vestras Dtiones nec non Magnificentias Vestras rogando quatenus votum meum ex ore praefati Domini Joannis ac si meo proprio ore esset prolatum suscipere et ei in huiusmodi voto plenum dignentur dare fidei creditum, non minus sicut mihi ipsi. In cuius rei testimonium sigillum meum praesentibus est subappensum. Datum in Kowale, Sabbato ante festum S. Andreae ap. 1506.

Sejm rozpoczął się w oznaczonym czasie. Senat stawił się prawie w komplecie (2 arcybiskupi, 5 biskupów, 11 wojewodów, 16 kasztelanów). Przybyli także posłowie książąt mazowieckich. Z powodu kilku spraw bieżących, domagających się załatwienia, obiór króla odbył się dopiero 8. grudnia.

---

[1]) Teki Gołębiowskiego II. 47. Bibl. Poturzycka. Votum to, jak i podana niżej plenipotencya Szydłowieckiego znane z ekscerptu w Rykaczewsk. Inventarium. Podajemy je in extenso.

Tegoż dnia spisano dekret elekcyi, który, podając dokładne sprawozdanie z przebiegu całej sprawy, jest równocześnie dokumentem pierwszorzędnej wagi dla wyjaśnienia kwestyi elekcyi w Polsce za Jagiellonów.

To „Decretum electionis“ brzmi:[1])

Andreas gnesnensis et primas, et Bernardus leopoliensis Dei gratia archiepiscopi, Ioannes cracoviensis, Vincentius vladislaviensis, Ioannes posnaniensis, Erasmus plocensis et Mathias premisliensis, regnique Poloniae vicecancellarius eadem gratia episcopi: Spythko de Jarosław castellanus, Joannes de Tarnów palatinus cracoviensis, Andreas de Shamotuly posnaniensis, Nicolaus Gardzina de Lubrancz calissiensis, Ambrosius de Pampow siradiensis, Jaroslaus de Lasko lanciciensis, Nicolaus de Kretkow iunivladislaviensis, Ioannes Amor de Tarnow Russiae, Nicolaus de Curozwanki lublinensis, Stanislaus Kmita de Visnicze bełzensis, Prandota de Trzciana ravensis, palatini: Dobrogostius de Ostroróg posnaniensis, Ioannes Jarunt de Brudzow calissiensis, Ioannes de Przeranb siradiensis, Janussius Latalski gnesnensis, Bernhardus de Lubrancz brestensis, Petrus Szafraniec de Pieszkowa Skała vislicensis, Stanislaus de Potulice miedzyrzeczensis, Hieronimus de Kobylino rospiriensis, Stanislaus de Kościelec iunivladislaviensis, Ioannes Jordan de Zakliczyn biecensis et capitaneus scepusiensis, Lucas de Górka spiczymiriensis, Petrus Gorski naklensis, Nicolaus Missopad czechoviensis, Andreas de Oporów crusvicensis, Camblan krzywinensis, Andreas Sobocki biechoviensis, castellani; Stanislaus de Chodecz mareschalcus regni ac leopoliensis et camenecensis capitaneus, Ioannes de Lasko praepositus posnaniensis et eiusdem regni cancellarius, Stanislaus Jarocki mareschalcus regius, caeterique praelati, consiliarii et barones ac nobiles regni eiusdem universum regnum Poloniae repraesentantes.

In nomine Sanctae individuaeque Trinitatis.

Ad universorum quorum interest, intererit et in futuram notitiam deducimus, quod Serenissimo olim principe Domino Alexandro Dei gratia rege Poloniae, Magno Duce Lithuaniae, Russiae, Prussiaeque domino et herede etc. graciosissimo, anno praesenti in feria quarta post festum assumptionis virginis gloriosissimae Mariae, quae erat Augusti dies 19, in civitate et castro

[1]) Teki Gołębiow. II. 45.

inferiori vilnensi de medio sublato, eiusque olim funere regio sabbati die ante festum S. Lucae, quae erat 17. Octobris in basilica Divi Polonorum patroni praesulis Stanislai in castro praedicto vilnensi honorificentissime sepulto existente ceremoniis ad hoc dignissimis funeralibus, prout tantae expediebat maiestati, non minus reverenter quam etiam devote ac lugubriter adhibitis, tandem sepultura peracta fuit, successive per nos universos electioni futuri regis ac domini novi dies et locus, huc Piotrcoviam pro festo Andreae proxime praeterito ad praesentem conventionem generalem deputatus, decretus ac assignatus, decreto communi mediante, ac dominorum praelatorum et baronum regni accedente consensu, fuereque universi principes et praelati spirituales ac saeculares, barones, nobilitas, milites et communitates terrarum ac civitatum de iure ac consuetudine ad electionem regiam pertinentium: edictis proclamationum publicis ac litteris et nunciis eam ipsam electionem futuram intimantibus denuntiantibusque vocati et avisati ut nobiscum una pro eligendo futuro rege ac domino aut convenirent aut nuntios cum mandatis dirigerent ad praesentem electionem conventionemque piotrcoviensem, pro die praedicta in praesentem usque per continuationem prorogata, *qua die hodierna*, dum cum universis principibus ac praelatis spiritualibus et saecularibus, militibus, nobilibus, communitatibusque terrarum et civitatum comparentibus et praesentibus, absentiumque nuntiis, iniremus consilia, tractatus et deliberationes pro eligendo domino nostro rege futuro, proque aliis necessitatibus et eventibus publicis in melius ordinandis:

Tandem nobis, Andrea Dei gratia veluti archiepiscopo gnesnensi et regni primate et consilii ordinem ac electionem proponentibus: vocatorum non comparentium absentia non obstante per nos et universos praelatos spirituales et saeculares, barones et consiliarios nostro et absentium nomine ad *electionis decretum* in Dei nomine processum erat die et loco infrascriptis. Qua missa de spiritu sancto cantata et audita ac cerimoniis consiliis, tractatibus, deliberationibus et conclusionibus de more atque iure praemissis, nos qui supra praelati et barones universi ad quos istud de iure electionis liberae et consuetudine regni eiusdem pertinet *una cum nuntiis et oratoribus praeclarorum principum Dominae Annae D. grat. genitricis, et tutricis ac Stanislai et Ioannis puerorum Ducum Masoviae*, aliorumque praelatorum et baronum regni absentium nuntiis, cum literis et sufficientibus mandatis ad electionem praesentem missis, *nomine suorum principalium com-*

parentibus et electioni interessentibus: decretum electionis diximus, pronunciavimus et promulgavimus, dicimusque, pronunciamus et promulgamus sic quia non ex affectione carnali personalique nec ex debito successionis, sed inspirante spiritus almi gratia, votis, voluntatibus, affectionibus, desideriisque unanimibus, nemineque ex nobis, cooperante Spiritus eiusdem Sancti gratia, a votis et voluntatibus unanimibus discrepante: Serenissimum Dominum Sigismundum Dei gratia regium natum in regem Poloniae et Magnum Ducem Lithuaniae ac terrarum Cracoviae, Sandomiriae, Siradiae, Lanciciae, Cuiaviae, Russiae, Prussiae, Samogitiae, Culmensis et Elbigensis Dominum et heredem etc. Dominum nostrum graciosissimum, sic ut uis liberae electionis nobis competiit et competere consuevit: elegimus et decrevimus, eligimusque et decernimus praesentibus. Quam electionem praesens quoque decretum nostrum cum universis nobilibus ac terrarum et civitatum communitatibus, nostro et eorum atque absentium nomine aprobandam, tenendam, laudandam, confirmandam et emologandam duximus, aprobamus, tenemus, confirmamus, laudamus et emologamus, tenore praesentium mediante.

Itaque decretum huius modi in virtute altissimi exequi cupientes:| de certa scientia communique consilio ac omnibus modo, iure et stilo: Dominos infrascriptos, videlicet reverendissimos in Christo patres, magnificos et venerabilem dominos, Ioannem cracoviensem, Vincentium vladislaviensem, Mathiam praemisliensem, episcopos, Andream de Shamotuli posnaniensem, Nicolaum Gardzina de Lubrancz calissiensem, Ambrosium de Pampow siradiensem, Stanislaum Kmita de Visnicze belzensem palatinos, et Ioannem de Lasko praepositum posnaniensem cancellarium regni Poloniae, fratres nostros ad eundem Serenissimum Dominum nostrum, Dominum Sigismundum Dei gratia regem Poloniae et Magnum Ducem Lithuaniae electum ad infrascripta gestores, actores et nuntios deputavimus et deputamus, dantes eis facultatem plenariam praesens electionis decretum Suae Serenitati intimandum et notificandum, aliaque omnia et singula, quae ad plenam et sufficientem electionis eiusdem intimationem pertinet nostro nomine faciendi.

In testimonium itaque praesentium omnium et singulorum praemissorum, sigilla nostra ac aliorum procerum et nobilium regni Poloniae praesentibus sunt appensa.

Actum et datum Piotrcoviae in conventione electionis regiae generali, feria 3 festi Conceptionis Virginis Sanctissimae

Mariae A. D. 1506. Praesentibus ad praemissaque consentientibus ac rata habentibus et ea emolgantibus suo et aliorum praesentium et absentium regnicolarum nominibus, venerabilibus, generosis, et nobilibus dominis Nicolao de Latalia gnesnensi, lanciciensi, cracoviensi praeposito, Joanne Zaremba de Kalinowa capitaneo maioris Poloniae generali, Nicolao Firley de Dambrovicza vexillifero cracoviensi et capitaneo lublinensi, Victorino de Sienno, Ioanne et Andrea de Tanczyn, Stanislao de Ostrorog, Stanislao, Ioanne et Spytkone de Tarnow, Nicolao et Ioanne de Pilcza, Nicolao Lanckoruński de Brzezie, Nicolao Jordan de Zakliczyn, Stanislao Lasocki posnaniensi, Petro de Lutomirsko siradiensi, Derslao Wilczek leopoliensi succamerariis, Petro Szpot de Kraiów, Stanislao Szafraniec de Pieszkowa Skała, Ioanne et Stanislao de Sprowa capitaneo opoczniensi, Rafaelo de Leszczno, Janussio Swirczowski tenutario in Ropczyce, Ioanne et Jacobo de Kobylany, Adamo de Drzewica, Nicolao Wolski vexillifero Sochaczoviensi, Felice de Oporów, Stanislao de Golub, Ioanne Milay de Jaroczin, Ioanne de Leszczno, Nicolao Lubomirski iudice castri cracoviensis. [1])

Tak więc odbyła się elekcya Zygmunta I. Jedno uderza szczególnie z powyższego aktu: Polacy nie uznali separatywnego kroku Litwy; dla nich Zygmunt jest w grudniu 1506, — a więc w 2 miesiące po przywdzianiu wielkoksiążęcej mitry w Wilnie — tylko królewiczem; dopiero w Piotrkowie obierają go unanimibus votis, nemine discrepante in Regem Poloniae et Magnum Ducem Lithuaniae ac terrarum Cracoviae... Samogitiae, a i w dalszej części tego arcyurzędowego aktu tytułują go nie inaczej jak tylko: Dei gratia rex Poloniae et Magnus Dux Lithuaniae electus. Nadzwyczaj uroczyste poselstwo [2]) zawiadomiło Elekta o decyzyi sejmujących w Piotrkowie Stanów: 21. stycznia 1507 włożył Zygmunt I. na skronie Łokietkową koronę.

*

* *

Dekret elekcyi Zygmunta I. daje w zestawieniu z innemi źródłami odpowiedzi na kilka pytań, dotyczących elekcyi za Jagiellonów.

---

[1]) Znajdująca się w Tek. Gołęb. II. 45. Naruszewiczowska kopia (przejrzana przez Sowińskiego), zaopatrzona jest dopiskiem: „U tego oryginału na pergaminie pieczęci dobrze zachowanych 21“.

[2]) Wyliczenie tych posłów u Górskiego A. T. I. niezupełne.

Usiłujemy zestawić je:

1. Czy elekcya jest koniecznością prawną?

Tak. Decretum electionis dicimus... non ex affectione carnali personalique, *nec ex debito successionis,* sed votis, voluntatibus.., sic ut vis liberae electionis nobis... competere consuevit..." Jedyna to droga do tronu, którą każdy z Jagiellonów od czasu fatalnej polityki Oleśnickiego w Brześciu, Łęczycy i Jedlinie, przebyć musiał, choćby stał jak najsilniej przy sztandarze, uważania się za urodzonego króla Polski, a więc na stanowisku reprezentowanem w r. 1506 przez biskupa chełmińskiego [1]) — nie przeszkadzało mu to zresztą dopomódz „urodzonemu królowi" swoją kreską do tronu.

2. Miejscem elekcyi za Jagiellonów stale Piotrków na mocy obowiązującego prawnie „consuetudo".

3. Wybór odbywał się na Sejmie wyraźnie jako elekcyjny, ogłoszonym „edictis proclamationum publicis ac litteris et nuntiis eam ipsam electionem futuram intimantibus, denuntiantibusque". Niezapowiedziana elekcya Zygmunta Augusta w r. 1529 wywołała burzę i doprowadziła do wyraźnego zastrzeżenia powyższego warunku. [2])

4. Kto miał prawo udziału w elekcyi?

a) Książęta hołdujący (ks. mazowieccy, w. mistrz Zakonu, wojewoda wołoski);

b) wszyscy senatorowie królestwa — w czasie elekcyi głosowali w senacie także najwyżsi urzędnicy koronni i nadworni, chociażby nie byli senatorami;

c) każdy szlachcic — indigena koronny;

d) niektóre miasta (Kraków, Lwów, Toruń, Elbląg, Gdańsk).

Co do *a)*: Teoretycznie orzekał tak „modus eligendi regis" z r. 1501. [3]) W praktyce zaś mamy:

---

[1]) votum meum in personam Serenissimi Principis et Domini domini Sigismundi Dei gratia nati Domini regis Poloniae profero... zob. wyżej.

[2]) Vol. leg. I. str. 245.

[3]) Daniłowicz: Skarbiec Litwy, II. 260.

Po pierwsze: W dekrecie elekcyi Zygmunta I. dobitnie zaznaczono, że w r. 1506 byli i głosowali ich prawni zastępcy: „una cum nuntiis et oratoribus praeclarorum principum... ducum Masoviae... electioni interessentibus decretum electionis diximus...“ Ustęp ten stanowczo sprowadza do wartości wielce miernej, tendencyjny — bo zmierzający do usunięcia na wszelki sposób od wpływu na elekcyę księcia pruskiego — akt Zygmunta I. z r. 1530, twierdzący: „adeo diligenter cautum et observatum erat omni tempore, ne quis alius excellentioris ordinis praeter consiliarios Regni ius eligendi Regis haberet, ut etiam et Duces Masoviae qui Principes erant indigenae Regii et Domini naturales huius Regni post obitum Patris neque locum neque vocem eligendi Regis habere potuerint.“

Po drugie: Mamy urzędowe wezwanie Wielkiego mistrza Zakonu przez senat koronny do wzięcia udziału w elekcyi 1492 r.[1]) Za ważne świadectwo musi tu uchodzić też poselstwo Elżbiety do Jana v. Tiefen, starające się o *głos* mistrza dla Jana Olbrachta.[2])

Po trzecie: Mamy jasny list w tejże sprawie Senatu do wojewody wołoskiego w r. 1506:[3]) „et licet nondum sit de tempore electionis constitutum propter corpus regis mortui adhuc insepultum, quia sepultura ipsa ad adventum Serenissimi principis Sigismundi dilata fuit, tamen cum dies electionis designabitur, domini consiliarii reddent te certiorem, ut *una cum eis consulas de eligendo novo rege...*“

Co do *c)*: Kwestyę tę rozstrzyga także „dekret elekcyi Zygmunta I. Podpisało go 32 najgłośniejszych imion reprezentantów szlachty, a podpisało „suo et aliorum praesentium et absentium regnicolarum nominibus“. Otóż tak ze względu: 1. na wielką liczbę, 2. na obecność w ich rzędzie po kilku członków jednego rodu (Stanislao, Ioanne et Spytkone de Tarnow, Nicolao et Ioanne de

[1]) Codex epistol. s. XV. t. III. str. 586, nr. 79.
[2]) Ibidem, nr. 81, zobacz też nr. 80.
[3]) Act. Tom. I. 1.

Pilcza i t. d.), 3. na podpisanie przez nich dekretu elekcyi także w imieniu "aliorum praesentium regnicolarum, — coby w żadnym wypadku nastąpić nie mogło, gdyby ci „alii praesentes" byli posłami, — musimy uważać ich za delegatów zebranej na miejscu elekcyi szlachty.

5. Czy dla wykonania czynnego prawa wyboru króla konieczną była osobista obecność? Nie. Zasada ta dotyczyła wszystkich uprawnionych do udziału: a więc zastępców mogli wysłać i wysyłali: *a)* książęta-lennicy,[1] *b)* senatorowie,[2] *c)* nobiles, milites et communitates terrarum, *d)* miasta.

Klasycznym dowodem ważności elekcyi odbytej wyłącznie przez posłów, jest wybór Zygmunta Augusta.[3] Pozatem i modus eligendi i Decretum Electionis Sigismundi I. wyraźnie orzekają, że ziemianie mogą zejść się gremialnie lub wysłać posłów cum mandatis. W r. 1506 podpisują reprezentanci szlachty dekret ele-

---

[1]) Daniłowicz: Skarbiec Litwy II. 260; Decretum electionis Sigism. I.

[2]) Oprócz powyżej podanej plenipotencyi Kościeleckiego dla Kalinowskiego, podajemy in extenso drugą również znaną z excerptów. II. Teka Gołęb. 46.

Reverendissimis in Christo patribus, nec non magnificis et generosis Dominis regni Poloniae status utriusque consiliariis in hac dieta piotrcoviensi ad electionem novi regis feliciter congregatis, dominis et amicis honorandis. Jacobus de Schydloviecz castellanus et capitaneus sandomiriensis regnique Poloniae thesaurarius salutem, obsequium, et benevolentiae incrementum. Reverendissimi Magnifici et generosi domini, amici honorandi. Ex quo sub hoc interregno per officii mei obligationem custodiae Thesauri regni mihi commissi accuratius intendere me opporteat. Sed ne perinde officio et dignitate meis propter absentiam meam in hoc conventu electionis novi regis derogare videar, consonum immo dignum recensui, ut reverendissimo in Christo patri et Dno, Dno Mathiae Dei gratia episcopo premisliensi et regni Poloniae vicecancellario vices meas votandi, eligendi et caeteras actiones rempublicam concernentes una cum vestris Dominationibus disponendi plenam ac omnimodam conferrem facultatem. Quam et conferro praesentibus literis meis.

Quidquid autem per ipsum in votatione, electione, ac ceterarum actionum rempublicam concernentium dispositione factum, ordinatum et conclusum fuerit, ratum ac firmum habebo et tenebo, tanquam ipse personaliter omnibus et singulis interessem. In cuius rei testimonium sigillum meum praesentibus est subappensum. Datum Cracoviae feria 5 ante festum S. Barbarae Virginis A. D. 1506.

[3]) Zob. Elekcya Zygmunta Augusta. Kwartal. hist. 1905

kcyjny także nominibus absentium regnicolarum, oczywiście mocodawców swych. Usunięcie w r. 1572 tej możności zastąpienia szlachty pewnej ziemi przez delegatów, zasada: każdy, kto chce wykonać swe prawa elekcyi, musi przybyć na pole elekcyjne, zasada viritim-osobiście, jest właśnie podstawowym faktem, który charakter elekcyi polskiej do cna przekształcił.

6. Jak przychodził akt elekcyi do skutku?

W przebiegu sejmu elekcyjnego należy odróżnić dwie fazy: Pierwsza: narady. Dotyczyły one tak materyi obioru nowego pana, jak i załatwienia nagłych konieczności państwowych „inivimus consilia... pro eligendo rege, proque aliis necessitatibus et eventibus publicis“.[1]) Kto brał udział w tych naradach? „Inivimus consilia — odpowiada akt elekcyi Zygmunta I. — cum universis principibus ac praelatis... militibus, nobilibus... comparentibus ac praesentibus absentiumque nuntiis“. Narady senatu odbywały się oddzielnie od narad reszty obecnych, jak to stwierdzają posłowie miasta Lwowa, obecni na elekcyi Olbrachta mówiąc, że mieli miejsce in consilio terrigenarum.[2]) Porozumiewano się za pomocą delegacyi zgromadzonej szlachty do senatu. W obrębie „consilii terrigenarum“ unikano zmajoryzowania posłów pewnej ziemi przez tłumy n. p. województwa sieradzkiego lub krakowskiego na podstawie zasady reprezentacyi lokalnej, wskutek czego tłumy miały wobec całości tak samo 1 głos, jak n. p. 2 posłów województwa ruskiego. Zasadę reprezentacyi lokalnej o sile *jednego* głosu posuwano tak daleko, że na rzecz jej tracili swój odrębny głos nawet senatorowie, jeśli chcieli uchodzić za przedstawicieli danego województwa. Tak n. p. w r. 1492 „dominus episcopus (warmiensis) et suo et aliorum oratorum, qui cum eo fuerunt missi, et totius Prussiae nomine unum dedit votum et vocem“.[3])

Część druga elekcyi — to głosowanie i spisanie dekretu.

Głosowali senatorowie, zastępcy książąt i senatorów według mandatu, w obecności reprezentantów szlachty i miast. Miast przedstawicielami byli oczywiście ich posłowie i ci jako tacy pozostawali w sali senatorskiej podczas głosowania. W r. 1492 iussi

[1]) Decret. elect. Sig. I.

[2]) F. Bostel: Do elekcyi J. Olbrachta. Kwartal. hist. 1895. Z Arch. miejsk. lwow.

[3]) Cod. Epist. s. XV. III. nr. 390.

sunt per marescallum regni multis vicibus et mandatis exire conclave omnes notarii... et alii quicunque, remanentibus in eodem conclavi solum pontificibus... et aliis quorum intererat eligere: ...de Prussia fuerunt episcopus Warmiensis, palatinus Marienborgensis, castellanus Culmensis, *succamerarius Pomeraniensis et nuncii civitatum* Thorun, Elbing, Dantzck". [1]

Spisanie dekretu elekcyjnego odbywało się zaraz po głosowaniu. Dekret nabierał znaczenia prawomocnego aktu z chwilą podpisania go przez delegatów szlachty „...praesentibus ad praemissaque consentienbus ac rata habentibus et ea emolgantibus suo et aliorum praesentium et absentium regnicolarum nominibus ...Nicolao de Latalia, Ioanne Zaremba de Kalinowa i t. d.

Dr. L. Kolankowski.

---

[1]) Cod. Epistol. s. XV. III, nr. 390.

Poselstwo Bieniewskiego

od śmierci B. Chmielnickiego, do umowy Hadziackiej.

(Ciąg dalszy.)

III

Gdy Wyhowski zapewniał posłów carskich, że nie odłączy się od „mocnej ręki“ Aleksieja Michajłowicza, nigdy może więcej nie myślał o zdradzie, jak właśnie wtedy. Zaraz po odjeździe Kikina rozpoczął akcyę w celu oderwania się, a porobił stosowne kroki po temu wcześniej jeszcze. Natychmiast po śmierci B. Chmielnickiego zawiadomił Bieniewskiego, już jako kasztelana wołyńskiego, aby natychmiast zjeżdżał i o pokój traktować począł. Nic sobie z zastrzeżenia i przysięgi, ażeby posłów obcych państw nie przyjmował, nie robił. Rezultatem tych pertraktacyi było powstrzymanie kozackich napadów i w końcu pokój. Mając zamiar wszakże dalej idące prowadzić układy, a widząc jak Moskwa gorliwie pilnuje jego i życząc te układy prowadzić zdala od kontroli posłów carskich i wojewodów pogranicznych, wysłał umyślnie w tym celu do Rzptej Teterę, który tylko co był powrócił z Moskwy, zapewniwszy ją o wierności kozackiej, do Korca i Międzyrzecza i polecił bezpośrednie komunikowanie się z Bieniewskim. Pośrednikiem zaprzysiężonym był Krzysztof Peretiatkowicz, który nie tylko przez całą jesień występował w roli pośrednika, ale był

przy Bieniewskim aż do zawarcia traktatu Hadziackiego. Na porozumiewaniu się z Bieniewskim Wyhowski bynajmniej nie poprzestał, lecz zakołatał także o pomoc do Tatarów i hana krymskiego, stosując tę samą metodę postępowania, którą poprzednik jego na hetmaństwie Czehryńskiem zastosował był do Rzptej. 10. września 1657 r. wysłał tedy posłów do hana z listem, zawiadamiającym o swoim wyborze na urząd hetmański, z oświadczynami przyjaźni i z zapowiedzią przysłania posłów „dla umowy". Zapowiadał, że byłby dawno posłał, ale nie miał pewności, czy dojdą cało. Jednał sobie łaskawość hana zapowiedzią, dość tajemniczą, jakichś układów — on jeden tylko wiedział, jakich i w jakim celu. Torował drogę do przyszłości. Była to zapowiedź oderwania się od Moskwy.

Położenie Wyhowskiego było bardzo drażliwe i niepewne; w otwartej walce przeciwko niemu stanęło Zaporoże i niektórzy z pułkowników. Starszyzna tylko z nim była. O ile w prawobrzeżnej Ukrainie było cicho — względnie, — o tyle lewobrzeżna wrzała ogólnem niezadowoleniem ze wszystkiego. Zręczniejsi przyjaciele Wyhowskiego, korzystając z stanowczego stanowiska, zajętego przez Moskwę, rozsiewali alarmujące pogłoski. Hrycko Leśnicki, pułkownik mirhorodzki, opowiadał ludziom, że car polecił posłać do miast bojarów swoich i wojewodów, że wolności kozackie chce złamać, pułkowników i setników odmienić, majątki od nich odebrać, zmniejszyć ilość wojska Zaporozkiego i kozaków w chłopów obrócić. Wyhowski jakoby bardzo był z tego wystąpienia Leśnickiego niezadowolony, ganił go i urząd pułkowniczy odebrał. Nie tak to wszystko groźnie wyglądało. Maksym Filimonowicz, protopop nieżyński, znany intrygant, pisał do Moskwy, że Starszyzna kozacka z cara niezadowolona, „straszą pospólstwo, że jak Moskwa weźmie je w swoje ręce, wówczas chłopom nie wolno będzie w butach i kaftanach z sukna chodzić, ale w Sybir wszystkich pogonią. Popów miejscowych także na Sybir wyszlą, a przypędzą swoich". Rozgłaszano, że ma być tylko 10.000 kozaków, a reszta pójdzie w sołdacką służbę. Były to rozmyślne strachy; „im nie chce się — mówi Filimonowicz — swoich karczem, szynków i państwa zrzec się; o kupczenie im chodzi, lecz nie o dobro pospolite".

Widząc niezadowolenie przeciwko sobie i tajemne knowania, zebrał radę kozacką do Korsunia z zamiarem utrwalenia swego hetmaństwa. O młodym Chmielnickim zapomniano zupełnie. Ażeby go się pozbyć, oddał go Wyhowski, jako opiekun, do szkoły Bra-

ckiej w Kijowie i w ten sposób przeciął drogę do wpływu na wypadki i politykę. Ale wojewodowie carscy byli czujni. Dowiedzieli się wcześnie o Radzie w Korsuniu i pchnęli tam zręcznego szpiega Nikołkę Judina. Rada była bardzo ożywiona, a zdania podzielone i wahające się. Wyhowski zaczął zręcznie, niby o radę prosząc, niby ulegając starszyźnie. 11. października odbyła się Rada w polu. Wyhowski położył buławę i rzekł: „Nie chcę być u was hetmanem. Car dawne wolności nasze łamie, a ja w niewoli być nie życzę“. Starszyzna nie przyjęła rezygnacyi, prosząc, aby na urzędzie hetmańskim pozostał. „Wolności będziemy bronić wszyscy razem“ — odpowiedziano, — a do cara poślemy posłów, ażeby wszystko po dawnemu zostawił. Wyhowski wziął buławę napowrót i do pułkowników rzekł temi słowy: „wy pułkownicy powinniście mnie przysięgać, a ja carowi nie przysięgał, przysięgał Chmielnicki“. Obecny na Radzie Puszkar, pułkownik połtawski, odezwał się: „A komuż ty przysięgałeś — szabli czy rusznicy?“ Zamiast odpowiedzi Wyhowski wyjął z kieszeni miedziane pieniądze moskiewskie: „car chce nam płacić zasługi nasze miedziakami, jak ich brać?“ Puszkar odpowiedział: „gdyby wielki car kazał narobić pieniędzy nawet z papieru, a na tym papierze byłby jego wizerunek, ja rad będę brać moje zasługi nawet takiemi pieniędzmi“.

Nazajutrz Wyhowski poprawił swoje uniesienie się. Opozycya Puszkara nie wróżyła nic dobrego. Gdy Rada zebrała się w świetlicy, Wyhowski odezwał się do starszyzny: „Przy nieboszczyku B. Chmielnickim między nami nigdy nie bywało rad żadnych. Gdyście wy mnie wybrali hetmanem, ja bez narady z wami nic robić nie chcę, otóż i teraz wam otwarcie mówię: przysłał do nas król szwedzki posłów i chce, ażebyśmy poddaństwo u niego przyjęli, a Carskie Wieliczestwo przysłał do nas hramotę z wymówkami, żeśmy się z Rakoczym, bez carskiej wiadomości porozumieli. Przedtem — powiada — zdradziliście króla polskiego, hana krymskiego, Rakoczego, hospodara wołoskiego, a teraz mnie chcecie zdradzić, — i długoż wy będziecie chwiać się?“ „Jeżeli się oderwiemy teraz od Carskiego Wieliczestwa, zasłużymy sobie na gniew jego, nikt nam wierzyć nie będzie i przyjdzie nam zmarnieć zupełnie. Bez wahania się, otwarcie poddajcie mnie myśl jaką, wskażcie co mam robić, na czem stanąć.“

Postawienie sprawy było bardzo zręczne, szczególnie wobec tego, że w izbie był obecny Nikołka Judin, a obecność jego nie mogła ujść uwagi Wyhowskiego. Inaczej mówił, gdy go nie było.

Przemawiając w ten sposób, pochlebiał starszyźnie, a równocześnie badał nastrój i usposobienie jej. Wiedział dobrze, że nie wszyscy pragną „mocnej ręki“ i chciał ich zmusić do wypowiedzenia się, ażeby w stosownej chwili oprzeć się na czemś można było. Zdania podzieliły się. Paweł Tetera — nie bez umysłu zapewne, gdyż znał najtajniejsze zamiary Wyhowskiego — Grzegorz Hulanicki, pułk. Nieżyński, Puszkar połtawski, Przyłucki — Piotr Doroszenko mówili: „My, stosownie do naszej przysięgi, nie chcemy odstąpić od Carskiego Wieliczestwa; z tej strony Dniepru starszyzna i czerń także odstąpić nie chcą. Zatem, niech tak będzie, jak przysięgliśmy. A zresztą, jak nam poradzisz — według twojej myśli niech będzie“. Wyhowski widząc, że inni milczą, udał, że się ze starszyzną zgadza. „Według mojej myśli — rzekł — musimy nieodłącznie pozostać przy Moskwie; przyłączyć się do innego państwa nie można i Pan Bóg nas za to ukarze“. Ale odezwała się i opozycya — niezbyt poważna. Trzech tylko pułkowników tworzyło ją — zatem zbyt drobna mniejszość. Załęski i Bohun odpowiedzieli: „Nie można nam być w poddaństwie Carskiego Wieliczestwa; chociaż to car dobry, ale ludzie carscy niedobrzy i namawiają, ażeby nas przywiódł na niewolę, pożytki nasze nam odebrał“. Wyhowski, wysłuchawszy tej mowy, rozgniewał się: „Nie do rzeczy mówicie! — zawołał — a w wojsku tylko niepokój wywołujecie. Złożyliśmy przysięgę, zatem nie możemy nawet myśleć o oderwaniu się od Moskwy“.

Cała ta narada była zainicyowana rozmyślnie — dla Puszkara i wojewodów carskich. Mamy prawo robić takie przypuszczenie nie tylko ze względu na dalszy rozwój wypadków, ale i na toczące się bezustannie układy z Bieniewskim. „Trwała ta konfidencya — pisze Peretiatkowicz, który w niej brał udział — przez całą jesień“ — właśnie w okresie wyżej opisanych narad.

Zdawało się, że ponowny wybór na hetmaństwo, w Korsuniu dokonany, da mu nareszcie urząd i spokój, że ambitnym a niezadowolonym jego wrogom zamknie usta. Bynajmniej. Wichry i rozgoryczenie rosły. Podniecały się one z jednej strony stanowczą postawą Moskwy, dążącej do uspokojenia kraju i wzmocnienia jego zależności, z drugiej — duchem niesforności, która jak zaraza wsiąkła w kozaczyznę, a przez nią w lud wiejski. Moskwa i kozaczyzna stanęły wrogo przeciwko sobie usposobione i starały się ukryć, zatrzeć to usposobienie: Kozaczyzna z obawy niewyraźnego i niepewnego jutra, Moskwa — aby nie zrażać nikogo i tem ła-

twiej bogaty od przyrody kraj wcielić i spoić z sobą. Widocznem było z biegu wypadków, że do starcia dójść musi. Obie strony obsyłały się posłami, niby wyjaśniając swoje stanowisko, a w gruncie rzeczy badając się wzajemnie. Ledwie 20. października wysłał Wyhowski Jerzego Miniewskiego i Jefima Korobkę, a równocześnie prawie Moskwa wysłała Ragozina.

Posłów kozackich trzymano długo w Moskwie, jakby umyślnie czekając na wyjaśnienie. Przywieźli oni wiadomość o wyborze na hetmaństwo Wyhowskiego i prośbę o potwierdzenie wyboru. Dopiero 8. listopada stanęli w Poselskim Prykazie. Wypytywanie dotyczyło stanowiska Rzptej, Szwecyi i Krymu — o czem oni nic nie wiedzieli i nic ciekawego, oprócz ogólników, powiedzieć nie mogli. Ale w dziesięć dni po pierwszej audyencyi przyjechał nowy poseł do cara od Wyhowskiego, Samojło Kaczanowski. Przywiózł on niepokojące wieści, że Zaporoże „buntuje się“. Pytano ich tedy o bunty — kto to tam rej wodzi? Obwiniano o awanturowanie się „kozaka Barabaszenka“, który zebrawszy sobie kupę hultajów i swawolników, żądał, ażeby na Zaporożu była taka sama „armata“ czyli artylerya, jak przy hetmanie. Obwiniano także Hryćka Leśnickiego. Wiemy już o tem. Był to jeden z pretendentów do buławy hetmańskiej. Gdy pod koniec życia wysłał go był Chmielnicki przeciwko Tatarom i jako Nakaźnemu hetmanowi dał buławę i buńczuk, Leśnicki, dowiedziawszy się o śmierci starego hetmana, nie chciał oddać znaków godności. Wyhowski musiał po nie Juryszka posyłać. Posłowie kozaccy zapewniali bojarów, że Wyhowski dałby sobie radę z hultajami, ale dla większej powagi potrzebuje potwierdzenia swego wyboru na hetmaństwo przez cara. Bojarowie obiecali wysłać carską hramotę do Zaporoża z wezwaniem do posłuszeństwa.

Kaczanowski wyjechał także prawie wnet po Radzie korsuńskiej, przywiózł również zawiadomienie o rezultatach rady i list — bez podpisów najwybitniejszej starszyzny: sędziego, oboźnego i pułkowników. Okoliczność ta zaciekawiła bojarów i pozwalała domyślać się, że Rada odbyła się nieprawidłowo. Posłowie wykręcali się, że sędzia i oboźny nigdy nie podpisują się. Poczęli wypytywać o szczegóły: kto był, kto wybierał, czy nie było opozycyi, czy kozacy z Zaporoża byli. Posłowie odpowiedzieli, że Rada odbyła się spokojnie, że z rozkazu hetmana byli pułkownicy i setnicy, a z nimi, przy każdym po 20 czerni — brakło tylko Zaporożców. Hetman nie posyłał po nich dla tego jedynie, że trzeba byłoby czekać trzy lub cztery tygodnie, zanim przyjadą. Ale w grun-

cie rzeczy racye były inne. Daremnie posłowie wykręcali się tem, że „Zaporożcy to także nasi bracia, którzy z miast wędrują tam dla różnych przemysłów, albo tacy, którzy przepiją lub przehulają wszystko“. Ale tem niezadowolono się. Egzaminowano dalej: gdzie wybierano hetmanów i gdzie wybrano Bohdana Chmielnickiego? Posłowie nie mogli zaprzeczyć, że działo się to istotnie na Zaporożu, ale usprawiedliwiali się tem, że tam dawniej kozacy w większej liczbie niż teraz mieszkali. Bojarowie nie mogli zrozumieć sprzeczności w tytule: hetman wojska Zaporozkiego, tembardziej, że Zaporoże ze swoim hetmanem rozpoczęło podjazdową walkę. Dopytywali się tedy natarczywie, czy z powodu Korsuńskiej rady i wyboru nie będzie jakich niepokojów na Zaporożu. Wyhowski snać przewidywał podobne postawienie kwestyi, gdyż posłowie przyjechali niewątpliwie z odpowiedzią gotową. Jakkolwiek — twierdzili — nie mogło być z tego powodu żadnych wichrów, gdyż Wyhowski wybrany został jednogłośnie przez całe wojsko, ale proponowali, ażeby car naznaczył ponowny wybór, w obecności posła carskiego, a wówczas kogo wybiorą, niech już ten hetmanem pozostanie. Wyhowski nie będzie się czuć bynajmniej tem obrażony. Proponowali miejsce zebrania dla nowej Rady w Pereasławiu, jako punkcie najdogodniejszym dla wszystkich. Z tem odjechali.

Wyhowski spodziewał się widocznie, że car przychyli się do życzenia posłów, ażeby ponowny wybór hetmana odbył się w Pereasławiu, gdyż w końcu października ze starszyzną podążył tam, a już poprzednio naznaczył był w Pereasławiu spotkanie się z Romodanowskim. Jakoż istotnie, przyjechawszy 25 października, Romodanowskiego już zastał. Książę był zniecierpliwiony oczekiwaniem. Przyszedłszy z wojskiem na rozkaz cara dla dania pomocy Wyhowskiemu, na wypadek wejścia Tatarów, siedm tygodni czekał — i nie było ani Tatarów ani Wyhowskiego. Począł się tedy żalić, że przez tak długi czas nie miał żywności ani dla koni, ani dla ludzi, że koni dużo stracił, żołnierze pouciekali. Groził, jeśli nie otrzyma żywności, cofnąć się do Białogrodu. Wyhowski począł straszyć i kręcić. Dziękował carowi za okazaną „miłość“ — przysłanie Romodanowskiego, obiecywał żywność, usprawiedliwiał się tem, że do korsuńskiej Rady nie ustalił się na hetmaństwie, i dodawał, że „Lachy są w pogotowiu, a Tatarzy w 20.000 koni czekają tylko, ażeby w wojsku Zaporozkiem stało się jakie rozdwojenie, zaraz na miasta kozackie uderzą“. Straszył i tem, że na Zaporożu wielkie bunty, starszyznę chcą wymordować i poddać

się hanowi krymskiemu". Oświadczał tedy, że, jako wierny sługa Jego Carskiego Wieliczestwa musi porządek zrobić na Zaporożu i spokój przywrócić. Radził tedy Romodanowskiemu przejść przez Dniepr i czekać, aż załatwiwszy się z Zaporożem, wróci do niego, a wówczas pójdą razem na wspólnych nieprzyjaciół. Jakie zamiary miał Wyhowski, wysyłając Romodanowskiego za Dniepr — trudno odgadnąć, gdyż w rzeczy samej Ukraina w tej chwili nie była zagrożona ani przez Tatarów ani przez Polaków. Dość, że Romodanowski nie posłuchał.

Tymczasem nadjechał Chitrowo, przywiózł hramotę carską o mającym się odbyć ponownym wyborze hetmana w Pereasławiu. W hramocie Wyhowski nazwany został hetmanem, o wyborach mowy nie było. Car pisał tylko o potrzebie zjechania się hetmana ze starszyzną i naradzeniu się nad uspokojeniem kraju. Zjazd był duży, brakło tylko Puszkara, pułkownika połtawskiego. Czekano na niego i niedoczekano się. Słusznie podejrzewano go, że nie przyjedzie rozmyślnie. Ponieważ zachodziła obawa, że znudzona długiem oczekiwaniem, starszyzna rozjeżdżać się zacznie, Chitrowo zwołał Radę kozacką i oświadczył, że trzeba przystąpić do wyboru hetmana. Starszyzna i czerń zebrana odpowiedziała na to, że jednogłośnie hetmanem wybrany został przez całe wojsko Jan Wyhowski. Wyszedł Wyhowski, położył buławę i powiedział, że składa urząd hetmański wobec pogłosek, jakoby tego urzędu bardzo pragnął i wybrany został przez przyjaciół tylko. Poczem rozpoczęła się zwykła ceremonia zaprosin. Obożny, sędzia, pułkownicy i cała czerń zebrana jęli przekonywać go i prosić, ażeby urzędu nie składał. Zgodził się na to bez długich deliberacyi i przysiągł na wierność carowi.

Gdy się to działo w Pereasławiu, gdy Wyhowski tak usilnie, ale ze wszystkiemi pozorami bezinteresowności, starał się o utrwalenie za sobą hetmaństwa, opozycya Zaporozka także była czujną. Barabaszenko, który, jak się zdaje, po Homonie objął urząd koszowego, a był jednym z najbardziej niezadowolonych, starał się uspokoić Wyhowskiego, nie bez myśli zapewne zyskania na czasie i doczekania się powrotu posłów zaporozkich z Moskwy. Wyrzekał się wszczynania wszelkich buntów, a całą winę zwalał na hołotę kozacką, na swawolników, z których żaden „nie miał ani samopału, ani chleba, a o odzieży ani mówić". „A my — pisał — kozacy-zimoczaki,[1]) którzy mamy żony, dzieci i majętności po

[1]) Siedzący po tak zwanych zimowikach, osadach stepowych.

miastach, ani myślimy o swawoli". Oświadczał, że zaporożcy „z ochotą poszliby na Lachów", ale „rabować, szarpać i krew przelewać chrześciańską" u siebie, — oni, prawdziwi kozacy, nigdy tego nie uczynią. Nie przeszkadzało to bynajmniej w chwili, gdy to pisał i uspokajał, ostrzyć szablę na „krew chrześciańską" i na ukochanego hetmana, którego zapewniał o wierności i posłuszeństwie. Właśnie posłowie zaporozcy dojeżdżali do Moskwy, Michajło Iwanów z towarzyszami, i w imieniu pełnego pokory wobec Wyhowskiego, hetmana koszowego, Jakóba Barabasza, wieźli bardzo ostre „artykuły". Posłowie oświadczali, że hetman wybrany został bez współudziału i rady wojska zaporozkiego przez pułkowników i starszyznę grodową, a „wojsku zaporozkiemu, czerni dnieprowej i grodowej miłym nie jest". Zarzucano mu, że „wierzyć mu nie można, bo jest Litwinem", że porozumiewa się bez carskiej wiadomości z hanem krymskim, z królami szwedzkimi polskim, z cesarzem tureckim, z Rakoczym wreszcie, że „wolności" odejmuje. Proponowali tedy zwołać nową radę kozacką na Sołonicy pod Łubniami lub w Pereasławiu i innego hetmana obrać. Była to nie tylko skarga na niemiłego sobie hetmana, ale pochylenie się ku myślom i żądaniom moskiewskim, wypowiadanym już i podsuwanym niejednokrotnie: ograniczenia władzy hetmańskiej i silniejszego spojenia Ukrainy z administracyą W. K. Moskiewskiego. Powołując się na to, że Jan Wyhowski, Hrycko Lesiński, Tymosz, namiestnik hadziacki i inni, są „zdrajcami Jego Carskiej Miłości", posłowie prosili o ukaz, któryby nakazywał odsunąć Wyhowskiego od władzy i posłuszeństwa, a do czasu zbadania całej sprawy strzedz ich przez wojsko, na wypadek, gdyby chcieli uciec. Następnie prosili o wojewodów, którzyby ochraniali przed nadużyciem starszyzny, mieszczan i czerni; ażeby wszelkie pobory z kupców, mieszczan, dzierżaw, ściągano na cara, przechowywano w Kijowie i z tych sum wypłacano żołd wojsku zaporozkiemu.

Widocznem było, że rozłam w kozaczyźnie przybiera charakter coraz wyraźniejszy, a ponieważ po ostateczną decyzyę udawano się do Moskwy, nie ulegało żadnej wątpliwości, że Moskwa w swoim interesie państwowym z rozdwojenia skorzysta, bez względu na to, czy Wyhowski pozostanie hetmanem czy nie. Zaznaczyliśmy już poprzednio, że w rozłamie tym zarysowało się dwie grupy: starszyzny, świeżo wyrosłej i wzbogaconej nagle i Zaporoża, stojącego poniekąd na stanowisku obrony materyalnych interesów własnych i czerni — bez względu na polityczną

przyszłość Ukrainy. Z jednej i drugiej strony ambicye osobiste odegrywały nie poślednią rolę. Posłańcy zaporozcy wprost doradzali carowi, ażeby „Iwana Wyhowskiego i jego doradzców zatrzymał w więzieniu“.

Do artykułów podanych przez posłów, trzeba było jeszcze pewnych wyjaśnień. Wysłańcy złożyli je w Poselskim Prykazie. Skarga na „ukrócanie wolności“ brzmiała bardzo dwuznacznie. Zdawałoby się, że kozakom chodzi o jakieś wolności polityczne, że kozaczyzna o te wolności walczy, o nie upomina się. Tymczasem żadna wolność polityczna nie marzyła się nikomu, a jeśli kto do niej dążył, umiał ją sobie wyobrazić, to chyba jeden tylko Wyhowski.

Jak wolność rozumieli kozacy — najlepiej przekonać się można z ich własnych słów. „Gdyśmy byli pod panowaniem królów polskich — mówili w Prykazie, — posiadali wolności wojskowe i tych wolności od nas nie odejmowano, kto z czego żył — tego nie bronili. Gdy przeszli z Chmielnickim pod rękę hosudarską, to hetman nie odejmował także żadnych wolności. Teraz, gdy na hetmaństwo wybrali Wyhowskiego, przyjaciele jego i doradzcy, pułkownik mirhorodzki z towarzyszami, a nie całe wojsko zaporozkie, pułkownicy, będący w związku z Wyhowskim, poczęli wolności kozackie odejmować: zabronili łowić ryby w rzeczkach, gorzałki sprzedawać nie pozwolili — wszystko poszło w dzierżawę“. Zarzucali mu dalej, że osobnych posłów od różnych monarchów i krajów przyjmuje, bez wiedzy hosudarskiej, czego nie wolno było robić za królów polskich. Podnieśli także sprawy wojewodów, z którą wiązała się idea ściślejszego wcielenia kozaczyzny do państwa moskiewskiego. Była ona postrachem, używanym przez zwolenników Wyhowskiego, jako środek agitacyjny. Widzieliśmy już, że posługiwał się nim Hryćko Leśnicki. I teraz posłowie zaporozcy skarżyli się w prykazie na niego, że niezgodę sieje. Niedawny opozycyonista Wyhowskiego i cichy pretendent do buławy hetmańskiej, wkrótce pogodził się z nim i stał się poplecznikiem. Sam Wyhowski niedawno skarżył się na niego przed carem, że czerń buntuje, a teraz na buntowanie patrzył przez palce, gdy rozgadywał na prawo i na lewo, że car pragnie tylko 10.000 kozaków zapisać do rejestru, a resztę w „draguny“ i „sołdaty“ oddać; że wojewodów chce przysłać i dla tego lepiej się odłączyć od cara.

Posłańcy z osobliwą zawziętością atakowali Wyhowskiego i Leśnickiego. Wyhowskiego nie chciano mieć w żaden sposób

hetmanem. Moskwa decydowała się zwołać nową Radę kozacką, ażeby sobie jeszcze raz hetmana wybrali. Widocznie chodziło jej także o to, ażeby Wyhowskiego usunąć. Ale zawsze pokazało się, że on ma za sobą partye silną, z którą opozycya nie mogła wcale walczyć — nawet nie występowała wobec niej. Moskwa na zebranie nowej Rady kozackiej proponowała Kijów. Tam już stała mocniejszą nogą — miała i wojsko i wojewodów. Posłańcy, jak wiemy, proponowali Sołonicę. Bojarowie nie chcieli na to się zgodzić, punkt był dość odległy i nie zapowiadał powodzenia. Zgodzono się wreszcie na Pereasław i wysłano tam Chitrowa.

Wiemy, że na tej Radzie ponownie wybrano Wyhowskiego. Z faktem należało się liczyć i godzić. Widocznie opozycya nie była dość silną, nie wychodziła od mas, ale od jednostek niezadowolonych, których zarzuty przeciwko Wyhowskiemu nie były dość mocne, ażeby upoważnić mogły rząd moskiewski do stanowczego wystąpienia przeciwko niemu, tembardziej, że Wyhowski ze swej strony zapewniał o niezachwianej wierności. Trzeba było przyjąć wybór pereasławski. Wyhowski złożył przysięgę na wierność. Antagonista jego, Puszkar, na Radę nie przyjechał. Ledwie wszakże zakończyły się wybory, przybył od niego goniec do Chitrowo i oświadczył, że Puszkar Rady pereasławskiej nie uznaje za prawowitą, a żąda zwołania nowej Rady do Łubniów. Nadaremnie Chitrowo zapraszał go do siebie. Puszkar nie pojechał. To już był dowód jawnego nieposłuszeństwa. Wiadomość przez gońca otrzymana, że bawią u niego posłańcy Barabasza, Stryndża Michał z towarzyszami, wskazywała na bliższe porozumienie, które groziło wojną domową.

Zanim jeszcze Rada w Pereasławiu zakończyła się, z której wyszedł znowu Wyhowski zwycięzko, w Moskwie snać przewidywano taki koniec, a uznając niejako urzędownie i wybór korsuński, wysłano nowego gońca Ragozina. Miał on misyę na pozór bardzo skromną: zawiadomienie Wyhowskiego o urodzeniu się carówny Zofii, a przy tej sposobności zbadać stan rzeczy. Udał się on wprost do Czehrynia, gdzie Wyhowski przebywał. 17. listopada już był na miejscu, Zastał tam Woronicza, wysłanego z ramienia Bieniewskiego. Po wręczeniu carskiej hramoty, którą Wyhowski nabożnie pocałował, po rozmaitych ceremoniach grzeczności, Wyhowski oświadczył, że przyjechał poseł polski „bez listu" i zaproponował Ragozinowi widzenie się z nim. Goniec odmówił. Hetman tedy sam poinformował go, że Woronicz przyjechał z pro-

pozycyą pokoju z kozakami, a hetman jakoby odpowiedział mu: jeżeli z carem pogodzicie się, wówczas i my wyszlemy swoich posłów do was godzić się, ale poddać się pod waszą rękę nie chcemy. Nie bez umysłu Wyhowski podkreślał te wyrazy i starał się wpoić w Ragozina przekonanie o swojej wierności. Chodziło mu niewątpliwie o to, ażeby stosunkowi z Bieniewskim nadać jak najmniejsze znaczenie, ażeby uwagę od jego osoby odwrócić. Przypomniawszy sobie, że obiecywał carowi Bieniewskiego zatrzymać, mówił, usprawiedliwiając się poniekąd, że mu pozwolił odjechać pod przysięgą, że Polacy nie będą najeżdżać Ukrainy. Ragozin, zwyczajem posłańców moskiewskich, nie bardzo ufając Wyhowskiemu, wypytywał przy sposobności każdego, z kim się zetknął, nie wyłączając nawet pokojowych hetmańskich. Z najbliższego otoczenia hetmana dowiedział się, że Woroniecz siedzi nie dla pokoju, lecz dla namawiania kozaków do oderwania się od Moskwy.

Istotnie, sytuacya była bardzo napięta i lada chwila można było spodziewać się wybuchu; tembardziej, że opozycya przeciwko Wyhowskiemu rosła coraz bardziej, a Ukraina coraz wyraźniej rozpadała się na dwa obozy: prawo-brzeżny — hetmański i lewo-brzeżny — opozycyjny. Cała zręczność Wyhowskiego rozbijała się o stanowczość jednego człowieka, który okazał niesłychaną zawziętość przeciwko hetmanowi i był prawdziwym cierniem w stosunkach Moskwy i kozaczyzny. Człowiekiem tym był Martyn Puszkar, pułkownik połtawski, jeden z pierwszych współpracowników Chmielnickiego. Zanim nastąpił stanowczy rozłam między Wyhowskim, a Puszkarem, hetman kilkakrotnie próbował go przejednać, niby się pogodzić, ale Puszkar snać dobrze znał Wyhowskiego, gdyż się złapać nie dał. Zamiast pogodzić się, zebrał sotników, atamanów i czerń swego pułku na radę i sprawę postawił wyraźnie: komu chcą służyć — czy carowi Aleksiejowi, któremu na wierność krzyż całowali, czy też królowi polskiemu? Wszyscy wypowiedzieli się jasno za służbą carską. Takie oświadczenie się podziałało niewątpliwie stanowczo na dalszą akcyę jego przeciwko Wyhowskiemu. Mając pułk za sobą, był pewny, że pod hasłem wierności carowi, zyska poparcie Moskwy. Jak na nieszczęście Moskwa zajmowała stanowisko wahające się, gdyż Wyhowski umiał ją zręcznie łudzić pozorami niewzruszonej wierności. Tymczasem za plecami bojarów prowadził robotę, zmierzającą przeciwko Moskwie. Nie był jeszcze zdecydowany do stanowczego oderwania się, ale niewątpliwie robił zabiegi na wypadek, gdyby przyłapany został i zmuszony do wystąpienia jawnego. Przede-

wszystkiem tedy uciekł się do wypróbowanych przyjaciół — Tatarów.

Puszkar i Zaporożcy śledzili każdy krok jego. Listy przeto pisywał ostrożnie, a więcej polegał na porozumieniu się ustnem. Przyjaciel jego, Hrycko Leśnicki, pisywał także listy do hana. Zaporożcy wyłapali je i „podejrzewali zdradę“, ale pewności jeszcze nie było. Nie przeszły te porozumiewania się bez skutku.

„Zaraz po Bożem Narodzeniu — pisze kronikarz ruski współczesny — wyszedł z Krymu Karaczbej[1]) z ordami we 40.000 i ruszył pod Czehryń. Zjechał się z Wyhowskim nad Irklejem, na umówionem miejscu i, siedząc na koniach, we dwóch odbyli dwugodzinną konferencyę. Rozmowa była tak tajemną, że nawet żaden z pułkowników obecnym nie był. Dopiero potem Wyhowski zaprosił Karaczbeja wraz z murzami do swego namiotu i tu wspólnie ze starszyzną przysięgli sobie wzajemne braterstwo. Na dobre powodzenie tego nowego sojuszu Wyhowski wydał bankiet przy huku armat i wiwatach. Poczem Karaczbej wrócił do ord swoich, leżących nad Cybulnikiem, a Wyhowski wysłał z nim Romana Harkuszę i Łewka Buta, w obecności których cała orda złożyła przysięgę na braterstwo. Zdaje się, że tylko Wyhowski i Karaczbej wiedzieli, jaki był cel prawdziwy tego sojuszu.

Wyhowski pragnąc go zasłonić pozorami wierności wobec cara, zawiadomił Moskwę o tym sojuszu, oświadczając, że się związał przeciwko Lachom i Puszkarowi. Istotnie zaczął od Puszkara, który, połączywszy się z Zaporożem, coraz zuchwalszą przybierał postawę.

Po Bożem Narodzeniu rozpoczęła się wojna domowa. Hulanicki, z pułkami przyłuckim i czernihowskim podstąpił pod Łubnie, gdzie Puszkarowcy się zamknęli i zdobył je szturmem. Taki sam los spotkał Głuchów, gdzie kilkuset zwolenników Puszkara padło pod szablą kozacką. Następnie sam Wyhowski obległ Hadiacz, gdzie krwawą rozprawę wykonał. Z początku szło mu gładko. Pozostał tylko Puszkar, który w Połtawie zamknął się. Wyhowski próbował jeszcze namówić go do zgody. Posłał tedy do niego namiestnika hadiackiego, Tymosza, z propozycyą ugody, ale Puszkar był nieprzejednany. „Czy nie tak się chce godzić Wyhowski ze mną, jak się godził z braćmi naszymi w Hadiaczu, lepszymi od niego, których pościnać kazał?“ Zaraz tedy kazał Tymosza w kajdany zakuć i odesłał do wojewody w Kołątajowie.

---

[1]) U Wieliczki; Karambej u Samowidca.

Tymczasem Wyhowski ruszył się z Hadiacza do Mirhoroda i tam u przyjaciela swego. Leśnickiego, kilka dni oczekiwał na powrót posłańca — nadaremnie. Dowiedziawszy się. jak sobie postąpił Puszkar, wyprawił. rozgniewany i urażony. przeciwko niemu pod Połtawę swój pułk najemny serbski. a sam, pewny zwycięstwa. do Czehrynia 25. stycznia wyjechał.

Tymczasem Serbowie zbłądziwszy. jak się zdaje. w drodze. poszli na Wielkie Budyszcza. Puszkar zdecydował się uprzedzić Serbów i na spotkanie ich wysłał znanego już nam Jakóba Barabasza, który wyszedłszy z Połtawy na całą noc, nad ranem. za doliną hołtwiańską dosięgnął ich. Właśnie pod Dikanką poczęli gotować „obiad". Napadłszy znienacka, tak nagle uderzył na Serbów, że prawie cały oddziałek zniszczył. Mało co ich uszło do Mirhorodu i przyniosło smutną wiadomość Leśnickiemu. który i sam był w strachu niemałym. jako znany przyjaciel Wyhowskiego.

Puszkar. zachęcony łatwem powodzeniem. począł się sposobić do dalszej walki ze zwolennikami Wyhowskiego — do których należeli pułkownikowie: mirhorodzki — Leśnicki. nieżyński — Hulanicki. łubieński — Paweł Szweć. czernihowski — Onikej Siłycz. przyłuski — Piotr Doroszenko i inni. Sposobiąc się tedy na tę wojnę. Puszkar zebrał kupę winników. browarników. pastuchów i najmitów, cały pułk piechotny, któremu dał nazwę Dejneków.[1]) „Pułk ten — powiada historyk ruski — nie tylko mało miał wspólnego z dobrem chrześciańskiem sumieniem. ale i oręża. zdatnego do wojny, brakło mu: posiadali tylko rohatyny. kosy. koły i serca do rabunku i morderstwa gotowe". Ściągnąwszy tedy swój pułk połtawski, wziąwszy do pomocy Barabasza z garstką zaporożców i swoich Dejneków. wyruszył do Mirhorodu na Leśnickiego. Leśnicki. niepewny wierności swego pułku. cofnął się do Łubniów. a tu go obległ Puszkar. ale nic decydującego nie sprawiwszy, odszedł do Łochwicy. Tu zetknął się z Hulanickim. pułkownikiem nieżyńskim. wysłanym przez Wyhowskiego na Puszkara. ale i pod Łochwicą do decydującej sprawy nie doszło. Zdaje się. że wojsko obu przeciwników nie było zbyt wojowniczo przeciwko sobie usposobione: zapaśnicy ruszyli się tedy w dwie przeciwne strony, wyczekując szczęśliwszego zbiegu okoliczności.

---

[1]) Zbierana drużyna, ludzie „byle jacy" „de ne jaki".

Gdy się to działo 18. marca, przeciwnicy nie zaniedbali już wcześniej wytoczyć swego sporu przed forum bojarskie w Moskwie, szukając podpory w carskich ukazach, a może i wojskach, które patrzyło na te awantury domowe, gotowe, na rozkaz Moskwy, jednej lub drugiej stronie pomagać.

Zanim przyszło do spotkania się pod Dikańką, zaporożcy posłali do Moskwy ze skargą na Wyhowskiego Michała Stryndżę z towarzyszami — skargi to były zwykłe, jednostajne, znane już nam, powtarzać ich przeto nie będziemy. Z poselstwa tego skorzystał Puszkar, ażeby Wyhowskiego przedstawić jak najgorzej. Ostrzegał tylko posłańca, ażeby się nie dał wziąć na piękne słówka hetmana i strzegł się, bo go pilnuje. „Widzimy — pisał — szkodliwą przebiegłość Wyhowskiego wobec cara i wojska zaporozkiego, a przysięgę zdeptaną. Zapomniawszy o Bogu, prawdzie i całowaniu krzyża, chytro zdradza cara i postępuje fałszywie. A my — dodawał — jesteśmy z przyjaźnią i życzliwością dla Carskiego Wieliczestwa“. Wiedział, gdzie te słowa trafią. Puszkar nie zaniedbywał żadnych dróg, ażeby tylko szkodzić Wyhowskiemu. 6-go lutego, po szczęśliwej potyczce pod Dikańką, zawiadomił wojewodę putywlskiego, Grzegorza Zuzina, o pogodzeniu się Wyhowskiego z Polakami i ordą i o zamiarze uderzenia na ratie Jego Wieliczestwa. Była w tem prawda, ale nie było faktów.

Rząd rossyjski znalazł się w położeniu, śród którego nie mógł się na razie zoryentować i na krok stanowczy zdecydować się. Puszkar i Barabasz pisali listy do Moskwy, obwiniając Wyhowskiego o zdradę, trzykrotnie urządzano wybór hetmana i zawsze wychodził Wyhowski, — a tymczasem zaporożcy i Puszkar skarżyli się, że on nie jest „luby“ kozakom, że wybrany nieprawnie, że tylko kilku pułkowników za nim stoi. W gruncie rzeczy ścierało się na Rusi dwa prądy polityczne, dwie kultury państwowe zasadniczo sobie różne:. moskiewska i polska. Zaporoże, reprezentowało swawolę kozacką, z którą Rzpta walczyła długie lata. Szukało ono teraz oparcia się o Moskwę. Stronnictwo zaś Wyhowskiego broniło się przeciwko naciskowi państwowemu Moskwy i w tradycyach związku z Rzptą zaczęło upatrywać zabezpieczenie swojej przyszłości. Nie małą rolę odegrywały tu także ambitne zachcianki ze stron obu. Jednem słowem, jedni i drudzy zasypywali Moskwę skargami i donosami, wprawiając w wir wewnętrzny całą lewobrzeżną Ukrainę.

Puszkar, który dotychczas ograniczał się na insynuacyach przeciwko Wyhowskiemu, wystąpił jawnie z obwinieniem go

o zdradę. 19. lutego 1658 wysłał Piotra Jakowenka z towarzyszami „i bił czołem do ziemi, chłop i sługa, wraz z setnikami, atamanami, z całem towarzystwem, wójtami, burmistrzami. z całem pospólstwem o wielkich nieprawdach Jana Wyhowskiego, Hrycka Leśnickiego i in.“ To już było wypowiedzeniem walki na śmierć i życie. Donosił tedy Puszkar, że Wyhowski porozumiał się z Polakami i Ordą, zaciągnął Wołochów i Serbów. a nad zaciężnymi mianował dowódzcą Bohuna. dawnego pułkownika bracławskiego; że, połączywszy się z Karaczbejem i przysiągłszy sobie w Czehryniu. chce razem z Ordą wyruszyć na zniszczenie Ukrainy. Hryćkowi Leśnickiemu także nie przebaczył: oskarżył go o to, że skupił zaciężne polskie chorągwie i nie przepuścił do Pereasławia posłańców Puszkarowych, pragnących zawiadomić bojarzyna Chitrowo o zdradzie Wyhowskiego.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WYPRAWA GENERAŁA DĄBROWSKIEGO.

W r. 1796 wyszło bezimiennie w języku niemieckim dziełko p. t. *Beiträge zur Geschichte der polnischen Revolution im Jahre 1794*, przypisywane powszechnie jednemu z oficerów sztabu Dąbrowskiego, jako opisujące z doskonałą znajomością rzeczy ruchy korpusu tego generała zaczynając od chwili, gdy wysłany został przez Kościuszkę na poparcie powstania wielkopolskiego, aż do ostatecznego złożenia broni.

Edward Raczyński, odnalazłszy i wydając Pamiętniki Wybickiego, znalazł w nich wskazówkę, że książka owa była dziełem samego Dąbrowskiego, a nawet, że posłużyła za powód do wyzwania go przez Zajączka podczas bytności w Paryżu w chwili formowania się legionów. To też wydał ją Raczyński w Poznaniu w r. 1839 z dodatkiem wyjątku z autobiografii Dąbrowskiego p. t. Wyprawa Generała Jana Henryka Dąbrowskiego do Wielkiej Polski w roku 1794, przez niego samego opisana, w przekładzie polskim.[1]) We wstępie stara się wydawca wytłumaczyć, dla czego Dąbrowski pisał tę pracę po niemiecku.

„Dąbrowski bowiem, — czytamy tu — od młodości wychowany w Saksonii, łatwiej się wysławiał w języku niemieckim, niż w polskim... Zresztą świadectwo Wybickiego potwierdza zupełnie nasz wniosek; mówi on bowiem wyraźnie, iż Dąbrowski dzieło

---

[1]) Widzieliśmy drugie i zdaje się ostatnie wydanie tego dziełka z r. 1842, na Ślązku.

swoje po niemiecku napisał, dodatek zaś na tytule: *„Aus einem polnischen Manuscript"* umieścił tylko dla lepszego utajenia się".

„Podobną jest rzeczą do prawdy, — ciągnie dalej Raczyński — że generał Dąbrowski posiadał i polski przekład wyprawy. Zapewniano nas bowiem, iż rękopism taki znajdował się w zbiorze generała Kosińskiego, przypisany jemu przez autora". [1]

Jakoż istotnie podczas wycieczki dla poszukiwań archiwalnych w Poznańskiem, dotarliśmy, dzięki życzliwej uprzejmości p. Celichowskiego w Kurniku, do rękopisu zatytułowanego: Wyprawa Generała Dąbrowskiego do Wielkopolski od odstąpienia wojsk pruskich od oblężenia Warszawy aż do zupełnego rozejścia się wojsk polskich w r. 1794. Na karcie białej, przedtytułowej znajduje się napis: Amilkar Kosiński. Jest to więc niewątpliwie rękopis, o którym nadmienia ze słyszenia Raczyński, a obecność jego w Kurniku tłumaczy się tem, że Kosiński ostatek dni swoich spędził w Poznaniu i tam umarł: zapewne więc albo sam, albo synowie jego (wydawcy jego korespondencyi), rękopis ten do biblioteki kurnickiej ofiarowali.

Mylnie wszakże poinformowany był Raczyński, gdy sądził, iż jest to polski przekład wymienionego na początku, niemieckiego dziełka. Możnaby go raczej uważać za oryginał, gdyby nie zawierał ów rękopis więcej niż wydanie niemieckie, a przytem inaczej ułożonego materyału. Jest to w istocie obszerny wyciąg z „Księgi rozkazów" Dąbrowskiego, tu i ówdzie zaopatrzony w dodatki wyjaśniające przyczyny i skutki rozkazów danych lub otrzymanych, a poprzedzający oczywiście niemieckie opisanie wyprawy.

Rękopis więc, który obecnie wydajemy, przedstawia dokument historyczny o wiele donioślejszy, niż po niemiecku wydane opisanie wyprawy;

1. dla tego, że zawiera całą korespondencyę urzędową w oryginalnem brzmieniu, gdy przeciwnie w przekładzie polskim niemieckiego dziełka uległy one dwukrotnemu tłumaczeniu:

2. dla tego, że zawiera wiele cennych dokumentów, opuszczonych w niemieckiem wydaniu: należą tu przedewszystkiem listy i rozkazy Kościuszki do Dąbrowskiego.

3. dla tego wreszcie, że niektóre okoliczności zostały pominięte lub zmodyfikowane w wydaniu niemieckiem, co tłumaczyć wypada rozmaitymi względami.

---

[1] l. c. str. VI.—VII.

Najprzód wydanie to było dokonane w zbyt krótkim czasie po wypadkach, które opisuje Wyprawa. Względy więc na żyjące osoby, (zwłaszcza do powstania wielkopolskiego należące), których kompromitować nie chciał wobec rządu pruskiego: na osoby należące do obozu nieprzyjacielskiego lub znajdujące się w niewoli moskiewskiej (jak Kościuszko), wreszcie na cenzurę pruską, kazały być autorowi oględnym, unikać wymieniania nazwisk i t. d. Z drugiej strony wszakże dają się dostrzedz zmiany w tonie, których tą oględnością wytłumaczyć niepodobna.

Należy tu głównie sposób traktowania powstania wielkopolskiego i jego dowódców. Kiedy w ogłoszonym drukiem Przyczynku traktuje je Dąbrowski w sposób lekceważący, niekiedy pogardliwy, co, jak wiemy zkąd inąd, stało się w następstwie przyczyną smutnego rozdwojenia pomiędzy Deputacyą, czynną wobec Dyrektoryatu, a sztabem legionów i najfatalniejsze na bieg sprawy polskiej wywarło wpływy, w raportach i dokumentach oryginalnych oraz w towarzyszącej im opowieści polskiej, jest Dąbrowski pełen najwyższego uznania dla tego ruchu obywatelskiego i jego przedstawicieli.

W raporcie powinnym z Bydgoszczy d. 4. 8-bris czytamy o „godnym ze wszech miar uwielbienia generale Mniewskim“; gdy przeciwnie w wydaniu niemieckiem nietylko nikczemne zachowanie się Szekelego, ale i wspaniałomyślność względem niego Mniewskiego przemilczano. Podobnież w raportach znajdujemy pochwały dla ducha obywatelskiego i dzielności wojskowej milicyi wielkopolskiej: w Przyczynku zamiast tego znajdujemy uszczypliwe przycinki, jak następujący: „Po tej szczęśliwej akcyi nasi panowie Polacy rozumieli, żeśmy już całą Polskę oswobodzili, że nam już Toruń, Grudziądz i Gdańsk bramy otworzyły i t. d.“ [1]) Albo: „Generał postanowił więc cofnąć się, z czego nasi panowie Polacy wcale kontenci nie byli: koniecznie im się chciało Torunia dobyć...“ „Od tego czasu Madaliński się już tak z Dąbrowskim nie zgadzał: ostatni jednak postępował we wszystkiem jak dawniej.“ [2])

---

[1]) Wyprawa Grła Dąbrowskiego, str. 132.

[2]) Str. 142—143. Na str. 145 czytamy: „Madaliński bardzo się gniewał, że generał Dąbrowski (po wzięciu Bydgoszczy) cofać się zamyślał; ostatni odpowiedział mu: „Jeżeli W. Pan rozumiesz, że tu oprzeć się potrafisz, obejmij więc dowództwo“. Z raportu wszakże do Kościuszki z d. 15. września widzimy, iż propozycya ta uczyniona była

„Panowie Insurgenci, — czytamy znowuż w Przyczynku — poprzywłaszczali sobie wysokie stopnie a niektórzy i patenta na nie powyrabiali, tak iż nie było można bardzo brać za złe oficerom z wojska regularnego, że ich trzeba było przymuszać, aby wraz z Insurgentami i pod nimi służbę czynili“.[1])

Dla czego wycieczki te znalazły miejsce w opisaniu wyprawy drukowanem, a przytem w języku obcym, wystawiającem niejako sprawę na widok całej Europy, gdy przeciwnie w rękopisie polskim do druku nie przeznaczonym, gdzie więc swobodnie mógł autor folgować złemu humorowi, ani w raportach do Naczelnika, gdzie, o ile słuszne, stosowniejsze by znalazły miejsce, znajdujemy same pochwały dla Wielkopolan? Jedyna na to odpowiedź, że od czasu pisania owych raportów i relacyj polskich, a przed wydaniem dziełka niemieckiego, zaszły jakieś wypadki, które wykrzywiły nieco perspektywę niedawnej przeszłości w pamięci Dąbrowskiego. Jakie to były wypadki — rzecz bliższego zbadania godna, jeśli zważymy na gorszące niesnaski, które spowodowały później następstwa, tak dla sprawy narodowej niekorzystne.

Nie brak wreszcie w relacyi drukowanej niejasności lub sprzeczności, które obecnie znaleziony rękopis po części wyjaśnia. Tak na str. 149 czytamy: „Zaraz tedy dano rozkaz Bielamowskiemu, natychmiast opuścić tę komendę nieprzyjacielską (t. j. wysłaną przez Szweryna z Poznania), pójść do Pyzdr i ztamtąd zabawiać nieprzyjaciela, ktory z Poznania wyszedł“ (kolumnę Szweryna). O kilka wierszy zaś dalej (str. 150) znajdujemy: „W tej okoliczności chybił Bielamowski, iż zamiast na Konin ku nam się cofać, na Pyzdry poszedł i bez potrzeby kommunikacyę z nami stracił“. Nie znajdujemy wprawdzie odpowiedniego rozkazu Dąbrowskiego w rękopisie, który podajemy do druku: lecz skoro sam o nim wspomina, dla czegoż o kilka wierszy później składa odpowiedzialność na Bielamowskiego za jego odcięcie od korpusu?

Są wszakże ustępy w pamiętniku drukowanym, które, zdaje się, świadomie rozmijają się z prawdą. Do takich należy relacya o zachowaniu się Dąbrowskiego wobec ataków Józefa Poniato-

---

przez Dąbrowskiego 14. września (nie zaś w miesiąc później) i że miał „tylko dobro publiczne na względzie“, tj. chciał ustąpić Madalińskiemu, jako starszemu, ale „on tej ofiary nie przyjął, lecz wspólnie urządzać będziemy“.

[1]) l. c. str. 96.

wskiego na Kamionnę. Na str. 99 rzuca Dąbrowski insynujące pytania: „Szekelego trzeba było uprzątnąć, aby się stać panami Noteci i Wisły i zarazem otworzyć komunikacyę z Warszawą, którą ks. Poniatowski według umowy z Naczelnikiem utrzymywać i aż do Gombinia się miał posunąć: dla czego to nie nastąpiło, dla czego komunikacya przerwana została, dla czego się Prusacy a nie Polacy w Kamionnie okopali, dla czego, tak, jak generał Dąbrowski był żądał, wojska polskie do Gombinia nie wkroczyły, tu poszukiwać nie należy“.

Jeśli wszakże stało się tak wskutek opieszałości Poniatowskiego, (jak każe domyślać się Przyczynek) to nie zaniechał generał ten wszelkich usiłowań (stosując się do rozkazu Najwyższego Naczelnika Wawrzeckiego i Rady), aby Kamionnę odzyskać. W tym celu nie tylko sam prosi o pomoc Dąbrowskiego, (ob. niżej list jego pod datą 22. października), ale i parokrotnie mu to samo Wawrzecki nakazuje (rozkazy pod datą 17. i 23. październ. W ostatnim czytamy: „Wykonanie tego ordynansu seryo zalecam“). Poniatowski zaś z wszelką pewnością oczekuje pomocy jego, pisząc (22. paźdz.):

„Jeżeli już nie będę mógł od Ciebie, Generale, na ten list odebrać odpowiedzi, tedy atak ten dzisiaj uskutecznię, t. j. o godz. 4 z północy“.

Dla czegoż nie współdziałał Dąbrowski w tym ataku, który tak stanowczo Rada Najwyższa nakazała, do którego tak wielkie przywiązywała znaczenie, że „wielką nagrodę temu korpusowi przyrzekła, któryby Bzurę z nieprzyjaciela oczyścił i komunikacyę z Wielką Polską otworzył?“ Na pytanie to inaczej odpowiada relacya drukowana, inaczej dokumenta, które obecnie ogłaszamy.

W pierwszej czytamy: „W czasie marszu (do Złowa, 22. października) przybył kuryer z Warszawy z doniesieniem, że ks. Poniatowski powtórny odebrał rozkaz wzięcia Kamionny i Sochaczewa: zarazem wręczono generałowi list od tegoż księcia, w którym mu udzielił planu, podług którego on, t. j. generał Poniatowski, zamyślał rozkaz ów wykonać i w którym proponował generałowi Dąbrowskiemu atak na Kamionnę. Lecz generał nasz odpowiedział natychmiast księciu, iż on nie tylko dla tego, że wiele jeńców i mnóstwo bagaży z sobą prowadzi, ale nawet dokoła nieprzyjacielem jest otoczony, z którym jego forpoczty już szarmyclują, na żaden sposób okopów nieprzyjacielskich atakować nie może, że w takiej wyprawie nie tylko mógłby między dwa ognie się dostać,

ale nawet całą zdobycz utracić i zagrodzić sobie przejście przez Bzurę.“ [1])

Nie znajdujemy znowuż wśród dokumentów wymienionej tu odpowiedzi: natomiast cały szereg wskazówek o odmiennych świadczących zamiarach. W liście do Madalińskiego, pod datą 21. października, czytamy: „Posłałem obywatela Miaskowskiego do ks. Józefa, który w Dębinie stać ma, z oświadczeniem, że 23-go z rana Kamionnę atakować będę, aby on także z swej strony atakował“, a w tym celu poleca Madalińskiemu zająć Kiernozię, aby mu tył zasłonił. Na dzień więc przed otrzymaniem powyżej wymienionego rozkazu od Wawrzeckiego i listu od Poniatowskiego, zamierzał sam Dąbrowski atakować Kamionnę: toż samo potwierdza w liście do Madalińskiego, pod datą 22. paźdz.: „Już otrzymałem wiadomość od ks. Józefa, który stoi na tamtej stronie Bzury: mam z nim łącznie atakować Kamionnę, która dobrze okopana być ma. Przed wsią Mistrzewicami jest dobra przeprawa, przez którą cały bagaż na tamtą stronę przeprawić chcę. Potrzeba więc, aby generał z korpusem swoim jak najspieszniej pod Mistrzewice maszerował, gdzie przeprawę bagażów i niewolników asekurować możesz, jako też sukkurs, którýby z Łowicza do Kamionny szedł wstrzymać... Jutro o godz. 4-ej ma być rozpoczęty atak... Ja na całą noc idę pod Kamionnę“. Było to pisane w Iłowie, a więc wieczorem 22-go, na parę godzin przed zamierzonym atakiem. Dla czegoż zamiast na Kamionnę cały korpus „o 12-ej w nocy, w największej cichości“ wyruszył ku Mistrzowicom i przeszedł przez Bzurę, a zamiast nieść pomoc Poniatowskiemu i wziąć z tyłu flesze, które z przodu były niedostępne (jak prosił o to ks. Józef), posłane ku Kamionnej drobne oddziały kawaleryi, ściągnęły tam cały korpus Szweryna? „Generał Poniatowski równo ze dniem atakował Sochaczew i Kamionnę: słyszeliśmy z daleka tę kanonadę i wkrótce nadszedł raport forpocztów, że obóz nieprzyjacielski, który stał pod Kirnozią, jest w zupełnem poruszeniu ku Iłowu. Maszerowaliśmy w porządku i cicho: około 7-ej z rana 23. paźdz. przybyliśmy nad Bzurę, którąśmy pod Mistrzewicami naprzeciw Brochowa w bród przeszli i równolegle z rzeką w szyku bojowym stanęli: nasze zaś poboczne oddziały i tylna straż zaprowadziły nieprzyjaciela przez Iłów w istocie do Kamionny.“ [2])

---

[1]) l. c. str. 157.

[2]) l. c. str. 159—160.

Czy obawą odcięcia od Bzury (jak to tłumaczy Dąbrowski w raporcie powinnym Wawrzeckiemu), usprawiedliwiała taką nagłą zmianę planu i narażenie Poniatowskiego na bezowocny atak? Czy nie mógłby Dąbrowski zapewnić sobie komunikacyi z Warszawą, współdziałając z Poniatowskim, wyrzucając Prusaków z Kamionny i Sochaczewa a przeprawiając tylko bagaże i jeńców pod Mistrzowicami, mając tył osłonięty przez korpus Madalińskiego, jak pierwotnie zamierzał? Wszakże nieprzyjaciel dopiero o świcie wyruszył z Kiernozi, a 6 mil oddzielało go od Kamionnej w tej chwili, kiedy tam już atak był rozpoczęty! Ważną zapewne było rzeczą bezpieczeństwo korpusu: ale jakże ciężką ofiarą dla powstania — opuszczenie całej Wielko-Polski, świeżo opanowanej, pełnej zapału i zasobów.

Pozostawiamy rozwiązanie tych pytań i osądzenie kroków, tym, którzy mają więcej kompetencyi w sprawach wojskowych, a których dalsze badania w dokładniejsze zaopatrzą dokumenta. Wszakże sam fakt rozdźwięku pomiędzy opowieścią Dąbrowskiego a dokumentami, niewątpliwymi, które pamięci jego dopomódz mogły, zostaje niewątpliwym.

Nie najmniej doniosłą stroną korespondencyi oryginalnej, którą niżej podajemy, jest charakterystyka osób oraz ich stosunków wzajemnych, jaskrawie występujących w listach i raportach. Niezwykle sympatycznie i dzielnie pzzedstawia się major Bielamowski: w listach Madalińskiego nie dostrzegliśmy owego oziębienia stosunków, o jakiem nadmienia Dąbrowski. Ale szczególniej ciekawą jest charakterystyka, nader ujemna, Szekelego i króla pruskiego, wynikająca z przejętej przez Dąbrowskiego ich korespondencyi oraz z późniejszego zachowania się Szekelego w niewoli, o którem szczegóły (pominięte w drukowanej relacyi) znajdujemy w raporcie powinnym, Kościuszce złożonym. Nizki charakter tego służalca-despoty, zarówno nikczemnie-tchórzliwego wobec grozy kary, jak przedtem podle-okrutnego, znęcającego się nad jeńcami, gdy się czuł silnym, w niewoli pokornego, drżącego z obawy, a głaszcząc się przed dobroczyńcą swym, Dąbrowskim, jeszcze w ostatniej chwili usiłującego go oszukać, występuje na jaw w całej nagości w raporcie do króla swego, w którym służalczość współubiega się z chełpliwością, okrucieństwem. Godnym jego kompanem jest i król pruski, wielokrotny wiarołomca, gdy słudze swemu taką daje radę: „Jeżeli przez trwogę śmierci, któraście aresztowane nabawili kobiety, tego dokażecie, że Wielko-

polska insurekcya broń swoją w wasze ręce złoży, bardzo mi to miło będzie".

Tych listów oczywiście nie mógł Dąbrowski w 1796 r. wydrukować. Pominął również o zrabowaniu przez Szweryna Żerkowa z wsiami przyległemi: Morszewą, Panienką i Starostwem szemskiem, z tradycyjną pruską dzikością dokonanem, o którem Bielamowski donosi i wzmiankę o tchórzliwości Prusaków, którą znajdujemy w raporcie Sokolnickiego, 18. paźdz. Jakże wobec tej brutalności pięknie odbija wspaniałomyślność naszych dowódców, łagodność i obywatelstwo naszego żołnierza!

Listy Kościuszki tchną zwykłą w nich dobrocią i miłością ojczyzny nad wszystkiem górującą: ton ich nie Naczelnika, ale przyjaciela i towarzysza broni maluje.

Wogóle całość tych dokumentów ma się do drukowanej relacyi, jak żywy i barwny obraz do suchego sprawozdania.

Pod względem zewnętrznym (układu) rękopis składa się z trzech odmiennych części, świadczących o powstaniu pierwotnego planu i jego stopniowem rozszerzeniu. Pierwotnym zamiarem autora było widocznie opisanie samej wyprawy do Wielko-Polski. Napisał więc treściwą o niej relacyę i dołączył to, co nazywają Francuzi *„pièces justificatives"*, czyli właściwą część swej księgi rozkazów. Może odczytał to komuś z przyjaciół i poradzono Dąbrowskiemu, aby doprowadził opowieść do końca a dokumenta wcielił w opowiadanie. W ten sposób powstała druga część opowieści od przejścia przez Bzurę do zupełnego rozejścia się wojsk polskich, w której opowieść przeplata się z rzadszymi względnie dokumentami. Przy opracowaniu zaś w języku niemieckim, Dąbrowski spoił oba odłamy części 1-ej, przeplatając opowieść dokumentami (na wzór 2-giej części) i opuszczając z nich bardzo wiele: drugą część zaś tłumaczył po prostu na niemiecki język, opuszczając tu i ówdzie nazwiska lub mniejsze ustępy, o ile tego okoliczności i oszczędzanie żyjących jeszcze osób wymagały.

Licząc się z tą różnorodnością układu, podzieliliśmy cały rękopis na trzy części: pierwszą zatytułowaliśmy: Relacya z wyprawy do Wielkopolski; druga obejmuje dotyczące tej wyprawy Dokumenta, — nie potrzebujemy tłumaczyć, że ta jest najważniejszą: trzecią nazwaliśmy Rozprzężeniem — ujawnia się w niej bowiem dosadnie rozprzężenie armii i całej organizacyi powstańczej po wzięciu Kościuszki. Powaga jego osobista, jego znajomość sztuki i talent wojskowy utrzymywały w harmonii i posłuszeństwie wolę wszystkich generałów. Nie mógł tego

dokazać Wawrzecki ani Rada Najwyższa. Ujawnia się rywalizacya generałów; każdy z dowódców chce działać na własną rękę, nie słuchają rozkazów Rady: objawiają niezadowolenie i nieufność, aż wieści o wzięciu Warszawy i okrucieństwach przy rzezi Pragi dokonywują demoralizacyi wojska, które rozbiega się stopniowo na różne strony, udaremniając plan Dąbrowskiego — przebicia się do Francyi, plan, który, jeśli zważymy, że właśnie w październiku Komitet Ocalenia postanowił czynnie popierać Polskę, mógłby dokonać więcej i w innej formie niż to legiony uczyniły.

W. M. Kozłowski.

Wyprawa generała Dąbrowskiego do Wielkopolski od odstąpienia wojsk pruskich od oblężenia Warszawy, aż do zupełnego rozejścia się wojsk polskich w r. 1794.

CZĘŚĆ I.

Relacya z wyprawy do Wielkopolski.

Po odstąpieniu od oblężenia Warszawy wojsk pruskich i rossyjskich, odebrałem w d. 9. września r. b. ordynans Naczelnika Kościuszki, ażebym natychmiast z powierzonem mi wojskiem, przeszedłszy w najdogodniejszem miejscu rzekę Bzurę, wkraczał do Wielkopolski: tam złączywszy się z zebranymi tejże prowincyi korpusami, odebrał nad nimi najwyższą komendę i starał się jak najusilniej gnębić z najechanej i przywłaszczonej sobie ziemi nieprzyjaciela. Co wszystko w tym sposobie uskuteczniłem.

Przed wkroczeniem do Wielkopolski przeszedłem rzekę Bzurę pomiędzy Sochaczewem a Wisłą. Posterunki pruskie tam rozciągnione zniosłem, gdzie 2 oficerów i 80 gemajnów w niewolę zabrałem. Liczne tam magazyny mąki, soli, owsa wpadły w nasze ręce, z których jedne, w Pieczyskach znajdujące się, przy nieprzyjaciela obronie zdobyte, przez niebaczność spalone zostały.

Generał Madaliński, który tylko w 600 jazdy brygady swojej za mną ruszył, maszerował na lewej mojej stronie, częścią ku Sochaczewu, Łowiczu i Łęczycy, na prawej, po nad Wisłą, część brygady mojej. Ja zaś z korpusem na Gąbin, Kłodawę ku Pozna-

niowi ruszyłem, mając przed sobą generała-majora Schweryna, po lewej stronie generała-lieutenanta Schweryna, a po prawej pułkownika de Szekeli, podówczas z korpusem swym w Inowrocławiu stojącego.

W tym marszu dowiedziałem się o porażce znacznej części powstania Wielkopolski nad Wartą, pomiędzy Kołem i Koninem, przez korpus gen.-maj. Schweryna, który (że ich z armatami i piechotą atakował) przymusił ich w porządnej rajteradzie obadwa te opuścić miejsca. — Jeden tylko wprawdzie marsz dla złączenia się z nimi do Koła uczynić miałem, lecz dla tem prędszego dania im sukursu, wsadziłem 300 piechoty na Powązki z 2 armatami i pod komendą gen. Rymkiewicza do Koła posłałem – o czem tam prawie napierający się już Schweryn uwiadomiony, bez żadnego wystrzału opuścił te miejsca i ku Poznaniowi cofnął się.

Złączyłem się więc z tą częścią powstania i przeszedłem pod Kołem i Koninem Wartę. — W Słupcy 4 mile od Gniezna a 8 od Poznania, złączyłem się także z gen. Madalińskim, z znaczną częścią brygady mojej, poznańskiem, kaliskiem i gnieźnieńskiem powstaniem, zregulowałem ile możności ten korpus, w którym wojewodowie, kasztelanowie innych dostojeństw, wielu orderów kawalerowie jako wodzowie swych województw i powiatów, nie mogąc wszyscy pierwszego posiadać stopnia, w szeregu (towarzysza ba raczej nieustraszonego wolności żołnierza) pełnili powinności.

Powstanie Wielkopolski ledwie 4.000 ludzi nieregularnych miało, a kawalerya ich, lubo na dobrych koniach, lecz źle uzbrojona była, miałem więc przeszło 6.000 ludzi, a Madaliński 600 jazdy brygady, a nie 18.000 prócz Madalińskiego, jak gazety twierdziły.

Po takowej organizacyi maszerowałem w 3 kolumnach do Gniezna. Ztamtąd wysłałem 200 koni ku Poznaniowi, dla zrobienia myśli nieprzyjacielowi, iż Poznań atakować będę i 3 dni go w tem utrzymywałem mniemaniu, ale nie mając nic więcej, jak 2.400 ludzi regularnych, między którymi tylko 1.400 piechoty liczyłem i 16 sztuk armat małego kalibru, z przyzwoitą powinnością nie mogłem atakować Poznania: i tak 100 strzelców z 2 armatami dałem gen. Madalińskiemu, który szedł do Trzemeszna i Barcina nad Notecią. Ja zaś na Łabiszyn, w celu spotkania się z pułkownikiem de Szekeli w Bydgoszczy lub w Inowrocławiu. — Gen. Madaliński pierwej doszedł Łabiszyna. Posterunek nieprzyjacielski

tam znajdujący się zniósł, podobnież jak w Barcinie. gdzie w tych obudwóch miejscach 2 oficerów i 40 gemajnów w niewolę zabrał. Po tak nagłym marszu, chciałem wprawdzie w Łabiszynie odpocząć i tym końcem w mieście i na przedmieściu powstanie Wielkopolski rozlokowałem, a obóz pod miastem rozłożyłem. W nocy około godz. 12 napadł na nas niespodzianie pułkow. de Szekeli, z armat atak rozpoczął. czem najwięcej zastraszył wolnego żołnierza. a ile dokładnie wiadomy pozycyi, zyskiwał z początku dogodne miejsce. gdzie ja w 300 koni brygady mojej wpadłszy na piechotę nieprzyjacielską. tak ją zmieszałem, że nie mogąc się oprzeć kawaleryi mojej. która proporce w trupach zostawiała. zaczęła się rejterować. tym więc sposobem otworzyłem miejsce szykującej się piechocie mojej z armatami. gdzie ledwo na 30 kroków, gdy przyszło do ręcznego ognia, niektórzy się bagnetem koląc, spędzili z zyskownej pozycyi nieprzyjaciela i do nagłej rejterady do Bydgoszczy przymusili. Zostawił na placu nieprzyjaciel 1 oficera i 23 gemajnów. wiele bardzo rannych i ubitych koni. Pułkownik Heinrychs mocno był ranny, a pod pułkownikiem de Szekeli konia ubito. Z naszej strony 7 zabitych, 9 rannych i blisko 30 koni bagnetami skłótych, z których 10 do użycia niezdatnych. Największa strata majora Jarząbkowskiego, z regimentu 13, który z dystynkcyą pełniąc powinność, ranny umarł. Po odparciu w największym pospiechu rejterował się de Szekeli do Bydgoszczy, na którego ściganie dla zbyt ciemnej nocy nie mogłem ryzykować żołnierza mego. ale nazajutrz równo ze dniem w 800 koni kawaleryi, wysłałem za nim gen.-maj. Rymkiewicza. który już go dojść nie mógł w marszu. ale na miejscu w Bydgoszczy zastał: o tem mi raport uczynił.

Cały ten dzień odpocząwszy. pomaszerowałem do Bydgoszczy, miasta mil 4 od Łabiszyna odległego. Rano o godz. 6 nazajutrz stanąłem uszykowany pod Bydgoszczą, a po kilkokrotnym wystrzale z armat, posłałem do miasta z propozycyą kapitulacyi. lecz po danej nieprzyzwoitej odpowiedzi de Szekelego. połowę mojej piechoty do szturmu wysłałem, drugą połowę w rezerwie zostawiwszy. Blisko dwie godziny mężnie bronił się garnizon bydgoski, po którym upłynionym czasie, ujrzeliśmy się panami miasta — Pułkownik de Szekeli ranny kulą armatnią w lewą nogę. dostał się w niewolę, niemniej 2 razy ranny pułkownik Witlon, 1 major, 18 oficerów, 20 podoficerów i 372 gemajnów; na placu legło 100, rannych 50. Z naszej strony 25 zabitych. 30 rannych. Po tamtej stronie miasta stał korpus pułkownika de

Szekeli, ale gdy widział napierających się republikanów do miasta, umykał spiesznie do Grudziądza, gdzie Wisłę pod Fordonem przebył.

Bydgoszcz jest całkiem murowane miasto. Brda płynąc przez nie dzieli je na 2 części, niema więc dogodniejszego przebycia Brdy, jak dwa mosty w mieście znajdujące się, przez które gen. Madaliński z brygadą swoją i Rzewuskiego przeszedłszy, ścigał uciekającego nieprzyjaciela, ale nie mogąc go już dopędzić, powrócił, wiele przyprowadziwszy brańców. Ofiarując kapitulacyę, kazałem był powiedzieć pułk. de Szekeli, że jeżeli się nie podda i miasta, przymuszonym będę chwycić się jego sposobu, to jest każę je zrabować i spalić. Przeciwnie, nie dotrzymałem mego słowa. — Udałem się do miasta. Domy znalazłem pozamykane. Obojej płci mieszkańcy niezmierny czynili krzyk i narzekanie, prosząc o życie i miłosierdzie. W tym razie dały się słyszeć z niektórych domów wystrzały, które natychmiast kazałem pootwierać z ostrzeżeniem: Iż, jeżeli który dom zamknięty będzie, rabunkowi podpadnie. Żołnierze nasi kontenci z zwycięstwa, nie myśleli o rabunkach, co mnie najwięcej cieszyło. Upewnieni o swem bezpieczeństwie obywatele, wychodząc z domów, częstowali żołnierzy naszych. Ażeby jednak z przyczyny uczęstowania nie działy się jakowe przestępstwa, na pierwszy dany z rozkazu mego do wymarszu odgłos, w zwykłym stanęli porządku, i tak na prawym brzegu Brdy rozłożyłem obóz, 300 ludzi z rezerwy na garnizon przeznaczywszy. — Pułkownik de Szekeli w bliskiej ulicy mostu, między innymi rannymi i zabitymi leżał i najprzód przez kosyniera, a potem majora Zabłockiego, proponującego poddanie miasta, poznany został. Poznał nawzajem go de Szekeli i prosił o przebaczenie i życie. „Oboje byłby otrzymał, nie prosząc o nie" — odpowiedział mu, i mimo wszystkich okrucieństw, które w tamtej dopełniał okolicy i nieprzyzwoitej odpowiedzi, danej majorowi Zabłockiemu, zaprowadzony do pobliższego domu i przyzwoicie opatrzony został.

Odwiedziłem wszystkich niewolników, szczególniej pułkown. de Szekeli, który życzył sobie widzieć się ze mną. Widzeniem mojem był mocno poruszony, bojąc się o życie i wyrządzenie jakowej krzywdy. Prosił mnie o pieniądze i dałem mu 54 zł. Powtórnie, bym się chciał z nim widzieć, żądał. Chwalił moje obchodzenie się tak z obywatelami, jak z wojskowymi. Darował mi 6 koni jezdnych, których ani nie odebrałem, ani się u sukcesorów nie upominałem. Przestrzegał mnie, bym się dalej nie po-

suwał, ponieważ korpus z Pomorza i Brandeburgii na zniszczenie mnie maszerować miał. — Wezwany doktor nie tuszył mu długiego życia, i tak dnia 4-go umarł, przy asystencyi całego batalionu i trzykrotnym wystrzale z armat, pochowanym został.

Będąc panem części Noteci i Wisły od Świecia aż do Tokar naprzeciw Płocka, gdzie podług umowy z Naczelnikiem Kościuszką, korpus ks. Poniatowskiego do Gąbina posunąć się miał i komunikacyę ze mną utrzymywać, zkąd dla pomyślniejszej operacyi mojej znaczne otrzymać miałem pułki, myślałem o wzięciu Torunia, a dla pewniejszego skutku posterunki w Świeciu, Nakle, Żminie, Łabiszynie i Inowrocławiu z kawaleryi a do Włocławka pół brygady mojej dla obserwacyi nieprzyjaciela w Poznaniu będącego, wysłałem. — Te wszystkie posterunki, 4 mile na okół Bydgoszczy od tego miałem, aby pomniejsze przed sobą miały komendy: pewien więc byłem, że 4 dniami wprzódy o wyruszeniu nieprzyjaciela uwiadomiony będę; do czego przejmowanie poczty, sztafety i szpiegi bardzo mi pomocne były.

Toruń leży przy prawym brzegu Wisły i ztąd tylko łatwy do atakowania. Kazałem przeto wszystkie statki i ludzi do przewozu zdatnych spędzić i tak w dwóch kolumnach pod Fordunem i Szolcem przebyłem Wisłę. Pod wieczór 3-go dnia marszu mego stanąłem obozem milę od Torunia, abym równo ze dniem rozpoczął atak: dla większego bezpieczeństwa posłałem na lewy brzeg Wisły do Podgórza komendę strzelców i z kawaleryi złożoną, która po tamtej stronie pilnowała; gdy już wszystko w pogotowiu było, pewną odebrałem wiadomość, że sukurs Toruniowi nadciągnął. Nie mogłem się wprawdzie pomyślnosci spodziewać, bo siła moja dla pozostałego garnizonu w Bydgoszczy i straży niewolników zmniejszona, nie więcej 1.000 głów piechoty wynosiła. W nieodmiennej atoli trwając myśli, przeprawionym przez Wisłę komendom około Grudziądza, Chełmna i Chełmży nad Drwęcą krążyć kazałem; gdzie jedna komenda moja oficera i 30 huzarów Wittemberga w niewolę zabrała, tak tedy i z drugiej strony Wisły pewnym będąc, nie mogłem sobie inaczej wnosić, jak tylko, że z Płocka do Torunia korpus nieprzyjacielski nadszedł. Że byłem mych układów pewny, nie przestałem myśleć o ataku Torunia: aliżci w tym razie dał się słyszeć ręczny ogień z prawej strony. Po dostatecznem rozważaniu był to na drugiej stronie Wisły. A przez raporta potwierdzono, że z Łowicza, czyli Łęczycy korpus pułkownika Ledywarego nadciągnąwszy około Podgórza, na-

przeciw Torunia stanął i może tam znajdujące się komendy napadłszy, część ich zniósł a reszta się do Szolca zrejterowała, w tym samym niledwie czasie odebrałem z Włocławka raport, że korpus z Poznania maszeruje i że posterunki koło Łabiszyna rejterują się. — To wszystko przymusiło mnie ataku Torunia zaniechać i znowu przez Wisłę do Bydgoszczy powrócić, a dla bezpieczniejszej przeprawy natychmiast 200 piechoty z 4 armatami i 400 kawaleryi posłałem przez Wisłę pod Solec, by po tamtej stronie aż do Torunia obserwowali nieprzyjaciela, a z tej strony do alarmowania Torunia 200 strzelców i Madalińskiego brygadę wysłałem; i z tej to przyczyny korpus nieprzyjacielski na Podgórzu stojący w znacznej części do Torunia przez most wszedł. Ja zaś w tym razie, podobnym pierwszemu sposobem, powróciłem do Bydgoszczy, rozkazałem pozostałym komendom ciągnąć za mną i w nocy Wisłę pod Fordonem przebyć. Nieprzyjaciel opieszale szedł za nami, nie straciłem żadnego żołnierza. Lecz 5 dni, które na niepotrzebnych marszach strawiłem, ledwie na potem o moment złego nie sprawiły skutku, w Bydgoszczy dowiedziałem się o utracie komunikacyi z Warszawą; o pobiciu i wzięciu w niewolę Naczelnika, o wymarszu z Poznania na zniesienie mnie, gen. Schweryna i Elsnera; o zbliżającym się korpusie z Pomorza i Brandeburgii, o wymarszu z okolic Rawy gen.-lieut. Schweryna dla oddzielenia mnie od Bzury.

Po tylu odebranych wiadomościach nie miałem wprawdzie opuścić mojej pozycyi, bo nie mogłem się nigdy tego spodziewać, iżby korpus ks. Poniatowskiego od Bzury się oddalił, a tem mniej o wzięciu Naczelnika. — Od komend moich z Łabiszyna, Pakości, Strzelna, odebrałem raporta o wymarszu nieprzyjaciela z Poznania, na którego wstrzymanie 400 koni brygady mojej, pod komendą Bielamowskiego majora, w okolice Gniezna wysłałem, który w marszu będącego nieprzyjaciela w Koninie zastał; rozumiejąc Schweryn, że to jest awantgarda mego korpusu, ku Poznaniowi około Szremu i Pyzdr przez Wartę cofnął się.

Po odebranym takim raporcie od Bielamowskiego, sądziłem za najdogodniejszy sposób opuścić na czas niejaki Bydgoszcz i tak się postawić, aby mi Ledywary z Podgórza łącznie z garnizonem toruńskim w tył nie wszedł, ile że Schweryn przeszedłszy Wartę, całkiem mnie od Warszawy odciąć mógł.

Przybyły kuryer z Warszawy zapewnił mnie, iż wszystkie komunikacye przecięte. Że ks. Poniatowski opuścił Bzurę, a nieprzyjaciel mocno się w Sochaczewie i Kamionnie szańcuje i wzma-

cnia. — Naczelnik pisał o porażeniu Sierakowskiego nad Bugiem przez Moskali i ku Wiśle zbliżać mi się kazał, nie wiedząc jeszcze o porażeniu i wzięciu de Szekeli w Bydgoszczy, myśląc, iż około Poznania jestem.

Aby więc Ledywary z Torunia nie postawił się między Wisłą i Notecią lub Wartą, nim go dwoma dniami uprzedzić miałem, posłałem w tym celu brygadę Madalińskiego z 200 strzelcami w las ku Podgórzowi, aby tenże wokoło obsadzili tak, iżby nikt przejść nie mógł.

Po przejściu wszystkich posterunków do Inowrocławia, wszystkie tam mosty na Noteci spalić kazałem. — Część kawaleryi zostawiwszy w Bydgoszczy, z kolumną ruszyłem nadchodzącego dnia do Kaczkowa w równej linii z Toruniem, zabrawszy niewolników, których liczba przeszło 400 wynosiła, prowiantowych i polowych wozów 200, skład sukna na 4 000 ludzi dostarczający i wiele innych rekwizytów wojskowych, co niezmierny czyniło bagaż, w marszu będąc, stojącego w Podgórzu nieprzyjaciela strzelcom i kawaleryi atakować kazałem; ten myśląc, iż przez cały korpus atakowany, wszedł do Torunia i z drugiej strony pod miastem postawił się. Tak tedy złudziwszy pułkownika Ledywarego, drugiego dnia marszu mego bez najmniejszej przeszkody, ujrzałem się być o 3 mile od Włocławka blizko Wisły; do dwóch dni przednie moje straże pod Bydgoszczą zostawiwszy i pod Toruniem.

Tym więc sposobem oszukany Ledywary nie śmiał tylnych moich straży zaczepiać. W tym marszu słyszano mocne z armat i broni ręcznej strzelanie; zastanowiło to mnie niemało, by strzelcy moi pod Podgórzem będący, tak daleko się z nieprzyjacielem nie wdali. W tym celu dla powzięcia wiadomości do Podgórza posłałem, ale ztamtąd doniesiono mi, iż przyczyny nie wiedzą. Dopiero dezerter zapewnił mię, iż z przyczyny pojmania Naczelnika przez Moskali i pobicia jego, strzelano. Co i szpieg, powróciwszy z Torunia, potwierdził. — Nic mnie to atoli nie odwracało od mego zamiaru, w nadziei, iż te niepomyślne nowiny potwierdzonemi nie będą. Przybył do Włocławka Molski, major brygady mojej, którego po wzięciu Bydgoszczy kuryerem wysłałem do Warszawy; ten potwierdził nader smutną dla mnie wiadomość. Przywiózł mi patent generała-lieutenanta i piękny bardzo pałasz za szczęśliwą czynność. — W tym nieledwie czasie stanął obywatel Miaskowski kuryerem z pod Gniezna do Warszawy wysłany, który przedzierając się przez wszystkie posterunki nieprzy-

jacielskie, potwierdził wszystko i dokładną przyniósł wiadomość o mocnem czuwaniu na mnie nieprzyjaciela. — Odebrałem od Rady Najwyższej i obranego tymczasowo komendanta wojsk gen.-lieut. Zajączka proklamacyę do wojska, która natychmiast przy befelu ogłoszoną była.

Wysłałem niezwłocznie napowrót tegoż obywatela Miaskowskiego, światłego człowieka, do Warszawy z ustnem doniesieniem o położeniu mojem, a w przeciągu tego czasu maszerowałem do Gąbina, Madaliński zaś, któremu 20 strzelców dałem, na Gostynin, Szczawin do Kiernozi. Stanąwszy w Gąbinie, chciałem czekać na sukurs lub zrobienie komunikacyi przez Bzurę, potem uderzyć na Ledywarego i znowu do Wielkopolski wcisnąć się. Wysłałem mocne patrole, wszystkie upewniły mnie o stojącym blizko nieprzyjacielu. Madaliński około Śleczyna wziął 10 ludzi w niewolę, patrol mojej komendy przyprowadził porucznika Lindenau z regimentu pieszego Frankenberga, który stał w Kamionny, wysłany był dla spędzenia robotnika. — Krótko mówiąc, byłem wokoło otoczony cztery razy liczniejszym nieprzyjacielem.

Neyman, pułkownik powstania Wielkopolskiego, powrócił z wiadomością, iż ks. Poniatowski atakował Kamionnę i Sochaczew bezskutecznie, oraz przywiózł na piśmie, że książę ma ordynans, nie zważając na stratę ludzi, koniecznie Bzurę z nieprzyjaciela oczyścić. — Pisałem do księcia, iż w żaden sposób nieprzyjaciela Bzurę otaczającego zaczepiać nie mogę, bo ze wszystkich stron od nieprzyjaciela otoczonym będąc, prócz tego wiele niewolnika i bagaż duży prowadząc, wystawiłbym wszystko stracie, w dwóch pewno zostając ogniach. To był moment, w którym mimo woli przejść potrzeba było Bzurę, opuścić Wielkopolskę i wiele tamże pozostałych komend lekkiej kawaleryi z znacznej części z brygady mojej w komendzie majora Bielamowskiego będącej, która już była przez korpus Ledywarego odcięta. Tu dla nieokazania nieprzyjacielowi mego pomieszania i ukrycia zamysłu, wysłałem komendy do Tokar naprzeciwko Płocka majora Duczymińskiego, naprzeciw Ledywaremu porucznika Dąbrowskiego: do gen. Madalińskiego pisałem, aby Kiernozie obstawił mocno, dokąd patrol pod komendą Moszczyńskiego, porucznika, wysłałem; do Sochaczewa majora Obrębskiego. W tak licznem rozesłaniu znacznych komend, sam ledwo bez kawaleryi nie zostałem, pewien atoli będąc, iż w Iłowie, o 3 mile od Gąbina, bezpiecznie stanąć mogę, z tem przedsięwzięciem, jeżeli Bzurę mocno obstawioną znajdę, napaść na jeden nieprzyjacielski korpus.

Stanąwszy w Iłowie, odebrałem od wykomenderowanych raporta, iż w swojem stanęli miejscu. Z Kiernozi mila od Iłowa powrócił szpieg i wyznał, iż korpus nieprzyjacielski z 8.000 złożony z Rawy pod komendą gen.-lieut. Schweryna stanął obozem i na Iłów maszerować ma. Wysłany tamże patrol meldował, iż gen. Madalińskiego nie zastał, ponieważ nieprzyjaciel po tamtej stronie obozuje. W tym czasie słyszano na okół ucierającą się kawaleryę. W nocy o godz. 12 z wielką przezornością ruszyłem z Iłowa, uwiadomiwszy gen. Madalińskiego i wszystkie uboczne straże.

Rano o godz. 7-ej przeszedłem Bzurę miejscem, nieprzyjacielowi niewiadomem, między Sochaczewem i Kamionną. Tego samego dnia równo ze dniem, ks. Poniatowski Sochaczew atakował; po południu o godz. 4 wszystko się przeprawiło, najmniejszej nie poniósłszy szkody, gdzie pod Brochowem blizko Bzury rozłożyłem obóz. Następującego dnia atakował mnie nieprzyjaciel armatami z tamtej strony rzeki, któremu odpowiadać kazałem, lecz z obu stron równa szkoda prochu i kul była. Że jednak nieprzyjaciel o sile moskiewskiej wiedział i może z tej strony Warszawę atakować zamyślał, przeto za Brochowem o 1.000 kroków wziąłem zyskowniejsze miejsce, tam się okopałem, mocnemi komendami Bzurę obstawiwszy, co wszystko tamowało przejścia. Po wyprawieniu niewolników i zdobyczy do Warszawy, mocnem ustanowieniu obozu mego, zdawszy komendę światłemu majorowi Rymkiewiczowi, do Warszawy pojechałem. —. Oddać winienem sprawiedliwość wojsku tak regularnemu jak powstaniom wojewódzkim w komendzie mojej będącym, w których się jawnie okazało, iż męstwo, cnota, przyzwoity szacunek, miłość ojczyzny i zaufanie w swych dowódzcach, znalazły w nich miejsce. Nie uwodzili się zemstą, nie ubiegali się za rabunkiem, sławy tylko jedynie w zwycięztwie szukali. Los nieprzyjacielskich niewolników, ile możności starałem się osłodzić. J. Pani Ledebur, córka pułkow. de Szekeli, nie przypisze zapewne, że niesłusznie tę nieprzyjemną dla siebie odprawiła podróż, w tym razie nie mogłem jej dać pomocy ponieważ była zastawem dam naszych, którym pułkownik de Szekeli, ojciec jej, wraz z innymi wielkopolskimi obywatelami oraz duchownymi sromotnej śmierci dał uczuć wyobrażenie; w ten sposób meldując królowi swemu, iż gdyby nie miał względu na oficyalistów pruskich, w ręku Polaków znajdujących się, których by los podobny spotkać mógł, już bym ich z pół tuzina wywieszał.

Głoszono (co i gazeta twierdzić miała) jakoby dobra de Szekeli, po zrabowaniu na aukcyę przedane być miały. Cukier z bydgoskiej cukrowni na dobro kraju obracany i tym podobne nieprzyzwoitości. Wszystko to było oczywistym fałszem, bo chociaż ja na wszystko nie mogłem mieć oka, wysadzony na to pełnomocnik Wybicki, znany z charakteru i cywilności mąż, przyzwoite na to dawał baczenie. — 60.000 złotych polskich, nałożonej w Bydgoszczy kontrybucyi, prócz tego w różnych wypadkach 200.000 do kasy mojej wojennej wpłynąć mi miało. Zabrane magazyny w Kamionnej, Pieczyskach, Tokarach, Bydgoszczy i Nakle, to jest oczywistą zdobyczą, nie największą, mem zdaniem, szkodę przynoszącą królowi Jmci pruskiemu.

Żadnej atoli budowli, ni żadnej śluzy pięknego kanału na Brdzie i Noteci ani spalono, ani zniszczono, nad portret króla Jmci pruskiego, Fryderyka II., w swojej wielkości z ratusza bydgoskiego i instrumentu wybornego do rysunku, nic mi się więcej z Prus nie dostało w zdobyczy.

Wasale i oficyaliści pruscy, jakiegokolwiek bądź stanu, znali zapewne, iż starałem się łagodnym być im nieprzyjacielem: czego kilkakrotnie różni w różnych zdarzeniach doznali. Pruscy żołnierze chorzy z felczerami w pieniądze opatrzeni, w miastach znajdowali się; którym, by się jakowe nie trafiły przypadki, straż moja zostawiłem, co, przeczyć nie mogę, moim nawzajem czynione było.

CZĘŚĆ II.

Dokumenty.

Ordynans Najwyższego Naczelnika d. 9. 7-bris 1794 r.

Tadeusz Kościuszko, Najwyż. Naczelnik siły zbrojnej narodowej.

„Daję ordynans generałowi-majorowi Dąbrowskiemu, aby z powierzonem sobie wojskiem dążył do Wielkopolski, drogą i sposobem, które mu roztropność i talenta jego wskażą za najdogodniejszą starać się będzie jak najrychlej łączyć się z zebranymi tejże prowincyi korpusami; obejmie nad nimi najwyższą komendę, mieć będzie moc rozkazywania i dawania swych ordynansów

wszystkim generałom wojewódzkim i wszystkim innejkolwiek bądź rangi oficerom siły zbrojnej wielkopolskiej, do obracania komend swych tam, gdzie tego uzna potrzebę. Znosić się będzie z rządem cywilnym względem wprowadzenia i opatrzenia wojska narodowego w wszystkie potrzeby. Użycie wszystkich sił swoich do gnębienia nieprzyjaciela i wypędzenia go z krajów najechanych, kas i magazynów; słowem jak największego szkodzenia i znoszenia nieprzyjaciela starać się będzie. Utrzymywać jak największe komunikacye z korpusem głównym i jego dywizyami i jak najczęściej i najostrożniej raporta o obrotach swoich dawać będzie. Co wszystko gorliwości obywatelskiej i talentom Jego polecam z zapewnieniem największej narodowej wdzięczności.

Dan w obozie pod Mokotowem.

T. Kościuszko m. p."

Raport powinny gen. Dąbrowskiego, d. 11. 7-bris 1794 roku.

„Stanąłem wczorajszego dnia pod wsią Dębina zwaną, naprzeciwko Zakroczymia. Powracające patrole i szpiegi zapewniają, iż nieprzyjaciela aż do brzegu Bzury żadnego niema; z tamtej zaś strony rzeki od Sochaczewa aż do jej ujścia w Wisłę, wszędzie rozlokowane są komendy, które ten brzeg zasłaniają, dla uczynienia trudności jej przejścia, brony pozarzucali, co mój patrol dostrzegł. Pełnomocnik Wybicki zapewnił mi, iż gen. Bronikowski do Kazania maszeruje, zapewne dla dokazania tego, aby zasłonił lewy brzeg Wisły od Zakroczymia aż do Wyszogrodu, w zamiarze, aby nieprzyjaciel z tej strony przeprawiwszy się, tyłu mi nie brał. Zapewnił mię także pełnomocnik ten, że komenda II-ga zaraz do Błonia idzie. Zamiar jej inny być nie może, jak się posunąć ku Szymanowu i Pawłowicom, demonstrując nieprzyjacielowi, jakoby chciała Bzurę przejść pod Łowiczem lub Sochaczewem. W takim urządzeniu komendy spodziewam się przejść pomiędzy Sochaczewem a Wisłą Bzurę i ztamtąd ku Gostyninowi posunąć się: jak tylko gen. Bronikowski tu stanie i posterunki moje, które nad Wisłą trzymam, odbierze: wyszlę generała Rynkiewicza z wszystkimi strzelcami i brygadą moją, dwiema armatami przez las Kapinowski nad Bzurę, ażeby tam przeprawę zabezpieczył i ułatwił. Ja zaś z korpusem równo ze dniem ruszę."

Dat. jak wyżej.

Bilet T. Kościuszki do gen. Dąbrowskiego. d. 11. 7-bris 1794 r.

„Generale! Co Ci Wybicki, pełnomocnik, powiedział, wszystko prawda, jutro rano wysyłam na Błonie ku granicy pruskiej gen. Madalińskiego; oddaję Twojej roztropności, talentom, znajomości i patryotyzmowi, cały układ przechodu.

Ściskam Cię

T. Kościuszko.“

Raport powinny gen. Dąbrowskiego. d. 12. 7-bris 1794.

„Melduję Najwyższemu Naczelnikowi, żem dziś 12. stanął w Kromowie wieczorem nad samą Bzurą i jutro przez nią przeprawię się obronną ręką i ku Gąbinowi posunę się, a zawsze w tej pewnej nadziei, iż Madaliński swoje operacye ku Sochaczewu i Łowiczu czynić będzie, ponieważ między temi dwoma miejscami w Kozłowie, około 6.000 z 20 armatami, nieprzyjaciel obozować ma; żeby tedy Madaliński tam się pokazał, łatwo by mi było ten obóz atakować lub go z pozycyi ruszyć. A ponieważ gen. Bronikowski znacznym korpusem nieczynny będzie, upraszałbym, ażeby się ze mną łączył, tak, abym łatwiej i pewniej dokonał operacyi powierzonej mi w Wielkopolszcze. Proszę o jak najprędszą rezolucyę...“

Raport powinny gen. Dąbrowskiego z Kamionnej. d. 13. 7-bris 1794.

„Melduję Najwyższemu Naczelnikowi, iż dziś w III. kolumnach przeszedłem Bzurę w Kamionnej: atakowałem posterunek pruski i zabrałem w niewolę: 1 oficera, 2 podoficerów, 40 gemajnów. Pułkownik Sokolnicki dystyngował się przy tym ataku. W Witkowicach atakowała kolumna tamten posterunek i wpadłszy na bateryę pruską, wzięto w niewolę znowu 1 oficera i 1 podoficera, 1 dobosza, 30 gemajnów. Więcej sta w tych obudwóch akcyach zginęło. Wszystkich tych niewolników zdrowych, prócz rannych, odesłałem do komendy gen. Bronikowskiego. W ataku

dystyngowali się majorowie Szwejkowski od regim. 13. Obrębski od brygady Rzewuskiego. W Kamionnej znalazłem bardzo wielkie magazyny owsa, mąki, soli, inwentarza. Co można każę zabierać z magazynu, ale nie mogąc mieć fur do przesłania reszty do Warszawy, zostawiłem dozorowi gen. Bronikowskiego, który do mnie przyłączony będzie i czeka ordynansu. Ja pomaszeruję dalej, ale zewsząd na mnie siły skupiać się zechcą. Powstania w Kujawach i Łęczyckiem nie mają tak być liczne, jak mówiono, bo po części podobno rozproszone. Przecież nie myślę jak tylko dopełnić rozkazów Najwyższego Naczelnika. Nie patrzę na trudności, które w dalszym marszu przeglądam, tylko idę, gdzie mnie powinność prowadzi, w dopełnieniu jej ścisłem zakładając sobie całą mą chwałę i szczęście."

Dat. wyżej.

Tadeusz Kościuszko, Najwyższy Naczelnik siły zbrojnej narodowej.

„Generale! Winszuję Ci z serca pomyślności oręża polskiego pod Twojem wództwem. Zawszem się tego spodziewał po Twoich talentach, odwadze i waleczności wolnego żołnierza. Chciej oświadczyć wdzięczność moją Jmci Panom oficerom i żołnierzom, którzy się dystyngowali. Za najpierwszą okazyą prześlę im znak wdzięczności Narodu. Gen. Bronikowski niech idzie z Tobą dalej, odesławszy mi tylko kawaleryę, bez której obejść się możesz; z Twoim korpusem może się łączyć.

„Ściskam Cię serdecznie, mój Generale, i życzę, by zwycięztwo nie odstępowało nigdy polskich generałów.

Dnia 14. 7-bris 1794.

Tadeusz Kościuszko."

Tadeusz Kościuszko, Najwyższy Naczelnik etc. etc. — Ta sama data.

„Generał Bronikowski ma ordynans złączenia się z W. Panem: uwiadamiaj mnie Generale o wszystkich rozrządzeniach

Twoich, które Ci obserwacye militarne i roztropność wskażą. Względem komunikacyi, zabezpieczenia transportów i obserwowania Bzury, daj swoją obserwacyę co do naszej strony, gdzieby komendę postawić, tak dla obserwacyi jako obserwowania dalszych transportów ku nam.

Dan w obozie pod Mokotowem.

T. Kościuszko."

Raport powinny gen. Dąbrowskiego d. 15. 7-bris 1794 r.

„Melduję Najwyższemu Naczelnikowi, iż dnia wczorajszego dalej nie maszerowałem, z przyczyny, iż się nieprzyjaciel na mojem lewem skrzydle pokazał, aż ku wieczorowi rozpędziłem tę dywizyę, ucierając się, 3 ubiwszy, jednego zdobyłem konia. Wysłałem komendę do Pieczysk, gdzie był posterunek nieprzyjacielski i znaczny magazyn. Wykomenderowani po północy tam stanęli. Nieprzyjaciel będąc uwiadomionym o mnie, przygotował się: mocno i długo bronił się, nie straciłem jednak jak dwóch ludzi: nieprzyjaciel w nocy ucieczką ratował się. Zostawiwszy na placu 15 i 1 podofic. rannego. W czasie utarczki już się były składy zapaliły, a nie będąc w stanie uniesienia, ani użycia ich, wszystkie spalonemi zostały, największa szkoda kasy, która wynosić miała 60.000 zł. pol. i ta w ogniu spłonęła: oprócz co tylko wykomenderowani zdobycz co nieco pomiędzy siebie podzielili, a komenderujący oficer zdobył z ognia 3.864 zł. pol., które do kasy wojskowej oddał. Wczoraj wstrzymałem się, złączyłem się z Madalińskim, a nie mając jak tylko dobro publiczne w zamiarze, chciałem mu komendę oddać, ale on tej ofiary nie przyjął, lecz wspólnie urządzać będziemy. Dziś czekam na piechotę gen. Bronikowskiego, która jak nadejdzie, zaraz wymaszeruję do Gąbina, w nadziei mocnej, że ekspedycya nasza kończyć się będzie z satysfakcyą Naczelnika i dobrem kraju. O komunikacyę między mną a Najwyższym Naczelnikiem, aby utrzymaną być mogła, mocno proszę."

W Kamionnej, dat. jak wyżej.

Raport powinny gen. Dąbrowskiego, 16. 7-bris 1794. z obozu pod Kamionną.

„Już Najw. Naczelnik z raportu gen. Madalińskiego dowie się, dla czego korpusy nam powierzone nie mogły aż do Wielkopolski posunąć się, chociaż pewno wiemy, iż część wojska nieprzyjacielskiego idzie tam na Koło i Radziejów naszych atakować. Żeby nas był gen. Bronikowski nie zawiódł, tobyśmy mogli nieprzyjacielowi tyłu brać, przez co zapewne by on Koła atakować nie mógł. Operacya tedy nasza tak jest ułożona, że korpus cały jutro idzie do Gąbina, gen. Madaliński z kawalerya ku Sochaczewu i Łowiczowi, aby nieprzyjaciel rozumiał, że te obadwa miejsca od nas atakować będą, z Gąbina do Głaznowa, miejsca pocztowego, między Kutnem a Kłodawą leżącego, gdzie się gen. Madaliński z nami łączyć będzie: z Głaznowa do Koła, gdzie albo nieprzyjaciela atakować, albo się z naszymi łączyć będziemy. Od skutku tej wyprawy decydowany będzie dalszy nasz marsz i stanowisko. Zapewne w tym marszu całe nieprzyjacielskie siły od Łowicza aż do Sochaczewa, na lewej stronie Bzury stojące, a które najwięcej 6.000 wynoszą, ścigać nas będą, aby nas między siebie, korpusem gen. Schweryna i pułk. de Szekeli zamknąć. Byłoby moją myślą, ażeby N. Naczelnik także korpus ku Sochaczewu i Łowiczowi posłał, którýby utrzymywał w miejscu wojsko pruskie i tyłu brać nam nie dozwolił: bez czego albo odcięci od Warszawy, albo żadnej z nią komunikacyi nie utrzymamy; bo która aż do Kamionnej być ma, nie jest dość mocna, nigdy się utrzymać nie może. Jeżeli zaś komenda wysłana ku Sochaczewu i Łowiczowi dobrze mieć będzie rozstawione posterunki, natenczas można już do Koła komunikacyę utrzymać. Cały korpus oddaje się losowi i względom Najw. Naczelnika.“

Do gen. Bronikowskiego gen. Dąbrowski.

„Spóźnienie wyprawy piechoty zrobiło tę dyferencyę, że dzisiaj pod Gąbinem być nie mogę, gdziebym nieprzyjaciela, który naszych w Kujawach ściga, wstrzymać mógł. Mógłby był generał zamiast o 11 godzinie o 3-ciej piechotę wysłać, ile, że dość wcześnie tak ordynans N. Naczelnika, jako uwiadomienie odemnie odebrałeś. Byłaby ta piechota zamiast dziś o godzinie 2 z północy, wczoraj o godzinie 2 z południa nie tak znużona stanęła. Co do

planu czynności moich, uczyniłem raport N. Naczelnikowi. Zaś do utrzymania między nami kresów i posterunków, musiałby tu najsilniejszy w Kamionnej być i z największą ostrożnością. Ja jutro rano ztąd do Gąbina maszeruję.

Dan w obozie pod Kamionną, d. 16. 7-bris 1794."

Tadeusz Kościuszko, Najwyż. Naczelnik.

„Uwiadamiam Cię, mój Generale, że z pod Narwy ruszyli się Prusacy ku Wyszogrodowi, nie ze wszystkiem, ale w znacznej części. Strzeż się! a daj myśl, jak i w jaki sposób chcesz mieć komunikacyę.

Dan w obozie pod Mokotowem, 16. 7-bris 1794.

T. Kościuszko."

Tadeusz Kościuszko, Naczelnik.

„Mój Generale, mocno się cieszę z powodzeń Twoich: znając pilność, talenta i gorliwość Twoją, nie mogłem się spodziewać tylko pomyślności. W ekspedycyi Twojej, Generale, zechcesz postępować jak najśpieszniej, tak dla ratowania, jak dla wzmacniania powstających braci naszych; jako też nie dania czasu nieprzyjacielowi do wzmocnienia się. Do ścigania korpusów nieprzyjacielskich rozumiałbym, iż w przypadku możesz przywieźć piechotę wózkami, a przy znacznej liczbie kawaleryi, jaką masz teraz, łatwo możesz nieprzyjaciela szkodzić i mordować. Dystyngującym się oficerom posyłam obrączki, to jest: Sokolnickiemu, pułkownikowi nr. 47, majorowi Szwejkowskiemu nr. 50, major. Obrębskiemu nr. 52. Względem fortragów nadeślę one, skoro podpułkownik tu przytomny, poda je. Oświadcz wdzięczność moją kapit. Pokleckowskiemu za pracę i starania jego. Chciej mi myśl Twoją otworzyć, w jaki sposób życzysz sobie, by komunikacya ze mną była utrzymaną. Generał Poniński zabrał na Wiśle Prusakom 6 galarów, naładowanych owsem. Ściskam Cię serdecznie, mój Generale. Pierścionek uważam za największą dystynkcyę, a zatem, jeżeli

który z nich nie tak się dystyngował, aby wart był pierścionka, wolę przysłać zegarek lub tabakierę.

Dan w obozie pod Mokotowem, d. 16. 7-bris.

T. K."

Raport powinny gen. Dąbrowskiego, 18. 7-bris 1794.

„Odebrałem od N. Naczelnika o godz. 5 wieczorem uwiadomienie o zbliżaniu się nowej kolumny nieprzyjaciela ku Wyszogrodowi; już o tem wprzód uwiadomionym i przestrzeżonym zostałem, tak dalece, że ku Czerwińsku nowa kolumna ciągnie. Nie odmienia to jednak mojego planu, który na dniu dzisiejszym miałem honor N. Naczelnikowi przesłać. Jakoteż o godzinie 11 dziś przed północą ruszam do Koła, ratować Związek Wielkopolski, który jest atakowany. Nie mogę jak powtórzyć N. Naczelnikowi, iż dla utrzymania między mną a Warszawą komunikacyi i wsparcia mojej ekspedycyi, wypadałoby jeden korpus obserwacyjny od Kąpinosa aż do Kamionnej nad Bzurą rozciągnąć i ztamtąd się do Gąbina posunąć. Drugi od Błonia ku Sochaczewu i Łowiczowi, inaczej cała siła nieprzyjacielska na mnie spadnie i powstanie wielkopolskich obywateli zniszczyć może. Pozwoli jeszcze N. Naczelnik myśl moją otworzyć, iż gdy korpusy pruskie z ponad Narwi posuną się za mną, nasze, tam stojące, za nimi także postępować powinny, aby mi w tył nie wpadły."

Dat. jak wyżej.

Raport powinny gen. Dąbrowskiego, 18. 7-bris 1794.

„Melduję N. Naczelnikowi, iż lubo nieprzyjaciel naokół nas otacza, podług planu mego maszeruję; na dniu wczorajszym wysłana odemnie komenda ponad Wisłą opanowała magazyny nieprzyjacielskie w Tokarach, szczególniej soli, której nie mogąc wywieźć, pozwoliłem ludziom rozbierać, a mając nadzieję, że się przy tym kraju utrzymamy, spodziewam się, iż na pożytek publiczny przyjdzie. Kasy zabrałem, 9.000 zł. pol. te *salvo calculo* do kasy wojennej wziąłem. Nieprzyjaciel, zdaje się, że unika ze mną spotkania. Nie wiem, co dziś będzie. Jutro spodziewam się stanąć

na miejscu zamierzonem i złączyć się z dobrze myślącymi obywatelami. Generał Madaliński, który na lewem mem skrzydle maszeruje, szedł ponad Sochaczewem, na jego rekognoskowanie patrolu nawet nie wysłano. Dziś idzie ponad Łowiczem, nie wiem co wypadnie. Jutro mamy się łączyć i dalszych operacyj, stosownie do woli N. Naczelnika plan egzekwować. Tenże gen. Madaliński przejął pocztę, idącą z Łowicza, nie mogę powierzyć listów wielce interesujących, które chciałbym, aby były drukowane; przyłączam co najszczególniejszego. Pułkownik de Szekeli dobrzyńskie i kujawskie rozprószył powstanie, sam stoi w Inowrocławiu. Jest list do komendanta z Gdańska, gdzie dla obawiania się ducha rewolucyi, musiał obywatelom broń zabrać. Król pisze, że dziś z Rawy wyjeżdża i 26. będzie w Poczdamie. Dziś przejąłem sztafetę, w której król pisze i podaje plan fortyfikacyi i daje na to 12.000 t. Oficerowie, jako też i gemajni z największą ochotą znoszą trudy marszu, oczekując jak najprędszego spotkania się z nieprzyjacielem.“

Dan 18. 7-bris 1794.

List pułk. de Szekeli do króla pruskiego. 16. 7-bris 1794 r.

„Z najgłębszem uszanowaniem składam pod nogi W. K. M. przyłączoną listę aresztowanych hersztów konfederackich; kazałem wystawić szubienicę i wszystkim całą śmierci trwogę wytrzymać, jutro posyłam ich do fortecy. Gdyby nie tyle oficyalistów w Wielkopolsce nałapanych w ich było ręku i na których by natychmiast prawa odwetu użyli, jużbym ich był z pół tuzina wywieszał. Poprzysięgam W. K. M. w największem uszanowaniu, że gdyby ojciec lub brat mój własny w tym znajdował się spisku, im bym nie przebaczył, ponieważ dopełnienie chwalebne obowiązków moich i zadośćuczynienie rozkazom W. K. M. za rzecz najszacowniejszą poczytuję. Jużem adjutantowi W. K. M. doniósł, dla czego ich tak długo pozorem traktatów zabawiałem, póki insurekcya w Dobrzyńskiem całkiem przytłumioną nie została. Uczyniłem zaś to dla tego, iż podzielony, do atakowania ich słaby byłem. Utrzymałem ich tym sposobem w nieczynności, a skutek okazał, że się to dla dobra W. K. M. stało, mianowicie, że wtedy żadnego garnizonu w Bydgoszczy nie było. Wyratowano więc tym sposobem

W. K. M. magazyny broni, kasy i wszystkie dykasterya. Przyczyna, dla której w pierwszym raporcie moim nic o tem nie doniosłem, ta była, żem się lękał, aby list mój przejęty, a zamysł odkryty nie został. Spodziewam się po łasce W. K. M., że niełaską swoją nie zechcesz mnie ukarać. W całym ciągu 40-letniej służby mojej postępowałem z największą wiernością i gorliwością i do ostatniego tchu postępowania mego nie odmienię.

Donieść jeszcze z największą uniżonością W. K. M. winienem, żem do dykasteryów napisał, posyłając im listę grzewgentów dobrzyńskich, aby też przez sekwestracye intrat, kasy W. K. M. zapomódz mogły. Zostaję do zgonu z najgłębszem uszanowaniem W. K. M. najniższy poddany.

Z Inowrocławia.

Lista aresztowanych od dnia 13-go do 16-go września Kujawiaków:

1. Stanisław hr. Dąbski,
2. Kownacki rotmistrz kaw. narod.,
3. Potocki rotmistrz,
4. Bogatko kasztelan,
5. Topliński porucznik,
6. Karczewski towarzysz,
7. Osiński kanonik,
8. Wochelski kanonik,
9. Ostrowski,
10. Złotnicki,
11. Żynda,
12. Piotr Osiński proboszcz,
13. Lasocka kasztelanowa,
14. Mikorska,
15. Mikorska hrabina.

Spodziewam się jeszcze dziś kilku panów dostać.

de Szekeli.“

List króla pruskiego do pułkownika de Szekeli, z Piotrkowa d. 18. 7-bris 1794.

„Mój kochany Pułkowniku de Szekeli! Odebrałem Wasz raport 14. t. m. i postanowiłem nastepującą nań Wam dać odpowiedź. Co się tyczy sufragana i jego 5 wspólników, trzeba ich wszystkich do Piotrkowa transportować i rządowi do inkwizycyi i dekretu podać. Donieść też o tem komendantowi toruńskiemu i wezmijcie przed się potrzebne środki. Dobrzeście uczynili, odsyłając wszelką broń i piki do Grudziądza, powinniście dalej również postępować, wszystkich rozbrajać, bronić się i zabezpieczać. Rewersa wszystkich przez Was mianowanych miast i cyrkułów dobre są wprawdzie, lecz doświadczenie nauczyło, że się na takie zapewnienia wcale opuszczać nie można, dla tego powinniście zawsze przyzwoitą zachować ostrożność. Jeżeli przez trwogę śmierci, którąście aresztowane nabawili kobiety, tego dokażecie, że Wielkopolska insurekcya broń swoją w Wasze ręce złoży, bardzo mi to miło będzie. Wszelako wdawajcie się tak mało, jak tylko być może w obietnice i układy, a jak tylko skutek obiecywaniu Waszemu nie odpowie, zaraz powinniście bez zwłoki instrukcyę Waszą dopełnić. Co się tyczy posiłku z kawaleryi, którego żądacie, uznaję: że tego ztąd detaszerować nie możemy. Dla wzmocnienia więc Was, powinniście sobie komunikacyę z Poznaniem otworzyć, w którym przypadku pułkownik Biethart wszelką Wam da pomoc. Wszystkie Wasze raporta doszły regularnie Waszego przywiązanego króla.

Fr. Wilhelm.“

Raport powinny gen. Dąbrowskiego, 19. 7-bris 1794, z pod Kłodawy.

„Melduję N. Naczelnikowi, że Bzurę, której się tyle lękaliśmy, przeszedłszy, ufam, że jutro równie szczęśliwie przejdę Wartę pod Kołem, gdzie już mam komendę, która się złączyła z Mniewskim, gen. kujawskim. Dziś się złączyłem z gen. Madalińskim, który wczoraj w Kutnie Prusaków pobił. Legło na placu 11, w niewolę dostało się 6, reszta ucięczką się ratowała. Patrol mój zniósł patrol pruski, 1 podchorążego i 4 oficyalistów złapał. Ordynans dałem Mniewskiemu i innym gen. wielkopolskim, aby do mnie

dla operacyi ułożenia przybywali do Koła, gdzie ich komendy niedaleko stoją: prócz Skorzewskiego i Niemojewskiego, którzy pod Kaliszem stoją, a na nich Schweryn idzie. Plan z gen. Madalińskim ułożyliśmy: Schweryna ze wszystkich stron atakować; z tamtemi się łączyć. Gen. Lipski ma być aż ku Bydgoszczy. Mniewski wyparty został przed kilku dniami z Konina, a gdyby o nas w Kole dziś jeszcze zapewnieni nie zostali byli, byłby się zupełnie związek rozszedł. — Te są skutki nieszczęśliwe spóźnionego marszu piechoty do mnie z kom. gen. Bronikowskiego. Przypominam N. Naczelnikowi, że mogę mieć komunikacyę z podpułk. Podhorodeńskim: z troskliwością czekam wiadomości od Najw. Naczelnika, czy jaki korpus wykomenderowany został ku Sochaczewu i Łowiczowi, gdzie równie jak i w Łęczycy małe są korpusy nieprzyjaciół.“

Tadeusz Kościuszko Naczelnik... 21. 7-bris 1794.

„List Twój, kochany Generale, z obozu pod Kłodawą i pomyślności, o których mi donosisz, osładzają nam smutek, którym porażka dywizyi Sierakowskiego ogarnęła serca nasze. We wszystkich Twoich obrotach dalszych spuszczam się zupełnie na Ciebie, bo dowiodłeś tylekroć męztwem i talentami Twymi, że losy dobra publicznego powierzyć Ci można. Staraj się zachęcać do męztwa i utwierdzać w statku obywateli wielkopolskich: wojsko zaś nieprzyjacielskie nie przestawaj parzyć i mordować, kawaleryą naszą wypędzaj jak możesz nieprzyjaciela z przywłaszczonej ziemi. W jednym przypadku tylko, gdybyś postrzegł, że Prusacy silnie ku Warszawie awansują, ciągnąć będziesz za nimi, zachowując komunikacyę z korpusem moim. Względem żony i syna Twego bądź najspokojniejszym, napisz do niej, by we wszystkich potrzebach udawała się do mnie. Ja będę jej bankierem, a Twoim dozgonnym przyjacielem. — Co do planu Twego atakowania Szweryna, mocno przychylam się, gdyż to wznowi większy zapał, a pewien jestem, że pobijesz... Madalinskiemu się kłaniaj, o co prosi, nie zaniedbam.

Sciskam Was obudwoch.

T. Kościuszko.“

Raport gen. Rynkiewicza. 26. 7-bris 1794, z Koła.

„Stanąłem i gen. Mniewski z swojem powstaniem o pół do 12-tej. W tym momencie dowiadujemy się, że Szweryn z korpusem swoim ciągnie od Konina na Brudzew do Koła i tylko ztąd małą milkę znajduje się. Uczynię, co będę mógł dla utrzymania tego tak ważnego miejsca. Przyspieszaj.

G. M.“

Raport powinny gen. Dąbrowskiego. 28. 7-bris 1894. z pod Gniezna.

„Melduję Najw. Naczelnikowi, iż wczoraj tu przymaszerowałem, w Słupcy złączyłem się z wojskiem województw poznańskiego, kaliskiego, gnieźnieńskiego, łęczyckiego i kujawskiego: siły ich determinować nie można. Wielu jest obywateli, którzy do domów wrócą.

Względem organizacyi ich z wojskiem liniowem czynić będę staranie moje, względem żywności i furażu, ile w tym pierwszym nieporządku, znajduję trudność. Nieprzyjaciel po przejściu mojem Warty, zaczął brać inną dyrekcyę i komend wojewódzkich nie ściga. Schweryn zdaje się zmierzać ku Poznaniowi. Szekeli stoi jeszcze w Inowrocławiu i zapewne za moim marszem do Torunia wróci się. Czynić moje wszystkie starania będę, abym N. Naczelnika dopełnił rozkazu. Wysłany z ekspedycyą obywatel Miaskowski, znany publiczności, więcej opowie Najwyż. Naczelnikowi.

Dan jak wyżej.

Dąbrowski.“

Ustne zalecenie obywatelowi Miaskowskiemu

„Aby mi więcej nadesłano piechoty, kilka armat 12-funtowych i kilka haubic: także, aby korpus nasz pod Gąbinem stał i nie pozwalał nieprzyjacielowi nad Bzurą i Wartą się rozciągać. Niemam papierowych pieniędzy, aby mi nadesłane były.“

Raport powinny gen. Dąbrowskiego. 29. 7-bris 1794. w Łabiszynie.

„Melduję N. Naczelnikowi, iż z Gniezna tak starałem się marsz mojej dywizyi urządzić, aby nieprzyjaciel zamiaru mego zgadnąć nie mógł. Wysłałem alarmować Poznań: to tak dobrze uskutecznił Bielamowski, porucznik, w 200 koni brygady mojej, iż pod samymi był miasta murami. Nieprzyjaciel ukrył się w mieście i okopach, a nawet komendy przeciwko niemu nie wysłał: w przekonaniu zapewne, iż była to pierwsza straż mojego korpusu. Druga komenda wyszła, jakobym maszerował atakować Inowrocław, a tym czasem cel mój był przejść szczęśliwie Noteć pod Łabiszynem, jakoż ja dnia dzisiejszego przeszedłem i tak się postawiłem, aby Szekeli nie wiedział, czy jego, czy Bydgoszcz, czy Toruń chcę atakować. Gen. Madaliński, który z prawego skrzydła prędzej doszedł do Łabiszyna, posterunek nieprzyjacielski, który rozebrał w części most jeden i na cmentarz reformatów rejterował się, atakował. Posłał, aby się poddał, gdy propozycye odrzucił, strzelcy i niektórzy z piechoty wdarłszy się, dwóch na placu położyli, 18 w niewolę wzięli, a reszta wcześnie uciekła. Z naszej strony ranny został Leszczyński, pułkownik powstania kaliskiego i 1 towarzysz. Trzecia kolumna szła pod komendą gen. Lipskiego na Barcin. Posterunek tam będący zniósł, 1 oficera i 60 gemajnów zabrał, resztę rozprószył. Mam teraz w niewoli oficerów 6, gemajnów 83 i oficyalistów 10. Przenocowawszy w Łabiszynie, miałem układ wpaść na Bydgoszcz, a Madalińskiego wysłać dla obserwacyi Szekelego, ale Szekeli, o którym miałem raport, iż się osobiście znajdował w Fordonie, nagłym marszem ruszył o godzinie 1-szej z południa z Inowrocławia i o godzinie 12 w nocy obóz mój za miastem rozłożony zaczął atakować. Atak rozpoczął od armat, tak, iż kule sięgały miasta. Szekeli nie zastał tej pozycyi, w której spodziewał się nas w mieście rozlokowanych zastać. Marsz swój kierował na górę, prosto na moje lewe skrzydło, ale mnie tam zastał z komendą regimentu 13 i z częścią brygady Rzewuskiego i mojej. Nieprzyjaciel z taką natarczywością awansował na górę, iż o 30 kroków przyszło do ręcznej broni i bagnetów. Brygada moja z taką odwagą wpadła na piechotę, iż proporce w trupach zostawiła, zrejterowała piechota. Komenda regimentu 13 najmężniej stanęła i blisko godzinę trwający ogień plutonowy wytrzymała pod komendą pułkownika

Mchowskiego, który się wraz z kapitanem Grzegorzewskim dystyngował, tych względom N. Naczelnika polecam, jako też obywatela Dziewanowskiego z powstania kujawskiego, pod ten czas przy mnie znajdującego się, Dąbrowskiego. porucznika brygady mojej, którzy obadwa mnie od niewoli ratowali. ponieważ o mało nie wpadłem w ręce kawaleryi nieprzyjacielskiej. Kazałem potem bić z armat, poczem nieprzyjaciel zaczął się rejterować, ale noc ciemna ucieczkę zakryła. a na jego ściganie exponować żołnierza nie mogłem. Skoro dnieć zaczęło. wysłałem za nim komendę, a Szekeli wszedł do Bydgoszczy. Zostawił nieprzyjaciel na placu bitwy 23 zabitych. bardzo wielu rannych, których nawet po drodze w czasie ucieczki znajdowano. Zapewniali powracający, iż 12 wozów wieziono ciężko rannych. 1 zabitego oficera i ciężko rannego pułkownika Heinricha, pod Szekelim konia ubito. Z różnych stron dowiedziałem się, iż wielu żołnierzy po okolicy rozproszyło się. Dezercya znaczna była. Z mojej strony 6 zabitych — z regimentu 13. Największa strata Jarząbkowskiego, majora. który z dystynkcyą pełniąc powinność, ranny dziś umarł. Z mojej brygady 1 zabity i 9 rannych. wiele koni bagnetami pokłutych. Pod majorem Zabłockim. moim adjutantem, konia ubito. Kule rzęsiste armatnie 1 tylko człeka pod miastem raniły. Linia tak była uszykowaną, iż jej wcale nie naruszono. Marsz Szekelego do Bydgoszczy, wstrzymał tam mój marsz dnia wczorajszego. Nie chciałbym w takiej odległości eksponować żołnierza i amunicyę. być w potrzebie wypierania nieprzyjaciela z okopów i dobywania miasta. Tym końcem wysłałem na obserwacyę gen. Rymkiewicza w 800 koni, od którego, gdy zapewniony zostaję. że góry opanował, w tym momencie tam ruszam. w nadziei zdobycia miasta.“

Dan jak wyżej.

Rozkaz gen. Dąbrowskiego. d. 30. 7-bris 1794.
w Łabiszynie.

„Z brygady Madalińskiego 200 koni pod komenda majora Urbanowskiego, 200 koni z brygady Rzewuskiego, pod komendą majora Obrębskiego, pułk cały Garczyńskiego. Ta cała jazda zgromadzi się dziś o godz. 5 z rana pod tę górę, gdzie nocy dzisiejszej był atak i czekąć tam będą na rozkaz gen. Rymkiewicza. Niech idzie natychmiast 50 koni moich do Wołkowic i patroluje

gęsto do Żnina, Rynarzewa, Strzelna. Także 50 koni powstania kaliskiego do Kaczkowa, Gniewkowa, ztąd niech patrolują do Podgórza i Inowrocławia. 50 koni powstania poznańskiego maszeruje do Rynarzewa i opatroluje do Nakła, Żnina i Wołkowic. Komenda pułkownika Sokołowskiego maszeruje do Szolca, zostawi posterunek w Szabruchu i Nowej Wsi, a ztąd wysyła patrol do Podgórza i Gniewkowa. Wszystkie te komendy zgromadzą się pod klasztorem, gdzie odemnie dalszą instrukcyę dostaną."

Raport gen.-maj. Rymkiewicza. 1. 8-bra 1794.

„Wymaszerowawszy po 5-ej z rana z Łabiszyna, w marszu żadnych nie doznałem przeszkód, z Stryczek wysłałem 50 koni do Stolnic: sam pomaszerowałem prostym traktem ku Bydgoszczy, o pół mili od miasta już mnie huzary atakowali; posuwałem się dalej, rozproszywszy ich, stanąłem pod samem miastem Bydgoszczą. Cała strona od miasta jest wolna. Postawiłem na górach widety, a sam lokowałem się pod borem, tak, że każdy wnosić sobie musi, iż jest piechota przy mnie: a nie tylko widzieć miasto, ale i rozmawiać można. Most zrzucony. Bramy zamknięte, miasto opasane murem, ale niezbyt wysokim i starym. Z domów, do których przypada mur, można wniść do miasta. Szekeli stoi na tamtej stronie wody za miastem i to nie blizko, w lesie o parę tysięcy kroków. Niemcy wybiegali z miasta do mnie, mówią, że w mieście jest piechoty 3 bataliony. Słyszałem od niektórych, że wojsko spodziewa się Szweryna do Torunia na sukurs. W Barłodzicy jest prom, a drugi w Syrsku, pierwszy kazałem wziąć na naszą stronę i pilnować go. Postawiwszy na górach armaty, mam w ręku miasto, które zapewne nie dopuści siebie zrujnować i spodziewam się, że przymusi Szekelego i garnizon do cofnięcia się. Armat mają mieć 4 w mieście, tyleż w obozie. Gdyby było chociaż połowę przyszło naszego korpusu pod Bydgoszcz, już by był zapewne w naszych rękach, bo wcale zastaliśmy ich w niegotowości. Jeżeli gen. Dąbrowski trwa w innych przedsięwzięciach, marsz swój obrócić, muszę jutro ztąd ruszyć, gdyż bez furażu i żywności nie wytrzymałbym. Magazyny dwa w Bydgoszczy znajdują się. Czekam najprędszej rezolucyi i dalszych generała rozkazów.

Rymkiewicz."

Rozkaz gen. Dąbrowskiego, 1. 8-bra 1794 r. o 8-ej godz. wiecz.

„Po przeczytaniu tego rozkazu, korpus cały rusza prócz 1-go batalionu regimentu 1-go, który w mieście stoi pod komendą majora Fiszera, 2 armat 3-funtow. strzelców poznańskich, którzy są w klasztorze, zostaną, 50 koni brygady Madalińskiego 50 Rzewuskiego, 50 Dąbrowskiego, 50 powstania poznańskiego. 50 gnieźnieńskiego pod komendą majora Obrębskiego. Tu się zostanie cały bagaż, lazaret, aresztanci i komisaryat. Wszystko pod komendą dystyngującego się podpułkownika Mchowskiego. regimentu 13. Każdy korpus zostawi kilku ludzi przy swoich bagażach do pilnowania onych. Wszystkie siekiery i łopaty, co się ich tylko w całym korpusie znajdzie, mają być kosynierom rozdane i z sobą wzięte. Te zaś, które się u strzelców znajdują, bryczką dobrymi końmi przed awangardą mają być prowadzone, która formuje się w następującym porządku:

Awantgarda: kompania strzelców Sokołowskiego. 2 armat 3-funt., brygada Madalińskiego, 2 armat 6-funt.. 1 batalion regimentu 13. — Tu pod komendą gen. Niemojewskiego.

Korpus: brygada Rzewuskiego, komenda brygady Dąbrowskiego, 2 armat 6-funt., batalion 2-gi regim. 4-go, 2 armat 3-funt., 1 batalion regim. 1-go z komend. powstania: poznańskiego, kaliskiego, gnieźnieńskiego i kujawskiego. Komenderuje kawaleryą lewego skrzydła gen. Lipski.

Ariergarda: 2 armaty 3-funt.. kompania strzelców Sokolnickiego pod komendą tegoż pułkownika.

Piechotą komenderuje gen. Mniewski. Te korpusy zgromadzą się, gdzie był atak dnia onegdajszego pod tą górą. Każdy korpus, jeden obok drugiego, stanie w kolumnie, drugą na lewej ręce wolną zostawiwszy, czekać będą dalszego ordynansu mojego.“

Ustne zlecenie przez majora Molskiego, kuryera, wysłanego do Warszawy d. 3. 8-bris 1794.

„Korpus do Gostynina jest bardzo potrzebny, aby komunikacyę między mną a Warszawą utrzymał. Do transportowania rzeczy i rekwizytów wojennych, które kilkanaście milionów wartości wynoszą, jako i do transportowania więcej 400 niewolników.

Gdyby ten korpus stał w Gostyninie, łatwoby mi było posunąć się dalej i tu przez Nieszawę się zabrać, rekrutować i mundurować, bez tego zaś musiałbym ku Warszawie się cofać, bo gdyby Prusacy między mną a Warszawą się postawili, to żywności by mi zabrakło i przez cofanie się ryzykowałbym (będąc z 3 stron opasanym) awantaże w czasie kampanii zdobyte.“

W. M. Kozłowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy).

„Ale iż jeszcze nie wiemy, jakoweby to odłożenie być miało, o czym i na jaki czas, przetochmy też o nim nie między sobą nie postanowili, aż nam będzie ten modus odłożenia od W. K. Mci podan“. Były to pierwsze słowa wypowiedziane do biskupów w duchu pojednawczym i pokojowym. Mogli sobie pogratulować ci ostatni sukcesu dni 24. i 25. stycznia. Posłowie zaniechać chcieli walki, zgodzili się na rozejm, żądali tylko bliższego określenia jego warunków. Jednakże jak walka sama była główną przeszkodą, o którą się rozbijały prace senatu i izby, mające za przedmiot egzekucyę praw, tak rozejm ów przybywający za późno, zamiast ułatwić te prace, miał je — pogrzebać. Ale Siennicki, jakby przeczuwał, że tak się niestety stać miało, z całym naciskiem zaznaczył w ostatnim ustępie swej mowy, że posłowie nie chcą nawet słyszeć o takim rezultacie sejmu. Byłoby to karą nieba, dowodem „niełaski miłego Pana Boga ku nam za grzechy nasze“, gdyby na tym sejmie egzekucya nie miała dojść do skutku, gdyby — „tak potrzebne zaczęcie rozchwiać dopuścił“. Król często

opowiadał swą gotowość „to wszystko wypełnić“, często na to obietnice dawał, sejm ten dla egzekucyi złożyć raczył, w propozycyi sejmowej wyraźnie oświadczył — „że nie chce, aby ta wina niedościa exekucyi (na nim) zostawała“, panowie też chcą „radą swą i każdym obyczajem“ przyczynić się do tego — „aby ta egzekucya doszła“. Wprawdzie król zaczyna wątpić, czy egzekucya dojdzie do skutku, bo narzeka na posłów, że za mało pilnie „około przywilejów namawiają“ i straszy ich złem powietrzem, rozcieczą i odwilżą, które nie dozwolą dłużej sejmować, jednak oni nie zrażając się takimi przypadkami — „które z dopuszczenia boskiego bywają“, proszą go — „aby chwalebne zaczęcie swe kończyć raczył“. Jeśliby zaś broń Boże „sejm ten się rozjechać musiał“, nie będzie to winą posłów, gdyż oni od samego początku twierdzili — „że onym sposobem czytania statutów trudno się miało co odprawowac“, i napominali panów i prosili króla — „aby iny sposób, o którym ich m. jawną zminkę czynili, iż niektórzy ich m. gotowy mieli (!), przedsięwziąć raczyli, a nie ono daremne czytanie statutów, którym trudnoby się egzekucya kończyć miała“. Można też było dyskutować nad przywilejami tak jak chcieli posłowie, to jest spólnie — „boby się to za jedną deliberacyą spólną odprawować mogło, co teraz jedni drugim odsyłając za dwiema być musi, a to czasu nie mało bierze“. Nie można więc posłów winić, że tracą czas, gotowi są przyjąć każdej chwili inny sposób, byle predszy. Po Siennickim mówił Rey o annatach czyli sakrzech biskupich, a po nim zabrał głos kanclerz. [1])

Przemawiał kanclerz dwa razy. Naprzód odczytywał *„respons“* senatu na podanie poselskie około przywileju koszyckiego i czerwieńskiego. W responsie tym przy trzecim artykule pierwszego przywileju *„absolvimus ab omnibus angariis“* i przy szesnastym „o wolnościach“, jak nie mniej przy szóstym artykule przywileju drugiego „o jednostajnym sądzeniu“ znajdowała się odpowiedź na skargi i protesty posłów wniesione przeciw duchowieństwu, jego nadużyciom, prawom i przywilejom. Czytał tedy kanclerz: „Iż rozumiecie w. m. stan swój być uciśniony jurysdykcyą ich m. panów duchownych i wieleście angaryi napisali, tedy jegomość ksiądz arcybiskup gnieźnieński z biskupy dali się już słyszeć, że to wszystko chcą przypuścić na rozeznanie, ale iż nowo teraz jegomość stąpił na arcybiskupstwo, nie jest świadom przywilejów stanu duchownego (??), ani się zrozumiał z inymi biskupy i du-

[1]) Dz. s. 252—256.

chowieństwem, gdyż tu nie masz jeno ich m. trzej biskupi i przeto odkładają to sobie na sejm blisko przyszły (!), aby się już tam wszystkie różnice dokonały, tego jeno ich m. chcą, aby się do tego czasu żadne inowacye nie działy. A gdy się to wszystko uznanie odłożyć ma, nie potrzeba teraz na nie odpowiedać“... Z ustępu owego dowiedzieli się posłowie, że ono rozeznanie różnic dzielących stan duchowny i świecki miało nastąpić za zgodą biskupów na sejmie, że zgodę na to ofiarowali biskupi tylko pod tym warunkiem, jeśli szlachta zachowa tymczasem w rzeczach religijnych pewne *status quo*. Przy artykule o wolnościach otrzymali posłowie powtórne zapewnienie, że te krzywdy, jakie się dzieją szlachcie „od starostw jako i od panów duchownych“, będą rozpatrzone później — „gdy się ine sprawy z nimi odprawować będą“. Te inne sprawy były to apelacye rzymskie i prawa kościelne, które stały w sprzeczności z pospolitem prawem ziemskiem. Poruszył je kanclerz przy artykule o jednostajnem sądzeniu. Usłyszeli tedy posłowie, że chociaż krol z senatem podał już im projekt nowych sądów apelacyjnych, o którym niestety oni jeszcze nie wydali swojej opinii, ale o sądach duchownych, wobec odłożenia innych spraw kościelnych, nic teraz nie może stanowić. „Iż tak rozumiecie w. m.“ — czytał kanclerz — „żeby prawo duchowne być nie miało jeno ziemskie, to się też odkłada do inych spraw, które będą z pany duchownymi“. Skończywszy czytanie responsu, oświadczył dodatkowo, że na inne rzeczy, które wnieśli posłowie, da im król odpowiedź po naradzie z panami w poniedziałek.[1]) Zdawało się, że już dnia tego nie miała się pojawić ze strony rządu żadna inna rezolucya na poruszone przez posłów sprawy. Aliści zostali zaskoczeni nową a niespodziewaną uchwałą senatu, która miała tego samego dnia zapaść po dyskusyi nad mową Siennickiego. Oto oświadczył im kanclerz: „Gdy już królowi J. Mci pozwalacie, a na J. K. M. to wkładacie, aby odłożenie sejmu tego obmyśliwał, tedy król J. M. za słusznemi przyczynami, która pirwsza jest podejrzenie powietrza, o którym jest pewna wiadomość i od doktorów i od inych ludzi, że jest znaczna contagio, która za lada odmiecią szerzyć się musi: a to druga przyczyna odłożenie panów duchownych, iż się wszytkie sprawy z nimi odkładają, za któremi też ine wszytko iść musi, gdyż to jest niemała zawada do inych wszech spraw, dla których uspokojenia ich m. panowie duchowni powolnie się słyszeć dali

[1]) Dz. s. 256—260.

i na rozsądek przypuścili — z pany namawiać będzie, jakoby się wszytkie sprawy bezpiecznie odłożyć mogły, a w. m. cobyście rozumieli poprawić potrzeba recesu przeszłego sejmu, tedy J. K. M. tego dozwala". Co się tyczy „annat księży biskupów", o których posłowie wspomnieli, chętnie król otworzy nad niemi dyskusyę, ale... nie teraz, bo to „jest sprawa z pany duchownymi", a więc i ją „jako i ine rzeczy odłożyć się musi na przyszły sejm". Zreszta annatami nie pokryje się kosztów obrony, na którą radziby je obrócić posłowie... Potrąciwszy o tą drażliwą kwestyę, objaśniał ich kanclerz, ża na nią król żadnych nie ma funduszów, że nawet zalega z żołdem 19.000 złotych, z podatku zeszłorocznego nie tylko mu nie zostało, ale nawet nie ma czem zapłacić, co winien służebnym. W zeznaniu tem kryła się prośba, by o tej obronie pomyśleli posłowie. [1])

Nad obydwiema rezolucyami senatu dyskutowali posłowie w swem kole dopiero nazajutrz w sobotę. Jak z jednej strony zezwalali na odłożenie spraw z panami duchownymi, tak z drugiej stanowczo protestowali przeciw odłożeniu całego sejmu. Te opinie koła oznajmił królowi i senatowi w poniedziałek poseł Tomicki. Na nią otrzymał odpowiedź, że sejm odłożony być musi z powodu złego powietrza i odłożenia spraw z duchownymi, że nawet król układa już z panami reces sejmowy. Przeciw temu posłowie ci i owi jeszcze raz protestowali, prosząc króla, aby przynajmniej „z stanu świeckiego egzekucyę czynić raczył" — ale bezskutecznie. [2]) Nazajutrz powtórzyły się spory, które dzięki interwencyi i naporowi panów skończyły się zwycięztwem króla. Złamano opór posłów oświadczeniem, że sejm następny, który najdogodniej będzie zwołać na św. Michał w Krakowie, będzie tylko dalszym ciągiem obecnego, nie będą go też poprzedzały sejmiki powiatowe; że jeśli już zezwolili na odroczenie egzekucyi z duchownymi, muszą konsekwentnie zgodzić się na odroczenie egzekucyi z panami, gdyż według recesu warszawskiego „egzekucya od deski do deski dziać się ma", a właśnie byłoby to „ubliżeniem jednego stanu", stanu świeckiego, wywołałoby nowe „waśnie", bo sami panowie nie dopuszczą", — „aby się tylko z nimi miała dziać egzekucya". Pierwsi posłowie krakowskiego i poznańskiego województwa „jeli zezwalać na odłożenie sejmu", obawiając się, aby nie doszło do

[1]) Dz. s. 260—261.
[2]) Dz. s. 261—262.

zerwania sejmu — „o któreby oni potem winowani być mogli“, drudzy posłowie w milczeniu poszli za ich zdaniem, poczem wybrali wszyscy z łona swego czterech, p. Stadnickiego, p. Ossolińskiego, p. Strzemińskiego i p. Kietlińskiego, którym poruczyli ułożenie recesu sejmowego. Delegaci przedłożyli reces ten do oceny koła już nazajutrz, 1. lutego. Spierano się tylko o miejsce odłożenia sejmowego. Małopolanie chcieli odłożyć sejm do Krakowa a Wielkopolacy do Piotrkowa, poczem zgoda zapadła na Kraków. Chciano też zaraz iść z recesem do króla, ale na życzenie jego wstrzymano się do dnia jutrzejszego, w którym, jako w dniu święta gromnicznego, miano jawić się u króla dopiero po nabożeństwie. [1])

W dzień ten, to jest we czwartek 2. lutego, marszałek izby poselskiej M. Siennicki, wręczając królowi w jej imieniu reces sejmowy, wygłosił mowę, w której poruszył ponownie kwestyę elekcyi króla, żądając przyjęcia wyżej wspomnianych dwóch postulatów poselskich, interpelował króla, dlaczego nie ma na sejmie stanów księstwa pruskiego, oświecimskiego i zatorskiego — i jeszcze raz dotknął biskupów i ich stosunku do Rzymu. [2]) Okazyę do tego podała mu kwestya annat i kwestya kontrybucyi kościelnej, uchwalonej na sejmie warszawskim, obydwie stojące w związku z kwestyą obrony, o której posłowie, jak mówił, „radzić i stanowić nie mogą przed zamknieniem ręki z recesu warszawskiego“, ile że tej obronie „i to pomódz może, co jeno zostało z podatku przeszłego“, tudzież kwestya konfirmacyi Uchańskiego na biskupstwie kujawskiem. O annatach rzekł: „Była też onegdajsza nasza prośba ku W. K. M., abyś W. K. M. już więcej wedle starych statutów koronnych annat ich m. p. biskupów z Korony wysyłać nie dopuścił, te nam na to odpowiedz od W. K. Mci dano, iż i ten akt około annat do skończenia tej sprawy, którą z ich m. pany duchownymi na przyszłym przełożonym sejmie mieć będziemy, odkładać raczysz. Ale iż my wiemy, że statut jest już na to uczyniony, który jawnie obmawia, gdzie się te annaty obracać miały, a tak prosimy, abyś W. K. M. dosrzeć tego raczył, aby już wysyłane nie były, a owszem, aby już obrócone były na obronę, bo się to nie rychło trafi, aby razem tak wielkie skarby wysyłane być z Korony miały“. O kontrybucyi rzekł: „Też obietnice mieliśmy na warszawskim sejmie, że ich m. panowie duchowni obiecali byli dać kontrybucyę na obronę Rzptej, gdyześmy także też

[1]) Dz. s. 263—264.
[2]) Dz. s. 265—268.

my uczynili (to) byli; a tak tego nie wiemy, jeśli dana była, abowiem widziemy, że na obronę pospolitą ich nie obrócono (!!). A tak przed W. K. Mcią ich m. pytamy, jeśli ich mości to, co byli obiecali, złożyli, i prosim ich m., aby tę kontrybucyę na tę obronę dali, której teraz Rzpta potrzebuje" (!!). Znaną zaś sprawę Uchańskiego, która od półtora roku poruszała do głębi całą opinię publiczną w Polsce, nawiązał zręcznie do kwestyonowanej przez posłów przysięgi, składanej przez biskupów papieżowi. Rzekł tedy: „A iż tego u W. K. Mci prosimy, aby księża biskupi renuncyować raczyli tym przysięgom papiezkim (nie składać ich!), które okazowaliśmy być tak szkodliwe bardzo Rzptej, tedy widziemy teraz, że jeno dla tego samego ksiądz biskup kujawski spokojnego dzierżenia w daninie od W. K. Mci jeszcze nie ma — tedy panowie posłowie pokornie proszą, aby już W. K. M. autoritate sua to uczynić raczył, aby ksiądz biskup kujawski stateczny pokój a dostateczną administracyę swego urzędu miał. A to wszytko, coś W. K. M. z radą i z przyzwoleniem ich m. panów rad uczynić jemu uczynił, i listy, któreś W. K. M. podawać raczył na biskupstwo kujawskie, to wszystko abyś W. K. M. *vigore constitucionis conventus* konfirmować i aprobować raczył, na wszytkie czasy w mocy to zostawując, także i inym na potym biskupom". W słowach tych przedstawił reprezentant izby poselskiej i szlachty daleko idący postulat zupełnego zerwania z Rzymem, do któregoby przyjść musiało, gdyby król zagarnął całą inwestyturę kościelne na rzecz Korony. Jeśliby został wypełniony ten postulat, odpadłaby sama przez się składana przez biskupów przysięga papiezka, odpadłyby annaty i apelacye rzymskie, ustąpiłyby z Polski prawa papiezkie, upadłyby oparte na nich sądy biskupie, runąłby Kościół rzymsko-katolicki a na jego gruzach powstałby inny, zbudowany na protestanckich zasadach, w którym najwyższą władzę piastowałby król.

Słowa Siennickiego przekonały też biskupów, że przeczucia ich i obawy, podsycane szerzącemi się od sejmu warszawskiego wieściami o groźnych dla katolicyzmu zamysłach szlachty, bynajmniej nie były pozbawione podstawy.

W przedłożonym przez siebie projekcie recesu[1]) pomieścili posłowie przy charakterystyce prac sejmu i ich rezultatu ustęp.

---

[1]) Dz. s. 268—273: „Poselskie podanie około odłożenia sejmu do Krakowa (2. Februarii)".

omawiający ugodę zawartą na sejmie z biskupami, tej treści: „A iż też z porządku praw a przywilejów koronnych ukazali nam (scl. królowi) posłowie ziemscy, że od stanu duchownego to sobie za wielką angaryą zową, iż stan świecki do sądów swych wyzywają, nad prawa i przywileje koronne. opowiedając to imieniem braci swej. że pod żadnego inego pana posłuszeństwem być ani chcą ani mogą. jeno pod naszym królewskim. jako głowy przedniejszej w Rzptej; takież też że żadnemu prawu posłuszni być nie chcą ani mogą jeno temu polskiemu, które *ius commune terrestre.* Konfederacyą, którą ich m. w statucie ukazali fol. 76 (korczyńską 1438 r.), zowie, i prosili nas jako pana a króla swego, abyśmy ich nad prawa. wolności a przywileje koronne stanowi temu angaryować takimi ich sądy nie dopuścili — a tak my dobrze na to pamiętając. że jednako wszytkim panujemy i prawa. wolności. dzierżeć jednako każdemu stanowi sąsmy powinni. obiecaliśmy to posłom ziemskim. jakoż i obiecujemy niniejszym pismem: iż na tymże przełożonym sejmie to wszytko dostatecznie przedsięweźmiemy a skuteczny koniec między tymi stany uczyniemy wedle powinności naszej królewskiej tak, iż jeśliże z statutów a z przywilejów koronnych dostatecznie nie pokażą, aby duchowni do sądów swych stanu świeckiego wyzywać mogli, tedy my przy prawiech a wolnościach stan świecki zostawić będziemy powinni a bronić wedle powinności swej będziemy od wszelakich angaryi. praeangarii i weksacyi wedle obowiązku naszego przy koronacyi naszej obiecanego i przyjętego; tamże na tymże przełożonym sejmie po dokonaniu egzekucyi wedle praw a przywilejów koronnych wszytkie różnice tam *in negocio religionis* wedle słowa Bożego, które się zamyka w starym i w nowym zakonie, ku któremu aktowi każdemu człowiekowi będzie wolno przyjechać i odjechać. i ku temu radzić i mówić. coby wedle daru Ducha świętego i pisma świętego wedle starego i nowego zakonu kto rozumiał. tak też około tej jurysdykcyi wedle przywilejów a wolności koronnych wszytko postanowić będziemy powinni z taką pilnością i nie odwłoką jako i najmożniej nam będzie. i jako takie wielkie a ważne sprawy w Rzptej potrzebują. A interim niż się ta sprawa między tymi stany dokona a skutecznego swego końca nie weźmie. tedy z radą rady naszej koronnej i z przyzwolenia posłów ziemskich to ustawiamy. iż do tego czasu stan duchowny żadnej (!!!) jurysdykcyi na stan świecki wyciągać nie mają ani pozwów jakich używać. wszakże stan też świecki od wszytkich innowacyi w Kościele powściągać się ma, któreby słusznie pokazać się mogły być

przeciwne słowu Bożemu". Ustęp ten, jak nie mniej i inne, zawarte w owym projekcie poselskim, zwłaszcza jeszcze jeden, tyczący się klątew kościelnych, przeciwko którym jako tamującym sądy ziemskie tak energicznie protestowali posłowie w pierwszych dniach sejmu, nie uzyskały aprobaty w senacie.[1]) Dowiedzieli się o tem posłowie nazajutrz z ust delegatów senatu, wojewody poznańskiego, Marcina Zborowskiego i wojewody sandomierskiego Spytka z Melsztyna, którzy pojawili się w ich kole w towarzystwie kanclerza. Powiedziano im jednak na razie tylko to, że w podaniu ich około odłożenia sejmu „najduje się wiele rzeczy chwalebnych... wiele ich też jest, które poprawić mogą". W odpowiedzi zaś na rzecz Siennickiego oświadczono, że nie ma się co łudzić nadzieją, jakoby obrona dała się należycie pokryć kontrybucyą kościelną, przyrzeczoną przez biskupów na sejmie warszawskim, albo annatami bieżącemi i resztkami poboru warszawskiego. Kontrybucya wprawdzie została złożoną królowi, ale „ku potrzebom osobnym", a w dodatku została „już obróconą na obronę pospolitą roku przeszłego". Annaty — „które teraz przypadały", aczkolwiek „radby je król mieć na obronę" — „ale iż już wysłane są, nie masz w czym nadzieję mieć". Co się tyczy poboru warszawskiego, wątpi król — „aby co ostać miało, bo jeszcze i żołnierzom tym, którzy służyli po te dwa lecie, nie zapłacono". Wprawdzie tego „podatku" nie znieśli jeszcze poborcy w całości, ale „wiele tych ostatków tam być nie może, jeśliże będzie tysiąc złotych, albo dwa, trzy, to już najwięcej, za które słaba obrona być może". Winę tu ponoszą właśnie owi poborcy, którym podatek „więcej pomógł", niż „Rzeczypospolitej" — „bo się sami zbogacili i pewna wiadomość jest, że po kilka tysięcy i po dziesięć na imiona (na dobra) zadali a do tej doby ani tu z pobory wszyscy przyjechali, ani liczby uczynili". A właśnie „obrony jeśli kiedy tedy teraz najwięcej potrzeba", bo — mówili delegaci senatu — „nie tylko spodziewać się musiemy wtargnienia tatarskiego... abo też i od Wołoch niebezpieczeństwa, ale jeszcze więcej obawiać się musiemy cesarza tureckiego, który, jako jest tego pewna powieść, bierze się wielką mocą do Węgier a snadź i do Wiednia... a zwykł zawżdy odwrót jaki szkodliwy czynić, strzeż Panie Boże, by jeno nie do nas". Aby posłów tem więcej zaintrygować krytyczną sytuacyą, w jakiej się znajdują siły zbrojne Korony, oznajmili im w końcu, że „pan krakowski", Jan Tarno-

---

[1]) Dz. s. 286—287.

wski, złożył w tych dniach godność hetmana w. k., a uczynił to jedynie z tego powodu, że nie widzi w Rzptej „porządku ani statecznej obrony“, że również i krol licząc się z tą sytuacyą wniósł już do senatu projekt nowego podatku, że projekt ten już panowie przyjęli jednomyślnie... a teraz razem z królem oczekują zgodnej decyzyi w tej materyi ze strony posłów. Właśnie król „za jednostajną radą panów ich m.“ przysłał ich ku nim z prośbą — „aby o obronie radzili“ [1])

Propozycya ta, jak nie mniej odpowiedź na mowę Siennickiego, wywołała oburzenie w kołach poselskich. Egzekucya nie dokonana, spór z biskupami nie roztrzygnięty, rzecz o religii zupełnie wykluczona ze sejmu, podatek warszawski zmarnowany, czyż wobec tych faktów mogła się zdobyć izba poselska na powolność dla senatu i króla? Stanowczo nie. Ale obrona dla Rzptej, zagrożonej zewsząd od wrogów, była potrzebna. Należało tedy wykryć takie źródło dochodów, któreby stale na cele tej obrony obrócone być mogło, któreby wyzwoliło raz na zawsze króla z pod zależności stanów Korony, czy to panów, czy szlachty, czy duchowieństwa, i umożliwiło mu zajęcie bezparcyalnego stanowiska wobec godziwych postulatów całego narodu. To źrodło widziała oddawna szlachta i jej izba reprezentacyjna sejmowa w kolosalnych dobrach koronnych, dzierżonych pod rozmaitymi tytułami przez panów. Rewindykacya tych dóbr z rąk dotychczasowych posiadaczy, czyli t. zw. egzekucya dóbr koronnych, była właśnie głównym punktem programu egzekucyjnego stronnictwa reformy państwa, walczącego o nią na sejmach, jak mówił wojewoda poznański, Marcin Zborowski: „od czterdziestu lat“. Kiedy więc senat i krol, nie licząc się z drażliwą sytuacyą sejmową, podnieśli potrzebę nowego podatku na obronę, kiedy oświadczyli kategorycznie posłom, że te źródła dochodów koronnych, na które oni liczyli, są zupełnie wyczerpane, wybuchła wówczas z żywiołową siłą i na tym sejmie piekąca kwestya egzekucyi dóbr koronnych. Wystąpił z nią wobec delegatów senatu pierwszy poseł ziemi sandomierskiej, pan Kietliński. Oświadczył im, że „posłom się w niwecz nie godzi wdawać, póki się dosyć nie stanie egzekucyi“. Zwróciwszy się zaś do swych towarzyszy, odezwał się do nich w te słowa; „Ale aby nas winować nie mogli (panowie), dajmy im pobudkę, a uczyńmy tak: jeśliże co jest między nami u kogo, coby przeciwko prawu trzymał, pójdźmyż z tym do pana swego,

[1]) Dz. 273—275.

a oddajmy mú wszytko. upomnijmyż tam i pany. aby także to uczynili, wszak nam obiecują i klną się, że nie chcą być w tym krzywi Rzeczypospolitej. doznajmyż tego po nich teraz. bo jeśli to uczynią, egzekucya może się stać wszytkiemu za kilka dni, a upomniemy króla IMci, aby dłużej nie dał z siebie szydzić(!), bo jeśli tego nie uczynią, tedy już niech zna, że nie kto iny, ale oni sami dla pożytków swych przekazą są Rzptej do dobrego rządu, a jeśli uczynią, tedy o obronie radzić będziemy".[1]) Słowa Kietlińskiego zostały z entuzyazmem przyjęte przez posłów. Wszyscy gorąco im przyklasnęli, natychmiast też każdy „ochotnie szedł po listy" to jest po papiery donacyjne, które posiadał „przeciwko prawu", i „niósł" je do króla i „kładł" je w obecności panów rady koronnej, rezygnując z nich dobrowolnie — „chuć swą Panem Bogiem oświadczając, iż tego nie żałują ku dobremu Rzptej, że acz to, co puszczają teraz, za wielkiemi wysługami i krwie swej przelaniem przodkowie ich dostali, ale wolą na wysługach swych chramać, a niż wolności Rzptej ubliżyć". Miał na ten temat „ozdobnie" mówić poseł województwa podolskiego, Srocicki i marszałek Siennicki. Posłowie „baczą", mówił marszałek „że nic innego do stanowienia rządu Rzptej nie zawadza więcej, jeno łakomstwo tych, którzy dobra Rzptej zabrali, acz się wszędzie i w radzie W. K. M. oświadczają iż to wroczyć ku dobremu Rzptej są gotowi, a nie zawadzać tym do każdego rządu": „doznajże tego teraz W. K. M., otośmy my, którzy opozad siedziemy (przymówki do Zebrzydowskiego!), przyśli ku W. K. M. osądziwszy się doma, co kto jeno przeciwko prawu trzyma, puszczamy to wolno Rzptej, przywileje jakie kto na co takowego ma, pod nogi W. K. Mci oddawamy, a radzi do tego początkiem jesteśmy, gdyż wiemy, że in ea causa o prymusa natrudniej było..." „a mamy tę nadzieję o inych swych tak z rady W. K. Mci, jako ex privatis, którzykolwiek tu są, że toż, co i my, uczynią, nie dając się w tym napominać, bo gdzieby tego uczynić się ociągali, doznasz już tu W. K. M., kto w Polsce do wszytkiego dobrego przekazuje, a my inaczejbychmy rozumieć o nich nie mogli i między ludźmi stawić, jeno tak, jako prawo pospolite dopuszcza, które jest wszemu światu wiadome: *monitus in conventione nisi dimiserit, ipso facto infamis!*"

„Był to akt osobliwy" — jak mówili zdumieni świadkowie tej sceny zwrotu przywilejów — „była to rzecz w wielkim po-

[1]) Dz. s. 275.

dziwieniu u wszech, że się tak prędko na to posłowie zmówili nad nadzieję“. Płomienny zapał posłów ogarnął kasztelanów, wojewodów — a nawet arcybiskupa i biskupów. Zwracali królowi nie tylko dzierżawy, darowizny, dożywocia i wieczności, ale także urzędy i dostojeństwa, tak zw. *in compatibilia*, piastowane wbrew statutom koronnym w wielkiej liczbie przez jedne i te same osoby z ogromną krzywdą i szkodą dla administracyi państwa. Stanisław Tarnowski, kasztelan zawichocki i podskarbi koronny, zwracając z podziękowaniem królowi wszystkie nadania, o których rozumiał, „iż obrażały prawo pospolite“, dziękował zarazem „Panu Bogu“ za to — „iż się tego doczekał, że ludzie z chuci swej przywiedli się do tego ku dobremu Rzptej“, jak niemniej i „posłom“ — „że tę pobudkę inym wszem dali“. Czyn Tarnowskiego wywołał podziw w kołach senatorskich, *magnam admirationem*. Każdy chciał być pierwszy, prześcigano się w gotowości i ofiarności dla dobra Rzptej: „arcybiskup, biskupi, wojewodowie, kasztelanowie, a *maximo usque ad minimum*, jedni listy już oddając, drudzy je opowiedając a obiecując je bez żadnej odwłoki wroczyć, bo niektórzy skoro uśrzeli posły przychodzące z listy, słali też po swoje“. Dokonał tego aktu zwrotu przywilejów i listów „z ochotną twarzą“ Jan Mielecki, wojewoda podolski i marszałek wielki koronny, prosząc króla, by mu raczył przypomnieć, czy nie trzymał co jeszcze przeciw prawu, oświadczając —„że ma i województwo i marszałkowstwo, z którego każdego ustąpi rad, jeśli przeciwko prawu jest“. Potem przedstawił królowi syna swego, który na rozkaz jego „ekspektatywę na starostwo grodeckie puścił“.

Było tych „listów“, złożonych przez posłów i panów, podług świadectwa obecnych: „około króla IMci na stole, na ławach, na ziemi — pełno!“ [1])

Aliści król z niewytłumaczonych powodów cały ten zapał posłów i powolność względem nich panów obrócił w komedyę. Po krótkiej naradzie, odbytej z senatem, oświadczył przez kanclerza, ku ogromnemu ich niezadowoleniu, że jakkolwiek „wdzięcznie“ przyjmuje i uznaje ich „miłość“ ku osobie swej i chuć ku Rzptej, „że nie litując żadnych wysług i pożytków swych przyszli z przywilejami swymi i poddali je w moc jego, do tegoż też i rady koronne pobudką swą przywiedli, iż każdy ochotnie nie omieszkał się i oświadczyć a przywileje swe kłaść“... jednak tych przywile-

[1]) Dz. s. 275—277.

jów teraz przyjąć nie może, a nie może dlatego, że już jest w toku rzecz „o odłożeniu sejmu". — „zaczym się już tu nic kończyć nie może" tylko chyba jedna obrona. „A przy tem", — mówił do posłów kanclerz: — „upomina J. K. M. macie-li co o obronie namówionego, abyście podać raczyli, a jeśli nie macie jeszcze, raczcie iść do swej izby, a z gotową rzeczą abyście W. M. do J. K. Mci przyszli". Gdy rzekł to kanclerz — „jeli panowie listy swe brać", posłowie zaś nie ruszając się z miejsca oświadczyli, że nie po to je przynieśli przed króla — „aby z nich tylko ta komedya być miała". Oni przynieśli je dlatego, aby już raz było zwrócone to, co było „nieobyczajnie pobrane", aby król „egzekucyę zaczął a zacząwszy konał", gdyż Rzpta cierpi najbardziej przez „odwłokę egzekucyi" — przez owo „rozebranie dóbr królewskich a zniszczenie prawie stolicy", czyli przez otoczenie jej z rozległych królewszczyzn. Jeśli król „zwierza" posłom przywileje ich do przyszłego sejmu, tem łacniej mogą uczynić to oni. Wszak zawierzyli mu już „sprawiedliwość" — „swoje poczciwości", dlaczegoż by nie mieli powierzyć mu „listów" — „tylko aby się im egzekucya stała"? Nie chcieli tedy ich brać — „ociągali się, aż je Król J. M. sam podawał im". Ten sam los, co królewszczyzny, spotkał także „dygnitarstwa". Król je pooddawał wszystkim tym— „którzy je puścili". Wobec tego zrzedniały miny posłom — „i nie z ochotą takowa odesli, jako byli przyszli".[1]) Dzień następny, sobotni 4. lutego, poświęcili dyskusyi nad żądaną przez króla obroną. Tej obrony pragnęli także reprezentanci szlachty ziem ruskich i podolskich, najbardziej zagrożonych od Tatarów i Turków. Czyniąc zadość ich życzeniom i prośbom, zdecydowali się posłowie innych ziem zezwolić na nowy podatek, ale pod pewnymi warunkami. Warunki te przedłożył w ich imieniu królowi na piśmie poseł krakowski, Hier. Ossoliński. Treścią ich było żądanie, aby król za dekretem sejmowym choć w części dopełnił egzekucyi dóbr koronnych. Podobnie, jak na sejmie 1555 r., żądali posłowie, aby król zniósł wszystkie donacye i zastawy poczynione po statucie Alexandrowym, aby poodbierał grody, ponadawane po statucie Kazimierza Jagiellończyka, aby skasował nieprawne alienacye, expektatywy i wszelkie incompatibilia: „abowiem potrzebuje Rzpta *praesentiam* wojewód dla wieców, dla ustaw etc., potrzebuje starosty dla *securitatem viarum, verrendos ragos* i dla sądów, których im Król J. M. nad nami zwierza"... Raczże W. K. M. — czytał

---

[1]) Dz. s. 277—278.

Ossoliński — „to tu statutem abrogować i tak to opatrzyć dobrze a już to nam uiścić, że na przyszłym sejmie o tym stanowione dostatecznie będzie, żeby już takowe dobra, dostojeństwa, urzędy nie mogły ino statutu być ani brane ani rozdawane... tedy my ubliżymy radzi i recesowi warszawskiemu i postąpimy na obronę nateneczas W. K. Mci i Rzptej takiż obyczaj podatku, jako na warszawskim sejmie“. Co się tyczy „sum i extenuacyi“ to jest „arend“ dóbr i dochodów koronnych na dożywocie lub wieczność, zapowiadali posłowie szeroką nad niemi dyskusyę na przyszłym sejmie. Statut Kazimierza Jagiellończyka „*de extenuatione* sum na dobrach królewskich wyraźnie orzeka, że dobra i posiadłości stołu królewskiego mają służyć nie tylko osobie króla lecz także mają być obracane na obronę i zabezpieczenie królestwa.“ Oni tedy pragnąc — „iżby miał król J. M. czym królestwa swego bronić“, proszą go, aby raczył ich zapewnić, że na przyszłym sejmie wszystkie arendy poddane będą rewizyi, aby „rewizorowie byli na to tu *ex utroque statu* deputowani tak z stanu rad koronnych tak też z stanu ziemiańskiego“, bo widzą — „że i w tym wielkie ubliżenie cierpi Rzpta, iż dzierżawy tak roznajmowane są niepobożnie“, nierzetelnie, nieuczciwie, ze szkodą skarbu królewskiego a z korzyścią dzierżawców czyli starostów.[1]) Na powyższe warunki otrzymali posłowie w poniedziałek, 6 tutego, odpowiedź odmowną. Przemawiał do nich w imieniu senatu prymas Przerębski. Jako przyczynę odmowy podał to, iż już się wszystkie sprawy na tym sejmie zawiesiły, że wobec tego nie może już zapaść na nim żaden dekret taki, który musi poprzedzać *cognitio iuris*: „bo tak statut obmawia, że Król J. M. żadnemu imienia brać nie ma bez uznania praw i przywilejów jego“ — na coby trzeba wiele czasu poświęcić. Nakłaniał ich tedy, aby zgodzili się na reces podany im przez króla i panów a zarazem, aby radzili o obronie. Zasłaniać się przeciw tej obronie recesem warszawskim nie mogą, bo już się przeciw niemu na tym sejmie wykroczyło. Wszak radziło się już „o elekcyi, o jurysdykcyi księżej i różnicach z nimi“, chociaż jeszcze nie została w myśl tego recesu egzekucya dokonana. Dlaczegożby nie mieli posłowie radzić o obronie, której Rzpta tak potrzebuje?[2]) Mowa Przerębskiego wywołała spory między posłami a panami głównie o to, czy istotnie w danym

[1]) Dz. s. 278—283.
[2]) Dz. s. 283—284.

wypadku, w skasowaniu darowizn, alienacyi lub incompatibilyów trzeba rozeznania prawnego: „*ut praecedat cognitio iurium* listów“ każdego posiadacza królewszczyzn lub kilku urzędów. Posłowie dowodzili, że z listów tych nikt się nie dowie po nad to, że dano go: *pro necessitate Reipublicae consensu consiliariorum,* ale oni wiedzą: że żadna potrzeba na Rzptą za panowania Króla J. M. dzisiejszego nie przyszła, któraby tak wielkiego rozebrania *mensae regiae* dóbr potrzebowała, gdyż najwięcej Król J. M. jak go kto prosił, rozdał, tak że i sam teraz wyznawa, iż nie ma o czym w Polsce mieszkać,[1]) a komu jeno co dano, każdemu napisano *cum consensu consiliariorum et pro necessitate R. P. etc.*“ „Ale my słychamy“ — mówili — „od w. m., że powiedają niektórzy z w. m., iż o tem ani wiedzą, chociaż je napisano *consencientibus et praesentibus*“.[2]) W końcu oświadczył Stadnicki, że posłowie radziby otrzymać na swoje podanie o egzekucyi i o obronie, przedłożone przez Ossolińskiego, odpowiedź także od króla. Żądaniu temu stało się zadość. Na sesyi złożonej z panów i posłów w obecności króla kanclerz ogłosił zgromadzonym reces sejmowy, którym król, zachowując w mocy reces sejmu warszawskiego, odkładał wszystkie sprawy bieżące do następnego sejmu; poczem wezwał w jego imieniu posłów, aby — „ulitowawszy się sami siebie i braci swej o obronie radzili“.[3]) Stropieni tą odpowiedzią poczęli posłowie swarliwie radzić między sobą, nie wiedząc, co począć. Jedni chcieli już odjeżdżać z Piotrkowa, inni głosowali za tem, aby jeszcze raz wykazać królowi, jak wielką szkodę ponosi on i Rzpta „z tak nieznośnych arend starostw i dóbr krolewskich“, inni przypominali, że należy się im jeszcze od panów pisemna rezolucya na ich projekt recesu z dnia 2. lutego. Idąc za głosem tych ostatnich, wyprawiono do panów delegacyę z prośbą o ową rezolucyę. Aliści rezolucya ta jeszcze więcej rozgoryczyła posłów. Nazwana „poprawą panów rad koronnych o odłożeniu sejmu na spisek poselski“, była raczej skreśleniem jego najważniejszych ustępów, zwłaszcza tych, które dotyczyły soboru narodowego, re-

[1]) O dochodach króla w Polsce, pozastawianych lub porozdawanych przez niego między panów — vide relacye nuncyusza Berarda Bongiovaniego, przybyłego w lecie 1560 r. do Polski w Rel. Nunc. Ap. str. 86 i 97.

[2]) Dz. s. 285. Podobnie mówił o tem w pierwszem swem wotum Zebrzydowski, v. Dz. s. 147.

[3]) Dz. s. 286.

ligii lub jurysdykcyi księżej. Obrażała ona i oburzała autorów „spisku“ do najwyższego stopnia. Temu oburzeniu a zarazem żalowi dał wyraz nazajutrz poseł Hier. Ossoliński, który z polecenia koła rycerskiego wygłosił wobec króla i senatu „długą a wywodną rzecz“ na temat przebiegu sejmu i losu, jakiego na nim doznały sprawy poruszone przez posłów. Było to dnia 7. lutego, we wtorek. Król zaintrygowany mową jego, zapragnął ją mieć na piśmie. Na prośbę jego streścił ją Ossoliński jeszcze tego samego dnia i oddał ją do jego dyspozycyi. [1])

W streszczeniu swej mowy poruszył autor sprawę religii i jurysdykcyi księżej, o które kruszyli kopie z biskupami posłowie, głównie w ustępie dotyczącym odrzuconego przez senat recesu poselskiego. Pisał tamże: „My podaliśmy formę wedle rozkazania, jakibyśmy reces sobie bezpieczny być rozumieli, który nam zasię przyniesiono, pomazawszy wiele rzeczy i odmieniwszy też niektóre. My widząc, że te rzeczy, które tam zmazane były, nie były napisane tak, jakoby w czym obrażały albo zwierzchność Króla J. M. albo prawo pospolite, albo żeby też były przeciw rozumowi, tedyśmy z takiem wymazaniem niebezpieczno sobie rozumieli przyjąć takowy reces. Abowiem wymazano tam było to, gdzieśmy napisali, aby było uznawanie *causae religionis* wedle starego i nowego zakonu; też innowacye w kościelech aby nie były takie, któreby były przeciwne słowu Bożemu, abowiem my wiemy, że i przodkowie nasi inakszej wiary nie przyjęli, jeno taką, którą Syn Boży na świat przyniósł, czego są dobre znaki w kronikach naszych i niedawno ten święty obyczaj w Polsce ustał, iż przodkowie nasi słuchali tej świętej ewangelii, wedle której my *religionis causam* decydować chcemy i w kościelech swych innowacye czynić. Tej ewangelii świętej oni słuchając, mieczów do połowice dobywali, okazując to, że żadnej inszej nauki bronić nie chcieli, jeno tej samej ewangelii świętej, przy której my też tak, jakobyśmy stać powinni, tak za łaską Bożą i pomocą chcemy (!!). Wymazano też tam w tym naszym recesie i to, żeśmy napisali, aby to u sądów nic nie szkodziło, gdzieby kto w klątwie był, gdyż to widziemy być przeciwne prawom naszym polskim. Złożono też tam i to pospołu, czegośmy my mięszać społu nie chcieli, iż Król J. M. obiecuje tak egzekucye statutom a przywilejom naszym, tak też *causam religionis* pospołu

[1]) Dz. s. 286—288.

na onym przyszłym sejmie postanowić; abowiem widziemy, że *causa religionis* prze pożytek tych, którzy tym potyli od kilkuset lat w krześciańśtwie (papieże, biskupi etc.), kończyć się nie może; a tak my widząc, iżeby to takie pomieszanie tego nie mogło nic dobrego a pożytecznego uczynić, gdyż insze jest *negocium executionis* wedle statutów a przywilejów naszych a insze *negocium religionis* wedle pisma biblii św.: mogłaby się *religionis causa* przez toż tu nie dokonać, przez co się tak indzie odwłacza, tedybyśmy my też do rządu swego, którego bardzo potrzebujemy a przez którego Korona stać nie może, nigdy nie przyszli, do którego to, co egzekucyą zowiemy, zawadza. A takeśmy byli napisali, aby po dokonaniu i wypełnieniu wszytkiej egzekucyi, dopiero też na tymże sejmie *causa religionis* stanowiona była. Wymazano też i to, cośmy byli napisali, żeby ku takiemu aktowi, gdyby przyszło *ad causam religionis*, było wolno każdemu przyjechać, mówić i radzić wedle słowa Bożego, i jeśliżeby gruntowniej z pisma świętego ukazał, i konkludować wedle nauki apostolskiej, która rozkazuje, aby starszy milczał a słuchał, kiedy młodszy co lepszego powie...“ [1])

Starsi — to biskupi, obrońcy katolicyzmu rzymskiego, młodsi — to posłowie, wyznawcy nauki apostolskiej, tej ewangelii, którą głosił sam Chrystus. W słowach tych ujawnili reprezentanci szlachty kategoryczniej niż kiedykolwiek przedtem, w ciągu całego sejmu, swoje przekonania religijne, tchnące duchem protestanckim, potępiające wszelką tradycyę kościelną, cały dotychczasowy porządek kościelny i jego stróżów — biskupów!

Był to ostatni atak na biskupów, katolicyzm i Kościół, lecz został odparty — i spełzł na niczem. W odpowiedzi, którą ułożono dla posłów nazajutrz, oświadczono im: „A iż to sobie przykro bierzecie, że wymazano jest *vetus et novum testamentum*, gdzie zmianka jest *de negocio religionis*, toż się Boże uchowaj nie przeto stało, aby ta nauka *religionis* nie z tych ksiąg *veteris et novi testamenti* uznawana być miała, jeno to się zdało nie potrzeba tego opisować, co wszyscy jawnie znają, iż nie zkąd inąd, jeno ztąd ma być determinowana ta wszytka nauka *religionis*... [2]) A takież

[1]) Dz. s. 288—293: „Te były contentu w naszej mowie“ — nagłówek, jaki położył Ossoliński na swojem streszczeniu.

[2]) Autor dyaryusza robi uwagę: O toż vera senatorium responsum! Był więc nim poseł, a tym posłem był Ossoliński, — podług tytułu

gdy księża ich m. obiecali się *supersedere* (wstrzymać) do przyszłego sejmu od juryzdykcyi swej, tedy też to słusznie chcieli, aby żadne innowacye w Kościele nie były wedle postanowienia sejmu warszawskiego (!!). Wymazano też to było, gdzieżeście w. m. napisali, aby u sądów ziemskich klątwami nikomu prawa nie przekazano, toć się pokazać może z dawnych dekretów, że miejsce miały i małoby zawadzać mogły, gdyż jest wolna apelacya od nich na sejm, a wszakoż ich m. panowie duchowni pozwalają tego w. m. na ten czas, iż nie mają być oponowane ani stronom, ani świadkom *pro hac vice* (wzajemnie). A iż też społem na to odłożenie tego sejmu złączona jest i religia i egzekucya, tedy to tak być musiało, bo się wszytko społem odprawować musi, co się nagodzi, bądź religia, bądź egzekucya, bądź juryzdykcya, żeby się wszytko dokonało. Aby też ku temu aktowi *religionis* mieli być wiedzeni ludzie z cudzych krajów, tedyby to było ku niejakiej zelżawości narodu polskiego; gdyż i miły Pan Bóg nie upośledził go dowcipem i godnością, jako i ine ludzi, że to dobrze odprawić sam może, nie szukając cudzych dowcipów, a mogłoby się to przygodzić, żeby ten akt przy nich nie był skończon, albo się czym rozwiódł, aleby to było z wielką zelżywością Koronie." [1]) W słowach tych wyrażono protest przeciw dążnościom i aspiracyom protestanckim izby poselskiej, która w myśl żądań szlachty i jej reprezentanta duchowego, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, radaby była zespolić wszystkie żywioły chrześciańskie ku wspólnej pracy nad reformą Kościoła, tak polskie jak obce, nosząc się z myślą zwołania powszechnego soboru chrześciańskiego i dokonania na nim pożądanej przez wszystkich poprawy stosunków religijnych i kościelnych. [2]) Takie dążności i aspiracye godziły wprost w serce Kościoła, papiestwa, jego instytucyi i hierarchii. Rozumieli je dobrze biskupi, rozumiał je nasz Zebrzydowski. I bez wątpienia, jeśli senat stał w opozycyi do nich i przeciw izbie w ciągu całego sejmu, to ulegał wpływom biskupów, wpływowi wymownego Zebrzydowskiego, który umiał bronić i chętnie bronił

---

mowy przez niego wypowiedzianej 7. lutego, a potem na życzenie króla streszczonej: „Te były contentu w naszej mowie". (Dz. s. 288).

[1]) Dz. s. 294—295. Wiedziano o tych zamiarach szlachty dysydenckiej oddawna w sferach dworskich i duchownych — vide Rozdział poprzedni, początek i koniec.

[2]) Vide uchwały zjazdu secemińskiego z stycznia 1556 r., jak wyżej, podług aktów Jakoba Sylwiusza zam. w „Istoria" Liubowicza.

praw i prerogatyw Kościoła, jako rzeczy, od których zawisłe były losy hierarchii, stanowisko i powaga samych biskupów.

Do powyższej rezolucyi, którą podano posłom jak zwykle w związku z innemi sprawami sejmu, głównie zaś z temi, które poruszył w swej rzeczy Ossoliński, dołączono wezwanie, aby posłowie się rozjeżdżać nie raczyli bez postanowienia obrony ..[1])

Dr. Tadeusz Troskolański

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Dz. s. 296.

Z podróży do Szwajcaryi.

I.

Z Sargans do Zürychu. — Pobyt w Zürychu. — Z Zürychu do Genewy. — Genewa i jej okolice. — Lemanem do Lausanny. — Lausanna. — Fryburg. — Bern.

Pierwszym aktem na wolnej ziemi Tella. jest rewizya cłowa, niezbyt surowa. Sargans należy do jednego z 59-ciu głównych urzędów cłowych i w handlu z Austrya obok Bregencyi odgrywa główną rolę pośrednika. Handel z Austryą od czasu wybudowania kolei arulskiej podniósł się znacznie, ale ze swymi 69 milionami franków wywozu do Szwajcaryi i 45-ciu milionami franków przywozu ze Szwajcaryi, stanowi zaledwie 6—5% całego importu i eksportu szwajcarskiego. Zboże. bydło. wino i cukier, oto główne artykuły dowozu z naszej monarchii; jedwab. ser, zegarki, oto wywożone do nas towary szwajcarskie. Po załatwieniu formalności cłowych. siadamy do wagonów szwajcarskich, jasnych. przejrzystych, schludnych. Kolej mija miasteczko Sargans ze starem zamczyskiem hrabiów na Toggenburgu. Na myśl przychodzi ów szylerowski rycerz z Toggenburga. który ukochaną znalazłszy w klasztorze, jako pustelnik osiadł pod klasztorem i długie lata patrzył w stronę klasztoru... *Bis die Liebliche sich zeigte...*

Było to bardzo dawno. Dziś w Szwajcaryi niema ani rycerzy, ani szlachty, ani romantycznych. zdaje się. kochanków. Dzisiejsi Szwajcarzy to obrotni, obrachowani i sprytni geszefciarze. którzy,

czy z tradycyj dziejowych, czy romantycznego piękna swej ojczyzny, czy z przemysłu, czy z gości rozmarzonych, ciągną grube zyski. Nie obdzierają, jak nasi górale, ale strzygą gładko, pięknie i umiejętnie złote pióra przybywających gości. A gości tych rocznie 300 do 400 tysięcy do Szwajcaryi przybywa, którzy dochodu brutto około 150 milionów franków samym hotelistom przynoszą. Szwajcarya liczy obecnie około 2 tysięcy hoteli z 150.000 łóżek gościnnych, wartości więcej niż pół miliarda franków. Niemcy stanowią jedną trzecią część gości, Anglicy jedną szóstą, Francuzi jedną ósmą, Amerykanie jedną dwudziestą część. Najbardziej lubiani przez Szwajcarów są Anglicy i Amerykanie, bo najlepiej w pierze porośli. Jedziemy wązką doliną rzeczki Secz, między Alpami Glerneńskiemi a St. Galleńskiemi. Wkrótce dojeżdżamy do jeziora Walleńskiego, wzdłuż którego południowego brzegu wiedzie tor kolejowy. Jezioro ma 15 km. długości, a 2 km. szerokości. W jasno-zielonej toni jeziora odbijają się ponure ściany Siedmiu Kurfurstów, sięgające szczytami do wysokości naszej Świnnicy. Czarne ściany zdobią srebrzyste wstęgi spadających potoków. Pociąg nasz ustawicznie zapada się w tunele, przełamane w skałach kąpiących się w jeziorze. Jezioro w tem obramowaniu fantastycznych wirchów, turni i skał, majestatyczny, dziki i groźny ma wygląd, przypominający nieco pejsaże naszego Morskiego Oka; uchodzi ono, obok jeziora Czterech Kantonów, za najpiękniejsze z jezior szwajcarskich. Na zachód od jeziora góry się znowu rozstępują; jedziemy rozległą doliną wśród łagodnych wzgórz, a niebawem wychyla się seledynowa prawie olbrzymia tafla jeziora Zürychskiego, w obramowaniu odmiennem całkiem od fantastycznych a dzikich konturów jeziora Walleńskiego. Ma ono 40 km. długości a 4 km. szerokości. Połogie wzgórza, wznoszące się najwyżej do 800 m., pokryte winnicami i sadami, okalają jezioro. Obręcze kolei żelaznych otaczają jezioro, bo nawet przy Rapperswylu wązką tamą dzielą jezioro na dwie części. Całe jezioro okolone jest wieńcem miast, wiosek, uroczych will, hoteli, stanowiących przedmieście jedynego wielkiego miasta szwajcarskiego Zürychu. Około Wädenswil jezioro jest najszersze. Pod wpływem promieni słońca mieni się jezioro cudowną grą barw. Błękit nieba odbija się w szmaragdowej toni, a jak stado łabędzi płyną po niej wizerunki obłoków. Wśród nich zaś widnieją z czarnemi wstęgami parowce, migocą białe żagle statków, lub łupiny maleńkich barek i łodzi.

W miarę, jak się zbliżamy do stolicy przemysłowej Szwajcaryi, wille i ogrody stają się coraz ozdobniejsze i wspanialsze; czuć, że mijamy z konfortem urządzone siedziby bogatych fabrykantów jedwabiu i maszyn. Zdala witają nas wieżyce i kominy Zürychu. Niebawem stajemy o piątej po południu i wysiadamy na olbrzymim dworcu zürychskim. Lokujemy się szybko w pobliskim hotelu, by widzieć jak najwięcej z ciekawej siedziby Zwingliego. Na północnej kończynie jeziora, po obu brzegach wypływającej z jeziora rzeki Limmatu, rozsiadł się pomiędzy górą Zürichską a Utli dzisiejszy Zurich, starożytne Turicum. Dziś liczy miasto 180.000 mieszkańców z przedmieściami. Jak wszystkie miasta zachodnie, powstało ono pod skrzydłami Kościoła, około dwóch opactw z czasów frankońskich: Grossmünster i Frauenmünster. Przy kolegiacie Grossmünsteru, fundacyi św. Feliksa i Reguli, był kaznodzieją Zwingli, założyciel szwajcarskiej reformacyi, który katolicyzm wytępił w mieście i wraz z nim zniszczył wspaniałe zabytki kościelnej sztuki z czasów romańskich i gotyckich. Dziś z pomiędzy mieszkańców Zürychu blisko czwarta część jest katolikami; posiadają oni ze składek zbudowany niedawno piękny kościół pod wezwaniem P. Maryi w stylu romańskim. Stare opactwa są w posiadaniu Zwinglian, którzy z wielką gorliwością odgrzebują zniszczone zabytki sztuki chrześcijańskiej, odnawiają stylowo zburzone niegdyś przez ich ojców krużganki traktując je wszakże tylko jako archeologiczne pomniki.

Zwiedziliśmy przedewszystkiem Grossmünsteru romańską świątynię, budowana między XI. a XIII. wiekiem. Kościelny, oprowadzający nas po świątyni, recytujący stereotypowo swe wiadomości o kościele, ściągnął przedewszystkiem przepisaną taksę wstępną. Dziwne, lecz smutne wrażenie robił ten kościół wspaniały z romańskimi filarami, z gotyckiemi oknami kolorowanemi, z nagą płytą w miejscu ołtarza, z fragmentami odkopanych posągów świętych i płaskorzeźb przy ścianach! Rewolucya reformatorów zniszczyła to była wszystko, a dziecię tej reformacyi, dzisiejszy liberalizm, odkopuje wandalizmem reformatorów zniszczone szczątki z wielkim pietyzmem, jako zabytki dawnych czasów. Kto wie, czy to zamiłowanie do chrześcijańskiej katolickiej sztuki, nie obudzi tęsknoty za duchem katolickim!

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedyśmy spieszyli na górę Zürichską do restauracyi Rigiblick, aby z wysokości 600 m. oglądać całą panoramę Zürychu. Wśród winnic i parków leży wspomniana restauracya, w której spotkaliśmy się po raz pier-

wszy z winem bez alkoholu. Coraz bardziej bowiem, zwłaszcza wśród kulturnych społeczeństw, jakiem jest szwajcarskie, budzi się reakcya przeciw alkoholizmowi, tej pladze całej ludzkości, przynoszącej jej tyle nieszczęść, tyle zwyrodnienia i tyle zniszczenia. W Zürychu też do walki nie na żarty zabrano się przeciwko wyuzdaniu seksualnemu w postaci domów publicznych. Dziś wszystkie te zakłady są zniesione, a handel żywym ludzkim towarem znacznie osłabł, zwłaszcza odkąd fakultet medycyny stanął na czele ruchu obyczajowego. Tu w Zürychu wygłaszano pierwszy raz twierdzenie, i to z ust powag uniwersyteckich, iż maksyma, jakoby wstrzemięźliwość szkodziła zdrowiu, nie jest pochodzenia naukowego, lecz zrodziła się wprost w domach nierządu. Tu poważny profesor medycyny głosił setkom akademików, że lekarz radzący młodemu człowiekowi używanie kobiety przed małżeństwem, popełnia zbrodnię nikczemną. Widać, że społeczeństwo, które na tak energiczną walkę z najgorszymi nałogami i namiętnościami ludzkiemi się zdobywa, musi być zdrowem i dzielnem. Przyczyniła się do tego niewątpliwie i ta urocza przyroda, w takie cuda i wdzieki wyposażona. Podziwiać te cuda można było z tarasu naszej restauracyi w blaskach zachodzącego słońca. Pod naszemi stopami, terasami, opadało Zürychskie quartier latin, pełne will, tonących w zieleni drzew i winnic, zakładów naukowych i kościołów. Na dole nad jeziorem po obu brzegach Limmatu i rzeczki Sihl, rozsiadło się stare miasto handlowe z ciekawymi mostami, ratuszami, kościołami, halami targowemi i t. d. Za Sihl rozpościera się coraz bardziej nowe miasto fabryczne z dymiącymi się kominy i sięga het po stopy góry Urii na zachodzie. Na południu rozlewa się zielono-błękitna toń jeziora, pokryta tysiącami barek, łodzi, okrętów i parowców. Na południowym wschodzie podnoszą swe czuby olbrzymy alpejskie; lekka zasłona szężogi przesłaniała nam widok na te wiecznie urocze, najstarsze córy Szwajcaryi, w swych białych srebrnych czepcach, a błękitnych szatach, rumieniące się wdzięcznie, ile razy zachodzące słońce na ich czołach pocałunek na dobranoc składa. Na zachodzie rozściela się wielka wyżyna szwajcarska, a het na północ widnieją niskie wzgórza jurajskie a nawet majaczeją krawędzie sinego Czarnego Lasu. Stary Szwajcar, który wraz z wnukiem na te urocze terasy Rugiblicku przybył, by spożyć tu wieczerzę, z dumą pokazywał nam piękności miasta i sławił swobody swej ojczyzny, w której jest tyle piękna, tyle wolności, tyle nauki, tyle dobrobytu i zdrowia. Słońce chowało się już het za garbami jurajskimi, kiedyśmy ścieżyną połu-

dniową spuszczali się nad jezioro. Mieliśmy sposobność podziwiać niesłychanie staranną kulturę winnic. Tu też przekonałem się, dla czego te pola winne mają barwę błękitnawą. Celem ochronienia ich od mszyc, nakrapia się liście mieszaniną witryolu i wapna; każdy liść zwiędły czy nadpsuty musi być usunięty. Ale też za to plon takiej winnicy jest naprawdę złoty i opłaca robotnikowi znój i pot sowiciej, niż nasze pszeniczne pola i łany.

Już mrok zapadał, kiedyśmy przez most skwerowy nad Limmatem przy samem jeziorze, zdążali do Tonhali nad skwerem alpejskim. W ogrodzie nad jeziorem zgromadzona była najwytworniejsza publiczność Zürychu, by przysłuchiwać się dźwiękom koncertu. Po dniu gorącym orzeźwiający chłód nadjezierny oraz zieleń drzew i krzewów elektrycznością oświeconych, dalej widok na majaczejące w półmroku jezioro oraz dźwięki wytwornej muzyki, oddziaływać musiały uspokajająco na nasze sforsowane nerwy. „*Nunc est libendum*", chciało się powtórzyć za Horacym, trzymając szklanice szwajcarskiego wina bez alkoholu; ba, kiedy na wspomnienie „*Cras ingens iterabitur aequor*" trzeba było pomyśleć o spoczynku i wczasie dla dalszej podróży.

Do oglądania osobliwości Zürychu zostawało nam pół doby; oglądaliśmy to, co było najgodniejszego do widzenia, a więc główną arterye Zürychu t. zw. ulicę kolejową ze swymi bankami, wystawami jedwabnych materyj i t. d. W pobliżu znajduje się przed gmachem szkoły ludowej Linth-Escherowskiej niedawno wystawiony pomnik najgłośniejszego pedagoga, nowożytnego Pestalozziego, syna Zürychu. Ze spiżu ulany posąg autora Lienharda i Gertrudy przypomina światu tego najmniej może udolnego i najmniej praktycznego pedagoga, ale najwięcej zapalonego i najszlachetniejszego ideologa, który światu przypomniał jedną z największych zdobyczy dydaktycznych, t. j. że wszelka nauka powinna być opartą na poglądzie. Jeżeli zaś zważymy powszechny kult bałwochwalczy dla słowa w szkolnictwie ówczesnem, znajdujący swój klasyczny wyraz w takim Alwarze, wtedy głosicielowi nowej ewangelii dydaktycznej, mimo wszelkich błędów i śmieszności, od jakich nie był wolen, należał się spiżowy pomnik od potomności, oswobodzonej choćby w części od bezdusznej tresury pamięciowej w szkole.

Daleko mniej zasługiwał na spiżowy pomnik w najpiękniejszej dzielnicy Zürychu, tj. w Starem mieście, obok t. zw. Münsterbrücke, przy dzisiejszej bibliotece miejskiej, Zwingli, prorok racyonalizmu w dziedzinie religijnej, fanatyzmu i nietolerancyi

w dziedzinie społecznej, a barbarzyńskiego wandalizmu w dziedzinie sztuki.

Obok następnego mostu ku północy znajduje się renesansowy ratusz Zürychu z XVII. w. Piękny, wczesny gotyk znalazłem w kościele Frauenmünster na zachodnim brzegu Limmatu, a opodal kościół św. Piotra z potężną, ciężką wieżycą, przy którym był pastorem przyjaciel Goethego, wynalazca swego czasu tyle podziwianej, a później wyszydzanej fizyognomiki, Lavater. Wogóle Zürych w dziejach umysłowości niemieckiej odegrał nieposlednią rolę w XVIII. w. Dość wspomnieć Zürychczyków: Gessnera, tyle popularnego swego czasu Teokrita, dalej Bodmera i jego walki z Gotschedem, pobyt w Zürychu Goethego i Klopstocka, uwieczniony wspaniałą odą na cześć jeziora. Dziś Zürych jako ognisko kulturne dla Niemców, oglądających się na Berlin, stracił swe znaczenie. Zdobył zaś sobie rozgłos i sławę jako ognisko naukowe dla słowiańskich mieszkańców Europy, dla Polaków i Rossyan. Na zachodniem wybrzeżu, terasowato wznoszącem się ku górze Zürychskiej, znajduje się głośne Quartier latin Zürychu, tonące w zieleni drzew, ze swoim Uniwersytetem, Politechniką, ze swemi laboratoryami, zbiorami, klinikami, ogrodami i różnemi instytucyami. Uniwersytet liczy dziś około 150 profesorów i docentów i około 1.000 studentów i słuchaczy: wśród nich $^{1}/_{5}$ należy do płci pięknej. Głośniejszą jest Politechnika, licząca półtora tysiąca słuchaczy, a więcej niż półtorasta profesorów. Piękność okolicy, swoboda i wolność, jaką się cieszy młodzież na wolnej szwajcarskiej ziemi, warunki przystępne pod względem ekonomicznym, wszystko to sprawia, że uciskana na wschodzie młodzież, szuka tu nie tylko oświaty i wiedzy, ale swobody i wolności. Czy jednak radykalizm poglądów, wyniesiony tu z ogniska zürychskiego, młodzieży naszej daje szczęście, przynosi społeczeństwu naszemu dzielnych i pożądanych pracowników? Duch epigonów Zwinglego z duchem Kordeckich i Skarg, z duchem męczenników podlaskich i krożańskich chyba nigdy się nie zgodzi!

Pół dnia upłynęło nam rychło na tej peregrynacyi naszej po zürychskim bruku, po starym i nowym Zürychu; piorunem trzeba było hotelowe załatwić sprawy i dążyć na pociąg, który nas miał dowieść wieczorem nad błękitne fale Lemanu. Do okien wagonu zaglądały nam długo kominy i warsztaty fabrycznego Zürychu, trzymające się szyn kolejowych. Wszak kolej to ożywiająca tętnica przemysłu, a zwłaszcza szwajcarskiego. Nie trzeba bowiem zapo-

minać, że Zurych po Medyolanie i Lyonie, to największe ognisko przemysłu jedwabnego w Europie. Istnieje tu 83 fabryk tkackich jedwabiu, które nietylko w Zurychu, ale w różnych miastach szwajcarskich a nawet za granicą posiadają krosna tkackie w liczbie 28.538. W r. 1900 było w Szwajcaryi 46.619 robotników zatrudnionych w jedwabnictwie; wyprodukowano 48.800.000 metrów materyi jedwabnej, wartości 108 milionów franków: w roku następnym produkcya przyniosła blizko 117 milionów franków. Surowego jedwabiu sprowadza Szwajcarya rocznie 1.712.000 kg. wartości 77 milionów franków, przeważnie z Włoch, ale ostatnimi czasy wprost z Chin i Japonii. Eksport jedwabiu ze wschodniej Azyi znajduje się przeważnie w ręku szwajcarskich firm. Nieco na znaczeniu w ostatnich czasach straciła industrya bawełniana, głównie wskutek konkurencyi we Włoszech, Japonii, Chinach i Indyach. Mimo to czynnych jest w Szwajcaryi obecnie około 1.862.000 wrzecion, z czego na Zürych i okolice 812.000 przypada. Wartość wywozu materyj bawełnianych, wynosząca przed dwudziestu laty około 23 milionów franków, obecnie spadła na 17 milionów, z czego znowu na Zürych przypada połowa. A i materyj wełnianych sporo wywozi Szwajcarya z Zurychem na czele. W roku n. p. 1900 wywieźli Szwajcarzy za 6,800.000 fr. materyj wełnianych, z czego za 3,600.000 do samej Japonii.

Największy jednak wzrost wykazuje przemysł żelazny w Zürychu. Założenie Politechniki i szkół przemysłowych w szeregu miasteczek szwajcarskich, jest zdaniem ekonomistów szwajcarskich, w znacznej części przyczyną tego rozkwitu przemysłu żelaznego, zwłaszcza w dziedzinie hydrauliki i elektryczności. Gdy w r. 1892 wywóz produkcyi żelaza w Szwajcaryi wynosił 20 milionów franków wartości, to w 1900 r. 49.500.000, w 1901 r. 47,400.000 franków. Cyfry te najlepiej świadczą o wszechświatowem znaczeniu głównego ogniska przemysłowego małej Szwajcaryi. One też znakomicie nam tłumaczą, dlaczego Zürych tak szybko wzrasta i stał się jedynem naprawdę wielkiem miastem w małej Szwajcaryi.

Wnet po fabrykach Zürychu zostały tylko sine plamy na wschodzie; pociąg nasz spieszył przez wyżynę szwajcarską, objętą od wschodu murami niebotycznych Alp, a od zachodu ścianą wapienną Jur szwajcarskich. Pejsaż przypominał nam okolice faliste około Krakowa i Bochni, niestety, jeżeli kulturę uwzględnimy, o ile stoimy niżej od zasobnej Szwajcaryi! A jednak i węgla mamy dosyć i taniego robotnika, dlaczego więc ten przemysł tak

jakoś u nas rozwinąć się nie może! Czy może nam braknie przedsiębiorczości, energii, wytrwałości i obrotności Szwajcarów? Co do warunków komunikacyjnych, bodaj czy Szwajcarya nie w gorszych znajduje się warunkach niż Galicya. A jednak jak my daleko za Szwajcarami!

Pociąg zbliżał się tymczasem do prostolinijnych wałów Jury szwajcarskiej, a przejechawszy ponad mętne fale Aary, stanął na chwilę w Solurze, gdzie pierwszy bohater Nowej Polski, po stracie ojczyzny, znalazł bezpieczny przytułek i przepędził ostatnie chwile życia. Chciałoby się zobaczyć dom, w którym bohater narodowy przebywał. Niema czasu niestety, parowóz pędzi coraz bliżej ku winodajnym stokom bezgarbnych fal jurasowych: nagle rozlała się przed nami olbrzymia tafla seledynowa jeziora Bielskiego, a potem Neuchâtelskiego. Jedziemy między stokami Jur a brzegiem zachodnim jezior. Fala zielonawa liże miejscami prawie tor kolejowy. W dali odległej majaczeją szczyty Alp Berneńskich, a przy nas lśnią się i mienią zwierciadła jezior cudownymi blaski. Raz po raz mignie przed nami to fabryka czekolady, to jakieś zameczysko, tonące wśród zieleni niezwykłych dla polskich oczu winnic. Najlepsze gatunki wina szwajcarskiego pochodzą z wschodnich stoków Jury, sąsiadującej przecież z Burgundyą i z nad wybrzeży jeziora Genewskiego, Neuchâtelskiego i Bielskiego. Przestrzeń 32.300 ha zajmuje w Szwajcaryi kultura winogradu i przynosi rocznie 1.382.000 hl wina w cenie 50 milionów franków, a jeżeli się wino obrodzi, tedy zbiera się i do 2 milionów hektolitrów: a mimo to ilość ta nie wystarcza i drugie tyle trzeba sprowadzać z zagranicy, oczywiście dla wybrednych i bogatych turystów.

Szczególniej malowniczo wygląda Neuchâtel nad jeziorem z potężnymi murami i wieżycami średniowiecznego zameczyska, własność czas długi (od r. 1707 - 1848) królów pruskich. Okolica jeziora Neuchâtelskiego, to arena najwspanialszych czynów ludu szwajcarskiego. Tutaj skruszyła się o bitność, dzielność i patryotyzm chłopów i mieszczan szwajcarskich pycha i buta rycerstwa średniowiecznego, tu ostatni średniowieczny burgundzki książę-rycerz stracił swe skarby i swe wojska pod Grandson i Murten, w chwili, gdy chciał nałożyć pęta na jedyny wolny lud w Europie. Te walki dopiero wsławiły szwajcarskie imię po całej zachodniej Europie i na długie czasy szwajcarskim kondotierom zjednały pierwszeństwo przed innymi najemnikami, zarówno we Francyi, jak i we Włoszech i Niemczech. Około 40.000 Szwajca-

rów od r. 1400—1792 znajdowało się w służbie królów francuskich, drugie tyle w różnych krajach niemieckich.[1])

Słońce już się chyliło ku zalesionym szczytom jurajskim, kiedy pociąg się zbliżał do rozkosznych wybrzeży Lemanu pod Morges. Błękitne jego fale raz po raz wynurzały się z poza winnic i uroczych ogrodów, za cudną tonią widne były śnieżyste najwyższe czuby Europy: Mont Blanc, Aigle du Géant, D'Argentierre, Mont Dolleut i t. d. i t. d: poniżej nich błękitniały na nieboskłonie łagodne przedgórza Sabaudyi. Już zmierzch zapadał, kiedyśmy stanęli w cudnej rozkosznej Genewie, błyszczącej od światła elektrycznego, rozbawionej, rozśpiewanej, rozpuszczonej. Już północne biły godziny, a miasto jeszcze drgało od życia, od dźwięków, od krzyków, od orgij, to miasto, gdzie przed trzema i pół wiekiem dyktator religijny, Kalwin, chciał urzeczywistnić ideał życia rygorystyczno-racyonalistycznego!

Genewa, pierwotna osada celtyckich Alobrogów, głośna z walk rzymskiego cezara z Celtami, siedziba królów burgundzkich, miejsce koronacyjne Konrada II., założyciela imperyalizmu salickiego w XI. w., pogromcy pierwszego królestwa polskiego z czasów Mieszka II., widownia długich walk między hrabiami Sabaudyi a biskupami Genewy, protestancki Rzym w XVI. w. — dziś jest najrozkoszniejszym asylem bogatych emerytów i rozbitków, ogniskiem wielkiego przemysłu zegarkowego i bižuteryjnego, liczącem 216 milionerów, siedzibą żywego ruchu umysłowego. Jeszcze między r. 1832 a 1835, obyczaje genewskie zadziwiały Słowackiego. Dziwiło go, że panny same chodziły po ulicach, że przed pobraniem się młodzi ludzie kochali się po lat dziesięć i że miasto ma dziwną postać moralną. Dziś miasto, licząc blizko sto tysięcy mieszkańców, pod względem luźności obyczajów, pijaństwa i rozpusty nie ustępuje wcale Paryżowi. Nigdzie może nie uwydatnia się kontrast między zdrowszym jeszcze germańskim żywiołem a zdegenerowanym romańskim, jak porównywując skromne życie n. p. w Einsiedeln lub Fryburgu, a nawet w Züryclıu z rozhukanem życiem genewskiem. Ogromna ilość szynków, restauracyj, handlów cygar, świadczy o nadużyciu alkoholu i nikotyny przez dzisiejszych mieszkańców Genewy. Hulaszczość zaś, lekkość obyczajów i nocne zabawy z pewnością grozą napełnią nietylko purytanów

[1]) W. Studnicki: Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne w Szwajcaryi, 36.

o pokroju Kalwina. Nic dziwnego, że w Genewie tak samo jak w Zurychu, widzimy zorganizowany silny odruch przeciwko rozpuście, alkoholizmowi, w towarzystwie międzynarodowem ku zwalczaniu rozpusty i chorób płciowych. Dzisiejsze miasto nie jest ani czarne, ani smutne, ani murami otoczone, jakiem było za czasów naszego Juliusza. Prześliczne bulwary, skwery, ogrody, na miejscu posępnych średniowiecznych baszt się rozpostarły i umaiły miasto nad błękitnym Lemanem po obu brzegach zielonego Rodanu położone. Mieszkając na ulicy Mt. Blanc, pierwsze kroki skierowaliśmy na most M. Blanc, mający 260 m. długości, a krótko przed zawitaniem twórcy „Lilli Wenedy“ do Szwajcaryi wykończony. Widok ztąd na miasto, na góry, na jezioro, na Rodan najpiękniejszy: nie dziw, że spacer po tym moście nietylko w czasie pobytu Słowackiego był modnym dla Genewczyków, ale pozostał nim po dziś dzień. Tuż obok znajduje się na Rodanie wysepka filozofa rewolucyi i rewolucyonisty w pedagogii, Jana Jakóba Rousseau, urodzonego w r. 1712 w Genewie. W r. 1763, za sprawą Voltaira i paryskiej Sorbony, polecił magistrat genewski spalić ręką kata jego „Emila“ i „Contrat social“, jako dzieła, mówiące słowami werdyktu: „*téméraires, scandaleux, impies et tendant à detruire la religion chrétienne et tous les gouvernements*“. W 67 lat później wybudowało miasto Genewa swemu ziomkowi spiżowy pomnik, roboty Pradiera, na drzewami ocienionej wysepce Rodanu. Ciekawy to pomnik, wystawiony dla człowieka, który dla korzyści zmieniał religię jak ubranie, żył przez całe życie z rozpustnicami, swe dzieci nieprawego łoża oddawał do domu podrzutków bez jakiegokolwiek znaku do rozpoznania ich, a który mimo to miał odwagę pisać traktaty o idealnem wychowaniu dziecka. Zaklęta w spiż stoi na granitowej podstawie postać dziwnego Genewczyka, któremu brakło wszelkiego wychowania, który sam siebie nigdy nie wychowywał, a głosił teorye wychowania dla swego czasu. Tylko kompletny upadek obyczajów społeczeństwa francuskiego XVIII. w. sprawił, że taki „Emil“ wywarł ogromne wrażenie swego czasu, że zwłoki autora „Kontraktu socyalnego“ znalazły pomieszczenie w rewolucyjnych czasach w paryskim Panteonie.

Prócz maleńkiej wyspy Rousseau, posiada Rodan znacznie większą ze starożytnemi domostwami i sterczącą wśród nich basztą zamku biskupiego. Przechodząc jednym z sześciu mostów na lewy brzeg Rodanu, dostajemy się do starego miasta z królującą nad niem katedrą św. Piotra. Kto chce piękność starych bazylik romańskich podziwiać, powinien szukać ich w prastarych ogni-

skach kultury romańskiej, jaką jest Genewa lub Lausanna. Katedra genewska, założona w XI. w. przez pierwszego imperatora salickiego, Konrada II., przebudowana w końcu XI. lub z początku XII. w. w stylu gotyckim, zeszpecona w XVIII. w. portykiem koryuckim, niedawno gruntownie zrestaurowana, należy do najpiękniejszych kościołów romańskiej struktury. Dwie potężne czworoboczne wieżyce, o mnóstwie małych okien, okienek i erkierów od północy i południa, podnoszą dumnie swe hełmy spiczaste, wysoko ponad dachy ścieśnionych domostw starego miasta, a między niemi wystrzeliła z krzyżownicy naw, jakby smukły wysoki maszt, gotycka wieżyczka sygnaturowa, uwieńczona koroną. Wnętrze przedewszystkiem imponuje mnóstwem kolumienek romańskich, wysokich i niższych, przyczepionych do potężnych filarów, połączonych arkadami wczesnogotyckiemi, nad któremi wznosi się znowu drugie piętro kolumienek i arkad romańskich. Tak samo w chorze, podzielonym na 4 piętra, przeplatanie arkad romańskich i gotyckich imponujące robi wrażenie. Zniszczenie wielkiego ołtarza i zastąpienie go czarną płytą, kaleczy poprostu cudowną harmonię katolickiej świątyni.

Dziś z dawnego Rzymu protestanckiego wyrugowano nawet chrystyanizm gruntownie; znikła purytańska surowość obyczajów, a Genewa stała się jednem z najbardziej rozpustnych miast, ogniskiem materyalistyczno-ateistyczno-rewolucyjnego światopoglądu, szerzonego z Uniwersytetu genewskiego, zwłaszcza na wschodzie Europy i u nas. Uniwersytet genewski, założony przez Kalwina w r. 1559, stał się w XVI. w. siedzibą propagandy kalwińskiej dla całej Europy i długie czasy potem zakładem wychowawczym dla francuskich hugenotów. Dziś stał się ulubionem asylum dla rewolucyjnej młodzieży rossyjsko-polskiej płci brzydkiej zarówno jak i pięknej, słuchającej tu głównie medycyny, chemii i dentystyki. Uniwersytet liczy dziś około 1.000 słuchaczy, w tem około 20% kobiet. Z fundacyi rewolucyonisty religijnego XVI. w. wynoszą oni niewątpliwie dużo wiedzy. Instytucye naukowe genewskie są bogato uposażone w przybory naukowe, ale i w fanatyzm rewolucyjny nie kalwińskich, ale materyalistyczno-neopogańskich sekciarzy.

Między katedrą a Uniwersytetem, tonącym wśród zieleni ogrodów, znajduje się masywny ratusz w stylu florenckim z XVI. wieku. W pobliżu jest szereg muzeów, miastu przez prywatne osoby darowanych, n. p. muzeum Fola, Ratha, Ateneum Eynarda, zawierających cenne dzieła sztuki, starożytności lub biblioteki.

Przy muzeum Ratha. Genewczyka w rossyjskiej służbie, stoi konny pomnik pogromcy katolickich kantonów z r. 1847, a tem samem twórcy dzisiejszego ustroju szwajcarskiego, Dufura. W śródmieściu uderzają przedewszystkiem liczne sklepy z zegarkami, a wielkie napisy „Omega“ świadczą, że jesteśmy w ojczyźnie najlepszych zegarków. Genewa sprzedaje rocznie zegarków za 20 milionów franków, a biżuteryi za 12—15 milionów franków. Oto główne źródła dochodów i bogactwa stolicy nad Lemanem.

Z nowożytnych osobliwości Genewy, najciekawsze są może motory wodne na Rodanie, zwane *Forces motrices du Rhône*, zaopatrujące miasto całe w wodę do picia i prąd elektryczny, jako motor o sile 6 tysięcy koni. W tym celu zużyto całe lewe ramię Rodanu, które porusza 20 potężnych turbin, każda o sile 300 koni, umieszczonych w olbrzymiej hali. Podobny zakład o sile 12 tysięcy koni znajduje się sześć kilometrów poniżej Genewy nad Rodanem i dostarcza miastu światła elektrycznego oraz siły dla tramwai elektrycznych, nietylko w mieście, ale kilkanaście km. poza miastem, het, na terytoryum francuskie. Plac przed główną pocztą na ulicy Mt. Blanc, jest punktem wyjścia dla tych elektrowozów. Za kwotę 40 centimów można zajechać w przeciągu 35 minut do Ferney, siedziby Woltera na terytoryum francuskiem. Siadamy więc wśród nieznośnego upału do przewiewnego tramwaju. Niebawem znajdujemy się wśród winnic i ogrodów za miastem i nad miastem. Na stacyi pierwszej wysiadamy, nietylko, by obejrzeć muzeum Ariana, znowu dar jakiegoś Revillioda dla miasta, ile głośny Pavillon de Pregny, pałac baronowej Rotschildowej. Kwadrans drogi wśród ogrodów, will i domostw wystarczył, by dojść do uroczego celu. Park królowej giełdziarzy europejskich, pod względem gustu, piękności i staranności może iść śmiało w zawody z najpiękniejszymi parkami Europy. W każdym razie staranniej jest utrzymany niż cesarski park w Schönbrunnie, a piękniejszy jest stanowczo od cesarskich parków w Peterhofie lub Gatczynie. Olbrzymie oranżerye mieszczą najosobliwsze rośliny południowe. Najrozmaitsze rodzaje drzew, niezwykłych krzewów, ugrupowane wdzięcznie, nęcą oko rozmaitością. Tam pod konarami platanów zaciekawiają klatki z różnorodnem ptactwem, tu zwraca uwagę jakaś nimfa marmurowa, ówdzie wodotrysk i kaskada spływająca po granitowych złomach, niby przez naturę tu rozsypanych, a w rzeczywistości artystycznie naturę naśladujących. To wszystko znajduje się na tle cudnie utrzymywanych gazonów murawy, w obliczu wodnych fal jeziora i śnieżystych czu-

bów alpejskich na nieboskłonie. Wszędzie ład i porządek wprost niedościgły; wszędzie pilnuje ogrodu i gości służba czujna, uprzejma, i co ciekawsze, służba nieprzyjmująca napiwnego. Unicum to chyba europejskie! Takie rezydencye posiadają dzisiejsi rzeczywiści władcy republikańskiej Francyi!

Wracamy na stacyę, by udać się do Ferney, na ziemi trzeciej rzeczypospolitej francuskiej. Miasteczko jest nie tak schludne, czyste, jak miasteczka niemieckie, natomiast bez porównania porządniejsze i zasobniejsze od naszych galicyjskich. Zresztą nic w niem ciekawego. Spieszymy zatem do odległej o 2 km. rezydencyi Woltera, niepokaźnego dworku z kościółkiem obok, wzniesionym przez największego wroga Kościoła i chrześcijaństwa. Niestety dwór był zamknięty; przez kraty bramy ogrodowej oglądaliśmy siedzibę praojca neopoganizmu, pierwszego świętego rzeczypospolitej Robespierre'a. Hasło jego: „*Ecrasez l'infâme*", ustawicznie przeciwko Kościołowi powtarzane, znalazło posłuch chętny w dzisiejszych panach Francyi, dla których fernejski filozof stał się bożyszczem. A jednak trudno znaleźć bardziej wstrętny charakter, jak tego pół-boga w neo-pogańskim panteonie. Lubowanie się w pieprznych paszkwilach, jakimi miotał na Kościół i etykę chrześcijańską, gorszące rozpustne życie, którem nawet wśród rozwiązłego otoczenia przodował, pochlebstwo lokajskie, jakiem zyskiwał takich monarchów jak Katarzyna II. i Fryderyk II., zamiłowanie w podstępnych intrygach, oto główne rysy koryfeusza liberalizmu.

Pisał wiele, pisał dowcipnie, uchodził za niedościgniony wzór patentowanego uczonego swoich czasów.

„Straci grubsze przesądy i rozumu przetrze,
Kto ma szczęście Fernejskie oddychać powietrze"

pisze swego czasu nasz Trembecki o przyjacielu Katarzyny II., który carycy nie omieszkał gratulować zaboru Polski, jako największego czynu cywilizacyjnego. Dziś krytyka bezstronna piętnuje filozoficzne pisma wolterowskie jako płytkie plagiaty angielskiego deizmu. Jego sądy estetyczne nazywa trywialnymi, jego historyczne rozprawy, jako całkiem powierzchowne, odsądza od wszelkiej wartości, a jego poezya, już swego czasu przez Lessinga słusznie wyszydzona, spoczywa dziś w pyle niepamięci. *Sic transiit gloria mundi.*

A jednak ten człowiek olśniewał swą epokę, był wyrocznią rzekomej prawdy naukowej; z uwielbieniem wspominany jest

przez epigonów liberalnych, a cieszy się wielką popularnością w trzeciej rzeczypospolitej!

Wracając z Ferney, zatrzymaliśmy się koło muzeum Ariany, by dostać się tutaj nad brzeg jeziora i małą łodzią elektryczną przybyć do Genewy. Barka nasza płynie z chyżością jaskółki po modrych fałach Lemanu — przed nami ozłocone zachodniem słońcem wieżyce Genewy — dookoła barki, parowce, żaglowce i mewy a w dali na wschód szczyty alpejskie. Mimowoli przychodzą na myśl słowa Krasińskiego:

Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — z daleka — w niebo przodem
Pną się ostrza kryte lodem.
A tu bliżej, a tu niżej.
Poza wzgórzem, spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże!
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadlana
Fala pije niebios smug!
Na wód dole — na skał czole
Jedna piękność — jeden Bóg!..."

Rzeczywiście „nabijaną światłem drogą łódka nasza płynęła na szafirów tych głębinie". „Woda jeziora błękitna i senna grała dźwięczną pieśń marzeń" — można było powtórzyć za Tetmajerem. „Wiele drzew zielonych przegląda się — jak za czasów Słowackiego — w jeziorze, wiele białych domów i pałacyków, a za tym brzegiem Mt. Blanc biały, śniegiem z przyległemi mu górami okryty, podobny do jakiego sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu jakiejś sybirskiej krainy. Wśród takiej natury trzebaby być smutnym, albo trzeba się kochać" — pisze słusznie autor „Anhelego". Kochały się też nad tymi brzegami dzieci głośne Muzy na zabój. Kochał tu się nasz Juliusz, to w Elizie Morin, to w Englantynie Pattey, to w Maryi Wodzińskiej; kochał się Krasiński w urodziwej mis Harry Willan, kochał się Mickiewicz w Ewie Ankwiczównie, kochał się Byron w czarującej mis Jene Clairmont, Schelley w Maryi Godwin, Malczewski w księżnej Fryderykowej Lubomirskiej, pani Staël w niestałym Benjaminie Constant i t. d. Tymczasem barka nasza mijała przedmieście le Pâquis, gdzie ongi mieszkał Słowacki w pensyonacie p. Pattey, gdzie tworzył swe arcydzieła. Dziś z przedmieścia tego nie pozostało ani śladu. Dojeżdżamy do Skweru Mt. Blanc, ozdobionego najwspanialszym pomnikiem Genewy, największego jej dobroczyńcy,

księcia Karola II. Brunszwickiego, który miastu zapisał 20 milionów franków. Weliickie lwy z żółtego marmuru, stoją na straży pomnika potomka Henryka Lwa. Pomnik składa się z trzech piętr, zdobnych w różne figury; wśród tych w środkowem piętrze wyróżnia się figura księcia fundatora na sarkofagu. Wieczór ten spędziliśmy na przeciwległym brzegu, w ogrodzie angielskim, przy dźwiękach orkiestry. Z opalowej nad wieczorem fali jeziora sterczą tu dwa bloki granitowe, z których większy ma być ołtarzem Neptuna. W blaskach elektrycznego światła widać cały świat genewski, a w nim turystów całego świata.

Nazajutrz rano o 5-tej przy tym samym parku angielskim wsiadamy na parowiec, mający nas zawieźć do Lausanny. Jezioro przy wschodzącego słońca blaskach odmienną łudzi oko grą kolorów, zwłaszcza gdyśmy wyjechali z południowej zatoki na pełne jezioro, dające czasem złudzenie Adryatyku około Abbazyi.

„W około góry, śniegi lśniące, złote
Chmury w słoneczną zatopione pozłotę,
Zda się muskane białem skrzydłem mewiem,
Wszystko jest wizyą, czy też światem? Nie wiem.
Śniegi i woda i brzegów zieloność.
Wszystko się w jedną stapia nieskończoność,
Wszystko się w jedną melodyę jednoczy...“

Tak maluje podróż po Lemanie nasz Tetmajer. Na pokładzie gwarno: dzieci genewskie wyjeżdżają na kolonie wakacyjne do Nyon, kilka nauczycielek i nauczycieli śpiewa na głosy piosnki francuskie harmonijnie, lecz bez porównania mniej wdzięczne od naszych polskich pieśni lub ruskich dumek. Okręt co pół godziny staje to w Coppet, Nyon, Rolle, St. Pres Morges. O 9-tej dojeżdżamy do Ouchy, portu Lausanny, ocienionego platanami, pełnego will i hoteli. Tramwaj zawozi nas na dworzec koło Lausanny, gdzie zostawiamy walizki podróżne i spieszymy oglądać miasto.

Liczy ono 50.000 mieszkańców, ma Uniwersytet, szereg szkół przemysłowych. Dzieli się na stare miasto górne, na trzech wzgórzach położone, i na dolne, nowożytne. Tramwajem dojeżdżamy na jakąś targowicę, pełną bud kramarskich z najrozmaitszymi towarami. Krzyk, hałas, targowanie się, jak na naszych jarmarkach galicyjskich, tylko kupców pejsatych w chałatach tu brak; są natomiast tak samo korpulętne i tak samo wygadane przekupki, jak w Krakowie na Małym Rynku.

Schodami wchodzimy na akropolę lausańską, gdzie obok starego zamku biskupiego znajduje się katedra, najpiękniejsza gotycka katedra, jaką kiedykolwiek widziałem. Pochodzi z XIII. w., poświęcona jest przez Grzegorza X. w obecności Rudolfa z Habsburga. Odznacza się cudowną harmonią wczesnego gotyku. Nawa główna, mająca 19 m. wysokości, spoczywa naprzemian, to na filarach, to na słupach kolumn: nad arkadami gotyckiemi biegnie galerya kolumienek romańskich, nad którą wystają jeszcze smukłe kolumny, obramowujące okna. W chórze gotyckie arkady przeplatane są piętrem romańskich kapiteli i łuków. Wspaniałe witraże z wizerunkami apostołów, prześliczne stale, wysokie francuskie wieżyce na zewnątrz, wszystko to tworzy razem dziwnie zharmonizowany wzór architektonicznego piękna.

Między katedrą a zamkiem biskupim, znajduje się stara akademia, dziś zamieniona na muzeum i bibliotekę kantonalną. W gmachu tym wykładał od r. 1839—1840 nasz Adam Mickiewicz, cieszący się po dziś dzień wielką sympatyą wśród Szwajcarów. W jednej z sal widnieje tablica pamiątkowa, wmurowana obok katedry r. 1898, z napisem: „Au poëte Adam Mickiewicz, Professeur de la littérature latine à l'Academie de Lausanne 1839—1840. Les polonais ses compatriotes". Dziś jeszcze pokazują dawne mieszkanie Mickiewicza: Maison Beau Séjour, zamienione na lokal klubu Cercle de Beau Séjour. Z okien tego mieszkania roztacza się wspaniały widok na poblizkie ogrody, jeziora i góry.

Uniwersytet obecny, liczący 70 profesorów a 500 uczniów, znalazł umieszczenie w świeżo wykonanym wspaniałym gmachu u stóp wzgórza katedralnego.

Wązkiemi ulicami docieramy do wspaniałych teras i promenad w dolnej części miasta nad rzeczką Plon. Czas jednak nagli, trzeba siadać na pociąg, wiozący nas do Fryburga.

Za trzy godziny znajdujemy się w szwajcarskim Fryburgu. Niewielka ta mieścina, licząca co najwięcej 15.000 mieszkańców, leży na skalistem przedgórzu w wysokości 600—670 m. w kolanie rzeki Saany. Starożytne, nieregularnie zbudowane miasto, ze swojem obronnem położeniem, sterczące wysoko ponad rzeką, wyposażone murami, blankami, basztami, wieżycami kościołów i klasztorów, posiada niezwykle romantyczny charakter. Dzieli się na trzy części: na dolne miasto w dolinie rzeki Saany, zamieszkane przez rękodzielników, na stare miasto na wyżynie, otoczonej kolanem rzeki, siedzibę rządu i patrycyatu miejskiego, i na górne

miasto przy dworcu kolejowym, będące siedzibą nauki. Mieszkańcy w dwóch trzecich są Francuzami, a w siedmiu ósmych częściach katolikami i to gorliwymi. Mamy tu klasztory Franciszkanów, Kapucynów, Wizytek, Urszulanek, Cystersek i Franciszkanek. Tu jest siedziba biskupa Lausanny od r. 1536. Nie dziw, że kanton fryburski i samo miasto uchodzi w świecie akatolickim za gniazdo ultramontanizmu i że rządy spoczywają w ręku ultramontanów, t. j. wierzących katolików, z Pétionem na czele. W hotelu jego matki czy siostry ulokowaliśmy się i naprawdę byliśmy zdumieni, widząc w sali jadalnej wielki krzyż i żegnających się przed jedzeniem a u służby niezwykłą skromność i uczciwość.

Dr. Kazimierz Krotoski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Co daje nauce prawoznawstwo porównawcze?

Odczyt wygłoszony przy uroczystości inauguracyi Rektora Wszechnicy lwowskiej dnia 11. październ. br. przez

Prof. d-ra Alfreda Halbana.

Korzystając z zaszczytnej sposobności przemawiania w tem uroczystem zebraniu, chciałbym w krótkich słowach określić stanowisko i pożytek prawoznawstwa porównawczego, a więc nauki, której reprezentowanie na katedrze naszej wszechnicy przypadło mi w udziale.

Najmłodsza ta latorośl wiedzy prawniczej, nie jest bynajmniej jej benjaminkiem; cieszy się raczej większem uznaniem po za światem prawniczym. Nie weszła jeszcze w powszechnie ustalony kanon nauk prawniczych: może dla tego, że podziału globusu prawniczego dokonano przed jej wystąpieniem: może i dla tego, że nie umiała zrazu sformułować ściśle swego programu. Mocarstwa naukowe widziały w niej przybysza o podejrzanej pożądliwości i obawiały się niekorzystnej regulacyi granic. Przyznać trzeba, że w młodzieńczym zapale, który mierzył siłę na zamiary, a nie zamiar podług sił, wkraczało prawoznawstwo porównawcze w zbyt nowe dziedziny, nie przebierając w środkach i wstrząsając nieraz dość hazardownie uznanemi podstawami nauki prawniczej.

Dziś ten pierwszy impet ustępuje miejsca krytycznej rozwadze; to też wolno już dziś wyrazić przekonanie, że prawoznawstwo

porównawcze zdobyło sobie dzielnicę naukową bez uszczuplenia terytoryów innych nauk prawniczych: obejmuje ono bowiem dziedziny, któremi nauka prawnicza przedtem nie władała. Można też wyrazić przekonanie, że rozwój tej nowej dzielnicy wpłynie ożywczo na rozwój wszystkich innych dzielnic nauki prawniczej, tak, jak marzyli o tem ci, co pierwsi ten cel naukowy wskazali.

Cel sam przez się jest jasnym. Chodzi o zastosowanie metody porównawczej, wypróbowanej na tylu polach, także na polu prawoznawstwa. Metoda porównawcza jest środkiem osłabienia ujemnych stron, jakie zarówno indukcya jak i dedukcya wykazują; jeżeli bowiem dedukcyi właściwem jest niebezpieczeństwo hołdowania uogólnieniom o cechach podmiotowych, to nawzajem indukcya operuje zbyt małą liczbą faktów i naraża nas na ścieśnienie widnokręgu. Powiększenie zasobu faktów i pogłębienie ich zrozumienia przez badanie porównawcze, daje więc indukcyi bogatszy materyał, oraz możność wnioskowania, a zarazem dedukcyi silniejszą podstawę i zmniejsza niebezpieczeństwo podmiotowego myślenia. Wiadomo powszechnie, ile nauki przyrodnicze zawdzięczają rozszerzeniu pola badania: możemy jednak wskazać i na bliższe nam przykłady, na filologię porównawczą, na porównawcze badanie wierzeń, na etnologię, na historyę kultury itd., możemy przedewszystkiem wskazać na filozofię, która w zasadzie swej, przez to samo, iż obejmuje wszystkie pola wiedzy, jest właściwie nauką porównawczą, podniesioną do najwyższej potęgi. Postulat porównawczy jest więc z natury swej postulatem filozoficznym i zmierza częściowo do zaspokojenia najwyższej żądzy duchowej, żądzy ogólnej syntezy w dziedzinie każdej nauki.

Żądza ta i w prawoznawstwie nie jest nową; objawiała się przedewszystkiem w filozofii prawa. W pracy ściśle prawniczej potrzeby praktyczne nie pozwalały jej dojrzeć, jakkolwiek nie zdołały jej przytłumić. Umysły wyższe oddawna wskazywały na konieczność szerszej podstawy. Już Leibnitz żądał w r. 1667 stworzenia uniwersalnej nauki prawniczej, obejmującej wszystkie ludy i obiecywał sobie po niej wniknięcia w substancyę prawa. O przeprowadzenie tej myśli pokusił się w 80 lat potem Montesquieu. Lecz materyał był zbyt mało opracowany, aby umożliwić wykonanie takich zamiarów. Świat prawniczy pracował albo w kierunku bezpośrednio praktycznym, albo na polu abstrakcyi filozoficznej; wszak nawet szkoła prawno-historyczna, która wystąpiła do walki z abstrakcyą prawa natury, ograniczała się jednak przeważnie do badania historycznego tych systemów pra-

wnych, które, jako podstawy dzisiejszego naszego prawa, mają dla nas znaczenie pośrednio praktyczne.

Po przez wszystkie te kierunki przebijało się jednak nieustannie poczucie ich niedostateczności. Na tem to poczuciu polegały usiłowania szkoły francuskiej i niemieckiej XVII. i XVIII. w., zestawiania przynajmniej tych praw, które los z sobą złączył, a więc rzymskiego, kanonicznego i francuskiego, a względnie germańskiego i niemieckiego.

Odwracając się od bezpłodnej filozofii prawa natury, a nie chcąc przecież pozbawiać się wszelkiej syntezy, próbowali potem niektórzy poprzednicy i uczestnicy szkoły prawno-historycznej, zestawiać i badać porównawczo prawa ludów pobratymczych, tak u nas Rakowiecki, pierwszy wogóle pionier na tem polu. Ruch prawno-historyczny ożywił te usiłowania, bo badanie historyczne prawa rzymskiego kazało zwrócić uwagę na prawo greckie, a przykład filologii porównawczej dał Bunsenowi i Klenzemu pobudkę do zwrócenia się ku prawu indyjskiemu, jako domniemanej podstawie praw indoeuropejskich, a zatem greckiego i rzymskiego. Ten sam ruch wywołał we Francyi, gdzie przyświecała tradycya Monteskiusza, zainteresowanie się prawami obcemi i stworzenie już przed 90 laty pierwszej katedry porównawczej historyi prawa w Collège de France.

Przejawiało sie też oddawna przekonanie, że prawo łączy się z kulturą, w szczególności z życiem religijnem, obyczajowem, gospodarczem i społecznem, że więc ulega wpływom tego życia i nawzajem na nie wpływ wywiera. Odczuwali to poniekąd już humaniści, którzy starali się jednym rzutem oka obejmować całokształt życia umysłowego narodu i na tem tle badać i język i prawo: odczuwał to mimo filozofii prawa natury Thomasius, w wyższym stopniu Montesquieu, a potem Schelling i Hegel, niemniej szkoła prawno-historyczna.

A jednak ona właśnie mroziła te zapędy. Kładąc słusznie nacisk na badania ściśle źródłowe, nawoływała do ograniczania się. Zbyt świeżem było wspomnienie fatalnych błędów filozofii prawa natury; obawiano się każdej obszerniejszej syntezy. Na głos Feuerbacha, który w r. 1810 podnosił ze stanowiska filozofii prawa szkodliwość jednostronności i wskazując na anatomię porównawczą, żądał po myśli Leibnitza i Montesquieu'go prawoznawstwa porównawczego, na głos Mittermaiera, który w r. 1812 zaznaczył znów jako historyk prawa, iż tylko ogólny pogląd na historyę prawa wszystkich ludów, może stanowić tło dla ba-

dania praw poszczególnych, a zwłaszcza na głos Thibauta, który wystąpił analogicznie ze stanowiska dogmatyki prawa — na wszystkie te głosy z trzech odrębnych kierunków prawoznawstwa wychodzące, odpowiedział Savigny sceptycznie i nie bez racyi. Istotnie bowiem materyał, którym wówczas dla studyów prawno-porównawczych rozporządzano, był zgoła niedostatecznym. Próba, której podjął się Gans w r. 1824, opracowania porównawczego jednej instytucyi, t. j. prawa spadkowego, nie udała się.

Nie możemy więc mieć do szkoły prawno-hist. żalu z powodu tego sceptycyzmu. Możemy jej natomiast zarzucić, że skoro uznała niedostateczność materyału, a przecież nie mogła zaprzeczyć użyteczności badań porównawczych, nie uczyniła jednak niczego, aby je umożebnić na przyszłość i nie popierała nawet usiłowań porównawczego traktowania praw pokrewnych, czy to greko-italskich, czy to germańskich lub słowiańskich, ku czemu źródeł było podostatkiem. Za cel swój uważała stworzenie historycznych podstaw dla dogmatyki prawa i nie chciała narażać się dogmatykom przez objęcie zadań, które dogmatyce prawa nie przynosiły bezpośredniej korzyści.

Tylko encyklopedya prawa, obejmując swym poglądem wszystkie działy prawoznawstwa i zwracając uwagę na wszystkie jej cele, nie mogła się pogodzić z ograniczeniem się do tych tylko praw, które stanowią bezpośrednią podstawę prawa naszego, tak, jak nie mogła się pogodzić z apriorystyczną filozofią prawa. W r. 1846, a więc przed 60 laty, podniósł Pütter konieczność encyklopedycznego poglądu na prawo całego świata, a w tym samym roku poruszył Leist podstawy rzymskiej *ratio naturalis*, rzucając pytanie, (na które jednak dopiero pod koniec życia odpowiedział), ile w tej *ratio naturalis* tkwi pierwiastków pierwotnych, które ludy grecko-italskie wyniosły z wspólnej kolebki aryjskiej.

Wyrabiało się tym sposobem przekonanie, że wiedza prawnicza nie może się zadowolnić wzorami, choćby najświetniejszymi, ale niezupełnymi, że żaden objaw myśli prawnej ludzkiej nie może być obojętnym, że nie wolno nam pozbawiać się tego bogactwa form, w którem przejawia się prawo u przeróżnych ludów, na rozmaitych stopniach rozwoju. Wobec tego pierwszym obowiązkiem stało się zbieranie materyału i przygotowanie go do użytku porównawczego, drugim, metodyczne porównywanie i wyciąganie wniosków dla wytłómaczenia podobieństw prawnych u ludów zgoła z sobą nie spokrewnionych, nie znających się wcale, oraz dla wytłómaczenia różnic prawnych u ludów pokrewnych,

lub w inny sposób do siebie zbliżonych. Temu wszystkiemu przyświeca, jako cel ostateczny, to, co już Leibnitz podniósł, mianowicie objęcie całokształtu myśli prawnej ludzkiej w jej naturalnym związku z całokształtem ludzkiego życia duchowego, oraz zrozumienie substancyi prawa i przyczyn, które kierują jego rozwojem.

Postęp, jaki niesie z sobą prawoznawstwo porównawcze, nie ogranicza się do wytknięcia celów, — to czyniono i dawniej; cele te zresztą nie łatwo i nie prędko będą osiągnięte. Realną zdobycz stanowi już dziś to silne podkreślenie związku między prawem a całością życia duchowego i materyalnego i siągnięcie po informacye tam, gdzie ich dawniej nauka prawa nie szukała, do źródeł nieprawniczych, a jednak poważnych i ścisłych, których nie brak nigdzie, nawet u ludów, nie posiadających żadnych pomników prawa. Już Bachofen dowiódł w r. 1861 w swych badaniach nad prawem macierzystem *(Mutterrecht)*, ile nauka prawa skorzystać może z badań etnologicznych, z mytologii i historyi wierzeń, z historyi obyczajów, języka i kultury. Tej zasługi wydobywania z materyałów nieprawniczych informacyj prawniczych, nie zaćmi nam fakt, iż korzystanie z tych źródeł odbywa się i dziś jeszcze nie dość krytycznie. Nauka nasza wyzyskuje dla nauki prawniczej wszystko, co się z innych nauk wyzyskać da, aby zwiększyć zasób faktów oraz znajomość warunków, w jakich te fakta się pojawiają, a tem samem pogłębić zrozumienie i samych faktów i praw rozwojowych. Prawoznawstwo porównawcze łączy się z ogólnemi dziejami ludzkości w wszystkich jej dziedzinach.

Jako wytwór duchowy jest prawo uwarunkowanem naturą ducha i naturą potrzeb oraz zdolności ludzkich. Nieobojętnem więc dla nas jest to, co nam mówi antropologia o ludzkiej zdolności akomodacyjnej, o wytwarzaniu typów i ustalaniu skłonności, a dalej o różniczkowaniu rasowem mimo jednolitości rodzaju ludzkiego. Z różnym stopniem odporności rasowej, łączy się różna zdolność przystosowywania się do położenia, a więc także różna zdolność akomodacyi prawa do zmian położenia; ważną też jest różność charakteru t. j. temperamentu i siły woli, która sprawia, że w jednych i tych samych warunkach prawo różnych ludów może być różnem.

Obok antropologii prehistorya daje nam ważne wskazówki, ucząc, iż niema śladów życia ludzkości w stanie zwierzęcym, że człowiek odznaczał się, jak daleko ślady sięgają, zdolno-

ścią starania się o względną niezawisłość od przyrody i o uzupełnienie swych sił narzędziami, oraz że od najdawniejszych czasów był skłonnym do wędrówek, które wytworzyły już w czasach przedhistorycznych wymianę produktów i potęgowały wspólność życia. Ta wspólność życia i wymiana produktów nie da się pomyśleć bez embryonalnej organizacyi, chroniącej bezpieczeństwo osoby, mienia i pracy.

Ludzkość zachowała o tem niejedno wspomnienie bezwiedne, w formie mytologicznej; to też obok antropologii i prehistoryi, dającej nam materyał kopalny, rzeczowy, porównawcze badanie wierzeń i t. zw. folklorystyka dają nam, przekształcone co prawda, szczątki materyału duchowego. Równocześnie historya kultury uczy nas, w jakim stosunku życie gospodarcze i obyczajowe odpowiadało potrzebom zewnętrznym, a życie religijne, wraz z sztuką i językiem wewnętrznym i jak rozwijało się już na stopniu pierwotnym pragnienie zabezpieczenia tych wszystkich dóbr bronią etyki i prawa: uczy nas też, że wszystkie potrzeby ludzkie występują masowo a nie indywidualnie. Mając na oku ten związek między potrzebami zewnętrznemi i wewnętrznemi, unikamy przeceniania czynników materyalnych, a zwłaszcza samego życia gospodarczego, któremu nauka przez pewien czas przypisywała znaczenie zbyt jednostronne. Historya gospodarcza daje nam ważne wiadomości o różniczkowaniu się zajęć, o podziale pracy i o społeczno-prawnem znaczeniu organizacyi zajęć. Historya religijna zaś zaznajamia nas z rozwojem najgłębszego uczucia ludzkiego, które polega na związku ducha ludzkiego z światem nadprzyrodzonym: związek ten jest jedną z głównych podstaw idei sprawiedliwości i odróżniania czynów złych od dobrych. Obok religijnej konieczności karania wytwarza się też przeświadczenie konieczności otoczenia pewnych stosunków prawnych aureolą religijną i tym sposobem życie prawne, gospodarcze i społeczne staje pod tarczą wiary. Nie przynosi to prawu ujmy, lecz przeciwnie daje mu, obok treści zmiennej, podwaliny moralne, odpowiadające potrzebom ducha ludzkiego.

Cały ten związek między poszczególnemi stronami życia materyalnego i duchowego, wymaga narzędzia komunikacyjnego. Jest niem mowa, bez której każda myśl byłaby straconą. Im to narzędzie lepsze, tem subtelniej oddaje myśl, a więc i myśl prawną. Zdolność i skłonność do mówienia jest faktem antropologicznym; ale na stopień rozwoju tej zdolności wpływa kultura i szereg warunków. Nauka filologiczna wykazała już dawno związek między

rozwojem myślenia a rozwojem języka: prawoznawstwo porównawcze buduje na tej podstawie dalej i dochodzi już dziś do ważnych analogij ale i różnic, na polu rozwoju języka i myśli prawnej.

Posiłkujemy się w tym względzie zdobyczami dość nowej również nauki, t. zw. psychologii ludów, która stała się cennym sprzymierzeńcem filologii porównawczej: odsłaniając ogólnoludzkie tło pojęć prostych, daje nam ważne informacye co do powstawania zasadniczych pojęć prawniczych.

Ponieważ prawoznawstwo porównawcze bada rozwój i objawy prawa, a prawo nie jest produktem woli jednostek, lecz produktem zbiorowym, więc tak jak historya kultury, historya wierzeń lub nauka psychologii ludów, musi i nasza nauka korzystać z etnografii i etnologii, a wraz z niemi przyswajać sobie zdobycze nowej gałęzi nauk geograficznych, t. zw. antropogeografii, która bada związek między kulturą a tłem geograficznem i wydała już cenne owoce co do stosunku, jaki zachodzi między rozwojem państwa, prawa i życia społeczno-gospodarczego pewnej grupy ludzkiej, a jej terytorym. Łączy się z tem wszystkiem badanie socyologiczne, które kładzie specyalny nacisk na powody i skutki wszelkiego uspołecznienia, a w szczególności na związek głęboki między formami życia społeczno-gospodarczego a potrzebami prawnemi i sposobem ich zaspokojenia.

Rozumie się wreszcie samo przez się, iż skoro wszelki rozwój kultury i prawa odbywa się w grupach etnograficznych, społecznych, a względnie państwowo-narodowych, to badanie porównawcze musi zwracać uwagę na dzieje tych grup, a więc na rezultaty historyi powszechnej, która dopiero w ostatnich czasach stała się istotnie powszechną, podczas gdy dawniej obejmowała tylko dzieje kilkunastu narodów.

Wyliczając antropologię, prehistoryę, porównawcze badanie wierzeń, historyę kultury, historyę gospodarczą, filologię porównawczą, psychologię ludów, etnologię, antropogeografię, socyologię i historyę powszechną, wymieniam tylko te nauki, które nam dostarczają faktów i podstaw nieprawniczych, a jednak przydatnych do wniosków prawniczych. Są one więc dla nas bezpośrednio ważnemi: nie mogę jednak pominąć w tem zestawieniu tych nauk, które pośrednio dają nam pobudki do formułowania zagadnień, jak przedewszystkiem filozofia, a obok niej porównawcze nauki przyrodnicze, którym za wielką zasługę poczytać należy wyrobienie teoryi ewolucyi.

Rozumie się, że z tego oceanu wiedzy należy korzystać krytycznie, co niestety nie zawsze się dzieje; ogrom materyału trudno zestawić, jeszcze trudniej opanować. Ale jeżeli się to uda, natenczas okaże się w całej pełni siła kombinacyjna myślenia, która pozwoli z faktów znanych wnosić logicznie na fakty nie dające się stwierdzić; okaże się, co i dziś widzimy, że można iść po za sferę tego, cośmy przywykli za źródła uważać, bez popadania w brak ścisłości.

Już dziś wydobywamy z tego materyału nieprawniczego informacye o instytucyach prawnych, o których właściwe źródła prawne milczą i podstawę do zasilenia wiadomości o takich instytucyach, o których z właściwych źródeł prawa nie można nabrać dobrego pojęcia. Żadna historya prawa nie da nam obrazu najstarszego prawa familijnego z czasów przed zaistnieniem małżeństwa, ani o prawie opartem na macierzyństwie, ani nawet o przejściu od matryarchatu do władzy ojcowskiej. Żadne źródło prawa nie wyjaśni nam dokładnie powstania małżeństwa, powstania własności i powstania grupy społeczno-państwowej, bo żadne nie obznajomi nas z najdawniejszemi, b e z w i e d n e m i podstawami prawa.

Tak jak wogóle w dziedzinach ducha, tak i w prawie nie wszystko się przejawia dobitnie i bezpośrednio, a za to niejedno zbyt wyraźnie; ale z tego nie można wnosić, jakoby to, co się nie przejawia, nie istniało, ani też, aby to, co się przejawia, było właśnie najważniejszem. Życie duchowe, tak jak uczuciowe, sięga głębiej, niż z wyraźnych objawów zewnętrznych wnosić można. Dopiero z ogółu objawów bezpośrednich i pośrednich, z logicznej ich kombinacyi, można nabrać stopniowo pojęcia o siłach duchowych, a więc i o sile idei prawa.

Materyał, który zawdzięczamy tym wszystkim naukom, przedstawia się do czasu niemal chaotycznie. Uderza nas, że często coś, co uważamy za nader proste i jak mówimy: „naturalne“, bośmy się z tem zrośli, u wielu ludów nie istnieje, a natomiast istnieje tam coś niezmiernie według naszych pojęć skomplikowanego; dość porównać indoeuropejski ustrój rodzinny z pojęciami prawno-familijnemi Indyan amerykańskich lub Malajczyków. Dobra, nam drogie, o których obronę prawną staczamy walki, wielu ludom są obojętne; dość przytoczyć znaczenie prawne języka, w którym widzimy najcenniejszy skarb narodu i jednostki, gdy tymczasem liczne ludy, i to wcale nie dzikie, nie przywiązują do języka żadnego znaczenia i zatracają go bez oporu lub żalu; albo

to spostrzeżenie, że ludy pierwotne uważają właśnie swe prawo za najważniejsze dobro, za skarb exkluzywny, od którego wykluczają obcych, że dopiero postęp odbiera prawu tę cechę, którąbyśmy może szowinistyczną nazwali: ten sam postęp wpływa jednak na podniesienie świadomości narodowej, na cenienie własnego języka. Takich pozornych sprzeczności znajdujemy bardzo wiele.

Są one pozorne: chaotyczne wrażenie znika, jeżeli się dochodzi praw rozwojowych, stopni rozwoju i ich związku z ogólnymi warunkami życia u przeróżnych ludów. W tem badaniu czerpiemy nietylko naukę, lecz i otuchę, bo zaczynamy rozumieć, czem się tłomaczy częsta skostniałość i niesprawiedliwość prawa. Widzimy, jak mimo twarde nieraz warunki zewnętrzne, mimo pęta formalizmu, rośnie pojęcie i ilość dóbr prawnych, nietylko materyalnych, lecz i idealnych, które z dziedziny myśli i uczucia, przechodzą w dziedzinę i pod opiekę prawa. Tak n. p. idea ludzkości zmienia zabijanie bezbronnego wroga na niewolę, niewolę na poddaństwo, które wreszcie prowadzi do wolności: z pełnej odpowiedzialności, która obejmuje życie, rodzinę, a nawet trupa dłużnika, wyrasta odpowiedzialność czysto majątkowa, która doznaje nawet majątkowych ograniczeń; z bezwzględnej kary śmierci za wszystko niemal, wytwarzają się obok wygnania, okrutne niewątpliwie kary kaleczenia, jednak mniej dotkliwe niż śmierć, aby wreszcie ustąpić karom ludzkim: z małżeństwa przez kupno lub porwanie, powstaje stosunek równouprawnionej spólnoty małżeńskiej o charakterze idealnym i t. d. W tem wszystkiem widoczny postęp idei prawa, jako czynnika cywilizacyjnego, jako tego właśnie, który ideałom daje trwałość w zewnętrznie wyrobionych instytucyach, w ucieleśnieniu praktycznem.

Można już dziś stwierdzić w ludzkości stopniowe zwycięstwo idei nad materyą prawa, podnoszenie dóbr idealnych do rzędu dóbr prawnych; a nawzajem podupadanie wartości prawnej dóbr, które są tylko materyalnemi i nie mieszczą w sobie pierwiastków idealnych.

Nawiązując te liczne nici między prawem a innemi naukami, dochodząc stosunku między różnemi prawami, jako objawami ogólno-ludzkiej idei prawa, zrywamy z nienaturalnem wyodrębnianiem prawa z pośród innych nauk i usuwamy izolacye poszczególnych praw względem siebie.

Tak jak przyrodnik bada objawy każdej siły w rozmaitych warunkach, aby sprawdzić, jak ona w różnych wypadkach reaguje,

tak prawoznawstwo porównawcze, pozbawione z natury rzeczy możności experymentowania, obserwuje idee prawa w przelicznych jej objawach, aby dociec stopnia, w jakim przeróżne warunki wewnętrzne i zewnętrzne na prawo oddziaływają i jak prawo wobec nich się zachowuje. Nie idzie zatem, abyśmy zapoznawać mieli samoistność prawa wśród całokształtu życia ludzkiego. Obserwacya stosunków między prawem a resztą życia uczy nas, że mimo ścisłego związku, idea prawna podlega odrębnym prawidłom rozwojowym. — Zrywamy wreszcie z izolowaniem poszczególnych instytucyj lub działów prawnych, bo badanie porównawcze poucza nas, jak ścisłym jest związek między poszczególnemi instytucyami, jak prawo publiczne oddziaływa na prywatne itd.

Idziemy więc dalej, niż historya prawa i postępujemy inaczej, niż dogmatyka i filozofia prawa; nie odrzucamy jednak żadnej zdobyczy nauki prawniczej. Za wzorem historyi prawa uprawiamy badania źródłowe i stosujemy metodę prawno-historyczną do nowo zdobytych źródeł. Podzielamy przekonanie szkoły prawno-historycznej, iż nie dochodzi się do żadnych pewnych rezultatów drogą apriorystyczną, która prowadzi zbyt często do nieuzasadnionych ogólników. Uznajemy potrzebę ścisłości d o g m a t y c z n e j, aby się ustrzedz przed częstem niestety zacieraniem granic między prawem a zwyczajami, które jeszcze prawem nie są. Pamiętamy też o tem, że filozofii, a w szczególności filozofii i encyklopedyi prawa zawdzięczamy pobudkę do postawienia najśmielszych pytań.

Ale nawzajem możemy już dziś powiedzieć, jaką korzyść przynosi prawoznawstwo porównawcze tym wszystkim gałęziom wiedzy prawniczej.

I tak żadna historya prawa nie daje sama przez się pełnego obrazu rozwoju prawa u pewnego ludu od kolebki do grobu; każda potrzebuje uzupełnień wnioskami na analogii opartymi, oraz pogłębienia pojęcia związku między przyczynami a skutkami; żadna też nie potrafi dać odpowiedzi, o którą dla prawa rzymskiego n. p. kusił się taki Jhering, na pytanie, ile rozwój danego prawa zawdzięcza warunkom historycznym, a ile w nim czynnika ogólno-ludzkiego. Badania porównawcze mają te niedostatki w części przynajmniej usunąć.

Dogmatyka prawa dochodzi do swych definicyj dotychczas na podstawie znajomości kilku praw, głównie prawa rzymskiego. Stanie się nierównie bogatszą, gdy na podstawie badań porównawczych pozna elastyczność pojęć, które przywykliśmy uważać za

stałe i gdy pozna związek między formowaniem się pojęć a warunkami wewnętrznymi i zewnętrznymi, związek znów bardzo rozmaity w miarę stopnia rozwoju i siły akomodacyjnej.

Nie po raz pierwszy sprawdzi się, że najrealniejsze korzyści przynosi wiedzy ludzkiej ta nauka, która do nich bezpośrednio nie zmierza.

Spodziewać się można, że innemi drogami pójdzie praca ustawodawcza, jeżeli będzie się mogła oprzeć na doświadczeniach całej ludzkości i na pogłębionem zrozumieniu warunków rozwoju prawa. Inny też duch wstąpi w praktykę prawa, jeśli się ona będzie mogła przejąć przeświadczeniem o wewnętrznym związku między warunkami życia duchowego i materyalnego, a rozwojem i przeznaczeniem prawa.

Moglibyśmy się więc zadowolnić tem, co nauka nasza daje, lub da w przyszłości, prawu. Ale możemy śmiało twierdzić, że prawoznawstwo porównawcze potrafi się także odwdzięczyć i tym naukom nieprawniczym, których jest dłużnikiem. Wszak korzystając dla celów prawniczych z materyałów nieprawniczych, odkrywa nauka nasza nowe znaczenie tychże materyałów, podnosi ich wartość, rozszerza widnokręg nauk odnośnych i staje się ich współpracowniczką. Ten sam materyał nieprawniczy, opracowany prawniczo, potężnieje w swem znaczeniu i staje się tem pożyteczniejszym dla coraz to wyższych konstrukcyj filozoficznych. Tym sposobem i sami spłacamy i innym naukom spłacać pomagamy wspólny dług względem filozofii, której będziemy mogli dać nowe przyczynki do teoryi poznania, oraz do etyki i teoryi myślenia.

Dla filozofii nie może być obojętnem, że prawoznawstwo porównawcze, które sięga do krańców poznania prawa, przyczynia się tem samem do lepszego określenia stosunku między przyrodą a duchem ludzkim i do rozszerzenia zakresu pojęć o świecie duchowym. Nie może też być obojętnem, że badając losy prawa po przez wszystkie czasy, ma nauka nasza sposobność obserwowania związku między ideą a jej urzeczywistnieniem.

Nie koniec na tem. Nauka, która dąży do tego, aby zająć stanowisko poważne nietylko w wszechświecie wiedzy, lecz także w rzędzie nauk uniwersyteckich, ma jeszcze inne obowiązki. W tych murach dzielimy się nietylko wiedzą, lecz kształcimy także poczucie obywatelskie, społeczno-obyczajowe i narodowe. Cóż więc w tym względzie przynosi prawoznawstwo porównawcze?

Daje ono, jak powiedziałem, tło do zrozumienia stanowiska każdego prawa w świecie prawa; pozwala zrozumieć lepiej związ-

zek między poczuciem prawa pewnego ludu, a ideą prawną ludzkości; przyczynia się więc na tle ogólnem do tem lepszego zrozumienia ważnych objawów ducha narodowego.

Im zmienniejsze i trudniejsze warunki, tem cenniejszym jest podkład duchowy; im lepiej go znamy, tem silniejszą jego odporność; pogłębić tę znajomość na tle ogólno-ludzkiej idei prawa, jest najszlachetniejszem zadaniem nauki prawniczej. Każdy filolog potwierdzi, iż dokładną świadomość języka ojczystego nabywamy na podstawie poznania teoryi języków innych: tak samo własne poczucie prawa wzmacniamy poznaniem innych przejawów idei prawnej.

Prawoznawstwo porównawcze uznaje wprawdzie znaczne różnice w doskonałości praw różnych ludów i w ich zdolności prawotwórczej. Ale tłómacząc te różnice naukowo i obejmując bezstronnie prawa wszystkich ludów, bez predylekcyi dla tych, którym warunki pozwoliły rozwinąć się silniej, przyczynia się nauka nasza do podniesienia uczucia sprawiedliwości. Sądu naukowego narody się nie obawiają; naród zwyciężony i narażony na napaści polityczne, może tylko zyskać na tem, jeżeli miara naukowa zastępuje miarę polityczną.

Te okoliczności powinny zapewnić prawoznawstwu porównawczemu sympatye, zwłaszcza tam, gdzie nauki ogólne, wyświecające prawidła rozwoju i dociekające ducha oraz idei prawa, mają znaczenie zespalające wszystkich, co t e s a m ą i d e ę p r a w a w y z n a j ą, a w s p ó l n e g o p r a w a d z i ś n i e m a j ą.

Poselstwo Bieniewskiego

od śmierci B. Chmielnickiego, do umowy Hadziackiej.

(Ciąg dalszy.)

Pomimo porażki pod Dikańką, pomimo starcia się orężnego przeciwników, w Moskwie jeszcze nie wierzono w zdradę Wyhowskiego — ciągle badano sytuacyę, tak mało znano ducha niesforności, wahania się i zdradliwości kozackiej. 6. marca tedy wysłano do Puszkara Bajbakowa. Nie było to dobrym znakiem dla Wyhowskiego, że rząd porozumiewa się z jawnym nieprzyjacielem hetmana. I ze strony Moskwy był to krok nie polityczny i nie stanowczy, — gdyż nie wypadało prowadzić akcyi po za plecami trzykrotnie obranego i uznanego przez rząd carski hetmana. Wiózł wprawdzie Bajbakow do Puszkara hramotę carską, wzywającą do posłuszeństwa, ale pisaną bardzo miękko. Był to nie rozkaz do posłuszeństwa, ale łagodne upominanie i wymówki za zuchwałe zachowanie się wobec Wyhowskiego. Taka hramota drażniła tylko hetmana, a była bodźcem do dalszych wybryków Puszkara. Jechał tedy Bajbakow do Wyhowskiego i zwyczajem posłańców moskiewskich po drodze wypytywał. Przypadek zrządził, że w drodze z Hadiacza do Połtawy, natknęli się na pijanego kozaka, nuż go tedy egzeminować: skąd i dokąd? Pokazało się, że to wysłaniec Puszkara, że wozi listy do setników i atamanów, wzywając do pogotowia na wypadek potrzeby, gdyż pułkownicy

nieżyński, czernihowski i pryłucki, stoją pod Łochwicą, a czekają tylko na Wyhowskiego, mającego przyjść z Ordą i Polakami, ażeby na miasta ukraińskie uderzyć. Było to już nawoływanie do buntu jawne. Zbierano tedy po drodze plotki i prawdy bez wyboru i posyłano do Moskwy — bez wyboru. Jedni opowiadali, że Wyhowski ma zamiar zdobyć Kijów i osadzić tam jako księcia Rakoczego, drudzy skarżyli się na to, że zbyt protegnje Jerzego Niemirycza, „lutra".

Nie wiemy dokładnie, jaki był rezultat poselstwa Bajbakowa, prawdopodobnie żaden. Wzmagało się tylko niezadowolenie. Biegali posłańcy z jednej i drugiej strony do Moskwy z donosami i z prośbą o pomoc, a Moskwa badała sytuacyę, nie mogąc się przychylić ani ku jednym, ani ku drugim. Jeszcze Bajbakow nie wrócił do Moskwy, gdy wysłano ztamtąd nowego gońca, 5. kwietnia, Iwana Apuchtina. Przywiózł on niby urzędowo wiadomość Wyhowskiemu o przebiegu pertraktacyi z Polakami, ale także zahaczył o sprawy miejscowe. Skorzystał z tego poselstwa Wyhowski i w odpowiedzi na list posłał garść głuchych wieści o gromadzeniu się ordy i Polaków — wiadomości bez znaczenia, umyślnie szerzonych tylko dla okazania swojej wierności. Oczywiście, nie brakło zapewnień, jak i za dobrych czasów Chmielnickiego, wobec Jana Kazimierza, o wierności carowi i przysiędze.

6. kwietnia powzięto, jak się zdaje, w Moskwie stanowczą decyzyę co do stanowiska swego wobec sporu Puszkara z Wyhowskim. Ale już było zapóźno. Był to formalny ukaz Puszkarowi, ażeby się poddał władzy hetmańskiej. Ale i tu nie dociągnięto. Głaskano jego za wierność, posłuszeństwo i pokorę — czego nigdy Puszkar i wobec nikogo nie okazywał — i polecono mu, ażeby był gotów „na służbę przeciwko Janowi Kazimierzowi". Takąż samą hramotę wystosowano do pułkownika Nieżyńskiego i innych.

Wyhowski bronił się. Nie usprawiedliwiał się wprawdzie z zarzutów, robionych mu przez Puszkara, bo Moskwa trzymała donosy w tajemnicy, ale, ażeby paraliżować ich znaczenie, tem gorliwiej manifestował swoją wierność. Nie przeszkadzało mu to robić przygotowania do walki za plecami. Zdawało się wszakże, że jedynem jego pragnieniem jest uspokoić Moskwę. W chwili prawie, gdy bojarowie wybadywali posłańców Puszkara, Wyhowski wysłał do Moskwy przyjaciela swego, Hryćka Leśnickiego. Było to ryzykowne poselstwo ze względu na opinię, jaką Leśnickiemu robili Zaporozcy i Puszkar. Leśnicki nie uląkł się wsza-

kże, a Moskwa traktowała go tak, jak gdyby o żadnej zdradzie mowy nigdy nie było. Instrukcya wydana przez Wyhowskiego Leśnickiemu, całkowicie była skierowaną ku temu, ażeby zaufanie cara zyskać. „Gdybyśmy nie chcieli — pisał hetman — pozostać w poddaństwie i pod mocną ręką carską, mogliśmy pójść pod cara tureckiego, który obiecywał przysłać nam chorągiew i buńczuk, a jeszcze i polskie kraje przydać". I z przyjaźni z Tatarami wykręcał się, jakoby w umowie miał klauzulę „nigdy nie podnosić ręki na Jego Carską Miłość". Pokój z Rzptą starał się tem usprawiedliwić, że chce tylko zimę przeczekać w spokoju, ażeby na wiosnę, jeśli będzie potrzeba, na Polaków wyruszyć. Z awantury z Puszkarem pod Dikańką także trzeba się było usprawiedliwić — oczywiście Wyhowski nie żałował czarnych barw dla odmalowania przeciwnika — a w znacznej części miał słuszność. Pułkownik Połtawski przygotowywał się do walki: o żadnej zgodzie słyszeć nie chciał, piechotę zbierał z najgorszych wyrzutków społeczeństwa, rozmieszczał ją po miastach, kazał żywność dawać — słowem bałamucił ludność. Wreszcie, słuszną upatrując przyczynę w garnięciu się w szeregi kozackie szumowin społecznych, prosił cara o zrobienie popisu i rejestru kozaków. Dziesięć lat trzeba było krwawych wojen, ażeby się przekonać, że żądanie Polaków spisania rejestru kozackiego, miały słuszność. Ale wówczas żądania te wychodziły od komisarzy polskich, dziś — od najwyższego wodza kozaczyzny, od hetmana.

Poselstwo Wyhowskiego przyjęte zostało dopiero 20. kwietnia. Tu znowu wyszła na jaw przedewszystkiem sprawa zatargu z Puszkarem. Rozumieli wszyscy, że ona jest osią wszelkich nieporozumień i walk wewnętrznych. Leśnicki opowiedział pokrótce zatarg z Puszkarem i jego knowania, o tem, jak Wyhowski wróciwszy do Czehrynia, znowu chciał hetmaństwo złożyć i znowu uproszono go o zatrzymanie. Rezultatem tego wszystkiego była prośba o poskromienie Puszkara. Prosił wreszcie o zrobienie rejestru na 60.000, „ażeby hultajom na przyszłość nie wolno było nazywać się kozakami". Następnego dnia znowu stawili się w poselskim Prykazie — na egzamin. I znowu wystąpiła sprawa rejestru. W Moskwie obawiano się, czy nie będzie z tego powodu buntu śród kozaków? Leśnicki upewniał, że przeszkody żadnej nie będzie, radził tylko wysłać jako komisarzy „ludzi mocnych, a przy nich trochę sołdatów, ażeby w wojsku był strach i nikt nie śmiał buntów wszczynać". W Moskwie wiedziano, że Wyhowski wysłał Teterę w głąb Rzptej — potrącono tedy i o ten przedmiot. Po-

słańcy zapewniali, że Tetera posłany do Korca i Ostroga, ażeby na wypadek zatargów z wojskiem kozackim. znosił się z hetmanem koronnym i łagodził spory w celu utrzymania rozejmu, zawartego z Bieniewskim. O dalszych planach oczywiście mowy nie było. Bojarowie poruszyli znowu sprawę, pierwszorzędnego znaczenia dla Moskwy, obsadzenia miast ukraińskich wojewodami. Było to poniekąd sądowanie gruntu, gdyż Wyhowski pod naciskiem Moskwy, już poprzednio był się zgodził na wojewodów w Białej Cerkwi, Korsuniu, Nieżynie, Połtawie, Czernihowie i Mirhorodzie Ku wielkiemu zdziwieniu bojarów, Leśnicki, który najwięcej gardłował przeciwko wojewodom, nie tylko godził się na to. lecz dziękował za „wielką miłość carską". Pożytek głównie upatrywał w tem, że „bunty kozackie ustaną". Zgodziwszy się na zasadę, szedł jeszcze dalej, niż pragnęli bojarowie, gdyż wyraził życzenie, ażeby i w innych miastach ukraińskich byli także wojewodowie, „a w wojsku będzie lepiej i spokojniej".

Tak więc w sprawie najdrażliwszej, najważniejszej, pierwszorzędnego znaczenia dla Moskwy pod względem państwowym, nastąpiło porozumienie poniekąd z Wyhowskim. Nasuwa się pytanie: czy hetman kozacki nie miał innych zamiarów, godząc się na postulaty moskiewskie? Z tego, co nastąpić miało wkrótce, przypuszczać można, że swemi ustępstwami pragnął Moskwę uspokoić, ażeby tem łatwiej skupić siły i tem łatwiej doprowadzić myśl swoją, — oderwania Ukrainy od carstwa moskiewskiego. Puszkar i Zaporoże stali mu na drodze do urzeczywistnienia tego planu. musiał tedy najpierw z nimi walkę stoczyć — i do tej walki przygotawiał się.

Zdaje się, że na skutek poselstwa Leśnickiego. wysłano na Ukrainę bojarzyna. Bazylego Szeremetjewa, do Kijowa, zkąd polecono mu komunikować się z Wyhowskim, w celu uregulowania spraw kozackich. Znowu tedy wystąpiła sprawa rejestru kozackiego i zabezpieczenia kozakom rejestrowym żołdu. W tym celu miał Szeremetjew spisać wszystkie pozycye dochodowe ukraińskie i z tych sum żołd opłacać. Chmielnicki sam się rozporządzał budżetem kozackim — po kozacku: nikt nie wiedział dokładnie, zkąd brał pieniądze, ile i komu dawał. Moskwa dążyła stale do ograniczenia tej samowoli, która, stawszy się tradycyą, weszła do kategoryi „wolności kozackich". Napór na tę pozycyę uważano przeto jako „krzywdę". Moskwa zresztą, ze swoją ideą jedności państwowej, nie mogła znosić państwa w państwie, a do złamania takiego stanu rzeczy wytrwale i jasno dążyła. Drugą drażliwą sprawą było

ograniczenie władzy hetmańskiej co do porozumiewania się z posłami obcych mocarstw. Wyhowski wykręcał się jak mógł, a Moskwa stała twardo na swojem państwowem stanowisku i na takie porozumiewanie się bez swojej wiedzy pozwolić nie chciała. Chodziło tu głównie o Bieniewskiego, z którym stosunki mocno niepokoiły Moskwę. Ażeby przeciąć te niepożądane komunikacye, zdecydowano wysłać do Pereasławia lub Czehrynia, stosownie do tego, gdzie hetman będzie przebywać, carskiego „dworzanina“, a z nim stu strzelców, ażeby stale rezydował obok hetmana, a o wszystkiem, co się tam robi, donosił Bazylemu Szeremetjewowi.

Wieści, dochodzące do Moskwy z różnych stron, stawały się groźne. Zadnieprze wrzało intrygami, wojną domową, niesnaskami pośród starszyzny — a wszyscy niezadowoleni szukali pociechy w Moskwie. Duma carska jednych i drugich słuchała i załatwiała „donosy“ półśrodkami. Rozsyłano posłańcow na różne strony, ale interwencya za pomocą hramot do niczego nie prowadziła, tam, gdzie trzeba było spór rozstrzygnąć z bronią w ręku. Na ten krok Moskwa zdobyć się nie chciała. Trzeba było jawnie stanąć po jednej lub drugiej stronie. Na krok stanowczy nie zdobyto się.

Gdy tedy Szeremetjew wyjechał do Kijowa dla regulacyi spraw kozackich, Iwana Apuchtina wysłano do Czehrynia dla badań, jak zwykle, i osobistego zetknięcia się. Miał on dwie misye: urzędową i tajemniczą. Co do urzędowej, miał zawiadomić Wyhowskiego, że, jak tylko drogi wiosenne ustalą się, car ma zamiar wysłać swoich posłów do Wilna, gdzie z komisarzami polskimi odbędzie się narada co do wyboru Aleksieja Michajłowicza na króla polskiego po śmierci Jana Kazimierza. Ażeby w wojsku zaporozkiem wiedziano, co o nich będą mówić komisarze, Apuchtin miał zaproponować Wyhowskiemu wysłanie kogoś z „rozumnych“ ludzi na ten zjazd. W Moskwie proponowano Pawła Teterę. Drugą sprawą urzędową była potrzeba odgraniczenia nowoprzyłączonych do Moskwy prowincyi od Rzptej. Proponowano Wyhowskiemu, ażeby projekt takiego rozgraniczenia zrobił i do Moskwy przysłał. Tajemna misya Apuchtina była bardziej drażliwą. Chodziło o zbadanie jeszcze przebiegu Rady pereasławskiej i korsuńskiej, jakoteż prawomocności wyboru Wyhowskiego. Sprawa ta była już dawno przesądzona i bez aktualnego znaczenia. Alarmowało Moskwę co innego — stanowisko Leśnickiego. Jakkolwiek wypuszczono go cało z poselstwa, polecono jednak Apuchtinowi wypytywać się po drodze: czy też to wszystko prawda, co on

wygaduje? Czy też bunty kozackie już uspokojone? W Czehrynu, po zwykłych formalnościach powitania, Wyhowski sam podniósł sprawę Puszkara. Mówił z pewną goryczą i źle tajonem niezadowoleniem. Puszkar ze swoją gromadą rabuśników niepokoi i morduje spokojnych ludzi, łupi majętności starszyzny. Przyznał się, że Karacz-beja prosił o pomoc, że przyszedł w 40.000 ordy, że ma zamiar z bronią w ręku uspokoić i upokorzyć Puszkara i atamana koszowego zaporozkiego, Barabasza. Rozgoryczenie było zbyt wielkie. Nadaremnie Apuchtin prosił Wyhowskiego, ażeby przez Dniepr nie przeprawiał się z ordą, że car sam winnych ukarze. Hetman usprawiedliwiał się tem, że jeżeli teraz nie poskromi buntów, to się one rozszerzą i z małego pożaru powstanie wielki. Uważając poselstwo swoje za ukończone, Apuchtin prosił o listy i odprawę gońców. Wyhowski nie przychylił się do prośby, zasłaniając się niebezpieczeństwem, gdyż po drodze wszędzie stoi wojsko zaporozkie. I zatrzymał Apuchtina w Czehryniu pod strażą, dodając jeszcze i tę racyę, że wyboru posłańców na komisyę wileńską dotychczas nie uskuteczniono.

Tymczasem Wyhowski sposobił się do stanowczej rozprawy z Puszkarem. Gdy tylko orda z Karaczbejem do Czehrynia przyszła, począł hetman skupiać siły swoje i zebrał 60.000 kozaków. 6-go maja wyruszył w pole, napisawszy bardzo czuły list do Apuchtina — wiedząc dobrze, dokąd ten list trafi. Uspokajał go, że chociaż wystąpił z wojskiem, nie dla tego wszakże, ażeby coś miał przeciwko Carskiemu Wieliczestwu złego rozpocząć, pragnie tylko poskromić swawolę Puszkara i Barabasza, ale wiernym sługą carskim jest i pozostanie. Tak zapewniał równo na cztery miesiące przed umową Hadziacką. Na usprawiedliwienie swoje tyle wszakże mógł powiedzieć, że Barabasz z Zaporoża rzeczywiście wyszedł, przekroczył Omelnik, zajął Kremieńczuk i czekał na połączenie się z Puszkarem.

Zanim do stanowczej rozprawy obu zapaśników przyszło, Wyhowski 14. maja wystosował uniwersał do kozaków połtawskiego pułku i Zaporożców, wzywając ich do opamiętania się i do zaniechania bratobójczej walki, przechwalał się łaską carską, którą upatrywał w życzliwem przyjęciu w Moskwie wysłańców swoich i zachęcał do zgody, wykazując swoją życzliwość dla wojska. We trzy dni potem nadjechał nowy goniec z Moskwy, Piotr Skuratow. Zastał hetmana stojącego obozem nad rzeczką Psłem, w pięciu wiorstach od Gołtwy i w obozie listy carskie oddał. Nastrój wogóle był niepewny i posępny. Odebrawszy listy do

siebie pisane, Wyhowski przeczytał je milcząc, a hramotę do Puszkara oddał przybocznemu pisarzowi, Hruszce, do przeczytania głośno. Po wysłuchaniu carskiego tytułu, Wyhowski usiadł na obozowem łóżko i Skuratowa siadać prosił. Poseł carski zwrócił mu uwagę, że hramoty należy słuchać ze czcią winną, stojąc a nie siedząc. Wyhowski uniósł się. „Wszystko u was wysoko! — zawołał z niezadowoleniem i hramotę sam przeczytał stojąc, a przeczytawszy, zauważył: „wszystko to nic nie znaczy; Puszkara nie hramotami trzeba uspokajać, ale ująć i łeb uciąć“. Gdy Skuratow powiedział, że Puszkarowi posłano polecenie posłuszeństwa hetmanowi. Wyhowski w gniewie począł mówić: „Takiego swawolnika trzeba było ukarać lub przysłać do mnie. Ja pisałem do wielkiego hosudara niejednokrotnie, ażeby Puszkara uspokoił do Wielkiej Nocy, a jeżeli nie zechce, ja i sam się z nim sprawię. Gdyby go do tej pory już uspokojono, nie byłoby się tyle krwi chrześciańskiej wylało. I ja cierpiałem, czekając carskiego ukazu, a przecie byłbym mógł Puszkara i sam uspokoić jeszcze w zimie. Ja buławy brać nie chciałem: spokoju pragnąłem nie buławy. Wprawdzie carski okolniczy, Bohdan Chitrowo, miał Puszkara ująć i do mnie przywieść, a tymczasem zrobił inaczej — sobolami go obdarzył i wypuścił. A do Barabasza i pisać nie warto; on razem z Puszkarem trzyma. Przysięgając carowi, zawarowaliśmy sobie, ażeby praw naszych nikt nie naruszał, a Carskie Wieliczestwo obiecał nam taką wolność, jakiej zażywaliśmy przy królach polskich. Według praw naszych nikomu nie wolno posyłać hramot — oprócz hetmana, wszystkimi rządzi jeden hetman, a wy wszystkich uczyniliście hetmanami, do wszystkich rozsyłali hramoty, do Puszkara i do Barabasza, a od tych hramot i bunty się rozpoczęły. Gdyśmy przysięgali, wtenczas Puszkara nie było — ja byłem i Chmielnicki.“

Nadaremnie Skuratow uspokajał hetmana, zachęcał do wyczekiwania, Wyhowski odrzekł stanowczo: „pójdę na Puszkara i złamię go ogniem i mieczem; gdzie tylko ucieknie, wszędzie go znajdę, gdyby nawet w hosudarskie granice uciekł. Kto go będzie bronić, ten guza dostanie. Na ukaz hosudarski długo czekać. Ja wobec Puszkara nie mam winy; nie ja — on zaczął. Nie o hetmaństwo chcę z nim bić się, lecz o życie moje. Poczekam, aż się Rada zbierze, wówczas buławę złożę; sam do Wołochów, Serbów lub na Multany pójdę; tam mię przyjmą radzi.“

Postanowienie Wyhowskiego było nie odwołalne. We dwa dni po tej rozmowie, 17. maja, wyruszył z pod Hołtwy wraz

62*

z Karacz-bejem, którego siły Skuratow obliczał na 6.000 ordy. Z Wyhowskim byli pułkownicy pereasławski, czerkaski, kaniowski, humański, irklejowski — i to nie wszyscy. Białocerkiewski pułkownik wrócił z obozu, korsuński nie poszedł wcale, wysłał tylko nakaźnego, a nieżyński i pryłucki pułki stały pod Łubniami czas jakiś, potem miasto zdobyły, mieszczan rozpędzono. Mirhorodzkiego pułkownika Dowhala Mirhorodczanie złapali i pod straż wzięli, gdyż był to jeden z najzuchwalszych swawolników, a przyjaciel Puszkara. Puszkar zamknął się w Połtawie, Barabasz stał z Zaporożcami w pobliżu. Tak układały się rzeczy w przededniu bitwy.

25. maja przyciągnął z wojskiem swojem Wyhowski pod Sokole bajraki i tu właśnie zastał go Leśnicki, z powrotem z Moskwy i wręczył hramoty do Wyhowskiego i Puszkara, którą hetman natychmiast odesłał do Połtawy — ale bez skutku. Postanowił tedy skończyć swoje rachunki z Puszkarem z bronią w ręku — w chęci uspokojenia go, jakoteż pomszczenia porażki nad Serbami.

31. maja zatem, zostawiwszy ordę pod Sokolemi bajrakami, sam z całem wojskiem ruszył pod Połtawę. Po za Żukowemi bajrakami, minąwszy dolinę Półjezierze a zostawiwszy w pobliżu dwa pułki Chmielnickiego i zaciężną piechotę niemiecką, zbliżył się pod Połtawę i stanął obozem na górze między Żukami a Rybakami, o milę tylko od Połtawy, rozciągnąwszy obóz swój aż do Żukowego bajraku. Puszkar, jakkolwiek z początku bardzo groźnie stawił się Wyhowskiemu, postanowił nie przyjąć bitwy, lecz zamknąć się w mieście i w okopach się bronić. Ale czerń i hołota „na odzież i rozum“ — jak pisze kronikarz kozacki — zganiła mu to tchórzostwo i do wystąpienia w pole zmusiła. Nazajutrz tedy, na dwie godziny przed świtaniem, wyszedł Puszkar z miasta, a równo ze wschodem słońca, na nieprzygotowane do boju wojsko Wyhowskiego, uderzył. Z początku była przewaga po stronie Puszkara, gdyż uderzył na_wojsko nieuszykowane. Sam Wyhowski w czasie bitwy spadł ze swego konia, Szelesta, co wzięto powszechnie za zły omen, a Karaczbej o wygranej zdesperował, ale Wyhowski rychło się ocknął, uderzył całą siłą na Puszkara, z obozu go wygnał i pod Połtawę się zbliżył. Pod miastem przyszli w pomoc Puszkarowi Zaporożcy z Barabaszem. Bitwa rozpoczęła się na nowo, a szczęście przeciwko Wyhowskiemu zwróciło się. Puszkarowcy opanowali ponownie obóz hetmański, a myśląc, że to już po zwycięztwie, zasiedli na kufach gorzałczanych do

swięcenia tryumfu. Inni poczęli dzielić się dobyczą obozową. Z tego zamięszania skorzystał Wyhowski, ściągnął ku sobie ordę z pod Sokolich bajraków, z pozostałymi kozakami, jakoteż pułkami niemieckimi na bezpiecznie używającą wczasu hołotę Puszkarową uderzył. Znowu mu się nie powiodło. Dejneki pijani rzucili się z kijami na niemiecką piechotę, która cofnąwszy się przed nimi, plac boju opuściła. Wyhowski rozpoczął nowy atak na obóz Puszkara już tylko z kozakami i Tatarami. Uderzenie było bardzo gwałtowne. Barabasz nie wytrzymał i cofać się począł ku Siczy, tem bezpieczniej, że pogoni nie było żadnej. Wyhowski skupił wszystkie siły na Puszkara i złamał go. Do zupełnego zwycięztwa dopomogła ta okoliczność, że Puszkar został zabity. Odciętą głowę przyniósł szczęśliwemu zwyciezcy kozak na pice. Nieprzyjaciel poszedł w rozsypkę. Droga do Połtawy została otwartą. Wyhowski wszedł do niej bez walki, ogniem i mieczem przywitawszy mieszczan. Cztery dni odpoczywał hetman w Połtawie, a potem dopiero wyruszył z powrotem do Czehrynia. Czuł się już silniejszym i bardziej samowładnym panem na Ukrainie, niż był dotychczas. Zwycięztwo przynosiło mu powagę, posłuszeństwo i spokój, którego za pomocą poselstw nie mógł zdobyć w Moskwie. Zdaje się, że to zwycięztwo przeważyło szalę ku myśli stanowczego oderwania się od Moskwy. Nabrał wobec niej pewności siebie i stawił się tak hardo, że nie mógłby był tego czynić, gdyby nie zamiary stanowczego oderwania się.

IV.

Wracając do Czehrynia, otrzymał wiadomość w drodze od pułkownika białocerkiewskiego, że jedzie do Białocerkwi wojewoda — już jest w Kijowie. Wiadomości tej udzielił mu okolniczy, Andrzej Buturlin. Wyhowski uniósł się i, nie zważając na obecność Skuratowa, wykrzyknął: „znowu przyjeżdżają wojewodowie bunty u nas robić!“ A pod adresem Buturlina rzekł groźnie: „pisz, ale strzeż się!“ Na uwagę Skuratowa, że sam przecież o wojewodów prosił, odpowiedział, że prosił „o tysiąc dragonów i piechotę, ażeby bunty ukrócić, a oni mu wojewodów posyłają“. Uskarżał się, że car nie chce, ażeby on był hetmanem. O wojewodów nie prosił — jak przyjechali, tak niech wracają, — mówił — powinni byli do niego przysyłać, a on dopiero mógł im

miejsce wskazać. Tym razem Skuratow donosił wyraźnie, że „hetman carskich ukazów nie słucha“. Oczywiście, za przykładem Wyhowskiego, inni również podnieśli głowę, a Bohun także wykrzykiwał: „wojewodów nie potrzebujemy! Po co przyjechali? — Żon i dzieci naszych spisywać?“

Tak tedy bitwa pod Połtawą stała się punktem zwrotnym w wyjaśnieniu stosunków Wyhowskiego do Moskwy. Cofanie się było trudnem, pozostawało tylko iść naprzód.

Niesubordynacya Puszkara, a raczej następstwa wywołane przez nią, przeciągnęły się po za wzięcie Połtawy. Powtarzać się zaczęły na Zadnieprzu zupełnie takie same wypadki swawoli czerni, jakich prawobrzeżna Ukraina była świadkiem za Bohdana Chmielnickiego. Zamiast, jak dawniej, na Czarne morze i na miasta tureckie, urządzali sobie „chadzki“ na własne miasta i wsie. Setnik połtawskiego pułku, Zieliński, zebrawszy półtora tysiąca hultajów i łotrzyków, wyruszył z nimi na swawolę pod Głuchów, po prostu dla rabunku. Mieszczanie i kozacy osiedli musieli z nimi formalną bitwę stoczyć. Zwyciężywszy ich, żywcem wzięli Zielińskiego wraz z kilkoma towarzyszami, a niedługo namyślając się, wyprowadzili za miasto i rozstrzelali. Drugi taki hultaj, jakiś Dziuk, zdołał umknąć aż do Putywla i tu go dopiero aresztowano. Takie kupy hultajskie zasłaniały się wobec mieszczan fałszywym ukazem carskim, dozwalającym wszystkich mordować i rabować. W Hadiaczu mieszczanie i kozacy wypowiedzieli posłuszeństwo Wyhowskiemu i zamknęli się w mieście, tak, że hetman kazał Hulanickiemu, pułkownikowi nieżyńskiemu, prowadzić formalne oblężenie, a po zdobyciu miasta, Tymosza pułkownika, kazał rozstrzelać.

Widzieliśmy, że Moskwa Kijów wybrała sobie na stanowisko obserwacyjne, że „obsadzenie miasta wojskiem moskiewskiem i wojewodami, jeszcze za czasów Chmielnickiego, wywoływało ostre nieporozumienie. Obecnie stanowisko to wzmacniała Moskwa, posyłając tam Bazylego Buturlina. Wyhowski po zwycięztwie pod Połtawą, po stanowczej rozmowie ze Skuratowem, rozpoczął powolne zrywanie z Moskwą. Powziął tedy plan opanowania Kijowa, wypędzenia ztamtąd Moskwy i zdobycie tego miasta na stolicę kozaczyzny. Z zamiarem tym nie wypowiedział się nigdy wyraźnie, ale do wykonania jego wyraźnie dążył.

Nie bardzo snać ufając swemu szczęściu, zanim do rozprawy pod Kijowem przyszło, Wyhowski pchnął posłańca do Bieniewskiego, ażeby przyjeżdżał pakta kończyć. Bieniewski nie mógł

wyjechać — miał przeszkody zupełnie natury osobistej, bawił we Lwowie na weselu wojewodziny krakowskiej z księciem Radziwiłłem i dopiero 22. sierpnia wraz z innymi komisarzami w podróż wyruszył. A właśnie w tym samym czasie rozpoczęło się oblężenie Kijowa. 16. sierpnia sałdaty i dragoni, wysłani na poręb drzewa, przybiegli do miasta ze skargą, że strzelano do nich z łuków i że do Kijowa zbliża się jakieś wojsko. Wysłano podjazdy i przekonano się, że to są kozacy pułków białocerkiewskiego, bracławskiego i podolskiego. Kozacy cofnęli się za Łybed'. Po bliższem wypytywaniu się dowiedziano się, że kozacy podstąpili pod miasto z rozkazu hetmana i oczekują na Daniła Wyhowskiego. Widocznie spodziewano się przybycia większych sił. Jakoż istotnie nadeszło jeszcze dwa pułki, a 23. sierpnia po południu zjawił się Daniło Wyhowski z Tatarami i kozakami i porozumiał się z pułkownikiem kijowskim, Pawłem Janenko (Chmielnicki). Janenko wystąpił w roli dwuznacznej. Do przybycia Wyhowskiego udawał przyjaźń dla wojewody i życzliwość, obiecując, że go nie odstąpi. Tymczasem skrycie porozumiawszy się z Daniłem Wyhowskim, z dwóch stron uderzyli na Kijów: na stary litewski zameczek, na Kisielowkę, uderzył Chmielnicki, a Daniło Wyhowski od Złotych Wrót szturm przypuścił. Garnizon moskiewski, acz nieliczny, bronił się dzielnie, mimo to, że i mieszczan kijowskich miał przeciwko sobie. Zdaje się, że Wyhowski, pragnąc ich zjednać, jeszcze na czas jakiś przed oblężeniem akcyę tę rozpoczął. Kijowianie wahali się. Przychodzili nawet do wojewody, Andrzeja Buturlina i prosili, ażeby na wypadek, gdyby nieprzyjaciel obległ Kijów, pozwolono im schronić się z dziećmi i żonami do forteczki dla bezpieczeństwa. Buturlin pozwolił. Ale nie skorzystali z pozwolenia i uciekli na ostrowy dnieprowe, gdyż czuli się nie bez winy wobec wojewody. Mieli oni parę armatek miedzianych. Wojewoda upominał się o nie. Powiedzieli, że do reparacyi do Bychowa odesłali. Tymczasem było to nieprawdą, gdyż armatki te oddali pułkownikowi kijowskiemu, Janence.

Wróćmy do oblężenia Kijowa. Po niefortunnym ataku od Kisielówki i Złotych Wrót, Daniłko Wyhowski cofnął się do Peczerskiego monasteru i obozem tam stanął wraz z pułkownikami, za Łybedią, i zaraz nazajutrz t. j. 24. sierpnia poczęli się oszańcowywać. Załoga moskiewska nie tylko przeszkodziła w robocie, ale napadłszy na obóz kozacki zupełnie go rozgromiła. Buńczuk, pieczęć wojskową, znamiona, litawry, działa — wszystko zabrali. Rozgrom ten wywołał ogromną panikę śród kozaków. Wszyscy

rzucili się do ucieczki, a Daniłko Wyhowski ledwie umknąć zdołał łodzią. Powiadano, że został raniony. W tym samym czasie, kiedy Wyhowski atakował miasto od Peczerskiego monasteru, Paweł Janenko (raporty moskiewskie nazywają go Janionok) uderzył na Kijów od góry Szczekawicy — ale równie nieszczęśliwie jak i Wyhowski. Obóz Janenka rozgromiono, zabrano działa i wszystko co tam znaleziono tylko. Według źródeł moskiewskich, było pod Kijowem z Daniłką Wyhowskim 1.500 Tatarów, a kozaków i leweńców 20.000.

Po szczęśliwem odparciu napadu kozackiego na Kijów, Buturlin wziął się do indagacyi jeńców i mieszczan — i otrzymał taką odpowiedź, jaką zwykle otrzymywali Polacy po rozgromie Pawluków, Skidanów, Ostrzaniców i in. — że przemocą zostali zmuszeni do walki z Moskwą. Równie nieszczęśliwą była wyprawa pod Wasylków i okoliczne miasteczka.

Nasuwa się pytanie: dla czego Wyhowski, który znajdował się w owym czasie w pobliżu Kijowa i miał z sobą oprócz kozaków 20.000 Tatarów, według relacyi moskiewskich, nie uderzył na Kijów wspólnemi siłami, a przeciwnie, siły te rozdwoił? Czy zbytnio ufał w zwycięztwo brata, czy też pozostawił go własnym siłom dla tego, ażeby umyć ręce od wszystkiego, w razie niepowodzenia? Trudno odgadnąć — tembardziej, że na krótko przed obleżeniem miasta, co przecież nie mogło być bez jego wiedzy, wysłał posłańców do Bieniewskiego z prosbą, ażeby przyjeżdzał kończyć traktaty. Miał zatem już plan dalszej akcyi zupełnie wyraźny. Daniłko usprawiedliwiał się wprawdzie, że pod Kijów podstąpił „bez hetmańskiego rozkazu", ale nie trudno domyślać się, że to tylko był wykręt.

Tak czy inaczej, Wyhowski, po nieszczęśliwem oblężeniu Kijowa przez brata, wyruszył wprost na Hadziacz, a Buturlin utrzymywał, że „poszedł wojować miasta carskie". Wieliczko mówi, że „pokręcił się" trochę koło miast carskich i do Hadziacza poszedł. I w jednem i w drugiem twierdzeniu była prawda.

Zanosiło się na burzę większą niż dotychczas. Moskwa, przewidując ją, zrobiła jeszcze ostatni krok do ugłaskania Wyhowskiego — wysłała na Ukrainę kanclerza swego, diaka Bazylego Kikina. Przybył on do obozu Wyhowskiego pod Hadziaczem mniej więcej w końcu sierpnia i już na wstępie przekonał się, że sytuacya jest nieprzychylna dla Moskwy. Starał się zaraz po przyjeździe z wysłanym na spotkanie jego „podpiskiem" porozumieć. Ów pomocnik pisarski, jak się zdaje Borysowicz, wystąpił w roli echa — po-

wtórzył to, co słyszał w otoczeniu hetmana. Skarżył się tedy na wojewodów, na Romodanowskiego, że buntowników popiera, a wkońcu rzekł: „Niech sobie Wielka Rossya będzie wielką, a Mała — małą, gdyż my i u siebie mamy wojsko niezwyciężone“, To wybiło z równowagi Kikina. „Takie gadasz nieprzystojne rzeczy, że ci język uciąć trzeba — zawołał. — Małą Rossyę, oderwaną gałązkę od wielkiego pnia wielkoruskiego, sam Pan Bóg do niego przyłączył“. Przy spotkaniu się z Wyhowskim, Kikin odrazu wyraził życzenie cara, wysłania dwóch pułkowników z wojskiem do Dołhorukiego, połączenie się z nim i oczekiwanie rozkazów pod posłuszeństwem wskazanych wojewodow. Wyhowski oparł się błahemi wymówkami — że Bazyli Szeremetjew krzywdzi „chrześcian“. Nie należało to wcale do rzeczy. Potem nastąpiły wzajemne rekryminacye. Kikin wyrzucał Wyhowskiemu, że sposobi się do jakiejś wojny, gromadzi wojsko, nawet Tatarów, a carskie Wieliczestwo nie wie wcale z kim to ma być wojna. Hetman, zamiast odpowiedzieć na zarzut, napadł na Romodanowskiego, który przytrzymuje buntowników u siebie, jak Barabasza, i w ten sposób innych zachęca do buntu, że mianuje samowolnie pułkowników, i dał przykład usunięcia Piotra Doroszenka z pryłuckiego pułku, a mianowanie na jego miejsce Woronczenka. Kikin uderzył w wyższy ton: „wy zamyślacie coś złego na wielkiego hosudara waszego, na pomazańca bożego, na dobroczyńcę, na wybawiciela swego, który miłosierdziem swojem was pokrył, od wrogów uwolnił i oswobodził“. Wyhowski zwyczajem kozackim kręcił, zapewniając, „że nie ma zamiaru od mocnej ręki carskiej odstąpić“. Daremnie Kikin, dla uspokojenia umysłów zapewniał, że car kazał im wydać Barabasza na sąd własny, Krechowiecki, pułkownik kaniowski, odrzekł hardo: „gdyście spostrzegli, że hetman z wojskiem stoi, wówczas dopiero przysłaliście Barabasza!“ Ataman siczowy był już istotnie w obozie Wyhowskiego i przykuty do działa przed namiotem hetmańskim, oczekiwał smutnego losu.

Niezadowolenie między obu stronami nie tylko nie łagodziło się, ale sytuacya zaczęła się wyjaśniać o tyle, że hetman parł do rozerwania związku z Moskwą. Wyhowski posłał do Kikina pułkowników Ciuciurę, Piotra Doroszenkę i Niemirycza z poleceniem oświadczenia, że skutkiem krzywd, doznanych przez kozaków od Romodanowskiego, Wyhowski ma zamiar wydać mu wojnę. Kikin udał się wprost do hetmana i nadaremnie usiłował przełamać jego zawziętość. Wyhowski odpowiedział otwarcie, że nie tylko wojska nie rozpuści, ale jeszcze oczekuje posiłków tatarskich i wówczas

uderzy na Romodanowskiego i na carskie ukrainne miasta. Odpowiedź była zbyt stanowczą, ażeby można było mieć nadzieję spokojnego zakończenia sprawy. 7. września przyjechał do Kikina posłaniec i oświadczył, że ma zamiar i polecenie odprowadzić go do Mirhorodka.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Dokończenie nastąpi)

WYPRAWA GENERAŁA DĄBROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Raport powinny gen. Dąbrowskiego z Bydgoszczy, d. 4. 8-bris 1794.

Posyłam N. Naczelnikowi raport obszerny o wzięciu miasta Bydgoszczy i zupełnem rozproszeniu pułkownika Szekelego.

Już majora Molskiego do N. Naczelnika wysłałem z krótkim raportem, oraz z zaleceniem, aby mu ustnie przełożył, czego do dalszych operacyj konieczna wymaga potrzeba: uczyniłem to dla tego, że w teraźniejszych okolicznościach nic papierowi powierzyć nie chciałem. Wybrałem zatem takiego oficera, którego obywatelstwu, talentom i gorliwości wszystko powierzyć można było. Po odebraniu raportu tu przyłączonego gen. Rymkiewicza, dałem natychmiast rozkaz do marszu ku Bydgoszczy. Wieczorem wprzód jeszcze zgromadził się korpus o godzinie 8. dnia 1. 8-bris na miejscu wyznaczonem, a o godz. 9 z rana już kolumna była w zupełnym marszu. Równo z świtem przy strzeleckim domu stanęła, oczekując korpusu, który dla ciemnej nocy, a ztąd wywracających się wozów ammunicyjnych, nieco się spóźnił. Gdy już wszystko na miejscu stanęło, komenderowałem natychmiast gen. Mniewskiego z przednią strażą — aby wzdłuż lasu w prawą skrycie ciągnął i Barłodzice osadził. Resztę zaś brygady mojej i 2 armaty 3-funt. posłałem ku Wielkim i Małym Wilajcom. Obudwom tym detasze-

runkom dałem rozkaz obserwować obroty nieprzyjaciela i nie dopuścić przejścia kanału i rzeki Brdy. Korpus awansował na 2 liniach, na wszystkich skrzydłach piechoty była jazda. Kawalerya gen. Rymkiewicza wyszła w linię, cała artylerya do pierwszej linii, aryergarda formowała rezerwę. W tym porządku batalii awansował korpus aż do wzgórka pod Bydgoszczą będącego, gdzie krzyż jest wystawiony. Piechocie i kawaleryi kazałem się zatrzymać, artyleryę zaś w następującym porządku podzieliłem. 2 armaty 6-funt. tak ustawiłem, żeby się cmentarz żydowski w lewo został, żeby na nieprzyjacielską mogły strzelać artyleryę, która na tamtej stronie Brdy się znajdowała; 2 armaty 6-funt. do bramy; 2 armaty 6-funt. strzegły drogi do Łabiszyna, z nich szedł ogień w ulicę; 2 armaty 6-funt. rzucały ogień do bramy Nakielskiej i do miasta. Artylerya nasza, chociaż mocno strzelała, niewiele jednak szkodziła; nieprzyjacielskie równie nas mało raziły. Podczas kanonady uszykował się korpus pułkownika de Szekeli, który stał po tamtej stronie rzeki i zdał się za lasem w lewo ciągnąć, tak, jakoby na lewym flanku naszym coś chciał przedsięwziąć. Komenderowałem natychmiast aryergardę, ażeby nań krótszą drogą do Sierpca maszerowała i między tą wsią a Barłodzicami uszykowała się. Tym sposobem wzmocniona została komenda Niemojewskiego, któremu strzeżenie Brdy powierzone było.

Ponieważ nieprzyjaciel kanonadą odstraszyć się nie dał od obrony miasta, a my też także amunicyi psuć nie chcieli, wysłałem adjutanta mego, majora Zabłockiego, ażeby miasto do poddania się wezwał, tudzież i Szekelemu oświadczyć, iż jeżeli nam Bydgoszcz szturmem wziąć przyjdzie, postąpić sobie podług jego zwyczaju każę; to jest wszystko zrabować i spalić. Wrócił się major Zabłocki i doniósł, że go pułk. de Szekeli jak najnieprzyzwoiciej przyjął i przeciw wszystkim obrządkom wojennym postępując, to mu powiedział, że albo ja rozum straciłem, albo rozumiem, iż on go stracił, takiej po nim wymagając rzeczy: iż wiedzieć powinienem, że mam z sławnym Szekelim do czynienia, który wszędzie Francuzów pobił. Nakoniec dodał, iż jeżeli major natychmiast z miasta nie wyjdzie, w łeb mu każe strzelić. — Na taką rezolucyę szturm następującym przypuściłem sposobem.

Pierwszy batalion regimentu 13-go z 1 armatą pod komendą pułk. Burzyńskiego atakował bramę od Łabiszyna. Drugi batalion tegoż regimentu z góry na dół prosto idąc, ku rafineryi maszerował, gdzie 200 piechoty nieprzyjacielskiej stało, pod komendą majora Szwejkowskiego. Pierwszy batalion 4-go regimentu z 1 ar-

matą atakował bramę Nakielską; temu przywodził gen. Rymkiewicz. Nakoniec pierwszy batalion regim. 1-go maszerował naprzód, chcąc niby między Łabiszyńską i Nakielską bramą wkroczyć do miasta.

Wszystkie ataki uskuteczniły się i chociaż się nieprzyjaciel dobrze bronił, udał się atak na rafinerye, ponieważ tam żadnej bramy nie było do wyrąbania, skoro się nieprzyjaciel ze wszystkich stron napieranym i otoczonym ujrzał, albo przez most ucieczką się ratował, albo poddać się musiał. Artylerya nieprzyjacielska chciała coś za miastem czynić, ale nasze działa czasu i ochoty ją pozbawiły. Korpus pułk. Szekeli awansował wprawdzie ku miastu, ale jak się tylko spostrzegł, żeśmy już panami miasta i że gen. Madaliński na czele brygady maszeruje przez miasto, wziął się do ucieczki i cofał się do lasu, tam między Barłodzicami i Siekierskiem stali, przeszli także Brdę do Fordunu. Forpoczty nasze dnia tego rozciągnęły się do Dąbrówki na Felno aż do Orzelna i Palisza nad Wisłą.

Dostało nam się w niewolę 2 pułkowników, 1 major, 18 oficerów, 20 podoficerów, 372 gemajnów. Utracił nieprzyjaciel w zabitych 100, rannych 50. My zostawiliśmy na placu 25, rannych mamy 30-tu. Pułkownik de Szekeli, który przed 1$^1/_2$ godziną tak bardzo odgrażał się, ranionym został od kuli armatniej w lewą nogę i dla braku w blizkości mostu, między innymi rannymi leżał, wołając naszych żołnierzy na pomoc, lecz gdy się niektórzy dla podniesienia go nachylili, jeden kosynier poznał go i zawołał: „a — to Szekeli! który nas rabował i palił“. — Wszyscy się zaraz nań rzucili, gdy szczęściem przybył z komendą major Zabłocki, ten sam, z którym się Szekeli przy wezwaniu miasta źle był obszedł; poznał go Szekeli i prosił o przebaczenie i życie. „Oboje byłbyś otrzymał, — odpowiedział ten oficer — choćbyś o nie nie prosił“. Kazał go do poblizszego domu zanieść i przyzwoicie opatrzyć.

Jak tylko żołnierze nasi panami miasta się stali i ze wszystkich stron szturmem do niego wkroczyli, w pierwszym momencie wszystko było w ich władzy, tak życie jako i majątki obywateli miasta. Ale jak mało tej naturalnej nadwerężyli władzy, opisać niepodobna. Nie trzeba ich było wstrzymywać od ekscesów. Obywatele nieplondrowani, ni też w najmniejszej rzeczy ukrzywdzeni byli. Żołnierz nieprzyjacielski, co się nie dostał w niewolę, zupełnie życia był pewien. Widziano nawet starych żołnierzy, wstrzymujących kosynierów, aby do domów nie wchodzili, by

nawet nie mówiono, że chcieli rabować. Wielu mieszkańców wychodziło z domów, częstując naszych po przyjacielsku, lecz większa część naszych żołnierzy zapłaciła to nawet, co dobrowolnie ofiarowane było. Na pierwszy do wymarszu apel, zgromadzili się znowu waleczni nasi rycerze do swoich szeregów, ciesząc się z tego, że przełożonym swoim okazać mogli, jako wiele każdy brańców przyprowadził, patrontaszów i broni zdobył.

Obawiali się z początku mieszkańcy i domy ich były pozamykane, ale też kazałem zaraz pootwierać, bo nim się wszystko poddało, pierwej dały się słyszeć wystrzały z niektórych domów. Mówiono mi nawet, że się obywatele przeciw nam uzbroili byli, ale ponieważ to mogło mieć złe skutki, całą tę rzecz puściłem w niepamięć.

Pierwszy batalion regimentu 1-go został garnizonem w mieście, cały zaś korpus stanął obozem na wzgórku między leśnictwem a Bydgoszczą znajdującym się.

Ustanowiona komisya (na której czele znany ze zdatności swojej, pełnomocnik Wybicki znajduje się) zatrudnia się ułożeniem ogólnego raportu wszystkich magazynów znajdujących się. — Tenże pełnomocnik natychmiast wydał odezwę, zapewniającą obywatelom życie i własność i że to tylko w rekwizycyę wzięte będzie, co jest królewskiego, a prywatne dobro każdego szanowane jest.

Gdy się to już wszystko uspokoiło, nawiedziłem pułkownika Szekeli, którego nic uspokoić nie mogło, będąc w trwodze, aby się na nim nie mszczono i jakiej krzywdy nie wyrządzono. Zapewniłem go, że spokojnym być może i że starać się będziemy los jego jak najwięcej mu osładzać. Prosił o doktora, księdza i pieniądze: wszystkie jego żądania zaspokojonemi zostały. Wielu bardzo przychodziło go nawiedzać, między którymi wielu było takich, że ich Szekeli znacznie poniszczył, lecz widząc go w tak nieszczęśliwym stanie, litowali się nad nim, zapominając o swoich szkodach. Między którymi poszedł także godny z wszech miar uwielbienia, gen. Mniewski, przed rewolucyą Szekeli zawsze się w domu jego znajdował i przyjacielem był jego. W czasie rewolucyi dom jego najpierwszy był zrabowany i cały majątek zniszczony został. Co tylko Szekeli wchodzącego Mniewskiego spostrzegł, zemdlał natychmiast, a przyszedłszy do siebie, żałosnym zawołał głosem: „Ach, Mniewski!“ — Cnotliwy ten Polak temi odpowiedział mu słowy: „Co się mojej osoby tyczy, daruję ci wszystko, ale jeżeli chcesz być spokojnym, oddaj złupioną własność tym, którym cały

sposób odjąłeś do życia". Tu Szekeli oświadczył, że ze mną i z Mniewskim sam na sam chce się rozmówić, a gdy wszyscy ustąpili, powiedział nam, iż wszystkie jego bagaże w Grudziądzu się znajdują, oraz abyśmy się wcale dalej nie posuwali, bo maszerują korpusy z Brandenburgii, Pomorza, które się z nim złączyć miały, a na znak swej przyjaźni, darował mi najlepszych jezdnych 6 koni i w tym celu napisał do kamerdynera swego, który list miał być przez trębacza posłany, lecz go wstrzymałem. Jak tylko gen. Madaliński z wyprawy swojej powrócił, toż samo opowiedział mu Szekeli. Poszedłem potem odwiedzić drugiego, w niewolę wziętego, pułkownika Witten. Stary i szanowny żołnierz dwa razy jest w piersi ranny i mówić prawie nie może. Prócz tego jest jeszcze 6 oficerów i 50 żołnierzy ciężko rannych. Uczyniłem rozporządzenie, aby obudwóch wojsk ranni, należycie opatrzonymi byli, a brańcom wojennym ludzkość i uszanowanie wyrządzono.

Z raportu tego dowie się Najwyższy Naczelnik, jak sobie pod komendą moją postępują republikanie i ile się na pochwałę Narodu zasługiwać starają.

Gdy wszyscy powinności swojej dopełnili, gdy z odwagą i honorem się potykali i nieprzyjaciela pokonać się starali, przeto niepodobno mi szczególniej dystyngujących się namienić. Wszyscy równie odważni, zawsze równie chęcią ścigania chwały powodowani, szukali odważnie zwycięstwa lub śmierci, pierwsze znaleźli, drugiej się nie lękali.

Zawsze mężny gen. Madaliński i w tej okazyi nie omieszkał dobry dać przykład z siebie naszemu żołnierzowi. Kawalerya podczas kanonady i szturmu zupełnie nieczynną była: tak był niecierpliwym, że się koniecznie pod ogień nieprzyjacielskiej artyleryi przez Brdę chciał przeprawić i ledwiem go w odwadze wstrzymać mógł, obawiając się, by ogień nieprzyjacielski mu nie szkodził. Szedł potem do dwóch armat i póty osobiście strzelał, póki nieprzyjacielskich do cofnięcia się nie zmusił.

Gdy od niejakiego czasu żadnych od N. Naczelnika niemam wiadomości, boję się więc, aby nad Bzurą, koło Gąbina, kto nie przejął komunikacyi. Nie więc w tym raporcie o dalszych operacyach moich nie wspominam, wstrzymując się z tem do powrotu dwóch przezemnie wysłanych kuryerów: Miaskowskiego i Molskiego.

Dat. jak wyżej."

Ordynans porucznikowi Bielanowskiemu 5. 8-bris 1794 r.

„Daję ordynans porucznikowi Bielanowskiemu, ażeby zaraz z swoją komendą maszerował tam, gdzie kolumna gen. Szweryna znajduje się. Na jego obroty największą baczność mieć ma, żadnej zaczepki bez zysku nie zacznie i rozgłosi, że wojsko nasze okolice tutejsze opuszcza i gen. Szweryna atakować ma. Sam zaś szpiegów po wszystkich stronach jak najdalej roześle, a mnie o wszystkiem jak najspieszniej uwiadomi.

Jeżeli się okazya zdarzy, ażeby mógł sobie korpus strzelców formować, bardzo bym sobie tego życzył.

Dan w obozie pod Bydgoszczą.

G. Dąbrowski.“

Ordynans generałowi Lipskiemu. 5. 8-bris.

„Daję ordynans gen.-maj. Lipskiemu, ażeby natychmiast z całą komendą swoją przez Wisłę przeszedł, ku Chełmnu i Grudziądzowi patrolował, gdzie się nieprzyjaciel pokaże, a siłę jego ścigać nie zaniedba. Wszystkich gatunków statki i łodzie do przewozu spędzi i pod komendą swoją zatrzyma. Szpiegów do Grudziądza i Torunia wyśle. Dowie się dokładnie o sile i obrotach nieprzyjaciela i mi jak najczęściej raporta przesyłać będzie.

Dan w Bydgoszczy.“

Ordynans pułkownikowi Sieroszewskiemu.

„Daję ordynans pułk. Sieroszewskiemu, aby w Nakle i okolicach tamtych nieprzyjaciela ścigał, fury i żywność spędził.

Dan w Bydgoszczy, 5. 8-bris.

Dąbrowski.“

Ordynans pułkownikowi Mchowskiemu.

„Daję ordynans pułk. Mchowskiemu, ażeby natychmiast z piechotą, strzelcami, artyleryą i 50 koni kawaleryi, jako też ze wszystkimi niewolnikami maszerował jak najśpieszniej do Szulca nad Wisłą; tam rozlokowawszy się, patrole wyśle ku Toruniowi i Gniewkowu. Spodziewam sie, że już ku Gniewkowu na tamtą stronę kawalerya przeszła, z którą komunikacyę utrzymać ma. Do Torunia i w okolice szpiegów wyśle i mnie najśpieszniej zaraportuje, starać się będzie oraz, ażeby jak najwięcej statków i ludzi do tego użytecznych spędził.

Dan w Bydgoszczy, d. 5. 8-bris.“

Ordynans generałowi Mniewskiemu.

„Daję ordynans gen. Mniewskiemu, ażeby tenże z całą komendą swoją kawaleryi przez Wisłę przeprawił się pod Szulcem, tam ku Toruniowi patrolował, komendę jedną ponad Brdą rozciągnął, drugą zaś w Podgórzu na obserwowanie mostu toruńskiego i w potrzebie aby go spalić kazał. W samym Szulcu będzie komenda piechoty naszej. Pod Fordon przyjdzie gen. Lipski, z którym się znosić ma. Wszystkie tak od patrolów, jako od szpiegów powzięte wiadomości o nieprzyjacielu, doniesie mi. — Statki do przewozu, jako i ludzi do tego użytecznych spędzi, niemniej podwody i furaż na tamtą stronę zabierze.

5. 8-bris.

Dąbrowski.“

Ordynans porucznikowi Moszczyńskiemu.

„Daję ordynans porucz. Moszczyńskiemu, ażeby on z resztą kawaleryi w Łabiszynie się został, tam ku Żninu, Wołowiczom i Inowrocławiu gęsto patrolował i o obrotach nieprzyjacielskich mnie jak najczęściej raportował.

Dan... 5. 8-bris.

Dąbrowski.“

Ordynans vice-brygadyerowi Leszczyńskiemu.

„Daję ordynans vice-brygad. Leszczyńskiemu, ażeby resztę brygady mojej zaraz w pogotowiu trzymał do marszu, aby za pierwszym danym ordynansem do Piwnic maszerować, tam w czynnościach swoich z obywatelem Wybickim znosił się, mnie jak najczęściej o swoich czynnościach i obrotach nieprzyjacielskich raportował. Statki na Wiśle zatrzymał, fur jak najwięcej i żywności spędził.

W Bydgoszczy, d. 5. 8-bris.

Dąbrowski."

Ordynans Sokołowskiemu, pułkownikowi.

„Daję ordynans pułkownikowi Sokołowskiemu, aby on bądź w marszu, albo już się przeprawił pod Fordonem, natychmiast maszerował do Czarnej Wsi, naprzeciwko Szulca, i tam oczekiwał dalszego ordynansu od gen. Mniewskiego, lub od kogo będzie miał nadesłany. Spędzi jak najwięcej statków, ludzi do przewozu zdatnych, jako też podwód i żywności wszelkiego gatunku. Karność największą we wszystkiem zalecam.

Bydgoszcz, 5. 8-bris.

Dąbrowski."

Do generała Mniewskiego.

„Obywatelu Generale Mniewski! Spodziewam się, że dostaniesz dziś jeszcze przewozy do przeprawienia Twojej kawaleryi na tamtą stronę. Statki te przy sobie zatrzymaj, komenda kawaleryi 50 koni, która jest przy podpułkowniku Mehowskim, jeżeli jest z regularnego wojska, może iść do Podgórza, albo w to miejsce, gdzie Toruń najlepiej obserwowany być może, aby z tej strony od Gniewkowa, Służewa, Raciążka, nie mógł nieprzyjaciel Torunia wzmocnić. Patrole na tamtą stronę muszą być licznie wysłane, ażeby do Torunia bez żadnej straty dotrzeć: Toruń często alarmować. Jeżeli chcesz jaki majak zrobić, możesz część piechoty na

tamtą stronę przesłać. Żywność, furaż wszelkiego gatunku, potrzeba z tamtej strony w najlepszym porządku sprowadzić. Konie zaś, które się wezmą, jeżeli nie z amtów królewskich, tylko od obywateli, muszą być kwity na nie dawane, a do wydziału zaprzęgu dostawione, gdzie właściciel po zapłatę udać się ma. Proszę Cię Generale na przyjaźń naszą i na wszystkie obowiązki, aby się komendy Twoje jak najdogodniej obchodziły z wszystkimi i nikomu krzywd nie czynili. Ponieważ mam wiadomość, że przez Kujawy wojsko pruskie maszeruje, przeto proszę Cię, abyś jako do swego województwa wysłał pewnego i znajomego dobrze, dla wywiedzenia się o obrotach nieprzyjacielskich. Pułkownik Sokołowski, jeżeli nieprzyjaciel na niego natrze, może się usunąć ku generałowi Lipskiemu i tam z nim komponowaną na Chełmno zrobić ekspedycyę, gdyż w Świeciu jest nasza komenda, życzyłbym, żeby całą drukarnię z ludźmi zabrał. Tu u nas wszystko spokojnie.

Pod Bydgoszczą, 7. 8-bris.

Dąbrowski."

Do generała Mniewskiego.

„Obywatelu Generale Mniewski! Strzelców 60 pod komendą obywatela Kaszewskiego insurrekcyi poznańskiej, jako też całą kawaleryę, która jest z brygady Madalińskiego w Twojej komendzie, wyślej natychmiast do Inowrocławia, gdzie już zastaną komendę gen. Madalińskiego, albo na nią zatrzymają się. Resztę strzelców Sokolnickiego, dobrze by było, abyś przeprawił za Wisłę, dla zasłonienia Twojej rejterady na tamtej stronie będącej. Pułkownik Sokołowski podobnie niech zrobi z komendą gen. Lipskiego. Gdy teraz jesteście przez strzelców Sokolnickiego i poznańskich asekurowani, trzeba ażeby były wysyłane liczne patrole, dla przecięcia nieprzyjacielowi komunikacyi między Grudziądzem a Toruniem. Ostrożność największą zachować od Torunia, aby nieprzyjaciel z Poznania jakich do Torunia nie posłał pocztów.

Dan z obozu pod Bydgoszczą, 7. 8-bris.

Dąbrowski."

Do majora Bielanowskiego, 8. 8-bris.

„Na szpiegów spuszczać się zawsze nie można, dla tego życzę, aby dwóch lub trzech wysłać tak, aby jeden o drugim nie wiedział i zawsze za nimi patrol, którýby w to miejsce dotarł, posłać. Staraj się o konie i rekont, tylko bez uciemiężenia obywateli. Szukaj sposobności, abyśmy z amtów królewskich wybrać mogli, tylko bez uciążliwości. Słyszałem, że obywateli uciemiężasz i krzywdzisz — co seryo zakazuję. Nim uniwersały do powstania przyślę, tym czasem pośpiesz się i opowiedz obywatelom, iż większa dla nich sława i zaszczyt, gdy nie czekając na uniwersał, łączyć się z nami będą. A dosyć dla nich jest regularny żołnierz w Bydgoszczy znakiem i pewnością. Uniwersały są mi dodane, lecz mało, a w niedostatku drukarni kopiować każę.“

Bydgoszcza.

Raport generała Mniewskiego.

„Melduję, iż podjazd nieprzyjacielski, złożony z 200 piechoty z 2-ma armatami i kilkadziesiąt kawaleryi, napadł na pułk Sokołowskiego rano: bronił się, ile możności, tak dalece, iż do armatniego przyszło ognia, nakoniec rejterować się musiał w ćwierć mili, stracił liczne konie, furaż zgromadzony, ale najprzykrzej rotmistrza Słuckiego i namiestnika Tulibowskiego, bardzo słusznych obywateli, jeden prócz tych prejzerowany a ci albo wzięci lub ubici, nie jest pewno. Sukursu żadnego nie miał, bom przez Wisłę nie miał się czem przeprawić. Widzieliśmy jednak z tej strony wszyscy, jak się mężnie bronił i porządnie rejterował. Opanował jedną górę, która leży za Czarnowem ku Ostromęcku, już tej Prusakom nie puścił, którzy się cofnęli do pierwszej wsi pod Czarnowem do Skludzewa i tam się jeszcze bawią. Przyszedł kapitan z strzelcami obywatela Sokolnickiego, pułkownika, już po utarczce i zasłania przeprawę tych strzelców, których ztąd wziąłem, lecz to najgorzej, że nie chce bawić, składając się, że niema ordynansu. Posłałem teraz do niego z rekwizycyą, aby nie odstępował, dopokąd od najwyższej komendy nie przyjdzie rezolucya.

Dan w obozie pod Szulcem.

Mniewski.“

Raport gen.-maj. Lipskiego.

„Melduję Obywatelowi Generałowi, iż okolicę Chełmna i Grudziądza spatrolowałem. Wczorajszej nocy byłem atakowany przez patrol nieprzyjacielski, złożony z 60 huzarów: ten spędziłem, zabrawszy w niewolę 1 oficera i 13 gemajnów i ubiwszy 3. Z mojej strony 2 lekko rannych i 1 konia zabito. Tych wszystkich do głównego aresztu i lazaretu jutro posyłam. Upraszam Obywatela Generała o rozkaz, co dalej mam robić, gdyż mam niezawodną wiadomość, iż ma wypaść z Torunia komenda piechoty i kawaleryi na atakowanie komend po za Wisłą stojących. Ja niemam kawaleryi jak 120 koni: w tyle żadnej asekuracyi: w przypadku więc ataku, któryby siły me przechodził, jak mam zrobić? W Grudziądzu garnizon niewielki, gdyż już dawniej coś do Torunia wyszło. Więcej Obywatelu Generale nowego niemam. Chciej mieć wzgląd na znużonych ludzi i konie i onych w patrolu zluzować.

8. 8-bris.

Lipski.“

Bilet do gen. Al. Lipskiego.

„Mój Generale! Gdy widzisz niebezpieczeństwo, trzebaby się przeprawić na tę stronę Wisły, lecz Sokołowskiego i Sokolnickiego należy o tem uwiadomić. Cieszę się mocno z tego, że Ci się tak pomyślnie i dobrze Twoja potyczka udała, proszę Cię, abyś mi jak najśpieszniej więźniów do wyegzaminowania wysłał. Adieu.“

8. 8-bris, Bydgoszcz.

Ordynans gen.-maj. Lipskiemu.

„Daję ordynans gen.-major. Lipskiemu, ażeby natychmiast wziąwszy strzelców Sokolnickiego pod swoją komendę, przeszedł na tamtą stronę i tak się z nimi lokował, aby nieprzyjaciel nie mógł szkodzić przeprawie wojska naszego, za którem przeprawi się komenda powstania gnieźnieńskiego, regiment 13, 6 armat i brygada Madalińskiego, które natychmiast wysłane będą; kiedy

wszystko przeprawi się, maszeruje cały korpus pod Czarnowę, gdzie już korpus gen. Mniewskiego znajdować się będzie i tam oczekiwać moich rozkazów."

9. 8-bris pod Bydgoszczą.

Rozkaz dnia 9. 8-bris 1794, pod Bydgoszczą.

„Regiment 4-ty, 4 armaty 6-funt. i brygada Rzewuskiego maszerują natychmiast do Szulca, gdzie oczekują rozkazów gen. Mniewskiego. Regiment 13-ty, brygada Madalińskiego, 4 amaty 6-funt. maszerują najbliższą drogą do Fordonu, gdzie się podług rozkazu gen. Lipskiego, przeprawiać będą; cały ekwipaż prócz kociołków, tu się zostać ma i szwadrony obywatelskie, prócz tych obywateli, którzy się komisoryatem zatrudniają. Pułk Gorzeńskiego maszeruje do Szulca pod komendą gen. Skórzewskiego, gdzie podług rozkazu gen. Mniewskiego, przeprawiać się ma. Tu się zostanie garnizonem regiment 1-szy, piechota powstania kujawskiego, pułk. Garczyńskiego i 2 armaty 3-funt. pod komendą pułkownika Majaczewskiego.

Major Szwejkowski zostaje tu i dozór nad wszystkimi niewolnikami mieć będzie. Każdy korpus weźmie połowę swych oficerów z sobą, którzy przy korpusach także zawsze znajdować się mają. Wszystkie regimenta po ładunki do klasztoru Bernardynów i Reformatów poszlą, gdy się wszystko na tamtą stronę przeprawi, wyda się rozkaz de bataile."

Raport majora Bielanowskiego.

„Powtórny raport czynię, że pruskie wojsko maszeruje do Torunia, stanęło dziś w Służewie, ja się cofnałem do Strzelna. — Przymaszerował pułkownik Dąbrowski i z nim starosta Krajewski z komendy gen. Mniewskiego, który schwytał szpiega do Szweryna z listem i udał się do mojej komendy, ja kazałem sobie tłumaczyć ten list, że jest potrzebny, natychmiast generałowi odsyłam. Sam zaś jutro naprzeciw Szweryna będę się zbliżał, abym mógł pomiarkować, czy idzie ku Bydgoszczy, czy też ku Poznaniu. Pułkownik Ledywary tym korpusem komenderuje. Jak szpieg liczy: ma być regiment grafa Unhalt, batalion 1-szy Stereda, 7 szwadronów

huzarów Wirtemberga. Ile armat jest, dokładnie nie wie, co zaś do haubic, pewno jest 2."

Strzelno, 10. 8-bris.

List pułkownika Ledywarego do gen.-maj. Szweryna, 7. 8-bris. (Tłumaczony 11).

„Komenderowany jestem z znacznym korpusem do gen.-lieut. hr. Szweryna do ścigania korpusu nieprzyjacielskiego pod komendą gen.-lieut. Dąbrowskiego i łącznie z W. Panem Dąbrowskim ten korpus rozprószyć i pobić. Proszę mię o operacyi swojej jak najspieszniej uwiadomić i gdzie się najdogodniej złączyć możemy. Słyszałem, że Dąbrowski maszerował do Torunia, spieszę przez nagły marsz ocalić to miasto.

Ledywary m. p."

Raport N. Naczelnikowi przez ustne zalecenie, 11. 8-bris 1794.

„Wysłany z obozu pod przysięgą obywatel Sokolnicki, powstania poznańskiego, kuryerem do Warszawy, miał następujące zlecenie:

„Po zniesieniu Szekelego dywizyi, który wzięty w niewolę wraz z drugim pułkownikiem i 18-tu oficerami, i po opanowaniu miasta Bydgoszczy, gen. Dąbrowski wraz z obywatelem pełnomocnikiem Wybickim zrobiwszy powstanie, w tem mieście przysięgę od obywateli odebrali. Komisyę porządkową ustanowili i rząd wolnemu wyborowi miasta zostawili, po którem dopełnieniu ofiarę od miasta 60.000 zł. pol. przyjęto. Zwołana zaraz była kamera przeszło 80 osób dla ułożenia regestrów i tych zaprzysiężenia, wiele jest pieniędzy, których nie więcej jak 24.000 zł. pol. znaleziono. Po odebraniu ich gen. Dąbrowski wraz z pełnomocnikiem Wybickim oświadczyli wszystkim oficyalistom kameralnym, iż są w areszcie, składając im listy, tak królewskie jak Szekelego, jak wiele ma naszych współbraci i jak się tyrańsko z nimi obchodzą. Biorą się dla tego w areszt, aby byli zastawem naszych braci, lecz upewniono ich, iż ludzkość względem ich zachowana będzie,

i tej zaraz doświadczyli. Soli, żelaza, płótna, siodeł, (których przeszło 600 sztuk było), postronków, szorów, wozów przeszło 200 i innych potrzeb. Zatrudniono się wyszukiwaniem broni, której przeszło 600 sztuk znaleziono kalibrowej, także prochy, ołowie...

Po urządzeniu wzwyż wspomnianych dykasteryów, generał Dąbrowski wykomenderował w kilka miejsc w głąb dalszego kordonu. A najprzód pod komendą pułk. Sieroszewskiego, do Nakla, który płynących z Berlina 13 statków zabrał z solą, z żelazem, z suknem w różnych kolorach do 15.000 łokci, bai i też pończoch par 8.000. Płótna, kilka set sztuk ołowiu i innych potrzeb do ubioru żołnierza służących, co wszystko do Bydgoszczy przesłał. Drugi korpus pod komendą obywatela generała Lipskiego w województwo gnieźnieńskie komenderowany do Chełmży, tam zastawszy znaczny patrol, ten rozprószył, zabrawszy 1 oficera, 17 gemajnów i 5 ubiwszy, bez straty żadnego z swoich podkomendnych. Trzeci korpus przy pełnomocniku Wybickim, który w powiat swiecki, w wojew. pomorskiem leżący, udał się, powstanie zrobił, komisyę urządził i ofiary od obywateli odebrał. Czwarty korpus z Związku poznańskiego pod komendą pułk. Wyganowskiego, wysłany do powiatu wateckiego, dla zrobienia tam powstania i wybrania kantonistów.

Piąty korpus pod komendą pułk. Sokolnickiego wysłany był do miasta Fordona, dla opanowania miejsca tegoż i brzegów Wisły aż do Szulca. Gdy to już było dopełnione, gen. Dąbrowski wymaszerował z Bydgoszczy, zostawiwszy dla asekuracyi więźniów, komisyi i bagażów batalion piechoty i pułk kawaleryi z resztą wojska przeprawił się przez Wisłę pod Szulcem dnia 10, a d. 11. 8-bris stanął pod Przysieką. Tam dopiero odebrał 3 raporta, które go od atakowania Torunia odwróciły. Pierwszy raport o przecięciu komunikacyi z Warszawą. Drugi o nadeszłym, do 4.000 wynoszącym, korpusie pod komendą Szweryna. Trzeci przez przecięcie komunikacyi ekspedycyi pruskiej, w której był układ, ażeby armię Dąbrowskiego na około otoczyć, do czego miejsce do ich układu bardzo stosowne było. Przedsięwziął gen. Dąbrowski to miejsce opuścić, przeprawiwszy swoją armię napowrót przez Wisłę pod Szulcem, a dla ukrycia swego planu kazał alarmować Toruń, dla którego o ćwierć mili wysłał z korpusem małym pułk. Sokolnickiego, a tymczasem się armia przeprawiła. Plan jest więc gen. Dąbrowskiego, opuścić tamte strony i rżnąć się brzegiem Wisły na Włocławek ku Gąbinowi, gdzie ma się zatrzymać. Wysłał mnie więc dla uwiadomienia o tem i z żądaniem, aby mógł wy-

jednać korpus przynajmniej 2.000 piechoty, gdyż mu na kawaleryi nie zbywa, i kilka sztuk armat. Ta kolumna otworzywszy wraz z jego kolumną komunikacyę z Warszawą, pierwszy plan zdobycia Torunia i posuwanie się w kraje dziedziczne króla pruskiego z największą łatwością wypełnić obowiązuje się."

Rozkaz gen. Dąbrowskiego, d. 11. 8-bris 1794.

„Regiment 4-ty, 2 armaty 6-funt. i 2 3-funt. idą natychmiast pod Szulec, gdzie się przez Wisłę przeprawia. Razem z nimi idzie kapitan Białowiejski z kompanią strzelców Sokolnickiego i całe powstanie kaliskie. Piechotę ulokuje kapitan Hoffman, strzelcy pójdą najprzód w bór ku Podgórzowi. Szwadron z powstania kaliskiego pójdzie ku Podgórzowi, który na wszystkie kroki nieprzyjacielskie uważać ma i tam się złączy z strzelcami gen. Madalińskiego."

Raport pułkownika Sokolnickiego.

„Podług ordynansu stanąłem o godzinie 8-ej na przedmieściach Torunia i wieś Mokre zająłem, zaalarmowałem z ręcznej broni nieco, ogień był bez najmniejszej przeszkody. Dalej jak brygada (?) alarm w mieście uderzono i na Dybowie, dokąd wczoraj z Włocławka zwiedziony przyszedł żołnierz pruski z uwiadomieniem, iż 4 armaty mają, na mostach do Torunia przeprawiają się i różne wozy z tamtej strony. Ja na przedmieściu stoję do tego momentu spokojnie, żadnego z armaty nie miałem wystrzału. Rzewuskiego brygady jeszcze niemam. Trzech wysłanych do wsi Prusaków zabrałem."

12. 8-bris.

Ordynans generał-majorowi Lipskiemu.

„Daję ordynans generał-majorowi Lipskiemu, aby natychmiast z komendą swoją maszerował do Ostromecka, gdzie od Chełmna i Chełmży obserwować ma nieprzyjacielskie obroty, asekurować zarazem będzie komendę Sokołowskiego, stojącą w Chełmży aż do

Chełmna, znaczny poszle patrol Sokołowskiemu. Pułkowi wyda ordynans, aby się miał w największej ostrożności i w przypadku ataku od nieprzyjaciela ma się rejterować do Ostromecka."

12. 8-bris.

Do pułkownika Sokolnickiego.

„Mój Pułkowniku! Jutro masz się cofać ku Włocławkowi. Marszu Ci nie przepisuję, ten Ci do woli oddaję, lecz proszę, abyś mi ludzi nie tracił. Nie trzeba się bić z nieprzyjacielem, tylko się porządnie ku Włocławku rejterować. Do godz. 11 z rana jutro w Służewie i Raciążku będą stać nasze komendy, które na noc ruszą do Szuszkowa i Lowkowic."

Dan w Konecku, 12. 8-bris.

Ordynans pułkownikowi Majaczewskiemu.

„Zalecam niniejszem ordynansem moim pułkownikowi Majaczewskiemu, aby jak największą zachował ostrożność, patrole wysyłał do Wałdowa i natychmiast awertował. Pułkownika Wyganowskiego, stojącego w Łabiszynie, aby on do Nowej Wsi i do Wałdowa często posyłał patrole, a ordynans ten copiatim pułkownikowi Wyganowskiemu prześle.

Dan w obozie pod Przysieką, d. 12. 8-aris.

Dąbrowski."

Ordynans gen. Kruszyńskiemu.

„Zalecam ordynansem moim obyw. generałowi województwa pomorskiego, Kruszyńskiemu, aby natychmiast z komendą całą maszerował do Bydgoszczy, dokąd i wice-brygadyer z swoją komendą maszeruje.

Dan w obozie pod Przysieką, 12. 8-bris 1794.

Dąbrowski."

Do Sieroszewskiego, pułkownika.

„Natychmiast masz całą komendę Twoją do kupy ściągnąć, ażebyś za pierwszym ordynansem maszerować mógł tam, gdzie Ci zalecone będzie. Satty faktorowi, możesz tyle dać soli, aby mógł podług umowy z Michowskim zapłacić, albowiem na zapłacenie jemu pieniędzy dać nie mogę. Ostrożność jak największą i częste patrole, tudzież raportów przesełanie zalecam.

Dnia 12. 8-bris.

Dąbrowski.“

Raport Bielanowskiego, majora.

„Melduję Obywatelowi Generałowi, że szpieg mój, który Szweryna pilnował, dnia dzisiejszego powrócił. Jak tylko Szweryn wyszedł z Kalisza, tak o czynnościach jego wiadomość czynię: najprzód zrabował Żerków i wsie przyległe Żerkowa: Marszew, Panienkę, Starostwo Szreńskie, potem poszedł do Kurnika, wziąwszy tam pastora, poszedł do Poznania, i teraz w Poznaniu stoi.

12. 8-bris.

Bielanowski.“

Raport tegoż samego, pod tą datą.

„Melduję, iż komenda wyszła z Poznania i maszerowała ku miasteczku Klecku, gdzie i mnie wypadło w tamte strony maszerować, abym dokładne uczynił obserwacye Szweryna. Tuż komenda pruska cofnęła się nazad do miasta Murowanej Goślicy i ja cofnąłem do miasta Rogowa; obadwa siebie baliśmy się, jednakowoż posłałem szpiega ku Szulcowi, Rogoźnu i Murow. Goslicy, aby się łatwo Szweryn nie przekradł, lecz jeszcze nie powrócił. W Gnieznieńskiem nie masz nikogo jak w Koninie, Pyzdrach i Kole. Ja dziś posłałem 30 ludzi na spalenie mostów w Pakości, a sam pomaszeruję do Mołwów i Kruświcy i będę czekał aż szpiegi z pod Poznania i Murowanej Goślicy powrócą, za powrotem ich podług nakazu Obywatela, mosty na Mątwach, Kołudzie, jako

i przewóz na Kruświcy z dymem puszczę. Jednakże gdyby Szweryn z Poznania nie ruszył, mógłbym się z uprzątnieniem tych mostów wstrzymać. U Prusaków jestem w reputacyi, że w awangardzie chodzę, przed kolumną Obywatela Dąbrowskiego, generała, dla tego mnie się boją, gdyż myślą, że za mną kolumna idzie. Patrole do Pobiedzisk zawsze chodzą a do Gniezna przystąpić boją się. Połajanie słodko przyjąłem, jednak mnie obywatele więcej chwalą, niż Szekelego. Czekam rozkazu Obywatela Generała.

Bielanowski."

Do generała Madalińskiego, stojącego w Fordonie.

„Mój plan jest taki, abyś z swoją brygadą do Szulca maszerował i tam objął komendę i poszedł na Podgórze, Toruń, alarmować i atakować o ile możności, gdyby się nieprzyjaciel do Torunia cofał, most spalić, po tej ekspedycyi w borze pod Podgórzem ukryć się. Drugiego zaś dnia do Raciążka maszerować, ztamtąd do Włocławka. Ja z resztą wojska maszeruję na Kaczków, gdzie jutro nocować myślę, pojutrze do Koniecka i tam dalej do Włocławka. Posyłam do Nakła, Łabiszyna i Strzelna, gdzie Bielanowski stoi i każę wszystkie mosty od Nakła aż do Kruświcy spalić, gdyby nam się to udało jako i Tobie pod Toruniem, nie mógłby ani garnizon toruński, ani Szweryn w marszu nam szkodzić. Proszę Cię na miłość naszą, abyś mi kawaleryę wszystką, prócz brygady Twojej, mnie tu przysłał wraz z strzelcami, ponieważ żadnej placówki wystawić nie mogę, gdyż tylko jeden szwadron kawaleryi tu mam. Twoją brygadę możesz posłać przez Brdę do Szulca. Statki pod Fordonem i Szulcem trzeba wszystkie popsuć. Życzyłbym, żebyśmy się dziś jeszcze widzieć mogli.

13. 8-bris.

Dąbrowski."

Rozkaz w Bydgoszczy, d. 14. 8-bris 1794.

„Jutro z rana o godz. 5-tej, ma być bita pobudka, a o 6-tej generał-marsz. Garnizon bydgoski wraz z aresztowanymi przed godziną 6-tą wymaszerują do obozu. Cały bagaż ma dziś stanąć

za obozem w porządku. Jutro porządek marszu w obozie ułożony będzie. Korpusy, które na jutro nie wzięły chleba, mięsa, soli, wódki, mają natychmiast do wydziału żywności udać się i czekać dopóty, dopóki nie odbiorą pod najsurowszą komendanta odpowiedzialnością. Kawalerya przynajmniej na dwa dni, a artylerya na 3 dni ma odebrać furaż.

Dąbrowski."

Raport pułkownika Sokolnickiego z Furtier, 15. 8-bris.

„Melduję komenderującemu Generałowi, iż stanąłem dość wcześnie nad Zieloną Wodą. Pozycya cała jest w mojej dyspozycyi. Jak tylko ludzie zjedzą, ruszam, i spodziewam się przed północą nieprzyjaciela ze wszystkich stron alarmować. Może się uda wpędzić. Nieśmiałość jego jest wprawdzie do zastanowienia, jak mam z indagacyi, to jeden ich patrol nie natrze; nadto mizerną śmiałością są obdarzeni. Pierwsza kompania i dwa szwadrony kawaleryi, tu ztąd prosto ruszają do Zazdrości, gdy tymczasem reszta przyjdzie podług możności do pozycyi, którą zaraz w około objeżdżam. O sile, dostatecznie nic powiedzieć nie mogę. Wysyłam natychmiast patrol do Wojczek, drugi Heydeberg do Dąbków, trzeci do wsi Zazdrości, który dotrze aż do Stangen, i to nie końcem alarmować, lecz szczególnie dla powzięcia wiadomości o sile i obrotach nieprzyjacielskich. Co ztąd wyniknie, śpieszno doniosę.

Sokolnicki."

Raport Kruszyńskiego, generała województwa pomorskiego.

„Dnia dzisiejszego o godzinie 5-tej po południu powrócił major Grochowski, posłany pod Świec, dla wywiedzenia się o nieprzyjacielu. Ten powziął wiadomość najdokładniejszą, że na dniu wczorajszym przymaszerowało 300 lekkiej piechoty i dwa szwadrony huzarów; w Chełmnie zaś ma być 2.000 piechoty, która, jak mam pewne zameldowanie, ma się przeprawić około

Fordonu, na tamtą stronę Wisły. Bagaż mój cały pod eskortą piechoty wyprawiłem zaraz w nocy ku Kaczkowu pod komendą pułkownika Kilińskiego. Sam zaś z kawaleryą tak długo zostanę w Bydgoszczy, aż dostanę najpierwszą wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Tej w godzinę spodziewam się, gdyż patrol w 30 koni dziś o godzinie 9-tej z rana wysłany, jeszcze nie powrócił. Na dniu wczorajszym wysłany podoficer i 4 gemajnów do Swiecia z listem do komisyi odemnie powrócił, nie oddawszy, gdyż o milę od Swiecia napotkał widety nieprzyjacielskie. Jeżeli tedy w tak znacznej części nieprzyjaciel na mnie awansować będzie, umyśliłem wszystkie w Bydgoszczy mosty zerwać i ku Kaczkowu obrócić rejteradę, gdzie dalszego oczekiwać będę rozkazu.

D. 16. 8-bris.

Kruszyński, gen.-major."

Do pułkownika Sokolnickiego.

„Przez cały dzień jutrzejszy utrzymuj się w boru i marsz mój zabezpieczaj, aby żaden pruski patrol do Torunia od Raciążka i Służewa nie mógł mnie obserwować. Ja jutro w Raciążku i Służewie posterunek mieć będę, który Ci w Twoich czynnościach pomocnym będzie. Co się tyczy wody i furażu dla kawaleryi spodziewam się, że gdy część na lewej stronie w Nieszawie, druga na prawej, w Rudach i Czerniewicach furażować będzie. Dn. 18-go z rana możesz posterunek objąć od Łoczyna, aż do Pieczysk, a potem do wyznaczonego miejsca podług potrzeby wygodnie się zbliżać.

16. 8-bris.

Dąbrowski."

Do tegoż pułkownika pod tą datą.

„Ponieważ się już rejterowałeś do Gniewkowa, więcej dla żywności i furażu jak dla nieprzyjaciela, przeto posyłam Ci, co mam: jeden szwadron z brygady mojej, który natychmiast poślesz do Służewa, gdzie już major Kapenhausen stoi, do którego przyłączam ordynans. Daj ordynans komendantowi tego szwadronu.

aby z Służewa posłał patrol do Kuchni i na inne drogi. Ty zaś z kawaleryą patroluj od Zielonej Wody, dokąd ja także patrole wysyłam, o których swój patrol uwiadomić musisz. Gdy Twoja wypocznie komenda i będziesz mógł o kilkanaście kroków rozpoznać człowieka, masz znowu awansować i dawniejszy rozkaz wykonać, a potem się cofać od rzeki Tączyny. Czekam o najmniejszem zdarzeniu raportu. Mały patrol do Jakobskiej karczmy i Federfa wysłać możesz.

Dan w obozie pod Kaczkowem. 16. 8-bris.

Dąbrowski."

Do generała Skórzewskiego. Dnia 17. 8-bris.

„Obywatelu Generale! Masz z komendą Twoją do godz. 11 południowej w Służewie i Raciążku się zatrzymać, a potem pomaszerujesz do Siołkowa, gdzie przenocuj i czekaj dalszej dyspozycyi, dziś jeszcze poślij patrole na te miejsca, gdzie wczoraj posłałeś. W Wielkostowie stoi pułkownik Wyganowski, z którym komunikacyę utrzymaj, i przyłączony do niego poślij ordynans. Jutro w Siołkowie każ patrolować na prawej ręce ku Bobrownikom, a na lewej ku Łowkowie, gdzie pułkownik Wyganowski stać będzie. Szwadron brygady mojej przyślij mi tu na 8-mą godzinę, gdyż mam mało kawaleryi. Statki, promy i wszelkie przewozy, jakie się tylko tu na tej stronie znajdują, z sobą zabierz i każ wodą prowadzić."

17. 8-bris.

Raport pułkownika Wyganowskiego.

„Dnia dzisiejszego o godz. 5-tej stanąwszy w Ratajach pod Gostyniem łącznie z generałem Kruszyńskim i pułkow. Sieroszewskim, na dwie kolumny podzielony, donoszę Obywatelowi Generałowi, iż dnia wczorajszego pod Łowiczkiem byłem atakowany od tej kolumny nieprzyjacielskiej, która stała w Służewie. Ogień trwał godzin dwie. Piechota nieprzyjacielska żywo awansowała i granaty rzucała, lecz że mnie las zasłaniał, nie straciłem tylko jednego konia i jeden człowiek ranny. Z nieprzyjaciół legło 5-ciu;

zostawiłem ich o milę od Brześcia kujaw: Czy dalej awansują? Niemam wiadomości: teraz się dopraszam o pewny frakt, byśmy mogli z korpusem pańskim mieć komunikacyę.“

Dan w Ratajach, 20. 8-bris.

Tadeusz Kościuszko, Najwyższy Naczelnik siły zbrojnej Narodowej.

„Ciesze się mój Generale z serca z zwycięstwa Twego, a imieniem Narodu winszuję Ci go. Nim Ojczyzna okaże Ci wdzięczność swoją, przyjmij odemnie dziś karabelę złotą, którą dla pewności kazałem złożyć u żony Twojej. Postępuj dalej Generale w powiększaniu Twej chwały i rozszerzaniu granic Rzpltej. Oficerom i wojsku oświadcz wdzięczność za ich odwage i przywiązanie do Ojczyzny. Cała publiczność wysławia Was i uwielbia, a ja Cię ściskam przyjaźni sercem szacunku pełnem.

Dan w obozie pod Korytnicą, 8. 8-bris, odebrane 20.

Kościuszko.“

Zajączek, generał-lieutenant.

„Generale! Mieliśmy nieszczęście przegrać batalię pod Maciejowicami. Naczelnik nasz ukochany, 3 razy dostał się w niewolę. Rada podług aktu powstania, mianowała na miejsce Jego Tomasza Wawrzeckiego, a mnie tymczasem dała komendę. Niepodobnem jest w tym momencie zadecydować plan dalszych naszych operacyj wojennych, przeto nic tym razem nie piszę Generałowi o tem, lecz skoro przedsięweźmiemy co, to doniosę. Teraz zaś ostrzegłszy Generała o nieszczęściach naszych, oddaję Jego gorliwości i roztropności mi znanej dalsze Jego kroki wojenne. Proszę jak najczęściej nas o wszystkiem uwiadomić.

W Warszawie, 12. 8-bris 1794.

Zajączek.“

Rada Najwyższa Narodowa do wojska Rzeczypospolitej.

„Nader smutnym i bolesnym przypadkiem w okazanej przez wolę Opatrzności, chcącej doświadczyć stałości naszej i okazać może, że losy narodów nie od ludzi szczególnych lubo najszanowniejszych, lecz od związku powszechnego i jedności wszystkich zależą, — stało się, iż Kościuszko Tadeusz, Najwyższy Naczelnik, dostał się w ręce nieprzyjaciół. Czułość Rady Najwyższej Narodowej jest wielka, lecz przysięgła zbawić wolność, lub paść z jej upadkiem! Stosownie zatem do Aktu Powstania Narodu w Krakowie d. 24. marca uczynionego, nominowała Najwyższym Naczelnikiem obywatela Tomasza Wawrzeckiego, generała-lieutnanta i radcę w Najwyższej Radzie Narodowej, którego obywatelskie i rycerskie przymioty wszystkim są znane. Do tego więc Naczelnika raporta czynić i jego ordynansów posłusznemi dywizye wojsk Rzpltej będą. Mężni Rycerze, dotąd za wolność odważnie walczący! Dzielcie z nami smutek i nadzieje nasze. Wśród żalu powszechnego, Ojczyzna Wam zostanie. Tej bronić do zgonu przyrzekliście, a żadne zdarzenia nie będą mogły zwątlić odwagi tych, co raz przysięgli zwyciężyć lub zginąć!

Rada Najwyższa Narodowa przekonana o gorliwości i męztwie wojsk Rzpltej, pod komendą generała-lieutnanta Dąbrowskiego będących, zaleca mu niniejszą rezolucyę przy befelu ogłosić.

Dan w Warszawie na sesyi Rady Najwyższej. Dnia 12. 8-bris 1794.

Tadeusz Dębowski, prezydujący.

Tomasz Czech,
Rady Najwyższej Narodowej sekretarz."

Rada Najwyższa Narodowa.

„Na miejscu obywatela Tadeusza Kościuszki, w akcyi dnia 10. października r. 1794. najnieszczęśliwszem zdarzeniem w niewolę wziętego, obywatela Tomasza Wawrzeckiego, generała-lieutenanta, z mocy Aktu Powstania, na Naczelnika siły zbrojnej nominuje. Nim zaś Ten zacznie pełnić obowiązki swoje, według tegoż Aktu, obywatela Zajączka, generał-lieutenanta komendantem

wojsk Rzeczypospolitej deklaruje i Jemu do posłuszeństwa wszystkich komendantów wojskowych obowiązuje.

W Warszawie.

Tadeusz Dębowski, prezydujący.

Czech, sekretarz."

Tomasz Wawrzecki. Najwyższy Naczelnik do generała-lieutenanta Dąbrowskiego.

„Obywatelu Generale! Uwiadomiony jesteś przez generała-lieutenanta Zajączka o nieodżałowanej utracie Najwyższego Naczelnika naszego. Ja wezwany do objęcia miejsca jego, spieszę Ci oświadczyć Generale i cnotliwemu koledze, generałowi Madalińskiemu, iż ufny Waszemu światłu, Waszej cnocie i męztwu, w tem najwięcej zakładam chluby, że z Wami mogę dzielić prace i starania w dźwignieniu Ojczyzny! Wspierajcie jak najdzielniej powstanie wielkopolskie, a województwa brzesko-kujawskiego nie opuszczajcie żadną miarą. Ks. Józef ma ordynans przejść koniecznie Bzurę a Grabowski Narwę i utrzymywać się w Płocku: z nimi obydwoma znosić się i komunikacyę utrzymywać zalecam."

Dan w Warszawie 17. 8-bris 1794, odebrany 20.

Generał-lieut. Madaliński do Dąbrowskiego, gen.-lieutenanta.

„Obywatelu Generale! Rozumiem, że ekspedycyę odemnie odebrałeś w dniu wczorajszym w której doniosłem o Kamieniu, że to miasto jest wolne od nieprzyjaciela, czego dowodem komenda nasza, ściągająca się do nas, która pobiła nieprzyjaciół z niemałem jeńców dostaniem. Sądziłbym przeto, aby z naszą komendą pociągać się, gdzie się nieprzyjaciel znajduje, nie dać mu spoczynku i większej forsy mocnienia się. Komendy pułkowników Wyganowskiego, Sieroszewskiego i gen. Kruszyńskiego, już tu do nas przyszły. Generał Skórzewski idzie do Kowala, brygada moja nie nadeszła. Od Wawrzeckiego Naczelnika jest

Ci przysłany kuryer Święcicki, od tego, co masz, chciej mi komunikować. Wysłałem patrol ze 100 koni ku Kowalowi, ponieważ głoszą, że tam stanąć miała jakaś komenda pruska. Jak się więc teraz dysponować będziesz, czekam uwiadomienia, abym ja mógł udeterminować swoje zamiary, o których mu doniosę. Spodziewam się, że dzisiaj stanie brygada moja i pułkownik Sokolnicki. Dla tych przysposobiłem furaż i wiktuał, prócz wódki, której niemam, jeżeli tej możesz, udziel.

Komendy te, o których doniosłem, zadysponuj, jak Ci się zdawać będzie. Ja dziś posyłam do Kretkowskiego i Zaborskiego, aby się ze mną łączyli.

Ściskam Cię serdecznie.

Dan w Gostyninie, d. 21. 8-bris 1794.

A. Madaliński, G. L.“

Generał-lieut. Dąbrowski do gen.-lieut. Madalińskiego.

„Zdaje się, jakoby o zabraniu 1.000 niewolnika w Kamionnej i wzięciu dwóch armat przez nasze wojska w Sochaczewie fałszywa wiadomość przez kuryera, z Warszawy do mnie jadącego, skomponowana była, albowiem był tu pruski patrol z Kamionny. Ja stanąwszy w Gąbinie, wysłałem szpiegów do Łowicza i Sochaczewa. Sądzę, że i generał wysłał swoich. Patrol z 200 koni wysłałem do Kamionnej i Witkowic; przytem posłałem obywatela Miaskowskiego do ks. Józefa, który w Dębinie stać ma, z oświadczeniem, że 23. z rana Kamionnę atakować będę, aby on także z swej strony atakował. Sądzę więc, aby generał jutro, to jest 22., jak najraniej poszedł z komendą swoją do Kiernozi, zkądby Łowicz i Sochaczew mógł obserwować, a w przypadku, gdyby nieprzyjaciel chciał się posuwać ku Kamionnie, aby mu generał w tym razie taką uczynił dywersyę, wpadłszy mu całą siłą swoją na flankę i w tył, aby swojego nie doszedł zamiaru i przedsięwzięcia Upraszam Cię o uwiadomienie mnie jutro z Kiernozi o Twoich czynnościach i o obrotach nieprzyjaciela.“

21. 8-bris.

Generał Madaliński do generała Dąbrowskiego.

„Obywatelu Generale! chciałem dnia dzisiejszego dociągnąć do Kiernozi, lecz tam już Prusaki stoją, mam z wiadomości najpewniejszych, iż mają 8 armat, 7 kompaniów piechoty i 8 szwadronów jazdy. Ja stoję o milę od Kiernozi, bez ogniów nawet; alarmować będę, żeby ich morzyć. Od powracającego towarzysza z pod Gostynina mam wiadomość, że o pół mili od Gostynina po tamtej stronie byli Prusacy i bryczkę Skarbka zabrali. Czyń Generale, swoją rzecz, jako widzisz najlepiej, a staraj się opanować Bzurę dla ocalenia naszego własnego. To zabranie bryczki było jeszcze w południe, w takim więc przypadku widząc się być ze wszystkich stron otoczonym prawie, nie wypada mi nic więcej, jak cofać się ku Iłowu.

Dan w obozie pod Wolą Łączyńską. Dnia 21. 8-bris 1794.

Madaliński."

Tom. Wawrzecki, Najwyż. Naczelnik do gen.-lieuten. Dąbrowskiego.

„Ponieważ Generale, kuryer Twój d. 18. presentis rano ztąd wysłany do generała z ekspedycyą jeszcze nie powrócił. — nabawia mnie niespokojnością: przeto posyłam drugiego z duplikatą tego, com przez niego pisał. Uwiadamiam przytem Generała, iż na dniu 19-tym presentis ks. generał-lieutenant Poniatowski, dosyć pomyślnie Sochaczew i Kamionnę atakował, wziął 40 niewolników i 1 oficera, zdobył wiele broni, lederwerków, koni i bagażów. Dziś jeszcze słyszana była kanonada, która zupełnie dodawać ma opanowanie Sochaczewa. Wielkiej usilności dołożę, abyśmy byli panami tych dwóch posterunków. Będziesz więc Generale, miał z nami komunikacyę a ks. Józef znosić się z nim będzie. Chciej z nim i z Jerzym Grabowskim, gen.-lieut., który równie dnia 19. presentis przeszedł Narwę pod Ostrołęką, brać najprędzej i ciągle utrzymywać komunikacyę. Uwiadamiaj mnie o miejscu, gdzie się znajdujesz i w jakim znajdujesz się stanie.

Obciążony ciężarem obowiązków, które na mnie spadły, poleciłem się Bogu, polecam się Twojej przyjaźni i sercu, zapisując dla Twych znakomitych i dzielnych czynów największy szacunek.

Chciej gen. Madalińskiego uściskać odemnie najserdeczniej. kochałem go w kolegowaniu jak szanownego z serca przyjaciela. Czułem jego zawsze czyste obywatelstwo, a teraz wielbię i poważam tyle chwalebnych męztwa i waleczności dowodów, szanuję to wszystko, bo zdobiące charaktery i honor czyniące. Stosownie do Twojej komendy, ani wątpić nie mogę, że serca ścisłą dla Ojczyzny połączone gorliwością. zawsze będą jednością związane.

Dan w Warszawie 21. 8-bris 1794.

Wawrzecki."

Książę Poniatowski, generał-lieutenant.

„Atakowałem razem Kamionnę, Witkowice i Sochaczew. Układem moim było, aby w ten moment, kiedy przeprawiłem się do Kamionny przez bród pod samą wsią będący, pułk. Podhorodeński. przeszedłszy Bzurę przed Witkowicami, atakował Góry Kamiońskie z prawego ich skrzydła. Oddzielona komenda przeznaczona była do zagarnienia witkowickiego posterunku, a pułkownik Sierpiński, przeszedłszy rzekę przy ujściu jej w Wisłę w bok lewy Kamionny, wpadł na lewą flankę obozu pruskiego. Układ ten po części udał się. Posterunek witkowicki dostał się w ręce nasze. Kamionnę w kilku minutach opanowałem, podszedłszy ją tak cicho, że na kolumnę już wchodzącą wśród obozu, szyldwach dopiero zawołał. Ale pułkownik Podhorodeński obłąkany przez przewodników, destynacyi swojej nie dopełnił i wcale podczas mego ataku nie pokazał się. Przeszedłszy Kamionnę, chciałem pójść na gory, ale musiałem przestać na rekognoskowaniu ich tylko. Pozycya ta nie była do wzięcia z tej strony. Góry, bateryami wzmocnione i okolicy całej panujące, okrywają wielu fleszami dobrze bardzo rozdysponowanemi, a bateryе na wysokim Wisły brzegu od Wyszogroda są prawie niedostępne przez rzekę przeprawy i biją prawą flankę zbliżającego się do gór wojska. Dwie flesze na prawem skrzydle już od nas zabrane były i piechota z nich spędzona. Jeżelibyś Ty, Generale, posterunek Kamionny mógł ubiedz tak sekretnie, abyś stał się panem tych fleszów, gdyż nieprzyjaciel przez ten sposób z tyłu prawie byłby wzięty. możnaby się pomyślnego spodziewać skutku. Ja biorę na siebie odebranie Witkowic i Sochaczewa, ale przeciwko górom

Kamionny demonstracyę tylko uczynić będę w stanie, prócz wsi samej, którą, tuszę, że wezmę. Odebrawszy Witkowice, stanę się panem wszystkich komunikacyj Kamionny z Łowiczem i przetnę się. Z Kamionny nie więcej, jak tylko jeden albo półtora bataliona mego będzie mogło pójść do szturmu gór. Armat 6-funt. 2, a 3-funt. 3, użyję do ataku Kamionny, z których jedna musi przeszkodzić przeprawie posiłków pruskich z za Wisły, z Kępy od Wyszogroda; jak podczas ataku mego onegdaj tentowanego, Sochaczew atakowany będzie przez 2 bataliony piechoty i brygadę Kołyski. Do Kamionny pułk 3-ci z kawaleryą wysłany będzie wzdłuż brzegu Wisły. Każę w tym czasie udawać tentacyę powyżej Wyszogrodu przeprawienia się przez Wisłę, dla zwrócenia ich uwagi w tamtą stronę. Jeżeli już nie będę mógł od Ciebie, Generale, na ten list odebrać odpowiedzi, tedy atak ten dzisiaj uskutecznię, to jest o godzinie 4 z północy.

Dan w obozie pod Łazami, dnia 22. 8-bris 1794.

Józef ks. Poniatowski."

Do generała Madalińskiego.

„Już odebrałem wiadomość od ks. Józefa, który stoi na tamtej stronie Bzury; mam z nim łącznie atakować Kamionnę, która dobrze okopana być ma. Przed wsią Mistrzewicami jest dobra przeprawa, przez którą cały bagaż na tamtą stronę przeprawić chcę. Potrzeba więc, aby Generał z korpusem swoim jak najśpieszniej pod Mistrzewice maszerował, gdzie przeprawę bagażów i niewolników asekurować możesz, jako też sukurs, któryby z Łowicza do Kamionny szedł, wstrzymać. Dziś moje flankiery ucierały się z Prusakami. Jutro od rana o godzinie 4-tej ma być rozpoczęty atak, trzeba o tym samym czasie Generałowi być w Mistrzewicach. Ja na całą noc idę pod Kamionnę.

Dan w Iłowie, 22. 8-bris.

Dąbrowski."

Tomasz Wawrzecki, Najwyższy Naczelnik.

„Nie odbierając dotąd wiadomości o obrotach Twych, Szanowny Generale, nie wiedząc Bzury oczyszczonej, a zatem połączonej pewnej z korpusem ks. Józefa komunikacyi, w ciężkiej i troskliwej zostawałem niespokojności o korpus w dzielnym Twoim rządzie będący. Wczoraj przybył obywatel Miaskowski; dziś raport Twój przyniósł uspokojenie stroskanemu sercu memu. Wysłałem przez noc kuryera, księcia gen.-lieutenanta Eustachego, do ks. Józefa Poniatowskiego. Uwiadomiłem gen.-lieut. Jerz. Grabowskiego o wspólności kroków Twoich na Kamionnę z ks. Józefem, z zaleceniem, aby znajdując się pod Ostrołęką przewodził swój korpus i wypędził Prusaków z Pułtuska. Do brygady Biernackiego posłałem generała Ożarowskiego, aby od Mszczanowa wspomagał Was, tudzież do Jaźwińskiego posłany jest rozkaz, aby wszędzie posterunki pruskie w jednym że czasie atakował. Skoroś się zbliżył Generale i czynisz, wszystkiego powinienem się spodziewać względem Prusaków, zatrudniających pomyślność nasza. Jak tylko wzięcie Kamionny nastąpi, natychmiast ułatwi się wszystko i oni sami cofać się będą przymuszeni. Naówczas chciej, zacny Generale, zostawiwszy instrukcyę na czas tu zjechać: potrzebuję światła do planu pewnego, ile w tak spóźnionej porze od Twego patryotyzmu i wielkiej umiejętności, niosąc szacunek Twoim przymiotom, Ojczyźnie i własnej dogadzam potrzebie. Ponawiam tę prośbę, z najwyższem na zawsze jestem przywiązaniem i szacunkiem.

D. 23. 8-bris.

Wawrzecki.“

Tomasz Wawrzecki, Najwyższy Naczelnik.

„Rzecz powszechna zwłoki nie cierpi, ani ekskuzy. Dałem ordynans ks. Poniatowskiemu opanowania koniecznie Kamionny, nie uważając na żadne straty. Zalecam równie Gen.-lieutenantowi Dąbrowskiemu, aby skombinowawszy się z nim, dopełnił w tym wyraźnej mej woli, fałszywymi zatrudniony atakami Sochaczew, nie da nieprzyjacielowi zręczności sukkursowania Kamionny. Otwarty ordynans do gen. Madalińskiego dołączam. Generale, prześlesz

mu go z stosownemi uwagami i informacyą do uskutecznienia zaleconej operacyi. Wykonanie tego ordynansu seryo zalecam.

Dan w Warszawie 23. 8-bris.

Wawrzecki."

Do Najwyższego Naczelnika.

„W tym momencie odebrałem od Najwyższego Naczelnika ordynans, do którego jak najśpieszniejszego uskutecznienia, nie znając dość dobrze pozycyi tutejszej, natychmiast na rekognoskowanie wyjeżdżam i jutro łącznie z ks. Józefem zadosyć uczynię ordynansowi.

Dnia 24. 8-bris.

Dąbrowski."

Raport powinny.

„Do uskutecznienia ordynansu Najwyższego Naczelnika, wyjechałem rekognóskować pozycyę. W tym samym czasie pokazały się kolumny nieprzyjacielskie: jedna w Witkowicach, druga w Mistrzewicach, trzecia naprzeciw Brochowa, które zaraz z armat do moich posterunków zaczęły palić. Ja naprzeciw nim wystawiłem moje batalione z armatami i kilka godzin trwała z obu stron kanonada, która żadnej mi nie uczyniła szkody, prócz 1 żołnierza zabitego i 2 rannych. Wysłałem znaczne komendy i patrole na lewą rękę do Sochaczewa na zasłonienie na Bzurze wszystkich przepraw. Pułkownik Sokolnicki, który jednym z tych posterunków komenderował, czyni mi raport (przyłączony) o nieprzyjacielskiej kolumnie, którą na swoje oczy widział. Ta kolumna zapewne jest generała Szweryna, który z Piotrkowa wyszedł i mnie od Warszawy wczorajszego dnia odciąć zamyślał, ten, jak mi się spodziewać należy, między Sochaczewem i Kamionną stanął dla sukursu posterunkom swoim. W tym momencie dowiaduję się, że w Witkowicach okopuje się nieprzyjaciel, którego czynnościom przeszkodzić chciałem, lecz że się lokował na górze, a ja stać muszę na dole, więc mu szkodzić mojemi armatami nie mogłem. Nieprzyjaciel 16-funtowemi armatami do nas strzelał, ja zaś 6-funtow. od-

powiadałem. Z tego wszystkiego Najwyż. Naczelnik pozna, iż ciężko teraz atakować Kamionnę, ile że ja niemam więcej piechoty, jak 2.000. Melduję także, że się u mnie furaż i żywność kończy, cały ten raport czynię w przytomności ks. Józefa Poniatowskiego i generała Madalińskiego.

Porządek marszu kolumny nieprzyjacielskiej między Kamionną i Sochaczewem.

Awantgarda. Szpica z jednego szwadronu huzarów, jeden batalion piechoty.

Korpus. Jedna armata, jeden batalion. Dwie armaty, jeden batalion. Jedna armata, dwa bataliony. Dwie armaty, — odstęp na 100 lub 200 kroków. Jedna armata, 2 szwadrony dragonów. Dwie bryki dużo naładowane. Dwie armaty, jeden batalion. Jedna armata, 3 szwadrony dragonów, jeden batalion. 2 armaty, 6 wozów amunicyjnych, 8 podwód czyli wózków małych. Dwie bryki duże, 13 bryczek czyli podwód. 1 armata, 1 batalion. 5 szwadronów dragonów. 1 kompania fizilyerów, 1 szwadron huzarów zamykał. Poboczne straże z lewej strony nad rzeką Bzurą: dwie kompanie fizilyerów, 2 szwadrony huzarów, licząc sto flankierów po nad lasem, z prawej flanki, blizko kompania fizilyerów i tyleż szwadronów huzarów.

Aryergarda. Za furażem 1 szwadron huzarów, który stał uszykowany nad mostem, przez naszych rozrzuconym i ruszył o parę tysięcy kroków za kolumną. Jedna kompania piechoty została przy moście i 14 huzarów. Także pod Mistrzejowicami zostało nieco fizilyerów i kilkunastu huzarów, w Witkowicach został jeden batalion piechoty, który podobno tam się okopuje i kilkadziesiąt huzarów. In summa więc całej siły nieprzyjacielskiej w tej kolumnie pokazuje się 10 batalionów piechoty, 17 armat, 10 szwadronów dragonów, 20 szwadronów huzarów i 6 kompanij fizilyerów. Rekognoskowano z góry pod Chodabowem.

Dnia 24. 8-bris 1794.

Gen. Dąbrowski.“

Tomasz Wawrzecki, Najwyższy Naczelnik.

„Co wczoraj ks. Poniatowskiemu, gen.-lieutenant., na raport odpowiedziałem, to i Tobie Generale powtarzam. Niepodobieństwo

wzięcia Sochaczewa i Kamionny dla mocnego sukkursu, który tym posterunkom Szweryn przyprowadził, nie może być inaczej uprzątnione, jak przez atak i przez pobicie jego kolumny. Jakie do tego nam zostają środki znajdziesz je Generale w przyłączonych kopiach ordynansów, wydanych do generałów Gedroycia, Grabowskiego i Mokronowskiego. Kolumna Gedroycia, złączona z korpusem Jaźwińskiego, wynosić będzie do 9.000 dobrego wojska: nie będzie mógł on prędzej atakować Wyszogroda, jak na dniu 27. presentis. Więc przez jutro alarmuj wspólnie z ks. Józefem Sochaczew i Kamionnę; a gdy Gedroyć opanuje Wyszogrod, natenczas całą siłą dwa pomienione posterunki atakujcie. Nie wystawiam Ci Generale pobudek, dla których z tęgością plan ten powinien być egzekwowany, bo sam dobrze czujesz, jak wiele na tem zależy.

Warszawa, 25. 8-bris.

Wawrzecki."

Raport powinny generała Dąbrowskiego,

„Melduję Najwyż. Naczelnikowi, że dzisiejszej nocy, Ledywary z korpusem swoim, który szedł za mną od Torunia, pod Witkowicami stanął. Od ostatniego mego raportu, żadnej w niczem odmiany niema. Posłałem na tamtą stronę Bzury patrole, które dotąd nie powróciły. Szpiegów tu dobrych dostać nie mogę, prosiłbym Najwyż. Naczelnika o przysłanie z Warszawy ludzi takowych, których bym użyć mógł na szpiegów. Ponieważ ja stoję między Sochaczewem a Wisłą w takiej pozycyi, że zasłaniam Warszawę i nieprzyjaciel z trudnością atakować mię może, zaczynam się więc okopywać, z których okopów tak offensivé jak deffensivé operować mogę. Rozkaz Naczelnika przyjechania do Warszawy, jutro uskutecznię, albowiem dzisiaj obszerniej zechcę poznać pozycyę. Przy komendzie zostawuję generała Rymkiewicza, z zdatności i umiejętności wszystkim znajomego, który największym korpusem mógłby komenderować. O żywność i furaż upraszam Najwyż. Naczelnika, albowiem mi dziś już wszystkiego zabrakło. Przymuszony jestem brać wszystko ze stodół.

Pod Brochowem, 28. 8-bris.

Dąbrowski."

CZĘŚĆ III.

Rozprzężenie.

„Lubo Rada Najwyższa Narodowa wielką nagrodę wyznaczyła była korpusowi, któryby rzekę Bzurę z nieprzyjaciela oczyścił i Wielkopolskę otworzyć zdołał, inne wcale przedsięwziąć trzeba było środki, niżeli prosto nad Bzurą nieprzyjaciela atakować. Jego bowiem pozycya zajęta od Kamionny aż do Łowicza, przez korpusy generał-lieutenanta Szweryna i generał-majora Elsnera i pułkow. Ledywarego, a nadto równie sztuką jak natury dziełem wzmocniona, nie mogła być przez nas atakowana skutecznie. — Korpus ks. Poniatowskiego do 4.000 głów wynosił i w dywizyi mojej było 4.500 ludzi przy Bzury przejściu, siły więc te, chociaż połączone, nie dorównywałyby jeszcze sile nieprzyjaciela.

Będąc w Warszawie, przypuszczonym zostałem do Rady Wojennej, a gdy w niej najprzód mówiono o Pragi obronie, (ponieważ już całe wojsko litewskie ustępując Moskalom, do okopów tegoż przedmieścia weszło), zdanie moje było, ażeby Warszawę i Pragę opuścić, a z całą Rzeczypospolitej siłą przy licznej artyleryi wkroczyć do Wielkopolski. Praga i Warszawa nie byłyby się na żadne wystawiły niebezpieczeństwo. Magistrat bowiem mógłby był kapitulować, a Król i Rada Najwyższa powinni się byli łączyć z wojskiem. To zdanie moje niewielu się podobało, tylko gener.-lieut. Mokronowski i Orłowski zgodzili się na nie. Inni zaś za złe mi to mieli, żem położenie nasze tak mniemał być niebezpiecznem. Aby jednak do Wielkopolski wkroczyć i Bzurę opuścić, ułożyłem plan następujący i oddałem go Naczelnikowi. Był to sposób jedyny podzielić siły nieprzyjacielskie i natenczas z wszystkich stron go atakować. Już nie siłą naszą, lecz sztuką można Bzurę opanować. Wszystkie w Polsce korpusy wzmacniały się niezmiernie. Major brygady mojej, Bielamowski, już miał do 600 koni, korpus obywateli łęczyckich, sieradzkich i kujawskich już do 3.000 głów wynosił. Nieprzyjaciel więc wpadłby był między dwa ognie, łatwo mu było wszelkie komunikacye i wszystkie żywnosci odciąć. Zima była na wstępie, dezercya i nieukontentowanie w pruskiem wojsku coraz bardziej się pomnażały; słowem przekonany jestem, iż by się wojska pruskie, jeżeli nie za Odrę, to za Wartę cofnęły, mianowicie, gdyby się była Warszawa podług zdania mego opuściła. Moskale, gdyby też i za nami iść chcieli,

nie mogliby byli tak prędko przejść Wisły, nie znaleźliby tyle żywności, którąby za sobą dowozić musieli, lecz wiadomo, jak to jest rzeczą uciążliwą. Wojsko więc nasze byłoby zawsze od moskiewskiego 8-miu dniami oddalone. Choćby też to ostatnie za Bzurę i Pilicę przeprawić się zdążyło. Plan mój był takowy:

Korpus ks. Poniatowskiego zluzuje korpus generała Dąbrowskiego pod Brochowem nad Bzurą stojący, w ten sposób, aby ostatni równo ze dniem mógł ku Błoniom wyruszyć.

Brygadyer Kołysko posuwa posterunki swoje z Błonia ku Sochaczewu i Łowiczowi, tak, aby najzupełniej marsz generała Dąbrowskiego mógł ukryć.

Generał Ożarowski, koło Mszczonowa stojący, również swoim posterunkom tak każe się posuwać, żeby z brygadyerem Kołysko miał komunikacyę, tym sposobem marsz generała Dąbrowskiego aż do Rawy, nieprzyjacielowi zostałby ukryty.

Brygadyer Kołysko wysyłać będzie częste patrole ku Sochaczewu, Bolimowi i Łowiczowi, Generał Dąbrowski ku Skiersku, Skierniewicom, Nowemu Dworowi, Białły i Nowemu Miastu, a gdzie patrole dostateczne nie będą, tam użyją szpiegów, by o każdym nieprzyjaciela obrocie generałów Poniatowskiego i Dąbrowskiego uwiadomić.

Obadwa komenderujący, tak generał Dąbrowski, jak brygadyer Kołysko, powinni natychmiast w Błoniu, Grojcu i Tarczynie na 6.000 ludzi i koni żywność nakazać. W jednym że czasie, kiedy z korpusem generał Dąbrowski z Brochowa ruszy, detaszeruje tenże generała Lipskiego, powstaniem komenderującego i z całą siłą wielkopolską na tamtą stronę Bzury. Generał Lipski starać się będzie wszelką komunikacyę z Sochaczewem, Łowiczem i Kamionną utrzymać, nieprzyjacielowi też odciąć i żadnego, ile będzie mógł, dowozu żywności z Wielkopolski nie dopuszczać, powinien wszelkiej bitwy z nieprzyjacielem unikać, gdyż przeznaczeniem jego jest, aby nieprzyjaciel głodem zmuszony był opuścić Bzurę. Dla wzmocnienia swojej komendy, może się ze wszystkimi pozostałymi w Wielkopolsce korpusami, a mianowicie z majorem Bielamowskim z brygady mojej łączyć, i z połączonemi siłami jak najbardziej nieprzyjacielowi naprzykrzać i szkodzić, gdyby zaś ten nadto nań nacierał, wtenczas do województwa sieradzkiego udać się powinien.

Generał Dąbrowski idzie z korpusem swoim na Błonie do Starej Wsi, gdzie korpus generała Gedroycia pod swoją bierze komendę i tak wzmocniony wchodzi do województwa łęczyckiego

i sieradzkiego i łączy się jeszcze z generałem Ożarowskim. To wkroczenie przymusi zapewne nieprzyjaciela do oderwania części sił swoich nad Bzurą przeciw generałowi Dąbrowskiemu. a nateneczas gen. Poniatowski będzie mógł skutecznie, (gdyby więcej armat 12-funt. i piechoty mu dodano) nieprzyjaciela w Sochaczewie i Kamionnie atakować. Generał Madaliński równie wkracza do województwa sieradzkiego z kawaleryą swoją i rozprzestrzenia się aż w wieluńskie. Brygadyer Jaźwiński idzie w 3.000 ludzi od Wisły za generałem Dąbrowskim i z nim się złączyć usiłuje.

Tym sposobem nieprzyjaciel byłby był przymuszony siły swoje rozdzielić, ażeby mu tyłu i flanków nie wzięto, i podług wszelkiego podobieństwa. opuściłby nawet bez wydania bitwy Piotrków. Łowicz i Łęczycę: nateneczas by generał Dąbrowski z korpusem swoim do 15.000 wzrosłym. liczną artyleryą opatrzonym, mógłby się już pod Kalisz podsunąć i między Odrą i Wartą działać co raz dalej, a część onegoż detaszerowawszy — między Wartą i Notecią. Generał Poniatowski, złączony z brygadyerem Kołysko, łatwo nateneczas ku Bydgoszczy postąpi. Dla uskutecznienia tego planu. który Naczelnikowi podałem, miałem jeszcze co się tyczy mego korpusu. następujące uwagi:

1. Aby mi natychmiast na cały korpus namioty dano, gdyż przy teraźniejszej porze roku. żołnierz pod gołem niebem leżeć nie może. a kantonować z wojskiem naszem jeszcze niebezpiecznie.

2. Korpus ten powinien być w buty. płaszcze i braknące jeszcze mundury opatrzony, na co sukna i skóry z Bydgoszczy przystawiłem.

3. Potrzebuję kilku armat 12-funt. i granatników. gdyż bez nich nieprzyjaciela z miast i szańców wypędzić bym nie mógł.

W pontony także opatrzonym być powinienem. abym w razie. gdyby nieprzyjaciel na rzekach, których do przebycia jest wiele, mosty i brody rujnował. one mógł gdziekolwiek przebywać, ale do tego potrzebuję biegłych oficerów i ludzi.

Warszawa, 27. 8-bris.

Dąbrowski."

„Co do mnie chciałem wprawdzie nad Bzurą pozostać. a ks. Poniatowski powinien był udać się na miejsca. gdzie według planu ja iść miałem. ale wspomniany generał wymówił się nieznajomością pozycyj. Moim zaś zamiarem było pozostanie się nad Bzurą, iż chciałem zyskać czas, w któymbym korpus mój mógł ubrać

i onemuż dać odpocząć, a to tem sprawiedliwiej, że korpus księcia od oblężenia Warszawy, dostateczną miał porę do ubrania się, wypoczęcia i wytresowania rekrutów. Co wszystko nie tako się działo z moim korpusem, który w tym czasie 100 mil uszedłszy, wciąż nieprzyjaciela przed oczyma miał. Wykomenderowałem więc z każdego regimentu oficerów z wozami dla przywiezienia mi z Warszawy potrzebnych na zimową kampanię rekwizytów.

Dnia 29. 8-bris 1794 odebrałem, pomimo tych wszystkich przeszkód, następujący rozkaz, który podług planu dany być miał. Wydałem więc podobnyż rozkaz generałowi Rymkiewiczowi, ażeby w najkrótszym czasie pociągnął z korpusem do Błonia, dokąd też i sam zaraz się udałem."

W. M. Kozłowski.

(Dokończenie nastąpi).

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy).

W tym samym dniu. to jest we środę popielcową, 8. lutego, w którym senat dyskutował nad mową dzielnego rzecznika izby poselskiej i w powziętej przez siebie uchwale skreślił jej postulaty, posłowie omawiali między sobą akt zakończenia sejmu czyli t. zw. żegnanie poselskie. Wśród debaty nad tym aktem ze strony posłów ziem ruskich i podolskich. podnosiły się głosy za uchwaleniem obrony, „której się jeszcze od początku sejmu upominali". Grozili, że jeżeli sejm jej nie uchwali, będą musieli zrezygnować z udziału w sejmach koronnych, aby „strzedz domów i gardł swych". Gdyby spełnili swą groźbę. upadłyby sejmy, boby „ine województwa nie sprawować bez nich nie mogły wedle zwyczaju pospolitego". Na to odpowiadali im polscy posłowie, że powinni mieć wzgląd na „wolności pospolite", że „żadnym podatkiem obrona skuteczna być nie może": tamtego roku podatek był, jednak nieprzyjaciel wojował, pustoszył i wiele ludzi pobrał

w niewolę. Dlatego oni „chcieli o statecznej obronie mówić i z tem się od początku sejmu opowiedali“. Główna rzecz — to egzekucya — „bez której nie mają i ci i oni czego bronić“, bo bez niej „sprawiedliwości i rządu nie masz“. W końcu „ofiarowali się z garły swemi na obronę ich jechać, gdy Król J. M. wojnę ruszy“, niektórzy nawet gotowi byli zakupić od nich zagrożone od Tatarów lub Turków dobra ziemskie — „chcąc te niebezpieczność krajów onych na sobie raczej odnieść, a niżby za tym podatkiem i sami siebie w niewolę się mieli wprawić i one kraje zawieść i rzeczom pospolitym przekazić“.[1] Tymczasem została posłom ogłoszona przez kanclerza uchwała senatu, podana powyżej, która spór ów o obronę zaostrzyła jeszcze więcej, a zakończyła go akcyą rozbijająca koło na dwie partye. Posłowie z Wielkopolski i z właściwej Małopolski, widząc, że senat i król w niczem nie ukazali względem nich dobrej woli, a głównie że religię społem z egzekucyą zmieszali, że nie znieśli jurysdykcyi księżej, bo w kwestyi tej jurysdykcyi i owych klątew kościelnych, tamujących sądy ziemskie, stanęli na stanowisku z dnia 15. grudnia, w którym to dniu zawieszone zostały na czas pewien tak sądy jak klątwy biskupie, ale wcale jeszcze nie zniesione,[2]) postanowili uczynić „protestacyę na jurysdykcyę księży“, oświadczyć się stanowczo przeciw obronie i pożegnać króla. Posłowie zaś ruscy i podolscy wydelegowali do króla p. Siemuchowskiego, posła ziemi sanockiej, który miał poruszyć w ich imieniu wobec niego i senatu potrzebę uchwalenia obrony głównie ze względu na ich ziemie i kraje. Siemuchowski z towarzyszami swymi stanął w senacie pierwej niż posłowie wielkopolscy i małopolscy. Zaklinać miał króla i senatorów, — „aby ich przez obrony nie opuszczali“, bo chociaż „towarzysze ich“, to jest posłowie ziem dalej położonych od kresów wschodnich, piszą się na „wojnę pospolitą“, ale wojna ta „może dojść albo nie dojść“, a oni „przez obrony będąc“, mogą łatwo nieprzyjaciołom uledz. Na to król po naradzie z panami odpowiedział mu, że radby im służył „osobą swoją“, ale „skarb“ ma pusty, że więc wszystko zależy od „koła poselskiego“. To samo oświadczył i innym posłom i jeszcze raz upominał ich usty kanclerza, „aby się nie rozjeżdżali bez postanowienia jakowego

---

[1]) Dz. s. 293.

[2]) Dz. s. 160 — vide wyżej.

obrony, ulitowawszy się potrzeby braci swej“ — ale bezskutecznie.[1]) W „żegnaniu poselskiem“, które tego samego dnia jeszcze wygłosił marszałek Siennicki, oświadczyli posłowie, że chociaż „potrzeba nagła a pilna braci ich wielce im dolega“, jednak „ratunku żadnego im dać nie mogą“. Mieli dobre chęci, pragnęli naprzód usunąć „zawady do rządu“ — „gdyż to jawnie wyznawa każdy, że póki się to pirwej nie odprawi, aby Rzpta wszystko swe spełna miała, prawa i wolności pospolite wypełnione były, trudno się czego dobrego nadziewać, a rząd stanowić i pogotowiu obronę“. Na tych dobrych chęciach nie zbywało również królowi, który pragnął i rząd poprawić i obronę zapewnić, choćby własnym kosztem. Winni tu są ci, którzy im, posłom, „drogę do stanowienia rządu zawarli“, którzy króla „do tego przywiedli“ — „iż nic nie ma, a starać się o to i przyczynić sami nie chcą, aby mu było wrócono“, co utracił. Winni są panowie, którzy udaremnili egzekucyę, — „bez której nic po obronie“. „Ci niech ten płacz ludzi krześciańskich braci naszej i swej“ — mówił Siennicki — „na sąd miłego Boga na sobie odniosą, którzy już do tego przywiedli sprawy pospolite, że w nich wszyscy zwątpili, co się wżdy po te czasy nadzieją cieszyli, teraz już ją tracić muszą, bo cóż za nadzieja być ma, gdy widzimy jakoweś obietnice, któreś W. K. M. jeszcze od zaczęcia panowania swego przy koronacyi swej uczynić raczył, nuż zasię z sejmu do sejmu jakoś te obietnice swe pańskie powtarzać raczył i już tu wielekroć opowiedać chuć swą do wszytkiego raczył... co jako się zwlóczyło po ten wszytek sejmowy czas wszem jawno jest...“ „Ale nie tylko, aby się tu co dobrego zacząć miało, owszem i tego uprosić nie możemy, aby się to na przyszły sejm za słusznemi kondycyami upewnić mogło...“ Powiedziawszy te słowa, przeszedł marszałek do religii i jurysdykcyi, o które głównie rozbiła się pierwotna zgoda izby z senatem i sprawa egzekucyi. Chciał zaprotestować przeciw recesowi sejmu, ułożonemu przez senat i przeciw jurysdykcyi biskupiej w całej jej rozciągłości. Mówił tedy: „Złączają nam *causam religionis* społem z egzekucyą i z jurysdykcyą panów duchownych, co my baczymy, iż społem te sprawy i sprawowane i kończone być nie mogą, ale owszem jedno drugiemu zawadzać, aby wszystko nie doszło i bo któż tego nie wie, iż od wielu wieków między ludźmi ta sprawa *religionis* skończona być nie może, której jeśliby oczekiwać albo spólnie kończyć się z nią pospolite nasze sprawy miały, nigdy się wy-

[1]) Dz. s. 296—297.

kończyć nie będą módz, jedna drugiej oczekiwając. Jurysdykcyę k'temu panów duchownych na nas ostawują, której my w sprawiech a wolnościach pospolitych (scl. świeckich, cywilnych i kryminalnych) nie uznawamy, owszem jako są z nami narodem jednym, tak też to pewnie czujemy, żeśmy przed niczyją osobą stawać za tytułem jego nie winni, jeno przed majestatem W. K. Mci pana sobie spólnie zwolonego, a przed tymi, które Rzpta na urzędziech W. K. Mci postawiła i to *praescriptis legibus* (!). To wszytko my czując... zupełnie dufamy, że W. K. M. z wrodzonej dobroci swej pańskiej czas lepszy za łaską miłego Pana Boga sobie wziąwszy, będziesz jednak raczył o to się starać, że to wszytko nam wypełnisz, a Rzptej spełna oddasz, a k'temu nam bronić nie będziesz raczył, iż my takowej jurysdykcyi cudzej na sobie nosić nie będziem: jakoż się my imieniem wszego rycerstwa W. K. Mci ich m. panom radom i wszem wobec ludziom oświadczamy, iż jej poddani być nie chcemy, i jeśliby kto nas do niej cisnął, nie lża nam będzie, jeno przykładem przodków swych a zwyczajem nam od nich z rąk podanym (siłą oręża [1]) w myśl konstytucyi konfederacyi korczyńskiej z 1438 r. z niej się wyjmować, i mamy tę nadzieję w W. K. Mci swym mił. panu, iż nas do tego żadnym rozkazaniem swym ani urzędów swoich dotyskowaniem cisnąć nie będziesz raczył..." [2])

Protestacya posłów przeciw jurysdykcyi księżej wywołała kontraprotestacyę biskupów. Gdy skończył mówić Siennicki, powstali natychmiast biskupi z arcybiskupem: „zatym ksiądz arcybiskup z biskupy uczynił rzecz do króla, przypominając, iż prawa wszytkie każdemu stanu dzierżeć poprzysiągł: a gdyż też od dawnych wieków w Koronie polskiej są prawa duchowne, których zawżdy przodkowie ich za przodków Króla J. Mci wolno używali, i które się z tychże deszczek statutowych, w których są i ine koronne prawa, pokazać mogą — prosił — aby też wolnie ich z duchowieństwem swym używał i obronę w nich od Króla J. Mci jako od egzekutora praw wszech miał." [3])

Po obydwu powyższych protestacyach posłów i biskupów, nastąpiła krótka, ostatnia, sesya senatu. Przedmiotem obrad tej sesyi był reces sejmowy i sprawa ochrony praw Kościoła i du-

---

[1]) Dz. s. 200 i 222.
[2]) Dz. s. 297—299: „Żegnanie poselskie" — w skróceniu.
[3]) Dz. s. 299.

chowieństwa, o którą biskupi króla prosili. Po sesyi owej pożegnał kanclerz posłów w imieniu króla temi słowy: „Gdyż was ani napominanie Króla J. Mci ani żądanie ich m. panów, ani prośba pokorna braci waszej przywieść do tego nie może, abyście w tym nierządzie a w niebezpieczeństwie Korony nie odbiegali, a owszem już się rozjeżdżacie nic nie sprawiwszy, a jeszcze i to, w czym wżdy nadzieja była w wątpliwości ostawując, żadnego postanowienia nie dokonawszy, aby się to wżdy na potym dokonało, co się tu kończyć nie mogło, z żałością tego Król J. M. używa, iż się ten sejm tak szkaradnie targa ku osławie wielkiej Korony a z utratą niemałą wszech ludzi. Ale gdy już być inaczej nie może, Panu Bogu to porucza a oświadcza, iż się nic J. K. Mci nie rozchodzi, co wszem oznajmić nie omieszka, a jednak pomnąc na powinowactwo swe, reces ten przeszłego sejmu warszawskiego w mocy zupełnej zostawuje na sejm bliższy, który z radami swemi będzie raczył złożyć, kiedy się J. K. Mci i radom będzie zdało, gdyż odłożenia tego sejmu nie namówiwszy, odjeżdżacie. Wie też to dobrze, że jednako poprzysiągł każdemu stanowi prawa jego i wolności trzymać: A iż panowie ich m. duchowni prawo swe mając, które się w deskach statutowych najduje i z inąd pokazać może, zawżdy go wolnie używali, zostawuje je J. K. M. zupełnie w mocy swej" [1]) — (wbrew uchwałom z 13. grudnia i 24. stycznia).

W dwa dni po tem zakończeniu sejmu, wygotowany został w kancelaryi koronnej urzędowy akt recesu sejmowego, z datą 10. lutego 1559 r., w którym król wyraźnie oświadczył, że główną przyczyną zmarnowania prac sejmu, była walka pomiędzy posłami a biskupami, rozpalająca miedzy stanami „ustawiczne ognie... ku wielkiemu niebezpieczeństwu praw i przywilejów koronnych". „A posłowie też ziemscy — obwieszczał król — „rzeczy niektóre ku skończeniu trudne, które się stanu duchownego i ich spraw tykały,„ byli wytoczyli, które lepszego rozeznania i wykładu jaśniejszego i czasu przestrzeńszego i bezpieczniejszego potrzebowały, jakożeśmy z wolą rad naszych takowe wszystkie rzeczy na inszy czas odłożyć musieli (na sesyi senatu dnia 24. stycznia, [2]) na który czas też sprawa i uspokojenie o religii będzie mogło być od ludzi pobożnych i uczonych, którzy na to będą wysadzeni. Panowie też stanu duchownego dobrowolnie chuć, staranie i pilność swą wszelką ofiarowali tak dalece, jak możność i przystojność znosić

[1]) Dz. s. 299—300.
[2]) Dz. s. 239—241.

będzie, aby różnice wszytkie, które się około religii wszczęły, były uspokojone, gdyż z nich wszem wobec i każdemu z osobna wiele zatrudnienia, różnic i niebezpieczeństwa, targania zgody wnętrznej i miłości Rzeczypospolitej przychodzi...“ [1])

IV.

Stoczona w Piotrkowie kampania sejmowa pogorszyła niezmiernie i zaostrzyła stosunki religijno-społeczne w kraju. Dysydenci, jakkolwiek nie odnieśli zupełnego zwycięstwa na sejmie, jakkolwiek nie obalili jeszcze katolicyzmu, o co im głównie w podjętej walce przeciw biskupom chodziło, jednakże zdołali nie tylko uzyskać dalsze zawieszenie jurysdykcyi kościelnej, nie tylko zaprotestować przeciw tej jurysdykcyi w całej jej rozciągłości tak w sprawach religijnych jak świeckich, ale zarazem tak podkopać i zdyskredytować w opinii publicznej samych biskupów, jako urzędowych przedstawicieli katolicyzmu, że, gdyby się byli po sejmie zjednoczyli w jeden zwarty obóz religijny, byliby z pewnością w niedalekiej przyszłości popchnęli ówczesną Polskę i Zygmunta Augusta w ramiona protestantyzmu. Tę potrzebę zjednoczenia religijnego jako głównego warunku, od którego zależało zupełne zwycięztwo nad Kościołem rzymskim, odczuwali wówczas wszyscy wybitniejsi znani nam kierownicy ruchu reformacyjnego, jak wojewoda wileński, Radziwiłł, autor księgi „O Kościele“ Modrzewski, reformator Jan Łaski lub superintendent zborów małopolskich, Feliks Kruciger. Radziwiłł przybywszy dnia 15. grudnia 1558 r. do Piotrkowa, podczas odbywającego się tamże sejmu, przywiózł z sobą wielu ministrów z Litwy, których chciał zbliżyć do małopolskich, aby wspólnie z nimi odbyć w Małopolsce synod dla zaprowadzenia jednakich obrzędów i ceremonij w kościołach i gminach ewangelickich.[2]) Łaski i Kruciger niezmordowanie pracowali nad tem, aby wyrównać różnice religijne i obrzę-

[1]) Metryka kor. ks. 93, lit. Z. Y. fol. 202 — podług Zakrzewskiego: Powstanie i wzrost Reformacyi w Polsce, s. 136—137. W recesie tym wspomina król jako o przyczynie rozejścia się sejmu także o powietrzu, „prze które nie mało ludzi z świata zeszło“ — tylko nie wiadomo, czy w Piotrkowie, czy w całej Polsce.

[2]) List Utenhowego z Polski do Kalwina z 27. stycznia 1559: Corp. Ref. XVII. 3002, cyt. przez Bukowskiego, T. II. s. 551.

dowe między dysydentami małopolskimi i zjednoczyć ich z dysydentami innych prowincyj, głównie zaś z Luteranami i Braćmi Czeskimi z Wielkopolski. Łaski ponadto starał się nieustannie o pozyskanie dla swoich współwyznawców osobistości wpływowych, jak Jana Tarnowskiego, Stan. Ostroroga, biskupa Uchańskiego lub księcia Albrechta, kruszył kopie z głównym obrońcą katolicyzmu w Polsce, Stan. Hozyuszem, publikując w połowie 1559 r. dziełko swoje *De oppresso verius quam expresso verbo Dei,* dedykowane Tarnowskiemu, będące odpowiedzią na dziełko Hozyusza, wydrukowane przez niego tamtego roku przed odjazdem do Rzymu pod tyt. *De expresso verbo Dei;* czuwał troskliwie nad powierzonym nauczycielom szkoły pińczowskiej przekładem biblii na język polski, mającym być wspólnym zakonem różnowierstwa polskiego; [1]) w końcu zbliżył się ponownie do Zygmunta Augusta. Wprawdzie zbliżenie to kosztowało go tym razem nie mało upokorzenia, król bowiem, znękany niefortunnym przebiegiem sejmu, odwrócił się od innowierców, przez których głównie poniósł porażkę; krzywem okiem patrzał na praktyki religijne, jakie odbywali podczas sejmu w Piotrkowie; miał nawet, jak donosili Łaskiemu — minister Krowicki lub Albrechtowi — minister Lutomirski, obydwaj agitujący podczas sejmu bezkarnie śród szlachty i posłów, zakazać na skutek interwencyi biskupów surowym mandatem wszelkich schadzek religijnych, nabożeństw i kazań, a zakaz ten właśnie dnia tego, 26. stycznia, powtórzył, pomimo, że posłowie sejmowi preciw jego mandatowi solennie reklamowali. [2]) Kiedy

---

[1]) Vide drugi rozdział wstecz i Acta Jacobi Sylvii, s. XVI.—XVII. w Liubowiczu, jak niżej. W ciągu 1559 r. w sprawie edycyi przekładu polskiego biblii, odbyły się dwa synody: w Pińczowie 25. kwietnia i w Włodzisławiu 26. czerwca.

[2]) Liubowicz, Istoria Ref. w Pol. s. 249, w przypisie nr. 1. przytoczone są przez autora wyjątki z listów ich, pisanych w Piotrkowie dn. 26. stycznia 1559 r. Lutomirski pisze: Majestas Regia solenni suo mandato inhibuerat, ne equites causa audiendi verbi Dei auderent convenire in locum Piotrcoviae. Cui edicto regio reclamatum est fortiter per nuntios propter libertatem patriae. Vicititaque Christus Dominus. Verbum Dei libere praedicatur et coetus piorum frequentantur. Krowicki pisze: Nos concionamur et colligimus coetas Christianos. Interdictum fuit nobis per Trzebuchowski nomine Regio, ne ampiius conveniremus ad publicas preces et concionaremur, idque factum est Pontificum studio, qui tamen voti sui non fuerunt facti compotes. Praedicamus enim ad hanc usque diem libere et publice. Hodie iterum interdictum est severe, ut omnino taceremus in Christo.

więc przed odjazdem króla na Litwę, wyrobił sobie u niego Łaski audyencyę, spotkał się z cierpkimi wyrzutami na praktyki innowierców. Miał narzekać król na synody i zjazdy, urządzane przez ministrów, na postępowanie wielu takich, którzy pod płaszczykiem religii łupią kościoły, skarby ich i dochody, głównie zaś dziesięciny. Audyencya jednak Łaskiego nie pozostała bez skutku. Nowy podkanclerzy, znany nam archidyakon krakowski, Filip Padniewski, który objął pieczęć po Janie Przerębskim, zaproponował Łaskiemu — zapewne w myśl uchwał powziętych przez senat i biskupów w dniach 24. i 25. stycznia — kollokwium religijne z nim samym i z innymi ministrami dysydenckimi. O tej propozycyi Padniewskiego, jak niemniej o tem, co słyszał od króla, doniósł niebawem Łaski seniorom, ministrom i presbiterom małopolskim, zwoławszy ich dnia 13. marca r. 1559 do Pińczowa na synod. Zebrani na nim akatoliccy duchowni przyklasnęli jednogłośnie idei kollokwium w nadziei, że doprowadzi ono do zgody religijnej w duchu zasad prawdziwej ewangelii. Wyznaczyli też kilku z grona swojego, samego Jana Łaskiego, Franc. Lismanina, Feliksa Krucigera, Grzegorza Pauli, Lutomirskiego i Sarnickiego, którzy mieli dokonać rewizyi konfesyi Hozyusza. Konfesya ta, jako wyraz zapatrywań religijnych obozu katolickiego, miała być głównym punktem programu projektowanej dysputy religijnej. Miano katolikom wykazać zawarte w niej błędy *per lucem et veritatem Evangelii.* [1])

Ale usiłowania te, podjęte około zjednoczenia i porozumienia na gruncie ewangelii nie tylko różnowierców między sobą, ale nawet katolików z nimi dla miłości pokoju i zgody, których tak gorąco pragnęli Łaski lub Modrzewski, obydwaj ożywieni prawdziwym duchem chrześciańskim, rozbijały się o nieprzeparte przeszkody, jakie im stwarzał rozwielmożniający się na terytoryum dyecezyi Zebrzydowskiego w Krakowie i jego okolicznych miejscowościach aryanizm, będący żywą negacyą samej ewangelii. Bawiący od roku w Pińczowie u Oleśnickiego koryfeusze tej sekty Blandrata, Gonezyusz, Socyn lub Stankar utrzymywali w kołach małopolskich innowierców nieustanny ferment religijny inicyowaniem dysput i sporów o dogmaty Trójcy św. albo o Boską naturę Chrystusa, które osłabiały ich siły i psuły im robotę organizatorską. Zebrany w Pińczowie w listopadzie 1558 r. synod ministrów i szlachty dysydenckiej, zawichrzył spór o dogmat Trójcy św.

---

[1]) Acta Jacobi Sylvii w Przypisach nr. 7, s. XIV. (Liubowicz, Ist. Ref. w Polszy).

Spór ten przeniósł się za sprawą Gonezyusza na synod brzesko-litewski, złożony przez ministrów litewskich w połowie grudnia t. r. Na synodzie pińczowskim, złożonym 25. kwietnia n. r. 1559, na którym miano radzić o wydaniu polskich biblij, musiano zarazem uchwalić, aby ministrowie byli poddawani egzaminowi z nauki o Trójcy św. [1]) Najwięcej bruździł Łaskiemu Stankar, przeczący bóstwa Chrystusowi w głośnem swem dziełku *De Mediatore*. Po stronie bowiem Stankara stanął Oleśnicki, dziedzic Pińczowa i Orszacki, rektor tamtejszej szkoły. Łaski wezwany przez niego do publicznej dysputy na temat bóstwa Chrystusa, postanowił napiętnować go jako heretyka w oczach wszystkich dysydentów małopolskich. Zainicyował w tym celu wielki synod, który się odbył dnia 7. sierpnia b. r. 1559 w Pińczowie. Przybyło nań mnóstwo ministrów i szlachty, ciekawi starcia, jakie miało nastąpić między dwoma wybitnymi reformatorami kościołów małopolskich. Przybył Lismanin, podówczas superintendent kościoła i szkoły pińczowskiej, Feliks Kruciger, Stan. Lutomirski, podówczas pastor na Kazimierzu, Grzegorz Pauli, pastor krakowski, Oleśnicki, Konrad Krupek Przecławski, niegdyś potępiony przez Zebrzydowskiego, Taszycki, Otfinowski, Ossoliński, b. poseł krakowski, i wielu innych ministrów i panów małopolskich. Łaski nie wdając się w żadne dysputy z potępionym przez siebie heretykiem, wystąpił wprost z wnioskiem ułożenia publicznej konfesyi „*De Mediatore Iesu Christi Filio Dei*“, aby tą konfesyą obalić „niezwykłą heretycką doktrynę Włocha Stankara Mantuańskiego“, — „który publicznie za Nestoryuszem przeczy, jakoby Syn Boży był pośrednikiem według natury Boskiej“, twierdząc „*contra veritatem omnium scripturarum canonicarum*“, wbrew wszelkim pismom kanonicznym, — „że jest nim jedynie według natury ludzkiej“. Zdaniem Łaskiego, nauka jego „szatańska, fałszywa, heretycka i zaraźliwa“, — „mająca na celu podanie w pogardę chwały Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, Pośrednika naszego, Boga i Człowieka w jednej osobie ku wielkiej krzywdzie Kościoła Pańskiego“, powinna być bezwarunkowo potępioną. Z tego też powodu „nie godzi się odbywać publicznych dysput o tego rodzaju fanatycznym dogmacie“, bo możnaby niemi ściągnąć na siebie zarzut „zbrodni obrazy majestatu królewskiego“. Wszak „jeszcze nie został załatwiony spór z papistami“, oczekują wszyscy „cierpliwie dekretu

[1]) Sandii, Bibliotheca Antitrinitariorum, s. 184—185.

króla o zwołaniu soboru narodowego“, na którym ma się odbyć zapowiedziana z papistami publiczna dysputa... *in quo... cum papistis publice agetur...* [1]) Głos Łaskiego zdyskredytował bardzo Stankara w opinii zgromadzonych. Niemal wszyscy oświadczyli się przeciw jego nauce, książki jego publicznie spalili, uchwalili też wydać nową konfesyę o Pośredniku. W myśl tej uchwały najbliższy synod pinczowski, złożony w listopadzie t. r. poruczył opracować ją Lismaninowi pod okiem samego Łaskiego. [2]) Jednakże zwycięztwo to odniesione nad Stankarem przez Łaskiego, klątwa rzucona na niego przez synod, podobnie jak ta, którą rzucił styczniowy synod secemiński z r. 1556 na Piotra Gonezyusza „*novi ariani* i *servetiani*“, który przeczył istnienia Trójcy św. a tem samem Chrystusowi bóstwa, nie zdołała powstrzymać rozwoju aryanizmu, któremu za sprawą Gonezyusza, Statoryusza i Blandraty zaczęli hołdować tacy panowie, jak Oleśnicki lub Radziwiłł, trzymający wówczas w swym ręku ster spraw dysydenckich. To też niebawem poszło na lep aryanizmu wielu szlachty i ministrów, jak Lismanin, Lutomirski i Krowicki, którzy po śmierci Łaskiego w styczniu n. r. 1560 przerzucili się jawnie do sekty antytrynitaryuszów, powstałej na gruncie aryanskich zasad i dzieło zjednoczenia akatolików i katolików, zainicyowane przez niego, niemal zupełnie zniszczyli. Dzieło to stara się zachować towarzysz Łaskiego, Feliks Kruciger, zwołuje synody i zjazdy, wznawia unię z Braćmi Czeskimi i Luteranami, ale nie umie stworzyć jednolitego Kościoła polskiego, którýby zastąpić potrafił powszechny Kościół rzymski... [3]) Nie mógł tego dokazać nawet Modrzewski, duchowy

---

[1]) Acta Jacobi Sylvii, nr. 7, s. XVIII.—XX. (w Liubowiczu).

[2]) Tamże, s. XX., nadto list Statoryusza (Stojeńskiego) z 20-go sierpnia 1559 (Corp. Ref. XVII. 3098). Stankar przeniósł się do Dubiecka, do Stadnickiego, gdzie dwa lata przebywał, v. Fr. Stancari Apologia, 1568 r.

[3]) Łukaszewicz, Dzieje wyzn. helw. w d. M. P. s. 201, Wierzbowski, Uchańsciana V. s. 196—197. Zygmunt August miał się wyrazić do Modrzewskiego znacząco, aby pogodził dysydentów co do Trójcy św... Za wpływem Modrzewskiego, Uchański jako biskup kujawski, ogłosił 1561 r. wezwanie do teologów i wyznaczył duże premium za roztrząśnięcie różnych zdań o Trójcy św. i sprowadzenie ich do jednego, gwoli pojednania umysłów i religijnych różnic (podług Sylvae quatuor Modrzewskiego). Unia sandomierska, jaka nastąpiła między Kalwinami małopolskimi i Braćmi Czeskimi i Luteranami z Wielkopolski w 10 lat po śmierci naszego biskupa a jeszcze za życia Zygmunta Augusta, wyłączała antytrynitarzy, jako heretyków. (Konsens sandomierski 1570),

kierownik reformacyi polskiej, chociaż pozyskał dla swojej ulubionej idei zjednoczenia chrześciańskiego nawet jednego z biskupów, późniejszego prymasa Polski. Jakuba Uchańskiego.. [1])

Jeszcze gorsze stosunki panowały w obozie katolickim. Biskupi, ubezwładnieni zawieszeniem swej jurysdykcyi. skrępowani wobec dysydentów obietnicą soboru narodowego, zdobyli się tylko na to. że znowu wysłali do Rzymu Franciszka Krasińskiego, by im ztamtąd przywiózł decyzyę, czy mają wziąć udział w owym soborze wspólnie z dysydenckimi przedstawicielami stanu świeckiego. Nadto jeden z nich, właśnie biskup Uchański, na którego dysydenci najwięcej liczyli, popadł po sejmie w groźny zatarg z Pawłem IV., objąwszy na rozkaz króla, wydany podczas sejmu w pierwszych dniach lutego b. r., w fizyczne posiadanie katedrę włocławską. Wjazd do Włocławka odbył 19. czy 20. marca w otoczeniu wpływowych senatorów i licznej szlachty, odprawiał sam w katedrze wszystkie ceremonie kościelne i począł natychmiast wykonywać w swej dyecezyi jurysdykcyę biskupią. chociaż człon-

---

którzy już w roku 1562 t. j. w dwa lata po śmierci Zebrzydowskiego ukonstytuowali na synodzie piotrkowskim, wówczas odbytym, osobny Kościół polski mniejszy, Ecclesia Poloniae minor reformata, i od tego czasu zaczęli się zwać na wzór Braci Czeskich — Braćmi Polskimi. Sławną była w XVII. wieku ich akademia, założona w Rakowie r. 1602, zwana Atenami sarmackiemi.

[1]) Wierżbowski, Uchańsciana V. s. 296—300. Przybyły w parę tygodni po śmierci Zebrzydowskiego, w połowie 1560 r., nuncyusz Berard Bongiovanni, biskup Kameryński, tłumaczył sobie ten chaos, pod względem religijnym panujący między dysydentami, tem, że grasowali pośród szlachty, zmieniającej religię jedynie w tym celu — „żeby zagarnąć Kościołowi dziesięciny". — rozmaici kaznodzieje należący do rozmaitych sekt. „Każdy rozszerza swoje zdania" — pisał w liście swoim z daty: Kraków, 29. sierpnia 1560 (Rel. Nunc. Ap. T. I. s. 85—89) do kardynała Moroni — „skąd pochodzi. że gdy się zgromadzą (dysydenci). żeby się połączyć w jednej nauce, do takiej przychodzi między nimi kłótni, że ledwo się nie pobiją, poczem rozjeżdżają się w większem jeszcze rozdrażnieniu. Herezya tedy założyła w Polsce swoje siedlisko nie po miastach. nie pomiędzy chłopstwem, ale tylko między szlachtą, która mieszka po wsiach i przymusza swych poddanych do wyrzeczenia się wiary przodków..." Spostrzeżenie nuncyusza było trafne. Rzeczywiście panował między dysydentami ogromny chaos wyobrażeń religijnych, które z trudnością tylko dadzą się ująć w formy sekt znanych zagranicą, jak zwinglianizmu, kalwinizmu, luteranizmu, serwecyanizmu lub innych, — vide: protokoły synodów. zamieszczone w Łukaszewicza, Dzieje kośc. wyzn. helw.

kowie kapituły włocławskiej, zebrawszy się na nadzwyczajną sesyę 22. marca, zaprotestowali przeciw jego ingresowi i zerwali z nim wszelkie nawet prywatne stosunki. Sprawa cała przybrała charakter niezwykłego skandalu, który ogarnął trwogą o losy katolicyzmu całe wyższe duchowieństwo, biskupów i kanoników kapitulnych. Kapituła włocławska uderzyła na alarm, rozpisała naokół listy ze skargą na swego biskupa, do króla, do senatorów świeckich, do biskupów i kapituł, prosząc o radę i pomoc. Pominęła tylko nuncyusza i papieża. Bądź co bądź bowiem, skandal cały był właściwie aktem przemocy świeckiej, dokonanym przez samego króla, który uprawnił Uchańskiego do zajęcia katedry. Zaślepiona gniewem na swego biskupa kapituła, łudziła się, że przecież król naprawi złe, rozkaże Uchańskiemu powstrzymać się od wykonywania jurysdykcyi a może nawet opuścić dyecezyę włocławską, nie chciała więc przedtem tej sprawie królewskiej, jako domowej, *negotium proprium*, dawać powszechnego rozgłosu. Ale wieść o wszystkiem niebawem doszła do wiadomości nuncyusza i Rzymu.[1]) Paweł IV. osądził krok Uchańskiego za jawny bunt przeciw Stolicy Apostolskiej, rozkazał więc inkwizycyi świętej pozwać go przed swój sąd a do Zygmunta Augusta wysłał breve z żądaniem czynnego wystąpienia przeciw zbuntowanemu biskupowi. Pozew inkwizycyi przeciw Uchańskiemu, jako kacerzowi, został wydany 9. maja a breve papiezkie 17. b. m. To ostatnie podpisał a więc i ułożył wróg episkopatu polskiego, były nuncyusz Alojzy Lippomano. Tymczasem kapituła włocławska odbierała mniej lub więcej pocieszające odpowiedzi od senatorów, biskupów i kapituł. Najwięcej współczucia okazały jej te ostatnie, powodowane wspólnością interesów i znanym antagonizmem do biskupów. Zachęcały ją do oporu przeciw Uchańskiemu i do wytrwania w obronie praw swoich. Wyrażały też potrzebę wniesienia całej sprawy na synod prowincyonalny i skłonienia nuncyusza do interwencyi. Kapituła krakowska, pochwaliwszy jej uroczysty protest „przeciw gwałtownemu ingresowi i zuchwałej a zbrodniczej uzurpacyi jurysdykcyi kościelnej ze strony nominata i postulata kujawskiego“, donosiła jej zarazem, że postanowiła wysłać do króla poselstwo, które miało prosić go, aby rzeczą całą pokierował inaczej i usunął tym sposobem złe precedensa na przyszłość, ją samą zaś zachęcała, „aby intruza za prawego biskupa nigdy nie uznała“. Istotnie wy-

---

[1]) Wierzbowski, Uchańsciana II. nr. 48, s. 406—407: Instructio data Nuntio Capitulari ad Seren. Regem nr. 67, s. 429, adnotatio P.

brała była deputacyę do króla na sesyi kapitulnej dn. 14. kwietnia b. r., w skład której wchodzili archidyakon krakowski Filip Padniewski, podkanclerzy w. k., proboszcz krakowski a kustosz włocławski, Rafał Wargowski, Mateusz Drzewicki, Piotr Myszkowski i Wojciech Kijowski, prałaci i kanonicy kapitulni.[1]) Czy Zebrzydowski słał słowa współczucia kapitule włocławskiej, o tem panuje głuche milczenie. Przypuszczać jednak należy, że trzymał się w sprawie swego druha i krewniaka na uboczu, w duchu chwaląc śmiały krok jego, ile że krok ten legalizowała jawna sankcya monarsza.

Nadeszły do Polski w połowie bieżącego roku pozew rzymski, nakazujący Uchańskiemu, wbrew układów istniejących między Polską a Kuryą rzymską, stawić się w przeciągu trzech miesięcy pod karą klątwy przed urzędem inkwizytorskim w Rzymie, zaambarasował jeszcze więcej opinię publiczną, niż sam krok Uchańskiego, jakkolwiek uwłaczający w wysokim stopniu powadze papieża i szkodzący niezmiernie sprawie katolicyzmu. Zygmunt August uważał pozew ten za nieistniejący, biskupi zakłopotani postanowili zająć się sprawą swego kolegi na najbliższym synodzie, który też arcybiskup Przerębski chciał zwołać z początkiem przyszłego roku, do Łęczycy na 2. lutego 1560 r.,[2]) a więc jeszcze za życia naszego biskupa: sam zaś Uchański, obrażony i oburzony na kuryę i inkwizycyę rzymską, założył protest przeciw pozwowi, ułożywszy wspólnie z przyjacielem swoim, Andrzejem Fryczem Modrzewskim, memoryał polski pod tyt.: „Jedyna obrona prawda boża ks. I. Uchańskiego łaską bożą biskupa kujawskiego przeciw

---

[1]) Wierżbowski, Uchańsciana V., przyp. 1, s. 171. II. nr. 53, s. 413—414. Wszystkie szczegóły sprawy Uchańskiego podajemy zresztą na podstawie obszernego opowiadania autora monografii o Uchańskim, Wierżbowskiego, który je czerpie z bogatego materyału źródłowego, zebranego przez Chodyńskiego pod tyt.: Uchańsciana Wladislaviensia ab anno 1557—1562, załączonego do Tomu II. ogólnego zbioru Uchańscianów. W tym zbiorze włocławskim znajduje się też ów list kapituły włocławskiej z 14. kwietnia — jak wyżej. Imiona członków deputacyi kanonickiej podane są na podstawie Acta actorum cap. crac., przytoczonych przez autora w przypisie — jak wyżej — w tekście łacińskim.

[2]) Synod ten w terminie owym nie doszedł do skutku, dopiero w marcu 2-go nast. roku 1561, za inicyatywą przybyłego do Polski w połowie 1560 r. nowego nuncyusza Berarda. (v. Uch. IV. nr. 36, s. 225).

pozwowi księży zawieśników (kardynałów) rzymskich badaczów (inkwizytorów)", datowany w Raciążu 8. lipca 1559 r. i ogłosiwszy publiczną apelacyę od pozwu do soboru powszechnego lub narodowego. [1])

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) Uchańsciana V., przyp. 1, s. 174 i II. nr. 64, s. 114—134. Memoryał jest podzielony na ustępy z tekstu pozwu i komentarze, które je objaśniają. Autor monografii o Uchańskim słusznie dowodzi, że współautorem obrony jego mógł być Modrzewski.

Z podróży do Szwajcaryi.

(Ciąg dalszy).

Mnie specyalnie interesowało we Fryburgu muzeum szkolne, gdzie można się obznajomić z najnowszemi urządzeniami na polu szkolnictwa. Przyznam się, że więcej sobie obiecywałem; przeważna część wzorowych sprzętów, ławek, tablic, modeli, map i t. p. jeśli nie w szkole ludowej, to w każdym razie w szkole średniej u nas jest zastosowaną. Większej wartości są okazy techniczno-przemysłowe, ale te znowu we mnie, jako laiku, nie budziły takiej atrakcyi. Szwajcarskie szkolnictwo, jakkolwiek nie jest jednolicie zorganizowane, należy obok skandynawskiego, do najlepiej rozwiniętych w Europie, pomimo wielkich trudności, jakie, zwłaszcza w wykonywaniu przymusu szkolnego w okolicach górskich, stoi na przeszkodzie. Przed 25 laty 17.132 uczniów musiało więcej niż 3 km., a 3.325 nawet więcej niż 5 km. daleko wędrować do szkoły. U nas w górskich powiatach zimą maszerują dzieci nawet 10 km. do szkoły, n. p. do szkoły w Nowym Targu. Najwyżej stoi szkolnictwo w kantonach północnych i genewskim, najniżej w kantonach górskich i środkowych. Przed dziesięciu laty liczyła Szwajcarya na niecałe trzy miliony mieszkańców 4.394 szkół ludowych (Galicya na 7,300.000 mieszk. w r. 1902/3 szkół ludowych 4.210) z 9 549 klasami (G. 9.223), z 6.272 nauczycielami a 3.235 nauczycielkami (Gal. nauczycieli 4.582, nauczycielek 4.832), a z 463.023 uczniami (Gal. 749.949 na 961.871 obowiąza-

nych do uczęszczania). Posiadała dalej Szwajcarya 670 szkółek freblowskich z 30.817 dziećmi; 460 szkół wydziałowych. (Gal. 62) z 1.528 nauczycielami, 447 nauczycielkami, 30.132 uczniami i uczennicami: dalej 90 szkół średnich, z tego 22 gimnazyów z 1.112 nauczycielami i 147 nauczycielkami a 15.215 uczniami. (Gal 49 szkół średnich, 29.090 uczniów, 1.190 nauczycieli). Obok tego posiada Szwajcarya 37 seminaryów dla nauczycieli, z tych 8 prywatnych. (Gal. seminaryów 13, prywatnych 2). Dobrowolnych szkół uzupełniających 498 z 15.926 uczniami, przymusowych szkół uzupełniających 1.435 z 22.323 uczniami, 175 szkół techniczno-przemysłowych, 9 subwencyonowanych przez rząd związkowy szkół handlowych, 8 niesubwencyonowanych, 4 szkoły rolnicze, 3 szkoły uprawy wina, 4 szkoły mleczarstwa. Nauczyciele ludowi otrzymują pensye przeciętnie 1.100 franków, wydziałowi 2.831 franków, a szkół średnich 2.948 fr. rocznie. Uniwersytetów liczy Szwajcarya 7: w Bazylei, Bernie, Fryburgu, Genewie, Lausannie, Neuenburgu i Zürychu, i politechnikę w Zürychu. Przed dziesięciu laty było na tych akademiach 3.272 słuchaczy, z tego 1.408 obcokrajowców a między nimi 341 słuchaczek. We Fryburgu Uniwersytet otwarto w r. 1889, obecnie przygotowuje się otwarcie ostatniego wydziału medycznego. Wykłada na Uniwersytecie około 80 profesorów i docentów, między nimi trzech Polaków, a słuchaczy jest 500, między nimi kilkadziesiąt słuchaczek. Założone przez Kanizyusza r. 1580 Collegium św. Michała, mieści w sobie gimnazyum i liceum. W kościele pojezuickim spoczywają zwłoki świątobliwego Jezuity Piotra de Hundt, zwanego Kanizyuszem.

W pojezuickiem kolegium znajduje się dziś wydział teologiczny i prawniczy; wydział filozoficzno-techniczno-przyrodniczy mieści się w wielkim gmachu na przedmieściu Perolles. Konwikt dla teologów, Canisianum, zbudowany przez Jezuitów około roku 1825, gdzie także jest pensyonat dla obcych, przypomina wielką postać dziejową z XVI. w. Widzenia godnym jest dalej ratusz z r. 1505, przerobiony z dawnego grodziszcza średniowiecznych duków, z rodziny Zähringów, z gotycką wieżą zegarową. Przed ratuszem widać starą wypróchniałą lipę o 4½ m. obwodu, z konarami podpartymi przez kamienne słupy. Z nią łączy się podanie, że tutaj padł nieżywy młody Fryburczyk, przynoszący wieść o zwycięstwie Szwajcarów nad Karolem Śmiałym. Z gałązki lipowej, którą ten herold zwycięztwa niósł z sobą, miała wyrosnąć owa lipa historyczna, *si fabula vera est.* Podanie to przypomina podobne o heroldzie zwycięztwa z pod Maratonu i zdaje się być

produktem patryotycznej fantazyi zarówno Ateńczyków, jak i Szwajcarów. Na lewo od historycznej a raczej niehistorycznej lipy stoi posąg Ojca Franciszkanina, Grzegorza Girarda, zasłużonego około szkolnictwa ludowego we fryburskim kantonie. Był on naśladowcą Pestalozziego, a działając w Bernie wraz z innowiercami, przesiąkł do pewnego stopnia ich racyonalizmem. Kilkadziesiąt kroków dalej znajduje się katedralny kościół św. Mikołaja, w gotyckim stylu, z wieżą mającą 76 m. wysokości. W oknach chóru są witraże, wykonane według planów naszego Mehoffera. Jeden z najciekawszych przedstawia zwycięzców z pod Murten nad Karolem Śmiałym, składających sztandary u stóp Niepokalanej Dziewicy.

Do ciekawości Fryburga należą dwa mosty, wiszące przez rzekę Saanę albo Sarinę. Tuż za katedrą wiedzie t. zw. Grand Pont suspendu, wybudowany r. 1834 przez inżyniera Chaleya. Ma 247 m. długości, 6 m. szerokości, a wisi 51 m. nad rzeką na sześciu 374 m. długich linach, złożonych z 1.056 drutów. Spoczywa na dwóch filarach a jest 128 ankrami do głazów przymocowany. Przeszedłszy mostem na prawy wyniosły brzeg, ma się prześliczny widok na miasto z 60 m. w dolinie rzeki się znajdujące. Droga, wiodąca w górę rzeki, prowadzi do drugiego podobnego mostu wiszącego, t. zw. Pont de Gotteron, wybudowanego w 1840 r., długiego 227 m., a wiszącego nad doliną Gotteronu 75 m., to jest w wysokości szczytu wieży maryackiej.

Dnia 10. lipca, w niedzielę rano, wiózł nas pociąg do Berna przez dolinę Saany sławnym wiaduktem Grandfey, 370 m. długim, a 80 m. nad rzeką wiszącym mostem kolejowym. Za pięć kwadransów stanęliśmy w Bernie. Do oglądania miasta mieliśmy 7 godzin czasu. Od r. 1840 stolica polityczna Szwajcaryi, Bern, liczy około 70 tysięcy mieszkańców, leży w kolanie rzeki Aary, w wysokości 536 m. ponad poziomem morza, a 30—40 m. ponad poziomem rzeki. Ze wszystkich miast szwajcarskich, Bern posiada może najwięcej cech charakterystycznych, czy w domach wyposażonych podsieniami, czy w oryginalnych studniach, ozdobionych ciekawemi rzeźbami z XVI wieku, że wymienimy tylko Kindlifresserbrunnen, Dudelsackpfeiferbrunnen, Simsonbrunnen i t. d., czy w starych gotyckich basztach i wieżycach z ciekawymi zegarami, czy w niezliczonej ilości rzeźbionych niedźwiedzi, tworzących herb miasta, czy w oknach wystawowych, czy na pomnikach, jak n. p. Zahringerbrunnen.

Z dworca udaliśmy się do kościoła katolickiego św. Trójcy w stylu bazylikowym, niesłychanie czystego i schludnego. Nabo-

zeństwo się właśnie kończyło, ilość wiernych wcale była pokaźna, co tem bardziej zadziwiało, o ile katolików w Bernie stosunkowo nie wiele więcej nad 5 tysięcy. Najciekawszem jest, że katolicy berneńscy od czasów walki kulturnej z r. 1873, nie mają biskupa, po złożeniu biskupa bazylejskiego z urzędu na synodzie dyecezyalnym w Solurze. Na wzór protestancki nadzoruje stosunki katolickie komisya kościelna, złożona z 12-tu członków. Natomiast starokatolicy są uprzywilejowani, mają swego biskupa narodowego szwajcarskiego i osobny wydział teologiczny na Uniwersytecie berneńskim, liczącym obecnie około 1.500 słuchaczy. Naprzeciw gotyckiego ratusza z początku XV. w. z prześlicznymi schodami zewnętrznymi, mają starokatolicy swój wcale piękny kościół. Wstąpiliśmy do niego i mimowoli wyrwało się z duszy westchnienie *„ut sint unum“* i chyba długie życie tej suchotniczej sekcie się nie patrzy, liczącej w Niemczech około 35.000 wyznawców, a w Szwajcaryi około 70.000. Wychodząc z kościoła, spostrzegliśmy jakąś dziwacznie przybraną procesyę z chorągwiami. W pierwszej chwili myślało się, że to jakiś „Verein“, czy jakiś oddział strażacko-wojskowy. Z gazet dowiedzieliśmy się niebawem, że to oddział armii zbawienia Wiliama Bootha, który także w bezbożnym Bernie, mimo chwilowych zakazów ze strony rządu, na czele swych żołnierzy chrystusowych, szturmuje twierdzę szatana za pomocą kazań, śpiewów, pochodów i ataków dziennikarskich. Jak jednak indyferentyzm i racyonalizm przejadł się samym protestantom, tego dowodzi, że ten cudaczny misyonarz angielski jest generałem armii, liczącej około 12.000 oficerów a przeszło pół miliona wojowników obu płci, którzy w blisko 5.000 stacyach i 30 językach pracują i nawracają wśród szumowin społecznych.

Kościół katolicki św. Trójcy znajduje się przy t. zw. Kleine Schaure, zkąd widok prześliczny na Alpy berneńskie. Ztąd kilkadziesiąt kroków znajduje się wspaniały Bundespalast, parlament szwajcarski, w którym dwa razy do roku po 2—4 tygodni obraduje zgromadzenie związkowe, złożone z rady narodowej *(Nationalrath)* i kantonów *(Ständerath)*. Pierwszą składa około 150 posłów, wybieranych w powszechnem, tajnem głosowaniu, i to na każde 20.000 osób jeden; radę stanową tworzy 44 przedstawicieli, wysyłanych przez pojedyńcze kantony i to po dwóch z jednego kantonu. Nowe prawa jednak, przez rady obie uchwalone, muszą być zatwierdzone przez plebiscyt ludowy, jeżeli tego domaga się przynajmniej 30.000 wyborców lub 8 kantonów. Są to t. zw. referenda ludowe. W pałacu związkowym ma swe biura

także Rada związkowa, złożona z 7 członków z prezydentem na czele, wybieranym na 3 lata, i wiceprezydentem, wybieranym tylko na rok. Gmach parlamentu złożony z 3-ch części, jest nietylko wspaniałem dziełem architektury z przepysznymi posągami, statuami, ale dominując nad Aarą 40 m. poniżej się pieniącą z widokiem na Alpy berneńskie, cudowne ma wprost położenie. Szczególniej pięknym jest widok z Klosterhofu opodal przy bibliotece uniwersyteckiej się znajdującego. Widać ztąd rozłożyste wirchy Wetterhornu i turnie trójkątne Schreckhornu, podobne do naszej Kończystej; nad wszystkimi zaś szczytami króluje iglica Finsteraarhornu 4.275 m. wysoka, a dalej ku zachodowi wychylają się śnieżyste kołpaki Eigeru, Mnicha i Jungfrau. Do stóp ich lodem krytych mamy nazajutrz jechać i ochłodzić się po szalonych upałach, dokuczających nam na brukach miast szwajcarskich. Krużgankami podsieni dochodzimy na plac katedralny i stoimy przed późno-gotycką katedrą, zwaną tutaj „Münster“. Plac kolosalny zdobi spiżowy posąg konny Rudolfa z Erlachu, mieszczańskiego pogromcy rycerstwa sabaudzkiego i burgundzkiego z r. 1339. Katedra w r. 1421 rozpoczęta, wykończona dopiero przed 10-ciu laty, odznacza się bogatą ornamentyką kamienną, pilastrami, płaskorzeźbą ciekawą przy portalu zachodnim, przedstawiającą sąd ostateczny, głupie i mądre panny. Potężna a piękna wieżyca, przypominająca nieco wieżę katedry św. Szczepana we Wiedniu, obecnie dopiero wykończona, wznosi się na 100 m. wysoko. Wnętrze tej świątyni jest mniej ciekawem. Uderzył nas tylko fakt, że zakrystyanina, który nam otwierał katedrę w niedzielę, zastałem w kruchcie kościelnej palącego papierosa, zupełnie jak w przedpokoju jakiegoś muzeum! Od południa otacza katedrę dawny cmentarz, dziś zamieniony na planty, ze spiżowym pomnikiem założyciela miasta Berna w r. 1191., Bertolda V. z domu Zähringen.

W Bernie być a nie widzieć żywych herbów miasta, tj. niedźwiedzi utrzymywanych w zagłębieniu w kształcie rondla, znaczy być w Rzymie, a papieża nie widzieć. Przechodzimy mostem t. zw. Nydeckbrücke do końcowej stacyi tramwayu z kioskami rozmaitymi. Mnóstwo osób, otaczających balustradę jamy niedźwiedzia, wskazuje nam, jaką sympatyą cieszą się tutaj te, kto wie czy berneńskie, misie. A było ich kilkanaście sztuk dobrze odżywionych; starsze w jednej, młodsze w drugiej odgrodzonej połowie. Baseny z wodą, drzewa z konarami, czystość w rondlu, świadczą, że postarano się o wszelkie możliwe wygody dla herbowego

zwierzęcia. Figle pocieszne, którymi się ustawicznie przed publicznością popisują stare i młode bartniki, dowodzą, jak dobrze się im dzieje, odkąd Renatus, książę Lotaryński, sprzymierzeniec Berneńczyków i Szwajcarów przeciwko Karolowi Śmiałemu, z wdzięczności za odzyskanie swego księstwa z pomocą wojowników z niedźwiedziego miasta, zapisał fundusz dla Berna na utrzymywanie żywych niedźwiedzi.

Mostem Nydeck wracaliśmy główną tętnicą Berna, t. zw. Kramgasse, przez najstarszą zachodnią bramę miasta, znajdującą się dziś w środku samego śródmieścia. Stara baszta gotycka, zw. Zeitglockenturm, przypomina wiek XV. i posiada ciekawy zegar z kogutem piejącym i gromadą niedźwiedzi, co godzinę odprawiających korowód około siedzącej figury.

Korzystamy z otwarcia berneńskiego muzeum historycznego w niedzielę. Spieszymy doń przez sławny most Kirchenfeldbrücke, 229 m. długi, spoczywający na dwóch łukach o rozpięciu 75 m., wybudowany przed 20-tu coś laty kosztem półtora miliona franków. Na piętrze muzeum znajdują się starożytności szwajcarskie, niewątpliwie ciekawe dla Szwajcarów, dla nas nie zawierające nic nadzwyczajnego. Ciekawe natomiast były na dole umieszczone zbiory etnograficzne z różnych części świata; zwłaszcza kolekcya bogata przedmiotów japońskich i chińskich w chwili krwawego dramatu dziejowego na dalekim Wschodzie budziła żywy interes. Z muzeum wracając w stronę południową, dostajemy się przez most Kornhausbrücke na sławne wzgórze Schänzli z ogrodem i restauracyą, zkąd cudny widok na cały Bern i dalekie olbrzymy alpejskie. Jest muzyka, jest nieoceniony cień w czasie gorąca 30° R., jest obsługa w strojach narodowych szwajcarskich. Czarne staniczki srebrnemi obwódkami obszyte, przyczem z tyłu i z przodu staniczka zwieszający się srebrny łańcuszek, robi żałobne wrażenie i smutne wobec stroju takiej n. p. druchny z Bronowic lub Balic pod Krakowem.

Drogą wzdłuż prawego brzegu Aary dochodzimy zboczami wzgórz do mostu kolejowego, którym wracamy do miasta na wzgórze „Wielki szaniec“ *(Grosse Schanze)* pokryte plantacyami, dominujące nad stacyą kolejową z jednej strony, nad Uniwersytetem i obserwatoryum astronomicznem z drugiej. Od wschodu przed nami widać w kolanie Aary ściśnięte stare miasto, od zachodu zaś wachlarzowato rozłożyły się przedmieścia nowożytne. Już jednak szósta godzina wybiła, trzeba szybko zbiedz z góry do pociągu, który nas wiezie do Interlaken, szwajcarskiego Zakopanego.

II.

Interlaken. — Na lodowcu Grundelwald. — U stóp Jungfrau. — Lautenbrunn. — Mürzen. — Z Interlaken do Lucerny. — Jezioro 4-ch Kantonów. — Rigi-Kulm. — Einsiedeln. — Rapperswyl. — Rzut oka na stosunki ekonomiczno-społeczne. — Jezioro Bodeńskie.

Jedziemy do Thun godzinę koleją, tu przesiadamy się na statek. Stare zamczysko Zähringów Kyburg, sterczące nad miastem, kąpiące się w zachodniego słońca złotych blaskach, śle nam ostatnie pożegnanie z krainy pagórków; przed nami, zwłaszcza po prawej stronie, piętrzą się olbrzymy górskie w białych kołpakach, jakieś zarumienione u góry, w ametystowej szacie u dołu. Mrok wieczorny coraz bardziej zalega dolinę jezierną i czarnym całunem pokrywa błękitną toń jeziora. Noc cicha, pogodna, z zaiskrzonem niebem, rozkoszna i mroczna, skrzydła swe rozpostarła po górach, po stokach, po falach, po siołach. Tylko w dali na wschodzie błyskają światła coraz to liczniejsze: to Interlaken. Interlaken jest Zakopanem szwajcarskiem, przypomina jednak porządkiem, pięknością budowli i wystaw sklepowych raczej Szmeks. Tylko aleje, złożone z orzechów włoskich i platanów, pouczają, że znajdujemy się znacznie niżej od Podtatrzańskiej równiny, bo 580 m. nad poziom morza i znacznie bardziej na południe. Interlaken, to stacya klimatyczna całego świata cywilizowanego, zwłaszcza angielskiego, amerykańskiego i niemieckiego. Srodowiskiem dla turystów z całego świata jest aleja orzechowa zw. Hohenweg. Wspaniałe pałace, hotele, składy urządzone z największym komfortem, karoce z przepysznymi rumakami, automobile, rowery, dowodzą, że znajdujemy się w otoczeniu milionerów, jeżeli nie miliarderów, wśród arystokracyi i giełdziarzy całego świata. Szukamy kościoła w starożytnym klasztorze z XII. w., gdzie się odprawiają nabożeństwa angielskie, szkockie, francusko-kalwińskie i wreszcie katolickie. Był to poniedziałek. Msza św. katolicka odprawiała się w bocznej kaplicy.

O pół do dziewiatej rano wiozła nas kolej górska do stóp Jungfrau. W jasnych wagonach jechał tłum turystów z całego świata. Niedaleko siedziała jakaś młoda, niebrzydka Miss z Ameryki, przy nas zajął miejsce przewodnik szwajcarski, z którym ugodziliśmy się za 7 franków, że nas zaprowadzi na lodowiec Grundelwaldski.

Kolej, wspinając się powoli lesistą doliną Czarnej Lutschiny, dotarła to przez tunele, to galerye kryte, chroniące tor od lawin, to zębatemi szynami, za dwie godziny do stacyi Gründelwald. Wysiadamy tutaj z przewodnikiem, mijamy wioskę Gründelwald albo Gidesdorf w wysokości naszych Kalatówek, główny punkt zborny taterników alpejskich. Od południa sterczą olbrzymie szczyty Eigeru, Mettenbergu i Czarnego Wetterhornu. Między Mettenbergiem a Eigerem wydobywa się lodowiec Dolnego Gründelwaldu, między Mettenbergiem a Wetterhornem lodowiec Górnego Gründelwaldu. Ostatni jest celem naszej wycieczki. Spieszymy się już to drogą, już to ścieżynami po przez pola i hale, „przez jasne łąki do lodowej groty". Wśród nich rozrzucone są górskie proste chaty, obrosłe klonami i jasionami, przypominające prymitywnością mieszkania naszych gazdów. Gorąco praży nas niemiłosiernie mimo wysokości 1.100 m. Na szczęście Szwajcarowie umieją na każdym kroku zaradzić wszelkim potrzebom turysty, czyniąc zarazem ulgę jego kieszeni. W małej chacie znajduje się wino znakomite szwajcarskie, jest woda. Wchłaniamy to wszystko pospiesznie, bo za trzy godziny trzeba być z powrotem, by nie przepasować pociągu; płacimy nasze franki. Wśród potoków górskich, zagajeń, wodospadów docieramy do hotelu Wetterhorn na wysokości 1.232 m., gdzie zamawiamy obiad. Ztąd za kwadrans dostajemy się do białych źródlisk Czarnej Lutschiny, a niebawem do kończyn lodowca Gründelwaldu. „Tam zima siedzi. tam dzioby potoków i gardła rzek widziałem pijące z jej gniazda". Lodowe filary, bryły i ściany wśród upału 30° R. są bądźcobądź ciekawem zjawiskiem. Co chwila z powodu tajania pęka jakiś złom lodowy i z hukiem stacza się w dolinę. Spryt szwajcarski wykuł w lodowcu długi korytarz, dokąd każdy turysta-filister nie omieszka wejść, płacąc jednego franka za ciepły płaszcz. Łamanie się promieni słońca w błękitnym lodzie robi fantastyczne wrażenie. Chcąc wrażeń turystycznych na lodowcu użyć, udajemy się z naszym przewodnikiem na prawo po przez lody do szałasu Milchbad. Powiązani sznurami pniemy się po lodowcu schodami wykutymi w lodzie przez przewodnika i w pół godziny jesteśmy w elegancko urządzonem schronisku, gdzie jakaś nienadobna ale uprzejma Szwajcarka sprzedaje trunki i widokówki za niemożliwe ceny. Widok na urwiska lodowca, olbrzymie filary, bloki, jest niezwykły. Czas jednak nagli, wracamy lewem zboczem lodowca do hotelu Wetterhorn, gdzie za 4 franki dostajemy przygotowany obiad,

poczem ścieżyną przez pola, łąki i hale wracamy do Gründelwaldu.

O godzinie 1$^{1}/_{2}$ siadamy do wagonu przewiewnego i stromymi zakosami jedziemy wzdłuż stoków Schreckhornu, Finsterarrhornu, Eigeru i Mnicha do stacyi Scheidegg na wysokości 2064 m. Po drodze zanikają drzewa i krzewy, a dalej rumiane róże alpejskie zwiastowały nam już wyższe regiony. Wznieśliśmy się „nad sosnowe bory, tam gdzie trzód jęczą dzwony, gdzie się w tęczowe ubiera kolory Jungfrau i słońce złote ma pod sobą, gdzie we mgle jeleń przelatuje skory, gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą rzucają cienie na leżące chmury". Stacya Scheidegg ze swymi kilku hotelami i szałasami, leży już wśród hal alpejskich, zalegających kopiaste wzgórza. Od zielonego kobierca hal odbijały prześlicznie kwiaty alpejskie, przedewszystkiem kępy większe i mniejsze róż alpejskich, dalej żółte astry, dzwonki i t. d. Szukając najwyższej kopuły dla adobycia sobie najrozleglejszego widoku dla trójcy wirchów Eigeru, Mnicha i Jungfrau, uzbieraliśmy potężne bukiety tych cudnych górskich ziół jako trofea podróży. Widoki, jakie z kopic halnych Scheideggu ujrzeliśmy, należą do tych, jakie nigdy nie zatrą się w pamięci. Te biało-błękitną szatą śniegów i lodów pokryte wirchy spiczastego Eigeru i Mnicha z kopicą i stożkowatej Jungfrau, srebrnej piramidy, lśniącej się promieniami słońca Silberhornu, pierwszy raz w życiu widziane, imponujące wprost robią wrażenie. Od biało-błękitnej szaty śniegów i lodów odbijają jaskrawo czarne ściany urwisk. Jedno z nich na 1000 m. przynajmniej wysokie, nosi u górnej krawędzi spiętrzone bryły lodowe. Wśród skwaru letniego skrzepłe lody pękają i staczają się z hukiem i trzaskiem, podobnym do grzmotu, w bezdenną przepaść, ilustrując fantastyczną rzeczywistością słowa poety: *„Es donnern die Höhen, es zittert der Steg"*. Wśród tych czarodziejskich tworów przyrody, jakżeż niepozornem wydaje się dzieło rąk ludzkich: tor kolejowy na szczyt Jungfrau! Widzieliśmy stacyę Eigergletscher na wysokości 2.326 m., dalsze stacye Rothstock na 2.521 i Eigerwand na wysokości 2.718 m. zakrywały nam tunele. Dziś pono tor kolejowy dotarł już do stacyi Eismeer na wysokości 3.160 m., ztąd za jakie dziesięć lat mają niezmordowani inżynierowie szwajcarscy wykończyć tor aż na szczyt Jungfrau. „Wiele jest dziwów na świecie, człowiek największy dziw pono przecie", należy powtórzyć z Sofoklesem, patrząc na tę uporną walkę sztuki z przyrodą. A jednak to pogwałcenie dziewiczej natury przez zuchwałość filistra-inżyniera, budzi słuszną odrazę w prawdziwych

alpinistach, pragnących podziwiać pierwotną przyrodę bez banalnego obramowania hoteli kilkupiętrowych, bez stacyj kolejowych, bez takich upiększeń na odwiecznych lodowcach i morenach, jak kości ze szynki, próżne flaszki i papiery zatłuszczone. Z czcicieli prawdziwego piękna przyrody, powstało niedawno dlatego ku ochronie piękności Alp: *„Ligue pour la Conservation de la Suisse pittoresque“*, werbujące członków zwłaszcza w Anglii. Liga walczy przeciwko nowym liniom kolejowym, a zwłaszcza usiłuje przeszkodzić budowie podobnych kolej, jak na Jungfrau, którą już dziś nazywają „Scherzbahn“. Nie omieszkano tego oburzenia z powodu skażenia piękności przyrody wyrazić żartobliwie nawet na widokówkach; na jednej z nich przemienione w ludzi olbrzymów szczyty Eigeru, Mnicha i Jungfrau, przebite koleją żelazną, łzy ronią pełni przerażenia i grozy, a pod nimi napis: *„Die Bahn am Ziel! Drei Opfer des Fortschrittes“*. Czują ten gwałt Szwajcarzy, ale zdaje się im, że dla wygody turystów, muszą poświęcić piękność okolicy. Romantyzm musi ustąpić interesowi i całkiem naturalnie. Romantyków pełnych zaparcia się i hartu jest coraz mniej, filistrów i wygodnisiów coraz więcej. Dlaczego więc obrachowany spekulant szwajcarski nie ma z gnuśnej wygody bogatych filistrów ciągnąć grubych zysków?

Z Scheidegg spuszczamy się po urwistych zboczach Wengernalp i Wengeru w dolinę cienistą Lauterbrunnu. Gości było tyle w tym zakątku, iż w hotelu nie było miejsca, zanocowaliśmy więc w świeżem prywatnem mieszkaniu. Ciemne skały z jednej i z drugiej strony, szum strumyków kołyszący nas do snu, przypominał nam przed wieczorem Poronin u stóp Łosiówek, dolinę Kościeliską lub dolinę Ojcowa. Z tem wszystkiem następne rano przekonało nas, że świat to całkiem inny i lud odmienny. Dolina Lauterbrunnen po obu stronach Białej Lutschiny jest zaledwie $1^1/_2$ km. szeroka, otoczona z obu stron ścianami na 300 m. i wyżej sterczącemi. Słońce tu latem zaziera nie prędzej jak o 7-ej rano, zimą dopiero o 11-tej. W dolinie znajduje się 2 km. długa wioska szwajcarska z domkami niekiedy jeszcze prymitywnymi. Przy drodze pełno okien wystawowych z przedmiotami rzeźby szwajcarskiej, lub stoliki, przy których dziewczęta robią i sprzedają turystom koronki szwajcarskie.

Ku południowi wyzierają lodowce Jungfrau i Breithornu. Główną atrakcyą są sławne wodospady, wśród których najbliższy Staubbach jest najgłośniejszy. Potok górski spada z zachodniej ściany z wysokości 300 m., wiatr często wodę zamienia w pył,

zanim na ziemię spadnie; wśród promieni słońca woda tęczowemi lśni się barwy. Kto wie, czy nie tu zrodziły się cudowne pienia autora „W Szwajcaryi“:

„W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie!
Widzisz te tęcze na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic ją nie zburzy i nic ją nie zmiesza.
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie na skraju doliny.
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.“

Z Lauterbrunnen udajemy się koleją druciano-linową na zbocze zachodnie do Grütschalp. Pociąg z trzech wozów złożony idzie pod kątem 55° 1.200 m. wprost w górę przez złomy, hale i lasy. Dreszcz przechodzi przez skórę, patrząc na przepaść, nad którą się wznosimy i na drucianą linę, po której jeden pociąg podchodzi w górę, a drugi się spuszcza. Ach, gdyby ta lina pękła... strach pomyśleć! Jesteśmy jednak już na 1.500 m. wznoszącej się hali górskiej, porosłej świerkami, elektryczna kolejka, na którą się przesiadamy, wiezie nas 30 min. do Mürren. Kilkanaście hoteli z niesłychanym komfortem urządzonych i szereg pięknych domków szwajcarskich na górskiej terasie 1.642 m. wysokiej, tworzy tę miejscowość. Nie brak tam i lawn-tennisa, eleganckich ekwipaży, wygodnych promenad z ławeczkami co kilkadziesiąt kroków, oranżeryi, psów bernardyńskich i małych pony szkockich. To, co właśnie do Mürren ściąga rzesze Yankesów i Anglików i robi tę miejscowość jedną z najgłośniejszych w Berneńskich turniach, jest niezrównana panorama na Alpy Berneńskie. Od Wetterhornu na wschodzie i Hundshornu na zachodzie widać szereg najpotężniejszych turni. Eiger, Mnich, Jungfrau, z cudownym Silberhornem u góry i Czarnym Mnichem u dołu, znajdują się przed nami. W głębi wychylają się zlodowaciałe grzbiety Gletscherhornu i Ebenefluh, białe garby Mittagshornu, podobne do Trzech Granatów wirchy Grosshornu, potężna kopuła Breithornu i coraz niższe urwiska Tschingelgratu. W promieniach słońca gra kolorów śnieżystych całunów u góry, błękitnawych lodowców, czarnych ścian, zielonych hal i ametystowych lasów,

rzeczywiście dziwne ukojenie przynosi starganej newrozą lub pracą duszy ludzkiej: szkoda tylko, że te koszarowe hotele, ten gwar międzynarodowej zbieraniny podróżniczej jest kakofonią w tej gigantycznej harmonii dzikiej pierwotności pranatury.

Z Mürren tą samą drogą dojeżdżamy do Lautterbrunnen. a ztąd doliną złączonych Lutschin do Interlaken, gdzie wsiadamy w samo południe na okręt, mający nas przewieźć przez jezioro Brienckie 14 km. do Brienz. Jasno-zielona woda jeziora wśród lesistych gór ametystowych. z białemi willami i pałacykami pnącymi się po stokach wybrzeży, z ruinami zamczysk starych i kościołów. z kilkunastu siołami, rozrzuconemi na wybrzeżu. wywierają dziwny urok. Na przylądku jeziernym jednak, uwieńczonym sadami, krzewami, topolami włoskiemi, wita nas wysoki hełm wieżycy kościoła brienckiego. Parowiec staje na wybrzeżu. opodal jest dworzec kolejowy i pociąg mający nas zawieźć do Alpnach Stadt nad jeziorem Czterech Kantonów. Jedziemy urwistemi zboczami doliny Hasli w obliczu Wetterhornu. Finsteraarhornu, Schreckhornu. wschodnich kończyn Alp Berneńskich na prawo aż do Meiringen, ztąd tunelami, wąskiemi dolinami przez przełęcz Brünig wzdłuż prawego brzegu czarnego jeziora Sarnen. Widać większe lub mniejsze wioski. stare domki szwajcarskie i kościelne wieże; górale z Unterwalden zajęci sianożęciem, przypominają nam naszych zakopiańskich gazdów. Za jeziorem górskie ściany znowu się nieco rozstępują a pociąg staje przed jeziorem Czterech Kantonów. Szybko przenosimy podróżne walizki na statek, mający nas przewieźć do Lucerny. Jedziemy najpierw południową odnogą jeziora Czterech Kantonów t. zw. jeziorem Alpnachskiem. zamkniętem prawie, skoro pod Stanstadt most łączy zwężone brzegi jeziora. Okręt przechodzi przez ruchomy otwór mostu. a przed nami roztwiera się najpiękniejsze jezioro szwajcarskie w fantastycznem wprost obramowaniu. Jest to połączenie czterech jezior, małego Alpnachskiego, właściwego Vierwaldstadskiego, w kształcie krzyża, Buochskiego, ciągnącego się w kierunku równoleżnikowym i Urneńskiego w kierunku południkowym. Jezioro obejmuje przestrzeń 113 km.², jest długie 38 km. a szerokie 3 km.; największa głębia wynosi 214 m.. blisko 3 razy tyle, co głębia naszego Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem. Bajeczne piękno przyrody stało się widownią najpiękniejszej bajki historycznej o Tellu. która w przedstawieniu największego poetycznego idealisty, Szyllera, niemało blasku i uroku dodała jezioru. Na lewo od nas sterczy szczyt Piłata, partnera naszej Babiej Góry. Z Piłatem

oczywiście góra ta tak mało ma związku, jak nasze *Credo* chrześcijańskie. Zdaje się, że nazwa góry pochodzi jeszcze z rzymskich czasów i brzmiała „pileatus“ tj. zakapturzony i zamglony. Najwyższy szczyt szwajcarski na zachodzie, stając na zawadzie prądom powietrznym, wiejącym od oceanu, przybiera czepiec mgły częściej jeszcze jak nasza Babia góra i jak ona jest zwiastunem pogody lub niepogody dla Szwajcaryi. Dziś na szczyt 2.070 m. wysoki wiedzie kolej, współzawodniczka dla sławnej kolei na Rigikulm, który na północy się wychyla. Na prawo wznosi się do wysokości naszej Gubałówki Bürgenstock z hotelami, kolejami i wszelkiego rodzaju wygodami. Parowiec wysadziwszy tutaj kilku gości, zwraca się na północny zachód ku Luzernie. Mijamy zatokę północną zw. jeziorem Küssnachskiem; około przylądka Meggenhorn, zdobnego w białą willę, zbliżamy się do wysepki Altstadt, pokrytej drzewami z ruinami starożytnych magazynów. Na zachodzie witają nas wysmukłe hełmy wieżowe kościoła św. Leodogara z XVI. w., siedziby ongi nuncyusza papieskiego, zastępującego arcybiskupa szwajcarskiego nad pięciu biskupstwami w Szwajcaryi. Od r. 1873 urząd ten nie istnieje, a biskupi podlegają bezpośrednio Stolicy apostolskiej.

Luzerna liczy dziś około 40.000 mieszkańców, leży nad wyjściem Reuss z jeziora. Amfiteatralnie otoczona wzgórzami, za któremi wznoszą się średniowieczne mury z basztami w obliczu śnieżystych Alp Berneńskich, Piłata i Rigi nad jeziorem tak uroczem i romantycznem, przy kolei wiodącej przez tunel św. Gotharda do Włoch, bez fabryk i większego przemysłu, stała się stolica Czterech Kantonów główną stacyą wszystkich szwajcarskich turystów. Już przed 10-tu laty 66 hoteli i pensyonatów, mieszczących 4.600 łóżek, gościło od maja do października 101.654 obcych gości. Około 15 eleganckich parowców utrzymuje komunikacyę po jeziorze. Jak wielki zaś jest ruch na niem, tego dowodem fakt, że już w r. 1895 przewoziły wspomniane parowce około 1,700.000 pasażerów. Na szmaragdowo-zielonej rzece Reuss mamy takie same stare i nowe długie mosty jak w Zürychu i Genewie. Z najdłuższego Seebrücke (152 m.), cudowny widok na jezioro i góry. Korzystając z wieczornej godziny, spieszymy do sławnego Gletschergarten, oświetlonego elektrycznością. W r. 1885 odsłonięto tu ciekawe twory erozyjne z epoki lodowców, a mianowicie kotły erozyjne, wydrążone potężnymi głazami, które w ruch młynkowy wprowadzała tytaniczna siła olbrzymich wodospadów, spływających z lodowców. Kotłów tych jest jedenaście; jeden

z nich ma $9^1/_2$ m. głębokości, 8 m. przekroju, a jeden głaz mielący w nim, waży 110 centnarów. W górnej części ogrodu znajduje się ciekawe muzeum starożytności z epoki palowej i przyrodniczy zbiór obecnej fauny szwajcarskiej. Przy wejściu do ogrodu uderza wspaniały pomnik głośnego Lwa z Luzerny. Thorwaldzenowskiej kompozycyi, na pamiątkę poległej w r. 1794 10. sierpnia gwardyi szwajcarskiej nieszczęśliwego Ludwika XVI. w obronie Tuileryi. Przemocy wściekłych band sansculottów uległo wtedy 26 oficerów i 760 żołnierzy. Umierający lew przebity dzidą, chroniący swą łapą burbońskie lilie, wykuty w ścianie skalnej ogrodu, symbolizuje bohaterską odwagę ostatnich jurgeltników szwajcarskich. w służbie francuskiej. Dziś Szwajcarzy rzeczywiści strzegą jeszcze, jako żołnierze, dworu papieskiego, a Szwajcara z nazwiska mamy w każdym hotelu i ważniejszym urzędzie, jako nazwę, przypominającą nam przeżyte stosunki dawnej Europy. Dawniej, kiedy się to opłacało sowicie, wystawiali Szwajcarzy swą skórę, krew i życie obcym potęgom na targ. Dziś interes ten ani Szwajcarom, ani Szkotom, ani Skandynawczykom już się nie opłaca: nie dziw więc, że europejscy jurgeltnicy z dawnych wieków są dziś najżarliwszymi zwolennikami pokoju i dzieł pokojowych tak samo, jak Anglicy, dzierżący przez trzy wieki rentowny monopol handlu niewolnikami, stali się najzawziętszymi przeciwnikami niewolnictwa. To też chyba nie przypadek zdarzył, że na wolnej i spokojnej szwajcarskiej ziemi stworzył głośne Muzeum pokoju i wojny, najżarliwszy poplecznik idei pokojowej, Warszawianin, Jan Bloch, autor głośnego dzieła o wojnie. Najkrwawsza i najstraszliwsza w dziejach wojna, w dwa lata po śmierci autora, miała wykazać, że pomysły warszawskiego filantropa były tylko złudzeniami, że wojna mimo najgroźniejszych wynalazków, mimo olbrzymich kosztów i strat, jest nietylko możliwa, ale może trwać okropne lata całe. Mimo to trudno nie oddać hołdu mężowi, który poświęcił całą swych myśli przędzę, ogromne sumy i ofiary dla idei, nie z tego świata, idei wieczystego pokoju międzynarodowego.

Obok dworca, tuż przy wypływie rzeki Reuss z jeziora na lewym jej brzegu, wita przechodnia każdego średniowieczna budowa muzeum Blocha. Wszystko, co tylko odnosi się do wojskowości, strategii, marynarki wojennej, broń od najdawniejszych czasów po dziś dzień, od maczug troglodytów do najnowszych wynalazków, służących do masowych mordów ludzi, wszystko to nagromadzone w tem muzeum, ma wykazać słuszność słów niemieckiego poety:

„Verderblich ist den Leu zu wecken,
Gefährlich ist des Tigers Zahn:
Doch das schrecklichste der Schrecken,
Das ist der Mensch in seinem Wahn.“

Nietylko broń wszelaka tu nagromadzona, ale szereg plastycznych przedstawień dioram najgłośniejszych bitew, od czasów assyryjskich podbojów, a kończąc na wojnie angielskiej z Burami, ilustruje nam wybornie tę nieboską komedyę dziejów ludzkości, złożoną z łez, krwi i błota. Wobec tych strasznych zbiorów i okazów zbrodni i obłędu ludzkiego, tem jaśniej występują postacie i zasługi tych, którzy nad pacyfikacyą krwiożerczych instynktów ludzkości pracują. Sala mieszcząca wszystko, co się odnosi do prawa międzynarodowego i pokoju, a zatem teksty konferencyi genewskiej z 22. sierpnia 1864, haagskiej konferencyi pokojowej, dalej ograniczenie okrucieństw wojennych, portrety najwybitniejszych rzeczników pokoju, takich Grotiuszów, Pennów, Kantów, Blochów i Suttnerowych, przynosi pewną ulgę duszy ludzkiej, świadcząc, że idea boska w zbiorowej duszy ludzkiej, mimo całej ohydy i grozy, tryumfującej czy w życiu jednostek, czy w życiu ludzkości, zwierzęcych instynktów, nie da się zniszczyć, nie da się wykorzenić. Ziemia mogłaby być rajem, gdyby ludzkość chciała tylko słuchać przykazania: „Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego“. Tylko wtedy, pokój Boży, pokój Chrystusowy zawisłby archanielskiemi skrzydły nad obecnem piekłem ziemskiem i przygotowałby królestwo Boże, królestwo pokoju i miłości na ziemi. Niestety, do ukorzenia się przed Bogiem i do pokoju braterskiego jakże daleko dzisiejszej ludzkości, i dlatego muzea w rodzaju Blocha będą tylko świadkami zbrodni ludzkiej, ludzkości nie naprawią. Tylko w Chrystusie jest pokój i szczęście dla ludzkości, ale od Chrystusa dzisiejsza ludzkość stroni, a więc się kąsać dalej będzie, czy zachłannym hakatyzmem wszechniemieckim, czy nienasyconym dżingoizmem angielskim, czy brutalnym panmoskwicyzmem, czy łakomym amerykanizmem. Im subtelniejszą stanie się myśl ludzka, tem straszniejsze środki wynajdzie do gubienia swych braci w obłędzie swych zbrodni, mimo Blochów i jego muzeów. Smutne to i bolesne, lecz niezawodne i prawdziwe. Oto myśli, jakie dławiły, jak zmora, mój umysł przy oglądaniu Muzeum Pokoju i Wojny w Luzernie.

Idziemy na drugi brzeg jeziora, uwieńczonego zielonemi promenadami. Włoskie owoce, jak figi, morele, sprzedawane przez

przekupniów, świadczą o wpływie Włoch, o wpływie tunelu św. Gotharda na Luzernę. Świadczy o tem również Camposanto dookoła wyniosłej katedry św. Leodogara, na wzgórzu nadjeziernem sterczącej. Starem miastem z wąskiemi ulicami około ratusza ze sztandarami zdobytymi dawno, bardzo dawno lub ofiarowanymi Luzernie, spieszymy prawym brzegiem rzeki Reuss na wzgórze Rütsch. Koleją linowo-drucianą dostajemy się na 525 m. wysokie wzgórze, sterczące ponad miastem. Widok ztąd na szczyty Rigi, Piłata i t. d., na modre fale jeziora, na miasto, jest wspaniały. Zapisuje się on na zawsze w pamięci turysty, który bodaj czy tu drugi raz w życiu zajrzy, a musi spieszyć, by jak najwięcej piękna z tej szwajcarskiej ziemi w duszy swej zapisać jako kordyał pokrzepiający żywota.

Za kilka kwadransów byliśmy już na pokładzie parowca, wiozącego nas kilka godzin po falach cudnego jeziora Czterech Kantonów. Celem naszej podróży jest Altdorf a następnie Witman, zkąd kolej zawiezie nas na głośny Rigikulm. „Wód zwierciadła, gór widziadła — Ziemia, niebo jeden kraj! — Rzeczywistość się pomału — W świat przemienia ideału“, można z poetą powtórzyć, patrząc na te cuda. Parowiec prujący modro-ciemne fale, zbliżał się od jednego brzegu do drugiego, wysadzając lub przyjmując pasażerów po stacyach nadjeziernych, jak Burgenstock, Weggis, Witznau, Buochs, Beckenried, Gersau, Brunnen, Sisikon, Flülelen. Na Bürgenstocku, pokrytym ametystowym płaszczem lasów, a sterczącym 700 m. ponad poziom jeziora, widnieją kilkupiętrowe białe wille i hotele; do nich wiodą koleje zębate. Widać, że wielu turystów tu bawi, skoro spora ilość gości tu wsiada i wysiada. Z przeciwnego brzegu patrzy na nas Rigikulm, zapraszając na nocleg. Ciesniną między przylądkiem Bürgenstocku, t. zw. Untere Nase, a wschodnim Obere Nase, odnogą przedgórza Rigi wyjeżdżamy do Buochskiego jeziora między kantonami Schwyz a Niddemwald. Zdala na wschodzie, za doliną Muotty, błękitnieją rozłożyste czuby Schwyzkie. W uroczym Brunnen zatrzymuje się okręt nieco dłużej. Przypatrujemy się jakiejś bandzie Sawojardów czy Włochów z wielbłądem, małpami i t. d. Z Brunnen zwraca się okręt w kierunku południowym do jeziora Urneńskiego. Na lewo z wysokości 720 m. pozdrawiają nas z zielonych parków olbrzymie hotele Axensteinu, oblane potokami światła popołudniowego. Tam, gdzie jezioro Buochskie łączy się z Urneńskiem, przy wysokim zakręcie na zachodnim przylądku Sonnenburgu, sterczy

z jeziora 25 m. wysoka skała, zwana Mythenstein, z napisem: *„Dem Sänger Tells" Fr. Schiller die Urkantone 1859.*

„Dem Mythenstein grad' über
Liegt eine Matte heimlich im Gehölz.
Das Rütli heisst sie bei dem Volk der Hirten,
Weil dort die Waldung ausgereutet wird."

Tak pisze ulubiony poeta Szwajcarów, Schiller, o legendowej kolebce wolności szwajcarskiej, gdzie 8. listopada 1307 r. mieli przedstawiciele Uri, Schwyz i Unterwalden zaprzysiądz związek, celem obrony przed zachłannością habsburską. Dziś miejsce to jest własnością związku szwajcarskiego, otoczone jest parkiem, a dom drewniany o architekturze staroszwajcarskiej, przenosi nas myślą w czasy romantyczne bohaterów szwajcarskich, niestety, przeważnie legendarnych. Romantyczna była zawsze i pozostanie nią arena tych legendarnych górali-bohaterów, w rzeczywistości nie wiele chyba się różniących od naszych bohaterów góralskich z przed 40-tu laty. Ta tylko różnica, że szwajcarskich chłopów wyidealizowała fantazya humanistów XVI. w., a wyapoteozowała wprost czarująca poezya najidealniejszego wieszcza; nasi górale znaleźli piewców swych w realistach XX. w., jak Orkan lub Tetmajer. Przyroda, ten Boży twór, jest urocza i czarodziejska, tak samo nad Morskiem Okiem, jak nad Urnersee; ludzie zaś niewątpliwie u nas są więcej barbarzyńscy, mniej kulturni, lecz czy moralnie gorsi, czy więcej chciwi od właścicieli hoteli szwajcarskich? To tylko pewna, że widok na spadziste wschodnie brzegi jeziora, na słynną Axenstrasse, wykutą w skale kolej św. Gotharda, należy do najpiękniejszych w Szwajcaryi. Pociąg przejeżdżający właśnie to wyżej, to niżej się wznosił, to zapadał się w otchłanie tunelu, to znów się z nich wychylał.

Parowiec zbliżył się do stacyi Tellskapelle, gdzie na pamiątkę rzekomego Tella w r. 1388 wybudowano kapliczkę. W piątek po Wniebowstąpieniu odbywa się tutaj doroczny odpust, na który ludność nadjezierna gromadzi się w łodziach świątecznie ustrojonych.

„Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali...
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie
I od skał cienia...

A pod tym progiem fala tak się toczy
I tak swywolna i taka ruchoma,
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednem światła objąwszy nas kołem,
Zmięszała niby anioła z aniołem...“

Tak pisze Juliusz o Tella kaplicy, o sobie i swojem kochaniu.

Zbliżamy się do Flueken: po obu stronach zwężają się zbocza zielono-błękitne nadjeziernych pasm górskich. Przed nami sterczą lodowym kapturem pokryte szczyty Uri Rotstocku, a przed nim na końcu jeziora mała dolina rzeki Reuss z miejscowością Flueken i Altdorf na południu. Smukła wieżyca kościółka z Flueken z daleka wita podróżnego. Wysiadamy tu przy stacyi kolejowej. Południowe owoce, sprzedawane tu po niskich cenach, mówią, że o kilkanaście kilometrów jest słoneczna Italia za tunelem św. Gotharda. Blisko kościoła zameczek Rudenz należał niegdyś do panów na Attinghausen, nielicznych przyjaciół szlacheckich wolnego ludu szwajcarskiego. Dziś po panach i szlachcie w Szwajcaryi, nie zostało ani śladu. Za to Szwajcarya posiada arystokracyę pieniężną. Czy lepszą od naszej rodowej? Wolno wątpić.

Kwadrans później parowiec wracał z powrotem do Luzerny. Na okręcie pasażerowie przedstawiali prawdziwy internacyonał. Słychać było mowę angielską, francuską, niemiecką, rossyjską, włoską, a z pewnością i inne, których się nie słyszało i nie zrozumiało. Lornetkami śledziliśmy raz po raz najwspanialsze widoki wśród uroczego kalejdoskopu górsko-jeziernego. Coraz ciekawiej spozierała na szkła nasze gromadka chłopaczków, zapewne studentów z Luzerny. Widocznie pragnęła korzystać z lornetek, tylko nie śmiała życzenia wyrazić. Uczyniliśmy zadość cichemu pragnieniu pacholąt, które z wielką radością i głośnym rozhoworem rozkoszowały się szkłami. Nastąpiło zbliżenie się dosyć łatwe pomiędzy małym światkiem uczniowskim a wychowawcą nauczycielem i przyznać muszę, poznanie niesłychanie instruktywne; dowiedziałem się, że w dniu tym przystępowali malcy do Sakramentu bierzmowania, udzielonego im przez biskupa w kościele św. Leodogara, że rodzice pragnąc dzień ten utrwalić swej dziatwie w pamięci, nietylko obdarowali ją zegarkami z łańcuszkami, ale pozwolili im zrobić wycieczkę po jeziorze. I jestem przekonany, że w młodocianej duszy tych szwajcarskich pacholąt, dzień bierzmowania zapisze się niezatartemi głoskami przez całe życie, jako

dzień szczęścia. radości i rozkoszy. Dozwolona rozkosz i radość zmysłowa, stanie się dla nich symbolem rozkoszy i karmy duchowej, jaka ze św. Sakramentu spływa na człowieka i wyda w przyszłości. jako najjaśniejsze wspomnienie młodzieńcze, owoc miłości i przywiązania ku Bogu i Kościołowi. A kiedy z ust chłopczyny, syna jakiegoś urzędnika komunalnego z Luzerny, dowiedziałem się, że wraz z rodzicami chodzi co sobotę do spowiedzi i komunii św., wtedy naprawdę zaimponowało mi to szwajcarskie wychowanie katolickie. przypominające życie chrześcijan z pierwszych trzech wieków. A u nas wśród demokratycznej inteligencyi? Lepiej nie odpowiadać na to pytanie.

Dojeżdżamy do Vitruan, żegnamy się serdecznie z naszymi młodzieńczymi towarzyszami podróży, by wsiąść o godzinie 7-mej wieczorem na pociąg wiozący nas na Rigikulm. Kolej zębata, po pochyłości 25° wynoszącej, biegnie 7 km. około urwisk, wodospadów, przez tunele, ponad przepaściami. coraz wyżej i wyżej, od jeziora 441 m. ponad poziom morza, aż na szczyt Rigikulm, 1.800 m. się wznoszący. Wagony przejrzyste umożliwiają widok na wszystkie strony. zwłaszcza na jezioro coraz bardziej pogrążające się w głębinie i na wychylające się coraz to nowe, coraz to bardziej śnieżyste gór czuby. Po drodze stajemy w szeregu stacyj: najgłośniejsza jest Rigi Kaltbad z olbrzymimi hotelami. Rigi Staffelhöhe i Rigikulm.

„Jezioro czarne, głazy. śniegi, chmury.
Girlandy z orłów na błękitnym łodzie,
Słońce czerwone, jak krew, o zachodzie...“

można było powtórzyć za autorem „W Szwajcaryi“.

Już mrok zapadał, kiedy stanęliśmy u szczytu i ulokowali nasze pakunki w hotelu; spieszymy przy zmroku oglądać widok z Rigi. Była godzina dziewiąta. Dookoła góry widać było stalowe ciemne szyby jeziora Czterech Kantonów, Zugskiego, Liwerzkiego itd. Góry spowite już były w cienie nocne, tylko na szczytach widniały jaśniejsze smugi. Na niebios sklepieniu migotały dziwnie jasne gwiazdy; w dolinie nad jeziorem odpowiadały im światła z Luzerny, Küssnach i t. d. Chłód przejmujący i głód spędził nas ze szczytu do hotelu, naprawdę gościnnego, urządzonego z wielkim komfortem, a przytem stosunkowo niezbyt drogiego. Dzieje osad ludzkich na szczytach Rigi są niesłychanie instruktywne dla nas, gdyż to samo, co dziś widzimy w naszych Tatrach przy Morskiem

Oku czy na Świnnicy, to samo widzimy akurat przed stu laty w Szwajcaryi. Najstarszą znaną osadą na Rigi, był klasztorek Panny Maryi Śnieżnej, założony r. 1688 przez jakiegoś mieszczucha z Art, miejscowości u stóp północnych Rigi położonej. Klosterli, tak zwie się w gwarze szwajcarskiej ów klasztorek, kilkaset metrów poniżej szczytu na wysokości 1319 m. zbudowany, stał się rychło miejscem odpustowem dla górali. Przeszło 44.000 pątników przybywało tu corocznie około r. 1783; nic dziw, że przy klasztorku powstały gospody dla podróżnych.

Dr. Kazimierz Krotoski.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

ADWENT.[1]

STUDYUM ETNOGRAFICZNE.

U ludu *jandwient* lub *jandwięnt,* w Stalach (powiat tarnobrzeski) *jendwiet.*

Święta Katarzyna[2]) *adwent zawiązuje*
a święty Jędrzej[3]) *jej poprawuje.* (Pysznica w powiecie niskim).

Święta Katarzyna zawiązuje adwent łyczkiem
a święty Andrzej rzemyczkiem. (Gorzyce w powiecie tarnobrzeskim).

Jest u włościan w Pysznicy zwyczaj, że ostatnie dwa dni przed niedzielą adwentową *rachują* już do adwentu i w ten piątek i sobotę zachowują post ścisły, jakoby w adwencie. Ponieważ św. Katarzyna przypada nieraz w piątek lub w sobotę przed niedzielą adwentową, przeto powiadają, że św. Katarzyna adwent zawiązuje czyli rozpoczyna.

---

[1]) Niniejsze studyum oparte jest na własnych, dotąd nigdzie niedrukowanych materyałach etnograficznych, zebranych w powiatach nowosądeckim, brzeskim, tarnobrzeskim i niskim w Galicyi.
[2]) 25. listopada.
[3]) 30. listopada.

Po czwartkowym *kiermaszu*,[1]) pijatyce *na umór*, ostatniej zabawie przed Bożem Narodzeniem, ściska serce chłopa adwentowy smutek, jak zimowe okowy ziemię. Spieszy codziennie rano, gdy jeszcze ciemno, do świątyni Pańskiej *na roraty*. Na to miłe nabożeństwo idzie rad a w kościele pełną piersią śpiewa:

„*Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą...*"

4-go grudnia św. Barbary.

Na świętą Barbarę
gotuj babo parę. (Gorzyce j. w.).

6-go grudnia św. Mikołaja.

Święty Mikołáj,
przywozu na rzyce nie wołáj! (Gorzyce j. w.).

To przysłowie znaczy, że mróz ściął rzekę, można po lodzie przejść i przejechać, nie trzeba zatem, jak zwykle, wołać na przewoźników:

„*Dawáj przywozu! dawáj promu! dawáj krypy!*"[2])

13-go grudnia św. Łucyi.

W dziej święty Łucyji
nie choc[3]) *ni do kogo, bo nimás racyji!* (Stale j. w.).

„To tes w ten dziej nicht ni do kogo nie idzie, bo go uwázajo za carownika. Nawet zeby u nájlepsego somsiada albo u przyjáciela, to nic nie dostenie, ani nie pozycy, bo to jest dziej

---

[1]) Przed niedzielą adwentową, zwykle we czwartek odprawiają kiermasz, a czwartek ten nazywa się tłustym. Na prządkach chłopcy sprawiają muzykę i przynoszą wódkę, a dziewczęta przyczyniają się grajcaramy lub przekąską, jako to pierogiem, serkiem, który matusia dała albo który córka matce zawczasu ze skrzynki wyciągnęła. Dziś tylko młodzież myśli o kiermaszu i cieszy się na niego, starzy prawie już o nim zapomnieli, lecz dawniej dzień ten obchodzono lepiej, niż teraz zapusty, cały dzień pito po karczmach i domach, zapraszano się i goszczono wzajemnie, aby przed adwentem ostatni raz się ucieszyć i zabawić. (Pysznica).

[2]) Wszystkie wsie nad Sanem, w powiecie tarnobrzeskim.

[3]) Nie chodź.

od staréch dáwnéch lát zákázeny. Ten dziej jest bardzo skutecny tylko carownicom.“ (Stale j. w.).

„*We świeto Łucyjo* kuzdy gospodárz musi cało noc niespać, tylko pilnuje swego domu, azeby mu nicht z *obyściá* nic nie porwáł. Nájwiecy szczeze (strzeże), zeby mu chto ze stodoły albo ze stajni *kármy* od bydła albo od koni nie porwáł, boby to bydło lub konie posło na *márnine,* bo jus nie chce nic jeść, ani pić, tylko uschnie na tarnine i jus sie mu nie odmieni, jas za rok.“ (Stale).

Świętá Łuca
dnia przyrzucá. (Gorzyce).

Dnia przybywa.

„Od święte Łucyje odkładá sie w kázdy dzień rano abo w południe drzewo po jednem drewienku, takie, co sie osmędzi, jaz do Bozego Narodzeniá. W Boze Narodzenie má sie zápálić w południe wszyćkie te drzewa na obiád to má przyjś w te casy carownica do tego domu bo ją ten ogień piece. To ona sie załgá co pozycyć, a kto mądry, to ją má wybić i wyglądać, zeby co nie porwała. Jak ji záden nic nie pożycy. to ona takiego sposobu suká, zeby *duśnie* (koniecznie) co wzięła, bele co, abo trzáske. abo polepe, abo kawáłcek słomy, abo kawáłek gnoju s tego domu, bo ją w te casy przestanie piéc. A jak wto mądry, co ji nic nie dá wziąś, to ona tak krzycy, *sfijá sie* (zwija się).“ (Zawada pod Nowym Sączem). [1])

Po święty Łuce
baba smat w stawie nie płuce. (Wola golego w powiecie tarnobrzeskim).

W Zawadzie pod Nowym Sączem powiadają, że „od święte Łucyje jaz do Bozego Narodzeniá *stoji na miar,* to jes dnie są jednakie, dnia nie przybywá, ani nie ubywá“. Wróżą też z tych dwunastu dni na dwanaście miesięcy przyszłego roku t. z. jakie są poszczególne dni jeden po drugim, takie będą poszczególne miesiące następnego roku.

---

[1]) Por. Dr. Karol Mátyás: Nasze sioło Kraków 1889. str. 48.

21-go grudnia św. Tomasza apostoła.

Święty Toma,
kuzdy w doma. (Stale).

Święty Toma
siedzi w doma.

albo:

Na święty Toma
trzeba siedzieć w doma — i jość kiełbase. (Gorzyce).

Jest to i prawda, wteneczas każdy siedzi w domu, bo jest największa zima. W ten dzień najwięcej idą do miasta po rozmaite *sprawonki na godne święta* (święta B. Narodzenia), które za cztery dni przypadają. (Stale).

Święty Toma,
kukla w doma, (Stale).

Każdy na święta musi sobie kupić w święty Tomasz *kuklą*. Kupują mąkę na placki, kawałek mięsa, *śłuki* (słoniny), grochu, śliwek, gruszek suszonych na *pośnik* (obiad wigilijny). Musi sobie też każdy przynieść na *wilijo* litrę wódki, bo chociaż mu się w roku *nie trafi* kieliszka wódki wypić, najwięcej takiemu, co jest łakomy i żal mu centa na wódkę stracić, to *we święty Tome* musi litrę wódki kupić i trzyma ją *do wilije.*

Ztąd, gdy komu zaszkodzi jeden kieliszek wódki, że się nim upije, powiadają: „Ty roeny pijáku! nie piłeś wódki moze jesce na wilijo i dziś-ześ sie opiół na jednem kielisku“. (Stale).

Czas adwentowy smutny, we wsi cisza, chłop siedzi w domu, nawet do karczmy mało zagląda, wieczorami jednak pod słomianą strzechą bywa rojno, gwarno, wesoło. Gdy śnieg białą płachtą pokryje ziemię, gdy *białe kanarki*[1]) poczną latać wolno w powietrzu, gdy okna chat wiejskich rozbłysną jak gwiazdki, warto wejść pod słomianą strzechę i popatrzeć, co się tam dzieje.

Na izbie rozsiadły się *baby,* dziewki i zamężne niewiasty, przed każdą *prząślica z kądzielą,* przędą żwawo i śpiewają *światowe pieśnie.*

---

[1]) Białe płatki śniegu (powszechnie).

W ciemnem lesie ptasek śpiéwa,
a dziewcyna tráwke zbiérá,
nazbiérała, nawiązała,
na Jasiejka zawołała
„Poć my,[1]) Jasiu, tráwke zadáj,
ale do mnie nic nie gádáj!“
„Cekaj, Kasiu, dwie godziny,
opowiem ci ja nowiny“.
Kasia nowiny słysała,
padła na ziemie, zemdlała.
„Cicho Kasiu! nie myśl sobie,
bo gorzy mnie, niźli tobie:
gorzy mnie jest s twem wiáneckiem,
niźli tobie z dziéciotecklem,
bo jak przyjdzie na sod Boski,
zadrzo pod koleny noski
zadrzy pod koleny ciało,
bo ja cie, Jasiu, lubiała“. (Stale).

To znów jedna z prządek opowiada ciekawą *gádke*, a drugie słuchają. Cisza, jakby mak siał.

Dlaczego nie prządają w sobotę?

„Powiadają ludzie, że w sobotę *nie prządają* dlatego, że to wieczór każdy się krząta i gotuje na niedzielę, mówią też niektórzy, że ten wieczór poświęcony jest nieszporom Matki Boskiej, ale od starych ludzi słyszałam taką gadkę, którą wam powtórzę:

Było dwoje ludzi młodych, którzy się w sobie zakochali i nie mogli się rozstać w żaden sposób. Widać, że do ożenienia mieli jakieś ważne przeszkody, kiedy się węzłem małżeńskim nie połączyli. A do tego nieszczęście chciało nabawić tę dziewoję jeszcze większym kłopotem i żalem. Powołał Bóg tego lubego ze świata doczesnego na wieki. Dziewoja załamując ręce, lamentuje i narzeka, że się pozbyła swego ulubieńca, i nie odstępuje od niego ani na krok, że straciła tego, który jej był najmilszym w życiu i osładzał jej chwile. Jej serce nie może go opuścić nawet po za grobem, lecz wyciska jej łzy i żale nieukojone. Wreszcie poszła na cmentarz na mogiłę swego ulubieńca i zawodziła ogromne żale z życzeniem, że i ona chciała umrzeć na swego ulubieńca grobie. W tem po niejakiej chwili dał się jej usłyszeć głos z grobu:

[1]) Pójdź mi.

— Kasiu moja luba! płaczesz, narzekasz i tęsknisz za mną... chodź do mnie, me kochanie, tu jest i dla ciebie miejsce, kiedy sobie tak życzysz..

Kasia przelękła się, zobaczywszy jamę głęboką, wprost otwartą do grobu zmarłego ulubieńca swego, który ją zapraszał, zaczęła ze strachu uciekać. Umarły Jasio zerwał się z grobu i dalej za Kasią goni, Kasia ucieka i ucieka, ile jej sił *starcza,* wprost do pobliskiej wioski; Jasio pędzi za nią, Kasia nie czeka na ulubieńca, ale zadyszana dobiega do pobliskiej wioski, która była niedaleko cmentarza. Zobaczyła chatę, w której światło *bliszczało,* i dalejże do niej, zatrzasnęła drewnianą klamkę. W tem drzwi od sieni się otworzyły, których nie zaparła za sobą, zatrzasnęła, drugie drzwi do izby otwarły się, Kasia wpada do *wnątrza* izby. Ale jakoś drzwi, chociaż przestraszona, zaparła do izby. Dobiega Jasio zmarły, wpada do sieni i bije do drzwi.

— Otwórz Kasiu! przecież tyś moje kochanie!

Kasia teraz widzi w Jasiu jakiegoś ogromnego stracha, drzwi mu nie otwiera. Ale także z drugiej strony ma jeszcze większego stracha, bo w tej chacie leżał w trumnie umarły, a to światło nad nim się świeciło, nie było tam prócz niej żywego ducha. Szczęściem było dla niej, że miała przy sobie różaniec czyli koronkę, którą położyła na trumnie umarłego, leżącego w tej chacie. W tem sama drżała ze strachu, jakiego się nabawiła z powodu swego ulubionego nieboszczyka Jasia. Jasio zmarły bije dalej we drzwi i *konecznie* chce się z Kasią widzieć, kiedy dopiero co przed chwilą ona nad jego mogiłą zawodziła o niego rozpaczliwe żale.

Jednak jakoś drzwi się nie otwarły. Jasio umarły woła donośnym głosem na tego zmarłego, co leżał w tej chacie w trumnie:

— Bracie otwórz, otwórz co prędzej, bo mam wielką potrzebę! wstań z trumny!

Z trumny przytkanej wiekiem dał się *usłyszyć* głos:

— Nie mogę żadną miarą tego uczynić, bo mnie przywalili kamieniami, mój bracie, i wstać nie mogę.

Jasio umarły nie przestaje wołać dalej na rozmaite przedmioty nieruchome, które znajdowały się naówczas w tej to chacie. Żaden przedmiot nie zechciał być posłuszny na głos wołania Jasia zmarłego, żeby mu drzwi do wejścia otworzył. Kiedy kolejno Jasio zmarły na wszystkie przedmioty po nazwisku wywoływał i pobudzał do otwarcia owych drzwi, w samym ostatku trafił Ja-

sio zmarły na *prządzionka,* które wisiały na *poledni,* zawoławszy *lekiem głosem:*"

Otwórzcie my[1]) *drzwi, prządzionka,*
coście przędzione w sobotę po zachodzie słonka!

Na głos Jasia zmarłego *prządzionka* z *polidni* skoczyły i drzwi otwierać miały. Lecz w tym razie kogut zapiał *„kukuryku",* bo już godzina *popółnocna* nadeszła. I drzwi się nie otworzyły. Koguci, jak się tu pokazuje, byli Kasi wybawcami, że te widma pośmiertne na głos koguta zmuszone były w tejże chwili ustąpić.

Jakie wielkie ta Kasia przebyła strachy w owej chwili, dziwićby się wypadało, że istota żeńska miała na tyle przytomności, że nie padła śmierci ofiarą w tej chwili, tylko jeszcze została przy życiu. A to ja spotkało z wielkiego kochania i miłości własnej. *Nadwyrężyła* sobie z tego powodu zdrowie, opanowała ją *nieuliczalna* choroba, która ją trzeciego dnia zabiła na wieki i tem wcześniej do Jasia jej ulubieńca zaprowadziła.

Ztąd jest przysłowie:

Nieszczęśliwe te prządzionka,
co przędzione po zachodzie słonka.

I odtąd sobotni wieczór został wolny od przędzenia."

(Wola rzeczycka w powiecie tarnobrzeskim).

Znowu druga prządka zaczyna opowiadać ucieszną powiastkę, a raczej anegdotę, przerywaną cienkim i grubym śmiechem, bo i chłopaków — jako ony, gdzie dziewki, zawsze być muszą — naschodziło się dosyć i bokami posiadali na ławach. Uważają oni dobrze, która dziewka *skorniejsza do przęślice* i której *motka* prędzej przybywa a kądzieli ubywa. Śmiech, gwar, wesoło.

„Jak to jeden kawalir wyładował[2]) *dziewkę, co się chwaliła, że prędko przędzie."*

Jedna dziewka na prządkach chwaliła się, że za dobe *trzy rozdziałków wyprzędła.* Jeden kawalir chciał się dowiedzieć, czy to prawda, czy ona przędzie po trzy rozdziałki na dobę, wpadł

---

[1]) mi.
[2]) wykierował.

na pomysł i nieznacznie włożył jej za kądziel swoje malutkie klucze. Myśli sobie: „Będę ja tu widział, jak długo tam te klucze będą leżały“. Dziewocha *niewiadoma o niczem,* nie domyśla się, że w jej kądzieli jest coś takiego, co ją wydać może.

Tymczasem te klucze zostawały w tej kądzieli sześćdziesiąt ośm godzin. Przychodzi ta dziewocha wieczór z tą samą kądzielą i na odchodnem mówi, że *trzecia dzieś.* Wtedy ów kawaler sięgnął ręką za kądziel i dobył swoich kluczy. I odzywa się:

— A prawda, że *trzecia dzieś!*... a cóż tu moje klucze robią, które tu włożyłem za twoją kądziel, *dziesiaj* temu minęło już trzy dni, jak one tam spokojnie mieszkały. Z tego widać, że ta twoja chwała na wierzch wylazła. Powiadają ludzie, że „chwała u drzwi stała, a prawda nic nie mówiła, bo się jej bała“.

„Szydło z wora zawsze na wierzch wylozie“, „oliwa na wierzch wypłynie“ — kończyła historyjkę prządka — wiele i bardzo wiele jest na świecie takich rzeczy, które „po *nijakiem czasie na jaw zostaną wydane, chociaż wprzódy pod pozorem zostają niby zakryte“.* (Wola rzeczycka (j. w.).

Jeszcze ta prządka nie skończyła opowiadać, a już druga *ma na języku* nową zabawną historyę, którą następnie opowiadać będzie:

„Jak to pewna gospodyni bardzo licho uwijała się z przędzeniem, a przéd swoim chłopem chciała uchodzić za pilną i biegłą we wszelkich robotach, a przedewszystkiem w przędzeniu“.

„Zawsze ta baba mawiała do chłopa swego, że codziennie takich zwyczajnych prządzionek zdejmuje z motowidła trzy. Chłop na tem wiele się nie rozumiał, zawsze jej wierzył, że to może być prawda, bo on jako gospodarz więcej zawsze zajęcia miewał poza domem. Kiedy nadszedł czas, że kobiety prządzionka zaczynały oddawać do tkacza, i nasza gosposia także nie chce być ostatnia, przyniosła wielką *poliwanicę* [1]) i niby nakładła w nią wiele prządzionek, *przelewając* je wrzącym ługiem, ażeby *zdatniejsze* były do tkackiej roboty i piękniejsze wydały płótno. Gospodyni ta zostawiła swego chłopa na ten czas w domu i kazała mu prządzionka *poliwać.*

---

[1]) Głęboki cebrzyk na trzech nogach z dziurką we dnie. W Pniowie w powiecie tarnobrzeskim nazywają ten cebrzyk zolnikiem (zolić = polewać).

Gospodarz przyjął zlecenie od swej żony i zabrał się do *poliwania prządzionek,* a nadto i wiele jeszcze innych robót gospodyni pozostawiła do załatwienia. Gospodarz krzątał się, jak mógł, ale zawsze chłop niema takiej zręczności do kobiecych robót. Gospodyni ponakazywała „to to, to owo masz robić!", zostawiła mu i kury w domu, żeby doglądał, nie wypuszczał na podwórze, bo miały wtedy jaja, które zwykły były znosić zawsze w izbie. Gospodarz przyjął na siebie to całe zlecenie i chodził od jednej do drugiej roboty *jak oszolomiały.* Gospodyni ta chcąc korzystać z oszukaństwa, nakładła w *poliwanicę* samych tylko *kądzieli,* zaledwie jedną tylko małą *warsztwę* na wierzchu położyła z kilku prządzionek, *reszte* wszystko do samego dna była kądziel nieprzędziona. A nadto nakazała mu surowo, żeby pilnował dobrze, bo gdyby tylko kura przeskoczyła przez poliwanicę, to niechybnie może sie z prządzionek nazad zrobić kądziel i znowuby ją suszyć, czyścić i na nowo prząść potrzeba.

— Pilnujże więc, stary, dobrze, żeby kura nie przeskoczyła, *to ci napowiadam!* Ale kur także z izby nie wypuszczaj, bo mają prawie wszystkie jaja, bozem je macała!

Gospodarz nic nie wiedział o oszukaństwie, jakie baba *wyrychtowała* na chłopa, mówi:

— Będę, będę pilnował i doglądał wszystkiego, ale ty, stara, długo się tam nie zatrzymuj, nie czekaj wieczora, bo ja sobie nie dam sam rady w domu ze wszystkiem.

Żona:

— No, no, nie będę się tam bawić długo, przyjdę wieczorem do domu, bo przecież i małe dziecko bez piersi będzie *medytowało* i naprzykrzało sie, a wiem o tem, że jeszcze i inne roboty domowe na mnie będą czekać.

Babsko tylko tak obgadała wszystkie sprawy domowe niby pod pozorem, że taka to *niskrzętna* codziennie w domu. Chłopina jak chłopina łatwowierny myślał, że to wszystko w dobrej intencyi tak zostało rozporządzone. Chciał temu wszystkiemu zadośćuczynić, jak miał nakazane, ale temu wszystkiemu podołać nie mógł, chodził od roboty jednej do drugiej i każdą spełniał *według mniemanej dyspuzycyi.* Ale zawsze nie mógł tak dopilnować, jak było nakazane, a najbardziej te prządzionka były pilnowane, żeby kura nie przeskoczyła.

Ale niestety nieborak nie dopilnował, kura przez nie przeskoczyła... Zatrwożył sie wielce chłopina i myśli sobie:

— *Odze*[1]) *teraz!* jak tu moja stara przyjdzie do domu a prządzionkaby się z tego powodu zamieniły na kądziel, toby tu człowiek miał dopiero się za swoje.

Lecz po niejakiej chwili myśli sobie:

— A bo to może być prawda, żeby się tak stać mogło? Może to i nieprawda, to tylko takie bajki są zmyślone.

Chłopina teraz myśli sobie dwojako, ale nie był ani przedtem, ani potem ciekawy, jakie to te prządzionka tu się *poliwają w poliwanicy*. A że babsko wieczór *nierychło* powróciła, załatwiwszy swe potrzeby, do domu, zaczęła zaraz krzywo patrzeć na chłopa i wymyślać mu, że robota ta, którą ona mu zostawiła, niezrobiona tak, jakby powinna, ale wszystko tak w niełądzie, pospychane *ni świecie jak*.

— Ciekawam, jakżeś ty tu *odpoliwał* prządzionka...

Dobywa je w poliwanicy i zaczyna gwałtu krzyczeć:

— Ty psie! hyclu! nic dobrego! to takżeś wypoliwał przędze, będziesz chodził w koszulach ty, ja i nasze dzieci. A żeby cię wielkie nieszczęście spotkało, co po świecie chodzi! Ty drwalu! nie mówiłam ci, pilnuj, żeby kura nie przeskoczyła przez poliwanicę! Zjadłeś starego djabła! Oj zawsze ja mam z ciebie taką podpórkę. Gdzie tylko czego nie dojrzę i nie przypilnuję, to wszystko w niwecz się obraca.

Chłopina nic nie mówi, zrobił się taki niby potulny, bo myśli sobie, że to jego wina. *Aże* wreszcie zaczyna i on:

— „Ty psiakrew!“ — bo nie może dłużej wytrzymać takiej bury, jaką mu żona *nasadziła*. „A czemużeś tych kur, do sto tysięcy djabłów! gdzieindziej z jajami nie umieściła, tylko w chałpie jak naumyślnie, żeby tylko było się z czego *wadzić* i przeklinać? Ty nieznośna potwaro! nadałaś mi tyle robót na jeden dzień, co ty sama i przez cały tydzień ich nie wykonasz, a sama powlekłaś się, choroba wie, gdzie.“

Babsko dalej zaczyna płakać ze złości, że ją chłop tak grubo *zelzył*, wymyśla. I tak *obliki*[2]) idą za *obliki*. A baba niby zawsze obstawa przy swojem, że jej wygrana, na co jej tych pakuł, kiedy ona miała prządzionka gotowe, ale niby ten chłop wszystkiemu winien temu nieszczęściu.

---

[1]) Otże.
[2]) Obelżywe słowa.

Nareszcie chłopina ustąpił, dał się swojej żonie *omanić*, widać, że słyszał rozmaite jakieś od kobiet gusła, którym i on wiarę musiał dawać. Stulił uszy, jak zając, i cicho siedział. (Wola rzeczycka j. w.).

Tak gwarząc i śpiewając, przędą prządki nieraz późno w noc. Na odchodnem zaśpiewają jeszcze jakąś pieśń nabożną.

Wilija zakończa adwent.

Jak w *jandwiencie* są mgły, to ludzie w lecie następnego roku będą chorowali. (Zaborów w powiecie brzeskim).

Dr. Karol Mátyás.

Poselstwo Bieniewskiego

od śmierci B. Chmielnickiego, do umowy Hadziackiej.

(Dokończenie).

V.

Odprawa posła moskiewskiego w sposób tak brutalny, nie odbyła się bez premedytacyi. Wiemy, że w tym samym czasie posłowie Jana Kazimierza bawili w obozie kozackim.

Widzieliśmy zabiegi Moskwy, usiłowania Wyhowskiego, do utrzymania władzy samoistnej skierowane, wreszcie walkę jego z wrogami wewnętrznymi i zwolennikami Moskwy. Teraz prześledźmy pokrótce tę drogę, jaką szły i wiązały się układy Bieniewskiego z Wyhowskim, które ostatecznie doprowadziły do umowy Hadziackiej.

Byliśmy świadkami początku tych układów, podszytych pozorami rozejmu, ale już wówczas nie było tajemnicą, że Wyhowski zamierza oderwać Ukrainę od Moskwy. Od początku roku 1658 prowadził on politykę intrygi na dwa fronty, wyczekując chwili stanowczego pochylenia się w jedną lub drugą stronę. Będąc w ciągłym kontakcie z Moskwą, łudząc ją wiernością i ustalając przy jej pomocy swoją władzę hetmańską, prowadził równocześnie korespondencyę z Bieniewskim przez osoby zaufane.

Jednym z takich zaufanych Wyhowskiego, był Teodozy Tomkiewicz, zwany w niektórych listach Tomkowiczem, lub krótko

„Grek“. Był to mieszczanin lwowski, kupiec, człowiek zręczny, który Wyhowskiemu „przypadł do smaku“, a zajmując się rzemiosłem kupieckiem, nie pogardzał też i rolą konfidenta obu stron. Cieszył się on takiem zaufaniem Wyhowskiego, że porozumiewanie się listowne nie przez kogo innego, tylko przez niego prowadzić sobie życzył. Listy ze stron obu, zarówno przez Tomkiewicza jak i specyalnych posłańców latały od Wisły aż do Czehrynia i odwrotnie. Sprawy pojednania się z Polakami nie zaniedbywał Wyhowski pomimo licznych kłopotów wewnętrznych. I tak w chwili prawie wystąpienia przeciwko Puszkarowi, wysłał do króla dwóch posłańców, Fedorenka i Demka. Z jaką oni misyą jechali, nie wiemy dokładnie, nie wiemy także rezultatu tego poselstwa, to tylko pewno, że w sprawie pojednania się mówili z Bieniewskim.

Rząd polski bywał najdokładniej informowany o wszystkiem, co się działo na Rusi. Wiedziano o tem, co się stało z Barabaszem i Puszkarem, jakoteż i o tem, że „Wyhowski, nie podobawszy sobie w moskiewskiej opresyi“, wysyłał listy pojednawcze do hana. Wogóle wiadomo było, że „z Wyhowskiego wszyscy nie kontentują, bo ta *gens tauro-scythica* radaby co godzina inszego miała starszego“. Taką relacyę zdawał Bieniewski przed królem.

Po porażce, doznanej od Puszkara, nastąpiła u Wyhowskiego represya. Rozpoczęły się intrygi przeciwko niemu w różnych miejscach. Pisaliśmy o tem szeroko, rozwodzić się przeto teraz nie będziemy. Skutkiem tej represyi, niewątpliwie posyła znowu „greka“ Teodozego z oświadczeniem, że się „determinował pokój z Polakami zawrzeć“ i posyłał „submissyę“ swoją, pragnąc tylko pewności, że się z nim będzie szczerze postępowało. Nic dziwnego. Niezadowolenie ku niemu rosło. Podróż do Hadziacza, gdzie miał wykopać skarby Chmielnickiego, także mu nie przysporzyła przyjaciół. Wytworzyła się pozycya tego rodzaju, że ani Polsce w całości nie dowierzał, ani moskiewskiej przyjaźni ufać nie mógł. Z Zaporożem był w niezgodzie, śród ludności wiejskiej nie cieszył się zaufaniem. Tem się wyjaśnia poniekąd udawanie się jego do Krymu po pomoc. Pragnął mieć trochę Tatarów, bodaj dla obrony własnej.

To jedno nie ulega wątpliwości, że część starszyzny miał Wyhowski za sobą, na nich się opierał, przy ich pomocy przy władzy się trzymał i śród nich miał chętnych do pojednania się z Polską. Sprawa wlokła się długo przez korespondencye, konfidentów i poselstwa. 5. maja wystąpił nareszcie Wyhowski z propozycyą ogólnikową, ale stanowczą i pragnął zgody z Rzptą. Wła-

śnie wybierał się wtenczas pod Połtawę na stanowczą rozprawę z Puszkarem, a nie był pewny, jak się losy obrócą. Wysłał tedy do Bieniewskiego Teodozego, człowieka „*virtuti probatis*“, zachęcając kasztelana do kończenia „rzeczy dobrych“, zaręczając, że trudno o czas do traktowania „przedniejszy, przyjemniejszy i pogodniejszy“, a zarazem dodając, że „długoby obiegać trzeba, nim taka przyświeci gwiazda“.

Impuls pewny do prowadzenia tej akcyi w skorszem tempie dał Jerzy Lubomirski, marszałek koronny, wyłuszczając polityczne położenie Rzptej i potrzebę powzięcia stanowczych decyzyi. Radził on tedy zawrzeć koniecznie pokój ze Szwedami, ażeby sił, i bez tego szczupłych, nie rozdwajać, ale przeciwnie skupić je na Ukrainę i z tego położenia, jakie się wytworzyło na Rusi, skorzystać. Z drobnych sił wojennych Rzptej odrywano jeszcze cząstkę na północ, ku Szwedom, a „tu prowincye i narody giną“. Lubomirski odgadywał doskonale położenie Wyhowskiego. Zadarłszy się z Moskwą i ze swoimi, szukał oparcia w Rzptej. Dla tego namawiał ją do zgody ze Szwecya, z Moskwą, z hospodarami, radził szukać przyjaźni u Tatarów. Pragnął widzieć Rzptą najsilniejszą, gdyż tylko wtedy przyszłość sobie zabezpieczał. Robił tedy wszystko co zdołał, ażeby „wszystką Rzptą ukontentował i kraje ruskie przywiódł do słusznej kombinacyi“. List ten był pisany do Bieniewskiego z obozu na Półjezierzu 15. maja, a już 7. czerwca Tomkiewicz przyniósł ponownie nie tylko „deklaracyę submissyi Wyhowskiego“, ale i oznajmienie, że jedzie w poselstwie do króla szwedzkiego z poleceniem „nakłonienia Szwedów do zgody z Koroną polską i oświadczeniem, że, gdyby tego nie uczynili, wojsko zaporozkie przy Królu JMci, jako własnym panu swoim, przeciwko nieprzyjaciołom wszystkim stawać będzie“.

Pojednanie się z kozaczyzną przybierało coraz konkretniejsze formy, a akcya cała w tym kierunku nader zręcznie była prowadzoną za plecami moskiewskich bojarów i wysłańców, których Wyhowski łudził słowami pokory i wierności, całując hramoty carskie i zapewniając, że nie odstąpi od mocnej ręki Jego Wieliczestwa. Nareszcie około 15. czerwca otrzymał Bieniewski nowy list od Wyhowskiego, który z dziedziny ogólników przechodził na drogę czynu. Hetman kozacki zawiadamiał, że już „wielu starszyn oderwał *in partem* J. K. M.“, a dla przyspieszenia układów, wysłał Teterę do Międzyrzecza, który „capitulatie zgody miał umówić i podpisać“. Nie był to jeszcze akt oderwania się od Moskwy, ale raczej wstęp do tego — obowiązujący jednak obie strony do

dalszych traktatów. Nie posiadamy oryginału tej umowy, ani odpisu w całości; znamy ją tylko z wyciągu do króla w liście Bieniewskiego. Wyhowski przyrzekał, że zrzeknie się „carskiej przyjaźni", „jeśli w tem, czego żąda, wraz z drugiemi zaspokojony będzie". Deklarował się wreszcie z tem, że „z Tatarami gotów jest wraz z Rzptą na Moskwę uderzyć". Jan Kazimierz przyjął wszystkie zastrzeżenia Wyhowskiego, zastosował się do jego rad i zdania, jakoteż zapewniał, że aprobuje i obiecuje pod przysięgą dotrzymać wszelkie względem niego zobowiązania. Brulion tej odpowiedzi ułożył sam Bieniewski i na przybycie Tetery niecierpliwie czekał.

Wobec ostatniego listu Wyhowskiego, Bieniewski nalegał na króla, ażeby „kończył z Ukrainą". Radził jednak, ażeby komisarze „nie bardzo się kwapili z komisyą", ażeby „niewieskie (nie uciążliwe) stanęły propozycye", ażeby papierowi sekretów nie powierzać, a Carskie Wieliczestwo „komplementami uchodzić". Z Wyhowskim jednak był w ciągłej komunikacyi. Oczekując przyjazdu Tetery, Bieniewski przyrzekał, że z nim razem uda się do króla, a tymczasem radził wysłać do Wyhowskiego list „z komplementem" — jeden od króla, drugi od senatu, a także prosił o przysłanie ze 20 listów z okienkiem dla starszyzny w zwykłej formie „urodzony, wiernie nam miły".

Tak się przygotawiano powoli do wielkiego aktu dziejowego, którego przeznaczeniem było pozostać wielkim — na papierze.

23. czerwca otrzymał Bieniewski wiadomość, że Tetera nadjeżdża „*cum plenaria facultate* do traktowania", a w tydzień potem zawiadomił króla, że poseł kozacki, z listem Wyhowskiego, z daty 20. maja s. s. w Międzyrzeczu stanął. Wspomniałem już, że nie wiemy, jakie tam nastąpiły układy i jaką formę przybrały.

W aktach i dokumentach znanych dalsza akcya, prowadzona w celu oderwania się od Moskwy, przerywa się zupełnie. Komisarze polscy zjawiają się dopiero pod Hadziaczem, gdzie się zjeżdżają z wielkim posłem moskiewskim Kikinem.

Do zawarcia umowy nie przyszło zbyt gładko. Tydzień cały trwały pertraktacye — pod groźą śmierci. Czy Wyhowski wobec czerni kozackiej, czy wobec Kikina, pragnął się okazać surowym; czy może chciał odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia — trudno dociec. Zdaje się, że cała komedya surowości była zainscenizowana dla przekonania Kikina, że „od mocnej ręki odstąpić nie pragnie". Uspił go, jak się zdaje, zupełnie, gdyż w relacyi swojej

o toczącej się umowie Hadziackiej. Kikin nie wspomniał nawet. Widocznie nie wiedział, co się dzieje w obozie kozackim.

Posłów polskich trzymano w odosobnieniu, przy każdym dwóch samopalników, a w nocy — jeden w głowach, drugi w nogach. Mimo to porozumiewanie się z nimi było ustawiczne.

Dopiero po odjeździe posła moskiewskiego, Wyhowski zaprosił komisarzów do konferencyi. Zebrało się koło wojskowe. Hetman powitał ich życzliwie, oświadczając chęć do zgody i złączenia się z Rzptą. Potem zabrał głos Bieniewski. Podaję przemówienie jego w całości, jako owiane pięknem pragnieniem zgody i miłości nie do swawoli, ale do pracy pożytecznej.

„Za łaską Najwyższego Boga, który z woli swej podnosi królestwa albo poniża, tegoż natchnieniem wrodzona ku ojczyznie swej miłość w sercu każdego tak wkorzeniona, że gdzie bywszy, na ostatek każdy do domu zwykł powracać. Rozumiem, że tu się stało, iż odważnie wojsko Zaporozkie swojem i hetmana swego imieniem na Sejm do Rzptej, przez posłów swoich odezwało się do Najjaś. Jana Kazimierza, Króla i Pana naszego miłościwego, tudzież do całej Rzptej z oświadczeniem wiernego poddaństwa tak od siebie, jako od wszystkiego narodu ruskiego na Ukrainie żyjącego, upraszając o opiekę i protekcyę krajom swoim.

„Dobra otucha powracającego do ojczyzny pokoju po tak długich utrapieniach, kiedy się do jedności kleimy, a porzuciwszy przysmaki cudzoziemskie, do domu zabieramy się, podług dawnego przysłowia: każdemu kurowi swoja grzęda miła. Trzeba tedy Boga wszechmocnego majestat błagać, aby jako nauczał do matki ojczyzny zwabiać dziatki, tak onych dawną przyjaźnią i zgodą uwielbił.

„Dziesięć lat, jako o jedno dziecię ubijają się matki, każda sobie chcąc przywłaszczyć, Polacy jako cząstkę wnętrzności swoich odszukać pragnący, Moskal cudzy płot upodobawszy, przywłaszcza sobie, i wmawiając w was niechęć ku własnej matce, bronią, rezolucyą, odwagami waszemi zaszczyca się, żądając nierozdzielne ciało, gdy utrzymać i posieść trudno, w pół rozciąwszy czy rozdarłszy, sobie przywłaszczyć: ztąd się urodziły wycięcia kraju, spustoszenia ziemi. Krwią chrześciańską, hojnie wylaną, ugnoiwszy żyzne Ukrainy pola, zasiewał Moskal nienawiść między wami a nami. Nieprzyjaciel duszny, czart przeklęty cieszył się z tego, rozjątrzał serca, aby dogubiwszy do szczętu, w łyka wiekuistej niewoli wprowadził swobodny naród kozacki, a przysiodłszy nas i was po części rozszarpanych, w jarzmo niewoli wciągnął.

„Ulitował się Bóg nad krajem sobie miłym, Polską i Rusią, skruszył serca wasze i nasze, abyśmy uderzywszy się w piersi, grzech nasz poznali, a jeden drugiemu odpuścili. Co widząc król, pan nasz miłościwy, jako matka zbierając pod skrzydła rozbiegłe dziatki mile przyjmuje, zapomniawszy uraz, łaskawie przygarnywa. Już teraz sprobowaliście wierności polskiej i moskiewskiej, doznaliście smaku wolności i niewoli: mówiliście źli Polacy; a teraz musicie przyznać: gorsi Moskale. Zaczem łaskawy ojciec, król polski, żąda po was, abyście ojczyma swego zbrzydziwszy, z niewoli i jarzma moskiewskiego wybili się. Z jaką to radością w Warszawie król, pan nasz i wasz miłościwy, nowinę tę przyjął od posłów waszych, my komisarze, wasi posłowie, jesteśmy świadkami, jako Rzplta na sejm zgromadzona, wielce ucieszona została; wiem, że posłowie wasi wam już uczynili relacye.

„A nie słowami jednemi certując, przysłani jesteśmy komisarze od całej Rzpltej do was zgromadzonych, zapraszając was do jedności i do społecznego ratowania zgubionej ojczyzny, już teraz, gdy ją zewsząd ogarnęły biedy: zapomniawszy dawnych losów z rozpostartemi rękami was wzywa do jedności. Rozumiem, że doznawszy przysmaków monarchii moskiewskiej, gdzie w czarnych butach, w błahych sukniach chodzić kazano, wódek, piwa, miodów zakazywano pijać, wina ani wspomnieć. Cła i zdzierstwa niewymowne i inne niewolnicze zakazy, tego za Polaków nie znaliście, i teraz znać nie będziecie: wszystko, co duszy wolno, tylko swawola nie wolna. A jeśli wam wolność miła, idźciesz do jedności, a pospołu brońmy praw, swobód i wolności, ratujmy ojczyznę; wnet się powróci do domów naszych i waszych pokój i swoboda bezpiecznie oracze pola, bartnicy pasieki, rzemieślnicy swych rzemiosł pilnować będą, a lubo się każdy do swego powróci z pokojem, jednak swawolę, zdrady, okrucieństwa, niesprawiedliwości w rezie prawnej zostawać muszą, nikomu onych nie pozwalając, jako i panom srożyć się nad swem poddaństwem, surowość prawa ustanowiona już teraz nie pozwoli.

„Uwiedli was przodkowie wasi w niewolę moskiewską twierdząc, że jednej wiary z wami, i na tem się omylili, bo wy grecką religię trzymacie, a Moskwa moskiewską, a prawdę mówiąc tak wierzą, jak car każe; czterech ojcowie śś. patryarchów ustanowili, car moskiewski piątego zrobił, a sam i nad nim starszy; wy swoich duchownych szanujecie, a Moskal metropolitów degraduje, drugich ustanawia, jako z Nikonem niedawno postąpił, władyków więzi i zakonników, jako Hypacego, ihumena kijowskiego,

niedawno wziął w kluby, a gdy widzi skarby cerkiewne, wnet je na swój pożytek obraca. To w stanie duchownym dzieje się, a w świeckim wszyscy doznaliście, czego za Polaków nie słychać było: starszyznę przedtem sobie obieraliście podług upodobania, teraz kogo car zrobi, lubych wam starszych przez zdradliwe zabójców sposoby wykorzenia, wszystkie intraty z Ukrainy, i z was samych przez kabaki i cła, tudzież akcyzy na siebie zabiera, wam tyle, co z nosa spadło, zostawił; ale za to musicie przeciwko nieprzyjaciół wszystkich Ukrainę bronić, żeby intrata carowi nie ginęła, a i to póty was w tym kraju cierpi, póki Polaków nie zawojuje, a podbiwszy nas, na Syberyę zamyśla was przenieść, a tu Moskwą, swymi niewolnikami żyzne krainy osadzić chce, wkrótce ukaz ogłoszony będzie, byle się z nami uspokoił, żeby żaden kozak szabli ani strzelby nie nosił.

„Postrzeżcie się tedy, kiedy my i wy na jednej szali nieszczęścia zawieszeni jesteśmy, bo ten was jako i nas w niewolę podbić usiłuje, a my łączmy się pospołu z sobą i do jednego zamysłu sprzysiężmy się, a zjednoczywszy ojczyznę, Bóg przy nas stanie, a czart szyję złamie. Widzicie jawnie, że Bóg na nas i na was przepuścił swój biczyk, którym już to 10-ty rok biczuje nas bieda.

„Pokazuje teraz łaski swej Bóg wszechmogący skutki, że Polaków ukarawszy, chce uwielbić, oświadczyła Boska prowidencya nad Polakami protekcyę swoją, że tak potężnego nieprzyjaciela, króla szwedzkiego, z państwa wypędziliśmy, zamki, fortece, miasta pozdobywali, i teraz Król Jmć pod Toruniem w oblężeniu Szwedów trzyma. Sam król szwedzki za morzem w opałach od Duńczyka i kolligatów zostaje, gdzie Czarniecki i Opaliński z 6.000 wojska póls. mszczą się na Szwedzie krzywd swoich. Rakoczego jako do szczętu zniesiona potencya rozumiem, iż wasi tam będący ludzie umknąwszy, rzetelną uczynili relacyę; cesarza chrześciańskiego wojska przy królu do Torunia szturmują, a po wzięciu onego i z Prus wyrugowaniu Szwedów, na cara moskiewskiego zjednoczone siły Rzpltej obrócą się, mając ufność w miłosierdziu Boskiem, że gdy tak wiele nieprzyjaciół dał nam wypędzić i tym podołamy, ile gdy wojsko wasze zaporozkie szczerze z ojczyzną zjednoczy się: mamy od cesarza tureckiego firman do hana krymskiego, aby całą potencyą nam przeciw Moskwie pomagał, przykazawszy sylistryjskiemu i innym pobliższym baszom, aby byli gotowi za danym znakiem od hana na Moskalów, gdyby mieli być cieżcy na Polaków.

„Sapieha, hetman w Litwie, z wojskiem swojem opiera się Moskwie, szlachta pospolitem ruszeniem jeszcze nie wezwana do koni, w domach swych odpoczywa, gotowa do obrony ojczyzny. Naostatek do was, zacne wojsko zaporozkie, słowa ojczyzny przynoszę:

„Jam was porodziła, nie Moskal, jam was wypielęgnowała, „wyhodowała, wsławiła, ocknijcie się, a bądźcie synami nieodro-„dnymi, a zjednoczywszy się do gromady, wyrugujcie nieprzyjaciół „swoich i moich."

Zatem powstawszy starszyzna, pytali pospólstwa kozackiego, jak się im podoba mowa komisarza. Wszyscy krzyknęli: *Harazd howoryt', z neba orator.*

Gdy się uspokoiły aklamacye i krzyki, Wyhowski za zezwoleniem wszystkiego wojska zaporozkiego wymowną oracyą, jako będący przedtem jurystą, podziękował królowi JMPanu, za ojcowską opiekę, oraz z całem wojskiem obligował się w statecznem zostawać poddaństwie. Potem obaczywszy plenipotencye komisarzom naszym od króla i stanów Rzpltej daną, solwował sesye, naznaczywszy do traktatu z każdego pułku komisarzów, aby z wojskiem przeciw nieprzyjaciela postępując, traktowali z Polakami.

Rozpoczęły się tedy pertraktacye między stronami i odbywały się ciągle śród niepewności życia i doprowadzenia do końca rozpoczętej roboty. Tydzień minął śród wahania się i niepokoju oczekiwania. Komisarzy polskich odwiedzali po kilka razy dziennie Wojna, pokojowy hetmański i Sosnicki, tłumacz Karaczbeja, a na poły żartem, na poły seryo opowiadali im, jaką śmiercią zginąć mają lub straszyli, że odesłani będą przed oblicze carskie. Bieniewski już tracił nadzieję wyjścia cało z tej impresy. Przysięgły pisarz, wezwany do niego, zastał komisarza modlącego się w swoim namiocie i z płaczem opowiadającego o bliskiej zgubie, gdyż rozeszła się pogłoska, że komisarz moskiewski miał przekabacić całą starszyznę na swoją stronę. Była to wszakże tylko złośliwość Wojny i Sosnickiego. Mimo wszystko, pozycya była niepewna i groźna. Zaczęto obliczać swoich przyjaciół — i pokazało się, że tylko na Teterę liczyć mogą. Ażeby wyjść z tego ciężkiego położenia, Peretiatkowicz wpadł na dobry pomysł. Komisarze mieli przy sobie blankiety królewskie, kanclerskie i hetmańskie, zaopatrzone tylko podpisami na wszelki wypadek. Postanowiono tedy napisać na takim blankiecie list od imienia króla do przyjaciela Wyhowskiego Karaczbeja, stojącego o pół mili od obozu kozackiego, z prośbą, ażeby nie z posłem moskiewskim, lecz z komisa-

rzami Rzptej kończył traktaty. Zdecydowano posłać z tym listem Sosnickiego, tłumacza Karaczbejowego. Bieniewski, ażeby go zachęcić do służby, zdjął z siebie homalikę, złotem i srebrem haftowaną, a przydał jeszcze kilkadziesiąt czerwonych złotych i do Karaczbeja posłał. Propozycya porozumienia się życzliwie została przyjęta. Komisarze tedy, nie tracąc czasu, udali się natychmiast do namiotu Karaczbejowego. Czekał już na nich, siedząc na aksamitnej poduszce. Bieniewski przemówił do niego, wyłuszczywszy sprawę i listy, przed kilkoma godzinami napisane, wręczył. Karaczbej przyjął listy i propozycye nader życzliwie. Po przyjęciu wyszli z namiotu i jeszcze rozmawiali. Odprawa tego poselstwa wpłynęła na usposobienie Wyhowskiego, nie bez tej racyi, że był to jedyny filar, na którym, jak niegdyś na Tuhaj-beju, mógł oprzeć się hetman kozacki. Za powrotem rozpoczęły się na nowo pertraktacye i tydzień cały trwało przepisywanie i poprawianie. Na jednej z licznych rad kozackich, wahającą się starszyznę doprowadził do zgody Tetera. „Zgódźmy się mołojcy z Lachami — rzekł — otrzymamy więcej jeszcze; pokorne cielątko dwie matki ssie“. Starszyzna i czerń krzyknęli, „Prawdę powiedział! Zgoda! Zgoda!“

Po długich wspólnych debatach ułożono wreszcie punktacye i wybrano poselstwo do króla. Oprócz posłów kozackich, którzy wzięli projekt umowy nieznany nam bliżej. Wyhowski wręczył komisarzom — spodziewając się ze strony Rzptej opozycyi, — osobno, własnoręcznie napisaną deklaracyę, która za nic innego nie może być uważaną, jak tylko za tajemną ugodę, do której hetman kozacki zobowiązywał się wobec Rzptej. Co do punktu, postanawiajacego 60.000 rejestru kozackiego, Wyhowski uzupełnił go w sposób następujący: „wygadzając czasom teraźniejszym, aby plebs temu gwoli, gdyby ich degradowano pod ten czas, nie zatrudniała dyspozycyi do pokoju, pozwoliło się na taką liczbę. Jednak rzeczą samą, uspokoiwszy wojnę z carem JMci moskiewskim, nie ma być w rejestrze wojska zaporozkiego więcej nad 30.000, a pieniężnego 10.000, tak, aby to pieniężne zostawało pod wodzą hetmana zaporowskiego, t e r a ź n i e j s z e g o t y l k o.“

Deklaracya powyższa zawierała, oprócz przytoczonego, jeszcze cztery punkty. Pierwszy dotyczył wyprowadzenia pułku czauskiego z Białej Rusi i księstwa Litewskiego. Wyhowski nie chciał tego uczynić teraz „propter periculum przewierzgnięcia się do cara JM. Moskiewskiego“. Po ukończeniu wojny z Moskwą, zobowiązał się wszystkich kozaków z Białej Rusi wyprowadzić. Oddawanie

dóbr szlacheckich i wprowadzenie stanu duchownego, miało nastąpić po uspokojeniu. W celu wysadzenia co rychlej Moskwy z Kijowa, „Hetman wojsk Ruskich“ — taki tytuł nadał sobie Wyhowski — prosił o „tysiąc wojska cudzoziemskiego, a jeżeli będzie potrzeba i więcej, a choć pięć tysięcy, z którym Pan Tetera pospieszy co prędzej“. Załogi wszystkie między Słuczą a Horyniem miały być ściągnięte a uniwersały odnośne wydane.

Komisarze wyjechali wraz z Teterą, asawułą Kowalewskim i Kapłuńskim pod Toruń, gdzie Jan Kazimierz wówczas przebywał. Podpisanie jej w Hadziaczu odbyło się z wielką uroczystością wojskową — strzelano z armat i cieszono się — przed smutnem jutrem. Na dworze królewskim „wdzięcznie“ przyjęto posłów i umowę, kilka zaledwie punktów, które, jak się zdaje, później usunięte zostały, wywołało „sarknięcie“. Wogóle jednak, dla Rzptej polskiej, był to akt doniosły, dla kozaków mógłby się był stać początkiem nowego życia, gdyby ówczesna kozaczyzna miała w sobie zarodki państwowości, gdyby jej chęci i postanowienia nie bywały pisane na piasku, gdyby posiadała więcej wiadomości groźnego położenia, a mniej żołnierskiego warcholstwa, prowadzącego, wraz z innemi wadami, więcej niż na bezdroża, bo do ruiny.

Zanim umowę Hadziacką poznamy w ostatecznej redakcyi, prześledźmy dalsze losy akcyi, z której wypłynął najdonioślejszy niewątpliwie akt, będący następstwem wojen Chmielnickiego z Rzptą polską.

Po audyencyi u króla, Kowalewski i Kapłuński wrócili na Ukrainę, a komisarze do domów — do Połonnego.

Tymczasem i z Rzptą nie tak gładko poszło, jak wymagały tego rozsądek polityczny i groźne położenie wewnętrzne. Nie podobały się punkty, dotyczące zniesienia unii, nadawanie urzędów w czterech województwach wyłącznie szlachcie, ritus graeci i inne. Trzeba było przeto rozpocząć układy prawie na nowo. Doprowadzono je wprawdzie do skutku, ale dzięki temu jedynie, że położenie Wyhowskiego stało się bez wyjścia: zerwawszy z Moskwą, pokłóciwszy się ze swoimi, nie miał innej drogi, jak tylko sojusz z Polakami. Nie przyniósł on wszakże pożytku ani Wyhowskiemu, ani Rzptej.

Zaraz tedy po Nowym Roku 1659, znowu wyjechał Bieniewski do Wyhowskiego „po reformę“ niektórych punktów. Skutkiem rozmaitych starań Moskwy, rozdwojenie na Ukrainie rysowało się coraz wyraźniej. Część kozaków stanęła po stronie Moskwy, mając za sobą ks. Romodanowskiego. Wyhowski gotował się do walki.

Komisarze pod Pereasławiem dognali go. Widocznie układy nie doprowadziły do skutku, gdyż — jak powiada jeden z uczestników — „infatis rebus odjechaliśmy“.

Na sejm warszawski, odbywający się od 22. marca 1659 r., już na początku kwietnia, dla aprobacyi pakt hadziackich, zjechało się „gwałt“ kozaków poważnych. Samczenko, wuj Chmielnickiego, Konstanty Wyhowski, brat hetmana, Hrusza, pisarz generalny wojsk zaporozkich, Hryćko Leśnicki, pułkow. mirhorodzki, Mazepa, późniejszy hetman i w. in. Oczywiście, wypłynęła na porządek sprawa unii i urzędów, ażeby je wolno było królowi rozdawać. Na te dwa punkty i unię „żadną żywą miarą“ zgodzić się nie chciano. Żądano, ażeby komisarze znowu na Ukrainę „po reformę“ jechali. Komisarze odmówili, zasłaniając się tem, że na tę umowę pod Hadziaczem przysięgali. W tym czasie umarł najwybitniejszy z pośród nich, będący duszą całej roboty — Bieniewski. Los padł na Peretiatkowicza, który całą sprawę znał najlepiej. 12. kwietnia w sobotę wielkanocną wyjechał tedy na nowe konferencye, wioząc Wyhowskiemu przywilej na województwo kijowskie. Wyjechał w towarzystwie Samczenka, który został nobilitowany. Niby to się cieszył z tego, że „dzieci jego nie będą na groble chodzić“, ale pilnował każdego kroku Peretiatkowicza i byłby chętnie, całą ekspedycyę zabrawszy, odesłał do Moskwy. Tak dojechali do Białej Cerkwi. Ta pozycya Peretiatkowicza stawała się groźną: Samczenko namawiał go, aby jechał do Pereasławia, ale tajemne jego konszachty z pułkow. białocerkiewskim nie wróżyły nic dobrego. Wybrał się tedy do Czehrynia wprost, ale i w tę drogę bez kontrolera nie wyjechał: Samczenko dodał mu do asystencyi krewnego swego, który żonę miał w Czehryniu. Śród niepokoju i niepewności Peretiatkowicz, rozstawionemi końmi, do Czehrynia ruszył. Wyhowskiego w domu zastał i expedycye wręczył. Byli sam na sam w izbie. Przeczytawszy nadanie na województwo kijowskie, rzekł: „z śmiercią-ś przyjechał i śmierć mi przywiózł. Daj Boże, abyśmy mogli Panu i Ojczyźnie usłużyć“. Chwila była istotnie wielka i przełomowa, niewiadomo, w którą stronę mogły się dzieje obrócić. Wyhowski doniosłość tego momentu rozumiał. Usiadł tedy na łóżku i zapłakał. Może miał przeczucie tragicznego końca swego i losów Ukrainy. Peretiatkowicz rzekł: „kiedy zechcesz, wszystko będzie dobrze: kończąc tę sprawę, pokażesz całemu światu chrześciańskiemu, co możesz, czem się nie tylko Rzptej ale i chrześciaństwu przysłużysz, a nagrodę odniesiesz od Pana Boga“. Wyhowski padł na kolana, a ręce złożywszy na krzyż, odpowiedział:

„obaczysz, co będę czynił dla usługi Rzptej“. Nastrój w Czehryniu był bardzo nie życzliwy dla całej akcyi, głównie z tego powodu, że zwolennicy Moskwy wysuwali znowu na czoło — religię, strunę, na której śród czerni można było grać bezpiecznie. Kowalewski wprost zagadnął Peretiatkowicza: „czy z unią przyjechałeś, panie bracie? Nie wiem, jak to będzie po przysiędze“. We dwa dni po przyjeździe posłańca, zwołał Wyhowski pułkowników i starszyznę do siebie: przybył także ojciec jego i brat Daniel. Hetman przedłożył im przyczynę poselstwa. Na to wszyscy, jakby się zmówili, odpowiedzieli: „ne siło ne pało, a wże odminiaty“. Wyhowski rzekł: „ja na waszą wolę zdaję się: co chcecie to róbcie“. „Tak nie można, panie hetmanie: musimy się wspólnie naradzić“. Odłożono tedy do trzech dni. Sam Wyhowski skłonny był do ustępstw: zbyt dobrze znał sytuacyę obecną, zbyt jasno widział, że innego wyjścia nie ma. Ale starszyzna, pułkownicy, czerń cała, a nawet najbliższa rodzina przeciwna była całej ugodzie i zmianie. Byli niezadowoleni, a chociaż nie wyjawiali powodów, zbyt one były widoczne: od Rzptej nic nie dostali i nie mogli wiele oczekiwać, gdy Moskwa hojnie ich obdarzyła majętnościami, rublami i szubami. Mieniali przeto dobre na gorsze — nic przeto dziwnego, że byli niezadowoleni. Czerń obojętną była na „pana“, jej chodziło o swawolę i gorzałkę. Kto po jej stronie stawał, temu gotowa była służyć. O przyszłości Ukrainy żaden z niezadowolonych nie myślał, nigdy słowo to z ust niczyich nie padło, jak gdyby pozbawieni byli zupełnie daru przewidywania. Przyszłość koncentrowała się w ich własnych interesach. Po trzech dniach hetman znowu zwołał zgromadzenie starszyzny, na które i rodzina przyszła. Znowu do zebranych przemówił Wyhowski, własne losy wspominając, własne nieszczęścia, służbę dla Ukrainy i chęć czynienia jak najlepiej. Przyszło do punktów spornych. „Co mamy czynić? — zapytał. Jużeśmy w wielką nieprzyjaźń z Moskalem zaszli, tym i owym panom postronnym naraziliśmy się; musimy się w cale do pana przyrodzonego, jako do ojca łaskawego, skłonić i na to pozwolić. Gdybyście nie chcieli pozwolić, tedy ja buławę oddaję w waszą dyspozycyę“. Wziąwszy buławę, położył na stole, a sam, stojąc przed stołem, mówił: „wolę czerniakiem, bratem waszym być przy mojej wierze i przy mojej wszelakiej ku wojsku zaporozkiemu szczerości i życzliwości, na co gotowem przysiądz, a Waszmoście, kogo chcecie, obierzcie sobie na hetmana“.

Asawułowie z pułkownikami, pojrzawszy po sobie, rzekli: „Miłościwy panie hetmanie! Uchowaj Boże, ażebyśmy to czynić

mieli — dziej się wola Boża! O to tylko prosimy, aby w Czehryniu, Pereasławiu, Korsuniu i Białej Cerkwi unii nie było".

Nie wszyscy jednak tak wyrozumiale przyjęli propozycye Wyhowskiego i zgodę starszyzny. Największa opozycya była śród rodziny. Zaraz po odpowiedzi starszyzny, ojciec z Daniłem poszli do alkierza, gdzie była matka hetmana, która po krótkiej naradzie, wyszedłszy, zwróciła się do syna: „Iwachnu, czy już pojedziemy?" Nie mogła inaczej niezadowolenia swego wypowiedzieć. Wyhowski zrozumiał motywy i w gniewie zawołał: „Jedźcie, choć do dyabła! Radzibyście mnie w łyżce wody utopić za to, żem was panami porobił". Nie czekając obiadu, bez pożegnania odjechali. Wyhowski na obiad zaprosił starszyznę, ale nie wszyscy przyszli — znać było jakieś naprężenie. Pito za zdrowie króla. Po obiedzie hetman zawołał dwóch pisarzów, którzy pakta hadziackie w myśl życzeń Rzptej przepisali.

Wyhowski, jakby obawiając się jakich zaburzeń, tejże nocy wysłał Peretiatkowicza z paktami z Czehrynia, dawszy mu dla bezpieczeństwa swego pokojowego, Branickiego. Wyjechali na Smiłę, gdzie rezydował Daniło. Hetman polecił posłańcowi największą ostrożność. Gdy ciemną nocą wyjeżdżali z Czehrynia, warta zatrzymała ich przed bramą, pytając, ktoby jechał. Peretiatkowicz milczał, tylko Branicki odezwał się: „a cóż to już mnie, Branickiego, pokojowego hetmańskiego nie poznajecie?" — Puszczono ich tedy. Gdy słońce wschodziło, dojeżdżali do Smiły, siedem mil ukraińskich ujechawszy. Nie odpoczywając, Peretiatkowicz stawił się u Daniły, prosząc o konwój. „Dałbym konwój — rzekł — darowałbym ci i konia dobrego, gdybyś nie był z Rusina Lachem; mimo to proszę na obiad". Sam odszedł do cerkwi. Peretiatkowicz został w izbie, Branicki poszedł na rynek. W tem uchyliły się drzwi z alkierza, pokazała się Danilicha, Chmielnickiego córka i rzekła: „Laszeńku, ne czekaj obidu ani pidwod" — i drzwi za sobą zamknęła. Przestroga brzmiała groźnie. „Mróz mię przeszedł" — pisze Peretiatkowicz. Ruszył w skok do gospody, a nie czekając powrotu Branickiego, z czeladzią tylko umknął do Korsunia, dziewięć mil ubiegłszy bez odpoczynku. Tu go dopiero Branicki dogonił. Ztąd rozsadzonymi końmi przez Bohusław, Ostróg, Lublin do Warszawy jechali i tu dopiero expedycyę swoją odprawił. Modyfikowana wielokrotnie umowa hadziacka, uchwaloną nareszcie została w następującej formie:

Komisya Hadziacka.[1]

W *Imię Pańskie Amen.*

1. Komisya między Stanami Korony Polskiej. i W. X. lit. z jednej, a wielmożnym hetmanem i wojskiem zaporowskim, z drugiej strony: przez wielmożnych. Stanisława Kazimierza Bieniewskiego wołyńskiego. Kazimierza Ludwika Jewłaszewskiego smoleńskiego. kasztelanów. z sejmu od Najjaśniejszego Jana Kazimierza z Bożej łaski króla polskiego i szwedzkiego. wielkiego książęcia litewskiego, ruskiego. pruskiego. mazowieckiego, żmudzkiego, inflantskiego, smoleńskiego, a gotskiego. wandalskiego dziedzicznego króla. i wszystkich Stanów koronnych i W. X. lit. naznaczonych komisarzów. z wielmożnym Janem Wyhowskim hetmanem i wszystkiem wojskiem zaporozkiem w obozie pod Hadiaczem, dnia 16. septembris roku Pańskiego 1658 daj Boże szczęśliwie i wiecznie trwale skończona. Na którem miejscu wielmożny hetman zaporozki. z wojskiem swem nas komisarzów, jako należy przystojnie i wdzięcznie przyjąwszy. i moc zupełną komisarską, nam od Jego Królewskiej Mci Pana naszego miłościwego, i Stanów koronnych, i W. X. lit. powagą sejmową daną uważywszy, deklarował się ze wszystkiem wojskiem. Iż jako nie po dobrej woli, ale z musu wojsko zaporozkie przyciśnione różnemi opresyami do obrony swojej przystąpiło, tak gdy Jego Królewska Mść P. N. miłościwy. ojcowskiem sercem przepominając wszystkiego. co się w zamieszaniu stało. wzywa do jedności. nie pogardzając łaską Jego Królew. Mści Pańską, dobrotliwego Pana klemencyę pokornie przyjmując do tej komisyi przystępują, potem do spólnej namowy postanowienia zgody. szczerości i zobopólnej miłości. biorac na świadectwo strasznych zastępów Boga. to, co się stanowi, szczerze, prawdziwie i wiecznie ma być trzymano. Pokój wieczny i nigdy nie rozerwany. zastanowiliśmy tym sposobem.

Religia grecka starożytna, ta i taka. z jaką starożytna Ruś do Korony Polskiej przystąpiła. aby przy swoich prerogatywach i wolnym używaniu nabożeństwa zostawała, póki język narodu ruskiego zasięga. we wszystkich miastach i miasteczkach, wsiach, tak w Koronie polskiej, jako i w W. X. lit. także na sejmach wojskach. trybunałach. nie tylko w cerkwiach, ale publicznie w procesyach. w wizytowaniu chorych, *cum Sacra Synaxi,* cho

[1] Volum. leg. IV. 297—301.

waniu umarłych, i we wszystkiem zgoła, tak jako nabożeństwa swego, *libere et publice* zażywa *ritus Romanus*.

Tejże religii greckiej daje się moc wolnego erygowania cerkwi, zakonów, monastyrów nowych, jako i starych ponawiania i naprawienia. Co się tknie cerkiew i dóbr, z dawna na cerkwie religii greckiej, starożytnej, fundowanych, przy tych zostawać mają Grecy starożytni, prawosławni, które cerkwie, *post praestitum publicum iuramentum fidelitatis*, przez pułkowników i inną starszyznę wojska zaporozkiego *in spatio dimidij anni* podane będą przez komisarzów *ab utrinque* naznaczonych. Tej zasie wiary, która jest przeciwko wierze greckiej prawosławnej i która dysensyą między rzymskim i staro-greckim narodem mnoży, żaden z duchownego i świeckiego, senatorskiego i szlacheckiego stanów, cerkwi, monasterów, funduszów fundować, erygować i pomnażać, tak w dobrach duchownych, jako Jego Królew. Mci i własnych dziedzicznych, jakimkolwiek sposobem, nie ma i *vigore* tej komisyi nie będzie powinien, wiecznymi czasy. *Romanae* zasie *fidei*, w województwach: kijowskiem, bracławskiem, czernichowskiem, *liberum exercitium conceditur*. Panowie zaś świeccy, tak dziedziczni, jako i urzędnicy Jego Królew. Mci, religii rzymskiej, żadnej jurysdykcyi mieć nie będą nad duchownymi świeckimi i zakonnikami religii greckiej, prócz należytego pasterza.

A że w spólnej ojczyźnie spólne prerogatywy i ozdoby wzajemnie należeć *utrique ritui* mają, tedy Ojciec metropolita kijowski, teraz i na potem będący, ze czteroma władykami: łuckim, lwowskim, przemyskim, chełmskim i piątym z W. X. lit. Mścisławskim, według ich porządku własnego w senacie zasiadać ma: z taką prerogatywą i *liberae vocis usu*, jako w senacie zasiadają jaśnie wielebni Ich MM. duchowni *ritus Romani*. Miejsce jednak Imci Ojcu metropolicie po Imci ks. arcybiskupie lwowskim, a władykom po biskupach powiatów swych naznacza się.

W województwie kijowskim dygnitarstwa senatorskie, nie mają być dawane tylko szlachcie *ritus Graeci*, *capacibus* tych urzędów. W województwach zaś bracławskiem, czerniechowskiem też preeminencye senatorskie, alternatą konferowane być mają: tak iż *post decessum* senatora *ritus Graeci*, ma *succedere* senator *ritus Romani*, we wszystkich jednak trzech tych województwach, *natis, et bene possessionatis* urzędy konferowane być mają, *salvo jure* teraźniejszych posesorów.

Więc też, aby miłość zobopólna krzewiła się, w miastach koronnych i W. X. lit., gdziekolwiek cerkwie *ritus Graeci* zasią-

gły, zarówno mieszczanie tak rzymscy, jako i religii greckiej, spólnych wolności, swobód, zażywać mają i żadnemu religia grecka do Magistratu przeszkodą być nie ma.

Akademię w Kijowie pozwala Jego Królew. Mci i Stany koronne erygować, która takiemi prerogatywami i wolnościami ma *gaudere,* jako Akademia krakowska, tą jednak kondycyą, aby w tej Akademii żadnych sekt: aryańskiej, kalwińskiej, luterskiej, profesorów, mistrzów i studentów nie było. Więc, aby między studentami i żakami, żadnej okazyi do zwady nie było, wszystkie insze szkoły, które przedtem w Kijowie były, gdzie indziej Jego Król. Mść przenieść rozkaże.

Drugą także Akademię pozwala Jego Królew. Mść Pan nasz miłościwy i Stany koronne, i W. X. lit., tam gdzie jej miejsce sposobne upatrzą, która takich, jako i kijowska zażywać będzie praw i wolności, lecz taką, jaką i w Kijowie ma być erygowana kondycyą, aby w niej sekty aryańskiej, kalwińskiej i luterskiej profesorów, mistrzów i studentów nie było. A gdziekolwiek ta Akademia stanie, już czyniona ma być inkwizycya z obu rąk. Wszystka Rzeczpospolita narodu polskiego i W. X. litew. i ruskiego, i prowincyi do nich należących *restituatur in integrum,* tak jako była przed wojną, to jest, aby te narody w granicach swoich i swobodach zostawały nie naruszone, jako były przed wojną i wedle praw opisanych, w radach, w sądach i wolnej elekcyi panów swoich królów polskich i wielkich książąt litewskich i ruskich. A jeśli *necessitate belli,* z postronnymi pany na ujmę granic, albo wolności tych narodów stanęło co, to *pro irrito et inani* być ma, a przy swobodach swoich narody wyżej pomienione stawać mają, *bona fide* jako jedno ciało, jednej i nierozdzielnej Reczypospolitej, nie czyniąc między sobą różnice o wiary, ale jako kto *profitebatur et profitetur religionem Christianam, Romanam et Graecam,* wszystkich, przy pokoju, wolności zostawują. Luboby jakie prawa albo dekreta, tak z oczywistej kontrowersyi, jako *in contumaciam* przewody prawne były ferowane przed wojną i *tempore belli.* Wojska zaporozkiego liczba trzydzieści tysięcy być ma, albo jako wielmożny hetman zaporozki na regestrze poda.

Zaciągowego zasię wojska dziesięć tysięcy, które także jako i zaporozkie pod władzą tego hetmana zostawać ma, i z podatków na sejmie uchwalonych, w województwach: kijowskiem, bracławskiem i czerniechowskiem, i innych od Rzeczypospolitej mają się na tegoż żołnierza obracać.

Konsystencya wojsku zaporozkiemu, w tych województwach i dobrach naznacza się, w których przed wojną zostawali, któremu to wojsku wszelakie wolności przywilejami najjaśniejszych królów polskich nadane konfirmuje: zachowując ich przy starodawnych wolnościach i zwyczajach ich: i onym nie tylko nic nie ubliżając, ale owszem wszelaką one potwierdzając powagą. Nad to żaden dzierżawca dóbr Jego K. Mści i starosta, ani pan dziedziczny i dożywotny, ani ich podstarościowie, urzędnicy i insi wszelacy słudzy żadnych podatków z futorów kozackich, wsi, miasteczek i domów wyciągać, żadnym pretekstem nie będą, ale jako ludzie rycersey, wolni od wszystkich największych i najmniejszych ciężarów, także od ceł, myt, po wszystkiej Koronie i W. X. lit. być mają. Także i od sądów wszelakich, starostów, dzierżawców, panów i ich namiestników mają zostawać wolni, ale tylko pod samego hetmana wojsk ruskich zostawać jurysdykcyą. Przytem wszelakie napoje, łowy, polowe i rzeczne, i insze kozaków pożytki, według starych zwyczajów, przy kozakach wolne zostawać mają.

Zosobna zaś dla dalszego do usług Jego K. M. przychęcenia, którychkolwiek wielm. hetman wojsk ruskich, prezentować będzie Jego K. M. godnych klejnotu szlacheckiego, tych wszystkich bez trudności spotka nobilitacya, z nadaniem wszelakich wolności szlacheckich, tak jednak miarkując, żeby z każdego pułku sto być mogło nobilitowanych.

Wojsk żadnych polskich, litewskich albo cudzoziemskich nikt prowadzić nie ma, w województwo kijowskie, bracławskie, czerniechowskie, wojska jednak pieniężne, pod władzą hetmana wojsk ruskich będące z dóbr królewskich i duchownych w pomienionych województwach, za ordynansem tegoż hetmana ruskiego chleb wybierać będą. A gdyby wojna jaka być miała, od granic ruskich i potrzeba posiłków koronnych przystąpiła, w ten czas te posiłki mają być pod regimentem hetmana wojsk ruskich.

Dla tym lepszego tych pakt utwierdzenia i pewności, hetman wojsk ruskich *ad extrema vitae suae tempora* hetmanem ruskim i pierwszym w województwach kijowskiem, bracławskiem, czerniechowskiem senatorem *pro hac vice*, a *post fata* jego ma być wolne obieranie hetmana, to jest czterech elektów obiora *status* województw kijowskiego, czerniechowskiego, z których jednemu Król Jego Mść konferować będzie, nie oddalając od tego urzędu rodzoną wielmożnego hetmana ruskiego bracią.

Mennica dla bicia wszelakich pieniędzy, w Kijowie albo gdzie *commodius* będzie się zdało, otworzona być ma wedle jednej ligi, i z osobą królewską.

Spólna rada i spólne siły być mają tych narodów przeciw każdemu nieprzyjacielowi.

Starać się mają te trzy narody spólne, wszelkimi sposobami, aby wolna była nawigacya na Czarne morze Rzpltej.

Jeżeli Car Jego Mść moskiewski prowincyi Rzpltej przywrócić nie zechce i na Rzpltą następować będzie, tedy wszystkie siły tak koronne jako Wiel. X. lit. jako i wojska ruskie zaporozkie pod regimentem hetmana swego łączyć się i wojować będą.

Dobra leżące i ruchome, królewszczyzny, także i sumy pieniężne, obywatelów Ruskiej Ziemi, którzy się lubo przy wojsku zaporozkim wiązali, i teraz do ojczyzny powracają konfiskowane, przywrócone być mają i zasługi ich w wojsku koronnym i W. X. lit. równo z zasługami wojsk koronnych i W. X. lit. kompensowane i zapłacone.

A już od tego czasu hetman z wojskiem zaporozkim teraz i na potem będący, odstąpiwszy wszelakich protekcyi, więcej się do nich wiązać nie ma, i owszem w wierności i poddaństwie, posłuszeństwie, Najjaśnieśniejszego Majestatu Królestwa Polskiego i następców jego, także wszystkiej Rzpltej ma i mają, będzie i będą, wiecznymi czasy, nie derogując jednak nic braterstwu z hanem Jego M. krymskim zawartemu.

Legacyi żadnych od postronnych przyjmować nie ma i jeśliby się jakie trafiły, one do Jego Kr. Mści odsyłać będzie, także ani wojsk postronnych wprowadzać, ani żadnego z postronnemi porozumienia mieć nie będzie, na szkodę Rzpltej, chyba z dokładem Jego Kr. Mci.

Privatis wszystkim z obojej strony tak duchownym *ritus Romani* w województwach kijowskiem, bracławskiem, czerniechowskiem, podolskiem, także w W. X. lit. i na Białej Rusi, w Siewierszczyźnie do biskupstw, probostw, kanonij, plebanij i dóbr do nich należących, także zakonnikom wszystkim do kościołów, klasztorów, dóbr, fundacyi, tudzież świeckim z obojej strony do dóbr dziedzicznych, starostw, dzierżaw i własności swoich dożywotnych zastawnych i inszymi kontraktami należących, w tychże województwach pomienionych i W. X. Lit. na Białej Rusi i w Siewierzu zostających, bezpieczny powrót i reindukcya otwiera się. Czas jednak powrotu i reindukcyi Jego Król. Mść zniósłszy się z wielm. hetmanem zaporozkim, naznaczyć ma,

sposób zasię reindukcyi ten ma być zachowany, aby żaden do swojej własności nie powracał, jedno za uniwersałami Jego K. Mści i wielm. hetmana wojsk zaporozkich, w czem ma być wzajemna z obu stron konferencya, a dla rozsądzenia różnych spraw tak kryminalnych jako i potocznych, mają mieć w tych trzech województwach swój osobliwy trybunał według takiego porządku, jaki sami sobie uformują, prócz tego owruckie i żytomierskie zosobna starostwa sądowe być mają. A dla lepszej pewności, ponieważ hetman z wojskiem zaporozkiem i województwa oderwane wszystkie insze postronnych narodów protekcye odrzuca, a dobrowolnie jako wolni do wolnych, równi do równych i zacni do zacnych powracają, przeto dla pewniejszego dotrzymania tego teraźniejszego postanowienia, pozwala temuż narodowi ruskiemu Jego K. Mść i Rzplta wolnych pieczętarzów, marszałków i podskarbich *cum dignitate Senatoria,* i inne urzędy narodu ruskiego, którzy według roty urzędników koronnych, przysięgę wykonać mają, przydawszy ten punkt, iż przeciwnego teraźniejszemu postanowieniu przez konstytucye albo dekreta sejmowe i zadworne reskrypta, uniwersały, przywileja, nic się przeto nie działo. Do których pieczętarzów, urzędu i kancelaryi, należeć będą, wszystkie tylko duchowne gracye, metropolie, episkopie, humenie i *beneficia,* do których podawania należy Jego K. Mść Pan nasz Mciwy w województwach ruskiem, kijowskiem, wołyńskiem, podolskiem, błacławskiem, czerniechowskiem, także wszystkie gracye nie tylko duchowne, ale i świeckie w województwach kijowskiem, bracławskiem, czerniechowskiem tylko, także i sądy z miast królewskich pomienionych tylko trzech województw i dekreta wszelakie, tak zadworne i sejmowe. A cokolwiekby *in contrarium* tego postanowienia wyszło z kancelaryi koronnej albo W. X. Lit. to *pro irrito* być ma, i *impetrator* takowego przywileju, nie tylko przywilej tracić, ale i *poenae* dziesięciu tysięcy kop litewskich, podlegać ma: o co *forum* przed Królem Jego Mcią *ex speciali regestro.*

Aby *occasione litium* względem poddanych o swawolę inkulpowanych do nowej nie przychodziło konfuzyi, wszystkie procesy o stawienie poddanych *ratione* najazdów, zabojów, szkód, podczas wnętrznych zapałów poczynionych, ziemskie, grodzkie, trybunalskie, by i dekreta trybunalskie *ex personali* w tych sprawach zaszły, osobliwie w województwach kijowskiem, wołyńskiem, bracławskiem, czerniechowskiem *cassantur.*

Z Carem Jego Mcią moskiewskim, jeśliby do zawarcia pakt Jego K. M. i Stanom koronnym i W. X. Lit. przyszło, ma *inde-*

munitas reputacyi i teraźniejszego postanowienia wielmoż. hetmanowi i wojsku zaporozkiemu *praecaveri*.

Którą to komisyę tak Ich Mść pp. komisarze jako wielmożny hetman Xięst. Ruskiego *de facto* przysięgą potwierdzili, tak jako roty juramentu ręką Ich Mciów *extant* podpisane. Nad to taż komisya przysięgą cielesną z senatu przez Jaśnie Przewielebnego Jego Mści ks. arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa koronnego i J. Mści ks. biskupa wileńskiego, także Ich Mściów pp. hetmanów czterech koronnych i W. X. Lit. i pieczętarzów obojga narodów, jako i przez marszałka koła poselskiego, strony koła rycerskiego na sejmie, który ma być jako najprędzej złożony *in praesentia* posłów od wielmożnego hetmana i wojska zaporozkiego wyprawionych, konfirmowana będzie.

A co się tknie przysięgi Jego K. Mści Pana naszego miłościwego, tę z klemencyi swojej Pańskiej na pokorną prośbę wojska zaporozkiego uczynić raczy J. K. M. i za nią Ich Mość pp. komisarze asekurują.

Przysięgi zaś pułkowników, setników i wszystkiej starszyzny wojska zaporozkiego po sejmie, na którym się dosyć stanie teraźniejszemu postanowieniu przed komisarzami na to deputowanymi będą wykonane.

Ażeby ta komisya wieczną wagę i powagę miała, tak jako w sobie brzmi z początku do ostatka w prawo pospolite, to jest w konstytucyę inserowana, sejmem aprobowana i za wieczne i nieodzowne prawo, rozumiana i trzymana będzie.

Do buławy wielkiej ruskiej należeć ma czyhryńskie starostwo tak jako *continetur* w przywileju urodzonego niegdyś Bohdana Chmielnickiego od Jego K. Mci konferowanym. A hetman wojsk ruskich od rezydencyi przy Jego K. Mci ma być wolen.

Konwokacya województwom kijowskiemu, bracławskiemu, czerniechowskiemu po sejmie przyszłym, da Bóg jako najprędzej od Jego K. Mci Pana naszego miłościwego, uniwersałem złożona będzie. Działo się *ut supra* w taborze pod Hadyaczem, dnia i roku wyżej mianowanych.

Stanisław Kazimierz Bieniewski, kasztelan wołyński. Bogusław: starosta, komisarz J. K. M. i Rzpltej.

Jan Wyhowski, hetman wojsk zaporozkich, ręką własną imieniem wszystkiego wojska.

Ludwik Kazimierz Jewłaszewski, kasztelan smoleński, komisarz J. K. M. i Rzpltej. [1])

Równocześnie z wciągnięciem do konstytucyi umowy hadziackiej, posypały się nobilitacye i łaski. Najprzód tedy Paweł Tetera został „deklarowany szlachcicem polskim“, potem otrzymali szlachectwo Teodozy Tomkiewicz, Peretiatkowicz, Zarudny, Wasyl Złotarenko, przezwany Złotarzewskim, Iwan Kowalewski, Harasym Kapłoński, Iwan Bohatyrowicz, Jan i Teodor Czekałowscy, Jan Rudnicki, Hawryło Lisowiec, Kalina Sokołowski, Dymitr Słoninka, Jakim Samczenko, Matyasz Papkiewicz, Hawryło Porywaj, Zacharyasz Skoła, Pekuliccy, Iskrzyccy, Jan Mazaraki, Mitczenko, Ostap Feckowicz, Maksym Bułyha, Wertereszowicz-Słoniewski, Tymosz Cicura, Bazyli Woytkiewicz, Bohdan Kaleniczenko, Stefan Derżeniewski. Wyliczyliśmy tylko tych, którzy wpisani zostali do konstytucyi. Dla innych była droga otwarta w oświadczeniu, że „według rejestru hetmana zaporozkiego podanego, do klejnotu szlachectwa“ „rycerze wojska zaporozkiego będą przypuszczani“.

Oprócz tego przywrócone zostały kozakom wolności skasowane konstytucyą z r. 1638, przywrócono Trechtymirów. Janowi Wyhowskiemu nadany został Bar, królowa odstąpiła Luboml. W konstytucyi nie wspomniano ani słówkiem o krzywdach, jakie wyrządził Rzptej, ale z wdzięcznością wspomniano, że „na Żółtych Wodach odważnie za ojczyznę krew swoją przelewał“, a po rozmaitych przejściach do ojczyzny wrócił. Daniel Wyhowski otrzymał Śmiłę, Konstantynów, Bakle, Orlowiec; Konstanty — miasteczko Łysiankę, Jerzemu Chmielnickiemu potwierdzono przywileje ojcowskie i przyjęto do klejnotu szlacheckiego, Hrehory Hulanicki otrzymał Nosówkę i Kisielówkę w woj. czernihowskiem. Fedor

[1]) Skutkiem zmieniających się ciągle warunków umowy i częstego przepisywania, pozostały rozmaite redakcye, z których korzystali późniejsi historycy i oczywiście, według posiadanego dokumentu, powyższy akt dziejowy traktowali. Jedyną wiarogodną wszakże jest ta tylko, która przedłożoną została sejmowi w r. 1659, podpisana przez komisarzy polskich i Jana Wyhowskiego i jako dokument państwowy wpisaną do konstytucyi. Przytaczam ją w całej rozciągłości, ażeby dać najdokładniejsze pojęcie o tej szerokiej podstawie politycznej i autonomicznej, na jakiej umowa hadziacka zawartą została. Istnieje redakcya najwcześniejsza, bo z daty 6. września, ale tę znamy tylko w ułamku (Akty J. i Z. R. T. IV., 141). Wieliczko przytoczył umowę według Twardowskiego (I. 315). Oprócz tego są odmienne redakcye z Kochowskiego, Bantysz-Kameńskiego, Rudawskiego i in.

Wyhowski — Steblów, Sulimowice, Dymir, Kozary, Julczę, Berezki, Cyble, Hrehory Lesnicki — miasteczko Olszankę, Prokop Wereszczaka — Kamionkę i Meszne pod Owruczem, a prócz tego przydomek „Wiernosłów“. Adam Mazepa otrzymał prawem lennem wieś Kamienice w woj. kijowskiem. Słowem, nikt nie został pominięty, kto tylko na łaskę i uznanie zasłużył.

Sejm kwietniowy okazał się nadzwyczaj hojnym dla kozaków. Wszyscy odczuwali głęboko radość z powodu dokonanej zgody, która, jak się zdawało, kładła kres walkom i niesnaskom domowym, tułaczom wracała utracone dobra, wygnańcom — domy ojczyste, kościołom — chwałę bożą, a wszystkim mieszkańcom tak pożądany spokój do pracy. „Podstawa, na której opierał się cały układ — powiada jeden z najrozumniejszych historyków niemieckich i najjaśniejszych głów — była zarówno nową jak wielką ideą“.

Tak się zakończył formalnie akt, mocą którego Ruś miała być przyłączoną do Rzpltej jako Księstwo Ruskie, na wzór W. X. Lit. Rozbiły się te układy i przyszłość cała o tę samą niesforność kozacką, o ducha niesubordynacyi, o niezdolność przedkładania interesu publicznego nad własny. Wojna domowa, między Puszkarem a Wyhowskim wszczęta, stała się początkiem zupełnego rozbicia tej idei państwowej, która wywołała pierwsze waśnie między B. Chmielnickim a Moskwą, a sformułowaną została dopiero pod Hadziaczem.

Fr. Rawita-Gawroński.

WYPRAWA GENERAŁA DĄBROWSKIEGO.

(Dokończenie).

Tomasz Wawrzecki, Najwyż. Naczelnik.

Daję ordynans Dąbrowskiemu gen.-lieutenantowi, aby jutro rano równo ze dniem, to jest skoro książę gen.-lieut. Poniatowski nadciągnie z dywizyą swoją pod Brochów, wymaszerował pod Starą Wieś i złączywszy się z dywizyą gen.-lieut. Gedroycia, Rawę i Łowicz objął i tam dalszych czekał rozkazów. Generała-majora Lipskiego z powstaniem wielkopolskiem użyje stosownie do obrotów wojska pruskiego. Nikomu, Generale, oddalać się z obozu nie pozwolisz, a któryby z oficerów bez urlopu się oddalił i w czasie patrolu na swojem miejscu nie znajdował się, takowy ma być kasowanym. Żadna rekwizycya względem potrzeb wojskowych, inaczej być nie może podawana, jako przez generała dywizyami komenderującego. Takowe rekwizycye do Rady Wojennej zanoszone być mają, która wyegzaminowawszy je, do wydziału w Radzie asygnacye prześle.

Dan w Warszawie 29. 8-bris 1794.

Wawrzecki.

Gdy ten rozkaz odebrałem wieczorem, nie mogłem go tak prędko wykonać. Brochów leży o 7 mil od Warszawy. Generał Poniatowski stał o $1^1/_2$ mili za mną niżej, więc moją wziął pozycyę i moje objął posterunki, dzień cały przeszedł i gen. Rymkiewicz nie ruszył z Brochowa aż 31. Tegoż dnia przymaszerowałem do Błonia, gdzie moją dywizyę następującym ulokowałem sposobem i zaraz do marszu nazajutrz dałem rozkaz.

Rozkaz generała-lieutenanta Dąbrowskiego, Błonie. 31. 8-bris.

Wszystkie wojewódzkie powstania kantonują w Radzikowie, w Witkach i Łaźniewie. Regiment 13. w Kopytowie, w Rokitnie; ten regiment weźmie z sobą 6 armat, całą amunicyę rezerwową i bagaże, te tak być ustanowione powinny, aby korpusowi, który jutro do Nadarzyna maszerować będzie, nie zawadzały. Regiment 4-ty kantonować będzie na Przedmieściu Warszawskiem w tamecznych gumnach i karczmach. Regiment 1-szy z 6 armatami kantonuje na przedmieściu Łowickiem. Brygada Rzewuskiego osadza Bieniewice i Żaby. Komenda mojej brygady, Chruszczyn i Kołowice. Główna kwatera jest w Błoniu na poczcie, gdzie natychmiast ordynansowi oficerowie znajdować się mają od każdego pułku.

Po żywność posyła każdy korpus do Utraty, gdzie się już porucznik Łęcki z magazynem znajduje. Żaden oficer, żaden powóz oprócz generalskiego sztabu, w mieście się znajdować nie powinien, lecz każdy przy swoim korpusie pozostać ma. W przypadku ataku zgromadza się cały korpus tak, aby prawe jego skrzydło o okopy szwedzkie się oparło, lewe o Rokitno.

Piechota cała stawa na prawem, jazda na lewem skrzydle. Milicye wojewódzkie formują drugą linię za piechotą regimentu 13-go. Jedna kompania z 2-ma 6-funtowemi armatami, obejmuje szańce szwedzkie.

Korpus, któryby napadnięty być miał, powinien się mężnie bronić, wprzód niż swego miejsca ustąpi, ażeby innym dać czas zgromadzenia się na miejscu ułożonem. Kawalerya natychmiast przed sobą i między swymi kantonami wystawi placówki i łańcuch widetów.

Jutro rano o godzinie 7-mej zgromadza się cały korpus pod Utratą, frontem do mostu, aby zaraz, jak tylko kolumna przez Rokitno przejdzie, regiment 13-ty z nią się złączył. Bagaże idą

za korpusem. Porucznik Dąbrowski z resztą brygady mojej natychmiast maszeruje do Nadarzyna i spędza tyle furażu i żywności. ile tylko będzie mógł“

W Błoniu odebrałem od gen. Gedroycia następujący

Raport.

„Stanąłem dnia wczorajszego w Tarczynie. Wdzięczny Ci jestem, iż mnie do dalszego nie naglisz marszu, gdyż konie warszawską wizytą tak mam zniszczone, że niemam już nadziei, ażeby do pierwszego powrócić mogły stanu. Pełnomocnik Wybicki wybiegł do Grojca i posłał ztamtąd obywatelów ku Rawie i Nowemu Dworowi dla powzięcia dokładnej wiadomości o obrotach i sile w tamtych miejscach nieprzyjacielskich. Jutro tu powróci. Od Góry mamy tu wiadomość, że kozacy z tamtej strony Wisły będący, posunęli się ku Pradze.

Dan w Tarczynie 31. 8-bris.

Gedroyć.

Podług dziennego raportu, korpus mój dnia tego wynosił 4.590 ludzi. 8 sztuk 6-funtowych armat i 3 armaty 3-funtowe.

Według podanego raportu miałem był generała Lipskiego z powstaniem wielkopolskiem za Bzurę wysłać: lecz ten zachorowawszy, został się w Warszawie. Innych zaś wojewódzkich generałów, pułkowników i komendantów nie było w obozie. Nikogo więc takowego, któryby za Bzurę mógł przejść i komenderować nie było.

Jeden tylko generał Skórzewski z Kaliskiego był przytomny, ale słabość zdrowia jego przeciwiła się jego chęci, a gdy ja też nie w najlepszem znajdowałem się zdrowiu, nie mogłem więc obejść się bez generała Rymkiewicza.

Dnia 1. 9-bris ruszyłem z korpusem moim do Nadarzyna, gdzie go dla wygody i ostrożności po blizkich rozlokowałem wioskach. Tu odebrałem od komisaryatu wojennego, zamiast do marszu koniecznie mi potrzebnych rekwizytów, nic nieznaczącą odpowiedź, mianowicie dla tego, żem niecałą listę rzeczy potrzebnych, ale szczególnych podpisał korpusów. Podobne pismo odebrałem od Naczelnika z tym dodatkiem, abym od komisaryatu nic wprzód nie żądał. pókibym potrzeby korpusów nie wyegzaminował. na co odpisałem.

Odpis generała Dąbrowskiego Naczelnikowi.

„Wczoraj odebrałem od wydziału wojskowego odpowiedź, na żądanie odemnie zaniesione w Warszawie, z którego dowiaduję się, że wydział tego wszystkiego, o co pisałem, wydać nie obiecuje i bez mego podpisu specyfikacyów nic wydać nie chce. A zatem najmocniejsze niosę prośby do wydziału potrzeb wojskowych, aby raczył tym oficerom, którzy od korpusu mego już znajdują się w Warszawie i czekają na odebranie rekwizytów potrzebnych, bez podpisu mego wydać to, o co przez osobne specyfikacye rekwirować będę. Ja z osobnym podpisem wydziałowi nadeszlę kwit za odebrane rekwizyta — albowiem teraz w marszu nie wiedząc co wydział wydać może i co oficerowie w Warszawie będący odbiorą, kwitu przesłać nie mogę. Ponawiam jeszcze raz prośbę moją o wydanie jak najprędsze i załatwienie moich oficerów, bez czego ta ważna czynność, do której z korpusem moim przeznaczony jestem, żadną miarą rozpoczęta być nie może.

Nadarzyn, 2. 9-bris 1794.

Dąbrowski."

Raport generała-lieut. Gedroycia do gen.-lieut. Dąbrowskiego.

„Komunikowałem zaraz rekwizycyę Twoją komisarzowi Kościelskiemu od wydziału żywności do dywizyi mojej przydanemu, aby na przybycie dywizyi Twojej zrobił potrzebny zapas. Daj Boże! lepsze Tobie niż nam szczęście, bo garścią zboża kilkanaście musim dzielić koni. Z Tarczyna wyruszyć nie mogłem bez Twojej woli. Jutro rano wymaszeruję do Odrzywołka, a pojutrze do Starej Wsi, gdzie dalszych Twoich czekam rozkazów.

Tarczyn 1-go 9-bris.

Gedroyć, gen.-lieut."

Dnia 2. 9-bris maszerowałem do Tarczyna, gdziem zwyczajnym sposobem korpus mój rozlokował i następujący o tem Naczelnikowi dałem raport.

Raport generała-lieut. Dąbrowskiego do Najwyższego Naczelnika Wawrzeckiego, d. 2. 9-bris 1794.

„Dziś tu przymaszerowałem, jeszcze ani pontonów ani ciężkiej niemam artyleryi, ani żadnych żądanych odemnie rekwizytów. Korpus mój, który w ustawicznym był marszu i tyle zdobyczy do Warszawy przysłał, nie zasłużył sobie zapewne, aby dla tego tak był opuszczony i zaniedbany; mówię to, ponieważ on sam jest, któremu wszystkiego braknie. Spodziewam się pomimo wszelkich przeszkód złączyć sie z gen. Gedroyciem i następnie do dalszych przystąpić operacyj, ale bez tego wszystkiego, com żądał, nie rozumiem, aby mi sie udać miało. — Tarczyn.“

„Dnia tego przyjechał do mnie gen.-lieut. Gorzeński, ażeby, choć był starszym generałem, podemną i w moim służył korpusie. Przywiózł z sobą wiadomość o postępowaniu wojsk rossyjskich ku Pradze i że generał Fersen pod Górą Wisłę przejść zamyśla.“

Raport generała Gedroycia. 2. 9-bris 1794.

„Dla niewygodnego miejsca w Odrzywołku na obóz, raz że wody nie ma, drugi, że cała żywność lokowana w Grójcu, pod tenże Grojec podciągnąłem: do Starej Wsi posłałem 100 koni, dla przygotowania żywności i zaraz dla tamtych bezpieczeństwa jeszcze 200 wyślę.

Dnia 3. 9-bris ruszyłem z korpusem moim na Grojec do Starej Wsi, gdzie korpus generała Gedroycia, miedzy Bielskiem i Stara Wsią obozował. Ja rozlokowałem mój korpus po wioskach pobliższych, posłałem natychmiast posterunki i patrole do Błędowa, Biały, Mogielnicy i Mszczonowa. Generałowi Ożarowskiemu dałem ordynans być w pogotowiu do marszu i na baczności.

Dnia 4. chciałem odpocząć a 5-go na Rawę do Wielkopolski wkroczyć i wszędzie szukać nieprzyjaciela. Korpus generała Gedroycia mocny był 2.000 głów piechoty regularnej, 1.000 strzelców i 700 jazdy. Ten korpus prowadził z sobą 3 granatniki 8-funtowe, 6 armat 6-funtowych i 8 armat 3-funtowych.

Złączywszy się z tą dywizyą, miałem 8.000 ludzi i 33 sztuk armat: nie licząc generała Ożarowskiego, który w 1.000 jazdy stał pod Mszczonowem i którego, kiedy bym chciał, do siebie ściągnąć mogłem.

Korpus generała Gedroycia jeszcze bardziej obdarty był, niż mój, piechota ze wszystkiem znużona, jazda nieużyteczna zupełnie, artylerya z złym zaprzęgiem. To wszystko jednak dziwno nie było, gdy korpus ten od najodleglejszych granic Żmudzi, zawsze czynnie aż dotąd maszerował.

Dywizya moja była rzeźwa, cieszyła się widząc się wzmocnioną. Piechota wprawdzie, chociaż była do połowy nieodziana, zdrowa i wesoła, karmiła się nadzieją, że to, co jej brakowało, z Warszawy sprowadzone będzie. Jazda miała dobre konie i posiadała wewnętrzną służbę jak najdokładniej. Artylerya moja miała dobry zaprząg i dobrze była urządzona. Major Małachowski przodkował jej. Słowem, gdybym to, com od komisaryatu żądał, mógł był odebrać, nic by naówczas korpusowi mojemu nie brakowało i byłoby zapewne najmustrowniejsze i najlepiej odziane w całej Polsce, bo byłoby jedyne, które w całej kampanii żadnej nie poniosło od nieprzyjaciela klęski, przeciwnie zaś znaczną zdobycz i wiele brańców zyskało.

Oficerowie czuli sprawiedliwie, iż się podczas kampanii czegoś nauczyli byli, że rzemiosło swoje lepiej poznali, już się na wysłanych na komenderunki lub detaszerunki zupełnie spuścić można było. Dalej byli od wszystkich ekscesów baczni i ostrożni, przekonani oraz, że nie gadanie lecz czynność żołnierza w ekspedycyach jakichkolwiek rzecz losu stanowiła i stanowi.

Miałem bardzo dobrych strzelców, których godny generał Rymkiewicz, dawniejszy ich podpułkownik, wyćwiczył i wymusztrował; pułkownik Sokolnicki, młody, czynny i gorliwy oficer, komenderował nimi. Milicye wojewódzkie formowały się prędko, osobliwie pułk Wyganowskiego, pułkownika, pod swym dobrym i wiadomym wodzem, poznawały nakoniec, że subordynacya i porządek pierwszemi są żołnierskiego stanu sprężynami. Ekscesa też zmniejszały się i już ich na forpoczty i patrole użyć można było. Na końcu już żadnej kawaleryi nie potrzebowałem dla okrycia obozu jak tej milicyi. Regularnie stawiałem ich w linii, albo nią piechotę okrywałem. Tak o niej zupełnie byłem upewniony, że się napaść nie da, jak o piechocie, że natychmiast pod bronią stanie.

Najczęściej maszerowałem w dwóch kolumnach, jak najporządniej, 4 lub 5 mil na dzień, bez mięszania i łamania linii. Żaden żołnierz nie występował już więcej z porządku. Kazałem często się zatrzymać, ażeby ludzie spocząć i otrzeźwić się mogli. Kawalerya i strzelcy formowali straż przednią, tylną i boczną;

ukontentowanie było widzieć kolumnę postępującą, okrytą i wszechstronnie strzeżoną przez flankierów, którzy się na pół mili mniej lub więcej, według potrzeby, rozciągali. Byłem czasem przymuszony maszerować nocą, a i wtedy, jak we dnie, o zachowanym porządku pewny byłem. Taki był korpus mój: dzięki wszystkim w nim służącym oficerom za ich prace, staranie i rozwagę i wszystkim żołnierzom za ich posłuszeństwo, często wytrzymane niebezpieczeństwa i nędzę! Dzięki szczególniej przy korpusie moim znajdującemu się generałowi Rymkiewiczowi, który mi nie tylko w pracy mojej pomocą był, ale nawet często przodkował. Dzięki obudwom adjutantom moim, maj. Zabłockiemu i Molskiemu, za ich okazane dla mnie przywiązanie i doświadczone przykrości. Wspomnieć jeszcze powinienem niektórych oficerów a osobliwie z brygady mojej. majora Bielanowskiego i Duczymińskiego, poruczników Zabłockiego i Chrząstowskiego. mężów, którzy z wytrzymałą stałością, zawsze powinności swoich dopełniali, mnie w dobrych i złych razach nie opuścili. wszystko ze mną cierpliwie znieśli i do samego końca przyjaciółmi mymi zostali. Nie tak jak inni, podło myślący, którzy tak długo i póty mi nadskakiwali, póki im być mogłem pożyteczny. Wyznać atoli muszę, że z tych ostatnich znam tylko dwóch, których imiona nie są godne być umieszczonemi w niniejszym Dzienniku."

Nad wieczorem d. 3. 9-bris odebrałem od Najwyższego Naczelnika następującą odpowiedź:

Odpowiedź Najwyższego Naczelnika generał-lieutenantowi Dąbrowskiemu.

„Oficerów. którzy tu przysłani byli po rekwizyta. odesłałem napowrót, nie dlatego. ażebym odmówił zadosyć uczynienia żądaniom, ale żeby raz wniść w porządek. który sobie Rada wojenna przypisała. Wyegzaminuj wprzód Generale. stosownie do ordynansu, w rekwizycye korpusów wejrzej. żeby się tylko te dopominały, ile im istotnie potrzeba i jak skoro rekwizycyę podpiszesz, nieodwłocznie wszystko wydać każę i niech ten porządek już na zawsze będzie zachowany. Względem pontonów już Ci Rada wojenna odpowiedziała. iż ks. Józef ma 6 pontonów. które Ci tymczasem służyć mogą: zarekwirujesz więc o nie na mocy tej odpowiedzi do księcia, wszak jeszcze rzek wielkich do przeby-

cia przed sobą niemasz. Będą i pontony, gdy tego potrzeba będzie. Niedopuszczam tej myśli, aby podobne zawady miały opóźniać operacye nasze, z tem wszystkiem obawa najmniejszej zwłoki niespokojnym mnie czyni. Rób, Generale, spieszno, co masz do wykonania. Egzekucya nadgrodzi niedostatek, na niej wszystko zależy i tej od Ciebie żądam.

D. 2. 9-bris.

Wawrzecki.“

Wprzód bym się był śmierci, niż takiej spodziewał odpowiedzi. Bez namiotów, bez mundurów, butów i płaszczy, zimową zacząć kampanię i pod gołem niebem (dla niektórych ludzi widzimisię) leżeć? Nadzieja żołnierzy moich, że potrzebne z Warszawy rekwizyta odbiorą, znikła! Widzieli oni wykomenderowanych po nie oficerów, próżno powracających, słyszeli na niepotrzebne bawienie się w Warszawie wydatki. Słyszeli ich opisujących nędzę tameczną i jak trudno było cokolwiek z komisaryatu dostać. To wszystko zniechęcało ludzi i umniejszało ufność w dowodzących nimi.

Dnia 4. 9-bris odpoczywałem, wszystkie patrole i placówki raportowały, że nigdzie nieprzyjaciela nie widziały. Szpiegowie zaś dali wiadomość, że nieprzyjaciel wzdłuż Rawki, od Rawy w Nowym Dworze i w Skierniewicach miał swoje komendy i że najmocniejsza w Nowym Dworze okopała się. Chciałem więc niby pokazać, że chcę wzdłuż Rawki nieprzyjaciela atakować, generała Ożarowskiego miałem na Rawę przez Mszczonów i Białe detaszerować, aby tam jego uwagę ściągnął. Lekki korpus z 2.000 ludzi miał pod Nowem Miastem pod dowództwem generała Rymkiewicza pójść przez Pilicę a pod Sulejowem znowu się na tę stronę przeprawić i na Piotrków uderzyć. Ja z korpusem chciałem iść na Inowłódź, Wolbórz do Piotrkowa, generał Kleyst stał z sztabem i z korpusem pod Jezusową Wolą na prawym brzegu Pilicy, Generał Fawrat w Piotrkowie, ale obadwa nie byli w takiej sile, jak ja. Mały korpus kawaleryi miał Rawę od Lubochni napastować a mój major Bielanowski, który był w okolicy Ujazdu, chciał nieprzyjaciela od Łowicza obserwować; sieradzkie zaś i wieluńskie powstania obserwowały go od Częstochowy.

Pomimo niepomyślnej odpowiedzi względem żądanych odemnie rekwizytów, byłem jeszcze dobrej nadziei i postanowiłem sobie mój korpus kosztem nieprzyjaciela opatrzyć.

Objechałem moje kantonowe kwatery; ludzie moi rozlokowani byli po dużych wsiach, mieli dostatkiem do jedzenia i picia, czas zaczynał być pięknym, słowem mieli dobry spoczynek i dobrze i ciepło wyspać się mogli. Przednia straż już była ruszyła, gdy kuryer z Warszawy od Naczelnika nadbiegł z wiadomością o zdobyciu Pragi i z ordynansem, ażeby jak najprędzej Gedroyć do Warszawy spieszył. Ten generał ruszył zaraz po południu. Ja się w moich kantonowych zostałem kwaterach i tym sposobem cała ekspedycya do Wielkopolski w niwec się obróciła. Tymczasem żadnym sposobem cały nie mogłem się zostać w Starej Wsi. Nie była to pozycya, w którejby utrzymywać się można było. Nie miałem już żywności. Żeby mnie zaś generałowie pruscy Fawrat i Kleyst od Pilicy nie odcięli, gdzie już magazyn miałem założony, pomaszerowałem więc dnia 5-go 9-bris do Gostomii nad Pilicą, o małą milę od Nowego Miasta. Tu wprawdzie na polu stanąć musiałem, zaczem kazałem tyle, ile możność dozwoliła, porobić szałasów, opatrzywszy ludzi moich w słomę i tem musieli się kontentować, a chociaż naprzód postępowali, nie tracili serca.

Stałem zaś tym sposobem:

Regimenta 1-szy i 4-ty stały w linii. Lewe skrzydło oparłem o Gostomię, prawe zaś o Tomczyce. Na prawem stała brygada Rzewuskiego, na lewem pułk Sieroszewskiego z powstania poznańskiego. Przed prawem skrzydłem na górującej wysokości stał batalion 1-szy z 4 armatami 6-funtowemi regimentu 13-go i pułk Garczyńskiego z powstania poznańskiego pod komendą mężnego pułkownika Burzyńskiego z regimentu 13-go; o ćwierć mili od prawego skrzydła w Tomczycach nad Pilicą stały 2 kompanie regimentu 13-go z 2 armatami i pułk Wyganowskiego z powstania poznańskiego. Tu natychmiast kazałem na Pilicy most zrobić. W lesie mogielnickim stało powstanie łęczyckie, pod swoim pułkownikiem Kryzą Dąbrowskim. W lesie błędowskim powstanie gostyńskie pod swoim pułkownikiem Kazimierzem Dąbrowskim. W Brustowicy przed frontem obozu stało 200 koni brygady mojej, pod komendą majora Duczymińskiego. W Lubani stało 100 koni pod kom. porucznika Dąbrowskiego. W Nowem Mieście stała reszta milicyi wielkopolskiej i strzelcy Sokolnickiego, 2 kompanie regimentu 13-go z 2 armatami pod komendą generała Skórzewskiego. Pod Nowem Miastem kazałem zrobić dwa mosty na Pilicy i natychmiast wysłałem detaszerunki na tamtą stronę rzeki, również ku Inowłodzowiu. Obóz mój był z natury mocny, trudno go było atakować i dla uczynionych urządzeń niespodzianie nań

napaść było niepodobna. W samym marszu odebrałem od Naczelnika ekspedycyę, w której mi doniósł o zawartej dla Warszawy kapitulacyi i razem, że generał Gedroyć z korpusem swoim do Warszawy ma spieszyć. Ja zaś żebym się do Tarczyna cofnął.

Z Gostomii raportowałem mu uczynione przezemnie urządzenie i jak niebezpieczno było dla dalszych operacyj, gdybym miał Pilicę porzucić, i że żołnierze moi zupełnie zniechęceni zostaną, gdyby powrócić mieli, tam, gdzieby już nie mieli żywności. Uczyniłem zaraz rozporządzenia, aby ją sprowadzić; jakoż za pomocą pełnomocnika Linowskiego, wnet doprowadzoną została. Ludziom na niczem nie brakowało, jak czasem na chlebie, ale zresztą, wodę, mięso, kaszę i krupy mieli. Naznaczyłem każdemu korpusowi jedno lub dwa miasteczka (których tu jest wiele), gdzie by ludzi wykomenderować mogli dla zrobienia mundurów z zabytku sukna i płótna z Bydgoszczy. Trzeciego dnia obozowania mego pod Gostomią, dało się zupełnie uczuć korpusowi memu nieszczęście Pragi i Warszawy. Przyjeżdżali do obozu generałowie, oficerowie, żołnierze i z obudwóch miejsc nieśli z sobą trwogę i bojaźń, opowiadając tysiąc baśni (!) o okrucieństwach Moskali i t. d. Z początku kazałem takich ludzi aresztować i surowo się z nimi obchodziłem ale nakoniec tak ich było wiele, że liczba aresztowanych przewyższała strzegących. Szukałem wszelkich sposobów, ażebym mój korpus od tej zarazy zachował, i nie znalazłem innego nad zaręczenie, że go za 3 dni do Wielkopolski zaprowadzę. Naczelnikowi codziennie o tem wszystkiem dawałem raporta z zapytaniem się, jak dalej mam się sprawować. Nie odebrałem jednak żadnej odpowiedzi. A gdy mi w tak krytycznych czasach ta była potrzebna bardzo i oraz powzięcia o tem wszystkiem pewniejszej wiadomości, wysłałem generała Gorzeńskiego do Warszawy, który mi się w najkrótszym czasie powrócić obiecał. W jednym czasie wysłałem zaufanych oficerów do wszystkich korpusów, aby się przez nich dowiedzieć, co też między tylu bajkami prawdziwego było, i dla wyśledzenia opinii wszystkich tych korpusów. Tymczasem na nikogo tak się nie mogłem spuścić, jak na gen. Gedroycia, męża pełnego patryotyzmu, cnoty i odwagi, od niego pierwszą wiadomość odebrałem na moje zapytanie tyle razy przesłane, w tej osnowie:

„Po południu już nikt dotąd nie pokazuje się z Warszawy. Posłałem dwóch kuryerów i generał Łaźniewski wysłał przed moimi, żaden jeszcze nie powraca.

„Nieszczęście moje, że nic niemam kawaleryi dla wysłania patrolu i dowiedzenia się, co to ma znaczyć. Wiem, że był rozkaz, aby nikogo nie wypuszczano z Warszawy, ale kuryerzy powinniby być z tego wyjęci. Nie odsuwaj się daleko, a most każ mieć gotowy na Pilicy, podobno, że los mój z tobą dzielić potrzeba będzie.

Twój życzliwy

Gedroyć z Tarczyna.“

Rozkaz dany mi od Naczelnika, abym się cofnął do Grójca, był następujący:

Tomasz Wawrzecki, Najwyższy Naczelnik.

„Kapitulacya miasta Warszawy z generałem rossyjskim zakończona, z zabezpieczeniem wszystkich obywateli i ich majątków. Armistycyum między wojskiem rossyjskiem i Rzeczypospolitej do dnia 11. praesentis przeciągnięto: dla wyprowadzenia armat i amunicyi. Prusacy dziś pod Zakroczymiem przeprawili się. Niech sobie idą na Warszawę i rozmówią się z Moskalami. Tymczasem kolumny generała Gedroycia, generałów-major. Kamienieckiego i Wyszkowskiego, tudzież i ja z Warszawy z resztą wojska ściągniemy się do Tarczyna. A Ożarowski i Kołysko krążąc ku Mszczonowu, komunikacyę z dywizyą Twoją utrzymują, z którą trzeba, abyś ku Grójcowi ciągnął na to, żebyśmy się wszyscy w kupie znajdowali: a ztamtąd dalsze układy i plany przedsięweźmiemy. Wszystkich zaś wojskowych pieszych i konnych, których nierozsądna trwoga, po opanowaniu Pragi, z Warszawy ku Twoim szańcom wypędziła, zbieraj, formuj i pod komendę Twoją łącz. Liberadzki także odebrał rozkaz iść przez Kozienice, wszystko pójdzie dobrze, ale tego trzeba, by nas nieprzyjaciele w kupie widzieli. Ostrzeż także obywatela Dobrakowskiego, komisarza żywności, któremu zlecisz furaż i żywność w Grójcu przygotować na 25.000 głów i 10.000 koni, takoż powiedz, iż cyrkulacya dalsza, dając walor biletów i zaręczeń skarbowych, w kapitulacyi z generałem rossyjskim na dalszy czas zawarowana.

Dan w Warszawie, 7-go 9-bris.

Wawrzecki.“

Na ten rozkaz odpisałem Naczelnikowi w ten sposób.

„Odebrałem od Najwyższego Naczelnika stan rzeczy przez porucznika od artyleryi Dąbrowskiego, a razem zalecenie, abym z komendą moją do Grójca maszerował. Za powinność moją sądzę dać tłumaczenie, dla czego w tym momencie tego rozkazu egzekurować nie mogę i z tej przyczyny umyślnego wysłałem kuryera.

1. Wojsko pod komendą moją w nadziei, że na nieprzyjaciela pójdziemy, dotąd utrzymywane, rozprószyłoby się, gdyby widziało, że się ku Warszawie cofamy.

2. Marsz mój do Grójca, odkryłby całą Pilicę, którą do tego czasu zasłaniam i której obudwóch brzegów jestem panem: gdybym je zaś opuścił, pewny jestem, żeby zaraz od nieprzyjaciela opanowane były, a przeto stracilibyśmy wszelką komunikacyę i żywność, którą dotąd z Sandomierskiego i Krakowskiego sprowadzamy: nadto mielibyśmy potem największą trudność i stratę ludzi, oczyścić ją i przebyć, a zatem stoję teraz, wszystkim korpusom do Tarczyna maszerującym, w asystencyi.

3. Żadną miarą tyle furażu i żywności nie można sprowadzić do Grójca, ile ich Najwyższy Naczelnik wymaga, albowiem w tej okolicy żadnych fur niema, ani założonych magazynów, z których by można wszystko dostawić. O woli jednak Najwyższego Naczelnika, sprowadzenia pod Grójec żywności i furażu doniosłem Dobrakowskiemu, komisarzowi.

4. Dziś był u mnie komisarz wydziału żywności, który mnie pytał, gdzie magazyny założone być mają, spodziewając się, że po wzięciu Warszawy, nasze operacye nad Pilicą czynić będziemy. Powiedziałem mu, aby w Przyzusze, Przytyku, Jedlińsku i Radomiu założył i tam kaszy, chleba, mąki, najwięcej przysposobił. A także do pełnomocnika Linowskiego, w Radomiu będącego, pisałem. A zatem jako żołnierz i obywatel odważam się Najwyższemu Naczelnikowi, znając dobrze tutejszą pozycyę i położenie nieprzyjaciela, następujący podać projekt."

Projekt generała Dąbrowskiego.

„Po wzięciu Warszawy nic nam innego nie pozostaje, jak utrzymać się w Sandomierskiem i Krakowskiem, a ztamtąd ope-

racye w Sieradzkiem i w dalszej Wielkopolsce wykonywać. Dla uskutecznienia tego zamiaru musiałby gen. Madaliński z kawaleryą swoją i 200 strzelcami iść do Inowłodza, tam przejść Pilicę i nad samą tą rzeką zasłaniać korpus mój, który pod Nowem Miastem Pilicę przebywszy, na Drzewiec, Opoczno Końskie i Małogoszcz, ku Krakowu uda się. Korpus X. generała Poniatowskiego powinienby dniem jednym później za mną maszerować i mój korpus asekurować. Bagaże i ciężka artylerya powinnyby się pod Tomczycami przez Pilicę przeprawić i iść na Przyzuchę, Szydłowiec i Chęciny. Kolumna zaś Gedroycia, z wojska warszawskiego złożona, na Warkę, Jedlińsko, Iłżę, do Chęcin. Do uskutecznienia tego zamiaru, momentu jednego tracić nie można, bo najmniejsza zwłoka grozi nam największem niebezpieczeństwem. Z przejętej korespondencyi tego dociekłem, że do Piotrkowa nieprzyjaciel siły swoje ściąga, trzeba więc, abym najspieszniej mógł być pod Opocznem, dla okazania, że myślę o Piotrkowie.

Z pod Gostomii, 8. 9-bris.

Dąbrowski."

List generała Dąbrowskiego do generała Kołysko, dnia 7. 9-bris 1794.

„Stanąłem z korpusem moim pod wsią Gostomią, żadnej dotąd pewnej o Warszawie nie mam wiadomości. Posłałem kilku kuryerów do Naczelnika, żaden nie powraca i żadnego także od dni kilku nie odbieram rozkazu, co mnie w największą wprawia niespokojność. Posyłam umyślnie do Ciebie generale, racz być w największej ostrożności i gotowości do marszu, szukać ze mną komunikacyi, abyś mógł za najpierwszem przezemnie lub Naczelnika uwiadomieniem, złączyć się i wspólnie dzielić się z nami.

Obowiązuję cię generale na wszystkie obowiązki uwiadomić o tem generała Ożarowskiego z korpusu X. Poniatowskiego i zachęć ich do wspólnego z nami złączenia się. Ratujmy do ostatniego naszą Ojczyznę. Ściskam cię serdecznie i czekam twej odpowiedzi".

Oficer z tym listem wysłany oświadczył, iż generał Kołysko swój korpus opuścił. Już wtedy generał Gedroyć z Warszawy powracał, dla złączenia się ze mną. Korpus atoli jego był w War-

szawie niesłychanym postrachem; wojsko, nieporządkiem zarażone, znacznemi kupami pierzchało tak dalece, że gdy do mnie doszło, więcej nad 500 ludzi nie było.

W Warszawie dowiedział się Naczelnik, że w korpusie nad Bzurą będącym, wielka się wszczęła fermentacya. Ks. generał Poniatowski od kilku dni zachorowawszy, z woli Naczelnika udał się do Warszawy, oddał komendę niedoświadczonemu i zaufania niemającemu generałowi Kamienieckiemu. Raz w tym korpusie mówiono, że Naczelnik oddał komendę królowi, znowu że ją król Naczelnikowi odebrał, także iż całe wojsko zostało rozpuszczone, albo że się Moskalom poddało. Słowem był najstraszniejszy nieporządek. Sztabs-oficerowie i subalterni wydali list okólny ze swoimi podpisami, którego jedynym celem było pomnożyć i pokazać nieukontentowanie, nieposłuszeństwo i niezgodę. Część ich chciała być pod komendą króla, część pod Naczelnikiem, jedni chcieli iść do Warszawy, drudzy łączyć się ze mną. Dla zapobieżenia temu wysłał Naczelnik generała Niesiołowskiego, który to korpus miał wziąć pod nową komendę i do mnie przyprowadzić. Udał on się wprawdzie na miejsce samo, ale bezskutecznie. Komendanci i pułkownicy regimentów porzucili swych żołnierzy. Żołnierze swoje szeregi i każdy poszedł, gdzie mu się podobało. Armaty i pontony dostały się później w ręce Prusaków.

Dobrze myślący oficerowie korpusu tego narzekali najwięcej na Hebdowskiego, gwardyi pieszej koronnej pułkownika i na Tolkmita, majora regimentu 9-go, którzy najpierszą mieli być sprężyną zamieszania, ile nie mając do dalszego wojowania chęci. I z tej przyczyny tenże pułkownik udać się miał do Łowicza dla kapitulacyi z Prusakami. Brygadyer Kołysko, generał Wyszkowski opuścili swoje korpusy bez zezwolenia Naczelnika, te zaś po tym same się rozeszły. Ta jest a nie inna przyczyna końca nieszczęśliwej wojny naszej. Bo gdyby wojsko nasze w kupie się znajdowało, łatwo by nam było przez zimę operować. Do smutnych okoliczności, w których się znajdowałem, tę jeszcze wiadomość otrzymałem, że Austryacy Radom opanowali, o czem następujący Naczelnikowi uczyniłem raport.“

Raport generała Dąbrowskiego.

„Z wiadomości, które odbieram w tym momencie przez komenderowanego odemnie oficera do Radomia, z ordynansem do

pełnomocnika Linowskiego, względem przystawienia dla wojska żywności, dowiaduję się, iż wojska austryackie do Radomia wkroczyły i w okolicach Radomia już się znajdują. Forpoczty austryackie widział na swoje oczy oficer ten i zapewniono go, iż komisya tamtejsza rozprószona. W takowem położeniu rzeczy uznać musi Najwyższy Naczelnik, iż położenie moje co moment jest gorsze i potrzebuje wsparcia, gdyż spodziewać się powinienem, że i Prusacy z Rawy, Piotrkowa, Łowicza na nas pójdą, żywność zaś i furaże, z okolicy Radomia spodziewane, chybią zapewne. Przekonany jestem, jako poczciwy człowiek i dobry Polak o tem, co mnie i każdemu z nas czynić należy: dla tego oznajmię Naczelnikowi, że przerznąć się gdziekolwiek jestem determinowany. Podług wszelkich kalkulacyj przymuszony jestem wyruszyć jutro, na Pilicę: starać się jednakowoż będę koniecznie zostawić asekuracye mostom na Pilicy: jednego pod Tomczyceami a dwóch pod Nowem Miastem, dla uskutecznienia komend za mną idących. Ztąd Naczelnik przekonać się powinien, iż marsz owej kolumny, za mną idącej, przyspieszyć trzeba, aby oderżnięta nie została.

W Gostomii, 9. 9-bris.

Dąbrowski."

Tymczasem przybyli do obozu Naczelnik z Zakrzewskim prezydentem i z innymi z Warszawy, generałami: Gedroyciem, Giełgudem. Generał Niesiołowski sam tylko powrócił, wszyscy zaś inni generałowie, oficerowie, porzucili swoje korpusy i komendy. Madaliński wprawdzie przybył do Białychbrzegów z komendą swoją, o milę za moim obozem i sam do mnie przyjechał, znajdując się wprzód na Pradze osobiście, gdy okopy tego przedmieścia były opanowane, lecz zamiast wzbudzania męstwa, nie mówił, jak tylko o zdradzie i rozpaczy. Nakoniec, ten to zawsze dobrze myślący Polak i w cnocie tej przykładnie czuły, miał to nieszczęście, że złudzonym zostawszy przez ludzi, osoby jego niebezpieczeństwo wystawiających, z jakiegoś spisku wyniknąć miane, opuścił wojsko równie jak generał Zajączek, Mokronowski, Wyszkowski, Kołysko, Ożarowski; wszyscy ci co rewolucyę zaczęli, niechcieli do jej końca dotrwać, zostawiając nas samych własnemu losowi. Powrócił w tym czasie z Wielkopolski major Bielanowski, nadszedł także z Warszawy wielki transport artyleryi, ale z wołowym zaprzągiem, bez amunicyi i bez usługi tak dalece, że się

wiele sztuk po drodze zostać musiało. Wszystka skrzętność w celu zapobieżenia temu niedostatkowi była nadaremna. Brygada moja dała 40 koni pod armaty, inne korpusy kawaleryi toż samo czyniły, lecz gdy wszystkiego, a mianowicie żywności niedostawało, wszystko było bezskutecznem. Tysiąc układano projektów, wszystkie miały za cel Ojczyznę i wojsko ratować. Reprezentacyę Narodową zachować. lecz co dzień nowe nastawały trudności, co dzień niebezpieczeństwa jawne. dobrej chęci stawiały straszne zapory.

Od wszystkich albowiem korpusów odbierał Naczelnik raporta, że je komendanci opuszczają i że się ludzie rozchodzą.

Jedną jeszcze była dywizya brygadyera Jaźwińskiego. która Wisły między Warką i Kozienicami strzegła. a która także do nas na Jedlińsko i Przyzuchę nadciągnęła. Wkrótce też usłyszeliśmy że się kozacy w Przybyszewie i Warce pokazują. Po opuszczeniu przez generała Madalińskiego brygady własnej. złączyła się ona ze mną: powierzyłem jej prawego skrzydła krycie. Prusacy zachowali się bardzo spokojnie w swoich posterunkach i wszystkie ich patrole ustępowały przed naszymi. Lecz gdy już Moskale od Grojca i Warki pokazywać się poczęli, Austryacy zaś w Radomiu magazyn z całą żywnością nam zabrali, nie zostawało nam nic więcej jak w Krakowskie spieszno maszerować i ztamtąd dalej operować. W tym celu następujący od Naczelnika wydany został rozkaz w Gostomii 11. 9-bris.

Rozkaz Najwyższego Naczelnika.

„Major Bielanowski przejdzie natychmiast Pilicę pod Nowem Miastem, i pomaszeruje do Drzewicy dla rekognoskowania nieprzyjaciela.

Brygadyer Gordon z brygadą Madalińskiego i 200 strzelcami, 2 kompaniami regimentu 13 i 4 armatami 3 funtowemi pomaszeruje również z Pilicą na Odrzywołek. zostawiając Drzewicę na lewo do Opoczna i Białaczewa. gdzie nieprzyjaciela od Pilicy i Żarnowa obserwować będzie.

Cały korpus o 6-tej rano jutro rusza: przejdzie Pilicę pod Nowem Miastem. wziąwszy 1 armatę 3-funtową, pod Tomczycami przeprawi się pułkownik Wyganowski i do Drzewicy pomaszeruje, tak żeby korpusu lewo skrzydło okrywał. Strzedz się będzie, aby się do traktu wielkiego, z Nowego Miasta do Drzewicy idącego

nie przybliżał i dopiero stanie, gdy Drzewicę spostrzeże i natychmiast mi o tem zaraportuje.

Brygadyer Jaźwiński przejdzie Przytyk i na Przysuchę.

Dywizya generała lieutenanta Dąbrowskiego pójdzie naprzód, za nią wielki park. Potem korpus generała lieutenanta Gedroycia. Tę kolumnę przeprowadzi generał Dąbrowski przez most, co po lewej jest stronie, bagaże pójdą mostem na prawej stronie będącym.

Każdy korpus może za sobą wozy z kociołkami i z żywnością prowadzić. Tak mój marsz ułożyć chcę, żebym pojutrze był w Końskich. — Major Bielanowski w Radoszycach, brygadyer Gordon w Białaczewie, a generał Gedroyć w Opocznie. Wszystkie te detaszerowane korpusy prześlą mi codziennie raporta z doniesieniem jak stoją i jak daleko od nieprzyjaciela i razem mi doniosą o wszystkich obrotach jego

Wawrzecki."

Dnia 12. 9-bris. ruszyliśmy wprawdzie, ale w jakim nieporządku, iż trudno opisać. Marsz został do skutku przywiedziony; bagaże, park artyleryi, piechota, jazda, tak się wszystko zmieszało, że po przejściu Pilicy cały korpus zastanowić się musiał, ażeby do pierwszego wrócić się porządku. Brygada Biernackiego złączyła się z nami, jako też część brygady Kołyski przezeń opuszczonej.

Marsz mój trwał bardzo długo, czas był bardzo przykry, konie parkowe wcale już iść nie mogły i znowu wiele armat musieliśmy zostawić pomimo że 200 koni z mojej brygady na nowo dałem. Nad wieczorem przymaszerowała dywizya moja do Drzewicy. Rozkwaterowałem się po mieście i po bliższych wioskach, wyjąwszy regiment 4, który dla górującej pozycyi pod gołem niebem zostać musiał.

Park i komenda Gedroycia, dopiero nazajutrz ściągnęły; miejsce ich obozowania było na wzgórku przed Drzewicą i ku Nowemu Miastu leżącym. Wpół drogi od Nowego Miasta przybiegł oficer, przysłany od generała Niesiołowskiego, który się był w Nowem Mieście został i tamże przysłanego oficera od generała Soworowa zatrzymał.

Oficer ten proponowanej kapitulacyi następujące przywiózł punkta:

1. Powszechna amnestya.

2. Reszta wojska będzie rozpuszczona.

3. Każdemu własność zapewniona będzie.

4. Oficerowie subalterni dostaną paszporty i gemejni od swoich komendantów. Wyżsi oficerowie dopiero za rossyjskimi paszportami będą się mogli tam udać, gdzie im się podobać będzie.

5. Oficerowie i towarzysze broń swoją zatrzymają, gemejni zaś przed wykomenderowanym rossyjskim oficerem złożyć ją powinni.

6. Armaty i broń nazad do Warszawy sprowadzone i w arsenale złożone będą.

7. Wszystkie znajdujące się pieniądze, rozdane będą pomiędzy oficerów i żołnierzy, a mianowicie między artylerzystów, którzy armaty do Warszawy odprowadzą.

Naczelnik odpowiedział, że dopiero w Drzewicy da swoją rezolucyę, ponieważ te punkta do nikogo adresowane i bez koperty przysłane zostały. Następujący więc list był do króla pisany.

List Naczelnika do Króla.

„Posyłam W. K. Mości punkta, które generał pan Suworow do wojska przesłał, a ponieważ tak ja, jako i Rada Najwyższa, już W. K. M. uprosiliśmy, ażebyś z generałem rossyjskim o to traktował, iżby W. K. Mości, narodu i wojska los był zabezpieczony, pewien jestem, iż zechcesz się tym się zatrudnić, ponieważ punkta proponowane bynajmniej o tem wszystkiem nie wspominają.

Wawrzecki.

Z tym listem posłany został do króla generał Gorzyński. Tegoż wieczora przybył trębacz pruski do mnie z listem.

List generała Kleysta do generała Dąbrowskiego.

„Odmieniona postać rzeczy, szczególny szacunek dla JWPana oddawna i jako od żołnierza powinny i to obwieszczenie, co niegdyś pod Warszawą wydane zostało, a którego autentyczność jest im znajoma, są mi powodem pisma tego i onegoż przez trębacza przesłania, którego tak często okazanej JWPana sprawiedliwości i prawu narodów ufając, przesyłam. Zapytując się JWPana jak najpokorniej względem tego wszystkiego, co wyżej powiedziałem,

czyli i pod jakim warunkiem zechcesz z regularnem swem wojskiem do Króla Imci pruskiego wniść armii i przystać, albo mnie, albo też komenderującego hrabię Schweryna o swoich żądaniach łaskawie, choćby też przez tegoż samego trębacza uwiadomić, pewnym będąc, że podług znajomego mi generała Schweryna dla osoby JWPana szacunku, natychmiast tenże zupełnie rzecz zadecyduje. JWPan przekonany zapewne, że tu sama czysta prawda przemawia, nie zaś własnego mego bezpieczeństwa potrzeba, ponieważ tak doskonale wiesz, że przez znajdujące się już i przybyć mające wojsko, plan mój tak jest pewny, jak szczery szacunek, z którym mam honor być.

11. 9-bris.

De Kleyst, generał-major.“

Jak tylko list ten odebrałem który mnie samemu trębacz miał najostrzejsze rozkazy doręczyć, zaraz go Naczelnikowi w przytomności wszystkich generałów przeczytałem i przetłumaczyłem. Po wielu sporach udecydowano, abym odpowiedział, a żem z nieprzyjaciółmi korespondował, i ażeby mnie do odpowiedzialności za to nie pociągano, żem nie podług każdego, lecz podług własnej swej woli odpowiedź na list ułożył, prosiłem Naczelnika, ażeby go sam pod projektem odpowiedzi podpisał.

Gdy tak podpisany został, wszystkim go przytomnym przeczytał i przetłumaczył generał Rymkiewicz.

Odpis generała Dąbrowskiego na list generała Kleysta.

„List JW. Panu odebrałem. Ważność rzeczy wymaga porozumienia się z niektóremi osobami, bez których wpływu niebezpiecznem by mi było cokolwiek przedsięwziąć. Wkrótce spodziewam się o stanie rzeczy JWgo Pana uwiadomić dokładnie. Za wolą i wiedzą moją tę odpowiedź da generał lient. Dąbrowski.

12, 9-bris.

Wawrzecki.“

Gdy już żadnej dla nas nie było nadziei, gdyśmy ze wszystkich stron od Moskalów, Prusaków i Austryaków byli otoczeni, gdy żołnierze nasi, a mianowicie piechota, dla tysiącznych przyczyn bić się ani nie chciała, ani mogła, gdy z całego wojska mój tylko korpus pozostał i ten już do wielkich dzieł stracił był ochotę,

gdy przez tak wielu źle myślących emisaryuszów był zarażony, bo i reszta kolumny generała Gedroycia rozeszła się była, mojem zdaniem było na list generała Kleysta następującymi odpowiedzieć punktami:

1. Powszechna amnestya w Wielkopolsce.

2. Wszystkich oficerów podług ich patentów umieścić.

3. Oficerom służyć niechcącym 4-letnią gażę wypłacić.

Wielkopolanom projekt ten podobał się; gdy jednak Naczelnik z Prezydentem temu się sprzeciwili, wcale się przy zdaniu mojem nie upierałem. Większa część Wielkopolanów obróciła się do mnie, prosząc mnie, abym tego projektu nie opuszczał; wniosłem go znowu i dodałem, że chociaż wątpię, iżby w teraźniejszym krytycznym czasie rozumiano, że dla tego propozycyi mojej nie odstępuję, iż dla siebie przyzwoitego miejsca i utrzymania się spodziewać mogę, jednakowoż na honor mój wszystkich zapewniam, że jak tylko pruski król na te zgodzi się punkta, zaraz dymisyę moją wezmę. A gdy mi los osobisty nie dozwolił sposobu utrzymania siebie i familii, spodziewam się, że mi Wielkopolanie do czasu, w którym bym znowu mógł mojemu krajowi służyć, 6000 złotych na rok nie odmówią.

Przyjęto wprawdzie to moje oświadczenie dosyć dobrze, lecz Naczelnik ważne miał przyczyny nieaprobowania zdania mego, a teraz kontent jestem, że się nie utrzymało, chociaż Wielkopolanie wiele cierpieć muszą. Czyli Naczelnik pruskiego generała propozycyę i odpowiedź moją królowi komunikował, nie wiem. Dnia 13. 9-bris od rana odebrał Naczelnik od brygadyera Jaźwińskiego raport, iż kolumna jego ku Końskim maszeruje, jednakowoż oficerowie i żołnierze po części się rozchodzą. Ja tegoż dnia odebrałem od Bielanowskiego z Końskich raport, że korpus pruski generała Kleysta pod Wielką Wolą obozuje. Brygadyer Gordon, zamiast maszerowania na Białaczew dla obserwowania nieprzyjaciela ku Pilicy, poszedł do Zameczka, milę od Opoczna, nie miał ochoty zbliżenia się do nieprzyjaciela pod Białaczew i wdania się z nim; raportował mi tylko, że słyszał, iż korpus 3000 pruskiego wojska stoi pod Wielką Wolą. Wprzód jeszcze niż Warszawę porzuciłem, można było przewidzieć, iż się Praga i Warszawa utrzymać nie mogły i że jeżeli nie ściągniemy wojska, które na obronę tych dwóch miejsc przeznaczone było i do 10.000 głów wynosiło, nie będziemy nawet w stanie skutecznego z resztą siły zbrojnej przeciwko Prusakom działania. Dla ocalenia więc Ojczyzny, albo raczaj Narodowej w wojsku Naczelnika i Rady reprezentacyi,

innego nie było sposobu, nad przystąpienie, a to w najkrótszym czasie do wykonania dzieła, którego ogromność olbrzymią się być zdawała, w sposób następujący. Ażeby z resztą uczynić obrót jakoby się na Piotrków do Wielkopolski wkroczyć chciało. W samej zaś rzeczy między Krakowem i Częstochową przerznąć się do Szlązka, a ztamtąd przez Morawy, Czechy, Bawaryę, Szwabię aż do Landau, albo też na Szwajcaryę ku Renowi pomaszerować.

Marsz nadzwyczajny, byłby wprawdzie tysiącznym wystawiony przeszkodom, lecz czegoż rozpacz odwaga i stała niezdoła wykonać determinacya. W Szlązku, Morawach i innych krajach, które przebyć mieliśmy, wojsk żadnych nie było, żywności zaś podostatkiem bylibyśmy znaleźli. Trzeba było natychmiast tyle, ile tylko można było, wysłać do Francyi emisaryuszów, którzyby Konwencyą Narodową o naszem przedsięwzięciu uwiadomili. Chociaż by też korpus jaki od Renu przeciwko nam wysłano, Francuzi by zaraz, gdzieby ten korpus odszedł, skuteczniej operować mogli. My moglibyśmy jeszcze mieć 20.000 wojska, artyleryę bardzo znaczną, mielibyśmy jeszcze pieniądze, papiery, a w braku tych powinniśmy znaleźć względy i potrzebny kredyt.

Komunikowałem tę myśl moją po wzięciu jeszcze Pragi w Starej Wsi generałowi Gedroyciowi, gdy tenże odebrał rozkaz spieszyć na pomoc Warszawie, a dla przekonania jeszcze, że niż to miasto porzuciłem, już ten ułożyłem projekt, pokazałem na najlepsze karty i plany tych krajów, przez które nam maszerować przypadło; prosiłem go, aby z Naczelnikiem o tem pomówił, jakoż z Mokotowa 6. 9-bris następujący od generała Gedroycia odebrałem bilet:

„Projekt twój będzie uskuteczniony, miej tylko wszystko na pogotowiu, mianowicie mosty i nieodległe komendy.

Gedroyć.“

Jak tylko Naczelnik z Warszawy do mnie do Gostomii przybył, zaraz wysłani byli emisaryusze i pierwszym dniom obozowania naszego towarzyszyły nadzieja i wesołość. Lecz że wszystko wojsko tak niespodziewanym sposobem przeciw Ojczyźnie i obowiązkom swoim postąpiło, tego przewidzieć nie można było.

Gdy się atoli już było stało, gdy reszta wojska, która się była przy nas została, właśnie o tym tylko słyszała, że Moskale z tymi, co im się poddali, łaskawie się obchodzą i wszystkie im obiecują korzyści; tych zaś, którzy się poddać wzbraniają, dręczyć mają;

krótko mówiąc: ci ludzie wszystkiemu uwierzyli i to łudzenie za rzecz pewniejszą mieli, niż to, czego się po stałości swojej spodziewać mogli. Wszyscy poczciwi i dobrze myślący znaleźli się dopiero w najprzykrzejszym stanie. Nie wiedzieliśmy, co począć. Poddać się w myśli naszej nie postało, żołnierze nasi więcej bić się nie chcieli. Zima już prawie była nadeszła. Wszechstronnie byliśmy otoczeni Austryakami, Prusakami i Moskalami. Piechota i artylerya zdążyć nie mogły. Żywności za pieniądze dostać nie można było. A tym sposobem zostaliśmy w najokropniejszej nędzy i niepewności. Dnia 13. 9-bris w Drzewicy przyszli do mnie po południu wszyscy sztabowi oficerowie i oberoficerowie od piechoty korpusu mego, zapytując się mnie po przyjacielsku, cośmy przedsięwziąć postanowili. „Słyszeliśmy, mówili, już raz, że się Prusakom, drugi raz Moskalom i znowu Austryakom poddamy. Pewni jednak jesteśmy, że wodzowie nasi nic takiego nie postanowią, co by z całego korpusu szkodą być miało. Przyszliśmy z ufnością do Ciebie, Generale, ażebyśmy się w losie naszym zabezpieczyli i prosty nawet żołnierz chce wiedzieć, co z nim będzie, bo inaczej być posłusznym przestanie".

Wysłuchałem to wszystko w najwyższem serca mego udręczeniu, osobliwie gdym czuł, że nie brak winnej subordynacyi, nie brak męstwa, nie brak dobrej woli, nakoniec, że moralna i fizyczna nędza kroku tego stała się przyczyną. Odpowiedziałem im w następujący sposób: „Przekonany jestem, że każden, co mnie zna i ze mną walczył, wie, jak dalece przywiązany jestem do mojej Ojczyzny, do wojska i korpusu, z którym bezustannie niebezpieczeństwa i każdy dzieliłem niedostatek. Mogę więc moim honorem zaręczyć, że najostatniejszy będę, który Ojczyznę, wojsko i Was porzucę. Że, tak szanowny Naczelnik, jako i ja, nigdy się ani Moskalom, ani Prusakom, ani Austryakom nie poddamy i że nakoniec takie przedsięweźmiemy środki i tam pójdziemy, gdzie reszta wojska ocaloną i Reprezentacya Narodowa utrzymaną być by mogła". Naczelnik na tę nadjechał scenę i wszystkich o tem samem zapewnił.

Ten mąż poczciwy i szanowny patryota, czule był poruszony, widząc tak bliski koniec Ojczyzny, której jedyną był podporą.

Rozeszli się oficerowie zapewniwszy nas, że nas nigdy nie opuszczą acz się domyślili o marszu do Francyi. Odpowiedź moja zupełnie ich w tem mniemaniu utwierdziła. Pod wieczór odebrałem od porucznika Bogurskiego raport następujący:

Raport porucznika Bogurskiego, 13. 9-bris 1794.

„Melduję generałowi, iż będąc wykomenderowanym do zabrania pozostałych w drodze tak armat jak i amunicyi i dostawienia tych do Opoczna, oneż transportuję; między Odrzywołkiem i Nowem Miastem atakowali kozacy i jegry konni mój korpus, lecz komenda moja, choć tylko z 50 koni brygady generała złożona jest, mężny dała odpór nieprzyjacielowi, który, gdy się za czasem bardziej wzmacniał, posłałem do komendanta brygady Kołysko w Odrzywołku stojącego, po sukurs; tymczasem w borze zrobiłem zasadzkę, tak, że nieprzyjaciel siły mojej nie poznawszy, bał się na mnie nacierać. Wspomniany zaś komendant, zamiast nadesłania mi sukursu, odpowiedział mi, iż to nie jest czas bić się z Moskalami i w tym czasie przeszedł z komendą swoją do nich i namawiał ludzi moich, lecz ci mężnie mu odpowiedziawszy, że milej im jest co do nogi zginąć, niżeli rozkazom komendy zadosyć nie uczynić i tym dali poznać, iż całą siłą Ojczyzny bronić się determinowali. A chociaż nieprzyjaciel, po przejściu pomienionego komendanta do niego, bardziej zdawał się nacierać, taki mu odpór dałem, że żadnego zysku ze mnie nie ma. Stoję teraz z moją komendą między Odrzywołkiem i Drzewicą, gdzie dalszego oczekuję rozkazu.

Bogurski.“

Było to ostatnie, iż tak powiem, spotkanie się z nieprzyjacielem, za którego oficera i żołnierzy przykładem, gdyby wszyscy odrodni i źle myślący poszli byli, jeszcze by obiecywać sobie można było dalszą egzystencyę.

Oddać należy sprawiedliwość tej brygadzie wzorem dla innych będącej, bo chociaż równo będąc erygowaną (to jest od czasu powstania narodu) prócz brygady Madalińskiego, tyle dała stałości i męstwa dowodów, jak w żadnych innych nieokazało się. Takich nam trzeba było mieć żołnierzy, a zapewne ujrzelibyśmy się byli zwyciężcami. Po przeczytaniu tego raportu, był marsz ułożony do Końskich i w czasie tego marszu pozostałe armaty i wozy, które dalej transportowane być nie mogą, aby one popsuto i zakopano.

A ponieważ już z korpusu generała Gedroycia nie wiele egzystowało, wysłani byli strzelcy Sokolnickiego i 200 koni brygady

Biernackiego, tak dla dania pomocy (jeżeli będzie potrzeba) porucznikowi Bogurskiemu, jako li też dla asekuracyi bagaży.

Dnia 14 nadedniem ruszył obóz, gdzie przez całą noc straszna była dezercya. Marsz ten w dosyć dobrym znajdował się porządku i o 8-mej godzinie rano stanęliśmy w Opocznie, gdzie wypocząwszy, dalej maszerować mieliśmy; piechota stała w obozie pod miastem, a kawalerya w pobliższych wioskach rozlokowała się.

Był to ostatni marsz korpusu mego, koniec całemu wojsku przynoszący. Wiele jednak marsz ten zastraszył generała Kleysta, który obozując pod Wielką Wolą, za zbliżeniem się naszem do Opoczna, cofnął się nagle za Pilicę. Moskale zaś pomału na naszą ariergardę następowali. Tego dnia, jak tylko weszliśmy do Opoczna, przybył do mnie z tamtych stron obywatel od pruskiego majora Klocha przysłany, dla rozmówienia się na forpocztach względem wzmiankowanego pisma generała Kleysta. Obywatelowi temu kazałem zaczekać, zaraportowałem o tem Naczelnikowi, przy którym właśnie w ten czas znajdowali się wojewódzcy generałowie. Udecydowano więc, że do forpoczty pojadę dla dowiedzenia się, co też nam pożytecznego zaproponuje. Zapewniłem Naczelnika, że dla uskutecznienia jego rozkazu i zadosyć uczynienia żądaniom nieszczęśliwych współziomków moich pospieszę, lecz wraz proszę o danie mi sztabs-oficera z Wielkopolskiego powstania, który by niemiecki posiadał język i był świadkiem rozmowy naszej. Wyznaczony mi zatem za towarzysza pułkownik Gorzeński, kasztelan kamieniecki, lecz gdy nie miałem żadnej ochoty korpus mój wojska regularnego poddać Prusakom, powiedziałem, że jedynie i szczególnie względem nieszczęśliwych obywateli wielkopolskich traktować nam należało. Wspomnionemu obywatelowi powiedziałem, żeby mi od pruskiego majora Klocha zapewnienie z sobą przywiózł, iż bezpieczny będę na forpocztach pruskich, a zarazem zapewniłem go na piśmie, iżby się od naszych placówek niczego nie lękał. W samo południe przybył karyer do mnie z następującą ekspedycyą.

List Króla do generała Dąbrowskiego.

„Mości Panie Generale Dąbrowski, jeżeli WPan wiesz, gdzie się znajduje JPan Naczelnik Wawrzecki i JP. Zakrzewski, chciej któremu z nich przesłać inkludowawszy ten list, którego kopię umyślnie tu łączę, abyś WPan wiedział kontenta onegoż, ponie-

waż wiadomość onych jest WPanu samemu i przytomnym WPanu potrzebna.

Co wyraziwszy, wszelkich WPanu od Boga życzę pomyślności.

Które korpusy oddzielne nie zaraz korzystały z dyspozycyi JW. en cheff Suworowa, którą opisaną widzisz WPan w tych listach, tym przytrafiły się przypadki przykre, że byli krwawo rozbici, tam, gdzie ich przeciwny żołnierz spotkał.

Nalega na mnie JP. Suworow, abym o tem dał wiedzieć co rychlej W. Panom, abyście podobnemu nie podpadli nieszczęściu.

Stanisław August, król."

Kopie inkludowanych listów były następujące:

„W Warszawie, 13. 9-bris 1794. List tu inkludowany był wysłany przez JPana Rogalińskiego, ktory jeździł aż do Starej Wsi, tam nie zastawszy już W. Pana i nie mogąc dostać koni i nie wiedząc, gdzie W. Pana szukać, wrócił mi te listy.

„Ja dziś powtórnie piszę do W. Pana, abym mu dał wiedzieć, równie jak J. Panu Naczelnikowi, nie tylko de contentio pierwszego listu, ale i o tem, że wczoraj JP. generał major Buxheveden, który jest tu postanowiony jako komendant Warszawy, od JP. generała En Cheff Suworow, powiedział mi, że wkrótce wyjdzie obwieszczenie rossyjskie, darujące wszystko, Białło i Krasno Rossyanom, i że już równie darujący krok wyjdzie od króla pruskiego. Które korpusy oddzielone i t. d., tak, jak w moim liście.

Stanisław August."

List Króla do Prezydenta Zakrzewskiego.

„W Warszawie, dnia 10. Novem. 1794.

„Mości chorąży Zakrzewski. Pytał się o WW. Pana generał en cheff Suworow dla W. Pana dystyngwowaną estymacyę, dokładając, że życzyłby tu W. Pana widzieć, użytego do usług publicznych. Słysząc, że W. Pan znajdujesz się przy Panu Naczelniku Wawrzeckim, powiedział tenże JP. Suworow, gdybym tu JP. Wawrzeckiego widział, ścisnąłbym go jako brata, lecz póki

go będę widział w obozie, muszę przeciwko niemu czynić jako generał. Gdym mu powiedział, że JP. Naczelnik trwa w obowiązku wdzięczności od nas winnym. JP. insurgentom wielkopolskim, których powstanie oswobodziło Warszawę od pruskiego oblężenia i którzy teraz innego schronienia nie mają prócz obozu Naczelnika, odpowiedział JP. Suworow: „Piszę ja sam do króla Jm. pruskiego, najmocniej prosząc za tymiż insurgentami Wielkopolanami, sam zaś paszporta dawać będę tym, którzy tylko onych żądać będą, które ich po drodze i w domu zabezpieczą. Mogę ufać, że moje interesowanie się za JPanami Insurgentami skuteczne będzie.“ Przełożyłem JP. generałowi Suworow, jak mocna potrzeba była, aby od króla pruskiego wyszło upewnienie jak najzupełniejsze dla osób i fortun wszystkich bez żadnej excepcyi.

Względem zaś samego wojska polskiego, gdziekolwiek i pod kimkolwiek znajdującego się, na wszelkie sobie uczynione reprezentacye i prośby, taką tylko dał finalną rezolucyę, że w przytomności sztabsoficera od niego zesłanego, żołnierze polscy mają złożyć broń w ręce oficerów polskich, a ci tę broń ręczną i armaty mają odesłać tu do arsenału warszawskiego, oficerowie zaś polscy przy broni swojej zostaną i będą mieli wszelką wolność i będą mogli udać się tam, gdzie im się tylko podobać będzie i bezpieczeństwo tymże JP. oficerom, czyli w Warszawie, czyli w domach swoich, czy po drogach, paszportami od generała Suworow, upewnione będzie dla nich, dla służących i dla ekwipażów ich. Tudzież ci sami oficerowie komenderujący podkomendnym żołnierzom swoim będą mogli dawać paszporta, dokąd żołnierze iść będą chcieli. Wszystkie zaś kasy znajdujące się przy korpusach, między oficerów i żołnierzy odchodzących rozdane będą, a mianowicie dla tych artylerzystów, którzy tu armaty odprowadzą do arsenału. Takową determinacyą swoją deklarował JP. Suworow dla tych wszystkich korpusów większych i małych, które się tu meldowały z chęcią niewojowania dalszego i że inszej nie dozwoli, oświadczył dla wszystkich.

Sądziłbym się szczęśliwym, gdybym nad te prawdy co milszego donieść mógł, lub wyprosić tym, których z serca szanuję i kocham. W dowód przyczyny wierzenia, że skuteczne będzie interesowanie się P. Suworow do króla pruskiego za Insurgentami wielkopolskimi, powiedział mi, że tenże król powierzył mu zwierzchność nad wojskiem swojem, w krajach polskich będącem, i że generał pruski Fawrat, po Schwerynie następca, JP. Suworow

dyspozycyi słuchać ma. Ale to W. Pan miej dla siebie, nie chce bowiem P. Suworow, aby to było publicznem.

Stanisław August."

Na tę ekspedycyę Królowi nie odpisałem, czyli zaś Naczelnik i Prezydent jaką dali rezolucyę, nie wiem: to rzecz pewna, że kuryer jeszcze większą bojaźnią i strachem tak oficerów jak i żołnierzy przenosił.

O pierwszej po południu przybyło kilku oficerów z obozu infanteryi i doniosło, że Majaczewski, major, swój regiment zbuntowawszy, zdeboszował go temi słowy: „Idźcie, gdzie chcecie, tu więcej niemasz do czynienia". Ten człowiek podły pierwszem stał się narzędziem dezorganizacyi w swoim korpusie.

Wszystkie inne regimenta piechoty, artylerya i strzelcy poszli za tym niegodziwym przykładem, zostawując broń i armaty, do domów się rozchodzili. Chciałem jeszcze na prędce wziąć 12 armat do kawaleryi, dla uformowania z nich konnej artyleryi i przedsięwzięcia marszu do granic francuskich. Naczelnik przychylił się do tego. Udałem się więc do pułku artyleryi Górskiego, ale zamiast doznania jego pomocy, był mi jeszcze na przeszkodzie, tak że niżeli się spostrzegłem, już nikogo, ani armat, ani koni, ani wozów amunicyjnych nie było. Większa część żołnierzy płakała, narzekając na swoich oficerów. Zgiełk i hałas był nadzwyczajny. Słowem, nie chcę drugi raz być przytomnym w życiu mojem podobnemu rozproszeniu.

Już prawie nic więcej czynić nie można było. Mieliśmy wprawdzie do 4.000 jazdy, po której jednak niewiele spodziewać się można było. Cudem więc jeszcze i to było, żeśmy z nią po ucieczce piechoty porządnie do Końskich przymaszerowali. W marszu złączyliśmy się z 1.000 koni powstania sieradzkiego i wieluńskiego, które w Wielkopolsce pod komendą generała Lipskiego, Stokowskiego i Lenartowicza zostawiłem.

Zostaliśmy się przez noc w Końskich. Kawalerya nasza była brygadami po mieście, a pułki wojewódzkie po wioskach rozkwaterowane, z rozkazem, ażeby równo ze dniem nazajutrz na drodze z Końskich do Radoszyc idącej, w porządku do batalii ciągnęła, dla przedsięwzięcia dalszego marszu.

Dnia 15. z rana zaczęła się kawalerya na postanowionem miejscu zgromadzać. Generał Rymkiewicz stanął na czele brygad Rzewuskiego i Biernackiego, ażeby je na przeznaczone doprowa-

dził miejsce, sądząc, że do niego szczególnie przywiązane były, ale te dwie brygady tak godnego nie były warte wodza. nie poszły za nim. rozproszyły się i każdy w swoją poszedł stronę. Nie mieliśmy więcej nic nad brygadę Madalińskiego. moją i wszystkie wielkopolskiego powstania milicye, pod komendą generała Skórzewskiego. Wszyscy oficerowie obudwóch brygad. dali mi święte zaręczenie, iż wierności dla Ojczyzny do ostatniego dochowają momentu, z mojej też strony o tem samem postanowieniu ich zapewniłem, i jak koniec pokaże. danego sobie dotrzymaliśmy słowa.

W tem przybył do nas z kolumną swoją brygadyer Jaźwiński. mało już miał piechoty i artyleryi prócz jeszcze znacznej części brygady swojej, wcale nie kawaleryi. W tym marszu jeszcześmy wiele armat zakopali i amunicyi popsuli. Pomimo tyle nieszczęśliwych zdarzeń, przymaszerowaliśmy jednak do Radoszyc, gdzie się na drugiej stronie miasta kawalerya moja rozlokowała, ku Końskim zaś korpus Jaźwińskiego został rozkwaterowany. Podczas jeszcze marszu przybył do mnie obywatel, od majora Klocha przysłany, z następującem pismem :

„Ukaziciel niniejszego pisma ma moje słowo honoru, iż bez niebezpieczeństwa w 24 godz. może przejść wszystkie posterunki pruskie. innej na wszystkie zapytania nie potrzebując dać odpowiedzi, prócz, że chce mówić z majorem Klochem. To zaręczenie w imię króla Imci pruskiego ; w Radoszycach.

Kloch, major komenderujący forpocztami wojska pruskiego.“

Pismo to pokazałem Naczelnikowi, lecz udecydowano już więcej nie wdawać się z Prusakami. Opuszczeni od wszystkich, reszta wojska w ostatniej dezorganizacyi, bez wszelkiego sposobu do dalszego utrzymania się.

Czekaliśmy w Radoszycach na odpowiedź króla przez generała Gorzeńskiego : tymczasem, aby nas Moskale (którzy od dni kilku osobliwie z korpusu generała Denisow mocniej na nas nacierali) zupełnie nie otoczyli, rozkazano więc, ażeby się cała kawalerya koło wsi Grodziska zgromadziła i nazajutrz dnia 16. Novembra do Małogoszczy maszerowała. Major zaś Bielanowski z mojej brygady powinien był pójść aż do Łopuszna i nazajutrz posterunki pruskie, jak tylko świtać będzie. odeprzeć od Małogoszczy. Dnia 16. o godzinie 8-mej zgromadziła się cała kawalerya nasza, brygada Madalińskiego i moja i milicye na przeznaczonem

miejscu. Aliści generał Gorzeński z odpowiedzią króla i Suworowa przybył z Warszawy. Nic w niej pocieszającego nie było, gdyż generał Suworow od punktów swoich nie odstępował. Zaczęła się natychmiast rada, bardzo wiele mówiono, dyskutowano, lecz na nic się nie zdecydowano. W tem kozacy i strzelcy nieprzyjacielscy korpus brygadyera Jaźwińskiego napadli i atakowali. Korpus ten bez żadnego poddał się wystrzału i przeszedł do nieprzyjaciela, zostawiając plac, broń i armaty.

[Gwardya litewska złożyła swoje chorągwie w kościele w Radoszycach, nikt do Moskali nie przeszedł, a piechota broń w bagnach potopiła. Uwaga generała-lieutenanta Kosińskiego, podówczas oficera pułku strzelców.]

Podczas bitwy Naczelnik posłał oficera do generała Denisów proponując mu zawieszenie broni, z przyczyny, że się negocyacya z generałem Suworow rozpoczęła była. Generał Denisów przyjął propozycye i cofnął wojsko swoje; nasze wojsko, niestety, tak jak śnieg na słońcu topniało właśnie, bo z korpusu Jaźwińskiego bardzo mała część przy nas się została.

Dnia tego pełen rozpaczy wsiadłem na koń, w celu odwiedzenia kawaleryi mojej z generałem Rymkiewiczem, udając się do niej, lecz jej w kwaterach nie znajduję.

Fałszywy rozkaz ruszył ją dalej i ledwom ją dognał w Łopusznie; tu się zatrzymawszy rozlokowałem ją po wsiach okolicznych. Po drodze trafiłem bagaże i wozy, między nimi było ich dwa z pieniądzmi, kazałem im się zaraz w Łopusznie zatrzymać i brygadzie mojej do strzeżenia je oddałem. Od majora Bielanowskiego odebrałem raport, że posterunki pruskie z Małogoszczy wypędził. Niewiem dotychczas czyli co Naczelnik królowi odpisał i generałowi Suworow i czyli jaką przyjął kapitulacyę. Z Łopuszna raportowałem, co się stało z kawaleryą i że ją do dalszych jego zatrzymałem rozkazów. Naczelnik mi odpisał, zaklinając mnie, ażebym ją znowu wrócił, gdyż inaczej wcaleby jeden tylko pozostał w Radoszycach. Rozkazałem natychmiast brygadzie Madalińskiego, ażeby nazad do Radoszyc maszerowała, lecz ta wypełnić takowego zlecenia nie chciała, mówiąc, że mnie nie chce opuścić i na krok mnie odstąpić, choćbym też nie wiedzieć co z nią zrobił.

Żadnego innego korpusu nie miałem. Bielanowski był w 600 koni w Małogoszczy, reszta mojej brygady była na placówkach

i na straży przy kasie: nie mogłem tedy jak generała Skórzewskiego z milicyami tejże nocy do Radoszyc wysłać, a tak ten godny mąż z zacnymi ludźmi poszedł nieodmownie. W tej myśli mozołem noc całą przepędziłem, ażeby ją nazajutrz zaraz do skutku przywieść, gdy kuryer od Naczelnika ustnie i na piśmie przywiózł z sobą rozkaz, ażebym go nie opuszczał i z kawaleryą moją nazad się wrócił, gdyż by inaczej Moskale zawieszenie broni podnieśli. Chciałem aż do ostatka być posłusznym władzy mojej: tak tedy opuściłem mój projekt i doczekawszy się Bielanowskiego, pomaszerowałem dnia 17. 9-bris do Radoszyc, gdzie już nikogo nie zastałem, jak Naczelnika, generałów Gedroycia, Niesiołowskiego i Giełguda oraz prezydenta Zakrzewskiego: ze mną przybył generał Rymkiewicz, innych już nie było. Wszystko zaś u nas tak było w rozpaczy, że wcale jeden do drugiego słowa nie przemówił. Tu dowiedziałem się, że brygadyer Łaszczyński z kasą 30.000 złotych wynoszącą, haniebnie uciekł.

Dniem pierwej w przytomności wszystkich sztabsoficerów powiedziałem mu, ażeby się tymi pieniądzmi wraz podzielił. Co do subalternów, o tych powiedziałem, że już o nich mieć będę staranie. Ten człowiek z wszechmiar nieczuły na punkt honoru, jako oficer dał sobie pierwszeństwo, bo niebaczny na siebie samego i przyszłość opinii, aczkolwiek z ostatniego ratowałem go ucisku, haniebnie brygadę moją opuścił.

Dnia 18. o godzinie 8 rano przybył do nas niespodzianie generał Denisów z kilku oficerami i oświadczył nam, że ma rozkaz od generała Suworowa zaproszenia nas wszystkich do Warszawy, ponieważ nas tenże widzieć pragnie.

Tak niespodziewane zapowiedzenie jakby piorunem przeszło nas, osobliwie zaś mnie, któremu to nadzwyczajnem być się zdawało: w tem Naczelnik zapytał się, czylibyśmy jeńcami byli, odpowiedział generał Denisów, bynajmniej. Graf Suworow tylko chce WPanów poznać. Trzeba nam było jeszcze dzielić pieniądze, które z Łopuszna byłem wrócił: dwie nam do tego generał Denisów przeznaczył godziny.

Mieliśmy do 120.000 zł. pol. w srebrze samym najwięcej i wiele też w papierach. Z początku dzieliła one odemnie ustanowiona komisya, lecz gdy nakoniec tak wiele było nacisku, że komisya wystarczyć nie mogła, reszta rozbitą została na łup najchciwszym. Uratowałem jeszcze z beczki 50.000 zł. i podzieliłem one pomię-

dzy wiernie służących do końca, z brygady mojej każdy w proporcyi coś dostał: gemejni po 6 zł., oficerowie podług rangi, wszyscy byli kontenci, prócz jednego, któremu się zdawało, że był ukrzywdzony i który nie chce dotąd oddać koledze swemu sprawiedliwego długu, odsyłając go do tych pieniędzy, których mu podług jego widzimisię nie doliczono. Brygada Madalińskiego miała w kasie swojej 3.000 zł., którymi się także podzieliła. Zaraz potem rozeszły się obiedwie do końca Ojczyznie służące brygady, w niczem już jej użytecznemi być niemogące.

Niech Opatrzność pobłogosławi cnotliwym oficerom i żołnierzom, którzy te składali korpusy i innym aż do końca zostającym oficerom i żołnierzom, niech im się pozwoli doczekać tej chwili, gdzieby znowu swym obywatelom doświadczonej cnoty dawać mogli dowody, a niech to moje życzenie słusznie im winnej wdzięczności stanie się zakładem.

Generał Skórzewski z wszystkiemi milicyami w pruski poszedł kordon, a co się z tymi godnymi do chwały Ojczyzny stało zaciężnikami i ich dowódzcami, o tem dokładnie nie wiem.

Taki więc był koniec rewolucyi naszej. Otoczeni od Moskalów, Prusaków i Austryaków, nie mogliśmy inaczej zakończyć. Przekonany atoli jestem, że gdyby wszyscy generałowie nas wiernie w swoich obowiązkach aż do końca dotrwali, a nie tak bezwzględnie wnętrzności swojej Ojczyzny rozdarli, jak w samej rzeczy uczynili, zapewne byśmy się byli przez zimę i dłużej w Wielkopolsce i Prusiech utrzymali.

Zostaliśmy więc pod konwojem zaprowadzeni do Warszawy, który atoli honorową wartą nazywano, ile że nam pałaszów nie wzięto.

Generał Rymkiewicz i prezydent Zakrzewski udali się do Galicyi.

Było nas pięciu, to jest Naczelnik Wawrzecki, gen.-lieut. Gedroyć, generał.-major: Niesiołowski, Giełgud i ja. Gdyśmy do Warszawy przybyli, wolno nam było stanąć, gdzie nam się podobało, a o godzinie 6 rano zaprowadzono nas do generała Suworowa: skorośmy przed nim stanęli, zapytał się nas, jak się zowiemy i oświadczył się oraz, że jeżeli będziem się rewersować, iż więcej nigdy przeciw Moskwie i jej alliantom wojować nie będziemy, wolno nam będzie udać się tam, gdzie tylko zechcemy,

W przeciwnym zaś razie, oznajmił nam, że do Petersburga zaprowadzeni będziemy. Byłem tylko jeden, który się rewersować chciałem, inni zaś z Naczelnikiem uczynić tego nie chcieli, nakoniec jednak namyślili się, oprócz Naczelnika Wawrzeckiego, który dla wzbronienia się tym sobie wymaganiom do Petersburga transportowanym został.

W. M. Kozłowski.

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI
BISKUP KRAKOWSKI
(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Dokończenie)

Tak apelacya jak obrona śmiałego biskupa, działającego pod opieką króla a w porozumieniu z rzecznikiem głównym reformacyi polskiej, była wyrazem protestu całej opinii polskiej przeciw supremacyi papiezkiej. W obronie chłostał niemiłosiernie Uchański szyderczą ironią uroszczenia Stolicy Apostolskiej do panowania w całym świecie chrześciańskim, do rozstrzygania spraw Bożych w imię Ducha św., do naczelnej władzy i jurysdykcyi nad wszystkimi Kościołami chrześciańskimi. „Toż nie jest rzecz papiezka, a pogotowiu poruczników (kardynałów-inkwizytorów) — pisał w jednem miejscu — o wierze sądzić, ale każdego Kościoła chrześciańskiego w Panu Chrystusie zebranego a jeszcze więcej ze wszystkiego świata zebranego zboru chrześciańskiego". „Któż tego jeszcze nie wie" — pisał w innem miejscu — „kto jedno was Rzymianie zna, abyście wy nie woleli więcej od prawdy i od Boga odwodzić, niżby na drogę prawdy każdego przywieść?" Szy-

dził z klątwy papiezkiej: „stara to wasza ona sulica“ — pisał — „już bądź Panu Bogu chwała wszystkim wiernym jedno. iż niesprośnym znajoma, młotem słowa Bożego nie jedno przytępiona, ale już prawie skruszona“. Dowodził, że arcybiskup polski ma wszelką „moc przeniesienia biskupów bez mocy i dopuszczenia papiezkiego, twierdząc, że „mógłby w Kościelech polskich najprzedniejszych tumów wyliczyć imiony własnemi po kilkadziesiąt tych takich biskupów, którzy w Polsce od arcybiskupa i święceni i potwierdzeni abo przenoszeni z jednego biskupstwa na drugie byli bez wszelakiej wiadomości papiezkiej“. Przeczył, jakoby miał obowiązek „badaczów rzymskich (inkwizytorów) słuchać jako sędziów abo przed nimi stawać“ — on — „który jest z łaski Bożej biskupem kujawskim nie w Rzeczypospolitej rzymskiej, ale w Koronie polskiej...“ Twierdził, że papieże rozciągając władzę swoją na biskupow, „moc, gwałt a krzywdę i bezprawie uczynili Kościołowi Bożemu i braci swej“ — „że to, co każdego Kościoła chrześciańskiego i poruczników jego arcybiskupów i innych starszych własne było, to oni sobie przywłaszczyli i swoim i potem komu chcieli tych rzeczy dozwalali, dopuszczali, poruczali bez przyzwolenia wszystkiego zboru chrześciańskiego wolnego i owszem przeciw ustawom zboru chrześciańskiego...“ „Moc rzymska“ — zdaniem jego — „jako papiezka tak tych badaczów, jeśli który jest, ani do Chełma, ani do Włocławia, ani do żadnego miasta, biskupstwa, ziemie, państwa abo władzej ciągać się nie może, zwłaszcza do Korony polskiej, ani z osobna: gdyż też Polska nie podlega królestwu abo państwu rzymskiemu, ale jest osobne królestwo, żadnego nie wyznawając inszego pana, jedno króla pana swego, który też żadnego nad sobą na świecie inszego mocy a władzej nie wyznawa oprócz samego Pana Boga wszechmogącego; a w rzeczach duchownych są też w Koronie polskiej przełożeni chrześciańscy arcybiskupowie, biskupowie i (my) uczeni ludzie (Modrzewski!), na których postanowieniu jako główna rzecz około wiary tak i to, co za nią idzie i dzieje się koło niego, przestawać będzie miało według recesu pospolitego przeszłego sejmu piotrkowskiego i według apelacyi i odezwania imieniem jego i jego (towarzyszy) na najbliższy sejm walny abo na wolne concilium chrześciańskie...“ Dowodząc, że król polski jest niezawisłym od nikogo władcą, tłumaczył, że dotychczasowy zwyczaj składania przez niego obedyencyi papieżowi, był wyrazem tylko „dobrej woli“ jego, nie zaś „powinności żadnej“. Pisał: „Nigdy się królowie polscy, panowie nasi, nie obwięzowali papieżom rzymskim

żadnemi zapisy ani ze świętą chwałą żadną, ani przysięgą żadną słuchać papieżów“, że teraz właściwie nie powinien król polski składać papieżowi obedyencyi, gdyż „papież i z swym konsystorzem nie chciał nic dbać jako na innych panów chrześciańskich tak na J. Kr. Mości napominanie, żądanie i prośbę przez listy i posły o złożenie spólnego wolnego chrześciańskiego concilium — i takiego nie złożył“. Właśnie też z powodu opieszalstwa papieża, „J. K. Mość z radą panów Rad swoich, bacząc wielkie niebezpieczeństwo państw swoich z tej przyczyny, już raczył recesem swoim sejmu koronnego walnego w Piotrkowie dzierżanego, wziąć tę rzecz około wiary i zakonu Bożego na przyszły walny sejm koronny...“ Za przykładem króla powinien pójść papież, powinien złożyć „concilium wolne, spólne, pospolite chrześciańskie“. Inkwizytorowie i kardynałowie zamiast wysyłać pozwy i klątwy „w sile Ducha św.“ — „którą sobie nie dobrze przywłaszczają“, lub w imię „posłuszeństwa“, które się im nie należy, powinniby raczej starać się, aby ono „jako najrychlej złożone i dzierżone, obchodzone, a już więcej a dalej nie targane ani odkładane nie było...“ Na to koncylyum wezwie on ich także, jak oni wezwali jego, a wezwie ich „jako poseł na zbór święty chrześcianski słusznie a zgodnie obrany (na sejmie 1552 r.).[1]) wezwie nawet samego papieża!“ Bo już dosyć „wszystkiego się pokuszali“, co tylko „rozum człowieczy“ lub „sam stary dyabeł“ wymyślić może, aby tylko „omamić“ ludzi i przyciągnąć ich „do ciemności, niewoli i okrucieństwa“. Dosyć już prowadzili wojen i walk, dosyć już „żądali mąk świętym Bożym wiernym słowa Bożego naśladowcom“, dosyć ich „zgładzili z świata okrutnemi śmierciami“ — „aby się wiary prawdziwej chrześciańskiej zaprzali“. „Darmoście tak wiele złego światu czynili i zadawali“ — odzywał się do swoich wrogów i do wrogów ludzkości a do potępionych przez siebie kardynałów rzymskich Uchański — „boście w najmniejszej rzeczy myśli swej nie dowiedli, ale owszem więcej jeszcze przeciw sobie ludzie burzyli, moc swoją, władzę, mniemanie, dochody, które do was ze wszystkiego świata zniesione były a prawie płynęły, i majętność swoją przytępili i powątliliście; i możecie też tego pewni być, że wam już nic wskórać tym obyczajem, ale chcecie-li, jakobyście tego słusznie żądać mieli, aby to, co jest rzecz najpotrzebniejsza zbawieniu ludzkiemu“ i uspokojeniu tak dusznemu, jako i temu na świecie będącemu, ażebyście też i sami na wszystkiem nie zginęli,

[1]) Vide Część pierwsza.

marnie dusz swych i ludzkich abyście dalej i więcej nie tracili, gardł, majętności i miejsca w Kościele Bożym przystojnego nie pogubili, przyczyniajcie się wszelakim obyczajem o to, jednoby wiernie i przystojnie, aby concilium takie, jakie ma być i o jakie chrześcianie proszą, spólne pospolite, chrześciańskie na bezpiecznem i przystojnem miejscu, a co najrychlej złożone i obchodzone było; bo inaczej nie nadziewajcie się na wieki, aby to, czego świat dziś nawięcej potrzebuje i te różnice o wierze przez co inszego, jedno przez concilium wykorzenione były i złe obyczaje poprawione między państwy a królestwy chrześciańskiemi i tych, którzy w nich są posadzeni; ażebyście sami też osobami swemi wszyscy przedniejsi, zacniejsi, papież i kardynali, a nie przez posły byli; a owi biskupi, coście ich tak wiele jako plebanów natworzyli, a których się nie mało i za wami, kardynały, po Rzymie włóczy, raczej doma zostawcie, abo każdego do swego biskupstwa poślijcie, boć na concilium nic po takich nieuczonych, ani też jako słyszeć nienabożnych, po mniehach też i po opaciech i mistrzach i innych tam nic, zwłaszcza którzy pomięszali teologię i filozofię z dekrety i z dekretały, co samo tam snadź prawem zowiecie, ale z patryarchami, bogomyślnymi ojcy, metropolity, arcybiskupy, biskupy i innymi ludźmi, jedno uczonymi a pobożnymi, i którzyby w czytaniu ksiąg starych miłych ojców obierali się jako na to dawno radził i cesarz chwalebnej pamięci Maksymilian wam abo przodkom waszym; a nie chcecie-li w tem inszych przykładów bliższych naśladować, weźmijcie ale przed oczy to, co się w Polsce dzieje, a iście nie bez dziwnej sprawy Ducha św., że nikogo inszego, jedno uczone ludzie a pobożne na tę sprawę około wiary zwołano wysadzić na przyszłym walnym sejmie koronnym..."

Kto wie, jakieby ściągnął na siebie gromy Uchański i jakiby nadał kierunek całej reformacyi polskiej, gdyby obrona jego dostała się do wiadomości nuncyusza i papieża. Zanim się jednak mogła dostać do nich, zaszły okoliczności, które czyniły ją zupełnie zbyteczną. Oto dnia 18. sierpnia b. r. 1559. zmarł srogi Paweł IV., a w miesiąc później 16. września rzecznik jego polityki w Polsce, nuncyusz Kamill, prawdopodobnie dotknięty zarazą, jaka w lecie tegoż roku grasowała w Krakowie, gdzie właśnie wówczas przebywał.[1]) Wobec tego Uchański wolał czemprędzej wycofać

[1]). Morawski, A. P. Nidecki, Kraków 1892, s. 97. Wierzbowski, Uch. V. s. 176, II. s. 431.. Rafał Waryawski, kust. i prob. krak.

z obiegu swój ostry memoryał, nie mający już racyi i celu, a mogący mu zamknąć drogę do zgody z nowym papieżem, ile że równocześnie do tej zgody namawiał go teraz sam król, który żywił nadzieję, że ze zmianą pontyfikatu nastąpi bez wątpienia inny kurs, więcej łagodny i pokojowy, w polityce rzymskiej. W ten sposób groźny bunt jednego biskupa polskiego przeciw supremacyi rzymskiej, na którym wszyscy dysydenci, reformatorzy polscy a nawet zagraniczni, jak Lutomirski, Łaski, Modrzewski, Kalwin, Wergeryusz i inni, wielkie budowali nadzieje, sądząc, że kurya rzymska doprowadzi go do jawnej apostazyi i do zwycięstwa „ewangelii" w Polsce za jego przewodem, miał się zakończyć pożądanem pojednaniem Korony z Tyarą.[1]) Nie zawiodły też nadzieje Uchańskiego i Zygmunta Augusta. Wybrany 25. grudnia t. r. łagodny i skłonny do ustępstw i kompromisów papież Pius IV. nadał zewnętrznej i wewnętrznej polityce kościelnej rzymskiej wręcz przeciwny kierunek temu, jaki panował w niej za czasów namiętnego i fanatycznego jego poprzednika. Chcąc nawiązać z Zygmuntem Augustem przyjazne stosunki, chcąc wciągnąć Polskę do udziału w soborze powszechnym, który właśnie zwołać zamierzał,[2]) polecił zaraz na początku 1560 r. kardynałom wypracować odpowiedni memoryał o Polsce, a gdy mu tenże został niebawem przedłożony, wysłał natychmiast, bo już w kwietniu t. r. na miesiąc przed śmiercią naszego biskupa, nowego nuncyusza z różczką pokoju do Polski. Nuncyuszem tym był Berard Bongiovanni, biskup kameryński, ze wszechmiar godny powierzonej sobie misyi,

---

nieobecny wówczas w Krakowie, otrzymał wiadomość od kanonika Podoskiego, również wówczas nieobecnego w stolicy, że miał nuncyusz umrzeć na inną chorobę, alio quodam morbo (?).

[1]) Prekonizacya Uchańskiego na konsystorzu rzymskim nastąpiła 2. czerwca 1561. (Uch. IV. nr. 6. s. 163), w rok później, 1562, został arcybiskupem prymasem gnieźnieńskiem. Wierzbowski podaje na str. 183—184. Uchańsciana V. charakterystyczny ustęp z listu Stan. Lutomirskiego z dnia 5. listopada 1560 r. jako „głos rozpaczy" z powodu zawodu, jakiego doznali dysydenci ze strony Uchańskiego: — który „odważył się w publicznem piśmie nazwać biskupa rzymskiego Antychrystem", a przecież potem „pogodził się z tyranem z nad Tybru wyprzysiągłszy się prawdy". Stało się to zdaniem Lutomirskiego za staraniem „legata Antychrysta", nuncyusza Berarda.

[2]) Istotnie zwołał go na Wielkanoc 1561 r. 6. kwietnia bullą z 29. listopada 1560 r., v. str. 230. rozdziału VI., Uchańsciana V. pod tyt.: Stosunek Polski do soboru Trydenckiego i jego dekretów (1542—1577).

który umiał wywalczyć w Polsce zwycięstwo zupełne dla reformacyi katolickiej. [1])

Tego zwycięztwa nie oglądał już Zebrzydowski. Usunąwszy się po sejmie piotrkowskim od wszelkich spraw publicznych, opuściwszy nawet z powodu zarazy grasującej w Krakowie terytoryum swej dyecezyi, spędzał ostatnie dnie życia swego w swych majątkach wielkopolskich, zgorzkniały i zobojętniały na widok szalejącej w jego oczach nowej burzy żywiołów, które postępowaniem swem niereligijnem i nieetycznem jako biskup i senator, chrześcianin lub obywatel, niejednokrotnie przedtem sam zbyt hazardownie do walki wyzywał. Ten stan apatyi, zobojętnienia i ubezwładnienia był chronicznym u niego objawem, który go nieraz narażał na ostre wyrzuty ze strony kanoników krakowskich, wyższych władz kościelnych lub świeckich, ściągał nań gromy potępienia ze strony opinii publicznej. Popadał w stan ten, ilekroć go zużyła walka o sprawy przez siebie i swój urząd reprezentowane, walka, którą z zasady prowadził namiętnie, złośliwie, nadużywając swej władzy lub stanowiska, szafując chętnie górnobrzmiącem słowem, obliczonem na efekt, któremu czyny zawsze kłam zadawały! I teraz jak zwykle spoczywał po trudach sejmowych, zmęczony walką z posłami, jako rzecznikami postępowej reformy Kościoła i państwa. Z tej walki wyszedł na poły zwycięzcą, powstrzymał razem z innymi biskupami katolicyzm od ostatecznego upadku, wywalczył, podobnie jak na innych sejmach, dla hierarchii kościelnej ochronę prawną jej dotychczasowego stanu posiadania, zwłaszcza osławionej jurysdykcyi, która nie została jeszcze obaloną, jak tego chcieli posłowie, tylko na czas pewien zawieszoną i to jedynie w sprawach tyczących się religii. Że jednak równocześnie tak przed sejmem jak po sejmie zupełnie lekceważył sobie codzienne, powszednie, lecz nie mniej ważne, obowiązki pasterskie, że zaniedbywał dyecezyę swoją, żyjąc zdala od niej życiem sybaryty i egoisty, nie tylko nie zaskarbił sobie uznania za to, co zdziałał dla Kościoła na sejmie, ale nawet ściągnął na siebie jako zły pasterz gromy potępienia.

---

[1]) Wierzbowski, Uchańsciana IV, nr. 34, s. 218—223 (Informacya dla nuncyusza mającego się udać do Polski), tudzież, s. 4—9 (wyjątek z danej mu instrukcyi i wyjątki z listów kardynała sekretarza stanu Karola Boromeusza do niego 1560—1563); także: Relacye Nunc. Ap. T. I. s. 84—112 (listy jego i relacye jego, — i listy do niego pisane).

Stało się to w rok po sejmie piotrkowskim 1558/9 r., kiedy przebywał w rodzinnym swym zamku Więcborku. Głos potępienia podniosła przeciw niemu kapituła krakowska. Zniecierpliwiona długą nieobecnością jego w stolicy, wystosowała do niego dnia 10. lutego 1560 r. obszerne pismo, w którem napiętnowała dotychczasowy sposób jego postępowania, skreśliwszy zarazem obraz stanu dyecyzyi krakowskiej, będącego tego postępowania owocem. Pisała tedy: „Każdy prawowierny z boleścią patrzy na to, jak trapią zewsząd w tej krakowskiej dyecezyi Waszej Wielebności religię i wiarę św. katolicką różne nieszczęścia. Chociaż już od lat bardzo wielu działy się w niej bezkarnie nadużycia, rabowano kościoły i uciskano kler, gdy nikt nie przeszkadzał temu, gdy nikt nie chronił domu Izraela, jednakże teraz pod nieobecność w dyecezyi swojej Waszej Wielebności, której zaiste niejedni się bali, stan ten niezmiernie się pogorszył. Oto heretycy, ci ludzie najzuchwalsi, nabrawszy odwagi i sił podczas nieobecności W. W. Kościoły, których sam W. W. powinna być opiekunem i patronem, profanują, rabują, zamieniają na swoje synagogi, wypędziwszy z nich prawowitych pasterzy i plebanów i innych katolickich kapłanów[1]), rzeczy kościelne niszczą. Przenajświętsze Ciało Chrystusa razem z krzyżmem z cyboryów wyrzucają i rzucają na ziemię, depcą je i dają psom na pożarcie. Niedawno uczynił to Jakób Gierałtowski w Kozach, Stan. Cikowski w Gorzkowie, Szczepanowski w Szczekocinach. Nawet pleban w Uszewie został przez faktorów W. W. wypędzony z kościoła i plebanatu swego; poddani radłowieccy żalą się ze łzami, że są uciskani i obciążani wieloma niesłychanymi ciężarami, te same głosy podnoszą i inni liczni poddani kluczów i dóbr biskupstwa W. W. i płaczą. Proboszczowi z Miechowa najechał Kilian Łukowski, jeden z najlepszych folwarków, zajął go i wszystko zboże zabrał. Dwaj opaci z Wachocka, jeden mianowany przez króla, drugi — jak sam mówi — przez W. W., mieli zamordować opata trzeciego, którego wybrali mnisi: dobra klasztorne najechali i zajęli, sprzęty ko-

---

[1]) Vide list Jana Przerębskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego do biskupa kameryńskiego, Berarda Bongiovanniego, nuncyusza w Polsce, z Łowicza z dn. 18. sierpnia 1560 r. (Rel. Nunc. Ap. I. s. 84), w którym czytamy: Aiunt in Cracoviensi dioecesi centum et sexaginta ecclesias parochiales ex jurisdictione episcopi ab istis novatoribus esse ereptas, t. j. że dysydenci zajęli za czasów Zebrzydowskiego w dyecezyi krakowskiej 160 kościołów katolickich.

ścielne zrabowali, mnichów jednych pozabijali, innych pokaleczyli, resztę z klasztoru wypędzili. klasztor więc zprofanowany, służba Boża ustała: walczą ci opaci o folwarki. Msze, nabożeństwa, zawieszone nie tylko po innych kościołach, ale nawet w naszym katedralnym krakowskim, cześć Boża z dniem każdym upada, a dzieje się to jak z wielu innych przyczyn, tak również z tego powodu, że właścicielami ołtarzy i godności kapłańskich są dworzanie i świeccy, którzy po dworach bawią oddani zajęciom świeckim. Ci nie rezydują po swoich beneficyach kapłańskich, nawet nie trzymają substytutów, którzyby za nich sprawowali urzędy, nie wypłacają należytości beneficyalnych, z lekkiem sumieniem sądząc, że przez to nie grzeszą, snadź może nie wierzą, że Bóg istnieje: gdyby chcieć o nich wszystkich pisać, zapełnićby nimi można nie list — lecz książkę. Co prawda, kompromitują się tem, ale wzięli sobie przykład z Waszej Wielebności, skoro i Wasza Wielebność bynajmniej nie stara się o to, by zmusić do wypełniania swych obowiązków n. p. posesora ołtarza św. Małgorzaty w westybulu zakrystyi stojącego i bogato wyposażonego, który je mniej więcej już od lat pięciu zaniedbuje; nie płaci on także od lat wielu czynszu należącego się szpitalowi św. Walentego. Nie rezydują przy swych urzędach psałterzyści, missaliści, mansyonaryusze i inni liczni prebendaryusze, zwłaszcza ci, którzy mają prowizye od króla lub biskupów. Innych księży jest tak mało, że nawet lektorów nie ma, a przyczyną tego to, że W. W. od dłuższego czasu nie wyświęcał księży. Taki tu jest brak duchowieństwa, że niekiedy ujrzysz jedną mszę czytaną przy wszystkich ołtarzach altarystów. Tak jest zaniedbana i zeszpecona świątynia nasza, że zatraciła już prawie zupełnie dawną swą piękność, Zaiste wszystkie zabudowania jej wymagają wielkiej i szybkiej restauracyi. Szczyty jej i dachy częścią, rynny częścią ząb czasu poniszczył, dach zwłaszcza nad skarbcem do tego stopnia przegnił, że przy najmniejszym wietrze gąty zgniłe usuwają się i spadają, kościół i skarbiec, wystawione na działania atmosferyczne deszczów, śniegów i wiatrów, muszą się z czasem rozsypać i runąć razem z dachami. Przewidując to, prosiliśmy zawsze, błagaliśmy zawsze W. W., żeby się już raz wziął do budowy owego kościoła, żeby miał litość dla niego, boć przezeń otrzymał i ma imię, godność, honor, stanowisko wysokie, równające go z książętami królestwa, bogactwa i potęgę. Wprawdzie W. W. zawsze obiecuje, ale temi obietnicami kościół się nie pokrywa, nie ozdabia, lecz do coraz większej dąży z każdym dniem ruiny. My ze swej strony gotowi

jesteśmy zrobić to, co do nas należy, dlatego prosimy i zaklinamy, aby W. W. już raz obietnice swoje wypełnił i dał na restauracye katedy 1500 flr. od lat tylu na nią przeznaczone, które niechby z polecenia Jego przedsiębiorcy złożyli bezwłocznie, aby wcześnie można zakupić materyał budowlany, ołów, cynę, żelazo, belki, pale, powrozy i robotę samą jak najprędzej rozpocząć. Pisaliśmy w poprzednim liście naszym do W. W., że umarł Dr. Benedykt Kośmińczyk, kaznodzieja naszego kościoła, o tem samem piszemy w niniejszym, prosząc W. W., aby pomyślał o obsadzeniu miejsca opróżnionego po zmarłym, gdyż to należy wyłącznie do urzędu W. W. Tutaj wielką osobliwością jest zdolny kaznodzieja, wprawdzie doktorowie kollegialni są uczeni, ale brak im animozyi i elokwencyi, niektórzy uchylają się od pracy kaznodziejskiej, inni nie zadawalniają się tak małym zaszczytem. Jest przecież dwóch tutaj magistrów, jeden z Urzędowa, obdarzony niezwykłym talentem krasomowczym, drugi z Tarczyna, biegły w Piśmie św., gotów i skory do pracy. Aliści tego usiłuje J. Przewielebność Arcybiskup nasz (Przerębski) do siebie przyciągnąć, już go nawet miał sobie przysądzić. Jest także Łukasz (Leopolita lub Zawieszko) głośny ów kaznodzieja Dominikanin od św. Trójcy, lecz i tego chce mieć u siebie Czcigodny i Przewielebny ów Arcypasterz (!), który posiadając bardzo obfitą naukową bibliotekę, tych mężów uczonych do siebie zwabia, by z nimi studyował pismo święte i stawał się z dniem każdym uczeńszym i lepszym: czynił też to przez cały czas w Łowiczu przed wyjazdem w poselstwie do cesarza (Ferdynanda w b. r. 1560). A ponieważ pod nieobecność i po śmierci doktora Benedykta dają tu kazania tylko przygodni i sprowadzani kaznodzieje, tak mało ludzi poczytuje ich za godnych słuchania, że panują w naszym kościele przerażające pustki. Należałoby którego z nich wybrać, mającego wzięcie u ludu, uczonego, znanego z doświadczenia życiowego. Niechby więc W. W. objawił nam swoją wolę, komuby ten urząd kaznodziejski poruczyć chciał. Zresztą powinien pamiętać o tem W. W., że teraz są czasy niebezpieczne i świeccy czyhają na dobra kościelne, które chcą Kościołowi zrabować: nadto ponieważ dzisiaj nie można nikomu wierzyć, prosimy, aby W. W. polecił wszystkim starostom wszystkich zamków i prefektur swoich biskupich złożyć przysięgę w ręce kapituły, że zamki te na wypadek śmierci swojej lub awansu jej tylko przekażą. Kielicha złotego, daru należnego i pod przysięgą obiecanego Kościołowi swojej oblubienicy, Wasza Wielebność dotychczas nie dał, lecz nie dał także 100 złotych

ofiarowanych J. Kr. Mości w czasie postulacyi. Ponieważ do tego wszystkiego, co się wyżej napisało, tak z urzędu jak z obowiązku i z przysięgi swojej jest W. W. zobowiązany, prosimy i błagamy aby w tem zaspokoił sumienie swoje wobec Boga i oczyścił się ze złego imienia i złej opinii o sobie wobec prawych ludzi i katolików, a dla Boga, od którego ma wszystko, zechciał być szczodrobliwszym. Prosimy nadto usilnie i gorąco, aby bezzwłocznie z owej Ojczyzny swojej powrócił do tej drugiej Ojczyzny swojej i z nami razem pozostał, obyczaje kleru poprawił, dyscyplinę upadłą podniósł, szkody religii powetował, Kościół z ran wyleczył, owczarnię swoją przed wilkami zamknął, kaznodzieję w Kościele swoim ustanowił, nieobecnych altarystów i innych księży do rezydowania zmusił i zgromadził, msze i nabożeństwa zaniedbane przywrócił, walące się zabudowania kościelne zrestaurował i nadał im dawną okazałość, księży pomnożył i wyświęcił, wypędzonych plebanów sprowadził napowrót, klasztory uporządkował, tudzież i w innych sprawach godziwych a potrzebnych spełnił obowiązek dobrego kapłana i troskliwego pasterza. W tem będzie raczył Najwyższy i Najlepszy Bóg błogosławić i wspomagać W. W. tak samo wszyscy prawie ludzie i katolicy, senatorowie koronni tutaj bawiący, jawnie wyznają, że nie odstąpią W. W. i użyczą Mu swej pomocy. Również my wierni doradcy W. W. w duszy się o to modlimy i życzymy sobie, aby inaczej nie postąpił W. W. a prosimy Go, aby był łaskaw życzliwie to od nas przyjąć i dał się nakłonić do tego wszystkiego, o czem do Niego z uszanowaniem i życzliwością piszemy. A jeżeli snadź W. W. tego uczynić nie zechce, jeżeli będzie zbywał nas słowy i sprawy kościelne, jak dotychczas, zaniedbywał, będą musieli z urzędu i obowiązku swego na to złe szukać sami lekarstwa i czego dotychczas nie czynili, rzecz tę całą podadzą do wiadomości władz wyższych. Życzymy Waszej Wielebności długiego i pomyślnego życia, Jego względom jeszcze raz się polecamy i prosimy, aby na te prośby i postulata nasze listownie odpisał, a raczył dać odpowiedź pożądaną dla nas a pożyteczną dla Kościoła Bożego".[1])

List ów kapituły krakowskiej oburzył Zebrzydowskiego. Kłóły go i drażniły pochwały dane przez nią Przerębskiemu, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, niegdyś prałatowi krakowskiemu

[1]) Kor. Zeb. nr. 876. s. 549—552 (Datum Cracoviae ex generali Capitulo Purificationis S. Mariae, die X. Februarii A. Christi 1560). List tłumaczony z oryginału łacińskiego.

i podkanclerzemu koronnemu, który niejednokrotnie krzyżował interesa swego biskupa w Krakowie i w Wilnie. Będąc przekonany o swej niewinności i o zasługach, jakie położył dla Korony i Kościoła, napisał do kanoników krakowskich z Więeborga dnia 5. marca b. r. 1560 list tej treści: „Na list ten, który do mnie napisaliście nie w tym celu, aby mnie napomnieć, ale aby gniewy we mnie zapalić, odpowiem wam krótko, jednak rzetelnie i życzliwie. Gdybym na pewne nie wiedział, że w gremium waszem są niektórzy bracia a moi najbliżsi, którzy taką nieubłaganą względem mnie pałają nienawiścią, że łatwiej i chętniej spotwarzą życie, sławę i dobrą opinię moją, niż aby mnie cokolwiek sprawiedliwości przyznali lub jaką cnotę pochwalili, gdybym nie miał przeciw nim dostatecznej obrony w całem życiu mojem, ten gniew ich boleśniej odczułbym. Tak też te ostre żądła waszego listu o wiele silniej by mnie ukłóły, gdybym nie był zupełnie wolny od winy w tych zbrodniach, o które mnie ciężko i groźnie oskarżacie. A chociaż nie może mi być dzięki Bogu, żadna zarzucona niegodziwa zbrodnia, ani jakobym był niedbałym biskupem lub opieszałym pasterzem, ani też jakobym był rozwiązłym kapłanem, bynajmniej nie wzruszają mnie śmiałe słowa wasze i skargi. Nieobecny jestem, Kościół opuściłem, nie zarządziłem naprawy dachu katedry, nie wypłaciłem 1.500 fl., nie dałem kielicha złotego, ołtarze z powodu niedbałości mojej pozbawione sług Bożych, księża nie otrzymują święceń. Podaliśmy główne zarzuty wasze, które według możności króciutko odeprzemy. Naprzód więc, że w mojej dyecezyi jest źle, że zuchwałość ludzka się wzmaga, że wynosi się i chełpi bezczelność, która wszelkie, Boskie i ludzkie prawa, niegodziwemi zbrodniami kala, o tem wiemy i dawno już przedstawialiśmy skutki tych nieszczęść. Nie dopiero teraz, bracia, to złe zrodziło się, tkwi ono od dawna w łonie Kościoła, a chociaż ciężkie, przykre i okropne, jednak jak z powodu bezkarności zyskało na mocy i sile, tak wydaje się być mniej surowem i bolesnem, bo się do niego już przywykło. I nic w tem dziwnego, gdy nie tylko każdego dnia, ale każdej niemal godziny widzi się i słyszy coś okropnego, że przy tem ciągłem powtarzaniu się przykrości i skarg, pozbywamy się w duszy wszelkiego uczucia boleści. Jeżeli zaś sądzicie, że to złe gnieździ się tylko w jednej dyecezyi mojej, nie zaś w całej prowincyi, uważajcie, byście w ocenianiu wszystkich klęsk Kościoła nie okazali za mało znajomości i bystrości sądu: nie zostaje tak wielka zaraza na jednem miejscu, ona tak zawleka się i rozszerza, że wszystkie prawie już

Kościoły ogarnęła i zniszczyła. Rozglądnijcie się po wszystkich terytoryach kościelnych! Czyż nie znajdziecie je słabe, dotknięte ciężką tą zarazą, rozerwane i prawie zniszczone? Zwróćcie swe oczy na gnieźnieńską i poznańską dyecezyę, pomijając na razie włocławską! Zaiste, nie Cikowskich, nie Szczepanowskich, nie Łukowskich, ludzi zresztą biednych, braci naszych pożałowania godnych, ujrzycie, lecz wielu Heliodorów, wielu Nikaronów, wielu Alchimów, którzy z niepowściągliwej jakiejś bezbożności i niezwykłej zuchwałości wszelkie rzeczy święte pogwałcili, znieważyli, poniszczyli, kapłanów katolickich jakby niewolników powypędzali i powyrzucali, dobra ich zajęli, posiedli i złupili, wszelkie ozdoby, złoto, srebro, szaty święte, z świątyń przenieśli do siebie. Do tego stopnia to złe się rozszerzyło, że w obydwu owych dyecezyach nie ma żadnego miasta, żadnej prawie wsi szlacheckiej, w którejby widać było jakie ślady dawnej religii (!). Jeżeli więc Wielebny i Czcigodny Arcybiskup, najcelniejszy mąż naszej prowincyi i najgorliwszy w pełnieniu obowiązków, nie mógł powściągnąć tej rozpasanej wściekłości, jeżeli nie mógł rozpalonych chuci ludzkich ugasić i zahamować szalonego rozpędu ich zbrodni pomimo starań, usiłowań i niezwykłej gorliwości swojej, cóż mnie za to powiecie, gdy widzicie, że w mojej dyecezyi to samo się dzieje? Czyż wszystkich innych będziecie chwalili a mnie jedynie ganili? Należy wprawdzie dawać godnym mężom nagrody za czyny chwalebne, prawe i religijne, lecz nie w ten sposób, aby, gdy ich się chwali, miało się ganić drugiego lub nie doceniać jego gorliwości, starań i trudów, którego chociaż to samo czyni, co tamten, którego chwalisz, dlaczego nie uznajesz także godnym tej samej pochwały? Nic sobie nie przypisuję, niemniej mało i skromnie o sobie bym mówił, lecz jeśli coś przecież powiem, to któż — proszę — w usuwaniu tych wszelakich nieszczęść był bardziej odemnie gorliwy i obowiązkowy? (!). Wy sami, jeślibyście bez zawiści chcieli przyznać, nie znaleźlibyście nikogo gorliwszego, wytrwalszego, energiczniejszego nademnie (!!). Przypomnijcie sobie przeszłe czasy: powinnibyście wiedzieć dobrze, co przeszedłem z owym Konradem Krupką, do którego zbiegło się wielu szlachty, aby go z sądu mojego, jakoby z jakiego pożaru wydobyć: co z Janem Bonerem, co z Justem Decyuszem, ile to pracy, ile upokorzenia i codziennych trosk znieść musiałem, ile nienawiści i zawiści wytrzymać, jakiemi to groźbami mię straszono, na jakie niebezpieczeństwa byłem wystawiany, na jaką trwogę narażony, jaki to zrobiono napad gwałtowny na mnie w moim prywatnym domu, gdy bawił

u mnie legat apostolski, a było to podczas sejmu, na którym z całą odwagą wystąpiłem przeciw zuchwałości (posłów): powinnibyście wiedzieć, w jaki sposób ich atak od karków naszych odparłem, z jak wielką wreszcie nie powiem siłą lecz troską i tkliwością pasterską walczyłem na wszystkich sejmach za owieczki Pańskie, ile razy błagałem, by mi pozwolono wystąpić sądownie przeciw łupieżcom Kościołów, ile razy Lasockiego (Krzysztofa) o świętokradztwo publicznie oskarżałem, szaty święte do senatu ile razy odnosić kazałem. Za te me troski i trudy pasterskie, spotykały mię publiczne pochwały ze strony swoich i obcych, w których widoczne były oznaki wdzięczności. A patrzcie teraz, bracia, jak się to wszystko odwróciło i zmieniło na gorsze. Oto za co mię chwalono i uwielbiano, o to teraz jestem oskarżany po nad miarę i wstyd, jak gdybym był biskupem dalekim od wszelkiej troski, od wszelkiego zmartwienia, od wszelkich starań i trudów, pozbawionym charakteru, religii i prawie bezużytecznym. O nieobecność mię oskarżacie, lecz nie macie powodu o nią tak bardzo oskarżać. Wierzajcie mi, nie, ma w mojej nieobecności winy tej, którą na mnie składacie. Kto inny tu zawinił, kto zaś, nie powiem, sami się możecie domyśleć. Bądź co bądź, nie chciałbym być posądzony o to, jakobym był tak ubogi na duchu, iżbym nie rozumiał, co winienem memu Kościołowi; wiem, że ja dla Kościoła jestem ustanowiony, nie Kościół dla mnie. Jeśli jego dłużnikiem jestem, jak długobym mu nie służył, jak długobym go jako oblubienicę swoją zaniedbywał, czci jej nie podnosił, bezwątpienia zawiniłbym tylko wobec Boga. Oddaliłem się tedy, nie w tym celu, abym ublubienicę moją porzucić miał, lecz abym uniknął zarazy (!). I zaiste temu nie zaprzeczałem, gdy bowiem żegnaliśmy króla, wyraźnie wobec niego oświadczyłem, że w najbliższym czasie Kraków opuszczę, jeżeli jakiegoś środka się nie obmyśli przeciw tej wściekłości i swywoli ludzkiej (!).

Jeżeli tedy w niczem, co się należy odemnie Kościołowi, nigdy nie byłem opieszały ani lekkomyślny, jeżeli prawdziwej religii nie broniłem niedbale lub urzędownie tylko, lecz z całym zapałem i z najgłębszem przejęciem się, jeżeli wreszcie wszystko spełniłem, co spełnić powinien był prawy i sumienny pasterz, dlaczegożby kto miał narzekać na moją nieobecność i mnie o nią sądowo oskarżać? Czyżby może w mojej obecnosci to złe się nie działo, o którem piszecie, że dzieje się teraz z powodu mojej nieobecności? Jeżeli tak sądzicie, nie dobrze rzecz pojmujecie. Albowiem zuchwałość i swawola tychże (heretyków) jest już za

wielką, aby się dały obecnością lub gorliwością naszą powściągnąć. Cóż to! Czyż nie byliśmy obecni na wszystkich sejmach? Czyż nie radziliśmy wspólnie wszyscy o tem, w jaki sposób moglibyśmy uchronić od upadku miotaną i poniewieraną religię? Kiedy przypatrywaliśmy się okropnym profanacyom Sakramentu, obrzydliwym obrzędom i świętokradzkim zgromadzeniom publicznym, niemal w obliczu króla i odczuwaliśmy niewysłowiony ból na widok tej zbrodni — czyż nie donosiliśmy o niej wspólnie królowi? Cóż jednak dokazaliśmy? Jakież swobody, jaki pokój wyjednaliśmy dla Kościołów i księży naszych? Niewiadomo nikomu, czy cokolwiek ubyło wrogom z ich perfidyi i bezczelności. My odnieśliśmy większe przykrości, doznaliśmy cięższych zmartwień, oni spotęgowali swoją zuchwałość i osiągnęli większą sposobność do swywoli. Jeśli tej swywoli nie mogła, czy nie chciała ani władza królewska ani powaga senatu poskromić, czyż mogła więcej ją poskromić nasza nadwerężona i niemal wydarta nam jurysdykcya biskupia? Zaiste ja nie pojmuję, cobyśmy mogli dokazać swoją obecnością, swoją troskliwością, czuwaniem i niezmiernem natężeniem sił, jeżeli nas urzędy nie będą energicznie wspierały, jeżeli nie użyją swego miecza, jeżeli pozwolą, aby ostrza ich władzy tępiały. Jeżeli przedtem tego dokażecie, co w tej rzeczy jest głównie potrzebne, aby nam zwrócona została jurysdykcya, którą nam wydarto, aby urzędy wyroki nasze wykonywały, nas powagą swoją wspierały, aby zdziałały to grozą praw i karności, czego my nie możemy zdziałać nauką, pracą i mozołem naszym, jeżeli, mówię, tych dokażecie rzeczy, wówczas, gdybym z wami pozostać nie chciał, będziecie mię oskarżać słusznie i prawnie o nieobecność. Lecz dotychczas nie było powodu, dla którego byście mi w tych rzeczach, w których złożyłem dowody wielkiej troskliwości i staranności o moje Kościoły, zarzucać mieli jakieś ciężkie zbrodnie. Sądzę, że już dosyć poznaliście sprawę mojej nieobecności i sposób mojego urzędowania, przejdę teraz do owych pieniędzy, których się odemnie na restauracyę domagacie. Powiadam wam, że żądaniem odemnie takowych pieniędzy wielką wyrządzacie mi krzywdę. Skoro bowiem Gamrat lub Maciejowski, ten święty biskup, ani jednej uncyi na rzecz tej restauracyi nie dali, czyż godziło się mnie o to oskarżać, mnie, który już tyle dałem w przeciągu trzech lat, ile byłem powinien, a wzniosłem wielkim nakładem pieniężnym tyle zamków i pałaców wspaniałych! (!) Mimo to jednak, gdy tylko z pieniędzy, które otrzymaliście odemnie, złożycie rachunki do rąk mego wikaryusza i włodarza,

wówczas rozpatrzywszy się we wszystkiem, polecę wam wypłacić tyle pieniędzy, ile się godzi i należy, ale nie tyle, ile wy rozkazujecie. Również niesłusznie jestem przez was obwiniony o to, że niedbali są księża. Jest wikaryusz, jest oficyał nasz, dlaczegoż oni nie użyją ramienia swej władzy przeciw opieszałym księżom? Czego im nie wytoczą sądowego procesu? My zaiste za nadto wielkiemi sprawami i Kościoła i Rzeczypospolitej jesteśmy zajęci, abyśmy mieli szukać po świecie i zbierać księży, których jeżeli rzeczywiście mało jest, to nie wina moja, lecz czasów (!). Czyż nie ma takiego, którpby mógł ich wyświęcać? A nie ja temu winienem, lecz ci, którzy z elekcyą biskupią tak długo zwlekali, że nowy sufragan nie mógł dotychczas otrzymać dyplomu (rzymskiego).[1]) Także powiadacie, że nie ma kaznodziei. Ależ wy jesteście powołani do pracy w służbie Bożej, do budowania Kościoła. Dlaczegoż więc tej służby się nie podejmujecie, dlaczego głoszeniem ewangelii Kościoła Chrystusowego nie budujecie? Czy może dlatego, że kanonikami jesteście, tego czynić nie macie? O! mylicie się bardzo. Nie pojmuję, któregoby kanonika, którego proboszcza, którego dziekana wyłączył Chrystus od tego obowiązku, skoro ewangelię swoją głosić i opowiadać kazał po całym świecie. Misyę tu wszyscy Chrystusa spełniamy, a cóż mamy innego poruczone w tej misyi, jeśli nie głoszenia ewangelii? Biada mi, mówił Paweł, gdy nie będę ewangelii opowiadał. My więc, którzy jesteśmy następcami Pawła i Apostołów, skoro wcale nie opowiadamy ewangelii Chrystusa, z jakaże siłą, z jakim talentem, wymową i porywem moglibyśmy owo „biada“ wykrzyknąć! Nie wstydźcie się tedy, bracia moi, ewangelii, jak się nie wstydzicie beneficyów. Korzystnie i przyjemnie jest ogołacać z wełny owieczki Pańskie, nie trzeba się także żenować paść je słowem ewangelii. W rzeczy tej, gdy przybędę, głosem moim pasterskim będę wam przodował, tymczasem zaś pozostawiam wam do woli wybrać kogo chcecie na kaznodzieję. Nie rozumiem też, jakiem prawem i jakim tytułem żądacie odemnie stu złotych, chyba żeby mi więcej dokuczyć. Niezawodnie, gdyby niektórym daną była zupełna swoboda postulowania, nie wątpię, że mną by wzgardzili, a zażądaliby kogokolwiekbądź innego, byle nie mnie. Nie dostarczyłem dotychczas kielicha złotego, dlatego to na taki szorstki list zasłużyłem! Patrzcie ile to zewsząd z niego przegląda cieżkiej nienawiści za-

[1]) Dotychczasowy sufragan, Andrzej Szpot zmarł 26. sierpnia 1559 r.

miast braterskiej miłości, kiedy w najmniejszej nawet rzeczy nie raczyliście mię oszczędzić. Poddanych narzekania nie są u was nowe, a ponieważ wiecie, że nie były nigdy uzasadnione, nie powinniście byli zbyt pospiesznie potępiać moich prefektów, których nie możecie uważać za tyranów, tylko za chrześcian. Sądząc, że nie dosyć mnie jeszcze obciążyliście temi zbrodniami, dołączyliście na końcu listu jakieś groźby i postrachy sumienia. Gdybym miał przed wami złożyć rachunek sumienia, próżno bym się trudził. Pytam się przecież, w czem byście chcieli moje sumienie widzieć wolniejszem niż jest obecnie? Trzeba było wymienić jakąś ciężką zbrodnię, któraby sumienie moje widocznie krępowała. Zaiste gdzie wiele łakomstwa, bezbożności i niegodziwości, tam między tyloma szkaradami łotrostwo i zbrodnia ukryć się nie może. Jeżeli więc żadnej nie podaliście, od czego zatem chcielibyście moje sumienie uwolnić? Uważajcie dobrze, byście tak nie oskarżali cudzego sumienia, jak się wam zdaje, że nie ciężą żadne winy na waszem. Co się zaś tyczy waszych gróźb, zapamiętajcie to sobie, że ja się waszemi żadnemi groźbami nie przerażam, bo cały tryb mego życia zawsze tak urządzałem, aby się oszczerców nie bać, oskarżycieli nie lękać. Dlatego również wam radzę, w ten sposób żądajcie sprawy z mego życia, abyście mogli złożyć ją ze swego własnego. Mnie z pewnością nie można zarzucić nic takiego, czegoby nie osłabiła i zniweczyła moja uczciwość i niewinność, Odpowiedziałem już na wasze kryminacye, nie dlatego, aby was drażnić, ale aby się oczyścić z wszelkiej winy, o którą jestem oskarżony; wy tedy żyjcie szczęśliwie w Chrystusie Jezusie i oczekujcie naszego przybycia spokojnie." [1])

Tego przybycia jednak kanonicy krakowscy nie doczekali się nigdy. Zebrzydowski bowiem rozchorowawszy się niebawem na febrę, umarł w jedenaście tygodni po tej wymianie listów z członkami swej kapituły, we Wrześni dnia 23. maja b. r. 1560, gdy wracał z Więcborga do Krakowa. Osierocona przezeń katedra biskupia dostała się archidyakonowi krakowskiemu, Filipowi Padniewskiemu, podkanclerzemu koronnemu. Ster dyecezyi krakowskiej, zaniedbanej i podupadłej za rządów naszego biskupa, miał więc przejść w ręce jednego z prałatów tej kapituły, która zda-

[1]) Kor. Zeb. nr. 877, s. 552—556: Datae exarce nostra paterna Więcbork, die quinta Martii A. D. 1560. R. R. Duorum V. V. frater junior. Andreas, Dei gratia Episcopus Cracoviensis manu sua. List tłumaczony z oryginału łacińskiego.

niem jego również przyczyniła się bardzo do jej upadku z powodu złej administracyi w swym własnym zakresie działania.[1]) Czyż ster ten teraz miał być szczęśliwszy?

W rok po śmierci Zebrzydowskiego dnia 16. maja 1561 r. w Wiewiórce umarł największy jego przeciwnik, bezwzględny a potężny wróg jurysdykcyi biskupiej bronionej wszelkiemi siłami przez niego — były hetman w. k., kasztelan krakowski Jan Tarnowski.[2])

Zwłoki Zebrzydowskiego sprowadzili bracia jego do Krakowa i pochowali je w katedrze, w kaplicy zwanej im. Zebrzydowskich. Na sarkofagu wielkiego twórcy swego rodu i założyciela magnackiej fortuny, wyobrażonego w rzeźbie z marmuru, w pełnych szatach pontyfikalnych z pastorałem w ręku i z surowym wyrazem twarzy w obliczu, pomieścili szumny łaciński napis tej treści: *„Reverendissimo in Christo Patri Dno Andreae Zebridovio de Wianczborg Dei gratia Episcopo Cracoviensi, duorum sapientissimorum Andreae Cricii Archiepiscopi Gnesnensis et Petri Thomicii Epi Cracor. Nepoti, magni illius Erasmi Roterodo discipulo et auditori, viro prudenti, diserto, frugali, sobrio ac temperato. de Christi Ecclesia de que universa Reipublica optime merito- fratres et exequutores domino suo liberalissimo moesti posuerunt. Moritur Września, ex patria Cracoviam redens, anno domini 1560, vigesima tertia mensis Mai, aetatis suae annis 64 exactis.*[3])

Miał się też pojawić niebawem po zgonie Zebrzydowskiego żywot jego, pióra jednego z najzaciętszych wrogów jego, Stanisława Górskiego, kanonika krakowskiego. Żywot ten jednak zaginął. W jakim duchu i w jakim tonie był napisany, możemy poznać ze słów samego autora, zachowanych w liście jego z 12. marca 1562 r., pisanym do Stanisława Hozyusza. Brzmią one: *„Zebrydovius quantum depraedatus est subditos Ecclesiae quam horrenda*

---

[1]) Morawski, A. P. Nidecki, Kraków 1892. str. 100—101.

[2]) Orzechowski, Żywot Tarnowskiego.

[3]) W klasztorze Dominikanów w Krakowie znajduje się także portret Zebrzydowskiego z herbem Radwan. z księgą otwartą w prawej, z berłem biskupiem w lewej ręce i z napisem takim: Andreas Zebridovius in Wienczborg. Episcopus Cracoviensis, vir magnus, qui praecipitem in heresim patriam ingenti animi magnitudine erexit, obiit Września, in patriis bonis et a fratribus palatinis catedrali suae post mortem redditus, anno MDLX, aetatis vero LXIII. Vide Annales Sigismundi I. et Augusti.

patravit, puto, non incognitum est vel ex fama Dni Vestrae i quae fortasse aliquando plenius ex vita eius a me conscripta cognoscet"..,[1])

Natomiast obrazu jego życia, działalności tego humanisty i inkwizytora zarazem, nie poważył się skreślić żaden z jego długoletnich sekretarzy, ani sławny łatynista Andrzej Patrycy Nidecki, ani — Łukasz Górnicki.

Dr. Tadeusz Troskolański.

---

[1]) Vide Łukaszewicz. Dzieje kośc. wyzn. helw. s. 46, tudzież Wisłocki w przedmowie do wydanej przez siebie „Korespondencyi Zebrzydowskiego". s. IV. — Górski bywał wyznaczany przez kapitułę do redagowania instrukcyj poselskich na synody i niejednokrotnie w nich potępiał postępowanie Zebrzydowskiego — vide, jak wyżej.

Z podróży do Szwajcaryi.

(Dokończenie).

Oberżyści na Rigi tak samo obdzierali niejednokrotnie podróżnych, jak nasi gazdowie w schroniskach. Około r. 1795 bawiąca na Rigi poetka duńska. Fryderyka Brun zapłaciła, jak opisuje w dzienniku swym podróżnym. w oberży pod Matką Boską. za śniadanie złożone ze sera, chleba. masła i dwu flaszek kwaśnego wina szwajcarskiego 5 talarów t. j. 18 koron. Pierwsze schronisko na szczycie Rigi zbudował w r. 1816, z pomocą Towarzystwa alpinistów szwajcarskich z Zurichu, oberżysta Marcin Bürgi. Było ono jednopiętrowe. z drzewa zbudowane. równie prymitywnie. jak spalone schronisko Burowej przy Morskiem Oku: pomieścić mogło zaledwie kilkanaście osób. Koszta tej budowy wynosiły około 3200 franków. W schronisku tem gościli najwybitniejsi turyści, najgłośniejsze osobistości europejskie z pierwszej połowy XIX. wieku: głowy koronowane zarówno jak królowie ducha. poeci. uczeni. politycy i wodzowie wszelkich nacyj i języków: między nimi i nasz Słowacki około r. 1834. który widok z Rigi opisuje w sposób następujący w liście do matki: „Ty sobie. Mamo. wyobrazić nie możesz. co to jest patrzeć ze szczytu Rigi albo Faulhornu na wschód słońca. Świat zdaje się pod nogami. Ten sam chłód. który przenika na szczycie gór. rodzi w umysłach jakiś drażliwość. Płakałem na Rigi... rozczulała mię cichość i małość chat rozsianych po górach i dolinach, między

zwierciadełkami kilkunastu jezior! Gdyby, nie było na świecie poezyi, to ta sama myśl, że człowiek, który chodząc po ziemi, zebrał tyle jasnych i zachwycających obrazów, z ziemi do grobu pójść musi, zrodziłaby ją...“

W r. 1848 syn Marcina, Kasper Burgi-Ritschard wybudował istniejący po dziś dzień Külmhaus, mający pomieszczenie na 130 osób: w ośm lat później buduje drugi hotel na 200 osób, zapłaciwszy za plac budowlany 57.000 franków i zobowiązawszy się do płacenia 3.000 franków rocznie, aby być przez dziesięć lat wolnym od wszelkiej konkurencyi. Interes musiał być znakomity. Napływ turystów przybrał olbrzymie rozmiary dopiero z wybudowaniem kolei zębatej na szczyt Rigi w r. 1871/3 i kiedy stanął wspaniały, 5-ciopiętrowy hotel braci Schreiber w stylu pałacowym, urządzony z wielkim komfortem i przepychem na 300 osób. Podczas gdy w r 1816 zwiedziło szczyty Rigi 294 turystów, z tych 95 Szwajcarów, 68 Niemców, 112 Anglików, 9 Francuzów, w r. 1819 już 1036 osób, w r. 1826 osób 1422, zwiedza obecnie Rigi 70—100.000 osób na rok, a uroczy ten wirch nadjezierny stał się najulubieńszem miejscem wycieczek dla całego świata, a kopalnią złota dla przedsiębiorczości szwajcarskiej. U nas pomysł kolei na Świnnicę znajduje przeciwników nietylko w poetach fantastach, ale przedewszystkiem w indolencyi naszego społeczeństwa, nierozumiejącego korzyści z takiego przedsięwzięcia. Kto wie jednak, czy za 50 lub 100 lat nasza Świnnica, Morskie Oko, Rysy udostępnione kolejami nie staną się Rigi północno-wschodniem, międzynarodowem ogniskiem świata turystycznego, a co najważniejsze kopalnią złota dla polskich przedsiębiorców. Kultura kroczy szybciej czy wolniej, ale ustawicznie naprzód, zawita niezawodnie wraz z komfortem i wygodą w nasze tatrzańskie turnie, mimo zgorszenia i oburzenia fanatycznych taterników. Oto myśli, z jakiemi kładł się do snu polski turysta, mający osiedlić się na Podhalu.

Rano o godzinie 4-tej zbudził nas tubalny głos rogu alpejskiego, zapraszającego na oglądanie wschodu słońca. Temperatura była zbliżona do zera. Otuleni w ciepłe ubranie schodzimy z 4-tego piętra na dół, wdrapujemy się na najwyższy, urwisty garb wierzchołkowy, uwieńczony drewnianą wieżycą. Kilkadziesiąt osób z różnych zakątków świata rozgląda się w cudownej panoramie. Mrok ustąpił już ze szczytów górskich, mgły opowiły tylko srebrnymi kłęby toń jezierną. Na niebie widać mdlejące gwiazdy. Na północnym wschodzie w okolicy St. Gallen, gdzie Lentis wznosi

swój przysadkowaty czub, na nieboskłonie pojawia się złoty smug, coraz czerwieńszy i coraz szerszy. Pogodne szczyty berneńskie w coraz to innych przedstawiają się barwach; poranna bladość ustępuje miejsca różowej krasie, by za chwilę zapłonąć złocistym blaskiem. Różopalcata zorza osłoniła wschodnie krawędzie gór, St. Galleńskiego Altmanna, Kurfürstów z nad jeziora Walleńskiego. Młody dzień kładzie pocałunek ognisty na jasno-białe czoła najstarszych i najpiękniejszych cór przyrody. A one mieniąc się z radości, wdzięcznie witają złociste słonko, strzelające promieniami od wschodu, het tam od naszej Polski, od naszej Wisły. Od promieni rumienią się ponad jeziorem Lowerzkiem z wysepki Schuanau stożkowe szczyty Glarniska, przed nimi bliźniacza para szczytów, zwana „Mythen“, u stóp których leży Schwyz, a za nim szwyzkie wirchy rozłożyste Pfannenstock, Reiselstock, przez które w październiku 1799 r. Suworow, sprawca rzezi na Pradze, uskutecznił swój słynny odwrót przed francuską przemocą. Od Uri Rothstocku rozpoczynają się śnieżyste całuny gór. Południowy grzbiet Rigi zakrywa nam widok na jezioro, którego szmat około Reckenriedu bardziej na zachód się odsłania. Za niem olbrzymy Berneńskie jak Finsteraarhorn, Wetterhorn, Mnich, Eiger, Jungfrau ostatni raz w całej okazałości się nam pokazują na pożegnanie, ostatni raz oko wędrowca zachwyca „Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica, kiedy od słońca różane ma lica“; zamyka widok od zachodu rogaty Piłat naprzeciw zatoki Küssnachskiej, nad którą zawieszeni się znajdujemy. Zwracamy się ku północy, za Piłatem widać niskie wały Jurajskie nad jeziorem Neuchâtelskiem het daleko za Luzerną. Za niem na zachód garby Jury solurskiej, a poniżej nich białawe kłęby mgły nad jeziorem Sempachskiem. Fantazya ujrzeć w tych kłębach może hufce rycerskie w złocistych i srebrzystych rynsztunkach, walczące z chłopstwem, które broni własnych sadyb i wolności. I chłopska pięść okaże się silniejsza: chwieją się w żelazo okute szeregi panów, sztantar austryacki się chyli, niby kłos podcięty, daremnie książę Leopold usiłuje go podeprzeć. Sztandar ten bezpowrotnie przestał powiewać nad szwajcarską ziemią, Habsburgów dziedziną, legł wraz z bohaterskim księciem, legł wraz z 1400 rycerzami w prochu oswobodzonej ziemi szwajcarskiej. W tych górach, nad tem jeziorem wykłuła się demokratyczna idea w chwili, kiedy feudalizm rycerski panował wszechwładnie wszędzie i we wszystkiem, nawet w Kościele samym. Ta demokracya złamała ten feudalizm w znacznej części nietylko w Szwajcaryi, ale w sąsiedniej Francyi i Italii i uwol-

niła Europę od przemożnej kasty kszatryasów, która znalazła grób swój w kurhanach czy pod Morgarten, czy pod Sempach czy Naffels czy pod Marten. Wolność ta oddziaływała i promieniowała i na alzackie dzierżawy, których dalekie szczyty wogeskie ślą pozdrowienie widzowi z Rigi, oddziaływała i na okolice Szwarzwaldu wychylającego się na samej północy. Czy w Badenie, czy w Würtembergii, czy w samej Bawaryi, których ziemie w promieniu 160 km. widoczne są z Rigi szwajcarskiej, demokratyczna idea nie bez wpływu szwajcarskiego znacznie więcej przeniknęła społeczne warstwy niż na północy dzierżaw niemieckich. W górach bowiem gości wolność i swoboda i z gór ta wolność schodzi w dolinę. Tu w górach szukali tej wolności, zaprzepaszczonej i zdeptanej w nizinach wielkopolskich i nadwiślańskich, i nasi bohaterzy i wieszcze. Czy Kościuszko czy Mickiewicz, czy Słowacki, czy wreszcie Langiewicz.... Oto marzenia, jakie ukołysały mój umysł powtórnie do snu po wschodzie słońca na Rigi. Rano mgła jezierna doszła do szczytu i zamknęła nam widok zupełnie. Promienie słoneczne świecąc z góry, rzucały na ekran mgły nasze cienie, otaczając je tęczowymi kontury. Wnet i to ustało, bo mgła otuliła szczyt srebrnym całunem, a człowiek po uskutecznionych zakupnach na szczycie Rigi, rad wsiadł do pociągu, wiozącego nas ku północy nad jezioro Zugskie, a ztąd do Einsiedeln, Częstochowy szwajcarskiej.

Obok Lourdes Loretto, St. Jago de Compostella, Częstochowy, należy Einsiedeln do najgłośniejszych miejsc odpustowych świata katolickiego. Już w r. 1466 na główny odpust Poświęcenia anielskiego gromadziło się około 130.000 pielgrzymów ze wszystkich krajów europejskich. W ostatnich dwu stuleciach przybywa rocznie do Einsiedeln około 150.000 pielgrzymów. W latach 1886 i 1894 liczba pątników wzrosła do 200.000. Z samej Szwajcaryi przybywa tu na odpusty około 80 kompanij, a dawniej bywało ich i 125; obecnie z pobudowaniem kolej kompanie zastąpiły przeważnie pielgrzymki z sąsiednich krajów, liczące niekiedy po tysiąc pielgrzymów. Pielgrzymki takie płyną nietylko z całej Szwajcaryi, ale z Alzacyi, Lotaryngii, Badenii, Bawaryi, Würtembergii, Tyrolu, Sabaudyi, Francyi, Belgii, ba, nawet z Anglii i Ameryki. Sięgają zaś te pielgrzymki od X. stulecia i nietylko masy ludowe sprowadzają tu w to lesiste ustronie, ale najwybitniejsze osobistości dziesięciu z górą wieków. Pielgrzymowały tu Ottony saskie, współczesne naszym Bolesławom i Karole IV. i Zygmunty Luksemburgi, przyjaciele i wrogowie naszych Kazimierzów i Jagiellonów. Piel-

grzymowały Habsburgi, Hohenzollerny, Wittelsbachy Wettingi, pokolenie po pokoleniu. Przybywali tu ludzie święci, jak żona Ottona Wielkiego, św. Adelajda, św. biskupi Konrad z Kostnicy, Ulryk z Augsburgu, św. Majolus, sławny opat kluniacki z czasów naszego Kazimierza Mnicha; przybywał tu w XV. w. patron szwajcarski bł. Mikołaj z Flüe, bawił tu w r. 1570 św. Karol Boromeusz, arcybiskup medyolański, często przybywał św. Piotr Canizyusz, trzy razy bawił św. Benedykt Józef Labre. Z najgłośniejszych biskupów zeszłego wieku pielgrzymował tu 26 razy sławny biskup orleański, Dupanlaup, sędziwy arcybiskup fryburski z Bryzgowii, Hermann von Vicari chodził tu pieszo z ludem odmawiając po drodze różaniec, tak samo głośny twórca chrześcijańskiej akcyi socyalnej w Niemczech, biskup moguncki Ketteler. I cóż wiedzie te tysiące i miliony pątników od 10-ciu wieków w tę leśną i górską ustroń w kantonie Szwyzkim?

W połowie dziewiątego wieku św. Meinrad z rodziny szwabskiej, zaliczonej do protoplastów rodu Hohenzollernów, urządził sobie tutaj pustelnię, żył tu i działał przez lat 25, oddany służbie Bożej i posłudze bliźnich i, jak pięciu naszych braci męczenników w Wielkopolsce z reguły św. Romualda, został zamordowany przez rabusiów w r. 861. W pięćdziesiąt lat później świątobliwy kanonik strassburski Beno, czas pewien biskup w Metzu, osiadł w celi męczennika, by pustelnicze wieść tu życie wraz z towarzyszami. Lud okoliczny zwał siedzibę pustelników „zu den Einsiedeln“, z czego powstała nazwa Einsiedeln. Za Benonem przybył ze Strassburga kanonik Eberhard, założyciel klasztoru Benedyktynów na miejscu pustelni. W r. 948 wykończono ów większy kościół, który obejmuje w swem wnętrzu starą kapliczkę na cześć Najświętszej Panny, założoną przez św. Meinrada. Zaproszony do poświęcenia kościoła i kaplicy biskup Kostnicy, św. Konrad, wraz z biskupem Augsburga, św. Ulrykiem, miał dnia 14. września odbyć poświęcenie. Gdy jednak w nocy wstał wraz z zakonnikami celem odmówienia zwykłych modłów, usłyszał wraz z nimi cudowne pienia anielskie hymnów używanych przy poświęceniu. W obec tego wahał się biskup poświęcić kaplicę na drugi dzień. Gdy jednak naglono na niego, a biskup zabrał się do aktu poświęcenia, usłyszano trzy razy wyraźnie głos: „Bracie daj pokój, ona jest przez Boga poświęcona.“ Wobec tego wszyscy dali wiarę, że kaplicę samo niebo poświęciło. Cud ten opowiedział w r. 964 sam biskup Konrad wobec cesarza Ottona Wielkiego i jego żony Adelajdy, papieżowi w Rzymie, a papież uznał poświęcenie za

prawidłowe i zakazał jakiemukolwiek biskupowi miejsce to na nowo poświęcać. Odtąd klasztor stał się miejscem cudownem, uświęconem nietylko łaskami Bożemi, ale świątobliwością swych zakonników, z których niejednego zaliczono w poczet świętych, jak Wolfganga, Gerolda i t. d. Cesarz Otto I. przyznał klasztorowi wolność elekcyi opata i wyniósł takowego do godności księcia Rzeszy. I słusznie, włości, jakiemi Otto Wielki i Henryk II. święty szczodrze obsypali klasztor, obejmowały w samym kantonie Szwyzkim przeszło cztery mile kwadratowe. Do tego w ciągu wieku przybywały różne nabytki w ziemi, a zwłaszcza w kosztownych sprzętach kościelnych. Przeważna część mienia klasztornege przepadła w burzliwych czasach, zwłaszcza podczas rewolucyi religijnej w XVI. wieku. Wtedy to nietylko wskutek zaboru dóbr kościelnych przez Zwinglian byt klasztoru był zagrożony, ale także wskutek wewnętrznego upadku i rozkładu. I nie dziw. Do XVI. wieku przyjmowano do klasztoru na zakonników tylko szlachtę; to też w r. 1526 zabrakło zupełnie zakonników. Za sprawą katolickich kantonów i klasztoru w St. Gallen, po usunięciu niekatolickiej ekskluzywności szlacheckiej, nastąpiło odrodzenie ducha katolickiego i znowu płynęły coraz liczniejsze rzesze wiernych do cudownego miejsca, zwłaszcza cudownego obrazu Matki Boskiej, przechowywanego w świętej kapliczce. Kult ten obrazu Matki Boskiej einsiedleńskiej datuje się od w. XV. Mnóstwo cudów tu wydarzonych spotęgowało sławę tej niemieckiej Częstochowy. Tysiące ich zapisanych przechowują roczniki klasztorne. Szeregi ich potwierdzają nietylko zakonnicy, ale urzędowe dokumenta rad miejskich a nawet protestanckich. Pod r. 1534 n. p. według źródeł klasztornych [1]) jakiś Jakób Loubi na skargę opata Gallusa od św. Błażeja w Schwarzwaldzie, został ujęty przez wójta Tschudiego z Glarus i uwieziony w wieżycy zamku wójtowskiego w Badenie szwajcarskim, przykuty silnym łańcuchem do muru. Lękając się tortur i szubienicy, zwrócił się z korną modlitwą do Matki Boskiej z Einsiedeln. We śnie ujrzał postać jasną, która mu rzekła „Wstań, jesteś wolny!“ Obudzony więzień spostrzegł, że łańcuchy opadły mu ze ściany na ramiona. Widząc w tem widoczny cud, nie wahał się, ponieważ drzwi turmy były zamknięte, skoczyć oknem z wieży kilkopiętrowej. Spadł na skałę, a potem do rzeki Limmat i mimo to nie poniósł żadnego szwanku, tylko kapelusz

[1]) P. Odilo Ringholz O. S. B. Wallfahrtsgeschichte unserer Lieben Frau v. Einsiedeln 1896, str. 68.

postradał. Natychmiast udał się do Einsiedeln, by łańcuchy i dyby żelazne tu złożyć na pamiątkę ocalenia. Urzędowy zbiór wyroków sądowych pod dniem 14. kwietnia 1534 potwierdza cudowne ocalenie temi słowy: „Co do owego Jakóba Loubi wyrokujemy, ponieważ Bóg i jego Matka wielebna mu pomogła, że nie ma być więcej sądowo nagabywany.“ Między podpisanymi znajdujemy podpis protestanta Henryka Rahna z Zurichu, który jako reprezentant Zurichu pierwszy wyrokował.

Pod r. 1580 dowiadujemy się o uzdrowieniu cudownem 18-letniej Anny, zwanej Stumpenröckti, podrzutka, od urodzenia kulawej i tak pokrzywionej, że tylko na kolanach wlec się mogła. Mimo to wybrała się pokryjomu z miasteczka Urnach w kantonie St. Gallen do Einsiedeln i w drodze przez postać jakąś cudowną nagle jest uzdrowioną. Rząd schwyzki, zbadawszy to cudowne wydarzenie, na jego pamiątkę kazał wybudować kaplicę na miejscu uzdrowienia, po dziś dzień stojącą. Syn margrabiego Ludwika Wilhelma z Baden-Baden, głośnego pogromcy Turków, Ludwik Jerzy, był do 7-go roku życia niemy. Matka jego Franciszka Sybilla udała się w lipcu 1708 r. z dzieckiem do Einsiedeln; gdy orszak stanął na górze, zkąd pielgrzymom otwiera się widok na Einsiedeln, nagle dziecko zapytało się: „Czy to jest kaplica Matki Boskiej w Einsiedeln?“

Dnia 20. grudnia 1888 r. umarł w Luzernie głośny muzyk kościelny, Cysters Ambros Meyer, organista z kościoła św. Leodogara. Urodzony w r. 1814 był on do 4-go roku życia głuchoniemym, prawie zidyociałym. Pomoc lekarska okazała się bezsilną. Pobożny ojciec robi pielgrzymkę do Einsiedeln, gdzie w gorącej modlitwie poleca dziecię nieszczęśliwe opiece Boga-Rodzicy. Wracającego do domu ojca powitało nieme dziecię wraz z rodzeństwem słowami: „Ojcze! ojcze!“ Odtąd chłopiec okazywał wielkie zdolności, zwłaszcza do muzyki i wyrósłszy poświęcił się stanowi zakonnemu i stał się wirtuozem w grze na organach.

Oto z tysiąca cudownych uzdrowień kilka przykładów, które tłumaczą przywiązanie, wiarę i ufność ludu katolickiego do świętej kapliczki w Einsiedeln i do umieszczonego w niej obrazu cudownej Matki Boskiej. Nawet tak pogański umysł, jakim był Goethe, poetyczną intuicyą odczuwał świętość tego miejsca, kiedy pod rokiem 1775 w pamiętniku swoim, wspominając o pobycie swoim w Einsiedeln, pisze: Kapliczka w środku kościoła, dawna pustelnia świętego Meinrada, inkrustowana marmurem i o ile się tylko dało, zamieniona na porządną kaplicę, było dla mnie coś

nowego, przezemnie nigdy jeszcze niewidzianego, to małe naczyńko, otoczone filarami i sklepieniami nakryte. Poważne refleksye musiało ono nasuwać, że jedna iskra moralności i bogobojności tutaj wznieciła ciągle płonący i świecący płomień, do którego wierzące rzesze wśród wielkich trudów miały pielgrzymować, aby przy tym płomieniu i swoją świeczkę zapalić. Cokolwiek o tem sądzić można, świadczy to o bezgranicznej tęsknocie ludzkości za podobnem światłem, podobnem ciepłem, jakie ów pierwszy św. Meinard w najgłębszem uczuciu i najsilniejszem przekonaniu żywił i jakiego użył. [1]) A jednak to, co tyle wieków mimo burz i zawieruch wojennych i religijnych przetrwało, miało paść ofiarą fanatyzmu rewolucyjnego Francuzów w r. 1798. Pod generałem Schauenburgiem wojsko francuskie splondrowało klasztor i zburzyło doszczętnie kaplicę; cudowny obraz ukryty ocalał. Dopiero po kilku latach powrócili zakonnicy do klasztoru; odbudowano ze starego materyału, wedle dawnych wzorów, na nowo kaplicę cudowną, gdzie znowu króluje cudowny obraz Najśw. Panny Einsiedleńskiej i ściąga jak dawniej coraz to liczniejsze rzesze pobożnych pielgrzymów. „Czyż to nie jest rzeczywisty prawdziwy cud, że setki tysięcy, miliony utrudzonych i obciążonych ludzi na flisach kamiennych klęcząc przed cudowną kaplicą, czarnej Matce Bożej przedkładali w modlitwie swą nędzę i swe cierpienia i pocieszeni, a może i naprawieni z tąd wrócili? Czy ci ubodzy w duchu pod względem humanitarnym i moralnym nie stoją o całe niebo wyżej od półuczonego motłochu wielkomiejskiego, który pouczony przez pseudouczonych wierzy tylko w brutalno-materyalistyczny dogmat, jakoby człowiek był tylko zwierzęciem i wyciąga z tego taką naukę, że wolno mu po zwierzęcemu żyć i działać". Tak pisze nie jakiś tam kaznodzieja katolicki, lecz wcale do chrześcijaństwa nie przyznający się sławny swego czasu historyk literatury, Jan Scherer.

Zabudowania klasztorne dzisiejsze, są dziełem budownictwa XVIII. w. w stylu barokowym, szóstym z rzędu budynkiem klasztornym od czasów św. Meinarda. Tworzą one czworobok 156 m. długi, 136 m. szeroki, z czterema podwórzami w środku, obejmujący przestrzeń mniej więcej $6^1/_2$ hektara. W środku tego czworoboku znajduje się kościół z dwiema kopulastemi wieżycami od frontu. Przed klasztorem od zachodu rozlega się olbrzymi plac ze studnią Matki Bożej w środku, zaspakającą pragnienie setek

[1]) Goethe, Aus meinem Leben III. 18.

tysięcy pielgrzymów, obozujących w czasach odpustu na tym placu. Po granitowych szerokich schodach, z jednej i z drugiej strony otoczonych półkulistemi arkadami, wchodzi się na rozległą terasę, na której wznoszą się potężne zabudowania klasztorne. Wspaniały ośmiobok od frontu umieszczony mieści pod swem sklepieniem między dwoma filarami cudowną kapliczkę, na wzór domku loretańskiego w środku kościoła umieszczonego. Pod względem sztuki ani kaplica ani kościół sam nie zrobiły na mnie wrażenia. Do barokowych budowli kościelnych oko nasze tak przywykło, że stały się zjawiskiem zupełnie pospolitem nawet wtedy, kiedy wyróżniają się od naszych kościołów potęgą rozmiarów. Taka n. p. fara poznańska wcześnie barokowa artyzmem architektonicznym przewyższa bez porównania barok kościoła einsiedelnskiego. Wrażenie robi ten mały czarny kościółek w środku kościoła, przed którym klęczą, korzą się i dusze podnoszą rozmodlone postacie pobożnych. Wrażenie robi chór „patrów“ powoli i poważnie kroczących z refektarza przez cały kościół do czarnej kaplicy; wrażenie zwłaszcza robi smętne Salve Regina odśpiewywane przez „patrów“ wedle melodyi z XI. wieku. Tony te poważne, smętne, proste przypominają nieco naszą Boga-Rodzicę śpiewaną od wieków nad grobem św. Wojciecha, tylko nasza pieśń średniowieczna ma więcej słowiańskiej krewkości, animuszu i rozmaitości od monotonnej, prostej melodyi einsiedelńskiej. Przeświadczenie, że te smętne tony powstały w czasach największej walki, największej rozterki duchowej, jaką kiedykolwiek przechodził Kościół, a wypłynęły ze zbolałej duszy gnębionych i zgnębionych chwilowo zakonników, reformatorów gregoryańskich, dodawały tej prastarej melodyi uroku. W uszach i w sercu dźwięczał długo ten korny i rzewny jęk: „O clemens, o pia, o dulcis Virgo Maria!“. Ponieważ czas naglił, trzeba było szybko oglądać te olbrzymie ołtarze, czy Różańcowy, czy św. Marcina, czy św. Benedykta, czy freski barokowe na sklepieniach, czy marmurowy wielki ołtarz roboty Pozziego z Medyolanu, czy olbrzymie obrazy Deschwandena. Więcej uwagi zwrócił złocony świecznik, wiszący w kopule przed ołtarzem P. N. Sakramentu, wysoki na 5 m. z trzech obręczy złożony, z których dolna ma 4 m. średnicy, roboty paryskiej w szlachetnym stylu romańskim wykonany. Jest to dar Napoleona III. z r. 1865. Na środkowej obręczy widnieje napis wyjęty z listu królowej Hortensyi, matki Napoleona III., do opata einsiedelnskiego: „Je dessire metre moi et mes enfants sous la protection de la sainte Vierge“.

Na północ przypiera do głównej nawy kościoła osobny kościół, zwany Beichtkirche, o dwóch piętrach; górne służy za skarbiec, dolne sklepione z szeregami konfesyonałów służy jako spowiednica pątników różnych nacyj i języków. Spieszyło się nam oglądać klasztor, zwłaszcza opackie apartamenta, zwane dworem. Przedstawiamy się jako podróżnicy z Polski. Dostajemy jakiegoś młodego „patra“, zdaje się bibliotekarza, za cicerone. Prowadzi nas najpierw do wielkiej sali, najwspanialszego apartamentu klasztornego. Sala bogato ozdobiona, ale nie zbyt gustownie udekorowana, zdobna jest malaturami na powale Deschwandena, na ścianach wiszą szeregi obrazów, obok przedstawiających św. Katarzynę, bł. Mikołaja z Flüe, Ecce Homo A. Caracciego, św. Barbarę z XV. wieku, mamy tu przeważnie portrety monarchów, z jakimi klasztor utrzymywał przyjazne stosunki. Mamy więc portrety Napoleona III. i cesarzowej Eugenii, cesarza Franciszka Józefa I. i cesarzowej Elżbiety, Piusa IX., zmarłego następcy tronu Rudolfa, króla Karola rumuńskiego i jego żony Elżbiety, sławnej Carmen Sylvy; mamy zwłaszcza portrety króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II. i cesarza Wilhelma I. Dalej obraz przedstawiający kazanie św. Meinrada artystycznie nie wielkiej wartości, ale ciekawy, że jest darem katolickich Hohenzollernów z r. 1861, w czasie obchodu tysiącletniej rocznicy męczeństwa św. Meinrada, który pochodził z rodziny pokrewnej Hohenzollernom. Postacie na tym obrazie przedstawione, są portretami członków rodziny Hohenzollernów. Wobec tego nie dziw, że Hohenzollernowskie pruskie sympatye w klasztorze einsiedelnskim są wcale żywe, jak z drugiej strony znane są sympatye protestanckiego dworu berlińskiego do zakonu Benedyktynów. O tych sympatyach pruskich przekonał mnie nasz cicerone, niezawodnie gorliwy czytelnik berlińskiej Germanii. Było to właśnie po wyborach Korfantego na Górnym Śląsku. Mając Polaka przed sobą, zacny „pater“ niemiecki nie mógł nie wyrazić ubolewania i obawy z powodu szerzącego się socyalizmu wśród Polaków górnośląskich, występujących przeciwko prawowiernemu katolicyzmowi centrowców wrocławskich. Jak wielkie było jego zdziwienie, a może i zgorszenie, gdy mu oświadczyłem, że rzecz się ma odwrotnie, że zwycięstwo polonizmu, to utrwalenie katolicyzmu, a przeciwnie germanizacya to protestantyzacya. Za głowę się zaś schwycił, gdy mu oświadczyłem, że większa część t. zw. Deutschkatolików na wschodzie pruskiej monarchii przedewszystkiem ogląda się na cesarza, potem na landrata, a potem dopiero na Pana Boga i Kościół. „To jest stronniczo-narodowe

zapatrywanie Pańskie!“ oświadczył mi nie bez irytacyi Benedyktyn. „W każdym razie więcej zbliżone do prawdy, bo oparte na długoletniej obserwacyi własnej na miejscu“ — odparłem — „od źródeł informacyjnych Waszej Wielebności, jakkolwiek tak bardzo katolicką mają firmę!“ Nie przekonałem oczywiście młodego Benedyktyna einsiedelnskiego o sympatyach prusko-wszechniemieckich, ale miałem sposobność przekonać się, że nie wszyscy synowie duchowni św. Meinrada na tę samą nutę są nastrojeni. Jeden z „patrów“, z którym wszcząłem rozmowę, skoro się dowiedział, że jesteśmy z Krakowa, oświadczył nam z niekłamaną sympatyą: „Ach to Panowie z Polski! jak bardzo się cieszę, że mogę powitać tu synów waszego szlachetnego, a tak nieszczęśliwego narodu“. Pater ten był człowiekiem sędziwym i przedstawiał typ wymierającego obecnie pokolenia niemieckiego, tej generacyi, która śpiewała hymny pochwalne na cześć „Tysiąca walecznych opuszczających Warszawę“ i t. d. Typ pierwszy, pełen uprzedzeń do obcych i pełen pychy i zarozumiałości krzyżackiej, staje się coraz częstszym nawet w obozie Windhorstów i Schorlemer-Alstów. Pomimo uprzedzenia i przeciwieństwa politycznego, nasz młody Benedyktyn z wielką uprzejmością oprowadza nas po klasztorze i pokazuje nam co jest widzenia godnem. Wszędzie panuje wzorowa czystość i ład i porządek niemiecki, połączony z wygodą i postępem, tak często niestety obcym w naszych klasztornych celach. Oświetlenie w klasztorze jest elektryczne, opalenie budynków klasztornych, obejmujących 32.000 m^3 przestrzeni, parowe. Rury, służące do opalenia, mają 6 km. długości. Prawdziwą ozdobą klasztoru jest jego biblioteka, umieszczona w pięknie ozdobionych barokowych salach. Biblioteka liczy 50.000 tomów, zwłaszcza z dziedziny teologicznej, około 500 inkunabuł, szereg drogocennych rękopisów aż het z VIII. w. z prześlicznemi miniaturami. Perłą tej biblioteki jest t. zw. Anonymus lub Regionator Einsiedlensis z X. w. zawierający cenny opis i topograficzne szkice Rzymu jakiegoś pątnika z VIII. wieku. Bibliotekę oczywiście kompletuje się ustawicznie nowemi dziełami. Nadto posiada klasztor trzy biblioteczki podrzędne dla profesorów i słuchaczy teologii i dla gimnazyalistów klasztornych. W klasztorze bowiem znajduje się gimnazyum, liczące około 300 uczniów z 25—30 profesorami, oczywiście zakonnymi. W klasztorze jest konwikt na 180 uczniów, umieszczony w północno-wschodnim narożniku klasztornym. Piękna kaplica z obrazami Deschwandena, trzy olbrzymie sale naukowe, teatr szkolny, sala muzyczna, świadczą, że w klasztorze wiedza

ze sztuką harmonijnym węzłem złączone, służą celom wychowawczym. Bogate zbiory, chemiczne laboratorya, cenne zbiory sztuki, rysunkowe, fizykalne, przyrodnicze stwierdzają nadto, że poziom nauki tej klasztornej szkoły średniej jest wcale wysoki.

Wziąwszy na uwagę to jeszcze, że klasztor zaspakaja potrzeby parafialne einsiedelnskich mieszkańców i okolicznego ludu w liczbie około 9000, że pełni obowiązki duszpasterskie w 8-miu parafiach szwajcarskich, zajmuje się misyami i rekolekcyami, kieruje szeregiem towarzystw katolickich, spełnia obowiązki spowiedników w kilku klasztorach żeńskich, że założył trzy filie klasztorne w Stanach Zjednoczonych, że wydał szereg uczonych i pisarzy, jak O. Wojciecha Kuhna, Karola Brandesa i t. d. — zrozumiemy pożyteczną działalność synów św. Benedykta i św. Meinrada, nietylko w średnich wiekach, ale i w nowszych czasach. Ci ludzie, którzy tak umieli się zastosować do potrzeb ducha czasu i tyle dobrego działają, zaiste są dobrodziejstwem prawdziwem dla tyle postępowego, tak kulturnego i tyle demokratycznego społeczeństwa szwajcarskiego.

Z żalem opuszczamy przybytek cudowny, nietylko łaską Bożą, ale rzetelną pracą nad dobrem bliźnich uświęcony. Po drodze na kolej wstępujemy celem zakupna dewocyonalij do sławnej na całym świecie firmy Bensingera i Ski, posiadającej filie w Nowym Yorku, w Cincinatti, w St. Louis, w Chicago, w Kolonii, Paryżu i t. d. Dość wspomnieć, że w Einsiedeln rozporządza firma ta 20-tu budynkami, a zatrudnia 600 ludzi. Zasługi tej firmy około katolickiej literatury i sztuki chrześcijańskiej zjednały jej szereg najwyższych odznaczeń ze strony Stolicy Apostolskiej i kilku papieży. Zresztą w tej szwajcarskiej Częstochowie, złożonej ze samych gospód, nie wiele do widzenia. Nie ma czasu obejrzeć sławnej panoramy Męki Pańskiej, choćby dla porównania jej z naszą lichą Styki w Częstochowie.

O 6-tej godzinie pociąg wiezie nas do Rapperswylu. Doliną rzeki Sihli jedziemy do Bilorach, a ztąd nad wybrzeże znanego nam jeziora Zürichskiego. W promieniach zachodzącego słońca migają wieżyce ciężkie Rapperswylu, wśród złotem nabijanych fal wieczornych wychylają się zielone wysepki Ufnau i Lützelau. Pierwsza z nich należy do klasztoru Einsiedelnskiego i jest uświęcona pobytem na niej w X. w. św. Adelryka, syna duka szwabskiego Burkharda I. i jego świątobliwej małżonki Reginlindy. Kościół i kaplica, stojące na tej wysepce, mają być fundacyą tego świętego pustelnika z książęcego rodu i jego świętej matki. W każdym

razie były już w r. 1141 poświęcone. Na małym cmentarzu tej wyspy spoczywają zwłoki rycerskiego rewolucyonisty XVI wieku, Ulryka Huttena, który tu szukał pomocy lekarskiej u zakonnika einsiedelnskiego i umarł w r. 1523, wyjęty z pod prawa banita i apostoł grabieży kościelnych. Wąską tamą, zbudowaną w r. 1878, dzielącą jezioro na dwie nierówne połowy, dojeżdżamy do tyle sercu polskiemu drogiego Rapperswylu, ozłoconego promieniami zachodzącego słońca.

Miasteczko, zaledwie 3500 mieszkańców liczące, prześlicznie położone nad jeziorem, zdobi wyniosłe wzgórze lipami ocienione, z pośród których sterczą ku niebu baszty prastarego zameczyska panów na Rapperswylu, oraz obszerny gotycki kościół z dwiema ciężkiemi wieżycami. Ulokowawszy się w jednym ze skromnych hoteli przy stacyi kolejowej i posiliwszy się wcale smaczną kolacyą, obchodziliśmy alejami nadjeziernemi szwajcarskie miasteczko. Już zorze wieczorne gasły het tam nad Zürychem, fale jezierne przybierały coraz bardziej opałowe, coraz ciemniejsze barwy; cienie nocne otulały coraz więcej skrzydłami swemi i miasto i okolicę i jezioro i zamek. Cisza była do okoła, wśród alei błąkaliśmy się sami.

Po tylu wrażeniach wspaniałych, po huku, wirze i zgiełku wielkomiejskim, myśl moja znalazłszy się w ciszy i samotności, jak ptak pierzchliwy wydobywszy się z matni, leciała tęskliwie na wschód, hen daleko do wielkopolskiej wioski z prastarym gotyckim kościółkiem, ocienionym podobnemi lipami, do złotych główek moich drogich bobiat, układanych przez ukochaną mateńkę do snu. Daremnie chciało się tą tęsknotę do swoich odpędzić; naprożno wsłuchiwałem się w dźwięki wesołej jakiejś muzyki, płynącej z jednego z gmachów rapperswyskich. Nostalgia opanowała zupełnie znużonym umysłem, serce się rwało do rodziny, do żony, do dzieci. Pragnienie powrotu do domu i ojczyzny jak najspieszniejszego kołysało zmęczony umysł do snu Zanim jednak obaczym tę upragnioną ojczystą ziemię, należy się rozpatrzeć w tym skrawku ojczystym, jaki na szwajcarskiej ziemi stworzyła patryotyczna polska dłoń hr. Władysława Platera.

Było to 15 lipca 8 godzina rano, kiedyśmy wstąpili w mury rapperswylskiego zameczyska. Przez odźwiernego zaprowadzeni do kustosza p. de Rozenwert Rużyckiego, zastaliśmy go gdzieś na III-em piętrze w bluzie prostego robotnika z przyrządami stolarskimi w rękach, pracującego nad umieszczeniem jakichś obrazów. Przyznam się, że mię rzetelna praca polskiego patryoty

w polskiem Muzeum chwyciła za serce. Przedstawiwszy się kustoszowi, zwiedzaliśmy pod przewodnictwem szwajcarskiego zdaje się odźwiernego, który po niemiecku objaśniał nam polskie rzeczy. Trudno opisywać całe Muzeum i jego zbiory, trudno wyliczać te pamiątki po królach polskich i wielkich duchach polskich, po Koperniku, Kraszewskim, Chodźce, Kościuszce, Mickiewiczu i t. d. Do badania powstań naszych czy z r. 1794 czy 1863 r. jest tu źródeł wielka obfitość, wielka obfitość rękopisów po Mickiewiczu; wielka ilość pamiątkowych przedmiotów, obrazów, portretów po królu wieszczów polskich, wypełnia osobną sale na 3-ciem piętrze t. zw. Mickiewiczowską. Prześliczny widok z okna tego pokoju na miasteczko, tulące się u stóp zamku, na jezioro mieniące się od promieni porannego słońca, na błękitne góry za jeziorem. Na jednej z nich Hochetzel 1.000 m. wysokiej widać dwie białe budowle, małe z oddalenia. Jest to kościół św. Meinrada i hotel obok niego. Kościół ten stoi na miejscu pierwszej pustelni patrona tych okolic, zanim do Einsiedeln się udał.* W hotelu tym mieszkał mistrz Andrzej Towiański, zły, czy dobry duch naszych wieszczów, i pisał z góry Etzel mistyczne swe nauki dla polskiej braci. Być może, że ekscentryk ten i mistyk religijny stał tam, gdzie kończy się nauka katolicka a rozpoczynają się bezdroża fantastycznych herezyj i nerwowych halucynacyj. Z tem wszystkiem dusza to była szlachetna i dlatego, że szlachetna tak wielką odegrała rolę w życiu naszych mimoz poetycznych.

Również sala Kościuszki zajmie umysł każdego Polaka. Widać tam łóżko, gdzie zgasło serce bohatera z pod Racławic. szereg portretów i podobizn Naczelnika naszego patrzy na przybysza ze ścian, gabilotek i t. d. Pokazują szachy i różne sprzęty po nim. W pokoju pod nazwą „Przyjaciół Polski“ zajęły mnie jako Wielkopolanina pamiątki po martyrologii dziatek wrzesińskich.

W południe wiózł nas pociąg do Romanshornu nad jezioro Bodeńskie. Tyle wrażeń się wyniosło, że zmysły nie były już zdolne do śledzenia uroczych przedgórzy między jeziorami Zürichskiem i Bodeńskiem.

Umysł starał się skupić ten chaos wrażeń szwajcarskich i robić refleksye nad tą przedziwną helwecką krainą wolności.

Pomimo, że Szwajcaryę zamieszkuje około 2.082.000 Niemców, 634.000 Francuzów, 155.000 Włochów, a 38.000 Retoromanów, walki i starcia narodowościowe nie istnieją prawie, z powodu zupełnego równouprawnienia narodowościowego. Szwajcarzy roz-

wiązali kwestyę językową, stwarzając wielojęzyczne urzędy związkowe, pozwalając w ciałach prawodawczych, w sądach, w urzędach posługiwać się każdemu jednym z 3 głównych języków krajowych.

Ustrój kantonalny z szeroką autonomią służy sprawie postępu nietylko pod względem politycznym, ale i społecznym. On to przygotował nietylko ustawodawstwo z r. 1848 i 1874, ale najbardziej postępowe reformy, jak referendum ludowe i t. zw. inicyatywę ludową. Powszechnie obowiązujące uchwały związkowe mają być ludowi przedłożone do przyjęcia lub odrzucenia, jeżeli się tego domaga 30.000 obywateli uprawnionych do głosowania lub 8 kantonów (t. z. fakultatywne referendum). Jeżeli dalej 50.000 obywateli szwajcarskich podpisze projekt ustawy i żąda jej uchwalenia, tedy rada związkowa musi ten wniosek wziąć pod obrady i przedłożyć go ludowi pod głosowanie. — Ze względu, że bezpośrednie powszechne tajne i równe prawo głosowania i t. z. system przedstawicielstwa większości są niesprawiedliwe, gdyż najpoważniejsze mniejszości odsądzone są od wszelkiego wpływu, żądają dziś w Szwajcaryi socyaliści (!) i postępowcy proporcyonalnego przedstawicielstwa t. j. niechby każde stronnictwo miało przedstawicieli w ciałach prawodawczych, odpowiednio do ilości głosów, otrzymanych przy wyborach. — W lipcu r. 1898 kanton zurychski uchwalił przez referendum ludowe dopuszczenie kobiet do zawodu adwokackiego. Za przykładem tym pójdą niechybnie inne kantony, a kobieta zdobędzie tak odpowiedni jej zdolnościom posterunek, jakim jest adwokatura i zawód prawniczy. — Cały szereg kantonów wprowadził najnowszy postulat kryminalistów europejskich, t. j. warunkowe uwolnienie więźnia przed końcem terminu wyznaczonej kary. Na polu ustawodawstwa socyalnego Szwajcarya, jeżeli się nie posunęła tak daleko, jak Niemcy, to w każdym razie postąpiła znacznie naprzód. W Szwajcaryi to najpierw zaprowadzono 11 godzinny dzień roboczy. Pojedyncze kantony idą dalej jeszcze w ochronie zdrowia i sił robotniczych. Tak n. p. Bazylea wprowadziła prawo, zabezpieczające 7 godzin nocnego wypoczynku bez przerwy dla kobiet, usługujących w restauracyach. Ustawy te socyalne przechodzą, pomimo, że partya socyalistyczna nie wiele liczy stosunkowo zwolenników w tym kraju, tylko około 10% wszystkich wyborców. Reformy socyalne popierają głównie wolnomyślni, liczący 522 wyborców, i katolicy, liczący 232; umiarkowane centrum liczy zaledwie 15% przedstawicieli. Partya robotnicza dla tego mniejsze ma znaczenie, albowiem pra-

wie połowa w przemyśle szwajcarskim zatrudnionych robotników, to cudzoziemcy bez praw politycznych.

Pod względem handlu zagranicznego Szwajcarya zajmuje po Holandyi pierwsze miejsce w Europie, gdyż dowozi rocznie więcej niż za miliard towarów (1899: 1160; 1900: 1111; 1901: 1050 milionów fr.) czyli 325—350 fr. na osobę, a wywozi za granicę towaru za przeszło 800 milionów fr. (1899: 796; 1900 i 1901: 836 milionów fr.) czyli 240—252 fr. na osobę. Różnice między dowozem a wywozem pokrywa Szwajcarya dochodami z turystów, procentami od obcych walorów, zyskami szwajcarskich przedsiębiorstw za granicą i t. d. Znaczenie handlowe maleńkiej Szwajcaryi najlepiej uwidocznia tabela porównawcza cyfr, przypadających na osobę w pojedynczych krajach z bilansu handlu zagranicznego. W Holandyi wypada 1432 fr. na osobę, w Belgii 624, Szwajcaryi 622, w Brytanii 527, Danii 489, Szwecyi 252, Niemczech 231, Francyi 210, Stanach Zjednoczonych 163, Hiszpanii $105^{1}/_{2}$, Włoszech 92, Austro-Węgrzech 82, Rossyi 41. Zaznaczyć przytem trzeba, że w Holandyi, Belgii i w Brytanii wliczono do bilansu handlowego nietylko cyfry rzeczywistego dowozu, ale i cyfry handlu przewozowego, dalej kruszce szlachetne wybite na monetę, co statystyka szwajcarska w oddzielnych umieszcza pozycyach. Mimo sąsiedztwa wysoce kulturnych i przemysłowych narodów, maleńka Szwajcarya umie bronić się skutecznie przeciw protekcyonalizmowi cłowemu sąsiadów. Traktaty najnowsze handlowe zbliżyły ją do krajów trójprzymierza i zapewniają jej wolny przewóz szwajcarskich towarów przez terytorya sąsiednie. Przed 10-ciu laty stanowiła 69.63% przywozu i 58,85% wywozu wymiana towarowa Szwajcaryi z sąsiednimi krajami, na pozostałe 30,37% przywozu i 41,15% wywozu składała się wymiana towarowa z Anglią, Ameryką, Azyą i Afryką oraz odleglejszymi krajami Europy. — Do samej Ameryki wywozi Szwajcarya za 100 milionów fr. towaru. Mimo więc, że Szwajcarya nie posiada żadnych kolonij, rozwija podziwu godną energię w zawiązywaniu stosunków handlowych z krajami zaeuropejskimi. — Handlowi szwajcarskiemu torują drogę towarzystwa naukowe, a przedewszystkiem znakomita organizacya świata przemysłowo-kupieckiego. Gdzie tylko w świecie jest interes do zrobienia, tam z pewnością z prywatnej czy publicznej inicyatywy nawiązuje jakaś szwajcarska misya czy ekspedycya stosunki handlowe, wysyła reklamę handlową w języku tego kraju, gdzie się ma interesa robić. — Na straży interesów handlowych szwajcarskich stoi w pierwszej linii t. z. Schweizerische-Handelskammer,

złożona z 15 delegatów stowarzyszeń handlowo-przemysłowych z głosem decydującym i delegatów Rady związkowej z głosem doradczym. Obok tego czuwa nad interesami handlowymi „Szwajcarski związek handlowy“, liczący przed 10 laty już 34 sekcyj z 7784 członkami z każdej miejscowości szwajcarskiej. Głównem zadaniem związku jest rozpowszechnianie nauk handlowych wśród kupców. Ilość udzielonych lekcyj, według sprawozdania z r. 1894 wynosiła 145.996 godzin, a biblioteki stowarzyszeń zawierały 16.930 tomów. Takie n. p. stowarzyszenie „Union horlogére“ dało inicyatywę w zawiązaniu stosunków handlowych z Japonią, założyło kilka biur kontrolujących dokładności wag zegarkowych. Aby zaś wytrzymać konkurencyę amerykańską na polu zegarnictwa, założono 9 szkół zegarmistrzowskich. Takie stowarzyszenie „Societe industrielle“ zakłada szkoły przemysłowe i zaprowadza zawodowe nauczanie w szwajcarskich szkołach uzupełniających. Do szkół technicznych średnich i niższych, utrzymywanych przez rząd związkowy, uczęszcza przeszło 2000 chłopców i 200 dziewcząt. Szkół handlowych posiada Szwajcarya 19, a politechnika zurychska o sławie europejskiej przyczynia się nie mało do rozwoju szwajcarskiego przemysłu. — Kraje, posiadające tanie surowe materyały i taniego robotnika, mogą przodujące zajmować stanowisko na targu wszechświatowym, produkując „schlecht und billig“. Szwajcarya, nie mając ani płodów surowych ani taniego robotnika, produkować musi towar przedni, luksusowy i artystyczny, by znajdować zbyt dla swego towaru w krajach, stojących na czele ekonomicznego rozwoju świata. Produkuje zatem materye jedwabne, koronki, zegarki, biżuterye, obuwie, cygara, ser, mleko skondensowane, czekoladę i t. p. „Pozbawcie Szwajcaryę jej szkół, jej stowarzyszeń, jej instytucyj, tak ściśle związanych z temi stowarzyszeniami, a kraj ten zacznie odstraszać widokiem swej nędzy, jak przyciąga turystów pięknością swych krajobrazów!“

Wobec przemysłu rolnictwo szwajcarskie schodzi na drugi plan, tak samo, jak w Anglii, Niemczech. Z 29.692 km.² ziemi uprawnej przypada na lasy 8473 km.², na winnice 323 km.², a reszta 20.896 km.² t. z. 83% na grunta uprawne. Przeważna część tego areatu służy hodowli bydła jako łąki, pastwiska lub pola koniczyny, a tylko 4% całego areału przeznaczona jest dla uprawy zboża. Gospodarstwo jest zatem wyłącznie prawie pastewne i mleczne. Szwajcarya liczyła r. 1901 około 1,350.000 sztuk bydła, to znaczy 404 sztuk na 1000 ludzi, w Danii 737, w Stanach Zjedno-

czonych 640, Szwecyi 520, Norwegii i Rumunii 470. — Mimo najracyonalniej prowadzonej gospodarki, ludność rolniczych Urkantonów pomniejsza się na rzecz przemysłowych. Gdy n. p. r. 1840 zajmowało się 1.145.719 osób rolnictwem, to 18 lat później już tylko 1,033.865, natomiast w tym czasie wzrosła ludność oddająca się przemysłowi z 963.548 do 1,074.586, w handlu z 175,912 do 213.707, w komunikacyi z 62.612 do 127.916. Zmniejsza się ilość samodzielnych gospodarstw, zmniejsza się ilość bydła, wzmaga się obdłużenie własności ziemskiej, mimo energicznych usiłowań rządu i społeczeństwa, celem podniesienia rolnictwa. Połowa rocznej emigracyi szwajcarskiej przypada na ludność wiejską. Interesa 40% ludności rolniczej zresztą muszą ustąpić interesom 60% ludności przeważnie przemysłowej. Mimo taniego kredytu i monopolu zbożowego, jakiego chłopska partya się domaga, rolnictwo szwajcarskie, mimo całej swej racyonalności, mimo stowarzyszeń i szkół rolniczych, nie ma świetnych horoskopów przed sobą. Szwajcaryi przyszłość spoczywa w industryi, zwłaszcza przedmiotów konfortu i zbytku.

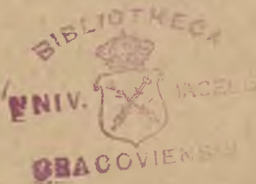
Majątek ludu szwajcarskiego obliczają na 18 miliardów franków. W kasach szwajcarskich z początkiem obecnego stulecia przy ludności trzy i półmilionowej znajdował się 1 miliard fr. składek, podczas gdy w Niemczech 17 razy ludniejszych w tym czasie było zaledwie $10^1/_2$ miliarda fr. Zabezpieczenia od życia w Szwajcaryi wynoszą w r. 1900 — $683^1/_2$ miliona fr. zabezpieczonego kapitału i $2^1/_2$ miliona fr. renty, co stanowi na każdą jednostkę szwajcarską 206 fr. zabezpieczonego kapitału. Pod tym względem przewyższa Szwajcarya wszystkie państwa europejskie. W Niemczech przypada na osobę tylko, 178 franków zabezpieczonego kapitału, w Skandynawii 168, w Austryi 101 fr.; tylko Wielka Brytania dominuje nad wszystkimi kapitałem 523 fr. na osobę. — Jeżeli prywatnem zabezpieczeniem góruje Szwajcarya nad innymi krajami pod względem publicznego zabezpieczenia od choroby, wypadków nieszczęśliwych i starości, pozostaje w tyle za Niemcami. Referendum ludowe z d. 20. maja 1900 r. odrzuciło publiczne socyalne zabezpieczenie. Nie można atoli wątpić, że już w najbliższej przyszłości demokratyczne społeczeństwo szwajcarskie ureguluje tę sprawę i usunie kwestyę pauperyzmu przez przymusowe zabezpieczenie na starość klasy pracującej. W tym kraju wolności mieszka pracowitość, dobrobyt i kultura. Z żalem żegnało się ten kraj piękny i gościnny, ten kraj przytułku dla tylu naszych wielkich duchem i sercem rozbitków,

gdym siadał w Romanshorn na parowiec, wiozący nas do Lindau bawarskiego. [1])

Olbrzymia, bo 539 km² powierzchni obejmująca tafla jeziorna podobna jest do morza i morzem też bregaIickiem zwana była przez Rzymian. Jasno zielone lub błękitnawe fale mienią się cudownymi blaski w gorących promieniach lipcowego słońca. Na południowym wschodzie olbrzymy alpejskie Lentisu i gór przedarulańsko-alganskich dają jezioru gigantyczny wygląd górski, ku zachodowi niknie z oczu ląd i widz ma złudzenie morza; tylko na północnym zachodzie błękitnieją niskie kopice bazaltowe szwabskiego Hegau ze swojemi zamczyskami i ruinami aus der alten, ale chyba nie guten Zeit. W $1\frac{1}{2}$ godziny upłynęło się około 20 km., zbliżamy się do bawarskiego Lindau, na półwyspie jeziernym usadowionego. Jeszcze raz spojrzało się na południe ku szwajcarskim brzegom, wnet pociąg uniósł podróżnych do bawarskiej stolicy. Szwajcarya „zniknęła, jak sen jaki złoty“, w pamięci długo jeszcze majaczyły

Gaje, doliny, łąki i strumienie
Jeziora, czarne głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone, jak krew, o zachodzie...

Dr. Kazimierz Krotoski.



[1]) Dr. Geering Frangott und Dr. Rudolf Holz. Wirtschaftskunde der Schweiz. Zurich 1903. Studnicki Władysław. Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne Szwajcaryi.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.